

Irina Gołowkina

Pokonani

(Przełożyła: Jadwiga M. Jędrzejewska)

TOM I

Rozdział pierwszy

...Nad moim krajem ojczystym
stanęła śmierć...

Andrzej Bięły

Świat pograżył się w żałobie. Nie sposób sobie wyobrazić, że można patrzeć nań radosnym wzrokiem. Elżbietka czuła się tak, jakby stała nad drogą mogiłą, a wszyscy wokół mieli smutne twarze i rozmawiali szeptem, tylko grabarze wymieniali między sobą rzeczowe uwagi i nawet się śmiali.

Umarła jej Ojczyzna, jej Rosja, jej miłość. Nie było już wypraw księcia Igora przeciw Połowcom, nie było bitwy kulikowskiej, wojny ojczyźnianej, obrony Sewastopola, zwycięstw na Bałkanach.

Kiedyś jako uczennica jednej z młodszych klas w Smolnym była zdumiona, znalazłszy gdzieś sformułowanie: *La France c'est une Personne*¹ – przecież ona tak właśnie myślała o Rosji! To była jedna z najskrytszych idei, zrodzonych w głębi jej jestestwa. Rosja – osobistość, wyniosły duch, który ma do spełnienia w świecie swoją misję, ma też swój kształt materialny zmieniający się na przełomach dziejów. Państwo jest niedoskonałym narzędziem tej nadludzkiej idei. Misja Rosji ma wagę z niczym nie dającą się porównać: Rosja leży pomiędzy Zachodem a Wschodem, dzieli i zarazem łączy dwa światy; Rosja – tarcza Słowiańszczyzny – winna skupiać wokół siebie narody słowiańskie, winna też bronić wschodniego Kościoła chrześcijańskiego; poszukiwanie odwiecznej prawdy, tęsknota za nią są Rosji wrodzone. Jej lud nosi w sercu Boga; Rosja nigdy nie będzie krajem burżuazyjnym na europejską modłę – tępe samozadowolenie i mieszczański dobrobyt nie dadzą się pogodzić z jej dumną osobowością; ma Rosja własnych

¹ La France... (fr.) – Francja to osobistość.

wybrańców – ludzi na miarę Piotra Wielkiego i świętych jak Siergiej Radonieński. Oblicze Rosji znajduje odbicie w niepowtarzalnej przyrodzie. Jej dobrodziejstwem są łany zbóż – chleb, który nas żywi!

Skąd takie przemyślenia w głowie trzynastoletniej dziewczynki? Nieraz w lekturach spotykała własne, nigdy nie ujawnione myśli i dziwiła się, że sama do nich doszła, chociaż wciąż ją strofowano, że jest jeszcze małą dziewczynką i winna w milczeniu słuchać dorosłych.

Była sierotą. Matka umarła na gorączkę połogową, ojciec – lekarz ziemski – zginął podczas epidemii cholery.

– Śmierć w trakcie ratowania ludzi jest równie bohaterska, jak śmierć na polu bitwy! Dlaczego lekarzom ziemskim nie dają Krzyży Świętego Jerzego! Będą jeszcze dawali, kiedy wreszcie docenią zasługi naszego ziemstwa! – tłumaczyła koleżankom.

Była prymuską w klasie; powściągliwa i opanowana nigdy się nie ścisnęła z koleżankami, ani nie szeptała z nimi o swoich i cudzych sekretach. Rówieśniczki nie tyle ją lubiły, co raczej szanowały i zwracały się do niej, kiedy trzeba było rozstrzygnąć nieporozumienia czy kłótnie.

– Elżbietka nie ma zamiaru bywać w świecie! Elżbietka mówiła, że nic ją nie obchodzi, ile ma centymetrów w pasie! Elżbietka wybiera się na Kursy Bestużewskie – to już postanowione!

– Ta wasza Elżbietka Muromcewa to jakaś Charlotte Corday, albo rewolucjonistka! – powiedziała o niej jedna z pepinerek.²

– Żadna tam Corday, ani rewolucjonistka. To Joanna d’Arc! – brzmiała replika.

Trzynaste urodziny obchodziła w 1914 roku, kiedy wybuchła wojna. Wraz z koleżankami pisała listy do żołnierzy, pakowała paczki na front, szyła chusteczki, skubała szarpie i żyła

² Tak nazywano absolwentki zamkniętych szkół, które podjęły w nich pracę (pepiniera – szkółka drzewek).

oczekiwaniem wiadomości z frontu. Zachwycała się bohaterską obroną Belgii. Antwerpia stała się jej droga nie mniej niż Sewastopol, a król Belgów Albert zajął w jej sercu miejsce obok najbardziej uwielbianych bohaterów rosyjskich, jego podobiznę miała pod poduszką.

Jednak rok później, kiedy zaczął się odwrót Rosjan w Galicji, zapomniała o Belgii; miłość do Rosji została zmacona przez trwogę, jaką budzi choroba bliskiego człowieka. Latem w majątku babci Elżbietka, ukrywszy się w gąszczu drzew, klękała wśród jabłoni i długo modliła się o zwycięstwo rosyjskiego oręża. I całkiem dziecinnie ślubowała, że wyrzeknie się deseru lub ciekawego spaceru. Klęski opłakiwała gorzko. Kiedy w gazetach ukazała się wiadomość o wkroczeniu Niemców do Warszawy, Elżbietka i jej guwernantka, Francuzka, przez cały dzień miały zapłakane oczy. Kieszonkowe od babci jak dawniej wydawała na paczki dla żołnierzy i rozpaczała, że ze względu na młody wiek nie może zostać sanitariuszką – w białej chusteczce z czerwonym krzyżem.

I nagle – o wstydzie! – „Precz z wojną!”, „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” Październik, rewolucja, Rosja na skraju przepaści...

Może rosyjska Joanna d’Arc usłyszy nieziemskie wezwanie:

– Módl się! Bóg przeznaczył cię do ratowania Rosji! Z pomocą Aleksandra Newskiego i Siergieja Radonieżskiego zwyciężysz!

Ale pod sklepieniem szkolnej cerkwi panowała cisza, a wśród kadzidlanych dymów nie widać było ni miecza, ni sztandaru!

Wkrótce Elżbietka miała okazję spotkać się z rewolucyjnym proletariatem, który głosił, że nie ma ojczyzny. Instytut ewakuowano do Charkowa, miasto przechodziło z rąk do rąk i nadszedł ranek, kiedy tłum czerwonych wtargnął do szkolnych sal i rozpędził wystraszone pensjonarki po korytarzach i schodach na strych.

– Ruszajcie się, panienczki! Biegiem na górę, oficerskie i

senatorskie córunie! Wystrzelamy was wszystkie, co do jednej!

Zapędzono je na strych i zamknięto. Gdzie było szkolne kierownictwo, gdzie były damy klasowe – nikt nie wiedział. Pensjonarki szlochały, jedne wołały rodziców, inne modliły się. Elżbietka miała wrażenie, że ona jedna zachowała przytomność umysłu.

– Spokojnie, mesdames! Nie okazujemy strachu! Nasi ojcowie i bracia bohatersko idą na śmierć w oddziałach oficerskich, czyż my nie potrafimy umrzeć? Zachowajmy godność! Pamiętacie, Maria Antonina, prowadzona na szafot, tak panowała nad sobą, że nadepnawszy niechcący na nogę kata, przeprosiła go, a my? – tłumaczyła to jednej, to drugiej koleżance.

Któraś z dziewcząt przypadkiem popchnęła drzwi, okazało się, że są otwarte. Upewniwszy się, że na schodach nie ma nikogo, wybiegły gromadą na dach; rozpostarło się przed nimi miasto, w jaskrawym świetle poranka widać było jak na dłoni wojskowe kolumny wchodzące do miasta z jednej strony i wycofujące się z drugiej. Właśnie fontanną srebra bryznięła wysadzona w powietrze stacja pomp wodnych. Miasto po raz dziesiąty przechodziło z rąk do rąk...

Ani wtedy, ani później Elżbietce nawet na myśl nie przyszło, że ci ponurzy ludzie z karabinami być może celowo nie zamknęli ich, postraszyli tylko. Była święcie przekonana, że jedynie przez przypadek lub z powodu braku czasu nie zostały rozstrzelane.

Później dane jej było zakosztować wszystkich okropności wojny domowej, powolnej agonii ruchu białogwardyjskiego.

Wreszcie skończyło się wszystko. Tam gdzie byli bohaterowie i święci, teraz mówcy i wierszokleci, dziennikarze i niedawni sprzedawcy z zapalem znęcali się nad historią kraju, podeptanego przez nich. Trzeba było zapomnieć o walkach i okopach, zapomnieć o morzu krwi, o „kompaniach śmierci”, o natarciach oficerskich batalionów, zapomnieć o Samsonowie, który się zastrzelił, by uniknąć hańby, zapomnieć o Kołczaku, który rzucił swoją szablę do morza, bo nie chciał służyć bolszewikom...

Zapomnieć, ale jak?

Mijały lata, nastąpiło nowe życie, ludzie włączali się w jego nurt. Wyglądało na to, że rzeczywiście zapomnieli o wszystkim.

Została pielęgniarką w klinice chirurgicznej, zarabiała, miała własny pokój, pięknie urządzone; nikt z jej bliskich nie siedział w więzieniu ani nie został zesłany w latach najsroźszego terroru – na pozór życie Elżbietki ułożyło się pomyślnie. Były to jednak tylko pozory.

Nie była ładna. Trochę za wysoka, trochę za szczupła, zbyt duże dłonie i stopy, ziemista cera. Za wysokie czoło, nieładny wykrój ust. Piękne były tylko zamyśnione piwne oczy i czarny warkocz do pasa, Elżbietka jednak nie umiała czesać się twarzowo, włosy mocno zwinięte w kok nie wyglądały efektownie. Ubierała się schludnie i gustownie, ale nazbyt skromnie. Ponad wszystkie wymysły mody przedkładała kostium z angielską bluzką. W wieku dwudziestu siedmiu lat w jej wyglądzie pojawiły się przedwcześnie cechy staropanieńskie.

Instynktownie czuła, że przyroda, poskapiwszy jej kobiecego uroku, pozbawi ją także wielu szczęśliwych chwil, więc jeszcze we wczesnej młodości szukała ich w swoim wewnętrznym świecie. Umiejętność zamykania się w sobie była ucieczką od przygnębienia. Książki nadal sprawiały wiele radości, ale teraz unikała lektur o dziejach rosyjskiego oręza, żeby nie jętrzyć ran.

Kiedyś w Smolnym uczyła się gry na fortepianie. Postanowiła wznowić zajęcia na małym pianinie odziedziczonym po babci i zapisała się do szkoły muzycznej, do której mógł wstąpić każdy niezależnie od wieku, kto zgadzał się płacić za naukę. Dwa razy tygodniowo po dyżurze w szpitalu zjawiała się w klasie. Ale pomimo gorliwości pożytku z zajęć było niewiele, nie była muzykalna. Pierwsza lepsza nowicjuszka, nie wyróżniająca się ani zamiłowaniem do muzyki, ani pilnością, szybko ją wyprzedzała i grała utwory, o których Elżbietka mogła tylko marzyć.

Niepowodzenia nie zgasiły jednak miłości do opery, dwa lub trzy razy w miesiącu, kiedy wystawiano „Kniazia Igora”, „Borysa

Godunowa” albo „Pskowiankę”, zjawiała się w ostatnich rzędach parteru, skromnie ubrana, ze staroświecką, babciną lornetką z górskiego kryształu na łańcuszku, niezbyt modna, ale elegancka i w dobrym guście. Po wyprawie do opery musiała przez kilka dni zrezygnować ze śniadań i chodzić pieszo do pracy, by poprawić w ten sposób stan swoich finansów.

Nie nęciły jej wieczorki i potańcówki, co więcej, wydawały się świętokradztwem. Bawić się i tańczyć, kiedy Rosja jest w mogile? Co innego teatr, nie uważała go za rozrywkę, nie naruszał żałoby, którą nosiła w sercu.

Im dłużej żyła, zamknięta w swoim wewnętrznym świecie, ze sobą tylko znanymi radościami i smutkami, tym bardziej oddalała się od otaczających ludzi. Współpracownicy szanowali ją, ale trzymała się od nich z daleka, nie przyjaźniła się z nikim, nie znosiła prostackiego sposobu bycia niższych urzędników. Patrzyła na życie jak na puste, zwariowane przedstawienie. To przedstawienie z trywialnymi flirtami, filmami, ciuchami, listami płac, było nudne i niezrozumiałe, marna też była sama sztuka, w której każda bohaterka w pierwszym akcie pozwalała się wszystkim mężczyznom ścisnąć, zapraszać do kina i odwiedzać się w domu, w drugim znikwała, żeby zrobić zabieg, a w trzecim zjawiała się jak gdyby nigdy nic. Dawniej w sferach, które właśnie zeszły ze sceny, coś takiego było niemożliwe. Teraz życie uproszczono, aż się stało ordynarne.

Myślała niekiedy, że gdyby nie rewolucja, ona, prymuska Smolnego, mogła zostać damą dworu i bywać na dworskich balach, w otoczeniu oficerów gwardii i paziów... Wiedziała jednak, że i tam pozostałaby sobą. Beztroska i kokieteria były jej obce. Tam również byłaby poważna, surowa, dumna, nikomu niepotrzebna i nieciekawa.

Szczęście... Wiedziała już, że można żyć bez niego.

Co prawda niekiedy nawiedzało ją uczucie, że życie przemija i omija ją, młodość odchodzi, że czegoś brak. Ale ona w tym „sowżyciu”, bez piękna, bez ojczyzny, bez bohatera, niczego nie

potrzebuje.

Nigdy nikomu nie zdradziła tajemnicy, ukrywanej w sercu od dziewięciu lat. Miała dziewiętnaście lat, kiedy po raz pierwszy zbudziła się w niej miłość i mogła się rozwinąć w wielkie i głębokie uczucie, do którego są zdolne tylko poważne i głębokie natury.

W tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, po niezliczonych podróżach i ewakuacjach Elżbietka znalazła się w Teodozji, gdzie w szpitalu wojskowym funkcję naczelnego chirurga pełnił jej wuj, który zaopiekował się nią po zamknięciu Smolnego. Pałając pragnieniem włączenia się do walki przeciwko tym, których uważała za najgorszych wrogów Rosji, Elżbietka uprosiła wuja, by ją zatrudnił jako sanitariuszkę. Nie miała doświadczenia, ale w tamtych czasach w szpitalach wojskowych brakowało rąk do pracy, ranni leżeli bez opieki i każdy, kto chciał pomóc, był mile widziany, więc Elżbietkę przyjęto.

Tam, w tym szpitalu spotkała jego.

Był jednym z rannych w sali, gdzie pracowała. Miał piękną twarz, ale nie o powierzchowność chodziło, oczywiście, że nie! Zakochała się w nim, ponieważ był stamtąd – z frontu, z tych nieustannych walk. Biały oficer musiał być bohaterem, jakże mogłoby być inaczej! A jeżeli ma rysy twarzy takie, jakie dziewczęca wyobraźnia łączy z bohaterstwem, to czyż nawet przekonując siebie, że powierzchowność nie ma znaczenia, można zachować obojętność i nie myśleć potajemnie o tym człowieku? A gdzie się kończą myśli, a zaczynają marzenia? Gdzie kończą się marzenia i budzą nadzieje?

Nie bez znaczenia było i to, że pracując od niedawna w szpitalu, była zdjeta litością i troską, a żaden z rannych nie cierpiał bardziej niż ten oficer. Zachwycała się jego opanowaniem, nie jęczał, nie prosił o pomoc, nie skarżył się.

Może był najzwyklejszym w świecie człowiekiem, ale Elżbietka chciała wierzyć, że ktoś z taką siłą woli, z takim

męstwem musi być niezwykły.

Jak się zjawił w szpitalu? To było jednego z pierwszych dni, kiedy Elżbietka nie tyle pracowała, co raczej chodziła za bardziej doświadczonymi sanitariuszkami, ucząc się. Wybierała się już do domu, kiedy w drzwiach musiała ustąpić drogi, wnoszono nowych rannych. Ujrzała na noszach odchyloną do tyłu głowę i piękną, całkiem młodą twarz z zamkniętymi oczami. Może przestraszyła ją bladość i nieruchomość tej twarzy albo urzekła wdzięczna poza oficera, jego dłoń zwisająca bezwładnie, a może romantyczną wyobraźnię niedawnej pensjonarki pobudził widok dwóch Krzyży Świętego Jerzego i „trupia główka” – odznaka kompanii śmierci na rękawie szynela obok żałobnej opaski, w każdym razie odprowadziła nosze wzrokiem.

Kiedy wieczorem przyszła na swój pierwszy samodzielny dyżur nocny, zluzowana przez nią siostra powiedziała:

– Na sali jest nowy ranny, bardzo osłabiony z powodu utraty krwi. Kazano obserwować tętno, gdyby spadło, trzeba zrobić zastrzyk z kamfory. Proszę przejrzeć kartę chorobową i zalecenia.

– Zastrzyk z kamfory? – wystraszyła się Elżbietka. – A jeżeli nie potrafię?

– Przecież pokazałam pani.

– Ale ja nie mam wprawy, boję się.

Sanitariuszka uspokoiła ją – w sali obok dyżuruje doświadczona siostra, która nie odmówi pomocy.

Elżbietka usadowiła się przy stoliku w ciemnej sali. Panowała cisza, ranni spali albo leżeli w odrętwieniu. Ileż razy za pensjonarskich czasów widziała w wyobraźni taką chwilę! Marzenia zaczynały się spełniać. Jest w szpitalu, w białej chusteczce z krzyżem; za chwilę zawoła ją jeden z tych zuchów, którzy jeszcze nie zrezygnowali z ratowania Rosji. Nareszcie jest z nimi! „Poświęcę wszystkie siły, zrobię wszystko, co będę mogła!” – szeptały wargi Elżbietki, i któryż to już raz przypomniła sobie bohaterskie czyny sanitariuszek w Sewastopolu i na Bałkanach.

Za chwilę jednak uniesienie przysło, uświadomiła sobie bowiem, że nie ma żadnego doświadczenia. To uczucie opanowało ją, przytłoczyło, wywołało sensacje podobne do mdłości. Co będzie, jeżeli u kogoś z rannych zacznie słabnąć tętno, a ona to przeoczy? Albo robiąc zastrzyk z kamfory, złamie igłę? Może się też zdarzyć, że ranny zerwie opatrunek, a ona nie potrafi go założyć. Wzięła stertę kart chorobowych, wyszukała tę, o której mówiła starsza koleżanka. Przeczytała rozpoznanie: „Rana od odłamka w okolicy dziesiątego żebra, brzegi szarpane, złamanie mnogie żebra, wylew krwi do opłucnej...”

Zajrzała dalej: „Odłamkowa rana lewej skroni... Rozszerzenie źrenic wskazuje na wstrząs mózgu... Dostarczony w stanie nieprzytomnym...” Zamknęła teczkę i zerwała się. „Mój Boże, jakie to straszne! A zapewniano, że na sali nie ma ciężko rannych” – po cichu, na palcach, pobiegła między łózkami.

To był oficer z „kompanii śmierci”, którego widziała wczoraj rano. Zatrzymała się niezdecydowana. „Może dopiero zasnął” – pomyślała, ale ranny poruszył się, więc się odważyła ująć jego rękę w przegubie, chociaż peszyła ją taka poufałość w stosunku do obcego mężczyzny. „Raz... dwa... trzy...” – liczyła tętno, ale wiedziała, że robi to źle. Odszukała wzrokiem minutową wskazówkę na tarczy swego zegarka i bezskutecznie usiłowała ustalić częstotliwość tętna.

Ranny coś mamrotał. Spojrzała na jego twarz, ale oczy były zamknięte. „Majaczy” – pomyślała. Chciała odejść, kiedy nagle powiedział całkiem wyraźnie:

– Nakazano odwrót... Rozbici... Rosja zginęła!

Stała jak wryta. „Tak właśnie! Zginęła! A ci, którzy gotowi byli oddać za nią życie, nawet w majaczeniach mówią o niej!” – myślała. Czowała, że łzy napływają do oczu.

Trudny był ten pierwszy w życiu nocny dyżur! W obawie, by czegoś nie przeoczyć i w porę udzielić pomocy, przez całą noc biegała od łóżka do łóżka, co chwila wracała do rannego, na którego zwróciła uwagę wczoraj rano, słuchała, jak oddycha, i na

myśl o robieniu zastrzyku zamierało w niej serce.

A on wciąż się rzucał i mówił coś bez związku. Dopiero rano odzyskał przytomność. Kiedy się zbliżyła do jego łóżka, zobaczyła, że ręką szuka na stoliku szklanki z wodą.

– Który to dzień tu jestem, siostrzyczko? – spytał. Zbliżyła szklankę do jego ust i uniosła mu głowę.

– Przywieźli pana wczoraj rano. Jak się pan czuje? Pewnie to bardzo bolesne?

Nie wiedziała jeszcze, że w szpitalu nie zadaje się takich pytań.

– Nie, dziękuję. Prawie nie boli, kiedy leżę nieruchomo – odpowiedział jakoś obojętnie i zamilkł.

Na następny dyżur przyszła rano i miała dyżurować do wieczora. Przed drzwiami sali stał żołnierz o kulach.

– Dopraszam się łaski, siostrzyczko! – powiedział. Odwróciła się do niego. Miał zarośniętą żołnierską twarz, prostą i otwartą.

– Ja wedle zdrowia wielmożnego pana, żeby się wywieźć. Onegdaj prosiłem siostrę, nie wpuściła, że niby dochtór nie kazał. A słyszałem, że źle było z wielmożnym panem, mówić nawet nie mógł. Jak nie wolno pójść do pana porucznika, niechaj siostrzyczka z łaski swojej powie, czy chociaż ku lepszemu idzie. Ja, znaczy się, za ordynansa u pana porucznika jestem.

– Zaraz się dowiem, żołnierzu. Jak nazwisko twego porucznika?

Wymienił stare książęce nazwisko.

„To ten młody z Krzyżem św. Jerzego!” – pomyślała. Odszukała jego kartę chorobową: „Od rana przytomny. Stan ogólny nadal ciężki; oddech płytki, utrudniony, prawie nie mówi, nie przyjmuje pokarmu; skarży się na bóle w boku...”

Wyszła do żołnierza, żeby przekazać wiadomość.

– Pokornie dziękuję, siostrzyczko. Bardzom niespokojny o

wielmożnego pana. Za wcześnie mu umierać, chociaż pan porucznik mówi, że nie żał życia, wiadomo, takie nieszczęście...

– Nieszczęście? A jakie to nieszczęście? – przypomniała sobie żałobną opaskę na szynelu młodego oficera.

– Nie da się wszystkiego zliczyć, siostrzyczko! Najpierw, ze dwa lata temu będzie, ojczulka wielmożnego pana rozstrzelali w Pitrze; a teraz, miesiąc już minął, jak starszy brat pana porucznika pod Wasiljewką padł. Bardzo pan porucznik rozpaczał. Ciężkim mówił: „No powiedz, Wasilij, jak mam matkę o tym nie zawiadomić?” A mamusia pana porucznika w orłowskiej guberni, w ojcowiznie swojej została. Bardzośmy z wielmożnym panem niespokojni byli, czy aby czerwoni jakiej krzywdy pani generałowej nie zrobili, jako że długo nie było od niej wiadomości. Aż tu nagle, z pięć dni temu przyjeżdża stamtąd oficer i opowiada wielmożnemu panu, że ojcowiznę ichnią czerwoni spalili, a dziedziczkę naszą rozstrzelali. Jakby się wszystko we mnie wywróciło! Taka dobra pani i taka śmierć! Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie! Kiedyśmy z panem porucznikiem w okopach pod Dwińskiem siedzieli, paczki nam posyłała, a każda skrzynka na dwie połowy podzielona: pół dla pana porucznika, a pół dla mnie. I machorki, znaczy się, przyśle, i herbatki, i cukru, i kiełbaski wędzonej. Ciężkim o naszej pani myślę. A co pan porucznik czuje, szkoda gadać. Taka bieda! Bardzo wielmożny pan miłował swoją matulę!

– Przyjdź później, żołnierzyku, spytam doktora, wpuszczę cię, jak pozwoli. Albo nie kłopotuj się, przecież masz ranną nogę. Sama przyjdę, żeby ci opowiedzieć. Jesteś w piątej sali?

– Tak jest! Wielkie dzięki, siostrzyczko!

Miała już odejść, ale pod wpływem sympatii spytała:

– Zostaliście jednocześnie ranni?

– Tak jest, obaj naraz! Także pod wioską Wasiljewka, odłamkami, jakeśmy z meldunkiem jechali. Ale mordęga! Pan porucznik to ani się podnieść nie mógł, na rękach go dotargałem.

Elżbietka jeszcze raz spojrzała na żołnierza... Wpajano jej od dzieciństwa szacunek dla rosyjskiego żołnierza, gotowa była całe noce spędzać przy wezglowiu bohatera, jak ten, ale teraz wszystkie romantyczne uczucia były zarezerwowane dla oficera.

Nie chciała wydać się natrętna ze swoim współczuciem, czy nadmiernie ciekawa cudzego nieszczęścia, więc zbliżała się do jego łóżka niepostrzeżenie, mógł sobie pomyśleć – i myślał – że wyrasta spod ziemi, ilekroć usiłował się poruszyć. Elżbietka bardzo pragnęła, żeby tak jak inni odezwał się do niej, przywołał ją, ale nigdy tego nie robił. Podczas roznoszenia termometrów powiedziała, żeby go rozerwać:

– Pański ordynans bardzo chce się z panem widzieć. Jego twarz ożywiła się po raz pierwszy:

– Mój Wasilij? Jak się on czuje?

– Chyba lepiej. Kuśtyka o kulach. Kilka razy przychodził do drzwi, żeby się o pana dowiedzieć.

– Wie siostra, on niósł mnie dwie wiorsty. Mówiłem mu, żeby przysłał sanitariuszy, ale za nic nie chciał mnie zostawić.

Elżbietka domyślała się tego.

– Przyprawdę go tutaj pod warunkiem, że pan nie będzie zbyt dużo mówił – rzekła. Uprzątnęła trochę stolik przy jego łóżku i poszła po żołnierza, chociaż lekarz nieraz mówił, że trzeba poczekać z odwiedzinami i rozmowami. Sama podjęła decyzję, bardzo chciała zobaczyć spotkanie oficera z ordynansem. To się jej nie udało, odwołał ją lekarz dyżurny, mogła tylko wyobrażać sobie. „Czy podał mu rękę? Poprosił, by usiadł? – zastanawiała się, zwijając bandażę i roznosząc leki. – Pewnie i rękę podał, i poprosił usiąść. Niemożliwe, żeby przestrzegali zwykłej subordynacji”.

Szpitalny dzień toczył się swoim trybem, musiała chodzić to do jednego, to do drugiego chorego, a on wciąż leżał obojętnie, nie wołał jej, chociaż miotał się po poduszce i dotykał ręką zranionej skroni. Podczas czytania chorym gazet kilkakrotnie zerkała na

niego po kryjomu, ale nie wiedziała, czy słucha.

„Pewnie do końca dyżuru nie będzie okazji powiedzieć mi coś serdecznego” – myślała ze smutkiem.

Właśnie w tej chwili wszedł sanitariusz i głośno wymienił miłe nazwisko.

– Jest tu taki? List z pułku.

– Jestem – powiedział, unosząc się nieco na łóżku. Wziął list i wsparty na prawej ręce, lewą bezskutecznie starał się otworzyć kopertę.

– Otworzę panu – powiedziała Elżbietka. Podał jej list.

– Data! Niech siostra pokaże mi datę! To pismo mojej matki... Jeżeli list był pisany niedawno, matka żyje! – głos mu się załamał.

Elżbietka również wzruszona pospiesznie otworzyła list. Zawahała się na chwilę.

– Ten list, widzi pan... Chyba był dawno pisany. Wysłano go pół roku temu. Widocznie błąkał się gdzieś.

W milczeniu opadł na poduszkę. Podała mu list i dyskretnie oddaliła się.

– Siostro! – zawołał głos, którego by już nie pomyliła z żadnym innym. – Czy siostra mogłaby przeczytać go? Nie wiem dlaczego, jakoś źle widzę litery...

– Źrenice są rozszerzone, to minie – powiedziała niczym doświadczona sanitariuszka i usiadła przy łóżku.

Tę chwilę zapamiętała na całe życie: półmrok sali, jego twarz i każde zdanie tego listu!

„Najdroższe moje dziecko, kochany chłopcze!” – zamilkła pod wpływem wzruszenia. Spojrzała ukradkiem na niego – przykrył oczy dłonią... „Od dawna nie mam wiadomości ani od Ciebie, ani od Dymitra, serce krwawi z niepokoju. Gdzie jesteście? Czy jeszcze żyjecie? Czy może zostałam sama na świecie? Powtarzam

sobie, że dobry Bóg zachowa Was dla mnie, i zaraz siebie karce, jakim prawem mam liczyć na Jego miłosierdzie, czym jestem lepsza od innych, których już dawno dosięgło nieszczęście. Dręcę się myślą, że może któryś z Was jest ranny i leży wśród obcych, a ja nie mogę w niczym pomóc, nie mogę pielęgnować, tak jak Was pielęgnowałam, kiedy w dzieciństwie chorowaliście na szkarlatynę. Pamiętasz, jak smakował Ci żurawinowy mus, którym Ciebie poiłam? Modłę się za Was codziennie rano i wieczorem, a w południe chodzę do lasu, do ulubionej kapliczki Matki Bolesciwej, to cała moja pociecha. Nie mieszkam już w Zalesiu. Mam dla Ciebie bardzo smutną wiadomość – nie ma już naszego Zalesia, dezercerzy z frontu i mieszkańcy kolejarskiego osiedla, pod wpływem propagandy sielsowietów,, spalili je do cna. Nie majątku mi żal, lecz domu, w którym urodziły się i wyrosły moje dzieci, w którym byłam tak szczęśliwa. Szaleli jak wandalę: rabowali sprzęty, powycinali stare dęby, wydeptali kwietniki, zniszczyli oranżerię, nawet wodę z basenu wypuścili, pewnie po to, by unicestwić złote rybki. Niech im Pan Bóg wybaczy. Nie niepokój się o mnie. Zamieszkałam na wsi u chłopów, wiesz przecież, że mnie lubili. Mam co jeść i dach nad głową, a więcej nie potrzebuję. Wyszłam z domu jak stałam, nie mogłam zabrać ani biżuterii, ani pieniędzy, ani dokumentów. Mam tylko zdjęcia: Twoje z niedźwiedziem, kiedy miałeś dwa latka, i drugie – Ty z Dymitrem w kadeckich mundurach. Jeżeli Pan Bóg zachowa Was dla mnie, będę się czuć bardzo bogata. Dokładniej mówiąc, mam przy sobie jeszcze Rekse; wczoraj znalazłam go na pogorzeliisku, był przy szczątkach domu. Gdybyś mógł widzieć, jak się na mój widok ucieszył, jak skakał wokół mnie i lizał ręce. Sama się ucieszyłam, jakbym spotkała człowieka. Nie wiem, czy list dotrze do Ciebie. Zdecydowałam się wysłać go do Kryckoje, stamtąd pewien oficer wybiera się do Białych Armii za pośrednictwem Białego Orła. Może odszuka Ciebie... Niekiedy wierzę, że się spotkamy, a kiedy indziej wydaje się, że już nigdy Was nie zobaczę. Wkładałam do koperty listek z jabłoni, która się uratowała z pożaru. Wiem, że ani mnie, ani Zalesia nigdy nie zapomnisz.

Twoja mama”

Elżbietka kilkakrotnie przerywała czytanie, żeby opanować wzruszenie. Bardzo pragnęła uścisnąć mu dłoń, powiedzieć coś serdecznego, co ją nurtowało, ale była zbyt skryta, zbyt wstydliva, by się narzucać ze współczuciem, kiedy nikt jej o to nie prosi. Położyła przy rannym list i jabłoniowy listek i odeszła. Obserwowała go z daleka, widziała, że leży nieruchomo, westchnęła i zabrała się do pracy. Dopiero po dyżurze odważyła się zbliżyć do niego... Czyżby miała odejść, zostawić go bez słowa? Zda się, poczuł jej wzrok, bo otworzył oczy – jak się jej wydało – bardzo duże i błyszczące.

– Wychodzę już. Spodziewam się, że się będzie pan czuł lepiej. Niech Bóg ma pana w swojej opiece – szepnęła.

Ujął jej rękę. Myślała, że ją uściśnie albo powie coś, ale nie zrobił nic. Może w półprzytomnym stanie zapomniał, że zawładnął ręką dziewczyny, trzymając ją wciąż przymknął oczy i niespokojnie poruszał głową po poduszce. Elżbietka stała przy nim jakiś czas, potem ostrożnie uwolniła rękę i wyszła.

Nazajutrz w jego stanie nie było żadnej poprawy, znowu szybko i płytko oddychał, prosił o tlen, rzucał się. Elżbietka nie była pewna, czyją poznał. Pod koniec dnia zabrano rannego na salę operacyjną: wuj Elżbietki miał mu zrobić resekcję żebra. Sanitariuszki mówiły, że taki zabieg robi się bez narkozy. Kiedy sanitariusz ryknął na całą salę, że z polecenia pana pułkownika, chirurga naczelnego, ma dostarczyć na salę operacyjną takiego a takiego rannego, Elżbietkę przeszły ciarki.

– Ostrożnie! Ostrożnie! – prosiła sanitariuszy, idąc obok noszy, a ranny nawet nie spytał, dokąd go niosą. Dopiero kiedy umieszczono go na stole operacyjnym, otworzył oczy, jego wzrok przesunął się po białych ścianach sali, twarzach obcych ludzi w białych fartuchach i chirurgu z umyтыми już rękami, uniesionymi do góry, któremu sanitariuszka wkładała maskę.

Oczy rannego zatrzymały się na Elżbietce. Czy wyczuł całą głębię jej współczucia, którego nie przytępiła jeszcze rutyna, czy też wśród całkiem obcych twarzy rozpoznał Elżbietkę, ale

poprosił:

– Proszę zostać przy mnie. Niech siostra nie odchodzi.

Ta chwila pozostała dla Elżbietki najdroższym wspomnieniem. A więc nie tylko ją poznawał, lecz także wyróżniał, skoro szukał u niej współczucia! Spodziewała się, że pozwoła jej stać przy rannym, ale jedna z sanitariuszek odsunęła ją i ją wprawdzie odwijać bandaż, a wuj nagle powiedział:

– Co tu robisz? Za młodaś, żeby być przy operacji. Idź do swojej sali.

– Chciałam tylko... – tłumaczyła się, ale wuj przerwał:

– Nikogo postronnego! Uważaj, bo cię zwolnię! Odeszłaś ze swego posterunku!

Zrozumiała, że sala operacyjna nie jest właściwym miejscem do spierania się, w dodatku wuj odwołał się do poczucia obowiązku, na co była szczególnie wyczulona. Z opuszczoną głową wróciła do swojej sali.

Przybiegła natychmiast, kiedy sanitariusze przynieśli go z powrotem i jęli układać na łóżku, widziała, że zagryza wargi, żeby nie jęczeć. Sanitariusz pochylił się nad nim, chciał położyć wygodniej.

– Nie trzeba, ja sam – powiedział przez zaciśnięte zęby. Zbliżyła się ze szklanką herbaty.

– Nie teraz, dziękuję...

Drugi sanitariusz chciał poprawić poduszkę.

– Nie trzeba... Nic nie trzeba! Dajcie mi spokój!

Elżbietka pomyślała, że trzeba coś zrobić, jakoś mu ulżyć, że nie może beczynnie obserwować jego cierpień, i kazała poprosić dyżurnego lekarza.

– Co się dzieje? – spytał ponuro zbudzony na jej polecenie lekarz, który po ciężkim dniu dopiero co zdrzemnął się na szpitalnej kozetce.

– Ranny źle się czuje... Nie wiem, może morfinę...

– Już miał zastrzyk z morfiny. Nie wolno tego nadużywać – lekarz ujął przegub chorego. – Nie miejsce tu na łyzy, siostrzo. Strzykawkę i kamforę, i proszę uważnie obserwować tętno.

Milczała, czuła się winna. Lekarz zrobił zastrzyk i rzekł już łagodniej:

– Nie możemy sobie pozwalać na nerwy, siostrzyczko. Z nerwów nie ma żadnego pożytku, ani dokładności w pracy, ani pewności siebie. Nie trzeba się tak przejmować z powodu każdego rannego, bo się pani sama rozchoruje. Ale nie szkodzi, z czasem się siostra przyzwyczai.

Te słowa wydały się jej cyniczne. W myśli nazwała lekarza człowiekiem bez serca. Lekarz jednak wyznaczył specjalny dyżur przy łóżku rannego, obawiał się, że w nocy, kiedy zaczną majaczyć, pozrywa sobie opatrunki. Elżbietka, której dyżur dobiegał końca, podjęła się zostać przy łóżku porucznika. Ale ta noc nie dała jej ani jednej chwili podobnej do tamtej, na sali operacyjnej. Całą noc ranny miotał się i majaczył, a ona trzymała go za ręce i nie odeszła na krok. Dopiero rano, przed obchodem, uspokoił się nieco i Elżbietka mogła usiąść. Śmiertelnie zmęczona oparła się czołem o łóżko. Sanitariuszka, która przyszła na dzienną zmianę, czym prędzej odesłała ją do domu. W ciągu całej nocy ani jednego słowa, które mogłaby wspominać!

Tym razem nawet w majaczeniach mówił wyłącznie o jakiejś Weście – to był zdaje się jego koń, zabity pod nim.

Nowym szczegółem do jego portretu był pierścień, który zauważyła, trzymając go za ręce. Takie pierścienie nosili paziowie, ciekawe i romantyczne, ale to tak mało! Odeszła zmartwiona jego ciężkim stanem. Nie dowie się, kto go z takim poświęceniem pilnował! Nawet przez myśl jej nie przeszło, że uświadomią go koledzy, tym bardziej nie mogła się domyślić, w jakiej formie to uczynią.

– Czy pan wie, poruczniku, że nasza brzydula wyraźnie ma

do pana słabość?

– Kogo pan pułkownik ma na myśli?

– No tę wysoką, ciemnowłosa; przez całą noc siedziała przy pańskim łóżku.

– Nie powiedziałbym, że to brzydula, ma oczy łani.

– Ach tak! Więc może będzie jak w romansie, po wyjściu ze szpitala hosanna?

– Dlaczego zaraz hosanna? To, że tak powiem, prognoza katastroficzna. Może będzie go mniej kosztowało – powiedział inny oficer.

Żartowali, żeby go rozerwać, ponieważ wiedzieli o jego przejściach, ale odpowiedział obojętnie:

– Zapewniam, że panowie mają bujną wyobraźnię. Kazano jej dyżurować, więc siedziała. W szpitalu obowiązuje dyscyplina.

– Dyscyplina dyscyplina, a dziewczyna płakała, kiedy pana przyniesiono z sali operacyjnej. Lekarz dyżurny skarcił ją nawet za to.

Ale młodzieniec nie miał nastroju do żartów.

– Niedługo tu pracuje, nie straciła jeszcze wrażliwości. W całym zajściu nie widzę nic szczególnego, poza tym, że to dobra i mądra dziewczyna. Nie wydaje mi się, abym w tym stanie był szczególnie pociągający – przymknął oczy, wyraźnie chciał skończyć rozmowę, która go zmęczyła.

Wolny dzień Elżbietka spędziła w domu. Upiekła swoje ulubione ciasto według przepisu babci, zanotowanego na pożółkłej kartce, a potem zdobyła u pewnej zapobiegliwej pani trochę żurawin i zrobiła z nich mus.

Nazajutrz przyniosła to wszystko na dyżur.

„On nic nie je” – myślała, zauważyła, że zawsze zabierano z jego stolika nie ruszone posiłki.

Kiedy mu zaproponowała mus, który rzekomo przyniosła dla siebie, spojrzał na nią zdziwiony i spotkał zmieszany i życzliwy uśmiech. Uśmiechnął się i on:

– Dziękuję, siostrzyczko! Pani jest bardzo dobra! Jestem wzruszony.

A ona cieszyła się, że ma pretekst jeszcze raz zbliżyć się do niego, podać mu napój, podnosząc delikatnie jego głowę. Tego dnia jednak czuła się źle, pod koniec dyżuru zmuszała się do pracy; bolała ją głowa, dokuczało dziwne osłabienie w całym ciele. On zaś był wyraźnie w lepszym stanie, prawie zniknęły gorączkowe wypieki, poprawił się oddech. Dawały o sobie znać skutki operacji. Elżbietka wyobrażała sobie dni rekonwalescencji, ale dobiegający od czasu do czasu odgłos dział sprawiał, że się wzdrygała i myślała o nadciągającej katastrofie, pewnie już nieodwracalnej, która wszystko zniszczy i zgniecie, porwie ze sobą tysiące ludzkich istnień, a wraz z nimi także jej kruche marzenia.

Sanitariuszki wymieniały wystraszone spojrzenia, lekarze rozmawiali o czymś z troską, sanitariusze ponuro milczeli.

– Bez paniki, spokojnie. Żadnych rozmów w obecności rannych – powtarzał wuj Elżbietki przechodząc po salach.

Zobaczył ją przy oknie, ścisnęła rękami rozpalone czoło.

– Co ci jest, Elżbieto? Uważaj! – i dodał po cichu: – Jak wrócisz do domu, powiedz cioci, że zostanę na noc w szpitalu. Bądź dzielna, kochanie!

Przekazywała dyżur, kiedy ranny porucznik ją zawołał... Czy zdawał sobie sprawę, na co się zanosi? Przybiegła do niego, a on z uśmiechem podał jej flakonik perfum. To były „Fiołki parmeńskie” Coty’ego. Zaczerwieniona jak uczennica ukryła ręce za plecami.

– Nie o podarunki mi chodziło. Nie mogę tego przyjąć.

– Niechże siostra nie odmawia! Bardzo proszę! To nie jest zapłata – za współczucie nie da się zapłacić, to tylko maleńki dowód wdzięczności od człowieka, dla którego jest pani taka

dobra w ciężkim dla niego okresie.

Wsparty na prawym ramieniu jął lewą ręką otwierać flakon, chciał skropić Elżbietkę perfumami, ale rozlał pewnie jedną trzecią zawartości flakonu na jej fartuch.

Nie widziała go więcej.

Tej nocy zachorowała na tyfus, zapadła się w rozpaloną malignę. Chorowała siedem tygodni, a kiedy wreszcie wstała z łóżka, w mieście rządzili czerwoni, a szpital został rozformowany.

Wkrótce doszły ją słuchy o barbarzyńskiej rozprawie z rannymi oficerami. Zapewniano ją, że żaden z nich nie uszedł z życiem, wymieniano zdrajców, którzy donieśli o nazwiskach i stopniach oficerów.

Była wstrząśnięta; dygotała na samą myśl o tym, że jego także nie ominął ten los. Zabić człowieka bezbronnego, słabego, umęczonego – to było straszne. Nie powinna była o tym myśleć, ale myśli wciąż wracały do tego samego, jakby były zaczarowane: właśnie poczuł się lepiej, miał weselsze spojrzenie, pierwszy raz uniósł się na łokciu bez bolesnego grymasu na twarzy.

Rekonwalescencję po tyfusie zapamiętała jako najgorszy okres w życiu, dwie bolesne straty naraz: drogiego człowieka i załamanie się ostatniej ostoji ojczyzny! W jej duszy na zawsze zniknęło wszystko co świeże i radosne. Zda się, w jednej chwili zakwitła i zbladła jej młodość.

Wychudła, ospała, apatyczna całymi dniami siedziała bezmyślnie w fotelu.

– Może później – mówiła, kiedy zatroskana ciotka podsuwała coś do zjedzenia albo namawiała wyjść na powietrze. – Nie chce mi się, ciociu, może później!

Kiedy nieco nabrała sił, wuj i ciotka wywieźli ją do Petersburga. Nie wyobrażała sobie powrotu do życia, nie widziała w tym sensu. Trzeba było jednak żyć, a przede wszystkim zarabiać na siebie. Babci już nie było na świecie, a majątek i pieniądze, złożone w banku na jej nazwisko, zostały

upaństwowione.

Nieoceniony wuj, który zmienił mundur na cywilny garnitur, urządził ją w jednej z petersburskich klinik pod swoim kierunkiem. Zaczęła więc pracować... Teraz już bez zapachu, bez zainteresowania i bez krzyża na piersi.

Stopniowo przyzwyczaiła się do swoich obowiązków i zdobyła zawodowe kwalifikacje.

Na pozór była spokojna i zrównoważona, ale najmniejsze wspomnienie o losie rannych w teodozyjskim szpitalu sprawiało, że się zmieniała na twarzy, wargi drżały nerwowo, obejmowała wtedy rękami głowę jakimś obronnym gestem.

A ludzie szukali sposobów na przystosowanie się. Koleżanka z klasy, Muszka Lwowa, usiłowała kiedyś przekonać Elżbietkę, że widziała na własne oczy, jak biały oficer na ulicy w Charkowie policzkował rannego czerwonoarmistę. Zapewniała także, że zna osobiście rodziców, których córkę zgwałcili biali oficerowie. Elżbietka zerwała z Muszką znajomość.

Wiedziała, że już nie pokocha żadnego mężczyzny. Jej romans był przelotny i smutny, ale jego bohater był prawdziwy. To całkiem co innego niż w przypadku Muszki, która wyszła z mężem za marynarza z „Aurory”, czy Nadii Chmielnickej, która poślubiła Żyda, kierownika jakiegoś magazynu... Nie! Bohaterem Elżbietki został potomek starego rodu, rosyjski oficer gwardii, człowiek, który wolał umrzeć, niż poddać się. Walczył o Rosję przeciwko Niemcom, później przeciwko bolszewikom, kawaler Krzyża św. Jerzego, dowódca „kompanii śmierci”, arystokrata, biały oficer! Reprezentował wszystko, co mogło się jej podobać w mężczyźnie. Kto teraz mógł zwrócić jej uwagę?

Wszyscy ci mali ludzie w najlepszym razie budzili śmiech.

Rozdział drugi

*Ty pachniesz, jak pachną bzy,
A przebyłaś niełatwą drogę.*

Anna Achmatowa

Julia Iwanowna, nauczycielka muzyki, w młodości przyjaźniła się z matką Elżbietki. Wkrótce po wojnie zachorowała poważnie na reumatyzm. Elżbietka odwiedzała ją kilkakrotnie i nawet dwie noce dyżurowała przy niej. Mąż Julii Iwanowny był niegdyś liderem partii kadetów w Kijowie i zyskał tam nawet przydomek „Sumienie Kijowa”. Nie żył już od dawna, ale GPU dotychczas nie dawało wdowie spokoju. Właśnie Julia Iwanowna podsunęła Elżbietce myśl o ponownym zajęciu się muzyką i przyjęła do swojej klasy. Doskonale wiedziała, że Elżbietka nie ma talentu, ale lubiła spotkania z nią, długie rozmowy z poważną i mądrą dziewczyną, właściwe zaś zajęcia trwały nie dłużej niż kwadrans. Pewnego dnia w grudniu 1928 roku Julia Iwanowna przed rozpoczęciem lekcji powiedziała, że w klasie pojawi się nowa uczennica, jak się wydaje, bardzo utalentowana.

– Zaawansowana czy początkująca? – spytała Elżbietka, wyjmując z teczki nuty.

– Trudno powiedzieć, jak dalece zaawansowana – powiedziała Julia Iwanowna – ma osiemnaście lat. Wielu pianistów w jej wieku ma lepszą technikę, ale dziewczyna jest wyjątkowo zdolna. W środę na egzaminie grała „Warum?” Schumanna, byłam w komisji i jak wszyscy zachwyciłam się; ma czarujące *touche* i świetne frazowanie. Zdumiewająca wprost czystość dźwięku! W jej grze nic nie wymagało zmian, jakby była ukształtowaną pianistką. A przecież mało się uczyła i nie posiada żadnej wirtuozerii. Zdawała tej jesieni do konserwatorium, ale nie przyjęto jej ze względu na pochodzenie. A to taka utalentowana dziewczyna! To Bołogowska, wnuczka generała-adiutanta z

bliskiego otoczenia cara, jej ojca, pułkownika gwardii, rozstrzelano na Krymie. Drugi dziadek był, zdaje się, senatorem... Sama pani rozumie, co to znaczy! Przysłał ją do mnie mój przyjaciel, profesor konserwatorium. Chciał przyjąć do swojej klasy, ale się nie udało, udzielił kilku lekcji w domu, ułożył rękę i skierował do mnie, ale co miesiąc będzie przesłuchiwał osobiście, taka uczennica nie może nie zainteresować pedagoga!

Rozstrzelany na Krymie! Wargi Elżbietki drgnęły.

– Spotka ją pani nieraz – dodała Julia Iwanowna. – Wyszła pół godziny temu. Ładniutka dziewczyna, rzęsy do połowy policzka. Mieszka z babcią i wujem; matki, zdaje się, także nie ma. Pewnie bieda tam aż piszczy, dziewczyna nie ma botków, nie ma zimowego palta. Szkoda jej.

Następnym razem Elżbietka przyszła o godzinę wcześniej niż zwykle i musiała wysłuchać nudnej lekcji z jakimś tępym chłopcem. Lekcja jeszcze się nie skończyła, kiedy do klasy weszła nieznajoma dziewczyna. Szczupła jak trzcina, w starym swetrze i skróconej zgodnie z nakazami mody spódnicy, dwa długie warkocze bez wstążek. Kasztanowate włosy i rzęsy podkreślały biel czoła i przezroczystą głębię oczu.

– Proszę siadać, Asiu, teraz pani kolej – powiedziała Julia Iwanowna.

Dziewczyna, która zdążyła już otworzyć książkę, zerwała się i usiadła przy fortepianie.

Grała jeden utwór za drugim, a Elżbietka zauważyła w oczach Julii Iwanowny podziw i zachwyt dla młodej pianistki. Zbudziło się w niej jakieś niedobre uczucie zawiści.

Asia skończyła grać i zbierała się do wyjścia.

– Czy nie za lekko się pani ubrała? – powiedziała Julia Iwanowna, kiedy dziewczyna zaplatała się w podartej podszewce rękawa jesionki.

– O, nie jest tak źle, otulę się jeszcze byłymi sobolami – uśmiechnęła się Asia.

– Co znaczy „byłymi”? Czy soból może być były? – zdziwiła się nauczycielka.

Asia zaśmiała się wesoło.

– To takie moje powiedzonko z czasów, kiedy miałam dwanaście lat. Wtedy ciągle słyszałam: były książę, były oficer, były szlachcic... I wyobraziłam sobie, że moje sobole także są były – *ci-devant*³. Odtąd tak je nazywamy.

Narzuciła na ramiona stare futro i wybiegła.

Elżbietka odprowadziła ją zdziwionym wzrokiem – uważała, że represjonowanej arystokratce wesołość nie przystoi.

A jednak następnym razem znowu przyszła wcześniej, żeby popatrzeć na Asie.

Dziewczyna skończyła już grać. Przy pożegnaniu Julia Iwanowna powiedziała:

– Muszę panią zmartwić, moje dziecko, powiedziano mi w kancelarii, że musi pani płacić według najwyższej stawki. Księgowość kieruje się jakimiś instrukcjami.

Dziewczyna była wyraźnie przestraszona, jej ładna twarz zbladła.

– Pani rozumie, że to nie zależy ode mnie – ciągnęła nauczycielka. – Spodziewam się, że nie zrezygnuje pani z tego powodu z lekcji?

– Ach, o to chodzi? – westchnęła z ulgą Asia. – A ja się przelęknęłam, że chcą mnie wyrzucić. Ależ nie, z własnej woli na pewno nie rzucę zajęć. Trzeba się czegoś nauczyć. Wie pani, jest nas czworo: babcia, wujek, ja i moja Francuzka, madame Teresa, traktujemy ją jak członka rodziny. Jest jeszcze charcica mego nieboszczyka ojca. A zarabia tylko wujek, urządził się w orkiestrze, a przedtem był bezrobotny, więc ledwo wiążemy koniec z końcem. Mogłabym gdzieś pracować, ale babcia mówi, że byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdybym została sowiecką urzędniczką.

³

Ci – devant (fr.) – Z byłych.

Znam francuski, mogłabym udzielać lekcji, ale babcia zabroniła.

– A to dlaczego?

– Nie mam szczęścia do lekcji! W ubiegłym roku uczyłam wnuka naszego byłego portiera, miałam z nim jakieś pięć czy sześć lekcji. Kiedyś przyszłam, a oni siedzą sobie przy herbacie z ciastkami, babcia, to znaczy żona portiera, zaprosiła mnie do stołu. Podziękowałam, ale później pomyślałam, że może posądzą mnie o zarozumiałstwo z powodu dziadka, lękam się tego jak ognia, więc usiadłam i wzięłam najmniejsze ciasteczko. A nazajutrz mój mądry uczeń opowiada: „Wczoraj mama skrzyczała babcię – po co karmisz ciastkami różne nauczycielki? Za te ciastka nie dostanie ode mnie ani grosza!” Nie potraktowałam tego poważnie i jeszcze cały miesiąc go uczyłam, a oni wciąż nie płacili. Nie miałam odwagi rozmawiać z matką ucznia. To krzykliwa kobieta, uchowaj Boże, jak się rozgada! Lepiej jeszcze kilka lat odrabiać za ciastko. Tak powiedziałam babci, a ona do wuja: „Porozmawiaj ty, Sierioża”, a wuj na to: „Co to, to nie! Wprawdzie chodziłem na proletariackie bandy z samą szpicrutą, ale lękam się jak ognia proletariackich megier!” Co robić? Nagle nasza madame mówi: „Jestem Francuzką, paryżanką. Mój naród wydał Joannę d’Arc i Charlotte Corday. Ja się nikogo nie boję! Monsieur Serge chodził do ataku ze szpicrutą, a ja pójdę z mokrą szmata!” I tak zrobiła. Wybuchła taka awantura, że ja i kuzynka Lela zamknęłyśmy się w pokoju babci. Druga korepetycja – znowu niepowodzenie. Tatuś uczennicy, kierownik spółdzielni, poszedł do więzienia za kradzież. Zjawiała się mamunia z oświadczeniem, że nie ma pieniędzy, jeszcze ode mnie pożyczyła i tyle ją widziałam. Odtąd babcia zdecydowała, że żadnych lekcji... Niekiedy mam wrażenie, że nic nie potrafię. Niedawno ciocia Zina uczyła mnie robić papierowe kwiaty. Madame szybko zmajstrowała różę, a ze mnie taka niezdara i cierpliwości nie mam; nawet dziesięciu minut nie usiedziałam, zaczęłam bawić madame. Ona robiła kwiaty, a ja zagrałam dla niej „Marsylianę” z wariacjami. A później mówiłam Berangera. Tak się u nas wszystko kończy! Ciocia Zina machnęła ręką na swoją Lelę i na mnie. „Zginiecie marnie, dziewczyny, jesteście nieprzystosowane i

bez grosza! Gdybyż znaleźli się dla was mężowie z dawnych!” I zaraz wzdycha, bo w naszych warunkach nie ma na co liczyć. Pewnie rzeczywiście będzie z nami źle. A ja w dodatku jestem brzydula!

Nie zwróciła uwagi na zdziwiony wzrok nauczycielki, złapała teczkę z nutami i z promiennym uśmiechem skierowała się do wyjścia.

Przed uczniowskim koncertem Elżbietka szykowała się do oklaskiwania Asi, żeby odniosła sukces. Może się zdarzyć, że jako arystokratka zostanie przyjęta z rezerwą, a później będą mówili, że grała słabo i usuną ze szkoły. Takie jak ona są bezbronne w kraju bolszewików.

W dużej sali szkoły muzycznej wypełnionej szczelnie tłumem uczniów, rodziców i pedagogów, Elżbietka czuła się obco. W ciągu trzech lat nauki dotąd nie nawiązała żadnych znajomości. Od razu ujrzała Asie. Dziewczyna stała przy ścianie ze swoją czarną teczką, miała na sobie czarną sukienkę z plisą z brukselskiej koronki pod szyją. Na karku widniała czarna kokarda, a koniuszek warkocza był rozpleciony. Przed dziesięciu laty Elżbietka czesała się tak w niedziele. To uczesanie wzbudziło w niej sympatię do Asi, kiedy więc zauważyła, że dziewczyna patrzy w jej kierunku, zaprosiła ją gestem na wolne miejsce obok.

– No jak tam w domu? Wszystko dobrze? – spytała ciepło po przywitaniu.

– Niestety nie całkiem. Zachorowała nasza charcica, ma sparaliżowane tylne nogi, jest już bardzo stara. To wspaniały pies, pamięta mego papę, chociaż on przed dziewięciu laty... Od dziewięciu lat nie ma go. Kiedy babcia mówi: „Diana, gdzie Wsiewołod Pietrowicz? Pójdiesz z nim na polowanie?” rozgląda się i skamle, szuka papy. Każdego ranka, kiedy babcia pije kawę, Diana kładzie pysk na jej kolanach, a wzrok ma łagodny, smutny i zamyślony. Ma takie ładne oczy, jak pani.

– Jak ja? – zawołała ze zdziwieniem Elżbietka. – Czyja mam ładne oczy? Ja rzeczywiście jestem brzydula.

– Ależ nie! Co pani mówi! Pani ma wyjątkową twarz. Teraz rzadko się widzi takie twarze.

A ponieważ skonfundowana Elżbietka milczała, ciągnęła:

– Szkoda Diany. On powiedział, że trzeba uśpić, a Diana wszystko rozumie! Zjeżyła się cała, stuliła uszy i zadrżała. Powiedziałam do niej: „Nie bój się, nikomu ciebie nie oddamy. Będziemy cię kochali do końca!” Natychmiast się uspokoiła i polizła moją rękę. Teraz się tylko czołga i patrzy przeprasząco. Babcia bardzo się martwi! Diana to jedyna pamiątka po papie. No i jeszcze ja.

Elżbietka pogłaskała rękę Asi. Dziewczyna ujmowała ją coraz bardziej.

– Co pani dzisiaj gra?

– Dwa utwory Schumanna i jeden Schuberta. Gram po przerwie.

– Czy ktoś z rodziny przyszedł, żeby posłuchać? – spytała Elżbietka i rozejrzała się po sali. Chciała zobaczyć człowieka, który ze szpicrutą chodził do ataku.

– Przyszła madame – powiedziała Asia. – Miała przyjść także kuzynka Lela, ale zachorowała, leży z gorczycznikiem. A wujek nie przyjdzie, gniewa się na mnie.

– Gniewa się? A za cóż to?

– Jak się zdarzy coś złego, to oczywiście ja jestem winna. Babcia wysłała mnie oddać do komisju jej *sortiedeba*⁴, tam obejrzano, wyceniono na półtora tysiąca rubli i w końcu oświadczone, że mogą przyjąć za miesiąc. Chciałam odejść, a tu jakiś mężczyzna podchodzi do mnie i mówi, że szuka takiego futra i jeżeli się zgodzę pojechać do niego, to zaraz mi wypłaci pieniądze. Przedstawił się: Dymitr Mikołajewicz Rudin. Zgodziłam się, rzecz jasna, pieniądze były bardzo potrzebne. Rudin wziął taksówkę i kiedy wsiedliśmy, podał adres: Lesnoj. Wtedy się

⁴ Sortie ... (fr.) – Narzutka.

przestraszyłam, ściemnia się, a w Leśnym diabeł mówi dobranoc. Może zawieźć mnie i odebrać futro. Dziwne, że z miejsca wziął mnie pod rękę, jakbym była jego znajomą, a futro położył sobie na kolanach. Mówię więc, że zmieniłam zdanie i chcę wysiąść. On mnie przekonuje, a im bardziej przekonuje, tym większy lęk mnie ogarnia, czuję, że zrobiłam głupstwo. Łapię za drzwi, taksówkarz zahamował. Wyskoczyłam i chodu. Jestem szybka. Bałam się, że będzie mnie gonił. Ale taksówka ruszyła w tejże chwili, wtedy przypomniałam sobie, że futro zostało w samochodzie. Wróciłam do domu zapłakana. Jak babcia mnie zobaczyła, to nawet nie zgaśniła. „Dzięki Bogu, że się tak skończyło” – powiedziała. Ale wuj... Boże uchronaj, jak mnie zbeształ: „Wariatka! O czym myślałaś? Nie wypuszczę ciebie na krok, będziesz siedziała w domu od rana do wieczora. Nic nie rozumiesz, więc zapamiętaj, że nie wolno ci wsiadać do samochodu z obcymi!” No i czym zawiniłam? Skąd mogłam wiedzieć, że to nie Rudin, lecz złodziej?

– Nie o to chodzi, Asiu, że złodziej. Trzeba w ogóle wystrzegać się obcych ludzi. Pani wuj ma rację. To było nierozsądne.

Rozpoczął się koncert.

W przerwie Asia pobiegła do uczniowskiej garderoby, Elżbietka ujrzała ją dopiero, kiedy wyszła na scenę. Elżbietka miała tremę. „Mój Boże, co się ze mną dzieje? Co to mnie obchodzi?” Ale to już musiało ją obchodzić i obchodziło.

– To rozumiem! To właśnie muzykalność – szepnął ktoś w tylnym rzędzie, kiedy Asia zagrała Schumanna. Elżbietka odwróciła się, to był szesnastoletni chłopak o wybitnie demokratycznym wyglądzie, bez krawata, w rudym golfie do uszu.

– Świetna modulacja – pochwalił jego kolega, Żyd w okularach z rogową oprawą, który wcześniej wystąpił jako skrzypek.

– A jak zaczęła Schuberta! – powiedział pierwszy. – Zuch dziewczyna! Skąd się tu wzięła? Nigdy jej nie słyszałem.

Klaskano głośno i długo. Chłopcy siedzący za Elżbietką

wołali „Bis!”. Dołączyły się inne głosy na widowni. Asia wybiegła, żeby się uklonić i zrobiła to niezwykle wdzięcznie. Spojrzała pytająco na nauczycielkę, ujrzała przyzwalające skinienie i usiadła do fortepianu. Rozległy się pierwsze akordy.

– Preludium Chopina – szepnął chłopak w golfie.

Ten chłopiec ku zdziwieniu Elżbietki podczas całego koncertu bezbłędnie wymieniał tytuły wykonywanych utworów.

– Koniec... Zaczęła się mylić! – usłyszała Elżbietkę. – Szkoda! Tak dobrze zaczęła.

Serce Elżbietki zakołatało trwożnie... Asia wzięła jeszcze parę akordów, ale nagle zerwała się i uciekła za kulisy.

– Dała dyla ze strachu! – zaśmiał się dobrodusznie chłopak o semickim wyglądem. – Poklaszczmy jej, Sasza.

Po zakończeniu koncertu Elżbietką spotkała Asia na widowni obok starszej pani z siwymi lokami.

– Co się stało, Asiu? Dlaczego się pani zmyliła? – spytała.

– Wpadłam! Na bis miałam przygotowaną etiudę Moszkowskiego, ale jakoś odechciało mi się ją grać. Wczoraj słyszałam to preludium Chopina i coś mnie napadło, żeby je zagrać. Zaczęłam dobrze, a potem się pomyliłam. W domu pewnie bym z tego wybrnęła, ale tu załamalam się. To dobra nauczka, nie zaczynać bez próby!

Elżbietką spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Jak to? Ani razu nie grała pani tego utworu?

– Ani razu.

– I potrafiłaby go pani odtworzyć?

– Nie potrafiłam, jak się okazało.

Elżbietką nie wierzyła własnym uszom. Sama była pozbawiona muzycznej pamięci i nie potrafiła wyobrazić sobie czegoś takiego.

– A pedagodzy wiedzą, że grała pani bez przygotowania?

– Julia Iwanowna wie... a inni. Jakie to ma znaczenie!

– Rozmawiała pani z Julią Iwanowną?

– Tak, dopadła mnie w garderobie i oznajmiła, że program należy uzgodnić z pedagogiem, a wszelka dowolność jest niedopuszczalna. A ja myślałam, że bisem mogę dysponować według swego uznania. Przeprosiłam Julię Iwanownę, pocałowała mnie w czoło i chyba wybaczyła.

Nazajutrz w kancelarii Elżbietka usłyszała mimochodem rozmowę Julii Iwanowny z dyrektorem. Nadstawiła ucha, ponieważ padło nazwisko Asi.

– Podczas poprzedniej lekcji dziewczyna bez wysiłku dobierała fragmenty „Śnieżynki”, które słyszała pierwszy raz – mówiła Julia Iwanowna. – To wielki talent, ale brak szkoły, brak układu ręki, słaba technika. Poza tym dziewczyna chyba nie uświadamia sobie skali swego talentu.

– A to zdarza się rzadko – powiedział dyrektor.

– Tak! Jakżeby inaczej! Pod tym względem nie da się jej porównać z cudownymi dziećmi, celującymi w zarozumiałstwie.

Te fragmenty „Śnieżynki” szczególnie poruszyły Elżbietkę. Tego wieczoru już w łóżku myślała o Asi, a przed oczami miała duże płatki śniegu – przypominały jej tamtą szczególną zimę, która na zawsze odeszła w przeszłość; biedna Śnieżynka nie wie, że niesiona huraganem znalazła się wśród strasznej rosyjskiej wiosny i sądzone jej jest roztopić się, zginąć na pogańskim ognisku rozpalonym przez zbójców...

Za dziecinnych czasów w wyobraźni Elżbietki ukształtował się wizerunek istoty płci żeńskiej, taki wzorzec kobiecości; cechy, których brakowało Elżbietce. I zawsze, kiedy w kimś widziała oddzielne rysy ze swego wymarzonego portretu, mówiła do siebie: „Podobna”. Z czasem słowo „podobna” stało się rzeczownikiem, samodzielnym pojęciem, określającym całokształt istoty, którą chciałyby być, gdyby się mogła wyrzec siebie.

Jawiła się jej przyszłość Asi, wzdrygała się przed tymi przeczuciami, zmuszała się myśleć inaczej, wspominała Muszkę, swoją była koleżankę, z którą zerwała ostatecznie. Kiedyś Muszka powiedziała jej: „Daj sobie spokój z muzyką, nie możesz jej lubić, nie masz przecież słuchu.

Do opery chodzisz, żeby zobaczyć, jak umiera *jeune premier*”⁵.

Czuła się dotknięta. Nawet samej sobie nie przyznawała się do tego, co tak ściśle określiła Muszka, bohater, zwłaszcza skazany na zagładę, niechaj nawet to będzie bohater operowy, miał w jej odczuciu duży urok.

Myślała teraz o Asi, o tym, że mogłyby zostać przyjaciółkami, i zaraz tłumaczyła sobie: „Ależ nie, różnimy się charakterami i wiekiem. Asia niedługo wyjdzie za mąż, jak wszystkie ładniutkie dziewczęta. Nie potrzebuje mnie, co jej po mnie. Powinnam siedzieć w swojej skorupie”.

Decyzja zapadła. Nazajutrz Elżbietka przyszła na lekcję o właściwej porze, żeby się rozmazać z Asią.

Rozdział trzeci

*Nam ojczyznę wichura spaliła.
Czy poznajesz swe gniazdo, o piskłę?*

Borys Pasternak⁶

W pokoju, który był zarazem jadalnią i salonem i w którym wytworne sprzęty sąsiadowały z całkiem pospolitymi, siadano do obiadu.

Stół zastawiony był starymi srebrami i porcelaną, ale zamiast wykwintnych potraw nakładano na talerze prosto z rondla gotowane ziemniaki. Miejsce pani domu zajmowała Natalia Pawłowna, siwowłosa dama z wysoką fryzurą i twarzą niczym z porcelany, jak filiżanki, jaśniejące na srebrnej tacy ze szlacheckim herbem.

Po lewej ręce Natalii Pawłowny siedział Siergiej Pietrowicz, mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lat. Asia ustawiała na stole talerze. W tym domu pokojówki należały do przeszłości.

– Trzeba będzie odgrzać obiad dla madame. Posyłałam Asie, żeby ją zastąpiła, ale madame oświadczyła, że wytrwa sama – powiedziała Natalia Pawłowna.

– Madame – kobieta bohaterska, nie da się załamać przez żadną z licznych przyjemności ustroju socjalistycznego, a dwugodzinna kolejka po jajka, to dla niej głupstwo, do tego jesteśmy przyzwyczajeni – uśmiechnął się Siergiej Pietrowicz.

– Ma wujek dla mnie wejściówkę na koncert? – spytała Asia.

– Nie, aniołku, ale się nie martw, dostaniemy się przez wejście dla artystów. Mamy jutro w filharmonii koncert, mamusi. „Dziewiąta symfonia”. Nina Aleksandrowna śpiewa

⁶ Przeł. Seweryn Pollak.

solo. Może mama wybierze się wreszcie? Nina Aleksandrowna ma wspaniały sopran, nie gorszy niż ulubienica mamy, pani Zabiello.

– Doskonale wiesz, Siergiej, że nigdzie nie wychodzę. Wyobrażam sobie, jak dzisiaj wygląda wielka sala resursy szlacheckiej, a ta publiczność! W domu przynajmniej nie widzę tych twarzy. Nie przekonuj mnie, proszę, że bywają tam sami szacowni ludzie. Takich już nie ma.

– Ale „Dziewiąta symfonia” pozostała „Dziewiątą symfonią”, mam, a soliści i orkiestra...

– Powiedziałam, że nigdzie nie pójdę, najlepiej czuję się w domu – ucięła Natalia Pawłowna. – Asia nic nie widziała i nie pamięta, ją możesz tam prowadzić.

– Niewątpliwie to uczynię. Znajdę miejsce dla obu dziewczynek i dla Szury Krasnokutskiego, jak obiecałem.

Asia z rumieńcami na twarzy odwróciła się do kredensu. Siergiej Pietrowicz, śmiejąc się, poinformował Natalię Pawłownę, że Asia ma wielbiciela w osobie Szury. Chłopak od miesiąca jest nią zainteresowany.

Uśmiech, który przemknął po marmurowej twarzy Natalii Pawłowny złagodził nieco surowe rysy. Odwróciła się, żeby spojrzeć na wnuczkę.

– Dlaczego wujek mi dokucza? – powiedziała Asia, udawała, że jest zajęta przekładaniem sztucców na tacy. – Wuj doskonale wie, że Szura mi się nie podoba. No proszę, babcia już wzdycha! – dodała z nutką zniecierpliwienia.

– Westchnęłam, moje dziecko, ponieważ myślę o twoim życiu. Nie wyobrażam sobie, kto może zwrócić na ciebie uwagę. Teraz prawie nie ma młodych ludzi.

– Znajdą się, mam – rzekł Siergiej Pietrowicz – bieda w tym, że życie jest inne; wszyscy się ukrywają po kątach.

– To właśnie mam na myśli, Siergiej, nikogo nie widujemy. Asia nie może wyjść za mąż za jakiegoś komsomolca, człowieka z

awansu. A Szura Krasnokutski z dobrej rodziny, przyzwoity i dobrze wychowany młody człowiek. Nie mam zamiaru niczego Asi narzucać, ale obawiam się, że przyjdzie czas, kiedy pożałuje, jeżeli da mu teraz kosza.

– Zostawmy to, mamó. Asia jest jeszcze młoda, może wybierać...

– Ciekawe, gdzie jest ten wybór, Siergieju.

– Ach, babciu – wtrąciła się Asia – czy zamażpójście jest konieczne? Czy to jedyny warunek szczęścia?

– W życiu kobiety rodzina jest najważniejsza, Asiu. Co tam rewolucja, bez miłości do męża i dzieci nie da się żyć. Jeszcze tego nie potrafisz zrozumieć.

Asia milczała, ale spod rzęs uśmiechała się do Siergieja Pietrowicza. Miała własne poglądy na zameście i dzieci.

– Proszę spojrzeć, mamó, na naszą filutkę. Ona doskonale wie, co jest warta, i oczywiście nie wątpi, że będzie miała wiele propozycji. I ma rację. Żyjemy teraz w odosobnieniu, ale to się może zmienić. Kto wie? Może Asia będzie sobie szyła wyprawę w Paryżu, a w podróż poślubną pojedzie do Wenecji.

– Niestety, chyba nie. Bolszewicy zbyt mocno zadomowili się na Kremlu – powiedziała ze smutkiem stara dama.

– A jak tam wyglądają sprawy Leli na giełdzie pracy? Czy ją wreszcie zarejestrowano? – spytał Siergiej Pietrowicz.

– Nie wiadomo jeszcze – rzekła Asia. – Miała dzisiaj wpaść, żeby wszystko opowiedzieć. O tym, kogo umieścić w rejestrze, decyduje niejaki towarzysz Wasiljew. Taki ni pies, ni wydra. Więc ten towarzysz Wasiljew pięć razy odmawiał jej, nawet dotrzeć do niego jest trudno.

– Oto gdzie biurokracja! – oburzył się Siergiej Pietrowicz. – Żeby się odnotować w wykazie poszukujących pracy, trzeba odbyć dziesiątki audiencji u takiej kreatury. Pewnie siedzi w czapce, dymi machorką i spluwa na gobeliny. Lord kanclerz nowego

ustroju! Z przyjemnością kazałbym postawić pod ścianę takiego towarzysza Wasiljewa.

– To nie jest wcale biurokracja, Sierioża. To ich system, ich klasowe podejście – zaproponowała Natalia Pawłowna. – Nie wpiszą Leli do rejestru bezrobotnych, ponieważ jest wnuczką senatora i córką oficera gwardii. Ostatnim razem cały ten towarzysz Wasiljew powiedział całkiem otwarcie: „matka – element pasożytniczy, a ojciec i dziadek – wrogowie klasowi”.

– Wujek wie, wczoraj Lela, nim pojechała na giełdę pracy, wpadła do nas – wtrąciła się Asia – wspólnymi siłami starałyśmy się nadać jej proletariacki wygląd. Omotałyśmy głowę starą wełnianą chustą, a później zdobyłam u żony portiera walonki i wiejskie rękawice, wyglądała jak autentyczna matrioszka. Właśnie podziwialiśmy ją, a tu wpada Szura i oznajmia: „W tym szalu wygląda pani, Heleno Lwowno, czarująco, ale wyjątkowo kontrrewolucyjnie!” To ulubione słówko Szury. Wszystko u niego „wyjątkowe” i „kontr.” Rozłożyłyśmy bezradnie ręce: masz, babo, placek!

– Szura sam wygląda nie mniej „wyjątkowo”. Gdyby się wybrał na giełdę, także nie uznaliby go za towarzysza – powiedział Siergiej Pietrowicz.

– Szura nie pójdzie na giełdę, nie musi pracować. Sam mówił: „Póki mojej ciotce w Holandii służy zdrowie, Bogu niech będą dzięki, nie muszę się spotykać z towarzyszem Wasiljewem”. Dlaczego, wujku?

– Siostra madame Krasnokutskiej wysyła jej z Amsterdamu guldeny, a Szura dorabia bądź co bądź przekładami – wyjaśnił Siergiej Pietrowicz.

– Tłumaczy teraz listy Romaina Rollanda. Świetnie zna literaturę, ciekawie o niej mówi, ale... Zanadto jest wydelikacowany, rozpieszczony. Nie podobają mi się tacy. Jego mamusia lęka się ciągle o niego, że się przeziębii, zachoruje, jakby był dzieckiem! To śmieszne. Tylko dobroć Szury jest ujmująca. Wczoraj, kiedy odprowadzał mnie z lekcji muzyki, zaczepił nas człowiek w

łachmanach, ale ze znaczkami uniwersyteckimi. I ten człowiek zwraca się do nas: „Głodujący inteligent prosi o wsparcie!” Szura wyjął portfel i wysypał z niego całą zawartość. A potem przeszukał kieszenie i oddał nawet dwa ruble, które się zaplątały pod podszewką. A przy tym drżały mu ręce. Ale tego za mało, żeby się zakochać. Mogłabym się w nim zakochać, gdyby walczył w obronie Rosji, jak papa.

– Wtedy byłby w obozie, Asiu. Ludzie, którzy kochali ojczyznę, są tam od dawna.

– A wujek?

– Ja tam jeszcze będę. Wszyscy tam będziemy. Natalia Pawłowna odłożyła sztucce.

– Nawet żartem tego nie mów, Siergieju.

Zapadło milczenie. Każde z nich wiedziało, o czym myślą pozostali. Pierwsza odezwała się Asia:

– Podoba mi się Szekspirowski Koriolan, kiedy mówi: „Ja – zdrajca?” Czy mógłby tak powiedzieć biały oficer?

– Kto ci pozwolił czytać Szekspira, Asiu?

– „Koriolana” czytał mi sam wujek.

– To co innego. Ale, Asiu, zjemy ziemniaki, zanim przyniesiesz sos!

– Przepraszam, babciu! – Asia pobiegła do kuchni.

Za chwilę była z powrotem, usadowiła się na swoim krześle, przełknęła kęs i odłożywszy widelec zaszczebotała znowu:

– Jakie to szczęście, że wujek dostał pracę w orkiestrze. Dzięki temu możemy się tam dostać przez wejście dla artystów. Bardzo chciałabym usłyszeć „Dziwiątą symfonię” z kantatą „Oda do radości”. Bardzo się cieszę. Babcia często patrzy na mnie ze smutkiem, całkiem niepotrzebnie. W życiu jest tyle ciekawego, każdy dzień przynosi coś nowego, co warto usłyszeć albo przeczytać. Szkoda, że ciągle jestem strofowana: „Za wcześnie na

to, to nie dla ciebie!”, kiedy szperam po bibliotece dziadka. Wczoraj wujek odebrał mi „Dafnis i Chloe”, ledwo zdążyłam przeczytać jedną stronę. Obawiam się, że biblioteka zostanie wyprzedana, zanim ją przeczytam.

– A propos, Asiu, madame mówiła, że wczoraj miałaś pod poduszką książkę. Zabroniłam ci czytać w łóżku!

– To nie była książka, babciu, to był Chopin.

– Chopin? Pod poduszką, po co?

– Tak trzeba, babciu, poleży przez całą noc, a rano gram z pamięci to, co wieczorem przeglądałam.

– Bez tej telepatii także grasz wszystko z pamięci, Asiu – powiedział Siergiej Pietrowicz, podniósł się i ucałował rękę matki.

– Co to takiego, ta telepatia? Zaraz usłyszę, że „za wcześnie” albo „niezdrowo”!

– A właśnie, że nie. Powiem: odczep się! Nie mam czasu tłumaczyć, wieczorem gram w klubie robotniczym, muszę poćwiczyć „Rondo capriccioso” Saint-Saënsa. Może byś spróbowała akompaniować mi? Potrafisz?

W niektórych starych mieszkaniach zachowały się jeszcze kominki, w jakimś salonie, gdzie pod kryształowym żyrandolem stało łóżko, a na fotelach i fortepianie leżały sterty starych portretów albo encyklopedia Brockhousa ze sprzedanej niedawno szafy bibliotecznej. Majaczyły jeszcze w świetle pełgających płomieni żywe cienie minionego czasu. Oto wychudła starcza dłoń, okolona przedpotopowym mankietem, o długich zniekształconych podagrą palcach, ujmuje szczypcę do węgla; oto oświetlony ruchliwym odbłaskiem profil staruszki z wysoko upiętymi włosami, staruszka otula się starym szalem i obojętnym wzrokiem obserwuje gasnące węgle. A tu dwie przytulone do siebie dziewczęce główki, jedna jasna, druga nieco ciemniejsza, dwie pary oczu, wpatrzonych w ogień...

Czy młodzi są również skazani na zagładę, której ponury cień leży na starych meblach w starych salonach i stopniowo zagarnia wszystko, co nie pasuje do nowej epoki i dlatego musi zniknąć, jak znikają kominki, wypierane przez kaloryfery. W okrutnych czasach młodzi, niestety, także nie mogą liczyć na litość.

– Znowu mówił, że papa był wrogiem klasowym i że proletariąt nie może tolerować arystokracji w swoich szeregach. Dzieci osób represjonowanych stanowią zagrożenie, ponieważ są nosicielami zła. Ja jestem zagrożeniem!

Chciałabym wiedzieć, dlaczego? Kiedy coś takiego mówią o twoim wuju, można to zrozumieć, ale ja! – mówiła zasmucona Lela.

– To rzeczywiście dziwne. Pewnie ciocia Zina zdenerwowała się?

– Oczywiście! Nawet się popłakała ukradkiem. Czyż można zarobić na życie kwiatami? Wczoraj cały dzień robiłam te wstrętne sztuczne róże, pokłulałam sobie palce. A sprzedają się coraz gorzej. Pracy mama znaleźć nie może, a za kwiaty grozi mandat. Ostatnim razem ukryła się przed milicją na czwartym piętrze, razem z babą, która sprzedawała włoszczyznę. Jak złapią – wypisują mandat, za który trzeba zapłacić tyle, ile wynosi tygodniowy zarobek. Mama okropnie się denerwuje, kiedy idzie sprzedawać kwiaty na ulicy, aż cała drży, a mnie za żadne skarby nie chce puścić. Wydaje się jej, że jak tylko wyjdę z kwiatami, wszyscy będą mnie zaczepiać, różni tam marynarze i w ogóle będzie się działo coś strasznego. A ja lepiej od mamy potrafię uciekać, jestem szybsza. Wczoraj mama powiedziała o twojej mamie, że miała szczęście, bo umarła w osiemnastym roku. Przynajmniej nie zaznała tego, co my musimy przeżyć. I po co mówić coś takiego? To nikomu nie ulży.

Asia poprawiła ogień na kominku, spojrzała na zmartwioną twarz kuzynki.

– Ciągłe się z mamą kłócimy, nie zgadzamy się w niczym – ciągnęła Lela. – Takie życie, że można zwariować. Twoja babcia zachowała przynajmniej mieszkanie, można sprzedawać meble, Siergiej Pietrowicz zarabia w orkiestrze, to bardzo ważne, że w domu jest mężczyzna. A my z mamą jesteśmy same, cztery puste kąty i żadnej nadziei. Okazało się, że jestem złą córką. Żał mi mamy, ale mnie denerwuje. Wczoraj znowu zrobiła scenę za to, że poszłam na herbatę do naszej sąsiadki, Żydóweczki. Nasza druga sąsiadka, która mieszka z lewej strony, Praskowia, to monstrum, wprost płonie klasową nienawiścią, a Rebeka jest naprawdę bardzo sympatyczna, zawsze stara się mnie jakoś rozerwać. Mam nawet wrażenie, że zabiega o moje względy, nie wiadomo dlaczego. A tu nagle mama ze swoją dumą, że niby to nieodpowiednie towarzystwo, że nie powinnam zadawać się z nepmanami. *Noblesse oblige*⁷ – pamiętaj, żeś Nielidowa! Przecież nie ma już nikogo z naszej sfery, nie ma *grande tenue*⁸ – co mamy robić, Asiu? Pomyśl tylko, tracimy najlepsze lata, młodość mija i już nie wróci! Nie bawimy się, nie tańczymy, siedzimy w naszych norach. Niedługo skończę dziewiętnaście lat, a jeszcze ani razu nie tańczyłam. Skoro nie mam lepszego towarzystwa, trzeba zadowolić się takim, jakie jest, a mama nie chce tego zrozumieć.

– Nie mów tak, Lelu! Ciocia Zina zamartwia się o ciebie, ma zawsze taką zmęczoną twarz – przerwała jej Asia.

Oczy Leli zwilgotniały na chwilę, ale zaraz potrząsnęła głową, jakby odpędzała wzruszenie.

– Dlaczego mama odbiera mi jedyną możliwość rozerwania się? Sama w tym wieku miała wszystko. Zobaczysz, Asiu, życie ominie nas, a bliscy nam ludzie nie chcą tego zrozumieć.

– Czasami tak bywa, Lelu, nic, nic, a potem nagle przyjdzie wielkie szczęście, jak w bajkach francuskich. Trzeba cierpliwie czekać. Gdyby wszystko mieć od razu, byłoby nudno.

– Czekasz na księcia z bajki? Twoja madame zawróciła ci w

⁷ Noblesse ... (fr.) – Szlachectwo zobowiązuje.

⁸ Grande tenue ... (fr.) – Dobrych manier.

głowie. Nazywa ciebie Kopciuszkim, chociaż jednak pod wpływem Maeterlincka gotowe byłśmy uwierzyć, że jest czarownicą, teraz przekonałaś się, że nie potrafi wyczarować dla ciebie ani strojów, ani powozu, a gdyby się jej to nawet udało, nie ma już dworskich balów i nie ma dokąd jechać.

Asia zamyślona patrzyła na ogień.

– Uwielbiałam zawsze czytać o wróżkach i czarownikach – powiedziała cicho. – Pamiętam, pozwolono mi patrzeć, jak mama ubierała się przed swoimi lustrami, kiedy miała jechać do teatru albo na bal, bawiłam się jej biżuterią. Mama miała powiewny, jasnoliliowy szal, otulałam się nim i tańczyłam, czułam się Wieszczką Bzów. Mówiłam, że kiedy dorosnę, zostanę wieszczką. Oczywiście nie wierzę już w wieszczki... Ale w cuda... Nie dziw się, Lelu, ja wierzę w cuda. Kiedy człowiek czegoś bardzo pragnie, całym swoim jestestwem, pragnienie jak modlitwa trafia do Boga, a może ono samo ma jakąś magiczną siłę... Tak czy inaczej musi znaleźć możliwość urzeczywistnienia się, musi mieć wpływ na przyszłość. Wierzę, że w życiu każdego, kto potrafi pragnąć i czekać, może zdarzyć się cud. Dla jednego będzie to książę z bajki, dla innego – królestwo albo księżniczka, dla innych – talent, mądrość albo uroda... Ja doczekam się księcia albo rycerza „bez lęku i skazy” – biały oficer, jak papa albo następca tronu, który – jak się okaże – żyje... Nie wiem kto. Może będzie prześladowany albo ubogi, będę musiała poznać go w tej postaci, jak pod postacią niedźwiedzia poznaje się księcia. Poznam go natychmiast po rysach, po pierwszym słowie! Da mi wielkie szczęście, ale muszę bardzo tego pragnąć... Rozumiesz, Lelu?

– Jesteś egzaltowana, a słyszałam, że właśnie egzaltowane dziewczęta są zimne. Pewnie taka jesteś. Potrafisz aż do siwizny czekać na swego księcia, a ja mam wrażenie, że nasi rycerze zbyt długo każą na siebie czekać. Nikt się jeszcze nie zakochał we mnie, poza tym melancholijnym baronem Steingelem. Pamiętasz, jak nas dręczył przydługimi rozmowami o miłości? Dopiero teraz mama wyznała, że prosił o moją rękę, ale dostał kosza. Miałam wtedy szesnaście lat, a on trzydzieści jeden. Czy to był mężczyzna

dla mnie? Nasi rycerze zjawiają się, kiedy będziemy staruszkami lub czterdziestoletnimi starymi pannami. To będzie śmiechu warte. Nie ma słów tragiczniej szych od „za późno”!

Asia westchnęła.

– Jeżeli się będziesz oburzać i wahać, Lelu, twój królewicz w ogóle się nie zjawi! Zmieniłaś się w ostatnim czasie!

– Siergiej Pietrowicz uważa, że jestem dziewczynką, jak cztery lata temu. Nie chce zrozumieć, że pragnę czegoś innego...

– Czego?

– Towarzystwa rówieśników, z którymi można pożartować, pośmiać się, poflirtować, nudzi mnie jego ojcowski ton. Jestem niebrzydka, to mnie podnieca. Chcę, żeby mnie adorowano, chcę się podobać – o to mi chodzi! Ty masz swoją muzykę, ja nie mam szczególnych zainteresowań. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Obraziłaś się?

– Dlatego, że podważasz znaczenie naszego małego świątka! Nasze matki przyjaźniły się ze sobą, nazywano je *inséparables*⁹, myślałam, że my także, a ty jesteś jak obca...

– Wiesz dobrze, Asiu, że pociągało mnie wszystko zakazane; w dzieciństwie – zakazane książki, później – fokstrot, a teraz – nowe, nieznanne środowisko. Mówisz, że się pospolituję, a w moim odczuciu żyjemy pod kloszem. Trzeba się uwolnić od kurateli starszych. Trzymają nas z dala od rzeczywistości, a my musimy spojrzeć prawdzie w oczy i szukać swego miejsca w życiu. Niestety, nie wiem, jak to zrobić. Nigdzie nas nie chcą. Gdyby chociaż znaleźć pracę, a tak... Pamiętasz piękne, niebieskie fiołki, tyle ich zawsze kwitnie przy grobowcu dziadka na Nowodziwiczym? Wyhodowano je z pospolitych fiołków, uszlachetniono, mają pełne kwiaty i niezwykły kolor, ale wymagają pielęgnacji, giną w warunkach, w których zwykłe fiołki czują się doskonale. Ty właśnie jesteś takim fiołkiem, Asiu.

– A czyż ty nie jesteś szklarnianym kwiatem? Podobno

⁹ Inséparables (fr.) – Nierozłączne.

pochodzisz z rodziny starszej niż Bołogowscy.

– Oczywiście ja także jestem szlachetna i szklarniana, chociaż raczej jestem goździkiem, uwielbiam korzenną woń goździków. Ale się zmienię, zdziczeję, zaaklimatyzuję się! – uśmiechnęła się Lela, zadowolona, że znalazła właściwy termin.

Rozdział czwarty

W tym czasie Siergiej Pietrowicz siedział na niziutkiej kanapie, założywszy nogę na nogę, i palił. Przed tremem w środku pokoju stała dama w sukni z cienkiej, poźółkłej koronki. Wyglądała na nieco ponad trzydziestkę, w ciemnych, krótko ostrzyżonych i ufryzowanych włosach błyskała siwizna. Była wysoka, postawna, chociaż nieco pulchna, miała duże, zamyślane, szarozielone oczy ruszałki.

Pokój był zaniedbany: na ścianach między starymi francuskimi rycinami widniał afisz teatralny; obok waz i zakurzonych portretów – resztki śniadania, żelazko i sterta nie prasowanej bielizny na inkrustowanym stoliku; łuszcząca się farba na suficie, odklejone gdzieniegdzie tapety, ale antyczne meble miały niepowtarzalny urok, a mnóstwo nut i pisanych ręcznie partii, tomik „Niwy”, wazon z pękiem zasuszonego wrzосу wnosily powiew życia do tego wnętrza, na którym ubóstwo i tragiczne wydarzenia odcisnęły swoje piętno.

– Nie denerwuj się, zaraz będę gotowa – powiedziała dama.

– Wcale ciebie nie popędzam, Nino – Siergiej Pietrowicz sięgnął po gazetę. – Czy się zdecydowałaś, co będziesz śpiewała? – spytał po chwili.

– Ach, nie wiem! Coś tam wymyślę! Arię z „Carskiej narzeczonej” lub kołysankę z „Mazepy”. „Jesień” Grieczaninowa i jego „Śpij, zaśnij”.

– Dwie kołysanki w jednym koncercie, czy to nie za dużo? – powiedział. – Wyraźnie masz do nich słabość.

– Rzeczywiście. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć dlaczego. Czyż się tego nigdy nie doczekam? – dodała.

– To nie jest czas na takie rozmowy – burknął z irytacją.

– Nadaśałeś się? Jesteś egoistą jak każdy mężczyzna.

– I co z tego? – zniecierpliwil się.

– Czy nigdy go nie będzie?

– Nie masz dwudziestu lat, Nino. Trzeba było o tym myśleć, kiedy byłaś zameżna. Ale wtedy chciałaś być wolna i zgrabna. A teraz żadasz ode mnie rzeczy niemożliwej: mam na karku matkę, bratanicę i Francuzkę. Nie starcza nam pieniędzy, które zarabiam, grając w orkiestrze i dając przypadkowe koncerty. Ty także nic nie masz, a poza tym nie jesteśmy małżeństwem, trzeba o tym pamiętać.

– To głupstwo – machnęła ręką. – Nie te czasy. Kogo dzisiaj obchodzi sowiecka metryka ślubu. Powiedz uczciwie, że nie przepadasz za dziećmi.

– Zawsze kochałem dzieci. Kiedyś w Bieriezowce chodziłem specjalnie, żeby zobaczyć, jak się budzi Asia. Policzki miała różowe, była ciepłutka. Przecierała piąstkami oczka i tak się rozkosznie przeciągała... Myślałem wtedy, że jeśli się kiedyś ożenię, to koniecznie będę miał dzieci. Ale co innego wtedy, a co innego teraz. Życie się zmieniło! I ja także. Jestem teraz inny, zmęczony, udręczony, nie potrafię zaczynać od nowa. No i część ojcowskich uczuć poświęciłem Asi.

Siergiej Pietrowicz zamilkł, przypomniało mu się zajęcie Krymu przez czerwonych, kiedy jego starszy brat, Wsiewołod, został rozstrzelany. Siergiej okropnie lękał się o los Asi i ledwo odszukał ją w jakimś magazynie na przedmieściach Sewastopola. Rzuciła mu się na szyję chudziutka, wygłodzona. Wsiewołod niepotrzebnie zabrał rodzinę na Krym, gdzie były skoncentrowane siły białych. Wciągnął żonę i dzieci w samo centrum wydarzeń. Lepiej byłoby, gdyby przeczekały ten czas gdzieś na wsi, albo w Petersburgu z matką; w Petersburgu było spokojniej... Nikt oczywiście nie mógł przewidzieć, jak się potoczą wydarzenia, ale skutki były opłakane: żona i synek Wsiewołoda umarli na tyfus, a na Krymie po jego własnej śmierci, mogła także zginąć Asia. Niektórzy dziwią się teraz, że przygarnęli madame, aie to ona przecież zaopiekowała się dzieckiem w najtrudniejszych chwilach. Są uczynki, których nie sposób zapomnieć. Spojrzał na Ninę. Ich oczy spotkały się.

– Wybacz mi – powiedziała, jakby odgadła jego myśli, czy miała wilgotne. – Tyle przeżyliście. Ale mnie los także doświadczył. Powiedz, czy Asia się domyśla?

– Czego? Że jesteśmy ze sobą? Chyba nie, jest zbyt naiwna. A poza tym tylko raz widziała nas razem.

– Dlaczego się więc zmieszała, kiedy na ostatnim koncercie przedstawiłeś nas sobie?

– Nie wiem... Nie zauważyłem. A może się rzeczywiście domyśla?

Zapanowało milczenie.

– Podziwiam ją, niczym własnoręcznie wyhodowaną roślinkę – powiedział Siergiej Pietrowicz. Wyjął papierośnicę. – Asia budzi we mnie niepokój i litość. Moja matka jest dla niej zbyt surowa. Wydaje mi się, że nie będzie miała szczęśliwego życia. Przekonasz się. Depczą jej po piętach niepowodzenia. Nie potrafi się bronić, a o szczęście trzeba walczyć. Co innego Lela, mały drapieźnik, który w razie potrzeby pokaże pazurki.

– To milutkie stworzenie, ta mała Nielidowa – powiedziała Nina.

Kiedyś w jakimś klubie robotniczym, w małym pokoiku udającym garderobę, czesała się przed lustrem, czekając na Siergieja Pietrowicza, z którym zwykle „chałturzyła”, nagle usłyszała jego głos, odwróciła się i ujrzała go w towarzystwie dwóch młodziutkich dziewcząt. Były tak bardzo niepodobne do otaczającej publiczności, więc się od razu domyśliła, że to Asia i Lela, o których tyle słyszała. Ich twarzyczki były takie świeże i młode, że westchnęła na myśl o tym, co sama już utraciła. Zarumienione od mrozu, tuliły się do siebie i nie odstępowały na krok od Siergieja Pietrowicza, robiły wrażenie trochę zagubionych w obcym otoczeniu. Wkrótce Siergiej Pietrowicz poprowadził je na widownię. Zanim wyszedł ze skrzypcami na estradę, powiedział zacierając nerwowo ręce: „Wyobrażam sobie, jak się Asia denerwuje, ma zawsze tremę przed moim występem”. Potem ze

sceny odszukała wzrokiem Asie, która siedziała przytulona do kuzynki, a w oczach miała tyle uwagi, niepokoju i ciepła, że Nina poczuła falę wdzięczności dla tej młodej istoty. Po koncercie jednak w szatni przenikliwym kobiecym wzrokiem zauważyła, z jaką tkliwością Siergiej Pietrowicz otula Asie orenburską chustą. Taką czułością można darzyć dziecko lub ukochaną kobietę... Serce Niny przeszył ostry ból. Wydało się jej, że na nią Siergiej Pietrowicz nigdy tak nie patrzył.

Ten ból wspominała teraz.

Siergiej Pietrowicz pierwszy przerwał milczenie:

– Kiedy szedłem do ciebie, spotkałem siostrę wdowy po moim bracie, Zinaidę Glebowną Nielidową. Klepaliśmy razem biedę na Krymie. Stała jak żebraczka przy rynnie i sprzedawała koszarne sztuczne róże... Mój Boże, jakże żałośnie wyglądała! Kupiłem dwa kwiatki, a kiedy jeszcze ucałowałem jej rękę, wybuchła wśród przechodniów sensacja; ktoś nawet powiedział: „dwoje niedobitków zadaje szyku!” Widocznie mój szarmancki gest zanadto kontrastował z jej ubogim strojem, z moim zresztą także. Nawiasem mówiąc, w jej wyglądzie jest jakaś schludność, która pozwala bezbłędnie zaliczyć ją do kręgu „byłych”. Na ulicy, jak żebraczka... Niegdyś wytworna pani, córka senatora, żona oficera gwardii... Tak wygląda nasza rzeczywistość!

Nina wykonała kilka arpeggio... Pokój wypełniły czyste srebrne dźwięki. Była dzisiaj przy głosie; zawsze dobrze śpiewała, kiedy było jej smutno.

Siergiej Pietrowicz westchnął na myśl o audytorium, które ich czeka w przesiąkniętej dymem papierosowym sali fabrycznego klubu, gołe szyje sterczące z marynarskich kołnierzy, koszulki gimnastyczne, sweterki, czerwone chustki i owa niecierpliwa, zachłanna ciekawość, za którą można się domyślić nieżyczliwości: a nuż zmylą się ci „byli”, ale będzie śmiechu! Wiedział, że nie powinien na to zwracać uwagi, ale nie znosił tego tłumy i niechętnie wychodził, żeby podziękować za oklaski. Nina była bardziej zmienna w nastrojach: „Dobrze słuchają. Czuję

niewidzialne nici, łączące słuchaczy z artystą!” – mówiła często, kiedy się wynurzała z małych drzwiczek prowadzących ze sceny do improwizowanej garderoby. Innym razem skarżyła się: „Marny nasz los! Klub za Narwskimi Rogatkami i paskudny tramwaj. Gdybym chociaż raz mogła wyjść na scenę w brylantach, z jedwabnym trenem i ujrzeć przed sobą jarzącą się od świateł salę kolumnową, a później odjechać samochodem, przystrojonym kwiatami i oddawać na prawo i na lewo ukłony wielbicielom, znakomitościom świata muzycznego i innym godnym ludziom. Nie poszczyliło się!”

– Śpiewaj dla mnie, Nino! Nigdy nie będę miał dość twego śpiewu i zawsze go zrozumieć we wszystkich odcieniach. Wiesz, nie potrafiłbym się zakochać w kobiecie niemuzycznej; to tak jakby pokochać osobę głuchoniemą. Nasza miłość jest utkana z muzyki. Kiedy przed dwoma laty ujrzałem ciebie po raz pierwszy, śpiewałaś „Bzy” Rachmaninowa, przypomniałem sobie alejki z bzami w naszej Bieriezowce. Na chwilę wyobraziłem sobie twoją twarz okoloną bzami, jak u Wrubla; pomyślałem, że masz głos podobny do głosu Zabieli. Zakochałem się w twoim głosie, a dopiero później w tobie. Zbliżyły nas wspólne występy. Dziwne, w dzieciństwie obrywałem za skrzypce. Matka chciała, żebym został wojskowym. Nawet słyszeć nie chciała o uniwersytecie czy konserwatorium. A teraz właśnie skrzypce nas karmią.

Siergiej Pietrowicz nie ukończył studiów uniwersyteckich, został mu ostatni rok, kiedy zaczęła się wojna. Natychmiast się przeniósł do junkierskich klas w Korpusie Paziów. Rodzina przyjęła z uznaniem ten gest. W domu bożyszczem był Wsiewołod – zawodowy oficer w Pułku Preobrażeńskim, a Siergieja z jego skrzypcami zawsze traktowano trochę jakby syna marnotrawnego, ale w tamtych czasach zachwyty rodziny skoncentrowały się na nim...

Nina zbliżyła się do niego, dotknęła pieszczotliwie jego włosów.

– Muszę ci coś powiedzieć... Wyjaśnić... Niezbyt dokładnie wyobrażasz sobie moje zameżne życie. Wyszłam bardzo wcześnie

za mąż, byłam taką gąską, jak twoja Asia. Weszłam do patriarchalnej rodziny. Urodziłam dziecko, ale to były takie okropne czasy... Wkrótce straciłam moje małżeństwo... zanim się jeszcze dowiedziałam o śmierci męża. Nie mówię o tym nigdy, bo to zbyt bolesne. Nie chciałabym jednak, żebyś traktował mnie jako kobietę lekkomyślną.

– Przysięgam, że nigdy tak o tobie nie myślałem! Słowo honoru! Poczekaj, Nino. Asia tak wyładniała, pewnie szybko wyjdzie za mąż, wtedy ułożymy sobie życie.

Ucałował jej rękę, a ona wciąż bawiła się jego włosami.

– Znowu są aresztowania byłych wojskowych. Uważaj, nie daj się złapać, bo twoja Asia będzie musiała sprzedawać kwiaty, jak madame Nielidowa.

– To przeznaczenie, Nino. Jeden tylko Pan Bóg wie, jak się obawiam tego, co może czekać ją i matkę. Nawiasem mówiąc, wczoraj wzywano mnie do trzech liter.

– Do GPU? Ciebie?!

– Tak. Moi nie wiedzą o tym, nic im nie mówiłem. Pogawędzili ze mną miło dwie godziny. Wycierali sobie gęby nazwiskiem mego ojca i brata. I barona Wrangla także. Pytali u kogo bywam. Nie bój się, nie wymieniłem ciebie, powiedziałem, że mam dużo pracy i nigdzie nie chodzę... No i puścili.

– Nie podoba mi się ta historia – powiedziała Nina.

– Rzeczywiście to nic dobrego, ale teraz biorą raczej zawodowych.

– Mój drogi, czyż im nie wystarczy, że jesteś synem generała, a prócz tego białym oficerem?

– Oczywiście mają pod dostatkiem powodów. Nie potrzebują zresztą powodów, dzisiaj jest człowiek, a jutro go nie ma. To paskudne uczucie, kiedy człowiek tam idzie i wyobraża sobie, o co mogą pytać i jak będą zastawiać sidła. Ale nie mówmy o tym. Zaśpiewaj kołysankę i pojedziemy. Twój śpiew przepędza złe

myśli. Zaśpiewaj, Nino, i powiedz, że się na mnie nie gniewasz!

Rozdział piąty

*Tam okręt wyniosły kotwiczył,
A wczoraj odpłynął w morze.*

Aleksander Błok

Fortepian stał w pokoju Siergieja Pietrowicza. Panował tu stale bałagan. Na fortepianie, pulpicie, nawet na krzesłach leżały nuty, partytury, otwarte książki, papier nutowy, nie mieszczące się w wypchanej szafie. Siergiej Pietrowicz nie pozwalał tego ruszać podczas codziennych porządków, obawiał się, że po ingerencji kobiecych rąk w nieład jego pokoju, nie znajdzie szkicu do nowego utworu lub strony, na której przerwał lekturę. Kiedy Asia i madame nachodziły pokój, wpadał w rozpacz, przekonywał, że sprzątanie niszczy natchnienie twórcze, i oskarżał Asie o zdradę jego interesów.

Pewnego styczniowego wieczoru Asia siedziała przy fortepianie, miała skupioną twarz, zmarszczone brwi, a do ust przyciskała ołówek. Jesienne preludium wymykało się jej. Pomyślała o tym temacie podczas spaceru z Lelą w Carskim Siole. Krzewy przy arsenale były czerwone jak krew. Kiedy grała te motywy pierwszy raz, była prawie zadowolona, teraz zaś brzmiały jakoś płasko. Nie umiała zapisywać muzyki. Wszystko, co powstawało w jej wyobraźni, znikało natychmiast, nim zdążyła utrwalić na papierze bodaj jeden takt. Nie udawało się jej powtórzyć nawet linijki, zawsze grała inaczej. Niekiedy miała ochotę skomponować coś dla cerkwi – muzyka powinna mówić o świętości! Gdyby miała głos, śpiewałaby „Pieśń cherubinów” i „Światłość Chrystusa”. Cudowne, niebiańskie, nieznanne, zawsze inne! Szura zapewnia, że głos Asi ma przyjemne brzmienie, ale to chyba zwykła uprzejmość. Jaki wspaniały głos ma ta pani, znajoma wuja Sierioży! Tak cudownie śpiewała kołysankę Grieczaninowa. Asia przypomniała sobie mamę, która zawsze –

nim wyjechała do teatru lub na przyjęcie – przychodziła do dzieciennego pokoju, by ją przeżegnać i otulić kołderką.

Dawny, dziecinny ból!... Przed dziesięciu laty w podróży z Petersburga do Kijowa braciszek Asi złapał tyfus, który dziesiątkował ludzi w owych strasznych czasach. Asia nie niepokoiła się zbyt, wierzyła święcie, że brat wróci do zdrowia i znowu będą się bawili. Ale stało się inaczej. Dopiero kiedy ujrzała skamieniałą twarzyczkę jedenastoletniego Wasi, zrozumiała, czym jest śmierć. Dwa dni później zapadła na tyfus matka. Wystraszony Wsiewołod Pietrowicz przeniósł Asię do Nielidowów, którzy mieszkali w tej samej kamienicy piętro wyżej. Asia pod wrażeniem niedawnego przeżycia lodowaciała ze strachu. Tyfus plamisty jawił się jej w postaci długiego szarego potwora, ukrywającego się w mieszkaniu; ten potwór zabrał brata, a teraz czyha na mamę. Kiedy zapadał wieczór, była przekonana, że potwór dostał się do mieszkania Zinaidy Glebowny i w ciemności wyciąga straszne kleszcze, żeby schwytać ją i Lelę. Wieczorami nie pozwalała odejść Zinaidzie Glebownie, błagała, by została przy jej łóżeczku.

– Ciociu Zino, nich ciocia nie gasi lampy! Ciociu Zino, czy drzwi są zamknięte? Papa mówił, że po mieście chodzi tyfus!

Ale niepokój o matkę był tak wielki, że kiedy wszyscy spali, wychodziła z łóżeczka i na klęczkach błagała Pana Boga, by bronił mamę przed potworem. Modlitwę na klęczkach od najmłodszych lat uważała za najpewniejszy ratunek. A kiedy na schodach mijała drzwi do mieszkania ojca, biegła pędem z zamkniętymi oczami.

Pewnego wieczoru Lela już spała, a ona wciąż leżała z paluszkami ułożonymi tak, by szybko wykonać znak krzyża i odpędzić potwora. Myślała o tym, że pewnie madame bardzo się boi w mieszkaniu ojca, jest sama, ojciec cały dzień spędza w jednostce wojskowej, tylko wieczorem wpada, żeby się dowiedzieć o zdrowie mamy. Madame samiuteńka czuwa przy majaczącej chorej. Nagle usłyszała za ścianą głos madame. Uniosła się na łokciu, nasłuchując. Teraz nie mieli takiego mieszkania, jak w Petersburgu – nie było amfilady pokoi – Zinaida Glebowna i madame rozmawiały w sąsiednim pokoju. Zrozumiała, że mama

nie żyje. Madame wysłała ordynansa po Wsiewołoda Pietrowicza i przyszła tutaj. Niekiedy dziecko okazuje zdumiewające opanowanie i wychowanie. Wystraszona dziewczynka nie krzyczała, nie zerwała się z łóżeczka nawet wówczas, kiedy Zinaida Glebowna weszła na palcach do dziecinnego pokoju, żeby zrobić posłanie dla zmęczonej madame. Asia odwróciła się do ściany także bez słowa. Jakiś czas później usnęła splakana. Rano, kiedy się dziewczynki ubierały, madame nie było w pokoju i w Asi zbudziła się nadzieja, że wszystko, co w nocy słyszała, było snem. Niepokoiły ją tylko zaczerwienione oczy Zinaidy Glebowny. Już wówczas Asia była wyczulona na intonację, spojrzenia i gesty; zauważyła, że tego dnia ciocia Zina jest dla niej szczególnie serdeczna i że nie usiadła do śniadania razem z nią i z Lelą, kiedy dziewczynki otrzymały swoje kakao. Jeden z licznych nakazów, których Asia przestrzegała, brzmiał: „Małe dziewczynki nie powinny naprzykrzać się dorosłym z pytaniami”. Asia patrzyła z niepokojem na ciocię Zinę i stopniowo nabierała pewności, że ciocia unika jej wzroku... To wszystko było tak znamienne, że Asia przełożyła łyżeczkę do lewej ręki, a prawą przygotowała do obronnego gestu... W tejże chwili usłyszała, że ciocia ściszym głosem rozmawia z kimś przy drzwiach... Odwróciła się szybko, jej wzrok spotkał smutne i uważne spojrzenie ojca, zrozumiała, że wydarzyło się to straszne i nieodwracalne...

Biedna mama! Pamięć o niej rozwiała się jakoś w rodzinie. Ojca Asia pamiętała lepiej, chociaż zginął tylko rok później; babcia i wuj ciągle wspominali jego słowa, postępowanie, przyzwyczajenia, a po mamie zda się nie zostało żadnych śladów. Do teatru czy na bal mama wkładała kolie z dwoma brylantami i mówiła, że większy brylant – to Wasia, a mniejszy – Asia i że w teatrze będą jej przypominały dzieci.

Asia drgnęła, za plecami rozległy się kroki.

– Tak cichutko siedzisz – powiedział Siergiej Pietrowicz.

– Nie słyszałam, jak wuj wszedł – Asia zerwała się, wzięła od niego skrzypce. – Babcię boli głowa, a madame wyszła do kościoła. Mam polecenie odgrzać dla wujka kolację.

Pomyślała, że w kuchni jest ciemno, nie ma nikogo... Lęk ciemności, kiedy się ma lat osiemnaście, to rzecz wstydliva, ale nie ma najmniejszej ochoty iść do kuchni, madame mówiła, że wczoraj widziała tam mysz.

– Dziękuję, dziecinko, nie jestem głodny, przegryzłem coś w bufecie. Posiedźmy przy kominku. Oberwałaś dzisiaj?

– Oczywiście, wujku! Czyż mogłabym przeżyć dzień bez konfliktów? Najpierw oberwałyśmy z Lelą, ponieważ piłka trafiła w stół na samowar. Babcia w gniewie powiedziała, że mogłyśmy stłuc wazę z saskiej porcelany i że wiele razy zabraniała nam grać w piłkę w pokoju. Później przyszła hrabina Kokowcewa, a babcia była jeszcze w łazience; madame kazała bawić ją. Było tak nudno, że robiłyśmy to na zmianę. Jedna zaczynała zdanie, a druga kończyła. Madame zauważyła nasze manewry, naskarzyła babci. Znowu była awantura. A wieczorem zostałam zbesztana za to, że rzuciłam beret i rękawiczki na babciny stół do kart.

– Jesteś niepoprawna. Czy byłaś u profesora?

– Byłam. Uznał, że w ciągu miesiąca zajęć z Julią Iwanowną zrobiłam postępy, ale nadal nie jest zadowolony z układu rąk, dał kilka wskazówek, jak należy trzymać dłoń podczas oktaw. Za to moje wykonanie Schuberta bardzo mu przypadło do gustu, nawet spojrzał na mnie uważnie i przeciągle, kiedy skończyłam grać, powiedział: nic dodać, nic ująć! Podobno nikogo nie chwali, a kiedy trzeba, wybrzydza i krytykuje bez żadnej litości; do uczennicy, która grała przede mną, powiedział: „Niechaj pani raczej robi pończochy na drutach!”

– A zagrałaś mu swoje preludium?

– Pochwalił powtarzającą się kadencję, w której odtwarzam szelest spadających liści, ale miałam wrażenie, iż nie jest zadowolony, że próbuję komponować. Powiedział, że nie należy się rozpraszać. Komponowanie – według niego – zniszczyło wielu utalentowanych pianistów. Powiedział także: „Usiłuję zaszcześcić pani sztukę, a za rok lub dwa wyjdzie pani za mąż i zapomni o fortepianie... Pianista musi być ascetą”. Dlatego postanowiłam, że

nigdy nie wyjdę za mąż, powiedziałam mu o tyra, żeby go uspokoić. Dlaczego wujek się śmieje?

– Twoje rozważania są takie dziecinne! Dawniej nawet by mi na myśl nie przyszło, że możesz zostać zawodową pianistką i zarabiać muzyką, ale życie się zmieniło, dziś to najlepsza przyszłość, jakiej bym ci życzył. W dzieciństwie płakałaś, kiedy słyszałaś minorową melodię. Już wtedy mówiłem, że jesteś muzykalna. W wieku czterech lat nie mogłaś zasnąć bez kołysanki Ładowa lub Czajkowskiego. W Bieriezowce, kiedy wchodziłem do pokoju dziecinnego, podskakiwałaś w łóżeczku i powtarzałaś: „Chcę la-la-la!” Byłaś ulubienicą całej rodziny. Powiedz, co zaszło między tobą a Lelą? Zdaje się, że znudziły ją nasze rozrywki, cały ten świątek, który sobie stworzyliśmy, żeby jakoś upiększyć nieznośne życie.

Spojrzała na niego ze smutkiem i niepokojem.

– Teraz widzę, kochany wuju, że tylko ja jedna byłam szczęśliwa, ale tego nie dostrzegalam.

Jakże lubił dziecinną zmienność jej twarzy! Nagle znowu się uśmiechnęła:

– Wujek pamięta, w zeszłym roku wróciliśmy zachwyceni z przedstawienia „Kitieża”? Pół nocy przegrywaliśmy na fortepianie zapamiętane fragmenty, aż babcia wstała z łóżka, żeby rozpedzić nas na cztery strony. Wujek wtedy był bez pracy, na kolację mieliśmy suszoną rybę i kaszę jaglaną, w mieszkaniu ziąb, bo nie było drzewa... Ale czuliśmy się szczęśliwi, tak szczęśliwi, że nie widzieliśmy nędzy! To była niezwykła wiosna!

– Pamiętam – uśmiechnął się zapatrzony w okno. – Wiosna – powiedział i zamilkł, pograżył się w niewesołych myślach. – Wczoraj Nina... Nina Aleksandrowna zaśpiewała dla mnie pieśń, której nie znałem – „Duch Laury” Liszta do słów Petrarke. Mój Boże, jakie to piękne! Jaka to niezwykła kobieta – Nina Aleksandrowna! W nie opalonym pokoju, półgłodna, bez pieniędzy, udręczona rodzinnymi tragediami i zawsze pochłonięta sztuką.

– Dużo przeżyła?

– Tak, Asiu. Los nie był dla niej łaskawy. Wyszła za mąż jako młodziutka dziewczyna, zaraz po ukończeniu Smolnego, a tu wojna domowa, mąż – oficer pułku gwardii konnej – książę Daszków – padł w szeregach Białej Armii na Krymie; ojciec został zamordowany we własnym majątku przez oddział strzelców lotewskich grasujący w okolicy. Wtedy także straciła dziecko. Jak widzisz, nieszczęścia jedno za drugim, a teraz ciągle kłopoty z powodu tytułu. Ze swoim głosem mogłaby śpiewać główne role w Teatrze Bolszoi, albo w Marijskim, a musi występować na przedmieściach w klubach robotniczych. Dzięki Bogu, że jeszcze trzymają w Capelli. Capella i filharmonia – to jedyna ostoja dla arystokracji – baron Ostensaken, Połowcewa, Rimscy-Korsakowowie, brat i siostra, i wielu innych... Czy na długo? Bądź miła dla Niny Aleksandrowny, kiedy się z nią spotkasz; bardzo tego potrzebuje, jest taka samotna! Ty to potrafisz.

– Wujku Sierioża...

– Słucham, kochanie?

Siedziała przy nim na podłodze, wsparła ufnie policzek na jego rękę i patrzyła mu w oczy, widział, jak rumieniec zalewa policzki.

– To twoja narzeczona, tak? Odwrócił ku sobie jej promienną twarz.

– Chciałabyś tego?

– Oczywiście! Będę dla niej dobra! Będę dbała o jej szczęście! Nauczę się jej akompaniować i będę bez końca słuchała, jak śpiewa! Czy się już oświadczyłeś?

Siergiej Pietrowicz nie zdążył odpowiedzieć, kiedy do drzwi czterokrotnie zastukano. Dzwonek w przedpokoju wciąż był zepsuty.

– O Boże! To zabrzmiało jak pukanie losu w „Piątej symfonii”. Kto może być o tej porze? – zaniepokoiła się Asia.

Pobiegła do przedpokoju ubolewając, że nieoczekiwany gość przerwał ciekawą rozmowę. Na progu stał dozorca.

– Wezwanie dla wuja. Proszę pokwitować. Pokwitowała, zamknęła drzwi i wróciła do gabinetu.

– To wezwanie, wujku Sierioża.

Zachmurzył się, szybko otworzył, przebiegł wzrokiem.

– Co to, wujku? – spytała trwożnie, widziała bowiem, jak się zmieniła jego twarz.

Nie odpowiedział.

– Czy się coś wydarzyło? Jakaś przykrość?

– Rozporządzenie o zesłaniu mnie do Kraju Krasnojarskiego. Jutro o drugiej mam się stawić na dworcu. Zesłanie! Tylko proszę, żadnych łez!

Nazajutrz o siódmej cała rodzina była na nogach. Siergiej Pietrowicz miał do załatwienia mnóstwo spraw – zwolnienie z pracy – z „kartą obiegową”, zwrot kartki żywnościowej i inne podobne formalności, które w takich przypadkach spadają na barki sowieckiego obywatela, a termin ich załatwienia w najlepszym razie wynosi trzy dni, niekiedy zaś zaledwie kilka godzin. Natalia Pawłowna pakowała rzeczy syna z godną podziwu przytomnością umysłu. Madame zaś, która całą noc reperowała wełniany sweter, podjęła się najtrudniejszego zadania – zdobycia pieniędzy. W tym celu wybrała się na rynek Kuzniecnyj, zabrawszy ze sobą dwie srebrne podstawki do szklanek i starą balową suknię Natalii Pawłowny, obiecywała, że wydebi za to co najmniej dwieście rubli i da w gębę każdemu, kto spróbuje ją oszukać. Asie przede wszystkim wysłano do pań Nielidow, bez których w domu Bołogowskich nie obyło się żadne ważniejsze wydarzenie. Natalia Pawłowna i Zinaida Glebowna zaprzyjaźniły się w ostatnich latach, po dotkliwych stratach, które każdej z nich przyszło przeżyć.

– Wujek ma tyle spraw do załatwienia... Może ja bym zawiadomiła Ninę Aleksandrownę, żeby przyszła się pożegnać? –

powiedziała po chwili wahania Asia, kiedy razem z Siergiejem Pietrowiczem wychodzili z domu.

– Niestety, Asiu, wczoraj Nina Aleksandrowna wyjechała do Kronsztadu na koncert. Wróci dopiero jutro. Zostawiłem u babci list do niej.

– Nie pożegnacie się osobiście? – Asia stanęła jak wryta. – Mój Boże, jak się ona będzie czuła!

Tej nocy Asia nie zmrużyła oka, teraz z niewyspania i zdenerwowania drżała cała, kiedy pukała do kuchennych drzwi mieszkania pań Nielidow. Podobnie jak w większości mieszkań, frontowe wejścia były zamknięte z niewiadomych powodów, wymyślonych przez „administratorów” – gospodarczo-donosicielską organizację najniższego szczebla władzy. Była dopiero ósma godzina, na klatce schodowej panowały jeszcze ciemności, przez uchylone kuchenne drzwi dobiegał kobiecy jazgot. Asia zapukała, ale nikt nie otworzył drzwi i głos nie umilkł.

– Na własne oczy widziałam pod twoimi drzwiami światło! Całą noc paliłaś elektryczność – robiłaś swoje kwiaty! Jak chcesz palić, to płąć, gnido staroreżymowa!

– Nie wykręcam się od płacenia, Praskowio Wasiljewno! Zapłacę, ale przecież nie trzy razy więcej od innych! Nie stać mnie, proszę zrozumieć! – błagała Zinaida Glebowna.

– Płać, mówię, bo zawiadomię inspekcję skarbową. Kto inny dawno by to zrobił, a my jesteśmy cierpliwi. Więc uszanuj ludzką dobroć i nie kłóć się, a córeczkę swoją naucz, żeby nosa nie zadzierała, darmożjadka jedna!

Asia odważyła się wreszcie wejść bez zaproszenia. Przy maszynie naftowej z umieszczonym na niej czajnikiem stała drobna Zinaida Glebowna, miała zmęczoną, szczupłą twarz ze śladami dawnej urody i – jak zwykle w ostatnich czasach – zalęknione oczy, a obok potężne rozwścieczone babsko, zajmujące, jak się wydawało, połowę ciasnej kuchenki.

– Asiu, dziecinko! Chodź, chodź, kochanie! – zawołała

Zinaida Glebowna na widok kuzynki, ale babsko wyraźnie nie wyładowało się jeszcze.

– Całą kuchnię zdeptała! Kto ma sprzątać po twoich gościach? Ja?

Dopiero w małym, prawie pustym pokoiku, obecnym schronieniu rodziny byłego szambelana, Asia rozpląkała się pierwszy raz, tuląc się do cioci Ziny i opowiadając o tym, co się wydarzyło.

Zinaida Glebowna, podobnie jak Natalia Pawłowna, wiedziała już, że rozpacz jest złym pomocnikiem. By załatwić tysiące drobnych, lecz ważnych spraw, trzeba zachować spokój i rozwagę. Więc się szybko wzięła w garść, poczęstowała Asie ciastem i jęła dobierać ciepłe rzeczy dla Siergieja Pietrowicza. Z okutego kufra wyjęła oficerski baszłyk i wełniane skarpetki. Kufer ten, z wiekiem malowanym w kwiaty, służył rodzinie Nielidowów od czasów Iwana Groźnego, a teraz był również łóżkiem, rozkładano na nim siennik dla Leli.

Godzinę później Zinaida Glebowna, Asia i Lela wyszły z domu. Zinaida Glebowna pobiegła do Natalii Pawłowny, a dziewczynki – do komisów, z pokwitowaniami na oddane tam do sprzedania rzeczy. W owych czasach komisje były pełne najwyszukańszych przedmiotów i trzeba było miesiącami czekać na ich sprzedanie.

Siergiej Pietrowicz wrócił do domu ostatni, dwie godziny przed wyjazdem na dworzec.

– Tak późno przychodzisz, Siergieju. Denerwowałyśmy się o ciebie!

– Cóż robić. Musiałem w ciągu kilku godzin załatwić tyle spraw.

– Zjedz kolację, nie wiadomo, kiedy będziesz się mógł pożywić.

Wymawiał się, ale Natalia Pawłowna nie ustąpiła. Nim usiadł do stołu, ucałował ręce matki, a ona przytuliła do piersi jego

głowę. Nielidowa i Francuzka ocierały łzy. „Jest już stara, czy go jeszcze zobaczy?” – myślały.

– Sprzedawajcie kryształ, porcelanę, srebra, wszystko co uznacie za konieczne, tylko proszę w miarę możliwości zachować książki i nuty, bardzo o to proszę – mówił podczas pospiesznego posiłku. – Moje romanse... Proszę przekazać je Ninie Aleksandrownie. Ona je lubi. W żadnym wypadku nie rezygnuj z zajęć muzycznych, Asiu. Niedługo będziesz mogła udzielać lekcji akompaniamentu. Tylko muzyka pomoże ci się usamodzielić. Kiedy zacznę pracować, natychmiast przyślę wam pieniądze. Chociaż wątpię, czy będzie tam praca dla skrzypka, a jeżeli każą mi naprawiać drogi i odśnieżać je, to zarobię grosze.

– Żadnych pieniędzy, Siergieju, bardzo proszę. My tu zawsze możemy coś sprzedać. Napisz. Jeżeli nie dostaniesz pracy, zaraz wyślemy ci paczkę i pieniądze – powiedziała Natalia Pawłowna.

– Ani się ważcie! Potrafię zarobić na życie – rzekł zdecydowanie, a w skrytości ducha pomyślał: „Kto to wie, mogą mi zabronić pracować, niekiedy robią tak”.

Rozmowę przerwało przyjście starej hrabiny Kokowcewej. Mieszkała w tej samej kamienicy, piętro niżej i niekiedy wpadała do Natalii Pawłowny na partyjkę wista. Teraz przyczłapała o lasce, wsparta na ramieniu starej pokojówki, ubrana była na czarno, w czarnym staromodnym czepku na siwych lokach. Wszyscy wstali, Siergiej Pietrowicz ucałował jej rękę.

– To... To Bóg wie co! To oburzające! Napiszę do brata w Paryżu! – odgrażała się, jakby chciała kogoś nastraszyć. Za chwilę wyszła, by nie krępować rodziny w momencie rozstania. Zaraz do drzwi zapukała sąsiadka, która niedawno otrzymała tu przydział.

– Przyszedł dozorca, pyta czy pan już wyjechał? Za jej plecami ukazał się nieproszony gość.

– Czym mogę służyć, towarzyszu? – spytał Siergiej Pietrowicz, słowo „towarzysz” zabrzmiało tak ironicznie, że człowiek, który wszedł do pokoju w czapce, musiał odczuć, iż nie

jest tu mile widziany.

– Przyszedłem sprawdzić wykonanie rozkazu. Nie podskakujcie, obywatelu, jestem na służbie.

– Mam wyjechać o drugiej, a jest dopiero po dwunastej. Mam prawo przebywać we własnym mieszkaniu. Proszę się natychmiast wynosić. Wasza obecność jest tu zbędna!

– *Serge, au nom de Dieu!*¹⁰ – zawołała Nielidowa i przytrzymała rękę Siergieja Pietrowicza.

– Czego się pani lęka, Zinaido Glebowno? To tylko gospodarz domu, a nie żaden komisarz czrezwyczajki. Ten nie jest władny wysłać ludzi na tamten świat.

Gospodarz domu stał chwilę i wyszedł.

– Zniszczą najlepszych ludzi Rosji, już ich niewiele zostało! – powiedziała Nielidowa.

– Jest pani niesprawiedliwa, Zinaido Glebowno! Mnie ze względu na pochodzenie należało wykończyć w izolatce, tymczasem zostaję tylko wysiedlony. Trzeba docenić wspaniałomyślność władzy!

Spojrzał na zegarek. Natalia Pawłowna stała przy drzwiach gabinetu.

– Wejdz na chwilę – poprosiła syna, cofnęła się w głąb pokoju. Szepnęła mu coś i przeżegnała go.

Postanowiono, że na dworzec odprowadzą Siergieja dziewczynki. Nielidowa z Francuzką tłumaczyły, gdzie są zapakowane ciepłe rzeczy i co należy zjeść najpierw. Przeżegnały go, on ucałował im ręce. Kiedy miał już wyjść, rozległ się cichy skowyt, spod fortepianu wyczołgała się umierająca charcica, robiła nieprawdopodobne wysiłki, by dotrzeć do swego pana. Spojrzeli po sobie znacząco: czyżby zrozumiała, co się dzieje? Kiedy się jej to wreszcie udało, wsparła pysk na przednich łapach i podniosła na Siergieja Pietrowicza łagodne, smutne oczy.

¹⁰ Serge ... (fr.) – Siergieju, na miłość boską!

Pochylił się ku niej.

– Żegnaj, biedulko! Pewnie już się nigdy nie zobaczymy! Złe czasy nadeszły, Diano – pogłaskał ją po pysku. – Gdzie jest Wsiewołod Pietrowicz?

Pies rozejrzał się, zaskamlał.

– Pamięta mama – Siergiej Pietrowicz zwrócił się do matki – kiedy w Bieriezowce wracaliśmy z Wsiewołodem z polowania, ze zdobyczą, żaden z nas nie chciał powiedzieć, ile upolował. Rzecz w tym, że trafiał tylko Wsiewołod, ja zawsze pudłowałem, a Diana doskonale o wszystkim wiedziała i miała mnie w wielkiej pogardzie, nawet chodzić ze mną nie chciała. Muszę już iść, bo się spóźnię.

Na schodach odwrócił się: matka stała na progu, za nią Nielidowa i Francuzka. Patrzyły na niego. Natalia Pawłowna nawet teraz nie płakała, ale na pięknej, starczej twarzy malował się głęboki smutek, a szczupła dłoń kreśliła znak krzyża. Ileż to razy żegnała się z synem tym znakiem, najpierw kiedy odchodził na galicyjski front, potem do Białej Armii, a teraz na zesłanie. Był jedynym dzieckiem, które jej zostało – ukochany, najstarszy syn został rozstrzelany, córka wraz z rodziną zaginęła podczas okupacji Krymu. Zapragnął nagle podbiec jak za dzieciennych lat, przytulić do niej głowę... Ale tylko kiwnął ręką w pożegnalnym geście, włożył kapelusz i pobiegł na dół, przeskakując stopnie. Dziewczynki szły za nim, we dwie dźwigały ciężki plecak i za nic nie chciały pozwolić, by go włożył na ramiona.

Rozdział szósty

Jak daleko Elżbietka sięga pamięcią, babcia przez cały rok mieszkała w niewielkim, rodzowym majątku, dokąd na lato przyjeżdżały córki. Były to kobiety – babcia i siostry matki Elżbietki kończyły Kursy Bestużewskie – nieco oschłe i ascetyczne. Ubierały się surowo, nie do pomyslenia było, by włożyły coś innego niż angielski kostium. Wszystko ultramodne wywoływało uszczypliwe uwagi: „Za modą trzeba iść z dala” – mawiała babcia. Do dobrego stylu należało chodzić na wsi bez parasolki i rękawiczek, a bale i przyjęcia uważano za niepotrzebną stratę czasu. Gościnność nie była modna, po wyjeździe gości wzdychano z ulgą: „Co za nudna gadanina!” Nie było dosadniejszego epitetu, niż: „światowa gaska”.

W tym domu nikt się nie pasjonował muzyką czy baletem. Co innego literatura, wystawy malarskie, przedstawienia teatralne. To ceniono i znano się na tym, w domu była bogata biblioteka ze sporym zbiorem książek w językach obcych.

W tej rodzinie nie przestrzegano świąt cerkiewnych i postów, żartowano: „podważamy wartości”, ale śluby i uroczystości pogrzebowe odbywały się w cerkwi. Nie przepadano za ludźmi stanu duchownego i wojskowego, szlify oficerskie wuja Elżbietki – chirurga – wywoływały grymas pogardy, natomiast ojciec Elżbietki, przedwcześnie zmarły utalentowany lekarz ziemski, cieszył się wielkim szacunkiem.

Świat dworski i arystokratyczny traktowano z pewną ironią. Elżbietka doskonale pamięta powiedzonka „nadęty arystokrata” albo „plecie arystokratyczne bzdury”, ale ileż poczucia godności brzmiało w słowach „ludzie z prowincji”, które gdzie indziej były synonimami zacofania i stęchlizny. A jaka piękna francuszczyzna rozbrzmiewała przy stole, kiedy chodziło o to, by pokojówka nie rozumiała, o czym mowa.

Pod względem przekonań politycznych byli kadetami. Monarchistów i bolszewików krytykowali bezlitośnie. Wojna 1914

roku wywołała zgodny wybuch patriotyzmu. W tym czasie pod wpływem niebezpieczeństwa jednoczyły się wszystkie partie w kraju, poza, rzecz jasna, jedną. A w miniaturze – także wszyscy członkowie rodziny. Elżbietka, wówczas trzynastoletnia dziewczynka, właśnie w tym okresie poczuła najmocniej duchową jedność z gniazdem rodzinnym matki.

W tej rodzinie wszyscy byli doskonale opanowali. Mocna więc rodzinna sprawiała, że rozumieli się bez słów, a wszelkie rozmowy o uczuciach, wszelkie serdeczności nie cieszyły się uznaniem. Stąd się wywodził skryty charakter Elżbietki. Jedyna wnuczka i siostrzenica wychowuje się w Smolnym – to było sprzeczne z liberalnymi zasadami rodziny. Dużo dyskutowano o tym, że Elżbietkę trzeba przenieść do gimnazjum, a najlepiej do najbardziej postępowego gimnazjum Stojuninskiego, ale w Petersburgu nie miał kto opiekować się dziewczynką, więc kiedy osiągnęła odpowiedni wiek, instytut okazał się niezastąpiony. Tylko wakacje spędzała w rodzinie.

„Smolny przybliżył mi nowe prądy, zmienił mnie pod wieloma względami, ale porywczosć sądów i sposobu bycia, właściwa naszej rodzinie, pozostała. Swoją surowość, dumę i absolutny brak kokieterii zawdzięczam właściwościom naszej rodziny, jej postępowym poglądom. Babcia i ciotki zazdrośnie strzegły rodzinnego ducha, który dopiero rewolucja unicestwiła i w którym wyczuwałam coś Czechowowskiego” – pisała w dzienniczku Elżbietka.

Rewolucja rzeczywiście – w tym przypadku bez krwawych represji – zadała druzgoczący cios średnio zamożnej szlacheckiej rodzinie. Majątek odebrano; babcia, wyrwana ze swego środowiska, w miejskim mieszkaniu szybko zmarła; jedna z młodych ciotek Elżbietki trafiła do Finlandii i wkrótce stracono z nią kontakt; druga wyszła za mąż i razem z mężem wykładała w Jekaterynburgu, który już został Swierdłowskiem.

W ten sposób Elżbietka nie miała krewnych poza wujem – chirurgiem. Nikt się nie przejmował jej zdrowiem, jej cnotą, jej szczęściem. Musiała sama torować sobie drogę, przecież

pracowała!

Pewnego dnia, kiedy Elżbietka, pochłonięta smutnymi myślami o swojej rodzinie i swoim losie, wychodziła z kliniki, zaczepiła ją niemłoda, biednie ubrana kobieta, której twarz wydała się znajoma.

Kobieta wymieniła nazwisko – była to sanitariuszka ze szpitala w Teodozji. O jej mężu, doktorze Złobinie, opowiadano, że to on zdradził czekistom nazwiska rannych oficerów. Elżbietka chciała ją wyminąć, ale Złobina przytrzymała ją za rękę.

– Pracuje tu pani, Elżbieto Georgiewno?

– Tak. Na męskim oddziale chirurgicznym. Przepraszam, spieszę się.

– Proszę poczekać, błagam! Pani nawet rozmawiać ze mną nie chce. To grzech, przecież widzi pani, że jestem chora!

Elżbietka zatrzymała się.

– Co pani jest?

– Nawet mówić się nie chce! Dopiero co wypisali mnie ze szpitala psychiatrycznego. Podobno jestem już zdrowa, zaświadczenie dali, że mogę pracować, a kto mnie przyjmie do pracy? Zbywają niczym. Chodzę od urzędu do urzędu, nikt mnie nie chce.

– Przecież pracuje pani u nas?

– To tylko zastępstwo. Na stałe nie chcą przyjąć. Nogi uchodziłam, nędza przyciska.

– A mąż, czy może zginął?

– Rzucił mnie. Po co mu taka? Elżbietka ujęła jej rękę.

– Przepraszam panią. Nie wiedziałam. Wyjdźmy razem, porozmawiamy.

– Pamiętam, pani zawsze miała dobre serce! Dlatego się do pani zwróciłam. Tyle zaznałam od ludzi pogardy – Złobina

zaszłochała.

Elżbietka przyjrzała się jej: zniszczone palto, z kołnierza sterczy watolina, rozczochrane włosy pod chuścina, oczy zapuchnięte, czerwone, ręce bez rękawiczek. Że też pielęgniarka wygląda tak niechlujnie! A w oczach lęk! Nic dziwnego, że nie może znaleźć pracy.

– Od dawna jest pani samotna?

– Od dawna... Z nim także nie było mi lepiej, wypominał wciąż, że miał przeze mnie przykrości. On partyjny, lekarz naczelny w szpitalu, a ja pobożna – wytykano mu. W gazetce ściennej narysowano mnie w chustce, ręce złożone do modlitwy i podpis: „Żona pewnego chirurga”. Było mu, rzecz jasna, przykro.

– Pani mąż to karierowicz, wszyscy o tym wiedzieli – rzekła wyniośle Elżbietka.

– Wiem, co pani ma na myśli... – odezwała się Złobina. – Nie da się wszystkiego opowiedzieć w dwóch słowach... Niech pani do mnie wstąpi, złociutka... Tutaj mieszkam, w tej kamienicy. Posiedzimy, herbatki się napijemy, bo ja ciągle tak sama i sama.

Elżbietka zawahała się. Raził ją sposób bycia tej kobiety. Była bardzo wyczulona na *comme il faut*¹¹, ale jednocześnie chciała się czegoś dowiedzieć...

Pokój był zaniedbany, niechlujny, prawie pusty. Z sufitu zwisała żarówka upstrzona przez muchy, na stole stały resztki jedzenia, na ścianach Elżbietka wypatrzyła ślady po pluskwach.

– Oto moje ubogie mieszkanie! Życzliwi sąsiedzi rozkradli wszystko, kiedy siedziałam u Bechtierewa – powiedziała Złobina. Dopiero nalewając herbatę wróciła do tego, co interesowało Elżbietkę.

– Wtedy zaczęły się niesnaski z mężem. Nie można, rzecz jasna, mieć za złe Miszy, z przekonań był czerwony, nienawidził oficerstwa... – ciągnęła Złobina.

¹¹ Comme... (fr.) – W dobrym tonie.

– No, wie pani! – przerwała jej Elżbietka. – Taki czyn to podłość, niezależnie od poglądów politycznych. Jeżeli ma pani zamiar bronić swego małżonka, to sobie lepiej pójdę, nie mogę siedzieć z panią przy stole – chciała wstać.

– Dobrze pani mówi, dobrze, kochaniutka. Nie bronię go. Tamtego dnia sama straciłam spokój. Pamięta pani, jaka była ze mnie śmieszka? Od tamtego dnia zapomniałam, co to śmiech.

– Dlaczego? – spytała Elżbietka, wydało się jej bowiem, że w głosie Złobinej zabrzmiało coś dziwnego.

– Nie wiem, jak to pani powiedzieć, pomyśli pani, że rzeczywiście jestem wariatką... Ale to nie jest choroba umysłowa, na pewno nie.

Rozejrzała się po pokoju i powiedziała szeptem:

– Widuję ich czasem... Czasem, jak się ściemni, chodzą korytarzem koło mego pokoju...

– Kto chodzi?

– To jeden, to drugi, no, ci rozstrzelani!

Elżbietka spojrzała na nią z przestachem. Mój Boże! To rzeczywiście nienormalna! Pewnie postradała rozum na tym tle.

– Wiem, co pani myśli. Lekarze mówią mi to samo: psychoza, pani jest chora. Ale psychoza wzięła się z tego, że się zadreślałam. Dopiero przed dwoma laty zapadłam na psychozę.

– Nigdy nie uwierzę, Anastazjo Aleksiejewno, że martwi chodzą po korytarzach, ich dusze są bardzo daleko, a poza tym... Zawinił mąż, a pani może spać spokojnie, zapewniam.

– Pani mówi to, kochaniutka, jako pielęgniarzka, doskonale rozumiem, ale że mnie nachodzą, to pewne. Opowiedziałam mężowi.

– I co on na to?

– Gniewał się, krzyczał na mnie, odgrażał się, a już najbardziej, kiedy z tego strachu zaczęłam do cerkwi chodzić.

Wtedy wpakował mnie do szpitala, pracowałabym teraz, nie znałabym nędzy. Wszystko przez niego.

– W tym przypadku mąż miał rację, Anastazjo Aleksiejewno! Nie wolno było zostawić pani bez pomocy.

– Nie, kochaniutka! Niech mi pani tego nie mówi! Przeszkadzałam mu! Zamknął mnie w szpitalu, żeby się awantury skończyły i żeby się zadawać z innymi kobietami. Nawet pokój chciał odebrać. Dobrze jeszcze, że sąd mi go przyznał. Sądowi moja psychoza nie przeszkodziła. Zaczęło się wszystko tamtego wieczoru w Teodozji, w dwudziestym roku. Poszłam tam, do kwarantanny, do przyjaciółki i zasiedziałam się. Przywieźli ich wieczorem... Rozstrzelają i do studni... Pamięta pani, ile tam było studzien? Więc do tych studzien! Ludzie poukrywali się w domach, pozamykali okiennice, a ja z głupoty wybiegłam do sadu i patrzę przez płot. Wieczór, wiatr szumi, a oni wrzucają ich bez krzyża, bez modlitwy... Aż strach! Zapchali studnie po brzegi, deskami zabili. Kiedy biegłam później do domu, słyszałam jęki. Głowę chustką omotałam i chodu...

– Niech pani da spokój! Nie mogę tego słuchać!

– Tak ze mną było; ścisnęło się gardło... Panie Boże, myślę, a to wszystko przez mego męża! Biegnę i drzę cała. A następnej nocy miałam dyżur w szpitalu.

– Jak to dyżur? Czy po przyjsciu czerwonych szpital istniał?

– A jakże! Czerwoni mieli swoich rannych i nasi żołnierze także leżeli.

– I pani została w szpitalu? Miała pani sumienie?

– Cóż, jedni i drudzy – ludzie, szkoda i tych, i tych. A przy tym zwalniać się także strach, bałam się represji. Zostałam. Pamięta pani korytarz szpitalny?

– Oczywiście!

– No więc szłam tym korytarzem do kuchenki po wrzątek, zmarzłam, chciałam się rozgrzać herbatką. Korytarz długi,

ciemny, pusty. Po egzekucji było tam krwi po kostki, zasypali trocinami. Idę i myślę, że podłoga wciąż jest mokra... Wtedy pierwszy raz... Odtąd jak zostanę sama, ogarnia mnie lęk, że znowu ich zobaczę. A najbardziej, kiedy mąż wychodził na nocny dyżur. Wtedy wciąż myślę, że zaraz! Serce kołacze, w piersi ziąb i znowu przemyka się przed oczami albo tkwi, tkwi...

Zamilkła.

– To były cienie, czy poznawała pani twarze? – spytała Elżbietka.

– Zwykle cienie, ale niekiedy także twarze. Pamięta pani wąsatego pułkownika? Mówił zawsze, że nie wolno mu umrzeć, bo ma dużą rodzinę, dzieci. On chyba teraz tu stoi...

– Gdzie?

– Tam, w kącie przy piecu... Nie widzi pani? Lewy róg pieca jest inny niż prawy – szary i rusza się... A teraz czapkę oficerską widać. Nie widzi pani?

– Nie widzę. Udowodnię, że tam nic nie ma. Dotknę ręką.

Elżbietka wstała i odważnie poszła w stronę pieca.

– No i proszę... Nie ma nic!

– Jakże nic, ręka przez niego przeszła!

– To złe oświetlenie. Żarówka się kołysze, cienie także, dlatego takie wrażenie.

Pielęgniarka uśmiechnęła się pobłaźliwie. Skrzypnęła podłoga. Elżbietka drgnęła. „To tylko nerwy” – pomyślała. Spojrzała na Anastazję Aleksiejewnę: siedziała wpatrzona w kąt przy piecu, jej wargi poruszały się lekko, a wyraz twarzy był jakiś dziwny, chorobliwy, prawie obłąkańczy.

– A młody nie przychodzi – powiedziała.

– O kim pani mówi? – spytała Elżbietka.

– Mówię, że młody nie przychodzi. Pamięta pani, był taki

porucznik, prawie chłopiec. Ciężko ranny, przestrzelone płuco i skroń, wstrząs mózgu. Przypomina pani sobie?

Policzki Elżbietki płonęły.

– Nie – szepnęła zaskoczona.

– Naprawdę nie pamięta pani? Taki przystojny, oficer gwardii z dwoma Krzyżami św. Jerzego... Łóżko pod oknem. Majaczył ciągle, jak to zwykle, kiedy uszkodzona jest głowa. Najcięższy przypadek na naszej sali. Zapomniałam nazwiska.

Elżbietka pamiętała je doskonale, ale nie miała odwagi odpowiedzieć, bała się, że zdradzi ją rumieniec.

– Czy pani wiedziała coś o nim? – wybąkała wreszcie.

– Podobno z dobrej rodziny, chyba paż. Mówiono, że odważny, ochotniczo chodził na zwiad w najniebezpieczniejszych warunkach, ale mnie się widzi, że to był maminsynek, pieszczoszek.

– Skąd pani wie? – oburzyła się Elżbietka. – Tak się dzielnie trzymał podczas opatrunków, nie jęczał, nie skarżył się, nie wołał bez przerwy, że czegoś potrzebuje.

– Może i tak, ale się awanturował z powodu głupstw. Ile razy personel obrywał przez niego. Pamiętam, kiedyś naskarżył na sanitariusza, że palce do szklanki z herbatą włożył. A jaka była awantura z siostrą Zajcewą!

– Nic o tym nie wiedziałam.

– Pani już wtedy chorowała. Zajcewa rzeczywiście była bardzo pewna siebie, nie miała szlacheckiego wychowania, jak pani. Więc ta Zajcewa pozwoliła sobie na jakąś poufałość wobec niego; coś powiedziała czy może zrobiła jakiś gest; a on się rozkrzyczał, kazał wezwać dyżurnego lekarza i zażądał, żeby Zajcewa trzymała się od niego z dala. Był bardzo zdenerwowany, więc lekarz dyżurny przeniósł Zajcewą do drugiej sali. Cały dzień chodziła zapłakana ze strachu, że się lekarz naczelny dowie... No i po co to? Pomyślałby kto, że znieważono panienkę.

– Jeżeli Zajcewa zachowała się nietaktownie, to dobrze jej tak – rzekła Elżbietka. – Sanitariuszka powinna wiedzieć, co uchodzi, a co nie. Czy coś jeszcze?

– Kiedyś siostra nie zauważyła, że opatrunek przemiekł, lekarz dyżurny ją skrzyczał. A raz sanitariusz przekazał mu jakiś list bez wiedzy lekarza. Znowu bura od dyżurnego!

Elżbietka wstała, kiedy była mowa o liście, który znała na pamięć. Zaczęła się żegnać.

– Czy umie pani, Anastazjo Aleksiejewno, cerować skarpetki? W szpitalu woźna dorabia sobie cerowaniem. Mogę to pani załatwić.

– Dziękuję, kochaneńka. Z miłą chęcią. Dam sobie radę.

– Świetnie. Przyniosę pani w najbliższym czasie.

Szła do domu w rozterce, wróciła przeszłość – sala szpitalna i on, człowiek, który nawet w malignie mówił „zginęła Rosja!” Niekiedy wyobrażała sobie, że tak jak pajak snuje pajęczynę, tak ona wymyśla i opowiada sobie długie historie, których bohaterami byli ona i on – wciąż on! To był dalszy ciąg tego, co się urwało wraz z jej chorobą. W marzeniach przychodziła nazajutrz do szpitala; on czuł się lepiej, mógł już rozmawiać; wymyślała dialogi, które ze sobą prowadzili; miasto zdobywają czerwoni... On jest jeszcze słaby, więc pomaga mu wydostać się ze szpitala, a później ukrywa w swoim pokoju, tak jak dworskie panie ukrywały u siebie oficerów-hugonotów podczas nocy św. Bartłomieja. Później uciekają razem z miasta i wreszcie dochodzi do wyznania miłości. Było ono romantyczne i wzniosłe, bez jednego nawet pocałunku – tak jak malowała je czysta wyobraźnia. On mówił, że jest bohaterką, jak przystoi rosyjskiej kobiecie, która nie lęka się niczego, kiedy trzeba ratować ukochanego człowieka.

Na tym kończyła się ta historia. Dalszy ciąg był – jej zdaniem – nieciekawym. Co jeszcze można wymyślić? I zaczynała wszystko od nowa, według tego samego schematu, ale z nowymi szczegółami.

Marzenia te snuła w drodze do pracy i z pracy, czasem także w ciszy swego pokoju podczas długich wieczornych godzin, które spędzała przy reperowaniu bielizny. Miała schludny, przytulny pokój z białym łóżkiem, starą mahoniową komodą po babci, biblioteką i małym pianinem. Nad łóżkiem wisiały zdjęcia rodziców i jej własne w stroju sanitariuszki, w rogu – ikona Spas „Nie Ręką Ludzką Uczyniony”. Swojskie wnętrze podziało na Elżbietkę uspokajająco. Zmaterializowało się tutaj i trwało jej bogate życie wewnętrzne. Myśli, wspomnienia, fantazje, cały własny świat, utrwalony w tych przedmiotach, emanował niewidzialne prądy, przywracał energię. Tu była w swoim żywiole.

Rozebrała się, przyczesła włosy i wyjęła z komody zgrabne zawiniątko z gazy, zawierające fartuch i chusteczkę, które nosiła w szpitalu w Teodozji. Dzisiaj pielęgniarki ubierają się całkiem inaczej. Rogi chusteczek wiążą wokół głowy, a nie puszczają wolno, jak kiedyś, a fartuch pielęgniarski – to zwykły luźny kitel, bez wąskiej talii i czerwonego krzyża. Wraz ze strojem zmieniła się nazwa: nie ma już „siostry miłosierdzia”, jej miejsce zajęła „siostra medyczna”, sowiecka pracownica, która za pracę bierze pieniądze. Zniknęła aureola romantyzmu białego czepka! Zniknął obraz siostry, jaki żył w oczach oficerów i prostych żołnierzy. Pielęgniarka podejmuje się swej pracy, bo musi zarabiać na życie. Elżbietka rozpakowała fartuch i chusteczkę; poczuła znajomy delikatny zapach, był dla niej emanacją bohaterstwa i arystokratycznej szlachetności, które tak kochała. Korkiem od flakonu – została w nim jeszcze odrobina płynu – dotknęła lekko włosów, robiła to zwykle w chwilach szczególnego smutku. „Oto wszystko, co mam; to wszystko, co w wyobraźni, jest bardziej rzeczywiste od rzeczywistości” – powiedziała do siebie. To wyznanie wiary było zbawienne w chwilach zwątpienia, kiedy ogarniało ją poczucie mniejszej wartości. „Dzisiaj będę myślała o dalszym ciągu. Zatrzymałam się w chwili, kiedy rozmawiał ze mną następnego dnia, już całkiem przytomny. Próżno jednak usiłowała włączyć się w rytm opowieści ze wszystkimi sprecyzowanymi szczegółami, w żaden sposób nie potrafiła utkać swojej ulubionej pajęczyny. Miała wrażenie, że utknęła w niej jakaś jadowita

mucha i bzykała o studniach i widmach. Wyobrażenia ukazywała wciąż okrutnych komisarzy w skórzanych kurtkach, ich rewolwery wycelowane w pierś młodego oficera, pogrążonego w malignie... A może był już przytomny? Może się ocknął i widział, że przyszli go zabić. Widział i patrzył im w oczy! „Gdybym tam była, nie pozwoliłabym go zabić! Uratowałabym go! Przeklęty tyfus! Już nigdy nikogo nie pokocham, bo nie spotkam nikogo takiego jak on! Takich już nie ma! Cóż to za szare, smutne życie!” Na próżno przekonywała siebie, że jej wyobrażenia są rzeczywistością, dławił ją głęboki smutek. Nie spała całą noc, rano wstała blada, z zaczerwienionymi oczami.

Niekiedy martwe przedmioty mogą pogłębić smutek. Jedna ze starych bibliotek, która należała niegdyś do babci Elżbietki, nie mieszcząca się w pokoju, stała na korytarzu, co ciągle irytowało sąsiadów. Elżbietka zwykle zamykała ją na noc. Tym razem zapomniany klucz tkwił w zamku, zahaczyła o niego rękawem bluzki. Otworzyła drzwiczki, żeby sprawdzić, czy wszystkie książki są na miejscu i pierwszy raz zwróciła uwagę na ukryte na dolnej półce gazety, zwinięte w rulon i przewiązane sznurkiem z napisem, wykonanym babcinym pismem: „zachować, to bardzo ciekawe!” Była to gazeta „Nowaja żyźń”, wydawana w 1918 roku. Dziwne, dlaczego Elżbietka nigdy nie zwróciła na nią uwagi? Dlaczego potrzebna była interwencja starego klucza? W tej gazecie zamieszczony był gniewny artykuł pod tytułem: „9 stycznia 1905”. Porównywano w nim zmasakrowanie przez bolszewików manifestacji zwolenników Konsytuanty z krwawą niedzielą!

„«Prawda» wie, że pod pałac Taurydzki idą robotnicy z Wyspy Wasiljewskiej, z dzielnicy Wyborgskiej i z innych dzielnic. Właśnie do tych robotników strzelano i żadne łgarstwa «Prawdy» nie ukryją tego haniebnego faktu!” i dalej: „Najwybitniejsze umysły Rosji prawie od stu lat żyły ideą Konstytuanty – politycznej instytucji, która umożliwi rosyjskiej demokracji swobodnie wypowiadać swoją wolę. Na ołtarzu tej świętej idei spłynęły rzeki krwi, a teraz ludowi komisarze kazali strzelać do demonstracji, która manifestowała na rzecz tej idei.” A pisał to GORKI! Elżbietka była zdumiona. Więc dlatego władza sowiecka zamknęła tę gazetę! I nie

zezwała na wypożyczenie nawet jednego egzemplarza! Więc dlatego w wydanych dziełach Gorkiego nie ma żadnego jego artykułu z tej gazety, poza wybranymi cytatami. Oto co myśli pisarz – duma proletariatu! Tak, „w Rosji są dziesiątki milionów ludzi, którzy nie uznają autorytetu władzy komisarzy i nie da się ich wszystkich rozstrzelać” – artykuł z 3 maja 1918 roku. Tak „bolszewizm jest narodowym nieszczęściem, ponieważ grozi zniszczeniem kiełkującej rosyjskiej kultury w chaosie obudzonych przezeń brutalnych instynktów” – z 22 maja 1918 roku. „Bolszewiccy władcy rzucili hasło «rabuj zrabowane», a jest to przełożone na język współczesności zawołanie wołżańskich zbójców: «burłacy na dziób!» – 8 maja 1918 roku. To wszystko prawda, ale jakie wyjście z tej sytuacji? Kto uratuje Rosję? Wielki umysł pisarza zda się odgadywał jej myśli... Na chwilę uniosła się opuszczona głowa. „A więc mój umysł nie jest wcale tak ograniczony; to umysł kobiecy, ale nie jest pusty. Jest zdolny do dokonywania historycznej analizy!”

Następny wieczór znowu przyniósł bolesne wrażenia. Była zaproszona do Julii Iwanowny, gdzie dość często spotykało się niewielkie doborowe towarzystwo, by przy okrągłym stole pod pomarańczowym abażurem prowadzić ciekawe rozmowy.

Tym razem wśród gości był generał, wypuszczony niedawno z sowieckiego łagru. Człowiek ten o pięknej, siwej głowie i nieco staroświeckim, wytwornym sposobie bycia, wywarł wielkie wrażenie na Elżbietce, przypomniawszy jej swoją postawą wojskowych, których spotykała podczas uroczystości w salach instytutu, a trochę także wuja, jednak bez orderów bojowych. Mówił mądrze i przekonująco, kiedy więc rozlegał się generalski bas, zamieniała się w słuch. Jedno zdanie szczególnie głęboko zapadło jej w pamięć. „Jasne było od początku, że ruch białogwardyjski skazany jest na niepowodzenie. Był nieżyciowy! Wprawdzie oficerskie bataliony umiały pięknie umierać, ale tego za mało, by odwrócić bieg historii” – powiedział ten człowiek.

Elżbietka, która w swoim granatowym kostiumie nieśmiało ukrywała się w kącie, nie mogła nie zareagować na takie

stwierdzenie.

– Dlaczego nieżył? – spytała i zaczerwieniła się, jak piętnastoletnia dziewczynka.

– Ruch ten nie był w stanie porwać za sobą mas. Carat się przeżył, a hasła bolszewików, takie jak „bratanie się na froncie”, „ziemia dla chłopów”, „precz z imperializmem” – były obiecujące i atrakcyjne. Masy runęły żywiołowo za tymi hasłami. Tylko ludzie całkiem pozbawieni politycznego wyczucia mogli nie zrozumieć, że zwycięstwo bolszewików – to sprawa rozstrzygnięta. Biały ruch nie zdoła się już nigdy odrodzić.

– Czyż wśród białogwardzistów mało było bohaterów? Spod krzaczastych brwi błysnęły oczy:

– O wiele więcej, niż było trzeba, droga pani! Kiedyś historia zrehabilituje ich pamięć. Wszak tylko teraz w warunkach sowieckiej nietolerancji i ideowej tępoty można wszystkich przeciwników przedstawiać jako godnych pogardy łajdaków. Bolszewicy występowali pod sztandarami internacjonalizmu i marksizmu i samo to budziło sprzeciw wykształconej części społeczeństwa. Niezasłużone piętno zostanie zmyte, ale zrehabilitowana będzie pamięć, a nie cele, które sobie stawiali. Proszę to zapamiętać, dziecko.

Przystojny starzec ucałował szarmancko dłoń Elżbietki, ale zadra, którą spowodowało jego przemówienie, pozostała. Elżbietka chciała zapomnieć o tym wszystkim i nigdy więcej nie słuchać żadnych opinii na ten temat. To było boleśniesz niż wszystkie szyderstwa i obelgi, ponieważ powiedział to swój.

Elżbietka żywiła dziwnie dwoiste uczucia do cara i carowej. W ciągu minionych lat wiele przeczytała i rozwinęła się. Wyrobiło się w niej przekonanie, że monarchia nie ma przyszłości, w Europie nie ma już żadnego liczącego się państwa, w którym monarcha rzeczywiście sprawuje rządy, a nie jest tylko osobą dekoracyjną. Wiek dwudziesty przyniósł nowe, trudniejsze warunki sprawowania władzy, w ich obliczu ustrój monarchistyczny okazał się bezradny. A jednak ustrój ten w

oczach wielu ludzi zachował swój urok, należała do nich także Elżbietka. Jej zdaniem w ostatnim okresie nastąpił nieoczekiwanie wzrost sympatii monarchistycznych, zwłaszcza wśród inteligencji. Nawet w rodzinach tak liberalnych, jak rodzina Julii Iwanowny, podkreślano wyjątkowy takt i dobre wychowanie Mikołaja, odwagę, z jaką się pokazywał w towarzystwie i podczas spotkań z ludem (w przeciwieństwie do Stalina), podziwiano opanowanie, wykazane w czasie abdykacji, zwracano uwagę na to, że nie uczestniczył w wydarzeniach krwawej niedzieli, dementowano nawet plotki o jego słabości do wina!

– Ależ skąd! W Butyrkach siedziałam razem z Wojejkową. Kto jak kto, ale ona była blisko z rodziną carską i sama mówiła, że Imperator pił niewiele, rzecz w tym, że uderzał mu do głowy pierwszy kieliszek, co wykorzystywano.

Albo:

– Za pozwoleniem! O jakiej winie Imperatora można mówić? Powszechnie wiadomo, że 9 stycznia przebywał w Carskim Siole.

Tak mówiono teraz o zamordowanym Mikołaju w odpowiedzi na oszczercze ataki i ordynarne szyderstwa, których – jak zwykle bezwstydną – sowiecka prasa nie szczędziła niedawnemu władcy Rosji.

Za pensjonarskich czasów, w pierwszych dniach wojny Elżbietka była zakochana w Imperatorze, wyobrażała go sobie na białym koniu na czele wojska; nocami, już w łóżku, modliła się o to, by go nie dosięgła niemiecka kula. Z czasem zrozumiała, że żyje w świecie fantazji, ale nadal widziała w Imperatorze ujmujące cechy. Miał osobowość i powierzchowność idealnego oficera gwardii. Nie jego to wina, że nie posiadał państwowego umysłu, nie każdy może się urodzić Piotrem Wielkim! Żał jej było i jego, i dzieci, ale podzielała pogląd, że nie mógł pomyślnie sprawować rządów. A Biała Armia, jako sojusz wszystkich antybolszewickich partii, mogłaby uratować Rosję, gdyby po zwycięstwie powołała rządy na wzór brytyjskiej monarchii konstytucyjnej albo przekazała władzę Konstytuancie.

Tak w każdym razie uważała Elżbietka.

Rozdział siódmy

A tu ta Asia! Chociaż nie miała ochoty spotykać się z nią, kilka razy wpadła na nią w szkole muzycznej. Asia stała na korytarzu przy drzwiach do klasy i z ożywieniem rozmawiała z chłopcami, którzy z takim zapalem oklaskiwali ją podczas koncertu. Chłopcy wpatrywali się w Asie z najszczerzym zachwytem, ale rozmowa była całkiem niewinna – Asia i Sasza krytykowali Verdiego, a ich kolega zachwycał się nim. Na Elżbietkę nie zwrócili uwagi.

Zwolniła nieco i mimo woli posłyszała strzępy rozmowy. Chociaż nie było w niej nic zdrożnego, Elżbietka poczuła niechęć. „Wnuczka senatora chichocze na korytarzu niczym sowiecka uczennica i pozwala się adorować plebejuszom!” – pomyślała. Zapomniała, że Asia to jeszcze prawie dziecko, a całą trójkę łączą wspólne zainteresowania. Na czym polegało „adorowanie” – nie wiedziała dokładnie, ale subtelny urok utalentowanej dziewczyny zmalował w jej odczuciu.

Po lekcji Elżbietka wyszła z budynku, po chwili dogoniły ją szybkie, lekkie kroki. Odwróciła się i ujrzała Asie w „byłych” sobolach, z teczką na nuty w ręku.

– Późno pani wraca! Pewnie z powodu jakiejś ciekawej rozmowy? – spytała Elżbietka ze staropanieńską złośliwością.

– Julia Iwanowna wyznaczyła mnie do akompaniowania w „Patetycznym trio” Glinki, musiałam omówić, z wiolonczelistą i skrzypkiem – powiedziała Asia.

– Co słyhać, Asiu? – rzekła zimno Elżbietka.

– Spotkało nas nieszczęście – wuja Sieriożę zesłano na Syberię – brzmiała smutna odpowiedź.

– Zesłano? Za co? – Elżbietka zaraz zrozumiała, że pytanie jest głupie.

– Czyż oni mówią za co? Za to, że jest szlachcicem, oficerem!

Przynieśli zawiadomienie wczoraj o godzinie jedenastej w nocy, a dzisiaj o drugiej wujek musiał być na dworcu. Zesłali go do Kraju Krasnojarskiego.

– Z czego teraz panie będą żyły?

– Nie wiem... Będziemy sprzedawać rzeczy... Spróbuję dawać lekcje. Nie to jest najgorsze. Rozłąka z wujem Sieriożą to wielkie zmartwienie dla babci, no i nie wiadomo, jakie tam będzie miał warunki.

Głos Asi drgnął. Elżbietka patrzyła na nią, dziwiła się, że tak lekko zrezygnowała z przyjaźni z tą dziewczyną.

Stały pod głośnikiem (nadawano „Dagę Pikową”). Elżbietka miała wrażenie, że rozbrzmiewający właśnie, nieco jej zdaniem zniekształcony, fragment dotyczący losu, który połączył Hermana ze staruchą, brzmi jak los łączący ją z Asią.

– Wujek Sierioża jest taki utalentowany... – ciągnęła Asia – komponuje wspaniałe romanse... Oczytany. I taki człowiek będzie ładował drwa i odśnieżał drogi razem ze złodziejami i bandytami? Bez orkiestry symfonicznej, bez książek nie potrafi żyć... W naszej rodzinie wszyscy giną, wszyscy! Po kolei. W domu nigdy nie płaczą, naprawdę! – dodała jakby się tłumaczyła.

Elżbietka przytuliła ją.

– Imperium zła! – powiedziała i zamilkła, ponieważ pustym o tej porze zaułkiem szedł jakiś człowiek. – Imperium zła! – powtórzyła, kiedy przechodzień oddalił się. – Niszczą najlepszych, najwartościowszych! Niestety, jeszcze nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że to rządy ciemnoty. Oni muszą zabić, rozumie pani, zabić Rosję, a w szczególności porazić jej mózg, myśl rosyjską, rosyjską świadomość. Dlatego zabijają nosicieli świadomości. Pani nieszczęście – to nieszczęście całej Rosji.

Asia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Widziała pani w Ermitażu rycinę? – ciągnęła Elżbietka. – Przedstawia piękną dziewczynę, ranna leży na wznak, a wokół niej gromadzą się drapieżne ptaki, żeby ją rozszarpać, i podpis: „Belle

France”. Tak leży teraz Rosja ze śmiertelnie zranionym mózgiem i sercem!

– Tak, rzeczywiście! – szepnęła Asia.

Ruszyły razem w kierunku prospektu Litiejnego.

– Gdyby pani wiedziała, jak smutno jest u nas w domu – rzekła Asia. – A jeszcze umierająca charcica jęczy jak człowiek. Trzecią noc płacze, a ja stoję przy niej i nie mogę w niczym pomóc!

– Trzeba zrobić zastrzyk z morfiny, przecież musi pani spać!
– zawołała Elżbietka.

– Morfina? To trucizna? – zaniepokoiła się Asia.

– Ależ nie! Morfina uśmierza ból, działa nasennie. Mogłabym wstąpić i zrobić zastrzyk.

– Potrafi pani?

– Mój Boże! Oczywiście! – uśmiechnęła się Elżbietka. – Przecież zostałam pielęgniarką jeszcze za czasów Białej Armii na Krymie.

Asia spojrzała na nią z podziwem.

– A ja wtedy bawiłam się lalkami, Lela, moja kuzynka, także.

Umówiły się, że za godzinę Elżbietka przyjdzie, żeby zrobić zastrzyk charcicy. Asia dała jej adres, a przy pożegnaniu spytała:

– Proszę powiedzieć... Wydało mi się, że początkowo potraktowała mnie pani z rezerwą?

Elżbietkę zdziwiła jej wrażliwość.

– Owszem... Proszę o tym zapomnieć, jestem samotna, każda przyjaźń jest dla mnie ważna.

O dziesiątej wieczorem, nieco stremowana, Elżbietka zadzwoniła do drzwi. Otworzyły Asia i Lela. Asia przedstawiła: „Moja kuzynka”. Elżbietka spojrzała uważnie na Lelę i równie uważnie obejrzała pokój, do którego została wprowadzona:

ubóstwo w jakiś szczególny sposób uszlachetniało miniony przepych. Z wnętrzem harmonizowała niemłoda Francuzka, która reperowała bieliznę przy pięknym stoliku z lampą pod abażurem, zrobionym ze strusich piór. Elżbietka aż się uśmiechnęła, taką przyjemność sprawiła jej francuszczyzna madame.

Miała wrażenie, że niedola tej rodziny wycisnęła piętno na każdym sprzęcie, przypominała o sobie w wielu drobnych szczegółach. W tym, że Asia ściszyła głos, kiedy pytała madame, czy mogą wejść do babci, i nawet w tym, że w pokoju było chłodnawo i Lela chuchnęła na zziębnięte palce.

Lela także pasowała do określenia „podobna”. Twarz delikatna, blondynka o bujnych, falujących włosach, jej rysy były odmianą rysów Asi, chociaż różniła się od niej kapryśnym wykresem ust i grzywką osłaniającą czoło, które u Asi było wysokie i czyste. Na policzku Lela miała uroczy pieprzyk. Widać było, że ma swoje przytulne miejsce w tej rodzinie i jest z nią blisko związana, a Francuzka nazywa ją, podobnie jak Asie *chère petite*¹². Zapukały do Natalii Pawłowny i Elżbietka znowu dostała tremy.

Pokój Natalii Pawłowny jeszcze wyraźniej zachował dawny charakter; meble z mahoni, szafka z ikonami w srebrze, niektóre z nich były pochodzenia bizantyjskiego, kilka sztuk pięknej duńskiej porcelany, a przede wszystkim mnóstwo drobnych fotografii w owalnych ramkach, wypełniających ścianę nad biurkiem; były to głównie podobizny ludzi w mundurach najlepszych pułków gwardyjskich. A sama starsza pani o wciąż jeszcze świetnej postawie i pięknych, chociaż nieco zaostzonych rysach, z koroną siwych włosów, ożywiała tę ilustrację historii rodziny. Natalia Pawłowna uosabiała wspaniałe opanowanie i arystokratyczną umiejętność zachowywania dystansu. Miała też charakterystyczną wymowę – grasejowała – jak wiele dam z jej pokolenia, które stale używały języka francuskiego.

Asia przedstawiła Elżbietkę, nie omieszkawszy napomknąć,

¹²

Chère... (fr.) – Drogie dziecko.

że to była sanitariuszka u Wrangla. Natalia Pawłowna uścisnęła jej dłoń.

– Tam, na Krymie polegli ojcowie tych dziewcząt – wskazała na Asie i Lelę.

Elżbietka pochyliła czoło.

Następnie wróciły do pierwszego pokoju. Asia i Lela wywlokły spod fortepianu nieszczęsną charcicę. Już na pierwszy rzut oka można się było zorientować, że sparaliżowane stworzenie ma troskliwą opiekę i jest utrzymane w czystości. Minęły dawno czasy, kiedy Elżbietka umierała ze strachu na myśl o strzykawce. Teraz pewnie wydawała polecenia; szybko wysterylizowano narzędzia, posmarowano łapę jodyną i Elżbietka zręcznie ujęła strzykawkę. Diana nie broniła się, tylko lizała rękę Asi, która ją trzymała.

– Psy to zdumiewające stworzenia – powiedziała Asia – wiedzą to, czego nie wiedzą ludzie. Niekiedy mam wrażenie, że ich rozumienie świata jest głębsze niż nasze, dotyczy tylko innych zjawisk. Tak żal jest chorego zwierzęcia, przecież nie może się ani poskarżyć, ani wytłumaczyć...

– Pamiętasz, Asiu, tamtego psa? – powiedziała Lela.

– Jakiego? – spytała Elżbietka.

– Był taki pies. Nie możemy go zapomnieć – odpowiedziała Asia. – To było na Krymie, latem. Byłyśmy jeszcze bardzo dziecinne. Pędzono nas do Sewastopola.

– Co znaczy – pędzono? Kto pędził? – znowu dopytywała się Elżbietka.

– Wujka Sieriożę i ojca Leli aresztowano. Eskortowali ich Chińczycy razem z innymi aresztowanymi... Nikt nie wiedział dokąd. Ciocia Zina, niektóre inne żony i my obie pod opieką madame, szłyśmy za nimi. Gdzie miałyśmy się podziąć? Moi rodzice już nie żyli... Szłyśmy daleko, daleko wśród piaszczystej pustyni. Piaszczyste wzgórza i doliny wokół Koktabelu są latem wypalone przez słońce do cna. Nagle podbiegł do nas pies. Pewnie

wśród aresztowanych był jego pan, konwojent odpędził psa i zranił go. Widać było, że kuśtyka resztkami sił, potyka się, pada, leży jakiś czas, a potem znowu wstaje, utyka, patrzy błagalnie... Pewnie bał się, że padnie i wyzionie ducha... Lizał nasze ręce, kiedyśmy go głaskały, jakby prosił o pomoc. Specjalnie zwalniałyśmy, by biedak zdążył za nami, a i bez tego wlokłyśmy się wolniej niż dorośli. Ciocia Zina i madame gniewały się na nas, kazały iść szybciej, ponieważ nikt na nas nie będzie czekał... Bały się, że stracimy z oczu oddział. A myśmy szły i wciąż się oglądałyśmy...

– Pamiętam – przerwała Lela – madame krzyczała na nas: „Rosja zginęła, wszystko zginęło, teraz lada chwila zginie twój ojciec, a ty płaczesz z powodu psa! Jak ci nie wstyd?” Sama rozumiałam, że powinnam płakać z powodu ojca, ale nic na to nie mogłam poradzić, żal było psa.

– A oto kto jeszcze był ze mną – Asia zdjęła z kominka starego, pluszowego misia wielkości rocznego dziecka. – To mój ulubieniec. Niosłam go na ręku. Nie rozumiałyśmy jeszcze tego, co się wokół nas dzieje. Nazajutrz po tym, jak dowiedziałyśmy się o losie ojca Leli, skakałyśmy przez kałużę na podwórku, koło naszej lepianki i śmiałyśmy się głośno, aż ciocia Zina wyszła, żeby nas uspokoić. Powiedziała wtedy, że nie mamy serca...

Lela wybiegła na chwilę do Natalii Pawłowny, która ją zawołała. Elżbietka została z Asią sam na sam.

– Proszę usiąść przy kominku, szkoda, że się nie pali, nie mamy drzewa. Proszę coś opowiedzieć o sobie. Pani rodzice żyją?

– Nie. Straciłam rodziców we wczesnym dzieciństwie. Mój ojciec, lekarz ziemski, zginął podczas epidemii cholery. Babcia oddała mnie do Smolnego. Nasz rocznik był ostatni. Z krewnych został mi tylko wujek, chirurg, a ja jestem siostrą operacyjną. Czasami w niedziele jadam obiady u wujostwa. To wszystko. Nie umiem opowiadać o sobie – ale po chwili rzekła łagodniej: – Jestem bardzo samotna.

Asia dziecinnym ruchem przytuliła się do niej.

– Zginął ktoś z pani rodziny podczas wojny? Mąż, brat, narzeczony?

– Nie. Kiedy się wszystko skończyło, miałam zaledwie dziewiętnaście lat. I odtąd nikt mi się już nie podobał. Nie byłam zamężna.

– Kiedy się wszystko skończyło? – spytała ze zdziwieniem Asia.

– Tak, kiedy oni zwyciężyli. Odtąd nie potrafiłam myśleć o osobistym szczęściu. Jaka może być mowa o szczęściu, kiedy Rosja pogrążyła się w nieszczęściu.

Asia spojrzała na Elżbietkę spod rzęs swymi pięknymi oczami. Była zdziwiona.

– Pani jest niezwykła! Nie myśleć o własnym szczęściu, ponieważ ojczyzna jest w biedzie! A ja myślę, wyłącznie o sobie. Ale moje szczęście jakoś się nie urzeczywistnia.

– Pani to co innego. Wtedy była pani jeszcze małą dziewczynką, która nie mogła odczuć całego tragizmu tamtych czasów, nie pamięta pani ludzi, którzy wówczas ginęli. Rosja odwoływała się do swoich bohaterów, a oni bronili jej, padali i znowu się podrywali do obrony. Należał do nich pani ojciec. Pracowałam wtedy w szpitalu i na własne oczy widziałam, jak ci ludzie umierali i nawet w malignie mówili o Rosji. A ci, którzy wracali do zdrowia, natychmiast znowu szli na front. Ich bohaterstwo nie zostało docenione, nagrodzono ich krwawymi egzekucjami i łagrami... Dziś już takich ludzi nie ma! W sowieckim kraju zapomniano o miłości ojczyzny, o szacunku dla kobiet, o subtelności uczuć i romantyzmie, nie pozostało nic z duchowego życia. To są drapieżcy, troglodyci, którzy odprawiają swoje chamskie obrzędy, krwawą stypę. Od nich nie chcę nikogo i niczego – Elżbietka zamilkła i ze smutkiem patrzyła w chłodną czeluść kominka.

– Mówi pani tak, jakby był ktoś nade wszystko drogi, kto zginął w tamtych czasach – powiedziała cichutko Asia.

Elżbietka drgnęła.

– Coś pani przypomniałam! Przepraszam. Proszę jednak powiedzieć, był taki człowiek, nie pomyliłam się?

– Był – powiedziała cicho Elżbietka.

– To był oficer, jak mój papa? – Tak.

– Poległ?

– Nie, był ranny. Poznałam go w szpitalu.

– Pielęgnowała go pani?

– Tak. To był ciężki przypadek. Nigdy nie zapomnę tego krótkiego oddechu... Wciąż się bałam, że się udusi.

– Był śmiertelnie ranny?

– Nie. Na tym polega cały tragizm. Ledwo poczuł się lepiej, wtedy...

– Tak...

– Czerwoni zajęli miasto. Otoczyli sale, w których leżeli ranni oficerowie, i wymordowali ich, ludzi, którzy nie mogli o własnych siłach wstać z łóżka. Właśnie zachorowałam na tyfus, nie mogłam mu w niczym pomóc. Nawet nie wiem, jak to się odbyło. Wtedy skończyło się wszystko. Wszystko! – zapadło milczenie. – Niektórzy umieją zapominać, ja – nie! – powiedziała Elżbietka. – Widziałam go zaledwie kilka dni, ale pamiętam każde jego słowo, każdy gest. Wciąż o nim myślę. Wciąż!

– Kochał panią?

– Nie, jego stan był ciężki. Nie mogło być mowy o żadnym romansie, ale proszę zrozumieć: przed operacją prosił, żebym przy nim była, widocznie ufał mi, sympatyzował ze mną... Podarował mi pewnego dnia flakonik perfum, chciał go otworzyć i rozlał perfumy na mój fartuch. To jedyna pamiątka, jaką mam.

– Jeżeli prosił, by pani przy nim była, to znaczy kochał. A jak się nazywał?

– Tego pani nie powiem – rzekła Elżbietka. – Dla pani to zbędna wiadomość, a mnie sprawia ból. Proszę to wszystko zachować dla siebie. W ciągu lat, które minęły, pani jest pierwszą osobą, której się zwierzyłam.

– Ależ oczywiście! Przyrzekam! Dziękuję pani, że mi zaufała. Czy był przystojny? – w Asi głosie zabrzmiała naiwna ciekawość.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Przystojny... Jego twarz, sposób wysławiania się, każdy gest świadczyły o dobrym wychowaniu. Człowiek odważny, odznaczony dwukrotnie Krzyżem św. Jerzego!

– Tyle czasu upłynęło... – Asia zamyśliła się. – Ten człowiek nie był pani narzeczonym... Czy nie chciałaby pani zakochać się znowu, być szczęśliwą?

Elżbietka gorąco zaprzeczyła.

– Ależ nie, nie chcę i nie mogę, nie potrafię zacząć życia od nowa. Nie widzę teraz takich ludzi jak on, a tylko takiego mogłabym pokochać. Według mnie to uczucie łączy wszystko – miłość do Rosji, miłość do bohaterstwa, uznanie dla człowieka, który poświęcił życie dla ojczyzny. To tkwi we mnie. Tęsknota za tym – to najlepsza część mojej duszy. Nie chcę widzieć siebie z kimś innym, straciłabym szacunek do siebie.

Asia patrzyła na Elżbietkę bez ruchu, jak zaczarowana.

– Kocham wiersze Błoka – odezwała się Elżbietka po chwili milczenia. – Kiedy je czytam, nachodzą mnie dziwne myśli, bardzo dziwne... Możliwość powtórnego spotkania i miłosnego połączenia tam... Po śmierci... Bezcielesnego. Błok w „Wierszach o Pięknej Damie” sformułował tę myśl całkiem wyraźnie... Więc wtedy, podczas takiego spotkania on ujrzy i oceni moją wierność, wtedy zostanie uzasadniona moja samotność. Czy rozumie pani, co znaczy dla mnie ta myśl i jak wiele mi daje?

Oczy Elżbietki płonęły, szczupła smagła twarz drżała. Asia czuła się obok niej całkiem malutka.

– Jakże jestem pusta i godna politowania przy pani! Nie

jestem zdolna do żadnych wyrzeczeń, żadnej ofiarności!

Zawsze jedynie pragnęłam szczęścia. O n klęczy przede mną, białe kwiaty... Cudowne rozmowy... Całkowite zrozumienie. W moim wyobrażeniu szczęście jest promienne, porywające, otula mnie jak mgła. Kocham dzieci, czasami marzę o tym, jak będę kąpała mego bobaska w wanience, w której pływają złote rybki i łąbodziątka; albo jak będę go otulała kołderką w kopercie z koronkami. W wieku siedmiu-ośmiu lat lubiłam układać do snu lalki. Owijałam pieluszkami moją Lili albo pluszowego misia, nosiłam w ramionach, śpiewałam kołysanki. Nie mogę sobie wyobrazić życia bez dzieciątka. To także wielki sekret.

– Będzie je pani miała. Z całą pewnością. Każda praczka może mieć dzieci. Do tego nie jest potrzebny ani pani talent, ani uroda!

Asia poczuła się winna, że powiedziała jakieś głupstwo.

Weszła Francuzka.

– Dzwoniła księżna Daszkowa – powiedziała po francusku – prosiła pana Siergieja. Nie wiedziałam, co mam mówić, w końcu powiedziałam, że jeszcze nie wrócił.

Elżbietka drgnęła.

– Daszkowa? Panie znają państwa Daszkowów?

– *Oh, oui! C'est une personne d'une famille très aristocratique!*¹³ – odpowiedziała Francuzka.

Elżbietka miała mnóstwo pytań, ale onieśmielona milczała. Zaproszono ją na herbatę, aby się jednak nie wydać zbyt natrętną, zaczęła się żegnać.

– Czy ta pani... księżna Daszkowa, nie miała w rodzinie oficera-białogwardzisty?

– Jej mąż poległ pod Perekopem – odpowiedziała Asia. „Poległ!” – myślała Elżbietka, kiedy szła schodami na dół. Przecież

¹³ Oh, oui!... (fr.) – O tak! To dama z jednej z najświetniejszych rodzin!

on był ranny i doarty. A poza tym nie był oczywiście żonaty. Miał zaledwie osiemnaście lat, taki wiek wpisano mu do karty chorobowej; nie miał też na ręku obrączki, tylko pierścioneł z Korpusu Paziów. Elżbietka była poruszona – właśnie tutaj, w domu Asi, która ją tak pociągala, usłyszała to nazwisko!

Rozdział ósmy

*My – dzieci lat okrutnych Rosji
– w pamięci zachowamy je.*

Aleksander Błok

Półtora miesiąca wstecz przyjaciółka Niny Daszkowej ze Smolnego, za panięskich czasów Marina Siergiejewna Dragomirowa, a obecnie Rinoczka Rabinowicz, podczas spaceru w carskosielskim parku, zawędrowała przed pałac carowej Katarzyny, nie opodal Liceum i zobaczyła, że drzwi tak lubianej przez mieszkańców Petersburga cerkwi Znamienskiej są otwarte. Zapragnęła nagle znaleźć się w miłej jej sercu uroczystej atmosferze i przekroczyła próg świątyni. Przy Znamienskiej ikonie Matki Bożej czerwieniły się płomyki woskowych świec, a cichy głos czytał Kanon. Zbliżyła się do ikony, uklękła, na chwilę dotknęła czołem posadzki i szeptała w półprzytomnym uniesieniu: „Odpuść mi, Panie, moje grzechy! Mogłabym być lepsza, ale byłam tak nieszczęśliwa!” Za grzech uważała ślub cywilny i swoje małżeństwo z Żydem, którego nie kochała, a poślubiła tylko dlatego, że był na stanowisku, dobrze zarabiał i Marina, jedyna ze wszystkich koleżanek, ubierała się modnie, miała służącą i samochód do dyspozycji, a jeszcze niedawno żywiła się suszoną rybą i ziemniakami i za grosze pracowała jako rejestratorka w szpitalu. Chociaż jednak modne toalety i samochód dawały jej wiele radości, nie potrafiła pokochać człowieka, któremu zawdzięczała te wspaniałości, co więcej, wstydziła się tego wobec swoich przyjaciółek. Wyrzucała sobie swoje postępowanie, było jej ciężko przyznać się, że się świadomie sprzedała. Czasami nachodziły ją wyrzuty sumienia i rozpaczliwy żal.

A więc dotknęła czołem posadzki, a kiedy uniosła głowę, ujrzała w odległości kilku kroków wysokiego mężczyznę o rasowej twarzy, w wieku około dwudziestu ośmiu lat. Zwróciła uwagę na

sposób, w jaki trzymał swoją zniszczoną czapkę – tak zazwyczaj eleganccy oficerowie gwardii trzymali swoje czapki z pióropuszcami. Mimo woli przypominała sobie uroczyste msze w Soborze Przemienienia Pańskiego. Jeszcze raz przyjrzała się twarzy nieznajomego, ich oczy spotkały się. Spuściła wzrok i pomyślała, że gdzieś tego człowieka widziała, ale gdzie? Już się nie mogła modlić, kilka minut później znowu się odwróciła do niego i przekonała się, że on także ją obserwuje. Ich oczy spotkały się znowu, nieznajomy pochylił głowę, jakby chciał dać do zrozumienia, że w cerkwi nie może przywitać jej z większym szacunkiem. „Czyżby to był Oleg Daszków? *Beau-frère*¹⁴ Niny Daszkowej? Nie, niemożliwe! Jakże się zmienił!” Wstała z klęczek, oddaliła się od ikony, jakby zapraszała go, by do niej podszedł. Podszedł. Ciemne oczy, podkrążone od bezsennych nocy, patrzyły na nią uważnie.

– Marina Siergiejewna? – spytał.

Nie mogła uwierzyć, że ten człowiek o zmęczonej twarzy, w żebraczym niemal ubraniu, jest owym wytwornym oficerem gwardii konnej, z którym tańczyła mazurę na weselu Niny.

– Oleg Andriejewicz! To pan? Skąd się pan zjawia? Chyba z tamtego świata? Nina uważała, że pan poległ. Gdzie się pan tyle czasu podziewał? – zaszczebotała.

– Pani widuje Ninę? Więc to sam Pan Bóg zesłał mi panią! Od kilku dni szukam jej bezskutecznie. Gdzie ona jest?

– W Petersburgu. Jest dzięki Bogu żywa i zdrowa. Jakże się ucieszy! Mój Boże, życie tak się zmieniło w ciągu tych jedenastu lat, kiedyśmy się nie widzieli. A my, jak myśmy się zmienili!

– Pani niewiele, Marino Siergiejewno. Jest pani młoda, piękna, elegancka, a ja, mnie – jak sędzę – rzeczywiście trudno poznać, to zresztą dobrze.

Jego ton był przygnębiony, gorzki.

– Jeżeli nie wstydzisz się pani rozmawiać z człowiekiem, o

¹⁴ Beau-frère (fr.) – Szwagier.

wyglądzie żebraka, wyjdźmy razem, żeby nie przeszkadzać modlącym się.

– Jak pan może tak mówić, Olegu Andriejewiczu. W naszych czasach łachmany – to dobry ton. Niedawno sama nosiłam łachmany i szanowałam siebie bardziej niż dziś.

Wyszli z cerkwi i zatrzymali się przy ławeczce pod oszronionymi lipami.

– Gdzie więc pan był cały ten czas? – spytała, siadając. On nie usiadł, stał wciąż przed nią bez czapki, jego świetna postawa pozwalała bezbłędnie rozpoznać w nim oficera gwardii.

– Byłaby to zbyt długa i bardzo smutna opowieść, Marino Siergiejewno, zanudziłbym panią. Właśnie zostałem zwolniony z obozu koncentracyjnego; przed trzema dniami wróciłem z Wysp Sołowieckich.

– Pan! Mój Boże, Sołowki!

– Dziwi się pani? Któż z takich ludzi jak ja uniknął tego losu? Siedem i pół roku ładowałem drzewo na Solówkach i w Kornii, obecnie zostałem zwolniony po odbyciu wyroku. Zwolniono mnie wbrew oczekiwaniom bez żadnych warunków, więc przyjechałem tu, żeby odszukać Ninę. Ona jedna z całej naszej rodziny żyje. Pomyślałem sobie, że mogę się jeszcze przydać wdowie po moim bracie i jego dziecku.

– Dziecku? Nina nie ma dziecka, umarło jeszcze wtedy, jako niemowlę. Była w takich okropnych warunkach... Proszę nie rozmawiać z nią o tym, to dla niej tragedia.

Zachmurzył się.

– Całe nasze życie jest tragedią. Brat czuł się ojcem i kiedy umierał... – zamilkł, widocznie pod wpływem przygnębienia.

„Powiedzieć mu, czy nie, że Nina została artystką i że ma przyjaciela. Nie, nie powiem, niech to zrobi sama” – myślała.

– Więc ma pani jej adres? Czy mogłaby pani zaprowadzić mnie do niej?

– Oczywiście! Uczynię to z największą przyjemnością za kilka dni. Nina wyjechała właśnie za miasto z koncertem, teraz zarabia na życie śpiewem, trzeba przecież z czegoś żyć.

– Za kilka dni? To komplikuje sprawę; widzi pani, szukałem Niny również dlatego, że muszę znaleźć jakiś ką.

Nie mam żadnych środków do życia, nie mogę wynająć pokoju, ani nawet łóżka, a jednocześnie dopóki nie mam meldunku, nikt nie przyjmie mnie do pracy. Błędne koło, z którego nie mogę się wydostać. Nocleg pod gołym niebem, to dla mnie nie pierwszozna, ale muszę jak najprędzej zacząć zarabiać. Cztery dni dla takiego człowieka jak ja to cała wieczność.

– Niech się pan nie martwi. Znajdziemy jakąś radę. Można się zatrzymać u Niny nawet podczas jej nieobecności. Mieszkają tam jej brat i ciotka. Chodźmy na dworzec, za czterdzieści minut jest pociąg, zdążymy jeszcze. W drodze zastanowimy się, co trzeba zrobić – poszła szybko przodem. – Ile lat nie był pan w Petersburgu? – spytała.

– Od osiemnastego roku, czyli dziesięć lat. Wszystko się zmieniło, zwłaszcza ludzie. Czuję się zupełnie obco. Nikogo z krewnych i przyjaciół dotychczas nie udało mi się odszukać. Przyjechałem do Carskiego Sioła, żeby zobaczyć się z pewną rodziną, niegdyś zaprzyjaźnioną z moimi rodzicami, ale ich nie zastałem, otworzyli mi obcy ludzie. A tymczasem wydałem na tę wyprawę ostatnie pieniądze. Jestem jakby z innej planety.

– A czy nie tutaj pana aresztowano?

– Nie, na Krymie, wkrótce po zajęciu Perekopu – powiedział i rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje.

– Był pan ranny, na czole jest blizna?

– Tak, wtedy, w Białej Armii.

Wchodzili już do budynku dworcowego, kiedy zauważyła, że nagle zachwiał się i przytrzymał ręką ściany.

– Co panu jest? – przestraszyła się.

– Przepraszam panią, to zawrót głowy, zaraz minie. Patrzyła na jego wybladłą twarz. „Nie ma pieniędzy, pewnie jest głodny” – pomyślała i zawahała się:

– Pan, Olegu Andriejewiczu, odżywia się nieregularnie – powiedziała nieśmiało. – Pewnie jest pan głodny, może przegryzłby pan coś w bufecie! Z przyjemnością pożyczę panu.

– Dziękuję, Marino Siergiejewno, będę bardzo wdzięczny za pożyczenie rubla na bułkę i szklankę herbaty, zwrócę pani z podziękowaniem, kiedy zacznę pracować.

Sięgnęła pospiesznie do torebki.

– Proszę, że też nie pomyślałam wcześniej... Rzeczywiście, jakże o tym nie pomyślała? Czy okropne dziesięć lat niczego jej nie nauczyły? Ubóstwo i głód w jej świadomości były związane z osobnikami z ludu, a nie z kimś należącym do jej sfery, kto zachował dobre maniere i świetną wojskową postawę.

Kilka dni później sytuacja wyjaśniła się. Oleg został zameldowany w pokoju Miki, czternastoletniego brata Niny. Nina ze zdziwieniem stwierdziła, że dokumenty Olega są wystawione na inne nazwisko. Wy tłumaczył jej, jak to się stało. W listopadzie 1920 roku był nieprzytomny z powodu ran, odniesionych w czasie rozpaczliwych walk o półwysep. Ordynans, chcąc uratować go od nieuniknionej kaźni, kiedy oddział czerwonych otoczył szpital, zabrał dokumenty Olega, a zamiast nich położył przy jego wezgiłowiu cudze, ich właścicielem był zmarły przed chwilą szeregowiec. W ten sposób Oleg nie był już porucznikiem gwardii, księciem Olegiem Andriejewiczem Daszkowem, lecz feldfeblem, mieszczaninem z pochodzenia, Osipem Andriejewiczem Kazarinowem. Dzięki temu w przeciwieństwie do większości rannych oficerów uniknął rozstrzelania.

Wracając do życia Oleg musiał zapomnieć nie tylko dawne przyzwyczajenia i sposób bycia, lecz także swoje imię. Wkrótce imię Osip tak mu zbrzydło, że postanowił zaryzykować. Przed

otrzymaniem sowieckich dokumentów zalał atramentem imię, pozostawiając tylko pierwszą literę „O”. Na szczęście nie wywołało to żadnych podejrzeń, ponieważ zgadzała się liczba liter, a także pierwsza litera. W ten sposób udało mu się odzyskać imię, które otrzymał na chrzcie, „zaświadczenie” zostało wystawione dla Olega Andriejewicza Kazarinowa.

Nina wysłuchiwała tego z przestrawieniem.

– To niebezpieczna gra, Olegu. Rozumiem, że narzuciły ją okoliczności, że nie masz wyboru, ale jednak... Czy masz pewność, że cię nie pozna i nie zdradzi nikt z tych, którzy cię znali dawniej? Ze twoje maniery, twoja wymowa, rysy twarzy, w których nie ma nic mieszczańskiego, nie wywołają żadnych podejrzeń? Czy jesteś pewny, że nie pomylisz się przy wypełnianiu nieskończonych ankiet, które będziesz musiał składać, ubiegając się o pracę? Przecież cały twój życiorys został wymyślony?

– Cały. Ale wykułem go i zawsze powtarzam w jednym wariacie. Zgodnie z dokumentami, które mi wydano, jestem synem stolarza. Urodziłem się nie w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, lecz rok wcześniej. Pracowałem w fabryce w Sewastopolu, zostałem pod przymusem wcielony do Białej Armii, potem byłem ranny, przebywałem w szpitalu, kiedy czerwoni zajęli Krym. No, a później... Później sytuacja się pogarsza, ponieważ Oleg Kazarinow występuje w roli człowieka, który ukrywa „wroga klasowego”. Otóż po wyjściu ze szpitala, ja i mój ordynans zostaliśmy przewoźnikami, żeby jakoś zarobić na życie, a mieszkaliśmy w opuszczonej rybackiej chacie. Wkrótce przyłączył się do nas pułkownik gwardii, który ukrywał się także pod obcym nazwiskiem. Rozpoznano go i wydano – widocznie uczynił to ktoś z miejscowych, a nas pociągnięto do odpowiedzialności za ukrywanie osoby poszukiwanej. Odbyłem wyrok – siedem i pół roku w obozie sołowieckim! Myślę, że wystarczający! Spodziewam się, że w związku z „proletariackim” pochodzeniem moja wina zostanie w końcu zapomniana.

Ucałował jej dłoń, zauważyła rozgoryczenie, malujące się na jego twarzy. Czuli, że potraktowała go nazbyt zimno, a on prócz

niej nie ma nikogo na świecie.

– Nieszczęście czyni ludzi bezdusznymi, nieprawdaż? – rzekła cicho.

– Niekoniecznie, Nino, ale niczego innego nie mogłem oczekiwać, biorę pod uwagę sytuację, ja sam także od dawna zobojeźniałem i zatwardziałem.

„To pewnie prawda” – pomyślała, pamiętała go jako pięknego chłopca, który uwodził jej koleżanki.

Wkrótce jednak zrozumiała, że chociaż nie przyznawał się do tego, ale czuł się dotknięty jej chłodnym przyjęciem i teraz zachowywał rezerwę, widocznie chciał udowodnić, że nie ma zamiaru narzucać się. Chodził na dworzec jako ładowacz i tragarz, za zarobione pieniądze kupował chleb i bryndzę. Wiedziała, że pewnie jest głodny i niekiedy wchodziła do niego z talerzem gotowanego dorsza z kartoflami lub z kartoflanką; parę razy przyjął to, pocałował ją w rękę z wdzięcznością. „Myślę, że wkrótce będę się mógł odwdzięczyć...” – mruknął. Raz odmówił, powiedział, że zarobił więcej i nie jest głodny, ale ani razu nie wszedł do jej pokoju, kiedy ona i Mika zasiadali do skromnego posiłku, ani razu nie poprosił nawet o szklanekę herbaty. Jak się okazało, o pracę nie było łatwo. Oleg znał biegle trzy języki – to pozwalało liczyć na otrzymanie pracy, ponieważ po pogromie, jaki po rewolucji dotknął inteligentów, pozostało niewielu ludzi, władających obcymi językami, i urzędy zabiegały o nich. A jednak praca umykała od Olega: początkowo wyrażano chęć zatrudnienia go, ale kiedy sprawa dochodziła do ankiet i życiorysu, sytuacja się zmieniała.

– Zawiadomimy, proszę się dowiadywać. Albo:

– Nie macie kwalifikacji.

Dyrektorzy dużych instytucji w trosce o własne bezpieczeństwo woleli zatrudniać ludzi, których w żaden sposób nie można było zaliczyć do wrogów klasowych.

Sprawa przeciągała się i pewnie trwałoby to w

nieskończoność, gdyby nie pomoc Mariny. Jej mąż, Mojżesz Herszelewicz Rabinowicz, zajmował wysokie stanowisko w porcie, gdzie właśnie bardzo potrzebowano ludzi, władających obcymi językami. Po kilku scenach, które zrobiła ładniutka żona, stary Żyd przyjął Olega do pracy. Uprzedzono go zawczasu o zawartości ankiety i tym razem wyprawa Olega do portu zakończyła się pomyślnie. Nina zauważyła, że Daszków nie był zachwycony nieoczekiwaną interwencją kobiety. Było mu przykro, że spowodował nieporozumienia rodzinne, w dodatku między obcymi dla niego ludźmi, ale nie miał innego wyjścia, więc pomimo zadraśniętej dumy stawiał się o wyznaczonej porze u nieznanego Żyda. W gabinecie Mojżesza Herszelewicza odbyła się rozmowa, której ani Nina, ani Marina nie przewidziały. Daszków oddał wypełnioną przed chwilą ankietę i nagle oznajmił:

– Uważam za konieczne uprzedzić pana, że ankieta jest zgodna z moimi dokumentami, ale nie odpowiada rzeczywistości.

Stary człowiek spojrzał na niego uważnie spoza okrągłych okularów w rogowej oprawie i Oleg nie mógł nie docenić przenikliwości tego spojrzenia.

– Czy pan myśli, że tego nie rozumiem? Jakim musiałbym być osłem, żeby się nie domyślić, że z pana taki Kazarinow, jak ze mnie książe Daszków. Po co jednak o tym mówimy? Zaangażowałem do pracy Kazarinowa dlatego, że brakuje ludzi, a to grozi zawaleniem planu – tak właśnie powiem w Komitecie partyjnym. Przyjmuję pana nie na etat, lecz czasowo, a w rzeczywistości, jeżeli wykaże się pan pracą, to zostanie pan u nas na długo. I proszę pamiętać, że ja o niczym nie wiem.

Ostatnim słowom towarzyszył charakterystyczny gest rąk. Oleg uklonił się i wyszedł. „To niegłupi człowiek – pomyślał – ma okropny akcent, żydłaczy, a jednak wcale nie jest śmieszny!”

W ten sposób został rozwiązany jeden z podstawowych warunków istnienia. Trzeba było jeszcze ułożyć jakoś stosunki z Niną, która od chwili zjawienia się Olega całkiem straciła spokój, wciąż się jej wydawało, że już przychodzą, żeby ich aresztować. W

nocy zrywała się wystraszona, nasłuchiwała wymyślanego dzwonnika, wyobrażała sobie przebieg rewizji.

Jej stosunki z bratem dalekie były od serdeczności. Mika, którego przyjście na świat matka przypłaciła życiem, był o szesnaście lat młodszy od Niny i obecnie chodził jeszcze do szkoły. Uczył się z odrazą pomimo zdolności i chłonnego umysłu. Na nic się jednak zdały zdolności i zalety intelektu, kiedy zajęcia prowadzili ludzie tępi i ograniczeni, po byle jakim przeszkoleniu. Od jakiegoś czasu ulubionym zajęciem Miki było zbijanie ich z tropu dociekliwymi pytaniami. Zniechęcenie do szkoły pogłębiały także stosunki z kolegami, którzy z drużynową pionierów na czele prześladowali go za książęcy tytuł i za „zacofany światopogląd”, czyli za religijność. Religijność zbudziła się w Mice jakoś nieoczekiwanie z gwałtownością, która zdziwiła Ninę. Mika nie tylko pilnie uczęszczał na nabożeństwa, ale niekiedy jeździł na prawy brzeg Newy do domu zakonnego, żeby uczestniczyć w monasterskiej liturgii. Rozumował całkiem dorośle, że w sowieckim życiu „nie ma prawdy”, tylko „zakłamanie i krzatanina”, że bolszewizm jest karą za grzechy przodków, którzy prowadzili nazbyt bogate i próżniacze życie, i że on, Mika, kiedy dorośnie, ucieknie do Balaama. Zapewniał, że ma już gotowy plan ucieczki, co okropnie irytowało Ninę. Wszelkie zasadnicze dyskusje między nimi kończyły się kłótnią. W ostatnim czasie Nina zauważyła, że Mika unika jej, i wiedziała dlaczego. Miał za złe jej związek z Siergiejem Pietrowiczem, dla młodego człowieka, żarliwego zwolennika ascezy, było w nim coś krępującego i zakazanego. Nieraz chciała szczerze porozmawiać z bratem, wytłumaczyć mu sytuację i trudności, które stały przed nią i Siergiejem Pietrowiczem, ale jakoś nie mogła się do tego zmusić. „Co mi tam, niechaj sobie myśli, co chce”. Machnęła na niego ręką, podobnie jak na wiele innych spraw w swoim życiu,*których nie próbowała rozwiązać.

W pierwszych dniach stycznia wyjechała na dwa dni do Kronsztadu z koncertem, a kiedy wróciła, w Capelli zawiadomiono ją o zesłaniu Siergieja Pietrowicza. Straciła chęć do życia, jednak po jakimś czasie konieczność zarabiania na siebie i brata zrobiła

swoje i Nina, przezwyciężając ból, zasiadała do fortepianu. Sama się dziwiła, że śpiewa, że jej głos brzmi młodzieńczo, a wykonywane utwory poruszają duszę, jak gdyby nieszczęście pogłębiło artystyczne przeżycie. „Przecież teraz tylko to mi pozostało” – mówiła do siebie, jakby chciała się usprawiedliwić.

Któregoś wieczoru siedziała w swoim zimnym, zaniedbanym pokoju, na starej kanapie za szafą i usiłowała doprowadzić do stanu używalności starą, przefarbowaną suknię, w której występowała. Robota jej nie szła, bo myślami była daleko stąd – w bydłących wagonach z zesłańcami, na wielkim transsyberyjskim szlaku.

Drgnęła, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Na progu stała Marina, ucałowały się i usiadły na kanapie.

– Wiem wszystko. Przyszłam w odwiedziny. Kiedy zabrano Siergieja?

– Trzy dni temu, byłam w Kronsztadzie, nawet nie pożegnaliśmy się. Dowiedziałam się o wszystkim w Capelli.

Marina ze współczuciem ujęła jej rękę, zajrzała w oczy.

– No i jak się czujesz?

– Cóż, jeszcze i to trzeba przeżyć. Niewiele dawał mi szczęścia, częściej płakałam, niż śmiałam się, kiedy mnie odwiedzał, ale jednak miałam coś dobrego – był człowiekiem, na którego czekałam. Ożywiał pustkę, rozumiał mój śpiew; przeżyliśmy piękne chwile przy fortepianie. A teraz absolutnie nic. Tak oto siedzę wieczorami, czuję, jak z ciemności czołga się ku mnie ponure, zimne przerażenie.

– On, zdaje się, ma matkę?

– Tak, matkę i bratanicę. Bardzo je obie kocha, dla nich pracował. Są zrozpaczone, ale pewnie ja jestem nieszczęśliwsza od nich. Asia ma młodość, przyszłość, miłość otoczenia, a ja – nic. Codziennie martwa pustka jak bolesna rana. Wiesz, jestem egoistką, przekonałam się, że nie tyle myślę o nim, a przecież oderwano go od wszystkiego i teraz jedzie gdzieś daleko, co o

sobie, o tym, że ja straciłam wszystko. Czy może nie dość go kocham?

Zamilkła na chwilę i znowu zaczęła się uskarżać na życie – nie ma co jeść ani w co się ubrać, ani kawałka drzewa, nie zapłacony czynsz.

– I z chałturami będzie gorzej, to Siergiej wyszukiwał je dla mnie i dla siebie... No, a co u ciebie? Zawsze elegancka, kwitnąca, szczęściara z ciebie! – poprawiła na koleżance modną bluzeczkę.

– Nie zazdrość mi, Nino. Ta elegancja drogo mnie kosztowała! Sprzedałam się starcowi i teraz mogę się stroić.

– Nie mów tak, Marino, jesteś dobrą żoną przyzwoitego człowieka, który ciebie uwielbia.

– A jednak ten człowiek kupił mnie. O tym wiedzą wszyscy, a najlepiej ja sama. Wysłałam za Mojżesza tylko dlatego, żeby mnie nie zesłali i żebym nie umarła z głodu gdzieś w Kazachstanie. O żadnej miłości z mojej strony nawet mowy nie było. Przecież wiesz...

Mówiła to tak sobie zwyczajnie, jak o zwykłej znanej sprawie i jednocześnie przeglądała się w małym lusterku i malowała usta.

– Tak, on kocha – uśmiechnęła się. – Ale ja go nie kocham! W tym rzecz, Nino. Przez to moja sytuacja jest męcząca i fałszywa. Nie ma nic gorszego dla mnie, niż zostać z mężem sam na sam, ponieważ nie mamy o czym mówić, przykro patrzeć mu w oczy, odwzajemniać pieszczoty... A później widzę w lustrze, jaka jestem jeszcze ładna, młoda, i czuję się podle. Myślę, że przyroda dała mi wszystko, żebym była szczęśliwa, ale to, co mogłoby cieszyć, jest torturą!

Schowała lusterko.

– W każdym razie szanujesz go? – dopytywała się Nina.

– Szanuję tak jakoś abstrakcyjnie. Cenię jego stosunek do mnie, a on sam mnie nie interesuje. Jest niegłupi, ale jakiś płytki.

Brak mu kulturalnych pokoleń. Przestaliśmy już to cenić, a tymczasem to takie ważne. Od czasu do czasu wychodzi z niego a to grubiaństwo, a to ograniczoność... A poza tym to jego otoczenie... Nie znoszę jego rodziny. Jest taki rejewach, kiedy się zbiorą, ta ich okropna małostkowość! Czuję zawsze, że oddziela nas przepaść, nie tylko dlatego, że jestem bardziej wykształcona, ale także dlatego, że my Rosjanie – przeżyliśmy w tych czasach taki ogrom smutku, o jakim zadowoleni z siebie Żydzi nawet nie śnili.

– Trudno wymagać, by się smucili z powodu Rosji – zgodziła się Nina – ale mówisz jak antysemitka. Zawsze uważałam, że wśród Żydów jest mnóstwo wspaniałych ludzi. Mój ojciec bardzo ich cenił. Gdybyś wyszła za mąż za rosyjskiego mieszczanina, byłoby to samo. Wierz mi.

– Może masz rację, ale czy to cokolwiek zmienia? Nie ma już Mariny Dragomirowej! Dajmy temu spokój. Jak tam twój *beau-frère*, opowiedz o nim – powiedziała, wiedzioną sobie tylko znanym skojarzeniem.

– Oleg? Rzadko ze sobą rozmawiamy, on przeważnie siedzi w pokoju Miki; mam wrażenie, że dowiedział się o mojej miłości z Siergiejem i unika mnie. Ale wczoraj, kiedy usłyszał o zesłaniu Siergieja, przyszedł i spędził ze mną prawie godzinę, wypytywał współczująco, ale pewnie tylko z grzeczności.

Zamilkła, przypomniała sobie coś i rzekła z uśmiechem:

– A pamiętasz, jak się kiedyś podkochiwałaś w Olegu? Kto wie, może byłby z tego romans, gdyby nie rewolucja. Pamiętasz rozmowę w moim buduarze, przekonywałaś mnie, że Oleg ma w sobie coś z Pieczorina?

– Teraz także tak uważam.

– Teraz? Kiedyś rzeczywiście był interesujący, do twarzy mu było w mundurze oficera gwardii konnej. A teraz wygląda jak zaszczuty wilk, szpeci go blizna na czole. Ty płaczesz, Marino? Co ci jest, kochanie? Czyżby wróciło dawne uczucie?

Marina podniosła głowę.

– Wszystko, co wtedy było, to głupstwo, zwykle dziewczęce marzenia. Czyż potrafiłabym wtedy kochać? Byłam zbyt wesoła, lekkomyślna dla wielkiego uczucia. A teraz... Teraz, kiedy mam trzydzieści jeden lat, kiedy jestem tak udręczona i nigdy nie zaznałam szczęścia, teraz mogłabym kochać każdym nerwem, teraz to byłoby rzeczywiście kobiece uczucie. Zdaje się, że jesteś zdziwiona?... On nie jest w twoim typie, ja wiem... Ale posłuchaj, zrozum. Pamiętasz wtedy, tamtego wieczoru, kiedy go spotkałam. Uświadomiłam sobie, że on nawet w łachmanach wygląda godnie. A później, kiedy go przyprowadziłam do twego mieszkania, Mika zaraz wyszedł na Wieczernię, a ja widziałam, że Oleg słania się ze zmęczenia, więc kazałam mu położyć się na kanapie, włożyłam kapelusz i miałam iść do domu, ale wstąpiłam jeszcze do twojej cioci i pogawędziłyśmy trochę. Potem miałam już wyjść, ale pomyślałam, że pewnie jest mu niewygodnie, a sam nie zatroszczy się o siebie. Wzięłam z kanapy tę oto poduszkę, żeby mu podłożyć pod głowę. Nie odpowiedział, kiedy zapukałam, więc weszłam cichutko, leżał na kanapie w ubraniu, już spał. Patrzyłam na wychudłe rysy, na zapadnięte oczy, było mi go tak żal! Wiesz, litowałam się nad nim kobiecą litością, którą tylko krok dzieli od miłości! Mam wrażenie, że gdyby się wtedy obudził i otworzył ramiona – rzuciłabym się bez namysłu, oddałabym się mu bez słowa, zapomniałabym o mężu, o wszystkim... Ale on leżał nieruchomo. Usiłowałam podłożyć mu poduszkę, wtedy otworzył oczy, a kiedy mnie zobaczył, zerwał się i jął przeproszać – dobrze wychowany, obcy człowiek. Co miałam robić? Wyszłam bez słowa, niczym nie zdradziłam owej nieznośnej, dławiącej mnie litości, nie przytuliłam się do niego. Ukryłam wszystko, wszystko! – rozplakała się.

Ktoś zapukał do drzwi, Marina zerwała się jak spłoszony ptak.

– To Oleg? Zobaczy, że płakałam – wyjęła swoje ulubione lusterko i szybko przypudrowała nosek. Nina nasunęła abażur.

– Proszę – powiedziała.

Wszedł Oleg. Był wysokim szczupłym szatynem. Miał piękne rysy twarzy, zwłaszcza z profilu, chociaż nieco zbyt ostre, jak po ciężkiej chorobie. Blizna na czole, pozostałość po dawnej ranie, biegła od brwi, aż do włosów. Oleg ucałował ręce pań i usiadł, kiedy go Nina poprosiła. Miał we krwi ten nieco ceremonialny sposób bycia.

– Wygląda na to, że pańskie życie zaczyna się pomaleńku układać? – spytała Marina, jej głos, kiedy się do niego zwracała, brzmiał jakoś szczególnie.

Odpowiedział uprzejmie, ale zimno, widocznie wolał unikać nadmiernej serdeczności. Jeśli mówić o trudnościach życia i niepowodzeniach bolszewików. Marina opowiadała coś i niedbale kartkowała album w aksamitnych okładkach ze srebrnymi klamrami, który wzięła ze stołu.

– Przepraszam, że pani przerwę, Marino Siergiejewno – rzekł Oleg. – Widzę w albumie zdjęcie matki. Chciałbym je obejrzeć. Nie wiedziałem, Nino, że masz rodzinne zdjęcia.

– Weź je sobie, bardzo proszę. Cieszę się, że mogę je tobie ofiarować – powiedziała Nina.

– Dziękuję – powiedział, wyjmując zdjęcie.

– Mogę zobaczyć? – poprosiła Marina.

Podał zdjęcie jakoś niechętnie, jakby trudno mu było rozstać się z nim.

– Jaka piękna była pańska matka! Wspaniałe profile i takie łagodne oczy. Dawno umarła?

Zapadło milczenie. Marina poczuła, że nie należało o to pytać.

– Księżna została rozstrzelana we własnym majątku – powiedziała Nina.

– Rozstrzelana? Kobieta? Za co? – wykrzyknęła Marina z przerażeniem.

– Pani pyta! Zapomniała pani, w jakim kraju żyjemy? – Oleg uśmiechnął się jakoś okrutnie. – Żona generała z carskiej świty, także rozstrzelanego, matka dwóch białogwardyjskich oficerów – czy to nie dość powodów do rozstrzelania? A czy nie masz zdjęć ojca i brata? – zwrócił się do Niny.

– Nie. Na wszystkich fotografiach byli w mundurach, musiałam je spalić, a wczoraj byłam zajęta paleniem liścików od Siergieja. Jestem tchórzliwa, jak zajac – ciągnęła – nie sypiam po nocach, wciąż czekam, kiedy przyjdą po mnie czy po Olega albo po oboje. Zrywam się od łada szmeru. To wprost chorobliwe. Wyobrażasz sobie, Marino, moją socjalną – jak to się teraz mówi – sylwetkę: wdowa po białogwardziście, przyjaźniła się z innym białogwardzistą, który właśnie został zesłany, a teraz mieszka z... – zająknęła się.

– Trzecim białogwardzistą, ukrywającym się pod fałszywym nazwiskiem – dokończył Oleg. – To chciałaś powiedzieć? Rzeczywiście nasze bezpieczeństwo jest wątpliwe.

Rozdział dziewiąty

*Rewolucji światowej swe życie poświęcił,
Dźwigał na barkach trudy bojowej epoki.*

Aleksy Surkow

Nina uważała, że pech ciężący nad jej życiem, miał właściwość rozprzestrzeniania się na otoczenie, zwłaszcza na ludzi, którzy mieszkali pod jednym dachem z nią. „Nie przyjaźnijcie się ze mną, ja przynoszę nieszczęście – mówiła często. – Radość omija nawet tych, których kocham”.

Stary dozorca Jegor Własowicz, człowiek pobożny, przesiadujący stale w cerkwi, wyrzucał Ninie tę filozofię, uważał, że jest ona sprzeczna z wiarą i opatrnością, ale pozostali współmieszkańcy zgadzali się z nią.

Kiedy ktoś szedł rano do kolejki, w kuchni przepowiadano: „Nasi nie otrzymają, my jesteśmy pechowi”; kiedy na ulicach zaczynała się kolejna akcja karania przechodniów mandatami, mówiono: „Ktoś z naszych z pewnością wpadnie, my nie mamy szczęścia”. W tym mieszkaniu kuchnia była klubem, a jednocześnie spełniała rolę pralni i przedpokoju. Frontowe wejście, jak w większości kamienic w tym czasie, było zamknięte. Żaden administrator nie umiał powiedzieć dlaczego. W mieszkaniu było osiem pokoi, w każdym – prócz największego przechodniego i kuchni – mieszkali ludzie w różnym wieku i różnych zawodów. Było to tak zwane mieszkanie komunalne – jedno z najwspanialszych osiągnięć władzy sowieckiej.

Rdzenną mieszkanką tego lokalu była Nadieżda Spiridonowna Ogariowa. Dawniej mieszkanie należało do niej. Stara panna przetrwała w nim czas rewolucji samiuteńka. Kiedy w 1922 roku Nina – po stracie męża, ojca i dziecka – przyjechała ze wsi z siedmioletnim Miką i dwoma walizkami, prosto z dworca

udała się do ciotki, ponieważ z mieszkania ojca i mieszkania męża nie zostało nic.

Ciotka wbrew oczekiwaniom przyjęła ją chłodno, wręcz nieprzyjaźnie. Wcale nie dlatego, że żałowała pustych pokoi, w tym czasie zaczęto je ewidencjonować, a następnie przydzielać różnym ludziom. Zjawienie się bratanicy stanowiło dodatkową możliwość uniknięcia inwazji „elementu proleteriackiego”.

A jednak zjawienie się Niny i Miki Nadieżda Spirydonowna odczuła jako zamach na swój spokój i dobrobyt. Natychmiast zaczęła przenosić wartościowsze rzeczy – srebra, porcelanę, przedmioty z brązu – jak mysz do nory, do swojej sypialni. Ledwo się zgodziła odstąpić Ninie starą, skórzaną kanapę, podniszczoną szafę i stół ze złamaną nogą. Na szczęście dla Niny fortepian nie mieścił się w sypialni Nadieżdy Spirydonowny. Stał w dużym przechodnim pokoju, dawnym salonie, i Nina otrzymała łaskawie zezwolenie na korzystanie z niego. Być może na tę decyzję wpłynął wzgląd praktyczny: bez fortepianu Nina byłaby pozbawiona możliwości zarabiania i Nadieżda Spirydonowna musiałaby ją utrzymywać. Takie obawy nurtowały Nadieżdę Spirydonownę i nieprędko zostały zapomniane.

Nie mniej niepokoju budził Mika. Nadieżda Spirydonowna obawiała się, że chłopak wszystko popsuje i zniszczy, że będzie hałasował i przeszkadzał spać. Zakazała mu wstępu do swego pokoju, zbliżania się do biblioteki i kredensu, które ze względu na rozmiary pozostawiono w pokoju przejściowym, nie wolno mu było biegać, hałasować – zresztą zakazy sypały się jak z rogu obfitości. Stopniowo Mika znienawidził ciotkę, za plecami nazywał ją jędzą i żabą, a w godzinach przedpołudniowych, kiedy Nina była na próbie, znęcał się mściwie nad starą, a to naumyślnie wołał ją do telefonu, by oderwać od haftowania, a to miauczał pod jej drzwiami albo podrzucał do pokoju zdechłą mysz, którą wyjmował z łapki, a czasem wychodził na klatkę schodową i dzwonił jak szalony do drzwi, a kiedy ciotka je otwierała, umykał pędem i z bezpiecznej odległości pokazywał język.

Pomysłowość Miki zdystansowała pomysłowość Nadieżdy

Spirydonowny, stara w końcu wycofała się z pola walki, od natarcia przeszła do obrony. Z biegiem czasu działania wojenne między ciotką a bratankiem osłabły, wciąż jednak trwała głęboka wzajemna niechęć.

Kiedy w mieszkaniu pojawił się Siergiej Pietrowicz, Nadieżda Spirydonowna całą swoją nienawiść skierowała na niego. Na ukłon odpowiadała jakimś dziwnym prychnięciem i czym prędzej wycofywała się do swego pokoju, przy tym syczała z cicha i demonstracyjnie trzaskała drzwiami. Siergiej Pietrowicz nie przejmował się jej fochami, traktował je jako temat do dowcipów, zapewniał Ninę, że Nadieżda Spirydonowna, niezłomna stara panna, należy do istot cnotliwych, dla których samo słowo „mężczyzna” jest nieprzyzwoite, a widok wulgarnych osobników stanowi zniewagę. Wychodząc od Niny żartował, że jeżeli spotka tę westalkę, to w celach doświadczalnych spróbuje ją ucałować, chociaż zdaje sobie sprawę, że może to przyplącić” życiem.

Zjawienie się Olega nie wywołało szczególnej reakcji ze strony Nadieżdy Spirydonowny. W tym czasie mieszkanie było już zatłoczone ponad miarę, stara panna musiała się pogodzić z obecnością obcych ludzi, w dodatku istot nieprzyzwoitych, i złożyła broń. Tylko czasami, kiedy ktoś odważył się przestawić któryś z jej sprzętów, miewała napady waleczności, ale zawsze przegrywała z kretesem, ponieważ jedyną osobą, uznającą jej gusty i potrzeby, była Nina.

Prócz Nadieżdy Spirydonowny, Niny i Miki do mieszkania szybko wprowadził się dozorca z żoną. Dozorca był furmanem w majątku ojca Niny; on i jego żona byli bardzo do Niny przywiązani i w ślad za nią przyjechali do Petersburga. Kiedy dzięki protekcji Niny były furman został dozorcą w kamienicy, potrafił załatwić sobie przydział na pokój. Obcy „proletariacki element” ze skierowaniami z RŻU¹⁵, reprezentowały dwie osoby, które wprowadziły się stosunkowo niedawno. W byłej służbówce mieszkał student rabfaku¹⁶ z awansu społecznego – Wiaczesław

¹⁵ Rajonnoje Żyliszcznoje Uprawlenije – rejonowa administracja domów mieszkalnych.

¹⁶ Raboczij fakultiet – przyspieszone kursy przygotowawcze w zakresie szkoły średniej.

Konoplannikow, obok – również w małym pokoiku – młoda kasjerka, którą wszyscy nazywali po prostu Katia. Nina mówiła o niej „nasza sowdziewczyna”. Dziewczę to promieniowało tanim miejskim blichtrzem, którym popisowały się wszystkie sowdziewczyny – malujące usteczka i paznokcie na czerwono i przesiadujące w kinach. Katia zaliczyła dwa krótkie małżeństwa i dwie skrobanki. Ubóstwo kompensowała chamowatym rozkazującym tonem, zapożyczonym od swojej władzy. Kiedy mówiono o polityce czy trudnościach gospodarczych, zapalczywie broniła istniejącego ustroju, a czyniła to niczym patefon, zasypując słuchaczy prasowymi cytatami i argumentami z popularnych broszur. „Nadziano ją, jak kiełbasę, i to z niej wychodzi” – powiedział kiedyś Mika swoją dosadną młodzieżową gwara. Jej pełne nazwisko brzmiało: Jekatierina Fomicznaja Byczkowa, ale nazywała siebie Jekatierina Tomowna, nie podobało się jej bowiem imię ojca. Miała dwadzieścia pięć lat.

Pewnego razu, kiedy Katia roześmiała się piskliwie z jakiejś uwagi Olega i kokieteryjnie wybiegła z kuchni, Nina odprowadziła ją wzrokiem i z uśmiechem powiedziała:

– Mam wrażenie, Olegu, że jest tu ktoś, kogo mógłbyś bez trudu podbić.

– Pokorne dzięki – odpowiedział z ukłonem – nie skorzystam. Nie jestem amatorem *demi-vierges*¹⁷, w dodatku w sowieckim wydaniu.

– Znam wasze gwardyjskie gusty: święta niewinność w welonie albo hulanki z primadonnami i Cygankami, z jednej skrajności w drugą. Nieprawdaż? – ciągnęła Nina żartobliwie.

– Doskonale to określiłaś, Nino – Oleg był już nieco zniecierpliwiony – jednak ja, niestety, nie zdażyłem zakosztować hulanek z Cygankami, ponieważ prosto z Korpusu Paziów trafiłem na front w tysiąc dziewięćset szesnastym roku.

– Jesteś beznadziejnie opóźniony, Olegu. We współczesnym

¹⁷

Demi-vierges (fr.) – Dziewczeta lekkich obyczajów.

społeczeństwie nie ma ani primadonn, ani kokot, ani aureoli niewinności. Sowieckie dziewczęta idą do łóżka za bilet do teatru i nowe pantofelki, albo z pożądaniami. Wyprawa do urzędu stanu cywilnego jest mile widziana, chociaż niekonieczna, a okres miłości waha się od dwóch tygodni do dwóch, trzech lat. Ale tak wychodzić za mąż, jak ja wyszłam – teraz nie wychodzi nikt.

– Dziękuję za nauki – Oleg szurnął obcasami.

Wiaczesław był wysokim, barczystym dwudziestoczteroletnim młodzieńcem z bujną blond czupryną. Miał dość regularne, nawet niebrzydkie rysy, ale odcisnęło się na nim piętno prostactwa, coś „burłackiego” – jak mówiła Nina. Znaczek komsomolski, który nosił, był swego rodzaju symbolem nieakceptacji w tym mieszkaniu; w obecności Wiaczesława nie poruszano żadnych tematów; jego zjawienie się w kuchni było sygnałem do przerwania rozmów, najwyżej wymieniano jakieś nic nie znaczące uwagi. Nawet we własnym pokoju Nina informowała gości: „Dzisiaj nie musimy się krępować, nasz komsomolec wyszedł”. Albo przeciwnie: „Ciszej, komsomolec jest w domu”. A Nadieżda Spirydonowna, kiedy Wiaczesław wchodził do kuchni, chowała w pośpiechu srebrne łyżki.

– Trudno posądzić mnie o sympatię do Komsomołu, ale pozwolę sobie zauważyć, że partyjniak i złodziej to nie to samo – powiedział kiedyś Oleg, zirytowany małostkową podejrzliwością starej panny.

Trudno powiedzieć, czy Wiaczesław dostrzegał ogólną niechęć, ale Oleg miał wrażenie, że po jego twarzy przemykał się niekiedy lekki uśmiech, jednak nigdy nie wyjaśniał tych spraw. Z Katią – zgodnie ze zwyczajami tego środowiska – Wiaczesław był na ty, jednak jak się zdaje, nie łączyła ich przyjaźń ani sympatia. Niekiedy pytał ją na korytarzu: „Przerabialiście już uchwałę KC?” albo: „Wybierasz się na zabawę? Usteczka umalowałaś, a referatu Kaganowicza pewnie nie znasz?”. A kiedy się okazało, że i uchwała, i referat zostały „przerobione”, rzucał niedbale: „Wiem, jak to jest, jednym uchem weszło, a drugim wyszło”.

Wiaczesława nie odwiedzała nigdy żadna kobieta, robotnica, czy też z awansu społecznego, pod tym względem nawet Nina musiała przyznać, że jest to sublokator wyjątkowo niekrepujący, chociaż „chamowaty”. Rzeczywiście nie wyróżniał się dobrymi manierami, ale też nie było w nim pewności siebie czy zarozumiałstwa, tak charakterystycznych dla środowiska partyjniaków – ludzi tak jak on pochodzących z dołów, którym umożliwiono awans społeczny, nim osiągnęli jakiś poziom kulturalny. Mika zapewniał, że młody proletariusz od rana do wieczora „pogłębia swoją wiedzę” i że w tym zbożnym wysiłku upór zastępuje mu zdolności. To była trafna uwaga, jak zresztą wszystkie powiedzonka Miki. Wiaczesław rzeczywiście był pochłonięty zajęciami, widocznie postanowił za wszelką cenę zdobyć wykształcenie.

Był raczej małomówny, jednak na każdą antysowiecką wypowiedź reagował gwałtownie. Używał tych samych frazesów co i Katia, ale w jego ustach brzmiały one szczerze i przekonująco. Tylko dozorczyńni miała odwagę wypominać mu bezbożność; spierali się ze sobą, nie było jednak między nimi wrogości; kiedy zachorował dozorca, Wiaczesław ku powszechnemu zdziwieniu podjął się odwiezienia go do szpitala.

Innym razem równie chętnie przyniósł Ninie ciężką walizkę. Z tym człowiekiem można było żyć w zgodzie, ale zbliżyć się z nim, zaprzyjaźnić nie sposób.

Wkrótce Daszkowowi wydało się, że Wiaczesław go obserwuje. Oleg zbyt długo się ukrywał, by spokojnie traktować uważne spojrzenia obcego człowieka. Zaczęło go to w końcu denerwować.

Pewnego wieczoru gotując w kuchni na prymusie parówki, kupione w drodze z portu, zastanawiał się kiedy i w jakich okolicznościach zjawilo się to wrażenie. Nie było żadnych wyraźnych faktów albo były niedostrzegalne, coś jednak musiało być!

Zaczęło się od tego, że kiedyś Mika wpadł do kuchni ze

słowami: „Ratunku! Zmyliłem się w logarytmach, proszę o pomoc!” Oleg chętnie wyszedł z nim i wtedy uświadomił sobie, że Wiaczesław był świadkiem tego wydarzenia. Mogło się wydać dziwne, że Mika prosi ślusarza o pomoc w rozwiązaniu zadania z algebry.

Innym razem, również w kuchni przy gotowaniu, Oleg czytał po francusku opowiadania Daudeta z biblioteki Nadzieży Spiridonowny, która pozwoliła Ninie i jemu w drodze wyjątku pożyczać książki. Nina zawołała go po coś, wyszedł, a książkę zostawił, kiedy wrócił, zobaczył, że Wiaczesław ją ogląda.

Było też takie zdarzenie: do Niny przysła z wizytą stara hrabina Kapnist; Oleg i Nina żegnali się z nią w kuchni, podczas kiedy panie wymieniały jakieś pożegnalne słowa, Oleg wyprostowany jak świeca trzymał oburącz palto hrabiny. Następnie pochylił się, ucałował jej rękę, otworzył przed nią drzwi i trzasnął obcasami w wojskowym ukłonie. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Wiaczesław obserwuje go zdziwionym wzrokiem.

Być może Wiaczesław zauważył jeszcze coś. Oleg rozumiał, do czego może doprowadzić ukryta wrogość w warunkach ustroju, który pochwała wszelkie donosy i obserwacje, nawet w przypadku, kiedy ich przyczyną jest osobista niechęć, kłótnia czy zawiść. Rozmyślał o tym, kiedy do kuchni wszedł Wiaczesław i zabrał się do rozpalania maszynki na sąsiednim stole. Stopniowo milczenie stało się kłopotliwe.

– Miałem przed chwilą zabawną przygodę – odezwał się Wiaczesław. – Przed bramą przewróciła się jakaś kobieta. Podskoczyłem z pomocą, a ona, osoba potężnej postury, złapała się za moje przestrzelone ramię; pomyślałem sobie, że je złamię, kobieta znowu się przewróciła, rozlała śmietanę i nuż mi uragać.

– Ma pan przestrzelone ramię? Na wojnie? – spytał Oleg.

– Tak, w łokciu, dosięgła mnie białogwardyjska kula pod Perekopem.

– Był pan pod Perekopem? – spytał szybko Oleg. – Pytam,

ponieważ wygląda pan najwyżej na dwadzieścia pięć lat.

– Mam dwadzieścia cztery. Poszedłem na ochotnika jako szesnastolatek.

„Ach ty gadzie!” – pomyślał Oleg.

– A pan na jakim froncie został ranny? – spytał Wiaczesław.

Oleg czuł się tak, jakby go prąd poraził.

– Ja? Także na Krymie. Zwerbowali mnie biali.

– Pan? Zwerbowany? Nie jest pan... Myślałem, że jest pan byłym oficerem.

– Ja – były oficer? Skąd taki domysł? Byłem ślusarzem w sewastopolskiej fabryce.

Miał dodać: „świadczą o tym moje dokumenty, ale nagle odechciało się pleść duby smalone. Wiaczesław w milczeniu patrzył mu w oczy, zda się nie widział sensu kontynuowania tej rozmowy, a może starał się rozgryźć jakąś myśl... Oleg widelcem wyłapał z rondelka parówki, obojętnym tonem powiedział coś o ich cenie i jakości i wyszedł z kuchni.

Spotkawszy Mikę, spytał, czy przypadkiem nie rozmawiał o nim z Wiaczesławem, czy się nie wygadał.

– Oczywiście, że nie! – chłopak był wyraźnie urażony. – Czy Wiaczesław czegoś się domyśla?

– Mam wrażenie, że coś podejrzewa.

– Nic dziwnego! Wujek po prostu promieniuje kwintesencją oficerstwa, te „Tak jest!”, „Czołem!”, „Melduję, że...” Jedno spojrzenie wystarczy, żeby poznać kim wujek jest. Jeżeli Wiaczesław rozgryzł wujka, to doświadczony funkcjonariusz GPU zrobi to od pierwszego rzutu oka. Trzeba na siebie uważać.

– Masz rację, chłopcze. Ale to nie tak łatwo. Przyzwyczajenie – to druga natura. Byłoby źle – Oleg skrzywił się – zaczął grzebać: ojciec, brat, Biała Armia... Źle.

Zabrał się do parówek.

– Nie powinien się wujek kłócić z Wiaczesławem – poradził Mika – w ogóle nie trzeba go zaczepiać.

– Nie sędzę, że mógłby zrobić donos ze złości, raczej ze źle pojętego poczucia obowiązku. Przecież na zebraniach partyjnych wbija się im stale do głowy, że szpiegowanie i donoszenie – to podstawowy obowiązek.

– Tak spokojnie wujek o tym mówi, kiedy patrzę na wujka, budzi się we mnie inny człowiek. Przestaję zachwycać się stanem duchownym i zazdroszczę wujkowi. Pamięta wujek u Puszkina:

*Jakżeś wesolo spędził swoją młodość!
Tyś pod Kazania więzami wojował,
Ty hufce Litwy z Szujskim odpierałeś,
Widziałeś przepych na dworze Iwana.
Szczęśliwy! – Kiedy ja od lat młodzieńczych
Po celach błąkam się, ubogi mnich!¹⁸*

– Byłbyś dobrym oficerem, Mika – uśmiechnął się Oleg.

– Ale nie zazdrość mi. Ciężki jest los człowieka, którego wszyscy zdradzili. Walczyłem o Rosję, to prawda. Bez lęku szliśmy do boju. Ale ci, którzy widzieli, jak umieraliśmy na froncie, ulegli propagandzie łajdaków. Zrywano nam z mundurów dystynkcje oficerskie, rozstrzeliwano nas jako zdrajców lub dezertersów. Za okopy, za bitwy, za rany – tak się nam odwdzięczono! A teraz ci z nas, którzy cudem się uratowali, gniją w obozach... Za co? Za odwagę, za miłość ojczyzny, za dochowanie wierności przysiędze i sztandarowi! Zazdrościsz mi wspomnień! A ja chciałbym wyrzucić je z serca, niestety nie mogę. Prześladowają mnie dniem i nocą, nie sposób z tym żyć!

Rzucił widelec na talerz, zerwał się, jał się miotać po pokoju z kąta w kąt, jak zwierzę w klatce. Wreszcie jakoś zmiękł.

Zatrzymał się, odetchnął głęboko:

– Dajmy temu spokój. Odrobiłeś lekcje? Sprawdzę zadania.

Rozdział dziesiąty

*Okrutniej doświadczonych
niż moje pokolenie
Nie ma w ogromnym kraju...*

Aleksander Blok

*Déclassé*¹⁹. Dawniej Oleg nie do końca rozumiał znaczenie tego słowa, dopiero dziś stało się ono jasne: wytracony z życia, wyobcowany ze swego środowiska, pozostający poza nurtem wydarzeń. W ostatnim czasie zauważył, że smutek trapi go dotkliwiej niż kiedyś. W obozie – wyczerpany ciężką pracą fizyczną, stale głodny, nieustannie kontrolowany przez niegodziwców – nigdy nie tracił panowania nad sobą; napięcie nerwowe podtrzymywało słabnące z każdym dniem siły. Być może sprawiał to instynkt samozachowawczy, tak czy inaczej żył w stałym psychicznym napięciu, nie analizował swoich nastrojów, żeby nie poddawać się rozpacz. A teraz, kiedy się zmieniła sytuacja życiowa, kiedy miał minimum komfortu i odpoczynku, możliwość dysponowania dwoma-trzema wolnymi godzinami, obudził się smutek poprzednio dławiony wysiłkiem woli i dał o sobie znać, jakby został uwolniony. A razem z nim zjawilo się ogromne zmęczenie, bezsensowność, osłabienie. Nie chciał zasięgać porady lekarza, rozumiał, że jest to naturalna reakcja organizmu po nadmiernym wysiłku, a tymczasem ten stan dokuczał mu bardzo. Po powrocie z pracy padał wyczerpany na tapczan, każdy ruch wymagał wysiłku, nie miał chęci nic robić: wstać, porozmawiać, pójść gdzieś; dokąd zresztą mógł pójść? Nie miał ani przyjaciół, ani znajomych; miejsca publiczne – kina, restauracje, świetlice – były dostosowane do gustów i wymagań nowego środowiska, które było mu obce, brzydziło go. Często, bardzo często błakał się po mieście i miał wrażenie, że go nie

¹⁹ Déclassé (fr.) – Zdeklasowany.

poznaje. Zmieniły się ulice, domy, sylwetki, twarze – były mu obce. Ani jednej eleganckiej kobiety, ani jednego strojnego dziecka w towarzystwie niani czy guwernantki. Zniknęły nawet rasowe psy na smyczy. Szary, zatroskany spieszący się gdzieś tłum! Ani land, ani rysaków z baranicą, ani białych samochodów, nawet dorożek nie było – tylko pędzące z łoskotem ciężarówki i tramwaje. A wojskowi bez oglądy i postawy – wszyscy w jednakowych wymiętoszonych rudych szynelach, wszyscy z gębami sklepikarzy, żaden nie odda honorów, nie stanie na baczność, nie przemaszeruje defiladowym krokiem. Jak dobrze, że nie nazywają się oficerami – sam wygląd zhańbiłby tę rangę! Oto pałac Aniczkowa bez warty. Sobór pułkowy – nie ma jednak pomnika Sławy z tureckich dział. Z placu Troickiego zniknęła maleńka stara kapliczka. Ratusz miejski – tu także nie ma kaplicy. W Pasażu i Gościnnym Dworze zamiast lśniących wystaw – puste okna... Żadnych restauracji czy kawiarni... A tutaj była niegdyś cerkiew upamiętniająca ofiary Cuszimy... Mój Boże! Przecież ściany tej świątyni były wyłożone płytami, na których wryto nazwiska poległych marynarzy, wisiały ich ordery i medale... Zniszczyć pamięć o bitwie! To jeszcze jedna zbrodnia wobec ojczyzny. Jeszcze jedna krzywda.

Dusza miasta – unosząca się nad ulicami, odbijająca się w budynkach i twarzach – jest inna. To miasto sławili i Puszkini, i Błoki – ale żadna z ich strof nie pasuje do proletariackiego mrowiska. Nie pasuje do niego wspaniała zabudowa, która przypomina o wielkiej przeszłości i w smutku milczy o dniu dzisiejszym!

Oto wysiada z samochodu osoba płci żeńskiej. Nie sposób nazwać ją damą; kokota – to także zbyt wielki zaszczyt. O, ma w ręku teczkę, jaki zamaszysty krok, z jaką ważną miną weszła do urzędu. Pewnie była kucharka – wszak teraz każda kucharka potrafi rządzić państwem! A oto jeszcze jedna teczka – pewnie dzisiejszy student, drugi Wiaczesław Konoplannikow. A przecież nie tak dawno Andriej Bieli w wierszach o Petersburgu stworzył portret studenta: „Z wyglądu jestem elegancik, i rękawiczkę białą w ręku ściskam...” Jakże dużo tych proletariuszy! Cały legion. Jak

w malignie. „Gdzieżeście, o Hunowie, jak burza grożący światu?” – oto są! Są tu wszyscy, a ten tumult – to ich żelazny krok. Nie na próżno wieszczili poeci, nie uwierzono im w porę. Z owych wieszczych utworów niedługo pewnie nie pozostanie żaden. Rzeczywiście, w miejscu gdzie była sala tronowa, zakołysze się niwa, a książki już dzisiaj są układane w stosy. Przecież zapakowano kiedyś śledzie w kartki z Biblii. Brakuje tylko białego jeźdźca czy archaniola z trąbą; „Pewnie zaczynam tracić rozsądek. Czyżby to były skutki uszkodzenia czaszki?”

Kilkakrotnie wstępował do cerkwi na rogu Mochowej: Nie z potrzeby modlitwy, na dnie opustoszałej duszy nie mogła się zrodzić modlitwa, chciał zobaczyć wystrój świątyni, znany od dawna, taki bliski, tylko on pozostał nie zmieniony w ciągu tych strasznych dziesięciu lat. Przypominał mu przeszłość, przenosił do czasów dzieciństwa.

Rankiem jednego ze swoich wolnych dni stał w cerkwi pogrążony w smutnych myślach i nagle zauważył, że w bocznej nawie odbywa się komunia, właśnie cerkiewny chór zaintonował „Dziś Dziewica...” Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest Wigilia, ciepłą falą napłynęły wspomnienia z dzieciństwa. Zapragnął przystąpić do komunii, jak to robił za chłopięcych lat, kiedy razem z innymi kadetami śpiewał w cerkiewnym chórze i wnosił z ołtarza świece. „Jestem jakby zwichnięty. Może komunia przywróci mi równowagę” – pomyślał i chciał przyłączyć się do czekających na spowiedź, ale... Jak straszny ziemno-wodny stwór na dnie przezroczystego basenu, poruszyło się w nim wspomnienie, które wraz z upływem czasu zbladło, ale się nie rozwiało. Wspomnienie o okrucieństwie, którego się niegdyś dopuścił...

Było to w czasie wojny domowej. Oddział pod dowództwem Olega likwidował ostatnie ogniska oporu na zdobytym właśnie obszarze. Zbliżali się do starego dworu, Oleg ujrzał aleję i dwie białe kolumny przy bramie – przypominające mu posiadłość rodziców. Nagle z bramy wybiegły dwie stare kobiety – z wyglądu służące – i z krzykiem rzuciły się do niego, widocznie domyśliły

się, że jest tu dowódca. Kobiety łamały ręce i płakały, z ich nieskładnej opowieści wynikało, że jacyś nieznani ludzie wtargnęli do dworu, spili się, gwałcili pokojówki, a teraz powlekli panienkę... Oleg na czele oddziału skręcił na dziedziniec. Kazał otoczyć dom, a sam z kilkoma żołnierzami wpadł do środka. Wzdrygał się później z odrazą, ilekroć wspominał obrzydliwy obraz grabieży, gwałtu i pijaństwa, który wówczas ujrzał w pańskich pokojach i owych pół ludzi, pół zwierząt, z którymi przyszło mu się zmierzyć. Kiedy już po wszystkim wyszedł na ganek i przyjrzał się „czerwonym”, rozbrojonym i otoczonym żołnierzami, gniew ścisnął mu gardło. Nigdy dotąd w żadnej bitwie nie doznał takiego uczucia. To wzburzenie potęgowała otrzymana niedawno wiadomość, jakoby Nina, która wraz z dzieckiem przebywała w majątku swego ojca, została napadnięta przez tłum ludzi, wyposażonych w upoważnienie z sielsowietu. Ludzie ci zatkali kijami jej ojca i – jak mówiono – zgwałcili ją... Sama myśl o tym, że tak nieludzko potraktowano jego bratową, karmiącą nowo narodzonego syna, przyprawiła go o szaleństwo.

Pół godziny później, kiedy odjeżdżał z dworu, widział, jak skazanych przez niego ludzi prowadzono aleją, by wykonać wyrok. Wiedzieli, dokąd i po co są prowadzeni, ich twarze nie były już ani czerwone, ani odrażające, tylko złe i ponure, wytrzeźwieli już. Oleg zapamiętał jedną twarz – twarz swego rówieśnika. Gołowąs jeszcze, śmiertelnie blady, miał oczy rozszerzone przerażeniem. Na wspomnienie tego chłopca Oleg czuł, że postąpił okrutnie. Ciężko było mówić o tym kapłanowi. Niebezpiecznie również. Nie ufał teraz duchownym. Czekista w szacie duchownej mógł skazać człowieka na śmierć. A Olegowi można było wytoczyć obrzydliwy „pokazowy” proces, który przede wszystkim ukazywałby okrucieństwo białego oficera. Z pewnością nie staraliby się zrozumieć jego uczuć, tego, w jakim stopniu rozjątrzył go tragiczny los rodziny. Nigdy się nie dowiedzą, jak on, biały oficer, kochał żołnierzy, jak w chłopięcych latach był przywiązany do ordynansów ojca i brata, a potem do własnego ordynansa. Teraz marzył o tym, by spotkać kogoś z żołnierzy ze swego plutonu; zresztą ci właśnie żołnierze uratowali go, kiedy leżał

nieprzytomny. Ale towarzysze nie chcą o niczym wiedzieć, będą krzyczeć o tym, że kazał rozstrzelać dziewięciu ludzi, nazywać go poplecznikiem białogwardyjskim i nie dobitym kontrrewolucjonistą – ulubionymi terminami sowieckiej prasy, którymi szpikowano teksty nawet w takim oficjalnym dzienniku, jak „Leningradzka Prawda”.

Oleg z daleka widział, jak wyniesiono Dary Święte, i słyszał cudowną modlitwę zapamiętaną z dzieciństwa, zakończoną słowami:

*Nie wydam bowiem wrogom Twych tajemnic,
Nie obdarzę Cię też takim pocatunkiem, jak Judasz,
Lecz powiem jako złoczyńca do Ciebie:
Wspomnij mnie, Panie,
Gdy przyjdiesz do Królestwa Swego.*

Byłem, Panie, uczciwym frontowym oficerem, a teraz nie śmiem się zbliżyć, jak ów złoczyńca. Nawet tutaj nie ma dla mnie pociechy.

W domu zastał Ninę samą; rzadko rozmawiali szczerze, każde z nich było zamknięte w swoim bólu. Tym razem jednak, pod wpływem przeżycia w cerkwi, powiedział:

– Podobno sowiecki urzędnik ma prawo do urlopu po przepracowaniu iluś tam miesięcy. Jeżeli wbrew obawom przepracuję ten okres i otrzymam urlop, pojedę tam, gdzie był nasz majorat, i spróbuję odszukać mogiłę mamy.

Nina spojrzała na niego ze zdziwieniem:

– To szaleństwo, Olegu, pokazywać się tam, rozpytywać co i jak, poznają ciebie.

– Chłopi mnie nie wydadzą. A gdzie jest mogiła twego ojca?

– W Czieriomuchach, przy wiejskiej cerkwi. Ale ja tam nie

pojadę w żadnym wypadku!

– Jak się to stało, Nino, że znalazłaś się w Czieriomuchach, a nie z moją matką?

– Ojciec zabrał mnie do Czieriomuch, kiedy się dowiedział, że Dymitr jest u białych. Powiedział, że czuje się spokojniej, kiedy dzieci są przy nim. Kto mógł przewidzieć, jak się potoczą sprawy.

– Aleksandra Spirydonowicza aresztowano właśnie tam, w majątku?

– Tak, zwalili się czekiści i komisarz – Łotysz. Żądali, by ojciec natychmiast oddał broń, uważali, że ma kontakt z białymi, którzy stacjonowali na najbliższej stacji kolejowej. Pamiętam, otoczyli Mikę i wypytywali, czy ojciec i siostra nie zakopywali czegoś. A Mika miał tylko cztery latka! Słyszemy, że mówi: „Zakopywali!” A oni do niego: „Prowadź!” Poprowadził, obserwowaliśmy to ze strachem przez oszklone drzwi; baliśmy się, że pokaże im, gdzie zakopany był nagan i szabla. Ale Mika poprowadził pod klony do mogiły szczeniaka. Nigdy nie zapomnę tych chwil... Ojciec... Jego rosła postać, szczesane do tyłu, szpakowate włosy i ta wyniosła postawa, kiedy rozmawiał z czekistami. Odmówił wydania klucza do piwnicy z winem... Lepiej było nie sprzeciwiać się.

– Twój ojciec widocznie obawiał się, że się spiją i zaczną awanturować.

– Więc wiesz? – wyrwało się jej.

– Ja? Nie... nic nie wiem...

Dopiero po jakimś czasie powiedziała:

– Furman i ogrodnik wybronili mnie, zdążyli uratować, ale ojciec był już martwy... Przez nich... Przez tę pijaną bandę straciłam ojca i dziecko. Wtedy... Z przerażenia straciłam mleko.

Zauważył, z jaką wzruszającą czułością zabrzmiało słowo „mleko”.

– Nie mogliśmy znaleźć mamki. Trzeba było dożywiać, miał

tylko trzy miesiące. Zachorował na dyzenterię – Nina ukryła twarz w dłoniach.

Podszedł i ucałował jedną z tych bezwładnych rąk.

– Myślisz w tej chwili pewnie, że ta kobieta nie stała się rosyjską Lukrecją, że pomimo wszystko żyje.

– Jak możesz tak mówić, Nino! Wcale tak nie myślę! Nie! Przecież wtedy jeszcze żyło twoje dziecko – w takiej sytuacji matka nie śmie nawet myśleć... A poza tym zostałaś uratowana. A co mam myśleć o sobie – ci niegodziwcy pędzili kolbami mnie, księcia Rurykowicza, kawalera Krzyża św. Jerzego, oficera, który walczył przez całą wojnę z Niemcami, i przy tym klęli słowami, których nie da się powtórzyć. Pamiętam, Nino, jeden etap. Szedłem wolno, miałem nie zagojoną jeszcze ranę, która się ciągle otwierała... Idący z tyłu konwojent popędzał mnie... Nagle podniósł karabin: „Biegiem, gnojku białowardyjski, bo zastrzelę jak psa!” I przyspieszyłem kroku w miarę sił...

Teraz ona spojrzała na niego tak, jak przed chwilą on patrzył na nią.

– Nie mówmy o tym – powiedziała ocierając łzy.

– Dobrze.

I znowu każde z nich zamknęło się we własnym bólu.

W następnym wolnym dniu Oleg z samego rana wyszedł z domu. Poprzedniego dnia wypłacono mu „wynagrodzenie” – jak nazywano teraz pensję, po uregulowaniu długów zaciągniętych u Mariny i Niny po raz pierwszy miał jakieś pieniądze. Dopóki musiał spłacać długi, wydawał na siebie dokładnie tyle, by nie stracić sił z głodu. Tego ranka, wolny od długów, postanowił zgodnie z radami Niny poszukać na tandecie czegoś ciepłego, ponieważ dotychczas chodził pomimo mrozów w starym oficerskim szynelu, z którego odpruł naramienniki; szynel ten nosił przez siedem lat pobytu w obozie, z obozu wyszedł także w nim. Styczniowy dzień, mroźny, słoneczny, jaskrawy, skrzył się

radością rosyjskiej zimy, Olega jednak ta radość nie wzruszała. Na tandecie otoczył go ruchliwy, rozkrzyczany tłum, snujący się bez ładu i składu. Oleg kręcił się w poszukiwaniu kufajki czy palta, kiedy dobiegło go wołanie:

– Wielmożny panie poruczniku!

Mimo woli odwrócił się i w kilku krokach od siebie ujrzał beznogiego żebraka, siedzącego pod murem. Nietrudno było rozpoznać w nim żołnierza, Olegowi wydało się nawet, że zna tę twarz, chociaż widział wiele takich, typowo żołnierskich, twarzy. Żebrek patrzył na niego, nie było żadnych wątpliwości, że jego wołał. Oleg zbliżył się.

– Z jakiego pułku? – spytał. I zaraz pomyślał, że rozsądniej było nie zbliżać się, nie reagować na kompromitujący zwrot. Gdyby człowiek, który go zawołał, nie był inwalidą, Oleg pewnie tak by właśnie zrobił.

– Kawalergardzki lejbgwardii, Jefim Drozdów, oddział zwiadowców szwadronu. A wielmożny pan porucznik Daszków? Chodziłem z panem porucznikiem na zwiad.

– Ciszej, kpiny sobie ze mnie stroisz, czy jak?

– Melduję, że nie, wielmożny panie poruczniku. Takem rad ze spotkania. Aż dech mi zaparło, kiedy pana porucznika zobaczył. Miałem wielmożnego pana za poległego, jeszcze niedawno podawałem kartkę w cerkwi w intencji pana porucznika i jego, świętej pamięci, brata. Przecie wtedy zabrano wielmożnego pana do szpitala bez czucia.

– Tak, wtedy długo leżałem w szpitalu, byłem ciężko ranny, ale ciebie los potraktował gorzej, biedaku – Oleg pochylił się, by położyć mu do czapki dziesięciorubłówkę.

– Wielkie dzięki, wielmożny panie. Niechaj Bóg wynagrodzi za dobroć. A ja w tamtej bitwie dostałem; jużem myślał, że zemrę, a cięgiem się męczę. Teraz bym się cieszył, ale śmierć o mnie zapomniała.

– Z czego żyjesz, biedaku?

– Zarabiam jakoś, trochę zebrzę, trochę wróżę; dostałem od jednego staruszka księgę z wróżbami; można z niej los przepowiadać. Sięde, otworzę księgę – podchodzą ludzie, powrózę – zapłacą. Może wielmożnemu panu powróżyć?

– Dziękuję, znam swój los – uśmiechnął się gorzko Oleg.

– Albo sprzedam coś – ciągnął żołnierz – teraz także mam dobry towar, w sam raz dla wielmożnego pana.

– Ciekawe, co?

– Tego towaru nie można przy obcych pokazywać, za niego pięć lat obozu wedle dzisiejszych porządków. Wielem razy przynosił na bazar, ale strach proponować. Nie wiadomo, na kogo trafisz, na czole szyldu nie ma. Namnożyło się teraz różnych szpiegów, wielmożny panie.

– Broń?

– Rewolwerek, znaczy się, nowiuteńki, może wielmożny pan ma ochotę? Tanio oddam.

Jakby po szampanie, ciało Olega ogarnęła fala ciepła – od dawna nie miał w ręku broni, a od dzieciństwa była dla niego symbolem szlachetności, władzy i męstwa. Początkowo, kiedy został pozbawiony prawa do posiadania broni, czuł się tak, jakby stracił rękę, a tu taka możliwość!

– Pięć lat obozu – dokładnie! A za ile sprzedasz?

– Co łaska, wielmożny panie. Nie wiem, jaka jest cena. Nigdy dotychczas nie sprzedawałem. I teraz – nie ukrywam – chcę się go pozbyć, zanadto niebezpiecznie. Jakże tu można żądać? Może przyniesie wielmożnemu panu nieszczęście. Niech wielmożny pan da tyle, ile nie żal.

Oleg wyjął portfel.

– Mam przy sobie dziewięćdziesiąt, starczy?

– Pokornie dziękuję.

– Bierz, ale się nie wygadaj, żeś mnie spotkał i że tu jestem.

O rewolwerze także. Słyszysz? Liczę na twój żołnierski honor.

– Tak jest, wielmożny panie – żołnierz podał Olegowi rewolwer owinięty szmatą.

– Nie mogę go tu obejrzyć. Naładowany? W dobrym stanie?

– Tak, wielmożny pan może być spokojny. Naładowany. I magazynek zapasowy także w szmacie.

– Żegnaj – Oleg wyciągnął do niego rękę, ale żołnierz szybko podniósł swoją do daszka zniszczonej czapki. Oleg mimo woli odpowiedział mu tym samym gestem, tak eleganckim, że doświadczone oko z miejsca rozpoznałoby w nim oficera gwardii. Następnie szybkim krokiem opuścił bazar, ponieważ ostrożność nakazywała możliwie najprędzej oddalić się od miejsca nieoczekiwanego spotkania. Żeby sprawdzić, czy go nikt nie obserwuje, pokręcił się w przechodnich podwórzach i dopiero, kiedy się przekonał, że nikt za nim nie idzie, udał się do domu. „Teraz – myślał – nie wezmą mnie żywego”.

Nie miał biurka, zastanawiał się, gdzie przechowywać rewolwer, kiedy się nie ma własnego kąta. Dopiero w południe, po wyjściu Miki, zamknął się w pokoju, żeby obejrzyć broń. Przekonał się, że jest w doskonałym stanie, i załadował na nowo. Niejedno mu się przypomniało, gdy się tak zajmował rewolwerem. Ale myśli przerwało nieśmiałe pukanie do drzwi. Szybko wsunął broń pod poduszkę kanapy, na której spał, i poszedł otworzyć. Na progu stała nieznajoma dziewczyna w palcie i futrzanej czapeczce gęsto przysypanej śniegiem, świeżą buzię zarumienił mróz, w oczach nieznajomej dostrzegł niepewność.

– Czym mogę służyć? – spytał.

Jedno spojrzenie upewniło go, że nieznajoma należy do nieszczęsnej warstwy „byłych”.

– Przepraszam, chyba się pomyliłam... Szukam Niny Aleksandrowny Daszkowej.

Serce Olega ścisnęło się, kiedy usłyszał swoje nazwisko wymienione głośno przez miłą dziewczynę.

– Nina Aleksandrowna jest w domu. Zaprowadzę panią. Może zechce pani zdjąć palto, proszę tutaj – powiedział, wyszedłszy na korytarz i jeszcze raz zerknął na nią, ponieważ wydała mu się niezwykle ładniutka. W ciemnym korytarzu spojrzęły na niego poważne, duże oczy, ocienione długimi rzęsami, na których błyszczały płatki śniegu.

– Asiu! Jaka niespodzianka! Proszę, kochanie, wejź! – zawołała Nina, która zjawiała się na progu.

„Asia! Imię z Turgieniewa!” – pomyślał Oleg. Wrócił do swego pokoju, ale rewolwer przestał go interesować. Nie upłynął kwadrans, kiedy pod byle pretekstem poszedł do pokoju Niny, pomyślał, że siedzi u niej Marina, która go darzy sympatią i z pewnością postara się zatrzymać. Tak też było. Został przedstawiony Asi i kilka minut później uczestniczył w ogólnej rozmowie, zerkał też ukradkiem na Asie. Co się z nim stało? Obudziło się nagle zainteresowanie rasową główką, pięknym kształtem wysokiej szyi, błękitnymi żyłkami na skroniach, oczami, które błyszczały spod rzęs... Podobał mu się warkocz, miał dość krótkich fryzur z podgolonymi potylicami! Z zachwytem zauważył, że Asia ma szczupłe przeguby rąk i nóg. Spojrzał na Ninę i Marinę: ich twarze wydały się zniszczone i banalne – po prostu jesienne. Twarz Asi była naturalna, ani śladu szminki, nie malowane usta nie były wcale blade, nie fryzowane włosy układały się same, doskonała czystość linii w zarysie czoła, warg i nosa, rzęsy rzucające cień na biel skóry. A najbardziej urzekła naiwna, dziecięca nieświadomość własnej urody.

Zauważył, że sukienka sięga poza kolana, chociaż aktualna moda nakazywała odsłaniać je. Dziewczyna siedziała wdzięcznie, a zarazem skromnie – nie można jej było wyobrazić sobie w swobodnej pozie, czy z papierosem w ustach. A przecież w tych czasach nawet w najlepszych domach występowało rozluźnienie obyczajów. Przed dziesięciu laty widok takiej dziewczyny nie wydałby się czymś niezwykłym, ale teraz... Gdzie się taka mogła uchować?

Mówiono o rodzicach Asi – ojca, pułkownika Bołogowskiego,

czerwoni rozstrzelali na Krymie, matka umarła na tyfus podczas wojny domowej. Wspominano zesłanego wuja Sieriożę. Żałobny temat rozmowy kontrastował z promiennym wyglądem dziewczyny. „Lilia na grobowcu” – pomyślał Oleg, kiedy nagle twarz Asi rozjaśnił uśmiech:

– Ojej, ile wróbli!

Wszyscy z uśmiechem spojrzeli najpierw na nią, a później na okno, gdzie za szybami na parapecie kotłowały się ptaki, znalazłszy kawałeczek suchego chleba czy jakiś inny łup.

Asia zaczerwieniła się.

– Nie mam sumienia! Wujek gdzieś tam cierpi, a ja się śmieję! Sama nie wiem, dlaczego taka jestem.

– Nie ma pani racji – powiedział Oleg. – Pani wuj cieszyłby się pewnie, słysząc ten śmiech.

– Tak, wujek rzeczywiście lubił, kiedy się śmiałam – powiedziała Asia. – Pewnego razu w kwietniu spacerowaliśmy wokół Arsenалу w Carskim Siole, a tam na olchach czerwieniły się pączki, jakby za chwilę miały się rozwinąć. Podskoczyłam do nich, jęłam całować je, a wujek powiedział, że sama jestem jak wiosenny pączek.

Jej wspomnienia udzieliły się Olegowi. Przypomniwał mu się las w ojcowskim majątku, on sam, kiedy był chłopcem, i wyżeł Reks. Jaka cudowna była wiosna w brzozowych zagajnikach, jak cieszył widok topniejącego śniegu, pierwszych fiołków, nieśmiałych pędów trawy... Gdzie się to podziało? Czy istnieje gdziekolwiek?

– Ja także uwielbiam Carskie Sioło, a najbardziej cerkiew Znamienską – powiedziała Marina i zerknęła na Olega swymi czarnymi oczami, ale nie spotkała jego wzroku zatopionego w Asi.

– Cerkiew Znamienską jest szczególna – powiedziała Asia. – Zawsze wstępujemy do niej, kiedy wracamy z parku, przynosząc liście i gałązki, zapalam świeczki.

– I modli się pani o ratowanie Rosji. Siergiej Pietrowicz opowiadał mi – dodała Nina.

Asia zarumieniła się, jakby przyłapano ją na czymś zdrożnym.

– Ależ ten wujek! Nie opowiada się o czymś takim! Marina znowu spojrzała na Olega i nie bez irytacji stwierdziła, że wciąż wpatruje się w Asie.

– Czy to coś złego – modlić się za Rosję? – rzekł Oleg jakoś miętko. Od dawna nie mówił takim tonem.

– Wujek Sierioża mówi o takich rzeczach żartobliwie. To mi się nie podoba – powiedziała Asia. – Mam wrażenie, że moja dusza mieszka gdzieś na zewnątrz ciała. Sprawia jej ból coś, co, być może, nie powinno... Zdaje się, że znowu mówię nie tak.

– Moje dziecko kochane! Dusza mieszka na zewnątrz, rzeczywiście ciężki przypadek! – zaśmiała się Nina i ucałowała Asie.

Oleg uśmiechał się także. Marina pomyślała z zawiścią, że pierwszy raz widzi uśmiech na jego twarzy.

Nina poprosiła Asie o zagranie czegoś. Asia wraz z całym towarzystwem posłusznie poszła do sąsiedniego pokoju, gdzie stał fortepian. Oleg został z tyłu, chciał ujrzeć jej lekki chód i dziewczęcą sylwetkę. Usiadł przy samym fortepianie, ale kiedy Asia zaczęła grać, był tak bardzo wzruszony, że się przesiadł na kanapę, stojącą w najciemniejszym kącie. Poznał „Warum?” Schumanna. Potem Asia grała fragment „Kreisleriany” i „Arabeski”, ale w odczuciu Olega wszystkie te dźwięki splatały się wciąż w smutne, powtarzające się pytanie: Warum? Warum? Warum?

Dlaczego? Dlaczego się wszystko tak skomplikowało? Po co żył, skoro przez jego życie przetoczył się jakby ślepy walec. Mój Boże, co „oni” zrobili z jego życiem! Nie zdawał sobie sprawy z tego, że w jakimś zakątku duszy żyje pamięć o rodzicach, ludziach, dzieciach, kotach, psach, damach, wojskowych...

Muzyka dotarła do tego zakątka, otworzyła go. I wszyscy oni wydostali się, zawirowali na ruinach jego duszy. Ożyło owo skryte marzenie, nie związane jeszcze z żadną postacią, nie sprecyzowane, ale już przeczuwane marzenie, które w nim żyło, zanim czerwona mgła przesłoniła świat Dlaczego się tak ułożyło?

Słuchał i nie odrywał wzroku od czystego profilu Asi. Nie zauważył, że z kolei Marina wpatrywała się w niego, a jej oczy – gdyby zechciał – mogłyby mu niejedno powiedzieć. Kiedy Asia zakończyła jakimś strzelistym akordem i wstała, opanował go żal, że zaraz odejdzie, a on pozostanie we wciąż tej samej zimnej pustce, z której nie było wyjścia.

Asia zbliżyła się do Niny, nadstawiła czoło do pocałunku. Słyszał, jak Nina powiedziała:

– Ten sam liryzm, jak u Siergieja, i rzadko spotykane uderzenie.

Kiedy podawał Asi palto i wkładał botki, czuł że ręce mu drżą i nie może opanować niepojętego wzruszenia. Już przy drzwiach Asia odwróciła się do Niny:

– Babcia prosiła przekazać – powiedziała rumieniąc się – żeby pani koniecznie wpadła do nas i że nieszczęście łatwiej jest przeżywać razem.

Widocznie dopiero teraz odważyła się powiedzieć, co jej zlecono.

– Proszę powiedzieć Natalii Pawłownie, że obowiązkowo przyjdę, że jestem wzruszona i dziękuję za zaproszenie i za to, że puściła panią do mnie – Nina ucałowała Asie, a Olegowi pozostało powiedzieć „Moje uszanowanie” i zamknąć za Asią drzwi. I zaraz miał wrażenie, że się w pokoju ściemniło, kiedy zniknęło białe czoło i fioletowe oczy.

– Czy pamiętasz, w jakimś romansie Wertyńskiego jest mowa o „rzesach, w których śpi smutek”? – spytał Ninę.

– Też mi gwardyjskie gusty! – prychnęła. – Romanse komponowali geniusze – Glinka, Czajkowski, Rimski-Korsakow, a

ty mówisz o Wertyńskim! – i zniknęła z Mariną w swoim pokoju.

– No i proszę, wiedziałam, że tak będzie! – zawołała Marina, kiedy zostały we dwie. – Wiedziałam, że on tu nie przyjdzie. Nic go już nie obchodzimy, kiedy jej nie ma!

Nina ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciółkę.

– Tak, tak! Wpadła mu w oko! Nie zauważyłaś? Nie masz zmysłu obserwacyjnego! On zawsze taki ponury, powściągliwy, teraz się ożywił. Wodził za nią oczami i tylko dla przyzwoitości zwracał się do którejś z nas. A jak na nią patrzył, kiedy grała, jak podawał jej palto, wkładał botki... Pysznił się niczym paw!

– Rzeczywiście... Chyba coś takiego było...

– No widzisz! A Wertyński? Te rzęsy! Mój Boże! Czyżbym jeszcze to musiała przeżyć!

– Bądźże rozsądna, Marino! Co się łapiesz za głowę? Jeszcze się nic poważnego nie wydarzyło. A poza tym... Nie wiedziałam, że liczysz na wzajemność... A mąż? Zdecydujesz się na wszystko?

– Masz, Nino, trzydzieści dwa lata, a rozumujesz jak osiemnastolatka. Oczywiście, kiedy zauważę w nim bodaj iskierkę uczucia, zdecyduję się na wszystko! Nie mów mi o wierności memu Mojżeszowi. Nie urodziłam się rozpustnicą, mogłabym być wierną żoną nie gorszą od innych, ale teraz, kiedy życie tak mnie sponiewierało, kiedy zrzędzeniem losu zostałam żoną starca, nie chcę myśleć ani o obowiązku, ani o grzechu. Niechaj wszystko ginie – machnęła ręką. – Oddam wszystko za chwilę szczęścia! I teraz, kiedy zrodziła się nadzieja, pojawiło się coś serdecznego, nagle ta Asia! A ty jakby specjalnie zatrzymujesz ją, każesz jej grać... Przyrzeknij mi, przysięgnij, że zrobisz wszystko, by on nie ujrzał jej więcej, że nie będziesz jej zapraszać i w żadnym przypadku nie przedstawiś go starej Bołogowskiej. Przysięgnij!

– Uspokój się, Marino, będzie tak, jak zechcesz, będziesz go miała. Jestem tego pewna.

– Myślisz, że mnie pokocha?

– Nie mogę odgadnąć jego uczuć, ale chyba nietrudno go uwieść... To prawda, obie nie jesteśmy dziewczynkami i doskonale wiemy, że młody mężczyzna po siedmiu latach pozbawienia wolności, gdzie trzymano go bez kobiet, chyba się nie oprze pokusie... A później od ciebie będzie zależało, czy potrafisz go przywiązać do siebie.

– Mój Boże, wygląda na to, że jestem jakąś Violetta, która uwodzi niewinnego młodzieńca. Ale czy jestem taka, powiedz, Nino?

– Nie jesteś Violetta, a i on nie jest niewinnym chłopcem – powiedziała Nina.

Kiedy Marina wyszła, Nina pobiegła do fortepianu w słynnym przejściowym pokoju. Pokój ten dawno nie odnawiany, z brudnymi tapetami i sufitem, był zimny i ponury, zastawiony ciężkimi meblami nie mieszczącymi się u Nadieždy Spirydonowny; stały tu także chińskie wazony z suchymi kwiatami, liczącymi ze dwadzieścia lat, których jednak ciotka nie pozwalała wyrzucać; wszystko tu było stęchłe, stare i ponure, ale serce Niny ścisnęło się nie dlatego. W tym pokoju wszystko przypominało jej Siergieja Pietrowicza, z którym spędzała przy fortepianie tak wiele wieczorów, kiedy śpiewała mu dopiero co opracowane romanse i usiłowała akompaniować, kiedy on brał się do skrzypiec. Ileż tu roztrząsali spraw dotyczących szczegółów wykonania i w ogóle muzyki! Pokój – jak się wydawało – nie sprzyjał natchnieniu, ale oni potrafili nie zwracać uwagi na otoczenie. To on podarował małą lampkę, która stoi na fortepianie, i sam ją podłączył. Godziny spędzone przy fortepianie były najlepszymi w jej smutnym obecnie życiu, a teraz i one zostały jej odebrane. On pozostał bez muzyki i pewnie bardzo tęskni za nią! Kto wie, czy nie bardziej niż za kochaną kobietą.

Siedziała jakiś czas przy fortepianie ze spuszczoną głową i rękami na kolanach, wreszcie westchnęła i zabrała się do nut – nie wolno ulegać smutkowi! Od rana chodził jej po głowie pewien romans, słyszany wczoraj; przez cały dzień zaprzętał wyobraźnię. Położyła ręce na klawiszach, zanuciła. Zaśpiewała jeszcze raz i

jeszcze. Głos brzmiał coraz lepiej, ale nie wiadomo dlaczego, nie mogła się skupić, wejść w śpiewaną melodię. Spoza tekstu i muzyki wyzierały inne dźwięki i słowa. Nie potrafiła dłużej bronić się przed ich urokiem, zerwała się, poszperała na półkach etażerki, wyjęła stare, pożółkłe kartki, położyła na pulpicie, otworzyła i jęła śpiewać. Głos drżał pod wpływem uczucia, które ją ogarnęło, dźwięczały w nim łyzy.

*Pamiętam nagle zachwycenie:
Niespodziewanie cię ujrzałem
Jak nieuchwytnie przywidzenie,
Jak piękno bóstwa doskonale.²⁰*

Śpiewała i czuła, jak porywają ten piękny utwór. Kąty pokoju tonęły w mroku, mieszkwały tam pająki; czasem nachodził Ninę lęk, kiedy zostawała tu sama, wydawało się, że kotary się chwieją, a spoza nich napływa ciemność. Było tu zawsze chłodno, teraz Nina także drżała, może jednak nie z powodu zimna, lecz ze wzruszenia, to także się zdarza, kiedy słowa i muzyka są takie piękne...

Biedny Oleg! Jest jeszcze młody, nietrudno zrozumieć, że jego serce uderzyło mocniej na widok młodziutkiej, ślicznej dziewczyny! Oczarowanie Asią jest czystsze i lepsze od tego, czego się po nim spodziewa Marina. Tamto jest uduchowione, a to... Czy można zmuszać do uległości jego, człowieka tak okaleczonego przez życie? Pod wpływem uskrzydłającej muzyki rozumiała piękno tego uczucia. Rozmowa z Mariną wydała się wulgarna. „Chyba nie jestem pewną sojuszniczką” – pomyślała.

Oleg w swoim pokoju słyszał jej śpiew, nawet otworzył drzwi i stanął w nich wsparty o framugę, by nie stracić żadnej nuty. „Jak wspaniale śpiewa – myślał – to jakby o mnie!”. Uległ

uczuciom, które ogarniały go coraz mocniej. „Lepiej, kiedy jestem zaabsorbowany pracą, niepotrzebną i nudną, ale zajmującą mnie. W wolnym czasie nie potrafię się obronić od myśli i wspomnień, a to sprawia większy ból niż ostrze noża” – myślał i ucieszył się, kiedy Nina skończyła śpiewać i wszyscy jęli się szykować do snu. Noc nie dała jednak ukojenia, w ciemności i ciszy wspominał Asie. W jej postaci skupiały się wszystkie ziemskie radości, których był pozbawiony. Widział ją, jakby przed nim stała, widział twarz, oczy, włosy, ramiona odchyłone nieco do tyłu, szczupłą sylwetkę, zda się stworzoną do ruchu, słyszał jej głos.

Starał się nie myśleć o tym, że gdyby żył swobodnie, pod własnym nazwiskiem, w wolnej, tamtej Rosji, z pewnością poprosiłby Asie o rękę... Odpędzał od siebie te myśli, ale wciąż myślał i myślał wbrew woli. Albo nagle usiłował przedstawić sobie, co Asia w tej chwili robi. Pewnie śpi spokojnie w białym łóżeczku i nawet nie podejrzewa, że wywołała zamęt w duszy pewnego samotnego mężczyzny. Biedne dziecko – stawia świece za Rosję! Co mogą zdziałać dziecięce westchnienia, kiedy cały kraj jest bezradny!

Gniewny głos Miki przerwał nagle tok myśli.

– Co się wujek wierci i wzdycha, spać nie mogę! Jak pchła gryzie, trzeba zaświecić światło i złapać ją!

Oleg milczał chwilę.

– Smutek... – powiedział wreszcie – czy nie mógłbyś mówić trochę grzeczniej?

– Smutek? – powtórzył Mika ironicznie – to trzeba wstać i pomodlić się. Smutek to także diabelskie kuszenie, wcale nie lepsze od innych. Na to jest jeden lek: „Pan Bóg zmartwychwstał” – ot co! – odwrócił się na drugi bok i zachrapał.

„Ten Mika staje się nieznośny ze swoją pobożnością” – pomyślał Oleg. Zasypiał już, kiedy rozległ się przenikliwy dzwonek. Dzwonek w środku nocy! Oleg usiadł na posłaniu, serce kołatało jak szalone.

Zadzwoniono jeszcze raz. Oleg wstał, ubrał się szybko. „To oni! Któż by inny o tej porze? Wypatrzili na bazarze, czy może Wiaczesław doniósł?... Znowu obóz... Tylko nie to!” – Schwycił gorączkowo rewolwer. Teraz, bo będzie za późno! Nie ma ani ojczyzny, ani nazwiska, ani rodziny, ani nawet sensownej pracy – nie ma nic! Przyłożył rewolwer do skroni. „Przyjmij, Panie, moją duszę! – i nacisnął spust. Ale rewolwer nie wystrzelił. – Dlaczego? Przecież był naładowany? A może zaczynam wariować i sam nie wiem, co robię?” – myślał Oleg.

Drzwi otworzyły się, do pokoju bez pukania wpadła Nina, była w szlafroku, włosy miała potargane.

– GPU! A to co, Olegu? Mój Boże, nie wolno! Oddaj mi! – schwyciła go za rękę. – Szalenciec, co ty robisz! Annuszka, na pomoc!

Dzwonek zadzwonił po raz trzeci. Oleg wyrwał rękę.

– Nie jest naładowany, Nino, puść! – podszedł do wywietrznika i wrzucił do niego rewolwer.

– Co mamy mówić, Olegu? Czyżby to po ciebie, czy może po mnie? Wiedziałam, że tak będzie – łamała rękę Nina.

– Opanuj się. Nic teraz nie możemy zrobić. Chodźmy, Mika, ubieraj się.

Chłopiec patrzył na nich szeroko otwartymi oczami i ubierał się posłusznie. Wyszli na korytarz; do kuchni wchodzili już jacyś ludzie z rewolwerami. Wiaczesław i dozorca otworzyli im drzwi.

– Jeżeli to po mnie, Olegu, to Mika... Zajmij się nim – szepnęła Nina.

– Tak, oczywiście. Ale Bóg da, że to nie po ciebie, lepiej żeby po mnie. Chodźmy.

Przybysze zapytali o „głównego lokatora”. Blada jak płótno Nina łamiącym się głosem odpowiedziała, że w mieszkaniu nie nocuje nikt obcy bez meldunku. Zażądano dokumentów. Mieszkańcy okazywali je po kolei. Oleg podał swoje, zapalił i

zapytał, czy mróz krzepnie; usiłował zachować spokój, ponieważ czuł na sobie spojrzenia Niny i Miki. Wydało mu się, że także Wiaczesław obserwuje go uważnie. Dokumenty mu zwrócono. Przybysze oznajmili, że przejdą się po mieszkaniu, by sprawdzić, czy rzeczywiście nie ma tu osób postronnych. Oleg i Nina bali się, że chodzi o byłego księcia Daszkowa. Dopiero kiedy nocni goście wychodzili z kuchni na korytarz, dozorca i Nina zorientowali się, że nie zjawiała się Katusza i nie przedłożyła swego dowodu osobistego. Więc czym prędzej powiedzieli, że zapomniano o jednej lokatorce i jęli stukać do jej drzwi. Ukazała się Katusza, zaspana, w dezabilu – ona jedna w całym mieszkaniu nie słyszała rozgardiaszu i teraz ku ogólnemu zdziwieniu, czochrając się i uśmiechając oznajmiła, że nocuje u niej koleżanka z Wyspy Wasiljewskiej. Agenci kazali ją zawołać, a kiedy podała nazwisko, okazało się, że byli u niej na Wyspie Wasiljewskiej, gdzie im poradzono szukać jej na Mochowej pod trzynastym; pewną siebie i potarganą panienkę wyprowadzono. Kiedy drzwi się zamknęły, Nina jęła histerycznie krzyczeć na Katuszę, która wciąż jeszcze nie oprzytomniała ze snu.

– Jak pani miała czelność! Pani obowiązkiem było zawiadomić mnie! Jak można przyprowadzać spekulantki czy prostytutki! Wszyscy się zdenerwowali, a panią to nic nie obchodzi! Proszę spojrzeć na siebie, jak pani wygląda! – rozpląkała się Nina.

Dozorczyńni podała jej wody. Uspokojono się stopniowo. W kuchni pozostał tylko Oleg. Usiadł na taborecie, oparł ramiona na stole i położył na nich głowę. Czuł się bardzo zmęczony, widocznie ze zdenerwowania i owej chwili pod lufą rewolweru. Kręciło mu się w głowie. Do kuchni zajrzała dozorczyńni, na widok Olega siedzącego samotnie z ukrytą twarzą, powiedziała:

– Pewnieś zmęczony! Taka chryja! Przez tych złodziejów, tych łotrów! Zamęczą człowieka, a jeszcze straszą bez zdania racji! Może dobrej herbatki zaparzyć? Ogrzejesz się i zaśniesz.

– Dziękuję. Nic mi nie trzeba. Ale nie odchodziła.

– Synka miałam, w twoim wieku, biali zabrali go pod Pskowem. Może przez to żal mi ciebie. Czasem patrzę, jakiś chudy, blady, ciągiem smutny, aż serce się kraje. Trzebaż takiego losu, wojna, rany, więzienie, wszystko się na człeka wali, a pożałować nie ma kto.

Oleg dawno nie słyszał serdecznych słów, jak te z ust prostej kobieciny i teraz nagle zmiękł, poczuł dziecinny żal do losu, do całego świata.

– A masz ty matkę?

– Nie mam matki – powiedział z wysiłkiem.

– Ożeń się, zawszeć we dwoje lżej, ktoś się o ciebie będzie troszczył.

– Która za mnie wyjdzie, Anno Timofiejewno? Komu jestem potrzebny? Obdartus pokaleczony, kandydat na zesłanie, nawet własnego kąta nie mam.

– Nie każda dziewczyna dba o majątek. Niejedna zlituje się, zechce dać ciepło, pocieszyć. Młodyś jeszcze, urodziwy, możesz wpaść w oko. Przynieść herbatki?

– Dziękuję, Anno Timofiejewno, za dobre słowo, położę się.

Wszedł do swego pokoju i w ubraniu rzucił się na kanapę. Mika, już pod kołdrą, spode łba obserwował go, nie miał odwagi zacząć rozmowę. Ich oczy spotkały się.

– Czy to ty, Mika, rozładowałeś rewolwer? Powiedz prawdę?

– Nie, to Wiaczesław. Ja nie potrafiłbym.

– Jak to Wiaczesław? Więc on wie, że mam broń? Czyś ty w pełni rozumu? Czy do takiej sprawy można wciągać partyjniaka?

– Nie powiedziałbym mu, ale scyzoryk wpadł za kanapę. Poprosiłem Wiaczesława, żeby pomógł ją odsunąć, a tu rewolwer. Skąd mogłem wiedzieć? Wiaczesław pokręcił go w rękę i powiada, że trzeba rozładować. I jak się okazało, miał rację.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Żałuje wujek, że nie jest trupem? Przez nieporozumienie z powodu tej kretynki Katuszy, leżałby wujek z roztrzaskaną głową. A samobójstwo to ciężki grzech, nawet się nie modlą za samobójców.

– Nie rozumiem tego, Mika. Bóg i święci powinni wiedzieć na wylot moje serce i wiedzieć o wszystkim, co zmusiło mnie sięgnąć po broń. Jeżeli jest wieczne życie, to gdzieś tam, w przestworzach znajduje się dusza mojej matki, która modli się za mnie, bez względu na to, czy samobójstwo jest zakazane, czy nie. To wszystko, co wiem, i bardzo proszę, zamilcz, nie praw mi kazań.

Mika zdetonowany skrobał się w głowę.

Nagle dziwna myśl poruszyła Olega: wszak Wiaczesław mógł rozładować rewolwer dzięki temu, że Oleg wyszedł, żeby być z Asią. A więc to ona bezwiednie uratowała mu życie!

– Można? – za drzwiami rozległ się głos Niny. Oleg usiadł na łóżku.

– Proszę cię, nie wstawaj – powiedziała Nina i usiadła na brzegu jego pośłania. – Okropnie się zdenerwowałam i nie mogę zasnąć. Ale dranie! Jeżeli szukali określonej osoby, tej pannicy, dlaczego nie podali od razu nazwiska? Dlaczego sprawdzali dokumenty mężczyzn?

– Ach, czyż nie wiesz, że to ich ulubiona metoda zastawiania sieci – a nuż wpadnie złota rybka. I rzeczywiście o mały włos nie wpadła – uśmiechnął się gniewnie.

– Chciałabym ci powiedzieć... Nawet myśleć nie potrafię, że targnąłeś się na życie. Przrzeknij, że się to nie powtórzy.

– To jest ostatnia sprawa, którą chciałbym roztrząsać.

– Jesteś młodszym bratem mego męża, czy mogę chociaż raz porozmawiać z tobą jak starsza siostra?

– Siostra? – powtórzył ze zdziwieniem.

Zrozumiała to na swój sposób: dlaczego w takim razie, kiedy przyszedłem do ciebie jak brat, nie okazałaś mi rodzinnych uczuć,

byłaś taka zimna? Zrozumiała to i długo milczała.

– Słuchaj, Olegu. Nie wolno ci myśleć, że twoje życie jest skończone. Jeszcze wszystko może się zmienić i w kraju, i w życiu osobistym. Jesteś młody. Może się jeszcze zdarzyć wielka miłość i rodzina. Po co wyobrażać sobie tylko to, co złe? A to, co chciałeś ze sobą zrobić – to okropne i nieodwracalne. Wstydz się tego!

Oleg milczał.

– I jeszcze jedno. Musisz poradzić się lekarza. Wyglądasz na chorego, nie ma w tym nic dziwnego, czyż stamtąd można wrócić zdrowym? Z pewnością masz anemię, może także szkorbut... Z tymi chorobami można walczyć, ale jeżeli to zaniedbasz, stracisz zdrowie na zawsze.

– Dla kogo miałbym szanować swoje zdrowie? – powiedział.

– Znowu to samo – Nina położyła dłoń na jego rękę. i nagle pomyślała, że powinna zabrać go do pań Bologowskich i przedstawić Natalii Pawłownie. Jeżeli Asia rzeczywiście zrobiła na nim wrażenie, to to będzie najlepszym lekarstwem. Ale zaraz przypomniała sobie Marinę i obietnicę, którą jej dała. Znowu tamta rozmowa wydała się jej wulgarna, w sercu obudziła się niechęć do przyjaciółki. Jak niekorzystnie poplątały się te wątki!

Przed jej oczami stanęły straszne, wciąż ją przygnębiające, wydarzenia w Czieriomuchach, kiedy oni napadli ją i zadali śmiertelne ciosy ojcu, który usiłował zasłonić sobą córkę. Mika dygotał ze strachu i długi czas jąkał się, jeszcze teraz czasami się jąka...

Podeszła do chłopca, pogłaskała.

– Wystraszyłeś się?

Mika rozumiał, że wspomniała śmierć ojca. Usiadł na łóżku, przytulił obiema rękami siostrę, ale zaraz odtrącił.

– Daj spokój, Ninko! Ciągłe te głupie czułości! Wcale się nie przestraszyłem. To ty jesteś podszyta tchórzem!

Nina z macierzyńską czułością poprawiła na nim kołdrę.

Klony... Już czerwone, wrześniowe klony, mogiłka szczeniaka w trawie, czarne chmury pędzone wiatrem, a wokół spłoszonego chłopczyka – mężczyźni z rewolwerami i kijami... Agonia ziemiańskiego życia...

„Nie są mi obcy, czuję, jak bardzo są mi drodzy!” – pomyślał Oleg, patrząc na nich.

Rano naładował rewolwer. „Do następnego razu!” – pomyślał.

Rozdział jedenasty

*O, jakąż władzę posiada ten człowiek
Który mnie nawet o czułość nie błaga!*²¹

Anna Achmatowa

Dwa dni później o siódmej rano w kuchni zebrali się – jak zwykle o tej porze – prawie wszyscy lokatorzy, którzy szli do pracy; ktoś mył się przy zlewie, inni odgrzewali śniadania. Na twarzach leżało piętno ponurego pośpiechu; wymieniano krótkie rzeczowe uwagi. Oleg, wbrew zwyczajowi, przyszedł później od innych. Nie znosił porannej krzątaniny w kuchni i mycia się na oczach innych, kiedy się trzeba spieszyć. Wolał wstawać godzinę wcześniej, żeby się umyć swobodnie, a później wracał do pokoju. Kiedy porównywał mieszkanie komunalne z obozem, dochodził do wniosku, że warunki sanitarne są tu niewiele lepsze niż w obozie.

Tego dnia przyszedł, kiedy w kuchni było już pełno ludzi, i spytał, zwracając się do wszystkich:

– Kto mi powie, co powinien zrobić sowiecki urzędnik, jeżeli nie jest w stanie pójść do pracy?

– Co panu jest? – spytała Nina, która z ręcznikiem w ręku czekała na swoją kolejkę do mycia.

– Nie inaczej, tylko zachorował – powiedziała dozorczyńni. A Wiaczesław odpowiedział za wszystkich:

– W przypadku choroby sowiecki pracownik ma prawo do bezpłatnej pomocy lekarskiej w domu i otrzymuje zwolnienie, które powinien przedłożyć w miejscu pracy. Na podstawie tego zwolnienia otrzyma swój zarobek za przechorowane dni. Czyżby pan tego nie wiedział?

²¹ Przeł. Gina Gieysztor.

– Nie wiedziałem. Wiedziałem, że w obozie nie wolno było chorować, należało paść bez czucia do stóp konwojenta, wtedy niesiono cię do szpitala, gdzie za pomocą przeróżnych zastrzyków w dwa-trzy dni przywracano zdolność do pracy i znowu pędzono do roboty. Te prawdy poznałem doskonale.

– Ć postanowił pan opowiedzieć o tym? – spytał Wiaczesław nieprzyjaznym tonem.

– To przy okazji – odpowiedział Oleg, ich spojrzenia skrzyżowały się.

Nina spoza pleców Wiaczesława dawała rozpaczliwe znaki Olegowi, nie zwracał jednak na nie uwagi.

– A gdzie mam szukać tego dobrego anioła, który wypisze mi zwolnienie? – spytał ironicznie.

– W przychodni rejonowej – jakoś uroczyście oznajmił Wiaczesław. – Będę tamtędy szedł, mogę przekazać wezwanie od pana, a pan, jeżeli źle się czuje, niech lepiej zostanie w domu.

Oleg spojrzał na niego ze zdziwieniem i chciał coś powiedzieć, ale Mika, który stał na progu z tornistrem przerwał mu:

– Ja także idę tamtędy, mogę wskoczyć. Oleg dotknął jego ramienia.

– Podskocz tam, Mika. Nie zapomnij tylko, że jestem Kazarinowem – dodał cicho.

– Proszę się nie obawiać, będę pamiętał – Mika wybiegł z kuchni.

Oleg poszedł do swego pokoju, za nim udała się Nina.

– Co cię napadło? Po co tak z nim rozmawiasz? Po co go drażnisz? Czy chcesz go przekonać o swojej nienawiści do tego ustroju? Uważaj, uważaj, jeżeli on zamelduje gdzie trzeba, znowu ciebie zamkną, a wtedy nic się nie ukryje!

– On i tak wie o mnie dostatecznie dużo, ale na razie nie

doniósł – powiedział Oleg. – Wie, że mam broń, podejrzewa, że jestem oficerem i twoim krewnym, a nie proletariuszem wbrew dokumentom. Dlaczego nie donosi – nie wiem. Chyba nie jestem w stanie dłużej udawać.

– Uważaj – powiedziała Nina. – A co ci dolega?

– Mam dreszcze i bóle w boku, pewnie się przeziębilem.

– Nic dziwnego, taki mróz, a ty chodzisz w samym szynelu. Nie mogę na niego patrzeć, na kilometr widać, że to białogwardyjski. Połóż się zaraz, drżysz. Szkoda, że w pokojach nie napalone – Nina wyszła.

Oleg był zaskoczony, kiedy zamiast siwego profesora – jak to sobie zgodnie z tradycją wyobrażał – zjawiała się młoda, energiczna lekarka. Okazała się jednak dość troskliwa i wypisała mu zwolnienie. Uspokojony co do tej sprawy, leżał i starał się zagrzać, kiedy zajrzała dozorczyńni.

– Przyniosłam ci herbatki i kawałek gorącego pieroga, prosto z pieca. Na dobre zdrowie. Ręce masz zimne, zmarzłeś pewnie. Może w piecu napalić? Nina Aleksandrowna ani kawałka drewna nie ma, zanim wróci z pracy, wyśle Mikę na bazar i jeszcze pół godziny będą się kłócić, wcześniej niż na wieczór nie napalą i będziesz leżał w zimnie, a ja migiem.

– Jaka pani dobra, Anno Timofiejewno! Dziękuję!

– Co tam dziękować! Przykryję cię kufajką, drżysz cały.

– Ma pani igłę, Anno Timofiejewno?

– Jakże bez igły, a po co ci?

– Wydarłem się, chciałbym pozaszywać.

– Albo to potrafisz? Wieczorkiem ci poceruję, a teraz śpij – podpałała w piecu i wyszła.

Nina rzeczywiście wróciła późno, jak zwykle zmęczona; między nią i Miką zaczęła się codzienna wojna:

– Nakryj do stołu i skocz po chleb.

– Później pójdę.

– Nie później, tylko teraz!

– Rozwiążę szachowe zadanie. Daj mi spokój ze swoimi głupstwami!

– Jak ci nie wstyd! Cały dzień biegam, rano śpiewałam w Capelli, wieczorem mam występ w klubie robotniczym; haruję jak szkapa, a od ciebie nie mam żadnej pomocy!

– Rozterkotała się! Dobrze już, dobrze, nakryję do stołu, ale bez obrusa, bo znowu będzie awantura, że zachlapałem sosem; obrus – to szlacheckie fanaberie!

– Toś ty taki! Naumyślnie tak mówisz! Dobrze ciebie znam! Ale nawet kiedy będę umierała, jeść będę na obrusie!

Pomimo kłótni Nina zajrzała do Olega i przyniosła mu dyżurne danie – dorsza z kartoflami.

– Co powiedział lekarz?

– Cztery choroby z długimi nazwami wypisała. Proszę bardzo: w początkowym stadium. To brzmi zastraszająco i niezrozumiale.

– Dlaczego nie spytałeś, co to takiego?

– Pytałem, ale powiedziała, że nie muszę wiedzieć, co to, najważniejsze, żeby było zapisane w kartotece. Widocznie tak ma być w sowieckim kraju.

– Żartujesz sobie, a to wcale nie są żarty – zatroskała się po obejrzeniu zagadkowych hieroglifów.

Nazajutrz Oleg znowu leżał sam z książką, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i głosik Mariny spytał, czy można wejść. Oleg zerwał się, przykrył posłanie, przygładził ręką włosy i otworzył drzwi; Marina stała na progu – elegancka, zaróżowiona, ładniutka, uśmiechnięta.

– To ja – zaszczebiotała – dowiedziałam się od męża, że jest pan na zwolnieniu lekarskim, a Nina telefonowała, że onegdaj

nocą miała okropne przeżycie. To tak mnie zbulwersowało, że przybiegłam dowiedzieć się. A Niny nie ma w domu. Może pan powie, co to było?

Podał jej krzesło, sam usiadł na stołku, na pytanie o zdrowie odpowiedział krótko i zreferował nocne wydarzenie, nie wspominając ani o rewolwerze, ani o rozmowie z Niną.

– Mój Boże, co za okropność! Wyobrażam sobie, co Nina przeżyła! – zawołała Marina. – Czy pan pomyślał, że przyszli po pana?

– Zawsze jestem na to przygotowany.

– To straszne, co pan mówi – zawołała, jej głos załamał się. Olegowi załomotało serce. Czuł, że Marina dawała mu w ten sposób znać, że nie jest jej obojętny.

A ona kontynuowała natarcie.

– Jestem bardzo niespokojna o pana – powiedziała i jakimś wzruszającym gestem musnęła jego rękę – jakby go prądem elektrycznym tknęła. Udawał, że tego nie dostrzega.

„Niemożliwe! – myślał – wydało mi się Bóg wie co...” Mówiła jeszcze, że gdyby go wzięli to ona... Nagle zamilkła. Podniósł głowę i spojrzał na nią, zaczerwieniła się, spuściła oczy, pochyliła główkę, jakby przyzwalała.

Zerwał się, przeszedł przez pokój, usiadł na parapecie okiennym, błędził wzrokiem po ośnieżonym podwórku.

– Nie trzeba ze mną żartować, Marino Siergiejewno, i lepiej... Lepiej, żeby pani sobie poszła!

Uśmiechnęła się radośnie.

– Chodź tu do mnie – szepnęła cicho, wyciągnęła do niego ramiona, ale nie ruszył się z miejsca.

– Nie nadaję się na kochanka, Marino Siergiejewno. Jestem nędzarzem, nie obdaruję pani niczym. Nie mogę się udzielać towarzysko. Widzi pani, jestem niemal w łachmanach.

– Nie widać tego. Dla mnie pan zawsze pozostaje eleganckim oficerem gwardii w nowiutkim mundurze.

Siedział bez ruchu, zbyt długo trzymano go w piekle, gdzie nie było miejsca na miłość ani nawet na ordynarną przygodę i teraz, w wieku trzydziestu lat, nie miał żadnego doświadczenia w obcowaniu z kobietą, żadnej pewności siebie, był jak uwodzony po raz pierwszy chłopiec, nie miał odwagi zbliżyć się ani powiedzieć zdecydowanie „nie”. Powściągliwość Olega zdziwiła Marinę, a myśl o tym, że wymarzone spełnienie, tak zdawałoby się bliskie, może nie dojść do skutku, sprawiła, iż nie wiedząc co robi, zerwała się, podbiegła do niego, objęła ramionami, przytuliła do siebie, żeby złamać opór.

– Kocham pana... Pragnę miłości, szczęścia! Nie mam nic, całe życie ze starym, brzydkim i nie kochanym! Bierz mnie, Olegu, bierz, jeżeli mnie pragniesz! Należy mi się w życiu chociaż jedna szczęśliwa chwila!

Kiedy Nina wróciła z pracy, dozorczyńni, która w podkasanej spódnicy myła w kuchni podłogę, była z czegoś niezadowolona.

– Przychodziła tu ta twoja latawica – powiedziała, ledwo Nina usiadła przy stole obierać kartofle.

– Jaka latawica?

– Ta twoja Siergiejewna!

– Co też pani mówi? Marina? Jaka szkoda, że mnie nie zastała.

– Ona – ani chybi – nie żałowała, że ciebie nie ma. Spryčiuła! Uładziła sprawę!

– Nie rozumiem, Annuszko, o czym pani mówi?

– Gadam, że sprawę uładziła z twoim Olegiem, po to przybiegła.

– Jak pani nie wstyd, Anno Timofiejewno! – Nina o mało nie

upuściła noża.

– Powiedz lepiej, jak jej nie wstyd! A mnie co! Ja nie kłamię. Jak mówię, to wiem pewnikiem – energicznie wycisnęła szmatę nad wiadrem.

– Dość tego, nie chcę słuchać plotek.

– Jakie tam plotki! Przyszła i szast-prast do niego. Bu-bu-bu... Gadają cościk. Potem słyszę – zasunęli zasuwę; odczekałam z kwadrans, zdjęłam buty i korytarzem pod drzwi, a w pokoju cicho... Jakie tam plotki. Wylazła stamtąd – włosy potargane, gęba czerwona: „Do widzenia, Annuszko, zasiedziałam się” – i chodu. Bezwstydnic!

– Jeżeli nawet tak, to co komu do tego – powiedziała oschle Nina. – Nie wypada podglądać przez dziurkę od klucza, a winić Mariny nie ma za co. Oleg nie jest chłopcem, pewnie on zaczął pierwszy.

– Gadanie! Zaraz uwierzę! Ona wszystko sobie ułożyła. Mówię, że po to przyszła, przecie dobrze wie, że ciebie o tej porze nie ma. Mądrała! Mąż niechaj ubiera, samochodem wozi i po teatrach prowadzi, a całować się lepiej z młodym niż ze staruchem. Paskudztwo! Olegowi trza żony, jakiejś dobrej dziewczyny, a nie amorów z rozpieszczoną paniusią, ale się przecie nie oprze, kiedy sama do niego przyszła, wiadomo po więzieniu, wyposzczony...

– Dość! Czy pani nie rozumie, że są sprawy, których nie należy poruszać? Po co mówić o więzieniu, jakby to był jakiś łajdak. Oleg był internowany w obozie, a nie w więzieniu – Nina wyszła z kuchni. Nie mogła jednak nie przyznać, że dozorczyńni ma rację, kiedy robi wyrzuty Marynie, to rzeczywiście rozpieszczona paniusia. Nina zapukała do Olega. Leżał otulony podartym szynelem i nie wyglądał na zwycięskiego kochanka.

– Znowu dreszcze i zmęczenie – odpowiedział na pytanie o samopoczucie.

– Spałeś?

– Nie, przeważnie czytałem. Była Marina Siergiejewna, chciała ciebie widzieć; prosiła przekazać, że wpadnie wieczorem.

– Ach tak! – Nina musiała się zadowolić zwięzłą informacją.

Pół godziny później na korytarzu pod drzwiami Olega miał miejsce kolejny epizod wojny domowej.

– Kupiłeś drzewa, Mika?

– A jakże. Kupiłem dwa kawałki, stoją pod drzwiami.

– Przecież to metrowej długości bierwiona, Mika! Trzeba było kupić wiązkę, z tym jeszcze tyle roboty! Padam ze zmęczenia, a trzeba będzie piłować i rąbać. Nie masz dla mnie ani krzty serca!

Oleg z trudem podniósł się z kanapy i wyszedł na korytarz.

– Chodźmy, Mika, weź piłę i siekierę – powiedział wkładając szynel. Przypomniawszy sobie, jak w holu ojcowskiego domu rzucał niedbale: „Czapkę i płaszcz!”, a ordynans, który zrywał się na jego widok, biegł wykonywać polecenie.

– Nie wolno ci wychodzić, Olegu – zaprotestowała Nina. – Dostaniesz zapalenia płuc!

– Nie obawiaj się! Na Solówkach sześć lat piłowałem drzewo. To zajęcie na kilka minut. Ale życie – dodał – śpiewaczka z takim głosem jak ty, nie ma elementarnych rzeczy. Za carskich czasów miałybyś pałac i byłabyś obsypywana kwiatami. Ofiarowałbym ci czarną różę w pucharze złotego wina, jak u Błoka.

Nina zmrużyła lekko rzęsy, jakby się czemuś przyglądała w wyobraźni i nagle zareplikowała:

– Masz rację! Śpiewaczka, z takim głosem jak mój, mogłaby za carskich czasów opływać w dostatki, ale nie byłabym śpiewaczką. Ani mój ojciec, ani twoja rodzina nie pozwoliłoby mi poświęcić się scenie. Mój głos służyłby do śpiewania kołysanek w pokoju dziecinnym i romansów w salonie. A teraz – śmiertelnie zmęczona – śpiewam, śpiewam bez końca zawsze i wszędzie i tylko wtedy bywam szczęśliwa!

Marina szła nabrzeżem Newy w swoim ślicznym futerku z popielic, ręce w skórkowych rękawiczkach ukryła w mufce. Krótco ostrzyżone puszyste włosy wymykały się spod futrzanej czapeczki. Dołeczki na rumianych policzkach podkreślały wyraz szczęścia, promieniujący z jej twarzy. Chwilami brwi ściągały się chmurnie, ale zaraz wracał uśmiech. Myśli krążyły wokół dwóch tematów. Jednym były wspomnienia, dające tyle radości. Jak on ją porwał i niósł, jak tygrys zdobycz! Skąd miał siły! Jak przyjemnie, kiedy cię niosą niby piórko! A ten długi pocałunek... Zda się, wychyliła kielich szampana – takie ciepło rozlało się we krwi i w sercu. W głowie lekko zawirowało, wydało się, że spada. Pewnie była w tamtej chwili bardzo ładna. W tej kombinacji w kwiatki, którą włożyła na wszelki wypadek, jest jej do twarzy, dobrze, że ją włożyła!

Ale spoza miłych wspomnień napływały myśli mniej miłe, na które nie umiała znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Nawet samej sobie trudno się było przyznać, że nie usłyszała od niego słowa „kocham”, chociaż pierwsza powiedziała to słowo. Wspomnienie o tym, że podbiegła do niego i przywarła całym ciałem, budziło gwałtowny wstyd. Ale nie! On nigdy nie zrobiłby pierwszego kroku, jest ubogi, nie ma ani ubrania, ani pieniędzy, żeby ją bawić i robić podarunki. Sam powiedział. Nie rozumie, że ona niczego nie potrzebuje, miły, głupi oficer gwardii! A więc postąpiła słusznie. I znowu myślała o pocałunkach i o swojej urodzie.

Krótki zimowy dzień dobiegał końca, kiedy sobie uprzytomniła, że dawno powinna być w domu; zmęczony mąż pewnie wrócił z pracy i czeka na obiad, zresztą gosposia da mu obiad – niekoniecznie musi to robić Marina!

Około godziny dziewiątej zastukała do drzwi Niny.

– Dzień dobry, kochanie! Byłam u ciebie dzisiaj. Zmartwiłam się, że nie zastałam. Przyniosłam tort, prosz Mike i Olega na herbatę!

– Zmartwiłaś się, że mnie nie zastałaś? – powtórzyła Nina, w jej głosie mimo woli zabrzmiało zwątpienie.

– Oczywiście, bo co? – policzki Mariny zaczerwieniły się zdradziecko.

Nina bawiła się nożem do przecinania papieru, jej wyrazista twarz była zachmurzona.

– Bardzo cię proszę, nie baw się ze mną w ciuciubabkę – powiedziała, nie patrząc na Marinę.

– Wiesz coś? Kto ci powiedział? – zmieszała się Marina.

– Wszystko jedno, kto. Wiem.

– Przecież nie on ci mówił?

– Mój Boże! Oczywiście nie on. Stały jakiś czas w milczeniu.

– Gniewasz się na mnie, Nino?

– Żal mi Olega. Wiem, że teraz bardzo cierpi, a ty... Robisz to dla przyjemności, pobawisz się nim i do reszty zapłaczesz jego życie. Tak trudno mu było znaleźć pracę, a teraz możesz skomplikować mu sytuację służbową. Czy chociaż pomyślałaś o tym? I w ogóle, co może wyniknąć z tego związku poza komplikacjami? Żadnych przyjemności i rozrywek Oleg ci nie da, musisz to zrozumieć. A mąż? Chyba nie masz zamiaru oszukiwać go?

– Więc tyś taka, Nino! Dobrze ci mówić. Tyś wyszła za mąż w wieku dwudziestu lat z miłości za sztywnego oficera, nacałowałaś się z nim do woli. A później całowałaś się ze swoim Siergiejem. A ja? Ja nie miałam nikogo. Wiesz doskonale, w jakiej sytuacji były dziewczęta, które przed rewolucją nie zdążyły wyjść za mąż: nędza, żadnych przyjęć i balów, nikogo z towarzystwa, żadnego wyboru... Zrozum, dzisiaj pierwszy raz zaznałam smaku pocałunku kochanego mężczyzny. A mam już trzydzieści dwa lata! Straciłaś męża, straciłaś Siergieja, ale byłaś kochana i kochałaś, a ja nie miałam nic. Nie potrafisz zrozumieć goryczy takiej sytuacji. I ty mi robisz wyrzuty! – Marina miała łzy w oczach.

– Nie robię ci wyrzutów, Marino, po prostu się niepokoję. Zawsze tak jest, że muszę myśleć o wszystkich. I Mojżesza Herszelewicza szkoda. Mam wrażenie, że nie uważasz go za człowieka, a jest dla ciebie taki dobry!

– Mojżesz Herszelewicz dostał mnie i to mu powinno wystarczyć. Ty, Nino, litujesz się nad wszystkimi, prócz mnie.

Nina milczała jakiś czas.

– Nie boisz się ciąży? – spytała.

– Dlaczego chcesz koniecznie wylać na mnie kubek zimnej wody?

Nina nie odpowiedziała.

– Chyba, Ninko, nie zerwiesz ze mną z tego powodu? Zgoda, możesz mnie besztać, wymyślać mi, ale nie zrywaj przyjaźni. To wszystko, o co cię proszę!

Znała władzę swojej pieśczoćy nad samotną przyjaciółką, przytuliła się do Niny, zajrzała jej w oczy, jak kotka otarła się o policzek i Nina uśmiechnęła się.

– Doskonale wiesz, że nie zerwę. Ale z ciebie wariatka, Marino.

– Racja, wariatka. Chcę szczęścia i będę je miała! Kilka minut później siedziały przy stoliku do herbaty.

Zgodnie z życzeniem Mariny, poproszono „chłopców”, ale zjawił się tylko jeden z nieoczekiwaną wiadomością: „Nie wiem, co się dzieje z Olegiem Andriejewiczem, mówi sam do siebie, chyba majaczy”.

– Wiedziałam, że tak będzie – zerwała się Nina. Marina także skoczyła do drzwi, ale Nina powstrzymała ją za rękę, wskazując znacząco na Mikę. Marina usiadła na kanapie.

– Nalewaj herbatę, zaraz wrócę, zobaczę tylko co mu jest. Nina wkrótce wróciła.

– Rzeczywiście majaczy. Obawiam się, że to zapalenie płuc.

Trzeba dzwonić do szpitala, w domu nie ma kto pielęgnować go, cały dzień będzie leżał bez opieki, w pokoju zimno, nie mam pieniędzy na dodatkową wiązkę drzewa. Marina otarła łzy.

– To głupie, że płaczę – szepnęła, spotkawszy zdziwione spojrzenie Miki – ale tak mi ciebie żal, Nino! Wszystko się na ciebie wali. Nino, kochanie! Pozwól – oto sto rubli, to dla was wszystkich. Spójrz, jaki Mika blady. Bardzo cię proszę, weź! Czy nie mogę ci pomóc?

Nina wzdragała się. Po wymianie zdań postanowiono, że pieniądze zostaną zwrócone, kiedy uda się sprzedać posążek Buddy z kości słoniowej, niedawno oddany do komisju. Nina zapewniała, że ten Budda przynosi nieszczęście i że go nie żałuje.

– Dziwak z tego Olega Andriejewicza – powiedział Mika, pałaszując tort – majaczy po francusku. Najpierw mruczał coś bez sensu, a potem nagle powiedział: *Le vin est tiré, il faut le boire*²², widać ma ochotę na jakieś wino.

Nina zerknęła na Marinę, której policzki zarumieniły się, a usta zadrżały, jak usta skrzywdzonego dziecka.

Kiedy Marina wyszła, Nina kazała Mice położyć się w jej pokoju, a sama usiadła przy posłaniu Olega, żeby poczekać na sanitarkę ze szpitala, którą wezwała telefonicznie. Była tego dnia bardzo zmęczona i pełna wrażeń. Po pilowaniu drzewa, za które Oleg musiał tak drogo zapłacić, napaliła w piecu i wykonawszy dziesiątki innych gospodarczych czynności, wybrała się wreszcie z wizytą do Natalii Pawłowny. Całkiem nieoczekiwanie została przyjęta bardzo serdecznie, jako narzeczona Siergieja Pietrowicza, o czym powiedziano wprost. Natalia Pawłowna uściskała ją, Asia rzuciła się jej na szyję, a Francuzka nie szczędziła komplementów. Natalia Pawłowna przekazała, list od Siergieja Pietrowicza, czytając go Nina rozplakała się, co je jeszcze bardziej zbliżyło. Wróciła stamtąd pięć minut przed przyjściem Mariny, ale jej o

²²

Le vin... (fr.) – Wino otwarte, należy je wypić.

niczym nie mówiła, ponieważ Marina była pochłonięta własnym romanssem, a Nina nie chciała o takim ważnym wydarzeniu w swoim życiu mówić mimochodem. Poza tym informować o przyszłym małżeństwie w dniu, kiedy przyjaciółka bez zastanowienia zdecydowała się na zdradę małżeńską, wydało się jej niedelikatne. Teraz siedziała w ciszy, wspominała szczegóły wizyty i czuła, że przygarnęła ją wspaniała rodzina. Zapragnęła jeszcze raz przeczytać list. Przypomniała sobie, że został w mufce, przyniosła go i usiadłszy znów przy posłaniu Olega, rozłożyła list.

„Najmilsza i najlepsza ze wszystkich kobiet, stało się, jadę w nieznane! Zostawiam Mamę i Asię na łaskę losu bez żadnych środków do życia, z Tobą nie mogę się nawet pożegnać, a tymczasem miałbym wiele do powiedzenia Ci. Twoje słowa o stracie dziecka spowodowały we mnie jakiś przełom. Przez wszystkie ostatnie dni myślałem o tym i – jeżeli jeszcze chociaż trochę mnie kochasz – uważaj mnie za narzeczonego. To oficjalne oświadczyń. Powiedziałem już, Mamie i Asi, że uważam Ciebie za narzeczoną, jestem przekonany, że będą dla Ciebie serdeczne. Będę szczęśliwy, jeżeli to Ci sprawi bodaj odrobinę radości. Wcześniej także niczym prócz miłości nie mogłem upiększyć Twego życia, a teraz jako narzeczonego nic nie jestem wart. Każda inna kobieta odrzuciłaby bez wahania propozycję człowieka w mojej sytuacji, ale Ty nie należysz do takich. A jednak uważając swoje słowo za wiążące dla mnie, Tobie pozostawiam całkowitą swobodę, podejmiesz decyzję, kiedy zechcesz. Może w ten sposób odkupię swoją winę. Piszę ten list nocą. Nie wiem, kiedy się zobaczymy, kiedy znowu wezmę Cię w ramiona i usłyszę Twój boski sopran. Nie potrafię przedstawić sobie życia bez drogich mi ludzi i bez orkiestry!”

Położyła list na kolana, a z oczu znowu płynęły łzy.

Oleg poruszył głową, coś zabełkotał... Obejrzała się, nagle zrozumiała, zerwała się, jęła szukać czegoś wokół jego wezgięcia. Jest! Dobrze, że sobie przypomniała, gdyby sanitariusze go znaleźli, pewnie spisaliby protokół, a sprawę przekazali do GPU. Ukryła rewolwer w mufce, starannie zapięła kieszeń i postanowiła

solennie, że jutro wrzuci broń do Newy. Obserwowała miotającego się Olega i czuła, że wbrew postanowieniu, coraz bardziej się do niego przywiązuje, a jego los budzi w niej coraz silniejsze siostrzane uczucia.

Rozdział dwunasty

Na początku lutego Natalia Pawłowna wracając do domu zasłabła na schodach.

Kiedy madame ją rozbierała, Natalia Pawłowna powiedziała bardziej do siebie niż do niej: „Wpadły w sieci oba nasze sokoły...” – to zdaje się z Puszkina? Francuzka zrozumiała, że starsza pani ani przez chwilę nie przestaje myśleć o losie swoich synów.

Stary lekarz, którego wezwano do domu, a który leczył ją jeszcze w dawnych czasach, orzekł, że to niewydolność serca, zapisał leki nasercowe, kazał leżeć kilka dni w łóżku i nie denerwować się.

Na trzeci dzień choroby babci Asia wyjęła w końcu ze skrzynki list od Siergieja Pietrowicza. Pisał w nim: „Moje Kochane! Wciąż jestem w podróży. Jedziemy powoli, ciągle stoimy na bocznicach. Wiozą nas w zamkniętych wagonach, ale na stacjach i przystankach, kiedy w pobliżu nie ma konwojentów, wyrzucamy listy przez zakratowane okienka w nadziei, że jakiś dobry człowiek znajdzie je i wyśle. W ten sposób wyrzuciłem dwa listy do Niny i dwa do Was. Bądźcie o mnie spokojne, jestem zdrowy. Wagon – ma się rozumieć – niezbyt komfortowy, za to towarzystwo doborowe. Wielu moich towarzyszy podróży jedzie prosto z więzienia. My – szczęśliwsi – musieliśmy podzielić się z nimi zapasami prowiantu, kopert i papierosów, a teraz umówiliśmy się z pewnym konwojentem, że za niewielką opłatę będzie nam robił za nasze pieniądze zakupy i przekazywał na stacji, wchodząc pod wagon, przez dziurę w ubikacji (wybaczcie ten szczegół). Dobrze byłoby, gdyby naszej paczki nie rozdzielono, lecz osiedlono razem. Spędzamy czas na dyskusjach na różne tematy, z filozoficznymi włącznie. Zorganizowałem maleńki zespół, śpiewamy „Oczy czarne”, „Pieśń o wieszczym Olegu” i inne znane pieśni. W środku wagonu stoi piecyk, przy którym się ogrzewamy i gotujemy wodę – przynoszą ją nam trzy razy dziennie. Byłbym prawie zadowolony, gdyby nie dotkliwy niepokój o tych, których zostawiłem.

Wasz Siergiej”

Kiedy Asia skończyła czytać list, Natalia Pawłowna poprosiła: „Daj mi go, chciałabym zobaczyć charakter pisma”. Asia w milczeniu podała list, w którym najbardziej przejęły ją słowa „przez zakratowane okienko”. Przypomniła sobie obraz „Wszędzie życie”. „Wsadzić za kraty takiego człowieka, jak wuj Sierioza!” – pomyślała, czuła, że do oczu napływają łzy, udała, że ogląda dobrze znany parawan z lionńskiego aksamitu ze scenami z życia arkadyjskich pasterzy.

Natalia Pawłowna czytała list w absolutnym milczeniu, a kiedy spojrzała na domowników, zobaczyła niespokojne oczy Asi pod długimi rzęsami i zatroskany wzrok Francuzki. Złożyła list.

– Zróbcie herbaty i siadajcie tu przy mnie – powiedziała spokojnie. – Asia jest taka blada, powinna położyć się wcześniej.

Jej ton przywrócił nastrój opanowania i spokoju, który zwykle panował w tej rodzinie bez względu na sytuację. Żadna z nich – jakby się umówiły – nie zwierzała się ze swego duchowego stanu, nie mówiły o tym, że Siergiej Pietrowicz nigdy nie dostanie zezwolenia na powrót, że nie dziś to jutro Natalii Pawłownie także wręczą podobny nakaz, a drzwi konserwatorium zostaną dla Asi ostatecznie zamknięte. Madame lubiła przysłowie: *Il faut faire bonne mine à mauvaise jeu*²³. Wyglądało na to, że zdanie to stało się dewizą rodziny.

W tych dniach Asia boleśnie przeżywała swoje nieprzystosowanie do życia. W ciągu tygodnia spotkały ją dwie porażki w dwóch próbach znalezienia pracy. W szkole muzycznej zaproponowano jej lekcję muzyki. Robotnicza rodzina otrzymała przydział na pokój, zajmowany przez represjonowanego „byłego”; na środku tego pokoju stał wielki fortepian, teraz bezpański. Objęli go w posiadanie nowi gospodarze i babcia postanowiła uczyć muzyki swego małego wnuczka. Chłopczyk był okrągłutki, złotowłosy, ostrzyżony na polkę, przepasany rzemykiem – taki sobie kmiotek! Nóżki nie sięgały pedałów, ale głos miał czysty i

²³

Il faut... (fr.) – Trzeba robić dobrą minę do złej gry.

potrafił ze słuchu powtórzyć każdą melodię.

– Jaki masz dobry słuch, Misza! – ucieszyła się Asia. Widok fortepianu, wciśniętego w typowo drobnomieszczańskie wnętrze, boleśnie ranił jej serce, być może właściciel jechał razem z wujkiem Sieriożą w bydłowym wagonie. Nauczycielka i uczeń spędzili przy fortepianie ponad godzinę, a stara babcia podparłszy ręką policzek obserwowała ich z czułością.

– Dzięki ci Panie! Dozwoliłeś znaleźć mi dla Miszy nauczycielkę. Młoda jeszcze, ale widać, zna się na rzeczy i taka delikatna... Daj, Panie, rozum Miszy.

Kiedy nauczycielka wychodziła, staruszka obdarowała ją kruchymi ciasteczkami własnego wypieku.

Asia wracała cała w skowronkach, jej serce poruszył jeden szczegół: przy drzwiach spotkała ojca chłopczyka, robotnika, i zobaczyła, jak Misza wskoczył na kufer, jego główka znalazła się na wysokości głowy ojca, chłopczyk objął ramionami jego szyję. „U mnie też tak będzie! – pomyślała – mój syneczek będzie wskakiwał na babciny kufer, który stoi w przedpokoju. Proletariusze nie są wcale troglodytami, jak zapewniają babcia i madame, są tak samo dobrzy jak my”. Dopiero kiedy dochodziła do domu, nagle zrozumiała, że zrobiła okropne głupstwo! Przypomniała sobie, że zachwycona słuchem i głosem chłopca własnoręcznie podcięła gałąź, na której miała się ulokować. Kiedy się okazało, że babcia przyrównuje jej honorarium do własnego zarobku za mycie podłóg, Asia chlapnęła ni w pięć ni w dziewięć:

– Nie trzeba mi pieniędzy! Misza jest taki zdolny, będę go uczyła bez pieniędzy!

Lekko było powiedzieć, ale gdzie rozsądek? Babula natychmiast złapała ją za słowo. „Alem głupia! Ci ludzie – jak się zdaje – żyją lepiej od nas, za jedną paczuszkę herbaty dla madame warto było jeździć na te lekcje, a ja bez zastanowienia zrezygnowałam ze wszystkiego!” – rozplakała się.

Drugą próbę przedsięwzięła bez wiedzy Natalii Pawłowny.

Kiedy nazajutrz wychodziła z bramy, spotkała starszą panią z opatulonym dzieckiem na ręku. Asia przytrzymała drzwi, puściła ją przodem i zadeklarowała się, że potrzyma dziecko, nim pani kupi pieczywo w piekarni.

Dziękując Asi dama powiedziała, że jest już zmęczona opieką nad dzieckiem.

– Może pani zna jakąś kobietę, która by się zgodziła wyprowadzać codziennie na spacer naszego Aloszę? – spytała.

– Chętnie bym to robiła! – powiedziała Asia i spiekła raka. Nazajutrz pod pozorem próby tria Glinki Asia wyszła z domu o umówionej porze i teraz schodziła na dół z opatulonym maleństwem w ramionach. W bramie stała gromadka chłopców, widocznie studentów.

– Przejście dla młodej matki, towarzysze! – powiedział jeden.

– Ale ładny maluszek! – odezwał się inny.

– Chłopczyk? – zainteresował się któryś.

– Syn – powiedziała dumnie Asia.

– Nowy obrońca rewolucji! Jak ma na imię?

– Alosza.

– A po ojcu?

Asia nie wiedziała, co powiedzieć. Zdawałoby się najprostsza w świecie sprawa – wymienić pierwsze lepsze imię, ale jakoś wszystkie imiona wyleciały jej z głowy. Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

– A po co mu imię ojca, bez niego będzie świetny! Niech żyje towarzysz Aleksy, obrońca rewolucji!

– Hura! – ryknęli, jeden z nich dotknął ramienia Asi.

– Zuch, dziewczyna! Tak właśnie postępuje prawdziwa komunistka. Rodzina to przeżytek.

Asia prędko uciekła na maleńki skwer naprzeciwko bramy i

usiadła na ławeczce. Alosza uśmiechał się szeroko bezzębnymi ustami, nowa niania wyraźnie przypadła mu do gustu. Dwie starsze kobiety, które siedziały obok, z ciekawością obejrzały Asie, żywe zawiniątko w jej ramionach i nawet „były” sobole.

– Syn?

– Syn.

– Dopiero szkołę skończyła, a już mama. Trudny poród? biodra ma pani wąskie, a może było nieprawidłowe położenie płodu? W jakim szpitalu pani rodziła?

Asia patrzyła na nie szeroko otwartymi oczami, zaskoczona gradem pytań, nie wiedziała, co ma powiedzieć, a młodzi ludzie machali do niej spoza płotu upuszczoną rękawiczką.

– Niech pani biegnie po rękawiczkę, potrzyam dziecko – powiedziała jedna z kobiet, ale ledwo Asia podała jej Aloszę, mały skrzywił się i zapłakał, a w bramie jak na złość ukazała się jego babcia.

– No i proszę, już się pani pozbyła dziecka! – babcia zabrała Aloszę i dodała: – A jeszcze z dobrego domu!

Asia rozejrzała się bezradnie, czuła w tych słowach coś niezrozumiałego, ale obraźliwego dla siebie i zaczerwieniła się pod wpływem poczucia krzywdy. Nie tłumaczyła się, ani się nie usprawiedliwiała, uciekła do bramy, zapominając o rękawiczkach. Po południu wracała ze szkoły w towarzystwie Szury Krasnokutskiego.

Ten chłopak, były licealista ze świetnymi manierami i marzącymi oczami, który niespodziewanie dla samego siebie zamiast liceum, ukończył sowiecką szkołę pracy, zalecał się dość nieudolnie, Asia stale podkpiwała z każdego objawu jego sympatii. Tym razem, rozmawiając całkiem zgodnie, skręcili z prospektu Litiejnego na ulicę Pantielejmońską i tutaj o mało nie wpadł na nich wysoki ponury mężczyzna w roboczej kurtce i czapce z daszkiem; mężczyzna obrzucił ich nieżyczliwym spojrzeniem i burknął głośno:

– Arystokraci, nie wystrzelano wszystkich!

Chłopak i dziewczyna spojrzeli na siebie z zaskoczeniem.

– Cóż to takiego, na Boga! – szepnęła Asia.

– Chodźmy szybciej, szybciej – Szura pociągnął ją za rękę. – Niech się pani nie odwraca! Chyba nie idzie za nami. Jaka miał złą twarz!

– Co im zrobiliśmy, Szura? Przecież rozstrzelali już naszych ojców... Czyżby i nasze pokolenie trzeba było mordować i wypędzać? Czy mało jeszcze było krwi?

– Oni to nazywają walką klasową, Asiu. Pragniemy żyć, uczyć się, marzymy o szczęściu, ale wyrok zapadł, rzecz tylko w terminach. Uczmy się języków obcych lub studiujemy coś innego, wykształcenie jest dla nas na razie kotwicą ratunku, ale oni chcą mieć własne kadry i kiedy je stworzą, nas – byłych – wykorzenia, jak pnie w lesie.

– Ale cośmy zawinili? Kiedy się zaczęła rewolucja, miałam siedem lat, a pan – dziesięć. A poza tym skąd on mógł wiedzieć, jakiego jesteśmy pochodzenia? Gdybyśmy przemknęli obok niego w złoconym powozie, ale my nie jesteśmy ani trochę lepiej ubrani od wszystkich!

Przytulił do siebie jej ramię.

– Powóz nie jest wcale potrzebny, panno Asiu! Zdradza panią twarz, jest zbyt szlachetna. Ma pani wygląd wybitnie kontrrewolucyjny. Zresztą i ja wyglądam wielce charakterystycznie. Niedawno wstąpiłem do cukierni, a sprzedawczyni mówi: „Wygląda pan na kilogramy, a kupuje odrobinę!”

Asia zaśmiała się.

– Miły, kilogramowy Szura, jest mi strasznie smutno! – powiedziała.

Tego wieczoru rozległ się dzwonek, rzecz rzadka w wyklętym domu. Asia otworzyła i ujrzała niewysokiego, szczupłego chłopca,

Żyda – skrzypka ze szkoły muzycznej.

– Dodi Szyfman! – zawołała radośnie, wybiegając do przedpokoju.

– Dzień dobry, Asiu! Przyszedłem zawiadomić, że próba naszego trio odbędzie się jutro, a nie w piątek. Kierownik klasy instrumentalnej zobowiązał mnie powiadomić panią. A poza tym... Zdobyłem przypadkiem bilety do „Pariziany”, wyświetlają dobry film. Może się pani wybierze ze mną?

– Oczywiście, z przyjemnością! – Asia nawet podskoczyła i już sięgała po palto, ale odwróciła się i spotkała surowe spojrzenie Francuzki.

– Pani zgadza się, madame, czy mam spytać babcię? – szepnęła zgaszona.

– *Laissez-moi parler moi-même avec M-me votre grande mère*²⁴ – powiedziała Francuzka lodowatym tonem i wyszła.

Asia odczekała trzy minuty i wbiegłszy do salonu, stanęła twarzą w twarz z Natalią Pawłówną.

– Cóż to, już w palcie, chociaż jeszcze nie dostałaś zgody? Nie jesteś sowiecką panną, żeby biegać do kina z nieznanymi osobami.

– To Dodi Szyfman, babciu, skrzypek z naszej szkoły muzycznej.

– Cóż to za niedopuszczalna poufałość, nazywać zdrobniałym imieniem młodego człowieka? Jak wyjdiesz za mąż, będziesz chodziła do kina z mężem, a ten Żyd nie jest dla ciebie właściwym towarzystwem.

– Babciu, Dodi słyszy, co mówisz! Dlaczego obrażasz go... U nas w szkole wszyscy mówimy sobie po imieniu!

Asia wybiegła do przedpokoju, a ponieważ Dodiego już tam nie było, wyskoczyła na klatkę schodową.

²⁴ Laissez-moi... (fr.) – Proszę mi pozwolić osobiście rozmówić się z pani babcią.

– Dodi, proszę, niech się pan zatrzyma! Strasznie mi przykro, że pana obrażono! Babcia – to człowiek starej daty, ma wiele dziwactw. Nigdy z nikim mnie nie puszcza... – dopędziła wreszcie młodego skrzypka, chwyciła go za rękaw.

– Doskonale zrozumiałem, towarzyszeko Bołogowska, babcia towarzyszki nawet nie ściszyła głosu.

– Dodi, kochany! Niech pan nie myśli, że ja mam takie same poglądy jak babcia! Pierwszy raz w życiu wstydzę się za swoich bliskich! Żydzi – to taki utalentowany naród – Mendelssohn, Heine... Proszę się nie obrażać, Dodi! Będzie mi przykro spotykać się z panem, nasze trio straci urok. Wybacza pan? Dzięki, do jutra!

Tego dnia Natalia Pawłowna musiała jeszcze dwukrotnie okazać nienaruszalność swoich zasad i niezłomność ducha. To był rzeczywiście jej benefis.

Niedługo po przywołaniu do porządku młodego skrzypka, zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła Natalia Pawłowna. Dzwonił profesor konserwatorium, szef Asi, który prosił, by Asia w drodze wyjątku przyszła do niego na lekcję do jednego z numerów w Hotelu Europejskim. Sprawa była całkiem prosta – maestro gościł u pianisty, który przyjechał na gościnne występy, podczas przyjacielskiej kolacji uświadomił sobie nagle, że za dziesięć minut ma lekcję i opowiedział swemu przyjacielowi o nieoficjalnej uczennicy.

– Niech pan zaprosi ją tutaj, w ten sposób zyska pan z pół godziny, a przy okazji i ja jej posłucham – powiedział drugi maestro.

Rada w radę, ale dla Natalii Pawłowny sytuacja wyglądała całkiem inaczej...

– Jak to, dziewczyna ma przyjść do hotelu? Nigdy! W żadnym przypadku. Jeżeli pański gość chce posłuchać jej gry, prosimy do nas!

A końcowe wystąpienie Natalii Pawłowny było wspaniałe w

całym znaczeniu tego słowa. Starsza pani siedziała przy wieczornej herbacie z domownikami, kiedy zjawił się z wizytą pewien stary znajomy. Rozmowa zeszła na sytuację emigrantów.

– Jest z pewnością ciężka, ale jednak nieporównywalnie korzystniejsza od naszej – pozwolił sobie zauważyć gość. – Zrobiliśmy wielki błąd, Natalio Pawłowno, powinniśmy byli wraz z naszymi rodzinami wyjechać. W dwudziestym piątym roku nie robiono żadnych trudności z wyjazdem do Niemiec, jestem przekonany, że tam żylibyśmy normalnie.

Natalia Pawłowna nachmurzyła się.

– Nie można żyć normalnie na obczyźnie. Ja – rosyjska kobieta – miałabym szukać schronienia u Niemców? Mój mąż, mój brat i obaj moi synowie walczyli z Niemcami.

– Litości, Natalio Pawłowno, woli pani mieć do czynienia z bolszewikami? Mam wrażenie, że już dość dobrze pokazali, co potrafią.

– Oddałabym resztę mego życia za to, by ujrzeć koniec tego ustroju – powiedziała z godnością stara dama – ale to nasze domowe nieszczęście. Dopóki jestem w Rosji, jestem w domu i lepiej skończę życie na zesłaniu, niżbym miała żyć w dostatku za granicą.

Asia podniosła główkę z dumą z powodu babci, a oczy madame błysnęły z zachwytem.

Wrażenia tego dnia wzburzyły Asie. Swoim zwyczajem już rozebrana, klęcząc przy łóżku, ucałowała małą ikonę z emalii. Ta ikona i pluszowy miś stanowiły jedyną jej własność. Ale niczego więcej nie potrzebowała. Położyła się i jakiś czas przewracała się z boku na bok, wspominając obrazę Szyfmana, telefon z Hotelu Europejskiego i dumną wypowiedź babci o życiu na emigracji, wkrótce jej myśli powędrowały daleko, gdzie jaśniało błękitne niebo dzieciństwa...

Rozdział trzynasty

*Och, pochlebcy! pochlebcy! Nawet w nikczemności
Starajcie się zachować godziwe pozory.*²⁵

Aleksander Puszkin

Smutny nastrój ostatnich dni przerwało nieoczekiwane zdarzenie – u Natalii Pawłowny zjawiał się wnuk jej przyjaciółki z czasów Instytutu Smolnego, a później zawsze mile widziany gość – Walentyn Płatonowicz Frołowski i oznajmił, że podczas służbowego pobytu w Moskwie spotkał w pewnej instytucji wnuka Natalii Pawłowny, syna córki, która wraz ze swoją rodziną zaginęła podczas działań wojennych na Krymie – Miszę Dołgowo-Saburowa.

Natalia Pawłowna była zdumiona – dotychczas ludzie znikali, a teraz wreszcie ktoś się odnalazł! Przynajmniej jedna dobra wiadomość! Chciała natychmiast pisać do wnuka, ale Walentyn Płatonowicz wygłosił długie i zawile przemówienie, pełne dyplomatycznych niuansów.

Sens przemówienia sprowadzał się do tego, że Michaił nie zechciał poznać Frołowskiego, więc ten ostatni na wszelki wypadek sprawdził w informacji, czy w tej instytucji pracuje Dołgowo-Saburow. Okazało się, że takiego nie ma, jest natomiast po prostu Saburow. Ponieważ imię i imię ojca zgadzały się, można było założyć, że to Michaił, który uznał za wskazane zmodyfikować nieco swoje nazwisko... Niewykluczone, że w podobny sposób skorygował szczegóły życiorysu. Można to wybaczyć w takich trudnych czasach. Szybko powstał plan działania: Walentyn Płatonowicz za trzy dni jedzie znowu służbowo do Moskwy. Postanowiono, że pojedzie z nim Asia, którą on prosto z dworca odwiezie do instytucji, gdzie pracuje Michaił.

Wszystko układało się doskonale, w dodatku w komisie udało się sprzedać kryształowy półmisek i wazon bakarat, więc jeszcze jedna trudność została usunięta. Asia otrzymała mnóstwo wskazówek od najbliższych; Natalia Pawłowna wyłożyła jej swoje dopiero przed samym wyjazdem, zaprosiwszy ją do pokoju: żadnych wypraw do teatrów czy restauracji, nawet z Walentynem Płatonowiczem; wrócić koniecznie wieczornym pociągiem; w drodze żadnych znajomości, żeby się nie powtórzyła historia, jak z owym Rudinem; Michaiłowi należało przekazać, że jeżeli pracuje, niech rzuca pracę i przyjeżdża – rodzina najważniejsza; tylko w przypadku, jeżeli jest studentem, niech tymczasem zostanie w Moskwie; dostać się na studia jest tak trudno, że rzucać je byłoby szaleństwem, niechaj w takim przypadku przyjedzie na pierwsze wakacje.

– Przekażesz mu ode mnie te pieniądze, wytłumacz, dlaczego nie mogę przysłać więcej. Wypytaj dokładnie, co wie o rodzicach. Niech cię Bóg prowadzi! – Natalia Pawłowna przeżegnała wnuczkę.

Na dworzec odprowadzali Asie madame, Lela i Szura Krasnokutski. Asia promieniała, wyobrażała sobie spotkanie z kuzynem i była dumna, że otrzymała takie ważne polecenie.

– Przekaż Miszy, że nie wyjdę za niego za męż, co mu obiecałam w swojej wielkiej głupocie, kiedy miałam dziesięć lat – powiedziała Lela.

– A ode mnie proszę przekazać, że mam zamiar kontynuować z nim dawny pojedynek, który zaczęliśmy na choince u Łorys-Mielnikowów, zakończony podbiciem przez niego mego prawego oka. Przrzekam, że podbiję mu lewe oko zgodnie z nakazem: oko za oko! Ząb za ząb! – dodał Szura.

W Moskwie jednak sprawy ułożyły się inaczej, niż planowano. W instytucji wpuszczono Asie tylko do holu. Napisała więc kartkę i ubłagała portiera, żeby zaniósł ją do „Saburowa”. Kartka brzmiała: „Drogi Misza! Pisze do Ciebie Twoja siostra Asia. Cieszymy się bardzo – babcia i ja – że się znalazłeś. Przyjdź najszybciej jak możesz do holu, przy schodach”. Posłaniec

przyniósł odpowiedź: „Cieszę się bardzo i jestem zdziwiony. Nie mogę teraz wyjść, mam ważną naradę. Kończę pracę o godzinie 18. Czekaaj na mnie o tej porze naprzeciwko urzędu. M.” Była zaskoczona, że kazał jej tak długo czekać, ale wytłumaczyła sobie, że on przecież nie zna planu Natalii Pawłowny i nie mógł się do niego zastosować. Miała pięć godzin, które minęły szybko, wybrała się bowiem do Galerii Trietiakowskiej, znajdującej się w pobliżu. Tam się też ogrzała.

O wyznaczonej godzinie spacerowała odśnieżonymi ścieżkami i wkrótce zobaczyła, że z urzędu wychodzą ludzie. On! A jaki wysoki!

– Misza, kochany! – rzuciła się do niego i oburącz ścisnęła jego dłonie.

– Asia? Dzień dobry! Cieszę się ze spotkania. Ja także nic nie wiem o was. Musimy porozmawiać. Płaczesz? Nie trzeba, uspokój się! Nic się nie stało. Widzisz, jestem zdrow. Pokaż się! Urosłaś, wypiękniałaś. Ile masz lat? Osiemnaście? A ja dwadzieścia dwa. Wyszłaś za męża?

– Coś ty! Oczywiście nie. Mieszkam z babcią.

– Dlaczego z babcią, a twoi rodzice?

– Mama umarła na tyfus, a ojca rozstrzelano...

– Wujka Wsiewołoda? To smutne. No a mój ojciec jest na emigracji. Jest dla mnie stracony, jak twój. A mama... Moja mama zaginęła bez wieści...

– Misza, kochany, babcia przysłała mnie po ciebie, będziesz mieszkał z nami. Czeka na ciebie, tak się ucieszyła, kiedyśmy się dowiedzieli o tobie. Masz tu dwieście rubli od babci, żebyś mógł przyjechać do nas. Nie będziesz już sam...

– Poczekaj, nie tak szybko! Trzeba wszystko przemyśleć. To nie jest takie proste. Nie o pieniądze chodzi. Na razie schowaj je do mufki. Chodźmy do kawiarni, zjesz ciastko, wypijesz kakao i porozmawiamy. Muszę cię przeprosić, nie mogę cię zabrać do domu, jestem żonaty, moja żona jest człowiekiem nieco innego

pokroju, niż ty być może myślisz. Pochodzi z robotniczej rodziny, jest komsomołką. Na razie ukrywam przed nią, że jestem synem oficera gwardii i że byłem kadetem... Wolałbym nie poruszać tego, co się dało zatrzeć. Dlatego nie chcę, żebyście się poznały. Dziwisz się? Przedstawić ciebie jako znajomej nie mogę, jesteś zbyt młoda i ładna! A przedstawić jako kuzynkę byłoby nieostrożnie. A więc idziemy do kawiarni? – Asia kiwnęła głową.

– Chodźmy. Opowiadaj. Najpierw o babci – ciągle jest zadbana, opanowana i surowa czy też nieszczęścia załamały ją?

– Nie, babci nic nie może załamać. Dużo przeżyła, oczywiście bardzo dużo, głowę ma bielutką, ale się nie poddaje. Umysł ma ciągle nad podziw sprawny i nawet trzyma się prosto, jak dawniej.

– Nie potrafię wyobrazić sobie Natalii Pawłowny w dzisiejszych warunkach. Taka *grande-dame* w jednym pokoju, pewnie musi stać w kolejkach po ziemniaki i naftę albo zmywać naczynia w fartuchu. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić! Gdzie teraz mieszkacie?

– W dawnym mieszkaniu babci, gdzie zawsze odbywała się taka wspaniała choinka. Pamiętasz?

– Pamiętam, oczywiście! A inne dzieci? Co z nimi? Gdzie Wasia, twój brat?

– Wasia także... Tyfus. Jednocześnie z mamą. Milczeli chwilę, zmożeni zimnym powiewem.

– Rządziłem nim wtedy, jako starszy. Pamiętasz, jak bawiliśmy się w zbójców w Bieriezowce? Robiliśmy ozdoby z gęsich piór i chowaliśmy się w parku. Pamiętasz Bieriezowkę?

– Pamiętam, nigdy nie zapomnę. Ciągle mi się śni. Aleja, która prowadziła do jeziora, altanka z dębów, balkon zarośnięty dzikim winem. Zamykam oczy i widzę... – zmrużyła rzęsy i pomyślała: „Jest taki jak kiedyś, dobry!”

Misza spytał, czy ukończyła szkołę średnią, a przy okazji trochę sobie pokpił na temat paniki, która zapewne wybuchła, kiedy instytut dla szlachetnie urodzonych panien i słynne

gimnazja, w rodzaju gimnazjów Oboleńskiej i Stojuninskiej przekształcono w sowieckie szkoły pracy, dostępne dla mas proletariackich.

– Mnie dopiero w dwudziestym drugim roku wujek Sierioża przywiózł z Krymu, jeszcze długo chorowałam na tyfus – powiedziała Asia – a później babcia oddała mnie do francuskiego gimnazjum pani Gerard. Tam wszystko było jak dawniej – egzaminy, damy klasowe, dyganie. Językiem wykładowym był francuski, dlatego dostawały się tam tylko dzieci z naszej sfery. Gimnazjum było pod opieką francuskiego konsulatu. Wszyscy posyłali tam swoje córki, my z Lelą także uczęszczałyśmy do tego gimnazjum. Ale nie zdążyłyśmy go skończyć, zamknięto je ze względów ideologicznych. Misza uśmiechnął się.

– Jasne! Francuskie gimnazjum! Ech, babcia, babcia! Zupełnie nie rozumie sytuacji. A co było później?

Opowiedziała o tym, jak nie przyjęto jej do konserwatorium, potem o Siergieju Pietrowiczu. Twarz Miszy zrobiła się ponura. Przyszli do kawiarni. Kiedy usiedli przy małym stoliku na uboczu, Misza rzekł:

– Tak, bardzo przykre to wszystko, zesłano go rzecz jasna za dawne sprawy – podparł ręką zachmurzone czoło. – Muszę pomówić z tobą bardzo poważnie. Chciałbym, żebyś mnie zrozumiała, Asiu. Cały czas o tym myślę, odkąd otrzymałem twoją kartkę. Widzisz, klasa, która nas ukształtowała, spełniła już swoją rolę. Zrozum, ona nie wróci, a my – dzieci tej klasy – dopiero wchodzimy w życie i powinniśmy wywalczyć sobie prawo do istnienia, jeżeli nie chcemy, żeby wyrzucono nas za burtę. Przed rewolucją – dzięki zasługom naszych ojców – mieliśmy otwarte wszystkie drzwi, teraz płacimy nie za zasługi, lecz za „grzechy” ojców, nasze pochodzenie społeczne stanowi, że tak powiem, piętno, które powinniśmy zetrzeć. Nie dyskutujmy, czy to jest sprawiedliwe, czy nie. To fakt, który należy brać pod uwagę, a kto ma rację, rozstrzygnie historia. Naszą sytuację komplikuje jeszcze to, że szykowano nas do znacznie lżejszego istnienia niż surowa walka, na którą jesteśmy skazani. Wpajano nam

subtelność, smak estetyczny, elegancki sposób bycia, rozwijano wrażliwość, a dziś zamiast kultury ciała i ducha potrzebna jest raczej zdrowa prostota uczuć i niezachwiana pewność siebie, wynikająca z ograniczenia, za które jednak w naszych czasach chętnie oddalibyśmy wysoki poziom umysłowy i wytworność. Co robić! Powinniśmy starać się ze wszystkich sił, aby nasze nieprzystosowanie nie okazało się zgubne. Nie daj się przekonać, że bolszewicy niedługo wylecą w powietrze. Nie można żyć jakby w oczekiwaniu na pociąg. Pozostaje jedno: przystosować się do nowych warunków istnienia – zamilkł i spojrział na Asie.

– W jaki sposób, twoim zdaniem, mamy się przystosować? – spytała spokojnie.

– W jaki?... No, powiedzmy, ty, Asiu, wprost promieniujesz swoim pochodzeniem. W twoich słowach, ruchach, sposobie bycia wyczuwa się coś niewspółczesnego. Ani kr z ty praktyczności, sprytu. Robisz wrażenie istoty, która przypadkiem zabłąkała się do naszego kraju. Koniecznie musisz zmienić – jeżeli nie duszę – to przynajmniej zachowanie się, przefarbować się na barwę ochronną. Wiem, to nie jest łatwe dla człowieka, o krwi zatrutej arystokratyzmem, ale konieczne. Przekonasz się kiedyś o tym, że kłamstwo w ankiecie (jeżeli można skłamać) nie wystarcza, trzeba się tak pokazać otoczeniu, by nikt w biurze czy na uczelni nie mógł podejrzewać, że jesteś szlachcianką. Zauważyłem, że zamiast „dziękuję” stale mówisz *merci* i w dodatku grasejujesz uroczo, zdradzając świetny paryski akcent. Bądź pewna, że to jedno słówko może zrazić do ciebie otoczenie. Mówię to na podstawie własnego przykrego doświadczenia, ponieważ zostałem wyrzucony z hukiem z kursów przygotowawczych tylko dlatego, że nie potrafiłem zachować się należycie wobec moich kolegów, a także w przeróżnych komitetach i organizacjach partyjnych. Później skorygowałem swoją wymowę, sposób bycia. Nie wyszło mi to na dobre, ale wolę się czerwienić przed babcią z powodu łamania zasad dobrego wychowania niż ukazać swoje prawdziwe oblicze pierwszemu lepszemu robociarzowi. Zrozum, Asiu, jedna wpadka wobec jakiegoś „świadomego towarzysza” i już w gazetce ściennej ukaże się złośliwa notatka, w której ciebie nie

zdemaskują, lecz wyśmiewają, coś zasugerują, i koniec. Nazajutrz zostajesz wezwany do zarządu organizacji komsomolskiej albo do rady zakładowej, zaczyna się nagonka, w której skazany jesteś na klęskę, ponieważ twoich wyjaśnień nikt nie słucha i nikt ich w gazetce nie umieści.

Asia milczała, widać było, że stara się go zrozumieć. To go wzruszyło, pochylił się ku niej, w głosie zabrzmiała nuta serdeczności.

– Nie obraziłaś się na mnie? Bardzo mi się podobasz taka, jaka jesteś, nie wyobrażam sobie bardziej udanej kuzynki, ale... Trzeba pamiętać, w jakich czasach żyjemy.

– Nie, nie obraziłam się. Rozumiem doskonale, że to pod wpływem cierpień, jakie przeżyłeś. Ale cała twoja teoria, to ochronna skorupa, jaką ma kasztan albo orzech. Na razie nie widzę samego jądra.

– O, tak! Jesteś niegłupia! Świetnie mi odpowiedziałaś! – zawołał, jakby czymś zdziwiony.

Przyszła kelnerka, poczekali, aż się oddali.

– Mówisz, że pod wpływem cierpienia, tak jest! – zaczął znowu. – Dlaczego starsi, jeżeli nie babcia, to chociażby wujek Sierioża, nie zrozumieli tego, co rozumiałem ja, chłopiec? Dlaczego wujek Sierioża nie znalazł dla siebie miejsca w nowym społeczeństwie? Czy pomyślałaś, w jakiej sytuacji się znalazłaś w związku z jego zesłaniem?

Asia zaczerwieniła się.

– Nie, o tym nie myślałam! Myślałam o tym, że będzie tam żył w trudnych warunkach, że być może nie będzie miał własnego kąta, że będzie cierpiał bez książek i orkiestry. Mówisz, że wujek Sierioża nie potrafił znaleźć miejsca w nowym społeczeństwie, ale tak nie jest, wujek był pożyteczny, harował jak koń. Najpierw w „Orkiestrze Bezrobotnych”, później w Filharmonii, a wieczorami także w klubach robotniczych.

Zamilkła, miała wrażenie, że Misza słucha obojętnie.

– Dajmy spokój tej rozmowie – rzekła. – Powiedz, kiedy do nas przyjedziesz i co mam przekazać babci?

– Wiesz, Asiu, powiem otwarcie – sama zresztą mogłaś się tego domyślić po wszystkim, co powiedziałem – spotkanie z Natalią Pawłowną nie mieści się w moich planach i byłoby bardzo kłopotliwe. Ty dorastałaś pod opieką rodziny i nawet nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, jaką twardą szkołę życia przeszedłem. Ojciec myślał tylko o sobie, kiedy ze swoim pułkiem zbiegł do Konstantynopola, a mnie – trzynastoletniego kadeta – zostawił tutaj, bym się rozliczał za moich przodków! O mało nie umarłem z głodu. Sprzedawałem na ulicach gazety, czyściłem buty, musiałem udowadniać, że nie jestem królewiatkiem ani wielbłądem, lecz zwyczajnym człowiekiem! A teraz, kiedy dopiero stanąłem na nogach, zdobyłem się na odrzucenie przydomku Dołgowo i na zawsze skończyłem z przeszłością, nagle dowiaduję się, że mam rodzinę, która pragnie wziąć mnie w ramiona. Zrozum, dla ciebie babcia i wujek Sierioża to bliscy ludzie, a dla mnie – groźne upiory, które zjawiają się, żeby zniszczyć moje jako tako uładzone życie. Miałem już dość kłopotów z powodu pochodzenia!

– Nie mów tak, Misza! Babcia z pewnością przygarnęłaby ciebie, gdyby wcześniej wpadła na twój ślad. Przecież nie wiedzieliśmy, gdzie mamy ciebie szukać! I babcia, i wujek Sierioża zrobiliby wszystko dla ciebie, tak jak zrobili dla mnie! Mówisz tak wrogo, jakbyś nie cieszył się z naszego spotkania. Przypomnij sobie, Misza, jak babcia nas rozpieszczała, jak czekaliśmy na jej odwiedziny w Bieriezowce, ile przywoziła nam zabawek.

– Wszystko pamiętam, Asiu, mam świetną pamięć. Ale nie w tym rzecz. Babci łatwo było w tamtych czasach rozpieszczać nas, a dzisiaj dla mnie nawiązywanie kontaktu z nią jest wielkim ryzykiem. Represjonowani krewni i znane nazwiska – to dla mnie szubienica! Mam dobre stanowisko, wiosną obiecują mi skierowanie na wyższą uczelnię z zachowaniem etatu, a tu nagle na horyzoncie ukazują się babcia – wielmożna pani – i wujek – oficer Białej Gwardii, zesłaniec – jest nad czym myśleć. Nie chcę

się wykręcać. Nie liczcie na mnie. Sam wyszedłem na ludzi, nikt mi nie pomógł. Nigdy nikogo o nic nie prosiłem, a teraz proszę o jedno: zostawcie mnie w spokoju!

Asia zerwała się.

– Możesz być spokojny, Misza, całkiem spokojny, ani babcia, ani wujek Sierioża, ani ja nigdy więcej nie będziemy ciebie niepokoić. Mogę sobie zaraz pójść.

– Nie, bardzo proszę, nie spiesz się. Będę dotknięty, skorośmy się spotkali, chciałbym spędzić z tobą wieczór.

– *Merci*, nie mam czasu. Muszę jeszcze dzisiaj wracać, a poza tym... Jeżeli nie czujesz się krewniakiem babci, ja nie czuję się twoją krewną. Nie można mnie oddzielić od babci.

– Nie wypada kłócić się wśród obcych ludzi. Poczekaj, wyjdźmy razem.

Rzucił pieniądze na stolik i wyszedł za nią.

– Nie chciałem się z tobą kłócić, Asiu. To, co mówiłem, dotyczy bardziej babci niż ciebie. Z tobą spotykałbym się chętnie na neutralnym gruncie. Nie proponuję korespondencji, ponieważ twoja kartka świadczy dobitnie, że nie masz pojęcia o konspiracji. Rozumiem doskonale, że ciebie zawiodłem, ale ty także powinnaś zrozumieć, że nie mogłem inaczej rozmawiać z tobą.

– Wybacz, Misza, ja tego nie rozumiem i chyba nigdy nie zrozumieć – odpowiedziała, zapinając szybko palto, jej wargi drżały.

– Obraziłaś się, Asiu, całkiem niepotrzebnie. Mnie także jest bardzo przykro. Wspaniałe życie sprawiło, że nabawiłem się neurastenii. Wiem, że dzisiaj nie zasnę. Nie doceniasz mnie. Inny na moim miejscu zostałaby włóczęgą albo pijakiem.

– Lepiej, byś został pijakiem, Misza. Bądź szczęśliwy, jeżeli potrafisz. Żegnaj!

Dawna przyjaciółka Natalii Pawłowny od rana czekała na Asie i już się niepokoiła, co się z nią stało. Asia przybiegła dopiero o ósmej wieczorem. Staruszka uznała, że dziewczyna jest bardzo miła i dobrze ułożona, ale wyraźnie czymś podenerwowana. Zaniepokoiła się, czy aby Asia nie miała jakiejś tajemnej randki i czy się nie wydarzyło coś nieodwracalnego... Nie wypytywała jej jednak i po powitalnych serdecznościach zaprosiła do obiadu. Ledwo Asia go zjadła, zdążywszy przekazać wszystko, co zleciła babcia, kiedy rozległ się dzwonek i w pokoju zjawiała się wysoka postać i przylizana głowa Walentyna Płatonowicza. Po ceremonialnej prezentacji Walentyn Płatonowicz zakomunikował, że sprawy służbowe zostały załatwione i można jechać pociągiem, który odchodzi o godzinie dziesiątej, bilety zostały kupione.

– Nie życzył sobie rodzinnych kontaktów? – spytał Walentyn Płatonowicz, kiedy wyszli na klatkę schodową i uważnie spojrzął na Asie.

Odwróciła się do niego.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Od początku brałem pod uwagę taką możliwość! Można to było przewidzieć z tego, jak pryskał na mój widok.

Asia uśmiechnęła się smutno i pomyślała, że Walentyn Płatonowicz nie wyrzeka się krewnych ani swojej sfery, a przecież jest synem członka Rady Państwa i jego mamusia mówiła babci, że ma zawsze przygotowaną walizkę z bielizną i sucharami dla Walentyna Płatonowicza na wypadek, gdyby został aresztowany.

Schodzili w milczeniu. Przed bramą stał elegancki samochód, Walentyn Płatonowicz odtworzył drzwiczki.

– Proszę, Kseniu Wsiewołodowno, teraz zwiedzimy Moskwę.

– Przecież mamy o dziesiątej pociąg?

– Pociąg odchodzi o dwunastej trzydzieści, a nie o dziesiątej. Skłamałem, żeby się pani nie zanudziła ze staruszką. Chciałbym pokazać pani Moskwę, korzystając z tego, że znajomy akademik dał mi do dyspozycji samochód.

- I zdecydował pan za mnie?
- Czy to coś złego? Przecież chyba warto zobaczyć Moskwę?
- Oczywiście warto, ale...

- Zapewniam panią, Kseniu Wsiewołodowno, że zakazy dotyczą wyłącznie przypadkowych znajomych. Ale jeżeli ma pani wątpliwości co do tego, że ja jestem ja, albo obawia się pani o bezpieczeństwo „byłego sobola”, mogę odesłać samochód.

- Ależ nie, nie wątpię wcale... - Asia zamilkła zmieszana.

Przejechali się po Moskwie. To rzeczywiście było ciekawe, chociaż ból spowodowany przez Misze nie mijał. Podczas pustej rozmowy Asia przegrała zakład *à discrétion*²⁶, zaproponowany przez Walentyna Płatonowicza i musiała wysłuchać całego wykładu o tym, że należność za przegrany zakład - to dług honorowy na równi z długiem karcianym i innymi długami.

- Niech się pani nie obawia, Kseniu Wsiewołodowno, nie mam zamiaru żądać czegoś niezwykłego. Nie każę pani rzucać się pod samochód - dodał na pocieszenie.

- Proszę szybciej mówić, co mam zrobić - powiedziała z niepokojem.

- Wsiądziemy z samochodu, wtedy powiem.

Kiedy wysiedli i samochód odjechał, Walentyn Płatonowicz pochylił się ku Asi i tonem wilka z „Czerwonego Kapturka” powiedział:

- Musi mnie pani pocałować.
- Nie chcę! - zachnęła się - niech pan wymyśli coś innego!

- Nie wolno odmawiać, Kseniu Wsiewołodowno, to dług honorowy! Przecież to taki drobiazg! Muśnie pani ślicznymi usteczkami mój policzek i po krzyku. Nie jestem chory ani na szkarlatynę, ani na odrę, nie skoczą na panią żadne mikroby. A na przyszłość proszę zapamiętać radę: żadnych zakładów!

²⁶

Warunki zakładu ustala ten, kto wygra.

Asia patrzyła na niego zaskoczona.

– Jakże mi się nie udała ta wyprawa do Moskwy! – westchnęła.

– Rzeczywiście. Pozwoli pani, że złożę jej wyrazy współczucia. Ponieważ jednak czasu jest mało, wróćmy do rzeczy. Całować się na ulicy nie wypada, wejdźmy na schody.

Weszli.

– Może wyżej, tam będzie spokojniej. Asia wlokła się ze smutną miną.

– Mam wrażenie, że prowadzę panią na szafot, Kseniu Wsiewołodowno! Głowa do góry!

Na podeście stanęli twarzą w twarz. Było już późno i na schodach ani żywej duszy.

– Proszę, czekam! Asia stała bez ruchu.

– Odwagi, Kseniu Wsiewołodowno, zaraz będzie po wszystkim! Tylko chwilka i koniec, jak mówiono do mnie w dzieciństwie, kiedy musiałem wypić łyżkę wstrętnego lekarstwa – zrobił krok ku niej. Asia zauważyła, że nagle zmienił się: miał błyszczące oczy i przyśpieszony oddech, z twarzy zniknął ironiczny wyraz. Czując instynktownie niebezpieczeństwo, cofnęła się, ale już ją objął za szyję i przywarł ustami do jej ust, usiłując je otworzyć. Kiedy ją wreszcie puścił i półprzytomny usiadł na parapecie okiennym, jęła go gwałtownie besztać:

– Wstrętny! Jak pan śmie! Kto się tak całuje? Kiedy się nie potrafi, nie należy proponować!

– Nie potrafię? Jak to: „nie potrafię”? Przepraszam, dlaczego nie potrafię? – były paż był szczerze zdziwiony. – Zresztą jeżeli pani ma większą wprawę, to może udzieli mi kilku lekcji. Byłbym bardzo wdzięczny – opanował się już i wrócił do swego zwykłego ironicznego tonu.

– Tyle razy całowałam się i nikt nigdy mnie tak nie całował! – irytowała się Asia.

– Czy kobiety całują się inaczej, a mężczyźni inaczej?

– Całowałam się nie tylko z kobietami, z mężczyznami także!

– Ach tak! Ciekawe z kim?

– Mój Boże! Każdego ranka wuj Sierioża całował mnie w czoło, na Zmartwychwstanie Pańskie całowałam się z Szura i starym lokajem babci, który przychodził składać życzenia, wszyscy całowali się normalnie, nie tak jak pan!

– Pięknie! Pani słowa zawierają wielką mądrość, jakkolwiek są nieco pochopne. Kiedyś na wspomnienie dzisiejszego zajścia przyzna mi pani kompetencje pod wszystkimi względami, a teraz musimy pędzić, bo się spóźnimy na pociąg i wtedy utkniemy w Moskwie na dłuższy czas.

Wystraszona tą perspektywą pognąła na dół.

Stała na korytarzu, obserwowała znikające przedmieścia i cichutko ocierała łzy. Walentyn Płatonowicz, który wyszedł z przedziału na papierosa, zbliżył się do niej.

– Proszę, niech pani nie płacze, Kseniu Wsiewołodowno. Misza niewart jest pani łez. A niech go! Ukrywać przed własną żoną swoje pochodzenie! Chciałbym wiedzieć, o czym on z nią rozmawia. Renegat! Słowo daję, gdyby mnie zapytano, co wolę, usiąść do stołu ze stuprocentowym proletariuszem i nieuniknioną w takim przypadku wódeczką i czkawką czy stanąć z całym towarzystwem przed plutonem egzekucyjnym, wybrałbym to drugie!

Asia zerknęła na niego nieprzyjaźnie, więc czym prędzej jął perorować o tym, że w domu nie warto opowiadać o pocałunku, ponieważ spleta przegranego zakładu powinna zawsze pozostawać tajemnicą; w dodatku obawia się, że straci przychylność Natalii Pawłowny i nie będzie mógł odwiedzać ich i bawić jej i Leli na przyjęciach imieninowych i urodzinowych. To żądanie oburzyło Asie. Nie od razu mu to przyrzekła i w ponurym nastroju ulokowała się na swoim miejscu sypialnym.

Myślała o Miszy, później o babci, wreszcie przyszła kolej na dziecinne, ale gorzkie wspomnienie. Jest rok dwudziesty drugi, Siergiej Pietrowicz i madame wiozą ją ze Sewastopola do Petersburga. W brudnych „ciepluszkach”, zatłoczonych zawszonymi pasażerami, hula wiatr. Ludzie piją, rechoczą, palą, klną i mówią do siebie per „towarzyszu”. Nigdy w życiu nie widziała jeszcze takich ludzi, tak bezceremonialnie traktujących się nawzajem. Najgorszy jest marynarz Kowalczyk, który co chwila rąbie siekierą drwa do piecyka, stojącego w środku wagonu. Kiedy szczapa uderzyła Asię w twarz, Kowalczyk wrzasnął na wujka Sieriożę, który spróbował zaprotestować: „Siedź cicho, białogwardzisto nie dobity! Pod ścianę pójdiesz!” Śmiertelnie zmęczeni, obdarci i chorzy, wszyscy troje niecierpliwie czekali końca podróży, trwającej cztery doby, i ledwo dotarli do Natalii Pawłowny, która wszystkie lata wojny domowej spędziła w Petersburgu sama, ze starą oddaną służącą. Babcia w przedpokoju zdarła z Asi szmaty i kazała Pelagii spalić je, a Asię zaniecono do łazienki. Wieczorem wujek Sierioża dostał wysokiej gorączki, a nazajutrz zachorowała na tyfus Asia. Madame widziała, jak trudno jest pielęgnować dwoje chorych, i kiedy kilka dni później nastąpiła jej kolej chorowania, błagała, żeby oddano ją do szpitala. Ale babcia nie zgodziła się; we dwie z nieboszczką Pelagią dniem i nocą chodziły od łóżka do łóżka, z jednego pokoju do drugiego. Nikt nie zarabiał, trzeba było sprzedawać rzeczy.

W chwilach przytomności Asia zawsze widziała babcię obok swego łóżka. „Moje biedne maleństwo! Moja gołąbeczko! Jeden łyżeczek wody! No, otwórz buzię!” Co chwila zmieniano bieliznę. Pelagia nie odchodziła od balii. Wujek Sierioża w malignie wciąż chciał gdzieś biec; dwa razy dopędzono go przy drzwiach wyjściowych; babcia i Pelagia musiały ciągnąć go z powrotem do łóżka. Kiedy nastąpiły trudne dni *grande-dame* – jak ją nazwał Misza – nie brzydziła się żadnej pracy i nie bała się choroby. A rok później, kiedy Pelagia miała wylew, babcia pielęgnowała ją sama i kazała Asi dyżurować przy jej łóżku. Pelagia całowała babcine ręce: „Moja pani kochana, moja anielico!”

Widocznie uważała, że anioł to męczyzna, a kobieta musi

być anielicą. Z tymi słowami umarła na rękach Natalii Pawłowny.
Grande-dame! Jaśnie pani!

Rozdział czternasty

Mówimy różnymi językami.

Konstantin Balmont

Dziwne kawały robi czasem sowiecka rzeczywistość! Opowiada się je ze śmiechem, zezując na drzwi – żeby nie usłyszał sąsiad, proletariusz albo funkcjonariusz GPU, który – niech Bóg broni – mógł się właśnie zacząć za drzwiami!

Oto na przykład maleńka Asia Bołogowska pobiegła do sklepu po przydział makaronu, zapakowano go w kartkę papieru z książki Lichaczowa, a właśnie na tej stronie uczonego pisze o przodkach bojarów Bołogowskich! Lub inny przypadek: w Akademii Nauk obchodzono czyjś jubileusz – bankiet, przemówienia – z kielichem w dłoni wstaje wysoki siwy Piereg. Po twarzach obecnych przemknął niepokój, ponieważ akademik Piereg znany jest z tego, iż w swoich przemówieniach uporczywie nie chce okazać niezbędnej lojalności. Tym razem Władimir Nikołajewicz postanowił zagłębić się w historię i przypomnieć lata panowania Tatarów. Zakończył zaś swoje przemówienie następująco: „Kochamy i szanujemy pana, drogi kolego, za to, że nie jeździ pan z hołdami do Ordy i o przywileje książęce nie zabiega”. Cisza zapadła po tych słowach natchnionych; wszyscy pilnie obserwowali własne talerze; niejednemu z obecnych ciarki przeszły po plecach, najchętniej by się zapadł pod ziemię... A jak się czuł biedny jubilat?

Oto jeszcze jedna zabawna anegdota: przewodniczący Rady Najwyższej, Kalinin, w młodości był chłopcem do posług w majątku senatora Morduchaj-Bołtowskiego; młodzi panicze, których zaopatrywał w robaki, kiedy wybierali się na wędkowanie, dawali mu książki i pierwsi zapoznali przyszłego filara rewolucji z dziełami Marksa i Engelsa. Później, już po odebraniu Morduchaj-Bołtowskiemu majątku, były chłopiec służebny poparł wnuków

senatora, kiedy się ubiegali o przyjęcie na uniwersytet. Niedawno zaś agenci GPU, którzy przyszli aresztować jednego z Morduchaj-Bołtowskich, podczas rewizji wśród książek i papierów natrafili na portret przewodniczącego Rady Najwyższej. Zmienieni na twarzy, poszturchując się nawzajem łokciami, z najwyższym zdumieniem odczytali na nim dedykację: „Drogiemu Aleksandrowi Iwanowiczowi od wdzięcznego Kalinina”.

I jeszcze jedna pikantna anegdota: młody człowiek, student, syn profesora, spotkał na ulicy bardzo starą damę, miała przekrzywiony czarny słomkowy kapelusz, twarz umorusaną sadzami. Jednak rysy twarzy i gest, którym przytrzymała podartą spódnicę wskazywały, że jest osobą z towarzystwa. Gromadka chłopców z chichotem obrzucała staruszkę obraźliwymi słowami. Młodzieniec odpędził chłopców i podał starej damie ramię, żeby odprowadzić ją do domu. „Jak rzadko dziś spotyka się dobrze wychowanych młodych ludzi. Pan zapewne z dobrej rodziny?” – powiedziała dama. „Rimski-Korsakow” – przedstawił się z ukłonem młodzieniec. Dama była zaskoczona. „Ależ... Przepraszam... Ja jestem Rimska-Korsakowa”. Jeśli roztrząsać koligacje i okazało się, że Polina Pawłowna – jest po mężu kuzynką zmarłego kompozytora i stryjeczną babcią młodego człowieka. Kiedy przyszli do mieszkania Poliny Pawłowny, student ujrzał wielki portret jednego ze swoich przodków, a w środku salonu – zakopconą „kozę”. Stara dama usadowiła swego krewniaka i poskarżyła się na trudną sytuację, wyjaśniła przy tym, że pisze podanie do władz kremlowskich z prośbą o przyznanie jej wreszcie zasłużonej renty, jako byłej damie dworu... Młody człowiek zerwał się jak oparzony: „Skleroza! Sama nie wie, co robi, a nas zgubi!” Prosto od cudem odnalezionej babki popędził do ojca i innych krewnych i wkrótce na pośpiesznie zwołanej rodzinnej naradzie postanowiono płacić Polinie Pawłownie po pięćdziesiąt rubli miesięcznie z każdego domu, byle tylko nie przypominała osobom niepożądanym o minionej wielkości rodu...

Wiele opowiadano anegdot na temat zasiedlania mieszkań krańcowo różnymi lokatorami; kiedyś nawet w gazecie ukazał się

artykuł z tytułem: „Profesor i... Cyganie!”

Takie opowieści zawsze niepokoiły Natalię Pawłownę. Bardzo prawdopodobna perspektywa dokwaterowania do jej mieszkania proletariuszy stała się w ostatnich czasach obsesją i zakłócała sen. Wielkopańskie mieszkanie Natalii Pawłowny z wysokimi sufitami i ogromnymi oknami zostało decyzją Rejonowego Zarządu Mieszkań podzielone na dwa samodzielne mieszkania: pięć pokoi z kuchnią i wejściem kuchennym zabrano. Pozostało wejście frontowe, a dawny szkolny pokój został przerobiony na kuchnię z płytą kuchenną i zlewem. Madame utrzymywała kuchnię w wielkiej czystości i czuła się w niej pełnoprawną gospodynią. Ale pozostało jeszcze sześć pokoi – metraż zdaniem RŻU zbyt wielki dla jednej rodziny. Wkrótce więc odebrano jadalnię jeden z największych pokoi z dębową boazerią, zamieszkał w niej czerwony kursant z żoną. Bołogowskim pozostały: sypialnia Natalii Pawłowny, były gabinet jej męża, w którym mieszkał Siergiej Pietrowicz, była biblioteka i maleńki buduar; w bibliotece na rozkładanym łóżku spała madame, w buduarze na kanapie – Asia. Wchodziło się do biblioteki i buduaru przez salon, skąd drzwi prowadziły do przedpokoju. Pokój ten jako przechodni nie był brany pod uwagę i nie podlegał zasiedleniu, ale za „nadmetraż” trzeba było płacić podwójny czynsz. Niewielka cieplarnia, oddzielona od korytarza oszkloną ścianą, stanowiła obecnie magazyn połamanych mebli i innych gratów, ponieważ ze względu na oszkloną ścianę nie mogła służyć jako pomieszczenie mieszkalne. Teraz zarekwirowaniu mogły podlegać gabinet i sypialnia. Na trzeci dzień po powrocie Asi z Moskwy, do mieszkania wtargnęła komisja z RŻU, której towarzyszył administrator domu. Członkowie komisji – w czapkach, z papierosami w ustach – obejrzelik mieszkanie i wybrali gabinet, nakazując zwolnić go niezwłocznie, ponieważ nazajutrz zgłoszą się lokatorzy.

Jedna bieda goniła drugą – wieczorem w dniu, kiedy zabrano się do wynoszenia mebli z gabinetu, wyzionęła ducha biedna charcica. Sprowadzono Szurę Krasnokutskiego i powieszono zwłoki psa na cmentarz. Pochowano Dianę przy grobowcu

rodzinnym, pod ławeczką. Później trzeba było jeszcze pół nocy zajmować się gabinetem. Dopiero nad ranem zakończono wynoszenie rzeczy i sprzątanie pokoju, w którym został tylko koncertowy fortepian – kolejna ofiara – mieli go zabrać do komisju.

Nowi lokatorzy nie omieszkali przyjechać. Podczas śniadania rozległ się dzwonek, a następnie w przedpokoju jakiś prostacki bas jął coś klarować coraz bardziej poirytowanym tonem. Nagle drzwi salonu otwarły się bez pukania i do pokoju wkroczyła potężna postać w wyszmalcowanej koszuli, z szalikiem omotanym wokół szyi i rozczochraną głową.

– Mam, znaczy się, przydział na wasz pokój. Dawajcie, panowie ładni, klucze, ale migiem! Czyśmy na darmo walczyli?

Natalia Pawłowna wstała od stołu.

– Z kim mam przyjemność rozmawiać? – spytała z godnością.

– Marynarz w rezerwie, proletariusz z dziada pradziada, Paweł Chryczko! – brzmiała odpowiedź, wykrzyknięta co sił w płucach. – Mogę przedstawić przydział, jak chcecie go widzieć. Ale czynić sobie wstrętów nie pozwolę. Jestem inwalidą, rannym w rękę podczas walk z Denikinem, mam żonę i dzieci. Zaskarżę was!

– Nikt nie ma zamiaru czynić panu wstrętów – powiedziała cicho Natalia Pawłowna. – Jak ma pan przydział, proszę się wprowadzać. Klucza od pokoju nie mam, ponieważ mieszkaliśmy całą rodziną i pokojów nie zamykaliśmy. A ze swej strony poproszę pukać do drzwi, kiedy pan do nas wchodzi.

– Patrzcie ją! Jeszcze im fanaberii z głowy nie wybili! Gdzie są towarzysze komisarze? Nic, wszystko wyjaśnimy. Poczekajcie!

Zaczęła się „wielka wędrówka ludów”. Jakieś kobiety w walonkach i chustach nosiły domowe mienie – sienniki, poduszki, stołki, kubki, kopyto, puste butelki, podobizny przywódców bolszewickich... Plugawe przekleństwa, płacz dzieci, charkanie i plucie, stanowiły oprawę muzyczną tych czynności. Ledwo ustawili sprzęty, natychmiast – jak się zdaje – zasiedli do poczęstunku, ponieważ rozległy się pijackie głosy mężczyzn i

kobiet i bezładny śpiew. Natalia Pawłowna, madame i Asia czym prędzej pozamykały na zasuwę drzwi z salonu do przedpokoju i z sypialni na korytarz, aby odizolować się w swoich pokojach, niczym w obleżonej twierdzy, a do łazienki i kuchni nie wychodziły pojedynczo. Trzy kobiety czuły się teraz szczególnie samotnie i bezradnie. Niespodziewanie jednak zjawiała się odsiecz w osobach Walentyna Płatonowicza i Szury.

– Nadzwyczajne zgromadzenie podjęło decyzję o mobilizacji na wypadek, gdyby potrzebna była ingerencja sił zbrojnych zaprzyjaźnionego państwa – zameldował Walentyn Płatonowicz, całując rękę Natalii Pawłowny.

Madame odważyła się wyjść do kuchni, żeby nastawić wodę na herbatę, ale zaraz wróciła z sensacyjną wiadomością: z kuchni zniknął największy miedziany czajnik, a z korytarza – okrągły stół z blatem z czarnego marmuru, stojący zwykle na nim telefon umieszczono na podłodze. Wiadomość wywołała ogólne oburzenie, szczególnie denerwowała się madame. Tylko Asia odważyła się bronić intruzów i tłumaczyła po kolei każdemu:

– Nie warto się przejmować drobiazgami! Bardzo proszę! Jest taki biedny ze swoją ranną ręką! Przypomnijcie sobie Dostojewskiego – może ta rodzina jest taka sama, jak rodzina Sniegiriowa czy Marmieładowa!

– Ale chyba się pani zgodzi, Kseniu Wsiewołodowno, że trzeba mieć nie lada tupet, żeby od razu, pierwszego dnia brać cudze rzeczy bez pytania – zawołał Szura.

– Należy z tym z miejsca skończyć, bo w przeciwnym razie zuchwalcy wleżą wam na kark! – powiedział zdecydowanie Walentyn Płatonowicz. – Zapraszam pana, Aleksandrze Aleksandrowiczu, zaatakujmy pozycje wroga i zdobądźmy trofea!

Krasnokutski wyprężony, maszerując w miejscu, zagwizdał marsz Pułku Preobrażeńskiego. Skłonność Szury do żartów w każdej sytuacji zawsze irytowała Asie.

– Profanuje pan marsz, który towarzyszył naszym bohaterom

– zawołała gniewnie.

Pięć minut później stół znalazł się na swoim miejscu, a jedna z kobiet, pewnie małżonka „proletariusza z dziada pradziada” przyszyła, by się wytłumaczyć z powodu czajnika:

– Bardzo prosimy... Gości mamy, a nie ma w czym zrobić herbaty... Proszę łaskawie pozwolić, przecie nowe mieszkanie oblewamy! A jakby jaki gość zarzygał korytarz, to bez obaw, jutro wszyściutko uprzątnę – bąkała żałośnie.

Kobiecina, jeszcze młoda, mogła mieć najwyżej trzydzieści lat, była pyzata i niebrzydka. W jej sposobie bycia, w przeciwieństwie do bezczelności męża, było coś służalczego, przypochebnego. Ostrzeżenie o możliwych wymiotach wywołało szok. Zapadło milczenie, pierwsza pozbierała się Natalia Pawłowna, pozwoliła zostawić czajnik, ale tylko na ten wieczór, a w przyszłości w żadnym przypadku nie ruszać nic bez zgody właścicieli. Kobiecina wyniosła się szybko.

– Ale towarzystwo! – zawołał Walentyn Płatonowicz.

– Szumowiny! – powiedział Szura. Znowu wybuchło oburzenie.

Nagle otworzyły się drzwi do salonu, na progu ukazał się sam „z dziada pradziada”. Żona go powstrzymywała, ciągnęła za rękaw.

– Zanadtoście pewni siebie! – ryknął, wrywając się z rąk połowicy. – Nachodzicie nas z awanturą! Widzicie ich! Czy mam razem z rodziną gnieździć się w suterenie? Czy o to walczyłem? Pokażę wam, jak będę chciał! Oficerstwo przebrane! Mnie straszycie? Minał wasz czas!

Natalia Pawłowna wstała, drżała ze wzburzenia, pozostali zamarli, ale Walentyn Płatonowicz nie stracił głowy. Podniósł się i pchnął nieproszonego gościa.

– Precz stąd, bo wezwę milicję i będziecie odpowiadać za chuligaństwo! Nikt się waszych pogroźek nie lęka. Jesteśmy sowieckimi obywatelami. A ja byłem czerwonym dowódcą! – i

wywlókł Chryczkę do przedpokoju. Chryczko zdzielił go w twarz, Walentyn Płatonowicz oddał cios, na tym awantura się skończyła, bo żona „proletariusza” powstrzymała swego ślubnego.

– Proszę się nie bać, Natalio Pawłowno, on jest podchmielony. Trzeźwy nigdy się na to nie odważy – powiedział Walentyn Płatonowicz, przyłożywszy do oka chusteczkę. Okazało się, że ma mocno podbitą skroń i oko. Zrobiono mu okłady z arniki. Szura z zawiścią patrzył, jak Asia pielęgnowała rannego.

– Błagam panią, Kseniu Wsiewołodowno, jeżeli sądzone mi zginąć w kwiecie wieku, niechaj pani ze względu na pamięć o mnie nigdy nie zgadza się na zakład à *discretion* z nowym sąsiadem – powiedział Walentyn Płatonowicz słabym głosem.

Dziewczyna odwróciła się od niego z irytacją, przypomniała sobie moskiewski pocałunek.

Pijackie krzyki ucichły; młodzi ludzie szykowali się do wyjścia, Szura ujął pod rękę rannego bohatera, kiedy rozległ się kobiecy pisk. Zwiad doniósł, że zawarły się ze sobą żona czerwonego kursanta z żoną Chryczki, która wpakowała się do jej beczki z kiszoną kapustą. Walentyn Płatonowicz uznał tę wiadomość za niezwykle pomyślną, ponieważ – jak wyjaśnił Natalii Pawłownie – wojny domowe osłabiają wroga.

Pożegnawszy swoich obrońców, kobiety sprawdziły na wszelki wypadek zasuwę. Asia, nim dała nura pod koldrę, zapukała cichutko do drzwi babcinego pokoju.

– *Entrez*²⁷ – powiedziała Natalia Pawłowna, która jeszcze siedziała w fotelu. Światło spod niebieskiego abażuru padało na jej zasmuconą twarz.

– Nie trzeba się smucić, babciu! Na pewno będziemy jeszcze szczęśliwi!

– Nie, dziecko. Nie spodziewani się już niczego dobrego. Tu, w pokoju mego syna, rozwala się pijany cham, podczas kiedy mój syn przebywa w jakimś dalekim osiedlu na Syberii, a mój wnuk

²⁷

Entrez (fr.) – Wejść.

nie chce mnie znać! Nie mogę się z tym pogodzić. Lękam się, Asiu, o ciebie, o twoją przyszłość.

Asia przytuliła policzek do ręki Natalii Pawłowny.

– Kocham ręce babci. Nikt nie ma takich pięknych, długich palców! Proszę, niech się babcia nie niepokoi o mnie, wiem doskonale, że będę szczęśliwa. Rano, po obudzeniu, kiedy leżę cichutko, bardzo często dosięgają mnie promienie słoneczne, takie długie i złociste, boję się wtedy poruszyć, żeby ich nie pozrywać, jak pajęczyny, wydaje mi się, że to obietnica szczęścia. O takich rzeczach nie mówi się, nigdy nikomu nie opowiadałam o tym, a teraz powiedziałam, żeby babcię pocieszyć!

Rankiem nowi lokatorzy nie wydawali się już tacy straszni. Ich goście rozeszli się; wspaniały ojciec rodziny, którego Walentyn Płatonowicz także obdarował sińcem, poszedł do pracy. W domu pozostała żona z dwoma synami, czternastoletnim i czteroletnim. Kobieta krzątała się, myła podłogę, krzykliwie strofowała dzieci, ale nie przekraczała granic przyzwoitości. Czajnik zwróciła wypucowany do połysku.

Przez cały dzień zdarzył się tylko jeden konflikt – z powodu brudnej bielizny namoczonej w wannie. Połączone siły madame i żony kursanta zmusiły nową lokatorkę do wyjęcia bielizny i umycia wanny. Wieczorem, kiedy madame zajrzała do kuchni, obie kobiety gawędziły przyjaźnie przy praniu. Temat rozmowy był wielce pouczający – wymieniały doświadczenia z dziedziny aborcji, jedna z nich miała pięć zabiegów, druga – trzy. Madame słuchała chwilę i pomyślała, że trzeba zabronić Asi i Leli przebywania w kuchni.

Rozdział piętnasty

Olega wypisano ze szpitala dopiero na początku marca. Zapalenie płuc minęło szybko, ale utrzymywało się zapalenie opłucnej. Podczas choroby Oleg po raz pierwszy po wyjściu z obozu mógł wypocząć i wyspać się. Poza tym w szpitalu zwrócono uwagę na ogólny stan organizmu – wyczerpanie i anemię – i zapisano serię zastrzyków z arsenu, żelaza i glukozy. Karmiono niezle. Orzeczenie lekarzy w związku z zapaleniem opłucnej nie było pocieszające. Wy tłumaczono Olegowi, że odłamek, którego nie usunięto podczas poprzednich operacji, będzie powodował zapalenia opłucnej. Wiaczesław mylił się, kiedy z taką pewnością siebie przekonywał, iż sowiecki pracownik otrzymuje wynagrodzenie za okres choroby. Okazało się, że dotyczy to tylko tych, którzy przepracowali dostatecznie długi okres w jednej instytucji, a Oleg pracował zaledwie miesiąc, i to jako pracownik nieetatowy, i nie miał prawa do wynagrodzenia, a zwolnienie lekarskie było tylko usprawiedliwieniem nieobecności.

W mieście szalała grypa, odwiedziny w szpitalu zostały zakazane. Oleg nie wiedział nic o Marinie. Myślał o niej z uczuciem wstydu z powodu tego, co się między nimi zdarzyło. Rozumiał, że nie jest zakochany i nawet nie próbował się oszukiwać. Jednocześnie mówił sobie, że Marina jest uczciwą kobietą, z którą nie wolno zrywać po tym, co zaszło. Jeżeli ich związek się utrwali, Oleg będzie musiał odejść z portu, bowiem nie wolno mu, oszukując jej męża, spotykać się z nim w pracy.

Stale w jego myślach obecna była inna postać – biel czoła, długie i gęste rzęsy, niezmacona czystość spojrzenia. W dniu, kiedy został wypisany ze szpitala, była odwilż; wyszedł wciąż w tym samym szynelu. Buty bez kaloszy natychmiast przemieęły. Musiał iść pieszo, ponieważ nie miał trzydziestu kopiejek na tramwaj. Odzwyczaił się od chodzenia i tak się zmęczył, że ledwo dotarł do domu. Wchodził na schody i marzył, żeby mu otworzyła Anna. Wiedział, że mu współczuje. Spodziewał się, że go nakarmi i wysuszy buty. Ale dozorczyńni nie było w domu – otworzyła

Katiusza. Widocznie wiedziała już, że wybrał Marinę. Prychnęła gniewnie, odwróciła się plecami i wyszła. Nina była w Capelli, Mika w szkole. W pokoju Miki – jak się okazało nie zamkniętym – znalazł na stole kartkę: „Olegu, odgrzej sobie zupe, jest w kuchni za oknem w małym rondelku, chleb na stole. Wrócę dopiero wieczorem. Cieszę się, że Ciebie zobaczę. Nina”.

Znalazł zupe, ale był tak zmęczony, że nie odgrzewał jej, lecz postawił na stole zimną. Smutek i samotność dopadły go w tym pokoju. „Lepiej bym umarł w szpitalu. Komu jestem potrzebny? Kto jest mi rad?” – myślał. Była co prawda istota, która kręciła się wokół jego nóg – kłapouchy szczeniaczek, kundelek z brzydkim ogonkiem. Piesek mieszkał u Annuszki. Oleg lubił psy, przywykł do nich od dzieciństwa, a one to czuły. Szczeniak rzucił się do Olega z właściwą sobie bezinteresownością, jakby przyjście tego człowieka zapowiadało niewyczerpane psie radości. Oleg pogłaskał szczeniaka i odsunął lekko, ale ten znowu się do niego przyczepił. Oleg usiadł, a psiak położył mu na kolana łapy. Spotkawszy psi wzrok pełen czułości, Oleg znowu pogłaskał łepkę, wzruszony przywiązaniem zwierzaka.

– Głupi piesku! Z czego się cieszysz? Powiem ci, że wyzdrowiałem i wcale się z tego nie cieszę! Cóż robić! Zjedźmy razem obiad, masz tu kawałeczek chleba. Nie chcesz? Jesteś bardziej najedzony ode mnie! No cóż, żywi ciebie Anna Timofiejewna, a ona nie pozwoli głodować. W takim razie pozwól mi zjeść!

Szczeniak patrzył na niego miłośnie.

– No, o co ci chodzi? – nagle opanował go smutek, Oleg położył głowę na skraj stołu i trwał tak jakiś czas. Zaniepokojony psiak na próżno szarpał go zębami.

Pod drzwiami rozległy się szybkie kroki. Oleg wyprostował się. Do pokoju prawie wbiegła Marina i rzuciła mu się na szyję.

– Wróciłeś! Zdrowy? Dzięki Bogu! Tak się zmartwiłam, kiedy się dowiedziałam o szpitalu. Tęskniłam bardzo! Nie mogłam się doczekać!

W jej pieszczocie wyczuł ciepło i szczerłość. Całował jej rękę, a potem usta z wdzięcznością za uczucie, a później opanowany pożądaniem zapomniał o wszystkich rozterkach i postanowieniach. Tym razem nie mógłby się tłumaczyć, że inicjatywa należała do niej! Kiedy poprawiając uczesanie, zaróżowiona i szczęśliwa Marina tuliła się do niego i powiedziała „Jaka jestem szczęśliwa!”, poczuł, że on także jest szczęśliwy jakimś nagłym i nietrwałym szczęściem.

– Nie będziemy się mogli spotykać w najbliższych dniach, a później trzeba będzie pomyśleć, gdzie się możemy widywać – powiedziała Marina.

– Dlaczego nie będziemy się mogli spotykać? Czy nie masz zamiaru wpaść wieczorem do Niny? – spytał. – Jeżeli nie sam na sam, to spotkajmy się przynajmniej w obecności Niny.

– Nie, kochanie... W najbliższe dni nie będzie mnie w domu.

– Wyjeżdżasz?

– Muszę na kilka dni pójść do szpitala.

– Jesteś chora?

– Ależ nie, nie jestem chora. Ach, ty głuptasie! Czyżbyś nic nie rozumiał? Byłeś wtedy nieostrożny, więc muszę... Zrozum wreszcie...

Ujął jej rękę.

– Cięża?

– Tak – przytuliła się do niego.

– Jesteś pewna, że to przeze mnie?

– Oczywiście. Mężowi nie pozwalam w ten sposób. Trzymam go na dystans. Tobie tylko... Krócej mówiąc, wiem! Puść wreszcie moją rękę, palce mi powyłamujesz!

– Nie pójdziesz do żadnego szpitala! Nie pozwolę ci! W żadnym razie!

– Co znaczy: nie pozwolisz? Więc jak ma być? Czy ty jesteś zdrowy na umyśle?

– Jak możesz, Marino, nawet myśleć o tym? Musisz natychmiast porozmawiać z mężem, jutro koniecznie. A ja napiszę prośbę o zwolnienie z pracy. Bolszewicy skomplikowali życie we wszystkich dziedzinach, ale w dziedzinie rozwodów sprawa wygląda znakomicie, na życzenie jednej ze stron w ciągu kilku dni jest po wszystkim... Dostaniesz rozwód i pobierzemy się.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Ale wariat z ciebie! W twojej sytuacji brakuje ci tylko żony i dziecka!

– Kochasz mnie, Marino?

– Uwielbiam! – zwichrzyła mu czuprynę.

– Dlaczego więc tak mówisz?

– Zastanów się, kochanie. Ja rozwiodę się z mężem, ty zwolnisz się z pracy w porcie, zostaniemy bez pensji, bez mieszkania, bez mebli... Bez niczego. Jak będziemy żyć? To nie jest takie proste! Wierzyć, że „choćby w chatce, byle z nim!”, może tylko człowiek, który nie zaznał biedy, a ja dość się nacierpiałam, kiedy po rewolucji zostałyśmy we dwie z mamą. Wiesz, byłam rejestratorką w jakiejś paskudnej poliklinice, wymyślał mi każdy, kto tylko chciał. Zarabiałam pięćdziesiąt rubli, wracałam do domu o szóstej, jadłam suszoną rybę z kartoflami, własnoręcznie robiłam wielkie pranie, sama myłam podłogi, chodziłam obdarta... Dopiero od dwóch lat jestem syta i ubrana, odkąd wyszłam za Mojżesza. I znowu klepać biedę!

– No cóż, nie śmiem nalegać – powiedział ponuro Oleg. – Biedna Rosja! Skoro kobiety rosyjskie tak rozumują, rzeczywiście koniec z naszą ojczyzną! Jesteśmy skazani na wymarcie. A chamy będą się rozmnażali.

– Jesteś niewdzięcznikiem, Olegu! Tak ci współczułam, a ty robisz mi wyrzuty!

– A ja w odpowiedzi na to wszystko proszę cię o rękę. Czy to ci się nie podoba? Więc czego ode mnie chcesz?

– Ależ podoba mi się, jestem wzruszona, ale nie mogę się zgodzić. Zrozum, nie mogę ryzykować.

– Jak chcesz. Powiedziałem wszystko, co chciałyby usłyszeć kobieta w takiej chwili. Nie mam już nic do powiedzenia. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że jeżeli usuniesz ciążę, zerwę z tobą.

– Ale dlaczego?

– Nie chcesz mego dziecka, nie chcesz małżeństwa ze mną, a ja nie chcę takich spotkań. Obraża mnie twoja odmowa. To wszystko.

– Zdecydowałam się już na zabieg. Mam miejsce w szpitalu. Jutro o dwunastej Mojżesz Herszelewicz zawiezie mnie.

– Mojżesz Herszelewicz? Jak on to przyjął?

– Wy tłumaczyłam mu... Wmówiłam... – machnęła ręką. Aż się skrzywił.

Na korytarzu rozległ się dźwięczny głos Miki, który wrócił ze szkoły i wyklócał się z dozorczynią – wypominała mu, że nie zdjął kaloszy i narobił śladów na korytarzu. Marina zerwała się, wyszła do chłopca. Mika przywitał się wesoło.

– Ucałuj ode mnie Ninę i powiedz jej, że bardzo chciałabym z nią porozmawiać. Do widzenia, Olegu Andriejewiczu.

Oleg podał jej futerko i włożył botki. W kuchni kręciła się Katusza, zerkając ciekawie. Oleg wyszedł z Mariną na klatkę schodową.

– Jeszcze raz cię proszę, Marino, opamiętaj się! Poświęcę ci całe życie, jeżeli wyjdiesz za mnie i zdecydujesz się urodzić to dziecko!

Stała ze spuszczoną głową, oglądała futrzaną mufkę. Ujął jej rękę.

– Zgadzasz się?

Nie spojrzała na niego, tylko potrząsnęła przecząco głową. Wypuścił rękę i poszedł na górę, ona – na dół. „Nigdy nie zerwie ze mną – myślała – wystarczy, żebym została z nim na chwilę sam na sam i rzuciła się mu na szyję, a znowu będzie mój. Poznałam go”. Ale w oczach miała łzy.

Wieczorem Nina powiedziała do Olega:

– Możesz mi pogratulować. Jestem oficjalną narzeczoną Siergieja Pietrowicza. Stosunki z jego matką ułożyły się doskonale, pobierzemy się z Siergiejem przy pierwszej okazji.

Ucałował jej rękę.

– Cieszę się bardzo. Więc są jeszcze w Rosji kobiety, gotowe jechać za ukochanym człowiekiem nawet na Syberię. Jestem pewny, że będziesz szczęśliwa!

– Nie spodziewałam się, że usłyszę od ciebie takie gorące i szczere słowa. Myślałam, że pamięć o bracie... – wzruszyła się Nina.

– O, nie! gdybyś wybrała człowieka z wrogiego obozu, doskonale prosperującego bolszewika... Ale białogwardzistę, zesłańca... Cieszę się. Jestem z ciebie dumny.

Zadzwoił telefon. Marina prosiła, żeby Nina niezwłocznie przyjechała do niej, wysłała po nią samochód. Nina pojechała. Oleg był zdenerwowany. „Może Marina zmieniła zdanie i chce coś mi przekazać przez Ninę?” – myślał. Niny długo nie było, ale nie kładł się spać, czekał. Wreszcie usłyszał jej kroki i wyszedł na korytarz, żeby ją rozebrać, spojrzał pytająco: „Czy wie, że uczciwie proponowałem małżeństwo?” Spotkała jego wzrok, widocznie domyśliła się, o co chodzi, ścisnęła jego dłoń.

– Nie masz sobie nic do wyrzucenia. Marina sama nie wie, czego chce.

Nazajutrz Oleg miał iść do polikliniki po skierowanie do

pracy, ale wbrew oczekiwaniom przedłużono mu zwolnienie jeszcze na trzy dni, które spędził na lekturze, grze w szachy, rąbaniu drzewa, a w końcu zaproponował, że naprawi instalację elektryczną w pokoju Niny. Chciał w ten sposób zagłuszyć smutek. Trzeciego dnia rozległ się w przedpokoju dzwonek, Oleg poszedł otworzyć i ujrzał Mojżesza Herszelewicza we wspaniałym futrze z karakułowym kołnierzem. „Wyjaśniająca rozmowa!” – pomyślał i natychmiast ułożyło się zdanie: „Gotów jestem dać panu satysfakcję w sposób, którego sobie pan zażyczy!”. Ale gość wyciągnął do niego rękę z uśmiechem, ukazując złote zęby.

– Już w domu! – powiedział. – Miła niespodzianka! Jak się pan czuje? Zastępuje pana pewien młodzieniec, ale nie radzi sobie. Czekamy, czekamy niecierpliwie. Kiedy pan wróci do pracy?

– Jutro idę do polikliniki. Poproszę, żeby mnie wypisali pojutrze.

– Nie trzeba się spieszyć, zdrowie najważniejsze. A na pierwszego maja dostanie pan premię, to trochę podreperuje pańską sytuację finansową.

– Dziękuję, ale może nie warto. Krótko pracuję... Będą na pana narzekać.

– Jakoś się to załatwi. Było nie było, mam trochę władzy. Proszę powiedzieć, czy Nina Aleksandrowna jest w domu? Wysyłają mnie służbowo do Moskwy, a żona jest w szpitalu, chciałbym prosić, żeby Nina Aleksandrowna odwiedziła ją.

Oleg zaprowadził go do Niny.

– Jak tam Marina? – zawołała.

Oleg pomyślał, że może się wydać zbędny przy takiej rozmowie, i wyszedł z pokoju, ale przy drzwiach zatrzymał się, udał, że zapala papierosa.

– Nie całkiem dobrze – powiedział Mojżesz Herszelewicz. – Zabieg robił osobiście profesor, ale żona gorączkuje. Chciałem prosić, żeby pani wpadła do niej, jutro w szpitalu dzień odwiedzin. Proszę przekazać jej ode mnie te gruszki i winogrona.

Oleg wyszedł.

W korytarzu, stojąc na stolku, naciągał przewód, kiedy Nina i Mojżesz Herszelewicz wyszli z pokoju i zatrzymali się przy wieszaku.

– Błagałem, żeby tego nie robiła – mówił Mojżesz Herszelewicz. – Zgodzi się pani, że w naszej sytuacji materialnej możemy sobie pozwolić na luksus posiadania dziecka! Pojechałem do jubilera, żeby kupić dla niej bransoletkę za pięćset rubli, obiecałem po porodzie kolczyki, ale się uparła, a teraz cały wieczór płacze i temperatura się podnosi.

Pysznił się jak paw z powodu sytuacji materialnej i rzekomego ojcostwa. Wyraźnie nie rozumiał, że nie wypada opowiadać takich rzeczy w obecności osoby trzeciej. I jakież to nędzne – chwalić się dobrobytem, przytaczać cenę bransolety. A z jakim gestem rzucił jedną gruszkę Mice. Oleg skrzywił się z niesmakiem, a kiedy Mojżesz Herszelewicz wreszcie sobie poszedł, powiedział z gorzkim uśmiechem:

– Dobrze sytuowany parweniusz wśród zrujnowanej, poniżonej rosyjskiej szlachty! Znak czasu!

Rozdział szesnasty

Elżbietka była teraz częstym gościem u pań Bołogowskich – lekarz zapisał Natalii Pawłownie zastrzyki na wzmocnienie mięśnia sercowego, a ona – obawiając się przychodni rejonowej – zwróciła się do Elżbietki, która zgodziła się chętnie, ale uprzedziła, że nie ma mowy o honorarium. Kiedy przychodziła, madame lub Asia ustawiały mały stolik do herbaty, jakby to się działo w wytwornym dziewiętnastowiecznym salonie. Antyczny stolik i serwis z saskiej porcelany na tle dawno nie odnawianego, zaniedbanego pokoju, zmęczona Francuzka, która nakładała nędzne powidła na śliczne spodeczki, a obok Asia, zajęta froterowaniem parkietu lub odkurzaniem niezliczonych babcinych miniatur.

– *Eh bien, Hélène?*²⁸ – pytała Lelę Natalia Pawłowna, kiedy tamta po raz kolejny wracała z biura zatrudnienia. Odpowiedź była zawsze ta sama – towarzysz Wasiljew – jak się zdaje – z ogromną przyjemnością robi wszystko, by zamknąć drogę dla „elementów nieproletariackich”. Elżbietka zaproponowała, że poprosi wuja, chirurga, który miał świetną pozycję w szpitalu, o namówienie swego przyjaciela, rentgenologa, by ten przyjął Lelę na naukę, kiedy Lela opanuje zawód, można będzie bez trudu znaleźć dla niej pracę z pominięciem biura zatrudnienia i krwiożerczego Wasiljewa – ponieważ to specjalność poszukiwana, gabinety rentgenologiczne po prostu wrywają sobie z rąk techników. Ten pomysł zachwycił wszystkich.

Elżbietka cieszyła się, że może w jakiś sposób pomóc tej rodzinie. Darzyła panie Bołogowskie coraz większą sympatią, chociaż wiedziała, że nie należą do owego postępowego, liberalnego odłamu ziemiaństwa, z którego wywodziły się słuchaczki Kursów Bestużewskich i medycznych, pracujące później w szpitalach ziemskich i szkołach, jak jej zmarła matka. Gdyby nie kres Rosji, Asia i Lela romansowałyby z oficerami i były ozdobą salonów. Elżbietka traktowała to z pogardą. A jednak

zdawała sobie sprawę z tego, że gotowa jest na każdą ofiarę dla Asi, Leli, Natalii Pawłowny i madame. Skryta i dumna za nic w świecie nie załatwiałaby niczego dla siebie. Co innego, kiedy chodziło o innych, zwłaszcza o ludzi, których kochała.

Jeden przypadek zapadł jej trwale w pamięć. Kobieta przywiozła na operację synka, chłopca lat dwunastu, jasnowłosego, opalonego, o smutnych ciemnych oczach. To była chłopka, w spódnicy z samodziału, kwiecistej chustce i w kozuchu, z kobiałką na plecach. Oczy miała ciemne i smutne, jak syn. Wyzierał z nich ból i nieludzka trwoga, kiedy tuliła chłopca, który także obejmował ją ramionami, jakby szukając obrony. Kiedy Elżbietka szła z powrotem, chłopca już zabrano, a matka siedziała na ławce, po wychudłych opalonych policzkach płynęły łzy... Gruba, obojętna salowa siedziała obok.

– Coś ty, głupia! – tłumaczyła – dziś medycyna to potęga, potrafią leczyć. Najpierw obejrzy ordynator, a jutro albo pojutrze sam profesor, nie wezmą go od razu na stół. Dziś wszystko dla ludu! Opiekę będzie miał taka, o jakiej ci się nie śniło, z łóżka wstać nie pozwoli! Nosić go będą, bo to wiadomo – medycyna! A ty płaczesz!

Elżbietka zatrzymała się, salowa zobaczyła ją.

– Siostra ci to samo powie. Jejny ojczulek, to najważniejszy chirurg. Poproś, żeby on twego syna kroił. Wielce sprawny w tej rzeczy.

Kobieta spojrzała na Elżbietkę błagalnie i padła jej do nóg... Elżbietka jak zwykle zachowała się powściągliwie.

– Chirurg nie jest moim ojcem, lecz wujem. Ciężkie przypadki zawsze operuje sam. Proszę wstać, nie wypada.

Co prawda podała kobiecie rękę, ale ten gest nie uznawany przez prostych ludzi, pewnie nic dla chłopki nie znaczył. Teraz Elżbietka wyrzucała sobie oschłość i brak prostoty.

Wspominała również inny przypadek. Na salę operacyjną przyniesiono zakrwawionego człowieka. Okazało się, że ranny jest

eksperymentatorem badającym granaty – aureola odwagi, która nie mogła nie towarzyszyć człowiekowi o takim zawodzie, i znany widok wojennej rany – poruszyły serce Elżbietki, na krótko jednak. Kiedy wzięła do ręki kartę chorobową i zobaczyła w odpowiedniej rubryce – członek partii od 1918 roku – znowu skamieniała. Zanotowała wówczas w dzienniczku: „Zawsze oczywiście wykonam swój obowiązek w stosunku do każdego, ale niechaj nie żądają ode mnie serca. Ode mnie zależy, jakiej sprawie się poświęcę. Jeżeli Pan Bóg wróci do Rosji, zmartwychwstanie siostra miłosierdzia, a teraz jestem tylko pielęgniarką, niechaj się tym zadowolą ci, którzy tak wykoślawili, zastemplowali i zasznurowali nasze życie!”

Przy wejściu do polikliniki witała ją zawsze wyniosła postać portiera. Był to dawny stangret Aleksandra III, starzec potężnie zbudowany, z ogromnym poczuciem godności własnej. W swoim życiu widział tylu przeróżnych dostojników, że lepiej niż agenci GPU rozpoznawał „panów”, bez względu na ich obecny wygląd. Nie kłaniał się partyjniakom, uważał to za poniżające dla siebie, za to zawsze witał „byłych”. Z całego szpitalnego personelu tylko kilka osób, według własnego uznania, głównie profesorów – zaszczycał ukłonem. Był wśród nich wuj Elżbietki, niemłody chirurg, który zachował maniery i postawę carskiego oficera. Młodymi ordynatorami z nowych czasów portier głęboko gardził i twardo nazywał ich „felczerami”, do których zresztą niejednen z nich był podobny. Na widok kobiet-lekarek prychał. Elżbietce kłaniał się, pewnie ze względu na szacunek dla wuja, a także dlatego, że wywodziła się z grona słynnych sióstr miłosierdzia.

Portier stał zazwyczaj nie przy drzwiach wejściowych, lecz w głębi, przy schodach, nie opodal windy, nieczynnej od czasów wielkiej rewolucji, podobnie jak wszystkie windy w mieście. Tutaj była szatnia dla osób uprzywilejowanych, które portier obsługiwał z poczuciem zaszczytnego obowiązku.

– Bardzo proszę, Elżbieto Giörgiewno! – powiedział teraz. – Przed chwilą profesor wyszedł. Prosił przekazać zaproszenie na jutrzejszy obiad – i zdejmując z Elżbietki palto, dodał: –

Wieczorem wrócił z Moskwy zięć, opowiadał, że Strastnyj Monaster i Czerwone Wrota zlikwidowano, wieżę Suchariewską i Mateczkę Iwerską także przekopali, a na Kreml nie tylko nie wpuszczają, ale przy bramie ustawili posterunki, a po placu Czerwonym milicjanci się przechadzają – nie da się przejść spokojnie. Zięć się zatrzymał, chciał na wieżę Spaską popatrzeć, a tu do niego milicjant: „Zakaz zatrzymywania się, obywatelu!” Miarkuję z tego, że to tchórze, Elźbieto Gieorgiewno. Nieboszczyk car Aleksander Aleksandrowicz ciągiem sam jeździł, i do cerkwi, i do Dumy, i na popijawy z oficerami gwardyjskimi. Ja na koźle, dwaj kozacy z tyłu to cała obstawa! A przecie wiedział, jak zamordowano jego ojczulka. Aleksander Mikołajewicz po dziesięciu zamachach także sam jeździł, a kiedy po raz jedenasty w Jego Cesarską Mość bombę rzucili, był z nim tylko adiutant i dwóch kozaków. Za nic w świecie nie ukrywali się, to byli godni rosyjscy ludzie, nie tacy, jak dzisiejsze wywłoki, różni tam Żydzi i inni poganie!

Elźbietka rozejrzała się, położyła palec na ustach, ale portier nie ściszył głosu:

– A co mi tam, ja się nie boję. Moja stara dokucza mi: „Ja – mówi – biegnę do domu i słyszę przez lufcik, jak władzy sowieckiej urągasz. Głos masz niby dzwon – mówi – nie ominie nas bieda z powodu twego głosu”. A ja uważam, że wszystko od Pana Boga zależy.

– Zuch z pana, Arefiju Michajłowiczu, więcej takich jak pan, a byłoby dobrze – powiedziała Elźbietka.

Jej starania powiodły się. Chirurg obiecał natychmiast porozmawiać z rentgenologiem. Elźbietka popędziła z dobrą nowiną do pań Bołogowskich, ale tuż przed ich bramą mignęła młoda buzia i kokieteryjny kapelusik.

– Panno Lelu!

Dziewczyna obejrzała się. Była w towarzystwie wysokiego młodego człowieka, który szybko sięgnął po czapkę.

– Walentyń Płatonowicz Frołowski, znany się z dzieciństwa – przedstawiła go Lela.

Wysłuchiwała komunikatu Elżbietki i podziękowała grzecznie, ale z rezerwą, jeżeli nie zimno.

– Zadowolona pani, piękna markizo z pieprzykiem na policzku? – spytał młodzieniec. – Mogę panią zapewnić, że na sowieckiej posadzie nie jest zbyt wesoło.

– Przyszłość pokaże! Nadchodzi pułkownik Diederichs! – Lela kiwnęła główką Elżbietce i umknęła jak sen jaki złoty.

– Gwardyjski pułkownik sprzedaje gazety – wyskandował młodzieniec, zaszutował elegancko i pobiegł w ślady Leli, żeby złożyć uszanowanie pułkownikowi.

Elżbietka spojrzawszy za nimi, ujrzała wysokiego starca. Miał dziwnie długą szyję, duże smutne oczy pod krzaczastymi brwiami przypominały oczy zaszutego zwierzęcia. Torba listonosza przerzucona przez ramię, nie maskowała wojskowej postawy i resztek gwardyjskiej elegancji.

Wybierając się do Bologowskich, Elżbietka liczyła na ciepłą, serdeczną chwilę i wesoły szczebiot przy herbacie, teraz – kiedy ją tak porzucono na środku chodnika – czuła się dotknięta i rozczarowana.

Nie miała po co iść do Asi, skierowała się więc do Anastazji Aleksiejewny, żeby podrzucić jej skarpetki, przygotowane do cerowania. Anastazja Aleksiejewna, jak to ona, zaczęła narzekać i skarżyć się, przy tym informowała, że kilka dni pracowała w szpitalu Ofiar Rewolucji jako siostra gospodarcza.

– Miałam nadzieję, że tam trochę zarobię, ale pracownica, którą zastępowałam, szybko wróciła do zdrowia. A należał mi się u nich obiad. I praca tam łatwa – sama pani wie – porcje dla chorych na talerze nakładać – dwie łyżki spłynęły z zaczerwienionych oczu.

Elżbietka patrzyła na nią zatroskana, niechęć mieszała się z litością.

– A jak się pani czuje? – spytała.

Anastazja Aleksiejewna podniosła rękę do czoła.

– Kiepsko... Wciąż się coś plecie. Boję się ciemności, nie zostaję sama w mieszkaniu. W tych dniach sąsiedzi gdzieś się rozeszli i na samą myśl, że w mieszkaniu nikogo nie ma, taki mnie strach obleciał, że bez namysłu zatrzasnęłam drzwi. A klucza przy sobie nie miałam, dwie godziny dygotałam na klatce schodowej w samej bluzce, aż sąsiedzi wrócili. Jakieś dziwne gęby widzę, pęcznieją, wyłazą z kątów. Ciągłe mam w głowie, teraz także, że tam, na kufrze ukaże się straszny fioletowy starzec, zobaczę go, jak się tylko odwrócę, więc lepiej nie odwracać się! Albo że w kuchni pod stołem gęba, niby czerwona żaba rechocze: napluj na ikonę, napluj!... Czasem nie ma nic. Odwracam się, na kufrze – nic i pod stołem także... A myśli okropne... Przecie to nachodzi mnie od dzieciństwa. Po raz pierwszy przeżyłam coś takiego, kiedy jeszcze do gimnazjum chodziłam, męczyłam się z zadaniem z matematyki. Pamięta pani, bywały takie trudne zadania z algebry... I przyszło mi na myśl, nie wiadomo skąd, żeby dla żartów poprosić o pomoc diabła: „Pomóż – mówię jakoś się rozliczymy!” Ledwo to powiedziałam, zaraz zrozumiałam zadanie – jakby zasłonkę jakąś w mózgu odsunięto. A w nocy widzę przy łóżku straszny pysk: „Daj jeść” – mówi do mnie. Żyliśmy wtedy na przedmieściu Penzy, matka sama piekła chleb. Właśnie upiekła, bochny leżały przykryte ręcznikiem. Schwyciłam jeden, rzuciłam. Rano obudziłam się i przypomniałam obrzydliwy sen. Słyszę, że matka krzyczy: „Dzieciaki, kto ruszał chleb? Czy to nie można było ukroić? Bochen zepsuty i ręcznik na podłodze!” Matka krzyczy, a we mnie serce zamarło ze strachu. Wiosną poszłam do komunii, nagle jakby mnie ktoś pięścią w ucho zdzielił: „Wypluj, wypluj natychmiast!” Wyplułam bez namysłu. Ach, pani drgnęła!

– Tak, drgnęłam, bo to grzech! Pluć na ludzki portret także nie należy, a to przecież Dary Święte! Dlaczego pani to zrobiła?

– Sama nie wiem dlaczego. Po prostu tak. Wtedy niczym się nie przejmowałam. Biegałam sobie, śmiałam się, a teraz trzeba wypić to piwo. Myślę czasem, że gdyby mąż był inny, nic by mi nie

było, to krymska historia nadwreżyła nerwy. Pamięta pani, rozmawialiśmy o poruczniku Daszkowie? Nie mogłam wtedy przypomnieć sobie jego nazwiska?

Elżbietka wyprostowała się.

– Pamiętam. No i co? Widziała go pani?

– Proszę sobie wyobrazić! Właśnie mówiłam, że nigdy go nie widzę, a tu zobaczyłam!

– Jak to było? – Elżbietka ściągnęła brwi, głos zabrzmiał ostro.

– Nalewałam chorym herbatę, a salowe roznosiły; to było po kolacji; spojrzałam przed siebie i widzę, siedzi przy najdalszym stole wśród innych chorych, ma na sobie szary szlafrok, jak wszyscy, wygląda jak żywy, dokładnie jak żywy.

– Ale jak wyglądał? Wtedy był ranny w skroń, na głowie miał bandaż. Tak go pani widziała?

– Nie, bandaża nie miał, ale to on. Pamiętam, że zwróciłam uwagę na bliznę – od brwi ku skroni. Gdybym nie wiedziała, że rozstrzelany, pomyślałabym, że żywy. Tylko trochę starszy.

– Dziwne – szepnęła Elżbietka. – Postarzał się, blizna... Nie wygląda na halucynację. Dlaczego pani nie podeszła do niego, nie zaczęła? I nie sprawdziła w wykazie pacjentów, Anastazjo Aleksiejewno?

– Po prostu przestraszyłam się! Pamiętam, że upuściłam kubek, stłukł się. Salowe zaczęły się krzątać, przyszła dyżurna lekarka, spytała, co mi jest, a kiedy znowu spojrzałam w tamtą stronę, przy stole nikogo nie było.

– A nazajutrz?

– A nazajutrz już tam nie pracowałam, to było w przededniu zwolnienia.

„Gdyby go ujrzała jakiegoś innego dnia, jednego z wielu – myślała gorączkowo Elżbietka – mogłaby to być halucynacja, ale

zjawienie się w ostatnim dniu mogło wynikać stąd, że właśnie tego dnia pozwolono mu zejść do stołówki. Czyżby to rzeczywiście był on? Trzeba koniecznie zajrzeć do szpitala Ofiar Rewolucji, sprawdzić, czy nie leczył się tam Daszków”.

– Na którym oddziale pani pracowała? – spytała jakby mimochodem.

– Zaraz... Nie pamiętam... Kiepsko ze mną... Aha, na wewnętrznym.

– Ten wypadek wskazuje jedno – nie powinna pani prowadzić takich rozmów – powiedziała Elżbietka.

Ktoś zapukał do drzwi, Anastazja poszła otworzyć, Elżbietka usłyszała jej okrzyk: „To ty? Nie spodziewałam się!” Odwróciła się i ujrzała człowieka, którego kiedyś, w Teodozji, widywała codziennie w godzinach pracy. Zerwała się jak oparzona. Zmienił się w ciągu tych lat, pamiętała go w mundurze oficerskim, teraz był w wygniecionej szarej marynarce; nie miał już dawnej postawy, wyłysiał, obrzmiała twarz miała – jak się Elżbietce wydało – jakiś obleśny wyraz... Wyglądał jak prostak.

– Kogo ja widzę! Siostra Muromcewa! – na chwilę wymiętoszony sowiecki urzędnik upodobił się do oficera z dawnych czasów, wyprostował się, szurnał obcasami.

Elżbietka chwyciła palto, leżące na krześle i z dumnie podniesioną głowę skierowała się do drzwi... Niedoczekanie, nie uściśnie ręki tego zdrajcy, Złobina, który wydał katom z czrezwyczajki rosyjskich bohaterów. Nigdy! Nie dostąpi ten łajdak takiego zaszczytu!

Kiedy następnego dnia wpadła po pracy do domu – miała zamiar wybrać się później do szpitalnej informacji – ujrzała w przedpokoju Anastazję Aleksiejewnę.

– Ja do pani... Wybiegła pani bez pożegnania! Może czymś obraziłam? – spytała służalczym jak zwykle tonem.

Weszły do pokoju Elżbietki.

– Może pani przyjmować u siebie kogo chce. Dziwne byłoby, gdybym się obraziła. Ale myślę, że pani mnie zrozumie. Ten człowiek nie budzi we mnie sympatii.

– Rozumiem to, oczywiście, ale pani także powinna mnie zrozumieć. Nie mogę nie przyjąć go, kiedy czasem do mnie zajrzy.

– Jasne, skoro bierze pani od niego pieniądze, nie może go pani nie przyjąć. Aleja osobiście uważam, że nie należy brać pieniędzy od człowieka, który pomagał bolszewikom mordować.

– To, Elżbieto Georgiewno, pani! Pani, wiadomo, pierwsza klasa, osoba wybrana. A ja co do siebie nie mam żadnych złudzeń. To tak jak w sklepie opakowania herbaty: to – cejlońska! to – ekstra, a to – taniutka. Ja należę do innej sfery niż pani, moi rodzice byli prostymi sklepikarzami. Im wydawało się, że Bóg wie jaki zaszczyt mnie spotkał, kiedy wyszłam za mąż za lekarza. Gdyby był zawodowym wojskowym, a nie z mobilizacji, nigdy bym go nie widziała, jak własnych uszu. Dlaczego teraz przyjmuję od niego pieniądze? Przecież było nie było przeżyłam z nim dwadzieścia lat, uratowałam go od tyfusu, ile przy nim czuwałam, siłą go trzymałam w łóżku... A teraz ja choruję. Jestem w złym stanie – sam to mówi. Dlaczegoż więc nie miałabym przyjąć od niego pomocy? A ten, jak go tam, Daszków, porucznik, mąż się dowiadywał – nie figuruje w szpitalnej ewidencji, znaczy się, znowu halucynacja.

– Jak? Nie figuruje? – głos Elżbietki załamał się. – Po co pani opowiadała o tym mężowi?

– A dlaczego nie miałam opowiedzieć? Opowiedziałam.

– Doskonale! Pani opowiedziała, a on poszedł się dowiedzieć – Elżbietka zmarszczyła brwi.

– Ojej, widzę, że się pani znowu gniewa, ale za co? No poszedł, spytał; sprawdzili wpisy z ostatniego miesiąca i powiedzieli, że takiego nie ma. Oto i wszystko!

– A po co się dowiadywał? Nie przypadkiem starszy, zapracowany człowiek traci czas na sprawdzanie w ewidencji.

Pewnie miał w tym jakiś interes, widocznie sam chciał wytropić oficera, który cudem wymknął mu się z rąk. Powiedzmy, poinformowano by go o tym, że taki człowiek był, i dzięki naszemu systemowi protokołowania podali adres i miejsce pracy. Jaki byłby ciąg dalszy – jak pani myśli?

– Ale go nie było! Czy warto o tym mówić! – powiedziała Anastazja Aleksiejewna niemal ze łzami.

– Tak, nie było, za to wyszła na jaw podłość pani małżonka. Dowiedział, że jest gotów do kolejnej zdrady – oburzyła się Elżbietka. – Oto co pani powiem, Anastazjo Aleksiejewno, koniec z naszą znajomością. Nie chcę więcej widzieć tego człowieka, ani słyszeć o nim, a pani, jak się zdaje, spotyka się z nim nie tak rzadko. Pani może przekazywać mu nasze rozmowy... Pani nie ma zasad! Lepiej skończmy z tą znajomością!

– Ależ, Elżbieto Georgiewno! Łatwo pani mówić o zasadach, pani jest młoda, zdrowa, z kwalifikacjami, stoi pani mocno na nogach... Gdyby się pani znalazła w mojej sytuacji, zmieniałaby pewnie ton!

– Niech się pani nie obawia, nie zmieniałbym.

– Nie trzeba tak mówić! No cóż, pójdę już. Łatwo odtrącić człowieka. Obiecała mi pani pomoc, zbierała dla mnie pracę, współczuła, a z byle powodu poirytowała się, i koniec! Żadnej litości. A jeszcze mężowi memu okrucieństwo zarzuca, jak się zastanowić, jest lepszy od pani. Nie pierwszy raz wyrzucają mnie z domu, wszyscy znajomi wyrzekli się mnie – zaszłochała. Elżbietka walczyła ze sobą.

– Przepraszam, zdenerwowałam się – powiedziała wreszcie i wyciągnęła rękę do Anastazji Aleksiejewny. – Zostańmy w przyjaźni. Przyszykowałam dla pani pracę. Ale więcej do pani nie przyjdę. Proszę wpadać do mnie. Czekam na panią za tydzień, w piątek. Zgoda?

– Dziękuję, kochana. Niech się pani nie gniewa, moja śliczna. Przecież ja jestem samotna – zaszłochała znowu.

– Niech pani nie opowiada mężowi, że się spotykamy, proszę mi przyrzec – ciągnęła Elżbietka.

– Przysięgam, mogę ikonę ucałować, jak pani chce.

– Nie trzeba. I proszę pamiętać: porucznik został zabity. I koniec z tym wszystkim.

Kiedy Anastazja Aleksiejewna wreszcie wyszła, Elżbietka padła na fotel, zasłoniła rękami twarz.

Pacjenta o tym nazwisku nie było! Oczywiście! Szaleństwem było myśleć, że jest inaczej. Świat jest pusty! Umarli nie zmartwychwstają!

Rozdział siedemnasty

Oleg znowu zaczął chodzić do pracy. Praca i dojazd do portu i z portu, nie kończące się czekanie na tramwaje zajmowały tyle czasu, że do domu wracał nie wcześniej niż o siódmej wieczorem. Żeby jakoś przezwyciężyć smutne myśli, zagłębiał się w lekturze, wyszukawszy coś ciekawego w bibliotece Nadzieży Spiridonowny. Obiady jadał w pracowniczej stołówce w porcie, a kolacje z Niną i Miką zgodnie z życzeniem Niny, która uważała za korzystne prowadzenie wspólnego gospodarstwa. Teraz, kiedy mógł wpłacać jej swój udział, przyjął tę propozycję z radością.

Jakieś dwa tygodnie po powrocie do pracy, usłyszał na korytarzu wesoły głosik Mariny, która witała się z Niną. Jej śmiech wydał mu się nieco sztuczny. Kiedy weszła do pokoju Niny, Oleg ubrał się szybko i wyszedł z domu. Cały wieczór błąkał się po mieście, wrócił około godziny dwunastej, kiedy według niego Marina powinna była już wyjść. Za nic nie chciał jej widzieć, nie chciał żadnych czułości ani wyjaśnień.

Kiedy Marina przyszła następnym razem, zrobił to samo. Nina rzecz jasna zrozumiała jego manewry, chociaż nie rozmawiała z nim na ten temat; nie wspominała też nigdy o Asi, a przecież nieraz ją obecnie widywała.

Pewnego razu Oleg czytał w kuchni. Wiaczesław pilnował maszynki i swoim zwyczajem coś wkuwał. Jakiś czas później do kuchni weszła Katusza, ziewała, ale na widok dwóch naraz młodych mężczyzn, upuściła chusteczkę. Oleg zgodnie z zakodowanymi twardo zasadami dobrego wychowania zerwał się, by ją podnieść. „Mój Boże, cóż to za perfumy! Z pewnością nie są to «Fiołki parmeńskie»,” – pomyślał i znowu wsadził nos w książkę. Tymczasem rozpromieniona Katusza usiadła na stołku, widocznie planowała następne posunięcie.

– Mam pół litra! Chętnie poczęstuję i ja przy okazji wypiję, bo samej smutno! – powiedziała w przestrzeń.

Młodzi ludzie nie przerwali lektury.

– W „Październiku” wyświetlają „Młodość Piotra Winogradowa”. Gdyby któryś z chłopaków skoczył po bilety, pewnie bym poszła.

Ale oni znowu nie zareagowali.

– Ale dzisiaj kawalerowie nieuprzejmi! Czy sama mam któregoś zaprosić?

Oleg spojrział na nią, jakby była żabą. Wiaczesław oderwał wzrok od książki.

– Wstydzilibyś się! Legitymację komsomolską hańbisz! Ludzie się z tancerkami zadawali, oglądali Krzesińską, a nie takich jak ty. A ty im oferty składasz!

Katiusza jakby się zmieszała, ale coś odpowiedziała żartem. Oleg udawał, że czyta. „Zdaje się, że uważa mnie za wielkiego księcia... Nie było kłopotu!” – zaśmiał się w myśli, postanowił wyjść do miasta, żeby obejrzyć pałacyk Daszkowów.

Ledwo wszedł do pokoju, żeby położyć książkę, kiedy dopędził go Wiaczesław.

– Towarzyszu ślusarzu! Nie mogę sobie poradzić z postępem. Może mi pomożecie?

– Siadajcie – powiedział Oleg.

Wiaczesław wysłuchał jego tłumaczenia, widocznie starał się zmobilizować całą uwagę, zmarszczył brwi i zacisnął usta. Powiedzonko Miki „gryzie granit nauki” – było bardzo trafne. Oleg porównywał go z Miką, który wszystko chwycił w lot, a prosił go o pomoc tylko dlatego, że na lekcjach matematyki coś czytał albo grał z kolegą w warcaby.

– Dziękuję – powiedział Wiaczesław, miał już wyjść, ale wzrok jego padł na portret matki Olega.

– Kto to, matka czy siostra? Od razu widać podobieństwo.

Rysy twarzy i toaleta damy z portretu zachwyciły subtelnym urokiem, trudno było uwierzyć, że to mogła być matka ślusarza.

– To moja matka – powiedział Oleg. Wiaczesław jakiś czas przyglądał się portretowi.

– Piękna pani. Ubrana w aksamity, a na szyi ma chyba perły?

– Widzi pan! – Oleg rzucił ołówek i zdziwił się, tak ostro i władczo zabrzmiał jego głos. – Pewnie pan już wie, że nie jestem synem stolarza ani ślusarzem, jestem porucznikiem lejbgwardii Kawalergardzkiego Pułku, księciem Daszkowem. Jeżeli uważa pan za swój obowiązek donieść o tym – bardzo proszę! Nie mogę zabronić, ale nie pozwolę się zaszczyć śledzeniem i aluzjami. Wolę powiedzieć wprost.

– Gra pan w otwarte karty? Nie wiedziałem dokładnie o niczym. Podejrzewałem coś w tym rodzaju. Kiepscy z was konspiratorzy, panowie oficerowie!

– Kiepscy – nie przeczę! No i co pan zrobi?

– Nic. Donosić na razie nie mam zamiaru.

– Co znaczy „na razie”? Jak długo chce pan pozostawić mnie na wolności?

– Co mają do rzeczy terminy? Tak długo, jak długo nie zauważę czegoś niedobrego, dopóki nie będzie pan nam szkodził.

– Szkodził? Dziwne słowo! Ja nie potrafię szkodzić, lecz walczyć. Teraz, niestety, nie ma ku temu okazji.

– Ach, oto co! Wątpliwe, czy kiedykolwiek będzie okazja. Nasz GPU dobrze pracuje.

– A jeżeli pan zasygnalizuje o mnie, będzie pracował jeszcze lepiej!

– Powiedziałem już, że nie mam zamiaru sygnalizować. Kiedy coś zauważę, to inna sprawa, a bez powodu – po co. Wystarczy siedem lat obozu za Białą Gwardię. Może będzie jeszcze z pana dla nas korzyść. Ma pan wiele zalet.

– Zalet? W tych czasach? Pan żartuje! Ciekawe, co to za

zalety?

– Taki pan mądry, a nie rozumie! Wiedzę pan ma, potrafi mówić i zachować się jak należy. A my musimy zaczynać od samego początku. Dziękuję za zadanie, muszę już iść.

Wiaczesław wyszedł.

„Teraz jestem w ręku tego rabfakowca! – pomyślał Oleg. – Jak się zdaje, nadchodzi koniec gry”.

Nazajutrz, kiedy wrócił z pracy, Nina zaproponowała mu wejściówkę do filharmonii na koncert.

– Wzięłam dla Miki, a on wybiera się do cerkwi – powiedziała. – Niestety, to na miejsce stojące.

– To mi nie przeszkadza, ale mam wątpliwości z powodu mego wyglądu.

Zapewniła go, że obecnie z filharmonii zniknęły nie tylko mundury, ale także fraki i smokingi, chociaż publiczność jest przyzwoitsza niż gdzie indziej.

– Obyś tylko wrócił cały i zdrowy po „Szóstej symfonii”, jesteś taki wrażliwy – dodała.

– Czego się obawiasz? Mój rewolwer dzięki twojej życzliwości leży na dnie Newy, a to w moim przypadku jedyny sposób niezawodnego działania. Nie starczy mi odwagi, żeby się rzucić pod samochód i zrobić z siebie inwalidę.

– W ustach kawalera Krzyża św. Jerzego, to dziwne wyznanie – powiedziała, wręczając mu wejściówkę.

Kiedy Oleg Daszków wszedł do dobrze znanej sali byłej Resursy Szlacheckiej i obwiał wzrokiem białe kolumny, serce ścisnęło mu się pod wpływem wspomnień, a każde wspomnienie przywoływało następne. Znalazł sobie miejsce przy kolumnie i rozejrzał się. Nie ma popiersia Katarzyny ani czerwonych pluszowych ławeczek, herby zamalowano. Publiczność rzeczywiście wygląda inaczej; niektórzy są podobni do niego – tak samo wynędzniali i zastraszeni. Żadnego szyku, żadnych strojów.

Gdybyż mogła się tu zjawić matka, taka jaką była niegdyś! Przypomniał ją sobie z trenem, wysoką fryzurą, w rodzinnych kolczykach z perłami. Jakże szczyił się jej urodą, kiedy prowadził ją pod ramię. Wiedział, że na sali nie ma damy piękniejszej od jego matki. Rozstrzelana! Przez motłoch pod dowództwem komisarza czerezwyczajki! I nikogo przy niej nie było, ani męża, ani synów, ani oddanych służących! Lepiej o tym nie myśleć. Z takimi myślami można rzeczywiście rzucić się pod samochód.

Znowu spojrzał na salę. Dziwne, wojskowi siedzą. Dawniej nie siadali, nim zaczął się koncert. Ileż w tym było elegancji, uroku, a teraz ubogo i smutno. Ile prostackich twarzy! Rozproszone resztki „byłych” i naprędce ukształtowana sowiecka inteligencja „od warsztatu” – oto współczesny świat, w którym nikt nikogo nie zna, wszyscy są sobie obcy.

Dźwięki muzyki przerwały smutne myśli. „Szóstą symfonię” mieli grać w drugiej części koncertu. W przerwie spod swojej kolumny znowu obserwował tłum, szukał szlachetnych rysów, usiłował odgadnąć na nich ślady przeżyć. Nagle wzrok zatrzymał się na jednej twarzy – dziewczyna, już niemłoda, nie była piękna, ale przyciągała wzrok czymś ledwo dostrzegalnym, wyrazem uczciwości i szlachetności, to widać było w postawie, sposobie trzymania rąk, a nawet w tym, jak śnieżnobiały kołnierzyk układał się wokół szyi. Cała postać emanowała wrodzoną kulturą.

Jego uwagę przyciągnął nie tylko ten niewspółczesny wygląd; im dłużej się jej przyglądał, tym mocniej nurtowało go przeświadczenie, że już kiedyś widział tę twarz, że jest mu znana. „Gdzie mogłem ją widzieć?” – pytał sam siebie, wpatrując się wciąż w profil. W pewnej chwili dziewczyna odwróciła się i ujrzał całą twarz.

„Siostra ze szpitala, w którym leżałem! Tamta siostra, szczególnie miła, szczególnie troskliwa!” Pochłoneły go wspomnienia, których zwykle unikał, ponieważ splatały się w nich ból fizyczny z bólem serca i trudno było określić, co jest bardziej dojmujące.

To wtedy wyrobił w sobie hart, który sprawiał, że dzisiaj wszystko traktował z dystansem; to wówczas powstała w jego duszy bolesna blizna, która – czuł to – już nigdy nie zniknie. Nie sposób było leżeć bez ruchu, nie sposób westchnąć bez ostrego bólu, nie sposób podnieść głowy bez nieznośnych mdłości. Nie dało się odpędzić myśli o tym, że już nie ma nikogo, że wszyscy, których kochał, zginęli. Światło osłoniętej abażurem lampy, białe chusteczki, list, który mu przeczytała. A nad tym wszystkim widmo zbliżającej się katastrofy... Gdybyż można było zapomnieć to wszystko!... Był wtedy bardzo młody, po raz pierwszy znalazł się w szpitalu, brakowało mu matki, matczynej troski. Doskwierała tęsknota za nią, czuł się niedobrze wśród obcych. Nie mógł nic zarzucić otoczeniu, robili wszystko, co do nich należało, widział, że są zmęczeni i wyczerpani, ale cierpiał z powodu braku osobistego, ciepłego stosunku do siebie. Zawsze zachowywał pewien dystans wobec obcych, ale od dzieciństwa cenił tych, z którymi łączyły go więzy duchowe. Nie było obok niego takiego człowieka! Stopniowo jednak na tle obcych twarzy, jakby wśród cieni na ekranie, zarysowała się i zapadła w pamięć pewna twarz – teraz ją tutaj ujrzał. Ta siostra różniła się od innych czymś niezawodowym, była jakaś swojska, miła. Widać było, że się przejmuje jego stanem, że martwi się o niego; opiekowała się nim delikatniej i troskliwiej niż inne. Na jej twarzy nie widział zmęczenia, irytacji czy obojętności. Kiedy robił najłżejszy wysiłek, by podnieść rękę lub poruszyć się, już była przy nim: „Potrzebuje pan czegoś? Proszę się nie ruszać! Nie wolno, trzeba było zawołać, po to tu jestem!” Nigdy nie czekała na wezwanie, a jednocześnie jej troskliwość przepojona była wstydną powściągliwością, nie narzucała się. Dobre wychowanie – pomimo młodości – pozwoliło mu ocenić i zrozumieć te subtelności. Kiedy nie tknął śniadania, siadała przy łóżku i karmiła go łyżeczką, prosząc i namawiając, by jadł. Zawsze znajdowała czas i zdawało się, że każdy zjedzony przez niego kęs sprawia jej radość. Przypominał sobie pewien szczególnie bolesny opatrunek, kiedy pogryzł sobie usta do krwi, ponieważ uważał, że okazywanie cierpienia jest małoduszną nieprzyzwoitością. Lekarze i siostry mówili: „Jeszcze chwilę

cierpliwości, poruczniku, zaraz będzie po wszystkim, zaraz. Wiemy, że pan jest bohaterem”. Ale brzmiało to jak obkuta formułka, powtarzana codziennie. Oni mu także współczuli, ale było to współczucie jakby bezosobowe, współczucie z nawyku. Te słowa nie znaczyły nic, poza pragnieniem, żeby zachowanie się pacjenta nie utrudniało pracy... Zresztą nie chciał nic od obcych ludzi! Ale ta siostra!... Zwrócił na nią uwagę, kiedy szczególnie delikatnie podnosiła jego głowę, aby mógł się napić. Otworzył oczy i zobaczył, że siostra płacze... Tak mogła się zachować jego matka lub siostra! Zaczynał oczekiwać jej dyżuru, ale nagle zniknęła, a kiedy o nią spytał, usłyszał, że zachorowała na tyfus. A teraz – po dziewięciu latach – nieoczekiwanie zjawiała się przed nim.

Postanowił przywitać się z nią. Wtedy na Krymie siostrami były damy i panienki z najlepszych rodzin. Trudno przypuszczać, że rozmowa z nią mogła być dla niego niebezpieczna. Szkoda byłoby przeoczyć spotkanie z człowiekiem z dawnego świata, z tą miłą dziewczyną, która była dla niego taka dobra. Niegodziwością byłoby nie zbliżyć się do niej. Przypomniały mu się żarciki oficerów o tym, że siostra z oczami gazeli coś do niego czuje...

Dyrygent podniósł batutę.

„Zaraz po koncercie pójde do niej!” – postanowił i pogrążył się w muzyce. Żywioł beznadziei, który przepajał symfonię, tak go pochłonał po smutnych wspomnieniach, że jakiś czas po zakończeniu koncertu stał nieruchomo, a kiedy się ocknął, publiczność już się rozchodziła. Stracił dziewczynę z pola widzenia. „Ubiorę się szybko i poczekam w holu”. Ale w holu tłoczyli się ludzie. Wybiegł na ulicę i stanął w bramie. Ludzie wciąż szli, wychodzili z dużych drzwi, ale jej nie było. „Czyżby wyszła wcześniej?” Przemarzył na wietrze do szpiku kości w swoim szynelu, ale wciąż czekał.

Rozdział osiemnasty

Dotychczas Elżbietka chodziła tylko do opery. Na „Szóstą symfonię” zdecydowała się pod wpływem Asi. „Czysta muzyka, nie związana z wrażeniami wizualnymi ani z tekstem, jest wyższa, głębsza niż opera” – powiedziała kiedyś Asia. Okazało się jednak, że Elżbietce muzyka symfoniczna niewiele mówi; wprawdzie usiłowała słuchać uważnie, ciągle jednak nachodziły ją myśli nie związane z muzyką, zarówno podczas pierwszej części koncertu, jak i drugiej, kiedy grano wspaniałą symfonię. Cudowne dźwięki omijały ją. „Jakie ze mnie beztalencie – myślała z goryczą – pewnie w całej sali ja jedna jestem taka!” Rozejrzała się po szeregach ludzi siedzących w rzędach obok, a później spojrzała na stojących za barierką, między kolumnami. „Tamci dla muzyki gotowi są stać. Wszyscy słuchają i rozumieją, prócz mnie!” Nagle jej wzrok spoczął na jednej twarzy i serce w niej zamarło...

On! Czyżby? Niemożliwe! Złudzenie! Drżącą ręką ujęła lornetkę – niemodny, ale stały szczegół jej toalety. Zdaje się, że on... On, albo ktoś niezwykle do niego podobny! Przypomniała sobie znak, dzięki któremu poznała go Anastazja Aleksiejewna. Blizna! Oczywiście powinna być blizna. Był ranny w lewą skroń. Tak w lewą! Gdybyż się odrobinę odwrócił! Wciąż mu się przyglądała przez lornetkę. Stał oparty o kolumnę, ręce skrzyżował na piersi, brwi ponuro ściągnął, był bez reszty pochłonięty muzyką. Elżbietce zaś w tej chwili było nie do muzyki, niemal co pięć minut kierowała ku niemu swoją lornetkę, aż wreszcie odwrócił nieco głowę i ukazała się blizna, która tak szpeciła lewą skroń. Nie było wątpliwości – to on! Odłożyła lornetkę, dotknęła dłonią rozpalonego policzka. Więc się uratował, żyje! Co przeżył w ciągu tych długich lat? Jaki jest teraz? Co robi? Uważała, że zginął, przez całą swą młodość tęskniła za nim, nie czekała na nikogo, na nikogo nie spojrzała, nikim się nie interesowała... Zapomniała o sobie, nie myślała o urządzeniu swego życia! Wszystkie myśli skierowała na inny brzeg, a on był z tej strony! Być może jest szczęśliwy i zadowolony z życia, może ma

żonę. W sercu poruszyło się dziwne uczucie krzywdy... Znowu wzięła lornetkę. Nie wyglądał na szczęśliwego, nie uszło jej uwagi wycieńczenie, zacerowana kurtka, widocznie stara, jeszcze oficerska. Jest dziś nieco starszy, ale tak jak wtedy zmęczony i smutny... Zresztą chyba chorował. Teraz nie ma wątpliwości, że to jego widziała w szpitalu Anastazja Aleksiejewna. Co robić? Podejść do niego? Nie wypada, a taka okazja może się już nie zdarzyć... Decydujące chwile nie powtarzają się, nie wolno ich przeoczyć!

Przebrzmiały ostatnie akordy, wybuchły oklaski, publiczność wstawała. Elżbietka znowu wzięła lornetkę i zobaczyła, że on patrzy w jej kierunku. Spłoszona opuściła lornetkę, pochyliła głowę, w tej chwili chciałaby gdzieś się ukryć przed tym, co się może wydarzyć... Ale znowu, już bez lornetki, odwróciła się w jego kierunku. Nie było go. Siedziała bez ruchu... Może idzie ku niej przez tłum? Minęło pięć czy dziesięć minut, nie nadchodził. Z pewnością opuścił już salę. Głęboki smutek niczym gład nagrobkowy przygniótł serce Elżbietki. Zmarnowała niepowtarzalną okazję. Pozostało powiedzieć „amen”. Ludzie wychodzili, a ona wciąż siedziała, nie miała sił, by wstać i wyjść. Ciągle na coś czekała... Od czasu do czasu podnosiła głowę, rozglądała się. Ale światła wygaszano, wychodzili ostatni widzowie. Musiała wreszcie wstać. Wyszła powoli, zeszła na dół, rozejrzała się w holu i ruszyła do wyjścia. Była jedną z ostatnich. Oto zamyka drzwi i nagle słyszy głos:

– Witam panią! Zналиśmy się kiedyś, nieprawdaż? Poznaje mnie pani?

To jego głos! Drgnęła, podniosła oczy – stał przed nią z czapką w ręku! Oparła się o ścianę i długo patrzyła na niego bez słowa, drżała. Na swój sposób wytłumaczył jej wzruszenie.

– Nie po raz pierwszy mój widok budzi zdziwienie, jakbym wracał z tamtego świata – powiedział. – A jednak to jestem ja!

Nie poruszyła się.

Więc doszło do spotkania tu, na ziemi!

Wiatr pędził chmury, które na przemian zasłaniały i odsłaniały gwiazdy, na skwerze kołysały się drzewa, rzeczywistość przemieszała się ze złudzeniem. Serce waliło, ściśnięte gardło odebrało mowę.

– Nie poznaje mnie pani? Była pani, o ile się nie mylę, w dwudziestym roku w Teodozji?

– Poznałam pana, ale... Jestem zdumiona. Uważałam pana za poległego – szepnęła wreszcie.

– Jak pani widzi, żyję. Żyję, chociaż nie wiem po co. Zauważyłem panią na sali i odważyłem się poczekać. Była pani niegdyś taka dobra dla mnie, że nie mogłem odejść, nie złożyłwszy pani wyrazów głębokiego szacunku. Myślę, że wybaczy mi pani to zuchwalstwo?

Kiwnęła głową, kontenta z jego taktu.

– Pozwoli pani, że ją odprowadzę, chciałbym zamienić bodaj kilka słów?

Oderwała się od muru i ruszyła chodnikiem. Daszków siedł obok, nie ujął jej sowieckim zwyczajem pod rękę, co się Elżbietce bardzo podobało.

– Siostrzyczko... Co ja mówię? Przepraszam, to stare przyzwyczajenie.

– Lubię ten zwrot. Wcale się nie obraziłam – powiedziała, głos jej się załamał.

– Nie znam przecież pani imienia ani imienia pani ojca...

– Elżbieta Georgiewna Muromcewa.

– Z wielkim uczuciem obserwowałem panią na sali, Elżbieto Georgiewno. Jakaś świetną siostrą miłosierdzia była pani, zawsze cierpliwa, uważna, wrażliwa – taka, jakie opisywano w książkach. Z niecierpliwością czekałem na dyżur pani.

„Więc to było tak!” – pomyślała, łzy napłynęły jej do oczu. Musiała sięgnąć do mufki po chusteczkę.

– Bardzo lubiłam swoją salę – szepnęła, otarła łzy. – Straszonym przeżyciem była dla mnie wiadomość o wymordowaniu moich pacjentów... Chorowałam wtedy na tyfus...

– Tak, pamiętam, dopytywałam się wtedy o panią.

– Nawet dzisiaj ciężko o tym myśleć. To było potworne okrucieństwo.

– O, tak! Oni potrafią być okrutni – powiedział Oleg i pomyślał, że dziewczyna nie boi się tego mówić, jest odważniejsza od niego.

– Byłam pewna, że pan także... Że pana... Jak się pan uratował?

– Uratował mnie mój ordynans. Zamienił moje dokumenty i przeniósł mnie na żołnierską salę. Byli tam zdrajcy, którzy wydali niejednego, ale mnie jakoś ominęli, widzę, Elżbieto Georgiewno, że zdenerwowałam panią, zdaje się, że te wspomnienia są dla pani ciężkie... Przepraszam.

– Zgoda, ciężkie, ale chcę wiedzieć. Długo pan chorował?

– Ostatnie trzy tygodnie już za czerwonych. Kiedy się tylko nadarzyła okazja, wyniosłem się ze szpitala. Obaj z Wasylem zamieszkaliśmy w opuszczonej rybackiej chacie. Jednak później wykryto nas i aresztowano.

– Co znaczy „aresztowano”? Więc jednak był pan represjonowany?

– Tak, Elżbieto Georgiewno, siedem i pół roku spędziłem w obozie na Solówkach. Dopiero niedawno wróciłem i zaraz po tym dostałem się do szpitala. Widzi pani, nie mam o czym opowiadać, tyle lat nie brałem udziału w życiu.

Zatrzymała się.

– Sołowki! Sołowki! – schwyciła się za głowę. Mufka i małeńka chusteczka upadły na ziemię. Oleg podniósł je.

– Jakie wspaniałe perfumy! Z tych, które niegdyś lubiłem.

Pani jest niedzisiejsza, Elżbieto Gieorgiewno!

Policzki Elżbietki zarumieniły się, kiedy mówił o perfumach.

– Mam nadzieję, że los potraktował panią łaskawiej, nie była pani represjonowana?

Opowiedziała krótko o sobie. Na usta cisnęły się jej dziesiątki pytań, ale nie odważyła się pytać, żeby nie wydać się natrętą.

– Jak się pan czuje? Po takiej ranie – obóz koncentracyjny... Jak pan wytrzymał?

– Sam się dziwię, ale wytrzymałem. Rana na skroni zagoiła się bez komplikacji, na boku – odnawiała się kilkakrotnie. Powiedziano mi, że tkwi tam odłamek, który powoduje zapalenie opłucnej. Ale zapalenia opłucnej dostałem po szizo²⁹.

– A to co takiego?

– Tak w obozie nazywano karne izolatki, do których wtrącani są więźniowie za różne przewinienia.

– Zapalenie opłucnej nie mija łatwo. Pan marznie w tym szynelu.

– Cóż robić! Na razie nie mam wielu potrzebnych rzeczy. Dobrze, że moja *belle-soeur*³⁰ przyjęła mnie do pokoju swego brata, bo nie miałbym gdzie mieszkać.

– Pan pracuje?

– Zacząłem, ale nie zdążyłem się jeszcze obkupić i urządzić. Muszę chodzić w takim ubraniu, że aż wstyd.

– Niech się pan nie wstydzi. Czuję wstyd do tych, którzy się dzisiaj stroją.

*Ten kraj, co mógłby być rajem,
Jest legowiskiem płomienia,
Już czwarty dzień nacieramy,*

²⁹ Sztrafnoj izolator – izolatka karna.

³⁰ Belle-soeur (fr.) – Szwagierka.

*I czwarty dzień bez jedzenia.*³¹

- wyrecytował nagle Daszków.
- To Gumilow? – uśmiechnęła się Elżbietka.
- Tak. Z naszych szeregów – rosyjski oficer.
- Rozstrzelany – rzekła Elżbietka.

Zatrzymali się przed bramą, jakiś czas stali w milczeniu. Oboje myśleli o tym samym: w jaki sposób kontynuować znajomość.

– Elżbieto Georgiewno – powiedział Daszków, rozumiejąc, że do niego należy pierwszy krok. – Czy mamy się rozstać na zawsze? Teraz tak rzadko spotyka się ludzi z poprzedniego świata. Jestem nieskończenie samotny. Cieszyłbym się, gdybym mógł jeszcze raz ujrzeć panią. Czy ma pani rodziców, którym mógłbym zostać przedstawiony?

– Niestety nie, mieszkam całkiem sama.

– Zapewniam panią, że zawsze zachowam dla pani najgłębszy szacunek – powiedział pokornie.

Elżbietka zarumieniła się. Miała dwadzieścia siedem lat, ale nigdy dotąd nie było okazji do takiej rozmowy z mężczyzną. Wiedziała, że może bez obaw przyjąć go u siebie, powstrzymywało ją jednak coś innego, wyznaczając mu po pierwszym spotkaniu wizytę w domu, mogła jemu i sobie wydać się lekkomyślną. Stała bez słowa nie wiedząc, co ma robić. Widział, że się waha, ale to mu się podobało. „Szlachetna dziewczyna! Dumna, z dawnymi zasadami!” – myślał. Elżbietka znalazła wreszcie wyjście.

– Nie o tym myślę, niepokoi mnie pańskie zdrowie – powiedział – proszę przyjść do mnie jutro do szpitala, zaprowadzę pana na rentgen i jeżeli okaże się, że odłamek rzeczywiście pozostał, pokażę pana wujowi. To świetny chirurg. Operował pana

kiedyś. Niechaj on się wypowie.

Zrozumiał, że nie chciała go zaprosić do domu, i tym sposobem znalazła wyjście, ale rozumiał również i to, że rozmowa o odłamku nie była w jej ustach tylko pretekstem i że nadal przejmuje się jego zdrowiem. Podziękował i spytał:

– Pamięta pani moje nazwisko?

– Tak, książę Daszków – świadomie wymieniła tytuł.

– Należy dodać *ci-devant!* Ale zgodnie z dokumentami nie jestem Daszkowem, lecz Kazarinowem. Noszę to nazwisko od tamtych czasów. Ujawnienie prawdziwego groziłoby obozem lub nawet śmiercią. Przyznam się, że na razie nie mam chęci. Trzeba to utrzymać w największym sekrecie.

– Rozumiem – rzekła poważnie.

Uzgodnili jeszcze czas i miejsce spotkania i pożegnali się. Już w bramie obejrzała się za nim, on się także odwrócił, spotkał jej wzrok i podniósł dłoń do daszka. Ten oficerski ukłon sprawił, że serce Elżbietki drgnęło; pensjonarskie zakochanie w gwardyjskim sposobie bycia, w eleganckich gestach trwało w niej obok właściwej dla pielęgniarki wrażliwości na cierpienie i mistycznych nadziei i ciągle jeszcze powodowało dziewczęce wzruszenie.

Weszła do swego pokoju i wyczerpana rzuciła się na łóżko, „Żyje! Znalazł się! Poznał! Przyszedł do mnie! Będę go widywała! Cóż to, mój Boże! Czyż wybierając się tu, w tym pokoju, na koncert, mogłam myśleć, że spotka mnie takie szczęście!” Nagle uklękła przed ikoną:

– Dzięki Ci, Panie! Dzięki za uratowanie go! Za spotkanie! Teraz wiem, że jesteś sprawiedliwy! Widziałeś moją samotność, moją miłość! Widziałeś wszystko! Jesteś wielki i mądry, a miłość do stworzonych przez Ciebie istot, dałeś mi poznać poprzez mnie samą. Dałeś mi dzisiaj tak wiele! Dla jednego takiego wieczoru warto przeżyć życie!

Uniesienie minęło, opuściła ręce, zamyśliła się.

Sołowki! Dziwne, święte miejsce strasznych cierpień. Stary monaster o białych murach na brzegu zimnej zatoki, pod chłodnym światłem białych nocy. Białe mury przegładające się w chłodnej wodzie. Już za czasów Iwana Groźnego więziono tam niepokornych bojarów, którzy jednak żyli sobie tak wesoło, że igumeni ślali do carów listy z prośbą o zabranie zesłańców, ponieważ ich sposób życia deprawuje bractwo zakonne. Ten monaster malował Niestierow. Obraz „Marzyciele” przedstawia dwóch zakonników – starca i młodzieńca – na monasterskim dziedzińcu, którzy marzą o wielkich czynach, a wokół nich biała noc, białe mury, białe gołębie. A teraz monaster stał się miejscem cierpień najlepszych ludzi Rosji. Partia komunistyczna zażyczyła sobie urządzać „ohydę nędzy i ubóstwa w miejscu świętym”. Rozpędzono zakonników, a miejsce zbawienia przekształcono w miejsce tortur, o których szeptano po cichu jak Rosja długa i szeroka... Elżbietka widziała to kiedyś we śnie – białe mury, chłodną wodę i jaśniejące nad nimi różowe światło – może to była emanacja modlitw za tych, którzy się męczyli za tymi murami? On tam był także! Czyż to nie dlatego tak boleśnie ścisnęło się jej serce, kiedy wspomniano Sołowki? Pragnęła poznać wszystkie szczegóły życia więźniów, dowiedzieć się, jak ich traktowano, ale pewnie byłoby niedelikatnością wypytywać go, sprawiłoby to mu ból. „Po takiej wojnie, takich ranach – siedem lat obozu! Mój Boże! A kiedy wreszcie stamtąd wyszedł, nie miał gdzie się podziać! Ani domu, ani ojczyzny, ani rodziny... Jak by mu pomóc? Mogłabym wiele zrobić dla niego, ale on się nie zgodzi”. Dopiero teraz pomyślała, że jedynym sposobem udzielenia mu pomocy – było małżeństwo. „Jak bym go pielęgnowała!” – myślała z ogromną czułością i zachwycała się, wspominając gest, jakim ją pożegnał. Zapomniała już, jak prychała na Asie, kiedy tamta mówiła o „ziemskiej” miłości. Kiedy myślała o szczęściu, jakim byłoby życie dla Daszkowa, ziemską miłość już się jej nie wydawała mieszczańską. Nagle uświadomiła sobie, że w ciągu dwudziestu siedmiu lat życia nie zaznała smaku pocałunku! Ukształtowała się w niej staropanieńska surowość. Na samą myśl o obcowaniu z mężczyzną, wzdrygała się z odrazą. Nawet teraz, rozkochana w

jego twarzy, głosie, postawie, przywołując je w pamięci z zachwytem, nie mogła bez obrzydzenia myśleć o tym, co mężczyzna robi z dziewczyną po ślubie... Natychmiast jednak odpędzała od siebie tę myśl: cóż, dla radości, którą sprawi możliwość opiekowania się nim, warto się poświęcić! Gotowa była złożyć w ofierze siebie, całkiem pewna, że nigdy nie znajdzie przyjemności w męskich ramionach, chociaż myśl o tym mężczyźnie jest wielkim szczęściem. Znowu pochłonęły ją marzenia o tym, jak by się o niego troszczyła i opiekowała się. Stojący na kominku zegar wybił godzinę drugą, następnie trzecią, czwartą, piątą – a ona wciąż jeszcze siedziała ubrana, wpatrując się w ciemność, i nie dostrzegała upływającego czasu.

Rozdział dziewiętnasty

Daszków pojechał do szpitala prosto z pracy; wyniosły portier, który stał przy windzie, uważnie spojrział na jego twarz i szynel podziurawiony przez kule... Patrzył tak uważnie, jakby zbudziły się w nim podejrzenia. Jednak ukłonił się niezwykle grzecznie:

– Bardzo proszę, komu mam zameldować? – a kiedy się dowiedział, że do siostry Muromcewej, natychmiast zawiadomił Elżbietkę przez wewnętrzny telefon i narzucił Olegowi na ramiona biały fartuch, bez którego nie wpuszczano dalej. Oleg wygrzebał w kieszeni rubla i uradowany wręczył portierowi. Przy tym ze zdziwieniem zauważył, że obok portiera stał na podłodze duży obraz – jak się zdaje holenderskiej szkoły – kura z kurczętami na ciemnym tle.

Elżbietka wybiegła ku niemu w białym fartuchu i przepisowym czepku. Policzki miała zarumienione. Poprowadziła go schodami i korytarzami, coś mówiła o nim ludziom w białych fartuchach, zaraz wołano go do zdjęć, na które w rejonowych przychodniach musiałby czekać tygodniami i w dodatku nie dostałby ich do rąk. Po zrobieniu zdjęć umówili się na następne spotkanie, kiedy miał się zgłosić, by dowiedzieć się, jakie jest rozpoznanie.

Elżbietka wróciła do siebie, musiała ładować autoklaw, a Oleg schodził do wyjścia. Obok portiera stała wkładając rękawiczki młoda dziewczyna z warkoczami. Olegowi zaparło dech.

– Kseniu Wsiewołodowno! – wyciągnął do niej rękę z właściwym sobie wdziękiem, wydawało się, że w tej chwili ma na sobie nowiutki mundur oficera gwardii.

Przez chwilę jej oczy, które tyle razy wspominał, patrzyły na niego ze zdziwieniem, potem twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Przepraszam, nie poznałam pana! Oleg Andriejewicz

Kazarinow, jak się zdaje?

– Tak jest – wy skandował z intonacją, której nie zrozumiała.
– Co pani tu robi, w dodatku sama, Kseniu Wsiewołodowno?

– Ach, to długa historia – zaszcebiotała ufnie. – Babcia wysłała mnie do Ermitażu, do komisji zakupów z tym obrazem – teraz wreszcie docenił znaczenie obrazu „z kura” – Lela przyrzekła, że pomoże go zanieść. Od wczoraj pracuje tutaj w jednym z gabinetów rentgenowskich, wstąpiłam obejrzeć Lelę w szpitalnym uniformie, a teraz załatwię polecenie babci. Niestety, obraz zachowuje się jak żagiel, obawiam się, że porwie mnie do stratosfery.

– Pozwoli pani, że pomogę – zaproponował ochoczo, wziął obraz i wyszli.

Nieszczęsna kura nie sprzyjała sensownej rozmowie, wiatr rzeczywiście wyrywał ją z rąk, w dodatku Asia przyznała się, że zbyt długo gawędziła z Lelą i kto wie, czy zdąży, komisja bowiem pracuje do godziny siódmej. Oleg przypomniał sobie, że ma w kieszeni dwadzieścia pięć rubli, przeznaczone na życie do następnej wypłaty, i postanowiwszy zlekceważyć nakazy zdrowego rozsądku zaproponował, że wezmą taksówkę. Ale twarz dziewczyny zmieniła się, pojawił się na niej wyraz lęku i czujności, więc przerwał w pół słowa.

– Nie życzy sobie pani jechać, Kseniu Wsiewołodowno?

– Bardzo bym życzyła, ale babcia zabroniła.

– Nie mam zamiaru namawiać pani do nieposłuszeństwa. Jakoś nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nie zostałem przedstawiony pani babci. Przepraszam, ale proszę nie zaliczać mnie do ludzi całkiem obcych. Przecież nie jestem pierwszy lepszy, lecz *beaufrère* Niny Aleksandrowny, poznaliśmy się w jej pokoju.

Asia zatrzymała się.

– Jak to *beau-frère*? Jakim cudem? Przecież Nina Aleksandrowna – to księżna Daszkowa, a pan... Kazarinow?

Oleg spostrzegł się, że się wygadał. Wahał się chwilę, ale jasne oczy patrzyły na niego z ironią i zdziwieniem, więc stanął także, oparł obraz o latarnię nie opodal Kolumny Aleksandryjskiej – przechodzili właśnie przez bezludny plac przy Pałacu Zimowym – i powiedział:

– Wygadałem się, więc muszę powiedzieć pani wprost: nie jestem Kazarinowem, jestem Daszkowem – i znowu musiał zreferować najogólniej koleje swego losu. Zakończyło się to następującą sceną:

– Skoro tak, to nie pozwolę panu nieść tego obrazu, proszę go oddać! – powiedziała Asia.

– A to dlaczego?

– Nie może pan nosić ciężarów, skoro był pan ranny!

– Minęło dziewięć lat, Kseniu Wsiewołodowno – o mało nie zaczął opowiadać, jak od rana do wieczora ładował na Solówkach potężne bierwiona, w dodatku stojąc po pas w lodowatej wodzie. Zdażył jednak pomyśleć, że nie wypada tak się żalić, i spojrzał jej prosto w oczy.

Dziwne to były oczy, wydawało się, że promienna tęczęwka rozjaśnia całą twarz błękitnym blaskiem.

– Miał pan rodzinę? Czy ktoś pana spotkał po powrocie z obozu, matka, ojciec albo siostrzyczka?

– Nikogo, wszyscy zginęli.

Chwilę patrzyła na niego z przestrawieniem i nagle zalała się łzami, wsparłszy głowę o latarnię.

– – Nie wiedziałam! O niczym nie wiedziałam! Proszę mi darować, że rozmawiałam z panem jak z kimś obcym!

Zbliżył się do niej.

– Nie trzeba się smucić, dziecinko! Nie ja jeden. Myślałem, że pani o tym wie, inaczej nie opowiadałbym. Proszę otrzeć oczęta i chodźmy, bo się rzeczywiście spóźnimy.

Ciągle jeszcze łkała. Powoli uspokoiła się. Oleg wziął obraz i poszli.

W Ermitażu czekał na nią w holu. Wkrótce wróciła, wlokła za sobą obraz.

– Nie ma szczęścia ta „kura”. Tyle razy ją noszę i zawsze bez powodzenia! Najpierw powiedzieli, że to wspaniały obraz, prawdziwy holenderski siedemnasty wiek, wycenili na dwa tysiące. Byłam zachwycona, ale nagle słyszę: „Ale...” Zmartwiałam! „Siedemnasty wiek jest u nas bardzo licznie reprezentowany. Ermitaż nie jest zainteresowany nabyciem tego obrazu, proszę sprzedać go kolekcjonerom”. Jak się to panu podoba? Gdzie mam szukać tych kolekcjonerów? Co robić?

– Czy pieniądze są bardzo potrzebne? – spytał.

– Za tydzień kończę dziewiętnaście lat. Niedawno były imieniny, ale ich nie obchodziłam, babcia powiedziała, że nie czas na zabawy, ale urodziny obiecała urządzać, przyrzekła, że kupi mi białą sukienkę. Angielska bluzka tak mi zbrzydła! A teraz nie będzie ani sukienki, ani wieczorku – była czarująca ze swoim dziecinnym zmartwieniem. Oleg nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Zanieśmy obraz do komisju. Jest tu niedaleko. Chodźmy szybko! – powiedział.

Ruszył dużymi krokami, starała się nadażyć za nim. Niestety, tu także nie przyjęto „kury”. Tłumaczono, że komis ma nadmiar towarów, a obraz posiada wadę. Wyszli zmartwieni.

– No cóż, teraz koniec – powiedziała Asia – przebrzydła kura wróci do domu!

– Niech się pani nie martwi, może babcia wyasygnuje na pani święto coś innego.

Asia westchnęła.

– Sama nie wiem. Mamy w komisie fortepian, ale pieniądze przeznaczone dla wujka Siergieja, a jak babcia coś powie, to zdania nie zmieni.

Skrećili na ulicę Morską i dziesięć minut później zatrzymali się przed bramą.

– Cieszę się ogromnie ze spotkania, Kseniu Wsiewołodowno! Spodziewam się, że się będziemy widywali. Życzę udanej urodzinowej uroczystości!

– Ja także się cieszę. Wie pan co? Proszę przyjść do nas w dniu moich urodzin – zaczerwieniła się po uszy. – Co ja zrobiłam!

– Pani rzeczywiście jest niesfornym dzieckiem. Cóż, będę musiał jak najprędzej postarać się, żeby mnie przedstawiono babci pani. Do widzenia.

Asia uśmiechnęła się i zniknęła za masywnymi dębowymi drzwiami. Jeszcze tego wieczoru Oleg poprosił Ninę, żeby go przedstawiła w domu pań Bołogowskich.

Tymczasem Asie czekała bura. Francuzka z powodu spóźnienia poprowadziła ją natychmiast przed oblicze babci. Asia musiała się przyznać, że towarzyszył jej książę Daszków.

– Co? Jaki książę? Mąż Niny Aleksandrowny dawno poległ, a innych książąt Daszkowów nie ma.

– A właśnie że jest! Sam mi to powiedział!

– Bzdury! Tobie wszystko można wmówić, ty wszystkiemu wierzysz. To podobne do historii z Rudinem. Nie dałaś adresu?

Asie posadzono do cerowania białizny. Nudziła się okropnie, ponieważ nie znosiła igły. Dla rozrywki jeła nucić różne melodie.

Nazajutrz w południe madame przy wejściu do piekarni ujrzała rudego dryblasa w cyklistówce zsuniętej na tył głowy, z kosmatym czubem, spadającym na czoło. Stał z rękami w kieszeniach i przyglądał się schodom. Francuzka zerknęła na niego, ominęła i zerknęła jeszcze raz. Kiedy wracała z piekarni, rudzielec jeszcze stał.

– *Le voilà!*³² – powiedziała do siebie, zakipiał w niej gniew.

Zamachnęła się na dryblasę koszykiem.

– Wynoś się stąd! Też mi książę! Wasza wysokość! Pokażę ci, jaki z ciebie książę! Nie pchaj się do porządnej dziewczyny! No idź!

Dryblas wytrzeszczył na nią zdziwione oczy.

– Idź już! – nacierała bohatercko – jesteś prostakiem, więc się nie pchaj. Zawołam milicję. Też mi książę!

– Coś się przyczepiła, zagraniczna wiedźmo! – wybełkotał, wymachując rękami. – Jaki ze mnie książę? Odczep się, niemiecka małpo!

Ostatnie słowa wywołały wybuch.

– Ja – niemiecka małpa? Ja? Francuzką jestem. Paryżanką. Wezwę milicję! – i z rozpędu strzeliła go w pysk.

Rudzielec, zaskoczony atakiem, tchórzliwie zbiegł.

Po powrocie do domu madame triumfalnie opowiedziała o swoim zwycięstwie. Śmiano się wesoło, ale Asi kary nie darowano.

Asia męczyła się jakiś czas, aż w końcu nie wytrzymała i postanowiła prosić o pomoc. Cichutko wyszła na korytarz do telefonu, wybrała odpowiedni numer i poprosiła Ninę Aleksandrownę.

– Niny Aleksandrowny nie ma w domu. Co mam przekazać?
– powiedział męski głos.

– W takim razie poproszę Olega Andriejewicza – powiedziała z desperacją. – Ach, to pan! Mówi Asia, to znaczy chciałam powiedzieć Ksenia Wsiewołodowna. Musi mnie pan ratować – i przedstawiła sytuację. – Teraz za karę ceruję bieliznę, a to nudne zajęcie. Zadano mi nową fugę. Tak bym chętnie zagrała, a tu muszę wycinać nożyczkami okrągłe dziury. Olegu Andriejewiczu, błagam, proszę opowiedzieć Ninie Aleksandrownie, niech mnie ratuje jak najszybciej. Nie mogę dłużej rozmawiać, bo obudzę babcię. Przekáže pan? Dzięki! – i odłożyła słuchawkę.

Nina przybiegła jeszcze tego wieczoru. Usadowiła się – jako

nie kwestionowana ulubienica – na brzegu łóżka Natalii Pawłowny i spytała, gdzie jest Asia, a po wysłuchaniu odpowiedzi, oznajmiła, że to rzeczywiście jej szwagier, Oleg Daszków, i zreferowała jego tragiczne przejścia. Zawołano Asie, która ciągle zajmowała się cerowaniem. Poinformowano o darowaniu winy, co zostało potwierdzone uroczystym pocałunkiem w czoło, i o tym, że za chwilę odbędzie się mierzenie sukienki. Asia nie wiedziała, że chociaż była w niełasce, jednak poprzedniego dnia madame wyjmowała z kufrów i demonstrowała babci przeróżne falbanki, halki, staniki i obie panie głowiły się żarliwie, co można z tego zrobić dla Asi. Madame była mistrzynią we wszystkiego rodzaju przeróbkach, a jako rdzenna paryżanka, miała świetny gust. Zdażyła przygotować suknię do przymiarki. Zachwyconą, zarumienioną Asie umieszczono na stołeczku przed wysokim lustrem w przytulnej sypialni Natalii Pawłowny, a madame narzuciła na nią coś białego i zwiewnego, przybranego walansjenką, jeszcze bardzo piękną, chociaż była odpruta z halki. Nina i Lela, która właśnie przybiegła, z przejęciem uczestniczyły w omawianiu szczegółów. Dziewczęta błagały, by sukienkę nieco uwspółcześnić, zgodnie z nakazami aktualnej mody. Ale decyzja należała do Natalii Pawłowny, która nie wyraziła zgody na powiększenie dekoltu i zażądała przedłużenia spódnicy o dwa centymetry.

Mówiono o urodzinowej uroczystości, panie zgodziły się, że *beau-frère* Niny Aleksandrowny koniecznie powinien znaleźć się na liście zaproszonych.

– *Il doit être très distingué ce monsieur*³³ – wypowiedziała się także madame. Była nieco rozczarowana, że nieznajomy okazał się rzeczywiście księciem Daszkowem, a nie owym dryblasem, z którym tego ranka zwycięsko starła się w bramie. Teraz musiała się szybko przestawić i otoczyć Olega romantyczną aureolą. Patriotka i republikanka we wszystkim, co dotyczyło Francji, madame była gorącą przeciwniczką rosyjskiej rewolucji i wielbicielką rosyjskiej arystokracji.

– *Est-il beau monsieur le prince?*³⁴ – spytała Asię.

– Przekona się pani sama – odpowiedziała promiennie Asia.

Była w tej chwili bardzo szczęśliwa, miała ochotę śpiewać i skakać, nawet los Siergieja Pietrowicza i chesne za naukę jakoś jej nie niepokoiły. Wieczorek się odbędzie – to było w tej chwili najważniejsze.

Nawet w takich strasznych warunkach, w jakich przychodziło wówczas żyć, rodzice starali się umożliwić młodzieży zabawę. Kiedy nie było miejsca na tańce – rezygnowano z nich, ale spotkania się odbywały. Bywały czasem komplikacje: spotkania pewnego grona osób mogły budzić podejrzenia; niezyczliwa sąsiadka lub czujny sąsiad sygnalizowali do administracji lub bezpośrednio do GPU o podejrzanym zebraniu „byłych” i często w trakcie zabawy dzwonek zapowiadał inwazję nieproszonych gości. W lepszym przypadku był to administrator, w gorszym – nieugięci rycerze rewolucji, agenci GPU. Czytanie własnych wierszy, utworów Gumilowa, Błoka czy Balmonta, rozmowy na tematy mistyczne lub filozoficzne, opowiadanie anegdot były źle widziane i mogły stanowić materiał dowodowy dla oskarżenia o niepewność polityczną lub kontrrewolucję, co kończyło się zesłaniem do obozu. Znany był przypadek, kiedy zakwestionowano przebieranie się w stare rosyjskie stroje – dwóch młodzieńców ubrało się w stroje rycerskie, a dziewczęta w stroje bojarówien. Gospodarza mieszkania oskarżono o szowinizm wielkoruski i skazano na siedem lat obozu, z którego nie wrócił, a chłopców-rycerzy i dziewczęta-bojarówny zesłano do Turkiestanu. Mieszkanie i meble skonfiskowano.

Niemal na każdym takim spotkaniu dowiadywano się jakiejś kolejnej bolesnej nowiny – tego aresztowano, tamtego zesłano, ktoś zaginął bez śladu. Zbierano się w miarę możliwości potajemnie, rozmawiano półgłosem, a wychodzono pojedynczo, sprawdzwszy najpierw, czy nie ma nikogo na schodach. W takich warunkach trudno było o radosny nastrój, ale życie rządzi się

³⁴

Est-il beau... (fr.) – Czy księżę jest przystojny?

własnymi prawami, człowiek przyzwyczaja się do stałego niebezpieczeństwa, młodzież więc potrafiła się bawić nawet pod mieczem Damoklesa. W latach czterdziestych wojna przemieszała społeczeństwo, ale w dwudziestych i trzydziestych szlachta i inteligencja zachowały jeszcze odrębność, a zrodzony przez bolszewicką propagandę antagonizm między nimi i proletariatem był niezmiernie ostry. Słowa „inteligent” używano jako obelgi, a takie przezwiska, jak „oficerstwo”, „burżuj”, „ziemianka” były etykietkami, które pozwalały bezkarnie szczuć człowieka. Z kolei w środowiskach przeciwnych słowa „proletariusz” i „towarzysz” stały się synonimami tępoty, „chamstwa i zarozumialstwa, używano ich z ironią.

Natalia Pawłowna i madame pomimo wszystkich trudności postanowiły umożliwić Asi zabawę. Miejsca w mieszkaniu było dosyć, a pieniądze zdobyły za lornetkę sprzedaną od ręki, sprawa wieczorku została rozwiązana.

Rozdział dwudziesty

Elżbietka miała teraz wiele zajęć. Niedawno w wykazie osób, zalegających z opłatą i wyznaczonych do skreślenia ujrzała nazwisko Asi, wpłaciła szybko wymaganą kwotę, a później zapisała się na kilka nadobowiązkowych dyżurów w szpitalu, żeby uzupełnić zarobki. W dziale rentgena opiekowała się Lelą, prócz tego musiała ciągle dożywiać i zaopatrywać w pracę Anastazję Aleksiejewną. A teraz jeszcze Oleg! O niego niepokoiła się bardziej niż o kogokolwiek innego, ale właśnie jemu najtrudniej było pomóc, ponieważ wiedziała, że nie zechce skorzystać z pomocy.

Zdjęcie rentgenowskie rzeczywiście wskazywało na istnienie odłamka o nieregularnym kształcie i poszarpanych brzegach, wielkości sześciu-siedmiu centymetrów. Chirurg orzekł, że jeżeli odłamek nie wywołuje chorobowych objawów, lepiej go nie ruszać. Jeśli jednak byłoby inaczej, należy go usunąć. Gdyby Oleg zgodził się położyć do kliniki, Elżbietka miałaby tysiąc możliwości otoczenia go troską i opieką, od których nie mógłby się wymówić. Marzyła o tym, by dyżurować przy nim po operacji i przywrócić dawne czasy, ożywić to, co się urwało przed dziewięciu laty. Przekazując Olegowi opinię chirurga, nieświadomie kładła nacisk na potrzebę operacji nieco bardziej, niż robił to sam chirurg.

Oleg zdecydowanie odrzucił operację. Powiedział, że już nie potrafi żyć w koszarowych czy szpitalnych warunkach, podporządkowywać się rygorom. Ma tego absolutnie dosyć! Bóg wie, jak długo sądzone mu przebywać na wolności... Trzeba ten czas wykorzystać! Chce słuchać muzyki, chce pojechać na powietrze, za miasto, do lasu – te drobiazgi mają dla niego ogromne znaczenie. Nie powiedział o najważniejszym – wreszcie zjawiała się możliwość nawiązania bliższej znajomości z Asia, wyrzec się tego lub odroczyć nie miał ochoty, nawet gdyby odłamek dokuczał.

Elżbietka zmartwiła się, ale nie dała tego po sobie poznać. Rozmawiali w szpitalnym holu, siedząc na ławeczce.

– Poza tym muszę pracować – ciągnął Daszków. – Muszę jakoś poprawić swoją sytuację materialną. Pani zauważyła, że jestem za lekko ubrany. Nie mam nawet rękawiczek. Dopiero zacząłem odkładać pieniądze z każdej wypłaty na ubranie. Utrata pracy byłaby katastrofą, zwłaszcza, że ze względu na ankietę trudno mi byłoby znaleźć coś innego.

– Nie straciłby pan pracy – powiedziała – kiedy człowiek jest w szpitalu lub ma zwolnienie lekarskie, nie wolno go zwolnić z pracy. To jeden z nielicznych słuszych przepisów, które wprowadziła nowa władza.

– Zdumiewające, że coś takiego istnieje.

Zapragnął zmienić temat i chwilę później mówili o Bołogowskich.

– Właśnie wybieram się tam jutro – powiedziała Elżbietka.

– Jutro? Na urodziny Kseni Wsiewołodowny? Ja także tam będę, zostałem zaproszony. Więc zobaczymy się!

– Nie jestem pewna, czy pójdę... Tańce... Nowi ludzie... To nie dla mnie.

– Proszę przyjść, Elżbieto Gieorgiewno! Prawie nikogo w tym domu nie znam, cieszyłbym się ze spotkania z panią. I nie będzie pani musiała sama wracać do domu, odprowadzę aż do bramy!

To była pokusa, której się nie oparła. Czwarte spotkanie z nim w dodatku w prywatnym, wytwornym domu, mogło wzmocnić ich znajomość. Przyrzekła, że przyjdzie.

Asia wyglądała przeuroczo w nowej sukience z lekkimi falbankami i półkrótkimi rękawami. Szyję okalał sznur drobnych starych pereł – podarunek od Natalii Pawłowny. Rodzinne perły zagadkowo połyskujące na dziewczęcej szyjce dodawały Asi subtelności. Wspaniałe puszyste włosy, upięte z okazji święta w lekki, grecki kok, wdzięczne ruchy, ciemne rzęsy – wszystko w niej zachwycało. Dlaczego jedna dostaje tak dużo, a druga – nic? Czyż

nie można byłoby dać Elżbietce, jeżeli nie rzesy, to przynajmniej uśmiech Asi? Tylko ładne dziewczęta potrafią tak swobodnie się poruszać, tak śmiać się i mówić. Taka dziewczyna wie, że jej wszystko wolno, ponieważ jest najpiękniejsza; instynktownie czuje, że wszyscy się nią zachwycają, to ją uskrzydla; nie musi obawiać się niestosownego słowa czy niezręcznego gestu – wszystko, co robi i mówi, jest sympatyczne, jej wszystko ujdzie.

Elżbietka odkryła, że jej tragiczny bohater, pomimo ciężkich przeżyć, pozostał światowym donżuanem, który łatwo ulega kobiecym czarom i ledwo wejdzie do salonu, zaraz zaczyna się zalecać. Rozkwitająca młodość, uśmiechy i pyszne włosy, motyla lekkość – to wszystko ma większe znaczenie niż długa i beznadziejna wierność serca! Gdyby był w szpitalu, potrzebował pomocy i współczucia, nikt nie mógłby z Elżbietką współzawodniczyć, tam nawiązałaby z nim duchowy kontakt, ale tutaj...

Kiedy Oleg pojawił się w salonie, został natychmiast rozpoznany; jeden z młodych ludzi, którego przedstawiono Elżbietce jako Frołowskiego, powitał go okrzykiem:

– Ba, Daszków! Stary druhu! A zapewniano mnie, żeś poległ!

Okazało się, że są kolegami z Korpusu Paziów. Elżbietka zaniepokoiła się – to niedobrze, że tajemnicę zna tylu ludzi! Jakiś czas brała udział w ogólnej rozmowie, razem ze wszystkimi zachwycała się maleńkim szczeniakiem, którego podarował Asi Szura Krasnokutski, kiedy się jednak zaczęły gry, wyłączyła się z towarzystwa. Gry w fanty nie znosiła od młodzieńczych lat – sama myśl, że będzie musiała coś recytować w obecności wszystkich, wywoływała przerażenie. Ubłagała zgodę na nieuczestniczenie w zabawie i z ubocza obserwowała przebieg wydarzeń.

Frołowski – umieszczony na krześle – niezwykle pomysłowo orzekał kary za poszczególne fanty, wyjmowane z fartucha madame. Najwięcej fantów miała Asia: w fartuchu leżały dwa przedmioty należące do niej, oba otrzymały dziwne zadania: musiała powiedzieć prawdę na każde pytanie, zadane po kolei

przez uczestników gry, a także przyznać się publicznie, kogo z uczestników gry lubi najbardziej, a kogo najmniej. Lela miała opowiedzieć przebieg kłótni z kimkolwiek. Oleg podobnie jak Asia – powiedzieć prawdę na każde pytanie. Sobie Frołowski kazał zagrać wieczowego mówcę. Szura, który miał wykonać na fortepianie dowolny utwór, był zrozpaczony i błagał, by mu pozwolono zamienić się zadaniem z Asią, ale Frołowski nie dał się ubłagać.

– Żadnych zamian, bo to będzie nieciekawo! Zaczyna bohaterka dzisiejszego wieczoru. Prosimy na środeczek, Kseniu Wsiewołodowno! Proszę spocząć. A więc mówi pani prawdę. Kto chce zadać pytanie? Milczenie? W takim razie zacznę ja, ponieważ nie zapominam języka w gębie. Czy chce pani wyjść za męża?

– Pan jest strasznym człowiekiem, Walentynie Płatonowiczu!
– powiedziała bez uśmiechu.

– Pani mi schlebia, ale proszę odpowiedzieć na pytanie. Zwlekała chwilę.

– Za tego wymarzonego – tak – powiedziała poważnie. – Ale jeszcze nie teraz, trochę później, na razie jest mi bardzo dobrze u babci.

– Ścisłe i wyczerpująco – podsumował Walentyn Płatonowicz, ale Szura Krasnokutski nie był zadowolony z odpowiedzi.

– Proszę uściślić, jaki jest ten wymarzony, jakie powinien posiadać cechy?

– Jeżeli zrozumiałem, Aleksandrze Aleksandrowiczu, stawia pan kolejne pytanie? – wtrącił się Frołowski.

– Tak, niechaj to będzie moje pytanie! Skorzystam ze swego prawa!

Wszyscy się uśmiechnęli.

– Czekamy na odpowiedź, Kseniu Wsiewołodowno – rzekł Frołowski.

– Proszę nie popędzać mnie – Asia była wyraźnie

zakłopotana. – Mój wymarzony – to człowiek wzniosły, subtelny, głęboko kocha ojczyznę, jak mój ojciec, i oddał życie za Rosję...

– Jakże to, Kseniu Wsiewołodowno – uśmiechnął się Oleg, nie odrywając wzroku od Asi – „oddał życie”? Tylko w balladach Żukowskiego można wyjść za mąż za nieboszczyka.

– Rzeczywiście! Zdaje się, że palnęłam głupstwo... No, jeżeli nie zginął, to w każdym razie cierpiał wiele za Rosję, żył w biedzie, ukrywał się, był ranny... – zamilkła w pół słowa. Uświadomiła sobie, że jej wypowiedź pasuje jak ulał do Olega, spuściła głowę, nie miała odwagi spojrzeć na niego.

– Ciężki przypadek! – orzekł Szura.

– Kiepskie pańskie widoki, Aleksandrze Aleksandrowiczu – zauważyła Lela.

Asia, chcąc zatrzeć wrażenie, spytała:

– Jaką balladę miał pan na myśli, Olegu Andriejewiczu?

– Oczywiście balladę „Ludmiła”. Dziewczyna żaliła się na los, który sprawił, iż jej narzeczony padł na polu bitwy. I oto pewnej nocy przyjechał do niej konno. Nie wiadomo, czy to był szatan pod postacią narzeczonego, ale zabrał ją na konia i odjechał na cmentarz.

Oleg nie skończył opowieści, zrobił to za niego niepohamowany Frołowski:

– I mogiła stała się dla nich miłosnym łóżem.

– Monsieur, monsieur! – zawołała ostrzegawczo madame, która krzątała się przy stole.

– *Milles pardons!*³⁵ – zawołał Walentyn Płatonowicz – ale to nie moje słowa, tylko Żukowskiego.

A Szurę wciąż nurtowała definicja bohatera.

– Pani nie jest sprawiedliwa, Kseniu Wsiewołodowno! –

³⁵

Milles... (fr.) – Milion przeprosin!

powiedział. – Ja na przykład ze względu na wiek nie mogłem brać udziału w wojnie i wykazać się bohaterstwem. A teraz panowie paziowie są uprzywilejowani w porównaniu ze mną, ale tylko dlatego, że są starsi.

– Niech się pan nie martwi, Aleksandrze Aleksandrowiczu – rzekł Oleg, któremu zrobiło się żal Szury. – Jeszcze nikt nigdy nie bolał nad tym, że jest młody. Ma pan wszystko przed sobą, a nasza młodość już się kończy.

– Amen! – zawołał Frołowski głosem, który zda się dochodził z mogiły. – Kontynuujemy. Teraz pani pyta, Heleno Lwowno.

– Czego dzisiaj najbardziej pragniesz? – spytała Lela.

– Powrotu wuja Sierioży – Asia odpowiedziała jednym tchem, a twarz miała poważną.

Nadeszła kolej Olega.

– Będę skromniejszy niż moi poprzednicy. Co pani najbardziej kocha, Kseniu Wsiewołodowno, nie „kogo”, lecz „co”?

– Co? O, niejedno? – uniosła marząco główkę, ale Frołowski przerwał jej:

– Proszę pamiętać, że psy, owce i ptaki zaliczane są do rzeczowników żywotnych, więc proszę mi tu nie wyliczać swoich ulubieńców różnych ras.

– Prześmiewca z pana! Znam trochę gramatykę – zamyśliła się.

– Kocham las – dziki, z paprociami, poziomkami, wiatrołomami, fugi Bacha, konwalie, jesienne zachody słońca, a także kopułę świątyni z promieniami słońca i dymami kadzidlany. Ach tak! Jeszcze białe hiacynty, w ogóle wszystkie kwiaty i merengi...

– No, wreszcie dotarliśmy do sedna sprawy! – skomentował Frołowski. – Teraz wyliczy pani wszystkie gatunki kwiatów i wszystkie desery. – Czy, na przykład, jest coś lepszego niż moskiewskie trufle?

– Trufle jadłam ostatni raz, kiedy miałam siedem lat, nie pamiętam już ich smaku – brzmiała smutna odpowiedź.

– Nie omieszkam zgłosić się z bombonierką, kiedy tylko będą w sprzedaży! – zawołał Szura, zrywając się z miejsca, tak mu było spieszno.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Zgłasza się pan z bombonierką moskiewskich truflii – zanotowano w protokole. Przechodzimy do punktu drugiego – oznajmił Frołowski. – Kogo z uczestników gry kocha pani, Kseniu Wsiewołodowno, najbardziej?

– Po co pytać, oczywiście Lele. Przecież dorastałyśmy razem.

– A kogo najmniej?

Zapadła cisza.

– Ułatwię pani sytuację, Kseniu Wsiewołodowno! – odezwał się Oleg. – Mnie lubi pani najmniej, ponieważ dopiero niedawno poznaliśmy się, a pozostali są przyjaciółmi pani od wielu lat.

Powiedział, żeby podkreślić, że nie potraktował jej wypowiedzi o wymarzonej mężczyźnie jako aluzji do siebie, i umożliwić wyjście z niezręcznej sytuacji, ale ona z właściwą sobie naiwnością nie skorzystała z pomocy.

– A właśnie, że nie – powiedziała z pewną dozą irytacji.

– Pewnie mnie – rzekł smutno Szura.

– Także nie pana – odpowiedziała wciąż tym samym tonem.

– Więc kogo?

– Pana – ściemniałe nagle spojrzenie Asi skierowało się na Walentyna Płatonowicza.

– Skąd ta niełaska, Kseniu Wsiewołodowno? – zawołał. Rozległ się śmiech.

– Morał z tej historii jest prosty: nie należy zadawać nieskromnych pytań – powiedział Oleg.

Spowiedź Asi dobiegła wreszcie końca. Nadeszła kolej Leli.

– Mam jednego wroga – towarzysza Wasiljewa – oznajmiła.

– O, to zaczyna być interesujące! Słuchajcie, słuchajcie! – zawołał Frołowski – kimże jest ów towarzysz?

– Instrukctorem przydziału siły roboczej w biurze zatrudnienia. Zasiada w dużej sali, na pluszowym fotelu, nosi buty z cholewami, *galife* i sweter, a na nim – marynarkę, na czole ma czub, na ciemieniu – cyklistówkę. Nigdy nie prosi interesantów, żeby usiedli. Stoją przed nim, a on mówi, że jestem córką wroga. „Nie moja to wina, że obywatelka nie chce tego zrozumieć. Chętnie wierzę, że praca jest obywatelce potrzebna, ale nie mam zamiaru troszczyć się o rodziny białogwardyjskich niedobitków. Weźcie to pod uwagę, obywatelko, i nie objajcie tych progów” – Lela zamilkła.

– Przekazane z aktorską dokładnością. Brawo, Heleno Lwowno – powiedział Oleg. – Niektóre sformułowania wykuła pani na pamięć.

– To kartka z historii! – odezwał się Walentyn Płatonowicz. – Na nic się nie zdadzą chustka i walonki. Pieprzyk na pani policzku, Heleno Lwowno, jest podobny do muszki markizy, brak tylko srebrnej peruki.

Asia ścisnęła i głaskała szczeniaka, którego trzymała na kolanach.

– Pieseczku, maleńki! Spać ci się zachciewa? Zaraz położę cię do kołyski. Uszki zamiast poduszki, ogonkiem przykryjesz nosek i uśniesz!

Oleg zauważył, że Walentyn Płatonowicz także patrzy na Asie, ich oczy spotkały się. Oleg miał wrażenie, że były kolega myśli o tym samym... „Nie ustąpię!” – postanowił Daszków.

– Proszę państwa, jako mistrz ceremonii proponuję kontynuować nasz program – odezwał się Frołowski. – Teraz twoja kolej, książę.

– Uszanuj tytuł, Frołowski – powiedział Oleg, sadowiac się na środku. – Nie trzeba przyzwyczajając się do niego od nowa, żeby nie chlapnąć czasem przy obcych. A w dodatku drażni mnie.

– Wybacz, to się nie powtórzy – odpowiedział Frołowski.

– Kto chciałby zadać pytanie? Zdaje się, że ja muszę zacząć. Ano powiedz, przyjacielu, która z obecnych panien najbardziej ci przypadła do gustu?

Spojrzenie Olega padło na smutną Elżbietkę, która siedziała na uboczu, zrobiło mu się żal jej, zapragnął wciągnąć ją do gry i jakoś dowartościować w odczuciu obecnych.

– Niespodziewanie znalazłem się w roli Parysa! – rzekł.

– A najbardziej podoba mi się Elżbieta Georgiewna!

Elżbietka drgnęła.

Asia jak papużka powtórzyła pytanie, które on jej zadał:

– Proszę powiedzieć, co pan kocha najbardziej, nie „kogo”, lecz „co”?

– Rosję – odpowiedział po chwili namysłu.

– Rosja – to „kto”, a nie „co” – odezwała się nagle Elżbietka. Jej głos poważny i surowy brzmiał głębokim, skrytym uczuciem, jakby gdzieś z dalekiej wieży odezwał się dzwon.

Zapadła cisza, tak zwykle ludzie milkną, kiedy zostanie wymienione imię zmarłego niedawno bliskiego człowieka.

– O! – zawołał Frołowski – interesująca myśl, ale roztrząsanie jej zbyt daleko zaprowadzi nas od naszego tematu. Zastanowimy się nad nią przy herbacie.

Szura, którego wciąż jeszcze nurtował problem bohaterstwa, zapytał:

– Czy czuje się pan bohaterem takim, jak go scharakteryzowała Ksenia Wsiewołodowna?

– Bohaterów rodzi epoka i okoliczności, a nie cechy osobiste

– powiedział Oleg. – Widziałem setki i tysiące bohaterów, byli to oficerowie, żołnierze, a nawet obdartusy-proletariusze z wrogiego obozu. W naszych czasach bohaterami byli wszyscy, którzy nie rzucali broni. Myślę, że nie byłem ani lepszy, ani gorszy od innych.

„No nie – pomyślała Elżbietka – to zbyt skromna ocena! Dowódca kompanii śmierci, odznaczony dwoma Krzyżami św. Jerzego!” Ale nie powiedziała nic.

Tymczasem Asia, Lela i Szura zaatakowali Frołowskiego:

– A sam pan, mistrzu ceremonii? Zdaje się, że usiłuje ominąć własną kolejkę? Teraz odpowiada pan!

Frołowski przyniósł z przedpokoju czapkę, włożył ją na tył głowy, zwichrzył włosy na czole, jego twarz przybrała wyraz tępy i groźny.

– Towarzysze – ryknął – w te dni, kiedy wszystkie sowieckie ludzie, w tej liczbie także wy – przodownicy naszych zakładów – z niebywałym wysiłkiem pracuj en: dla naszego kochanego socjalistycznego kraju, kapitalistyczne rekiny i ich pacholki planuj om obalenie naszej młodej sowieckiej republiki. Z pomocom kułaków, burżujów i białych bandytów, wszystkich kierunków, chcom nam narzucić znowu znienawidzony kapitalistyczny ustrój. Tego, towarzysze, nie bendzie. Podłe kapitalisty przeliczyli sie. Czyśmy o to walczyli! W odpowiedzi na ichnie knowania, my proletariusze z Zakładów Czerwone Żelazko zapewniamy partie, a także towarzysza Stalina, że bendziem pracować jeszcze lepiej i czujniej pilnować, żeby w nasze szeregi nie dostał się ani jeden zdrajca-kontrrewelucjonista, szczególnie z białogwardzistów. Bądźta czujne, towarzysze!

Rozległy się oklaski tak gorące, jakby rzeczywiście odbywał się tu wiec pracowników Zakładów Czerwone Żelazko.

Szura Krasnokutski, odrabiając swój fant, zasiadł do fortepianu i zagrał jako tako modny fokstrot, stękał przy tym i narzekał na swój los. Kiedy rozległy się pierwsze takty, Walentyn

Płatonowicz poderwał się i ceremonialnie skłonił przed Lelą; Lela speszyła się.

– Nie tańczę – szepnęła. – Mama i Natalia Pawłowna zabroniły tańczyć fokstrota...

– Wybacz mi Panie, to już drugi raz łamię zasady moralne tego domu! – powiedział Walentyn Płatonowicz. – No, tylko raz dokoła, miła pani, kiedy starszych nie ma w pobliżu. Czy rzeczywiście nie potrafi pani?

Lela nieśmiało położyła rączkę na jego ramię.

– Spróbuję, ale proszę nie mówić nic mamie! Tańczyłam kiedyś u naszej sąsiadki... Jeżeli się mama dowie, nie puści mnie tam więcej.

Tańczyli doskonale, kiedy jednak spoza drzwi dobiegł głos madame, Lela wyrwała się z ramion Walentyna Płatonowicza.

– A ty, Daszków, dlaczego nie tańczysz? – spytał Frołowski.

– Ja także nie umiem – powiedział Oleg. – Siedem z górą lat siedziałem w czyścucu – nie było okazji nauczyć się, a kiedy jeszcze należałem do ludzi żywych, tego tańca nie znano.

– W czyścucu? – powtórzył Frołowski, jego twarz spoważniała. – Więc już to zaliczyłeś? A ja właśnie oczekuję... Moja *maman* nie zasypia przed szóstą rano, wciąż czeka... Nawet nasuszyła dla mnie sucharów i walizkę spakowała na wszelki wypadek.

Rozmowę przerwały dźwięki walca, Walentyn Płatonowicz dopadł czym prędzej Asi i zawirował z nią po pokoju, ale zaraz musieli przerwać, ponieważ Szura zmylił rytm. Korzystając z przerwy Asia powiedziała cicho:

– Chciałam pana ostrzec, Walentynie Płatonowiczu, nie trzeba pytać Olega Andriejewicza, cała jego rodzina zginęła, zauważyłam, że niechętnie o tym opowiada.

Oleg widział, że o czymś rozmawiają i że Walentyn Płatonowicz parę razy spojrzął na niego i poczuł ukłucie zazdrości.

Tymczasem Asia i Lela pobiegły do sypialni, gdzie rozmawiali starsi, wyciągnęły stamtąd Ninę i ubłagały, żeby zagrała walca. Tego wieczoru Nina miała śpiewać w drugiej części koncertu w jakimś klubie, wybierała się już tam jechać, ale ulegając prośbom dziewcząt, siadła do fortepianu. O ile dźwięki fokstrota były dla Olega obojętne, to znajomy walc „Na wzgórzach Mandżurii” obudził wspomnienia o walcach, które tańczył w domu rodziców. Pomyślał, że za chwilę Walentyn Płatonowicz poprosi Asie i pobiegł do niej.

„Jaka piękna para! – myślała Nina Andriejewna, śledząc ich wzrokiem – dzięki Bogu, przynajmniej dzisiaj jest weselszy! Obserwowała ich także Natalia Pawłowna. Spojrzenia Niny i Natalii Pawłowny spotkały się, obie rozumiały się bez słów – gdyby nie zagrożenie Olega, można byłoby pomarzyć...

Francuzka patrzyła ze wzruszeniem:

– *Ma pauvre petite Sandrillone va bientôt devenir une princesse et plus tard une dame d'honneur peut-être!*³⁶

Elżbietka ze swego kąta obserwowała ich z wyrzutem: „Tańczą, chociaż Rosja jest ukrzyżowana! Kiedy w obozach cierpią jego koledzy! Po tym wszystkim, co przeżył, może tańczyć?”

W jej oczach wieczerek stracił urok.

Z niechęcią myślała o piękniejących Asi i Leli. „Lalki! A on! Nawet jego uśmiech jest coraz głupszy!” – myślała. Podobał się jej, kiedy był wynędzniały i płonął nienawiścią, chciała zawsze widzieć go takim.

³⁶ Ma pauvre... (fr.) – Mój biedny mały Kopciuszek powinien koniecznie zostać księżną, a później być może damą w wielkim świecie!

Rozdział dwudziesty pierwszy

Młodość, męstwo,

Wandea, Don!

Marina Cwietajewa

W dwa lub trzy dni po wieczorku odwiedził Olega Walentyn Płatonowicz. Długo wspominali przyjaciół, poległych lub zaginionych bez wieści, dzielili się frontowymi wrażeniami. Dopiero teraz Oleg się dowiedział, że Walentyn Płatonowicz był członkiem związku „Obrona Ojczyzny i Wolności”, a po jego rozgromieniu musiał się ukrywać.

– Polowali na mnie jak na dzikiego zwierza. Nocowałem w lesie, w stogach siana, w chłopskich obejściach. Uciekałem z miejsca na miejsce. Matka ponad rok nie wiedziała, gdzie jestem, nie mogłem jej przekazać żadnych wieści. Wreszcie pomógł kolega: prowincjonalny oficerek, gbur skory do mordobicia, którego wszyscy w pułku unikali jak ognia, był, jak się okazało, bolszewikiem – w porę zmienił poglądy. Mówi do mnie protekcjonalnie, z pychą: „Wyciągnę cię z tego, tylko przejdź na naszą stronę. Brak mi ludzi, a ciebie znam, jesteś dzielnym oficerem. Jeśli chcesz – bierz kompanię, tylko daj słowo, że nie zawiedziesz”. Zrezygnowałem, rzecz jasna, z tego zaszczytu, poprosiłem tylko o byle stanowisko, żeby mieć papiery czerwonoarmisty i w ten sposób zatrzeć za sobą ślady. Dostałem zaświadczenie, włożyłem hełm z „rozumochronem”, szynel z gwiazdą i mogłem żyć legalnie. A nędzny świstek zawsze mnie ratował, nie budził niczyich podejrzeń. W karcie pracy, a więc i w ankiecie, tak właśnie jest napisane: od 1917 do 1922 roku włącznie – czerwonoarmista, chociaż służyłem im dopiero od dziewiętnastego. Rangę, co prawda, miałem niezbyt wysoką – sierżant – szef kompanii. Ale cóż, jestem skromny – poprzestaję na małym. W tej samej kompanii intendentem też był dawny

oficer. Swoją swoją wyczuje na odległość – wkrótce zawarliśmy przyjaźń i razem kombinowaliśmy, jak najlepiej zaopatrywać kochaną Czerwoną Armię: kasza nam systematycznie mokła, butelki tłukły się. Wyprawiamy, dajmy na to, oddział strzelców, do guberni wołogodzkiej, by ustrzelili tam jarząbków, i pękamy ze śmiechu. Wiem, że nie lubisz takich metod walki, skoro jednak inaczej nie można, dobre i to! Nasza arystokracja często jest zbyt drażliwa w tych sprawach, ale bolszewicy nie brzydzą się żadnymi metodami.

Oleg przerwał koledze z rozdrażnieniem:

– Czy mamy naśladować bolszewików? Czy arystokratyczne maniery to tylko przywilej? Jeśli tak, to już ich nie ma! Ja sądzę, że arystokratyzm w równym stopniu przejawia się zewnątrz, jak wewnątrz; rasa dobrze urodzonych przetrwała – najlepsza część szlachty długo jeszcze cenić będzie honor i rycerskość, tego nikt nam nie odbierze! Tacy ludzie budzą więcej zaufania niż ktokolwiek inny. Jestem oficerem. Teraz często mówią, „eks-oficerem” – ale dlaczego? Nikt nie odebrał mi stopnia, nie łamał szpady nad moją głową.

Walentyn Płatonowicz uśmiechnął się, a w tym uśmiechu Oleg dostrzegł wolterowską drwinę.

– Ależ zgadzam się z tobą, niepotrzebnie się unosisz! Tylko, że *à la guerre comme à la guerre!*³⁷ Nie sądzę, że zdobywszy dokumenty i wygląd czerwonoarmisty miałem moralny obowiązek przerwać walkę. Nikomu tam nie składałem przysięgi, byłem i pozostałem oficerem Siemionowskiego Pułku; to właśnie jest to, o czym mówisz. Gdybyś i ty wpadł w łapy czerwonych, też pewno zacząłbyś im służyć.

– Przede wszystkim próbowałbym ucieczki.

– Oczywiście, to główny cel, lecz nie zawsze się udaje. A co byś zrobił, gdyby się nie powiodła?

– Masz rację, Walentynie. Nie zgadzam się tylko z twoją

³⁷

à la guerre ... (fr.) – Na wojnie jak to na wojnie.

uwagą o przesadnej drażliwości co do metod.

– Dwa razy próbowałem przedostać się do białych, gdy byliśmy w strefie przyfrontowej – ciągnął Walentyn Pawłowicz, wyraźnie urażony. – I dwa razy bez skutku. Widzę w Pskowie pociąg pancerny gotowy do odjazdu, już dymi, a dowodzi nim słynny Fabrycius. Idę do niego. Czapkę i dystynkcje wyrzuciłem, a by jeszcze lepiej udawać proletariusza twarz przewiązałem chustką; kłaniam się w pas, proszę, by podwieźli na sąsiednią stację, gdzie jest mój oddział. Udaję głupiego. Zagrałem to po mistrzowsku. Nieustraszony komunista uzalił się nade mną, zgodził się, zresztą z ojcowskim ostrzeżeniem: „Uważaj tylko, nie spietraj się – zaraz tu będzie gorąco!” Wlazłem do wagonu i pospiesznie, z tchórzliwą miną, schowałem się w kącie. Niebawem zaczęły świstać kule – nasi są tuż obok, w pobliżu, jak się do nich dostać? W tym momencie Fabrycius przechodzi przez wagon: „No i co, tchórzysz, chłopaku? Pewno zrobiłeś w portki?” Odpowiadam mu w tym samym stylu, lecz przy najbliższej okazji pędzę do wizjera. Miałem pecha, znów przybiega Fabrycius. Odkoczyłem, jakby śmiertelnie wystraszony, ten śmieje się, ale chyba coś zwęszył, obserwuje mnie. Kiedy pobiegłem na bufor, by w dogodnej chwili zeskoczyć, słyszę za plecami: „Przecie nie boisz się, chłopie! Gadaj, coś za jeden!” – i cap mnie z tyłu za rękę. Myślałem, że to już koniec! Ale nie, wykręciłem się sianem! Wyznałem, że zdezerterowałem, bo chcę pochować matkę, lejąc krokodyle łyzy podałem mu zaświadczenie, że służę w Armii Czerwonej. Fabrycius miał dobre serce – znów mi się upiekło, tylko nie dostałem się do swoich. Co zresztą później obróciło się dla mnie na lepsze.

Oleg z kolei opowiedział koledze o tym, co widział na Krymie. Walentyn Płatonowicz wysłuchał go i zauważył:

– Mnie chyba wiodło się nieco lepiej – obeszło się bez ran i bez łagru, choć głodu i zmartwień też zaznałem wiele. Ale obaj możemy w każdej chwili runąć w przepaść. Czyż wiele trzeba? Nieostrożne słowo lub przypadkowe spotkanie i od razu – donos! Niedawno na przykład, wszedłem do cukierni po ciastka dla

Heleny Lwowny, z którą byliśmy w kinie. A ona pyta: „Co to za jeden tak się panu przygląda?” Odwracam się – i Chryste Panie! Ktoś ze związku „Obrony Ojczyzny”! Kiedy tylko zauważył, że na niego patrzę, szybko odwrócił się i wyszedł. Przestraszył się na mój widok. Zapewniam cię! Oto jak wygląda sytuacja! Jednak w żadnym razie nie powinno to nam przeszkadzać używać życia. We mnie osobiście niebezpieczeństwo tylko wyostrza radość życia, a jeśli pewnego pięknego dnia runę z góry na łeb, na szyję – cóż, to przynajmniej w doborowym towarzystwie.

I dodał po chwili milczenia:

– Czarujące są te panny od Bołogowskich, mam rację? Znam je od dziecka. Bardzo rasowe. Pamiętasz, u najlepszych koni kawaleryjskich można objąć nogi w pęcinie dwoma palcami – nóżki tych panienek wcale nie są gorsze. Tobie chyba bardziej podoba się Ksenia. Lubisz dziewczęta czyste i niewinne, niczym madonny. A mnie – mała Nielidowa – jest bardziej pikantna. Ma w sobie, jak to teraz mówią, jakiś „pieprzyk”.

Olegowi wydało się, że przyjaciel daje do zrozumienia, iż nie zamierza z nim rywalizować i nie chce, by cokolwiek zaszkodziło ich przyjaźni. Na pożegnanie wymienili mocny uścisk dłoni i Oleg poczuł się raźniej na duchu. „Nie tylko ja jestem w takiej sytuacji: u Walentyna, tak samo jak u mnie, wszystko zbudowane jest z piasku, a jednak uważa, że ma prawo cieszyć się życiem i mieć nadzieję! Czas, bym i ja się otrząsnął”.

Z pewnością by tak nie myślał, gdyby słyszał tego samego wieczora rozmowę dwóch ludzi w pobliżu swego domu.

– Wielmożny panie doktorze! – zawołał beznogi żebrak do czterdziestoletniego mężczyzny w cywilnym ubraniu, który mijał go w pośpiechu.

Tamten odwrócił się:

– Co znowu za „wielmożny panie”?! Rozum ci odjęło?!

– Ależ to chyba pan oficer, pan doktor Złobin?!

– Zgadza się. Tylko nie oficer i nie żaden „pan”, a „towarzysz doktor”. Panów u nas nie ma od osiemnastego roku, czas najwyższy to zapamiętać. A ty coś za jeden, może mój pacjent?

– Tak jest, towarzyszu doktorze! W Teodozji nogi mi pan obcinał razem z panem chirurgiem Muromcewem, wpierw lewą, a potem prawą. A ile potem było opatrunków... Jakże miałbym pana zapomnieć?!

– Cóż, rozumiem, że mnie pamiętasz, tylko mi się nie podoba twój sposób mówienia – nie po sowiecku się wyrażasz i zachowujesz! W dodatku Świętego Jerzego przyczepiłeś do klapy! Po co ci ten Krzyż?

– Jakże tak, bez Jerzego, wielmożny panie? Tylko on mi pomaga w biedzie. Jak dawne panie go zobaczą, zaraz w płacz, a mnie trzy ruble, nawet piątkę rzucają – ale tylko te starsze. Młodym wszystko jedno!

– Ech ty! Niczego cię życie nie nauczyło! Straciłeś obie nogi, a wciąż cuchniesz białogwardyjską padliną!

– Ale wielmożny panie, znaczy się, towarzyszu doktorze, wojna dla wszystkich jednaka! Jak siedzimy przed cerkwią Przemienienia Pańskiego i gadamy ze sobą, nieszczęsne kaleki, to zawsze wychodzi na jedno: białym tak samo jak czerwonym ręce, nogi i głowy ucinano.

– Może to i racja, choć mógłbym się spierać. Ale nie mam czasu na filozofowanie. Powiedz lepiej, dlaczego nie zrobisz sobie protez?

– Niby czego, wielmożny panie?

– Czemu, pytam, nie postarasz się o sztuczne nogi?

– Za co, wielmożny panie, towarzyszu doktorze? Nie mam przecie pieniędzy. Sam pan widzi, żyję z tego, co użebrzę. Za cara może by mi i co przyznali, ale teraz zasługi moje nic niewarte.

– Ale dziś leczą bezpłatnie, każdy ma prawo do pomocy lekarskiej. Idź do rejonu, do chirurga – uzyskasz kompetentną

poradę. Skieruję cię też do Instytutu Protetycznego – znam tam kogoś.

Wyjął notes.

– Jak się nazywasz?

– Jefim Drozdów, zwiadowca.

– Niepotrzebne mi te twoje staroreżymowe rangi, durniu.

I zaczął pisać.

– Masz, pójdziesz z tą kartką pod ten adres. Poproszę, by oproteżowali ci przynajmniej jedną kończynę. Tylko łaskawie zdejmij tego Świętego Jerzego i nie nazywaj mnie tam „wielmożnym panem”. Niczego nie zataiłem, ale nie chcę znaleźć się w głupiej sytuacji, jasne?

– Jasne, towarzyszu doktorze. Wielkie dzięki. Mam ostatnio szczęście: ze dwa miesiące temu spotkałem wielmożnego porucznika Daszkowa, a teraz pana. I on też ze mną gadał jak z kimś bliskim.

– Daszkowa?! Księcia?! Jesteś pewien? Poznałeś go?

– No jasne, że poznałem. Byłem w ichnim plutonie. Postaliśmy trochę, pogadaliśmy...

– Daszków... Chyba był ciężko ranny w pierś?

– Tak jest, wielmożny panie! To przecie pan go na nogi postawił, Bóg pana za to wynagrodzi!

– Daszków... Wymienił swoje nazwisko?

– Nie, wielmożny panie! Sam go zawołałem, a on zaraz do mnie podszedł i tak ciepło, serdecznie rozmawiał. Dał mi całą setkę.

– Nie zostawił adresu?

– Nie, wielmożny panie. Po co? Prosił, by nikomu nie mówić, że tu jest, a ja nie wygadałem. Ale pan – swój człowiek, też z Krymu, krzywdy mu nie zrobi.

– Rozumiem, wszystko jasne. No, do widzenia. A jutro idź z tym skierowaniem.

Po czym się rozstali.

Tego samego wieczora, w dwie godziny później do jednego ze „specjalnych” wydziałów zadzwonił tajny agent z następującą informacją:

– Mam podstawy, by podejrzewać, że w Leningradzie ukrywa się niebezpieczny przestępca – białogwardyjski oficer, książę Daszków. Aktywny kontrrewolucjonista. Dowodził „kompanią śmierci”, wyróżniał się w bojach odwagą, wywierał szkodliwy wpływ na otoczenie. Czy był u Denikina, powiedzieć nie mogę, ale u Wrangla na pewno – leżał w szpitalu w Teodozji, a tam jakimś cudem uniknął represji. Skąd to podejrzenie? Widzicie, towarzyszu, mniej więcej w tym samym czasie spotkali go i rozpoznali eks-siostra miłosierdzia i eks-żołnierz, obecnie żebrak. Poinformowali mnie... Co? Proszę uprzejmie, powtarzam: eks-książę Daszków, imienia nie pamiętam. Porucznik gwardii. Wiek... Teraz chyba koło trzydziestki... Jak wygląda? Ależ ja go nie widziałem dziesięć lat! Był wtedy wysokim, przystojnym szatynem o manierach oficera gwardii... Cechy szczególne? Raczej nie miał... chyba że... blizny po ranach... Był, zdaje się, ranny w głowę i w klatkę piersiową... Dokładniej zlokalizować nie potrafię – zapomniałem... Adres siostry miłosierdzia? To moja żona, towarzyszu. Ale jest bardzo chora... Nie chciałbym jej niepokoić, w dodatku jest potwornie gadatliwa. Spróbuję sam ją wypytać, a jak się czegoś jeszcze dowiem – poinformuję dodatkowo. Adres żebraka? Nie zapisałem! Zrobiłem głupstwo! Ale chwileczkę... można będzie go odnaleźć poprzez Instytut Protetyczny. Biorę to na siebie. Może się wam jeszcze przyda do konfrontacji. Wpadnę w najbliższych dniach na rozmowę. Jutro nie mogę – jestem zajęty. Wszystkiego dobrego!

Rozdział dwudziesty drugi

Dziennik Asi

30 marca. Wszystkiemu są winne fiołki! Gdyby nie one, nie siedziałabym nad tym kajetem. Było tak: wczoraj po raz pierwszy poszłam do Elżbiety Georgiewny Muromcewej. Babcia sama mnie posłała, mówiąc, że czas najwyższy okazać jej zainteresowanie. Kupiłam na ulicy kilka bukietów fiołków (nie nasze te fiołki – odeskie). W pokoju Elżbiety Georgiewny wyraźnie czuć wzniosłą atmosferę, którą żyje jego właścicielka – porządek, cisza, książki – królestwo myśli! Nie wytrzymałam i zajrzałam do dwóch książek, w których leżały zakładki – były to to „Róża i krzyż” i „Trzy rozmowy” Sołowiowa. Żadnej z nich nie czytałam. Strasznie mi się podoba wzniosłość myśli Elżbiety Georgiewny! Nie znoszę paplaniny o nowych futrach, zarobkach, pieczeniu ciasta, sklepach – u Muromcewej nigdy tego nie ma, ta kobieta zawsze jest *au-dessus*.

Gdy wyszła do kuchni przygotować herbatę, a ja zostałam na kilka minut sarna, podeszłam do jej stolika, by umieścić fiołki w wazoniku. Oglądając fotografie w małych ramkach niechcący przewróciłam wazonik. Woda rozlała się, a obok leżał otwarty kajet. Spojrzałam, czy nie rozplynał się atrament, i mimo woli przeczytałam kilka linijek. Okazało się, że to jej dziennik, a tam, pod dzisiejszą datą było napisane: „Zalewają mnie fale bezgranicznie głębokiego oceanu miłości. Doprowadza mnie do szaleństwa jego gorzka intonacja i wytworne ruchy. A przecież nie kocham go ze względu na powierzchowność, okaleczonego lub oszpeconego kochałabym równie gorąco!”

Znieruchomiałam, przeczytawszy te słowa. Nie od razu do mnie dotarło, jak straszne popełniłam przestępstwo – babcia mówiła mi wiele razy, że przeczytać bez pozwolenia cudzy list to to samo, co wyciągnąć komuś pieniądze z kieszeni, a tu jeszcze, jak na złość, takie ważne, długie zdanie... Od razu zdecydowałam, że wyjście jest jedno – natychmiast muszę prosić o wybaczenie. Tak

też postąpiłam. Elżbieta Gieorgiewna wybaczyła mi, ale chciała się dowiedzieć, jaki fragment dziennika poznałam, a gdy zacytowałam, rzekła z powagą: „Skoro już zajrzała pani do mego serca, musi pani wiedzieć, że słowa te odnoszą się do tego samego mężczyzny – nikogo innego nie kocham i kochać nie będę”. Powiedziała mi, że pisze dziennik od szesnastego roku życia i zawsze zamyka go na klucz w szufladzie, klucz nosi na szyi razem z krzyżykiem. „W tym dzienniku jest całe moje serce – dodała. – Nikt do tej pory nie przeczytał w nim nawet słowa, a przed śmiercią spalę go”. Wszystko to bardzo mnie zainteresowało. Też postanowiłam pisać dziennik, też nosić kluczyk na szyi i wszystko spalić przed śmiercią.

31 marca. Często słyszę, że życie jest teraz smutne, nudne i prozaiczne, że wskutek trudnych warunków grzeźniemy w drobiazgach codzienności. A mnie się wydaje, że wiele zależy od nas samych i że ci, którzy tak mówią, nie potrafią lub nie chcą się postarać, by życie było choć trochę piękniejsze! Nie można zbyt wiele czasu poświęcać drobiazgom – inaczej w nich utoniemy! Trzeba umieć żyć iskrą z niebios, jak mawiali Egipcjanie, lub na zawsze pozostać w dzieży, jak Chleb u Maeterlincka. Bardzo lubię „Błękitnego ptaka” i gdy gram bez zapалу, zawsze wołam do babci: „Jestem dzisiaj w dzieży!*”. Wczoraj wieczorem długo i z natchnieniem grałam „Arabeski” Schumanna, potem „Barkarolę” Schuberta-Liszta. Julia Iwanowna nie pozwala mi grać „Barkaroli”, ja jednak gram ją cichutko. Babcia z początku czytała, a potem odłożyła książkę i zasłuchała się. Nowy lokator zepsuł nam wieczór, gdyż zaczął stukać pięściami w ścianę i krzyzczeć: „Dość mam już tej waszej katarynki! To skandal!” A była dopiero dziesiąta wieczór...Babcia bardzo się zmartwiła, rozumiem dlaczego: dano jej po chamsku do zrozumienia, że nie jest już panią we własnym domu.

1 kwietnia. Dziwne zjawisko: doskonale pamiętam, jak we wczesnym dzieciństwie umiałam latać. Tylko że fruwałam nie tak jak ptaki, ale jak motyle – ponad krzewami w ogrodzie w majątku dziadka. Pamiętam pewne szczegóły: Lela stała na łące, tam gdzie były ule – i powiedziała do mnie, że nie wzniosę się ponad bzy, ja

jednak przeleciałam nad krzewami, zobaczyłam w dole cudowne, bladofioletowe kiście, a potem – pamiętam to – wróciłam i wylądowałam na dachu powozowni. Wasia i Misza, którzy stali na podwórzu, widzieli, jak lecę. Pokazywali sobie mnie rękami i nawet celowali do mnie ze swoich dzieciennych karabinów. Braciszek Wasia dobrze to pamiętał. Gdy umierał na tyfus, bredził w malignie, a ja weszłam do jego pokoju, mama siedząca obok niego spytała: „Poznajesz swoją siostrzyczkę?” Wasia powiedział wtedy: „Wciąż jeszcze latasz czy już chodzisz po ziemi, tak jak wszyscy?”. Mama myślała, że to majaczenie, ale ja zrozumiałam go doskonale! Lela też jeszcze niedawno pamiętała moje loty, ale od niedawna zapewnia, że nic podobnego się nie działo! Jak to – „nie działo się!”. Nigdy nie zapomnę tych wspaniałych wrażeń! Teraz latam tylko we śnie, a to zupełnie co innego niż na jawie.

2 kwietnia. Mój Boże, jak cudownie jest żyć, jak wiele ciepła i życzliwości doznaję od otoczenia! Nie znam, zupełnie nie znam złych lub nieżyczliwych ludzi – może tylko ja mam takie szczęście? Wiem z książek, że istnieją, ale we własnym życiu nie spotykam, najwyżej ci Chryczkowie, ale oni są nie tyle źli, co żałośni. Wszyscy wokół mnie wręcz ogrzewają mnie miłością. Nie mówię już o babci, o madame, o cioci Zinie; ale ci, których poznałam ostatnio – Nina Aleksandrowna, Elżbieta Georgiewna, Oleg Andriejewicz – jacyż oni są wspaniali! Oleg Andriejewicz przyszedł do nas wczoraj wieczorem – przysłała go Nina Aleksandrowna, by przekazać dla mnie wejściówkę na koncert do Capelli, który odbędzie się w środę. Oleg Andriejewicz poprosił, bym coś zagrała. Mam wrażenie, że Lela, Elżbieta Georgiewna, i Szura nie kochają i nie rozumieją tak muzyki jak Oleg Andriejewicz. Elżbieta Georgiewna i Szura nie są muzykalni, za to Lei a ma doskonały słuch, chociaż w jej reakcji na muzykę czegoś brakuje, jej sądy są jakieś banalne. Oleg Andriejewicz nie ma jeszcze sprecyzowanych upodobań, ale wydaje mi się, że to dlatego, iż w ogóle nie słuchał muzyki przez dziesięć ostatnich lat i sądzi o niej na podstawie wrażeń z dzieciństwa i wczesnej młodości. Z natury jest szalenie muzykalny, widać, że muzyka go pochłania. Nie zawsze gram chętnie, gdy mnie o to proszą, a kiedy już gram, to nie znoszę, gdy

zamiast słuchać rozmawiają – Oleg Andriejewicz zawsze słucha w skupieniu. Grając zerkałam na niego i napotykałam często jego wzrok – patrzył na mnie długo, ciepło i przenikliwie, jakby chciał odgadnąć, co kryje się w moim sercu...

3 kwietnia. Nie wiadomo dlaczego, ale jestem pewna, podpowiada mi to bezbłędnie intuicja, że nigdy nie zostanę pianistką, nie będę grała na koncertach. Wszyscy jakby się zmówili, żeby mnie zapewniać, że mam talent. Nawet mój profesor, zawsze taki surowy, podszedł do mnie niedawno, wziął mnie za podbródek i patrząc mi prosto w oczy powiedział: „Ma pani wielki talent, proszę to zapamiętać! Nie docenia pani własnych możliwości!” Talent! Cieszę się, że mam talent! Z radości aż coś zaczęło mnie dusić w gardle, lecz mimo to jestem absolutnie pewna, że nigdy nie będę sławną pianistką. Przede wszystkim niezbyt lubię publiczne występy. Obecność słuchaczy sprawia, że się denerwuję, i wtedy gram gorzej, niż mogę, a potem jestem z siebie niezadowolona. Często też się zdarza, że jakiś utwór nagle nie przypada mi do gustu. By zagrać naprawdę dobrze, potrzebuję co najmniej godziny... czy też chwili... nie wiem, może odpowiedniej atmosfery. Nie wykształciłam w sobie jeszcze zawodowej dyscypliny i coś mi podpowiada, że nie będę jej miała w przyszłości. Opanować do perfekcji sztukę gry na fortepianie – to moje marzenie, słowo „talent” brzmi jak obietnica, lecz koncerty, kariera artystyczna... jakoś jeszcze o tym nie myślałam...

5 kwietnia. Wczoraj był u nas Szura Krasnokutski ze swoją mamusią, która zechciała odwiedzić babcię. Madame Krasnokutska marzy, żebyśmy się z Szura pobrali i już robiła na ten temat do babci aluzje. Tyko po co to, skoro nawet ani trochę nie jestem w nim zakochana? Zawsze wydawało mi się, że nigdy nie potrafię pokochać słabego, bezwolnego mężczyzny, no a Szura jest właśnie taki – trochę fajtłapa, a trochę Cukier z „Błękitnego ptaka”. Wczoraj przy herbacie tak właśnie mu powiedziałam. Babcia i madame zaczęły mnie strofować, że jestem niegrzeczna, a Szura z początku się spierał, potem jednak rzekł: „Masz rację, Asiu: fajtłapa! Zgoda, podpisuję się pod tym!” – i jego okrągłe

czarne oczy spojrzały na mnie z takim poczuciem winy, że zrobiło mi się go żal. O nie, mój ukochany taki nie będzie! Na przykład Walentyn Płatonowicz – ten wcale nie jest fajtłapa: oczy śmiałe, trzyma się prosto, był na wojnie, na łyżwach pędzi jak szalony, pływa jak ryba. Ten nie straci głowy, nie zawaha się. Ale mnie się nie podoba – to nie jest dobry człowiek! Nigdy nie można z nim zwyczajnie porozmawiać, zawsze jakieś żarty lub uszczypliwości jak wtedy na schodach. Leli Walentyn Płatonowicz bardzo się podoba, bo jest ponoć szalenie dowcipny i świetnie tańczy. Ale czy to takie ważne? Ja wolę Olega Andriejewicza – jest taki miły i o wiele głębszy. Ma smutne spojrzenie, budzące niepokój. To chyba Chateaubriand powiedział, że wielka dusza mieści w sobie więcej smutku i radości niż dusza przeciętna. Gdy napotkałam ostatnio jego spojrzenie, przypominałam sobie te słowa.

6 kwietnia. Byłam wczoraj na koncercie z Olegiem Andriejewiczem i Niną Aleksandrowną. Dotąd dźwięczy mi w uszach uroczyste „Sanctus, Sanctus, Benedictus!” Próbowałam już zagrać to na fortepianie. Kilka razy wspominałam wczoraj wujka Sieriożę. W orkiestrze jego miejsce – wśród drugich skrzypiec – jest już zajęte, a jaką ogromną rozkosz sprawiłby mu ten koncert! Nina Aleksandrowną powiedziała, że fotografię wujka Sierioży nosi stale ze sobą w torebce. Głos jej brzmiał tego wieczora wręcz bosko. Ja i Oleg Andriejewicz siedzieliśmy na dostawianych krzesłach, a potem na stopniu, lecz wcale to nam nie przeszkadzało. Jest mi bardzo dobrze z Olegiem Andriejewiczem. Nie wygłasza pustych frazesów i ugrzeczniczonych słówek jak Szura i nie trenuje swego dowcipu, traktując go jako sport, jak Walentyn Płatonowicz. Rozmowa z nim jest taka, jaką lubię – rzeczowa i przemawiająca do serca: nigdy z nikogo nie drwi. Gdy odprowadzał mnie po koncercie do domu, powiedział: „Jest pani czarodziejką! Moja dusza w pani obecności wraca do życia. Znów zaczynam wierzyć we własne siły i w przyszłość. Zupełnie jakbym na siebie wkładał nowe, czyste szaty, jakbym znalazł się w cerkwi przed jutrznią”. Gdy to mówił, czułam się jak struna fortepianu, na której genialny pianista gra boski nokturn – lada chwila zerwie się z napięcia, lecz jeszcze drży, jeszcze

szłocha. Uczucie to towarzyszyło mi również we śnie – gdy się obudziłam, miałam wrażenie, że poprzedniego dnia stało się coś promiennie jasnego, tak jakbym przyjęła Komunię świętą... Nie od razu zrozumiałam, że to „Msza”, a także to, co Oleg Andriejewicz mówił o czystych szatach i odrodzeniu. Musi być bardzo wrażliwym człowiekiem, skoro tak mówi i myśli! O, jakże to przerasta drobiazgi codzienności, o ile jest bliższe memu sercu niż ugrzecznienie Szury! Wzniosie, jasno i tak smutno! Znam wartość jego słów, ktoś, kto zawsze jest taki poważny i powściągliwy, nie przesadza, nie przypochlebia się. Wiem na pewno, że słowa te płyną z głębi jego duszy. Gdyby naprawdę choć na krótko zapomniał o swym nieszczęściu! Gdybym mogła mu dać trochę mojej radości życia! Nie zbiedniałabym od tego. Przypomniał mi się ostatni akt „Kiteża” roziskrzony światłem. Całe rano przesiedziałam przy fortepianie, najpierw próbowałam zagrać fragmenty „Mszy”, potem to i owo z „Opowieści”, i w ogóle nie przygotowałam się do lekcji. Nawet odpowiadałam z roztargnieniem. Babcia spytała: „Co się dzisiaj dzieje z naszą figlarką?” A Julia Iwanowna na lekcji zrobiła mi burę za to, że jestem roztrzepana. Kiedy się spotkamy? Nic nie powiedział, a mnie nie wypadało pytać.

7 *kwietnia*. Wczoraj wieczorem przyszła Nina Aleksandrowna. Wybiegłam jej na spotkanie. Strasznie chciałam ją zobaczyć, a w dodatku myślałam, że przyszła z Olegiem Andriejewiczem; było jednak inaczej. Nina Aleksandrowna przyniosła list, który dostała od wujka Sierioży. Píše, że mieszka na peryferiach jakiejś zapadłej dziury, w chałupie, lada dzień pójdzie pracować do tajgi. Gra na skrzypcach tam nie zarobi, mimo to prosi, by wysłać mu skrzynkę z nutami, tę, którą spakował przed wyjazdem, będzie grał sam dla siebie, by nie tracić umiejętności technicznych i nie oszaleć z rozpacz. Przez cały wieczór kręciłam się koło babci i Niny Aleksandrowny. Chciałam usłyszeć jak najwięcej o wujku Sierioży, poza tym wciąż czekałam, że Nina Aleksandrowna przekaze mi kilka słów od Olega Andriejewicza, ale nic nie przekazała, za to gdy już wychodziła, całując mnie rzekła: „Czemu narusza pani spokój

tego człowieka, kochanie? Jak tak dalej będzie, to lada chwila się zakocha!” Od razu zrozumiałam, o kim mówi, i zaczerwieniłam się tak, że nie wiedziałam, gdzie się podziać. A na domiar złego starsi jakby specjalnie zaczęli na mnie patrzeć. Strasznie głupio to wyszło...

8 kwietnia. Hura! Hura! Hura! Oleg Andriejewicz przed chwilą zatelefonował, jutro bierze mnie na „Księcia Igora”. Słuchać z nim opery i znów rozmawiać! O Boże, co za radość! Jestem tak podniecona, że nic nie mogę robić. Jakiś gorączkowy promienny niepokój mnie roznosi! Nie mogę dłużej pisać!

9 kwietnia. Dzisiejszy dzień wlecze się jak ślimak! Chyba nigdy się nie skończy. Zaledwie minęła druga. Przeglądałam się przed chwilą w lustrze – istotnie, jestem bardzo ładna. No i proszę, jaka jest ta babcia: wciąż mnie przekonywała, że ze mnie brzydula! A wujek Sierioża też nie lepszy. Drażnił mnie, że jestem brzydkim kaczątkiem.

No tak, trzeba biec na lekcję z Miszą. Bardzo lubię te lekcje, ale dziś nie mam ochoty!

10 kwietnia. Wreszcie nadszedł i już minął ten niepowtarzalny wieczór! Gdy tylko skończyłam zajęcia z Miszą i wyrwałam się na wolność, jak wichur pomknęłam do domu. Babcia pozwoliła mi włożyć nową sukienkę i perełki. Patrzyłam na siebie w lustro i myślałam, że on znów na mnie spojrzy wzrokiem pełnym oddania, smutku i podziwu i znów powie, że jestem ładna, bardzo ładna... Jakaś bolesna rozkosz, jakiś lęk narastał we mnie... A madame nie dawała mi spokoju: wciąż chodziła wokół mnie, coś na mnie poprawiała, udzielała ostatnich rad, żebym, broń Boże, nie zachowała się niewłaściwie, i wciąż powtarzała: *Monsieur le prince est si distingué!*³⁸

Gdy Oleg Andriejewicz zadzwonił, pobiegłam otworzyć drzwi i z miejsca naruszyłam etykietę; dowiedziawszy się, że będziemy siedzieć w drugim rzędzie parteru i że partię Igora śpiewa Andriejew, podskoczyłam niemal do sufitu. Madame zrobiła

okropne oczy, ale babcia tylko się uśmiechnęła.

Połączenie jego obecności z muzyką to coś wprost niezwykłego – powiem szczerze! Zapamiętałam zwłaszcza pewien moment: podczas arii księcia Igora pomyślałam nagle, czy aby nie rodzi ona w jego sercu wspomnień o walkach zakończonych straszną klęską i niewolą? Odwróciłam się w jego stronę i napotkałam poważne, smutne spojrzenie. Musnął moją rękę swoją, w której trzymał lornetkę i szepnął: „Gołąbko Lado”. To dlatego, że Igor właśnie śpiewał: „Tylko ty, gołąbko Lado, sercem czułym to zrozumiesz” – wtedy zrozumiałam, że te słowa to podziękowanie za moje spojrzenie, za to, że pojęłam wszystko, co musiał przeżyć, gdy na Rosję spadło nieszczęście. Zrobiło mi się strasznie żal jego i tatusia, i wujka Sierioży, i tego oficera, którego kocha Elżbieta Georgiewna... Los rosyjskich wojskowych jest tragiczny! Zrozumiałam to jakoś inaczej, po nowemu. A potem, gdy spacerowaliśmy w holu podczas przerwy, powiedział: „W młodości, każdy z nas tworzy w marzeniach wizerunek dziewczyny, którą pokocha: chciałbym pani powiedzieć, że jest pani uosobieniem takiego wizerunku stworzonego przez moją wyobraźnię”. Niczym słodkiej muzyki słuchałam tych słów i wcale nie dlatego, że mi pochlebiały – nie jestem aż tak samolubna. Subtelne, nieuchwytnie niuansy uczuć czarują mnie niczym wzniosła tęsknota za ideałem!

11 kwietnia. Czuję się nieswojo, jestem jakaś niespokojna. Przy fortepianie nie mogę się skoncentrować, zaczynam grać fugę lub pasaż i przerywam, opuszczam głowę na pulpit i uśmiecham się nie wiadomo czemu. Albo zrywam się i biegam po pokoju... Znowu nie przygotowałam się do lekcji i Julia Iwanowna była niezadowolona już drugi raz. Czytać też nie mogę, wciąż tylko rozmyślam i wspominam. Tak, ten wieczór był cudowny, ale chcę, by takich wieczorów było jak najwięcej. Chciałabym wylatywać na spotkanie takim przeżyciom, niczym motyle do ognia świec, gdy w sierpniowe wieczory siadywaliśmy przy kolacji na werandzie, a wokół cicho szeleściły dęby i lipy. Chyba nie mogłabym żyć tylko wspomnieniami jak Elżbieta Georgiewna. A on na pewno bardzo lubi poezję. Spytał mnie, czy znam wiersz Błoka „Już nie wrócą do

mnie sny złote i wiara głęboka, nie ma dla mnie cienia nadziei”. Chyba odnosi te słowa do siebie. Bez cienia nadziei. Naprawdę? Nie chcę, by tak było. Zbyt wiele wycierpiało jego pokolenie! A przecież w młodości miał swoje „sny złote”, jeszcze dziś sieją w mej duszy niepokój, lecz nie ma ich, wyginęły, jak wczesne kwiaty od mrozu. Przyspieszona promocja w Korpusie Paziów w tysiąc dziewięćset piętnastym – i w wieku 18 lat już pod ogniem na froncie. Od tej pory cztery lata w ogniu, a potem – szpital i łagier... Jakie to straszne! Gdy z nim jestem, czuję się tak, jak przy łóżku chorego; boję się każdego nieostrożnego słowa, boję się zapytać, boję się przypomnieć. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by rozmowa, z jakimś mężczyzną, tak zapadała w serce, bym słyszała słowa, w których jest tyle prawdziwych, wielkich, męskich przeżyć. Brew i skroń ma poharatane po zranieniu; wszyscy twierdzą, że go to szpeci, ale gdy tylko spojrzę na tę wgniecioną brew, czuję, że jest mi jeszcze droższy.

12 kwietnia. Zupełnie zaniedbałam zajęcia w szkole muzycznej. Dziś znów grałam nie to, co mi zadano – jedną z etiud Chopina, harmonizującą z moim nastrojem i nuciłam: „Wszystko, co zakwitło, zniszczył mróz”. Cały dzień minął pod tym wrażeniem.

13 kwietnia. Wczoraj... widziałam go wczoraj. Bo mój dzień zaczyna się teraz od myśli: „Czy się zobaczymy?” Wieczorem nagle rozległ się dzwonek i usłyszałam w przedpokoju głos Niny Aleksandrowny. Wybiegłam, by ją powitać i z tyłu za nią zobaczyłam jego wysoką sylwetkę. Był u nas wtedy Szura, a potem przyszła Elżbieta Gieorgiewna – więc okazało się, że mamy niewielki *soirée*.

Na kolację podano tylko gotowane ziemniaki, ale wszyscy zapewniali, że są bardzo smaczne. Szura powiedział nawet, że to potrawa godna bogów. Nie pamiętam dokładnie, co się działo i co kto mówił; rozmawiałam z nim nie dłużej niż z innymi. Wszystkich traktowałam jednakowo, lecz niezależnie od tego, z kim rozmawiałam – mówiłam do niego. Każde słowo miało wielki, szczególny sens, a gdy mówił – słuchałam go, jeśli zaś w tym

momencie ktoś inny ze mną rozmawiał, wysłuchiwałam z uśmiechem i odpowiadałam, lecz najlepsza, najważniejsza część mego ja słuchała innego głosu, innych słów, więc nie przepuściłam nic z tego, co mówił. Zaczęła się ni stąd, ni z owad rozmowa o koniach, on wspomniał o swojej klaczy imieniem Westa, podobno bardzo mądrej; została ranna, gdy i jego raniono, a wtedy jego ordynans strzelił jej w ucho, żeby się nie męczyła – biedne zwierzę! Ktoś powiedział, że nadają przez radio romanse Czajkowskiego. Szura włączył głośnik i Śliwiński zaczął śpiewać „Straszną chwilę”. Olega Andriejewicza i mnie natychmiast jakby złączyła wspólna nić. Czy rzeczywiście mnie kocha? Kocha – wiem na pewno! Kocha całą duszą otwartą ku mnie, kocha głosem, ciepłym i serdecznym, kocha spojrzeniem, które tak smutno, z zadumą rwie się ku mnie. Przyszła wielka miłość – ta, na którą każdy czeka, o której każdy marzy. Mnie wydawała się ona daleką baśnią, ale oto już jest blisko, stuka do drzwi! Jakie to dziwne! Madame zawsze nazywała mnie Kopciuszkiem i od dzieciństwa zapewniała, że przyjdzie do mnie mój książę. Więc teraz za każdym razem, gdy mówi o nim *Monsieur le prince*, mam wrażenie, że to nitka z bajki i że właśnie on jest tym księciem. W bajkach książę czasem ukrywa się pod postacią niedźwiedzia, a przecież mnie, być może, będzie sądzone zobaczyć go wyzutego z bogactwa, blasku i tytułu. Co będzie dalej? Gdybym tak mogła uchylić nieco rąbka tajemniczej zasłony i zobaczyć moją przyszłość!

13 kwietnia. Wieczór. Przed chwilą rozmawiałam z nim przez telefon. W niedzielę pójdziemy do Ermitażu; ma wolny czas w niedzielę, a nie w ten głupi piątek, bo pracuje w porcie. No a jutro wieczorem postanowiliśmy pojechać do Carskiego Sioła. We dwoje, jak zauważyłam, zawsze rozmawia się najlepiej, ale babcia nie chciała puścić nas samych, zmusiła, żeby jechać całą grupą, i nawet zaprosiła Lełę i Szurę.

14 kwietnia. Czekam na Olega Andriejewicza. Zaraz powinien po mnie przyjść. Kończy pracę o piątej. Szkoda, tak mało zostaje czasu na spacer! Babcia każe nie później niż o jedenastej wracać do domu. Dzień jest dziś cudowny, słoneczny –

w tym roku wiosna przyszła wcześniej. Moja jesionka jest stara i kusa, kapelusz bez piórka też za mały – wyglądam jak Kopciuszek. Rękawiczek nie mam. Stare, fildekosowe, pogryźl szczeniak. Chciałam w ogóle jechać bez rękawiczek, ale madame zrobiła „burzę w szklance wody”. Zaczęła z pasją zapewniać, że lepiej bym w ogóle nie jechała, niż miała się pokazać bez rękawiczek, bo to w bardzo złym tonie, i mogę naturalnie iść, ale tylko po jej trupie. Odpowiedziałam, że gdybym była nawet w łachmanach, też bym pojechała, Oleg Andriejewicz nie zwróci uwagi na takie głupstwa, sam zresztą jest ubrany nie lepiej ode mnie. Wtedy madame rzuciła się na mnie; zdaje się, że i jej Oleg Andriejewicz nie jest obojętny. Zrobił się taki zgiełk, że babcia wyszła, by nas rozdzielić. Od razu kazała zdjąć z szafy jedno ze starych kartonowych pudeł, poszperała w nim i wyciągnęła parę nie nowych, lecz jeszcze całych skórkowych rękawiczek. Przy tym powiedziała: „Zły ton to coś znacznie gorszego niż łachmany, Asiu. W łachmanach można wyglądać szlachetnie, a gdy się jest wulgarnym – nigdy!” Teraz, gdy mam rękawiczki, chyba się z tym zgadzam! Leżą jak ulał, ręce w nich wydają się mniejsze. Zaraz powinien przyjść Oleg Andriejewicz. Co pięć minut przeglądam się w lustrze. O Boże, cóż to za wspaniała rzecz – Miłość!

15 kwietnia. SAMA! GO! POCAŁOWAŁAM! A niby co mam ze sobą robić? Gdyby tak babcia wiedziała, że już dwa razy się całowałam i dwa razy na schodach! I dlaczego coś takiego zawsze przytrafia się mnie, nie tak jak wszystkim innym. Ale gdyby TRZEBA BYŁO ZACZAĆ OD POCZĄTKU, zrobiłabym to samo, i nawet w myślach nie chcę wziąć z powrotem tego pocałunku.

Weszliśmy do parku Jekatierńskiego i wkrótce byliśmy nad jeziorem, naprzeciwko kolumny Czesmeńskiej. Było cudownie, woda nieruchoma, różowa od zachodzącego słońca, na drzewach pąki, cisza... My też zamilkliśmy. I nagle ktoś zaczął śpiewać. Głos był nieco zużyty, lecz piękny i czysty, a maniera śpiewania dziwna – artyści tak nie śpiewają. Pieśń nie znana, pełna smutku. Zapamiętałam tylko niektóre słowa: „Jestem bandyta, chuliganem, synem ulicy. I kochać mnie nie można”. Śpiewał mężczyzna siedzący samotnie na pobliskiej ławce, rozwalony w

niedbalej pozie. Włosy miał rozwichrzone, czapkę na bakier, koszulę rozchełstaną. Szura obejrzał się na niego i powiedział: „Chodźmy stąd. Po co mamy słuchać tej chuligańskiej liryki?”. A Oleg Andriejewicz dodał: „Słyszałem często tę piosenkę w łagrze, lubili ją śpiewać kryminaliści”. Już mieliśmy iść, lecz Leli oderwał się obcas, musiała zdjąć pantofel. Szura usiłował przybić gwóźdź kamieniem, a tymczasem obcy mężczyzna znów zaczął śpiewać, znów z ogromnym smutkiem – w tym smutku był jakiś artyzm! Trzeba wcale nie mieć uszu, by taki śpiew nazywać chuligańskim! „Kochaj mnie, dziewczyno, pókim na wolności! Pókim na wolności – jestem twój! A gdy mnie schwytają, gdy mnie rozstrzelają, będzie twym kochankiem kumpel mój!” Oleg Andriejewicz wiązał w owej chwili *bouquet* z topoli i wierzby dla mnie i nagle nasze oczy spotkały się... Schwycił moją rękę i ścisnął ją... Lela i Szura nie mogli tego widzieć, zajęci byli pantoflem. Już w następnej sekundzie wypuścił moją rękę, ale zrozumiałam, o czym myśli. Lela wkładając pantofel spytała: co to znaczy „kumpel”? Oleg Andriejewicz wyjaśnił, że to słowo chuligańskie i znaczy „przyjaciel”. Wówczas zaproponowałam, mówiąc, że przyjaciel nie ożeni się z narzeczoną bliskiego sobie człowieka, którego spotkało nieszczęście. Zdawało mi się, że Oleg i Szura spojrzeli po sobie, a ja natychmiast umilkłam, by nie palnąć głupstwa. Wyszliśmy z parku. Spróbowałam protestować, przekonywałam, że trzeba podejść do tego człowieka, przekonać go, że ma talent i że powinien wstąpić do konserwatorium, a nie chodzić z siekierą, ale obaj panowie sprzeciwili się: „To chuligan, bezczelny typ! Nie pozwolimy ci!” Wysłuchawszy ich rzekłam, że przecież Pismo Święte mówi: „Duch Święty jest tam, gdzie chce!” Zapomnieliście? Musiałam ustąpić, ale już nie mogłam być wesółą. Ta pieśń i spojrzenie Olega Andriejewicza wypełniały moją duszę, cieszyłam się, że niosę gałęzie topoli i mogę ukryć w nich twarz. Wokół Arsenалу było przepięknie – krzewy czeremchy i olszyny pokrywały różowe pąki, ale mnie ogarniał coraz większy smutek. Chciałam wziąć Olega za rękę i powiedzieć mu coś miłego, pocieszającego, coś od serca, lecz nie wiadomo czemu, nie miałam śmiałości. Ileż cudownych słów do mnie mówi, a wszystkie zostają

bez odpowiedzi. Wciąż milczę jak ryba, jestem zimna jak sople lodu! Moja dusza pełna jest niby kielich, lecz wszystko pozostaje w głębi, wewnątrz, słowa zamierają na ustach. Gdy szukając pierwszych kwiatów podbiału weszliśmy między krzewy, zbliżył się do mnie i spytał: „Dlaczego nasza wróżka jest taka smutna?” Odpowiedziałam: „Nie chcę, by pan sądził, że nie spotka go już nic dobrego w przyszłości!” A on na to: „Wiem, że pani serce jest wrażliwe i niczym harfa Eola reaguje na cudzy smutek. Życie zadało mi wiele ran. Gdybym teraz utracił światło, co «rozjaśnia dni me ostatnie, smutku pełne», byłby to dla mnie zbyt wielki cios. Nawet sobie pani nie wyobraża tkliwej czułości, żywionej przeze mnie, człowieka, który przeszedł przez ogień i wodę, dla pani smukłej jak harfa Eola i czystej jak kryształ. Tylko ona może sprawić, że się narodzę na nowo”. A ja na takie słowa znów nic nie odpowiedziałam! Znów jakaś powściągliwość zamykała mi usta! Czułam, że osnuwa nas coś wielkiego, pochłaniającego, skąd wypływają fale smutku, miłości i światła. Stałam speszona... Ja, zawsze tak żywo reagująca na wszystko, milczałam, choć moje uczucia niemal sprawiały mi ból! Przyszedł Szura i przypomniał, że obiecał babci powrót przed jedenastą. Skierowaliśmy się do wyjścia z parku, i dopiero gdy już wróciliśmy do miasta i w obecności Leli i Szury pożegnaliśmy się w bramie naszego domu, dopiero wtedy nagle zrozumiałam, że nie mogę się z nim rozstać nie pocieszywszy go. W tej właśnie chwili zawołał z dołu, że zapomniałam zabrać gałązki wierzby, i pobiegł za mną na górę po schodach. A wówczas, od napływu zatapiających mnie uczuć rzuciłam mu się na szyję i pocałowałam, po czym równie szybko uciekłam na górę. Strasznie się teraz boję, że uzna mnie za głupiutką lub źle wychowaną. Nie wiem, co teraz będzie i jak się spotkamy. Wydaje mi się, że doszliśmy do końca, teraz już nic nie zatrzyma nas w biegu ku sobie. Jest późno, a mnie nie chce się spać. Wciąż myślę o tym samym!

Dziennik Elżbietki

29 marca. Co chwila zalewa mnie ocean mojej miłości. Jest w

nim mnóstwo głębi i tysiące głupstw. Doprowadza mnie do szaleństwa gorycz jego intonacji i wytworność gestów, ale wiem równocześnie, że kocham go nie za wygląd, bo gdyby był zeszpecony i okaleczony, kochałabym go równie gorąco. O moja miłości – głęboko skryta, utajona... Całymi latami pełna byłaś łez, a teraz ofiarowałabym ci całe moje życie.

2 kwietnia. Od tej pory jestem jak w słodkim czadzie: „Najbardziej podoba mi się Elżbieta Georgiewna”. Cóż, że była to tylko zabawa, ale zabawa „w prawdę”.

3 kwietnia. Te dziewczęta – Asia i Lela... Mają w sobie zbyt wiele niedzisiejszych cech, jakieś dziedzictwo salonów! Żadnej idei, żadnego życia intelektualnego, tylko przekonanie, że ich uroda jest zniewalająca. Asia trzepocze rzęsami i patrzy z ukosa, to u niej naturalne – nie mizdrzy się (babcia natychmiast zwalczyłaby mizdrzenie). Tak samo Lela z jej kapryśną manierą zarzucania głowy i wydymania usteczek. Jestem pewna, że wynika to z ich kobiecego instynktu. Ale mądry mężczyzna ceni w kobiecie przede wszystkim wiarę w ideały i bohaterstwo, cechy zawsze właściwe Rosjankom...

4 kwietnia. Gdy odprowadzał mnie do domu po wieczorku, z początku szliśmy wszyscy razem i dopiero stopniowo się rozchodziliśmy w różne strony. Walentyn Płatonowicz chciał widocznie porozmawiać z moim Olegiem. Na pewno mają wiele wspólnych wspomnień, ale w mojej obecności nie zaczęli poważnej rozmowy, tylko wymienili adresy. Frołowski to również typ dawnego oficera, lecz nie ma w nim nawet śladu bajronicznego odcienia, który tak mnie czaruje w Olegu. Rozstaliśmy się z Walentynem Płatonowiczem w pobliżu mojego domu i z Olegiem sam na sam rozmawiałam krótko. Spytałam, czy spotyka się ze swoim ordynansem. „To jedna z bolesnych dla mnie spraw” – powiedział. Człowiek, który dwukrotnie ocalił mi życie, który ucierpiał przeze mnie. Opuściłem szpital, gdy tylko mogłem utrzymać się na nogach, żeby mnie nie rozpoznali. Wasilij znalazł opuszczoną chatę rybacką i tam mnie ukrywał, a sam pracował jako przewoźnik na przystani, przynosił mi chleb i ryby.

Pierwszy i jedyny raz, gdy pragnąc wypróbować siły, wyszedłem sam z chaty i z trudem dowlokłem się do budki, w której sprzedawano chleb, zobaczyłem znajomego pułkownika. W podartej roboczej kurtce stał przy tej budce czekając bez cienia nadziei, że ktoś da mu chleba. Niech mnie pani zrozumie, nie mogłem przejść obok kogoś, kto bywał w domu mojego ojca, a teraz znalazł się w jeszcze gorszej sytuacji niż ja sam; przyprowadziłem go do naszej chaty. Spotkanie okazało się pechowe – widocznie go śledzono – tej samej nocy wpadli do nas czekiści. Gdy wreszcie wyszedłem z obozu i zamieszkałem u Niny Aleksandrowny, napisałem Wasilijowi do jego rodzinnej wsi i podpisałem się: »twój przyjaciel, szeregowy Kazarinow«. Nie mógł zapomnieć tego nazwiska, z obozu powinien wyjść wcześniej niż ja – dali mu trzy lata – a jednak nie odpowiedział, nie odpisał ani na ten list, ani na następny, dlaczego – nie wiem!” Ta krótka rozmowa zraniła mi serce, przypomniała koszmar tamtych dni. Mój Boże, co się wtedy działo!

5 kwietnia. Bolszewicy milczą o tym, co zrobili na Krymie, chyba mają nadzieję, że wszystko pójdzie w niepamięć, a Europa nigdy się nie dowie o ich zbrodniach! Nic z tego! Znajdą się ludzie, którzy pamiętają i nie wybaczą! I kiedyś napiszą, opowiedzą, będą głośno krzyczeć o potwornej, diabelskiej nienawiści, z jaką rozprawiano się z pokonanymi. By wyłowić białogwardzistów, którzy ocaleli podczas pierwszej, krwawej rozprawy (zaraz po zdobyciu miasta), władza sowiecka ogłosiła amnestię dla tych białych oficerów, którzy zgłoszą się dobrowolnie na rejestrację. Bardzo wielu z nich zeszło przecież do podziemia, ukrywało się w cudzych mieszkaniach, szopach i norach w mieście oraz okolicy. Wielu, tak jak mój Oleg, zdobyło żołnierskie papiery – wielu ocalał chemik Chołodnyj – w majątku Prewa za miastem zorganizował wytwórnnię fałszywych dokumentów. Któregoś dnia wpadli nagle do niego z rewizją, lecz jeden z domowników zdążył narzucić szmatę na miednicę, w której mokły dowody osobiste, a czekiści nie zainteresowali się brudną bielizną. Swoimi dowodami ten wspaniały człowiek ocalał mnóstwo ludzi.

Zarządzona przez czekistów rejestracja miała na celu

wyłowienie tych, którzy się im wyślizgnęli. Nigdy nie zapomnę tego dnia! Z naszych okien było widać budynek, w którym miała się odbywać rejestracja. Stałyśmy z ciocią przy oknie i patrzyłyśmy, jak napływali tam ranni i chorzy, zmaltretowani oficerowie – w roboczych kurtkach, w znoszonych szynelach, wielu jeszcze w bandażach! Nasz znajomy, stary dzielny generał zjawił się kulejąc w towarzystwie dwóch synów – oficerów. Moja ciocia powiedziała: „Oj, to się dobrze nie skończy! I rzeczywiście, gdy tylko zapełniły się sale, dziedziniec i schody, nagle zamknięto bramę i drzwi, wychyły nie wiadomo skąd ukryte gdzieś oddziały CzeKa, otoczyły budynek (hotel w pobliżu dworca). Pamiętam, jak szlochała moja koleżanka ze Smolnego, która odprowadziła tam narzeczonego, ojca i brata ciesząc się, że doczekali amnestii! Nasi oficerowie byli zbyt ufni, przywykli mieć do czynienia z władzą carską, zapewne niemądra, krótkowzroczną, lekkomyślną, lecz wychowaną na rycerskich tradycjach. Kto mścił się na zwyciężonych? Gdy padł Plewen, rannego sultana wsadzono do powozu i przysłano mu rosyjskiego chirurga. A Szamil? Jego synów przyjęto do Korpusu Paziów i dopuszczono na dwór. W nietolerancyjności bolszewików jest coś azjatyckiego! Żadnego szacunku dla przeciwnika, ani krztyny wielkoduszności, nigdy, nigdzie! Spoza tych wrót – tam, w Teodozji – nie wyszedł ani jeden człowiek!

Dziś przez cały dzień wyobrażam sobie Olega w tamtej ciemnej chacie, na słomie. Nikt nie przewiązywał ran, nikt go nie pielęgnował. A tak potrzebował mojej pomocy, był tak blisko... Płakałam nad nim w tamtych dniach od rana do nocy... Pan Bóg dobrze wie, że gdybym wiedziała, gdzie go szukać, poszłabym, nie zlekłabym się, ale nie wiedziałam, nie wiedziałam! Pewnie tak było sądzone!

Pułkownik, który czeka na jałmużnę, lecz nie śmie prosić... Rozumiał, że się naraża wychodząc z ukrycia, ale głód... O wszystkim zdecydował głód! Dobrze, że nikt nie może zajrzeć do ludzkiej czaszki, nikt nie zobaczy moich myśli i tej niepoohamowanej, wściekłej nienawiści, która ściska mi gardło. Czy ta nienawiść nie zaowocuje?

Nie spałam dziś całą noc pod naporem tych myśli. Bez końca wyobrażałam sobie nasze spotkanie w chatce. Zbliżam się, rozglądam... Wchodzę do środka i wołam go cicho. Unosi się z legowiska. Wyobrażałam sobie nawet ten gest. Ostrożnie zmieniam opatrunek, tak ostrożnie, że nie czuje bólu. Kładzie mi głowę na piersi... Czuję, że ma zimne ręce i otulam go moim płaszczem. Przy każdym szczególe zamierałam, chciałam w nieskończoność przedłużyć chwilę. Całą moją prawdziwą, żywą miłość wkładałam w to, co się nie zdarzyło, co było tylko tworem mojej wyobraźni. Czy dowie się kiedyś, że go kocham? Minie sporo czasu, będzie jeszcze wiele spotkań i gdy wreszcie powie mi, że mnie pokochał, wtedy odpowiem „I ja kocham, kocham od dawna!”, lecz do tych skrytych marzeń, do tego, że nie sypiam całymi nocami wyobrażając sobie, że jest ranny i ścigany, do tego, że kocham nawet barwę jego głosu, jego gesty – do tego nigdy się nie przyznam. To umrze razem ze mną. A przecież są natury skrajnie odmienne – które nie czując nawet setnej części tego, co ja, znajdują całe strumienie słów, by to wyrazić!

7 kwietnia. On jest pierwszy, a zarazem ostatni! Nic nie zachwieje teraz mojego przekonania, że spotkanie, które nastąpiło po takiej próbie wierności, ma w sobie jakąś tajemnicę, coś znaczy! Niczym blada gwiazdeczka migocze do mnie z oddali nadzieja, że wiąże się to w jakiś sposób z wyzwoleniem i ocaleniem ojczyzny. Chcę, żeby tak było! Oby się tak stało!

10 kwietnia. Widziałam go – spotkałam u Asi. Gdy po herbacie odprowadzał mnie do domu, spytałam, za co dostał Krzyż Świętego Jerzego. Odpowiedział: „Za sześć szaleńczych ataków, do których poprowadziłem moich dzielnych zuchów”. Ale jak to było, nie opowiedział mi.

11 kwietnia. Miłość spogląda jasnymi, otwartymi oczyma, choć podobno jest ślepa. Wiem, że to właśnie ja poznaję jego osobowość ze wszystkimi, najdrobniejszymi nawet niuansami. Ponieważ kocham, jeden gest lub jedno słowo otwiera mi dostęp do tajników jego duszy, pozwala wytłumaczyć najsubtelniejsze jej drgania. Idealizuję ukochanego? Nie, skądże! To miłość, właśnie

miłość uchyla zasłonę, pozwala dojrzeć samo dno innej duszy.

12 kwietnia. Wydało mi się... Och, jakże to bolesne! Wydało mi się... Przed chwilą wróciłam od pań Bołogowskich. Był tam... znowu tam był. Zauważyłam, że patrzy na Asie długo i jakoś szczególnie. Uśmiechali się do siebie jak ludzie, których coś łączy, jakby rozumieli się nawzajem bez słów. Potem, gdy nadawali przez radio „Straszną chwilę”, spojrzeli na siebie, ona speszyła się, a on się do niej uśmiechnął. Ja byłam obca, nikomu niepotrzebna... O tak – miłość spogląda jasnymi, niezaślepienymi oczyma, więc zobaczyłam wyraźnie, całkiem wyraźnie, że są w sobie zakochani! Nie wiem, jak moja ręka potrafiła napisać te słowa, ale to przecież prawda!

13 kwietnia. Mój Boże, czyżby to była prawda?

14 kwietnia. Gdybyż choć cień wątpliwości pozostał, lecz wątpliwości nie ma. Wspominam jeszcze słowa, potwierdzające to, co odkryłam. Przypadkowo podczas rozmowy przy stole ktoś wspomniał, że rzadko się teraz spotyka twarze nie tyle nawet szlachetne co pocziwe. Takie, jakie miewali dawniej nasi chłopci: patriarchalnie szlachetne, o wysokich czołach i regularnych rysach, z bujnymi brodami – niczym na ikonach. Teraz twarze takie mają jeszcze czasem starzy ludzie, twarze młodych zżera degeneracja. Potem zaczęto mówić o twarzach kobiet, wtedy on powiedział: „Piękne kobiety, być może, są, lecz subtelnych nie ma. Nie wiem, jak innym, ale mnie zbyt natrętna uroda często wydaje się wulgarna. Podoba mi się w kobietach uduchowienie, subtelność, czułość!” Spojrzał szybko na Asie, a ona natychmiast opuściła rzęsy. Wie doskonale, że są gęste i długie, wykorzystuje każdą okazję, by je pokazać. Natura wyposażyła ją zbyt hojnie. Czy ja nie mogłabym mieć przynajmniej takich rzęs, które, jak widać, wystarczają, by doprowadzać mężczyzn do szaleństwa? Nigdy nikogo nie chciałam uwodzić, nie zazdrościłam nikomu urody, lecz teraz... Teraz jakby mi ktoś zadał trucizny... Poczucie krzywdy i zawiść gotują się we mnie... Przywykłam zawsze mówić samej sobie prawdę i rozumiem to.

15 kwietnia. Podczas gdy ja wspominałam i marzyłam, ta

panienka potrafiła go zdobyć, szybko i zręcznie owinęła go sobie wokół palca. A więc jest taka! Mnie, która nie ma nic, odebrać jedyny skarb!

17 kwietnia. A zatem nie mnie jest sądzone koić jego rozpacz, strzec go dla ojczyzny, podsycać w nim myśl o jej zbawieniu, przywracać mu siły? „Ci, którzy są tego godni, niech wnikną do królestwa twego, Panie!” Może moja pycha nie ma granic, lecz sądziłam, że zasłużyłam sobie na tę misję, okupiłam ją cierpieniem – ja, z moją rozpaczą nad tragedią ojczyzny, ja, która niczym ikona Matki Boskiej Bolesciwej wchłaniałam wszystkie dokoła nieszczęścia, ja, a nie ona – to roześmiane dziecko niefrasobliwe niczym motylek – ona jeszcze nic nie przeżyła, nic nie rozumie. Nasze ideowe pokrewieństwo i to, co przeżyliśmy dotąd razem – wszystko to jest dla niego błahostką w porównaniu z jej fizycznym urokiem! To potworne zniekształcenie boskiej myśli, to jakiś straszny błąd! To... Nie mogę uwierzyć! Jeśli tak będzie, przemienię się chyba w drzewo lub w kamień. Nie wiem, jak teraz będę żyć.

Rozdział dwudziesty trzeci

– Proszę mówić, panno Asiu, słucham, co mi pani chciała powiedzieć?

Długie rzęsy opadły pod spojrzeniem Elżbietki.

– To bardzo trudne! Zanim tu do pani przybiegłam, przepłakałam całą noc.

Brwi Elżbietki zmarszczyły się:

– Proszę mówić, ale szczerze – tylko taka forma rozmowy jest dla mnie do przyjęcia. Czy coś się stało?

– Nie, nic, tylko... – rzęsy uniosły się i opadły.

– Zapewniam panią, panno Asiu, mnie można powiedzieć wszystko!

Rzęsy znów się uniosły:

– Bo widzi pani, ja nienawidzę pazerności... Tam, gdzie się ona pojawia, nie ma już miejsca na nic pięknego... Każdy chwyta dla siebie, odpycha innych... To obrzydliwe!

– Zgadzam się z panią. Ale pazerność tkwi w człowieku bardzo głęboko, jej formy są różnorodne...

– Ale wszystkie jednakowo wstrętne – przerwała Asia. – Chwytać... Wrywać... Nie chcę, żeby tak było w moim życiu. – Zamilkła, jakby ją coś ścisnęło za gardło.

– Więc co dalej? – cicho spytała Elżbietka, już domyślając się, co będzie dalej.

Asia jakby straciła dech w piersiach.

– Oleg Andriejewicz mówi do mnie tak cudownie, więc ja... Wydaje mi się, że on... że my... Proszę mi powiedzieć, czy Oleg Andriejewicz nie jest tym oficerem, który...? Proszę powiedzieć prawdę! Jeśli to on – odmówię mu, powiem, że nie, że nigdy! Pani ocaliła mu życie, poznała go wcześniej niż ja! Jest pani drogi. Za

nic nie chciałabym pani... kogoś odebrać.

Zapadła cisza. Tykał tylko budzik. Elżbietka nie patrzyła na Asie, lecz gdzieś w okno. Minęło kilka minut.

– Głupie dziecko! – rozległ się jej głos. – Skąd mogła pani przyjść do głowy podobna fantazja? Mówiłam przecież, że tego, którego kochałam, zabito uderzeniem pałki lub kolby...

– Tak, mówiła pani, ale przecież... Oleg Andriejewicz też leżał na sali, którą się pani opiekowała, i wszyscy myśleli, że zginął... Pani również mogła myśleć, że nie żyje, a on się odnalazł... Gdy czytałam jeszcze w marcu pani dziennik, wydało mi się, że pisze pani o swym ukochanym jak o kimś, kto żyje – nie tak, jak mi to pani opowiadała za pierwszym razem. A dziś, nocą, nagle przyszło mi do głowy, że może to on jest tym oficerem? Znow zapadła cisza.

– Nie on. Ten, którego kochałam, nie zmartwychwstał. Ja nie mam szczęścia w życiu – dla mnie cud nie nastąpi. No, a gdyby to nawet był on – w głosie Elżbietki zabrzmiała nuta ironii – co mogłaby pani zmienić w biegu spraw? Czy potrafiłaby go pani zmusić, by zakochał się we mnie, zamiast w pani? To by go tylko unieszczęśliwiło. Byłoby to co najmniej głupie, panno Asiu. Odzwyczaiłam się od myśli o zamażpójściu, żywię wstręt do mężczyzn. Nie potrzebuję żadnych poświęceń, może pani spokojnie cieszyć się życiem.

Asia uniosła rzęsy – na ich końcach drżały łzy.

– Jest pani dla mnie taka surowa... Dlaczego? Proszę nie myśleć, że tak sobie tylko plotę, ja naprawdę z nim zerwę, jeśli...

Po raz trzeci nastąpiła pauza.

– Ale ponieważ to nie on, zerwanie nie ma sensu. Proszę nie rozdrapywać moich ran. Wydało się pani dziwne to, że leżał na tej samej sali? Byłoby jeszcze dziwniejsze, gdyby ocalał tylko ten „mój”, nikt poza nim.

– No tak, rzeczywiście! Sama nie wiem, dlaczego sobie nagle wyobraziłam... Proszę mi wybaczyć, Elżbieto Gieorgiewno, że tak panią zdenerwowałam. Jest pani taka dobra dla mnie i dla babci.

– Już się pani oświadczył?

– Nie – odpowiedziała Asia szeptem.

– Wyznał, że panią kocha?

– Tak... Wczoraj jeździliśmy do Carskiego Sioła... Byłam szczęśliwa! Taka szczęśliwa!

– Niech pani nie będzie lekkomyślna, panno Asiu. Jeśli zdecyduje się pani wyjść za Olega Andriejewicza, musi pani myśleć nie o sobie, lecz o nim. Nic nie wskazuje na to, że zapewni pani dobrobyt i przyjemne życie. Nie można patrzeć na świat przez różowe okulary. Jego zmyślane nazwisko, ankieta, stan zdrowia... Może być mnóstwo komplikacji. Trzeba wszystko rozważyć, by nie robić mu później wyrzutów, bo to takie żalosne, babskie. To bardzo dumny człowiek, lecz ma zszarpane nerwy.

Asia przyłożyła palec do ust, tak jakby chciała powiedzieć: „Nie trzeba słów”. Rzuciła się Elżbietce na szyję, po czym uciekła... Pachniała świeżością jak gałąź bzu lub młoda brzoźka.

„A więc to tak! Cała jego męska namiętność – dla niej! A dla mnie... dla mnie przyjaźń w ciężkich chwilach, nic ponadto! Teraz już nie wspomina, jak szukał mojej ręki – po co wspominać?” Przez chwilę wyobraziła sobie zakrwawione tampony, wyjmowane z jego ran, na których widok zieleniało jej w oczach... „Wtedy był ból, gorączka, maligna, rozpacz. Wówczas ja byłam potrzebna. A do szczęścia, do całowania – inna, ładniutka. Wszyscy mężczyźni są zmyślowi. Ona jest młoda, miła, kobieca, marzy o dziecku... Dostanie to na pewno! Dostanie wszystko, lecz czy starczy jej ofiarności, czułości, poświęcenia? Czyż mając osiemnaście lat może zrozumieć, jak bardzo jest zmęczony i zgnębiony? Oby tylko nie oderwała go od myśli o Ojczyźnie! Oplącze go pajęczą siecią domowego ogniska. Ze mną byłoby inaczej, zupełnie inaczej!” Elżbietka wstała i podeszła do lustra. Przyjrzała się sobie uważnie. Powinna wyglądać inaczej, całkiem inaczej! To błąd, to nieporozumienie! Nie ma w życiu sprawiedliwości – stój teraz i patrz, jak szczęście przechodzi obok, jest tuż-tuż, lecz cię omija... Omija! Z rozpaczony tylko wal głową o ścianę, do starości jeszcze tak

daleko! Ile jeszcze będzie letnich wieczorów i księżycowych nocy, które swym nieproszonym, zbędnym urokiem będą wołać na cały głos: „Ty też mogłabyś być szczęśliwa!”

Do drzwi zastukała Anastazja Aleksiejewna.

– Elżbieto Georgiewno, przepraszam, że znów pcham się bez zaproszenia. Ale mam do pani sprawę, kochana.

– Co takiego? – Elżbietka wciąż stała w drzwiach i nie zapraszała gościa do środka. Okropna ta jej natrętność! Niby jaką może mieć sprawę? Chce pluć i łapać czy cerować skarpetki? Rozpacz, śmiertelna rozpacz! Widać ją wszędzie: w czystości i porządku zbyt dobrze znanego Elżbietce pokoju wyszorowanego niczym kuchnia holenderskiej gospodyni; w samotnej filiżance mocnej herbaty, której nie dopiła, bo przyszła Asia; w tomiku Błoka, który przeżarł jej duszę marzeniami; w białym fartuchu pielęgniarki przypominającym szpital; głównie zaś w portrecie matki, która dała jej swoje inteligentne, lecz nieładne rysy, choć sama mimo to była szczęśliwa. Zresztą, portret wcale nie jest winny – najwięcej smutku roztacza flakon na toaletce z resztkami perfum „Fiołek parmeński”. Anastazja Aleksiejewna nie mogła się zdecydować:

– Pomyślałam, że trzeba powiedzieć... znowu... ten... no, jak mu tam... Takie arystokratyczne nazwisko... Daszków, porucznik.

– Po co pani szarga to nazwisko!? – wybuchła Elżbietka. – Prosiłam, by je pani zapomniała.

– Wiem, wiem, kochana! Niech się pani nie gniewa i pozwoli opowiedzieć. Przecież to dla pani się staram, jak mnie pani wysłucha, to jeszcze pochwali. Och, zbrakło mi tchu, zmęczyłam się! Pozwoli pani, że usiądę?

Skonfundowana Elżbietka spieszenie posadziła Anastazję Aleksiejewną na krześle i przymknęła drzwi.

– Dziwna sprawa! – zaczęła tamta. – Wydaje mi się, że ten gwardzista Daszków żyje. Może i pani coś wie, ale nie mówi?

– Jak to żyje? Skąd pani to do głowy przyszło? – Elżbietka

już wzięła się w karby i miała się na baczności. – Proszę mówić, mówić wszystko, co pani wie!

– Bo widzi pani, wczoraj przyszedł do mnie mąż. Nie w godzinach pracy, Elżbieto Georgiewno, i taki był miły. Pogadał o tym i owym, a potem zaczął wypytywać o porucznika. Widzę, że chce niepostrzeżenie coś ze mnie wyciągnąć, tańczy koło mnie niby kocur. Myśli pewno, że jestem głupia jak but, ale ja, choć mam padaczkę, od razu się domyśliłam, że tylko po to raczył się zjawić.

– A o co pytał? – dygocząc mimo woli spytała Elżbietka.

– Zaczął od pytania, czy rzeczywiście tamten miał dwie rany. Niepostrzeżenie tak mnie podszedł – nie pamiętasz, pyta, czy były jakieś ciężkie przypadki? No i udało mu się, przytaknęłam, ale natychmiast nadstawiłam uszu. Chciał szczegółów: imię i nazwisko, brunet czy blondyn, czy naprawdę przystojny i gdzie znajdowała się rana. To, powiada, chory z twojej sali, my, lekarze, od rana do wieczora siedzieliśmy w gabinecie robiąc opatrunki lub na sali operacyjnej. Widzieliśmy wszystko jak w kalejdoskopie – wciąż nosze i nosze... Kto by tam zapamiętał każdego z osobna! Ale ty, powiada, musisz pamiętać – leżał długo, kręciłaś się koło niego strasznie długo! I dla pani wzięłam ten grzech na swoje sumienie – nakłamałam mu! Powiedziałam, że porucznik był ranny nie tylko w skroń, lecz i w prawą rękę, z włosami też go zmyliłam – zapewniłam, że był rudawym blondynem, a to przecież ciemny szatyn. No a jak miał na imię, bo imienia jego ojca naprawdę nie pamiętam. Potem mąż przyczepił się do mnie, czy aby na pewno widziałam Daszkowa w szpitalu Ofiar Rewolucji. Może to było, powiada, u Wodniaków (bo w tych mniej więcej dniach miałam tam zastępstwo). Było mi to na rękę: u Wodniaków, odpowiadam, u Wodniaków! Specjalnie opisałam mu korytarze i drzwi wyjściowe w szpitalu wodniakowskim.

– Uwierzył?

– Uwierzył we wszystko, miał tylko wątpliwości, jak to było z tą raną. Chyba, powiada, coś ci się pomyliło! Pamiętam, powiada,

że z trudem chwycił oddech – zranione było płuco. Ale ja i z tego wybrnęłam: nie, mówię, z trudem oddychał Malinin, podpułkownik, leżał obok. Wszystko się mężowi poplątało, zaczął chodzić po pokoju... Potem mówi: „Słuchaj, spotykasz się z siostrą Muromcewą. Zrób tak, bym mógł z nią porozmawiać, zaproś ją do siebie i uprzedź mnie o tym. Wypytałbym ją niepostrzeżenie. Niezbyt ufam twojej pamięci. Muszę – powiada – w referacie naukowym opisać ranę płuc z interwencją operacyjną – ale brak mi nazwiska. Załatw mi to, tylko jej ani mru-mru – naprowadzisz ją na to, co sama myślisz, a dla mnie ważne jest jej pierwsze słowo – świeży ślad w pamięci, jasne?” „Jasne” – powiadam, a sama, gdy tylko wyszedł, pobiegłam do pani. Gdyby wiedział, że to pani opowiedziałam, pewno by mnie sprął!

– Nie może wiedzieć i nie dowie się – z mocą powiedziała Elżbietka. – Dziękuję, moja droga. Przyjdę do pani już jutro. Postaram się być miła, powiem mu to samo, co pani.

Pomylenie go z Malininem to świetny pomysł, tylko proszę już się tego trzymać, nie zawieść mnie! Może zechce nas sprawdzić pytając o szczegóły kliniczne, o tym, kiedy chory wyszedł ze szpitala. Wszystko, co przypomni sobie pani o Malininie, proszę przypisywać Daszkowowi i odwrotnie. Niech pani się nie pomyli, bardzo proszę! – Elżbietka nerwowo krążyła po pokoju.

– Pomylić nie pomyle, lecz chciałam spytać... A więc Daszków żyje, skoro go ścigają?

Elżbietka milczała zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Wszystko chyba świadczy o tym, że żyje – domyślała się Anastazja Aleksiejewna – i rozumiem już, że jest pani bliski. Może to narzeczony?

Czerwone oczy ciekawie śledziły Elżbietkę. Ona zaś w milczeniu zapakowała resztki kiełbasy i masła, dołączyła do tego nie napoczętą paczkę herbaty.

– Proszę to wziąć, ja na razie muszę się z panią pożegnać. Idę

na dyżur. A zatem, do jutra!

– Do jutra! Niech się pani nie martwi, Elżbieto Georgiewno! Zrobię, co tylko będę mogła! Widzi pani, jak przyczepiło się do mnie to nazwisko. Teraz, jeśli coś się stanie temu człowiekowi – jeśli go złapią i rozstrzelają pod ścianą – przyjdzie spod tej ściany wprost do mnie, wiem o tym! A pani jest szczęśliwa, Elżbieto Georgiewno, szczęśliwa, że może spać spokojnie, że ma czyste sumienie. A ja związałam się z tym judaszem i brak mi odwagi, z tym skończyć.

Wyszła. Elżbietka stała jak wryta.

Rozdział dwudziesty czwarty

Oleg stał przy telefonie omawiając z Asią plany na najbliższe dni; Nadieżda Spiridonowna przechadzała się obok i demonstracyjnie wzdychała. Zapomniawszy o uprzejmości Oleg niczego nie dostrzegął; uśmiech szczęścia gościł na jego wargach. Gdy powiesił słuchawkę, Nadieżda Spiridonowna wyciągnęła po nią rękę niczym bociana łapa. Lecz w tym momencie znów zadzwonił telefon i dziewczęcy głos spytał: „Czy mogę prosić Olega Andriejewicza?”. Stara panna z lekkim sykiem zawołała oddalającego się donżuana i wymamrotała, że do tak długich rozmów z dziewczętami należałoby mieć raczej własny telefon, a nie wspólny w mieszkaniu zbiorczym, Oleg jednak wyraźnie puścił to mimo uszu.

– Dzień dobry, Elżbieto Giorgiewno! Cieszę się, że panią słyszę! Jakaś sprawa? Będę z przyjemnością. Kiedy pani rozkaże? W niedzielę cały dzień jestem zajęty. W poniedziałek? Świetnie, przyjdę.

Nadieżda Spiridonowna wrzuszyła tylko ramionami: „Mój Boże, drugie *rendez-vous!* Dzisiejsze dziewczęta po prostu nie mają wstydu!”

Oleg poprosił ją z galanterią o wybaczenie, odnalazł w książce telefonicznej potrzebny numer i przyniósł starej panie do telefonu krzesło. Tym sposobem błyskawicznie odzyskał jej względy, nieco nadwątłone w ostatnich chwilach.

W pokoju czekała go niespodzianka: przy biurku Miki rozwaliała się jak u siebie w domu Katusza. Podobno zapisała się w pracy na lekcje francuskiego, ale opuściła dwie pierwsze... Czy nie mógłby jej pomóc? Było jasne jak słońce, że francuski to pretekst. By uniknąć sam na sam z Katuszą, Oleg stanął w otwartych drzwiach i stamtąd usiłował „odeprzeć atak” tłumacząc się brakiem czasu. Tak po prostu wyrzucić jej za drzwi nie mógł. „Biedny będzie ten, kogo złowi ta idiotka” – myślał przyglądając się Katuszy i słuchając jej terkotania. „Lepiej już iść do domu pod

czerwoną latarnią, tam przynajmniej płaci się i wychodzi, a z taką jak ta... Słuchaj, człowieku, bzdur. A jaki ma paskudny głos!”. Nadieżda Spiridonowna, która wracała do swego pokoju, spojrzała na nich z takim zdumieniem, że Oleg zagryzł wargi, by się nie roześmiać. Za to Nina, biegnąc przez korytarz, obrzuciła go pytającym wzrokiem: „No i co, mam cię ratować?” W chwilę później pod byle pretekstem zawołała Katuszę do kuchni.

– Serdeczne dzięki – powiedział, gdy Nina wracała do swego pokoju.

– Nie ma za co! – roześmiała się.

Oleg sięgnął po książkę, lecz w tym momencie niczym stado wróbli pojawili się koledzy Miki i on sam, by wkuwać darwinizm. Ustupując im miejsca Oleg poszedł do kuchni. Panowało tam wielkie ożywienie. Annuszka w białym fartuszkupiekała bułeczki! Obok niej w oczekiwaniu na smaczny kęs rozsiadły się kot i szczeniak, a z tyłu za nimi, zapewne z tą samą nadzieją, przycupnął Wiaczesław z nieodłącznym zeszytem. Oleg dołączył do tego towarzystwa, sadowiając się z książką na parapecie. Annuszka była najbogatsza ze wszystkich lokatorów, inni w porównaniu z nią byli biedni jak myszy kościelne. Miewała krupczatkę, słoninę, kiszoną kapustę i inne delikatesy sowieckiej epoki. W niedzielę zawsze piekała ciasto; kiedy smażyła bliny, to pływały w maśle. Nieraz nalewała psu do miski wspaniałego kapuśniaku i to tak hojnie, że młodzi, często głodni lokatorzy płci męskiej, patrzyli na zwierzaka z zawiścią. Nie była chciwa, zawsze rozdawała połowę. Tak było i tym razem: wyciągnawszy z piekarnika blachę, na której wdzięczyły się pięknie przyrumienione bułeczki, natychmiast odłożyła dwie dla Miki i Niny, po czym zaprosiła Olega i Wiaczesława, do których żywiła szczególną sympatię:

– Niech każdy weźmie to, co na niego zerka.

Oleg wziął niewielką bułeczkę z brzegu, a Wiaczesław – największą i pochłaniając ją wychwalał:

– Pyszności! Zaczyna pani kobieta, Anno Timofiejewno! W

progu stanęła Katusza.

– Co cię przyniosło? Nikt tu za tobą nie tęskni! – z miejsca zaczęła wymyślać jej Annuszka. – Nie chcę cię widzieć na oczy! Znowu robisz swoje? Kręć z kim tylko chcesz, ale od moich chłopców wara!

Na myśl, że komuś się wydaje małym chłopcem, Oleg mimo woli uśmiechnął się.

– Za bardzo lubi pani pchać nos w cudze sprawy, Anno Timofiejewno – odcięła się Katusza sadowiac się na stołku.

– Ach ty, wywłoko! Żadnego szacunku dla starszych! Nawet nasze dawne panie – Nadieżda Spiridonowna i Nina Aleksandrowna – zawsze się ze mną liczą, a ta w oczy mi urąga! W Komsomole was tego uczą czy jak? Robią z was prostytutki, ot co!

– Anno Timofiejewno, tak nie można! – zawołał Oleg. A Wiaczesław zerwał się, jakby go coś ugryzło i warknął:

– prostytutek w Związku Sowieckim nie ma, proszę to sobie zapamiętać, Anno Timofiejewno! A w Komsomole uczą, że kobieta ma prawo do własnych uczuć i do tego, by je bez skrepowania okazywać. Jasne? – i znów usiadł, jak po wyrecytowaniu wyuczonej lekcji.

Na te słowa Oleg rzekł z sarkazmem:

– Czy naprawdę władza sowiecka zlikwidowała prostytutkę? Skoro tak, to Bóg świadkiem, potężniejszej władzy nie znała historia! Wczoraj później niż zwykle wracałem do domu, no i ze trzy lub cztery razy zaczepiały mnie jakieś damy. Jedna prosiła o papierosa, druga pytała o jakąś ulicę, trzecia interesowała się, czy nie mam biletu do kina. A ja, grzeszny typ, myślałem, że to... Kim więc były te nocne cienie na chodnikach, jak się panu wydaje?

– Kim? – oczy Wiaczesława roz błysły nienawiścią. – Spuścizną po przeklętym carskim reżymie, oto kim były!

Spojrzenia ich skrzyżowały się – ironiczne Olega i gniewnoideowe Wiaczesława. Oleg postanowił wyjść, by nie

przeciągać kłótni. W tym momencie ktoś energicznie zastukał do drzwi. Przyniesiono wezwanie dla Katuszy.

– Matko Boska! – zawołała dziewczyna rozdarłszy kopertę i upuściła kartkę jakby parzyła jej palce.

– Co to takiego? – spytała Annuszka.

Oleg, który już wychodził z kuchni, odwrócił się.

– Wezwanie do GPU! Mnie tam wzywają, mnie! A przecież jestem swoja! Kto jak kto, ale ja zawsze szanuję władzę sowiecką! Pochodzę z klasy robotniczej! Nikt nigdy nie słyszał, żebym ja...

Wiaczesław osadził ją:

– Aleś ty głupia, Katia! Czego się tak drzesz! Jeśli obywatel sowiecki potrzebny jest do czegoś organom politycznym, to musi zachować to w tajemnicy, a nie młócić ozorem na prawo i lewo. Może cię wzywają, by się czegoś o kimś od ciebie dowiedzieć...

Oleg poczuł w sercu przykry niepokój. Może istotnie wezwano ją po to, by wydobyć z niej jakieś informacje, lecz o kim?

Kiedy wyszedł na korytarz, dobiegł go z kuchni wystraszony krzyk Wiaczesława i jęk Annuszki. Pobiegnął z powrotem do kuchni: okazało się, że Wiaczesław przewrócił swój prymus i podłogę już zalewa eksplodująca płomieniem nafta. Annuszka i Wiaczesław rzucili się z wiadrami do kranu.

– Tylko nie wodą! – wrzasnął Oleg i silnym uderzeniem wyrócił na ziemię szafę. Wszyscy drgnęli od łomotu i zamarli w oczekiwaniu. Ogień nie wydobywał się spod szafy.

– Wszystko w porządku – powiedział Oleg i chciał już podnosić szafę z podłogi, lecz nagle z korytarza wbiegła Nadieżda Spiridonowna z dwoma tekturowymi pudłami, a tuż za nią, Katusza z w tobołem i poduszką.

– Dokąd to, wariatki? Panikary nieszczęsne! – wrzasnął Wiaczesław.

– Stójcie, już się nie pali! – zawołał Oleg i schwycił Nadieżdę

Spiridonownę, która omal nie upadła.

Obie kobiety rozglądały się ze strachem. Zaniepokojeni chłopcy wbiegli do kuchni i też się rozglądali nie rozumiejąc, co się dzieje. Oleg i Wiaczesław zaczęli podnosić szafę.

– Też mi do łba strzeliło! Omal nie spowodowałem nieszczęścia. Dzięki, Kazarinow – mamrotał Wiaczesław.

– Proszę zapamiętać, że nafty nie wolno zalewać wodą – powiedział Oleg.

– Mój ty Boże, mój Boże! Alem się wystrachała! Aż się pode mną nogi zatrzęśli! – zawodziła Annuszka opadając na krzesło.

– Moja szafa! – podniosła krzyk Nadieżda Spiridonowna, dopiero teraz widząc, co się stało. – Dlaczego wywróciliście moją szafę? Miałam tam zsiadłe mleko, zupę na jutro, porcelanowy komplet...

Postawili nieszczęsną szafę z powrotem na miejsce, lecz gdy otworzyli drzwiczki, ujrzeli ślady katastrofy: piękne porcelanowe talerze były potłuczone. Stara panna złapała się za głowę.

– Moje półmiski! I do mięsa, i do dań rybnych! Wszystkie pięć sztuk! Właśnie chciałam je zanieść do komisum!

U innych pewno wszystko ocalało! Takie już w tym mieszkaniu są zwyczajem, żeby robić świństwa staremu człowiekowi – z nienawiścią spojrzała na Wiaczesława.

– To moja wina! – ujął się za nim Oleg. – Ale nie zrobiłem tego umyślnie, nie wiedziałem, czyja to szafa. Chociaż gdybym nawet wiedział, nie wolno było zwlekać!

– Straciłam przez to ze trzysta rubli, a żyję tylko ze sprzedaży rzeczy! – nie ustępowała stara panna.

– Niech się pani uspokoi, Nadieżdo Spiridonowno! Zwrócę te pieniądze z następnej wypłaty... – zaczął Oleg, lecz Wiaczesław skrzyczał wściekle oboje:

– Niech się tylko ośmieli ta jędza wziąć od was forszę, a kark

jej skreć! Mało brakowało, a nie zdążylibyśmy uciec, a stara żałuje jakichś skorup! Zaśmiecila wszystkie kąty swoimi gratami! Wielmożna damulka! Carska łachudra! Siadła na tym swoim dobytku i nikt z niej ani z tego dobytku nie ma żadnej korzyści! Jutro wszystko wywalę w diabły, nie pozwolę, by na wspólnym metrażu zostały jakieś jej graty!

Nadieżda Spiridonowna wbiła w Wiaczesława oszalałe, wybałuszone oczy:

– Łachudra? To ja jestem łachudra? A moje rzeczy wywali? – wyjąkała cała drżąca.

– Panine! Myślałby kto, ważna persona! Zamiast człowiekowi podziękować, pyskuje! Chyba mózg jej spleśniał!

– Dość tego! – powiedział stanowczo Oleg. – Jak panu nie wstyd, Wiaczesławie?

– O mój Boże! – zawołała Annuszka. – Przeklęte to nasze mieszkanie! Ani porządku, ani ładu! Tylko awantury od rana do nocy! Każdy ciągnie w swoją stronę. Czy tak można żyć? Już dawno mówię: od czasu, gdy uciekł skrzat domowy, same nieszczęścia!

– Jak to skrzat domowy? Dlaczego uciekł? – wszyscy zwrócili się do Annuszki czekając na wyjaśnienie.

– Jasne dlaczego: nie mógł tu dłużej żyć. Skrzat domowy w niektórych chałupach dziesiątki lat przemieszkiwał, no, a przy władzy sowieckiej migiem musiał wziąć nogi za pas. Bo jakże ma się gnieździć w komunalnym mieszkaniu? Skrzat domowy musi żyć z gospodarzem zgodnie, w przyjaźni. Czasem lubi udawać kota, przyjdzie na pierś pomruczeć i gdy tak mruczy, niepostrzeżenie mądrą radę da, powie, co trzeba. Skrzat miłości potrzebuje i szacunku. A u nas co? Kto jest w naszym domu? I czy tu mamy porządek? Możecie mi wierzyć: w komunalnym mieszkaniu skrzat domowy nigdy nie zamieszka. I dlatego życie w nim się nie układa, każdemu jest smutno, wszystko niszczeje, funta kłaków nie jest warte. W administracji nie znają się na

niczym, ale słuchać starych ludzi nie chcą.

Oleg i Nina spojrzeli po sobie z uśmiechem. Urocza jest ta Annuszka! Katusza i chłopcy wyraźnie parskali, a Wiaczesław nie miał głowy do domowego skrzata – posepnie zbierał połamane części swojego prymusa.

Nazajutrz po powrocie z Capelli Nina położyła się na tapczanie, by odpocząć przed koncertem, na którym miała wystąpić. Gdy zapadła w drzemkę, zastukał do niej dozorca, mąż Annuszki.

– Ja do wielmożnej pani! Proszę wybaczyć, że niepokoję. Ale to bardzo ważna sprawa. Niech tylko pani nikomu o naszej rozmowie nie mówi bez potrzeby, nawet jaśnie panu.

– Jegorze Własowiczu – Nina uniosła się z tapczanu i zmęczonym ruchem poprawiła włosy. – Nie nazywajcie „jaśnie panem” Olega, mój kochany. Tyle razy o to prosiłam.

– Ale nikogo tu nie ma prócz nas, wielmożna pani! Przy obcych nie powiem tak za żadne skarby! Można mi ufać, sama pani wie.

– Wiem, mój kochany. Siadajcie i mówcie, o co chodzi.

– No bo wezwali mnie dzisiaj do ichniego GPU...

– Co?! – Nina zdrętwiała. – W związku ze mną? Z Olegiem?! Mów, mów szybko!

– Dopytywali zwłaszcza o paninego małżonka, księcia Dymitra Andriejewicza, panie świeć nad jego duszą. Czy naprawdę księżę Daszków zabity, czy tylko tak pani mówi? Jakże tak, powiadam, nie naprawdę? Zabity. Odkąd przyszła wieść o jego śmierci, ślad po nim zaginął! Byłem przy tym, powiadam, jak przyszła ta wiadomość, sam też mogę zaświadczyć, i to pod przysięgą. Ile łez wylała Nina Aleksandrowna, cały rok nosiła żałobę. Niby skąd ma być żywy? Pogadali między sobą i znów do mnie: a kim jest ten młody, co w waszym lokalu mieszka, ten

Kazarinow? Kim jest dla obywatelki Daszkowej? Może to właśnie jej mąż, książę Dymitr Daszków? Gdzie tam, mówię, Bóg z wami! Ja męża Niny Aleksandrowny dobrze znałem z twarzy. Kazarinow to tylko lokator. Z Niną Aleksandrowną nie ma nic wspólnego. Jak to, nie ma, powiadają, jeśli mówią do siebie po imieniu, jedzą kolację, herbatę piją razem, wszystko to wiemy od świadków. Potwierdzają to lokatorzy z waszego mieszkania, a ty, stary, chcesz wmówić nam coś wręcz przeciwnego? Więc powiedziałem im to, co jaśnie pani w administracji, gdy trza go było zameldować: ten młody to syn stolarza, mleczny brat Dymitra Andriejewicza. Bardzo go, powiadam, lubili w rodzinie wielmożnego tatusia. Służyli z Dymitrem Andriejewiczem razem w Białej Armii, a jak zwolnili go z łagru, przyszedł do Niny Aleksandrowny opowiedzieć o tym, jak zginął Dymitr Andriejewicz, no a ponieważ nie miał gdzie żyć, więc ona, kobieta gołębiego serca, zameldowała go w pokoju razem ze swym braciszkiem, no i tam nocuje. Wszystko to wiem bardzo dobrze, a jeśli kto co innego mówi, ten powinien się wstydzić, nie zna spraw rodzinnych, a obmawia Ninę Aleksandrownę – damę dumną i szlachetną.

– Dziękuję, Jegorze Własowiczu, że broniliście mojego honoru. Więc oni go wzięli za Dymitra? Czyli nie wiedzą, że było dwóch młodych książąt Daszków?

– Pewnikiem nie wiedzą, pani dziedziczko! Całe szczęście, że nie wiedzą! Ale kto im nagadał, że tak się pani wodzi z Olegiem Andriejewiczem? Może ta przebrzydła Katieńka? Jak wezwą Olega Andriejewicza, niech mówi kropka w kropkę to samo co ja. Wykręcimy się sianem. Niech się pani nie martwi, kochana dziedziczko! Zbladła pani jak papier.

– Dziękuję, Jegorze Własowiczu, tacy jesteście dobrzy! Ile już razy ratowaliście mnie z opresji. I ojca pomogliście pochować i z Czieriomuch się wydostać, i meldunek załatwiliście dla mnie, a potem dla Olega. Teraz też ratujecie... Zawsze wy! A ja nawet nie wiem, jak się wam odwdzięczyć.

– Co też pani mówi, Nino Aleksandrownno! Nie chcę tego

słuchać. Dość łask znalazłem od nieboszczyka jaśnie pana Aleksandra Spiridonowicza. Do końca życia będę pamiętał, jak obdarował mnie i Annuszkę, jakeśmy brali ślub, sam poprowadził ją do ołtarza – taki zaszczyt! Wkrótce minie trzydzieści lat od tego czasu, ale wdzięczność nie ma końca. Często widzę mojego pana przed oczyma, jak w czesuczowej koszuli, z bródką i laseczką idzie aleją, a za nim jego jamnik Żuczek. A jak zobaczył Aleksander Spiridonowicz rzucony na ziemię niedopałek lub papierek od cukierka, zaraz końcem laski zakopywał w piasek – nie znosił niczego takiego w swoim ogrodzie. Jeśli to kret albo suchy liść na ścieżce – proszę bardzo, to nikomu nie szkodzi, byle tylko nie ślad ludzkiej obecności, tak jaśnie pan tłumaczył ogrodnikowi i mnie. Mika pewno już nie pamięta swego tatusia? Teraz, gdy obojeście osierocieli, sam pan Bóg każe mi o was się troszczyć. Niech się pani nie smuci, dziedziczko, Bóg jest miłosierny. Ominie nas ten kielich goryczy, jak powiadają w cerkwi. Pani, na ten przykład, do cerkwi nie chodzi, a Wielki Tydzień już blisko...

– Mam żal do Pana Boga, Jegorze Własowiczu. Nad trumną ojca obiecałam sobie, że nigdy więcej nie pójde do komunii.

– Wielka szkoda, pani dziedziczko! Oj, jaka szkoda! To wielka pociecha – cerkiew. Gdy człek wejdzie do świątyni, czuje się tak, jakby wziął prysznic – tylko nie dla ciała, a dla ducha. No, czas na mnie, jaśnie pani. Niech pani odpoczywa.

Drzwi za staruszką zamknęły się.

Nina siedziała bez ruchu. Jakże są blisko! Tuż obok! Wyciągają swoje macki! Ta wersja z bratem mlecznym jest niezbyt przekonywająca. Ale trzeba się jej trzymać, jeśli zaczną wypytywać o szczegóły.

Postanowiła porozmawiać z Olegiem, ostrzec go, lecz do koncertu pozostało zbyt mało czasu. Wieczorem wróciła późno i przechodząc obok pokoju Miki i Olega zobaczyła, że zgasili już światło; postanowiła nie budzić ich.

Nazajutrz rano pili w pośpiechu herbatę, gdyż spieszyli się do pracy, w dodatku był z nimi Mika, więc odłożyła rozmowę do

wieczora. Gdy wróciła z Capelli, zdobyła się na odwagę i poszła do Olega. Był w szynelu, z furażerką w rękach.

– Idę do pań Bołogowskich – z wesołym ogniem w oczach i z uśmiechem wydał się jej bardzo młody. Jakże przeobraziła się jego twarz! Serce Niny ścisnęło się na myśl, że musi przygasić tę radość. „Potem, trochę później! Dwie godziny nic nie zmienia!”

Biblioteka Nadzieży Spiridonowny należała w gruncie rzeczy do ojca Niny, stara panna wywiozła ją podczas wojny domowej z opustoszałego mieszkania brata do siebie i tym sposobem uratowała przed rozkradzeniem. Toteż uważała ten księgozbiór za swoją własność i bez najmniejszych skrępowań zabraniała Mice zbliżać się do książek jego rodzzonego ojca. Dla Niny i Olega robiła wyjątek. Książki nie mieściły się już w szafach, stojących w salonie, częściowo leżały na półkach na korytarzu.

Wróciwszy tego wieczora do domu Oleg stanął przed jedną z półek, by wybrać sobie na noc książkę. Stał blisko drzwi i usłyszał słowa wypowiedziane przez Wiaczesława:

– A tyś po co na Kazarinowa z donosem polazła? Coś tam naplotła? Byłaś wściekła, że nie udało się wciągnąć go do łóżka? Gdzie twoja świadomość bolszewicka – załatwiać w ten sposób własne porachunki!

Oleg mimo woli zastygł w miejscu.

– Skąd wiesz, co mówiłam? – rozległ się głos Katiuszy.

– Jak to, skąd? Śledczy powtórzył mi całą rozmowę, słowo w słowo. Tylko ty, ja i on byliśmy tutaj – więc kto, jeśli nie ty?

– Niby dlaczego „naplotłam”? Powiedziałam tylko prawdę.

– Prawdę! Nieżle go obsmarowałaś: rodowy szlachcic i oficer, krewny Niny Aleksandrowny, a przecież ty nic o nim nie wiesz. No a śledczy, rzecz jasna, do mnie jak z nożem do gardła: gadaj, co o nim wiesz! Jak to „nie jesteś poinformowany”, skoro inni z waszego mieszkania wiedzą wszystko? No i przeczytał mi:

„Kazarinow zachowuje się nie po sowiecku, wciąż narzeka na nasze porządki, widać z jego zachowania, że to były gwardzista. Z obywatelką Daszkową – eks-księżniczką – jest na pewno spokrewniony...” Sporo tego nagryzmoliłaś! A co ja mam robić? Powtarzać to, co ty, czy chcesz, żeby mówili, że ukrywam wroga klasowego? Figa z makiem, ja też wyłożyłem moją prawdę. Jeśli to jest zeznanie Jekatieriny Fominiczny Byczkowej, powiadam, to funta kłaków ono nie warte, biegała za tym Kazarinowem, ale jej nie chciał, więc się na nim po babsku mści. Weźcie to pod uwagę, towarzyszu śledczy. No i jak, przełknęłaś? Innym razem zeznawaj ostrożniej. Śledczy uścisnął mi na pożegnanie rękę.

Oleg odwrócił się i poszedł do siebie, zapalił papierosa, zaczął krążyć po pokoju. „Jak to się stało, że wpadli na mój ślad? Od czego się zaczęło? Groźne jest nie to, co nagadała śliczna Katusza, lecz to, że się mną interesują. Porządny chłop z tego Wiaczesława! Miałem rację, mówiąc mu wszystko z własnej woli – człowiek szlachetny czuje się przez to bardziej związany”. Oleg krążył po pokoju, palił i czuł, że radosny nastrój, jaki zapanował w jego sercu po święcie u Asi, ulotnił się bezpowrotnie! Tak jakby płynął po pięknej, zalanej słońcem rzece, lecz nagle coś schwytało go za nogi i ciągnie w dół, pod wodę! Poprzez siatkę smutnych domysłów – jak ominąć czyhającą pułapkę i do jakich uciec się wykrętów – sączyła się tamta, poprzednia, zabójcza myśl: musi zerwać z Asią i im prędzej, tym lepiej, by i jej nie wciągać w ten wir.

Wszedł Mika mówiąc, że Nina prosi na herbatę. Daszków przypomniał sobie jej paniczny strach przed GPU, lecz uznał, że koniecznie musi z nią porozmawiać. Gdy siadł do stołu i biorąc z rąk Niny filiżankę herbaty spojrzął jej w twarz, dostrzegł ciemne kręgi pod oczami, a w oczach trwożny smutek.

Kilkakrotnie na nią patrzył i wciąż spotykał to zatroskane spojrzenie... Mika zaczął coś opowiadać, lecz też wkrótce umilkł. Wstając od stołu i skręcając w pierścień serwetkę powiedział:

– Weszło się z wami rozmawia! – i uciekł.

– Nic nie masz mi do powiedzenia, Nino? – spytał Oleg, gdy zostali sami.

– Owszem.

– Ja również, i mam wrażenie, że są to te same wiadomości. Mów, Nino, nie lituj się nade mną.

Rozmawiali do północy porównując wszystkie dane i przygotowując szczegóły na wypadek, jeśli wezwą jedno lub oboje.

Zwyczaj wstawania wcześniej niż inni tak bardzo wszedł Olegowi w krew, że nawet w wolne od pracy dni wstawał bardzo wcześnie, by uniknąć tłoku w kuchni. Ale tej niedzieli nie wstał, leżał na swoim tapczanie i palił jednego papierosa za drugim, też wbrew swym zwyczajom. Tego dnia miał się spotkać z Asią, lecz nadzieja na spotkanie rozwiąła się.

– Jest pan chory, Olegu Andrejewiczu? – spytał Mika.

– Jestem zdrow – odpowiedział pośępnie Oleg. Do drzwi zastukano.

– Przynieśli panu wezwanie, proszę się podpisać – rozległ się głos Wiaczesława.

Oleg uśmiechnął się ponuro i narzuciwszy na ramiona stary kitel wyszedł. Żadna z kobiet, które tu mieszkały, jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie – nie ogolonego, w szelkach... Podpisał bez słowa i odwrócił się, by odejść, lecz zobaczył Katię: stała przy swoim prymusie obserwując Olega. Zmrużył oczy i zmierzył ją szyderyczym spojrzeniem. Zemściłaś się? Jesteś rada?

Odwróciła się zaczerwieniona.

– *On ne perd pas du temps en notre troisième bureau*³⁹ – rzekł Oleg do Niny pokazując jej wezwanie do GPU.

Gdy wypił herbatę, poszedł po gorącą wodę do golenia. Nina zatrzymała go skinieniem ręki:

– Nie gól się ani dziś, ani jutro... Ta twoja elegancja...

³⁹

On ne perd pas... (fr.) – W naszym trzecim oddziale nie marnują czasu.

– Myślisz, że będzie lepiej, jeśli zarosnę szczecina?
– Cóż, przynajmniej to! Może wydasz się im zdziczały...
Następnego ranka wróciła do tego tematu:

– Oleg, idziesz wprost do paszczy lwa?
– Nie, najpierw do portu. Do GPU wezwali na drugą.
– Ten twój dżentelmeński szyk, Olegu, kiedy się kłaniasz lub bierzesz papierosa... To wszystko zbyt zalatuje gwardią! Jest sto razy bardziej wymowne niż paplanina Katuszy.

– Ale co robić, Nino? Sam siebie z boku nie widzę.
– Mimo wszystko postaraj się, uważaj zwłaszcza na gestykulację. Dobrze pamiętasz, co masz powiedzieć?

– Wykułem tę lekcję na pamięć. Najważniejsze jest wyjaśnić, co oni wiedzą. Nie wiem, jaką szykują niespodziankę, może mnie skonfrontują z kimś spośród dawnych służących lub żołnierzy. Może wiedzą, jakie odniosłem rany lub zdobyli moje zdjęcie. Nic nie wiadomo.

– Wrócę dopiero wieczorem, Olegu. Żebym nie trzęsła się z niepokoju przez cały dzień, zadzwoń do mnie do Capelli, kiedy cię stamtąd wypuszczą. Powiesz mi... no, coś tam powiesz...

– Tak jest. – Chciał odejść, lecz ona znów go zatrzymała.

– Miej się na baczności! Błagam, stale miej się na baczności!

W pracy po to, by wyjść w połowie dnia, musiał pokazać wezwanie. Mojżesz Herszelewicz zawsze dla niego bardzo życzliwy powiedział tylko:

– Co takiego? Aha, tak. O pierwszej może pan wyjść – lecz twarz jego wyciągnęła się i potem podczas wszystkich rozmów z Olegiem zachowywał się oficjalnie i zwracał się do niego po nazwisku.

„Tchórz!” – pomyślał Oleg.

Nim wszedł do ponurego gmachu, przystanął, by spojrzeć na

skapaną w słońcu ulicę i wiosenne niebo. „Cóż, niech tam! Wśród towarzyszy i tak nie znajdę szczęścia!”

I książę Daszków zniknął za drzwiami GPU.

Rozdział dwudziesty piąty

*Czarne anioły z ostrymi skrzydłami
sąd ostateczny obwieszczą...*

– Zostałem wezwany – powiedział wchodząc do gabinetu, który mu wskazano, i podał kartkę śledczemu. Ten zmierzył go bacznym spojrzeniem.

– Siadajcie.

Oleg usiadł. Naśladując maniery Wiaczesława zwichrzył swoją gęstą czuprynę i ponuro obrzucił śledczego obojętnym spojrzeniem. Z miejsca zadziały policyjne obyczaje: śledczy siadł plecami do okna, a Olega posadził tak, by oślepiało go światło.

– Kazarinow? No tak. Opowiedzcie krótko swój życiorys – śledczy rozsiadł się na krześle i zapalił papierosa.

– Z pewnością dobrze go znacie. Wróciłem przecież z łagru, a tam niejednym raz sprawdzano moje dane. Byłem w Białej Armii, nie ukrywam tego.

– Nie ukrywacie? To świetnie! Mimo to opowiedzcie, chciałbym posłuchać.

Oleg zaczął powtarzać wyuczoną opowieść, lecz śledczy szybko mu przerwał:

– A jak to się stało, że, wy, proletariusz, tak dobrze znacie języki obce? Wiemy, że biegle władacie francuskim i angielskim.

– No, może przesada, że biegle, ale znam te języki. Bo widzicie, w dzieciństwie... – wyłożył niewygodną dla siebie wersję, gdyż wskazywała na bliską więź z arystokracją i jego własnym nazwiskiem. Ale ponieważ wplekli ten wątek do jego życiorysu inni ludzie, nie mógł go pominąć.

– Jako dziecko stale słyszałem mowę francuską i angielską,

gdy uczono młodych paniczów, a mam do języków zdolności. Wciąż stawiano mnie pańskim dzieciom za przykład – zakończył Oleg.

– Przypuśćmy, że to prawda – rzekł śledczy – ale nas interesuje właśnie rodzina Daszkowów. Powiedzcie, co o nich wiecie.

– Jacy znów Daszkowowie? Żyje teraz tylko młoda księżna, ale ona nie pochodzi z tego rodu – książe ożenił się z nią na krótko przed rewolucją.

Wrogie oczy wpatrywały się czujnie w Olega.

– Kto należał do rodziny Daszkowów? – spytał śledczy zimno.

Oleg stłumił mimowolne westchnienie.

– No, mówcie. Wymieńcie wszystkich członków rodziny.

– Sam książe, generał, dowódca korpusu, Andriej Michajłowicz – rzekł Oleg i zamilkł. Miał wrażenie, że jakaś ręka schwytała go za gardło.

– Dalej.

– Księżna, jego żona – Oleg znów zamilkł.

– Imię księżnej! Czego milczycie? Nie wiecie, jak się nazywała?

– Sofia Nikołajewna – rzekł cicho Oleg.

– Sofia Nikołajewna? Tak... tak. Zapiszemy, że Sofia Nikołajewna...

– Co tak ciągle powtarzacie? – wyrwało się Olegowi wraz z gestem zniecierpliwienia. Wydało mu się bluźnierstwem, że ten człowiek, nawykły do chamstwa, gróźb i kłamstw, wymawia święte imię jego matki.

– Niby dlaczego nie mogę powtarzać? Miałem was pytać o zgodę? Przecież to nie wasza rodzona matka? A może miałem mówić o niej jaśnie pani”?

Oleg milczał.

– No, dalej! Kto jeszcze? – naciskał śledczy.

– Ich syn Dymitr.

– A inne dzieci?

Pauza nie dłuższa niż pół sekundy.

– Była jeszcze dziewczynka imieniem Nadia, umarła w dzieciństwie na zapalenie płuc.

Spyta czy nie spyta: „a drugi syn, Oleg”? Śledczy jednak powiedział coś całkiem innego i jakby mimochodem, przy okazji:

– Ten generał dowodzący korpusem był podobno skończonym łajdakiem, katował ordynansów...

– Co? – wybuchnął Oleg. – Nic podobnego! To nieprawda, nie było tak i być nie mogło... Nasza armia... Generał był surowy, lecz sprawiedliwy, żołnierze go lubili. Oficerom stawiał większe wymagania niż szeregowym żołnierzom – taką miał zasadę. A najsurowszy był dla... – nagle zamilkł omal nie wypaliwszy: dla nas, dla synów.

Śledczy wciąż patrzył na niego z uwagą.

– Widać drogi jest wam ten generał, skoro go tak bronicie.

Oleg połapał się, że mówi zbyt zapalczywie – słowa śledczego były pułapką, w którą wpadł natychmiast.

– Nie to, że drogi, ale jednak... Przywykłem od dzieciństwa do tej rodziny, nigdy nie zaznałem od nich zła. Ordynansi żyli u generała całymi latami, nigdy się nie skarżyli, dostawali mnóstwo prezentów. Dlaczego miałbym nie mówić prawdy?

– Właśnie prawdę chcę od was usłyszeć. A powiedzcie mi, co się w końcu stało z tym generałem?

– Rozstrzelano go w Piotrogradzie w dziewiętnastym roku. – Oleg oparł łokieć o stół i zasłonił czoło dłonią. Rozumiał, że gest ten jest fatalny, lecz przewidując kolejne pytanie czuł, że nie

zniesie już spojrzenia śledczego.

– A księżna? Dlaczego milczycie? Boli was głowa, czy co? Chcecie może proszek?

– Nie trzeba – Oleg cofnął rękę.

– Więc odpowiadajcie.

– Kiedy młody książę wyjeżdżał do armii ochotniczej, jego matka jeszcze żyła. Dopiero niedawno się dowiedziałem, że zginęła. Nie znam szczegółów.

– Naprawdę nie znacie? W ogóle? A do mnie niektóre szczegóły dotarły. Rozstrzelano ją koło ich posiadłości na małej kolejowej stacyjce. Chciała się wyslizgnąć spod czekistowskiego nadzoru, który nad nią zarządzono. Ale się damulce nie udało! Oddział komisarza Gaza zatrzymał uciekinierkę. Gdy ją aresztowano, pokojówka zaaresztowana razem z księżną, szalała, krzyczała i odgrażała się czerwonoarmistom. A księżna nie wypowiedziała nawet słowa. Nie słyszeliście o tym? Krążyły słuchy, że przed rozstrzelaniem obie zostały zgwałcone przez konwój. Księżna była niczego sobie kobitką mimo swoich czterdziestu pięciu lat, a pokojówka też bardzo apetyczna. O tym również nie słyszeliście?

Oleg milczał... Śledczy zmrużył oczy i wciąż się w niego wpatrywał.

– Był tam jeszcze pies jaśniepaństwa. Podobno był przez całą noc nad trupem księżnej, musieli go ukatrupić i rzucić obok, na wysypisko śmieci... Czemuście się tak nagle odwrócili? – Niespodziewanie śledczy przemówił współczującym tonem: – Jesteście bardzo nerwowi, Kazarinow. Powinniście się leczyć.

– Jak posiedzicie na Solówkach tyle lat, co ja, też pewno będziecie nerwowi – odciął się Oleg.

– Możliwe. Przypuszczam też, że sam temat rozmowy nie jest wam obojętny. A co możecie nam powiedzieć o młodym księciu?

– Dymitr Daszków ukończył Korpus Paziów w tysiąc

dziewięćset trzynastym roku. Oficer gwardii.

– Jakiego pułku?

– Gwardii konnej. W dziewięćset piętnastym wyjechał na front, w końcu szesnastego, po kontuzji, dostał urlop i wrócił do Piotrogradu, w styczniu siedemnastego ożenił się...

– Co wiecie o jego żonie?

– Widziałem Ninę Aleksandrownę przelotnie jeszcze w siedemnastym roku. A gdy teraz wypuścili mnie z łagru, przyszedłem do niej, by ją zawiadomić o śmierci męża. Prócz tego liczyłem, że pozwoli mi zatrzymać się u siebie. Nie miałem gdzie żyć, a nikogo z dawnych przyjaciół nie udało mi się odnaleźć. I rzeczywiście, zameldowała mnie w tym samym pokoju co swego nieletniego brata. Na razie wciąż jeszcze tam mieszkam.

– Jakie możecie dać nam informacje o tej kobiecie?

– Informacje? Mówiąc szczerze, nie wiem... To znakomita śpiewaczka, artystka Państwowej Capelli. Ciągłe występuje w klubach robotniczych...

– Do władzy sowieckiej żywi chyba niechęć?

– Nigdy nie słyszałem od tej damy ani jednej antysowieckiej wypowiedzi. Chwileczkę... Zaraz przypomnę sobie jej słowa: „W czasach carskich rodzina męża nie puściłaby mnie na scenę. Dopiero rewolucja umożliwiła mi występy przed masami”.

Śledczy uśmiechnął się drwiąco:

– No, no, jaka uświadomiona! Ale dlaczego wy, proletariusz, związaście się tak mocno z ruchem białogwardyjskim? Dlaczego nigdy nie próbowaliście przejść na stronę czerwonych?

– Cóż, na samym początku, poprzez Dymitra Andriejewicza trafiłem do białogwardzistów. O czerwonych coś tam tylko obito mi się o uszy. Myślałem, że jak do nich przejdę, to mnie rozstrzelają, byłem przecież u białych...Więc trzymałem się Białej Armii. Wycofywałem się razem z jej oddziałami, dotarłem na Krym. Powiedzieć „przejść” jest łatwo, ale jak to zrobić?

– Kto chciał, ten potrafił. A powiedzcie no, byliście obecni przy śmierci Dymitra Daszkowa? Nie wiadomo, czemu nic o tym nie mówicie. No? Znowu milczycie? Jak ktoś mówi prawdę, nie musi się długo zastanawiać. Widzieliście ciało?

– Tak – odparł Oleg i poczuł, że na pewno z tego nie wybrnie.

– Dziwne. A my wiemy, że nie został zabity, lecz ranny, i po jakimś czasie wyzdrowiał. Co wy na to?

„To o mnie te wiadomości! – gorączkowo myślał Oleg. – Tak, mylą mnie z Dymitrem, chodzi przecież o to samo nazwisko, a informacje mają wyrywkowe. Co odpowiedzieć? Upierając się, że Dymitr poległ, naprowadzę ich na myśl, że istnieje inny Daszków i że to jego dotyczą informacje ze szpitala...”

– Nie wiem, co mówić... – odparł. – Widziałem jak na noszach, nieprzytomnego, nieśli go do lazaretu. Myślałem, że umiera... Może przeżył jeszcze kilka godzin lub dni, ale z pewnością nie odzyskał zdrowia, nie wrócił przecież do żony.

– Jesteście tego pewni?

– Naturalnie. Ona zawsze mówi o nim jak o zmarłym. Wszyscy bliscy i znajomi Niny Aleksandrowny wiedzą, że jej mąż nie wrócił. Wiele osób to potwierdzi.

– A wy nie pytaliście wtedy o stan jego zdrowia?

– Nie. Sam zostałem ranny w dwa dni później i jeszcze nie byłem zdrów, gdy przyszli czerwoni.

– Ta blizna na waszym czole to pewno ślad po ranie? – Tak.

– Zabawne! Dwaj nierozłączni przyjaciele, Kazarinow i Daszków, obaj ranni w skroń, jeden w prawą, drugi – w lewą.

Oleg milczał zaniepokojony usiłując zrozumieć sens tych niezrozumiałych dla siebie słów.

– Byliście ranni tylko w skroń, czy jeszcze w jakieś miejsce?

– „No tak – pomyślał Oleg – najprawdopodobniej wiedzą, że Daszków został ranny odłamkiem w żebro oraz miał ranę skroni.”

– Była jeszcze jedna rana – wymamrotał przez zęby. Dostrzegł przy tym, że śledczy zagląda do jakichś papierów leżących przed nim na biurku.

– Aha! Inna! – W oczach śledczego pojawił się błysk przywodzący na myśl kota igrającego z myszą. Śledczy nacisnął guzik centralki: – Halo! Wezwijcie do gabinetu nr 13 lekarza dyżurnego. Natychmiast.

Na nogach śledczy miał brązowe sztylpy. Energicznie zmieniał położenie nóg, i sztylpy skrzypiały. Ten dźwięk wprowadzał Olega z równowagi.

– Rozbieraj się! – warknął śledczy i przespacerował się po gabinecie. Już zwracał się do Olega na „ty” sądząc zapewne, że zdemaskował wroga ludu.

– Po co? Nie ukrywam, że byłem też ranny w prawy bok.

– Powiadam ci, rozbieraj się – powtórzył śledczy, wyjął rewolwer i potrząsnął nim przed nosem Olega.

Oleg znał takie groźby i nie mógł się przerazić, lecz zrozumiał, że jest już aresztowany.

Do gabinetu wszedł niemłody mężczyzna, też w mundurze; na nim narzucony biały fartuch.

– Aha, to wy, doktorze! Wybaczcie, że was niepokoję. Obejrzyjcie z łaski swojej tego zucha. Powinien mieć blizny po ranie lewej nerki. Lewa, a zresztą może prawa strona... Nie będę przywiązywał do tego wagi... Krótko mówiąc, nerki. Zbadajcie go i weźcie próbkę włosów, sprawdźcie, czy nie są ufarbowane. Powinny być rude.

Oleg ze zdziwieniem podniósł głowę. „Nerki? Rude włosy? Więc wiadomości ze szpitala chyba nie mnie dotyczą?” – przemknęło mu przez myśl.

Doktor zbliżył się do niego.

– Towarzyszu śledczy, pozwólcie tutaj – rzekł w minutę później. – Spójrzcie sami: tu było stłuczenie żebra i

najprawdopodobniej uszkodzone płuco. – I zwrócił się do Olega: – Robili wam resekcję żebra?

– Tak – wycedził przez zęby Oleg.

– Pluliście krwią?

– Tak.

– Kliniczny obraz też jest całkiem inny, towarzyszu śledczy – podkreślił lekarz autorytatywnie.

– Ależ on powie wam, co mu się żywnie podoba! Zwłaszcza jak mu podpowiecie – zaprotestował z niezadowoleniem śledczy. – Łgał przed chwilą jak najęty. Nie wierzcie ani jednemu jego słowu. Powtarzam: tam musi być rana nerki.

– Wierzę nie jego słowom, lecz własnym oczom. Nerki znajdują się niżej, te blizny nie mają z nimi nic wspólnego.

– Aha! Niżej! – śledczy znów odwrócił się w stronę Olega. – No, ściągaj pas!

– Nie znajdziecie trzeciej rany. Jak na moje potrzeby i te dwie wystarczą! – zdążył powiedzieć Oleg, lecz rewolwer znów szczęknął przed jego nosem.

Musiał się rozebrać. Śledczy bardzo się zdziwił nie znajdując więcej blizn i wysłuchawszy zapewnień lekarza, że kolor włosów podejrzanego jest naturalny. Poprosił lekarza, by zanotował na kartce rezultaty oględzin, sam też usiadł przy biurku i rzekł do Olega:

– Możecie się ubrać.

„Wypisuje nakaz aresztowania” – myślał Oleg wkładając ubranie i nagle owładnęła nim jakaś obojętność.

– Obywatelu Kazarinow, czy leżeliście w szpitalu Wodniaków w lutym tego roku? – spytał śledczy.

– Nie – Oleg znów zaczął się niepokoić.

– Uprzedzam, że kłamać nie ma sensu; dowiemy się o tym w

szpitalu.

– Dowiadujcie się, jak chcecie – odparł Oleg i już miał zamiar dodać: „Leżałem w szpitalu Ofiar Rewolucji”, lecz coś go powstrzymało, im mniej o nim wiedzą, tym lepiej! W dodatku istnieje jakaś niezrozumiała więź między jego chorobą a pytaniem o szpital.

– Co was łączy z obywatelką Jekatieriną Byczkową?

– Nic. Mieszkamy w tym samym lokalu.

– Czy ma jakieś podstawy, by mieć do was pretensje?

– O ile mi wiadomo – żadnych – odpowiedział zimno Oleg i poczuł, że nawet ryzyko uwięzienia nie zmusi go do odejścia od zasad, jakie wpajano mu od lat dziecięcych.

– Podejdźcie tu i podpiszcie swoje zeznania – rzekł śledczy.

Oleg uważnie przeczytał protokół: zapisane było wszystko dość dokładnie. Podpisał więc. Śledczy pozwolił odejść lekarzowi i zaczął krążyć po gabinecie poskrzypując sztylpami.

– No więc tak, obywatelu Kazarinow – rzekł zatrzymując się przed Olegiem. – W tym, co mówicie o śmierci Dymitra Daszkowa są dziwne sprzeczności. Coś tu przemilczacie. Jesteście podejrzani, a sytuacja wasza niewyraźna. Całkiem możliwe, że żaden z was proletariusz ani prosty żołnierz, a taki sam gwardzista jak Daszków, może nawet... – śledczy nie dokończył zdania.

– Zdumiewające! – zawołał Oleg. – Takimi dokumentami jak moje nikt nie chciałby się chwalić! Zasięgnijcie informacji w łagrze na Sołowkach – sprawdzali nas tam i fotografowali setki razy. Wyślą wam dokładne wiadomości, napiszą, że to byłem ja we własnej osobie.

– No i co z tego – odparł śledczy zapalając papierosa. – To są wiadomości poczynszy od dwudziestego drugiego roku, a ja mówię o tym, co było wcześniej.

– Nie mogę wam zabronić podejrzewać mnie – zaproponował

Oleg. – Tylko że moją winę ujawniły bojowe oddziały CzeKa idąc po świeżych śladach, a oskarżono mnie tylko o to, że nie wydałem władzom białogwardyjskiego pułkownika. Karę za to przewinienie już odbyłem. Czy w Związku Sowieckim *znaczą* coś podejrzenia wynikające z niechęci osobistej?

– Jeśli wchodzi w grę interesy klasy robotniczej... Wredna z was kontra, czuję to nosem. Łagier niczego was nie nauczył. I nie zachowujcie się tak wyzywająco – nakaz aresztowania mam już dla was gotowy. – Podeszedł do biurka i pomachał Olegowi jakąś kartką. – Zrozumcie, wychodzi się stąd dwojako: do więzienia lub na wolność! – Podeszedł do Olega i jakby niechcący dotknął zapalonym papierosem jego ręki. Oleg nie poruszył się. – Macie jednak szansę, by pozostać na wolności, będzie to wyłącznie zależało od was.

– Jak to ode mnie?

– Bardzo prosto. Jeśli zgodzicie się pomagać nam z pożytkiem, dogadamy się.

– Jestem pożyteczny tam, gdzie pracuję. Jaki jeszcze inny może być ze mnie pożytek?

– Może być i inny, jeśli zechcecie. Oleg patrzył w milczeniu na śledczego.

– Moglibyście już zrozumieć. Proponuję wam zawrzeć z nami umowę, służyć nam pomocą. Jest kilka osób, które należy wziąć pod obserwację. Wasze dawne znajomości i sympatie w środowisku szlacheckim, wasza umiejętność zachowywania się w towarzystwie tych ludzi mogłaby się nam przydać. Czy podejmiecie z nami współpracę?

– Nie, nie podejmę.

– Niby dlaczego, obywatelu Kazarinow? Przypominam, że wasza sytuacja jest kiepska. Gotowość służenia interesom władzy sowieckiej poprawiłaby ją znacznie pod każdym względem. Nikt o tym nie będzie wiedział. Gwarantujemy utrzymanie tajemnicy – leży to zarówno w naszym, jak i w waszym interesie.

Oleg milczał.

– Pewno myślicie, że poprosimy was o obserwowanie obywatelki Daszkowej? Byłoby to wskazane, zwłaszcza że los jej męża jest niejasny, lecz jeśli dawne przywiązania tkwią w was jeszcze tak mocno, to zwolnimy was z tego obowiązku, damy spis innych osób.

– Szkoda fatygi! Nie jestem do tego ani zdolny, ani przyzwyczajony. A udawać i wykręcać się nie umiem. Krótko mówiąc, nie chcę.

Śledczy podszedł do niego całkiem blisko.

– A ładować w porcie belki stojąc w wodzie po pas chcecie? – zasyczał Olegowi tuż nad uchem i znów przypalił papierosem jego rękę.

– Przez siedem lat ładowałem – jestem przyzwyczajony. Nie zastraszyście mnie taką groźbą.

– Może wam za mało? Chcecie jeszcze? Oleg nie odpowiadał.

– No więc jak, Kazarinow, za kratki czy na wolność?

– Agenta GPU ze mnie nie zrobicie! A wsadzić do więzienia rzecz jasna możecie.

Śledczy znów złapał rewolwer i przystawił go Olegowi do skroni. Udając obojętność Oleg patrzył w okno.

– Życie się wam znudziło, Kazarinow?

– Tak, chyba tak.

Śledczy odłożył rewolwer i podszedł do biurka.

– Oto przepustka, żeby was wypuścili z gmachu, a oto wasza legitymacja. Podpiszcie, że ta rozmowa pozostanie tajemnicą. Za kilka dni znów was wezwę. W wolnych chwilach przemyślcie moją propozycję. A na razie zwalniam was.

Gdy Oleg wyszedł z GPU, zdziwił się, że wciąż jeszcze jest dzień i świeci słońce. Dziwne było znów zobaczyć skąpaną w

słońcu ulicę, wróble, rozradowane życiem dzieci. Zatrzymał się przed wejściem do GPU i ogarnięty nagłym zmęczeniem oparł się o ścianę. Natychmiast jednak pojawiła się myśl, że trzeba jak najprędzej oddalić się od tego gmachu. Pobiegnął za tramwajem i wskoczył do niego w biegu, byle szybciej zniknąć z tego przeklętego miejsca.

Patrząc, jak w oknach tramwaju zmieniają się ulice, próbował sobie przypomnieć, do kogo był podobny ten śledczy. Chyba do kogoś, kogo zna z dzieciństwa... I nagle sobie przypomniał... Gdy jako ośmioletni chłopczyk wracał do zdrowia po szkarlatynie, mama czytała mu na głos Kiplinga. I on, i jego mała siostrzyczka lubili zwłaszcza Rikki-Tikki-Tavi, który walczył z Nagiem – straszliwą kobrą o zielonych oczach i hipnotycznym spojrzeniu. Nag wydawał się Olegowi wyjątkowo ohydny, zwłaszcza kiedy oplatał swym cielskim dzbanek i zasnął. Wizerunek Naga tak mocno ovladnął jego wyobraźnię, że z czasem stał się uosobieniem siły nieczystej, z nią zaś kojarzyła się myśl o mękach pozagrobowych. Jeśli będzie w życiu grzeszył, po śmierci ovladnie nim Nag, owinie mu się wokół piersi i zacznie powoli dusić. Dante nie opisał tego w swoim „Piekło”, ale czyż mógł sobie wyobrazić bolszewickich czekistów?

Mój Boże! Czy i teraz Nag musi hipnotyzować zimnym, pełnym nienawiści wzrokiem? Śledczy wciąż stał przed oczyma Daszkowa, i bez końca zadawał swoje pytania, wierząc się na krześle, jakby szykował się do skoku na swoją ofiarę. To wiercenie chyba rozpalało Naga, pomagało mu rozbudzić w samym sobie wściekłość.

„O nie, już tam nie pójde! Żle przysłużyła mi się Nina wyrzucając mój rewolwer. Przydałby się teraz! Ale gdzie ja właściwie jestem?” Wsiadł z tramwaju i rozejrzał się dokoła – był nie wiadomo czemu w pobliżu greckiej cerkwi. Dokąd iść? Co ze sobą robić? Wiedział, że rozpacz będzie mu towarzyszyła, dokądkolwiek by poszedł. Dopiero niedawno zaczęła zanikać, mniej ciążyć, lecz teraz znów napływa, zagradza drogę niczym posępny mur, niemal fizycznie dławi piersi.

Ciało matki rzucone na wysypisko śmieci i wyjący obok pies...

Było już po szóstej. O siódmej idzie do Elżbietki – ma do niego jakąś sprawę, trzeba tam zajrzeć. Przypomniał sobie, że jest nie ogolony i wszedł do najbliższego fryzjera. Potem zadzwonił do Niny z automatu. Zmęczenie wciąż narastało, z trudem włókł się ulicą. Od wczoraj nic nie jadł, gdyż rano i jemu, i Ninie kęsy nie przechodziły przez gardło.

„Wejdę na krótko, przeproszę i pójdę sobie” – myślał przyciskając dzwonek.

Otworzyła mu kobieta w chusteczce. Dwie inne, jej podobne, stały też tutaj, w kuchni, do której wchodziło się wprost z klatki schodowej. Wszystkie trzy wlepiły w niego oczy i gapiły się przez cały czas, gdy witał się z Elżbietką, która wybiegła mu naprzeciw, i siedł za nią. Usłyszeli za sobą ożywioną rozmowę.

– Widzę, że to jakieś szczególne towarzystwo – powiedział Oleg. – Czy aby nie kompromituję pani tą wizytą?

– Niby przed kim? – z nieopisaną pogardą spytała Elżbietka. I przepuściła go do drzwi.

– Jak tu ładnie! – zawołał rozglądając się wokół. – A ta ikona – Chrystus Acheiropita – pewno jeszcze ze szkoły bizantyjskiej?

– Tak, jest bardzo stara – odpowiedziała Elżbietka. – Wywieźliśmy ją z naszego dworu. Wkrótce potem spłonął niemal natychmiast, a wśród chłopów rozniosła się wieść:

„Wszystko dlatego, że odszedł Zbawiciel”. Proszę, niech pan siada.

Ledwo wymienili kilka zdań, gdy do drzwi ktoś zastukał. Była to akcja polityczna przygotowana na zebraniu kumoszek w kuchni. Były pewne, że Elżbietka stanie w progu w narzuconym pospiesznie szlafroczku. Miały ochotę narobić wstydu zarozumiałej pannicy. Ale Elżbietka przeczuwając coś w tym stylu stanęła w progu błyskawicznie.

– O co chodzi?

Sąsiadka rzekła z wahaniem:

– Niech mi pani pożyczy trochę masła.

Elżbietka przeprosiła Olega i wyszła. Miała na nogach miękkie pantofle – wracając podeszła do swoich drzwi bezszelestnie i już w progu dostrzegła, że Oleg przytulił twarz do aksamitu kanapy. Była to tylko sekunda! Usłyszawszy, że stuknęły drzwi natychmiast przybrał zwykłą pozę.

– Co z panem? – spytała łagodnie Elżbietka podchodząc do Olega. – Jest pan chyba strasznie zmęczony. Coś się stało?

– Nic, zapewniam panią. To prawda, trochę się zmęczyłem.

Lecz ona wpatrywała się w niego trwożnie.

– Proszę powiedzieć mi prawdę! – i widząc, że się waha dodała: – Nie wzywali pana do GPU?

– Elżbieto Gieorgiewno – odpowiedział Oleg. – Pani jest nie tylko mądra, ale i przenikliwa. Tak, wracam stamtąd, ale proszę się nie obawiać. Nie przyprowadziłem za sobą żadnego tajniaka, znam taki jeden bezbłędny sposób...

Ale ona przerwała mu:

– Ach, to nieważne! Nie jestem zbyt strachliwa. Można powiedzieć mi wszystko, zapewniam pana.

Oleg zaczął opowiadać, jak zawsze lakonicznie, gdy mówił o sobie. Ale po kilku zdaniach wybuchnął gniewem:

– To oburzające! Nigdy, za żadnej władzy tak nie było! Dla nich nie ma różnicy między kryminalistą a przeciwnikiem politycznym. Traktowali mnie jak bandytę lub mordercę. Wtykał mi pod nos rewolwer: „Milcz! Rozbieraj się! No, rozbieraj się!”

– Coś podobnego! – przeraziła się. – Kazali się rozebrać?

– Tak, oglądali blizny od ran, widocznie szukali cech szczególnych. Ale czegoś tu nie rozumiem: spodziewałem się, że

po tych oględzinach wykryją, kim jestem, ale informacje ze szpitala pewno nie były ścisłe – puścili mnie.

Elżbietka milczała. Nie byłoby wielkodusznością, gdyby przyznała się, że to ona poplątała ślady. Tak jakby dopraszała się wdzięczności.

– Łajdacy! – wzburzony Oleg zaczął krążyć po pokoju. – Ośmielili się zaproponować mi, bym był ich agentem, biegał do nich z donosami... Co to za ludzie?! I czy to w ogóle są ludzie?! Strasznie ich dziwi, że nie przyjąłem tej ich ohydnej propozycji. Jeszcze mnie nie aresztowano, a oni już przystawiają rewolwer do skroni. Bezkarne zabić, uśmiercić – robią to bez zmrużenia powiek! Dlaczego? Odpowiedź jest jedna: interes klasy robotniczej! Już w czasie wojny domowej widziałem, jacy są okrutni! W Rostowie podpalili lazaret z rannymi i zostawili ich, skazując na śmierć w płomieniach. W Charkowie oficerom wziętym do niewoli obcinali uszy i wykłuwali oczy przed egzekucją. W Kijowie... cały Kijów zatopili we krwi... Gdy odbiliśmy to miasto, ogrody były pełne trupów, na placach dziesiątki szubienic... W Lipkach, w pałacyku, który zajęła czrezwyczajka, znaleziono stosy trupów, ściany były obryzgane ludzkim mózgiem i krwią. Widziałem to na własne oczy! Ciała zwożono potem do prosektorium, by je masowo pochować, a ile było tam dziewcząt i pań! W całym mieście wciąż odbywały się żałobne nabożeństwa... A w Petersburgu, gdy zdobyli Pałac Zimowy? A w Jarosławiu? Na Krymie kwiat inteligencji rosyjskiej rozstrzeliwali z rozkazu CzeKi – Chińczycy, a Europa pozwoliła na to! No a teraz? Teraz nie ma przecież działań wojennych, nikt nie stawia oporu, sytuacja nie jest napięta, a to potworne, niesłychane okrucieństwo wciąż trwa. To z gruntu nam obce, nie rosyjskie zjawisko. Rosjanie nigdy nie byli okrutni. Nasz motłoch może wpaść we wściekłość i wtedy jest straszny jak każdy tłum, lecz okrucieństwo tłumy to przemijający *żywiol*. Okrucieństwo bolszewików jest rozmyślnie, należy do systemu. Te sieci łagrów, tortury w kazamatach ze specjalnie przeznaczonymi do tego celu narzędziami łącznie z aparaturą zagłuszającą... Tkwi w tym wszystkim coś, co jest nam obce!

– A czyje? – spytała Elżbietka. Wzburzenie Olega udzieliło się i jej, cała się trzęsła.

– Nie wiem. W CzeKa, w ogóle w partii jest mnóstwo Żydów... Cieszą się szacunkiem zapewne jako uciemieżona mniejszość narodowa. Dyrektorzy wielkich przedsiębiorstw, politycy, lektorzy marksizmu-leninizmu to przeważnie Żydzi... Ale ci nie są okrutni! Nie są okrutni, są nawet uczynni, gdy można, gdy nie jest to niebezpieczne. O nie, owo nieludzkie okrucieństwo to ohydna mieszanina naszej rdzennej pugaczowszczyzny z czymś szatańskim, co nie pochodzi od ludzi. Nie ma już Rosji! Nawet nie wymawia się jej nazwy! Niedawno w pracy powiedziałem przez przypadek: „U nas, w Rosji...”, a mój kierownik poprawił mnie: „U nas, w Związku Sowieckim...”. Nie ma już Rosji! A wraz z moim pokoleniem zginie bezpowrotnie białogwardyjska idea jej odrodzenia, idea, w imię której poległo tyle ofiar!

Elżbietka obserwowała, jak wzburzony Oleg miotał się po pokoju niczym tygrys w klatce.

– Ja również... Ja również doszłam do wniosku, że za tym wszystkim stoją jakieś siły okultystyczne, że to pomieszanie – wynika z ciemnoty! – drżącym szeptem zdecydowała się wypowiedzieć swą głęboko ukrytą myśl.

– Możliwe – odpowiedział.

Elżbietce wydało się, że Oleg zbyt mało docenia jej słowa, lecz zmęczenie w jego głosie wzruszyło ją. Wstała, by wyłączyć czajnik z kontaktu, gdyż już od kilku minut syczał i pluł, po czym rzekła znów łagodnie, jak zawsze, gdy zwracała się do Olega:

– Wraca pan prosto „stamtąd”, i to potwornie zmęczony. Musi pan się trochę wzmocnić. Zaraz podam mocnej herbaty... Proszę nie odmawiać. – I zaczęła nakrywać do stołu.

W kilka minut później Oleg powiedział mieszając łyżeczką herbatę:

– Teraz mam przyjemność czekać: śledczy powiedział, że lada dzień przyśle mi nowe wezwanie. Żyć czując przedsmak kolejnego

przesłuchania... Pokorne dzięki! Zresztą nie pójdę tam więcej!

– Jak to, nie pójdzie pan? Jak przyjdzie wezwanie, trzeba będzie iść. W przeciwnym razie oskarżą pana o uchylanie się od obowiązków. Olegu Andriejewiczu, niech pan nie traci rozsądku!

Milczał, jakby się nad czymś zastanawiając.

– Cóż, za wcześnie o tym mówić, jeszcze nie nadeszło to wezwanie – rzekł po kilku minutach.

Dotknęła jego ręki:

– Ależ o czym pan myśli? Musi pan na siebie uważać, dla ojczyzny, dla Rosji! Może nadejdzie chwila, gdy będą potrzebni tacy jak pan – z wojskowym doświadczeniem, z nazwiskiem, z niezłomną energią i oddaniem sprawie!

Spojrzał na nią oczyma, w których rozgorzał płomień:

– Och, gdyby ta chwila nadeszła! Rosja, ojczyzna! Gdybym wiedział, że dożyję wyzwolenia, że jeszcze mogę być pożyteczny! Chyba tylko ta myśl może sprawić, bym pragnął żyć. Bóg mi świadkiem – wcale nie myślę o własnej wygodzie, o odzyskaniu straconego majątku, przywilejów, tytułu. Nawet nie pragnę restauracji monarchii. Byłem z nią związany tradycją rodzinną, lecz tych ludzi już nie ma. Zresztą rzeczywistość dowiodła, że ta forma rządów przeżyła się. Albo jak na razie jest niewłaściwa. Myślę teraz tylko o Rosji. Potrzebny jest ustrój, w którym nasz naród istotnie mógłby rozkwitnąć, wykształcić swoje najlepsze cechy. Zginać w bojach, które zmiotą z oblicza ziemi to podle CzeKa – oto czego chcę dla siebie, taką mam ambicję! Wie pani, że w łagrze nieraz marzyło mi się powszechne pospolite ruszenie, coś podobnego do bitwy na Kulikowym Polu lub w czasach Wielkiego Zamętu – potężne, zgodne dążenie całego narodu, wielka decydująca bitwa, chorągwie, bicie dzwonów, słowa pieśni „Ratuj, Panie, lud twój”. Lecz nim do tego dojdzie, zginę pewno w ich kazamatach. Wszystko zdrętwiało, ucichło – nic nie zapowiada upragnionej walki!

Elżbietka słuchała jak zaczarowana nie śmiejąc się ruszyć,

każdy jej nerw drżał. O tak! Jest zdolny do wielkiego czynu! Jeszcze nie złamali w nim ducha wielkich przodków. Jest taki, jakim chciała go widzieć – to jej Pożarski!

Ktoś zastukał do drzwi. Elżbietka z niechęcią poszła otwierać i omal nie jęknęła: stała przed nią Anastazja Aleksiejewna, a za nią, popychając się nawzajem łokciami, trzy kumoszki.

Natychmiast zrozumiała całą kłopotliwość sytuacji: doskonale wiedziała, jak bardzo się skompromituje, jeśli nie pozwoli wejść Anastazji Aleksiejewnie, lecz wiedziała i to, że nie wolno w żadnym wypadku, by zobaczyła ona i rozpoznała Olega. Zdecydowała się iść *va banque* – stanęła przed drzwiami, zasłoniła je ciałem i rzekła:

– Anastazjo Aleksiejewno, moja droga, przykro mi, ale nie mogę teraz pani przyjąć.

A gdy odprowadziwszy skonfundowaną i przeproszającą kobietę do drzwi zamknęła je za nią i odwróciła się, znalazła się twarzą w twarz z całym żeńskim kolektywem mieszkania; wszystkie sąsiadki przyglądały się jej chichocząc. Strój Elżbietki był ku ich zdziwieniu, bez zarzutu, łącznie z białym kołnierzykiem i czarną kokardką na szyi, ale do pokoju nikogo nie wpuściła... „Wyskoczyła z łóżka!” – dobiegły jej uszu wypowiedziane plugawym szeptem słowa.

Odwróciła się błyskawicznie i zmierzyła spojrzeniem tę, która to powiedziała.

Wstając, by się już pożegnać Oleg spytał:

– Ma pani do mnie jakąś sprawę? Byłbym rad, gdybym mógł w czymś pomóc.

– O nie! To drobnostka, zaproponowano mi lekcje francuskiego, a ja nie jestem przyzwyczajona do uczenia dzieci. Może pan je weźmie?

Podziękował, zapisał telefon i nawet nie przyszło mu do głowy, że oddała mu zarobek, który ją z początku bardzo ucieszył, marzyła, że wyda te pieniądze na książki.

Ileż ciepłych słów chciała powiedzieć Olegowi na pożegnanie! Jakże chciała mocno uścisnąć jego rękę! Ale nie ośmieliła się na nic, szepnęła tylko:

– Niech pan się trzyma! Proszę myśleć o przyszłej bitwie! Inne myśli są tylko przejawem słabości!

Wieczorem zamyśliła się głęboko koło posłanego już na noc łóżka. Historia nie porusza się wstecz! Jest oczywiste, że nawet zwykła restauracja monarchii byłaby absurdem, podobnie jak restauracja Burbonów we Francji. A jednak w głębi serca budzi się sprzeciw, gdy słyszy się, jak mówią: „Monarchiczne formy rządów wyraźnie się przeżyły”.

Święta! Ukochana! Wieczna! Jaka forma rządów ci potrzebna, jaka? Liberałowie? Ależ oni chcą, by wszystko było jak w Europie. Nawpuszczają cudzoziemców, a ci, jak szakale rzucają się rozdrapywać smaczne kąski, cofną Rosję do czasów Iwana Groźnego, stworzą dziesiątki rosyjskich republik wielkości Szwajcarii, by łatwiej grabić kraj. Wylecz swe rany, ojczyzno, siłami własnego narodu. Sama to zrób, od wewnątrz. I niech nikt nie wtargnie na twoją ziemię. Obmyj, oczyść się sama, zrodź nowego władcę, miłującego cię Gospodarza!

Klęcząc przed ikoną Elżbietka szeptała ze łzami te słowa, a Rosja słuchała uważnie jej modłów patrząc z bólem na swą córę oczyma Zbawiciela z cudownego wizerunku na chuście świętej Weroniki.

Rozdział dwudziesty szósty

Dziennik Asi

20 kwietnia. Dziś od rana jest też szaro, posępnie i smutno, a pytania babci i madame: „Co ci dolega? Czy dobrze się czujesz?” irytują mnie wprost niesamowicie. Wiem, że robią to z miłości do mnie, ale byłoby lepiej, gdyby dały mi spokój. Wczoraj mieliśmy iść do muzeum, lecz Oleg Andriejewicz nagle zatelefonował i powiedział, że jest bardzo zajęty. Może już mu się nie podobam? Cały wczorajszy dzień przesiedziałam bez ruchu na tapczanie z oczami wbitymi w aparat telefoniczny; dziś to samo i też niepotrzebnie. Czas już spać; wiem, że znów w nocy będę płakała.

22 kwietnia. Dzieje się ze mną coś straszego: czasami budzę się z wrażeniem, że wokół jest pełno światła. Każdy przedmiot w moim pokoju promieniuje blaskiem, wszystko wydaje się przejrzyste i lekkie. Wrażenie to, gdy raz się pojawi, towarzyszy mi zazwyczaj cały dzień, chyba że spłoszy je coś wyjątkowo nieprzyjemnego. Skąd się ono pojawia – nie wiem, dlaczego znika – też nie wiem. Dziś rano obudziłam się z nim; było tak wyraziste, że nie miałam chęci ani poruszać się, ani rozmawiać. Leżałam bojąc się drgnąć, rozkoszowałam się tą dziwną lekkością. Potem, oczywiście, trzeba było wstać, umyć się, ubrać, napić herbaty – wrażenie osłabło, lecz nie znikło. I nagle – wciąż pozostając pod jego urokiem – przypomniałam sobie, jak Oleg Andriejewicz stał na schodach i patrzył na mnie, gdy uciekałam pocałowawszy go. Odchylił lekko głowę i odprowadzał mnie spojrzeniem, z jego oczu płynęły ku mnie jasne promienie, pieściły mnie, osnuwały złotą mgłą. Widzę przed sobą te rozpromienione oczy – nie było w nich wcale smutku ani posępnych cieni. Gdyby rozczarował się do mnie, nie patrzyłby w ten sposób! Zrozumiałam to doskonale. Jak mogłam zapomnieć wyraz jego twarzy i tak sobie tłumaczyć to, co się stało? Ze sto razy wspominałam twarz Olega Andriejewicza, lecz po jego telefonie gniew i uraza straciły mnie w krąg

przyjemnych, samolubnych myśli – nie chcę nawet o nich wspominać! Chwila pocałunku była cudowna, więc jeśli dotąd nie przyszedł, muszą być jakieś inne przyczyny – nie rozczarowanie... Coś z zewnątrz, coś, co minie, tylko co to jest?

23 kwietnia. Oleg Andriejewicz wciąż nie daje znaku życia. Czuję boleśnie, że teraz prócz niego nikt i nic mnie nie interesuje. Dzisiaj Szura poprosił mnie o rękę, wyznał mi miłość! Przyszedł do szkoły muzycznej, by odprowadzić mnie do domu, na co już od dawna pozwala babcia. Pogoda zepsuła się, padał mokry śnieg, on biegł pod tym śniegiem razem za mną starając się zabawiać mnie rozmową. Ja tymczasem, pogrążona we własnych myślach, wciąż przyspieszałam kroku. Zatrzymaliśmy się dopiero w bramie, by otrzepać się ze śniegu. Zdjął ze mnie „byłe sobole”, a potem, narzucając mi je na szyję, powiedział nagle: „Panno Asiu, kocham panią! Wie pani o tym od dawna. Proszę wyjść za mnie, a nikt na całym świecie nie zazna tyle szczęścia co pani”. Odpowiedziałam mu: „Jest pan taki mądry, dobry i miły, że zasługuje na wielką miłość, a we mnie jej nie ma – nie dałabym panu szczęścia. Proszę się na mnie nie gniewać”. Szura pocałował mnie w rękę – coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu!

24 kwietnia. Wczoraj o dziewiątej wieczór ktoś zadzwonił do drzwi. Wyobraziłam sobie, że to Oleg Andriejewicz i ogarnął mnie szalony niepokój – od razu pobiegłam przed ikonę. Ale była to tylko stara hrabina Kokowcewa. Mogłaby spokojnie siedzieć w domu – nikt za nią nie tęskni.

25 kwietnia. Jeszcze jeden dzień bez wieści od niego! Co takiego nas dzieli, co?!

Ci Chryczkowie niezbyt kochają swoje dzieci, na zakąskę i wódkę zawsze mają pieniądze, ale malcy chodzą głodni. Najmłodszy chłopczyk, Pawełek, jest chudziutki i blady. Ma zaledwie pięć lat, a matka wciąż zostawia go bez opieki. Idzie gdzieś w gości lub do łaźni na całe godziny, a mały tęskni. Słyszę, jak skowyczy, nie płacze, a właśnie skowyczy jak chore szczenię. Nie wytrzymałam dziś i weszłam do ich pokoju: „Czego płaczesz? Boli cię coś?” Mały odpowiedział: „Mama wyszła i powiedziała, że

Edek przyniesie mi bułkę, a Edek nie poszedł do piekarni, tylko do kina”. Edek to jego starszy brat. Przyniosłam dziecku bułkę francuską, a babcia rozgniewała się na mnie: „Nie żal mi bułki, ale musisz zrozumieć, że należy trzymać się jak najdalej od tych ludzi. To nie nasze środowisko. Mały opowie, że weszłaś do pokoju i jeszcze nie wiadomo, co na to powiedzą. Twoje najszlachetniejsze intencje mogą zostać oplute”. Może to i prawda, lecz w takim razie na co komu „najszlachetniejsze intencje”, skoro nie można ich wcielać w życie? Ten dzieciak jest taki samotny, blady, niemal siny – czy można na coś takiego patrzeć obojętnie?

26 kwietnia. Wielki Poniedziałek. Czy to możliwe, że wszystko między nami skończone?

27 kwietnia. Wielki Wtorek. W domu zaczynają się przygotowania do Wielkanocy. Rano umyto okna i wytrzepano dywany. Twaróg już został kupiony, leży w kuchni pod stosem grubych książek. Gdy byłam mała, zawsze biegłam patrzeć, ile nakapie z niego wody, gdy wyciskano go nad cebrzykiem, więc dźwięk kropel przypomina mi dzieciństwo. Byłam na Wieczerni. „Twój pałac” i „Oto twój narzeczony”, jakie to smutne i piękne pieśni! Po powrocie ulokowałam się na fotelu w babcinej sypialni i długo obserwowałam płomyk w błękitnej lampce przed starodawną półką z ikonami wciąż myśląc o nim – samotnym i z maltretowanym. Czuję, że jego dusza wrywa się ku mojej, przyzywa ją. Wiem, że jestem mu potrzebna. Jego los był tragiczny, a ja byłam szczęśliwa niemal we wszystkich dniach mego życia! Wyczerpało mnie pragnienie, by go pocieszyć i ogrzać. Czy naprawdę już nigdy nie przyjdzie? I nigdy więcej nie rozpromienia się jego oczy? Nie chcę, żeby tak było! Nie chcę! Nie będę już pisać. Narysuję linię i zakończę! Dość już tego!

W Wielką Środę Nina siedziała z Natalią Pawłowna w przytulnej sypialni starszej damy. Drżący płomyk lampki oświetlał oczy pełne łez i potargane włosy Niny.

– Ależ Ninko, uspokój się! Choćbyś nie wiem jak długo

płakała, łzy nic nie pomogą – mówiła Natalia Pawłowna z właściwym sobie opanowaniem. – Wyjedź gdzieś na pewien czas, a potem się zobaczy. Jak tylko uda się sprzedać fortepian, dam ci całą tę sumę na podróż do Siergieja. Przez wszystkie te lata troszczył się tylko o nas, więc przyrzekłam sobie, że zrobię wszystko, byście mogli się spotkać. Weź cały urlop i może trochę urlopu bezpłatnego i jedź na miesiąc lub półtora. Mikę wezmę na ten czas do siebie. Tylko nie trzeba liczyć na ślub w cerkwi. To nowa miejscowość, Ninko, dopiero się tam budują, cerkwi, rzecz jasna, nie ma. Zarejestrujcie się w urzędzie stanu cywilnego i zamieszkajcie razem. W przeciwnym razie wasz ślub odsunie się Bóg wie na jak długo. Jeśli później będzie to możliwe – weźmiecie ślub w cerkwi. Postawiono nas w takiej sytuacji, że chcąc nie chcąc musimy rezygnować z naszych najświętszych tradycji.

Nina ucałowała rękę Natalii Pawłowny z pokorą posłusznej dziewczynki, w jaką przeobrażała się zawsze w tym domu.

– Wisi jeszcze nade mną miecz Damoklesa – powiedziała. – Jeśli w GPU dowiedzą się, kim jest Oleg, wyślą mnie na pięć lat do łagru, a jego... Jego na tamten świat.

– Oleg Andriejewicz postąpił chyba nierozważnie zamieszkując u pani i spotykając się z panią na oczach wszystkich – rzekła Natalia Pawłowna z zadumą. – W ten sposób naprowadził GPU na swój ślad...

– Tak, to możliwe, ale już od dwudziestego drugiego roku nosi nazwisko Kazarinow i jak dotąd wszystko pod tym względem było w porządku. Nie mogę go oskarżać, że mnie odnalazł – gdy Dymitr umierał, powiedział mu: „Nina... dziecko... Nina...” – tak jakby polecał nas jego opiece. A gdy Oleg się dowiedział, że moje dziecko zmarło, ja zaś jestem narzeczoną Siergieja, chciał odejść, tylko dokąd miał iść?! Natalio Pawłowno, dokąd? Tyle cierpień, tyle przeszkód, i to ze wszystkich stron!

Za fotelem starszej pani rozległy się ciche kroki.

– Asiu, to ty? Wróciłaś już, dziecko?

– Tak, babciu. W cerkwi był taki tłok, że ciocia Zina źle się poczuła. Na ulicach jacyś ludzie zatrzymują pątników i ciocia Zina mówi, że jutro nie będzie można nieść świec od dwunastu ewangelii. – Po chwili milczenia Asia cicho zapytała: – Rozmawiałyście o Olegu Andriejewiczu?

– Tak – Nina spojrzała bacznie na dziewczynę.

– Proszę powiedzieć, co mówił pani o łagrze? Czy go tam bardzo... męczyli? – głosik Asi drgnął.

– Opowiada niechętnie, mimo to coś wiem. Przez dziesięć godzin z rzędu ładował drewniane belki zanurzony po pas w wodzie, w dodatku ciągle głodny... Jest tam niezwykle okrutny system kar – są budowle z bierwion bez okien i drzwi, do których wtrącają na noc winowajców bez ubrania podczas największych mrozów. Tak, tak! Trudno uwierzyć, ale to prawda! Sam przeżył to dwukrotnie. Zamykają i jeszcze dogadują: „Nie podoba się wam władza sowiecka, to spróbujcie, jak smakuje władza sołowiecka!”

– A czym zawinił Oleg Andriejewicz? – spytała Natalia Pawłowna.

– Pewnego dnia, gdy szli w szeregu do pracy, stary mężczyzna, idący przed Olegiem, upuścił jakąś kartkę. Oleg spiesznie ją podniósł i wręczył temu człowiekowi. Natychmiast wszczęto alarm – konwojenci wyobrazili sobie, że Oleg i tamten porozumiewają się potajemnie, że szykują ucieczkę. Otoczyli ich, zrewidowali, i choć nic nie znaleźli, wsadzili obu na całą noc do karceru.

– Przerażające – westchnęła Natalia Pawłowna. Asia milczała.

– Innym razem wlekli w jego obecności do karceru kobietę – ciągnęła dalej Nina – też więźniarkę polityczną. Tylko, że to była dawna rewolucjonistka, Żydówka. Krzyczała: „Nie o to walczyliśmy! Jesteście uzurpatorami rewolucji! Swym okrucieństwem dawno prześcignęliście carskich żandarmów!” By zmusić ją do milczenia, zwalili się na nią zatykając jej usta. Kilku więźniów, wśród nich także Oleg, rzuciło się kobiecie na pomoc.

No i doszło do bójki. Dodali za to każdemu po półtora roku.

– A Żydówka? – załamującym się głosem spytała Asia.

– Od tamtej pory ślad po niej zaginaj. Pewno rozstrzelali. Przez kilka minut kobiety milczały.

– Ja tych łagrów boję się jak ognia! – zawołała nagle Nina z oczyma pełnymi grozy. – Na szczęście Siergiej uniknął tego losu.

– A kiedy wypuścili Olega Andriejewicza? – spytała Natalia Pawłowna.

– W październiku zeszłego roku. Jeszcze przez miesiąc pracował tam jako najemny robotnik, chciał uzbierać trochę pieniędzy na drogę, a potem jechał całe dwa miesiące. W podróży umęczył się potwornie – przemierzał pieszo traktem ogromne odległości. Tam, koło Kemi, w listopadzie jest już zima, od wsi do wsi mnóstwo wiorst, ciepłej odzieży nie miał, a chłopci nie chcieli dawać noclegu – wszystkich biorą za zbiegów z łagru, boją się, że ich oskarżą o ukrywanie przestępców. Też są wystraszeni. Pewnego razu nawet zdarzyła się tragicomiczna historia: do pewnej wsi Oleg dotarł nocą i nikt nie chciał wpuścić go do domu, odpędzali go od wrót, rzucali jak w psa kamieniami. Pokazał im papier, że jest już zwolniony, lecz oni niepiśmienni, przeczytać nie mogą, a wierzyć nie chcą. Strasznie był głodny i zmarznięty, myślał, że upadnie na ulicy. Zrozpaczony zaczął szukać posterunku milicji. Gała wieś śpi, wszystkie wrota zamknięte, wszędzie zasy... Nagle ktoś łapie go za kołnierz – stój! Skąd się tu wzięłeś? Pokaż dokumenty! Milicjant! Oleg ucieszył się, jakby zobaczył przyjaciela: właśnie was, powiada, szukam! Zabrali go na noc, posadzili przy piecyku i nawet dali gorącej herbaty. Trafili się przyzwoici milicjanci. Innym razem spotkał wilka. Wilk był chyba równie głodny i na wpół żywy jak Oleg – włókł się z tyłu za nim, nie miał odwagi atakować. Oleg kulał – miał startą nogę w zniszczonych butach, a wilk też przypadał na łapę – może wyrwał się z sideł? Oleg wspominał: „Idę, co jakiś czas oglądam się na milego towarzysza podróży, a on też przystaje i gapi się na mnie – zgrzyta zębami i przelyka ślinę. Tak jakby mówił: rzuciłbym się na

ciebie z ochotą, ale trochę się boję – sił mi brak”.

– No i jak się to skończyło? – spytała Natalia Pawłowna.

– Na szczęście Oleg znalazł dębowy kij, poniewierający się na śniegu. Zamachnął się i krzyknął „wyczha!” jak myśliwy. Wilk uciekł, lecz proszę sobie wyobrazić w jakim stanie Oleg wrócił do nas po tych wszystkich przygodach! A zdrowie już nie to, co dawniej: w boku ma przecież odłamek. Lekarz w rejonie chciał go wysłać do szpitala na operację, ale Oleg się nie zgodził.

– Dlaczego? – spytała Asia.

– Mówi, że musi zarabiać, a jego zdrowie nikomu nie jest potrzebne... Czasem wydaje mi się, że bliski jest samobójstwa. Już raz próbował się zastrzelić... Na szczęście, się nie udało.

Asia schwyciła ją za rękę:

– Strzelał sam do siebie?

– Tak. Tuż przed Bożym Narodzeniem. Ale nie wypalił rewolwer. Potem go wykradłam i wrzuciłam do Newy.

– Ale on może znowu... jakoś inaczej!

– Też się tego boję. Oficerom zdarzało się to często, a w takiej sytuacji...

– Ale dlaczego przestał do nas przychodzić? – policzki Asi zapłonęły.

– Nie chce narażać przyjaciół. Przed kilkoma dniami wezwali go do GPU – chyba podejrzewają, że ma fałszywe dokumenty. Na razie burza przeszła obok, ale...

Zegar na kominku wybił godzinę dziesiątą.

– Asiu, kąpiel jest przygotowana, pożegnaj się z Niną Aleksandrowną i idź – powiedziała Natalia Pawłowna. – Asia nie będzie dzisiaj z nami jadła kolacji, pani Nino – jutro przystępuje do Komunii świętej.

Asia podeszła do Niny, objęła ją za szyję.

– A dzisiaj... dzisiaj nie zrobi sobie krzywdy? – wyszeptała drżącymi wargami.

Nazajutrz rano Asia stała w cerkwi w oczekiwaniu na komunię. Jej oczy patrzyły na ołtarz, za którym właśnie tajemniczo zasunęła się zasłona. Przed chwilą się wyspowiadała, lecz miała wrażenie, że jakoś niewystarczająco.

„O Panie, wybacz mi! Wiem, jestem niedobra! Lenię się pomagać madame i często zostawiam ją samą, kiedy krząta się w kuchni lub w jadalni. Zarzuciłam cerowanie pończoch – robi to tylko madame. Wobec babci też nie zachowuję się jak należy, gdy siedzi smutna w swojej sypialni, chociaż wiem o tym, nie idę do niej, zwłaszcza gdy czytam ciekawą książkę lub mam ochotę grać na fortepianie. Czasem nawet przez cały dzień nie wspominam wujka Sierioży. Złoszczę się na Szurę Krasnokutskiego, a on tak mnie kocha, taki jest zawsze cierpliwy i troskliwy. Zbyt często się śmieję, choć wokół tyle nieszczęść. Uwielbiam się stroić, wciąż marzę o nowej sukience lub nowych pantoflach. Wybacz mi, Panie Boże! A teraz znowu „Ektenija”... To za dusze zmarłych! Zbaw, Panie Boże, dusze mamy mojej Olgi i chłopczyka Wasilija. Zbaw duszę oficera Wsiewołoda, którego zabili, i ordynansa taty Grigorija, też zabitego! Był taki dobry, troskliwy! Nikt nie umiał lepiej niż on napompować mi piłki. Zbaw też dziadka i wszystkich żołnierzy, i tę biedną Żydówkę, która tak odważnie krzyczała w łagrze... Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie! I niech spoczywa w spokoju moja biedna suczka Diana, była przecież samą miłością! Za zwierzęta też można się modlić, jestem pewna. Chrystus mówił, że nawet jedno ptaszę nie zostanie zapomniane przez Boga. O, znów odsuwają zasłonę... Zaraz zaintonują „Pieśń Cherubinów”. Gdyby tak zaśpiewali dziewiątą Bortniańskiego – to wprost niebiańska muzyka, słyhać niemal szelest skrzydeł anielskich, takich jak te, które Wrubel namalował królownie Łabędzicy. Aniołowie chyba są w kopule – o tam, wysoko, gdzie widać promienie słońca. To tam wznosi się dym kadzidła. Szelest skrzydeł anielskich... Napiszę kiedyś uwerturę i dam jej taką

nazwę. Będzie w niej słyhać ten szelest i pozaziemskie głosy. Gdybym teraz siadła przy fortepianie, już bym zaczęła komponować. Już wszystko we mnie drga... Ileż światła pod powiekami, gdy zamknę oczy, i wydaje mi się, Panie Boże, że słyszysz mnie Ty lub ktoś z Twoich świętych... O Boże, ratuj Olega Andriejewicza! Promienne, cudowne istoty, pomóżcie mu, tyle przecież wycierpiał! Nie pozwólcie mu odebrać sobie życia, powstrzymajcie go! Czy nikt nie przyjdzie mu z pomocą? Ten, kto się modli, sam powinien być gotów na wszystko. No cóż, niech bierze moje życie, nie boję się, wcale się nie boję «tragicznej drogi bez nadziei». Byle nie rzucił się do Newy lub pod tramwaj. Trzeba się na coś zdecydować... Co robić? Napisać do niego list? Napiszę już dziś, zaraz napiszę!”

Odśpiewano „Ojcze nasz” i „Ekteniję”. Ci, którzy chcieli przystąpić do komunii, zaczęli przysuwać się w stronę ambony.

„Już za chwilę!” – mówiła do siebie drżąca z oczekiwania Asia.

Rozpięła ciemny, granatowy zakieciak przerobiony z angielskiego kostiumu Natalii Pawłowny, wydobyła na zewnątrz kołnierzyk białej bluzki, poprawiła na szyi medalion z portretem ojca i skrzyżowała dłonie na piersiach.

„Panie Boże, wysłuchaj moich błagań: ocal Olega! Przystępuję zamiast niego do sakramentów świętych! Nie wiem, czy tak można, ale Ty, Panie, nie znasz rzeczy niemożliwych. Niech Twoja łaska i radość przenikną do jego duszy! Pomóż mi go ocalić!”

Odsunęła się tajemnicza zasłona, rozwarły się Carskie Wrota. Asia wraz ze wszystkimi uklękła, lecz powtarzając za kapłanem słowa modlitwy zastępowała zaimki „mnie” i „dla mnie” imieniem Olega. Potem cicho ruszyła, by przystąpić do świętego sakramentu.

Zbliża się! Jest już całkiem blisko! Za chwilę popłynie ku niej cudowna świeżość, tchnienie rajy. Przypomniała sobie wiersz:

*Czy to wietrzyk z niebiańskich ogrodów
Duszę zmęczoną, serce cierpiące koi?*

Ktoś za nią przepychał się przed ołtarz, potrącał ją. Odwróciła się i zobaczyła beznogiego starca, chyba żołnierza, miał na piersiach Krzyż św. Jerzego, pełzał, przesuwając się za pomocą rąk. Cofnęła się, by go przepuścić.

– Ksenia – odpowiedziała przed obliczem Eucharystii. – „I Oleg” – dodała w myślach.

Przyjąwszy komunię wyszła ze strumienia przesuwających się w skupieniu ludzi i wycofała się na bok. W kieszeni miała ołówek i kartkę. Przeszła na drugi koniec cerkwi i siadła na stopniu przed ikoną, a strumień ludzi przystępujących do komunii wciąż płynął. Napisała kilka słów i złożyła karteczkę.

Koło niej przystanęły dwie niemłode damy w staromodnych pelerynach i kapeluszach. Jedna to Wiera Michajłowna Molias, żona szambelana, uwięzionego na Sołowkach. Druga – Anna Pietrowna, córka generała Troickiego. Opiekuje się dwojgiem dzieci swojej młodszej siostry, którą skazano na obóz koncentracyjny tylko za to, że jej mąż był oficerem marynarki, białogwardzistą i emigrantem. Damy dzieliły się swymi zmartwieniami. Molias, grasejąc, skarżyła się na brak pieniędzy, natomiast spoza smutku niemłodej córki generała wyzierała duma: cierpiąc biedę z dwojgiem dzieci nie sprzedawała trofeów, odziedziczonych po ojcu, strzegła ich jak świętości. Były to tureckie malachitowe półksiężycy zdjęte z murów Plewny – w swoim czasie podzielili się nimi generałowie, zdobywcy tej twierdzy. Ale czyż można coś upilnować w komunalnym mieszkaniu? Sąsiedzi wykradli półksiężycy i sprzedali je na bazarze.

– Zaniósłabym je do muzeum, gdybym wiedziała, czym to się skończy! To pamiątka po sławie rosyjskiego oręża. Ach, dziś Rosjanie stracili szacunek dla swej przeszłości! – i przykładała

chusteczkę do oczu.

Asia usłyszała, jak Anna Pietrowna mówi do Wiery Michajłowny:

– *Voilà la fille du colonel Bologovskoy, qu'on a fusillé à Crimée. Elle est charmante, cette orpheline!*⁴⁰

Asia podeszła, by się przywitać. Gdy starsze panie opuściły ją, by przyjąć Komunię świętą, znów zatoneła w myślach. Chciała jak najprędzej iść na pocztę, kupić kopertę i wysłać list, lecz wiedziała, że nie wolno wyjść z cerkwi, póki Kielich nie wróci na ołtarz. Czekala więc. „Jutro wyniesienie Całunu – myślała. – Będą śpiewać » Rozbójnika« i »Daj mi tego wędrowca...« Jakie piękne pieśni! Daj mi...O Panie, daj mi Olega! »Daj mi tego wędrowca, bowiem nie ma gdzie głowy skłonić...«”

Obok niej przeczołgał się, odpychając się od podłogi rękami żołnierz-kaleka. Asia wcisnęła mu trzy ruble mówiąc:

– Weź, żołnierzyku, niech ci się dobrze wiedzie!

– Dzięki, zacna panienko! Pani również – odpowiedział inwalida.

I oto wreszcie błogosławiąc tłum wysoko podniesioną monstrancją duchowny wyniósł ją poza ołtarz. Asia pochyliła głowę tak jak wszyscy, precisnęła się do drzwi i chyżo pomknęła ulicą.

⁴⁰ Voilà la filie... (fr.) – To córka pułkownika Bołogowskiego, rozstrzelanego na Krymie. Jakaż ona urocza, sierotka!

Rozdział dwudziesty siódmy

Żołnierz, który rozmawiał z Asia, długo nie wychodził potem z cerkwi, czołgał się od ikony do ikony. „Odpuść mi moje winy, Panie – szeptał pod krzyżem. – Tak, jestem podły, wiele mam grzechów na sumieniu! Ale wybacz mi, tyle wycierpiałem! Sam wiesz, ilem się umęczył, kaleka bez rodziny, dachu nad głową, złamanej kopiejki. Wszystko to, Tobie, Panie, wiadome jest, więc nie potępisz mnie, sługi swego”. Kaleka patrzył smutno, jak ludzie spieszą z cerkwi do domu: każdego wygląda gospodyni, dziatwa lub inni krewniacy. On zaś jest samiuteńki jak palec, nikt nie uzali się nad nim, nie ucieszy w dniu święta. Gdyby tylko jedną nogę stracił, nie byłoby jeszcze najgorzej. Ale, widocznie, tak już jest – jak nieszczęście do człeka przylgnie, już go nie opuści. Gdyby żyła Alonka, nie zwracałaby na jego kalectwo uwagi, nie czułaby wstępu do męża, gdy ten, niczym robak po ziemi się wije – na odwrót, jeszcze by go bardziej kochała: Stwórca złotym sercem ją obdarzył. Ale Bóg dał, Bóg wziął! Pewno teraz między świętymi raduje się na niebiesiach, może i na niego czasem zerknie: jaką teraz mój Jefim cierpi poniewierkę? „Spójrz na mnie, spójrz, Alonko, i pomódl się za mnie do wszystkich świętych! Niech Bóg jak najszybciej da mi śmierć spokojną, bez hańby, wieczny odpoczynek na tym padole łez, i niech sprawi, byśmy znów się spotkali – śmierć wyda mi się wtedy upragnionym gościem!”

„Panie Boże, racz dać wieczne odpoczywanie moim zmarłym” – szeptał kaleka przed kanunnikiem⁴¹. „Żonie mojej Alonie i synom zaginionym bez wieści! Rodzicom moim – Symeonowi i Awdotii, a także pułkownikowi Konstantinowi, wiernemu słudze Twemu! Pamiętaj też o prawowiernym carze naszym Mikołaju, uśmierconym wraz z potomstwem swym, i o moich kolegach z pułku. Niemal wszyscy, których wspomnę, są już na tamym świecie! Czas i na mnie...”

⁴¹ Kanunnik (cerk.) – niski stół z krucyfiksem, przy którym odmawia się modlitwę za zmarłych.

Cerkiew opustoszała, a on wciąż nie wychodził.

Za trzyrublowy banknot, jaki dała mu panienka, postanowił kupić herbaty, zaparzyć mocnej i gorącej, dogodzić sobie, grzesznemu. Jaka poczciwa panienka! Pewnikiem szlachcianka – córka generała lub pułkownika. Użaliła się nad żołnierzem, dała pewno tak dużo za Krzyż św. Jerzego. I taka ładniutka – biała jak cukier i szczupluteńka, jak figurka z porcelany, a rzęsy niczym kotara! Na paradach wojskowych widział w karetach takie panny; dzisiaj już takich nie ma. Podobna trochę do Tatiany, carskiej córki. Widzi ją, nieboszczkę, jak żywą przed oczyma, gdy zbliżała się do niego ze słowami „Chrystus zmartwychwstał!” w niedzielę wielkanocną. Pułkownik – jaśnie wielmożny Konstantin Aleksandrowicz – ustawił go wtedy w pierwszym szeregu roty: wiadomo było, że zachować się umie i wygląd ma, nie wstyd było pokazać. Sroce spod ogona nie wypadł – były takie czasy! Więc chyba grzech narzekać na los, skoro wielką księżniczkę zastrzelili lub udusili, a miała zaledwie dwadzieścia lat! Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie! Kochała Rosję, chcieli ją wydać za rumuńskiego królewicza – nie poszła! Pragnę – mówiła – pozostać Rosjanką! No i została; zamiast korony carskiej dali jej mogiłkę, choć właściwie i mogiłki nie ma. Och, grzechy nasze, ciężkie grzechy!

Przyszli dozorczy, by zamknąć cerkiew, więc chcąc nie chcąc powlókł się w stronę wyjścia.

– Chyba to Jefim Siemionycz! Czy to ty, rodaku? – zawołał do kaleki niemłody mężczyzna statecznej postury.

Rozpoznał w nim kolegę z pułku i sąsiada z wioski, którego od czasu do czasu widywał. Wymienili kilka zdań.

– Właśnie byłem u Komunii świętej. Chodźmy do mnie, Jefimie Siemionczu. Żona czeka z herbatą. Herbatką z cukrem i postnymi sucharkami wolno nam sobie dogodzić. Pogadamy, powspominamy stare dobre czasy.

Istotnie, wciąż mówili o dawnych czasach: jakie walki toczyli z Niemcami pod Lwowem i Dwińskiem oraz z bolszewikami pod

Perekopem. Wspominali generałów i zwykłych żołnierzy – nawet wypili po kieliszku za ich pamięć. Wspominali paradę wojskową i młode księżniczki, po czym zgodnie doszli do wniosku, że matka-Rosja jest dzisiaj Jakaś inna” – jakby ją kto podmienił. Lata bywały dawniej cieplejsze, a zimy bardziej mroźne, zboże rosło wysokie niczym ściana, nie to co teraz, w piecach ogień buzował goręcej – widocznie nie żałowano drewna, warkocze dziewcząt były piękniejsze, pieśni dłuższe, bliny smaczniejsze! A przede wszystkim zmienili się ludzie – byli weselsi i lepsi!

– Oj, inna jest Rosja niż dawniej, inna! Zmarnowali ją. Wszystko przez tych przeklętych Żydów. Pij herbatkę, rodaku, głowa do góry, chyba taki już los nam wypadł.

– Twój los jeszcze nie taki najgorszy, Makarze Grigoriewiczu. Masz przecie pokoik, żonę, dorosłe dzieci. Nie grzesz. Nie można porównywać mnie i ciebie.

– Dzieci? Ech, rodaku, nie znasz moich zmartwień – jakbyś znał, tobyś nie gadał. Jak mnie wzięli na wojnę z Niemcem, mojemu Jegorce szedł trzynasty roczek. A w dwudziestym, gdy bolszewicy zdobyli Teodozję, spotkaliśmy się z synem. Pędzą nas czerwoni, by przeformować i rozbroić oddział, patrzę i własnym oczom nie wierzę: czy to aby nie mój chłopak? A jakże, on sam! Z karabinem, rosły, urodziwy, w czerwonoarmiejskim szynelu i czapce, konwojuje nas. Więc zawołałem po ojcowsku: „Hej, Jegorka, synu mój!” A on na to: „No no, gdzie też cię odnalazłem, tatko! Wojaczki ci się zachciało, stary pryku? Uważaj, żeby nasz komisarz nie kazał przedziurawić cię kulką. Powiem przy moich towarzyszach: podoficer od Wrangla nie jest dla mnie ojcem!” Tak ich szcują na nas, rozumiesz? Od tamtej pory nie widziałem go. A trafić na mój ślad łatwo – w naszej wiosce znają mój adres. Tak to jest z moim synem. No a z córką też bieda. Już piąty rok minął jak nasza Pola wyszła za partyjniaka. Chłop nie pije, robota pali mu się w rękę, jeno bezbożnik z niego i nie szanuje starszych. Dzieci na świat przyszły – imiona chrześcijańskie rodzicom nie w smak, synka nazwali Kimem, a dziewczuszkę – Elektryfikacją. Kim – to jeśli chcesz wiedzieć, komunistyczny internacyjonał albo coś w

tym guście. Wnuczkę w tajemnicy przed nimi zanieśliśmy z żoną do cerkwi na chrzest święty, ale wnuczek nie ochrzczony. Gdyby mi kto dawniej powiedział, że będę miał nie chrzczonego wnuka – pewno bym go z domu wypędził. Nie uwierzyłbym, że to możliwe. A ile było krzyku i wyklinania, jak się dowiedzieli, że dziewczuszka ochrzczona! Rozgniewali się na nas śmiertelnie – od tamtej pory nie przychodzą. Żona moja Agrafiena po ziemi się tarzała: „Nie chcę – krzyczy – Elektryfikacji: Kima twojego, antychrysta, ze schodów zrzucę!” Ale serce ją boli; jak coś upiecze lub usmaży, zaraz wzdycha, poczęstowała by wnuczków! Wybiera się do łaźni: ach, zabrałaby ze sobą dzieciaki, miotełką by je wysmagała! Kim! Ach, bezbożnicy! Kim! I wyje z rozpacz. Inspektor skarbowy nie daje nam spokoju: reperuję buty, szyję też nowe, więc zatruwa nam życie, o każdej porze dnia i nocy trzeba draniowi otwierać! Przyłazi liczyć obcasy. Kazał zapłacić podatek – myślał, że nie dam rady! Sprzedaliśmy salopę żony, samowar i obrączki – starczyło, by się rozliczyć. Dość tego – myślę. – Pójdę lepiej do fabryki. I nawet znalazłem pracę, ale mnie wyrzucili! Gdy złożyłem papiery do związku zawodowego, zwołali zebranie aktywu i sprawdzali, com za jeden. Jak się wywiedzieli, że w carskiej armii służyłem, przyczepili się do mnie: „Gdzieś był podczas wojny domowej, dlaczegoś służył białym? Zdradziłeś klasę robotniczą”. Służyłem, powiadam, wiernie, temu, komu składałem przysięgę; robotnikiem przedtem nie byłem nigdy; jak mnie teraz do siebie przyjmiecie, będę i wam służył uczciwie, tak jak niegdyś Najjaśniejszemu Panu. Już, powiadam, moja służba w carskim wojsku, świadczy, że nie zdrajca i nie łajdak, jeno człowiek pewny. „A na co ci był warsztat szewski?” – wrzeszcza. Durnie z was, powiadam, musiałem z czegoś żyć! Wtedy zerwał się jakiś żółtodziób: „Widać tutaj – drze się – zwyrodniałe oblicze wroga klasowego!” Nic, powiadam, nie widać, prócz twojej głupoty! Podniósł się zgiełk, musiałem wycofać podanie. A w pięć dni później zwolnili mnie, na co im wrogi element? Znów wziąłem się za szewską robotę, tylko już ostrożniej, gotowe buty chowałem w piecu lub w spiżarni pod grochem. Całą młodość wojowałem – i do łba mi nie przyszło, że na stare lata przyjdzie mi niczym

złodziejowi kluczyć. No a mieszkanie jest komunalne, sąsiadka życie nam zatruwa. Ani do płyty kuchennej ani do łazienki zbliżyć się mojej żonie nie pozwala. „Tylko spróbuj! – krzyczy – liczę waszych klientów, doniosę do urzędu skarbowego!” Więc co robić? Siedzimy jak myszy od miotła. Nocą przewracam się z boku na bok: O Boże, myślę, gdybym robił coś złego, ale to za własną krwawicę tyle muszę cierpieć. Dlaczego dawniej nie było zbiorczych mieszkań i inspektorów finansowych? Gdy ktoś sobie zapracował, wszystko było w porządku! Jak zechciałem – sam mogłem w całym domu mieszkać, nikt mnie do niczego nie zmuszał! Słyszałem też, że w wielu krajach stoją pomniki ku czci nieznanego żołnierza, a u nas żyć nie dają weteranom... Coś się tak zamyślił, Jefimie, ty chyba wcale nie słuchasz?

– Mam pewien kłopot, bracie... Może mi poradzisz? Co dwie głowy, to nie jedna. Pamiętasz, był w naszym pułku porucznik Daszków, syn dowódcy korpusu?

– A jakże! Dymitr Andriejewicz, tylko nie porucznik, a kapitan.

– Gdzie tam! To jego starszy brat. A ten, jak zjawił się w naszym pułku, był świeżo po naukach. Staliśmy wtedy pod Dwińskiem. Trafiłem do jego plutonu; potem biliśmy się z Niemcami i z bolszewikami. Chłop do rzeczy, w naszym plutonie go lubili. Nie, nie bratał się z żołnierzami, ale nie pozwalał nikogo krzywdzić – bronił swoich ludzi, a jak dostawał z domu paczki, zawsze się nimi dzielił – oddawał cukier i tytoń, i herbatę. Nie rozczulał się nad sobą, szedł na każde niebezpieczne zadanie. Mówił, że jest zaczarowany, że kule się go nie imają. Fakt, cztery lata był pod ogniem i wciąż cały. Za to potem mocno oberwał. Cały nasz pluton stał bez czapek, gdy kładli go na noszach. Myśleliśmy, że umiera. Wasilij Fiodorow był jego ordynansem. Przyniósł go na rękach do jednostki – może szli razem na zwiad? Pamiętasz Wasilij a?

– Pamiętam! Równy chłop! Wzięli go ponoć do łagru na resocjalizację i wszelki ślad po nim zaginął. Ale dlaczego pytasz o porucznika?

– Bo widzisz, trzy miesiące temu spotkałem jego wielmożność na ulicy. Zdziwiłem się bardzo: odmawiam za niego „wieczne odpoczywanie”, a on żyje! Szynel połatany, wygląda jak śmierć na chorągwi. Też pewno wrócił z łagru – oficerskich synków chwytają teraz bez litości jako bastiony starego reżymu, a ten w dodatku generalski syn. Cóż, postaliśmy, pogadaliśmy, i rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę. No a teraz... – żołnierz opowiedział swojakowi o Złobinie i jego natarczywym wypytywaniu.

– Coś mi się zdaje, że doktor chce wyśledzić mojego porucznika. Odnalazł mnie w szpitalu, zagadnął i znów wypytywał o Daszkowa. Spytał, gdzie mieszkam, odwiedził mnie, wyłożył na stół sto rubli i znów to samo gada... A teraz wymyślił coś takiego: pojutrze, w Wielką Sobotę, mam o pół do ósmej koniecznie być na Mochowej, przed bramą numer trzynaście. Posadzą mnie koło ściany. Punktualnie o ósmej wyjdzie z bramy człowiek, a ichni agent zatrzyma go na chwilę, poprosi o ogień. Ja wtedy mam ich obserwować i powiedzieć, kto to był – porucznik Daszków czy kto inny. Jeśli to nie on, to kłopot z głowy, ale jeśli to naprawdę porucznik Oleg Andriejewicz? Co wtedy robić, by nie wyjść na judasza? Kto wie – może on się ukrywa pod innym nazwiskiem? Prosił, żebym nikomu o nim nie wspominał, a ja z głupoty wygadałem doktorowi, w złej chwili i chyba niepotrzebnie. Z początku myślałem, że może się przyjaźnili, skoro doktor tak poszukuje porucznika, ale chyba coś jest nie tak, czymś innym to pachnie! Co o tym myślisz, Makarze Grigoriewiczu?

– Hm, coś tutaj śmierdzi. Na pewno doktor śledzi porucznika. Nic innego być nie może. Dowiedział się, że znasz Olega Andriejewicza z twarzy, więc się do ciebie przyczepił. Radzę ci, bracie, uciekaj od tego, bo naprawdę będziesz zdrajcą. Dziś, na ten przykład, w cerkwi czytali o Judaszu... Teraz tajniaków rozmnożyło się co niemiara... Forsy podobno dają im jak lodu, więc każdy wylazi ze skóry. Twój doktor też pewno taki sam. Obiecywał ci co?

– Na początek – łóżko w szpitalu i dobre sanatorium. Podleczymy, powiada.

– Cóż, to na początek, a potem zacznij namawiać, żebyś mi pomagał. A wtedy nigdy nie wygrzebiez się z tego bagna. Strzeż się, bracie! Nie godzi się staremu żołnierzowi dopuszczać się zdrady względem współtowarzysza walk, bez względu na to, kim on jest – generałem, szeregowcem czy porucznikiem.

– Wiadomo, że się nie godzi, przecie mówię. Dziś, jak szedłem do świętej Komunii, coś mnie ukłuło w serce: święty sakrament chcesz przyjąć, a jutro człowieka na zatracenie wyślesz? Chyba jeszcze nie skończył trzydziestki, w domu pewno żona, małe dzieciaczki. W dodatku, gdy otwieram Biblię, by sprawdzić, jaki los mu sądzony – od razu wychodzi mi śmierć gwałtowna. Więc nie mogę go im wydać, i to jeszcze w Wielką Sobotę – za skarby świata nie zostanę judaszem. Jak by się od tego wykręcić? Bo jak nie pójdę, jutro znów przyjdzie kanalia doktor i znów zacznij mnie mordować.

– A ty idź i zamelduj: zjawilem się na rozkaz. I powiedz: nie znałem i nie znam tego człowieka. Jak ci udowodnią, że kłamiesz? Czy łatwo w oberwańcu rozpoznać oficera i to jeszcze po dziesięciu latach?

– Dobrze, zrobię tak. Obejdę się bez sanatorium. Byle sam porucznik mnie nie zagadnął. Dzięki, bracie, pomogłeś mi podjąć uczciwą decyzję. Czy nie pora wracać już do cerkwi na dwanaście ewangelii?

Rozdział dwudziesty ósmy

– O nie, do szkoły nie waż się iść! – krzyczy Mika. – I bez arystokratów mi się dostaje, a ty z tymi twoimi manierami... Zadręcą mnie na śmierć, jak się pojawisz! Niech jaśnie pani raczy zostać w domu!

Napięte nerwy nie wytrzymały, Oleg wyskoczył na korytarz:

– Mika, chodź tutaj! – I wciągnął chłopca do pokoju. – Jak śmiesz drwić z siostry i mówić z taką pogardą o naszym nazwisku i rodowych tytułach? Czy było coś haniebnego w jej małżeństwie? Wyszła z miłości za szlachetnego człowieka, który zginął za ojczyznę! Czy łatwo jej było cię wychowywać? Inna na jej miejscu już dawno umieściłaby brata w domu dziecka – chciałbym cię w takim miejscu widzieć! Jesteś niewdzięczny i grubiański! Jak jeszcze raz usłyszę coś podobnego, dostaniesz po buzi tak, że swoich nie rozpoznasz! A może chcesz bić się na pięści, Mika? Myślisz, że brak mi sił? Dam sobie radę nawet z dwoma takimi jak ty!

– Ależ uspokój się, Olegu! Co się z tobą dzieje? – powtarzała przerażona Nina. – Zapewniam cię, on tylko kpi sobie ze mnie: nie chce, bym porozmawiała z nauczycielami, a traktują go tak niesprawiedliwie, że najwyższy czas, by się ktoś wtrącił.

– Nina nie chce zrozumieć, że jeśli to zrobi, będzie jeszcze gorzej – zawołał porywczo Mika. – Obniżają mi stopnie, a gdy protestuję, mówią bez owijania w bawełnę: „Nie można pozwolić, by pierwszym uczniem w klasie był braciszek księżnej!” albo „A krzyż na szyi nosisz?”

– I to mówią pedagodzy? Ze szkolnej katedry? – przerwał chłopcu Oleg.

– Pedagodzy. Najczęściej nauczycielka ekonomii politycznej i fizyk.

– To oburzające! – zawołał Oleg. – Pozwól mi, Nino, pójść do dyrektora szkoły, a zmuszę go, by odpowiedział mi niczego nie

ukrywając: czy dostali dyspozycję z góry, z kuratorium, by znęcać się nad chłopcem za jego pochodzenie i krewnych? Zobaczymy, co odpowie. W razie czego pójde i do kuratorium.

– Nie wiem, czy to wypada... W jakim charakterze tam pójdziesz? Nie możesz im powiedzieć, że jesteś krewnym...

– Jeśli sobie tego życzysz, nie będę się upierał.

– Proszę lepiej powiedzieć Ninie, żeby to ona mi nie dokuczała! Wciąż mi się od niej dostaje za noszenie krzyżyka! – poskarżył się Mika.

– Od Niny za noszenie krzyżyka?!

– No tak! Co dzień prosi mnie albo mi grozi, żebym zdjął go z szyi.

Oleg spojrział na Ninę, która z zakłopotaniem szeptała, że chce oszczędzić bratu przykrości.

– Trzeba pozwolić chłopcu, Nino, być uczciwym wobec samego siebie. Nie mogą przecież wszyscy, co do jednego, skarlec i spodlec.

Zdarzyło się to w Wielki Wtorek. Wtorkowy wieczór i środę Oleg wciąż był pogrążony w posepnych myślach. Postanowił, że nie będzie czekał na nowe wezwanie od Naga. Wieczór w parku w Carskim Siole będzie z pewnością pogodny i cichy. Srebrne wierzby i wiekowe dęby przypominają rodzinne Zalesię; przejdzie pod nimi spokojnie, zupełnie spokojnie, spacerując. Nikt go nie zobaczy, nie będzie popędzał... Trzeba tylko poczekać do piątku, odebrać w pracy wypłatę i zostawić ją Ninie.

W czwartek nagle zaczęły go dręczyć wspomnienia. Napływały jak fale morskie, jedno za drugim – pojawiały się, piętrzyły i odpływały. Szczególnie wyraźnie widział przed oczyma wczesne dzieciństwo – spacer w Zalesiu, pieszczoty matki, przygotowania do świąt wielkanocnych, zabawy, figle... Kilka razy wracał myślą do swoich narodzin; jakże drogo kosztowały matkę!

Nie chcąc zaszkodzić dziecku nie pozwoliła użyć kleszczy mimo trzydziestu sześciu godzin cierpień, kiedy wszyscy w rozpaczę sądzą, że poród skończy się tragicznie... A on teraz chciał przerwać życie, ofiarowane mu z taką miłością!

W piątek otrzymał wreszcie wypłatę i zbierał się, by wyjść wcześniej. Mojżesz Herszelewicz zwoływał naradę produkcyjną w swoim gabinecie, lecz Oleg na oczach wszystkich członków zarządu, zgromadzonych u szefa, ruszył w stronę drzwi.

– Kazarinow, a pan dokąd!? Proszę zostać! – zawołał władczo Mojżesz Herszelewicz.

– Dokąd to, towarzyszu? – spytał jakiś inny ważny portowy urzędnik.

Oleg zwrócił się w ich stronę i nagle zapragnął z nich zakpić: „No, przełknijcie tę żabę!” – pomyślał i powiedział głośno:

– Dzisiaj Wielki Piątek – spieszę się, by ucałować Płaszczanicę!⁴² – i obwiodł wszystkich spojrzeniem, jakby chciał zobaczyć, czy nie dostaną drgawek.

Drgawek nie dostali, lecz twarze wyciągnęły się, a oczy opuściły. Skandal – ale nie wiadomo, jak reagować. Oleg uśmiechnął się drwiąco. Dość niezwykła sytuacja dla sowieckich urzędników! Ośmielił się im przypomnieć o tysiącletniej kulturze starej Rusi, a oni jej nienawidzą, pragnęliby wykreślić z pamięci. Niegdyś dla wszystkich Rosjan był to dzień w roku wyjątkowy i niepowtarzalny.

Powiedział o Wielkim Piątku tak po prostu, by ich rozwścieczyć, lecz gdy jechał tramwajem, myśli o wyniesionej na środek świątyni Płaszczanicy zdobionej żywymi kwiatami, w otoczeniu płonących świec i tłumu rozmodlonych ludzi utkwiała niczym zadra w jego świadomości. Nie całował Płaszczanicy przez ostatnich dziesięć lat, nieszczęśliwych w jego życiu, więc postanowił zajrzeć do świątyni.

⁴² Płaszczanica (cerk.) – dosł. całun; tkanina zdobiona sceną złożenia ciała Chrystusa do grobu.

Przed cerkwią zobaczył zdumiewający widok. Nie widział jeszcze czegoś podobnego – ostatnie lata spędził z dala od miasta. Wzdłuż cerkiewnego ogrodzenia ku drzwiom świątyni wiała się kolejka! Niemłodzi mężczyźni o wyglądzie inteligentów, prości ludzie, kobieciny w chusteczkach, damy w toaletach od Vogue’a i Brissaca – modnych przed piętnastu laty – poważni i cisi, stali cierpliwie w mżącym deszczu. Niemal wszyscy mężczyźni obnażyli głowy – nawet ci, którzy stali daleko od wrót cerkiewnych. To Ruś, która nie pozwoliła przez piętnaście lat odmienić swej twarzy i serca. Oleg natychmiast zrozumiał, skąd ten tłum – w ogromnym mieście pozostało czynnych zaledwie jedenaście cerkwi. Spieszenie zajął miejsce w kolejce i pomyślał, że nawet gdyby był niewierzący, stałby tutaj w niemym proteście. Uroczysta cisza oczekiwania udzieliła się i jemu, wspomnienia jedno za drugim znów zawirowały przed oczyma. W dzieciństwie miał ładny głos, w Korpusie Kadetów skierowano go do cerkiewnego chóru. Przypomniawszy sobie, jak w Wielkim Tygodniu śpiewał odziany w stycharz⁴³ w trio na środku świątyni. Jacy byli wtedy niewinni, ci trzej chłopcy – cherubiny przed Madonną Rafaela! Frołowski, także w stycharzu, wynosił tego dnia świecę z ołtarza z miną przejętą jak nigdy, co mu nie przeszkodziło zwabić wieczorem Olega do pustej klasy i naopowiadać o tym, skąd biorą się dzieci... Teraz Oleg tylko się uśmiechał wspominając swoje zakłopotanie w tamtych chwilach.

Gdy po godzinie oczekiwania nadeszła jego kolej, nie ośmielił się musnąć ustami świętego obrazu, dotknął go jedynie pochylonym czołem...

W domu przede wszystkim zakleił list do Niny, napisany poprzedniego dnia: „Droga Nino, nie wrócę już – tak będzie lepiej dla nas wszystkich. Nie widzę ani celu, ani sensu swego dalszego życia. Wybacz, jeśli Cię zasmuciłem. Myślę teraz, że byłoby lepiej, gdybym się w ogóle nie pojawiał – oszczędziłbym Ci wielu bolesnych chwil. Nie rób sobie wyrzutów – zrobiłaś dla mnie wszystko, co tylko mogłaś. W szufladzie biurka znajdziesz moja

⁴³

Stycharz (stichar’; cerk.) – rodzaj szaty liturgicznej, używanej przez diakonów.

wypłatę – niech będzie dla Miki na wakacje po zapłaceniu długu N.S. Oddany Oleg Daszków”. Zaklejając list myślał: „Gdy wrzucę go do skrzynki, nie będę się mógł wycofać”. Zresztą nie wahał się – nabożeństwo w cerkwi tylko oświeżyło duszę, nie wpłynęło na zmianę decyzji. Spojrzał po raz ostatni na pokój. Zaczął szperać w kieszeniach. Sznurek jest tutaj. Tak. Pieniądzy na drogę powrotną mieć nie musi – dołączył dodatkowe dwa ruble do pieniędzy dla Miki. Wieczne pióro też zostawił chłopcu, portret matki wziął ze sobą, zamiast ikonki.

Wszedł Mika:

– Najnowsze nowiny szkolne: w Wielką Niedzielę kazali nam między dziesiątą a dwunastą przed południem chodzić po mieszkaniach i zbierać makulaturę i złom – trzeci rok z rzędu ta sama historia! Robią tak specjalnie, chcą nam zepsuć święto! Ale tym razem to my zrobiliśmy im kawał, ja i mój kolega Pietia Wałujew. Napisaliśmy w klasie na tablicy wielkimi literami: „Towarzysze, bądźcie świadome ośle głowy, ruszajcie zbierać złom metalowy!” Dopiero się zaczęło: zgiełk, krzyk, zebranie komsomolskie, gniewne oracje! Zastępowa wprost wyłaziła ze skóry: jak to?! Kto się ośmielił drwić?! To kontrrewolucja! Czarnosecińcy, białogwardziści, trzeba ich zdemaskować!

Nina, która weszła tuż za bratem, śmiała się, lecz spytała z trwogą w głosie:

– A nie dowiedzą się? Nikt cię nie wyda?

– Nikt nie widział, a napisaliśmy drukowanymi literami.

Oleg czekał, kiedy brat z siostrą wyjdą, lecz Nina, jakby coś przeczuwając, spytała:

– Gdzieś się wybierasz, Olegu?

– Ja? Za miasto... Pooddychać świeżym powietrzem – dodał.

Znów go o coś pytali, wciąż nie wychodzili. Wreszcie Nina ruszyła w stronę drzwi.

– Żegnaj, Nino! – zawołał Oleg z nieoczekiwanym dla siebie

wzruszeniem. Odwróciła się natychmiast i spojrzała na niego trwożnie.

– Gdy wrócę, będziecie już spali – dodał pośpiesznie i pocałował Ninę w rękę.

Wyszła z pokoju, wyszedł wreszcie i Mika. Chłopcu Oleg nie powiedział nawet „do widzenia”, by nie wzbudzać podejrzeń. Gdy został sam, natychmiast wziął do ręki portret i zatrzymał oczy na pięknej twarzy. „Czy widzisz teraz swojego syna? Jeśli nie chcesz, bym znalazł się w ciemnościach – uczynić cud! Bo tak jak teraz, dłużej już nie mogę!” Jeśli czuł ideę nieśmiertelności, to tylko poprzez jej miłość, poprzez myśl, że miłość ta nie mogła zniknąć, rozpląnąć się w niebycie. Jej wzniosła dusza zostawiła po sobie nieuchwytny ślad – czysty strumień. Czasem potrafił go uchwycić dzięki wewnętrznemu skupieniu. I to właśnie mgliste, lecz silne wrażenie nie pozwalało mu przestać wierzyć w prawdę nieśmiertelności. Bardziej subtelnej, czystej i wzniosłej duszy nie widział nigdzie. Coś podobnego miała, być może, w sobie ta dziewczyna, Asia – też jakby promieniująca wewnętrznym światłem.

Wyjął fotografię z ramki, włożył szynel, wziął kopertę zaadresowaną do Niny i ruszył do drzwi. Wszystko już było przygotowane, wyznaczone, nieuniknione – tylko dojechać i wybrać drzewo. Zostały mu dwie godziny życia. Cudów w dzisiejszych czasach nie ma, nic go już nie ocali!

W drzwiach zderzył się z Annuszką:

– Mam list do ciebie – powiedziała.

– Wezwanie, chce pani powiedzieć? – poprawił wspomniawszy okrutnego Naga.

– Niby jakie wezwanie? List, powiadam, przed chwilą wyjęłam ze skrzynki. Bierz.

Wziął list ze zdumieniem – od kogo? Charakter pisma nieznan, chyba dziecinny... Przed jego nazwiskiem przekreślono dużą literę D, dopiero potem napisano: „Ob. Kazarinow”. Więc

pisal ktoś, kto zna tajemnicę jego pochodzenia... Rozerwał kopertę.

„Piszę do Pana w cerkwi. Przed chwilą przyjąłem Komunię świętą. Śpiewają teraz «Przyjmijcie Ciało Chrystusa», a ja siedzę na stopniu i piszę. Modliłam się za Pana i zrozumiałam, że muszę jak najprędzej wyjawic Panu tajemnicę: nie boję się »losu, bez cienia nadziei* – oto moja tajemnica! Pańska Asia.”

Stał z tym listem w ręku jak skamieniały. Co to jest?! Ależ to ten ratunek, o który przed chwilą prosił w myślach matkę. Bo dlaczego właśnie dziś, właśnie teraz, napisała do niego ta dziewczyna? Nie mogła wiedziec, co zamyślił, a przeciez wiedziala, przeczula?

Jej dusza żyje „całkiem na zewnątrz”, to harfa Eola, najczulsza membrana! Gdyby list przyszedł kilka minut później, gdyby przeleżał o sekundę dłużej w skrzynce, on wyszedłby z domu i byłoby po wszystkim... To cud, najprawdziwszy cud, mimo wszystko powstrzymano go, ocalono w ostatniej chwili. A zatem ktoś stamtąd, z góry, chroni go przed zbrodniczym krokiem ku samobójstwu. W liście było wezwanie by żył, obietnica miłości, poryw, czulość i ta czarująca czystość – „pańska Asia”. Z bezgraniczną tkliwością patrzył na podpis, obiecujacy radość, za którą tak tęskniła jego dusza!

Wszyscy wiedzieli, że jest bezgranicznie zrozpaczony. Lecz dzień i godzinę odgadła tylko ona, tylko ona wyciągnęła do niego pomocną rękę!

Odebrać sobie teraz życie byłoby podłością. Schował list do kieszeni, wybiegł z domu, wskoczył do rozpędzonego tramwaju i wyskoczył też w biegu, omal nie wpadając pod koła wielkiej ciężarówki, wbiegł do znajomej bramy. Gdy zadzwonił, otworzyła Asia. Miała na sobie kuchenny fartuszek, a pod nim spódniczkę i bluzkę, pewno była zajęta szykowaniem wielkanocnych potraw.

– To pan? – zawołała i umilkła. On też stał bez słowa, coś ścisnęło go za gardło... Asia cofnęła się z korytarza do pokoju gościnnego, wszedł za nią i obejrzał się: byli sami, a wokół nich

pogodny wiosenny zmierzch. Upadł na kolana i objął rękami jej nogi.

– Kochana, cudowna, najdroższa! Asiu, kocham panią!

– Ja też pana kocham – wyszeptała.

– Wyjdzie pani za mnie?

Kiwnęła w milczeniu i zaczęła wicherzyć jego włosy. Znow przytulił twarz do jej nóg.

– Zbyt wiele szczęścia po straszliwej pustce! Przecież nie miałem nikogo, nikogo!

W progu stanęła Natalia Pawłowna. Oleg błyskawicznie zerwał się z kolan.

– Natalio Pawłowno, właśnie powiedziałem Kseni Wsiewołodownie, że ją kocham, prosiłem, by została moją żoną. Może powinienem był wpierw zwrócić się z tym do pani, ale wszystko stało się tak nagle... Proszę o zgodę na to małżeństwo.

Natalia Pawłowna opadła na fotel. Asia zasłoniła rękami twarz i spojrzała przez nie na babcię.

– Podejdźcie do mnie oboje – rzekła starsza pani. Podeszli.

– Natalio Pawłowno, wiem, że to zuchwalstwo – starać się o skarb, jakim jest pani wnuczka. Właściwie nie powinienem podejmować takiej decyzji, los mój jest przesądzony. Ale kocham ją do szaleństwa...

Asia w milczeniu przypadła do piersi Natalii Pawłowny, ukłękła przy jej fotelu. A stara dama głaskała włosy dziewczyny.

– Cieszę się, że pan ją kocha, Olegu Andriejewiczu. Wiem, że z pana człowiek szlachetny. Proszę mnie nie przekonywać, że jest pan złą partią; nie wiem, kto mógłby być teraz dobrą partią dla mojej wnuczki. Nie chciałabym, by poślubiła partyjnego działacza z proletariackim rodowodem lub Żyda. Poza tym wszyscy ludzie z naszej sfery nie czują się teraz bezpieczni, sam Pan Bóg wie, na kogo przyjdzie kolej wcześniej, a na kogo później. Miejmy nadzieję,

że Bóg dla pana łaskaw choćby ze względu na to dziecko, to istotnie prawdziwy skarb.

Do pokoju weszła madame z wątpliwościami, jak ucierać twaróg, i na widok Olega i Asi klęczących przy fotelu Natalii Pawłowny, która obejmowała ich głowy, zaczęła wydawać okrzyki zachwytu, składać młodym życzenia, a jej pocziwa twarz promieniała radością. Zapewne widziała już w swojej wyobraźni niedaleką przyszłość tuż po *la restauration*; marzyło się jej, że Oleg zamieszka z Asią w pałacu odziedziczonym po przodkach i przedstawi ją na dworze.

Zaczęli uzgadniać datę ślubu. Wyrwawszy się z objęć madame, Asia zawirowała w tańcu nucąc melodię z „Don Juana”.

– Jeszcze nieprędko! Jeszcze nieprędko! Jeszcze nieprędko!

– Jak to nieprędko? – zawołał z rozpaczą Oleg. – Proszę mnie nie martwić, Kseniu Wsiewołodowno! Jeśli termin będzie zbyt odległy, nie wiem, czy go doczekam!

– *Mais taisez-vous donc, monsieur!*⁴⁴ – zawołała wymachując rękami Francuzka.

Asia przystanęła i spojrzała na Olega z powagą:

– Chciałabym jeszcze trochę pomieszkać z babcią! Będziemy się widywać codziennie; czegoż jeszcze nam trzeba?

I znów zakręciła się w tańcu; warkocze i fartuszek rozwiewały się po pokoju. Natalia Pawłowna zachowywała spokój, lecz Francuzka, zachwycona niewinnością swojej wychowanki wprost pękała z dumy.

– *C'est un trésor, monsieur, voyez-vous? Un trésor!*⁴⁵ – powtarzała rozpromieniona.

– Ma pani rację! – odpowiedział Oleg obserwując z zachwytem dziewczynę.

Natalia Pawłowna zaproponowała, by ślub odbył się przed

⁴⁴ Mais taisez-vous... (fr.) - Niechże pan wreszcie zamilknie!

⁴⁵ C'est un trésor... (fr.) – Toż to skarb, nieprawdaż? Skarb!

urlopem Olega; młodożeńcy będą mogli gdzieś wyjechać. Zatrzymano go na herbatę, a wówczas, jak na zamówienie, zjawiły się panie Nielidow. Zinaida Glebowna ze łzami w oczach całowała Asie powtarzając:

– Jak by twoja mama była teraz szczęśliwa!

Lecz w piwnych oczach i ślicznych usteczkach kuzynki Asia dostrzegła zdumienie: „Dziwne, że to ona, a nie ja! Jestem o wiele ładniejsza – wszyscy to mówią! Każdy pukiel moich włosów mieni się innym odcieniem, całą głowę mam w lokach, a włosy Asi są proste, mam pieprzyk jak markiza, a poza tym... Wszystkiemu winien jest Siergiej Pietrowicz z tym swoim: »nie zlizuj cudzej śmietanki«. Coż, niewielkie zmartwienie, teraz będę mądrzejsza, reszta mężczyzn będzie dla mnie!” Asia chyba coś z tego wyczuła. Zaciągnęła kuzynkę w kąt i jakby przepraszając, szepnęła:

– Wiesz... To nie moja wina... bardzo dziś było mi go żal, modliłam się za niego... To dlatego tak wyszło!

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zamknawszy się wieczorem w swoim pokoju Asia, już rozebrana, uklękła na dywaniku przed łóżkiem. O, cóż to za dzień! Był wypełniony miłością i światłem! Będzie go pamiętała nawet na łożu śmierci! Znów zaczęła się bać o Olega. Musi się pomodlić. Starzec Serafim zawsze wszystkich słyszy, jeśli wysłuchał ją podczas gry w krokieta, to tym bardziej teraz. Przed oczyma Asi na chwilę pojawiła się Bieriezowka i boisko, na którym toczyła się zażarta walka – Asia i kuzyn Misza po jednej stronie, braciszek Wasia i Siergiej Pietrowicz po drugiej. Było to w roku 1916. Siergiej Pietrowicz, wówczas młody oficer, przyjechał na kilka dni z frontu, zjawił się wśród dzieci na krokietowym boisku i wywołał tam furorę: losowano, kto ma z nim razem grać, każde uderzenie jego młotka jednych wprawiało w zachwyt, a innych – w rozpacz, gdyż rzucał bardzo celnie. I oto jego kula jak zwykle po pierwszym rzucie przebyła całą drogę, stała się rozbójnikiem i zagroziła krokietowaniem kuli Miszy; świeżo upieczony rozbójnik zabierając wszystkie ruchy mógł zepchnąć z pozycji kule przeciwników i w ten sposób zapewnić Wasi błyskawiczne zwycięstwo. Asia, która grała z pasją, była zrozpaczona. Kule znajdowały się tak blisko, że nawet przeciętny gracz trafiłby z łatwością, a co dopiero taki mistrz jak Siergiej Pietrowicz... Nie było ratunku, Siergiej Pietrowicz już schwycił młotek z wytworną elegancją i pewnością siebie. Zamierając ze strachu siedmioletnia Asia wcisnęła mocniej na główkę kapelusik z piki, zamknęła oczy i przez minutę usiłowała się skupić: „Starcze Serafimie! Kochany, wspaniały Starcze! Pomóż mnie i Miszy! Niech ten wstrętny wujek spudłuje! Obroń nas przed nim!”

Usłyszała krótkie suche uderzenie, a potem zaraz jęk zachwytu i zgrozy. Odsunęła kapelusik z buzi i obejrzała pole bitwy: kula Miszy stała nie uszkodzona, Misza skakał i pisał z radości, a oczy Wasi były pełne łez; Siergiej Pietrowicz nie tylko „spudłował”, lecz zahaczył kulą o kołek i musiał opuścić boisko. Asia i Misza odnieśli więc wspaniałe zwycięstwo.

„Nawet gdy prosiłam o taki drobiazg, Starzec mnie słyszał,

tym bardziej usłyszy teraz, kiedy modłę się o życie ludzkie!” – mówiła do siebie; podczas gry w krokieta święty robił to nie dla dziecinnej rozgrywki, lecz dla własnej sławy, ukazał potęgę modlitwy, tak by Asia zapamiętała na całe życie, jaką miłością darzą ludzi ci stamtąd. „Kochany Starcze! Wiem, jaki jesteś dobry – ulitowałeś się nawet nad niedźwiedziem! Ulituj się więc nad moim Olegiem! Spraw, by zgubili jego ślad! Błagam cię, Starcze Serafimie! Zrób to dla mnie!”

Jednak modlitewnego napięcia starczyło nie na długo. W błękitnym świetle lampki, płonącej przed ikoną, przedmioty nabierały fantasmagoryjnych konturów i wkrótce Asia zamyśliła się, patrząc na dziwaczne cienie. Tak trudno się skupić! Wciąż trzeba robić wysiłek! „Starcze Serafimie, Starcze...” Zarzuciwszy głową powtarzała imię świętego, starając się wszystko inne usunąć z pamięci, widzieć przed oczyma tylko świętego starca. Byli przecież tacy ludzie – słyszała o nich i czytała – którzy pełnię swych myśli i uczuć wkładali w modlitwę i doznawali olśnienia: otwierały się im jakieś wewnętrzne oczy, mogli widzieć cudowne, pozaziemskie rysy...

„To właśnie jest ta światłość pod powiekami, którą tak lubię! Lekki powiew wiatru na czole... zupełnie tak, jakby ktoś musnął mnie skrzydłem... Zbliżam się do granicy, za którą jest coś nieznanego... Jeszcze jeden wysiłek, a przekroczę ją!”

Lecz modlitewny wzlot zaczął stopniowo słabnąć. Nie, nie przekroczy tej granicy! Nie wyrwie się z cienia ziemskiej świadomości... Dane jest to tylko tym, którzy osiągną stan świętości – mogą słyszeć jakieś głosy, widzieć niewidzialne twarze. W „Consolation” Liszta i w „Grodzie Kiteżu” Korsakowa jest coś z tej atmosfery... „Ekstaza” Skriabina? Nie, to nie to – czuje się tam wielkie człowieczeństwo, lecz nie ma tkliwości! Niezwykła szlachetność melodii Rimskiego-Korsakowa... A Glinka? Kto to powiedział: „Glinko, Glinko – tyś porcelaną, a nie zwykłą gliną!”

Głowa pochyliła się nad poduszką i Asia zasnęła na klęczkach koło łóżka. Gdy ocknęła się i ze zdumieniem rozejrzała wokół, było już całkiem widno, a z ulicy dobiegał miejski gwar.

Zziębnięta, drżąca z zimna, podniosła się z kolan.

Już po szóstej.

Strach o ukochanego ścisnął serce, więc znów zaczęła się modlić.

„Jezu Chryste! Nie chcę wierzyć i nie wierzę, że kiedy spałam, zabrała go czarna karetka! Nie wierzę, że możesz ukraść go śpiącej! Zasnęłam mimo woli – byłam zmęczona! Panie Boże, okaż nam łaskę! Nie pozwól, by go zabrali do więzienia, nie oddawaj tym strasznym ludziom – dość już się przez nich nacierpiał. Daj mu trochę szczęścia, choćby rok cudownego, promiennego szczęścia! Panie Boże! Wysłuchałeś Zbójcy i Magdaleny, wysłuchaj teraz i Asi!”

Narzuciła na ramiona szlafroczek i wymknęła się boso na korytarz. Westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi, gdy usłyszała w słuchawce telefonicznej głos Olega.

– To pan? Chwała Bogu! Proszę wybaczyć, że tak wcześnie... Bo, widzi pan... odmawiając modlitwę niechcący zasnęłam... więc chciałam dowiedzieć się, czy wszystko jest w porządku... Tak, tak... modliłam się. Tak, całą noc. Ależ nie, nie zachoruję. ...Kocha mnie pan? Ja też kocham.

A teraz do widzenia, chciałabym się ogrzać i zasnąć. Czeka na mnie w łóżku mój szczeniaczek... Nie dosłyszał pan kto? Babcia nie pozwala mi z nim spać, ale ja go biorę... Jednak pan nie słyszy? No tak, piesek, szczeniak, rozumie pan? No, nareszcie! W takim razie uciekam. Proszę przyjść na obiad prosto z portu.

O ósmej rano madame przyszła budzić Asie. Rozczochrana główka z różowymi policzkami uniosła się z poduszki, tuż obok poruszył się kędzierzawy pyszczek pudła.

– Madame, proszę go nie wypędzać i nie mówić babci. Strasznie lubię z nim spać. Smutno mi bez niego. Madame, najmilsza, czy mogłabym pospać jeszcze godzinę, póki nie obudzi się babcia? Proszę mnie dobrze przykryć.

Francuzka troskliwie poprawiła kołdrę i przeżegnała Asie.

„Można pomyśleć, że mała odsypia wszystkie oczekujące ją bezsenne noce, gdy po ślubie młody małżonek nie da jej spokoju. Nie będzie jej wtedy smutno” – pomyślała madame i wyobrażając sobie pocałunki, jakimi Oleg obsypie Asie, odeszła rozrzewniona.

Powiesiwszy słuchawkę po rozmowie z Asią Oleg szybko dopił herbatę i wyszedł z domu spiesząc do portu. Kiedy otworzył bramę, wpadł mu pod nogi rozpędzony malec, natychmiast potknął się i wybuchnął głośnym płaczem. Oleg złapał dziecko na ręce.

– Co ci jest, mały! Uderzyłeś się? Tylko tak nie wrzeszcz – kwiczysz jak zarzynane prosię. Czy wypada, by mężczyzna tak płakał? Aha, ty pewno jesteś dziewczynką! Dziewczynką w spodenkach, mam rację?

Urażony i zdziwiony dzieciak umilkł.

– Wcale nie jestem dziewczynką. Jestem mężczyzną! – odpowiedział po chwili.

– Naprawdę? Przecież mężczyźni nie płaczą i nie krzyczą. Widzisz, jaką mam dziurę na czole? To była rana, a ja nie płakałem.

– Naprawdę nie płakałeś?

– Naprawdę.

– Ja też nie płaczę!

– Nie płaczesz? Jeśli tak, to co innego! W takim razie tylko mi się zdawało. A co robisz na ulicy?

Rozmawiając z dzieckiem Oleg patrzył na chodnik. Kilka kroków od niego siedział beznogi żebrak – Oleg rozpoznał w nim żołnierza, który sprzedał mu rewolwer. Skąd się tu znalazł? Przez przypadek? Dziwne... Nie, to nie przypadek, on tu siedzi nie bez powodu... To donosiciel, który nawarzył piwa. I prawdopodobnie zaszyfrowana konfrontacja. Nie przestając rozmawiać z chłopcem Daszków baczenie rozglądał się dokoła, po wojskowemu oceniał

sytuację. Żebrak tkwi tu, rzecz jasna, na rozkaz Naga. Ale gdzie jest sam Nag? Pewno w sąsiedniej bramie. Podły żebrak z pewnością krzyknie coś do Olega, wątpliwe też czy pomoże, jeśli się Oleg nie odwróci, słysząc jego słowa. A jednak gdy zawoła go po nazwisku lub per „panie poruczniku!” czy jaśnie panie!”, odwracać się nie wolno... Fatalnie. Lecz tak czy inaczej iść trzeba.

Postawił na ziemię dziecko, poklepał je po buzi i poszedł naprzód szybkim krokiem z obojętną miną człowieka, który się spieszy. Nie spojrział na żebraka, a jednak widział go. Zdziwiło go, że kaleka patrzył w inną stronę i też jakby nie chciał go rozpoznać – wodził wokół siebie nieobecny, błędnym spojrzeniem...

– Obywatelu! – usłyszał nagle Oleg niemal nad samym uchem. No tak, zaraz go aresztują!

Odwrócił się i zobaczył obcego mężczyznę w cywilnym ubraniu.

– Przepraszam, towarzyszu, nie macie zapalek? Zapomniałem swoich w domu – powiedział ów mężczyzna. Umowny sygnał. Żebrak powinien rozpoznać księcia Daszkowa – wszystko jasne!

Oleg podał mężczyźnie zapalki. Ten zapalił papierosa.

– Dziękuję, towarzyszu – i odszedł.

„Nie odwracaj się!” – rzekł do siebie Oleg w myślach i ruszył naprzód. Towarzyszyło mu dziwne uczucie, jakieś skrępowanie. Tak jakby w każdym nerwie czuł przenikliwe, nienawistne spojrzenia, którymi go odprowadzano. Na razie dali mu spokój. Dotarł na róg ulicy... Przyspieszył kroku. Odwracać się nie wolno w żadnym wypadku. Na Simeonowskiej od razu pobiegnie za tramwajem – wyda się to całkiem naturalne. Wtedy dowie się, czy idą jego śladem. Zakręt jest już blisko – ...no, jest! Nikt go nie zatrzymał.

W pracy Oleg spodziewał się, że lada chwila mogą go wezwać do działu specjalnego. Może nie aresztowali go tylko dlatego, że zbyt długo dogadywali się z żebrakiem?

Dzień minął szczęśliwie. Wchodząc po schodach do domu spotkał Mikę, który „spadał” po schodach (patent na to określenie był własnością chłopca).

– Co powiesz, Mika? W domu wszystko w porządku?

– Tak, prócz tego, że znów wlepili mi troję! – krzyknął chłopiec w biegu.

Wieczorem Oleg stał z Asią na placu przed soborem Przemienienia Pańskiego. Mnóstwo ludzi nie zmieściło się już w cerkwi. Nie zapalano świec, dzwony milczały, procesja nie wychodziła na zewnątrz – to było zakazane. Lecz tłum wokół świątyni był coraz większy: każdy szedł z nadzieją, że dotrze do niego choć jeden przygłuszony dźwięk, że mimo wszystko coś uchwyci i poczuje. I choć przysłani ze specjalnym zadaniem ludzie, bardzo się starali, by naruszyć uroczystą ciszę gwizdami i chuligańskim wrzaskiem, ich wysiłki okazały się daremne. W odpowiedzi na jakiś wyskok tłum nagle krzyknął: „czapki z głów!” i ściśnięci ze wszystkich stron prowokatorzy chcąc nie chcąc musieli je zdjąć. Konna milicja napierała na tłum z boku, milicjantów było tylu, że ludzie bali się obławy – już tak się kiedyś zdarzało. Lecz tłum nie rozchodził się, stopniowo wypełniał najbliższe zaułki. Wwiercały się weń rowery, a nawet motocykle, tłum zaś w milczeniu rozwierał się i znów zamykał.

Oleg stał koło ogrodzenia, na którym udało mu się umieścić Asie i Lelę. Znów obejmował nóżki Asi podtrzymując ją. Żaden dźwięk nie dobiegał spoza szczelnie zamkniętych cerkiewnych drzwi, a jednak było wspaniale! Asia myślała o hiacyntach i dzwonie cerkiewnym – z Wielkanocy przedrewolucyjnej to najbardziej utkwilo jej w pamięci. Z głową przytuloną do jej kolan Oleg myślał o naszyjniku z wielkanocnych jajeczek na cienkim złotym łańcuszku, który Asia miała na szyi. Był to stary zwyczaj, już od dawna nie widział u nikogo takiego naszyjnika. Bardzo chciał wierzyć, że spotkanie z Asią zawdzięcza swej matce, której dusza zmartwychwstała po męczeńskiej śmierci!

Idea nieśmiertelności unosiła się tej nocy nad tłumem.
Czerwony terror był wobec niej bezsilny.

TOM II

Rozdział pierwszy

Ojciec Pieti Wałujewa, z zawodu prawnik, został wysłany do łagru. W kilka dni później na apelu drużynowa pionierów robiąc Pieti jakąś uwagę dodała tak, by wszyscy słyszeli:

– Nie bierz przykładu ze swego ojca.

Ze złości Pietia zaczerwienił się po uszy.

– Nie ma pani prawa tak mówić! Jego ojciec nie jest przestępcą – wypalił Mika.

– Wzięli tatę, bo jest prawnikiem. Teraz biorą wszystkich prawników – głos Pieti załamał się.

Drużynowa udała zdziwienie. Błyskawicznie zjawiała się wychowawczyni Anastazja Pietrowna.

– Towarzysze, gdzie my jesteśmy? Myślałam, że w szkole sowieckiej – rzekła ostrzegawczo. – Widzę, że w rodzinach naszych uczniów nie wypleniono jeszcze antysowietyzmu.

Zapadła cisza. Trzydziestu dwóch chłopców w czerwonych krawatach i gimnastycznych pantoflach zdrętwiało.

Nazajutrz przyszła matka Pieti, by porozmawiać o incydencie z wychowawczynią. Ta chłodno wysłuchiwała zasmuconej damy i oznajmiła, że spieranie się z drużynową nie należy do jej obowiązków. Chłopcy zdradzają brak świadomości politycznej, więc sprawą zajmie się Komsomół.

Od tego dnia Pietia i Mika nie przychodzili na apel. Kiedy nadszedł czas wstępowania do Komsomołu, nie złożyli podań.

– Każą mi wyprzeć się taty, a tobie siostry! – powtarzał Pietia obawiając się najbardziej, że Mika przestanie być jego sprzymierzeńcem.

Mika parsknął.

– Parlament frankfurcki! Zarząd naszej organizacji komsomolskiej to gadatliwe stare baby! Nie będę się przed nimi

poniżał! – i bez skrepowania powtórzył te słowa w klasie.

W kilka dni później wezwano go na posiedzenie zarządu.

– Uważaj, Ogariew, nie ścierpimy w naszych szeregach zgniętego liberalizmu. Albo raczysz się zmienić, albo się pożegnamy.

Wieczorem zwierzał się z oburzeniem Pieti:

– O parlamencie frankfurckim mówiłem w klasie, nie było nikogo obcego – a zatem mamy kapusiów. Komsomoł wszystkich podzielił, zachęca do szpiegowania. Któż mógłby powiedzieć teraz jak niegdyś Puszkina o licealistach z Carskiego Sioła: „Druhowie, piękny jest nasz związek!”.

Niedawno Mika przeczytał artykuł, w którym zalecano młodzieży naśladować wzorowych obywateli; ich heroiczną postawę opisywano z entuzjazmem. Pewna komsomołka często odwiedzała swoją koleżankę z klasy i zauważyła, że jej rodzice mówią z niechęcią o partii i rządzie. Zaczęła ich obserwować, a w domu tym darzono ją zaufaniem. Zostawszy kiedyś sama w cudzym pokoju, skorzystała z okazji, by postąpić zgodnie z zasadami komsomolskiej moralności – zrewidowała etażerkę i wyciągnęła stamtąd zeszyty z jakimiś pamiętnikami, już dawno budzącymi jej zainteresowanie. Pomogła w ten sposób organom GPU wykryć zakonspirowanych wrogów rewolucji. Albo inny przykład: komsomolec, owładnięty ideą „czujności”, obserwował swojego współlokatora, czytał przychodzące do niego listy i w końcu naprowadził GPU na ślad niebezpiecznego kontrrewolucjonisty.

Takie były heroiczne czyny, przedstawiane młodzieży jako wzór obywatelskiej postawy w epoce budowania szczęśliwej przyszłości!

Kto więc miał być naprawdę ideałem Miki? Może pokonani? Białogwardziści z Armii Krymskiej, ze „Związku Obrony Ojczyzny i Wolności” lub od Kołczaka? Piętnowano ich jako zdrajców. Mika zdawał sobie sprawę, jak kłamliwe są wyzwiska, których władza

sowiecka nie szczędziła swoim przeciwnikom. Wiedział, że w Białej Gwardii było wielu bohaterów, kilku spośród nich znał osobiście, nie mógł nie widzieć ich duchowej przewagi. Lecz w jego odczuciu więź stanowa łącząca szlachtę była odwrotnością świadomości klasowej proletariatu. Nie widział też wśród białogwardzistów jedności – byli podzieleni, dalecy jeden od drugiego, gorliwie śledzeni przez tajniaków, w dodatku zaś – i to było chyba najważniejsze – nie istniała warstwa społeczna, która niedawnym bohaterom udzieliłaby wsparcia. Chęci do walki też Mika nie widział – ludzie byli zbyt załamani, zmęczeni wojną, represjami, utratą wszystkiego, co posiadali... Nie było wodza, sztandaru, hasła... Czyżby czekało go szare, zwykłe życie? Czy nie pojawi się nikt, by porwać go do czynu? Dorośli często strofowali chłopca za niechęć do nauki – ale czy warto się męczyć, skoro nie wiadomo, na co to potrzebne?

Czasem wydawało mu się, że idea nadejdzie, pojawi się już wkrótce: lada chwila powinny nim ovladnąć jakieś siły... Dziwne to było uczucie! Przekonywał sam siebie o bezpodstawności tych nadziei, bo niby skąd miały się wziąć? Horyzont jest pusty – ani błyskawic, ani piorunów, ani zorzy polarnej! Ciemności, nie widać światła.

Jak długo jeszcze trwać będzie ta pustka?

Któregoś dnia wpadł do Miki zdyszany Pietia.

– Tajna organizacja, konspiracyjne zebrania! Ufam ci, bo jesteś moim przyjacielem! Ale trzymaj język za zębami – terkotał.

Tego dnia zachorowały na gripę matka i siostra Pieti, więc rano Mary powiedziała:

– Zrób coś dla mnie, Pietia! A zresztą nie, pewno strach cię obleci!

Chłopiec wyprostował się dumnie:

– Tylko mnie nie obrażaj! Ja też mam godność osobistą! Spojrzenie, którym obrzuciła go Mary, było okropne!

Nikt na nikogo nie patrzy z taką pogardą jak piętnastoletnie

siostry na czternastoletnich braci.

– Głupiś, Pietia, i chyba nie zmądrzejesz! Dziewczynki w klasie współczują mi z powodu młodszego brata: każda wie, że bracia przeszkadzają i są nieznośni.

– Co mam zrobić? Mów – ponuro spytał Pietia. Mary odpowiedziała zaplatając warkocz:

– Biegnij pod ten adres. Otworzy ci dama w czerni – to siostra Maria. Czeka na mnie i na mamę. Napiszę, że jesteś moim bratem, a ona wręczy ci paczkę; zanieś ją do więziennego szpitala imienia Gaza. Skądże! Nie dla taty! Głupie pytanie: wiesz doskonale, że tatuś jest w „Niedźwiedziej Górze”. Zobacz, tu narysowałam, jak znaleźć szpital. Tylko pamiętaj: nie wolno ci pisać słowa o tym mieszkaniu – co i kogo tam zobaczysz. Chodzimy tam na konspiracyjne zebrania. Uważaj, nie wygadaj się, bo mamę też zaaresztują. To dla duchownego, który jest w więzieniu. Zrozumiałeś?

Pietia patrzył na siostrę oszołomiony zaskakującym odkryciem.

Gdy zwierzył się ze wszystkiego przyjacielowi, Mika zawołał z entuzjazmem:

– Wspaniale! Twoja mama jest bardzo dzielna! Inna na jej miejscu, odprowadziwszy męża do łagru, gdałaaby jak kwoka: nie chodź tu, nie chodź tam, bądź ostrożny! A ona nie chowa dzieci za piecem. Zebrania konspiracyjne! Wspaniałe odkrycie!

– Jak nieugięta Rzymianka! – zawołał Pietia dumny ze swojej mamy.

– Naprawdę Rzymianka. A moja Nina – tylko „wyi”.

– Co to takiego „wyi”? – zdziwił się Pietia.

– Głupi jesteś! Nie rozumiesz? To taki sowiecki skrót. Skoro u nich „zamkiem po mordzie” oznacza zastępcę komisarza do

spraw morskich⁴⁶, to u nas „wyi” znaczy „wystraszony inteligent”. Bardzo popularne dzisiaj określenie. No, spiesz się, nie wolno ci zawieść zaufania. Naturalnie idę z tobą.

Mika schwycił palto i usiłując zapiać nieobecne guziki, skoczył do drzwi.

Przyjęto ich w małej, ciasnej kuchni. Obaj ciekawie zerkali na damę w czerni, gdy ta przygotowywała paczkę. Była już niemłoda, miała białe włosy i wytworne ruchy. Spytała, czy nie przyszły jakieś listy od ojca Pieti, a potem dodała:

– Powiedz mamie, że gdy się modłę wieczorem, zawsze wspominam jego imię – spojrzała na Mikę i spytała: – To Ogariew?
– Było jasne, że zna wszystkie szczegóły z życia Wałujewów.

Wręczając Pieti paczkę podała mu też nie zaklejoną kopertę.

– Twoja mama chciała mieć kopię modlitwy rozstrzelanego Władyki. Weź, przepisałam dla niej.

Chłopiec wziął kopertę, wciąż jeszcze zaskoczony. Dama uśmiechnęła się:

– Jeśli chcecie przeczytać, zróbcie to – zaproponowała. I zamykając drzwi dodała: – Dziękuję wam, chłopcy.

Spojrzeli po sobie.

– Wszystko jasne – tajna wspólnota chrześcijańska.

– Tak, tak, ale nie sekta, skoro należą do niej duchowny i metropolita.

– Oczywiście że nie – to wspólnota kościelna, jak za czasów Nerona.

– Przeczytamy ten list? – No jasne.

Siedli przy oknie na klatce schodowej.

„W dzieciństwie i latach chłopięcych zaczytywałem się

⁴⁶ Gra słów: roa. *zamkom po mordie* czyli *zawiestitiel komissara po morskim diełam* (zastępca komisarza do spraw morskich).

żywotami świętych, podziwiałem ich bohaterstwo, zapal i głęboko żałowałem, że dni męczeństwa minęły. Czasy się zmieniły – znów można cierpieć za wiarę...”

Chłopcy wymienili spojrzenia: męczeństwo! Jest więc ktoś, kto ma odwagę oprzeć się dyrektywom partyjnym, pozostaje wierny ideałom wiary, gotów jest za nie umrzeć. Są tacy ludzie!

To, co przeczytali dalej, było już mniej ciekawe i ważne – wszystko, co było im potrzebne, znaleźli w tych kilku zdaniach, otwierających przed nimi nowe perspektywy.

Od dzieciństwa Mika żywił głęboko skryte pragnienie kształtowania w sobie religijności. Pewnego dnia jako mały chłopiec dokazywał i kaprysił nie słuchając niani, bił ją piąstkami; gdy go wreszcie zapędzono do łóżeczka, uklęknął przed świętym obrazem, by odmówić wieczorną modlitwę, wznosił w górę oczy, lecz nagle je opuścił. Na próżno kilka razy próbował spojrzeć na Zbawiciela – przeszkadzało czyjeś surowe, badawcze spojrzenie. Pokłęczął ze spuszczonego wzrokiem i wślizgnął się pod kołdrę, cichy i zakłopotany... Wrażenie było tak silne, że pamiętał je całe dzieciństwo i wczesne lata chłopięce. Wychowania religijnego właściwie nie odebrał, modlić się nauczyła go stara niania. Rósł zaniedbany – szalała wojna domowa, ojciec już zginął, cała rodzina beznadziejnie ugrzęzła w Czeriomuchach. Mieszkali nie w wielkim dworze, który spalili chłopcy, lecz w małym domku zajmowanym dawniej przez ogrodnika. Było ich troje – on, Nina i niania. Mika widział, że siostra jest przygnębiona. Niania tłumaczyła szeptem, że Nina została wdową, smutno jej bez męża i dziecka. Rzuciło to cień na całe ich życie: nie było śmiechu, gości, rozrywek. Mika bawił się samotnie z psami i końmi. Chociaż zwierzęta stanowiły własność sowchozu, utworzonego z ich majątku, było mu obojętne, do kogo należą. Kiedy w 1923 roku rady wiejskie zaczęły wysiedlać ostatnich ziemian, Nina zdecydowała, że pojedą do Piotr ogrodu. W sercu Miki rozbłysła nadzieja: może, gdy pójdzie do szkoły i spotka się z innymi dziećmi, życie jego stanie się weselsze? Będą przecież i koledzy, i zabawy. Ale wyszło całkiem inaczej – w mieszkaniu, które dostali,

terroryzowała ich wściekła stara baba, siostra wcale nie stała się weselsza, a dzieci w szkole były całkiem inne niż to sobie wyobrażał.

Szkoła prowadziła gorliwie propagandę antyreligijną. I okazało się coś dziwnego – głoszenie bezbożnictwa, niczym fale rzeki, biło w skałę chłopięcej duszy i nic nie mogło wskórać. Ktoś niewidoczny, ten, który patrzył na niego z ikony, był zawsze w pobliżu. Chamskie, bluźniercze wyskoki ateistycznych kółek szkolnych napawały Mikę wstrętem. W owym czasie chłopiec nie znał świata cerkiewnego, sądził, że już go dawno zmiążdżono. Okazało się, że jest inaczej... Idea, dla której można poświęcić życie, widniała gdzieś w oddali.

Chłopcy z własnej inicjatywy pobiegli raz jeszcze do mieszkania, które ich tak zainteresowało. Damy w czerni nie było. Otworzyła młoda dziewczyna w chusteczce i nie wpuściła dalej niż do kuchni. Podreptali z wahaniem w progu i odeszli.

– Ale głupcy siedzą tam, na górze – powiedział Mika. – Prześladują religię chcąc z nią skończyć. Tymczasem każdy wie, że męczennicy mają zawsze kontynuatorów!

W dwa tygodnie później świętowano szesnaste urodziny Mary. Od czasu aresztowania męża Olga Nikiticzna Wałujewa nie urządzała żadnej uroczystości. Przyszło kilku krewnych i znajomych; Mary w szkolnym mundurku z gładko zaczesanymi włosami wyglądała powszednio.

– Powiedziała, że zostanie zakonnica! – szepnął na ucho przyjacielowi Pietia. Mika zerknął ciekawie na dziewczynę. Właśnie Nina czule tarmosiła Mary mówiąc:

– Jesteś bladziutka i uczesałaś się zbyt skromnie, warto by obszyć suknię choćby wąską koronką.

By rozerwać gości Nina położyła na stół karty „Poczta Amora”. Mika wziął je z niechęcią. Niespodziewanie jednak jego uwagę przykuło jakieś zdanie. Przeczytał je raz i drugi, po czym przerzucił kartę do Mary mówiąc: „Rubin”. Dziewczyna

przeczytała zdanie, podniosła głowę i spojrzała na niego bacznie czarnymi oczyma. Spojrzenie to przez cały wieczór frapowało Ninę: „O czym mógł Mika telegrafować do Mary? Byłabym rada, gdyby się zakochał. Choć troszeczkę! Przynajmniej zadbałby o paznokcie – ale to do niego niepodobne!”

W rubryce „Rubin” były strofy:

*Od pijanych triumfem bezmyślnych szaleńców
O rękach splamionych gorącą posoką
Ochraniaj i wciel mnie do poczty straceńców
Co życiem opłacą miłości epokę!*

W kilka dni po urodzinach siostry Pietia znów przybiegł do Miki. Z więzienia wypuszczono na jeden dzień hieromnicha, ojca Gurija Jegorowa, tego, któremu zanieśli paczkę. Teraz pójdą do mieszkania, a tam zgromadzą się ci wszyscy, co zechcą się z nim pożegnać, ojciec Gurij udaje się na północ. Muszą być bardzo ostrożni, by GPU nie wykryło zebrania.

Poszli do Wałujewów, a od nich – razem z siostrą i mamą Pieti – do konspiracyjnego mieszkania. Przewyciężając nieśmiałość Mika odważył się spytać Olgę Nikiticzną o list, który go tak zaniepokoił.

– To list metropolity Wieniamina, oskarżonego przed kilku laty o kontrrewolucję i rozstrzelanego – odpowiedziała mama Pieti ściszym głosem. – Bolszewicy rozprawiają się zwykle ze swymi ofiarami po cichu, w kazamatkach, ale z Władyką nie mogli tak postąpić. Urządzili więc pokazową, publiczną rozprawę, przypominającą nieco procesy w sali dawnej Resursy Szlacheckiej. Mąż zdobył dla mnie bilet dzięki swoim dawnym prawniczym kontaktom. Ileż było w tym chamstwa, znęcania się nad świętym ojcem! W końcu nie wytrzymałam, krzyknęłam z mojego miejsca: „Przestańcie się znęcać!” – kilka głosów wołało to samo razem ze mną. obrońcy bali się powiedzieć choćby cokolwiek. Mimo woli wspomniałam sądy z czasów carskich.

Wiera Zasulicz naprawdę była zbrodniarką, a jakież płomienne mowy wygłaszano w jej obronie, jakże współczuła jej publiczność! A teraz, gdy stojący przed wejściem tłum obrzucił Władykę kwiatami podczas wsadzania go do karetki więziennej – nie wiadomo skąd runęli konni funkcjonariusze GPU, otoczyli ludzi i uprowadzili ich pod konwojem! Cudem przemknęłam się między końskimi pyskami i uciekłam. Chwyтали się także innych sposobów; w dniu ogłoszenia wyroku salę wypełnili agenci GPU, by zgodnie z instrukcją okłaskiwać decyzję sądu. Miała to być demonstracja powszechnego entuzjazmu. Władze bały się widocznie, by nie krzyczano, jak poprzednio, z sali i zastosowały odpowiednie środki. Lecz cały plac, cała ulica Michajłowska były tego wieczora wypełnione ludźmi oczekującymi milcząco na wyrok sądu. Tłumu, który zatrzymał ruch drogowy, niepodobna było ani otoczyć ani uwięzić... Był koniec lata i zachodzące słońce, jak pamiętam, rozpromieniało niebo.

Po chwili mama Pieti dodała:

– Ale po kilku latach, gdy Stalin umocnił swoją władzę, skończyło się wypowiedanie własnych opinii, skończyły się protesty; milczano nawet w kolejkach przed więzieniami.

Narastający terror zniszczył wszelkie przejawy uczuć obywatelskich.

Mika milczał pod wrażeniem tej opowieści. Zdumiała go odwaga tej kobiety. Stale widział Olę Nikiticzną, przywykł słuchać, jak mówiła: „Chodźcie na herbatę, chłopcy!”, „Pietia, znów nie umyłeś rąk”, „Misza, weź ciastko” – i nie wiadomo czemu był przekonany, że po kimś, kto wygłasza takie zdania, innych, ciekawszych, nie można się spodziewać.

Zbliżyli się do domu z tajemniczym mieszkaniem, Olga Nikiticzna kazała im być cicho i wchodzić pojedynczo. Z kuchenki, którą już znali, zaprowadzono ich wąskim korytarzem do pokoju. Były tam ikony ze świeczkami, analogion⁴⁷ i mnóstwo chłopców i

⁴⁷ Analogion (cerk. z grec.) – pulpity służący do umieszczania na nim ksiąg liturgicznych.

dziewcząt siedzących na krzesłach, a nawet na podłodze między bibliotecznymi szafami i półkami. Powoli wypełniał się nawet korytarz; ostrożne dzwonki i ciche kroki nie ustawały, rozmawiano niemal szeptem.

Ojciec Gurij miał na sobie mnisią riasę. Bardzo chudy i blady, przypominał kapłana z czasów wczesnego chrześcijaństwa rozmawiającego ze swymi owieczkami w czasach prześladowań; prosił, by się nie rozłączali, nie uciekali wewnątrz, dodawali sobie otuchy. Opowiadał też o życiu więziennym... Potem wszyscy zbliżali się do niego kolejno po błogosławieństwo. O jedenastej wieczorem miał wrócić do GPU, toteż zegnał się z każdym krótko. Przy chwiejnym świetle lampek kolejka posuwała się w milczeniu, ci, których pobłogosławił, natychmiast szli ku wyjściu. Scena ta bez reszty pochłonęła wyobraźnię Miki. Widział przed oczyma katakumby z czasów rzymskich; matka Pieti była w jego oczach szlachetną matroną, żoną prześladowanego patrycjusza; przyszła na konspiracyjne zebranie chrześcijan ze swojej willi nad Tybrem, przyprowadzając dwóch neofitów.

Gdy nadeszła ich kolej, „Rzymianka” przepuściła wpierw Mary, a sama stanęła za chłopcami. Położyła jedną rękę na ramieniu syna, drugą na ramieniu Miki i rzekła do ojca Gurija:

– To nowi. Przyprowadziłam ich.

Mika nieśmiało spojrział na ojca Gurija.

– Pan Bóg cię tym obdarzy, czego twojemu sercu potrzeba! – powiedział duchowny błogosławiąc Mikę.

Gdy wychodzili, Mika spytał przyjaciela, czy ojciec Gurij coś mu powiedział.

– Powtórzył słowa starca Zosimy: „Będiesz wśród ludzi jako mnich”. A do Mary rzekł: „Obyś została jak lilia w ogrodzie Getsemani!” Mama mówiła, że pozwolilby się poćwiartować za swoje ideały.

– Ja też taki będę – postanowił Mika i wzniosł oczy ku gwiazdzystemu niebu.

W pierwszych latach po przewrocie, mimo prześladowań Cerkwi Prawosławnej przez władzę sowiecką, a nawet, być może, wskutek tych prześladowań, życie religijne Piotrogradu wyraźnie się odrodziło. Niemal każda cerkiew skupiała niewielkie grono ludzi głęboko wierzących, unikających martwej obrzędowości, gotowych żyć zgodnie z wymogami wiary i jeśli trzeba, przyjąć nawet męczeńską śmierć. I przyjmowali ją. Prześladowania oczyściły cerkiewne środowisko. Jedno z czołowych miejsc zajęła Ławra Aleksandra Newskiego; przy cerkwi Świętego Krzyża powstało tam Bractwo Aleksandra Newskiego – ruch młodzieży w wieku „komsomolskim”. Kierowali nim trzech duchowni: ojciec Innocenty, ojciec Gurij i ojciec Lew. Gurij i Lew byli rodzonymi braćmi, obaj mieli wykształcenie uniwersyteckie, Gurij – w życiu świeckim Wiaczesław Jegorow – zdażył jeszcze ukończyć Akademię Duchowną, którą później władza sowiecka zamknęła. W czasie wojny obaj bracia (wówczas jeszcze ludzie świeccy) poszli na front jako sanitariusze; zbierali pod ogniem rannych, nie chcąc przelewać krwi ani pozostawać na uboczu. Złożywszy śluby kapłańskie i zakonne w najtrudniejszym dla Cerkwi okresie obaj stanęli na czele młodzieży jako jej duchowi przywódcy. Z początku bractwo zgrupowało się wokół cerkwi Św. Krzyża na terenie Ławry. Była to młodzież płci obojga; dziewczęta w owych dniach nosiły białe chusteczki, które już wkrótce trzeba było zdjąć dla konspiracji. Bractwo miało wskrzesić ducha wczesnochrześcijańskich wspólnot. Jego członkowie pracowali na rzecz cerkwi Św. Krzyża – śpiewali, czytali, sprząтали, pielęgowali chorych, nosili paczki uwięzionym, zbierali się, by wspólnie czytać pisma świętych ojców, przestrzegali reguły kościelnej: spowiedzi, postów, chodzenia na nabożeństwa; uczyli też dzieci religii. Wielu z nich zaczęło studiować w Wyższej Szkole Teologicznej, niedawno otwartej zamiast zlikwidowanych akademii. Zapał był ogromny, lecz ostrożności, czego się można było spodziewać, stanowczo zbyt mało. Cerkiew Świętego Krzyża wkrótce przyciągnęła uwagę GPU. Jesienią 1923 roku zamknięto Wyższą Szkołę Teologiczną i aresztowano całą jego kierowniczą kadre i profesorów. Byli wśród

nich również trzej duchowni z bractwa i inni, najbardziej aktywni jego członkowie. W ten sposób organizacji ucięto głowę.

W ciągu pierwszych kilku dni zmartwiona młodzież wciąż jeszcze zbierała się w cerkwi Św. Krzyża, niejeden z młodych ludzi marzył już o męczeństwie, gdy zaś cerkiew zamknięto, zaczęli spotykać się w prywatnych mieszkaniach, ukradkiem przekazując sobie wiadomości, a za zebrane pieniądze nosili paczki aresztowanym „świętym ojcom”. Zebrania w mieszkaniach były tłumne – czasem przychodziło nawet czterdzieści osób – i często jakiś spóźniony dzwonek budził trwożny niepokój. Lecz nie było wśród członków bractwa zdrajcy; GPU nigdy nie wpadło na trop tajnych zebrań. Wkrótce powstał sztab bojowy bractwa – w mieszkaniu przy ulicy Konnej udało się założyć coś w rodzaju zakonnej wspólnoty; wskutek wymiany lokatorów i zgody na dodatkowe zakwaterowania mieszkały tu teraz samotne dziewczęta i kobiety, wszystkie zatrudnione w sowieckich instytucjach: nauczycielka, księgowa, bibliotekarka, pielęgniarka... Zgodnie z dokumentacją było to typowe mieszkanie komunalne. W każdym pokoju mieszkały po dwie lokatorki, główny pokój służył jako klasztorny refektarz: były tam ikony, ustawione w kształcie ikonostasów, a pośrodku długi stół. Ściany tego pokoju od góry do dołu wypełniały półki z książkami – własnością aresztowanych duchownych. Tutaj jadano, rano i wieczorem modlono się, przyjmowano przybyłych gości.

Z bractwa wyłoniła się dzielna para małżeńska – Fiodor Andriejew i jego żona Natasza, Gdy rozeszła się wiadomość o prześladowaniach kleru, Andriejew oznajmił, że pragnie zostać duchownym. Młoda żona zgodziła się na to wiedząc, czym to grozi, choć już spodziewała się dziecka. Wkrótce Andriejew został aresztowany. Zmarł w trzy dni po wypuszczeniu z więzienia, wkrótce potem zginęła na zesłaniu jego żona.

Duchowni przychodzili i błyskawicznie znikali, lecz bractwo trwało. Jego żywotność była zdumiewająca: dziesięć lat po pierwszych aresztowaniach wciąż działało w konspiracji.

Taka była organizacja, do której przywiodła Mikę żądza

bohaterskich czynów. Od dnia, kiedy znalazł się na zebraniu przy ulicy Konnej, był pochłonięty bractwem. W soboty i niedziele wyjeżdżał nad Newę do Konowii; bractwo opiekowało się tam niewielką cerkiewką. Nie opuszczał ani jednego spotkania.

Prastare ikony z pociemniałymi, zastygłymi obliczami, złote nimby, zamglone kadzidłem pieśni, cudownie piękne stare liturgie – wszystko to, ściśle związane z dziejami ojczystymi, było prześladowane – a zatem oczyszczone z fałszu i przemocy. Tylko to się nie zmieniło, nie rozpadło, skazane na zagładę – nie umarło.

Przed Wielkanocą Mika postanowił pogodzić się z siostrą; członkowie bractwa przygotowywali się do Komunii świętej, więc rozumiał, że nim przystąpi do świętego sakramentu, musi to zrobić. Nie było to łatwe; od dawna nie rozmawiał z Niną szczerze i przyjaźnie.

Przez kilka dni zbierał się na odwagę, wreszcie w Wielką Środę – w przededniu Komunii świętej – zastukał do pokoju siostry.

– Nino! – zaczerwienił się jak burak, lecz nie opuścił wzroku – czasem... często... niemal zawsze... zachowywałem się wobec ciebie po chamsku, niesprawiedliwie. Jutro idę do Komunii świętej – wybacz mi!

– Mika, kochany braciszku! – zawołała zdumiona Nina. – Co za niespodzianka! Oczywiście, że ci wybaczam! Sama też ponoszę winę – łzy popłynęły jej z oczu. – Wiesz, jak jesteś mi drogi, miałeś zaledwie kilka dni, kiedy umarła nasza mama. Ty też mi przebac – nie miałeś szczęśliwego dzieciństwa. Tata mógłby czynić mi wyrzuty. Nie wyrywaj się, pozwól choć tym razem wszystko powiedzieć! Mika, potępiałeś mnie, ale... ten człowiek – Siergiej Pietrowicz – naprawdę darzy mnie uczuciem. Wkrótce pojedę do niego i weźmiemy ślub. Przecież to dla ciebie bardzo ważne – możesz już się przeze mnie nie rumieniść, kochany braciszku! Mika uwolnił się z objęć siostry, spojrzał jej w oczy.

– Wychodzisz za mąż? – Tak.

– To dobrze, bo myślałem, że jak skończę szesnaście lat, to wejść do twojego pokoju i spoliczkuję go. Musiałby się ze mną pojedynkować.

– Zwariowałeś? Przecież nie jestem młodą panienką! Nawet za dawnych czasów o honor wdowy nie dbano tak jak o cześć młodej panny, a teraz wszystko się poplątało: rzadko kto bierze ślub w cerkwi, a sowiecki papierek o rejestracji małżeństwa tak niewiele znaczy! Na Boga, porzuć te myśli, chcę, byście zostali przyjaciółmi. On jest teraz na zesłaniu, trzeba mu tylko współczuć.

– Jak weźmiecie ślub, natychmiast się z nim pogodzę. A za moje niewesołe dzieciństwo nie ponosisz winy, siostrze. Nawet lepiej, że było nieszczęśliwe – nie jestem rozpieszczony. Nie lubię długiego gadania, czuły nigdy nie będę, ale postaram się nie być grubiański, choć trudno mi za siebie ręczyć. Uff, to już wszystko!

I uciekł obawiając się najbardziej tego, że nie daj Boże się roztkliwi.

Rozdział drugi

W ostatnim czasie u Niny pojawił się wielbiciel – niemłody muzykolog, zachwycony jej głosem i oczami. Kilkakrotnie oprowadzał ją po koncertach, przynosił kwiaty i czekoladę. Pewnego razu ktoś w Capelli powiedział, że na jednej z podmoskiewskich stacyjek, w odległości pół wiorsty od torów kolejowych śpiewa o zmierzchu mnóstwo słowików. Kilka młodych sopranistek oznajmiło, że pojedzie ich posłuchać; dołączyli do nich tenorzy i zebrała się spora grupka chętnych. Zaproszono również Ninę. Niemłody muzykolog był przy tym obecny, powiedział, że też pojedzie. Nina świetnie rozumiała, że stary lis chce jechać ze względu na nią i że wszyscy o tym wiedzą. Zapewne po wysłuchaniu słowiczego koncertu pary rozejdą się po lesistej okolicy, i w ten sposób wpadnie w objęcia muzykologa. Ani jednym słowem czy gestem nie dała po sobie poznać, że to rozumie, lecz z wycieczki nie zrezygnowała. Nazajutrz w rozmowie z Olegiem powiedziała:

– Chcę cię uprzedzić, że w sobotę wieczorem organizujemy z kolegami z pracy wycieczkę za miasto. Może nie wrócę nawet do rana – nie martw się więc, jeśli się nie zjawię.

– Ach tak! Mężczyźni też jadą?

– Dla samych pań byłaby to wyprawa trochę ryzykowna... rozumie się, mężczyźni też jadą – nasi tenorzy – odpowiedziała niewinnym tonem.

– Powiedz mi proszę, a co to za pan o nieco semickim wyglądzie, który odwiedził cię przed kilku dniami? Też artysta Capelli? – spytał Oleg.

Nina zmieszała się nieco.

– Tak, to muzykolog, jeden z tych, co zasiadają w prezydiach podczas rocznicowych świąt i wygłaszają mowy wstępne – po czym dodała nie wiadomo czemu – Siergiej nie znosił tego typu ludzi.

– A on przypadkiem też jedzie?

„Stajesz się zbyt przenikliwy, mój drogi” – pomyślała Nina i spytała:

– A czemu to cię interesuje?

– Miałem wrażenie, że patrzy na ciebie jak kot na spyrkę. Zapewne słowiczy śpiew niezbyt go interesuje; w przeciwnym razie, jak sędzę, nie zgodziłabyś się pojechać.

Nina mimo woli przygryzła język.

Rozmowa ta unaoczniała jej, że zapomina czasem o barometrze, którego strzałki wskazywały zasady dobrego tonu w dawnym wielkim świecie. Przez cały wieczór myślała o tym, jak to się stało, że była już o włos od nierozważnego kroku, omal nie skompromitowała się przed swymi najbliższymi.

Wyjęła z torebki fotografię Siergieja Pietrowicza i długo wpatrywała się w jego twarz, jakby szukając u niego obrony przed sobą.

„Jakiś typ spod ciemnej gwiazdy, gaduła, obijający się po klubach, plecie bzdury o muzyce, lecz nie gra na żadnym instrumencie, komunizujący aferzysta! Jak mogłam się tak poniżyć, omal nie zdradzić Siergieja! A Oleg, ten miły chłopiec, taktownie mnie przed tym powstrzymał. Jak najprędzej do Siergieja! Przytulę się do niego i wreszcie poczuję, że znów jestem kochaną, młodą żoną!”

Nazajutrz zrezygnowała z wycieczki, a przechodząc koło muzykologa nie odpowiedziała na jego ukłon.

Los jakby na to czekał; tego samego dnia Natalia Pawłowna zawiadomiła ją telefonicznie, że sprzedała fortepian za cztery tysiące. Zapadła decyzja: jesienią Nina pojedzie nad rzekę Ob.

We wrześniu miał się odbyć ślub Olega i Asi. Nadieżda Spirydonowna była przerażona.

– Ninko, w żadnym wypadku nie pozwól, by Oleg Andriejewicz zamieszkał tutaj z młodą żoną. Wiesz przecież, nie minie nawet rok – a już będzie dziecko i nie da nam spać. Zacznie

się płacz po nocach, w kuchni powieszają nam pieluchy. Jestem wprost przerażona! Obiecuj mi, Nino, że jako główna lokatorka nie wyrazisz zgody. Własnego metrażu on nie ma, więc nie może się domagać. Słyszysz, Nino?

– Niech się ciocia uspokoi, Oleg nie jest z tych, co stawiają żądania. Zresztą u Natalii Pawłowny i Asi starczy dla niego miejsca. – Rozeźlona Nina zamknęła ciotce drzwi pod nosem.

Kiedy Oleg przyprowadził Asie z oficjalną wizytą, Nadieżda Spirydonowna ukryła jak najgłębiej swoje obawy i zademonstrowała wielkoświatowy takt: z miłym uśmiechem wytwornej damy pocałowała Asie w czoło. Co prawda, wyglądała w tym momencie tak, jakby dotknęła ustami żaby. „Chyba wyobraziła sobie ich przyszłe dziecko – pomyślała Nina. – Dla niej Asia to wytwórnia kwilących stworzeń”.

Mimo to Nadieżda Spirydonowna rozmawiała bardzo miło i nawet wyraziła zainteresowanie, jaka krawcowa szyje Asi suknię ślubną. Poradziła, by uszyć do niej tren, spytała o nazwiska drużbów i z jakich pochodzą rodzin, dowiedziawszy się zaś, że to Krasnokutski i Frołowski, uśmiechnęła się z aprobatą.

Gdy młoda para wyszła, Nadieżda Spirydonowna zauważyła:

– Jest bardzo miła, ładniutka i zachowuje się *comme il faut*. Co znaczy rasa! Muszę im coś dać w prezencie ślubnym. – I więcej do sprawy małżeństwa Olega nie wracała.

Nina nie mówiła ciotce o swych planach wyjazdu do Siergieja Pietrowicza – nie chciała jej z góry denerwować. Lecz gdy pewnego sierpniowego wieczora wracając do domu myślała, że czas porozmawiać z ciotką, Nadieżda Spirydonowna spotkała ją przejętą, z zaczerwienionymi oczyma:

– Nineczko, co się dzieje? Dowiedziałam się w kuchni od Annuszki, że jedziesz gdzieś do tomskiej guberni na cały miesiąc. Jakże to tak?

– Niech mi ciocia wybaczy. Właśnie dziś chciałam o tym powiedzieć, sama opowiedziałabym cioci wszystko – przeprosiła ją

Nina.

– Nie wstyd ci, Ninon? Jechać tak daleko z powodu mężczyzny? Wszyscy świetnie wiedzą, że jedziesz do tego pana – każdy wie, że go tam zesłali. Annuszka mówiła o tym przy mnie bez skrępowania. Mój Boże, jaki wstyd!

Urażona Nina wybuchła:

– Niby dlaczego wstyd? Dlaczego mam się wstydzić, że jadę do zesłanego męża?

– Do męża? Jak to – do męża?

– Wychodzę za niego.

Nadieżda Spirydonowna szeroko otworzyła oczy, przez chwilę stała w milczeniu, a potem wyszła. Wkrótce znów zastukała. „Zaraz zaczniesz mówić o kwilących niemowlętach” – pomyślała Nina otwierając drzwi. Lecz Nadieżda Spirydonowna powiedziała:

– Gratuluję ci, kochanie! Masz tutaj w prezencie bransoletkę. Spójrz, jest na niej napis „*Dieu te garde*”. To nasza rodzinna pamiątka, mój dziadek a twój pradziadek ofiarował mi ją w dniu, gdy stałam się pełnoletnia. Życzę ci szczęścia! – nagle zaszlochała i objęła Ninę; siwa fryzura ze staroświeckimi szpilkami przywarła do jej ramienia.

– Jesteś córką mojego jedyne go brata, któż więc ma cię pobłogosławić, jeśli nie ja? – dodała ciotka już innym, drżącym ze starości głosem.

Dzień wyjazdu zbliżał się, dwa tygodnie zajmie podróż tam i z powrotem, tylko dwa tygodnie spędzi z Siergiejem!

Przez resztę dni, jakie pozostały do wyjazdu, Nina mogła jeszcze lepiej ocenić rodzinę, do której miała wejść. Natalia Pawłowna szykowała ją do drogi jak matka, podarowała nawet dwa eleganckie komplety bielizny.

W przededniu wyjazdu, szukając czegoś w szafie, Nina natknęła się na niemowlęcą koszulkę. Kilka minut patrzyła na nią z zadumą, po czym zawołała Olega:

– Proszę, weź to! W tej koszulce chrzczono sześć pokoleń chłopców w rodzinie Daszkowów, także ciebie i mojego synka. Teraz to ubranko zgodnie z prawem należy do was, bo nawet jeśli będę miała dzieci, nie będą to już Daszkowowie. Chcę oddać ci jeszcze jedną rodzinną pamiątkę. Sofia Nikołajewna ofiarowała mi ją w prezencie ślubnym. Już dawno sprzedałam wszystkie moje *bijoux*, lecz to trzymałam na czarną godzinę, wciąż myślałam, przyda się, jeśli skażą na zesłanie... Weź to – i podała Olegowi aksamitny futerał. – Nie, nie odmawiaj! Ten klejnot był własnością twojej matki i babci, powinien zostać u ciebie! Daj to Asi w prezencie ślubnym.

W futerale były wspaniałe kolczyki z długimi wisiorkami z pereł. Oleg gorąco podziękował.

Wieczorem wpadła pożegnać się Marina.

– Może chcesz, bym wzięła do siebie na ten czas Mikę? – spytała.

– Dziękuję ci. Natalia Pawłowna też mi to proponowała, lecz Mika nigdzie nie chce jechać. Oleg obiecał uważać na niego, a Annuszka – że będzie gotowała dla nich obu. Jestem właściwie spokojna.

Marina uściskała ją.

– Do zobaczenia, moja kochana! Nie przyjadę na dworzec, nie chcę widzieć tej pary... sama rozumiesz. Życzę ci przynajmniej na ten miesiąc miłości i szczęścia. Ale bądź rozsądna, teraz ja ci coś powiem – nie wpadnij! Skrobanka to coś bardzo nieprzyjemnego! Lubię cię bardzo, choć uważacie mnie wszyscy za egoistkę.

Gdy nazajutrz wieczorem Nina przysłała na peron w towarzystwie Olega i Miki, dźwigających ciężkie walizki, Natalia Pawłowna, madame i Asia były już na miejscu. Mika po ostatniej rozmowie z siostrą traktował ją oziębło, tak jakby chciał udowodnić, że to, o czym mówili, nie powtórzy się, ale sentymentalizm nie jest jedną z jego wielu wad. Jednak na dworcu, gdy odprowadzający opuszczali wagony, w ostatniej

chwili wskoczył na stopień, uściskał siostrę i wyskoczył już w biegu. Gdy Nina podeszła do okna i raz jeszcze spojrzała na peron, zobaczyła, że Natalia Pawłowna żegnają znakiem krzyża.

„Chyba już się skończy moja samotność – pomyślała Nina. – Mam teraz męża, matkę, Mikę i Olega z tą uroczą dziewczyną – spora, kochająca się rodzina!”

W przedziale na stoliku leżały róże, które przyniosła Asia. Cudownie pachniały zapowiadając chwile szczęścia – krótkiego i smutnego, lecz jakże wspaniałego!

Rozdział trzeci

Dziennik Elżbietki

22 sierpnia. Wreszcie jestem w domu. Przez miesiąc urlopu piłam kumys w sanatorium „Stepowa Latarnia” pod Orenburgiem. Piękna miejscowość – wzgórza porośnięte trawą, w dolinach brzozone zagajniki. Tu i ówdzie pasą się tabuny koni, których dawniej było mnóstwo. Ośrodek wypoczynkowy składa się z kilku małych domków zbudowanych na wysokim wzgórzu, w środku jest jadalnia i świetlica (tej ostatniej nienawidzę, ani razu tam nie byłam). Wśród wczasowiczów ani jednej sympatycznej twarzy – sami „gospodarze naszego życia”. Chodziłam na samotne spacerunki, a po powrocie wsadzałam nos w książkę, by nie słyszeć płaskich żartów i głupkowatego chichotu, nie dostrzegać prymitywnych zalotów, od których robi się niedobrze. Rozwiązłość tak wielka, że zwrócił na nią uwagę personel medyczny – w imieniu lekarza naczelnego surowo zabroniono opuszczać łóżka w nocy; opóźnia to ponoć rekonwalescencję, przez co marnują się zużyte na ten cel państwowe środki. Którejś nocy przestraszyła mnie nagle latarka oświetlająca moje łóżko, to lekarz dyżurny w towarzystwie pielęgniarki sprawdzał, czy wszyscy są na miejscu. Powiedział przy tym: „Jak na razie, to pierwsza we własnym łóżku”. Zagrozili, że tych, co chodzą gdzieś po nocach, skreślą z listy pacjentów. Większość kuracjuszy przyjechała tu z otwartą gruźlicą. Tylko ja, jak się okazało po badaniu, jestem zdrowa. Tak się jakoś składa, że zawsze i wszędzie stanowią wyjątek, ludzi ze środowiska szlacheckiego zsyłają, a ja dostaję nagrody, wszyscy są chorzy, a ja jestem zdrowa, wszyscy oddają się rozpuście, a ja żyję w cnotce. Za to zawsze jestem samotna. Nikt nie próbował się nawet do mnie zalecać, tak jakby na moim czole widniał napis: „grozi śmiercią lub kalectwem”. Cieszyłam się tylko sympatią kelnerek – prostych dziewcząt, tutejszych chłopków. Nawet mnie przezwwały „nasza mądrała”. Z początku cieszyłam się, że mogę odpoczywać i nic nie robić, spacerować sobie po malowniczych wzgórzach, lecz

wkrótce mi to tak zbrzydło, że nie mogłam się doczekać końca turnusu; stęskniłam się za własnym pokojem, ciszą i... gdy tylko pójde do pracy, dowiem się od Leli, czy wszystko w porządku.

23 sierpnia. Nie pamiętam dlaczego opowiadając o uzdrowisku zapomniałam opisać scenę ciekawą nawet z historycznego punktu widzenia. Jadalnia znajdowała się w osobnym pawilonie i za każdym razem, gdy my – kuracjusze – wychodziliśmy stamtąd po śniadaniu czy obiedzie, przed drzwiami tłoczyli się tutejsi chłopcy – mężczyźni, kobiety, dzieci, dziewczęta, młodzi chłopcy – i... prosili o chleb! Nie uwierzyłabym, gdyby mi to ktoś opowiadał, lecz muszę wierzyć własnym oczom! Gdyby coś podobnego stało się za caratu w jakiejś guberni w roku nieurodzaju – jakże protestowałyby społeczeństwo, ile robiłoby hałasu! Studenckie mityngi, dobrowolne składki, kiermasze ze sprzedażą na cel dobroczynny, bezpłatne jadłodajnie. Lecz władzy sowieckiej wszystko uchodzi płazem, wszystko jej wolno – przecież zakłada kolchozy, a to tylko tak zwany „chłopski sabotaż”, nic więcej! Zbyt drogo kosztują twoje eksperymenty, przekłeta władzo!

24 sierpnia. W pracy powitano mnie bardzo serdecznie. Staruszka salowa powiedziała: „No, teraz wszystko pójdzie dobrze!” Wpadłam do gabinetu rentgenowskiego, żeby zobaczyć Lełę – Oleg jest zdrow, nic mu się nie stało. Ślub na początku września. Z Leli wszyscy w gabinecie są zadowoleni, będą się starali załatwić jej etat.

24 sierpnia, wieczór. Cieszę się, że nie znienawidziłam Asi. Była taka chwila kiedy targła mną wściekłość, lecz Asia rozbroiła mnie tego dnia, gdy przybiegła rano wzburzona, z otwartym sercem, i nie bała się szczerości. Ma wiele uroku i ciepła, nie można się jej oprzeć. Nienawiść zniszczyłaby mnie.

25 sierpnia. Kolejna fala terroru! Dowiedziałam się od Julii Iwanowny, że 1 sierpnia zesłano do łagrów na północy grupę uczonych; jest wśród nich Platonów, Tarle, Bołdyriew i wielu innych. Julia Iwanowna, zaprzyjaźniona z rodziną Płatonowów była na dworcu i widziała, jak naszych najwybitniejszych myślicieli prowadzono do pociągu między dwoma szeregami

uzbrojonych żołnierzy GPU. Widok ten po raz pierwszy zaszokował społeczeństwo jeszcze w 1922 roku – sama żegnałam statek, na którym wydano wtedy poza granice Rosji filozofów: Łosakiego, Bierdiajewa, Łapszyna i innych utalentowanych uczonych, gdyż Sowdepia⁴⁸ zapragnęła się od nich uwolnić! Odtąd powtarza się to z roku na rok, tyle że zsyłają teraz do łagrów, a nie za granicę. Na wielkim i pięknym świecie niby panuje spokój, w Rosji zaś z premedytacją niszczy się najlepszych ludzi. W XIX wieku nasi geniusze łączyli się w gwiazdozbiory: „Potężna Gromadka”, „Współczesny, ruch pieriedwiżników, symboliści, trupa Stanisławskiego – każdy z tych gwiazdozbiorów to nasza chluba, lecz teraz... teraz kulturę wyrywa się z korzeniami, a Europa obojętnie się temu przygląda!

26 sierpnia. Poszłam odwiedzić panie Bołogowskie, naturalnie z cichą nadzieją, że go spotkam, i nie omyliłam się. Wydał mi się bardzo zmęczony i blady; zresztą wszyscy mi się teraz wydają tacy w porównaniu z kuracjuszami o czerwonych gębach. Lepiej byłoby, gdybym go nie spotkała, znów cała drzę! Asia wyglądała prześlicznie, była żywa, lekka, rozszczebiotana; a on nie odrywał od niej oczu.

27 sierpnia. Nina Aleksandrowna lada dzień wyjeżdża nad Ob do zesłańca Bołogowskiego – to jej narzeczony. Z opowiadań Asi mogłam sobie wyrobić opinię, że jest mądrym i wytwornym człowiekiem. Księżnej przypadł w udziale romantyczny, piękny los – jechać do zesłańca! Ja natomiast zbyt często myślę o bohaterstwie i poświęceniu, lecz wszystko to mnie omija! Cóż, taki los!

28 sierpnia. Księżna wyjeżdża pojutrze. Postanowiłam odprowadzić ją na dworzec. Znalazłam się w kręgu arystokracji i muszę przyznać, że dźwięczne, stare nazwiska, wytworność manier, grasejowanie i francuszczyzna – wszystko to dziś, w czasach terroru i nędzy, imponuje mi. Tak naprawdę środowisko to jest mi obce; wywodzę się ze skromnej rodziny szlacheckiej,

⁴⁸ Sowdepia (ros.) – pogardliwe określenie porewolucyjnej Rosji, jako kraju „sowieckich deputatów” czyli „radzieckich delegatów”.

ściślej z inteligencji pracującej. A nasza rodzina nigdy nie szukała kontaktów z arystokracją. Lecz kiedy inteligencję rosyjską, wywodzącą się głównie ze szlachty tak się opluwa i maltretuje, kiedy zabito już prawie wszystkich arystokratów, a słowa „paź”, „licealista”, „szambelan”, „gwardzista”, „senator” brzmią niemal jak wyrok – moja sympatia jest po stronie prześladowanych, tak było zawsze! Ginie klasa, która dała Rosji wielu wybitnych ludzi; zbyt wielu, by nie wybaczyć jej tych kilku, co nie potrafili znaleźć się na wysokości. Bronię więc czci tego sztandaru! Miałam szczęście spotkać wśród tych ludzi osoby o wyjątkowych zaletach ducha, że choćby wspomnę człowieka, którego kocham.

1 września. Ze względu na dyżur w szpitalu nie mogłam wczoraj iść na dworzec. Wracając do domu zobaczyłam Olega z Asią na naszej klatce schodowej – sąsiedzi powiedzieli im, że wkrótce wrócę, więc czekali na mnie siedząc na parapecie. Przyszli, by mnie zaprosić na swój ślub! Powiedziałam z uśmiechem, że przyjdę; chciałam poczęstować ich herbatą, lecz spieszyli się gdzieś jeszcze. Żegnając się ze mną Oleg powiedział: „Byliśmy w urzędzie stanu cywilnego, może pani powinszować Asi, od dziś nosi arystokratyczne nazwisko!” Nuta ironii w jego głosie i drwiący uśmiech wskazały mi, o czym myśli: przecież Asie zarejestrowano jako Kazarinową! Urząd stanu cywilnego to dla nich, rzecz jasna, formalność, potrzebna tylko po to, by mogli zawrzeć ślub w cerkwi. Ślub ma się odbyć w dniu imienin Natalii Pawłowny.

3 września. Byłam u Bołogowskich. Coś mnie tam ciągnie, jak na miejsce kaźni! Wszyscy zabiegani przed uroczystością. Olega nie było. Natalia Pawłowna daje Asi swoją prześliczną sypialnię: komplet mebli – parzyste łóżka, wytworną toaletkę, szafę z rozsuwanymi drzwiami, parawan malowany w amorki i wianuszki... Podobno nic się w tym pokoju nie zmieniło od czasu, gdy starsza pani zajmowała go z mężem. Teraz wszystko oddaje wnuczce, włącznie ze ślicznym kompletem toaletowym z garachowskiego szkła, z puderniczką i słoiczkami, a sama przenosi się do biblioteki, w której mieszkała Francuzka, ta zaś zajmie pokój przechodni, dawną bawialnię, gdzie dotychczas spała

Asia. Były bardzo przejęte tymi przeprowadzkami, Asia nawet płakała, powtarzając, że za nic nie chce pozbawiać babci wygód i przyzwyczajęń. Z uroczą minką zapewniała, że świetnie będzie jej z mężem w pokoju przechodnim; twierdziła, że można tam rozkładać na noc polowe łóżko dziadka. Francuzka krzyczała podniecona, że nie chce tego słuchać; Natalia Pawłowna przekonywała łagodnie: „To mój prezent ślubny dla was, chcę, żeby ci było przytulnie i spokojnie, wszystko ma być tak, jak być powinno u młodej damy! A ja świetnie urządzę się w bibliotece!”

7 września. Jutro czeka mnie Golgota! Wierzę, że niczym się nie zdradzę, starczy mi sił, znam samą siebie.

8 września. Stało się, dzień się już kończy, są teraz razem we dwoje, a ja... cóż, siedzę i piszę mój dziennik... Opowiem wszystko po kolei.

Poszłam do nich wcześniej, by pomóc w przygotowaniach i na prośbę Natalii Pawłowny asystować podczas ubierania Asi. Natalia Pawłowna sprzedała brylantową broszkę, chciała z pewnością, by wesele wypadło jak najlepiej i zgodnie z tradycją. Gdy przyszłam, stół obiadowy był już rozsunięty, a do niego przystawione dwa inne – do gry w karty i ten, na którym stawiają samowar. Wszystkie były nakryte ogromnym białym obrusem. Zaczęłam pomagać przecierać kryształ i ustawiać kielichy. Przybiegła Lela z koszykiem pełnym srebrnych talerzy i kieliszków. Natalia Pawłowna posłała ją po nie do swych przyjaciół Frołowskich, gdyż deserowe srebra i kieliszki częściowo już dawno sprzedała i teraz ich brakowało. Stół nakryto na dwadzieścia pięć osób – dawniej nakryto by co najmniej dla stu! Pojawił się we fraku i białych rękawiczkach stary lokaj, zaproszony do usługiwania; od razu pomyślałam, że będzie najbardziej elegancki ze wszystkich mężczyzn, gdyż żaden byłby paz lub licealista fraka w dzisiejszych czasach nie ma. Ciągłe ktoś dzwonił do drzwi – przynoszono kosze z kwaciarni; wspaniały kosz od Niny Aleksandrowny dostarczył jej brat – czternastoletni chłopiec o żywych, mądrych oczach; nieśmiało stał przez chwilę w progu i zaraz uciekł, choć Natalia Pawłowna namawiała, by

został. Patrzyłam na karteczki przyczepione do koszy: najświetniejsze rosyjskie nazwiska. Zdziwiła mnie tylko jedna z napisem „małżonkowie Rabinowicz”. Kim są ci ludzie? Madame Nielidowa kazała córce rozrzucić na łóżkach cięte lewkonie. Lela pobiegła do sypialni, lecz po chwili wróciła i wirując w tańcu pokazała misia z oderwanym uchem; znalazła go pod poduszką na nowym łóżku Asi. Damy wybuchnęły zgodnym śmiechem.

– Niezła ta nasza panna młoda! Chce spać z niedźwiadkiem, jak mała dziewczynka! Nie będzie ci wstyd przed mężem? – spytała Asie Nielidowa. Asia zaczerwieniła się nagle. Nawet zrobiło mi się jej żal – ja bym na jej miejscu spała się ze wstydu. Nie wiem, czy potrafiłabym wytrzymać na własnym weselu – cały czas być w centrum uwagi, a jeszcze przy tak specyficznym nastroju otoczenia... Przy pierwszej, nawet zawołowanej aluzji lub zaciekawionym spojrzeniu można umrzeć ze wstydu. Zaraz potem ja i Lela zaczęłyśmy ubierać Asie (zgodnie ze zwyczajem mogą to robić tylko niezamężne dziewczęta). Suknia ślubna została uszyta z paryskiej koronkowej sukni Natalii Pawłowny: jest wcięta w talii, z trenem i bez dekoltu. W sukni tej i w przezroczystym welonie, blada, z opuszczonymi rękami, Asia była podobna do lilii. Gdy Natalia Pawłowna zaczęła ją błogosławić, uklękła i patrzyła w górę wzrokiem wystraszonej owieczki. Nielidowa i Francuzka popłakały się z rozrzewnienia.

14 września. Była dziś u mnie Anastazja Aleksiejewna, jak zwykle narzekała. Otrzymała etat na oddziale dziecięcym szpitala imienia Rauchfusowa, a podczas jednego z pierwszych dyżurów, układając dzieci do snu nad każdym robiła znak krzyża. Zobaczyła to salowa i zawiadomiła kogo trzeba. Rozdęli całą historię, wezwali ją do rady zakładowej, wymyślali na zebraniu pracowniczym i naturalnie zwolnili za „szkodliwą ideologię”. Z taką opinią już nigdzie nie dostanie pracy. Nie wiem, jak oceniać to, co zrobiła, jako ideowość czy jako głupotę? Chyba raczej to drugie. Ideowość nie pasuje do Anastazji Aleksiejewny: małżonkowie, u którego żebrze o pieniądze, udaje, że jest taka biedna, gdy rozmawiamy... nawet w jej religijności jest jakaś obłuda, ubóstwo... Niedawno w ich szpitalu zmarł zasłużony profesor,

chowali go z pompą – z przemówieniami i orkiestrą, a jej ni stąd, ni zowąd przyszło do głowy wmawiać mi, że nieboszczyk jest „niezadowolony” z pogrzebowej ceremonii, ponoć mówią jej o tym jakieś oznaki... bzdury! Bóg z nią! Niezbyt ją cenię i nie mogę pozbyć się niechęci do niej, choć oddała mi ogromną, niepowtarzalną usługę. Przychodzi do mnie, oczywiście, nie z miłości, o której tak dużo mówi, lecz żeby trochę skorzystać – to jasne. Nakarmiłam ją, podarowałam starą wełnianą chustkę – skarżyła się, że jej zimno. Zionie od niej wilgocią, stęchlizną, długo wietrzyłam pokój, kiedy wyszła. Żałosne stworzenie!

18 września. Poszłam do Bołogowskich odwiedzić dwie stare damy; są teraz same. Młodzi małżonkowie wyjechali na dziesięć dni do Nowgorodu, oglądać zabytki przeszłości. Natalia Pawłowna nie wyszła ze swego pokoju; zmęczyły ją uroczystości ślubne i teraz znów czuje się gorzej. Francuzka dała mi do przeczytania list od Asi. Pisze, że spędzają wspaniale czas, oglądają sobory, pływają łódką po jeziorze Wołchow, mieszkają w wiosce rybackiej na strychu z sianem, gdzie jest „znacznie lepiej niż w najwspanialszym *palazzo* nad Canale Grande”.

Francuzka roztkliwiała się mówiąc o tym liście:

– *Chers enfants, ils sont tellement amoureux, tous les deux!*⁴⁹

Ale mnie oburzają w tym liście całe akapity. Cóż to za figle na sianie? Skończył trzydzieści lat, tyle przeżył – i nagle zapomina o wszystkim, bawi się w arkadyjskich pastuszków! A ona? Bez skrepowania opowiada, jak siedzi na nim wierzchem lub czołga się rozebrana po sianie... Kim oni są, dziećmi czy kociętami? Myślałam, że Asia oplakuje swe dziewczęctwo, spodziewałam się dostrzec w jej liście smutek, a ona, jak widać, jest bardzo rada! Zupełnie się do nich rozczarowałam, nie chcę więcej myśleć o tej parze. Niech nawet udają, że są amorkami! Wszystko mi jedno! I nad czym się tak rozczula ta głupia Francuzka? Natalia Pawłowna z pewnością nie pokazałaby obcym tak kompromitującego listu.

⁴⁹

Chers enfants... (fr.) – Drogie dzieci, jakież one są w sobie zakochane!

20 września. Gdy wczoraj wieczorem kładłam się spać i zaplatałam warkocze, zamyśliłam się. I nagle przyszło mi do głowy, że tarzanie się na sianie z ukochanym ma zapewne wiele uroku, którego ja z moją surowością nie mogę pojąć – zawsze daleka jestem od śmiechu i zabaw. Zrozumiałam, że w głębi duszy zazdroścę Asi. Tylko dlatego tak się oburzam. Tylko z zazdrości potępiam tych, którzy uśmiechają się do siebie miłośnie.

Zrozumiałam to doskonale.

Rozdział czwarty

Do Tomska Nina dojechała bez kłopotów. Wsiadła tam na statek, który rzeką Tom a potem Ob dopłynął do wioski Kałpaszewo. Odtąd zaczęła się udręka. Nina wiedziała tylko to, że musi dotrzeć do cypla Mogilnego, a stamtąd do osady, która nazywa się Żurawinka. Na natarczywe pytania, czy daleko do cypla Mogilnego i jak można się tam dostać, wskazano jej zakotwiczoną barcę; za godzinę przyplynie holownik, by pociągnąć tę barcę na cypel. Nina siadła na brzegu. Przypomniawszy sobie rady Olega, zdjęła kapelusz i przewiązała głowę chustką niczym wiejska baba, na nogi włożyła ruskie buty, które dała jej Annuszka. Stopniowo zaczęli gromadzić się pasażerowie – chłopcy z koszykami i workami. Wszyscy jedli cedrowe orzeszki. W dwie godziny później zjawił się mały holownik z załogą. Trójka marynarzy w zatuszczonych mundurach wrzeszczała:

– No, ładować się, ci, co do Czajny! Nina poderwała się, lecz znów usiadła.

– Czy to ty pytałaś o Mogilny, paniusiu? Czemu nie wsiadasz? – krzyknęła do niej przyjaźnie pyzata chłopka.

Okazało się, że cypel Mogilny nie leży nad Obem, lecz nad wpadającą do niego Czajną. Droga była znacznie dłuższa, niż się to z początku wydawało.

Płynęli co najmniej pięć godzin. Była już ciemna noc, gdy barka dopłynęła do cypla o tej samej nazwie. Prócz Niny wysiadła tylko jakaś kobieta. Należało po grząskiej glinie wspiać się na stromy brzeg. Oblepione błotem nogi stawały się potwornie ciężkie. W dodatku zaczął kropić deszcz, a w ciemności rozległy się jakieś jęki i westchnienia. Kobieta wytłumaczyła, że właśnie weszły między stado krów. W dzieciństwie i młodości nie istniało dla Niny nic bardziej przerażającego niż krowa, jeszcze teraz stworzenie to napawało ją zgrozą, było równie straszne jak GPU. Zacisnąwszy wargi starała się nie pozostawać w tyle za

towarzystką podróży. A tamta kilka razy obejrzała się za nią.

– Pewność nietutejsza?

– Nietutejsza. – A skąd jesteś?

– Z Leningradu.

– Daleko się wybrałaś...

– Mój mąż jest tutaj – w Żurawince.

– Aha! Zesłany, znaczy się... W Żurawince sami zesłani. Z dobrej woli nikt tu nie przyjedzie!

– Takie złe miejsce? – spytała Nina.

– Sama zobaczysz, kochaneńka, sama zobaczysz. A cóż tam może być dobrego! Mogilny dlatego tak się nazywa, bo pierwsi zesłańcy wszyscy pomarli. Ze trzy lata temu ich przywieźli; wtedy szumiał tu tylko bór. No i pomarli, nieboraki! Na ich kościach ta osada wyrosła. O, tam są ich mogiłki. Boimy się chodzić tamtędy. Bez modlitwy w nie poświęconej ziemi leżą, jak psy!

Zapadło milczenie.

– Ile masz dzieci? – spytała kobieta i Nina poczuła instynktownie, że jeśli odpowie „nie mam”, z miejsca utraci jej sympatię.

– Dwoje – odpowiedziała myśląc o swoim zmarłym synku i o Mice. – Dwóch chłopców.

– A ile mają latek?

– Jeden chodzi do szkoły, a drugi jeszcze malutki.

– To kto ich teraz dogląda?

– Mam poczciwą sąsiadkę, a i brat męża tam mieszka, obiecali się zaopiekować.

Kobieta chyba zaspokoiliła ciekawość; ale po chwili znów zaczęła męczyć Ninę pytaniami.

Wreszcie znalazły się na górze. Zamigotały światła tragicznej

osady. Kobieta zaproponowała Ninie, by poszła do niej przenocować. Powitano je serdecznie, napojono herbatką z placuszkami. Nina zasnęła jak kamień na pierzynie, którą rozesłano dla niej na podłodze, przykryta baranicą.

Podczas śniadania dowiedziała się, co robić dalej: do Żurawinki jest trzydzieści wiorst. Iść samej przez tajgę byłoby niebezpiecznie, ale dziś jest poniedziałek; a w poniedziałki komendant mieszkający w Mogilnym jeździ do Żurawinki kontrolować stan osobowy zesłańców. Mogłaby z nim jechać, jeśli komendant się zgodzi. Właściwie to porządny chłop, niech spróbuje w drodze go poprosić by na dzień lub dwa zwolnił z pracy jej mężulka, bo inaczej nieczęsto go będzie widziała – mężczyźni zwykle gonią w głąb tajgi, nie zawsze wracają, nawet na noc. Ale w poniedziałek wszyscy muszą być w Żurawince: to dzień apelu! Wszystko układało się dość pomyślnie. Przeszkoda była tylko jedna: pies komendanta!

– Wściekłe psisko! Bestia nikomu nie pozwala zbliżyć się do komendanta! Biega po podwórzu bez łańcucha, tocząc z pyska pianę! Groźny basior i tyle! A wołają na niego Demon! Strzeż się, Aleksandrowna, tego Demona! Zeżre jak nic – ostrzegano Ninę.

A ona tylko się uśmiechnęła. Tyle już osiągnęła, że rezygnować nie mogła, cóż z tego, że się boi, musi iść!

Gościnni gospodarze wcisnęli jej paczkę pielmieni, by mogła pozyskać życzliwość niebezpiecznego wroga. Nina pospiesznie zebrała się do wyjścia w obawie, że komendant wyjedzie, zanim ona się zjawi.

Gdy szła, mieszkańcy osady, wskazując jakimi opłotkami dojść do komendanta, jakby się zmówili. Wszyscy ostrzegali przed psem, zniżając głos do tajemniczego szeptu, co nieprzyjemnie działało na nerwy.

Oto i rezydencja komendanta – długi drewniany dom otoczony częstokołem, z piwnicą i stajnią; jest ten sławetny cerber!

Wściekle, ochryple szczekanie, zjeżona sierść, ślepią wyłażące z orbit, zwisający język – wszystko zgodne z opisem. Przed furtką nie było dyżurnego. Nie było też dzwonka czy nawet kołatki – komendant był chyba pewien, że przeniknąć do jego siedziby może tylko ten, kto się nie boi paść z przegryzionym gardłem.

Nina przeżegnała się i otworzyła furtkę.

– Piesku, pieseczku! No, nie złość się, mój drogi! Masz – rzuciła zawartość paczki. Pielmienie zniknęły w psim pysku i zwierzę znów skoczyło do Niny, która zdążyła zbliżyć się zaledwie o krok do nieżycziwego domu.

– Masz tu jeszcze! Jedz, kochany! – mamrotała Nina drżąc.

Asia kiedyś zapewniała, że psy szczególnie reagują na intonację. Starła się więc Nina jak tylko mogła przypodobać się bestii. Pielmienie w niesamowitym tempie znów zniknęły w pysku zwierzęcia, a ona posunęła się tylko o krok do przodu.

– Demonku, Demonku, jedz, kochany! Ach, ty żarłoku! Głodem cię chyba morzą, że jesteś taki zły? – Przebyła zaledwie pół drogi od furtki do ganku, a w paczce zostały już tylko dwa pielmienie; na podwórzu zaś, jak poprzednio, nie było żywej duszy, do okien także nikt nie podchodził, choć zajadłe szczekanie obudziłoby nawet nieboszczyka.

„No, to już koniec! Zaraz mnie rozszarpie na kawałki!” – myślała Nina rzucając pierożek, w ręku pozostał jeszcze jeden, ostatni.

W tym momencie na ganku pojawiła się potężna postać.

– Niech go pan przywoła do nogi! Natychmiast proszę uspokoić psa! – zawołała Nina drżąc jak liść osiki. Ale mężczyzna przyglądał się tej scenie obojętnie, z rękami w kieszeniach; widocznie nie zamierzał się wtrącać.

– Zaraz wyślę telegram na Kreml, że komendant s zezuje psami delegowanych do niego ludzi! – wrzasnęła w najwyższej rozpaczy. Rzuciła ostatniego pielmienia i zamknęła oczy.

Ktoś schwycił psa za obrozę.

– Wchodźcie do domu, obywatelko, wchodźcie, ale szybko! W pokoju Nina niemal upadła na krzesło.

– Co tak krzyczycie, obywatelko? Jeśli was delegowano, pokażcie dokument, nie awanturujcie się bez potrzeby! Wysłuchamy was i bez awantur.

Obrzuciła spojrzeniem dygnitarza w mundurze GPU. Zachowywał niewzruszony spokój. Oto on – „cham przyszłości”, generał-gubernator nowego reżymu, „całkiem porządny chłop”!

– Komu mam pokazać dokument, skoro na podwórzu nie ma nikogo prócz psa? Trzymałam w ręku i z przerażenia upuściłam... Jak macie czelność tak traktować ludzi?

– Niby skąd mam wiedzieć, że taka ważna osobistość raczyła wejść na moje podwórko? Przed zesłańcami tylko pies mnie broni, nikt inny. Nie dają żyć ustawicznymi skargami, spać nie dają. Wczorajszej nocy wybili mi kamieniem szybę. Na moim stanowisku bez psa nie da rady.

– Aha! Więc spuszcza pan na nich psa! Gdyby władze chciały, by któregoś z zesłańców rozszarpał pański pies, z pewnością napisano by to w wyroku! – krzyknęła Nina, lecz natychmiast ugryzła się w język: nie wolno zaostczać sytuacji! Musi z nim rozmawiać przyjaźnie.

I dodała spokojniej:

– Dajmy temu spokój. Porozmawiajmy. Komendant usiadł z niezgrabnie rozstawionymi nogami.

– Tylko spieszcie się obywatelko, szybko mówcie, o co chodzi. Już siodłają dla mnie konia.

– Zwrócono się do was, towarzyszu, o udzielenie mi pomocy. Jestem zasłużoną artystką RSFSR, przyjechałam z Leningradu dać kilka koncertów w waszym rejonowym mieście. Muszę przyznać, że wyraziłam zgodę tylko pod warunkiem, że pozwolą mi się spotkać z moim nieślubnym mężem. Przebywa na zesłaniu w

Żur a wince, jego sprawa znów jest w sądzie, wkrótce go wypuszczą. Proszę, zabierzcie mnie ze sobą do Żurawinki i zwolnijcie go na kilka dni od pracy. Dla artystki, która przyjechała z daleka, z pewnością zgodzicie się wydać taką dyspozycję. Tym bardziej, że byłoby to zgodne z zaleceniem Centrali.

– Wybaczcie, obywatelko! Nie widziałem waszych dokumentów, nie wiem, kto w Leningradzie może mi rozkazywać. Dla sławnej artystki, jak zechcę, to się postaram, lecz dla mnie władzą jest tylko rejon – Kałpaszewo, znaczy się. Gdybyście od narkoma przywieźli papier, może by coś z tego wyszło. A innych naczelników nie uznaję. Tak to jest, obywatelko.

Poczuła, jak kruche są jej argumenty. W każdym razie nie należało dopuścić, by komendant też to wyczuł – ratunkiem była tylko pewność siebie.

Położyła na stół legitymację związkową z adnotacją: „Solistka Capelli Państwowej” – jedyny dokument spośród tych, które miała, a który mógł wywrzeć jakieś wrażenie.

– Niepotrzebnie się zżymacie – to nie żaden „rozkaz”, komendancie. Proszą was o udzielenie pomocy dwie instytucje – leningradzka Orkiestra Państwowa oraz Filharmonia. Jak chcecie sprawdzić, czy mówię prawdę, zadzwońcie do nich i spytajcie.

Daj Boże, by nie przyszło mu to do głowy!

Na szczęście komendant powiedział:

– Za dużo kłopotu, zresztą nie ma potrzeby. Chcecie jechać do Żurawinki, to was ze sobą zabiorę. Dam przepustkę. A co się tyczy zwolnienia z obowiązków – na to, obywatelko, nie liczcie.

W tym momencie z sąsiedniego pokoju dobiegł dźwięczny głos kobiety:

*Już od dawna, już od dawna
Fotkę chłopca mam w torebce
Po co mam ją, nie wiadomo
Podpowie mi serce!*

– Kto to śpiewa? – spytała Nina udając, że się przysłuchuje.

Komendant uśmiechnął się szeroko:

– Moja córka!

– Piękny głos! Ależ, towarzyszu komendancie, ona ma piękny głos! Wierzcie mi, znam się na tym! Uczy się śpiewać?

– Skądże! Gdzie miałyby się uczyć? Nie ma tu u nas szkół muzycznych.

– Szkoda. A w Kałpaszewie?

– Nie wiem, obywatelko, nie pytałem.

– Gdy będę tam występować, zasięgnę informacji, dowiem się, jakich mają pedagogów, by wskazać wam najlepszego. Albo niech córka przyjedzie do Leningradu – pomogę jej dostać się do Konserwatorium. Porozmawiamy o tym później, gdy jej posłucham i sprawdzę, co umie.

– Cóż, czemu nie. Proszę, jaka uprzejma z was kobitka, a zaczęliście od krzyku. Ja też jestem gotów pójść wam na rękę: chyba podpiszę zgodę na kilkudniowe zwolnienie od pracy. Pojedziecie ze mną czy później?

– Z wami.

– Ale ja jadę konno, obywatelko.

– Też mogę konno, jeśli dacie konia.

Komendant zbaraniał. Gdy przed ganek przyprowadzono konia, Nina przypomniała sobie piękną Lakme i siebie w stroju amazonki... Dymitr i Oleg rzucali się nieraz ku niej wyciągając dłoń, na której stawiała nóżkę wskakując na siodło. Spojrzała na swoje nogi w ciężkich butach, oblepione gliną.

Ledwo ruszyli, zaraz drogę z obu stron obstała tajga. Dwaj ponurzy osobnicy ze znaczkami GPU towarzyszyli im z tyłu, obaj uzbrojeni.

Komendant rzeczywiście okazał się dobroduszny, kilka razy nawet pytał Ninę, czy nie chciałaby się zatrzymać na krótki postój. Usiłował zabawić ją rozmową:

– Widzicie tę drogę, obywatelko? Prowadzi nad rzeczkę. Kiedyś z grupą ludzi jechałem brzegiem tej rzeczki na zadanie. I co zobaczyłem na, za przeproszeniem, zwierzęcej ścieżce? Mały szalas, a w nim pustelnika, na nasz widok zwiął do lasu. Jedziemy dalej – znów szalas, i to niejeden, cała wioska pustelników! Spieszno mi było tego dnia, nie miałem do nich głowy. Cóż, za tydzień wrócę tu z oddziałem, wyłowimy wszystkich – myślę. To źle, gdy u nas, w Związku Sowieckim, jakieś typy kryją się po lasach. Otoczyłem ludźmi szmat tajgi i zacząłem zaciskać pętlę, jak przy polowaniu na wilki; psy też z nami były. Ale nikogośmy nie złapali, pewno jeden drugiego ostrzegął. I myślę, obywatelko, że to wcale nie byli mnisi – gdzie tam! Mnisi nie opuściliby zasiedziałyh miejsc. Ci tutaj wiedzieli, co ich czeka, kiedy wpadną w nasze ręce! To byli ludzie z przeszłością – kołczakowcy, Czesi albo jacy inni białogwardziści. Cóż, nie udało się ich złapać, a podziękowaliby mi za to w rozkazie! A może nawet daliby awans! Musiałem obejść się smakiem... Ech!

Nina nie udawała, że mu współczuje.

Odzwyczajona od konnej jazdy szybko się zmęczyła. Gdy po trzech godzinach dojechali wreszcie do Żurawinki, ledwo trzymała się na nogach, czuła się połamana, bolały ją kości.

Wioska ciągnęła się po obu stronach brudnej, niebrukowanej drogi – ubogie domki podobne do ukraińskich lepianek; zielone, ciemniejące pasmo tajgi, a nad tym wszystkim szare, wieczorne już niebo.

Gdy tylko zsiadła z konia, otoczyła ją chmara dzieciaków, a co chwila przybiegały jeszcze inne.

– Do kogo? Skąd pani przyjechała? Po co do nas? Kim pani jest?

Widać było, że obca twarz to niezwykle wydarzenie w tej

wiosce skazanych na wymarcie. Dzieci były niemal w łachmanach. W ślad za dziećmi zjawili się i dorośli.

– Pani z Moskwy? A może z Leningradu? Aha, do zesłańca! Nie zna pani przypadkiem w Leningradzie Szyrajewów? Proszę powiedzieć, co się tam dzieje? Ciągłe zsyłają? Co, znieśli wreszcie kartki? Czy wzięłyby pani podanie do prokuratury o wznowienie sprawy? Ach, gdyby pani wiedziała, jak się z nami obeszli! Do kogo pani przyjechała?

Nagle znowu piskliwie zaczęły krzyczeć dzieci:

– Idą mężczyźni! Prowadzą ich z tajgi! Będą sprawdzać obecność! Biegnijmy, zaraz pani pokażemy, gdzie jest komendantura! A my już pędzimy, bo chcemy być pierwsi!

Rzuciła swoje rzeczy na ziemię obok konia i skacząc poprzez kałuże pobiegła za dzieciarnią.

Ciasny, zionący tytoniem pokój, był zapchany ludźmi. Wykrzykując głośno nazwisko Siergieja Pietrowicza, Nina przeciskała się do niego. Wreszcie schwycili się za ręce – patrzyły na nich dziesiątki oczu. Co najmniej godzinę musieli stać w tym ścisisku obsypując się nawzajem niecierpliwymi pytaniami, a gdy wreszcie Siergiej Pietrowicz potwierdził swą obecność, jeszcze godzinę czekali na komendanta przy wyjściu; dał Siergiej owi zwolnienie na tydzień. W wiosce zapalały się już światła, gdy przeszedłszy długą ulicę doszli do lepianki Siergieja Pietrowicza. Była na samym końcu, wrosnięta w ziemię, krzywoboka; rolę komina na dachu spełniał dziurawy sagan, gliniany piec zajmował połowę izby. By naszykować kolację i zagotować wodę w czajniku musieli przedtem narąbać drewno, rozpalić w piecu i pójść do studni. Do kolacji zasiedli dopiero o jedenastej. Oboje byli potwornie zmęczeni, lecz rozmawiali niemal do rana. Siergiej Pietrowicz ułożył Ninę jak dało się najwygodniej na leżance, a sam usadowił się obok. Z początku mówiła Nina, relacjonując szczegółowo wszystko, co zaszło w czasie jego nieobecności; długo zwłaszcza opowiadała o Olegu – nie było można pisać o nim w listach, tymczasem wszyscy chcieli, by Siergiej Pietrowicz

dowiedział się jak najwięcej o nowym krewnym.

– Cóż mogę ci opowiedzieć? – rzekł Siergiej Pietrowicz, gdy przysłała kolej na niego. – Samowola i straszliwe chamstwo! Do pracy pędzą w las, ale to najmniejsze zło; wiesz, jak kocham przyrodę – jeszcze z epoki starych ziemiańskich dworców. Gdybym musiał odpracowywać te godziny w cechu fabrycznym, pewno bym nie wytrzymał! Przyroda uzdrawia, dodaje sił. Kocham ją o każdej porze roku, nawet kiedy jest mgła lub deszcz. Wstawać trzeba czasami przed świtem; wtedy się cieszę, że zobaczę wschód słońca w lesie. Wczesną wiosną tajga była przepiękna; w czerwcu nie dawały nam żyć meszki. Włazą do nosa, ust, uszu, całe ciało swędzi od nich niemiłosiernie; męczyliśmy się dopóty, póki nie zaczęliśmy smarować się naftą. W tajdze zbieramy żywicę: przymocowujemy do sosen specjalne pojemniki, do których spływa, a potem chodzimy i zbieramy żywicę do baniek, zawieszonych na piersiach. Rozchodzimy się dwójkami na swoje działki, ale broni nam nie dają; boją się, że ktoś ucieknie! Jeśli który spotka jakieś drapieżne zwierzę – koniec z nim! „A wy – mówią nam na to – stukajcie w bańki, wtedy niedźwiedź ucieknie”. Nigdy tego nie robię – wolę leśną ciszę. Jesteśmy tu jak Murzyni na plantacjach; na szczęście nas nie biją, chociaż traktują brutalnie i nie dają pieniędzy, tylko racje żywnościowe, bardzo nędzne. Naprzeciwko mojego okna jest pole zasiane lnem; co dzień pędzą tam do wrywania lnu malarkę, żonę absolwenta liceum; on jest w obozie koncentracyjnym, a ją zesłano tutaj z trójką dzieci, które wciąż chorują. Do tajgi jej więc nie gonią – wielkoduszny wyjątek! – ale do zrywania lnu – owszem. Norma, którą ma wykonać, przewyższa jej siły, więc bierze ze sobą dwie starsze dziewczynki – ośmio- i dziesięcioletnią. Licealiści od czasów Puszkina spotykali się rok w rok, by czcić rocznicę ukończenia tej szkoły – stało się to świętą tradycją, na którą nikt się nie targał. Ale władza sowiecka uznała rocznicę licealną za kontrrewolucję! Za to właśnie mąż tej kobiety trafił do łagru.

Naszym rejonowym ośrodkiem jest Kałpaszewo, nędzna i brudna miejscina, lecz marzymy o niej jak Dante o Florencji. Jest tam telegraf, lekarz, są sklepy; może nawet dałoby się tam grać na

skrzypcach w kinie lub uczyć gry – tutaj stracę umiejętności, ręce mi zgrubieją. Podobno komendant przenosił do Kałpaszewa niektórych zesłańców, jeśli przychodziło zapotrzebowanie na fachowca. Lecz by załatwić przeniesienie, trzeba wpierw tam dotrzeć i dogadać z jakąś instytucją, żeby zgłosiła zapotrzebowanie. Tylko jak się tam dostać?

– Załatwmy to teraz, póki tutaj jestem, może nawet w tym tygodniu, kiedy masz zwolnienie z pracy, Siergieju. Musimy spróbować, inaczej zginiesz: zabłądzisz w tajdze lub zachorujesz, a z pewnością zapomnisz o grze na skrzypcach. Zimą tu będzie okropnie! Z bliska widać, że wasze zesłanie niezbyt różni się od łagru!

– Jest tu, nawiasem mówiąc, barak otoczony drutem kolczastym – znajdują się tam ci, których skazano na pobyt w łagrze. Zawsze są pod strażą. Czasem nas do nich dołączają, gdy wychodzimy poza żonę; czasem pracujemy osobno, a czasem w ogóle nic nie robimy. Tutejsi zesłańcy to przeważnie chłopcy skazani za kułactwo. Jest też inteligencja. Zaprzyjaźniłem się z pewnym Żydem – ciekawy człowiek! Powierzchowność ma szpetną: niechlujny, brodaty, z haczykowatym nosem... ale niezwykle uduchowiony i mądry. Z wykształcenia jest filozofem, uczniem Łoskiego, entuzjastą Kanta. Ostatnio pracował jako nauczyciel. Cóż innego mógł robić w sowieckich czasach? Zesłali go, bo na pytanie ucznia: „Czy Bóg istnieje?”, odpowiedział: „Tak, dzieci, istnieje!”. I to na lekcji w klasie. Propaganda religijna. Zazwyczaj Jakub Siemionowicz jest milkliwy, kiedy jednak zdarzy się temat, który lubi, rozwiązuje mu się język. Nie jest syjonistą, religię żydowską krytykuje, jest raczej antropozofem. Czasem boję się przerwać mu pytaniem, tak ciekawie mówi. Poznam cię z nim. Szkoda go – jest ambitny, stary, opuszczony, nic dla siebie nie potrafi zrobić; bolą go nogi, zawsze wlecze się resztkami sił, z tyłu za wszystkimi, gdybyś słyszała, jak urągają mu konwojenci! Darzę też sympatią pewnego młodzieńca: ma takie ujmujące, szczerze spojrzenie... To prosty, lecz utalentowany chłopak – gra na bajanie ze słuchu wiejskie piosenki. I ma wspaniały głos. Nazywa się Rodion Iljin. Wiesz, za co go wzięli? Służył w wojsku, a gdy

wrócił, jego dom był zburzony, a ojciec siedział w łagrze. Byli chutorzanami. Wpadł we wściekłość i zaczął krzyczeć, że za cara czegoś takiego nie było, nikt nie rujnował chłopów! Krzyczał, krzyczał, no i trafił tutaj. Jest jeszcze bardzo młody – skończył dwadzieścia dwa lata; przyjemnie, że nie ma w nim chamstwa. To człowiek ciemny, lecz niezepsuty, zachował nawet pewną nieśmiałość, przychodzi do mnie niemal co wieczór. Często koncertujemy razem w izbie-czytelni, która tu zastępuje i klub, i filharmonię. Rodion ma kolosalne powodzenie. Moje skrzypce nie wytrzymują konkurencji z jego bajanem.

Nazajutrz Nina poznała nowych przyjaciół swojego męża: Siergiej Pietrowicz zaprosił ich na kolację. Nina postawiła na stół przywiezionego ze sobą wędzonego dorsza, napiekła kartofli i placków z owocami czeremchy – tutejszy smakołyk. Prymitywny poczęstunek wzbudził szczery zachwyt nieszczęsnych mieszkańców Żurawinki: zazwyczaj obchodzili się polewką z jagłami.

– Zaśpiewaj, Rodion – poprosił Siergiej Pietrowicz. – Wiesz, on ze słuchu nauczył się wszystkich arii z opery „Sadko”. Momentalnie chwyta wszystko, co mu wymruczę. Zaśpiewał „Dubrawuszkę” i „Dno błękitnego morza”. Posłuchaj, Nino, jak mu to wychodzi.

Chłopak wziął w ręce bajan.

– Strach mnie obleciał przy Ninie Aleksandrownie, to leningradzka artystka...

– Bzdura! Nina rozumie, że się nie kształciłeś. No, wal, a potem zagramy razem „Nie kuś mnie!”, przetransponowałem to, Nino, na skrzypce i bajan. Oryginalne połączenie, prawda?

– Wspaniały tenor liryczny! – powiedziała Nina wysłuchawszy pieśni z opery „Sadko”. – Ale chciałabym posłuchać Rodiona w jego własnym repertuarze: niech zaśpiewa to, czego nauczył się sam.

„Pędzą sanie, trójka koni, zimą po mateczce-Wołdze” –

zaintonował uradowany bajanista, a Nina zaszłuchała się.

Grali na skrzypcach i na bajanie, razem i osobno; Nina śpiewała solo i razem z mężczyznami, nie było końca muzyce.

Malarka siedziała na krześle objawszy kolana rękami.

– Wczoraj, gdy znów wrywałam len do ogłupienia, postanowiłam namalować pastelami obraz. Dam mu nazwę „Ruś sowiecka i Ruś sprawiedliwa”. Będą to jakby dwie strony oblicza tej samej postaci: Meduzy i dziewczyny w kokosniku bojarskim – pięknej, z oczyma męczennicy, otoczonej aureolą świętości. Będzie to moja zemsta za nasze złamane życie.

– Świetny pomysł, Lilio Wiktorowno! Tylko po co zemsta? Zemsta nie może być bodźcem twórczym! Jestem przeciwny zemście, poza tym... nie trzeba kokosnika, obraz byłby przez to zbyt tendencyjny – zaproponował Siergiej Pietrowicz.

Rodion szarpnął go za waciak:

– Siergieju Pietrowiczu, co to jest „meduza”? Zapomni pan, jak teraz mi nie powie. Wczoraj obiecał pan wytłumaczyć, co to jest „samum”, a potem zapomniał.

– Opowiem, bądź cierpliwy. W zimowe wieczory i zamiecie, gdy przestaną pędzić nas do tajgi, będziemy mieli mnóstwo czasu. Nagadamy się wtedy do syta. A teraz śpiewaj.

Rodion dotknął palcami bajanu:

*Piękną piosnkę słowik wyśpiewał
Pieśń żalobną za moją duszę!*

Zaśpiewawszy tę piosenkę Rodion zaczął szturchać Jakowa Siemionowicza, który się zdrzemnął:

– Towarzyszu Żydzie, kochany, nie śpij. Zamoczyłeś w winie wąsy.

Ten poruszył się i wymamrotał:

– Ludzkość wyznaczyła dla siebie zbyt ciasne granice! Trzeba być ślepym lub szalonym, by jeden ze stopni rozwoju uznać za pełnię życia! Musimy poznać autentycznego człowieka, odnaleźć jego nowe oblicze! Przyjaciele, wędrówka ku doskonałości nie ma końca!

Bełkot starego znudził Rodiona.

– Towarzyszu Jasz! Lepiej złożcie życzenia Siergiejowi Pietrowiczowi i Ninie Aleksandrownie – wkrótce biorą ślub, wybierają się do urzędu stanu cywilnego.

Starzec odwrócił się do młodej pary.

– Przykazano, by każdy szukał drogi ku lepszym światom, lecz od wieków dusza mężczyzny tęskni za tkliwą kobiecością – wymamrotał.

Rozdział piąty

Na trzeci dzień pobytu Niny w Żurawince znów przyjechał komendant. Okazało się, że nazajutrz rano jest okazja do Kałpaszewa: jedzie tam pod konwojem kilku więźniów i zesłańców, wraz z nimi zastępca komendanta. Będzie w tej grupie i Rodion, wezwany przez kałpaszewskie GPU, po rocznym oczekiwaniu przyszła z Moskwy odpowiedź na jego skargę. Ninie udało się namówić komendanta, by pojechał z tą grupą również Siergiej Pietrowicz; z powrotem też się z nią zabierze. Dziesięć paczek papierosów „Safona” przywiezionych dla Siergieja a Pietrowicza, wręczyła komendantowi.

Przed budynkiem komendantury stali w trzech szeregach więźniowie; zesłańców ustawiono za nimi. Zastępca komendanta wystąpił kilka kroków naprzód i przeczytał wyciąg z rozkazu o zachowaniu się podczas przemarszu. Zakończył ostrzeżeniem:

– Krok w prawo lub krok w lewo uważany jest za ucieczkę. Strzelam bez uprzedzenia.

– A cóż to znów za groźby? – szepnęła oburzona Nina.

– To regulamin, czytają go przed każdym wymarszem. Twój Oleg z pewnością zna na pamięć tę formułkę – wyjaśnił Siergiej Pietrowicz.

– Złą twarz ma ten zastępca komendanta! – znów szepnęła Nina. – „Mój” chociaż cham, przynajmniej jest dobroduszny.

Kiedy opuścili żonę, Nina podeszła do zastępcy komendanta i podsunęła mu pod nos paczkę papierosów.

– Towarzyszu komendancie, pozwolicie mi iść w szeregu razem z mężem?

Kiwnął potakująco i zabrał całą paczkę.

Szli przez dwa dni, wolniej niż zazwyczaj, mimo połajanek konwojentów mężczyźni specjalnie zwalniali kroku, by mogli nadażyć słabsi. Należało przejść sześćdziesiąt wiorst lasem, dojść

do Obu i przeprowić się promem na drugą stronę.

Na przystani w Kałpaszewie komendant znów przeczytał rozkaz: zesłani mają prawo opuścić grupę, by załatwić swoje sprawy, lecz są zobowiązani wrócić na przystań o siódmej wieczorem.

– Niepojawienie się w oznaczonym czasie uznajemy za ucieczkę ze wszystkimi jej konsekwencjami.

Odzyskawszy wolność Nina i Siergiej Pietrowicz wspięli się po czterdziestu rozmytych glinianych stopniach na wysoki czerwony brzeg. Oczom ich objawiły się puste, zarośnięte trawą ulice i niskie, drewniane domki miasteczka zapomnianego przez Boga i ludzi.

– Oto moja Florencja! – westchnął smutno Siergiej Pietrowicz.

W urzędzie stanu cywilnego załatwili sprawę dość szybko; rozstawszy się z nazwiskiem, które przyniosło jej tyle nieszczęść, Nina westchnęła:

– No, przynajmniej nie jestem już jaśnie panią! Chwała Bogu choćby za to!

– Zamienił stryjek siekierkę na kijek! – odpowiedział Siergiej Pietrowicz i dodał biorąc ją pod rękę: – Wpadłaś, moja miła! Domagam się od ciebie syna i to bezzwłocznie: zbyt wiele straciliśmy czasu.

– Coś podobnego! Gdybym tylko wiedziała... – obruszyła się żartobliwie.

– Nie podpisałaś aktu ślubu? Chyba zamieniliśmy się rolami! Już od dawna nie śpiewałaś kołysanek. Zagram ci, jak wrócimy, kołysankę Mozarta. Ofiaruj mi jedną zimę. Może Asia zechce dotrzymać ci towarzystwa.

Podeszła do nich dziewczynka proponując jesienne kwiaty.

– Masz bukiet weselny i zgódź się na to, o co proszę!

– Zapominasz, Sierioża, że muszę pracować. Bez mojego śpiewu...

– Chyba zaczęliśmy się kłócić tuż po wyjściu z ZAGS-u. Może wrócimy, żeby się rozwieść?

Ze szkołą muzyczną nie mieli szczęścia, choć wypytywali w rejtkomie i na poczcie – nikt nie umiał im nic na ten temat powiedzieć. Już ogarnęła ich rozpacz, gdy po drugiej stronie ulicy zobaczyli człowieka z wiolonczelą; szybko pobiegli, by go dogonić. Wiolonczelista, jak się okazało, też był zesłańcem, tułającym się bez pracy; grywał czasem w jedynym kinie w miasteczku przy akompaniamencie rozklekotanego pianina. Szkoły muzycznej, twierdził, w mieście w ogóle nie ma; bardzo się jednak ucieszył z tego spotkania – wraz ze skrzypkiem i pianistą mogliby stworzyć trio. Na wszelki wypadek wymienili adresy, choć było już jasne, że plan zdobycia pracy w Kałpaszewie spalił na panewce. Na domiar złego w szkole, do której zajrzeli, powiedziano im o przepisie, który zabrania zatrudniać w szkolnictwie osoby represjonowane.

Gdy o siódmej wieczorem spotkali się na przystani, Rodion, na wiadomość, że nic nie wyjdzie z pracy w Kałpaszewie, wyznał:

– Chyba jestem złym człowiekiem, Siergieju Pietrowiczu, zamiast się martwić, jestem rad; bez pana umarłbym z rozpaczony w Żurawince, zapiłbym się.

– Głupi dzieciak! Rozumiem cię! Ty też jesteś mi bardzo bliski. A zapić ci się nie pozwolę.

– Siergieju Pietrowiczu! Kogoś takiego jak pan w życiu nie widziałem. Nawet nie śniło mi się, że są tacy ludzie. A pani, Nino Aleksandrowno, nie wie, co szanowny pan dla mnie znaczy!

– Nie mów „szanowny pan”. Nazywaj mnie po imieniu i imieniu ojca – krzyknął na chłopca Siergiej Pietrowicz.

Ale młodzieniec pragnął sformułować swoją myśl do końca, więc udał, że nie słyszy.

– Powiniennem błogosławić zesłanie, bo tu pana poznałem, i może nawet bym błogosławił, gdyby nie to, że moja biedna matka

na stare lata po cudzych chałupach się tuła. Więc czasem człek ponarzeka.

Siergiej Pietrowicz uściskał mu dłoń.

– Co ci powiedzieli o ojcu?

– Ano że odebrali mu prawo do korespondencji; jak umrze – zawiadomimy. A oskarżeni zostaliście, ty i twój tata, słusznie: kułacy z was, a dla kułaków nie ma litości. A co z nas za kułacy, skoro całe życie samiśmy gospodarowali? Ale ja się nie martwię, Siergieju Pietrowiczu; wszędzie można spotkać dobrych ludzi.

Już trzeci raz nocowali pod gołym niebem, na przystani, po przeciwległej stronie Obu. Znad rzeki wiał lodowaty wiatr; w środku nocy drżąca z zimna Nina zastukała do chaty przewoźnika błagając, by ją wpuścił i pozwolił się ogrzać. Spędziła kilka godzin na przypiecku w towarzystwie dzieci i cielaka, ten zaś, nie tracąc czasu żuł w ciemnościach chusteczkę, którą upuściła; wracając na przystań znalazła tylko strzępy. O świcie ustawieni w kolumnę ruszyli w powrotną drogę. Dzień był pogodny, słoneczny; mgła rozwiewała się jak złocisty dym. Szli szybko, żeby się rozgrzać. Rodion intonował co chwila to jedną, to drugą pieśń; nikt jednak nie podchwytował melodii. Na którymś z zakrętów Nina podziwiając las wyzłocony ukośnymi promieniami porannego słońca, które przedarły się przez mgłę, zawołała:

– Ach, jaka cudowna jarzębina! Płonie jakby była w ogniu! – i wskazała ręką młode drzewko, rosnące w pobliżu drogi. Rodion wybiegł z kolumny i schwycił gałązkę. Huknął strzał, gałązka wróciła na dawne miejsce... Krzyk przerażenia wyrwał się z wielu ust, grupa zatrzymała się jak wryta – chłopak upadł niczym ścięty snop. Nina zastygła, nie mogła uwierzyć w to, co się stało... Siergiej Pietrowicz i jeszcze jeden mężczyzna pobiegli do leżącego.

– Wracać! – warknął komendant. – Celuj! – ryknął do konwoju. Lufy czterech rewolwerów skierowały się w stronę tych dwóch. Ale ci nawet się nie odwrócili.

– Żyjesz? Odpowiadaj! Żyjesz? Co ci jest, chłopcze? Gdzie

jesteś ranny? – powtarzał Siergiej Pietrowicz i drżącymi rękami rozpinał waciak leżącego.

Drugi mężczyzna, do którego celowano, powiedział: – Towarzyszu komendancie, jestem lekarzem, pozwólcie spełnić mój obowiązek. – I choć lufy rewolwerów pozostały w tym samym położeniu, przyłożył ucho do piersi młodzieńca trzymając jego nieruchomą dłoń w swojej ręce. Wszyscy zamarli.

– Nie żyje – stwierdził i podniósł się z klęczek. Zapadła cisza. Mężczyźni zdjęli czapki.

Siergiej Pietrowicz także wstał.

– Nie miał pan prawa strzelać – krzyknął z nienawiścią do komendanta. – Wszyscy widzieliśmy, że nie uciekał!

– Milczeć! – odpowiedział rozjuszony głos. – Zewrzeć szeregi! Zastrzelę każdego, który nie usłucha!

Nina rzuciła się do męża:

– Sierioża, milcz! Jesteś szalony! Widzisz, to bestie, nie ludzie! Ciebie też zabijają! Milcz! – szeptała drżąca wciągając męża do szeregu. Ktoś podniósł upuszczoną przez Siergieja czapkę, podał. Nina wcisnęła mu ją na głowę.

– Naprzód, marsz! – krzyknął komendant.

– A co z nim? Tak go zostawicie... – wyszeptał kobiecy głos.

– Naprzód! – znów szczechnął komendant. Ludzie ruszyli w milczeniu, z zasmuconymi twarzami; konwojenci trzymali jeszcze rewolwery gotowe do strzału. Komendant szedł z boku i obserwował kolumnę.

– Obywatelko! Wy! Do was mówię! Wyjdźcie z kolumny!

– Towarzyszę grupie za zgodą starszego komendanta – ośmieliła się zaprotestować Nina.

– Wiem, że za zgodą. Drogą iść nikt wam nie wzbrania, ale z kolumny łaskawie wyjdźcie.

Nina i Siergiej Pietrowicz spojrzeli po sobie bez słowa; Siergiej uściskał i wypuścił jej rękę. Twarze stały się jeszcze bardziej posępne; odtąd przez całą drogę nikt się nie odezwał, słychać było tylko tupot nóg.

Zastępca komendanta kazał zatrzymać się w Mogilnym i poszedł do swego zwierzchnika. Zapewne składał meldunek o tym, co zaszło. Gdy wrócił, ogłosił, że nocują w Mogilnym i zabrał ze sobą grupę do komendantury. Nie wiedząc gdzie się podziąć Nina poszła tam, gdzie spędziła pierwszą noc po przyjeździe. Zmęczona i wstrząśnięta, zasnęła nieprędko; kiedy gospodyni, idąc o świcie do krów, obudziła ją, Nina wstała z trudem. Nakładając w biegu waciak gnała co sił w nogach do komendantury, by zobaczyć poprzez poranną mgłę wychodzących za wrota więźniów.

Nie ośmieliła się wejść do kolumny, szła za nimi; nogi miała otarte, myślała z rozpaczą, że czeka ją cały dzień wędrówki. Dopiero w południe, gdy zatrzymali się na odpoczynek, Nina podeszła bliżej; okazało się jednak, że Siergieja Pietrowicza i młodego doktora nie ma wśród mężczyzn. Przerażona i zrozpaczona chciała wracać do Mogilnego, lecz bała się, że zmrok zastanie ją w tajdze. Szła więc dalej za grupą i dotarła wraz z nią do Żurawinki. Przystąpiła wreszcie próg swojej chaty i opadła na drewnianą ławę, owładnęła nią czarna rozpacz.

– Mój Boże, co się dzieje? Co teraz robić? Pewno go wyślą do obozu koncentracyjnego... nigdy go już nie zobaczę!

Żurawinka wydała się jej teraz spokojnym, przytulnym miejscem... Jak dobrze było jeszcze kilka dni temu, gdy śpiewali i grali w tym pokoiku! Była zziębnięta i zgłodniała – chcąc nie chcąc musiała napalić w piecu, ugotować ziemniaki i wodę. Zjadłszy samotnie kolację położyła się na ławie i przykryła wszystkim, co miała ciepłego, trzęsła się ze zdenerwowania. Bała się nocować w samotności, chata na samym skraju wioski, za nią puste pole, a jeszcze dalej szumi głucho tajga. Wokół ani żywej duszy. Zaczęło padać, lecz sen nie przychodził, choć monotony stukot deszczu kołysał do snu. Wydało się, że słyszy kroki za

drzwiami, więc nasłuchiwała ze zgrozą, choć nie wiedziała, czego się lęka; czasami miała wrażenie, że wyją wilki. Coraz bardziej dręczył ją dziecinny, zabobonny strach, przerażały ciemne kąty pustej chaty – zdawało się, że żyją własnym, posępnym, tajemniczym życiem, że gdzieś głęboko, między pajęczynami, roją się i czyhają upiory. Wkrótce zaczął przeciekać dach; z początku wpadały pojedyncze, rzadkie krople, potem już lało jak z cebra. Ale Nina leżała bez ruchu – okropnie bała się wyjść poza krąg światła. Przeciekało jednak tak bardzo, że w końcu musiała się podnieść. Należało ochronić przed przemoczeniem ciepłe rzeczy, którymi się okryła. Gdy wstała i oświetliła lampą dalsze kąty, zobaczyła, że woda zalewa nuty i skrzypce. Serce Niny ścisnęło się boleśnie na widok skrzypiec: „Zagram ci Mozarta!”* – wspomniała słowa Siergieja. Trzeba było przenieść rzeczy do jedyne go suchego kąta. Resztę nocy przesiedziała z podkulonymi nogami na ławie słuchając bębnienia deszczu i szelestu karaluchów, które – ku jej przerażeniu – przeniosły się z mokrych kątów bliżej ławy. Wkrótce nogi całkiem zdrętwiały, lecz bała się opuścić je na podłogę i nie zmieniała pozycji otoczona armią insektów.

O Boże! Jak długo jeszcze będzie się wlokła ta noc? Chyba nigdy się nie skończy! Trzeba odradzić Asi ślub z Olegiem; dziś lub jutro go ześlą, a ona z dzieckiem znajdzie się w zapadłej dziurze, równie koszmarniej jak ta.

Wreszcie zaczęło świtać. Zdecydowała się wstać i wzięła siekierę, by narąbać drewno – trzeba było zagotować wodę. Siekiera stawiała opór nienawykłym ręką, robota szła z trudem, łzy złości na samą siebie napływały do oczu.

Drzwi otworzyły się, w progu pojawiła się baba w waciaku i stała w drzwiach podpierając dłonią czerwony policzek.

– Czego chcecie?

– Niczego, kochaneńka. Popatrzeć na ciebie przyszłam. Jenemu się nie gniewaj.

Zdziwiona Nina znów wróciła do drewna i rondelka. Gdy ponownie spojrzała w stronę drzwi, stały tam już dwie kobiety i

obie wpatrywały się w nią podparłszy policzki dłońmi. Nina naląła sobie herbaty, postawiła filiżankę na parapecie i zła na nieproszonych gości usiadła usiłując zrozumieć, skąd to nagłe zainteresowanie. Zapewne słuch o tym, że właśnie wzięła ślub z zesłańcem, już tutaj dotarł – w wyobrażeniu tych kobiet była panną młodą, która nie doczekała się nocy poślubnej! Właśnie to podsyciło ich ciekawość. Odwróciła się: w progu stały już trzy baby i szeptały coś do siebie wytykając Ninę palcami. Nerwy nie wytrzymały: Nina walnęła pięścią w parapet i zerwała się z miejsca:

– A cóż to takiego, teatr? Nie macie chyba sumienia! Czy wy w ogóle macie serca?

Baby przestraszyły się i może nawet zawstydzily. Natychmiast wybiegły. Nina zatrzasnęła za nimi drzwi.

Zawiązała na głowie chustkę, włożyła przemoczone buty i wyszła w chłodną mgłę. Szła i myślała, że przyjazd tutaj był strasznym głupstwem. „Zresztą może to głupstwo jest czymś najlepszym, co kiedykolwiek w życiu zrobiłam!”

Gdy po pięciogodzinnym marszu była już blisko domu komendanta, kupiła tanie nóżki w galarecie. Powtórzyła się poprzednia, znana już jej sytuacja, z tą tylko różnicą, że schwytawszy trzecią porcję pies nie szczyrzył już zębów i nie atakował. Stał w oczekiwaniu na kolejny kawałek i patrzył na Ninę mądrymi oczyma. Gdy podała jeszcze jeden kawałek, zamerdał ogonem i wziął go prosto z ręki.

– Demon, Demonek, dobry Demonek! – jak poprzednio zawołała śpiewnie Nina i wciąż jeszcze z obawą ruszyła w stronę ganku; Demon biegł obok niej. Napotykając mądre, baczne spojrzenie zwierzęcia, Nina mimo woli porównywała je, a także szlachetny wyraz psiego pyska z twarzą pana domu – porównanie z pewnością niekorzystne dla człowieka.

– Dzień dobry, towarzyszu komendancie! – Nina usiłowała mówić jak najcieplej. Zebrała całą siłę swej woli, by wytrzymać ciężar niełatwej rozmowy. – Przyszłam posłuchać śpiewu waszej

córki i wyjaśnić pewne nieporozumienie. Czy mogę wejść?

Niedźwiedzie łąsko wysunęło się niezdarnie w jej stronę:

– Prosimy, prosimy, towarzyszko artystko! Siadajcie. Może zimnego piwka? Córka już mi nie daje spokoju: kiedy mnie przesłucha ta twoja sławna śpiewaczka?

– Oczywiście, towarzyszu komendancie – uśmiechnęła się Nina. – Z wielką przyjemnością z nią popracuję; dzisiaj się nie spieszę. Ale przedtem chciałabym z wami porozmawiać o wczorajszym incydencie. Wasz podwładny pewno złożył już raport?

– O czym mówicie, obywatelko?

Do tej pory nie zadał sobie trudu, by poznać imię i nazwisko Niny.

– Wasz zastępca zastrzelił zesłańca. Szłam z tą grupą, bo wyraziliście na to zgodę, byłam też przypadkowo świadkiem.

Skurcz ścisnął gardło Niny. Komendant przestał udawać, że żywi do niej sympatię.

– A jakże, obywatelko, zgadza się. Ale co z tego? Mój podwładny działał zgodnie z instrukcją. On ma też nad sobą zwierzchników, muszę wam powiedzieć. Gdy zesłańcy są w drodze, nie możemy przydzielić zbyt wielu konwojentów, więc stosujemy szczególny regulamin, o czym uprzedza się konwojowanych. Regulamin został odczytany. Prawdopodobnie i wyście go słyszeli. Nie było uchybienia, zapewniam was! Nie ma powodu, byśmy o tym rozmawiali. Rozumiem, nie jesteście przyzwyczajeni, wydało się to wam... trochę straszne. Zapomnijcie, obywatelko, i kropka! Dam wam radę – trzymajcie się jak najdalej od zesłańców, zwłaszcza od tych z pięćdziesiątego ósmego artykułu – niespokojny element! Z kryminalistami jest znacznie łatwiej: swojskie chłopaki! A ci, co dostali pięćdziesiąty ósmy, na nas, ludzi sowieckich, patrzą z pogardą, każdy by chętnie w lesie dał drapaką.

Narastało bolesne oburzenie, dławilo pierś, ścisnęło obręczą

skronie, doprowadzało niemal do mdłości. Żadnego uchybienia na służbie nie było! Tego chama nie obchodzi, że zginął miły, utalentowany chłopiec, który miał w sobie tyle radości życia! Grunt, że przestrzegany jest regulamin, który pozwala bezkarnie strzelać do ludzi.

Przemogła się i powiedziała spokojnie:

– Nie zamierzam oskarżać waszego zastępcy o naruszenie regulaminu – to nie moja sprawa. Chciałabym tylko spytać, za co aresztowaliście dwóch mężczyzn z tej grupy? Jeden z nich jest moim mężem, do którego przyjechałam. I zapewniam was, nie popełnił żadnego przestępstwa. Mogę tu zostać tylko parę dni, dlatego proszę, zwolnicie go jak najprędzej.

I znów coś ścisnęło ją w gardle.

– Czekaćcie no, obywatelko; zaraz sprawdzę w raporcie, zapomniałem nazwiska. Momencik.

Wyszedł z pokoju i wrócił z kartą papieru oraz w okularach na nosie, nadających mu nieco śmieszny wygląd.

– Jak się nazywa wasz małżonek, obywatelko?

– Bołogowski, Siergiej Pietrowicz.

– Tak, tak, zgadza się. Bołogowski, siedzi w areszcie: „Próbował buntować więźniów przeciw konwojentom...” – sami widzicie, to nie bagatela! Wybaczcie, obywatelko, ale mówię szczerze.

– To nic, że szczerze. Ja też będę z wami szczerą. Towarzyszu komendancie, źle was poinformowano! Wysłuchaliście moich zeznań, spytajcie ludzi, którzy szli w tej grupie i wszystko stanie się dla was jasne!

– Nie miałem zamiaru rozdmuchiwać sprawy i robić przesłuchania zgodnie z przepisami, obywatelko; chciałem załatwić wszystko jak w rodzinie. Bo jeśli trzymać się ściśle przepisów, to wasz mąż mógłby oberwać. Powiedzą, dajmy na to, że przydzieliłem zbyt mało konwojentów, a w Kałpaszewie

puszczałem ludzi bez nadzoru z dobroci serca – życ mi nie dawali prośbami: jeden chce do doktora, inny złożyć apelację, jeszcze inny – żeby go tam zatrudnili zgodnie ze specjalnością... Więc zgadzałem się; was też przydzieliłem do grupy, a prawdę mówiąc, nie należało, ale gdzie – myślę sobie – będzie sama się błąkać po tajdze... Zwierzchność może na to krzywo patrzeć, powie, że jestem zbyt pobłażliwy!

Mimo woli oczy Niny rozwarły się szerzej; ten zamordysta nie bał się oskarżeń o samowolę i okrucieństwo, lecz wprost przeciwnie – o zbytnią łagodność i humanitaryzm! Nieźli musieli być ci jego zwierzchnicy, absolwenci szkoły oprawców! Tak czy inaczej, lecz rozgłosu ten wspaniały urzędnik wcale nie chce! Nina to zrozumiała i rzekła dyplomatycznie:

– Jeśli kiedykolwiek będę musiała powiedzieć w Tomsku o tym, co zaszło, dołożę wszelkich starań, by panu nie zaszkodzić.

– A z kim zamierzacie tam rozmawiać?

– Znam parę osób w Tomsku – bohatercko skłamała Nina. – Wcale nie pragnę biegać po urzędach, lecz muszę ratować męża, jeśli go pan nie zwolni.

– Czy aby nie chcecie mnie straszyć? Nic z tego, jestem starym czekistą, członkiem partii od siedemnastego roku, wszyscy znają moje zasługi; kar partyjnych nie miałem, mam mocny grunt pod nogami, nie znajdziecie na mnie haka...

– Nie mam zamiaru straszyć, lecz jeśli chce pan załatwić wszystko zgodnie z prawem, trzeba wypuścić ich z aresztu. A co znaczy „zakończyć sprawę jak w rodzinie” też nie rozumiem! Przecież trzeba zameldować w Tomsku, że zginął zesłaniec, a dwaj inni siedzą w areszcie?

– A skąd! Zesłańców mamy tysiące, nikt mnie nie kontroluje. W tajdze i na drogach giną bez śladu i winy najuczciwsi ludzie, nie tylko zesłańcy! Naturalnie, podczas procesu sądowego za każdego z oskarżonych personel więzienny odpowiada głową, ale ja mam tutaj albo ludzi po wyroku albo zesłanych

administracyjnie. Takich są tysiące w naszej okolicy. Komu składać sprawozdanie o każdym z nich? Zginał i basta – dość, że ja o tym wiem. Ale znanej artystce dogodzę z ochotą! Wsadziłem tych dwóch do paki za złamanie dyscypliny podczas marszu; jutro znajdę czas i ich przesłucham. Sam wtedy zobaczę, co z nimi robić. Mam prawo wydawać takie rozkazy, jakie uznam za stosowne – zapamiętajcie to, obywatelko! Mogę nawet kogoś powiesić, jeśli mi to przyjdzie do głowy; ale ja, proszę mieć to na uwadze, nie jestem surowy.

Nina wstała i ujęła rąbek zabłoconej spódnicy tak, jak niosłaby tren schodząc ze sceny.

– Zrozumiałam, towarzyszu komendancie. Zaprowadźcie mnie teraz do córki.

Przesiedziała dwie godziny z krygującą się, wymalowaną i ufryzowaną pannicą sprawdzając jej głos, korygując jego ustawienie, wpajając nawyki. Gdy wreszcie wyszła, ze zmęczenia i zdenerwowania kręciło się jej w głowie, a musiała jeszcze przed zmrokiem przejść około trzydziestu wiorst! Cham nie domyślił się nawet, by zaproponować jakiś środek lokomocji. Pocieszając się, że droga jest dość ludna, gdyż między Mogilnym a Żurawinką stale utrzymywano kontakt, a zatem spotkanie z dzikimi zwierzętami lub włóczęgami jest mało prawdopodobne, Nina wyszła z osady i powlokła się grząską drogą do nieszczęsnej Żurawinki.

Szła już ze trzy godziny, co jakiś czas siadając na kamieniu, by się pokrzepić kęsem chleba. W lesie zaciągniętym chłodną jesienną mgłą panowała pochmurna cisza. Nina szła nie rozglądając się, usiłując nie myśleć, że brnie samotnie przez tajgę. Boleśnie doskwierały obtarte nogi. Nagle w oddali na zakręcie dostrzegła nieruchomą męską postać.

Po wstrząsie, jakiego przed dziesięciu laty doznała w Czeriomuchach, każdy obcy mężczyzna spotkany na ustroniu budził w niej strach. Ta nieustanna obawa psuła zawsze spacer, gdy wyjeżdżała za miasto. Teraz na widok nieznanego

mężczyzny, serce zabiło rozpaczliwie.

Zobaczyła, że wędrowiec pewnym krokiem idzie w jej stronę. Wzrok Niny zatrzymał się na wielkim kiju, poniewierającym się pod nogami – złapała go szybko.

Mężczyzna był już całkiem blisko i nagle poznała niezdarnego brodacza – na szczęście to ten filozof Jasza!

– Nino Aleksandrowno! – powiedział stary Żyd podchodząc do niej niepewnym krokiem – jakże to tak, dlaczego poszła pani sama? Trzeba było mi powiedzieć! Jestem co prawda stary i kiepski ze mnie obrońca, ale lepiej ze mną niż samotnie! Niech pani nie rzuca kija; za godzinę zrobi się ciemno – kto wie, co może się zdarzyć. Chodźmy prędeej.

Poszli obok siebie. Nie miał śmiałości zaproponować Ninie, by wzięła go pod rękę, nie był pewien, czy rosyjska szlachcianka ją przyjmie. Wysłuchawszy, co stało się z Siergiejem Pietrowiczem, powiedział:

– Trochę panią pocieszę, Nino Aleksandrowno! Właśnie w pani lepiance naprawiają dach. Tutejsze chłopki podniosły krzyk, że zalało waszą chatę; mąż jednej z nich jest cieśla, ściągnęła go, by zajął się remontem, potem namówili jeszcze jednego. Obiecali, że skończą pod wieczór.

Zajrzał w zdenerwowaną twarz kobiety.

– Nino Aleksandrowno, wierzy pani w Boga?

– Rozumiem bieg pańskich myśli, Jakowie Siemionowiczu. Odpowiem szczerze – nie, od dawna nie wierzę! Całonocne czuwanie na pensji, Komunia święta z innymi dziewczętami – wszystko to są poetyckie wspominki, nic więcej. Chrystus, który uczył ludzkość miłosierdzia, albo jest bezsilny, a zatem nie jest Bogiem, albo nie jest wcale miłosierny!

– To straszne, co pani mówi, Nino Aleksandrowno! Taka subtelna osoba jak pani, a o Zbawicielu rozmyśla, proszę wybaczyć, jak prymitywna mieszcza. Gdyby nagrodą za wiarę i uczciwe życie było szczęście tu, na ziemi, w ziemskich formach –

wówczas każdy by wierzył, lecz funta kłaków byłaby ta wiara warta! Od wieków troskliwie dbają o nasze dusze promienni Nauczyciele, nieszczęścia zaś na długiej drodze do wieczności są dla nas odkupieniem, oczyszczają dusze. Niektórzy ludzie błogosławiają je – zaczynają intuicyjnie rozumieć, jak niezbadane są wyroki boskie. Może kiedyś, z miłością i rozrzewnieniem Nino Aleksandrowno, wspomni pani dzień dzisiejszy i tę krzyżową drogę do Mogilnego, która pozwoliła zrozumieć, jak bardzo jest pani wierna i kochająca. Proszę cenić te chwile, które pani dano, a które tak głęboko i nierozzerwalnie, niemi pozaziemskich więzi, łączą panią z jej ukochanym.

– Jest pan chrześcijaninem, Jakowie Siemionowiczu?

– Nie wiem. Raczej antropozofem, pragnącym zrozumieć Chrystusa. Urodziłem się w judaizmie – jestem synem wileńskiego rabina. W dzieciństwie wpadła mi przypadkiem w ręce Ewangelia, a gdy zacząłem ją czytać słowo po słowie, stanął przede mną Chrystus i oświadczył bez reszty myśłami. Pojąłem błąd mojego nieszczęsnego narodu, zrozumiałem, że chrześcijaństwo jest o wiele bardziej ludzkie, promienne, szersze niż ciasny judaizm – wiele wtedy rozumiałem. Pamiętam, co działo się ze mną, gdy ukryty za szafą w kącie ubogiej klitki czytałem: „To jest krew moja, za wielu ludzi przelana”. Nadszedł Wielki Tydzień, lekcje w gimnazjum zostały odwołane, a ja – Żyd, chyłkiem, jak złodziej, pobiegłem do cerkwi, nie do naszej gimnazjalnej, to jasne – nie ośmieliłbym się tam wejść! – a na peryferie miasta do monasteru. Odbывało się właśnie nabożeństwo, gdy nieśmiało przekroczyłem próg świątyni, usłyszałem od ołtarza głos: „Kto je ciało moje i pije krew moja, we mnie mieszka, a ja w nim” – słowa te z gruntu odmieniły moją świadomość. Słuchałem, słuchałem... i wie pani, co zrobiłem? Wiedziony gorącym pragnieniem podszedłem wraz z innymi, by przyjąć Komunię świętą. Kilka razy to robiłem, nie zdawałem sobie sprawy, że tak nie wolno. Wiele potem przeszedłem: ostry protest mojego środowiska, prowincjonalnych Żydów, zacofanie waszych duchownych, zepsucie chrześcijańskiego świata – wszystko to zwały się na mnie we wczesnej młodości i omal nie zgasiło odblasku z oddali, który

przeniknął do mojej duszy. Lecz cudowne oblicze, od czasu gdy ujawniło się mojej wyobraźni, umacniało ducha. Ochrzcilem się znacznie później, już po studiach. Chrzest zrównał mnie w prawach z Rosjanami, lecz nie chciałem ani przed własnym sumieniem, ani przed ludźmi, by moją wiarę łączono z wyrachowaniem. Przyjąłem chrzest dopiero wtedy, gdy dyplom uniwersytecki uprawnił mnie do zamieszkania i pracy w Petersburgu. Pojawiły się wtedy nowe trudności: duchowni, do których się zwracałem, po rozmowach ze mną nie chcieli mnie ochrzcić, sądzili bowiem, że zerwawszy z judaizmem, błąkam się po otchłaniach teozofii i w gruncie rzeczy wcale nie jestem chrześcijaninem. Byli wśród nich ludzie bardzo wykształceni i zgadzali się z tym, że jest mnóstwo inteligentów rosyjskich jeszcze bardziej dalekich od prawosławia, lecz ochrzcić neofity z takimi poglądami mimo to nie chcieli. A jednak wielka wasza Cerkiew, posiadająca skarb Eucharystii, jest błogosławiona, choćby nie wiem jak grzeszyli jej poszczególni reprezentanci. Wreszcie błogosławieństwo spłynęło i na mnie. Przyjęto mnie na łono Cerkwi. Jeden z duchownych zwrócił się w tej sprawie do biskupa, a ten mnie zrozumiał! Co więcej, samowolne przystępowanie do Komunii świętej uznał nie za grzech, lecz za szczególny rodzaj powołania. Zgodził się mnie ochrzcić, a w czasie obrządku powiedział: „Niech pan chroni symbol wiary i dalej przystępuje do świętego sakramentu; spełniając w miarę sił przykazania boże, zostanie pan na łonie Cerkwi. Na spowiedzi proszę kajać się z tego, co podpowiada sumienie, lecz nie wdawać się w spory teologiczne”. Zawsze z wdzięcznością wspominam tego człowieka. Byłem krótkowzroczny, bałem się oskarżeń, że przeszedłem na prawosławie ze względów merkantylnych, i nawet do głowy mi nie przyszło, że czekają mnie prześladowania i męki za wiarę. Chrystus w swym miłosierdziu zesłał mi los, o jakim nie śmiałem marzyć! Któż mógłby to przewidzieć w owych latach? Teraz jestem na zesłaniu, samotny, schorowany i stary; nie mam własnego kąta ani rodziny, lecz proszę mi wierzyć, Nino Aleksandrowno, jestem szczęśliwy i naprawdę nic, absolutnie nic mi nie trzeba! Przez długi czas cierpiałem po stracie biblioteki –

książki były moją pasją, wydawałem na nie wszystkie środki; przez okres życia w Petersburgu udało mi się zgromadzić ogromny księgozbiór religijno-filozoficzny. Opieczętowali książki podczas mojego aresztowania, a przypadkowo, od sąsiadów, dowiedziałem się, że załadowano je na brudną ciężarówkę i wywieziono wprost na wysypisko śmieci; powiedział o tym sąsiadom kierowca, któremu to zlecono. Teraz i ten ból przeminął; nie pozostało nic prócz radości, że idę śladem Ukrzyżowanego Nauczyciela. Tej radości nikt mi nie odbierze. Nino Aleksandrowno, jest jeszcze pani młoda i piękna – niech Pan Bóg ześle pani szczęście z mężczyzną, którego pani wybrała. Proszę tylko się nie załamywać, nie rozpaczać w dniach smutku. Nie są takie straszne, jak się z początku wydaje; to ich mnogość sprawia, że zaznajemy nowych, cudownych radości. Tam gdzie jest krzyż, pojawiają się nieustannie.

Młoda kobieta milczała, zakłopotana i zdziwiona.

– Niech pani nie odpowiada, proszę tylko zapamiętać moje słowa, zachować je w sercu. Może kiedyś znajdą odzew w pani duszy. Nigdy nie znamy chwili, gdy budzi się w nas coś głęboko skrytego, tego, co w nas najlepsze. – I dodał z uśmiechem: – Czy to nie dziwne, że pani – od urodzenia chrześcijanka – słucha o Chrystusie z ust Żyda? Bywa i tak!

– Nie, Jakowie Siemionowiczu. Wcale tak nie myślałam... Dzięki za dobre słowa i za współczucie. Mój mąż i ja, oboje darzymy pana szacunkiem... Wspominałam teraz mojego brata... gdyby z nim pan porozmawiał, zrozumielibyście się zapewne, aleja...

Zaczęła mówić o bibliotece ojca, którą zagarnęła ciotka, o białych krukach, jakie się tam znajdowały, i podczas rozmowy wędrówka minęła niepostrzeżenie.

Gdy o zmroku dotarli wreszcie do Żurawinki i Nina weszła do swojej chaty, remont rzeczywiście już ukończono. Podłogę zamieciono, i nawet rozpalono w piecu; opatulony haftowanym ręcznikiem garnek był pełen pieczonych ziemniaków; kobiety

sądziły zapewne, że Nina wróci z Mogilnego razem z mężem i postanowiły zatroszczyć się o szczęśliwy wieczór dla młodożeńców. Nina była wzruszona tą niespodziewaną troską, lecz tak się zmęczyła, że nie mogła jeść. Położyła się na ławie i tym razem całą noc spała jak zabita. Dzień nie przyniósł nic nowego. Pod wieczór znów rozpałała w piecu, zagotowała w czajniku wodę i siadła przy ogniu nasłuchując: może wypuszczą Siergieja po przesłuchaniu! Stuk w ramę okienną sprawił, że drgnęła, lecz był to jedynie dziesiętnik, który obchodził domy zesłańców, jak zawsze w poniedziałek wzywając na apel do komendanta. Nina usiadła, po chwili nadziei zrobiło się jej jeszcze smutniej.

Rozhulał się wiatr, wył w kominie wlokąc za sobą smutek; znów ogarniało ją przerażenie – czyżby miał się powtórzyć koszmar przedostatniej nocy? Z kątów wylaziły czarne karaluchy, a migocząca świeca rysowała groźne cienie na zakopconym suficie. Nagle wydało się Ninie, że ktoś obmacuje ręką drzwi.

– Kto tam? – zerwała się, lecz śmiertelnie przerażona nie zdjęła z drzwi haczyka.

– Nino! Otwórz! To ja!

Wyskoczyła na deszcz i rzuciła się mężowi na szyję.

Statek gwizdał przeciągle na znak, że nie przyplynie tu więcej – nie wróci przed wiosną! Ten pożegnalny sygnał zawsze brzmi nad Obem, kiedy sryż – lodowe kruszywo – pokryje potężne fale. Zagubieni w leśnych osadach zesłańcy ze smutkiem wsłuchują się w posępny gwizd. Nina stała na pokładzie parowca, odpływającego z Kałpaszewa, wpatrywała się w pasmo tajgi na przeciwległym brzegu i wycierała łzy.

W Tomsku, nim przesiadła się do pociągu, przez kilka dni objęła progi różnych instytucji. Miasto obrosnięte siecią łagrów i tysiącem biur zarządzających łagromi i więzieniami stało się dla niej koszmarem. Była co najmniej w dziesięciu urzędach i nie mogła znaleźć ani końca, ani początku pajęczej sieci. Bezlitośnie

przeganianą ją z miejsca na miejsce. W porównaniu z funkcjonariuszami, których widziała tutaj, chamowaty komendant wydawał się głęboko ludzki – zadał sobie trud, by jej wysłuchać, i żywił naiwny szacunek dla zasłużonej artystki, którą się samowolnie nazwała. W Tomsku była bezradna wobec tradycyjnej obojętności urzędników i bałaganu w urzędach. Tylko dyrektor szkoły muzycznej, w której dała bezpłatny koncert, obiecał, że jeśli dostanie nowe etaty, spróbuje ściągnąć skrzypka Bołogowskiego i zatrudnić. Ale niezbyt mogła wierzyć, że to się uda.

Pod koniec września wyjechała z Tomska.

Rozdział szósty

Dni z Asią nad brzegiem jeziora Ilmień wydały się Olegowi rajską rozkoszą; zauroczenie miłością, wczesną jesienią i historią sprzed wieków jakby się zespoliło. Odsunęło ponure myśli. Wiedział dobrze, że GPU może go znaleźć nad Ilmieniem równie łatwo jak w Petersburgu, a jednak zamykając wieczorami drzwi swojego *palazzo* nie myślał, że w środku nocy może nagle ktoś do tych drzwi załomotać. Tylko z rzadka przychodziła myśl: „to uśmiech pożegnania... w przededniu rozstania...”

Otaczali ich chłopci i rybacy, zajęci pracą w polu i połowami. Asia była urocza, niepokoje i zmartwienia roztopiały się w ciepłe jej miłości. A on nie musiał chodzić do pracy, nie musiał się pilnować, uważać na każde słowo. Partyjni działacze, wiodący wszędzie prym, tanie agitki, które mu już obrzydły, a tak natrętnie towarzyszyły w nowym społeczeństwie wszystkim ludzkim krokom, gazety, jadowite niczym ukąszenia żmij – to wszystko tutaj nie docierało.

Lecz już w pociągu wrócili na orbitę Leningradu. Ożyła i poruszyła się w sercu trwoga.

Pierwszy wieczór w domu był jednak wręcz wesoły: podczas kolacji rozszczebiotana Asia była równie czarująca jak na wsi, Natalia Pawłowna i madame traktowały Olega bardzo serdecznie, więc czuł się nie mniej szczęśliwy jak na wsi.

O szóstej rano zaczął się ubierać. Asia poruszyła się, otworzyła oczy.

– Podaj mi szlafroczek, to przygotuję ci śniadanie – powiedziała sennie.

Zapewniał ją, że wszystko zrobi sam, a ona niech śpi słodko do ósmej i pije kawę jak dawniej, z babcią i madame. Okazało się, że Asia nie jest pedantycznie troskliwą żoną, bez słowa protestu przeciągnęła się, uśmiechnęła, zarzuciła ręce za głowę, natychmiast zapominając o śniadaniu. Oleg wyczałował szczuple

ramionka i łokcie i w pierwszy dzień po urlopie pobiegł do pracy głodny.

Chyba wciąż jeszcze płynął z prądem, bowiem w biurze wszystko układało się pomyślnie, Mojżesz Herszelewicz powitał go miłym władczym uśmiechem, koledzy też, chyba zadowoleni, że wrócił. Pracy było dużo, ale nie bał się jej – znał języki obce lepiej, niż było to potrzebne. Znow odzyskał spokój.

Pewnego wieczora zdecydował się opowiedzieć Asi o swojej matce. Młoda żona siedziała mu na kolanach, wsłuchana w każde słowo.

– ...Był to tak straszny cios, że ciągle sprawiał mi ból. Dopiero teraz, gdy weszłaś w moje życie przynosząc tyle światła i ciepła, ból ten powoli zacicha. Moje szczególne przywiązanie do mamy zaczęło się we wczesnym dzieciństwie, w czasach wojny z Japonią. Ojciec był wtedy na froncie, brat – w Korpusie Kadetów; zimę spędzaliśmy w majątku na wsi – mama nie chciała sama być w mieście. Gdy przysłała wiadomość, że ojciec został ranny, wokół byli tylko słudzy, którzy bali się zawiadomić mamę – spodziewała się dziecka. Pamiętam, jak czekałem, kiedy przyjdzie na poranną kawę, stałem – podobnie jak w czasach, gdy był z nami ojciec – przy moim krześle i zastanawiałem się, co zrobić, by nie wyczytała niczego z mojej twarzy. I rzeczywiście, gdy tylko weszła, pocałowała mnie i spytała: „Płakałeś?” Odpowiedziałem jej, że zepsułem nową, nakręcaną kolejkę. Mama zaproponowała: „Biegnij i przynieś ją; zobaczymy, jak wygląda”. Musiałem w pokoju dziecinnym wetknąć ukochaną zabawkę między drzwi! Widocznie w naiwności ducha wyobrażałem sobie, że smutek ominie mamę. Ale wieczorem wszystko już wiedziała, przyszła do pokoju dziecinnego i usiadła na brzegu łóżeczka: „Oleg, obudź się, pomóż mi, sama tego nie zniosę! Tata być może umiera o tysiąc wiorst ode mnie!” Odtąd prawie nie opuszczałem mamy, spacerowaliśmy, czytaliśmy razem przy kominku, zarzuciłem moje zabawki, mama nawet układała mnie do snu w swojej sypialni na kozetce. Trwało tak mniej więcej rok, aż do powrotu ojca, który stwierdził, że podczas jego nieobecności stałem się zbyt wrażliwy,

rozpieszczony jak panienka, i moje wychowanie trzeba z gruntu odmienić. Kiedyś bawiąc się w ogrodzie stłukłem kolano. Pobiegłem więc do mamy po ratunek; widząc mnie we łzach ojciec zawołał: „Za rok masz zostać kadetem, a mazgaisz się jak dziewczynka, żebym więcej nie widział twoich łez!” Nazajutrz do werandy przyprowadzono kucyka, miałem się uczyć konnej jazdy; zbyt szybko do niego podszedłem, więc mnie kopnął, i to tak mocno, że zwałił z nóg. Matka i adiutant ojca rzucili się do mnie z werandy, lecz ja myślałem tylko o tym, że patrzy na mnie ojciec i powtarzałem sobie: „Nie płaczę, nie płaczę”. Byłem zdziwiony, że wszyscy mnie otoczyli i wypytują z niepokojem. O tak – ojciec był surowy, potrafił mnie zahartować, ćwiczyć ciało i wolę! Nie wybaczał nigdy błędów ani w manierach ani w nauce; myślałem nawet, że mnie nie kocha. Jeśli będziemy mieli syna, wiem, jak go wychowywać.

Po raz pierwszy mówił z Asią o przyszłym dziecku, a wypowiadał te słowa z niezwykłą czułością, trzymając jej rączkę w swojej dłoni. Asia milczała jak myszka.

Tymczasem jej najbliżsi często omawiali ten temat utrzymując zgodnie, że nie powinna zbyt szybko decydować się na dziecko.

Tylko Natalia Pawłowna była innego zdania:

– Ja się do tego nie wtrącam. Niech będzie tak, jak zechcą sami. Sądzę jednak, że mała istotka, nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach czyni życie piękniejszym. Żal byłoby pozbawiać Asie radości macierzyństwa.

Pawełek – młodsze dziecko „proletariusza z krwi i kości” – był zawsze blady, niemal siny; miał nieprawidłową, nieco wydłużoną czaszkę, niskie czoło, uszy sterczące w obie strony; w piwnych oczach patrzących spode łba zastygł wyraz smutku i poczucia krzywdy. Naiwne spojrzenie zbitego szczenięcia niepokoiło Asie. Pewnego wczesnego przedpołudnia, nasłuchując w przerwach podczas ćwiczenia fugi, jak malec popiskuje żałośnie, Asia nie wytrzymała i zatrzasnąwszy wieko fortepianu pobięła do

„proletariuszy”; wiedziała, że chłopczyk jest sam.

– Czemu wciąż płaczesz, Pawełku, znowu cię skrzywdził Edek? – zapytała z czułością.

Gdy się okazało, że „mama wyszła, a nie dała jeść”, Asia przyniosła filiżankę kisielu i sucharki, wspaniale ususzone przez madame dla pretendenta na tron rosyjski – jak od pewnego czasu nazywała Olega. Asia sądziła, że nikt niczego się nie dowie, ale gdzie tam! Przy herbacie Natalia Pawłowna poprosiła o swoją ulubioną łyżeczkę, w kredensie łyżeczki nie było – dopiero wtedy Asia przypomniała sobie, że zaniósła ją wraz z kisielom Pawełkowi. Czerwona jak rak, przeczuwając burę, pobiegła do pokoju „proletariuszy”.

– Strasznie panią przepraszam! Poczęstowałam dzisiaj rano kisielom Pawełka i zostawiłam filiżankę z łyżeczką; proszę mi pozwolić je zabrać – poprosiła nieśmiało.

– A jakże, widzieliśmy, wielkie dzięki. Umyłam tę filiżankę, niech ją pani bierze! – i krągłolica Chryczkowa podała filiżankę przez próg.

– Była jeszcze srebrna łyżeczka babci, z napisem „Natalie”.

– Nie widziałam... Na pewno była? Może pani zabrała, a potem zapomniała?

Sprawy przybierały zły obrót.

– Przepraszam, ale wiem na pewno, że łyżeczka jest tutaj. Niech pani poszuka, bardzo proszę. Przecież ją widziałeś, Pawełku?

– Edek zabrał; mówię mu „nie rusz!”, a on mi pokazał język i wyszedł.

Reakcja Chryczkowej na tę sensacyjną wiadomość była zaskakująca:

– Nie gadaj na brata, ty wstrętny szczeniaku! Naprawdę widziałeś, jak wsunął łyżeczkę do kieszeni? Miesz ozorem, a ludzie słuchają! Nikt pani tu nie prosił z tym kisielom i łyżeczką.

Same tylko przez to przykrości.

Asia stała w progu nie wiedząc, co mówić. Ku jej przerażeniu, z głębi proletariackiej jaskini, rozległ się nagle głośny ryk:

– Czego tam? Co znowu za łyżki? Mój syn nie zdycha z głodu. Zamknij pani drzwi i nie pchaj się tutaj! – zbliżył się sam Chryczko, lecz połowica żywo wepchnęła go z powrotem w głąb pokoju; nadchodził właśnie Oleg.

– No już, wynocha, wracaj do łóżka! I nie zadawaj się z nimi! Dajcie mu spokój, obywatelu; spił się, więc się piekli. Co można chcieć od moczymordy?

– Nie mam zamiaru z nikim się bić; niech się pani nie martwi o swego małżonka – rzekł Oleg z ironią. Pociągnął Asie z powrotem do stołu z herbatą. Tam spadł na nią gniew Natalii Pawłowny. Usprawiedliwiając się przed babcią Asia nieśmiało patrzyła na męża, lecz jego wzrok nie obiecywał pomocy.

– Doprowadziłaś do tego, że ci prostytutki wyrzucili cię za drzwi, sprowokowałaś ich kłótnię z Olegiem Andriejewiczem. A dobrze wiesz, jak wiele zła sprawiają ludziom z naszej sfery kłótnie w mieszkaniach komunalnych. Kiedy sąsiad jest wrogiem, można zawsze spodziewać się donosu. Olegu Andriejewiczu, o łyżce już ani słowa. W żadnym razie nie chcę zaostrzać stosunków – mówiła Natalia Pawłowna. – Czyżby ten zaśliniony dzieciak był ci droższy niż twój własny spokój, Asiu?

– *C'est donc un prolétaire, un troglodyte!*⁵⁰ – powtarzała madame ze zgrozą przewracając krągłymi, czarnymi oczyma.

– W tym malcu jest coś zwyrodniałego! Ja się po prostu nim brzydzę! – wtrącił Oleg. Asia nagle wybuchła:

– Nie mogę tego słuchać! Kiedy byliśmy dziećmi, otaczało nas wszystko, co najlepsze: łatwo nam było zostać *noble*, a ten mały styka się wyłącznie z chamstwem, w dodatku nikt prócz mnie nawet się nad nim nie użali. Brzydzić się pięcioletnim malcem – to

⁵⁰

C'est donc... (fr.) – Przecież to proletariusz, troglodyta!

oburzające!

Oleg przekonał się, że pogodzić się z Asią wcale nie jest łatwo: kończył kolację ze starszymi paniami, a gdy wyszedł do sypialni, leżała na łóżku zwinięta w kłębek – nie poruszała się nawet, jakby go w ogóle nie dostrzegła.

– Dość już dasów. Pogódźmy się. Daj łapkę – poprosił siadając na brzegu łóżka i patrząc czule na jej bieliznę oraz bluzkę w paski. Wszystko to wisiało na krześle powierzone opiece pluszowego misia, który siedział obok z głupio wytrzeszczonymi oczami.

Asia ani drgnęła.

– Łapkę.

Ukryła się z głową pod kołdrą jak w norce, Oleg nie doczekał się nawet słowa.

Nazajutrz rano znów próbował wszcząć pertraktacje dyplomatyczne, lecz i tym razem bez skutku – czasu było mało, musiał wyjść nie pogodziwszy się z Asią.

Gdy z papierami wszedł do gabinetu szefa, zobaczył niemłodą damę w żałobie. Stała przy biurku Mojżesza Herszelewicza przyciskając do oczu chusteczkę.

Jakieś lekceważenie, brak szacunku przebijały w tym, jak słuchał tej damy rozwalony w fotelu stary Żyd. Rzuciło się to Olegowi w oczy, podobnie jak to, że dama z pewnością pochodziła z wyższych sfer. Na widok Olega Mojżesz Herszelewicz z miejsca jej przerwał:

– Już pan przetłumaczył? Proszę pamiętać, że bez tej instrukcji nie będziemy mogli przyjąć maszyn, nie wiemy przecież, jak działają. Proszę pokazać!

Lecz Oleg nie podawał mu papierów.

– Poczekam, aż pan skończy rozmowę, Mojżeszu Herszelewiczu. Niech pan będzie spokojny.

Żyd natychmiast przybrał rozkazujący ton.

– Nie jesteśmy w salonie, towarzyszu Kazarinow. Najważniejsza jest praca! Proszę dać mi tłumaczenie i usiąść. A pani łaskawie poczeka – słowa te wraz z niedbałym kiwnięciem głową odnosiły się do damy w żałobie. Oleg siadł zły na arogancję, którą zresztą obserwował nieustannie.

Gdy nieco później przechodził przez podwórze, znów zobaczył ową damę; tym razem kierowała się ku wyjściu. Grupa inżynierów i Mojżesz Herszelewicz stali w pobliżu, i dama ich właśnie mijała, ale nikt się jej nie uklonił, choć najprawdopodobniej ją tu znano.

– Proszę powiedzieć, kim jest ta pani? – spytał kogoś Oleg.

– Żona dawnego naczelnika wydziału. Widzi pan, oskarżono go o sabotaż i aresztowano – inżynier ściszył głos – tylko że oskarżenie bodaj się nie potwierdziło; w każdym razie kilka osób aresztowanych w związku z tą sprawą wypuszczono. Jej mąż zmarł przed zakończeniem śledztwa – nie został więc skazany, ale też nie udowodniono jego niewinności; pozwolono wdowie zabrać ciało z więziennego szpitala, więc przyszła do rady zakładowej prosić o pomoc. Naiwna kobieta!

– Dlaczego naiwna?

– To proste! Czy rada zakładowa mogła się zgodzić? Jasne, że nie. Więc poszła do administracji, ale Rabinowicz też odmówił. Prosiła wielu ludzi. Do mnie też przyszła: czy nie pomógłbym przewieźć ciała z kostnicy do cerkwi. Ale nie mogę tego zrobić! Byłbym skompromitowany! Dziwi się pan, panie Kazarinow? Natychmiast mnie obsmarują, wyleją kubły pomyj w gazetce ściennej.

– Widocznie bywał pan u nich, skoro wdowa zdecydowała się pana poprosić?

– Owszem, bywałem, ale nie ja jeden! Wraz z całą kompanią witaliśmy w ich domu nowy rok; mieli takie ciasto francuskie, że palce lizać! Bywałem, a jakże! Tylko w jakich okolicznościach! Ale nie mogę być wrogiem samego siebie! Mam przecież rodzinę!

Oleg odwrócił się i szybko poszedł za oddalającą się damą. Dogonił ją przy portierni.

– Madame! – powiedział unosząc rękę do furażerki. – Jestem do pani usług. Proszę mną dysponować według potrzeby!

Przez udręczoną twarz przemknęło zdumienie:

– Ale ja pana nie znam! Chyba nigdy pan nie odwiedzał Siemiona Iwanowicza?

– Zgadza się. Pracuję od niedawna i nie miałem zaszczytu znać pani małżonka. Ale to nieważne; jestem gotów pani służyć – czekam na rozkazy!

– Mówi pan tak, ponieważ nie zna okoliczności sprawy! Mój mąż został oskarżony z artykułu pięćdziesiątego ósmego i zmarł w więziennym szpitalu. Jestem zupełnie sama, więc prosiłam o pomoc w przewiezieniu ciała; to bardzo nieprzyjemna misja... poza tym może panu zaszkodzić: przy wejściu na teren szpitala trzeba okazać dowód osobisty...

– Jestem do pani usług – przerwał jej Oleg. – Dokąd trzeba pójść?

W domu zjawił się dopiero o jedenastej wieczorem, Asia jak wicher zbiegła po schodach i rzuciła mu się na szyję.

– No, nareszcie! A ja szaleję z niepokoju, czekam! Wariuję na schodach! Gdzie byłeś?

– Przecież rozmawiałem przez telefon z madame, prosiłem, żeby uprzedziła...

– Mówiła, że się spóźnisz, ale nie było cię tak długo! Już myślałam, że się gniewasz i specjalnie nie wracasz, by ukarać swoją biedną ko teczkę.

Wszedł do pokoju, opadł zmęczony na krzesło.

– Idź, umyj się. A ja podgrzeję ci obiad – powiedziała Asia.

– Dziękuję, nie jestem głodny. Spojrzała na niego bacznie:

– Co z tobą? Coś cię martwi? Wiem, że jestem złośnicą, to moja wina, wybacz, że się wtedy schowałam... ale ty też byłeś trochę winny.

Wielkie oczy rozbliły przy jego twarzy; już nie widział Asi, tylko te oczy.

– Złociste promyki ciepła płyną ode mnie ku tobie i z powrotem. Roztopia się w nich uraza. Opowiedz, co się stało w pracy. Przecież wiem, że coś się stało. Mój najmilszy, nigdy nie próbuj ukrywać przede mną czegokolwiek, mam świetny węch, tak czy owak się domyśle!

Nazajutrz wracali we dwoje od „damy w żałobie”, którą poszli odwiedzić po pogrzebie. Asia szła w milczeniu z opuszczoną głową. Sądząc, że jest pod wrażeniem cudzego nieszczęścia Oleg próbował rozerwać ją rozmową, lecz ona poskarżyła się:

– Od rana źle się dzisiaj czuję, zupełnie jakbym była na pokładzie statku; mdli mnie i kręci się w głowie.

– Czy powiedziałaś babci? – spytał z niepokojem.

– Nie, nie warto jej martwić, to minie.

– Jeśli chcesz, wezmę taksówkę, prędzej będziemy w domu.

– Nie, nie warto. Chętnie się przejdę. Lubię pierwszy śnieżek.

Rano wychodząc do pracy spytał, jak się czuje, wyznała że gdy się poruszy i uniesie głowę, mdłości wracają.

W jadalni Oleg wbrew zwyczajom zobaczył obie panie i nakryty stół, Natalia Pawłowna wybierała się do cerkwi. Pijąc spieszenie herbatę zaczął mówić o złym samopoczuciu Asi, panie wymieniły spojrzenia, a Francuzka uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem. Dopiero wtedy się domyślił.

– Czy to tak się zaczyna? – spytał odstawiając szklanke.

– Może to coś innego – powiedziała Natalia Pawłowna. – Ale martwić się specjalnie o zdrowie Asi nie trzeba, jest młoda, zdrowa i najprawdopodobniej zniesie ten stan bardzo dobrze.

Asia zdziwiła się, gdy Oleg znów wpadł do pokoju i zaczął całować jej ręce ku wielkiemu oburzeniu szczeniaka, który już ulokował się na łóżku. Po czym Oleg równie szybko wybiegł. Choćby nie wiadomo jak wcześnie wstawał, zawsze był bliski spóźnienia, więc należało biec za autobusami i wskakiwać do tramwajów.

W środku dnia, zakończywszy omawianie spraw służbowych, Mojżesz Herszelewicz powiedział do Olega:

– Niech pan jeszcze nie wychodzi, panie Kazarinow, musimy o czymś porozmawiać.

– Słucham – odpowiedział Oleg siadając na parapecie okiennym. Był pewien, że będzie to rozmowa, której z napięciem oczekiwał przez cały dzień.

Zwolniwszy dwóch urzędników czekających na podpis, Mojżesz Herszelewicz wskazał Olegowi skórzany fotel koło swojego biurka, po czym przez kilka minut milczał. Przyglądając się badawczo zwierzchnikowi Oleg dostrzegł, jak jego rzeczowy i nieco wyniosły wyraz twarzy zmienił się na łagodniejszy, wręcz ujmujący.

– Olegu Aleksandrowiczu, przyjacielu, dlaczego jest pan taki nieostrożny? Zatrudniłem pana mimo poważnych zastrzeżeń do pańskiej przeszłości; podjąłem to ryzyko, więc chyba mogłem się spodziewać, że nie zawiedzie pan mnie i siebie wyważając każde słowo, każdy krok. A jest inaczej. Ja na wszelkie sposoby dbam, by miał pan reputację niezastąpionego pracownika i naszego sowieckiego pewnego człowieka, a pan niefrasobliwie szkodzi sobie co chwila – nie wiem, czy świadomie czy też nie. Jeśli potrwa tak dalej, nie będę mógł dłużej pana chronić – ja nie jestem wrogiem samego siebie.

W Olegu zakołysała się żółć.

– Jestem panu niezwykle wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie zrobił, Mojżeszu Herszelewiczu. Ale gdzie pan widzi moja niefrasobliwość?

Głos jego brzmiał szorstko, na twarzy pojawił się cień.

– Nie trzeba szukać zbyt daleko. Na przykład, w poniedziałek, w stosunkach z żoną tego człowieka, co zmarł w areszcie... a jeszcze wcześniej, na wiosnę, coś tam było w związku z religijnym obrządkiem... To przecież wyzywająca brawura! Nie mam prawa rozgłaszać, ale z sympatii do pana nie będę ukrywał: wiosną przyszło w pańskiej sprawie pismo z Wielkiego Domu. Napisałem świetną opinię, nie chciałem jej podpisać sekretarz organizacji partyjnej – mówił, że jest przesadnie entuzjastyczna i wyraźnie stronnicza; niemniej uparłem się. Pańska osoba wciąż jest tematem plotek w dziale kadr i w organizacji partyjnej. Niech pan trochę zmieni sposób bycia. Dziś mamy otwarte zebranie; wszędzie odbywają się wiece, na których ludzie pracy popierają wyrok śmierci na sabotażystów, dobrze by było, gdyby i pan zabrał głos i wyraził uznanie dla tej inicjatywy – nikt nie może mieć wątpliwości, jaka jest pańska postawa polityczna. W każdym razie nalegam, by pan przyszedł; będą pana obserwować – niech pan to zrozumie.

Oleg spojrział ze złością na dobrze odżywionego i zadbanego szefa.

„Jeszcze niedawno Rosja nie była twoją, lecz moją ojczyzną – pomyślał. – Byłeś wtedy zerem! Jakże szybko to się zmieniło! Teraz – w ZSRR – jesteś we własnym domu, a ja wróciłem z katorgi, odebrano mi wszelkie prawa, nie śmiem nawet posługiwać się własnym nazwiskiem! Ale gdy Rosja była w niebezpieczeństwie, ty siedziałeś w spokojnym, ciepłym miejscu, podczas gdy mnie, ociekającego krwią, niósł na rękach or dynans. A teraz każesz mi spełniać swoje żądania.”

Czuł, że nienawiść wyziera z jego twarzy i lada chwila eksploduje. Lada chwila powie coś, czego nie da się naprawić. Ale pohamował się i rzekł spokojnie:

– Za wynagrodzenie, jakie tu otrzymuję, należy się panu moja wiedza, energia, czas, ale nie sumienie, Mojżeszu Herszelewiczu! W pewnych sprawach pozostawiam samemu sobie

prawo decyzji.

Wstał, uklonił się chłodno i wyszedł.

„A jednak to antysemita!” – pomyślał stary Żyd.

W ogromnej, ciemnawej sali roilo się od pracowników; Oleg usiadł w dalekim kącie, wyjął notes i zaczął przygotowywać wstępny wariant tłumaczenia, które mu zlecono. Wybrano prezydium i wkrótce na trybunę wszedł majestatyczny, tryskający pewnością siebie Mojżesz Herszelewicz; za nim dwóch robotników i pyzata jak księżyc w pełni fizjonomia kierownika działu gospodarczego.

„Zawsze ci sami” – pomyślał z niechęcią Oleg i utkwiał wzrok w notesie.

„J'ai l'honneur de vous informer, nous fondons l'espoir d'une reprise rapide de votre service”⁵¹ – pisał szybko.

– Towarzysze! Pozwólcie mi otworzyć zebranie poświęcone wyrokowi w sprawie grupy sabotaży stów – rozległ się głos przewodniczącego. Oleg podniósł głowę. Naturalnie, to tylko ohydna komedia, wyrok już dawno zapadł, może nawet został wykonany. Publiczne poparcie dla wyroku śmierci – to coś niebywałego, nieznanego dotąd w dziejach.

Pracownicy jeden po drugim prosili o głos i wchodzili na trybunę.

– Towarzysze, z pewnością wyrażam uczucia wszystkich zgromadzonych na tej sali, mówiąc, że nie ma wśród nas nikogo, kto nie pałałby nienawiścią do wrogów partii i towarzysza Stalina – białogwardzistów, mienszewików i innego robactwa...

Oleg spojrzał na mówiącego i ironiczny uśmiech przemknął po jego twarzy. Gadaj zdrów! Tylko przedtem naucz się porządnie ojczyściej mowy! I znów zajął się francuskim tekstem.

⁵¹ J'ai l'honneur... (fr.) – Mam zaszczyt poinformować Pana, iż niebawem mamy nadzieję na nawiązanie współpracy.

Nagle usłyszał ze zdziwieniem swoje nazwisko głośno wypowiedziane z trybuny, co prawda nie prawdziwe, lecz fałszywe, jednak związane z nim na zawsze. Znów wyteżył słuch:

– ...Kazarinow i inni, którym nie spieszo wejść do naszego kolektywu, towarzysze! Nawet z pychą podkreślają swoją izolację i pracując już nie pierwszy miesiąc, lub jak na przykład, towarzysz Kazarinow, bez mała rok, nie spieszą się *zapisywać* do związku zawodowego. A może jest tak dlatego, towarzysze, że nie są pewni, czy zechcemy ich przyjąć, może ich przeszłość nie jest zbyt czysta. Toteż gdy towarzysz Stalin wzywa nas wszystkich, byśmy skupili się wokół partii i czujnie dbali o jedność szeregów, byłoby nie najgorzej, gdybyśmy wykazali się czujnością i poprosili dział kadr o wyjaśnienie, jakież to ciemne typy wkradły się między nas...

Oleg odnalazł wzrokiem Rabinowicza; ten siedział dumnie w prezydium i z poczuciem wagi tego, co się dzieje, patrzył na swoje ręce rozłożone na stole. Nie tylko odgadnąć, lecz nawet podejrzewać, jakie są jego prawdziwe myśli, Oleg nie był w stanie.

Jednak gdy natchniony orator umilkł, Rabinowicz poprosił o głos. Swym aksamitnym barytonem nanizywał zdanie za zdaniem tak swobodnie i niedbale, jakby było mu obojętne czy wypowiada się z trybuny, czy też rozmawia w obitym skórą gabinecie; wyczuwało się, że to dawny, trwały nawyk. Wyraził podziw dla generalnej linii partii, pochwalił „wielką świadomość” swego przedmówcy i dopiero wtedy przeszedł do punktu, który był dla niego zapewne ważniejszy od innych:

– Towarzysze! Przewodniczący komitetu zakładowego w swej płomiennej przemowie dał nam, urzędnikom, łupnia, być może nie bez podstaw Chcę tylko wnieść jasność do jednego punktu; w dzisiejszych czasach, towarzysze, wielkim problemem jest brak specjalistów; a bez nich nie można obejść się tam, gdzie jest potrzebna wielka, głęboka wiedza. Specjaliści są potrzebni naszej młodej republice po to, by budować socjalizm. Nie wątpię, że wkrótce kraj nasz zdobędzie własne kadry, troskliwie pielęgnowane przez partię spośród naszej młodzieży komsomolskiej – synów i córki proletariatu. Ale w obecnej chwili,

towarzysze, nie mamy takich kadr. I trzeba się liczyć z tym faktem. „Kadry decydują o wszystkim” – mówi towarzysz Stalin. Opierając się na tym założeniu partia dała nam – kadrowcom – niepodważalne prawo znajdowania takich pracowników, którzy odpowiadają nam poziomem wiedzy i naturalnie wtedy, gdy biuro zatrudnienia nie może zaspokoić naszych potrzeb. Przecież zapraszamy specjalistów z zagranicy, choć na ogół jest to element niezbyt nam przyjazny. Mamy wiernego obrońcę – GPU, który czujnie śledzi, by nie wkradli się między nas sabotażyści; każdy, kogo przyjmujemy, wypełnia w dziale kadr ankietę i jest sprawdzany przez organy GPU; a skoro tak jest, to nie ja ponoszę odpowiedzialność za zwyczaje tych lub innych osób z obcej nam klasy. Padło tu kilka nazwisk... na przykład... no, na przykład, towarzysz Kazarinow; to świetny pracownik i jak na razie niezastąpiony specjalista w dziedzinie języków obcych. Wszystkim wiadomo, że był w obozie, bynajmniej tego nie kryje; a jednak GPU zezwoliło mu żyć w Leningradzie i nie odebrało prawa do pracy. Więc jeśli nie mam dotąd innego specjalisty o podobnej wiedzy i za zezwoleniem organów politycznych, korzystam z jego usług, to w żadnym razie nie mogę się zgodzić z zarzutem, że to robię. Dajcie mi kogoś z waszego środowiska, towarzysze, dajcie mi robotnika, który władałby francuskim, niemieckim i angielskim, a przy okazji rozumiał szwedzkie teksty – przyjmę go z radością zamiast Kazarinowa! Tylko dajcie mi takiego człowieka! Możecie sami zdecydować, towarzysze, czy chcecie przyjąć Kazarinowa do związku, a na zebraniu komitetu zakładowego każdy z was ma prawo zadać mu każde pytanie na temat jego przeszłości. Sam też uważam, że czujność jest niezbędna! Ale teraz to nie jest zebranie komitetu zakładowego, towarzysze, daleko odeszliśmy od porządku dziennego! – i tak dalej, i tak dalej, nanizywał słowo na słowo jego aksamitny baryton.

Piętnowali, krytykowali, popierali i wreszcie – dziękując ukochanej partii za ogromne zaufanie – zaczęli głosować.

– Kto jest za wyrokiem śmierci? – groźnie spytał z trybuny kierownik działu gospodarczego. – Kto jest „za”, towarzysze? Podnoście ręce!

Po chwili wahania podniósł się las rąk; uległa większość pracowników, ale jednak nie wszyscy. Oleg widział ze swego miejsca Mojżesza Herszelewicza; stał z wysoko podniesioną krótką ręką, z twarzą wyrażającą płomienny gniew i patrzył na salę jakby szukając kogoś oczyma...

Oleg splótł ręce z tyłu. Jeden z pracowników liczących głosy zbliżał się coraz bardziej, przechodząc od rzędu do rzędu. Oleg upuścił na podłogę papierośnicę i pochylił się udając, że jej szuka.

– Kto jest przeciw, towarzysze?

– Nikt nie jest przeciw.

– Kto się wstrzymał?

– Przyjęto jednogłośnie.

Oleg wyprostował się. Czuł się łajdakiem, zupełnie tak, jakby głosował „za”. Fortel z papierośnicą... On, książę Daszków, powinien był głosować przeciw.

Ogłoszono koniec zebrania i ludzie zaczęli się rozchodzić.

Jeden z niemłodych inżynierów idąc wraz z Daszkowem w dół po schodach zauważył:

– Pana też, zdaje się, zaliczono do ciemnych typów, panie Kazarinow? Każdy kto tylko zechce, może u nas bezkarnie szkalować ludzi.

Oleg skwitował jego słowa milczeniem. Miał takie wrażenie, jakby przed chwilą połknął żabę.

W domu zastał Asie siedzącą na ławce przed kominkiem. Ścisnęło mu się serce: „To wszystko dla niej...”

Rozdział siódmy

W tym samym czasie wydarzyło się coś niezwykłego: na zebraniu załogi jednego ze szpitali, po zbiorowym gorącym poparciu dla wyroku śmierci, na pytanie „kto jest przeciw?” uniosła się ręka – w białym rękawie szpitalnego fartucha, chudziutka i smągła. Była to ręka kobiety. Wszyscy zdrętwieli, w prezydium półgłosem wymieniano opinie o tym nieprawdopodobnym wprost zuchwalstwie, wreszcie prowadząca zebranie komunistka, kierowniczką gabinetu masażu, zażądała:

– Niech siostra Muromcewa wyjaśni nam z trybuny, dlaczego jest przeciw.

Elżbietka wstała, zacisnęła z godnością usta i weszła na podium; konieczność przemawiania do tak liczного audytorium przerażała ją znacznie bardziej niż konsekwencje protestu, na który się odważyła. Lecz choć była cała spięta, nie traciła rezonu.

– Nie muszę się tłumaczyć, ale nie mam nic do ukrycia, więc powiem! W ogóle jestem kategorię przeciwniczką kary śmierci. Życie jest zbyt wiele warte, nikt go nie może zwrócić. Choćby nie wiem jak zły i niebezpieczny był przestępca, zawsze można stworzyć warunki, w których nie zaszkodzi ani innym obywatelom, ani państwu. Zabijać – to niewybaczalne okrucieństwo! To nie moja myśl; wielu ludzi wypowiedało ją przez całe wieki! Gdybym żyła w społeczeństwie kapitalistycznym i zamierzano by tam skazać na śmierć komunistę, powiedziałabym to samo – nie, nie wolno tego zrobić! – I z płonącymi policzkami zeszła z podium. Odprowadzano ją wzrokiem. Przez kilka minut panowała cisza, wypowiedź Elżbietki wywarła wielkie wrażenie. Jakaś salowa zaszlochała i wytarła łzy chusteczką, w tylnym rzędzie ktoś zaczął klaskać, lecz umilkł speszony. Członkowie prezydium cicho rozmawiali.

– Przedyskutować w Komitecie Rejonowym partii... tak, tak... Zamelduję i poproszę o instrukcję. Tak. No nie, nie możemy brać na siebie takiej odpowiedzialności! Udzielenie nagany to nic

trudnego, ale potem powiedzą, że nie uwzględniliśmy sytuacji, wzburzyliśmy opinię publiczną... W żadnym wypadku!

Jeden z członków prezydium powstał i głośno zapytał:

– Kto jeszcze prosi o głos, towarzysze?

I zebranie potoczyło się dalej ze zwykłą w takich sytuacjach rutyną.

Nazajutrz przewodnicząca zebrania wraz z jednym z członków komitetu zakładowego naradzała się w tej sprawie z sekretarzem rejkomu. On jednak bronił Elżbietki i w ogóle ich skarcił: popełnili za jednym zamachem kilka błędów! Przede wszystkim wystąpienie Elżbietki uprzednio nie zostało uzgodnione z komitetem zakładowym partii – ileż to razy sekretarz rejkomu domagał się, by spisywali na kartce plan wypowiedzi każdego, kto będzie przemawiał. Udzielać zaś głosu bez uprzedniego przygotowania wolno tylko sprawdzonym mówcom, ludziom oddanym, pewniakom. Innym zawsze można odmówić, wykręcając się brakiem czasu. Temat był wyjątkowo ważny, a oni zmusili do mówienia kogoś, kto jeszcze nigdy nie występował publicznie! To wielka krótkowzroczność. I wreszcie, nie przeprowadzili zawczasu zebrań zamkniętych, które urobiłyby opinię publiczną! Dlaczego? A dziewczyny ruszać nie wolno – wrażenie byłoby zbyt niekorzystne, zwłaszcza, że dziewczyna cieszy się ponoć szacunkiem; na odwrót, raczej trzeba dać jej nagrodę, wyróżnić, by tak rzec, obłaskawić, a w najbliższym czasie niech znowu wystąpi na wiecu, ale tym razem przygotowana. W ogóle trzeba się nią zająć – to cenny materiał, z takich jak ona wykuwają się działacze społeczni, a oni przegapili kogoś takiego! Wszystko to sekretarz rejkomu zlecił im jako zadanie partyjne, zaś pod koniec poprosił, by zawiadomić go o następnym zebraniu załogi; chce przyjść i osobiście się przekonać, jak to u nich wygląda. Członkowie prezydium odeszli skonfundowani.

Elżbietka wracała do domu z płonącymi policzkami i trwożnie bijącym sercem. Co będzie, jeśli przyjdą ją aresztować i wpadnie im w łapy dziennik? Wymieniła przecież tyle razy jego

nazwisko, robiła aluzje do przeszłości... bez trudu ustalała, o kim mowa... Skazać go na śmierć teraz, gdy jest wreszcie szczęśliwy... tego jej nie wolno! Spalić dziennik? Ależ spaliłaby w ten sposób również własne serce, wyrażające się w tych słowach. Spalić jedynego przyjaciela. Nie! Trzeba dziennik gdzieś ukryć. A jeśli już na nią czekają?

Dostrzegła taksówkę, wezwała ją i w pięć minut później wbiegła do mieszkania – na szczęście wszystko w porządku! Wślizgnęła się do swego pokoju i schwyciła dziennik: aż sześć grubych zeszytów! Gdzie je podziąć? Przysiadła na krześle wodząc po pokoju oczyma. Wymyśliła – zaniósła do szopy z drwami, tylko ona ma do niej klucz. Zeszyty wepchnęła między polana...

Zrobiwszy to, co zamyśliła, stosując wszystkie środki ostrożności, uspokoiła się nieco, lecz mimo to nie spała całą noc, nasłuchiwała trwożnie. Obóz koncentracyjny! Zawsze przy ludziach, zawsze pod konwojem! Praca ponad siły, głód, znęcanie się nad więźniami... Gdy wszystko to zbliżyło się do niej, ogarnął ją potworny strach! Tak sobie ceni ciszę i samotność... „Ale cierpiał także on i tysiące innych! Dlaczego mój los miałby być lepszy?”

Nazajutrz, w niedzielę, jak zwykle poszła na obiad do wujka. Niezbyt lubiła te wizyty. Ciotka była damą zimną i nieco wyniosłą; rozmowa toczyła się jakby z przymusem; ale był to jedyny bliski jej dom, w którym bliskie wydawały się nawet ciemnoorzechowe krzesła, ponury kredens i stół jadalny, koronki na ciotczynej szyi. Wuj – Władimira Iwanowicza – darzyła nie tyle miłością, co szacunkiem, budził w niej uczucie rodzinnej próżności. Podobał się jej jego oficerski chód, opinia niezastąpionego specjalisty, jaką miał w szpitalu, a także władcze intonacje na sali operacyjnej, gdy w rękawiczkach i w masce krótko, lakonicznie żądał czegoś od niej lub od otaczających go asystentów. Niezręczni młodzi lekarze o wyglądzie felczerów tworzyli tło, na którym tak korzystnie wyróżniał się Władimir Iwanowicz.

Z wujem łączyły ją też wspomnienia o Białej Armii i tragedii Krymu; tylko ona wiedziała, jak nieprzejeđnany był do tej pory

wobec „czerwonych”. Operował kiedyś Olega i być może domyślał się trochę jej tajemnicy, lecz nigdy ani słowem się o tym nie zająknął. Idąc do wuja Elżbietka zastanawiała się, czy opowiedzieć mu o tym, co zaszło? Gosposia, która służyła u doktora jeszcze w carskich czasach, kiwnęła do niej z sympatią, gdy otwierała ciężkie drzwi. Elżbietka lubiła staruszkę, ta zaś często wciskała jej pierożki i bułeczki własnej roboty, żeby panienka mogła pałaszować je w domu. Wszedłszy do jadalni, gdzie był już nakryty stół, a na nim apetyczne zakąski, Elżbietka zobaczyła ciotkę, która natychmiast jej szepnęła:

– Mamy nieprzyjemności, moja droga! I to bardzo wielkie! Boję się myśleć, czym się to skończy! Pożyczyli od męża atrament i papier i napisali na nas donos!

Władimir Iwanowicz wyszedł w tym momencie z sąsiedniego pokoju, pocałował Elżbietkę jak zwykle w czoło i zaproponował:

– Siadaj i słuchaj.

Donos wysłali sąsiedzi – chirurg i jego żona nie mieli wątpliwości.

Duże mieszkanie Muromcewów już dawno zmieniono na komunalne, lecz dwa pokoje wciąż należały do nich i były przedmiotem zawiści. Stolarz z żoną i robotnik z zakładów putiłowskich, którzy zajmowali mniejszy metraż, nieraz grozili, że „załatwią” starego burżuja i przed kilkoma dniami sfabrykowali donos z informacją, że Muromcew „nie cierpi władzy sowieckiej i wszędzie wieszka portrety Mikołaja II”. Poszli też do szpitala, by powtórzyć to samo w Komitecie Zakładowym. Tymczasem przydzielony Muromcewowi na asystenta młody lekarz Kadyr na krótko przedtem uznał za stosowne zasygnalizować także, iż Muromcew jest zajadłym rasistą, nie znosi przedstawicieli mniejszości narodowych, czepia się nich na wszelkie sposoby, a sam otacza się wyłącznie Rosjanami dobranymi spośród ludzi z dawnej armii carskiej – jak chociażby siostrzenica, eks-siostra miłosierdzia i felczer wojskowy, któremu do tej pory każe przed sobą stawać na baczność. Starczyło tego, by organizacja partyjna

podniosła krzyk. Jutro sprawa będzie rozpatrywana na otwartym zebraniu, w obecności pracowników administracji. Doktor winien się tam zjawić z całym personelem wydziału operacyjnego. Dopiero teraz Elżbietka pojęła, jak nie w porę zabrała głos! W trakcie obiadu omawiali warianty napastliwych ataków, jakich należało się spodziewać, i szykowali się do obrony.

Nazajutrz po pracy zjawili się w pomieszczeniu komitetu zakładowego na zebranie.

W białym fartuchu i w chusteczce, zagryzłszy wargi i zacisnąwszy leżące na kolanach dłonie, Elżbietka ze skupieniem wsłuchiwała się w pajęczynę słów, którą oplątywano starego chirurga. Trzej główni przeciwnicy – przewodniczący komitetu zakładowego, towarzysz Iwanów, człowiek o tępej, płaskiej twarzy, zionący nienawiścią Kirgiz Kadyr i małomiasteczkowy Żyd Ajziukowicz prześcigali się w zadawaniu podstępnych pytań.

– Opowiedzcie nam towarzyszu starszy chirurgu, jak tam, w Białej Armii, u czarnego barona, wraz ze swoim zespołem operacyjnym ratowaliście carskich oficerków.

– Ratowałem. Jestem lekarzem i kończąc Akademię składałem przysięgę. Całując krzyż, przysiągłem, że nigdy nikomu nie odmówię pomocy. Dzisiaj też tak postępuję. Bez względu na to, jaka będzie władza, zamierzam tym samym kierować się w przyszłości. Mówiono mi o portretach Mikołaja II, wiem, dlaczego: mój sąsiad – stolarz widział u mnie monografię Sierowa z portretem cesarza. Czy miałem wyrwać go z książki i zniszczyć?

– A dlaczego nie przychodzicie na nasze zebrania? Jakoś to nie po sowiecku.

– Nie mam ochoty, przywykłem pracować, a nie przelewać z pustego w próżne. Wy na tych zebraniach mielecie tylko ozorami, nie interesuje mnie to. Mój czas jest zbyt drogi.

– Mówią też o was, że nie lubicie słowa „towarzysz”, nigdy go nie używacie. To bardzo charakterystyczne! Człowiekowi sowieckiemu to słowo jest bliskie.

– Aleja nie jestem człowiekiem sowieckim. Mam sześćdziesiąt pięć lat. Pięćdziesiąt lat żyłem w carskiej Rosji; przyswoiłem sobie pewne nawyki i nie mam zamiaru postępować wbrew sobie, by sprawić wam przyjemność. Niczym nie zagrozę sowieckiemu państwu, nazywając moją pielęgniarzkę Paszą, a nie „towarzyszką”. Zaczna Pelagia Pietrowna w każdym razie na to się nie skarży.

– A czy to prawda, że wyzyskujecie do prac domowych pielęgniarza Michaiła Iwanowicza, który dotąd pręży się przed wami jak struna i nazywa was „wielmożnym panem”?

– Bzdury! „Wielmożnym panem” nigdy nie nazywa. Lecz żołnierskie zwyczaje zachowa do końca życia, tak samo jak ja – starzy wojacy mają to we krwi.

– Pracowników też dobraliście sobie z armii carskiej – chcecie się otoczyć swoimi ludźmi, a kiedy kogoś skierowała do was organizacja partyjna, to nie dajecie mu żyć.

– Ależ on nie nadaje się na chirurga! Sam widziałem, jak przygotowanymi do operacji rękami podrapał się w nos, a potem podniósł je i trzymał jakby były sterylne. Z początku udałem, że tego nie widzę, ale już by zaczął operować, gdybym nie zrobił awantury. To naruszenie etyki chirurga, niesłychane w naszej praktyce, to po prostu zbrodnia! Sumienie lekarskie nie pozwala mi dopuszczać kogoś takiego do stołu operacyjnego. Innym razem zobaczyłem na jego ubraniu pluskwę; ktoś taki nie może wchodzić na salę operacyjną, musi przedtem osiągnąć elementarny poziom kultury. Jest mi obojętne, kto to taki – Rosjanin, Żyd czy Kirgiz – Rosjanina też bym osadził. Przecież odrzuciłem towarzysza Siniawina, którego tak samo nieostrożnie podsunęliście mi kiedyś na asystenta. Z lekarzami narodowości żydowskiej zawsze świetnie się dogadywałem – wasze oskarżenie o rasizm nie ma żadnych podstaw. Co się zaś tyczy mojej siostrzenicy, to świetnie nam się razem operuje, tak samo jak z Michaiłem Iwanowiczem. Zawsze rozumie w pół słowa; odgaduje bezbłędnie, jaki w toku operacji potrzebny jest instrument, podaje go, nim poproszę; jesteście profanami w tej dziedzinie i nie rozumiecie, co znaczą w naszej pracy sekundy, gdy człowiek leży pod chloroformem, a ja

słyszę od anesteziologa, że puls słabnie! Z Elżbietą Gieorgiewną obniżyliśmy do minimum procent ropieni pooperacyjnych. Z nikim innym nie ułożę sobie tak współpracy! Nie chodzi o opiekę nad krewną – w innym zespole byłoby jej lepiej, spokojniej; dużo wymagam i jestem surowy, nigdy nie pochwaliłem jej w raporcie, nie przyznałem nagrody, choć bezwzględnie na to zasługuje uczciwą pracą – bałem się oskarżeń o protegowanie krewnej – wiedziałem, że z miejsca gotowi jesteście nas zaszczuć. A dobrze wiem, jak przypochlebiają się chirurdzy siostronom operacyjnym. Jestem już za stary, by przyzwyczajając się do kogoś innego w takich odpowiedzialnych chwilach – pracować mogę tylko z Elżbietą. Zresztą czy wy, z waszymi drewnianymi nerwami, jesteście w stanie coś z tego pojąć.

Elżbietka po raz pierwszy słyszała ocenę swojej pracy z ust wujka i radosna duma zapaliła rumieńce na jej policzkach. Mały Żyd był wyraźnie pod wrażeniem słów starego chirurga. Zaczął wiercić się w miejscu i rzekł łagodniej, śmiesznie rozkładając ręce:

– Ależ nie denerwujcie się, towarzyszu starszy chirurgu! Chrońcie swoje zdrowie! Zniszczycie sobie serce. Wysoko cenimy waszą wiedzę, jeszcze się z wami porozumiemy i wszyscy będą nam zazdrościć.

Lecz dwaj inni nie byli skłonni do ustępstw.

– Towarzysze, zastanówcie się, co widzimy w powierzonej nam przez partię instytucji – rzekł wstając przewodniczący komitetu zakładowego. – Otóż widzimy jaczejkę armii carskiej, klan, do którego nie dopuszcza się obcych. Na zebrania nie chodzą, męża zaufania nie wybrali, skarbników MOPR-u⁵² i związku zawodowego oraz kontrolerów pracowniczych chirurg wypędza z sali operacyjnej – bez skrupowania oznajmia: „Won z mojego terenu!” W socjalistycznym współzawodnictwie nie bierze udziału. To niedopuszczalne w życiu sowieckim! Oczywiście, bez specjalistów sprzed rewolucji nie potrafimy się obejść przez najbliższe dziesięć – piętnaście lat, ale nie można pozwolić, by

tworzyli tak zwartą grupę! Opinia partii w tej kwestii jest znana: należy takich ludzi przemieszać, roztopić w środowisku robotniczym, porzucić po różnych odcinkach, no i kontrolować, kontrolować, jeszcze raz kontrolować! Ja nic nie mówię – pielęgniarzka Muromcewa i Michaił Iwanowicz to jeszcze młodzi towarzysze i staranni pracownicy, rokuja nadzieję, można ich jeszcze wychować, lecz ordynator tworzy atmosferę niedopuszczalnej samowoli, wywiera szkodliwy wpływ na otoczenie, z uporem izoluje się w swoim środowisku. Nie można pozwolić, by kontynuował tę szkodliwą działalność! Wyraźnie dobiera sobie pracowników, towarzysze! Niedawno, gdy zwolniło się miejsce felczera w izbie przyjęć, polecił nam pewną obywatelkę; że niby zna łacinę i jest świetnie wykształcona – przyjmijcie ją, ręczę za nią! A co się okazało? Mąż tej damulki został niedawno osadzony w łagrze jako sabotażysta, a ona sama, w przeszłości carska siostra miłosierdzia, chodzi stale do cerkwi; córka i syn wpadają do niej po pracy, meldowano mi o ich rozmowach: „Poczekamy na ciebie, mamusiu, na przystanku tramwaj owym, żeby zdążyć na nocne nabożeństwo.” A kiedyś córeczka przybiegła prosto z cerkwi i po cichu wciska matce prosforę⁵³; to za zdrowie tatusia... I coś takiego dzieje się w naszym szpitalu, towarzysze! Oto jakich protegowanych ma nasz chirurg! Lepiej obejdziemy się własnymi siłami, bez ich świetnego wykształcenia. Nie próbujcie zaprzeczać, obywatelko, pewni ludzie nam donieśli!

Elżbietka spojrzała na szpakowatą damę siedzącą w pobliżu drzwi. Osoba ta pracowała od niedawna – więc z początku Elżbietka była zdziwiona jej obecnością na zebraniu, gdyż bezpośredniego związku z zespołem operacyjnym nie miała. Przez cały czas, gdy o niej mówiono, dama zachowywała spokój, lecz słysząc ostatnie słowa przewodniczącego zadrżała i poprosiła o głos.

– Towarzysze, nie mam zamiaru zaprzeczać; istotnie chodzę

⁵³ Prosfora (cerk. z grec.) – chleb eucharystyczny, używany w kościele prawosławnym do Komunii św.

do cerkwi i będę to robić dalej. Lecz starszy chirurg Muromcew nie miał o tym pojęcia; słyszał, że mi ciężko bez męża z dziećmi – to wszystko, co wiedział na mój temat!

Elżbietce podobała się godność, z jaką obca dama wypowiedziała te słowa.

Gdy zaproponowano sanitariuszowi Michailowi Iwanowiczowi, by się wypowiedział, zerwał się z miejsca i zaczął mówić niczym kapral za starego reżymu; chciał pewno bronić swego zwierzchnika, lecz tylko dolał oliwy do ognia.

– Bo towarzysz starszy chirurg nigdy nie zrobił nam nic złego! No to co, że stoję przed nim na baczność? Melduję posłusznie, że nikt mnie do tego nie zmusza; sam staram się jak mogę, bom od młodych lat przywykł szanować towarzysza chirurga. A jak froteruję w jego mieszkaniu podłogę w godzinach wolnych od pracy, to robię to z własnej woli, a on mi za to hojnie płaci. Z nikim robota nie idzie tak składnie, jak z wielmożnym panem... z towarzyszem Władimirem Iwanowiczem. – powiedziawszy to usiadł.

– Bardzo cię proszę, chociaż ty nic nie mów – powiedział cicho do Elżbietki Władimir Iwanowicz.

Nazajutrz rano zdejmując w hallu palto Elżbietka zobaczyła szpakowatą damę-felczera z izby przyjęć. Dama wkładała przed lustrem kapelusz, zabierała się do wyjścia. Ukłoniły się sobie i dama powiedziała:

– Idę do domu. Zwolnili mnie z pracy bez uprzedzenia.

– Jak to? Od razu?

Dama skinęła głową i ruszyła ku wyjściu.

– Proszę poczekać... przecież ma pani dzieci... co pani zrobi?

– Cóż, o tym zdecyduje Pan Bóg! Martwię się tylko, że przeze mnie Władimir Iwanowicz ma przykrości!

Na oddziale chirurgicznym wszystko tego dnia jakby się jeszcze nie zmieniło i nawet Michail Iwanowicz wciąż stawał na

baczność i meldował: „Tak jest! Zechce pan zauważyć... rozkaz!” Kadyr w białym fartuchu posepnie zezował na chirurga i felczera, lecz wykonywał posłusznie wszystkie polecenia. Nazajutrz pracowników zdziwiło coś niesłychanego: wybiła dziesiąta, a punktualny zawsze chirurg nie pojawiał się. Przerażona Elżbietka chciała biec do telefonu, lecz w progu wpadła na dyrektora i Kadyra, który deptał mu po piętach, i zatrzymała się przeczuwając coś niedobrego. Dyrektor Załkinson, chudy, długi i przymilny, z grzeczną przypochebnością przywitał wszystkich pracowników poczynawszy od salowej, po czym przedstawił zespołowi nowego ordynatora. Następnie zwrócił się do Elżbietki, która jakby przyrosła do ściany:

– Czytała pani zarządzenie dyrekcji z siedemnastego listopada?

– Nie – bąknęła.

– Zgodnie z tym zarządzeniem przechodzi pani na chirurgię na oddział kobiecy. Ośmielam się mieć nadzieję, że będzie pani pracowała równie gorliwie.

W pół godziny później, żegnając się z koleżankami Elżbietka wycalowała salową i Michaiła Iwanowicza. Potem bez słowa przeszła obok Kadyra nie zaszczycając go spojrzeniem, jakby w ogóle nie istniał.

Po pracy pobiegła do wujka, zastała tam straszny bałagan. Starsi państwo pokazali nakaz wyjazdu na zesłanie do Aktiubińska: mają tam wyjechać najdalej za trzy dni. W ciągu trzech dni pozostawionych na wyjazdowe przygotowania Elżbietka strasznie się zmęczyła; biegała po komisach, gdzie wypisywano kwity na jej nazwisko – miała wysyłać pieniądze do Aktiubińska w miarę wyprzedaży rzeczy. Mnóstwo drobiazgów z porcelany i brązu wujostwo zostawili jej, choć protestowała gorąco, wiele rzeczy spakowano, miała je wysłać, gdy znajdą mieszkanie i zawiadomią, że się urządzili.

– Ja nigdzie nie zginę – mówił stary chirurg – a oni jeszcze nie raz mnie wspomną, gdy zaczną im umierać chorzy wskutek

powikłań pooperacyjnych. Bóg widzi, że się tego boję.

Na dworcu, żegnając się z wujem Elżbietka pocałowała go w rękę. Coś bliskiego oderwało się od jej serca, gdy ruszył pociąg i po raz ostatni mignęła za szybą siwa głowa. Elżbietka nie miała już teraz nikogo.

Wróciwszy z dworca do swego pokoju poczuła ostry atak rozpacz. Ładne bibeloty na komodzie i pianinie miast cieszyć, raniły boleśnie. Pokręciwszy się nerwowo przypomniała sobie, że ma dziś lekcję muzyki i uchwyciła się myśli, iż warto spotkać się z Julią Iwanowną i opowiedzieć jej o tym, co zaszło; tylko ona jedna w całym Leningradzie znała jej krewnych i mogła okazać współczucie. Schwyciwszy nuty Elżbietka pobiegła do szkoły muzycznej. W klasie przy fortepianie, jak zawsze o tej porze, siedziała Asia. Elżbietka wcisnęła się w kąt odkładając rozmowę do chwili, gdy przyjdzie jej kolej. Asia skończyła grać i stara nauczycielka zawołała:

– Chętnie bym panią zbiła!

Jasne oczy spjrzały na nią z naiwnym zdziwieniem.

– Tak, tak – ciągnęła dalej Julia Iwanowna, odpowiadając na to spojrzenie – ma pani ogromny samoistny talent i marnuje go. Rozmawiałam wczoraj o pani z profesorem, był tego samego zdania i zdaje się, nakrzyczał na panią podczas ostatnich przesłuchań?

Asia zaśmiała się:

– O! I to jeszcze jak! Stukał pięścią w fortepian i krzyczał: „I po co wychodzić za męża, jak się ma dziewiętnaście lat?” Jakby małżeństwo miało mi w czymś przeszkodzić. Mój mąż uwielbia muzykę, po powrocie z pracy zawsze pyta, czy grałam dość długo i martwi się, kiedy mniej niż tyle, co trzeba.

– Ależ wierzę, moje dziecko; mimo to brak ci wytrwałości. Wszystko osiągasz dzięki chwilom natchnienia i niezwyklej muzykalności. Lecz wirtuozeria techniczna nie przyjdzie sama przez się. O, ten pasaż jest zbyt chropawy, nie starczy wprawdy – i

to przy tak zadziwiająco, tak czarownie lekkim dotyku! Martwi nas to wczesne małżeństwo tylko dlatego, że nowe zainteresowania i obowiązki odciągną panią jeszcze bardziej od fortepianu. W dzisiejszej sytuacji wystarczy jedno dziecko, by na zajęciach postawić krzyżyk! Życie jest teraz takie trudne!

Asia cała w pasach bez słowa zbierała nuty. Elżbietka zbliżyła się do fortepianu i nagle dostrzegła z przerażeniem, że Asia zamiast wyjść, zajmuje jej miejsce w kącie.

Grać w obecności Asi z tymi drewnianymi palcami i fałszywymi nutami, których sama Elżbietka nie słyszy!

– Nie idzie pani do domu? – spytała ostrożnie.

– Czekam na Olega i Lełę. Umówiliśmy się tutaj, pójdziemy razem do Niny Aleksandrowny na urodziny – odpowiedziała Asia i widocznie czując intuicyjnie, że Elżbietka krępuje się grać w jej obecności, wyjęła książkę i zagłębiła się w lekturze. Elżbietka posępnie zabrała się do ćwiczeń z góry przeproszając, że niczego nie zdążyła się nauczyć. Na szczęście Asia niemal natychmiast wybiegła z klasy słysząc lekkie stukanie do drzwi. Jednak w kwadrans później, w bramie przed szkołą muzyczną, Elżbietka znów natknęła się na Asię – wraz z Lełą czekały na Olega, którego zatrzymano w pracy. Ale oto i on, przyprószony śniegiem i pewno zziębnięty w tym samym wytartym szynelu. Jakby specjalnie tego wieczora, gdy Elżbietka była tak opuszczona i smutna, ci troje bawili się idiotycznie na pustej zwykle ulicy Korolenki, gdzie znajdowała się szkoła. Asia i Lela usiłowały przewrócić Olega i sypały mu śnieg za kołnierz. Elżbietka z niechęcią obserwowała szczenięcą bieżaninę, która, jej zdaniem, nie pasowała do Olega. Zapomniały, że miał zapalenie opłucnej, przeziębiał go tym śniegiem!

Nagle Asia odbiegła od tamtych dwojga i dziarsko prześlizgnęła się po wyszlifowanej, skutej lodem ścieżce śmiejąc się głośno; ale na samym końcu poślizgnęła się i fiknęła w śnieg koziołka. Oleg rzucił się do niej.

– Potłukłaś się? Nic ci nie jest? Musisz być ostrożniejsza? Ile

razy ci tłumaczono! – powtarzał strzepując śnieg z jej palta. – Teraz będziesz szła pod strażą; weź ją, Lelu, za jedną rękę, a ja za drugą!

Elżbietka słuchała tych słów pełnych niepokoju i zrodziło się w jej myślach podejrzenie, które po kilku minutach przeobraziło się w pewność; gdy doszli do cukierni i Oleg wszedł do środka, a dziewczęta zostały koło drzwi, Asia powiedziała z westchnieniem:

– Na pewno u Niny Aleksandrowny będzie mnóstwo smakołyków, a ja znów nic nie będę mogła wziąć do ust!

– Po prostu nie myśl „o tym” – powiedziała Lela. – Babcia ci mówiła, że jeść trzeba koniecznie, na czczo mdli jeszcze bardziej!

A więc to tak! Oto do czego doprowadziły ich figle w *palazzo*. Pewnie czuje się teraz niezręcznie, pewnie się wstydzi, a w perspektywie oszpeccenie i koszmarne poród, nawet strach o tym myśleć! Cóż: każdy wybiera to, co chce. Dzieci – to po prostu rozpacz! No i masz swoją urodę, masz swój talent! On także zasługuje na potępienie, nie potrafił jej ustrzec. Przecież ludzie żyją i bez dzieci!

Zdecydowanie wszystko układało się tak, by dobić Elżbietkę. Ze szkoły muzycznej szybko poszła do pracy, gdyż o ósmej miało się tam odbyć zebranie załogi. Rzadko chodziła na te zebrania, lecz teraz postanowiła zaszczycić je obecnością, i wcale nie dlatego, że przestraszyła się oskarżeń o antysowietyzm, gdzie tam! Podejrzewała, że znów zaczną szargać nazwisko jej wujka i uważała za swój obowiązek bronić honoru kogoś, kto jest nieobecny. Cierpliwie wysiedziała do końca, lecz nic szczególnego się nie działo; pod koniec zebrania rozdano nagrody wzorowym pracownikom; ktoś otrzymał „Kapitał” Marksa, ktoś inny kupon na garnitur, jeszcze inny jednodniowe skierowanie do domu wczasowego. Elżbietka już podnosiła się z miejsca, by opuścić salę, gdy nagle usłyszała swoje nazwisko... Stała nie wierząc własnym uszom! Jest w wykazie nagrodzonych, coś podobnego! W tym momencie na scenie pojawiły się kalosze, potem popłynęły nad głowami zebranych, w końcu ktoś je wręczył jej uroczyście –

oto wdzięczność, na jaką zasłużyła! A zatem nic jej nie grozi, nikt nawet nie uważa jej za „wrogi element”! Lecz zamiast odetchnąć z ulgą, Elżbietka wpadła we wściekłość. Cóż to takiego? Drwina? Nie potrzebuje żalosnej wdzięczności chamów, którzy niedawno rozprawili się z człowiekiem bardziej wartościowym niż oni wszyscy razem! Po co jej ta wdzięczność, czyż nie widzą, że nimi gardzi, czy zbyt mało pogardy okazała im wczoraj? Nikt się nie przejmuje jej gorącą nienawiścią! Czyżby była zerem? To większa krzywda niż wszystkie inne!

Gdy wchodziła po schodach w swoim domu, usłyszała dziecinny głosik:

– Dzień dobry, ciociu Bietko!

Ośmioletnia uczennica, córka sąsiadki, dopędziła ją przeskakując co drugi stopień. Elżbietka obojętnie bąknęła „dzień dobry!” i pomyślała: „Co znów za ciocia! Proletariacki zwyczaj zwracania się tak do każdej kobiety!”

Zaczerwienione z zimna rączki czepiały się poręczy, dziewczynka z uporem starała się zrównać swój krok z krokiem Elżbietki, widocznie chciała coś powiedzieć.

– Dlaczego tak późno wracasz dzisiaj, Taniu? – wydusiła wreszcie Elżbietka.

– Też dyskutowaliśmy nad wyrokiem śmierci – odpowiedziało z dumą dziecko.

– Co?! – zdębiała Elżbietka.

– Tak, podnosiliśmy ręce. Wszystkie dzieci głosowały „za” – świergotał dziecinny głosik.

Rozdział ósmy

Pierwszy miesiąc po powrocie Nina żywo odczuwała wielkość swojej miłości i poświęcenia. Wspominając wyprawę i przeszkody przewyciężone dla ukochanego, czuła, że zasługuje na szacunek, jakim darzyły ją teraz Natalia Pawłowna, Asia, madame, Oleg, Annuszka, a nawet ciotka i Mika. Relacjonowanie Natalii Pawłownie najdrobniejszych szczegółów sprawiało Ninie niewypowiedzianą rozkosz, a serdeczność starej damy częściowo rekompensowała nieobecność ukochanego. Jakże przyjemnie było słyszeć jej głos w słuchawce, kiedy pytała: „Jak się czujesz, Ninko? Już dwa dni nie byłaś u nas” lub szczebiot Asi: „Babcia prosiła przekazać, że zapraszamy panią na obiad!” Nie miała chęci do nikogo chodzić poza tą rodziną; by sprawić przyjemność Natalii Pawłownie przestała malować usta, do czego przyzwyczyły ją występy na scenie, włosy zaś zaczęła czesać *à la amazone*, jak we wczesnej młodości. Na adoratorów w ogóle nie zwracała uwagi. Nawet śpiew sprawiał jej największą przyjemność, gdy słuchaczką była Natalia Pawłowna, a akompaniatką Asia.

Trwało to miesiąc. Ale potem napłynęły chmury. Zaczęło się od kolejnej ankiety. Dawniej w rubryce „gdzie i na jakim stanowisku pracuje mąż?” stawiała kreskę, teraz należało pisać czarno na białym: „przebywa na zesłaniu w okolicach Tomska”. Ankieta zepsuła jej dzień; a kiedy z trudem odpędziła posępne myśli, znalazła na stole w swoim pokoju wezwanie do GPU. Po nerwowej naradzie z Olegiem i bezsennej nocy poszła tam i długo siedziała sam na sam ze śledczym, ten zaś słuchał, węszył, patrzył i nie wierzył ani jednemu jej słowu. Szczegółowo wypytywał o Siergieja Pietrowicza i krótko, jakby mimochodem, starał się wyjaśnić, kim właściwie jest Oleg. Poinstruowana zawczasu przez Olega Nina wyplątała się zręcznie z tych pytań, nie mówiąc nic, co byłoby sprzeczne z jego zeznaniami.

Nazajutrz w Capelli pojawiła się nowa solistka. Ćwiczyła na próbie te same partie co Nina. Choć jej sopran nie dorównywał sopranowi Niny zarówno skalą, jak i barwą dźwięku, nowa *diva*

ćwiczyła role z wielką pewnością siebie. W chórze mówiono, że ta artystka „kopie dołki” i traktowano ją nieprzyjaźnie; Nina była za to wdzięczna. Trwało to mniej więcej tydzień.

Wpadłszy któregoś dnia do hrabiny Kapnist, spotkała u niej niemłodego oficera marynarki – człowieka z jej dawnego kręgu. Wykładał w wojskowej akademii morskiej, uwielbiał, jak się okazało, muzykę i rozpoznawszy w Ninie solistkę Capelli wyciął jej rączki zachwycając się pięknem jej głosu. Czy mógłby znów posłuchać jej śpiewu? Nina dała mu bez zastanowienia swój telefon, by zadzwonił: powie mu o terminie najbliższego koncertu. I oto już wydzwaniał trzy dni pod rząd, a Ninie wstyd było się przyznać, że znów z ciekawością myśli o nowym wielbicielu.

Zaczął się od telefonowania, a skończyło na wizycie; postanowiła więc powstrzymać zalotnika i żartobliwie, lecz stanowczo go ostrzegła:

– Niech pan da spokój... Od pewnego czasu jestem zimna jak ryba.

Lecz zużyty donżuan szepnął jej do ucha:

– Nie ma nic lepszego niż zimna rybka pod stare wino!

Dowcip ten ją rozbawił, mimo woli wybuchnęła śmiechem, prysła cała powaga jej odmowy.

Ostatniego wieczora plotkowały z Mariną o tej ujmującej, eleganckiej bezczelności znajdując, że jest urocza. Chichotały siedząc na kanapie i obie już były pewne, że zimna rybka nie uniknie spotkania ze wspomnianym trunkiem.

I jeszcze jedną chmurę przywiał wiatr – z początku podejrzenie, a potem pewność, że jest w ciąży... A tak długo i uparcie marzyła o dziecku! Ileż razy klóciła się z Siergiejem Pietrowiczem, że jest zbyt „ostrożny”, i oto ma, czego chciała. W dodatku jako legalna żona może nie bać się plotek ani słów potępienia. Jednak teraz, kiedy się to spełniło, wpadła w przerażenie i rozpacz. Jak podjąć brzemię nowych trosk, skoro

jest ich więcej, niż może znieść! Po pierwsze, wkrótce nie będzie mogła śpiewać, musi wziąć półroczny urlop, a przez ten czas sopranistka (ta co dołki kopie) zapuści w Capelli korzenie, nabierze sił... A potem? Środków utrzymania wciąż brak, rzucić pracy niepodobna, zostawić dziecka też nie miałyby z kim; oddać do żłobka – znaczyłoby ciągnąć malca tramwajem i w deszcz, i w słońce, powierzyć obcym ludziom. Może też stracić mleko, a z karmieniem tyle kłopotu... Prawdziwego domowego ogniska nie będzie miała nigdy – Siergiejowi Pietrowiczowi nie pozwolą wrócić – a dziecko spęta jej ręce i nogi...

Parę dni temu skończyła trzydzieści trzy lata; jeśli nie zostanie matką teraz, potem może być za późno – nie wiadomo, kiedy znów spotka się z Siergiejem. Dziecko... dziewczynka! Zawsze chciała mieć córeczkę... Krótka sukieneczka, loczki, kokarda na główce... Siedzi u Niny na kolanach i obejmuje ją za szyję miękkimi łapkami... Można oszaleć z radości! Dlaczego więc milczy, nie wysyła do męża entuzjastycznego listu, choć wie, że tak tego pragnął... Już samo milczenie jest zdradą maleńkiej istotki, co żyje w jej łonie.

Zwierzyła się ze swej tajemnicy Marinie z nadzieją, że przyjaciółka powtórzy argumenty, którymi chciała przekonać samą siebie. Ta jednak długo milczała.

– Nie wiem, co ci poradzić... Leżałam na tym okropnym stole i słyszałam jakieś chrzączenie, a lekarz skrobał moje wnętrze – była to najstraszniejsza chwila w moim życiu! Pamiętaj. Mogę poradzić ci jedno: jeśli nie wiesz jeszcze, co zrobisz, nie mów na razie o niczym Natalii Pawłownie, jego też nie zawiadamiaj. Rozumiesz?

– Tak, tak. Oczywiście – odpowiedziała Nina, lecz później wspominając te słowa, czuła, że było w nich coś niegodnego. Uświadomiła to sobie nazajutrz, gdy poszła odwiedzić Natalię Pawłownę.

Czuła się okropnie, nie mogła patrzeć starej damie w oczy i dość szybko się pożegnała. Tej nocy widziała we śnie Demona:

łasił się do niej nastroszywszy spiczaste uszy i lizał rękę. Z tym psiskiem wiązała wspomnienie o własnej odwadze. Czy zdobyć się na bohaterstwo i zostać matką w tak trudnych warunkach? Mężnie ukrywać przed Siergiejem kłopoty i cieszyć zesłańca wieściami o dziecku, stawiając krzyżyk na własnym życiu?

Idąc po schodach wyobrażała sobie, jak by zaczęła ją teraz całować, pocieszać i dodawać otuchy Natalia Pawłowna, gdyby się o wszystkim dowiedziała. A Nina tak pragnęła miłości i ciepła!

„Powiem. Odetnę sobie drogę ucieczki”.

Nie pomyliła się: życzliwość; jaką jej okazano, była ogromna.

– Nie bój się, Ninko, wszystko będzie dobrze. Pomogę ci, jak tylko potrafię. Wszystko, co mam, należy do ciebie. Zwolnić cię z pracy nie mają teraz prawa, a w miesiąc po porodzie możesz już śpiewać. Asia też spodziewa się dziecka. Będziesz przynosić maleństwo do nas, zaopiekujemy się obojgiem. Razem wychowamy te dzieci. Zobaczysz sama, jakie to szczęście! Siergiej mówił, że do tej pory nie możesz przeboleć utraty swego synka – tylko drugie dziecko może uleczyć tę ranę. Nie wolno ci się denerwować. Odpocznij na tapczanie, za pół godziny będzie obiad.

Z uczuciem zwycięstwa nad sobą Nina pokornie wyciągnęła się na tapczanie.

Do pokoju wesoło wbiegła Asia wróciwszy ze szkoły muzycznej. „Ta czysta dusza nie zna nawet cienia wątpliwości, jakie dręczyły mnie, grzeszną” – pomyślała Nina.

Schwyciła rękę Asi i przyciągnęła ją do siebie:

– Podsuń mi tu uszko, wiercipięto; zdradzę ci tajemnicę. Główka z długimi warkoczami i błyszczącymi oczami pochyliła się nad tapczaniem. Po kilku powiedzianych szeptem słowach posypały się jak z rogu obfitości entuzjastyczne projekty, którym towarzyszyły podskoki i taneczne obroty:

– To wspaniale! Cudownie! Będę je niańczyć razem z moim malcem! Będiesz go tu przynosiła, a ja się nim zajmę, będę bawić, karmić, chodzić na spacer! Oleg chce syna, a tobie

potrzebna jest dziewczynka! Cudownie, cudownie!

Nazajutrz Nina spotkała na ulicy swojego adoratora z marynarki. Czemu właśnie w tym dniu? Wspominając później to spotkanie, dopatrywała się w nim jakiegoś fatum; w chwili, gdy była zdecydowana wszystkiego się wyrzec, właśnie wtedy! Oczywiście, że nie pozwoliła na żadną poufałość, zgodziła się tylko, by ją odprowadził i zaprosił na ciastka do kawiarni; lecz wpatrzone w nią z zachwytem męskie oczy miały moc trucizny, a może hipnozy. Natura jakby brała odwet za ascetyczną czystość lat, które Nina po stracie męża spędziła w Czeriomuchach. Teraz niepokoiła ją trwoźna świadomość przemijania, niepełnego wykorzystania kobiecej urody, chciwe pragnienie radości życia.

Tego wieczora przyszła do niej Marina. Nie wiadomo czemu Nina na jej widok z miejsca zrozumiała, że dziś wszystko się rozstrzygnie.

– No i co?

– Nie wiem, co robić!

– Podjęłaś decyzję?

– Jeszcze nie.

Trzeba się szybko decydować, wkrótce będzie za późno.

– Rozumiem, aleja nie mogę! Już jedno głupstwo popełniłam: powiedziałam Natalii Pawłownie.

– Wygadałaś się starej?

– Tak. W pewnej chwili nie wytrzymałam. Marino. Jestem podła! Jak ona mnie tuliła, jak dodawała otuchy! Jest surowa dla Asi, a dla mnie niezwykle serdeczna! Nie wyobrażasz sobie, co w tej rodzinie znaczy taka życzliwość!

– Bez względu na to, co znaczy, decyzja należy do ciebie. Przypuśćmy, że ci pomoże, ale musisz pamiętać, że ona jest stara. Jeszcze ci przyjdzie koło niej tańczyć, jeśli nie powali jej paraliż lub zawał serca. Że jest dla ciebie czuła – trudno się dziwić, boi się, żebyś nie uciekła od jej syna. Zrozum, to egoizm matki – ona

lituje się nad swoim synem, nie nad tobą!

– Jeszcze mogę wszystko zmienić, jeszcze mogę... ale chyba... już nie chcę!

Milczały przez chwilę.

– Radziłam ci nie spieszyć się ze zwierzeniami.

– Tak, Marino, masz rację! Rozumiem, ale już nie da się tego naprawić!

– Czemu nie? Powiesz Natalii Pawłownie, że podnosiłaś coś ciężkiego – przesuwałaś szafę lub niosłaś do pralni bieliznę... Nikt się nie zdziwi w dzisiejszych czasach. A może wolisz jej wyznaczyć wszystko bez owijania w bawełnę i oficjalnie przerwiesz ciążę w szpitalu?

– Och nie! Coś ty! Nie wybaczyliby mi tego! Ale jeśli już... to trzeba zatrzeć ślady!

– No to decyduj się! Dziś byłoby najlepiej, jutro masz wolny dzień, będziesz mogła poleżeć, a ja przenocuję i zaopiekuję się tobą – Mojżesz Herszelewicz wyjechał służbowo. Na wszelki wypadek wzięłam trzy tabletki chininy – połknij je, a potem przygotujemy ci wannę; poleżysz w gorącej wodzie. Tylko pamiętaj, że ja cię nie namawiam! Chętnie ci pomogę, ale nie namawiam!

Nad ranem było po wszystkim. Marina właśnie podała Ninie herbatę do łóżka; jeszcze nie uczesana, ubrana w szlafrok przyjaciółki, poszła otworzyć drzwi i zobaczyła przed sobą Olega.

– Ach, to pan! Przykro mi, ale pana nie wpuszczę – Nina Aleksandrowna źle się czuje. Może wejdzie pan na chwilę do pokoju Miki?

Cofnąwszy się o krok od progu zmierzył ją spojrzeniem, w jego oczach, które nagle rozbliły, dostrzegła tyle gniewnej podejrzliwości, że mimo woli opuściła wzrok.

– Dziękuję, nie będę niepokoił. Natalia Pawłowna przysłała mnie z wiadomością, że sklep teatralny kupił od niej strusie pióra

i prosiła, bym przekazał Ninie Aleksandrow nie ten list. Co mam powiedzieć starszej pani o zdrowiu Niny Aleksandrowny?

– Proszę chwilę poczekać, Nina napisze kartkę – odpowiedziała Marina.

Nina skreśliła kilka słów – te, które zamierzała powiedzieć przez telefon. Oleg wyszedł.

– Dziwne! On chyba czegoś się domyślił! Wyczułam to z jego spojrzenia – rzekła Marina siadając koło Niny. – Asia mogła mu opowiedzieć o twojej ciąży, lecz on nie wiadomo czemu podejrzewa aborcję!

– Jest bardzo domyślny – powiedziała Nina. – Lecz nie należy do tych, którzy roznoszą plotki, gdy coś podejrzewają. Będzie milczał. Martwi mnie teraz coś innego. Natalia Pawłowna przysłała mi sto rubli, a przecież im ciągle nie starcza pieniędzy. Oleg utrzymuje czteroosobową rodzinę, Asia jest w ciąży, a Natalia Pawłowna przysłała mi... Och, jak mi wstyd!

– Asia jest w ciąży? – zdziwiła się Marina.

Milczały przez chwilę. Nina spojrzała na przyjaciółkę i zobaczyła łzy w jej oczach.

– Marino, nie płacz! Wiesz przecież, że oni się kochają!

– Owszem, wiem. Ale przyszła mi do głowy myśl: zdecydowała się na to, czego ja się bałam! A on nas porównuje i... wyobrażam sobie, jak wzrosła jego miłość i szacunek do Asi. A na mnie patrzył wrogo, chyba uważa mnie za podejrzaną babę, specjalistkę od przerywania ciąży! Jak on śmie! Lepiej byłoby w ogóle go nie spotkać, niż widzieć takie spojrzenie!

Jeszcze tego dnia Natalia Pawłowna zaniepokojona stanem Niny przyjechała ją odwiedzić. Wstyd i skrucha wypełniły serce młodej kobiety; rozszłochała się przypadłszy teściowej do piersi. Natalia Pawłowna tłumaczyła sobie tę rozpacz utratą nadziei i znów pocieszała Ninę, mówiła, że jest jeszcze czas, że wszystko można naprawić... tylko trochę wytknęła jej nieostrożność. Ninie zabrakło odwagi, by wyznać prawdę.

„Potem wszystko odpokutuję! Trochę się tylko rozerwę tej zimy, a latem znów pojedę do Siergieja, będę najwierniejszą, najpotulniejszą żoną, pełną poświęcenia matką” – przekonywała samą siebie próbując uspokoić sumienie.

Pisać do męża, układać kłamliwe zdania było, jak się okazało, niełatwo. Przesiedziała nad listem kilka wieczorów z rzędu i jeszcze raz przyszło jej żałować, że przyznała się do swego stanu Natalii Pawłownie, więc nie mogła później niczego zataić. Jedno kłamstwo zawsze pociąga za sobą następne – jednak napisała i wysłała ten z gruntu kłamliwy list. Dobrze, że papier się nie rumieni!

Rozdział dziewiąty

Mimo wszystko stosunki Miki z siostrą nie ułożyły się lepiej. Nina zdecydowanie nie doceniała jego bohaterskich wysiłków, by zachowywać się w domu przyzwoicie, Mikę zaś doprowadzał do wściekłości byle drobiazg. Próbował nad sobą panować i znacznie rzadziej rozmawiał z siostrą niegrzecznie, sam słał łóżko, składał serwetkę w pierścień, biegał po chleb nie każąc się trzy razy o to prosić, zorganizował drewno na opał umówiwszy się z Pietią, że będą rąbać polana obaj – w środy dla Niny, a w piątki dla mamy Pieti.

W szkole on i Pietia wciąż darli koty z zarządem komsomolskim, radą pionierską, klubem ateistów. Wśród uczniów Mika miał reputację dobrego kolegi, umiał się bić, w dodatku towarzyszyła mu sława poety – z łatwością pisał wiersze. „Z rumorem kopyt stada dzików hasała nasza szkolna granda, a gdy na przerwie szal porwał bandę, dudniła hukiem granatników” – wierszyk ten obiegił całą szkołę. Na klasówkach Pietia niezawodnie rozsyłał ściągawki na prawo i na lewo, a to też było coś warte. Obaj przyjaciele mieli wielu kolegów i uczyli się świetnie, tylko to chroniło ich nieco przed atakami organizacji szkolnych i wychowawczyni ich klasy – Anastazji Filipowny. Ta młoda jeszcze kobieta patrzyła na wydarzenia szkolne oczyma rejonowego wydziału oświaty i rejkomów i nie znosiła nazbyt swobodnego zachowania tej pary; chłopcy za bardzo się różnili od wzorca sowieckiego ucznia, wymyślonego przez geniuszy z RONO⁵⁴. Zesłany ojciec jednego z tych chłopców i księżna – siostra drugiego uzasadniali tę nienawiść, a węż klasowy Anastazja Filipowna miała znakomity.

– Typowa przekupa – oto kim jest Anastazja Filipowna! – mówiła Nina po kolejnej wizycie w szkole.

Godna córa reżymu, który ją uformował, Anastazja Filipowna nie gardziła podglądaniem przez dziurkę od klucza.

⁵⁴

RONO – Rajonnyj otdiel narodnogo obrazowania (odpowiednik naszego kuratorium).

Mika spłodził w związku z tym faktem następujący czterowiersz:

*To gorsze od ćmiącego bólu zęba,
Gdy często publiką poucza,
Za to ze śmiechu można pęknąć,
Gdy sterczy przy dziurce od klucza.*

W listopadzie wybuchł nie lada skandal, i jak zwykle Mika i Pietia znaleźli się w jego epicentrum. Weszło wówczas wśród uczniów w modę ściskanie w pięści kawałka czarnej gumy, po to by rozwijać mięśnie dłoni. Chłopcy zapewniali jeden drugiego, że robią tak bokserzy; guma znajdowała się wśród gratów w otwartym zawsze magazynie, pod kopułą dawnej cerkwi gimnazjalnej. Cała klasa biegła odcinać kawałki potrzebne do tych ćwiczeń. Nauczyciel wychowania fizycznego spotykając pod kopułą chłopców w trakcie tego zajęcia nawet ich chwalił za gorliwość. Ale Pietia Wałujew urodził się pod pechową gwiazdą; gdy pewnego razu pobiegł po gumę, pod kopułę wsunęła swój długi nos Anastazja Filipowna. „Sabotaż” – słowem tym zaczęła swoją przemowę, przyprowadziwszy chłopca do klasy i postawiwszy go przed kolegami jak oskarżonego.

– Ja też ciąłem tę gumę, proszę, oto ona! – krzyknął Mika zerwawszy się z miejsca i obejrzał się na kolegów zachęcając ich do tego samego.

– Ja też ciąłem! I ja! Wszyscy cięli! Poniewierała się wśród starych gratów! Nauczyciel wuefu powiedział, że robił z niej spławiki dla dyrektora! Więc nasz dyrektor też jest sabotażystą?

Usłyszawszy te krzyki Anastazja Filipowna zrozumiała, że przebrała miarę, i zanoszi się na potężny skandal. Wypuściła rękaw Pieti i zajęła się przywracaniem porządku. Sprawę gumy uznała za niebyłą.

W listopadzie uroczyście świętowali dzień urodzin Niny, choć wcale na to nie liczyła. Mika zgodził się zasiąść przy świątecznym

stole i był bardzo ożywiony; recytował nawet swoje wiersze z życia szkolnego, zwłaszcza „Ode na cześć wielkiego matematyka”, która cieszyła się w szkole największym powodzeniem.

Asia i Lela pękały ze śmiechu, nawet Oleg i Nina się uśmiechali. Wszyscy uznali zgodnie, że Mika ma talent poetycki. Więc zachęcony sukcesem przyniósł do klasy swoje nowe dzieło. Czytał je na dużej przerwie, stojąc, jak zwykle przy takich okazjach, na ławce pośrodku klasy. Nagle ktoś krzyknął: „Idzie Anastazja Filipowna!”

Usłyszawszy to Mika natychmiast przeskoczył na epigramat spłodzony na cześć tej dostojnej damy i wyrecytował z uczuciem:

*Proletariackim szlifem lśni jej ogląda
I smak w rejkomie naostrzony
Lecz umysł na poziomie jurajskiego gada
Na jad szlachetczyzny jest wciąż narażony.*

Anastazja Filipowna istotnie wpadła do klasy niczym rozjuszony gad jurajski. Mika został wezwany do dyrektora, lecz pomyslowego chłopca trudno było zapędzić w ślepy zaułek.

– Zawsze byłem przekonany – odpowiedział – że delikatność i takt to nieodłączne cechy kulturalnego człowieka. Lecz Anastazja Filipowna razem z drużynową dały mi dobrą lekcję na dowód, że jest inaczej – teraz skorzystałem z tej nauki.

Dyrektor poprosił o wyjaśnienie.

– Przy całej klasie mówiły bez szacunku o ojcu jednego z moich kolegów. Zgadzam się przeprosić Anastazję Filipownę, ale tylko wtedy, jeśli da mi przykład i sama przeprosi Pietię Wałujewa.

Dyrektor obiecał wyjaśnić sprawę. Ale zarząd komsomołu huknął na niego: ten ojciec to oskarżony z artykułu pięćdziesiąt osiem! Mice zagrażał wpis do opinii, że „drwił z ideologicznej świadomości nauczyciela”.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Na kilka dni przed świętami ojciec Warłaam zwołał członków bractwa na spowiedź w mieszkaniu przy ulicy Konnej. Umówili się, że spotkają się na mszy porannej w Twarożkowskim domu zakonnym. Mika wciąż obrywał za poranne chodzenie do cerkwi: od Niny – bo przez te modły spóźnia się do szkoły; od Nadieždy Spirydonowny – bo wychodząc tupie buciorami w korytarzu, w dodatku nakreca budzik, którego jazgot słyhać w całym mieszkaniu. Jednak bez budzika Mika zawsze się spóźniał. Pietia i Mary uważali go niemal za męczennika, który cierpi za wiarę, on z kolei sądził, że ich dom to chrześcijańska wspólnota w miniaturze – i zazdrościli sobie nawzajem w głębi ducha. Mika spóźnił się również i teraz. Stojąc w ostatnim rzędzie szukał oczyma Pieti, którego rozpoznał po „kogutku” na czubku głowy. Obok było widać czarny warkocz Mary. Mika zaczął ostrożnie przepychać się w ich stronę.

– Już się martwiliśmy, że ciebie nie ma! – szepnął Pietia, gdy stali obok siebie.

– Ledwo zdążyłem; wczoraj wieczorem znów był w domu skandal, bez tego u nas się nie obejdzie! – również szeptem odpowiedział „męczennik”.

– Na drodze duchowej nieraz „nieprzyjaciółmi są człowiekowi domownicy jego” – szepnęła Mary.

Gdy nabożeństwo się skończyło, poszli do Wałujewów. Była już tam choinka, którą zaczęli ustawiać.

– Kupiliśmy ją z mamą wczoraj przed cerkwią św. Włodzimierza – pochwalił się Pietia. – Zobaczył nas milicjant i biegnie za nami, a my chodu, jak złodzieje. Nawet nie podejrzewałem, że mamusia tak szybko biega.

– Pod władzą sowiecką wszystkiego się nauczysz – powiedziała Olga Nikiticzna zapalając maszynkę naftową. – Przyjdź do nas jutro na Wigilię, Mika.

– Koniecznie! – zawołała Mary wkładając fartuch kuchenny. – Zapalimy świeczki na choince, będziemy śpiewać „Panna

dzisiaj...” i „Weihnachten”, a kolacja będzie postna, z kutią, wszystko zgodnie z tradycją.

– A moja siostra jest całkiem obojętna wobec wiary – oświadczył Mika. – Wciąż się boi, że w szkole się dowiedzą, iż chodzę do cerkwi. Rozumiem, że można coś odrzucać, ale nie pojmuję obojętności!

– Ludzi przekonanych jest zawsze mało – rzekła Wałujewa – większość dawniej też była obojętna wobec cerkwi. Nikt nie zmadrzał, póki nie huknął grzmot. Bolszewicy są okrutni, podstępni, mściwi, lecz wskutek ich prześladowań obudziliśmy się. Gdybyśmy nie zawinili wobec Boga, czyżby pozwolił na mnóstwo łagrów i więzień, do których wtrącają niewinnych ludzi? Ileż dusz oczyszcza się teraz na drodze cierpienia!

Mika opuścił siekierkę i nie odrywał oczu od kobiety mówiącej te słowa. Blask jej spojrzenia, wychudła twarz, przedwcześnie posiwiałe włosy przypomniały mu wizerunki pierwszych chrześcijanek, torturowanych za wiarę.

W mieszkaniu przy ulicy Konnej była już dość długa kolejka. Ojciec Warłaam rozmawiał z każdym bardzo długo. Spowiedź odbywała się w refektarzu, kobiety i dziewczęta czekały w pokojach członkiń bractwa, a młodzi mężczyźni na korytarzu. Pietia i Mika stali obok siebie. Jeszcze rok temu przysięgli, że będą wobec siebie całkiem szczerzy. Odtąd przyzwyczaili się pokazywać sobie ściągawki ze spisaniem, by go lepiej zapamiętać, planem spowiedzi. Ściągawka Miki zaczynała się od słów: „Nina, sny, gotowość do bohaterstwa, lenistwo w sprawach drobnych”. Spojrzawszy na ściągaczkę Pieti zobaczył, że pierwsze trzy punkty u przyjaciela były identyczne, tylko zamiast imienia „Nina” widniało „Mary”. Dalej jednak w planie Miki było zapisane: „krawat, ona, masło, epolety, gwardia” – z tego już niepodobna było zrozumieć nic, więc Pietia poprosił o wyjaśnienie.

– Kiepsko mi się wiedzie, stary! Nie spodziewałem się, że przytrafi mi się coś podobnego! Jak by ci tu wytłumaczyć... bo widzisz... jednym słowem... zakochałem się, i to do szaleństwa!

Jak powiedzieć o tym ojcu Warłaamowi – nie mam pojęcia! Widziałem ją zaledwie dwa razy: na dworcu i u nas, w dniu urodzin Niny, przyszła do nas ze swoim mężem; całkiem jeszcze młodziutka, z warkoczami, rzęsy do połowy policzków, smukła jak trzcinka. Ledwo na nią spojrzełam, podbiła moje serce. Gdyby mi ktoś powiedział: „Pocałuj ją, a zaraz umrzesz!” – natychmiast bym się zgodził! Bankrut moralny! Ogarnął mnie niepokój: oto jakie bywają dziewczęta, lecz ja takiej nie znajdę – póki będę się modlił, rozchwytają je inni. Piętka, powiedz, dostanie mi się za to od ojca Warłaama?

– Trudno przewidzieć... sytuacja jest poważna... – wymamrotał speszony Pietia niczym lekarz podczas konsylium. – Każe ci pewno wybijać pokłony... A to? – i Pietia wskazał palcem „gwardię”.

– Cnoty żołnierskie znów nie dają mi spokoju; co chwila wyobrażam sobie, że jestem oficerem armii cesarskiej. Epolety, ostrogi, akselbanty – mundur na miarę, wszystko się błyszczy, elegancja ruchów, nie to, co u tych „czerwonych dowódców” o gębach sklepikarzy! Tańczę mazurka na balu u Daszkowów, wszystkie dziewczęta zerkają na mnie. Albo wojna: pierwszy rzucam się do boju i umieram z Krzyżem Świętego Jerzego pod murami Konstantynopola. Widzisz, tu jest zaznaczone: „epolety. A ciębie nic takiego nie nęci?”

Pietia skinął ze zrozumieniem.

– A to co? – i wskazał palcem „masło”.

– Zrozum, jest teraz post filipowski, staram się nie jeść masła. Ninka to zauważyła, zaczęła coś podejrzewać, napadła na mnie jak wściekła kocica: „Nie po to kupuję za ostatnie pieniądze, byś wyrzucał do kubła!” I jak nie zaczniesz... Nawrzeszczeliśmy na siebie, ale w końcu ustąpiłem.

– A to? – Pietia wskazał na „krawat”.

– To przez nią. Gdy czekaliśmy w dniu urodzin Niny na przyście gości, poprosiłem, by zawiązała mi krawat, a ona zrobiła

mi kokardę jak dwunastoletniemu dziecku; już i tak byłem wściekły – przedtem poszedłem do fryzjera, by się ostrzyć i ogolić, a ten łajdak mówi: „Strzyć – z wielką przyjemnością, ale co tu golić?” I wszystko przez tę kokardę, znów awantura z Niną, nawet Annuszka przybiegła. Spowiedź będzie trudna, zresztą u człowieka o szalonym sercu inna być nie może. A co u ciebie?

Pietia też wyczerpująco zwierzył się ze wszystkiego...

Czekali prawie dwie godziny. Gdy nadeszła kolej Miki, Pietia widział z oddali, jak jego przyjaciel gorąco i długo spowiadał się ze swych wstrząsających przeżyć. Młody mnich – wysoki, chudy i blady – słuchał w milczeniu z poważną twarzą. Potem sam zaczął mówić i też mówił długo, a potem stało się coś, czego nikt jeszcze nie zapisał w kronikach bractwa – zamiast podnieść rękę z epitrachilionem⁵⁵ ojciec Warłaam tylko kiwnął przecząco nakazując odejść Mice, ten zaś, zdenerwowany i zawstydzony, gdyż nie otrzymał rozgrzeszenia, przeszedł przez pokój z opuszczoną głową i zniknął w korytarzu. Pietia odprowadził go zdumionym spojrzeniem. „Pewno przez tę ziemską miłość!” – pomyślał i nie ruszał się, póki go ktoś nie popchnął z tyłu przypominając, że nadeszła jego kolej. Z niepokoju o przyjaciela wypowiadał się po łebkach zapomniawszy połowę tego, co zaplanował, po czym pobiegł szukać Miki. Znalazł go koło drzwi kuchennych; Mika stał w pozie Napoleona.

– Za co ci nie odpuścił grzechów? Za co?

– Z pewnością nie zgadniesz!

– Chyba przez nią!

– Nie. Nic mi się za nią nie dostało. Powiedział, że to naturalne, przestrzegł, że będzie jeszcze gorzej. Nie ona, lecz masło! Tak, tak – masło. „Potrzebna jest dyscyplina – powiada – Cerkiew tego zabrania! Mam prawo żądać od członków bractwa, by przestrzegali reguł. Uprzedzałem o tym, i tych,, którzy złamali zakaz, nie dopuszczę do świętego sakramentu. W trudnych

⁵⁵

Epitrachilion (cerk. z grec.) – stuła.

dniach potrzebni nam są tylko ludzie oddani i silni. Proszę przyjść do mnie w Wielkim Tygodniu”. Teraz już nawet myślę, że miał rację, ale w bractwie będą mnie uważali za przestępcę! Katia Pomylewa już mnie unika, pewno wyobraziła sobie, że mam na sumieniu co najmniej zabójstwo lub gwałt!

– Strasznie surowy! – powtarzał zdumiony Pietia. „Rzymianka” była bardzo taktowna – ani słowem nie wspomniała o tym, co się wydarzyło. Mary z kolei rzuciła na Mikę szybkie, zaciekawione spojrzenie, które mu nieco pochlebilo. Zrobili wszystko zgodnie z dawnym planem, Mika został na noc i spał na kozetce przy drzwiach, modlitwy odmawiali razem. Nazajutrz rano Mika podszedł do Olgi Nikołajewny i spytał ją bez ogródek:

– Może lepiej, bym nie szedł na mszę, skoro taki ze mnie zbrodniarz?

Lecz ona odpowiedziała spokojnie i jak zawsze z przekonaniem:

– Nikt tak o tobie nie myśli. Ojciec Warłaam jest surowy, znacznie surowszy od ojca Gurija; chciał cię poddać próbie i nauczyć pokory. Często wymierza epitemię⁵⁶. Jeśli pójdziesz do cerkwi pomodlić się z nami i powinszujesz nam z okazji przystąpienia do Komunii świętej, będzie to znak, że panujesz nad sobą i jesteś posłuszny; a to mnisi sobie cenią.

Mika zawahał się, lecz poszedł. Bardzo się liczył z opinią „Rzymianki”, zaś wzrok Mary przekonał go, że wzbudził zainteresowanie kobiecej, a przy tym młodej części bractwa. Podczas mszy stał z wyrazem rozczarowania na ponurej twarzy, czego sobie nie uświadamiał.

Tuż po świętach Pietia nie pojawił się w szkole. Mika wciąż zerkał na drzwi, aż rozbolała go szyja, lecz Pieti nie było. Prosto ze szkoły Mika pobiegł do przyjaciela. Otworzyła mu sąsiadka, gdy zaś zastukał do pokoju, wysunęła się głowa Pieti i coś w nim od razu wydało się Mice podejrzane: był bez białego kołnierzyka, oczy

⁵⁶ Epitemia (cerk. z grec.) – pokuta.

miał zapuchnięte i zaczerwienione, kogutek na czubku głowy nie sterczał dumnie, a w pokoju panował okropny nieład.

– No, staruszkę, co się dzieje? – spytał Mika wchodząc.

– Nieszczęście – nie wróciła nasza mama.

– Jak to nie wróciła? Skąd nie wróciła? – zaskoczony Mika przysiadł na kozetce koło drzwi.

– Wezwali ją do GPU. Minęła już doba, a jej wciąż nie ma. Wezmą mamę do łagru, tak jak tatusia. Możesz uważać mnie za tchórze albo za dziecko – jest mi to obojętne! Ale ja nie umiem żyć bez mamy! Zawsze była z nami, w każdej chwili. W domu bez niej od razu wszystko się rozwalilo. Nie zrozumiesz, bo nigdy nie miałeś mamy!

– Ależ nie, rozumiem... Niepotrzebnie tak mówisz... ja rozumiem... ale jak to się stało?

– Wezwanie przyszło już trzeciego, ale mama nic nam nie mówiła. Dopiero wczoraj rano, kiedy wstaliśmy i zjedliśmy śniadanie, mówi nagle, że ją wezwali i zaraz musi iść. Uspokajała nas, wciąż powtarzała: „Nie martwcie się, dzieci, Bóg jest miłosierny! Na pewno wrócę do domu przed drugą”. Potem wręczyła siostrze kwity z komisur – wszystkie były już przepisane na Mary; mamusia załatwiła to poprzedniego dnia. Spakowała do małego sakwojażu zmianę bielizny, mydło, ręcznik, nasze fotografie i swoją ulubioną ikonę Matki Boskiej Bolesnej! Mary wsunęła tam jeszcze bułeczkę. Potem mama pożegnała każde z nas ze słowami: „Niech Bóg was ma w swojej opiece, dzieci! Tylko się nie kłóćcie – a wszystko będzie dobrze”. Chcieliśmy za nią biec, żeby poczekać przed drzwiami gmachu, ale nie pozwoliła. – „Lepiej idźcie do cerkwi”. Odprowadziliśmy ją tylko do bramy, tam mama jeszcze raz nas pocałowała, znów powiedziała: „Niech was Bóg strzeże, moi kochani!” – i już więcej nie oglądała się.

– No, a potem?

– A potem pobiegliśmy do cerkwi i kiedy wróciliśmy, strasznie się baliśmy otworzyć drzwi – jest już w domu czy nie?

Mary weszła pierwsza i mówi: „Nikogo nie ma!” To było przed drugą. Mary pobiegła po chleb, wróciła, a mamy wciąż nie ma. Więc wyszliśmy na klatkę schodową i chyba ze dwie godziny patrzyliśmy z góry. Nagle Mary zaczęła się trząść, tak jakby dostała dreszczy. Wiesz, jakie to straszne – czekać. Namówiłem Mary, żeby wrócić do pokoju, opatuliłem ją kocem i paltem i siedzieliśmy razem na jej łóżku kolejne dwie godziny. Zapalono już światła, a mamy wciąż nie było. Dopiero późnym wieczorem siedliśmy, by wypić herbaty; wtedy wtargnęli ci ludzie – zaczęli wszędzie grzebać, tak jak wtedy, gdy brali tatę; nas z siostrą posadzili na kozetkę i zabronili się ruszać. Poprzedniego dnia graliśmy w „pleć pleciugo”; zobaczyli porozrzucane kartki, a na jednej słowa: „Stalin i Mary w kuchni robili do siebie nocą głupie miny”. Pokazywali to sobie nawzajem. Ze trzy godziny kręcili się po mieszkaniu. Gdy wychodzili, jeden z nich powiedział do Mary: „Nie martw się, dziewczuszko, nie zginiesz!” Tak jakby jej współczuł! Nie zmrużyliśmy oka przez całą noc, boli mnie głowa.

– A gdzie jest Mary?

– Poszła do cioci powiedzieć, co się stało.

– Poczekam z tobą, dopóki nie wróci. A ty, staruszkule, trzymaj się, bądź mężczyzną. Zjedzmy coś, zostały mi jeszcze kanapki. Bierz, nie wolno tracić sił.

Wkrótce przyszła Mary i poskarżyła się; ciotka o wszystko oskarżała Olę Nikiticzną, zarzucała jej nieostrożność i bardzo się martwiła, że będzie musiała troszczyć się o Mary i Pietię.

– Już tam nie pójdziesz! – krzyknął zapalczywie Pietia. – Siadaj, jesteś zmęczona! Zaraz dostaniesz herbaty.

– Weź kanapkę – zaproponował Mika – i zastanówmy się, co robić. Będę wam pomagał we wszystkim, ale do szkoły musisz, Pietia, jutro iść, w przeciwnym razie zaczną się nieprzyjemności.

Ale Pietia przecząco pokręcił głową:

– Ani mi się śni! Zarząd organizacji komsomolskiej całkiem by mnie zjadł. Nienawidzę naszej szkoły, pójdę do pracy. Musi

przecież ktoś zarabiać na życie.

– Nigdy się na to nie zgodzę! – krzyknęła porywczo Mary. – Mama zabroniła nam kłótni, ale jak można się nie złościć na coś takiego! Za jakiś czas mama i tata wrócą, a wtedy się okaże, że Pietia nie skończył szkoły... Jaki to byłby dla nich cios, zwłaszcza dla taty! Do wiosny łatwo przetrwamy sprzedając rzeczy, oddaliśmy do komisju pół-kredens, stolik na czasopisma i rycerza z brązu, tego z kopią – na pewno ktoś kupi! A wiosną skończę szkołę i sama pójdę do pracy. Jestem starsza, Pietia powinien się uczyć. Może mamusię wkrótce wypuszczą, a on zmarnuje rok szkolny – powiedz mu, Mika, że mam rację!

Mika zgodził się z jej słowami, ale Pietia wysunął własne argumenty:

– Cóż to za mężczyzna, który pozwala, by siostra pracowała, a on siedział jej na karku? Tatuś pierwszy potępiłby mnie za to. Jesteś kobietą, Mary, i nie znasz się na sprawach honoru. Więc bądź cicho, bardzo cię proszę! Gdy jesteśmy teraz tylko dwoje, zostałeś pod moją opieką; wiem dobrze, co mam robić, i nie pozwolę sobie rozkazywać.

Nie uzgodnili ostatecznie decyzji. Mika wyszedł smutny i wzburzony.

Rozdział dziesiąty

Natalia Pawłowna pisała pamiętniki. Siadała wówczas w starym fotelu, na którego oparciu pysznił się wyhaftowany herb Bołogowskich – wieża i skrzyżowane miecze. W tym też fotelu szydełkowała, prując i przerabiając niemodne już wełniane rzeczy domowników. Uzupełniała w ten sposób dobrowolnie przyjęte obowiązki głównego dysponenta i kasjera. Madame sprzątała, robiła zakupy i wykazywała niezwykłą pomysłowość w urozmaicaniu skromnego jadłospisu, młoda mężatka była „dziewczyną do wszystkiego”, pomywaczką i pomocą kuchenną. Do Olega należało zdobywanie opału, palenie w piecach, czyszczenie mieszkania odkurzaczem, który był dla młodożeńców obiektem stałych żartów. Używano go zazwyczaj w niedzielne poranki, gdyż w dni powszednie Oleg wracał z pracy dopiero koło siódmej, a wszystkim zależało, żeby wieczór był wolny od domowej krzątaniny. Starsze panie zajmowały się przeważnie ręcznymi robótkami. Madame próbowała zainteresować nimi Asie, lecz ta organicznie nie była zdolna wysiedzieć z igłą dłużej, niż dziesięć minut.

– Nic mi się nie udaje, kompletne ze mnie beztalencie! Nie skończyłam szyć koszulki, a już brudna, trzeba ją będzie wpierv wyprać. Od jutra porządnie wezmę się do pracy – oznajmiała – a dzisiaj lepiej zagram wam Szopena.

Marzeniem jej było skłonić Olega do gry na cztery ręce, lecz ten był na bakier z wszystkimi krzyżykami i kasownikami, zaś akord z jakimkolwiek znakiem muzycznym sprawiał mu więcej trudności – jak twierdził – niż szturmowanie silnie umocnionej pozycji. W miarę przeciągania się lekcji coraz bardziej rozzłoszczona Asia zmieniała się w gniewną amazonkę. Kończyło się jednak wszystko niezmiennymi zapewnieniami o miłości i pocałunkami. Ponieważ z gry na cztery ręce nic nie wychodziło, Asia wpadła na inny pomysł. Przed trzema laty Siergiej Pietrowicz nauczył ją wraz z Lelą wielu rosyjskich pieśni ludowych. Piękno i szlachetność starych rozlewnych melodii wykonywanych a

cappella tak ich oczarowały, że gotowi byli śpiewać je w każdy wolny wieczór. Nie zawsze im się to udawało, ze względu na nieobecność Leli lub jej nieodpowiedni nastrój. Liczyła się jednak z upodobaniami Siergieja Pietrowicza a i dzięki temu zespół prosperował. Gdy wuja zesłano, Asi początkowo brakowało tych śpiewających wieczorów, teraz postanowiła je wznowić. Kilkakrotnie słyszała, jak Oleg zmagając się z odkurzaczem, bądź grzejąc wodę do golenia, nucił półgłosem stare oficerskie piosenki i doszła do wniosku, iż ma on dostatecznie dobry głos i słuch, żeby uczestniczyć w zespole. Trudność polegała na tym, że teraz ona miała zająć miejsce Siergieja Pietrowicza. Istotnie, rozpoczęte próby przebiegały równie burzliwie, jak wspólna gra na fortepianie. Jak się okazało, jedynym ale niezawodnym środkiem, wywołującym rozdrażnienie Asi, stawała się fałszywa nuta. Niemniej Oleg uwielbiał owe śpiewy i poprzedzające je próby.

Asia na swój sposób oceniała stosunki łączące ją z mężem, niemniej zwierzała się tylko Leli.

– Wiesz, czasem bardzo się wstydzę swego szczęścia... Dziwi cię to? Nie wiem, jak to wytłumaczyć... Kiedy widzę wokół siebie tyle przygnębionych osób – babcię, twoją mamę, Ninę Aleksandrownę i wiele innych, trapią mnie wyrzuty sumienia za mój promienny wygląd i moje nazbyt wielkie szczęście. Dlaczego właśnie ja na to zasłużyłam? Jestem przecież niezwykle wymagająca: gdybym choć raz spostrzegła, że mąż zwrócił się do mnie lekceważąco, zrzędził lub robił wyrzuty, byłoby mi niewypowiedzianie przykro i nigdy nie potrafiłabym tego zapomnieć. Lecz gdy widzę, że rozpromienia się patrząc na mnie, jestem bardzo szczęśliwa. Lela w zadumie poprawiła ogień w kominku, przy którym siedziały.

– Ciekawe, jaki będzie ten „mój”? Powinien być nieco inny. Nie podobają mi się mężczyźni z „byłych”. Wszyscy mają smętne twarze i jakby przetracony kręgosłup. Weźmy na przykład Szurę, niewinne z niego cielę i maminsynek. Twój Oleg jest prawdziwym mężczyzną, lecz zbyt poważnym i o przesadnie dobrych manierach. W rodzinie szlacheckiej mężczyzna powinien

zachowywać się wobec dziewczyny zgodnie z przyjętymi konwenansami, a mnie aż mdli od tego.

– Emabluje cię Walentyn Płatonowicz – zauważyła Asia.

– Ostatnio nawet dość energicznie. Widzę, że mama ogromnie pragnie, żeby mi się oświadczył. Wiesz, co w jej oczach głównie przemawia na jego korzyść? Nie to, że przyzwoicie zarabia! Elegancko, po oficersku kłania się i całuje ją w rękę, w towarzystwie błyszczy dowcipem, jest swój, z dawnych czasów, wychowanek Korpusu Paziów – czy może być lepsza rekomendacja? A mnie nieraz złość bierze na Frołowskiego, ma w sobie coś z hulaki, który przybiera rycerskie pozy, wcale mi niepotrzebne. Można by z nim wesoło spędzić wieczór, gdyby choć na jotę zmienił sposób bycia, niechby, powiedzmy, ni stąd, ni zowąd, pocałował mnie lub zaciągnął na górny taras hotelu „Europejskiego”... żeby się zdobył na jakąkolwiek ekstrawagancję! ...Myślę, że w przyszłości okaże się kobietą z temperamentem, który kiedyś mnie porwie, poniesie jak żywioł wiosennej powodzi.

– Mówisz głupstwa. Zawsze coś wymyślasz, Lelu, żeby dowieść, jaka jesteś niedobra, ale i tak nikt temu nie wierzy.

– À propos „tarasu”. Wiesz, co się wydarzyło w ostatnią niedzielę? Sąsiadka – Rebeka – idąc w odwiedziny do siostry, wzięła mnie ze sobą, był tam ich znajomy, podobno inżynier, przecież teraz wszyscy tytułują się „inżynierami”. Z wyglądu Ormianin, całkiem przystojny, a może i Żyd, głowy nie dałabym. Początkowo niczego nie zauważyłam, gdy jednak siedliśmy do herbaty, widzę że mnie adoruje, prawi komplementy, namawia do jedzenia, zabawia dowcipami i to słonymi, u nas takich nie wypada opowiadać, cały czas drżałam, żeby się nie zaczerwienić. Gdy pożegnałam się, wyszedł za mną. Dwa kroki od domu był postój taksówek, podszedł do jednej, otworzył drzwi i powiedział: „Uprzejmie proszę! Jeśli ma pani ochotę, jedziemy wprost do hotelu Europejskiego na taras!” Zaskoczona osłupiałam i... wiesz... odwróciłam się, i nie oglądając odeszłam. Pragnę jednak dla siebie czegoś lepszego, niż przypadkowe uściski... nieznajomego.

Przestraszona Asia chwyciła ją za rękę:

– Czy zapraszając cię rzeczywiście miał złe zamiary?

– Nie wątpię! – uśmiechnęła się Lela. – Dobrze znam mężczyzn. Powiem ci w sekrecie: już kiedyś byłam w „Europejskim”, tylko że w dzień i nie na tarasie, lecz w sali, w towarzystwie Rebeki i jej męża. Jest wobec mnie bardzo serdeczna, mama niepotrzebnie krzywi się na tę znajomość. Oczywiście to zupełnie inne środowisko, nowa sowiecka inteligencja wywodząca się z dołów, Żydzi, dwóch-trzech Ormian, są wśród nich i Rosjanie. Na ogół to geszefciarze z forsa, wyróżniający się pewnością siebie i samozadowoleniem. Podobno GPU zaczyna podejrzliwie przyglądać się tym facetom na „odpowiedzialnych stanowiskach”, u których pojawiły się wielkie pieniądze. Kursuje nawet dowcip, że z hotelowego tarasu widać Sołowki. Czasu nie tracą, gdy przyjechaliśmy do restauracji, każdej damie natychmiast wręczyli baloniki, kwiaty, cukierki, zamówili ulubione przez nas dania... Pieniądze płynęły jak woda... pomiędzy stolikami tańczono fokstrota, ja również tańczyłam. Mam w tym towarzystwie powodzenie, dziewczyna z rosyjskiej arystokracji jest dla nich czymś egzotycznym. Ty nigdy tam nie trafisz! Jako żona swego męża będziesz się z nim zastanawiać, jak najpożyteczniej wydać wspólne pieniądze; natomiast gdy szasta nimi obcy człowiek, żeby spędzić z tobą wieczór, jest w tym szczególna przyjemność – podniecająca, dwuznaczna – i właśnie ona budzi chęć oczarowania mężczyzny, który zapewne też tego pragnie... Jest w tym jakiś smaczek, coś oszałamiającego, czego nigdy nie doświadczy się z partnerem, którego już się dobrze poznało, obcując z nim na co dzień. Możliwe, że moi nowi znajomi nie odpowiadają wymogom dobrego tonu i dlatego mama ma do mnie pretensje, wszystko to jednak, zwłaszcza w porównaniu z naszym monotonnym życiem, jest inne, ciekawe. – Wiesz – dodała grzejąc ręce przy kominku – spotkałam wczoraj Ninę Aleksandrownę z nieznanym mi marynarzem. Od razu zorientowałam się, że i jej nie w smak było nasze spotkanie. Zawsze wyczuwam wszelkie niedopowiedzenia!

– Co za głupstwa? Dlaczego „nie w smak”?

– A jeśli ów elegancki marynarz zaleca się do Niny Aleksandrowny, a ta nie życzy sobie, aby rodzina dowiedziała się o tym?

– Wierz mi, Nina Aleksandrowna potrafi ukrócić tego rodzaju próby i nie ma się z czym kryć.

– Jesteś pewna? Wszedł Oleg.

– Proszę, chodźcie do salonu, przyszedł Frołowski. Walentyn Płatonowicz zjawił się wprost z kina, chcąc podzielić się z przyjaciółmi wrażeniami. Przed filmem wyświetlano bowiem kronikę, której zadaniem było urobienie w określony sposób poglądów „mas pracujących” na przygotowywaną powszechną paszportyzację, w istocie zaś było to szczucie jednych grup społecznych na inne. Obrazek z prowincji: urząd wydający dowody osobiste, szczęśliwe robotnice, kolejno chowające za pazuchę bezcenny dokument – przepustkę do lepszego życia! Lecz oto zjawia się była właścicielka małego sklepiku, z rozbieganymi oczami, zdezorientowana, żałosna... Oczywiście odmawiają jej paszportu i obecni z zadowoleniem się uśmiechają, przekonani, iż wróg klasowy został unieszkodliwiony i nic nie stoi na przeszkodzie ich szczęściu... Inna scena – wiec w fabryce, na którym świadoma politycznie młodzież demaskuje wroga klasowego, choć ten jeszcze niedawno... i temu podobne nikczemności.

– Słowem, miło spędziłem czas i przyszłość widzę teraz w różowych kolorach! – opowiadał Walentyn Płatonowicz bawiąc się z pudłem, który wskoczył mu na kolana, gdy tylko ten usadowił się w bujaku.

Zaraz po kolacji Walentyn Płatonowicz dziwnie zwięźle i poważnie powiedział Olegowi:

– Na dwa słowa, konfidencjonalnie. Obaj przeszli do dawnego buduaru.

– Przede wszystkim proszę, żeby rozmowa została między

nami. Przed trzema dniami otrzymałem wezwanie do GPU.

– O to więc chodzi! Proszę, mów dalej.

– Już na wstępie mnie uraczono: „Wiadomo nam, że w tysiąc dziewięćset piętnastym roku ukończyliście Korpus Paziów”. Skłoniłem się. „Miałem nieszczęście” – powiedziałem. „Powiedźcie, czy spotykacie się z dawnymi kolegami?” – „Nie. Jestem bardzo zajęty i nigdzie nie bywam”. Na to oni: „Stereotypowa odpowiedź, znamy ją na pamięć! Wyliczcie nam swoich kolegów”. Zacząłem gorliwie wymieniać wszystkich, o których wiedziałem, że na pewno zginęli. „W porządku – powiadają – a czemu pominęliście Daszkowa?” I już miałem na końcu języka: „Zginął na Krymie”, ale wyczułem niepewność w ich głosie. Znam ich sposób mówienia o niepotwierdzonych faktach, jak o wiarygodnych, żeby łatwiej się wygadać. Zorientowałem się, że i teraz o to im chodzi. Spróbuję – pomyślałem – zaryzykuję zmylenie tropu. „Daszków – wyjaśniłem – nie z naszego rocznika, kapitan Dymitr Andriejewicz był o jakieś pięć lat starszy i zginął w walkach o półwysep”. „Czy na pewno został zabity?” – chcieli potwierdzenia. „Słyszałem od świadków” – odpowiedziałem. I nagle mnie zaskoczyli: „A u kogo bywacie na ulicy Hercena? Co za kolegów tam macie!” – „Wybaczcie, nie mieszkają tam żadni moi koledzy, tylko staruszka ze śliczną wnuczką: odwiedzam je regularnie raz lub dwa razy w miesiącu, znam je od dzieciństwa”. „Męża wnuczki też znacie?” – spytali. „Poznaliśmy się na ich weselu – wyjaśniłem – trochę gburowate chłopisko, ale sympatyczne!” Oleg się uśmiechnął:

– Przypuszczam, że nie powiedziałaś tak dosłownie! I co dalej?

– Kazali mi podpisać zobowiązanie, że zachowam rozmowę w tajemnicy i wypuścili. Chciałem przyjść do was już następnego dnia, lecz bałem się, że pośpiech wyda się podejrzany, mogli śledzić... postanowiłem wpaść w niedzielę pod pretekstem złożenia wizyty Natalii Pawłownie.

– Dziękuję, Walentynie, dobry z ciebie przyjaciel.

– Zdarza mi się to jedynie w GPU.

– Wiem, że mnie podejrzewają – potwierdził Oleg – Jeszcze nie tak dawno próbowałem ich przekonać, że istniał tylko jeden Daszków – Dymitr. Twoje zeznania pokryły się całkowicie z moimi, co jest wyjątkowo ważne. Pewien zaufany człowiek mówił mi, iż archiwum Korpusu Paziów zostało zniszczone i nie ma spisów jego uczniów. Krótkie odroczenie. Tylko żeby ciebie przy jakiejś okazji nie pociągnęli do odpowiedzialności za fałszywe zeznania.

– Wszystko, jak mówią, w ręku Boga. Nie ma co zgadywać. Ja też słyszałem, że archiwum zostało zniszczone, inaczej wielu z nas dawno by wyłapali. Na mnie doniósł były lokaj mego zmarłego ojca. Wątpliwe, czy ominą mnie teraz represje. A właśnie zamierzałem wziąć przykład z ciebie i zacząć cnotliwe życie, ku wielkiej radości mamany, która marzy, żeby zostać babcią.

– Twoja matka wie o donosie?

– Nie udało mi się tego ukryć. Tak się zdenerwowała, że miała kłopoty z sercem. Ale wesolutkie czasy! Na szubienicę bym wysłał całe GPU, co do jednego, a ten śmierdzący proletariat w rodzaju waszych Chryczków i mojego Wikientija należałoby wychłostać kozacką nahajką. Żegnaj, przyjacielu!

Uścisnęli sobie dłonie. Spod rysów męskiego zachmurzonego oblicza wyjrzała nagle twarz młodziutkiego kadecika, a zza niej klasy szkolne i chłopięce psoty...

W sąsiednim pokoju Lela przekładała rozłożone na fortepianie miniaturowe koszulki i czapeczki. Frołowski stanął przed nią na baczność:

– Droga Helenko Lwowno! Bardzo żałuję, że mamy taką okropną pogodę! Nasz wybitny poeta Władimir Matiukowski genialnie ujął to w rymy:

*Północne wiatry wieją,
na spacer nie pójdę!*

Niestety, muszę powtórzyć jego słowa, a im bardziej jest pani

czarująca, tym większy ogarnia mnie żal, że barometr wskazuje niż. Pozwoli pani, że się pożegnam.

Rozdział jedenasty

Dziennik Elżbietki

3 *lutego*. Po kilkumiesięcznej przerwie odważyłam się wyciągnąć ze skrytki ten dziennik. I tak, mamy już 1930 rok. Życie moje toczy się równie samotnie i w smutku jak życie mojej Rosji.

4 *lutego*. Wiadomość o „nim”, i to niedobra, znowu zapalenie opłucnej. Jeszcze wczoraj widziałam w rentgenie Lełę, która zapewniała mnie, że wszystko w porządku; jak można było przemilczeć taką wiadomość. Głupia dziewczyna! O chorobie powiedziała mi dopiero Asia, przybiegła rano uśmiechnięta, zaróżowiona od mrozu, urocza w sobolowej czapce. „Mam do pani prośbę – oznajmiła – mój Oleg zachorował na zapalenie opłucnej, doktor zalecił postawienie baniek, a ja nie potrafię! Czy pomoże mi pani? Tak rzadko bywa pani u nas, że będzie nam ogromnie miło spędzić razem wieczór”. Oczywiście obiecałam, że przyjdę, i poprosiłam o szczegóły, na szczęście zapalenie opłucnej nie ropne, zaś temperatura nie przekracza 38°. Asia spieszyła się do domu, nie chciała zdjąć płaszcza, powiedziała, że madame poleciła jej odnieść do spółdzielni butelki po mleku i wziąć za nie 10 rubli kaucji. Puste butelki miała w siatce, spytałam, czy nie za duży to dla niej ciężar, zaprzeczyła „skądże znowu” i promiennie się uśmiechnęła. Gdy zamykałam za nią drzwi, usłyszałam, jak zbiegając po schodach, nuci. Niefrasobliwość jej nie zna granic. Nie chce dostrzegać biedy, niebezpieczeństwa, choroby ani swego odmiennego stanu – że też zdarzają się tacy ludzie!

5 *lutego*. Byłam u nich, złości mnie wiele rzeczy: on zdecydowanie nie ma należytej opieki, a i z finansami chyba też u nich kiepsko. Gdyby się nie ożenił, już by sprawił sobie najpotrzebniejsze rzeczy, a teraz musi utrzymywać całą rodzinę. Znamienny szczegół: kolacja była arcyskromna – ziemniaki z kiszonymi ogórkami, przed Asią natomiast Francuzka postawiła kotlet oraz masło, przeznaczone widocznie tylko dla niej.

Pośrodku pokoju stała skrzynka, do której składają rzeczy na paczkę dla syna Natalii Pawłowny zesłanego na Syberię. Kiedy po herbacie zaszłam do niego, chcąc się pożegnać, ujrzałam scenę, która mnie oburzyła: ona siedziała na skraju łóżka, a on obierał mandarynkę i po cząsteczce wkładał jej do ust. Mandarynkę ja przyniosłam, zaznaczając że dla chorego... Wszystko wskazuje, że o sobie myśli najmniej; wciąż chodzi w starym szynelu, stąd zapalenie opłucnej, a jeszcze trzymają się go żarty, zapytał mnie i Lełę, którego z bohaterów literackich przypomina. Asia śmiała się, zapewne wiedząc o co chodzi. Nie odważyłam się na żadne analogie, natomiast Lela wypaliła: Wrońskiego! „Nie, Heleno Lwowno, gdzie mnie tam do niego! Zaledwie Akakija Akakijewicza, łączy nas bowiem wspólny cel – żeby kołnierz pokryć kuna”.

6 lutego. Odpryski „rodów, które skrzywdziła ślepa losu gra!”⁵⁷ Natalię Pawłownę zaniepokoiły wczoraj wieści o kolejnych wysiedleniach. Ma znajomych zaprzyjaźnionych z córką Rimskiego-Korsakowa. Jest to starsza pani, wdowa z dwoma córkami; w ostatnich dniach jedną z nich wysłano etapem na Syberię, teraz z kolei matka otrzymała zawiadomienie o wydaleniu z miasta. A propos, Natalia Pawłowna, która zna bodaj cały dawny *beau monde*, opowiadała o rodzinie baronowej von Meck, jej córka Miłoczka zebrze w cerkiewnym przysionku w Samarze czy w Saratowie... Opery Czajkowskiego bądź Rimskiego-Korsakowa wystawiane są na wszystkich scenach i przynoszą krociowe zyski, zaś ich potomkowie i przyjaciele... Brak mi słów!

7 lutego. Myślałam, że oczy wypłaczę! Byłam dzisiaj u Julii Iwanowny, rozgadałyśmy się jak zawsze; opowiedziała mi historię usłyszaną od współlokatorki studentki, która na ferie zimowe pojechała do rodziny. Na jednej stacji wyszła po wrzątek, gdy wracała, pociąg ruszył, a że do swego wagonu miała daleko, wskoczyła do najbliższego. Zdumiona, stanęła jak wryta: wagon do granic możliwości zapchany był chłopskimi dziećmi, które siedziały bądź leżały na ławkach i workach. Przepychając się pomiędzy nimi spytała dziewczynkę: „Ktoś ty?” Ta podniosła

płową głowinę i odpowiedziała: „Jesteśmy kułackimi dziećmi”. „Dokąd was wiozą?” „Nie wiem” – i znów pochyliła głowę. Studentka po kilku krokach natknęła się na chłopczyka, może ośmioletniego, który skulony leżał na worku na podłodze. Wydał jej się chory, pochyliła się więc nad nim i zagadnęła: „Co z tobą, dziecko?” Spojrzał na nią oczętami niebieskimi jak bławatki i odrzekł: „Trzęsie mnie krzyne”. „A dokąd to jedziesz?” A on: „Tatulo mieli dwie krówki i jabłonkowy sad, za to ich z matulą wywieźli, później po mnie przyszli”. Rozpacz chwyta za gardło. Odrywają od ziemi, niszczą naszą starą chłopską Ruś! Cierpią nawet małe dzieci... i wszyscy milczą. Nawet tacy bohaterowie, jak on, są zupełnie bezradni... Boże, mój Boże! Jutro znowu pójde do niego i nie byłabym sobą, gdybym nie poruszyła tego tematu. Nie chcę, żeby głuchła w nim miłość do ojczyzny i zasklepiła się zraniona dusza. Może to okrutne, ale pragnę, żeby zawsze płonął w nim ów skryty ogień, który mnie trawi – niech w każdej chwili swego życia goreje nienawiścią. Można do niego odnieść słowa: jesteście solą ziemi, ale jeśli sól przestanie być słona... itd. Nie powinien wtopić się w bezkształtną, pozbawioną kośćca masę, absolutnie nie! Nie chcę i nie dopuszczę do tego.

8 lutego. Przychodzi mi niekiedy do głowy osobliwa myśl: otóż grzebiąc we własnej duszy dochodzę do przekonania, że gdyby nie doszło w Rosji do rewolucji, w pokojowych warunkach, za caratu, mogłabym stać się rewolucjonistką (oczywiście nie bolszewiczką). Każdy, kto czuje się panem sytuacji lub zadufany jest w swoje własne bezpieczeństwo, wzbudza we mnie odrazę, zaś w spoczywaniu na laurach dopatruję się mieszczańskiego samozadowolenia. Zawsze byłam po stronie walczących, narażających się na niebezpieczeństwo, represjonowanych i ginących... Religia jako idea mnie nie pociąga, traktuję ją rozumowo. Współczuję prześladowanej Cerkwi, jednakże moje uczucia obywatelskie górują nad religijnymi.

9 lutego. Byłam u niego, lecz z rozmowy nic nie wyszło, zajęty był tłumaczeniem z angielskiego jakichś handlowych dokumentów. Przywiózł je z biura szef – Żyd, który przyjechał własnym autem. Niezwykle uprzejmy, wręczył Olegowi torbę

wspaniałych jabłek, by szybciej wyzdrowiał, i równocześnie prosił go, żeby nie odmówił przekładu jakiegoś bardzo ważnego tekstu. Dałam wyraz swemu oburzeniu, oświadczając, że gdybym była przy tym w pokoju, nie omieszkałabym powiedzieć „towarzyszowi Rabinowiczowi”, iż nie wypada obarczać chorego takimi prośbami. Oleg na moment oderwał się od papierów i odpowiedział: „Nie mogę się stawiać w mojej sytuacji służbowej”.

10 lutego, Ruś, moja Ruś ginie! Nie możemy wymieniać jej imienia, nie wolno nam nazywać się Rosjanami! Nasi bohaterowie zostali jakby wyklęci – niechby ktoś spróbował w jakimś oficjalnym miejscu wspomnieć o Aleksandrze Newskim, księciu Pożarskim, Suworowie czy Kutuzowie! Nie mówiąc już o bohaterach ostatniej wojny. Zostaliśmy dzisiaj wyzuci z historycznego dziedzictwa Rosji, strzeżonego przez naszych przodków. Na mojej Rusi zabraknie wkrótce inteligencji o kilkupokoleniowych tradycjach, ginie ona w łagrach bądź w zapadłych dziurach na zesłaniu! Odbierają nam religię, niemal wszystkie cerkwie i klasztory zamknięto, a towarzystwa teozoficzne i ich biblioteki rozgromiono. Teraz ulega zagładzie prastary patriarchalny stan chłopski, pustoszeją pola. Moja Ruś ginie! Czemu nie jestem mężczyzną – zdobyłabym się wówczas na jakiś czyn, z radością poświęciłabym życie dla ratowania mojej ojczyzny! Nie potrafię się modlić, czuję się opustoszała, zasklepiona w sobie i cierpka jak jarzębina. Bardzo rzadko ogarnia mnie uniesienie, wówczas ożywa moje serce i w porywie płynącym z głębi duszy zwracam się ku Najwyższemu. Zdarza mi się to wyjątkowo, ostatnio doświadczyłam tego po spotkaniu z nim w filharmonii. Ginie Ruś... Oczami duszy widzę jej cudne oblicze i nie ucicha ból. Rusi moja... Wyraźnie dobiega mnie jej jęk. Myśli burzą mój spokój. „Tocząc niezmienny nurt strumienia / Unosi ludzkie sprawy czas...”⁵⁸, wszystko pochłania, przeobraża, łagodzi... Brutalność współczesności przeminie, nowe formy stopniowo ulegną wygładzeniu, historia wyda osąd, nam jednak przypadło w udziale konwulsyjne miotanie się na przełomie

epok... Co to za okrutny los!

11 lutego. Do rozmowy doszło, dla takich rozmów warto żyć. Spędziliśmy we dwoje cały wieczór, gdy zadzwoniłam, otworzył mi drzwi w narzuconym na ramiona kitlu. Od razu zasypałam go wymówkami, czemu wstaje z łóżka. Okazało się, że cała rodzina poszła na koncert, chcąc posłuchać partii solowej Niny Aleksandrowny. Od razu ogarnęło mnie gorączkowe drżenie, jeżeli mam podjąć zasadniczą rozmowę, to właśnie dzisiaj. Gdy skończyłam stawianie baniek i zapakowałam je, opowiedziałam historię z pociągu. Zaczęły mu nerwowo drgać policzki.

– Tak – powiedział – poruszyli z miejsca, wstrząsnęli posadami, podcięli siłę naszego czarnoziem, naszej patriarchalnej Rusi – najlepsze gospodarstwa i chutory, którym patronował Stołypin, a w których rząd carski widział oparcie. Nie będzie łatwo odtworzyć tę warstwę, oderwana od rodzinnych gniazd młodzież nie zechce powrócić na ojcowiznę. Proletaryzacja chłopstwa oraz przeludnienie miast przybrały już ogromne rozmiary, przymusowa kolektywizacja zniszczy doszczętnie wieś. Rząd nieodpowiedzialnie podkopuje dobrobyt kraju. Oby nie pożałował w przyszłości! To, co nam z panią, Elżbieto Giorgiewno, jest drogie – zdrowe rosyjskie środowisko chłopskie – już... nie istnieje!

Zamilkliśmy, potem znów zaczął mówić:

– Dyktatura proletariatu – jest w tym coś odrażającego! Proletariat jest najbardziej zepsutą i chorą częścią społeczeństwa o chwiejnych zasadach moralnych, która oderwała się od patriarchalnego układu, nie przyswajając sobie w zamian dóbr kultury. I ta właśnie klasa ma zakosztować władzy, otrzymać największe prawa, rozzuchwalić się i szczuć przeciwko innym warstwom społecznym – straszny to eksperyment, który może na zawsze zniszczyć naród. A do tego Azjaci, których w takim nadmiarze werbuje się na katów, pełno ich w organach GPU. Rosja śmiertelnie zachorowała i nie wiadomo, czy kiedykolwiek wyzdrowieje!

Zapewne dostrzegł, że oczy mam pełne łez i uścisnął mi rękę, ja zaś wyszeptalam: czy rzeczywiście niczego, naprawdę niczego nie można zrobić?

– Miła panno! Musi minąć wiele lat, zanim pięknie wrzód i siły dojrzeją do walki. Ale i wtedy nie wiadomo, czy można będzie cokolwiek działać bez impulsu z zewnątrz. Proszę zrozumieć, że obecnie nie możemy na nikogo liczyć i nie ma mowy o jakiegokolwiek konspiracji: nawet dwie-trzy osoby nie mogą się z sobą spotkać, ażeby natychmiast o tym się nie dowiedziano. Wszak nie bez powodu prowadzona jest przestępcza akcja zagęszczania mieszkań, przekształcania ich w wielorodzinne, co znakomicie ułatwia wzajemne szpiegowanie! Władza sowiecka nie gardzi żadnymi metodami, przekonałem się o tym jeszcze w siedemnastym roku. Słyszała pani zapewne o ofensywie lipcowej podczas dwuwładzy? Czy pani wie dlaczego – jak oni to mówią – „zadławiła się”? Wiem, jak było, osobiście brałem udział w walkach! Rząd Tymczasowy rzucił hasło: „Wojna do zwycięskiego końca”, mogliśmy wówczas pokonać wroga! Działaliśmy w pełnym porozumieniu z Ententą, otrzymaliśmy w nieprzeliczonych ilościach amunicję bojową, nie jest prawdą, że jej brakowało. Gromadziliśmy ją przez lata obrony nad Dźwiną, a i sojusznicy nam pomogli; byliśmy jeszcze silni. Niemcy zaś już słabli. Tak niewiele pozostawało do zrobienia! Wystarczyłyby ze dwa miesiące wyteżonych walk, a popędzilibyśmy Niemców jak za Suworowa, czy potem Francuzów. Przekreśliło wszystko rzucone przez bolszewików hasło „Precz z wojną!” Rozumieli oni, że zwycięska Rosja wyjdzie z wojny wzmocniona, gdy tymczasem dążyli do jej upadku, zniszczenia! I cóż! Dopięli swego: odsłoniли front i wezwali do bratania się z Niemcami, skutki znamy! Nigdy nie zapomnę lipcowej ofensywy: podczas gdy wiele oddziałów ruszyło do natarcia, inne zbuntowały się pod wpływem bolszewickiej agitacji! Najgorszy to rodzaj zdrady, porzucenie towarzyszy broni, rodaków Rosjan, gdy ci idą do ataku, nacierają, walczą! Dowodziłem wówczas „kompanią śmierci”, przerwaliśmy się przez zasieki z drutu kolczastego i zajęliśmy szereg umocnionych pozycji nieprzyjacielskich, zapędziliśmy się bardzo daleko i... okazało się,

że jesteśmy osamotnieni. Wezwaliśmy posiłki, chcąc ruszyć dalej, wysłaliśmy łączników – cisza! Nikt nie pospieszył nam z pomocą, żadnej odpowiedzi! Nawet oddziały sanitarne nie nadciągnęły. Zostaliśmy zdradzeni, porzuceni. Nie mogliśmy zrozumieć, co się stało! Na moim odcinku frontu atak był tak udany, że nie mogłem uwierzyć w polecenie odwrotu, gdy wreszcie do mnie dotarło. Zażądałem pisemnego potwierdzenia decyzji Brusilowa i utrzymywałem pozycję do wieczora, aż ordynans generała dostarczył mi rozkaz na piśmie. Niemcy mogli nas sto razy okrążyć i zgnieść, lecz ogłuszeni naszym uderzeniem pozostali bierni. Elżbieto Gieorgiewno, cofaliśmy się po trupach naszych towarzyszy i mijaliśmy kolczaste zasieki, na których bezsilnie wisieli nasi ranni – i nikt nie spieszył im z pomocą! Nasze męstwo zostało zhańbione, wyszydzone! Wkrótce dotarliśmy do miejsca, gdzie poległ niemal cały batalion kobiecy, widok rozszarpanych ciał był wstrząsający, niesamowity! Coraz bardziej przyspieszałem kroku, odwracając w przerażeniu głowę. Przypominało to ucieczkę! Wszystkiego się spodziewałem, tylko nie tego, wierzyłem w zwycięstwo wielkie, rozstrzygające. Zbliżało się, było w zasięgu ręki... Zniweczyli je bolszewicy! Od tego dnia stali się moimi śmiertelnymi wrogami! I potoczyło się, im dalej, tym gorzej. Pod wpływem bolszewickiej propagandy gwałtownie załamywała się dyscyplina, ostatecznie ją podciął taki drobiazg, jak zniesienie obowiązku oddawania honorów wojskowych. Mnożyły się przypadki niesubordynacji, samosądów nad oficerami, przestawano widzieć w nas dowódców. Do obłędu doprowadzała mnie myśl, że tracimy czas i ułatwiamy Niemcom zebranie sił, okrzepienie. Na własną odpowiedzialność próbowałem organizować wypadki rozpoznawcze, niekiedy wręcz brawurowe, niejednokrotnie zapuszczaliśmy się kilka kilometrów za linię frontu, nie napotykając nikogo, oprócz Rosjan, takich jak my ochotników-zwiadowców. Niemców ani śladu, ich umocnienia były puste! I w takiej właśnie sytuacji bolszewicy, wzywając do zbratania, odsłaniali front! Sukcesy w tej wojnie były marnotrawione! Świadomość tego prowadziła do szaleństwa! Wkrótce dowiedziałem się, że bolszewicka komórka jednej z

uległych jej propagandzie kompanii wydała na mnie wyrok śmierci, za rzekomo mój znaczny wpływ na otoczenie, które zachęcam do kontynuowania wojny, a także za to, że jakoby uosabiam męstwo rosyjskiego oficera. Tak jest, Elźbieto Giorgiewno, już wtedy zapadł na mnie wyrok, jednak kilku życzliwych żołnierzy uprzedziło mnie o spisku. Początkowo nie chciałem wierzyć i pewnego razu przez nieostrożność nieomal wpadłem w ich łapy; sam wszedłem do ich gniazda, do schronu, w którym znajdowali się żołnierze wspomnianej kompanii; dwóch szybko zagroziło mi wyjście, gdy się zorientowałem, wcisnąłem się w róg z wyciągniętą szablą i rewolwerem. Wymieniali spojrzenia, ale ociągali się wiedząc, iż nie sprzedam tanio swego życia i pierwszy, który ośmielił się podejść, padnie trupem. Nikczemność nie chodzi w parze z odwagą! Tymczasem mój ordynans z kilkoma wiernymi żołnierzami przyszedł mi z pomocą. Tegoż dnia wezwany zostałem do generała, który oświadczył, że wydał rozkaz wysłania mnie na urlop, dodając: „Proszę możliwie prędko wyjechać, wiem na pewno, że rada żołnierska wydała na pana wyrok skazujący. Czy zdaje pan sobie sprawę, jak łatwo zabić oficera? Podczas nocnego obchodu lub na pierwszej linii... Wszystko można zwalić na zabłąkaną kulę niemiecką! Radzę po ojcowsku, pragnąc uratować panu życie. Tutaj nic pan nie zdziała, tacy oficerowie, jak pan, nie są teraz potrzebni!

Zresztą w najbliższych dniach rozpocznie się demobilizacja”. I uściskał mi rękę... Tacy oficerowie, jak ja, nie są teraz potrzebni! Chciałbym więc wiedzieć, jacy są potrzebni? Oleg umilkł i już spokojnie dodał:

– Zdarzyło się to na miesiąc przed zdobyciem Pałacu Zimowego.

Miałam ochotę jeszcze o niejedno go wypytać, lecz wróciła Francuzka, która z właściwą sobie żywością zaczęła opowiadać, jaki to Nina Aleksandrowna odniosła sukces i otrzymała kosz wspaniałych kwiatów. Asia z Natalią Pawłówną po koncercie poszły do niej. Rozmowa nasza się skończyła! Gdy odchodziłam, miał ponad 38°, chyba się zbyt zdenerwował. Moja wina, lecz nie

chę, żeby przeszłość pokrył popiół zapomnienia, po stokroć się nie godzę!

13 lutego. „Tacy oficerowie, jak ja, nie są teraz potrzebni!” To zdanie niby niewidzialny klucz otworzyło moje serce i znowu modliłam się w uniesieniu, o jakim pisałam przed kilkoma dniami. Modliłam się za Rosję, potem za niego, aby ominęła go piekielna zemsta i dane mu było stać się Pożarskim naszych czasów! Po takich modlitwach jakoś dziwnie iść do pracy i wciągać się do kieratu codziennych obowiązków... Żyję podwójnym życiem.

14 lutego. Znowu byłam u nich z bańkami i zastałam ich ogarniętych paniką; przybiegła jakaś Agasza, typ dawnej służącej, która ze wzburzeniem powtarzała: „Młodego pana wyganiają do Karagandy, a panią Tatianę Iwanownę rozboleło serce i sama już nie wiem, co u nas teraz będzie!” Wszyscy byli przejęci. Asia zbladła jak ściana, Natalia Pawłowna podeszła do niej i ucałowała w czoło:

– Nie denerwuj się, Kruszyno. O ile wiem, Walentyn Płatonowicz spodziewał się tego z dnia na dzień. Natychmiast idę do Tatiany Iwanowny.

W tym momencie z sypialni wyszedł Oleg i skierował się prosto do przedpokoju. „Pójdę z Natalią Pawłowna do Walentyna” – oznajmił sięgając po czapkę. Zaczęliśmy go przekonywać, tłumacząc, jak ryzykowne jest wychodzenie z gorączką, do tego jeszcze po postawieniu baniek. Asia uwiesiła mu się na szyi, delikatnie, lecz stanowczo odsunął ją mówiąc: „Nie trać niepotrzebnie słów, Walentyn jest moim kolegą” – i wbrew wszystkim wyszedł. Asia pochlipując powtarzała: „Jakże mi żal Tatiany Iwanowny, utraciła dwóch synów i pozostał jej tylko Walentyn Płatonowicz. Bardzo mi jej żal!” Spytałam, kto teraz pozostanie z tą damą. „Jest z nią Agasza, dawna niania z dwiema swymi wnuczkami” – wyjaśniła Asia, madame zaś dodała: „*Madame Frolovsky a un bon coeur, mais ces deux fillettes, dont*

*elle a élevée et mignardée, sont impertinentes et ignoles*⁵⁹ Potem poprosiła mnie, żebym została na herbacie i pomogła jej zająć się Asią. Uspokajając ją kilkakrotnie powtórzyła: „*Allons, ma petite! Courage!*”⁶⁰ Siedziałyśmy we trójkę przy herbacie, w atmosferze niepokoju. Francuzka wyszperała starą dziecinną grę „Powoli jedziesz – dalej zajedziesz” i wciągnęła nas do niej; z zapamiętaniem rzucała kostki i przy niepowodzeniu wykrzykiwała: „*Sainte Geneviève! Sainte Catherine! Ayez pitié de moi!*”⁶¹ Wreszcie udało się jej rozśmieszyć Asie. Wyszedłam od nich, nie doczekawszy się ani Natalii Pawłowny, ani Olega. Już w przedpokoju przy pożegnaniu Asia aluzyjnie napomknęła: – Wie pani, nigdy nie rozmawiam z Olegiem o latach wojny, dla niego to chodzenie po ostrzu brzytwy!

Przy całej subtelności prośby zrozumiałam, iż przekazał Asi naszą rozmowę. W tym wypadku nie zamierzam jednak stosować się do tej sugestii, chociaż mówiła wzruszającym głosikiem. Stała dygocząc z zimna i otulała się starym szalem, narzuconym na chudziutkie ramiona. Niemniej dostrzegłam zmiany w jej figurze. Zdenerwowana i smutna budziła we mnie współczucie, ale równocześnie kolejny raz uświadomiłam sobie, iż wszystko, co się bezpośrednio z nią wiąże, zdobi ją, dodaje rzadkiego uroku, nawet ciąża, przez którą musi przejść każda baba. Śliczna, utalentowana, uwielbiana, stale narażona na niebezpieczeństwa, a teraz jeszcze wdarły się w jej młodziutkie życie męska namiętność i przyszłe macierzyństwo. A tymczasem gdzieś tam spleatany jest już dla niej cierniowy wieniec – wszystko to otacza ją cudnym, wzruszającym blaskiem. Zapewne dlatego, ku memu zaskoczeniu, ulegam jej urokowi. Widocznie nie należę do kobiet, które pragną pognać rywalkę, a przecież umiem nienawidzić!

⁵⁹ Madame... – Madame Frołowska ma dobre serce, lecz dziewczynki, które wychowała, są bezczelne i niewdzięczne.

⁶⁰ Allons... – Na, mała, odwagi!

⁶¹ Sainte... – Święta Genowefo! Święta Katarzyno! Ulitujcie się nade mną!

Rozdział dwunasty

Kiedy stary stróż, Jegor Własowicz, wychodził ze swego pokoju z nieodłącznymi okularami na nosie, mawiał, że w ich kuchni spełnia się pradawne biblijne proroctwo, głoszące, iż nastanie czas, gdy za grzechy ludzi przy jednym ognisku krzątać się będzie kilka gospodyń. Rzeczywiście: pięć stołów i pięć kubłów na śmieci stojących rzędem świadczyło o pięciu oddzielnych gospodarstwach, stłoczonych w jednej kuchni. Stół byłej księżnej wyróżniał się zazwyczaj stosem brudnych naczyń, natomiast stoły Annuszki, Nadieźdy Spiridonowny i Katuszy jakby rywalizowały lśniąca z czystości ceratą. Zaskakująco pusty był stół Wiaczesława, rozpierał się na nim jedynie prymus. Niezależnie od tego, czym różniły się stoły, tylko Annuszka troszczyła się o zachowanie schludności w tej przepowiedzianej przez proroka kuchni. Tego ranka ledwo skończyła myć podłogę i rozłożyła czyste chodniki, jakby na złość zaczęło się dzwonienie do drzwi i łażenie. Pierwszy przyszedł Wiaczesław, sunąc do swej nory sążnistymi krokami, za nim śmignął z tornistrem Mika, potem Katusza w towarzystwie kudłatego chłopaka. Wtedy Annuszka już nie wytrzymała i nawrzeszczała na nich, że zabrudzili podłogę! Następnie zjawiała się jakaś uczennica i spytała o Mikę. Annuszka obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem: miała ze szesnaście lat, zniszczony paltocik, z którego dawno wyrosła, wytarty pluszowy beret, zziębnięte, poczerwieniałe bez rękawiczek ręce kurczowo trzymały starą, zniszczoną, lecz skórzaną teczkę. Niemniej z jej twarzy i spojrzenia przebijało coś „pańskiego” (ściślej mówiąc – po prostu inteligenckiego). Dziewczynka widząc mokrą podłogę pospiesznie zapewniła:

– Proszę się nie bać, nie zabrudzę! Ściągnę buty i przejdę w pończochach – tymi przeprosinami zawczasu rozbroiła Annuszkę.

Gdy już wyszła, trzymając w rękach buciki, stróż zauważył:

– Coś mi się widzi, że koło naszego Miki zaczynają kręcić się panienki?

Spostrzegawcza Annuszka z powątpiewaniem pokiwała głową:

– Od razu widać, że mądra, takiej głupoty nie w głowie! Pewno z jakimś interesem.

Sprawa była poważniejsza, niż Annuszka mogła przypuszczać. Mary zwierzyła się Mice, że Pietia co dzień rano idzie rzekomo do szkoły, ale w niej się nie pokazuje. Wieczorami nie odrabia lekcji, a gdy ostatnio myła rano podłogę, znalazła jego tornister za kufrem.

– Już jutro postaram się go przekonać, żeby ci wszystko opowiedział. Nic złego nie robi, poszedł do pracy. Dwudziestego przyniesie pierwszą wypłatę – wyznał po dłuższym proszeniu Mika.

– Trzeba go namówić do powrotu do szkoły. Choćbyśmy mieli jeść sam chleb. Jestem wybuchowa i boję się, że gdy sama zacznę rozmowę, pokłócimy się. Przekonaj go, na mnie już czas – i wstała do wyjścia.

– Poczekaj, zjemy razem śniadanie, zostawiono mi dwa kotlety i brukiew. Chyba ci nie przeszkadza, że z jednego talerza? To twoje, a to moje, a tędy przebiega linia demarkacyjna.

Wzięli widelce. Spojrzenie Mary zatrzymało się na zapisanych kartkach, rozrzuconych na biurku Miki w artystycznym nieładzie.

– Co tam masz? Nowe wiersze?

– Tak, humorystyczne. Jeszcze nie dopracowane, przeczytać ci? Dałem tytuł „Młodzieniec a genealogia”:

*Pra-pra-pradziadkowie, wasze epoety
Przegonią nas z tego świata!
Pra-pra-prababcie, w jedwab się otulałyście
Waszych pra-prawnuków losy powikłałyście.
Ojcowie i wujowie, za wasze biografie
Dawno zastużyliście na niechlubne epitafia!
Kuzyni i bracia*

*Z woli sowieckiej
Pędzą żywot
W Klasztorze Sołowieckim.
Teraz ja, z czołem zasepionym niczym Hamlet
Czekam, co fortuna wyszykuje dla mnie:
Na uniwersytecie być mi albo nie być
I jak skutecznie mam swych przodków skryć?!*

W tym miejscu, nie wiem dlaczego, coś mnie przyhamowało.

– Bardzo dobre, dowcipne, zdolny jesteś, Mika, a ja choć żadnym talentem nie zostałam obdarzona, mogę wszystko robić. Miernotą jednak się nie stanę, mam ideę przewodnią, a to znaczy bardzo wiele. Moja mama... jest naprawdę zadziwiająca... nigdy nie narzucała nam swojej żarliwej wiary, nie wygłaszała kazań, nie zmuszała do postów czy modlitwy. Kiedy miałam dziesięć lat, byłam krnąbrna i często się upierałam: „Nie chcę”, „Nie będę”. Rozgniewany ojciec mówił wówczas: „W niedzielę nie pójdziesz do teatru”, albo „Siadaj, weź zeszyt i przepisz dziesięć razy dyktando z francuskiego, w którym porobiłaś błędy”. Mama wieczorem rozmawiała ze mną, życząc przed zaśnięciem dobrych snów. Mówiła ze smutkiem: „Dzisiaj znowu zapomniałaś o swej nieśmiertelnej duszy. A przecież dopóki jesteś mała, odpowiadam za ciebie przed Bogiem. Zasmuciłaś mnie i dziś w nocy będę się modlić na twoją intencję.” Innym razem: siedzimy przy obiedzie i zaczyna się jak zwykle: – „Mary, podaj solniczkę, Pietia, zawiąż serwetkę”. Papa mówi: „O! Kapuśniak z wieprzowiną! Świetnie!” Pietia przyklaskuje. Ja natomiast zaglądam mamie do talerza, a w nim postna zupa jarzynowa, którą zjada ukradkiem. Kilkakrotnie zastałam ją podczas modlitwy, a kiedy zabierali papę, pożegnała go słowami: „Niech cię Bóg prowadzi! Tutaj, czy już tam, na pewno jeszcze się spotkamy”.

Po śniadaniu wyszli na korytarz i natknęli się na Katuszę, która już odprowadziła swego dwudziestominutowego gościa. „*Elle*

*est de nouveau perdu!*⁶² – patetycznie komentowała taką sytuację Nina. Zaciekawiona wizytą Katusza kręciła się po korytarzu. Mary przystanęła, lecz Mika nieoczekiwanie szybko chwycił ją za rękę i odciągnął na bok:

– Nie ma powodu do zawierania takiej znajomości!

– Dlaczego? – zapytała zdumiona.

– Jeśli nie rozumiesz, lepiej żebyś nadal nie rozumiała. Podaj mi rękę, inaczej się potkniesz, na korytarzu ciemno, widzisz, oszczędzamy światło! Jeden drugiego szpicluje. Nasz student-rabfakowiec obiecał zmyć mi głowę, jeżeli nie będę za sobą gasić. Ale niech tylko spróbuje! Jeszcze zobaczymy, kto komu zmyje. Nareszcie dobrnęliśmy! Jutro do ciebie przyjdę. Do zobaczenia.

Annuszka, stróż i Katusza obserwowali ich.

Nazajutrz Mary skarżyła się na prokuratora, który nie zechciał mówić z nią o matce, a także na ciotkę, bowiem ta bezceremonialnie oświadczyła: „Nie mam czasu na wysłuchiwanie ciebie. Jutro w moje urodziny wydaję proszony obiad, przyjdź – zapraszam, tylko bez Pieti, ostatnim razem miał brudne ręce, a do tego obrzydliwie posługuje się nożem i widelcem, będę się za niego wstydzić”.

– Tak bardzo poczułam się dotknięta! Odpowiedziałam, że lepiej będzie, gdy nie przyjdę, nie miałam jednak pieniędzy i musiałam poprosić o pożyczkę, wówczas ciotka stwierdziła: „Wiedziałam, że teraz się zaczniesz!” Poczułam dławienie w gardle: „Mama tak nie mówiła, gdy mieszkaliście u nas na utrzymaniu ojca!” – wykrzyczałam i jak strzała wypadłam na schody. Słyszałam, że ciotka wrzasnęła: „Grubianka” – zatraskując za mną drzwi.

Mika zacisnął pięści.

– Ropucha! Podła ta wasza ciotka! Nie lepsza od naszej Spiridonowny! U was nieszczęście, a jej w głowie jaśniepańskie maniery, widelec nie tak trzyma!... Co za nonsens!

⁶² Elle est... (fr.) – Znow upadła!

– Nie, Mika, to nie bzdury. Widzisz, Pietia nie jest łobuzem, wystarczyłoby delikatnie zwrócić mu uwagę: patrz, jak przy stole trzymasz widelec. A ciocia mówi w taki sposób, jak gdyby był ubogim krewnym, jakimś oberwańcem, do którego wstyd się przyznać. Przy papie nigdy nie odważyłaby się tak powiedzieć. Już po pierwszym niepowodzeniu wszystko wokół człowieka się zmienia! Papa, który dobrze znał łacinę, często cytował powiedzenie, zapamiętałam je: „*Donec, eris felix, multos numerabis amicos. Tempora fuerint nabiła, solus eris*”. Wiesz, co to znaczy? – I przetłumaczyła własnymi słowami łaciński tekst: Dopóki jesteś szczęśliwy, wielu będziesz liczył przyjaciół. Gdy szczęście odchodzi – wokół robi się pusto.

– To nieprawda, Mary! Nie waź się tak myśleć. Przekonasz się o mojej wierności wobec was obojga, zobaczysz!

Petia znalazł nie najłżejszą pracę jako pomocnik w brygadzie robotników, układających przewody gazowe, cały czas na powietrzu. Byłaby do zniesienia, gdyby nie dźwiganie ciężarów i zimno.

Kiedy pewnego ranka Mika zaszedł do Mary, otworzyła mu drzwi z zapłakanymi oczami.

– Coś ty? Co się stało?

– Znowu z Pietia wojuję. Mówiłam, że przeziębę się w swojej kurtce – i wykrakałam: wczoraj wychodząc był już ciężko chory, a dzisiaj ma trzydzieści dziewięć! Oto skutki jego pracy!

Mika wszedł do znajomego mu, jeszcze nie tak dawno przytulnego pokoju. Jak stopniowo zmieniał się jego wygląd!... Na stole nie było serwety, we flakonie kwiatów, przed świętymi obrazami nie płonęło światło, miniaturowe zdjęcia pokrywała warstwa kurzu; pokojowi, jak i dzieciom, brakowało troskliwej ręki. Pietia w ubraniu leżał na matczynym łóżku okutany w pled.

– Zostawcie mnie w spokoju! Chcę tylko mamy. Światło lampy razi mnie nieznośnie w oczy, mamusia dawno by się domyśliła, że trzeba je czymś zasłonić. Daj spokój, Mika, nie będę

jadł. Nic mi nie trzeba, chcę, żeby mama wróciła!

– Pietia, mówisz jak małe dziecko! Też tego pragnę, ale to przecież niemożliwe.

– Jeśli tak, to nikogo i niczego nie potrzebuję, proszę zostaw mnie w spokoju!

– Nie waż się do mnie tak mówić, wstrętnych chłopcze! Nie jest mi lżej niż tobie – wykrzyknęła Mary zanosząc się płaczem. – I tak przez cały dzień! Co mam z nim zrobić? – A może – dodała niezdecydowanie – pomimo wszystko powiadomić ciotkę?

Pietia natychmiast siadł na łóżku:

– Jeśli tylko zbliży się do mnie, cisnę w nią tym kandelabrem. Zamilczcie, proszę! Głowa mi pęka od waszego trajkotania! Mamusia poruszałaby się bezszelestnie, wy zaś stukacie i skrzypicie butami, jakbyście mi gwoździe w głowę wbijali.

Mika i Mary spojrzeli na siebie z zakłopotaniem.

– Pomóż mi, proszę, zawieźć na sankach do antykwariatu tatusiową encyklopedię Brockhousa. Podczas nocnej narady postanowiliśmy z Pietią ją sprzedać – szepnęła – musimy cioci zwrócić dług. Mam nadzieję, że papa nie pogniewa się na nas o te książki.

– Pieniądze prześlij pocztą, sama nie zanoś! – wykrzyknął nieposkromiony Pietia. – Niech zrozumie, że nie chcemy jej widzieć.

Nazajutrz Nina poprosiła Mikę, żeby pojechał do Ługi i nadał stamtąd paczkę dla Siergieja Pietrowicza. Oleg, który podjął się tego, leżał z zapaleniem opłucnej. Ponieważ przesyłki z żywnością w ogromnych ilościach szły z Leningradu na głodującą prowincję, władze zarządziły, że można je wysyłać jedynie z miejscowości oddalonych o sto wiorst od dużych ośrodków miejskich. Zeszedł mu na tym cały dzień, tak że lekcje musiał odrabiać późno wieczorem. Następnego dnia wprost ze szkoły pognął do przyjaciół.

Mary powitała go wiadomością, że Pietia majaczy, w nocy ciągle przyzywał mamę, a teraz rozwiązuje zadania algebraiczne i rozprawia o dwumianie Newtona.

Mika podszedł do przyjaciela:

– Co z tobą, staruszkę? Daj łapę! Pozdrawia cię tabun kopytowców. Masz jabłko. Pietia, czy mnie słyszysz? Co się z tobą dzieje? Czyżbyś mnie nie poznawał?

Mary zaszlochała:

– Był doktor, pobiegłam wczoraj po staruszkę, który nas leczył w dzieciństwie. Zapalenie płuc. Tu mam zapisany telefon szpitala, do którego kazał dzwonić, żeby przyjechali po Pietię. Mama jednak zawsze była przeciwna szpitalnemu leczeniu. Gdy miałam zapalenie płuc, poila mnie ciepłym mlekiem. Wczoraj za ostatniego rubla kupiłam dla niego, a on trącił mnie i całe się rozlało.

Mice udało się ją jakoś przekonać.

Po godzinie pogotowie zabrało chłopca.

Następnego dnia w informacji szpitalnej Mika i Mary przeczytali: „Stan ciężki. T. 40° z kreskami. Nieprzytomny. Nocą spodziewany kryzys”.

Słowo „kryzys” znali z powieści i wydało im się straszne.

Nazajutrz zaraz po lekcjach Mika pobiegł do szpitala. Gdy przecinał pędem dziedziniec, przy siatce okalającej szpitalny park dojrzał znajomą postać w kusym płaszczyku i pluszowym berecie; stała z głową opartą o ogrodzenie, w czarnym warkoczu brak było nieodłącznej wstążki.

– Co się stało, Mary?

Dziewczynka spojrzała na niego oczami pełnymi łez i znowu wtuliła twarz w kołnierz.

– Mary, mówże!

– Powiedzieli mi... powiedzieli... mój Pietia nie żyje. Mika

zdrętwiał... Nie ma Pieti? A co z przyjaźnią? Co z przysięgą, że wszystko będą robili razem...

– Wiedziałam, że naprawdę go kochasz! Mika, drogi! Nie płacz!

– Nie płacz! – zapewnił ją pospiesznie i szybko przetarł ręką oczy.

Główka w berecie przyłgnęła do jego ramienia.

– Wiesz, widziałam go. Zaprowadzili mnie do kostnicy, jest całkiem zimny i ma nieruchomą twarz. Wzięłam jego rękę – lodowata, A jeszcze złościłam się na niego, gdy mnie odtrącał, przecież był nieprzytomny, majaczył. Dlaczego zawsze jestem taka niedobra? Ileż to razy mama powtarzała, że każde złe słowo odczuję kiedyś jak wyrzut sumienia. Jak teraz wrócę do pustego domu? Gdzie mam się podziąć.

Dopiero w tym momencie uprzytomnił sobie, że ogrom jej nieszczęścia nie jest mniejszy niż jego. Wziął ją pod rękę, czego do tej pory nigdy nie robił.

– Chodź, musisz się uspokoić, odprowadzę cię.

– Miko, co powiem mamie, gdy wróci? Wejdzie do pokoju i spyta: gdzie Pietia? Co wtedy odpowiem? A papa? Tak go kochał! Wiesz, gdy Pietia miał siedem lat, przypatrywał się kiedyś papie grającemu w szachy z przyjacielem i nagle powiedział: „A ty, papo, poszachrowałeś”. Dorośli roześmiali się, a nasz Pietia w ciągu minuty odtworzył na szachownicy poprzednią sytuację, w której popełniono błąd i udowodnił, że papa zrobił niewłaściwy ruch koniem. Pamiętam zachwyty ojca. Posadził Pietię na ramieniu i powtarzał: przyszły Czigorin! A jaki dumny był z jego matematycznych zdolności! Co będzie, gdy się dowie?

Mika pomyślał nagle o życiu pozagrobowym. Wszak przynosi pocieszenie. Dlaczego nie przyszło mu ono do głowy wcześniej. Chciał o tym powiedzieć Mary, lecz po raz pierwszy coś go powstrzymywało od rozprawiania o prawdach chrześcijańskich. Stały się jakby bardziej ważne, głębokie, rzeczywiste, zaś wszelkie

słowa okazywały się banalne. Trzymając się za ręce, prawie w milczeniu doszli powoli do ulicy Konnej, żeby powiadomić Bractwo oraz uzgodnić udział chóru w mszy żałobnej. Stamtąd powlekli się do niej, do wyziębionego, ziejącego pustką pokoju. Mika wstydził się przyznać, że jest głodny, ale Mary go uprzedziła:

– Postawię czajnik, trzeba coś zjeść, bo sił nam nie starczy, już prawie ósma, a od rana nic nie miałam w ustach.

Mika wyjął z tornistra kanapki. Mary z progu pokoju z czajnikiem w ręku wyjrzała na korytarz, potem się odwróciła.

– Wiesz, mam wroga – szepnęła.

– Wróg? Któż to taki?

– Rudy ślusarz, przed rokiem dostał przydział na gabinet papy. Przedtem zupełnie nie zwracał na nas uwagi, teraz, gdy tylko mnie spotka w korytarzu, zawsze szarpie za warkocz, popycha, kiedyś boleśnie uszczypnął. Wczoraj, gdy w łazience myłam ręce, podkradł się i przygniótł mi głowę do kranu, tak że zamoczyłam włosy.

– Co za bezczelność! Powinnaś dać mu porządnie po łapach.

– Próbowałam, ale tylko rechocze, bo nie śmieje się jak człowiek, lecz rzy. Słowa nie robią na nim żadnego wrażenia. Boję się teraz na niego natknąć.

Mika z z troskaniem spojrział na dziewczynę.

– Chodźmy razem. Niech no tylko spróbuje przy mnie – powiedział buńczucznie.

Jednakże rudy młodzian nie pojawił się. Gdy po godzinie zegnał się z Mary, dostrzegł, że drżą jej wargi, a w oczach ma łzy.

– Smutno mi i strasznie boję się pozostać sama! – cicho wyznała dygocząc.

Kiedy padło słowo „sama”, niespodziewana, nowa, ostra jak nóż myśl przeszła świadomość Miki.

– Czy twoje drzwi można zamknąć?

– Wychodząc zamykamy na kłódkę. Widziałeś ją przecież wiele razy.

– Nie o to chodzi. Czy możesz zamknąć się od wewnątrz?

– Nie, kiedyś był haczyk, ale dawno się złamał.

– Kto jeszcze mieszka tutaj oprócz ciebie i ślusarza?

– Stara jędra, stróżka, całe noce pilnuje sklepu. Jej pokój jest zamknięty.

– Jutro przybiję do twoich drzwi zasuwę – obiecał Mika – szkoda że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej, teraz wszystkie sklepy są zamknięte – i zdumiony, że zajmuje się sprawami tak odległymi od jego dotychczasowych doświadczeń życiowych, dodał: – Wiesz, Mary ...uważam ...myślę, że powinnaś bardzo wystrzegać się tego typka.

Zachnęła się.

– Gdyby chciał romansować, próbowałby mnie objąć, a on za każdym razem pragnie sprawić mi ból.

– Prawdopodobnie jest to wyjątkowo prostacki sposób zalotów.

Zamilkła, widocznie coś zrozumiała.

– Nie ma nikogo, kto by się za mną ujął.

Znowu doświadczył nowego uczucia, ogarnęło go wielkie, bardzo męskie wzruszenie wobec jej słabości i bezbronności.

– Chcesz, tej nocy zostanę z tobą? Przecież przy twojej mamie często nocowałem. Prześpię się w ubraniu, na kufrze przy drzwiach, dobrze?

– Mika, najmilszy! Dziękuję ci. Oczywiście, że chcę. Możesz położyć się na łóżku Pieti, nie na kufrze. Nastawimy budzik, żebyś nie spóźnił się do szkoły. Szlachetny jesteś!

Wkrótce po zgaszeniu światła usłyszał w korytarzu obok ciche skradające się kroki, pamiętał że kontakt znajduje się na

zewnątrz przy drzwiach i, gdy wyskoczył z pokoju, od razu włączył światło; przed nim stał wysoki rudy chłopak, starszy od niego o jakieś pięć lat.

– Co tu robicie, obywatelu? – surowo spytał Mika. Ten z minutę na niego się gapił, nim odpowiedział:

– Kaloszy szukam, boję się, że zginęły.

– Dziwne, w środku nocy potrzebne są wam nagle kalosze! – najbardziej wojowniczym tonem, na jaki mógł się zdobyć, indagował go Mika.

– Wybaczcie, towarzyszu! Nawet do głowy mi nie przyszło... Najspokojniejszy ze mnie człowiek... Skąd mogłem wiedzieć, anim pomyślał, że miejsce już zajęte – i chłopak zrejterował w głąb korytarza.

– Co tam się dzieje? – zawołała zza kredensu Mary.

– Nic. Śpij – i Mika znów się położył.

W dwa dni później odbył się pogrzeb Pieti.

Anastazja Filipowna przejawiała początkowo chęć czynnego uczestnictwa w uroczystości pożegnalnej na cmentarzu, chciała, żeby była obecna cała klasa, wyznaczyła nawet kilku uczniów do przemówień nad grobem, wciągnęła do przygotowań nauczyciela matematyki i przeprowadziła zbiórkę pieniędzy na wieniec. Jednakże gdy dowiedziała się, że trumna zostanie wystawiona nie w auli szkolnej, lecz w cerkwi i w dodatku odbędzie się nabożeństwo żałobne, wycofała się i odżegnała od wszelkiego udziału w pogrzebie. Kilku uczniów przyszło pojedynczo z własnej inicjatywy. Chór Bractwa zebrał się w pełnym składzie i chłopcy na własnych ramionach przenieśli trumnę z cerkwi do grobu.

Gdy po pogrzebie Mika żegnał się z Mary, była już opanowana i powiedziała niemal spokojnie:

– Zamieszkał teraz na Konnej. Siostra Maria wróciła ze szpitala i przysłała kartkę, że do powrotu mamy weźmie mnie do swego pokoju. Odwiedzaj mnie. Dopiero teraz zrozumiałam, ile ci

zawdzięczam. Nie wiem, co w tych dniach zrobiłabym bez ciebie!

Słowa te utrwaliły się w jego pamięci wraz z delikatnym zapachem narcyza, który zabrał z trumny Pieti.

Rozdział trzynasty

Na początku Ninie śniło się dziecko, dziewczynka – trzymała ją na kolanach, przewijała, usypiała kołysanką, obydwie z córeczką miały ogromne niebieskie kokardy jak na angielskiej pocztówce, którą się niedawno zachwycała. Zaraz potem zobaczyła małą w swoim łóżku: miała pulchne rączki i główkę pachnącą świeżymi malinami, jak niegdyś u jej nowo narodzonego synka. Chłoneła we śnie miły, jakże znajomy zapach niemowlęcia, owinęła palec sterylną gazą i serdecznym matczynym gestem wsunęła go do buzi maleństwa. Wyczuła pierwszy ząbek i fala radosnego ciepła wypełniła jej serce, wyrываяc ze snu. Obudziła się, lecz wokół była pustka! Pomyślała z goryczą: kończy się marzec, pozostałyby tylko trzy miesiące, a ona wszystko zepsuła!

Dla Niny dawno stało się oczywiste, że mężczyzna ów nie darzył jej wyjątkową miłością. W nowym romansie obywatelo się bez czulości i wspólnych pasji, uzdolnienia muzyczne człowiek ten miał mizerne, żadne. Był wdowcem i mieszkał z dorosłym, żonatym już synem, usilnie zabiegał, żeby związek ich zachować w tajemnicy. Ninę, choć też jej na tym zależało, obrażało jego konspirowanie. Nie mając gdzie się spotykać, widywali się rzadko i przelotnie, co nadawało ich spotkaniom osobliwy charakter, czym również czuła się urażona. Nie mogła pozbyć się myśli, że okłamując męża zachowuje się jak niegodna go żona, świadomość ta zatruwała jej chwile miłosnych uniesień.

Czasem nachodziło ją pragnienie pokajania się przed mężem, żeby móc przy spotkaniu spojrzeć mu w oczy. Przekonywała jednak siebie, że byłby to ryzykowny krok, poza tym nie można pognębiać moralnie człowieka i tak dostatecznie nieszczęśliwego; wystarczy, jeśli zakończy romans i postanowi nigdy więcej nie błądzić. Tak będzie najsluszniej!

Sny z pojawiającym się dzieckiem do reszty pozbawiły ją wewnętrznej równowagi. Zdecydowała się, że zerwie z kochankiem, latem pojedzie do Siergieja i w ten sposób uwolni się

z oplątującej ją pajęczyny.

Decyzję konsekwentnie zrealizowała. Umówieni byli w kawiarni Kwisisana; pragnąc za wszelką cenę uniknąć wyjaśnień, które mogłyby zachwiać jej postanowieniem, przygotowała zawnazasu list, by oddać go przy pożegnaniu, nie podkreślając przy tym jego wagi:

„Dzisiaj widzieliśmy się po raz ostatni. Przystałam na zbliżenie z Panem, ponieważ czułam się bardzo samotna i opuszczona. Szukałam zapomnienia. Teraz zrozumiałam, że poczucie winy wobec męża jeszcze bardziej mnie unieszczęśliwiło. Nie chcę usprawiedliwień, bowiem nie Pan, lecz wyłącznie ja ponoszę winę. Proszę nie odpowiadać i zapomnieć o mnie. Niech wszystko tak się toczy, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. Życzę szczęścia. Nina Bologowska.”

W kuchni czekała na nią kolejna niespodzianka. Annuszka, nalewając jej szcudrą ręką do talerza barszcz, gderliwie powiedziała:

– Latawica! Trafił ci się porządny człowiek, to i siedz cicho. Nie tobie w głupoty się pakować. Z tej swojej Marinki bierzesz przykład, czy jak? Uważaj, twoja teściowa ma dobre oko.

Mogła oczywiście przerwać staruszce, powiedzieć: nie wasza sprawa! lub: nie wam mnie pouczać! Natychmiast jednak przypomniała sobie stałą macierzyńską troskę, jaką Annuszka okazywała jej od dziecka, więc speszona milczała. Po chwili odstawiła na stół pusty talerz i odruchowo wyciągnęła ku starej kobiecie ręce, objęła ją, a potem jej policzek bezwiednie przyłgnał do drugiego, pomarszczonego.

– Nie denerwujcie się, Annuszko, żadnych głupot nie będzie!
– wyszeptała z nutką winy w głosie.

– Jak nie będzie, to dobrze. A usta po co malujesz? Pewno mnie wysmarowałaś. Stary pan za nic na coś takiego by nie pozwolił.

– Teraz to w modzie, Annuszko. A do tego jestem artystką.

Przecież mnie i Mikę ktoś musi utrzymywać.

Podczas spotkania w kawiarni zachowywała się z właściwym sobie niezrównanym taktem – żona Cezara pozostająca ponad podejrzeniami! Oznajmiła, że do ich wieczornego spotkania nie dojdzie z powodu nieprzewidzianego koncertu i, już wyskakując z taksówki, podała mu przez okno list, sama zaś szybko pobiegła do bramy... Stało się! Zdenerwowana przemierzała pokój, wyobrażając sobie, jak po kolei czyta każdą linijkę... Policzki jej płonęły. Wieczorem przytulona do piersi Natalii Pawłowny niczym mała posłuszna dziewczynka nieśmiało spytała, czy w czasie jej urlopu istnieje możliwość zorganizowania podróży na Syberię.

– Też o tym myślę, Ninoczko. Pozostało mi niewiele wartościowych rzeczy, ale raczej czegoś odmówię sobie czy Asi, a pomogę ci wyjechać.

Przypuszczalnie zapadł już wyrok na inkrustowany stolik, łańcuch z brązu i być może wisiorek z rubinem. Asia, wciąż jeszcze traktowana jako panienka, nosiła turkusy, i resztki babcinej biżuterii, spoczywające w aksamitnych futerałach, nie zaprzętały jej wyobraźni.

Nina poważnie zaczęła przygotowywać się do drogi. Teraz wiedziała, że wszystko, co się z nią wydarzyło, opowie Siergiejowi i niech jej wybaczy, albo... Nie, na pewno jej przebaczy! Drogi! Kochany!...

Kiedyś wieczorem, gdy wróciła z koncertu, Annuszka przekazała jej list. Od Siergieja! Coś przeczuł! Po otwarciu koperty dostrzegła jednak nieznanomy charakter pisma.

„Wielce Szanowna i Przepiękna Nino Aleksandrownno!”

Na moment przerwała. Co za wyszukany zwrot? Kto tak może pisać? I odwróciwszy kartkę spojrzała na podpis: „Pani pokorny sługa Jakub Siemionowicz Gorfunkel”. Ach!

To ten dziwak antropolog, Żyd z Żurawinki! Czy aby Siergiej nie zachorował?

„Wielce Szanowna i Przepiękna Nino Aleksandrownno! Proszę

nie posądzać mnie o zuchwalstwo, za to że podjąłem się obowiązku napisania do Pani. Wydarzenie, o którym piszę, nie jest smutne, chciałbym, żeby mogła Pani dojrzeć jego radosną stronę: mąż Pani, najszlachetniejszy, najmądrzejszy, najbardziej utalentowany człowiek – żyje, jest pogodny, wesoły, lecz wędrowkę swą kontynuuje teraz pod szczególną opieką, otoczony niezwykłą troską. Siły wyższe uznały za wskazane zaoszczędzenie mu różnych bolesnych, niespodziewanych ciosów i uchronienie od wszelkich marności tego świata, aby mógł bez cierpień wznosić się ku Światłu, gdzie kiedyś swobodnie rozwiną się i rozkwitną także nasze obolałe, zdeptane przez życie dusze, i gdzie się ze sobą na pewno spotkacie”.

Nina opuściła rękę, w której trzymała list. Co to znaczy? Nie! Niemożliwe!

Zaczęła czytać dalej.

„Wiem, widzę, czuję teraz, jak ból, wielce szanowna Nino Aleksandrowno, przepelnia Pani serce i dzielam go. Gdyby na to, co zaszło, mogła Pani spojrzeć moimi oczami! Czymże jest śmierć wobec wieczności?”

Nina krzyknęła rozpaczliwie i upuściła list. Annuszka odwróciła się w jej stronę.

– Boże, co się wydarzyło! Dobrodziejko, Nino Aleksandrowno, co z tobą?

– Annuszko, Annuszko! – zawołała chwytając się za głowę.

– Matko Przenajświętsza! Co się stało? – Annuszka wycierając o fartuch rękę podeszła do Niny, która kurczowo przyłgnęła głową do ramy okiennej i powtarzała:

– Boże, Boże, Boże!

W tym momencie w rogu pojawił się Mika.

– Co się z Niną dzieje? – zapytał przestraszony.

– Widzisz, ledwo wzięła się za list i zaczęła go czytać, jak nie zajęczy, jak nie zacznie lamentować – wyszeptała zmartwiona

staruszka.

Nina rzeczywiście jęczała, nie krzyczała, nie płakała, lecz jęczała przytulona do ramy okiennej. Mika świadomy swego niepodważalnego prawa podskoczył i pochwycił list. „Wielce Szanowna i Przepiękna!” – oto jak piszą do jego siostry – znać nie wszyscy patrzą na nią jak on, z góry! Gdy doszedł do miejsca, w którym list wypadł jej z ręki, również przerwał czytanie.

– Nino, Nino, uspokój się! Nino najdroższa! – podbiegł do siostry i objął ją. – Annuszko – proszę mi pomóc! Stało się nieszczęście z Siergiejem Pietrowiczem!

Na progu pojawiła się zwabiona ich głosami Katusza.

– Chodźmy do pokoju. Wstań, Ninoczko! Spójrz na mnie, przestań! – i nagle z wściekłością wrzasnął na Katuszę: – Czego sterczysz i się gapisz? Ciekawe widowisko, co? Czy ty możesz zrozumieć nieszczęście przyzwoitej kobiety? Nic po tobie przy mojej siostrze!

Katusza, która nie spodziewała się takiego wybuchu, szybko czmychnęła do siebie. Annuszka z Miką odciągnęli Ninę od okna, zaprowadzili do pokoju i położyli na kanapie. Mika wrócił do kuchni, żeby pozbierać kartki i doczytać do końca. Z każdej linijki przebijało coś niezwykłego – żarliwa wiara w cudowne życie pozagrobowe.

Gdy powrócił do Niny, zastał ją siedzącą na sofie.

– Śmierć... tak, śmierć! Co się mogło wydarzyć? – gubiła się w domysłach. – Przecież był zdrowy. Na jakim świecie żyjemy?

Mika podbiegł do telefonu, lecz siostra niespodziewanie niczym cień pojawiła się obok i przytrzymała go za rękę.

– Do kogo dzwonisz? Na miłość boską, tylko nie do Bologowskich! Przecież staruszka ma chore serce, a Asia przy nadziei. Bez uprzedniego przygotowania nie wolno przekazywać im takich wiadomości!

– Chciałem do nas ściągnąć Marinę Siergiejewnę.

– Marinę! Tak, oczywiście! Zadzwoń do niej. Do Olega również, ale do pracy, na Boga, nie do domu.

Gdy pół godziny później Marina podeszła do sofy, na której miotła się Nina, ta podniosła się i, nie zwracając uwagi na obecność Annuszki, zaczęła wykrzykiwać:

– Oto kara! Oto rachunek! Za zdradę, skrobankę, za zwątpienie! Zasłużony odwet! Mój list nie zdążył dojść! Za późno! Co za straszne słowo „za późno!”

Marina obejmowała ją próbując uspokoić, powtarzała, iż wybierając się do niego wystarczająco dowiodła swej miłości. List Jakuba Siemionowicza doczytali do końca. Opisany w nim przebieg wydarzeń porażał tragizmem; z kolejnej wyprawy do tajgi nie powrócili na miejsce zbiórki ani Siergiej Pietrowicz, ani jego współtowarzysz-kryminalista. Zesłańcy byli przekonani, że zabłądzili, zaś władze podejrzewały ucieczkę. Po uporczywych dokładnych poszukiwaniach, już drugiego dnia przy pomocy psów znaleziono ciało Siergiej a Pietrowicza, na ślad kryminalisty nie natrafiono. Jakub Siemionowicz był przekonany, że popełniono morderstwo. Zastępca komendanta od owej pamiętnej sceny w lesie, gdy został zabity Rodion, znenawidził Siergieja Pietrowicza i zaczął włączać go do każdej partii wysyłanej do tajgi, dając mu za współtowarzysza mordercę-recydywistę... Trup miał tak zmasakrowaną głowę, że twarzy niemal nie można było rozpoznać, ale był to Siergiej Pietrowicz. Czaszkę miał tak wykreconą, że zdaniem lekarza, mógł to zrobić tylko niedźwiedź lub ktoś potężnym uderzeniem kamienia. Następnej nocy ciało zabrano nie wiadomo dokąd. Kiedy trzeciej nocy zesłańcy zebrali się w lepiance na obrzeżu osady i odśpiewali modlitwę „Wieczne odpoczywanie...”, prawie wszyscy płakali.

Marina czytała głośno list i przez cały czas ocierała łzy. Mika zaszył się w kącie i przysłuchiwał się, wyraźnie wstrząśnięty. Ledwo skończyli, do pokoju wszedł pośpiesznie Oleg, wprost z portu.

Gdy dowiedział się o tragedii, też doszedł do wniosku, że Natalii Pawłownie oraz Asi do czasu narodzin dziecka i jej

okrzepnięcia, nie można powiedzieć o śmierci Sergieja Pietrowicza. Wszyscy uznali, że jest to najrozsądniejsze wyjście.

Wspólnie ustalili, że spreparują w imieniu Siergieja Pietrowicza dwa-trzy listy, w których powiadomi, iż skaleczył się w rękę i pod jego dyktando pisze sąsiadka, w związku z czym wiadomości od niego będą zwięzłe i ogólnikowe. Oleg z Niną mieli wspólnie opracować kilka takich listów, antydatowanych o jakieś dwa tygodnie, a nadanych za miastem. Dobroduszne istoty nie będą badać pocztowych stempli, sprawa skomplikuje się dopiero gdy zaczną przygotowywać paczkę, lecz w takim wypadku nietrudno będzie znaleźć wyjście:

– Naturalnie przesyłkę nadam sam – powiedział Oleg – przecież Asia nie będzie taszczyć ciężkiej paki za miasto. Przyniosę ją do pani, Nino, i przesiedzę tu cały dzień. I tyle.

Od razu przygotowali pierwszy list, który Marina podjęła się przepisać, żeby charakter pisma nie wydał się znajomy. Obiecała przy tym przepisywać wszystkie następne.

Po paru dniach Nina zebrała siły i poszła do Natalii Pawłowny. Gdy ta zaczęła głośno odczytywać jej otrzymany list od syna, atmosfera stała się nie do zniesienia.

– Szkoda, że nie napisał bardziej szczegółowo, czym skaleczył rękę i w jakim miejscu – zauważyła Natalia Pawłowna – boję się, żeby nie przeszkodziło mu to w grze na skrzypcach, zwłaszcza gdyby uszkodzone zostały ścięgna. Co pani sądzi, Ninoczko?

Trzymała się ostatkiem woli, a jednak się rozplakała.

– To nerwy! Bardzo się stęskniłam... Nie mogę już doczekać się wyjazdu... – wyszeptwała.

– Chyba nie wytrzymam! – zwierzyła się Olegowi, który wyszedł ją odprowadzić. – Dobrze, że za dwa tygodnie nasz zespół wyjeżdża na tournée po Powołżu. Wczoraj się dowiedzieliśmy. Gdy wrócimy, Asia będzie już matką, a pan musi mi obiecać, że powie im podczas mojej nieobecności...

Później przy bramie swego domu powiedziała na pożegnanie:

– Wszak jesteśmy przyjaciółmi? Znamy swoje grzechy i nawzajem je sobie wybaczymy. Nie wszyscy są tak nieskazitelni jak pańska Asia. Pan i ja oberwaliśmy tak od życia, że... Bóg, jeśli istnieje, okaże miłosierdzie i nie potępi nas. No co, jesteśmy przyjaciółmi?

Gestem z dawnych lat pochylił się nad jej ręką:

– Tak, Nino, i pozostaniemy nimi na zawsze.

Rozdział czternasty

– Nie pojedę – kategorycznie odmówiła Lela, gdy matka zaczynała dowodzić, iż wypadałoby odwiedzić Frołowską, która utrzymywała się z wyprzedaży rzeczy i za ostatnie grosze wysyłała synowi paczki do Karagandy. – Nie ma to sensu! Tylko postawię się w fałszywym świetle *belle fille*⁶³. Pomóc jej w niczym nie możemy, a towarzystwa staruszek mam powyżej uszu. Ty lubisz sobie z nią popłakać, mnie to nie bawi!

Na Wielkanoc spełniła jednak prośbę. Matka Walentyna Płatonowicza – Tatiana Iwanowna Frołowska – ucieszyła się z wizyty, od razu zaprowadziła Lelę do swego pokoju i zaczęła pokazywać małe domowe muzeum, skromny odgradzony kącik. W tym samym pokoju mieszkała z dwiema wnuczkami niania Agasza, która wychowała wszystkie dzieci Frołowskich. Za parawanem stało łóżko oraz mały stylowy stolik zastawiony miniaturowymi fotografiami, flakonikami i bibelotami, które Tatiana Iwanowna miała nadzieję uratować przed zakusami dziewcząt. Smętne resztki świetnej przeszłości były wspomnieniem po dawnym, wykwintnie urządzonej buduarze i przechowywały pamięć dotyku delikatnych palców młodziutkiej Tani Frołowskiej: biały słoń z podniesioną trąbą, wenecki wazonik, mały Budda z zagadkowym uśmiechem; porcelanowa pisanka z bukietem fiołków pamiętała wielkanocne pocałunki, życzenia i podarunki, a flakonik garachowski do tej pory zachował woń drogich perfum – zapach niezapomnianej przeszłości... Z fotografii spoglądały twarze bliskich, którzy zginęli na wojnie z Niemcami, w walkach z bolszewikami, w więzieniach Czeki...

– Oto moja przestrzeń życiowa. Zebrałam tutaj wszystkich bliskich, żeby nie czuć się tak bardzo samotnie. To moi synowie: starszy, Kola, zginął pod Królewcem, a Andriej – na pewno go widywałeś, bywał czasem u Zinaidy Glebowny – umarł w osiemnastym roku w wojsku na tyfus, mój biedny chłopiec. A tu

⁶³

Belle filie (fr.) – narzeczonej.

Walentyn, najmłodszy. Na tej fotografii jesteście oboje, pamiętasz, kiedyś na kinder-balu przebrana byłaś za Czerwonego Kapturka, a on za Wilka, tańczyliście razem i nie sięgałaś mu jeszcze rączką do ramienia. A na tym zdjęciu cała nasza rodzina w majątku męża, na werandzie obrośniętej bluszczem i chmielem. Ku zaskoczeniu Leli, Tatiana Iwanowna mówiła o wszystkim najzupełniej spokojnie, jakby wpatrując się w odległy obraz, i dopiero gdy zaczęła opowiadać o listach z Karagandy, z jej zmęczonych oczu niepowstrzymanie popłynęły łzy.

– Wiem, że nie pisze mi prawdy, lecz czytam pomiędzy wierszami! Jest bardzo dobrym synem, zawsze stara się mnie nie zmartwić i nie zaniepokoić, mężem byłby zapewne najbardziej czułym i oddanym, zaś na cynika tylko pozuje. Miałam nadzieję, że stanie się pani dla mnie córką, wezmę was oboje pod swoje skrzydła i zamieszkacie obok w sąsiednim pokoju... Jakże bym was kochała!

Objęła i przytuliła do siebie dziewczynę.

– Iwanowna! – wdarł się w ich rozmowę donośny bezczelny głos. – Gdzie podziałaś swoje korale? Położyłam je na fortepianie, żeby później włożyć, a ty je od razu zachapałaś!

Lela zdumiona gwałtownie się wyprostowała, pomimo wszystko takiego tonu się nie spodziewała.

– Co to znaczy? Co za zuchwałość – krzyknęła.

– Ciszej, ciszej, kochana! Daj spokój – szepnęła przestraszona Frołowska. – Potem porozmawiamy. Wejdz, Daroczko. Widzisz, mam gościa. Naszyjnik schowałam, bowiem fortepian, przyznasz, nie jest dla niego odpowiednim miejscem. Weź, jeżeli chcesz go włożyć.

Dziewczyna weszła nieco speszona, spojrzała z ukosa na Lełę, wykrzywiła usta i sięgnęła po naszyjnik z miną, jakby mówiła: „biorę z łaski”! Wyszła.

– Jak pani może ścierpieć taki ton? – oburzyła się głośno Lela, chcąc, żeby tamta usłyszała.

– Co robić, moja droga! – cicho powiedziała Tatiana Iwanowna. – Nie mam prawa ich wykwaterować, skoro nie posiadają mieszkania, same zaś się nie wyprowadzą.

Oczywiście niezmiernie tu ciasno, nie mam nawet gdzie kłaść pasjansa, karty rozkładam na poduszce. Godzę się z tym jednak, samej byłoby trudno, winda nie działa, a na wspinanie się na drugie piętro przy zapaleniu mięśnia sercowego nie starcza mi sił. Kupują wszystko, o co poproszę. Choćby dzisiaj, Daroczka przyniosła mi mleko i bułkę. Zarówno ona, jak i Tonią, nie są złe, ale niewychowane. Agasza od rana do wieczora zgina dla nich grzbiet, służy u mego znajomego akademika, żeby zapracować dla dziewcząt na kino i szmatki, a one wrzeszczą na nią jeszcze gorzej niż na mnie. Gdy przychodzą do nich przyjaciółki lub kawalerowie, a Agasza jest w domu, chowają ją u mnie za parawanem. Zaczęły się jej wstydzić. W głowie się to nie mieści!

Podniosła się, żeby wyciągnąć aksamitny futerał.

– Są to, moja droga, rodzinne, jeszcze moje panięskie perły. Przeznaczyliśmy je na prezent ślubny dla ciebie. Weź, proszę. Kto wie, może Walentyn powróci... Dziecko drogie, nie spieraj się ze mną. Nie żądam od ciebie obietnic, rozumiem, jak krucha jest nadzieja. Ale źle się czuję i nie chciałabym, żeby perły dostały się tym dziewczętom. Ocaliłam je, powtarzając wciąż w kuchni i na korytarzu, iż są to zwyczajne szkiełka, nie warte nawet pięciu rubli. Niech zdobią twoją szyję.

Lela potrząsnęła głową.

– Nie mam prawa przyjąć takiego prezentu... Przecież można je sprzedać... Jest teraz pani tak trudno!

– Nie, moja droga! Nie zrobię tego. Te perły są niezwykle, dziedziczne. Włóż, zapnę je na tobie. Gdybyś mogła sobie wyobrazić, jak mi ogromnie smutno, ale przy swoich dwudziestu latach nie jesteś w stanie tego pojąć.

Zaledwie Tatiana Iwanowna z Lelą usiadły do herbaty, z trudem lokując chińskie filiżanki i czajniczek na skrawku stolika,

rozległ się dzwonek i w pokoju pojawiła się znajoma postać Szury Krasnokutskiego, z jego okrągłymi, dobrymi czarnymi oczami. Natychmiast w ślad za nim, nie czekając na zaproszenie, wślizgnęła się Daroczka. Błyskawiczne zawistne spojrzenie na Lele było aż nazbyt wymowne: patrzcie ją, szlachecką lalę! Być może jej bystre oczy już wypatrzyły perły. Daroczka po pojawieniu się Szury zmobilizowała swoje wdzięki, za najskuteczniejsze widocznie uznała ciągle, głośnie chichotanie.

Podnosząc się do wyjścia Lela niewinnym głosem spytała:

– Jak zdrowie waszej babci? U kogo teraz służy? Pamięta pan, Szuro, nianię Agaszę? Taka dobra, miła staruszka, druga Arina Rodionowa – i zerknęła na Daroczkę, rozkoszując się efektem swej złośliwości. Z tym samym skrytym zamysłem pozwoliła Tatianie Iwanownie przy pożegnaniu objąć się i ucałować. Lecz zaledwie wyszli z Szura na schody, momentalnie przestała się uśmiechać:

– Szuro, co to wszystko znaczy?

– Tak, sytuacja jest beznadziejna, niestety zmienić jej nie można. Tatiana Iwanowna miała prawo je zameldować, natomiast nie może ich wymeldować, kolejny absurd naszego życia. Często u niej bywam, odnoszę na pocztę korespondencję i chodzę po komisach z jej kwitami. Doskonale wiem, co tam się dzieje. Poważnie obawiam się, że dziewczuchy zaczną sprowadzać kawalerów i jeśli któraś wyda się za mąż, wtedy tylko patrzeć, jak ściagnie męża. Poza tym systematycznie okradają Tatianę Iwanownę, a ta z niepojętej dobroci, czy może obojętności, przystaje na to i jedynie nie chce, żeby dowiedział się o tym Walentyn, a także stara Agasza, próbuje oszczędzić im zmartwienia. Niewykluczone, że gdy Walentyn powróci (jeżeli pozwolą!) nie będzie miał gdzie mieszkać! Tatiana Iwanowna długo nie pociągnie, a dziewczuchy z innymi lokatorami rozpanoszą się w całym mieszkaniu.

Lela milczała.

– Panienko moja, aniele boży! – usłyszała niespodziewanie

na skřęcie schodów; stara Agasza owinięta w chustkę chwyciła jej ręce i zaczęła całować. – Jakaż radość nas spotkała! Dzięki za pamięć o mojej pani! Słabuje teraz bardzo! Ale dziwować się trudno, ostatniego syna zabrali. Prawie każdego wieczora zachodzę do cerkwi Przemienienia Pańskiego, żeby karteczkę na jej intencję na ołtarz położyć, lecz na razie nie ma i nie ma dla niej polepszenia. Proszę zaglądać do niej, narzeczono ty nasza, najmilsza!

– Dziękuję, Agaszo, za serdeczne słowa, ale narzeczoną nie byłam – chłodno zareagowała Lela wysuwając ręce z pomarszczonych dłoni staruszki – jeżeli jesteście tak oddana Tatianie Iwanownie, poskromcie lepiej swoje wnuczki, odnoszą się do niej niedopuszczalnie grubiańsko i przywłaszczają sobie jej rzeczy.

Szybko zbiegła na dół. Szura dopędził ją i od razu zmienił temat, niemniej odniosła wrażenie, iż nie aprobeuje niefrasobliwości, z jaką rozwaliła mur wzniesiony przez Tatianę Iwanownę, aby ukryć przed Agaszą postępowanie jej wnuczek.

– Proszę przekazać Ksieni Wsiewołodownie moją radę, żeby była ostrożniejsza – powiedział Szura. – *Curriculum vitae* jej małżonka staje się nazbyt znane wielu osobom, wczoraj roztrząsano je na imieninach u pani Diderichs. Wszystko to ludzie godni szacunku, lecz nie zawsze wystarczająco przezorni!

– Dziękuję panu, Szuro! Przekażę. Co z pana praca?

– Gorzej być nie może, ledwie udało mi się urządzić w zakładach „Bolszewik” jako tłumacz przy dostawach maszyn. Ale kilka dni temu dopadło mnie przeziębienie, w nocy gorączka podskoczyła do trzydziestu dziewięciu, mama rano wezwała lekarza, a sama leczyła mnie aspiryną i herbatą z malinami. Wtedy, jak na nieszczęście, zaszedł ojciec Christofor, protojerej Tworożkowskiego domu zakonnego. Mama darzy go wielką estymą. Trzeba trafu, że akurat w chwili, gdy poczęstowany został herbatą – nie wcześniej, nie później – wpadła lekarka z przychodni rejonowej; popatrzyła na batuszkę, na mamę w peniuarze, na

mnie wylegującego się na kanapie pod portretem generała obwieszono orderami i z nieprzejeźdźcą wrogą miną wpakowała mi termometr. Tymczasem w wyniku maminych starań temperatura spadła mi do trzydziestu sześciu. Owa współczesna Jezabel spojrzała na termometr, krzywo się uśmiechnęła i powiedziała: „Kiedyż wreszcie wszystko to się skończy!” I poszła sobie. Zwolnienia nie dała, a w rezultacie wylano mnie z pracy za bumelanctwo.

Lela aż jęknęła i na chwilę przystanąła.

– Przecież przy grypie nie zawsze jest temperatura... Co miała na myśli mówiąc: „...wszystko to się skończy?”

– Nas, mnie, mamę, ojca Christofora, panią. Niemniej proszę się nie przejmować. Jakoś to będzie. Przeżyjemy. Bywa gorzej!

„I będzie!” – groźnie zahuczała przelatująca obok nich rozpędzona ciężarówka. „I bę-ę-dzie!” – złowieszczo podchwytyjąc zawyła fabryczna syrena.

Z oczu Szury, o których Asia mówiła, że są „po psiemu wierne”, wyzierała straszna beznadzieja.

Żegnając się Lela wsunęła mu do rąk perły prosząc, by nie oddawał ich Tatianie Iwanownie, lecz po cichu sprzedał i pomógł Frołowskiemu.

– Pieniądze proszę dyskretnie na nią wydać lub przesłać do Karagandy – poprosiła go – ja nie mam prawa do przyjęcia takiego podarunku.

Rozdział piętnasty

Raz po raz zaglądając do skrzynki pocztowej Oleg miał nadzieję, że GPU w Żurawince poczuje się jednak zobowiązane do urzędowego zawiadomienia rodziny o śmierci zesłańca. Przemagając odrazę poprosił Chryczkę:

– Jeśli znajdziecie w skrzynce jakiegokolwiek listy do mojej żony czy teściowej, nie oddawajcie im, lecz przekażcie mnie. Powinno nadejść zawiadomienie o śmierci syna Natalii Pawłowny. Nie chcę, żeby na razie dowiedziała się o tym. Bardzo proszę, potraktujcie poważnie tę sprawę. Zapewniam, że gdybyście zwrócili się do mnie z prośbą o podobną przysługę, tobym ją na pewno spełnił.

Chryczko był akurat trzeźwy i dobrodusznie odburknął:

– W porządku, nie przekazywać, to nie przekażę! Co nam do tego? My tam nikomu źle nie życzymy. Niesłusznie macie nas za zwierzęta. Słyszysz, Kłaszko: jak przyjdą listy, tylko jemu oddawaj, a starej i młodej w żadnym wypadku.

Pewnego ranka Chryczko z ponurą i obojętną miną wręczył mu zaproszenie na Szpalerną, które podczas jego nieobecności osobiście pokwitował. Oleg, patrząc na wezwanie, zacisnął zęby. Gdyby ostatnio wpłynęły o nim jakieś dodatkowe materiały, nie zwlekaliby z aresztowaniem, ale w tym wypadku jest to kolejna próba – a nuż z czymś się wygada. Niemniej, w miarę jak podchodził do posępnego gmaszyska, serce waliło mu coraz rozpaczliwiej.

Nag znowu sprawnie przeegzaminował go z życiorysu, widocznie licząc, że Oleg na czymś się potknie i da się przyłapać na nieściskościach. Ponieważ zamysł ten się nie powiódł, spytał jakby mimochodem o zupełnie drobny szczegół z życia Walentyna Płatonowicza. Gdy tylko padło nazwisko kolegi, Oleg z zaostrzoną uwagą, aby nie dać się wciągnąć w pułapkę, którą wyczuł, z obojętną miną odpowiedział:

– Nie znałem wówczas Walentyna Płatonowicza, poznaliśmy się na moim weselu.

– Czyżbyście się razem nie uczyli? – zainteresował się niby przypadkowo Nag, z najniewinniejszym wyrazem twarzy.

– Nie miałem przyjemności, nie wiem, jaką uczelnię ukończył Walentyn Płatonowicz – odparował Oleg.

– Nie mieliście przyjemności? Wy tłumaczcie więc, skoro znacie się dopiero od niedawna, dlaczego wieczorem w przeddzień jego wyjazdu zjawiliście się u niego w mieszkaniu?

Znowu momentalnie znalazł odpowiedź.

– Jego matka jest starą przyjaciółką babki mojej żony, na której prośbę musiałem odprowadzić ją do Frołowskich. Natalia Pawłowna choruje na serce i bez opieki nie pozwalamy wychodzić jej na ulicę.

W oczach Naga pojawił się błysk.

– Zręcznie się wykręcasz! Ale do czasu, przyjacielu! Prędzej czy później przyłapię cię!

Przez chwilę milczeli.

– Wkrótce zostaniecie ojcem?

Oleg nie zareagował.

– Czemu nie odpowiadacie?

– A co powinienem odpowiedzieć?

– Czy nie zmieniliście decyzji odnośnie współpracy z nami? Pewny grunt pod nogami i dodatkowy zarobek mogłyby się wam obecnie przydać.

– Święta prawda. Niemniej trwam przy swoim postanowieniu.

– Tak... Jeszcze trochę poczekam. Dajcie przepustkę, podpiszę. Do rychłego spotkania! – I tym razem go wypuścił.

O wizycie w GPU Oleg opowiedział tylko Ninie, którą

odwiedzał niemal codziennie.

– Rzecz jasna, śledczy nie dysponuje wystarczającymi materiałami, żeby cię zdemaskować. Gdyby miał w rękę jakikolwiek dowód, nie wyszedłbyś stamtąd. Możliwe, że w końcu zaniecha sprawy, jak przekona się, iż nie posuwa się naprzód.

– Nie, Nino, nie odłoży jej, wciągnęła go jak rozgrywka sportowa. Jest nie tylko fachowcem, ale i swego rodzaju artystą. Wpadnę oczywiście w macki tego potwora z kazamatów, rzecz sprowadza się jedynie do pytania – kiedy?

– Życie z takim przeświadczeniem staje się koszmarem, zwłaszcza gdy spodziewacie się dziecka...

– Nawet o tym nie wspominaj. Szczerze mówiąc, popełniłem zbrodnię żeniąc się z Asią...

Tego wieczoru, kiedy pozostali sami, Oleg zapytał żonę:

– Powiedz, jak chciałabyś spędzić ostatnie dwa miesiące? Zrobię, co zechcesz.

Przytuliła głowę do jego ramienia:

– Chciałabym znaleźć się w polu, w lesie! Zaczęła się wiosna, śpiewają skowronki, zięby, kwitną zawilce. Tak dawno o tej porze roku nie byłam na wsi! Ale czy to możliwe?

Przez cały następny dzień nie odstępowała Olega myśl, jak trudno w bolszewickich warunkach spełnić najzupełniej niewinne i skromne życzenie uwielbianej istoty!

Wieczorem wstąpił na kilka minut do Niny, która przygotowywała się do wyjazdu na tournée.

– Moja ciotka – powiedziała – również rusza w drogę, jedzie do swej byłej pokojówki, u której każdego roku spędza lato. Dobrze byłoby wysłać tam Asie! Wieś położona jest na piaszczystym wzgórzu, otoczona lasami, okolica sucha, zdrowa i zaledwie o cztery godziny jazdy od Leningradu. Izba sąsiadująca z wynajmowaną przez ciotkę jest wolna i nawet mnie prosiła, żebym znalazła spokojnych letników.

Oleg uchwycił się tej myśli. Wynajęcie izdebki kosztowało tanio, miejsce było odludne i wszystko odpowiadało życzeniom Asi, a ponadto nie mogła tam do niej dotrzeć żadna niepożądana wiadomość.

Razem z Asią wyjechała Lela i Zinaida Glebowna. Po odwiezieniu pań Oleg wrócił wieczorem do domu i zaledwie wszedł do pustej sypialni, ogarnęła go przemożna tęsknota. Przysiadł na łóżku i niemal godzinę trwał w bezruchu. Szkoda każdego dnia, każdej nocy spędzonej bez ukochanej!

Któż to wie, ile czasu będzie potrzebne Nagowi, żeby ukończyć snucie pajęczyny i schwytać ofiarę...

W najbliższą sobotę popędził do Asi objuczony ciężkim plecakiem, jak przystało „letniskowemu mężowi”. Jak dotąd wszystko układało się pomyślnie; rozpromieniona czekała na niego na małym przystanku, zauważył, że skóra jej nabrała złocistego odcienia, a policzki zaróżowiły się i choćby dlatego warto było czekać cały tydzień!

Wieczór oraz następny dzień spędzili cudownie, spacerowali we dwoje po lesie, zbierali smardze, zawilce, piekli ziemniaki, opijali się mlekiem. Asia wylegiwała się w hamaku na słońcu. Oleg dopiero wieczorem przypomniał sobie, że przywiózł stos dokumentów do przetłumaczenia, po kolacji musiał więc zabrać się do pracy. Asia kręciła się obok.

– Chodź, pospacerujemy jeszcze trochę! Biała noc jest taka niepowtarzalna, fantastyczna! U podnóża góry nad rzeką znam miejsce, gdzie w krzewach czeremchy śpiewa słowik. Pójdziemy posłuchać?

Ponieważ odmówił, uprosiła go, aby puścił ją samą na dziesięć – piętnaście minut. Narzuciła płaszcz i wyślizgnęła się, on zaś zajął się przekładem.

Po przetłumaczeniu strony spojrzął na zegarek. Od jej wyjścia minęło pół godziny.

Przełożył jeszcze jedną stronę, a ona wciąż nie wracała.

Zaniepokojony wybiegł na ganek. Może poszła do obory? Lubi przecież przyglądać się dojeniu krowy. Lecz tam jej nie było. Może karmi chlebem owce? Ale w owczej zagrodzie też jej nie znalazł.

Majowy wieczór był przenikliwie chłodny i gdy Oleg popatrzył na schodzący ku rzece zagajnik młodych brzoź i czeremchy, spowijała je biała mgiełka, na jasnym niebie, akurat nad nimi, blado rysował się srebrzysty sierp księżyca. Białe pnie brzoź i rozkwitające kiście czeremchy mgliście zarysowanymi liniami i delikatnością kolorów przypominały obrazy Niestierowa. Słowik zaklaskał i zamilkł, pewno było mu za zimno.

– Asiu! – zawołał, coraz głębiej wchodząc w zarośla.

Wreszcie usłyszał w odpowiedzi „hej” i szczekanie pudła, a wkrótce piesek jak wełniany kłębek przytoczył się mu do stóp.

– Asiu! Gdzie jesteś? Wyjdź do mnie! Jestem na ścieżce!

– Chodź tutaj, nie mogę się ruszyć! – zadzwęczał jej głosik.

– Co się stało? – krzyknął i rzucił się w krzaki, skąd dochodził jej głos.

Oparta o drzewo stała w nieco dziwnej pozie – na jednej nodze.

– Wpadłam w potrzask, popatrz, przytrzasnęło mi nogę. Nie bój się, nie upadłam, zdążyłam uchwycić się za pień. Już z godzinę stoję na jednej nodze i zmarzłam.

– Potrzask? Co za historia? Dlaczego nie wołałaś?

– Bałam się ciebie przestraszyć i postanowiłam poczekać, aż sam przyjdiesz...

Oleg ukląkł i przy pomocy scyzoryka próbował uwolnić jej nogę.

– Gotowe! Jesteś wolny, mój lisku! Pokaż łapkę! – i zaczął masować jej zdrętwiałą stopę.

Zrobiła parę kroków, otrząsnęła się i dźwięcznie roześmiała.

Rozzłościł się:

– Tylko żarty ci w głowie! Czy muszę za tobą chodzić krok w krok? Na dziesięć minut zostawiam ją samą, a ona wpada w sidła. Nic lepszego nie znalazła do roboty! Cóż to, oczu nie masz? Ileż razy ci powtarzałem, że trzeba patrzeć pod nogi!

„Trzask, prask!” – Oleg zachwiał się i chwycił za drzewo:

– Nie rozumiem! Co się stało? Asia roześmiała się jeszcze głośniej:

– Czemu nie patrzysz pod nogi, drogi małżonku? Czy nie ma pan oczu, tropicielu śladów?

Rozzłoszczony Oleg na próżno próbował wyszarpnąć nogę.

– Jesteś, zdaje się, kontenta, że podarłem najporządniejsze spodnie? Nie waż się więcej chodzić do tego zagajnika, może się to źle skończyć. Ostatnie spodnie!... Nie rozumiem, co cię tak bawi!

Teraz musiał się pomęczyć, żeby siebie uwolnić, po czym kuśtykając wreszcie wrócili do domu. Za nimi biegł pudel z uniesioną tylną łapką, kulał widocznie z solidarności. Asia nie zgodziła się na ostrzyżenie Łady „na lwa”, pies wyglądał jak ogromny kłębek białej wełny i tylko trzy punkciki – nos oraz oczy – czerniały wśród jedwabistych pukli.

Rozdział szesnasty

Nadzieję Spirydonownę, jak wielu byłych ziemian, każdej wiosny ogarniała nieprzeparta tęsknota do pól i lasów. Marzyły się jej spaceru po młodej trawie, szukanie poziomek wśród pni i paproci, przyglądanie się pasącym owcom i krowom, wdychanie zapachu skoszonego siana, lecz nade wszystko – zbieranie grzybów, będące jej największą pasją. I jakkolwiek nie łatwo było na stare lata ruszać się z miejsca, pakować rzeczy i wlec się na wieś, gdzie musiała gnieździć się w pozbawionej wygód izdebce, nie potrafiła oprzeć się pokusie. Nadzieja Spirydonowna cieszyła się ogromnym przywiązaniem i szacunkiem swej byłej pokojówki Niuszy, która spędziła z nią młodość, towarzyszyła w zagranicznych podróżach i wciąż zwracała się do niej „panienko”. Co roku wiosną, w połowie kwietnia, owa Niusza pojawiała się w mieszkaniu Nadzieży Spirydonowny z wiejskimi nowościami:

– Czekamy na panienkę! Brat pokrył dach na nowo i schodki przy ganeczku poprawił, psa paskudnego, co skrzywdził panienki kotka, przegnaliśmy z obejścia. Krowa nam się ocielila, żurawinę i kiszony jabłka naszykowaliśmy, studnię wyczyściliśmy. Prosimy, będziemy serdecznie radzi!

Tym razem tradycyjne sprawozdanie wzbogacone zostało o nowe nadzwyczajne wydarzenie:

– Brat dobudował jeszcze jedną izbę, chętnie byśmy ją wynajęli.

Nowina ta zdecydowanie nie spodobała się Nadzieży Spirydonownie, przekonanej o swym wyłącznym prawie na pobyt w tym domu. Kiedy Nina uspokoiła ją wiadomością, że znalazła odpowiednich dla niej sąsiadów, a potem wyjaśniła, o kogo konkretnie chodzi, ciotka z niepokojem zawołała:

– Żonę Olega Andriejewicza? Ninoczko, przecież ona, zdaje się... zdaje się...

– Tak, Asia jest w odmiennym stanie. Ale co ciocię tak

wystraszyło? Opiekować się nią będzie starsza pani, siostra jej matki, zaś sama Asia jest łagodna i delikatna ponad zwykłą miarę.

Stara panna zmilczała, ale z jakiegoś jej tylko wiadomego powodu pozostała wielce niezadowolona.

Przyjechała piętnastego maja wieczorem, gdy Asia z Lelą zmęczone spacerem mocno spały. Po obudzeniu się rano usłyszała dziwne piski, które od razu wydały się jej mocno podejrzane. Odchyliła firankę. Na spłachetku łączki pod jej oknami zawsze na wiosnę żółciły się mlecze i podbiał. Nadieżda Spirydonowna była tak przywiązana do tego skrawka ziemi, że nie pozwalała go kosić. Teraz na tej łączce, czując się jak u siebie, siedziały na kłocu Lela i Asia grzejąc się na wiosennym słońcu, a obok nich uwijał się śnieżnobiały pudel.

– Pies! – wyszeptała. – Pies na mojej łączce, na terytorium mego Timura! Podepcze wszystkie mlecze i biedny kotek nie będzie miał gdzie pobiegać! Bezczelne są jednak te dziewczęta! A figurę młoda Daszkowa ma tak zdeformowaną, że niemiło patrzeć. Też ci przyjemność – zamążpójście.

Nadieżda Spirydonowna odznaczała się niezwykłą pedanterią w ubiorze, przy czym przywiązana była do starych rzeczy, które przerabiała i nicowała bez końca. Na czas pobytu na wsi corocznie przywoziła kolekcję osobliwych strojów, o których była przekonana, że są „w dobrym stylu”. Tym razem miała na sobie granatowy sarafan z narzuconą z wierzchu szarą „chlamidą” – tak bowiem nazywała płócienną czamarkę ściąganą w talii paskiem. Była drobna, wychudzona, wyschnięta na wiór. Do paska przyczepiała brzozową plecioną kobiałkę; do takiej jeszcze w młodości przywykła zbierać poziomki i choć te nawet nie zakwitły, nigdy nie wybierała się bez niej do lasu. W ręce trzymała duży sękaty kostur, bez którego również nigdzie się nie ruszała. Myśl, że za chwilę zobaczy ulubione miejsca, do których się przywiązała, tak przypominające jej rodzinną Czeriomuchę, napełniła wzruszeniem jej serce. Gdy przywiązywała koszyk i uzbrajała się w kij, w oczach jej pojawiły się ciepłe, serdeczne błyski. „Pójdę na

polankę rozejrzeć się, może pojawiły się już smardze. Tylko, żeby «im» nie przyszło do głowy zanudzać mnie rozmowami i łązić za mną po lesie” – myślała, zamykając na kłódkę swoje drzwi. Zaledwie jednak wyszła na zalane słońcem podwórze, została natychmiast osaczona przez Lełę, Asie i pudła.

Nadzieję Spiridonownę niełatwo było oczarować, speszyc, czy w ogóle zbić z tropu, zwłaszcza, że sama pozwalając sobie na lekceważenie konwenansów, których zasady doskonale знаła, od innych wymagała jednakże ich ścisłego przestrzegania.

– Bukiet? Po co! Kwiaty lubię sama zrywać. A już na pewno lepiej od was znam miejsca, gdzie rosną kampanule. Nie lubię spacerów w towarzystwie, zresztą gdy chodzę, milczę. Natychmiast zabierzcie psa, bo skrzywdzi mego kota. – I momentalnie odstraszyła od siebie dziewczęta.

Dopiero na widok zbliżającej się z miłym uśmiechem Zinaidy Glebowny, jej siwiejących włosów i zatroskanej twarzy, złagodziała nieco swój wojowniczy nastrój.

– Okolica śliczna, ale co to za „dacza”? – podjęła rozmowę Zinaida Glebowna. – Według naszych dawnych wyobrażeń dacza – to podmiejska willa, ładny dom, balkon z markizami, dzikie wino, gazon... A tutaj – prymitywny pokój, izba ze ścianą przylegającą do owczarni, nadaje się tylko dla takich zrujnowanych i zaszczutych „bezetów”, jak my. Poza tym niczego nie można dostać: ani sera, ani śmietany, jaj czy świeżych ryb – nic z rzeczy, których dawniej było na wsi pod dostatkiem. Chłopi nie mieli komu sprzedawać... Dopiero za bolszewików stało się możliwe, że na wsi wszystkiego zabrakło. Oleg Andriejewicz na własnych plecach przydźwigał trochę żywności, inaczej głodowałybyśmy, niczego nie można zdobyć!...

– À propos, mleko z rannego udoju jest zawsze dla mnie. Tak już się utarło – oświadczyła Nadieżda Spiridonowna.

– Proszę bardzo! Wszystko mi jedno! Chętnie będę brać wieczorem – pospiesznie zapewniła nieco zaskoczona Zinaida Glebowna.

Gdy przy furtce pojawiła się Niusza, stara panna kiwnęła głową Zinaidzie Glebownie i poszła w jej kierunku; przez kilka minut o czymś szeptały, po czym Nadieżda Spirydonowna weszła do lasu, zaczynającego się tuż za obejściem.

Wówczas Niusza podeszła do Zinaidy Glebo wny i z uśmiechem zaczęła jej tłumaczyć:

– Chciałam uprzedzić zawczasu... Ta łączka, co pod oknami mojej panienki... Uważają prawie za własną... proszę to uszanować i nie pozwolić swoim panienkom, żeby tam chodziły, a także siadały na przyzbie... Nie zgadza się też, aby pies wolno latał. Bo mogą być nieprzyjemności.

W rezultacie tego rodzaju niespodzianek, kiedy po pewnym czasie Nadieżda Spirydonowna pojawiła się przy furtce, nikt już nie wybiegł na jej powitanie. Lela szepnęła do Asi: „Idzie!” – i szybko przytrzymała psa za obrozę.

Nadieżda Spirydonowna być może doszła do wniosku, że rano zachowała się zbyt szorstko, niewykluczone, iż po prostu chciała pochwalić się trofeami, bowiem zwalniając kroku oznajmiła:

– Zabiłam przed chwilą dwie żmije, jedna spała na słońcu, druga wypełzła spod moich nóg i omal nie uciekła w krzaki. Na polance jest ich dużo, proszę o tym pamiętać. Każdej wiosny zabijam po kilka. Przez całe życie tą oto laską zatłukłam czterdzieści osiem żmij, prowadzę dokładny rejestr.

– Słuchaj, czy ona aby nie jest wiedźmą? – szepnęła Asia po jej odejściu.

Wieczorem podczas kolacji przy świeczce, matka Leli, nakładając na talerze pieczone ziemniaki, powiedziała:

– Opowiem wam, dziewczęta, coś zabawnego: dzisiaj nasza gospodyni, staruszka, co prawie nie schodzi z pieca, skarżyła się mi na Niuszę, która wszystkim tu rządzi, że razem ze swoją starą panienką są wiedźmami, ponieważ obie jakoby zachowują się osobliwie...

– Widzisz! Mówiłam ci! Pierwsza zauważyłam! – wykrzyknęła Asia.

– Starowina zapewnia – ciągnęła Zinaida Glebowna – że z jakieś dziesięć lat temu Niusza postanowiła powiesić się na strychu, wspinała się już po drabinie, gdy wtem usłyszała, jak z góry ktoś ją przywołuje strasznym głosem: „A chodźże tu, chodźże!” Przelekkła się i dalej nie poszła, lecz od tego czasu pokumała się z siłą nieczystą! Potrafi wzrokiem zakwasić mleko, zamawia kury, czuje słabość do czarnych kotów i kogutów, a do cerkwi nie można jej ani rusz zaciągnąć nawet na jutrznię...

– A na miotle lata? – rzeczowo spytała Lela obłupując kartofel.

– Dotychczas mi o tym nie meldowano – roześmiała się matka.

Rozigrana wyobraźnia nie próżnowała. Po kolacji Asia, chcąc umyć ręce w wiszącej na ganku umywalce, powinna była przejść przez ciemną sień, w której za beczką wody czaił się czarny kot. Zinaida Glebowna musiała ją konwojować z zapaloną świecą; ledwo zdażyły wyjść, gdy z piskiem dogoniła je Lela, twierdząc, że jak tylko została sama, ślepia kota rozżarzyły się niczym węgielki.

Od tego dnia ulubionym zajęciem dziewcząt stało się szeptanie o wiedźmach i ich obserwowanie. Pasjonowały się tym zajęciem niby krokietem czy siatkówką.

– Widziałam dzisiaj, jak jedna wiedźma cichcem wsunęła drugiej pięć jajek; nam nie daje, a dla przyjaciółki wyczarowała.

– Rano, kiedy wyszłam za zagrodę, Nadieżda Spirydonow na rwała trawę. Na pewno czarodziejską. Może to szalej?

– Krok ma wyraźnie wiedźmowaty. Drepcze szybko, nagle zatrzymuje się i opierając na kosturze rozgląda się wokół swymi strasznymi oczami.

– Dajcie spokój, dziewczynki! Nadieżda Spirydonowna zbierała szczaw na zupe! – perswadowała im Zinaida Glebowna.

Rozdział siedemnasty

W klinice Ottowskiej pod koniec czerwca sanitariuszka, która w godzinach przyjmowania przesyłek od rodzin przynosiła liściki od młodych matek do mężów, doręczyła między innymi i taki:

„Godzina 8 rano. Kochany Olegu, masz syna! Jesteś zadowolony? Czy bardzo się denerwowałeś? Zapewniają mnie, iż wszystko przebiegało dobrze, szybko, sprawnie, a jednak było tak męczące! Teraz mam to już za sobą, nic mnie nie boli, tylko czuję się rozbita i słaba, drzemię, budzę się i przez cały czas myślę o tym, że mam syna. Jeszcze go nie widziałam, gdy wreszcie wyjrzałam na świat boży, przelotnie zobaczyłam coś maleńkiego, różowego, przybrudzonego. Lekarz poklepał go po plecach, a ten zapiszczał. Był wczesny ranek, przez okna wpadały do sali promienie słońca, z przyszpitalnego parku słyszałam świergotanie ptaków. Wokół zrobiło się uroczyście. Doktor i pielęgniarka byli tacy dobrzy, serdeczni; on pochylił się nade mną mówiąc: «Gratuluje syna». Zaraz potem przewieziono mnie do innej sali, ułożono na plecach i zakazano siadania. Dziecko leży gdzie indziej, w izbie dla noworodków, o 12 godzinie obiecano mi przynieść je do karmienia. Dopiero wtedy przyjrzę mu się dokładnie. Niepokoi mnie teraz jedno: czy nadal będziesz sadzać mnie na kolanach, nazywać Koteczkiem, brać na barana i nosić po pokoju? A może nagle uznasz, że skoro jestem mamą, więc dorosłam, i zaczniesz traktować mnie poważnie, na serio? Byłoby to straszne. Poproś babcię, niech zaśpiewa ci arię z opery Rimskiego-Korsakowa «Baśń o carze Sałtanie»: «Dotrzymałam swego słowa...» – jest wyjątkowo piękna! Wybacz, że bazgrzę, lecz na leżąco trudno mi pisać.

Godzina 12.40 minut. Najmilsi, babciu, madame, Olegu, przed chwilą przynosząc mi do karmienia synka, powiedzieli: wspaniały egzemplarz! Jak się wam podoba takie określenie? Ja nie dostrzegam w nim żadnego piękna – buzia czerwona, usteczka bezzębne, oczka ciemnoniebieskie jak jagody, trochę opuchnięte,

podobno to obrzęk, który szybko przejdzie, noseczek miniaturowy, początkowo wydawał mi się perkaty, ale potem przyjrzałam mu się z profilu – całkiem przyzwoity. Loków nie ma, tylko jakiś puszek! Czapeczki od madame chyba się nam przydadzą... Tak, urodą nie grzeszymy! Przyglądał mi się dość uważnie, nie spał, jak większość pozostałych dzieci. Zapewne ciekawie jest przyjrzeć się tej, co nam dała życie! Potem mój wygląd wydał mu się niezbyt atrakcyjny, zaczął ziewać, kichnąć, wreszcie zasnął. Przypomniałam sobie, jak kiedyś tak samo zasnął na moich rękach zajaczek, którym opiekowałyśmy się z Lelą. Później zaczął się kręcić-wiercić, aż wreszcie osłabł. Salowa wyszła z pokoju, a mnie zaczęło się wydawać, że maluszek zaraz przełamie się i umrze. Omal się nie rozplakałam i z ulgą odetchnęłam, gdy po niego wróciła. Teraz znów chciałabym mu się przyglądać. Prawdę mówiąc, przy bezsprzecznie zauważalnej inteligencji i zdolnościach bardziej przypomina żabkę lub szcurzątko, niż człowieka. Zresztą istnieje nikła nadzieja, że wyładnieje, wszak do tej pory znajdował się w okropnych warunkach: było mu ciasno, ciemno i, jak uświadomiłam sobie dopiero tutaj, leżał, okazuje się, do góry nóżkami! Biedna moja dziecina! Dobrze, że nie wiedziałam o tym! Opowiedzcie o nim Leli i cioci Zinie, nie zapomnijcie też wysłać depeszy do wuja Sierioży. Chciałabym nazwać syna Swiatosławem, razem z imieniem odojcowskim będzie brzmiało jak u księżąt staroruskich.

Godzina 4. Przyszła pora doręczania przesyłek – przynieśli mi od was wspaniałą kosz kwiatów wraz z listami. Przekazuję swój. Asia”.

Listy były cztery, od męża otworzyła jako pierwszy.

„Dziewczę moje ukochane, słoneczko moje! Zostałaś matką! Jakże jestem szczęśliwy, że wszystkie niepokoje są poza nami i że oboje z maleństwem żyjecie. Nie spaliśmy całą noc. O 7 rano byłem już w szpitalu, ale portier, pomimo że robiłem wszystko, chcąc go zjednać, nie puścił mnie dalej niż do westybulu. Wróciłem do domu z niczym i zaczęliśmy dzwonić do informacji szpitalnej, ale bezskutecznie. Pobiegłem znowu do szpitala i tym

razem portier z życzliwym uśmiechem powiedział: «Gratuluje syna!» Poinformował go o tym kończący dyżur lekarz, aby mógł przekazać wiadomość, gdy będą pytać o Kazarinową. Dowiedziałem się też, że odwiedziny są surowo zakazane, a w godzinach od 4 do 6 przyjmuje się paczki i listy. Popędziłem do domu. Wpadam i zastaję Lelę z matką. Jakże wszyscy się uradowali; babcia wyściskała mnie, Zinaida Glebowna i madame się popłakały. W informacji, która wreszcie zaczęła działać, potwierdzono, iż urodził mi się syn, zakomunikowano też, że czujesz się dobrze. Droga dziewczynko! Ty jedna godzisz mnie z życiem. Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że wkrótce ujrzę syna i wezmę go na ręce – cóż to będzie za radość dla duszy! I pokochałem Ciebie mocniej! Słoneczko moje, czy w szpitalu są dobre warunki? Sytuacja życiowa nie pozwala mi zapewnić ci komfortu i wygod, do jakich masz pełne prawo. Oczywiście byłabyś w domu w jak najlepszych warunkach, gdyby... ściskam cię. Twój Oleg”.

Drugi list był od Natalii Pawłowny.

„Gołabeczko moja! Gratuluje. Cieszę się, że chłopiec. Niepokoił się ogromnie, a teraz chodzimy z mokrymi ze szczęścia oczami. Przypominam sobie, jaka byłem w Twoim wieku, oraz jak rodzili się chłopcy. Kto mógł wówczas przypuszczać, jaki tragiczny los ich spotka. Madame w euforii, prosi o przekazanie pozdrowień, a sama pobiegła do kuchni upiec Twoje ulubione ciasteczka *milles feuilles*, żeby posłać Ci do szpitala. Leż spokojnie, uważaj na siebie. Błogosławię Ciebie i dziecko znakiem krzyża. I tak zostałam prababką”.

Trzeci list był równie serdeczny:

„Moja bezcenna Kruszyno! Wciąż płaczę. Gdyby żyła Twoja mama, jakżeby się wraz z nami cieszyła. Na lotnisku będziemy wspólnie niańczyć Twego synka. Już go pokochałam! Żeby Bóg zechciał dać Leli takiego męża jak Twój i tyleż radości. Całuję nową małą mateczkę. Twoja ciocia Zina”.

I wreszcie czwarty:

„Droga Asiu! Gratuluję Ci cudownego niebieskookiego maleństwa! Wszyscy wokół mnie zachowują się jak pomyśleńcy: płaczą, śmieją się, ściskają... Do mnie też zaczęło docierać, iż zaszedł fakt niezmiernie doniosły. Przyjechałyśmy wczoraj wieczorem i dzisiaj, jak można było najszybciej, przyszłyśmy dowiedzieć się o Ciebie. Trafiłyśmy w samą porę. Przy nas przybiegł zdyszany, rozpromieniony Twój Oleg. Gdybyś mogła zobaczyć, w jakie podniecenie wpadła madame – biegała po pokoju wymachując rękami i powtarzając: – Delfin! Delfin! – jak gdyby rzeczywiście urodził się następca tronu. Mama pilnuje, żeby do moich uszu nie doszły żadne szczegóły i kiedy pytam, jak długo to trwało i od czego się zaczęło, co to takiego «pęknięcia» i «wody», nikt mi nie odpowiada. Mam nadzieję, że opowiesz mi wszystko szczegółowo, tematy zakazane zawsze mnie wyjątkowo interesowały. Oczywiście jeszcze wczoraj zdążyłam posprzeczać się z mamą, która nalegała, żebym koniecznie pozostała na lotnisku. Najpokorniej dziękuję! Siedzieć tam samotnie z dwiema wiedźmami! Zwłaszcza, że ostatnio zaczął szaleć czarny kot gospodarzy: fika koziółki, chwyta się za łeb i przeraźliwie miauczy. Nasz Waśka, który jest u nas od niepamiętnych czasów, zawsze zachowuje się godnie i spokojnie, a w tego jakby bies wstąpił. Mama chciała mnie przekonać, że to «nic strasznego», sama jednak nie może wyjaśnić jego zachowania. Podejrzewam, że też jest wiedźmą udającą kota. Naturalnie postawiłam na swoim i przyjechałam, przynajmniej dowiedziałam się, co z Tobą. Kochana Asiu, bądź zawsze szczęśliwa! Jeżeli na świecie kogoś kocham, to właśnie Ciebie. Twoja Lela”.

Asia przeczytała wszystkie listy, potem sięgnęła po pierwszy i następne, wreszcie wsunęła je pod poduszkę, westchnęła, uśmiechnęła się i pograżyła w błogą drzemkę. Po dwóch dniach wysłała kolejną epistołę: „Moi najmilsi! Malec powoli otwiera oczka, a uszka i czółko mu bieleją. Gdy przynoszą go do mnie, za każdym razem zaczyna mi się przyglądać. Pyszczyk ma niezwykle wyrazisty. Bardzo pragnę, żeby Wam się spodobał, tylko nie próbujcie udawać, i tak od razu poznam! Uprzedzam też, że kiedy płacze, cały czerwienieje, marszczy się, grymasi i robi się podobny

do brzydkiego krasnala, za to gdy jest spokojny, buźkę ma prześliczną. Zresztą sami zobaczycie, jak ssie piastkę, wzdycha, przeciąga się i niezawodnie pokochacie – nie można go bowiem nie kochać! Wczoraj wieczorem piersi zrobiły mi się ciężkie, gorące i podskoczyła temperatura; pojawiło się wreszcie mleko, lecz kiedy chciałam nakarmić małego, on zamiast słodko cmoknąć i zacząć ssać, natychmiast zgubił sutkę i znowu zaczął jej szukać usteczkami. Mam bardzo małe sutki i trudno mu je utrzymać, gdybyście widzieli jego wysiłki, jak marszczy się i wzdycha, z wyrzutem zerka na mnie swymi jagodowymi oczami i strasznie zabawnie się chmurzy. Kiedy karmienie idzie gładko, jego buzia staje się spokojna, uśmiechnięta. Ponadto wzruszająco pomrukuje – jak żadne z niemowląt na naszej sali. Nigdy nie przypuszczałam, że u trzydniowego noworodka może występować tak rozległa gama dźwięków głosu i min twarzy! A jaką ma delikatną skórę, nawet pocałunek pozostawia na niej różowy ślad! Żeby był tylko szczęśliwy; obecnie sprawiają mu kłopot sutki, w przyszłości może mieć zmartwienia o wiele poważniejsze. Już zawczasu trochę pobolewa mnie o niego serce! Oleg niepotrzebnie przejmuje się, że nie otaczają mnie profesorowie i komfort – naprawdę jest mi tu dobrze i wesoło!”

Radość Olega po powrocie Asi omroczył list Niny, która pogratulowała mu syna i zawiadomiła przy okazji, iż po zakończeniu serii koncertów na Powołżu wybiera się do Mariny nad jezioro Seliger.

„15 lipca przyjeżdża tu na urlop Mojżesz Herszelewicz, ja zaś wracam do Leningradu. Przypominam Ci o obietnicy powiadomienia Natalii Pawłowny jeszcze przed moim powrotem o śmierci Siergieja, nie chciałabym dalej udawać i być obecną przy pierwszych naj straszniej szych chwilach rozpacz. Tak bardzo jestem już znużona łzami i nieszczęściem”.

Dłużej nie można było zwlekać.

Trzeciego dnia po powrocie Asi do domu nadarzyła się sposobność podjęcia rozmowy. Natalia Pawłowna zeszła o piętro niżej do hrabiny Kokowcewej na partię wista, natomiast madame

z „delfinem” na rękach poszła posiedzieć na najbliższym skwerku, na świeżym powietrzu. Pozostali sami, ledwo zdążył wymówić jej imię, Asia gwałtownie odwróciła się i spytała:

– Co się stało? – Oleg wyraźnie wyczuł w jej głosie trwogę. Teraz trzeba powiedzieć wszystko, do końca!

Obrazy z przeszłości! Jak wiele znaczą! Oto brudny wagon – „ciepluszka” – zapchany obcymi, odrażającymi ludźmi, wujek Sierioża, choć sam chory na tyfus i ledwie może ustać, pod armiakiem na piersi ogrzewa jej nogi. Albo: siedzą obok siebie w babcinym salonie przy zimnym kominku, od marmuru którego ciągnie jakby dodatkowy chłód, wpełzający do rękawów i za kołnierz... Wuj Sierioża czyta jej Puszkina czy Schillera, stara się ożywić jej umysł, rozbudzić wyobraźnię, napełnić serce ciepłem! Wieczorami, po powrocie z kolejnej chałtury, z koncertów w fabrykach, zazwyczaj kończących się poczęstunkiem wygłodniałych artystów, nigdy nie zapominał przynieść jej ciastko lub trochę cukierków... Dziś jeszcze, mijając jego gabinet zajęty przez obcych ludzi, za każdym razem miała złudzenie, że wyjrzy zza drzwi i ją zawoła, zaś wchodząc do jadalni niemal widziała dym z jego cygara... Gdy grała na fortepianie, słyszała jego interpretację utworu... Jemu zawdzięcza całą swą wiedzę o muzyce. Powstrzymywała łzy, lecz jej nos zwilgotniał, a chusteczki przy sobie nie miała; ileż to razy obrywało się jej za to od babci. Natomiast Oleg nosi zawsze w kieszeni i to śnieżnobiałą. Pierze je sam pod kranem, a madame prasując przygaduje, że kandydat do tronu rosyjskiego powinien być otoczony nieustanną troską, a Kopciuszek jest złą żoną!

W przedpokoju, bez dzwonka, trzasnęły wejściowe drzwi. Asia zerwała się i chwyciła za głowę:

– Babcia! Nie teraz... Tylko nie teraz! Powiedz, że boli mnie głowa i położyłam się. Nie mogę w takim stanie pokazać się jej.

Przez trzy kolejne dni Asia szamotała się ze sobą, zbierała siły, nie mogąc zdecydować się na rozmowę.

– Z Bogiem, kochanie! – szepnął Oleg pod drzwiami do

pokoju Natalii Pawłowny.

– *Courage!* – powtarzała Francuzka ulubione słówko, którym zawsze dodawała otuchy; o nieszczęściu powiedzieli jej wcześniej. Asia wchodziła do pokoju babki, przysiadła na skraju jej łóżka i... nie potrafiła zacząć rozmowy.

– Poczekajmy! Babcia powiedziała, że dziś bardziej dolega jej serce. Powiem jutro – usprawiedliwiała się przed mężem i madame. – Poczekajmy. Dzisiaj babcia wydała mi się wyjątkowo zmęczona i blada. Jutro – zapewniała następnego dnia.

Nie miłość i nie narodziny dziecka oddzieliły ją murem od beztroskiej młodości, sprawiła to pierwsza w jej świadomym życiu strata. Przyszła równocześnie z nieznanymi dotąd lękami macierzyństwa, kiedy trzeba czuwać i starać się zrozumieć płacz, gaworzenie i ruchy maleńkiej istoty, wstawać do niej nocą, przewijać, karmić i drżeć z niepokoju – czy wszystko przebiega normalnie? Czemu krzyczy, gorzej ssie? Dlaczego dzisiaj dziecko źle spało? W tych dniach zamilkł Asi śmiech, pomiędzy jej brwiami zarysowała się zmarszczka niepokoju, a spojrzenie stało się trwożne i smutne. Doszło jeszcze zmęczenie i nie wiadomo już było, czy to osłabienie po porodzie, czy rezultat karmienia lub może też konieczność wstawania po nocach, ale w ciągu paru dni straciła swój kwitnący wygląd. Zawsze była szczupłą, teraz dosłownie w oczach nikły jej rumieńce, kragłość policzków, żywość spojrzenia...

Któregoś dnia podczas obiadu Natalia Pawłowna nagle odłożyła sztucce i zwracając się do obecnych zapytała:

– Odnoszę wciąż wrażenie, że coś przede mną ukrywacie? Czy może przyszły jakieś niepokojące wieści od Siergieja?

Wszyscy skamienieli i martwa cisza potwierdziła jej obawy!

– Może przenieśli go do obozu koncentracyjnego lub z jego ręką coś się stało? Proszę, nie ukrywajcie niczego przede mną!

Asia zerwała się od stołu i jakby chcąc się schować, zwinęła się w kłębek w zarezerwowanym wyłącznie dla babki fotelu.

Francuzka przesłoniła ręką czoło i wyszeptała: *Oh, mon Dieu!* Natalia Pawłowna podniosła się z miejsca i obrzuciła domowników powolnym spojrzeniem.

– Natychmiast musicie mi wszystko powiedzieć! Kategoriecznie żądam! – władczo zabrzmiał jej głos.

– Wujek Sierioża... Oni go... On... – wydukała Asia.

– Zginał – cicho, dobitnie dokończył za nią Oleg. Natalia Pawłowna nie poruszyła się, nie drgnęła. Stała nadal wyprostowana. Zmienił się jedynie wyraz jej twarzy, niepokój ustąpił śmiertelnemu smutkowi, przebijającemu zwłaszcza z uniesionych ku górze oczu. Kilka chwil trwała w odrętwieniu, po czym niemal spokojnie spytała:

– Co się wydarzyło?

– Nie wrócił z tajgi – szepnęła Asia.

– Zabłądził – dopowiedział Oleg.

– Szukali go?

– Znaleźli już martwego. Ciała nie oddali. Miejsce pogrzebania nieznane.

Znowu zapadło milczenie. Oleg podał jej krzesło, usiadła, oni zaś nadal otaczali ją w pełnym szacunku bezruchu. Być może przyszło jej teraz na myśl, że gdy był chłopcem, a potem młodzieńcem, mniej go kochała, niż starszego syna, i to dlatego że nad epolety gwardzisty przedłożył muzykę, a tymczasem jego udziałem, za cenę ciągłych ofiar, stało się czuwanie nad jej starością; może wspominała jego narodziny...

– Nie płacz, dziecko! – odezwała się w końcu, słysząc cichy płacz Asi. Smukłą rasową ręką pogładziła włosy wnuczki. – Uspokój się, uważaj na siebie, twoje zdenerwowanie odbije się na pokarmie, a tym samym na maleństwie. – Później spytała: – Kiedy to się stało?

– Osiemnastego lutego, dowiedzieliśmy się w kwietniu. – Tak dawno! A listy?

Oleg wyjaśnił ich historię.

– Czy Nina wie?

– Tak, wie.

– Ach, dlatego prawie przestała u nas bywać! Ciężko jej było udawać... Biedne dziecko! A ja zaczęłam się niepokoić... – i znowu pogrążyła się w zadumie.

– Czy Nina pamiętała o nabożeństwie żałobnym? – zainteresowała się po paru minutach, podnosząc głowę. Asia pytająco spojrzała na męża.

– Nie – odpowiedział Oleg tonem winowajcy.

– Jakże tak można! Przeszło już trzy miesiące... Olegu Andriejewiczu, czyżbyście z Niną ulegli wpływowi sowieckiego bezbożnictwa?

– Przepraszam, ostatnimi czasy rzeczywiście odwykłem od cerkiewnych obrzędów. Do tej pory jeszcze nie zamówiłem mszy za duszę matki: najpierw szpital, potem obóz...

– Wielka szkoda – zauważyła oschle Natalia Pawłowna. – Należy pan do określonej sfery i przy wychowaniu, jakie pan otrzymał, nie można było do tego dopuścić. Osobiście w najbliższych dniach zamówię za zmarłego nabożeństwo.

Podniosła się i przeszła do swego pokoju. Asia niezdecydowanie ruszyła w ślad za nią.

– Nie idź za mną – poprosiła już z progu.

W ciągu następnych dni zdumiewała wszystkich swoim opanowaniem; zamówiła nabożeństwo wraz z egzekwiami i rozesłała zaproszenia do najbliższych przyjaciół. Podczas śpiewu „Wieczne odpoczywanie” Asia i Lela z matką płakały, ona zaś stała jak posąg, cała w czerni, którą stale nosiła od śmierci męża.

Oleg i Nina w rozmowach ze sobą niejednokrotnie stwierdzali, iż religijność Natalii Pawłowny ma nieco powierzchowny, obrzędowy charakter i nie przypomina

spontanicznych, buntowniczo-poetyckich, niemniej szczerych uniesień Asi. Nawet Lela powiedziała kilka razy: „Wiara Natalii Pawłowny jest jakaś urzędowa, uporządkowana, narzucająca nam, maluczkiemu, strach przed Bogiem”. Tymczasem jej wiara okazała się widocznie głębsza, niż sądzili, i mocniejsza, stała się bowiem dla niej źródłem opanowania i pocieszenia.

Wieczorem po nabożeństwie, gdy rodzina zebrała się przy stole, Natalia Pawłowna oznajmiła:

– Będę teraz nalegać, żeby Asia z dzieckiem jak najszybciej wyjechała na wieś. Izba stoi pusta. Lela bez niej nie chce się ruszyć, my zaś nie jesteśmy tak bogaci, żeby pieniądze wyrzucać na wiatr. Pozostanę z Teresą Leonowną, a wkrótce wróci Nina, jest jeszcze poza tym Oleg Andriejewicz. Nie ma powodu do siedzenia w mieście.

Asia próbowała, zresztą słabo, oponować, lecz szybko skapitulowała i nazajutrz pokornie wróciła na wieś. Nawet przed sobą nie miała odwagi przyznać się, jak bardzo chciała z Lelą i mężem wędrować przez lasy, polany, przesieki, zwłaszcza obecnie, kiedy nie musiała wystrzegać się gwałtownych ruchów ani podporządkowywać różnym zakazom.

W pierwszą sobotę Oleg znalazł ją jeszcze nieco smutną i bladą, a gdy pytała o babkę, niepokój wydłużył jej twarzyczkę. Następnym razem wyglądała już lepiej, a w kolejną sobotę, rzucając mu się na szyję na pustym przystanku, radośnie zaszczebiotała:

– Jak cudownie tutaj! Sławeczek cały czas przebywa na powietrzu. Wiesz, ma coraz pulchniejsze rączki, dlatego że mam więcej pokarmu. Po deszczach pojawiły się grzyby. Zbieramy je na kopy. Małe prawdziwki przypominają Sławeczka, są równie zabawne i ładniutkie. Wyobraź sobie, wczoraj po raz pierwszy się uśmiechnął!

Epopeja grzybobrania osiągnęła punkt szczytowy i Oleg, skoro tylko otrzymał w końcu sierpnia urlop, czynnie się do niej włączył. Spod każdego krzaczka bądź pieńka grzyby wychylały

zadowolone, chytre mordki. Na koźlaki i surojadki nikt już nie zwracał uwagi, polowano wyłącznie na prawdziwki i rydze. Te ostatnie można było znaleźć w odległym brzozowym zagajniku pod opadłymi liśćmi, podczas gdy borowiki upodobały sobie stary, gęsty las. Były zachwycające z ciemnymi kapeluszami i grubymi nóżkami, rosły całymi koloniami, po dziesięć – piętnaście sztuk. Na grzybobranie ruszono wczesnym rankiem, niezależnie od pogody. Nieraz niebo zaciągnięte było chmurami i mżył gęsty zimny deszcz; jesień nie była tak ładna jak poprzednie, lecz nic nie mogło powstrzymać zapalonych grzybiarzy. Asia wkładała starą wełnianą kacabajkę i chłopskie chodaki, Oleg zaś znoszoną skórzaną kurtkę Siergieja Pietrowicza i żołnierskie buty. Lela – przerobioną z szambelańskiego munduru dziadka pocerowaną salopę i pantofle z wojsłoku, uszyte przez Zinaidę Glebownę. Dziewczęta obwiązywały się po babsku chustami i skoro świt gromadką ruszali do lasu, zaopatrzeni w kosze i scyzoryki. W lesie zaczynało się ożywione głośnie nawoływanie.

– Znalazłam parkę! Śliczne! – duże i zdrowe! – wołała rozemocjonowana Lela.

– Czemu się mnie nie trafiają? Znowu nic! Kręcę się w kółko bez sensu! – odkrzyknęła Asia z nutką zawodu w głosie.

– Oleg! Hej! Czemu nie odpowiadasz? Znalazłeś coś?

– Na początek mam cztery! Postanowiłem nie wracać, dopóki nie będę miał na koncie stu sztuk, jak wczoraj. Do ataku na nierobów! – odpowiadał eks-oficer gwardii konnej.

Powracali zmęczeni i okropnie wygłodzeni. Zinaida Glebowna, pod której opieką pozostawały dom i dziecko, czekała z obiadem, jak prawdziwa wiejska gospodyni z pieca chlebowego wyciągała uchwytem garnek z kaszą i prażone mleko. Po obiedzie Asia z Lelą zabierały się do czyszczenia grzybów, zaś Oleg ponownie szedł do lasu po chrust. Potem rozpalali piec i suszyli grzyby. W półciemnej kuchence, siedząc przy ogniu, w przerwach pomiędzy dorzucaniem drew i wyjmowaniem grzybów, nucili pieśni lub opowiadali niesamowite historie. Zinaida Glebowna

piekła w tymże piecu kartofle na kolację, jedli po przyniesieniu mleka z wieczornego udoju. Oleg zauważył, że po dostosowaniu się do tego prostego trybu życia zaczął lepiej sypiać i jeść z apetytem. Wzruszał go widok Asi w chusteczce w groszki i w buciorach. Tyle było w niej tężyzny duchowej i dziecięcej spontanicznej radości, gdy przykładła malca do piersi i uśmiechała się, nazywając go „gaworzątkiem” czy „pisklątkiem”, a potem spod opuszczonych rzes przyglądała mu się z góry. Oleg odkrywał wtedy w niej jakiś nowy, niezwykle subtelny wdzięk, którego przedtem nie posiadała. Życie tu i teraz wydawało mu się piękne, być może dlatego, że przesycala je miłość do Asi i maleństwa, a dobroć Zinaidy Glebowny dodatkowo przyczyniała się do powstania wyjątkowej atmosfery wzajemnej czulej troskliwości. A może i dlatego, że było tak kruche, nietrwale.

Kiedyś rozmowa zeszła na temat rewolucji lutowej i Zinaida Glebowna zwierzyła się z melancholijnym uśmiechem:

– Szczególnie zdenerwowała mnie wówczas myśl, że już nigdy nie zobaczę wyścigów konnych i polowań oraz że skończyły się bezpowrotnie wesołe wieczory u Jego Wysokości. Jak pamiętam, parę dni przepłakałam w swoim buduarze, a mój foksterier Żuzu, rozumiejąc, że trapi mnie jakieś zmartwienie, przesiadywał przy mnie godzinami.

Nadieżda Spirydonowna nadal zachowywała dystans i nawet na grzyby wyprawiała się sama. Ku ogólnemu zdziwieniu, oddawała się temu zajęciu z nie mniejszą pasją niż oni, z zawodową wręcz systematycznością. Kilkakrotnie zdarzyło się im, że przed wyprawą do lasu widzieli w szarej mgielce siąpiącego deszczu postać starej panny w przedpotopowej pelerynie, z kobiałką i potężnym kosturem. Wychodziła za ogrodzenie i znikła wśród drzew, zawsze ich wyprzedzając. Któregoś razu zboczyli do niewielkiego zagajnika, części ogromnego boru ciągnącego się wiele wiorst. Zakątek okazał się niezwykle grzybny i w ciągu pół godziny zebrali w trójkę sto dwadzieścia małych zdrowych borowików. Zaledwie zdążyli przysiąść na zwalonym drzewie, aby odpocząć i zjeść po kawałku chleba, ujrzeli wyłaniającą się zza

piaszczystego pagórka i zmierzającą w ich stronę Nadieżdę Spirydonownę.

– A wy, co tu robicie? – spytała niezbyt przyjaźnie.

– Zbieramy borowiki – odparła nie mrugnawszy okiem Lela i wskazała na koszyk.

Nadieżda Spirydonowna niespodziewanie uniosła się gniewem.

– To moje miejsce. Zbieram tutaj od siedmiu lat. Wszyscy o tym wiedzą i moglibyście pójść trochę dalej!

– Nie wiedzieliśmy, że jest pani dziedziczką! Bo nas już dawno wypędzono z naszych włości. Może cały ten las należy do pani? – spytała Lela.

Oleg, nie chcąc zaostrzać stosunków, przerwał jej pośpiesznie:

– Jeżeli niezamierzenie znaleźliśmy się w sytuacji kłusowników, to proszę pozwolić nam, Nadieżdo Spirydonowno, odkupić winę i podarować pani wszystko, co zebraliśmy – zadeklarował.

Stara panna, zamiast złagodnieć, wpadła we wściekłość.

– Po co? Lubię sama szukać grzybów, a zerwane przestają mnie interesować. Zabierzcie je, lecz nigdy więcej tutaj nie przychodźcie, jeśli żywicie choć odrobinę szacunku dla starszych.

– Tak jest. Więcej tu nie przyjdziemy – i Oleg z Asią i Lelą odeszli.

Po kilkunastu krokach cała trójka przystanąła, spojrzeli po sobie i zaczęli niepohamowanie się śmiać.

Wieczory stawały się coraz ciemniejsze. Nadieżda Spirydonowna zawczasu zaopatrzyła się w porządne świece i w jej pokoju zawsze było jasno, podczas gdy sąsiedzi objali się w ciemnościach jak krety i przenosili z kuchni do izby maleńki ogarek wetknięty do butelki. Oleg wyruszył w daleką wyprawę po

świece do najbliższej stacji. W sowieckim sklepiku nie było jednak niczego poza wódką i kompotem w puszkach, zaś wyjazd do miasta oznaczał dodatkową stratę pieniędzy, których stale brakowało. Siedzieli przeto w ciemnościach jeszcze kilka dni. Sytuacja najwidoczniej nie wzruszała sąsiadki, ani razu bowiem nie zaprosiła ich do swego stołu i spędzała wieczory w samotności na stawianiu pasjansów.

W ostatnim tygodniu pobytu na letnisku Nadieżda Spirydonowna przeziębila się. Chwycił ją postrzał i ostre bóle krzyża przykuły ją do łóżka. Niezycyliwej sąsiadce należało przyjść z pomocą; Oleg nosił wodę i palił w piecu, Zinaida Glebowna gotowała, a na Lełę nałożono obowiązki pokojówki. Za każdym razem po ich wykonaniu skarżyła się matce na dziwactwa „wiedzmy”.

– Nie spotkałam jeszcze tak nieznośnej staruchy: pedantyczna aż do mdłości, ma zawsze w użyciu osiem ręczników, wszystkie porozwieszane na gwoździach i, nie daj Boże, je pomylić! Jęczy, ledwo zipie, a oczy ma jak ryś. Wszystko natychmiast dojrzy! „To należy wycierać ściereczką zewnątrzno-garnkową, a ty, najmiłsza, wzięłaś wewnątrzno-garnkową!” Ceratę na stole nie dość przetrzeć, wpierw trzeba ją wytrzeć ściereczką numer jeden, potem ściereczką numer dwa, jest ich również osiem! Czy widzieliście coś podobnego? A zawistna! Za każdym razem pyta, ile znaleźliśmy borowików, celowo mówię więcej, niż naprawdę, żeby ją podenerwować. Wówczas skrzypiącym głosem powiada: „Bywało, że zbierałam jeszcze więcej”, i aż skrecają z zazdrości.

W przeddzień odjazdu Nadieżda Spirydonowna zaprosiła wreszcie wszystkich do siebie na filiżankę herbaty i wcale przyjemnie konwersowała o właściwościach różnych grzybów i sposobach ich marynowania. Odjeżdżając, łaskawie pocałowała Lełę i Asie w czoło oraz zaprosiła obie na swoje imieniny.

Rozdział osiemnasty

– Wreszcie się zjawiałaś! Posłuchaj, co ci powiem: jeżeli jeszcze raz list do mnie znajdę otwarty – oberwiesz. Zrozumiałaś?
– przywitał Wiaczesław Katiuszę po jej powrocie z pracy.

– Wściekleś się, czy co? Szczeka bez przyczyny! – obojętnie się odgryzła, siadając na stołku.

– Nie, nie bez przyczyny! Zrobię, jak powiedziałem. Patrzcie, jak się jej spodobało! Już drugą kopertę wyjmuję rozpieczętowaną ze skrzynki.

– A co ja mam z tym wspólnego? Idź na pocztę i wyjaśnij, skoro nasza cenzura leni się ponownie zaklejać, to tam obiecuj mordobicie, co mnie do tego?

– Nie kłam, Annuszka sama widziała jak trzymałaś kopertę nad parą. Nasza cenzura poradzi sobie i bez twojej pomocy, przestań więc wtykać nos w cudze sprawy.

– Dużo tam twoja Annuszka widziała! Łże, a ty jako komsomolec nie powinieneś prowadzić takich rozmów. Towarzysz Stalin wciąż przypomina, że każdy sowiecki obywatel, tym bardziej komsomolec, obowiązany jest w miarę sił współpracować z organami GPU. A ty nie tylko nie pomagasz, ale jeszcze innym przeszkadzasz. W naszym mieszkaniu jest komu się przyglądać, sam wiesz, co to za towarzystwo!

– Nie tyle chęć śledzenia, co wścibstwo tobą kieruje. Co to, polecili ci, żebyś mnie obserwowiała? Jestem takim samym komsomolcem, jak i ty.

– Członek Komsomołu, a pokumał się z wrogami klasowymi...

– Uważaj, co gadasz! – W głosie Wiaczesława pojawiła się pogroźka. – Z kim to niby się skumałem. Ech, ty pleciugo! Mielesz ozorem... Skumałem się! – mówisz. Rano – praca, wieczorem – nauka i komsomolskie zebrania. Nawet na kino nie mogę znaleźć czasu. Mnie pieniądze same do kieszeni nie wpadają, jak tobie.

Skąd, ciekaw jestem, kasjerka z łaźni ma tyle forsy? Co? No dobrze, nic nie mów, i tak wiem, że donosisz. Bo skąd byś w krepdeszynach paradowała i słodkimi bułeczkami się obżerała. Ech, nie wszystko jeszcze jest w porządku w naszym systemie! Donos... nie powinno się za niego dawać nagrody, płatni konfidenci są diabła warci! Kiedy zorientuję się, że dany człowiek jest niebezpieczny, to sygnalizuję, bo tak nakazuje mi obywatelski obowiązek i nie liczę na żadne dla siebie korzyści. A dla pieniędzy czego tam nie nagadają! Ktoś chce kupić krepdeszyn, ktoś rower, a jeszcze inny prezent dziewczynie – no i plotą, co ślina na język przyniesie. Kiedyś muszę poruszyć tę kwestię w rejkomie. Co tak oczkami mrugasz?

– A jakże! Posłuchają ciebie! Uważaj, bo ci gębę zatkną! Ani się oglądniesz!

– To już nie twoje zmartwienie! – Wiaczesław gwałtownie się odwrócił i wyszedł z kuchni.

Jadł chleb z kiełbasą, z nosem utkwionym w książce, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Tak, tak! – powiedział. Zajęty przeżuwaniami nawet się nie odwrócił.

Na progu stała Katusza.

– W porządku, nie jestem pamiętliwa, trzeba chłopcu komsomolcowi pomóc: idź, popilnuj na korytarzu, dopiero co wpuściłam twoją dziewczynę, poszła do Niny Aleksandrowny.

Zmarszczył z niezadowoleniem brwi.

– Co za „moja” dziewczyna? Do czego pijesz?

– Jakbyś nie rozumiał? Co to, oczu nie mam, czy za całkiem głupią mnie uważasz? Może nie widziałam, jak poprzednim razem czatowałeś na korytarzu, żeby choć popatrzeć, kiedy będzie przechodziła obok. Idź, mówię ci, siedzi u Niny Aleksandrowny – i zamknęła drzwi.

Nawet się nie poruszył i znowu wsunął nos w książkę,

jednak po kilku minutach ją odłożył, na jego twarzy pojawił się przelotny, pełen zażenowania i jakby skruchy uśmiech; podszedł do roweru, wyprowadził go na korytarz i zaczął płaskoszczypami majstrować przy śrubkach. Drzwi do pokoju Niny wkrótce się otworzyły i pojawiła się w nich gospodyni z gościem.

– Dziękuję, kochana Lelu, za odwiedziny. Szkoda, że Asia nie przyszła wraz z panią, ale rozumiem, że jest zajęta. Jak tam Sławeczek?

– Fantastyczny bąk. Będę jego chrzestną – odparła.

Gdy dziewczyna włożyła stary paltocik i kapelusz z wytartego aksamitu, Nina zwróciła się do Wiaczesława:

– Porządny z was chłopak, zawsze gotowy pomóc, może odprowadzicie naszą Lełę do tramwaju. Nie chcę jej puścić samej. Dobrze?

– Mogę, jeśli trzeba – zgodził się topornie – tylko włożę waciak.

Zaraz potem wyszli na schody i przez jakiś czas milczeli. Wiaczesław zaprzątnięty myślą, jak powinien zachowywać się wobec tej dziewczyny, nie wymyślił nic lepszego, niż wzięcie jej pod rękę.

– Chodźmy, towarzyszeko Lelu! Po całym dniu pracy przyjemnie się przejść. Pogoda dzisiaj nad podziw ładna. Porządnie podmarzło. Może przejdziemy się po Newskim, a później was odprowadzę do tramwaju?

Spojrzała na niego zdziwiona i na wszelki wypadek lekko się odsunęła.

– Nie pójdę na Newski, spieszę się do domu.

– Pewno mamusia wam mówiła, że nieprzyzwoicie jest spacerować wieczorem po Newskim. A wy tak bardzo mamusi nie słuchajcie. Dawniej tak było, dzisiaj wszyscy nasi komsomolcy ze swymi dziewczynami przechadzają się po tym prospekcie. Po panienkach lekkich obyczajów nie ma ani śladu. Proszę się nie

bać, chodźmy.

– Nie, dziękuję. Idziemy do tramwaju. Zresztą sama dobrze mogę dobiec. – I Lela przystanąła, dając do zrozumienia, że chce się pożegnać.

– No i macie, jakbym was wystraszył! Nie chcecie – nie trzeba. Nie przymuszam. Szorujemy do tramwaju, Lelu.

– Mam na imię Helena, po ojcu Lwowna.

– A was do dawnego ciągnie? No cóż, Heleno Lwowno, niech będzie Helena Lwowna. Uczycie się czy pracujecie w jakimś urzędzie?

– Jestem praktykantką w szpitalu, w gabinecie rentgenowskim.

– To znaczy w służbie zdrowia. Wkrótce i ja będę w niej pracować. Po kursach przygotowawczych poszedłem do technikum felczerskiego. Wychodzi, że jesteśmy kolegami. Na naszym roku za parę dni odbędzie się przedstawienie, a po nim film: „Kat’ka – jabłuszko”. Chcecie, zdobędę dla was bilet, Heleno Lwowno. Jakże rad bym spędzić z wami wieczór. Chłopcy nasi są porządni i uszanować potrafią. Każdy przyprowadzi swoją dziewczynę, może się wybieriecie?

– Dziękuję. Sama nigdzie nie bywam, a jeżeli już, to z Asią i Olegiem Andriejewiczem, czasem z sąsiadką.

– Mamusia nie pozwala? – Ech, Heleno Lwowno! Tak można całe życie przesiedzieć przy maminej spódnicy. Wam się ciągle wydaje, że jak coś wykracza poza waszą sferę, na pewno jest złe, a przecież to nie tak.

– Ja akurat tak nie myślę, ale... – zawahała się.

– Nie macie ochoty, co? Może ja tak bardzo się wam nie podobam? Wasza sprawa!

Lela poczuła się niezręcznie, przy tym zrobiło się jej go żal. Była w jego głosie serdeczność i prostoduszność. Na natręta w każdym razie nie wygląda, tylko jest zbyt prostacki. Chcąc

pokazać, że nie dąsa się, czy też nie stroni od niego, zagadnęła:

– Na jakiej specjalizacji jesteście w technikum?

– Dotychczas nie było u nas podziału, ma nastąpić dopiero w styczniu. Zapewne wybiorę chirurgię.

– Trudno chyba pracować i uczyć się? – spytała go, widząc, że znowu zamilkł.

– Przywykłem.

Nadjechał tramwaj i porwał Lełę.

Nazajutrz wieczorem, przy herbacie u Natalii Pawłowny, śmiejąc się, zaczęła opowiadać o nowej znajomości.

– Gdybyście mogli zobaczyć, jak bardzo jest kanciasty! Zwracał się do mnie per „towarzyszko Lelu”.

Wszyscy roześmiali się, oprócz Olega, który oświadczył:

– Biorę tego chłopca w obronę. Nie zasługuje, żeby z niego szydzić! Jeśli pozwolicie, opowiem wam historię, która stawia go w bardzo dobrym świetle.

Obecni zwrócili się w jego stronę z ciekawością.

– Mając piętnaście lat zgłosił się dobrowolnie do Armii Czerwonej i brał udział w szturmie Perekopu, gdzie został ranny w rękę... – zaczął Oleg.

– Nie przemawia to bynajmniej na jego korzyść – oschle przerwała Natalia Pawłowna.

– Posłuchajcie dalej. Kiedyś natknął się na mój nabity rewolwer i rozładował go, żeby zapobiec ewentualnemu nieszczęściu. W kilka godzin później, podczas nocnej rewizji nie uznał za słuszne poinformować agentów, GPU, iż mam broń. Wiedział też, z najbardziej wiarygodnego źródła, bo ode mnie, kim naprawdę jestem, lecz wezwany do GPU odpowiadał na wszystkie pytania, że nie wie nic ponadto, co wynika z moich dokumentów. Przy czym nawet nie wspomniał o swojej wielkoduszności. Dowiedziałem się o tym od kogoś innego.

– Przypuszczalnie jest nam życzliwy, ale czy nie był pan z nim zbyt szczerzy? – zauważyła Natalia Pawłowna.

– Doszedłem do wniosku, że tak będzie lepiej, i, jak widzicie, nie zawiodłem się.

– A jednak nie należało tego robić! Ludziom takiego pokroju nie należy ufać, bowiem mogą ulec różnym naciskom.

– Człowiek ten, niezależnie od rodzaju presji nie zdradzi – z przekonaniem replikował Oleg. – Za jego nieokrziesaniem kryje się autentyczna ideowość, tak dzisiaj rzadka!

– Nie tylko nie jest zdrajcą, lecz widocznie wyjątkowo porządny z niego chłopak! – podchwyciła Asia. – Może byśmy go zaprosili, przygarnęli, oswoili?

– Byłaby to gruba przesada, całkiem niepotrzebna – surowo ucięła Natalia Pawłowna – w moim domu nie zamierzam przyjmować partyjniaków.

– Cokolwiek byście mówili – znowu zaczęła Lela – muszę stwierdzić, że choć nie jestem zwolenniczką gorliwego przestrzegania *savoir-vivre*'u, to ów Wiaczesław zna się na nim jak kura na pierzu.

Oleg postanowił się z nią podroczyć:

– Jestem przekonany, że dziewczyna, która zwiąże z nim kiedyś swój los, okaże się szczęśliwsza od innych i będzie miała powody się nim szcycić – to człowiek honoru!

Urażona w swej dumie Lela szarpnęła głową jak rasowa narowista klacz.

Lela miała jasny gruby warkocz, który ostatnimi czasy wciąż doprowadzał ją do złości.

– Wszystkie dziewczęta chodzą ostrzyżone, tylko my, Asiu, nosimy przedpotopowe warkocze. Rozumiem, że kiedy chcę się ładnie ubrać, a nie mam pieniędzy – mówi się trudno, nie, to nie!

Jednakże nic nam nie przeszkadza uciąć warkocz, umalować usta czy skrócić spódniczkę. Ale mama z Natalią Pawłówną i temu się sprzeciwiają: „Wszystkie sowieckie dziewczyny tak chodzą! Nie powinnyście w niczym się do nich upodabniać!” Chyba głupio do jednego worka wrzucać modę i politykę. W negowaniu terażniejszości starsi rzeczywiście dochodzą do absurdów. Niech przejrzą francuskie *journaux des modes*. Asia przyjęła postawę kompromisową.

– Żal mi ściąć warkocze, lubi je Oleg. Malowanie ust, podobnie jak babcia, uważam za przejaw złego gustu; co do sukni – bardzo chciałabym mieć czarną aksamitną z trenem. Tak mi już obrzydły angielskie bluzki! – powtarzała zawsze przy tym wzdychając.

Pewnego ranka Lela wymknęła się ukradkiem do fryzjera i obcięła warkocze. Potem z godzinę krzyczały na siebie z matką i płakały. Wreszcie Zinaida Glebowna skapitulowała, przyznając, że córka nawet ostrzyżona wygląda wcale ładnie. Niepokoilo ją tylko, jak zareaguje na nową fryzurę Natalia Pawłówna, z której zdaniem ogromnie się liczyła, zwłaszcza, że traktowała Lelę równie serdecznie, jak własną wnuczkę.

Wieczorem u Bołogowskich Zinaida Glebowna starała się odwlec prezentację Natalii Pawłownie swego „żrebaczka”, jak zaczęła nazywać córkę. Lelę pokazano starszej pani po jej uprzedzeniu, wpieryw na odległość, z progu. Natalia Pawłówna zmierzyła dziewczynę spojrzeniem rozgniewanej matrony, jakby ta co najmniej została konkubina, i oznajmiła, że jest w odmiennym stanie. Dłuższą chwilę przyglądała się przez lorgnon zgrabnej główce, wreszcie oświadczyła:

– Nie znoszę podstrzyżonych karków, chodź no tutaj.

Lela zrobiła kilka kroków, wciąż jeszcze nie mając odwagi zbliżyć się do Natalii Pawłowny, która nie przerywała oględzin.

– Nie jest tak źle – grzywka trochę ratuje, ale styl został naruszony. A jednak żal warkocza. No, pocałuj mnie, głuptasku, i w przyszłości nie rób niczego bez pozwolenia starszych. Ty zaś,

Asiu, nie waź się brać przykładu, z krótkimi włosami nie będzie ci do twarzy, słyszysz?

Na giełdzie pracy nadal nie chciano Leli zarejestrować, chociaż rentgenotechników wciąż brakowało. Zdecydowała się więc złożyć w radzie zakładowej szpitala prośbę o przyjęcie do związku zawodowego, bez przynależności do którego nie było mowy o zatrudnieniu.

„Boże mój, ale mordy!” – pomyślała wchodząc do sali i przyglądając się członkom rady. Odszukała wzrokiem Elżbietkę i nieśmiało usiadła obok Berty Rafailowny, od dawna pracującej w gabinecie rentgenowskim, która z dobrodusznym uśmiechem szepnęła jej na ucho słowa otuchy i pogłaskała po jasnopłowych lokach. Kierownik pracowni, lekarz-rentgenolog, nie pojawił się, przewidując widocznie kłopoty nie chciał mieszać się do sprawy.

Zaczęto od rozpatrzenia podania o przyjęcie do związku młodego elektromontera. Opowiedział na żądanie krótko swój życiorys, po czym spytano, czy jego ojciec – chłop posiada krowę lub konia. Pytanie zadano tak surowym tonem, jak gdyby chodziło nie o zwierzęta gospodarskie, ale o melinę złodziei i prostytutek. Negatywna odpowiedź usatysfakcjonowała radę, która jeszcze po dwóch-trzech pytaniach, przyjęła kandydata do związku.

– Teraz, towarzysze, kolej na podanie obywatelki Nielidowej z analogiczną prośbą. Podejdźcie bliżej, obywatelko. Nie wszyscy was znają, niech się wam przyjrzą. Nielidowa pracuje u nas, towarzysze, od marca dwudziestego dziewiątego roku w charakterze stażystki-wolontariuszki w gabinecie rentgenowskim. Na stałe nigdzie nie jest zatrudniona. Zastanówmy się więc, towarzysze, jak mamy odnieść się do tego podania i czy w ogóle je rozpatrywać. Opowiedzcie o sobie, towarzyszeko Nielidowa.

Lela nieśmiało podeszła do stołu.

– Towarzysze! Niedużo mogę o sobie powiedzieć, mam niewiele ponad dwadzieścia lat. Do tej pory nigdzie nie pracowałam. Mieszkam z matką, ojciec nie żyje od dawna. Znajdujemy się z mamą w niezwykle trudnej sytuacji materialnej.

Bardzo proszę o przyjęcie mnie do związku i umożliwienie otrzymania pracy. Nie mam nic do dodania. O tym, jak pracowałam tutaj, niech wypowiedzą się inni, którzy widzieli i mogą ocenić.

Przez kilka minut panowało wrogie milczenie.

– Jakoś dziwnie krótko, towarzyszeko Nielidowa. Nie wyjaśniliście szeregu bardzo istotnych szczegółów. Na przykład kwestii waszego pochodzenia. Czym przed Rewolucją Październikową zajmowali się wasi rodzice?

Elżbietka i Lela bezwiednie spojrzały na siebie.

– Moja mama... nigdzie nie pracowała... zawsze była w domu... a ojca straciłam, gdy miałam jedenaście lat.

– Czym zajmował się wasz ojciec? Nie kręćcie, obywatelko! Może mieliście sklepik czy jakiś warsztat? I tak wszystkiego się dowiemy.

Lełę poniosło.

– Nie kręcę. Żadnych tam sklepików. Szlachcic, wojskowy.

– Tak. A więc już wszystko wiadomo. Gdzie zginął?

– Został zabity w Sewastopolu w dwudziestym pierwszym roku. – Słowo „rozstrzelany” nie przeszło jej przez gardło.

W prezydium zaczęła się wymiana zdań:

– Jasne. Sam od razu się zorientowałem, że coś nie tak, sklepik albo epolety!... Kto jeszcze ma pytanie? Towarzysz Mazutin? Prosimy.

– Doszło do nas, obywatelko, że wasz dziad dosłużył się wysokich godności. Może byście uściśliły ten punkcik?

– Mój dziad, ojciec matki, prezesował w Senacie, zaś drugi był pułkownikiem, ułanem Jego Cesarskiej Mości.

– Co znaczy „prezesował” w Senacie?

– Dokładnie nie wiem. Byłam wtedy dzieckiem.

Powiedziałam, bo nie chcę, żebyście pomyśleli, iż coś ukrywam, ale naprawdę się nie orientuję.

– Tak. Kto jeszcze, towarzysze, ma pytanie? Poproszono o ocenę jej pracy. Stara lekarka w kilku słowach wystawiła doskonałą opinię:

– Towarzyszka Nielidowa jest wyjątkowo pojętna i sprawna. Robota pali się jej w rękach. Bardzo prędko nauczyła się robić świetne zdjęcia. Jest przy tym niezwykle taktowna w kontaktach z chorymi, a porusza się bezszelestnie. Jest bezsprzecznie cennym pracownikiem. Kierownik gabinetu rentgenologicznego bardzo ją chwali. – Berta Rafailowna wyraźnie chciała pomóc Leli.

Znowu zapadło wrogie milczenie.

– Pozwólcie mi, towarzysze, powiedzieć jeszcze kilka słów? – zwróciła się do prezydium zdrętwiała z przejęcia Lela.

– Mówcie, towarzyszeko.

– Pragnę dodać... w czasach dawnego reżimu byłam jeszcze dzieckiem. Nie zdążyłam skorzystać z żadnych dóbr i przywilejów. Ojciec... dziadek... prawie ich nie pamiętam, zaś z nędzą i nieszczęściami aż nadto się zetknęłam. Moja matka... jest taka dobra, łagodna. Muchy nie skrzywdzi... W żaden sposób nie można jej zaliczyć do wrogów ludu... – głos Leli nagle się załamał – wybaczcie, towarzysze, denerwuję się, a to dlatego... Jeżeli teraz odrzucicie moją prośbę, to tak jakbyście mnie utopili. Znajduję się w sytuacji bez wyjścia.

– Wszystko jasne, towarzyszeko. Właściwie nie ma o czym mówić – głos przewodniczącego był wciąż oficjalny. – Kto jeszcze prosi o głos?

Elżbietka zamierzała właśnie powiedzieć „ja”, ale zobaczyła, że wstaje kierownik działu gospodarczego o charakterystycznej płaskiej fizjonomii.

– Towarzysze, pozwólcie mnie!

Lela patrzyła na niego jak królik na grzechotnika. Elżbietka

ścisnęła zęby i utkwiała wzrok w podłódze.

– Towarzysze! Jestem, że tak powiem, oszołomiony beczelnością, z jaką zdrajcy kontynuują swoje dzieło. Przecież to ten sam kłębek, który tak niedawno rozplątywaliśmy. Myśleliśmy, że pozbywając się Muromcewa i jego protegowanej, rozprawiliśmy się z nimi za jednym zamachem, teraz okazuje się, że to wcale nie koniec. Zechciejcie mi powiedzieć, kim jest ten rentgenolog? Byłem oficerem, kolegą i przyjacielem Muromcewa, a obywatelkę Nielidową zatrudnił właśnie na jego prośbę – jakże bowiem nie poprzeć wnuczki senatora; ale kiedy, pamiętacie, proszono go, żeby wziął na naukę naszą, z awansu społecznego sanitariuszkę, znalazł pretekst, aby odmówić. Towarzysze, musimy zmobilizować całą naszą proletariacką czujność.

I ponownie zaczęto snuć – rozsnuwać pajęczą sieć.

Wykazano dostatecznie dużo czujności, żeby uchronić zdobycze rewolucji przed tak zatwardziałym, niebezpiecznym wrogiem, jak Lela.

Elżbietka uświadomiła sobie, że po tym, jak padło nazwisko wuja, jej wystąpienie może tylko pogorszyć sytuację. Zrozumiały też obie z lekarką, iż rentgenolog wystawiony został na odstrzał... Stara Żydówka nachyliła się do Leli i szepnęła:

– Natychmiast wycofajcie podanie.

Rozchodzili się w milczeniu: jedni – dumni ze swej klasowej świadomości, drudzy z ponurą miną ludzi, którzy niepotrzebnie stracili dwie godziny, wreszcie inni – przygnębieni.

Lela ulotniła się momentalnie. Nie chcąc narazić osób jej sprzyjających, nawet nie pożegnała się z nimi i ruszyła niemal biegiem po ciemnej ulicy. Prawie dwa lata starań poszły na marne, ale przez gorycz klęski przebijało jeszcze inne uczucie, wyraziste aż do bólu, które owładnęło teraz całym jej jestestwem. Dziwna rzecz! Gdy na zebraniu mówiła tym niegodziwcom o matce i wypowiedziała słowa: „mama jest taka dobra i łagodna”, poczuła nagle, jak bolesna tkliwość niczym po zastrzyku, rozlewa się w jej

sercu. Momentalnie stały się jej niezwykle bliskie, najmilsze – umęczona twarz Zinaidy Glebowny, zapadłe policzki, pokorny wzrok i wychodzące zawsze spod uczesania przedwcześnie posiwiałe, miękkie włosy. Wtem ogarnął ją strach: a nuż mama zaraz umrze samotnie? Umrze, zanim ona przybiegnie, rzuci się jej na szyję i powie, jak drogie są dla niej te zmarszczki, uśmiech i włosy, wyzna, że złośczenie się i arogancja są powierzchowne jak bąbelki na szampanie i nie ma nikogo bliższego, niż ukochaną ponad wszystko matkę! Żegnając się bez przerwy, przeskakiwała stopnie brudnych schodów i wymyślała na głodne koty, które rozbiegały się na wszystkie strony.

Zinaida Glebowna, która w małym, prawie pustym pokoju znużonym mechanicznym ruchem rąk modelowała niezmiennie kwiaty, zerwała się na widok wbiegającej córki.

– No i co, moje dziecko? Co? Mów szybciej!

Lela bez słowa rzuciła się matce na szyję i rozplakała.

– Co z tobą, mój Żrebaczku? Czyżby znowu odmówili? Chcą żebyśmy z głodu umarły?

Szlochając zaczęła opowiadać.

– „...ojciec i dziadek!” – z beznadzieją w głosie powtórzyła za córką Zinaida Glebowna i usiadła na taborecie, bezwładnie opuszczając ręce.

– Mateńko! Nie denerwuj się, najmilsza! Przecież kocham ciebie, tak bardzo kocham! Wiem, że jestem nieznośna, a niekiedy bardzo oschła. Nie wiem, skąd się to bierze. Ale jesteś mi droga, ogromnie droga! Gdyby cokolwiek z tobą się stało, powieszę się na tym haku. Tak, właśnie tak zrobię! Niepowodzenie dlatego mnie tak obeszło, bo przewidywałam, że będziesz się zamartwiać.

Zinaida Glebowna pogłaskała córkę po głowie.

– Wiem, Żrebaczku! Wiem, że jesteś dobra! – Nagle zamyśliła się i spytała ze smutnym uśmiechem: – Pamiętasz jeszcze dziadka?

– Tak, mammo. Pamiętam, jak przyjeżdżał do nas wprost z pałacu, w mundurze. Musiałam witać go dworskim reweransem. Przypominam sobie, jak rozpieszczał mnie i Asie. A w Kijowie podczas bombardowania specjalnie siadał przy oknie, żeby dać nam przykład odwagi. Pamiętam i jego śmierć w tym strasznym pociągu, kiedy maszynista-bolszewik celowo wyrzucał paliwo, żebyśmy wpadli w ręce czerwonych. Niczego nie zapomniałam; dziadka położono na drewnianych zdjętych z zawiasów drzwiach i tak go poniesiono. Ktoś powiedział: „Oto w jaki sposób grzebiemy ostatniego senatora!”. Zachowałam też w pamięci grób na owym zagubionym w stepie przystanku kolejowym. W tym samym dniu zgubiłam pluszowego kotka w butach i opłakiwałam go razem z dziadkiem.

Chwilę milczały.

– Tam pod Symferopolem – powiedziała dotykając ręką czoła Zinaida Glebowna – las krzyży, las... Pogrzebano tam rosyjską chwałę. Lepiej, żebyśmy i my tam pozostały, niż żyły same w państwie nikczemników.

– Ależ mammo, mówisz nonsensy! I po co ten patos? – z rozdrażnieniem zareagowała Lela i natychmiast zamilkła, uświadamiając sobie, że boleśnie się rani. Jednakże Zinaida Glebowna od dawna przywykła do zmiennych nastrojów córki.

– Dobrze, nie będę, mój Żrebacku, nie będę! Jesteś jeszcze taka młoda. Wiem, iż pociąga cię życie. Co możemy jeszcze wymyślić? Do kogo się zwrócić? Słyszałam, że akademik Karpiński pomaga osobom z naszej sfery, a także Gorki.

Lela z uporem potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy! Do Karpińskiego pójdziemy wówczas, gdy będą chcieli wysiedlić nas z miasta, a pracę powinnam znaleźć sama. Obejdę szpitale z tym moim papierkiem, jeszcze raz pójdę do pośredniaka... Nie poddam się tak łatwo; dostanę pracę, zobaczysz.

Rozdział dziewiętnasty

– Babciu! Madame! Olegu! Sławeczek się budzi! – wołała Asia stojąc przy dziecinnym łóżeczku. Oleg, który zbierał się do wyjścia, zawracał szybko z przedpokoju do sypialni, w biegu chwycił różowiotką piętę syna i całował ją. Madame przybiegała z jadalni w fartuchu, Natalia Pawłowna pospiesznie wstawiała z łóżka i wdziewała staromodny szlafrok, żeby nie przeoczyć wzruszającej sceny przebudzenia się i porannej toalety dziecka. Sławeczek przeciągał się, zarzucał rączki za głowę i wyprostowywał nóżki; potem wypinał brzuszek i robił „mostek”. Rozpromieniony smyk doskonale przy tym rozumiał, jaką radość sprawia otoczeniu swymi gimnastycznymi wyczynami. Dla Natalii Pawłowny przysuwano do łóżeczka fotel, przesiadywała w nim często i długo, wpatrując się w głębokiej zadumie w drobną buzię prawnuka. Może wspominała swych synów, doszukując się podobieństwa do drogich jej rysów, a może starała się odgadnąć przyszłość chłopca... twarzyczka niemowlęcia stanowiła fascynującą księgę, nad której kartami wszyscy po kolei się zastanawiali, była zmienna jak chmurka: oto lekko zachmurzyło się czółko z puszką zapowiadającym brwi... nie rozzłościło się aby Gaworzątko? Teraz znów uśmiechnęły się szerokie bezzębne usteczka przypominające rybi pyszczek, nagle rozpromieniła się cała twarzyczka, a oczy z błękitnawymi białkami rozbłysły tak szczerą promienną radością, że twarze stojących wokół osób musiały ją odwzajemnić. Uśmiech równie szybko zniknął, kąciki ust układały się w podkówkę, gapiowata minka wzruszająca, bezbronna oraz żalosne „uwja” czy „lja” rozczulały; w coraz silniejszym płaczu pojawiały się nutki rozpaczki, jakby młody człowiek niczego się już nie spodziewał i machnął ręką na całe swoje życie.

– Co się dzieje z moim maleństwem? Czy ma mokro? A może chce na rączki do mamy?

– Asiu, znów go kołyszysz? Rozpuścisz dziecko. Natychmiast go połóż.

– Nie, babciu, nie rozpuszczę. Wiem lepiej od wszystkich, czego potrzebuje – domaga się, żeby mama zaśpiewała mu o kotku-kocie. Babciu, popatrz, on się uśmiecha!

Wieczorem zaczynało się przekomarzanie z Lelą.

– Daj go teraz mnie, Asiu. Zapominasz, że jestem matką chrzestną. Przyjrzyj się, jak mu do twarzy ze śliniaczkiem, który przyniosłam. Mama prosiła, abym uprzedziła, że przyjdzie dzisiaj w czasie kąpania i, proszę, Asiu, pozwól jej wytrzeć go i ubrać. Wiesz, jak to lubi.

Przed kominkiem na sznurku niezmiennie suszyły się pieluszki, koszulki, czapeczki, na fortepianie leżały grzechotki. Schumann, Szopen i Schubert poszli w ką, Asia grała teraz tylko kołysanki, dobierając różne „baju, baju”, czy „kotki dwa”. Doczekała się, że wezwano ją w końcu do dyrekcji szkoły, gdzie uprzedzono, iż musi w terminie złożyć obowiązujące po półroczu egzaminy. Lela nie ukrywała złośliwej satysfakcji: „Wreszcie będzie mój! Chcesz czy nie chcesz, ja go będę kapać i niańczyć!”.

Kiedyś wieczorem po Bożym Narodzeniu Asia pozostała w szkole muzycznej dłużej niż zwykle, ćwiczyła „Sonatę księżycową”, którą miała zagrać na koncercie. Oleg czekał na nią cierpliwie w westybulu szkoły, wracali biegiem w obawie, że Sławeczek się przegłodził. W przedpokoju czekała na nich Lela, zaś z głębi mieszkania doleciał w tym momencie krzyk zgłodniałego dziecka. Asia zrzuciła płaszcz i rozpinając bluzkę pobiegła do sypialni. Oleg powiesił palto żony i odwracając się ku Leli spostrzegł, że stoi z opuszczoną głową, oparta o stół.

– Olegu Andriejewiczu, muszę porozmawiać z panem bez świadków. Proszę po herbacie odprowadzić mnie do domu – zwróciła się do niego z niezwykłą dla niej powagą.

– Do usług – oświadczył.

Przy stole niepostrzeżenie ją obserwował. Była niezwykle poważna, dopiła do końca herbatę i wstała, żeby się pożegnać. Poderwał się w ślad za nią.

– Jeśli pani pozwoli, odprowadzę ją. Tam na rogu kręca się jacyś pijacy. Wyjście w pojedynkę może okazać się ryzykowne.

Idąc po schodach, dotykała w zamyśleniu poręczy, głowę miała opuszczoną i milczała. Szedł za nią spięty w oczekiwaniu rozmowy.

Na mgnienie zrodziło się w nim podejrzenie, iż chce mu wyznać miłość. Jednakże zaraz zawstydził się tej myśli i odpędził ją od siebie jako bzdurną fantazję.

Na ulicy Lela przystanęła i rozglądając się wokół poprosiła:

– Proszę mnie wziąć pod rękę, będę mówiła bardzo cicho. Olegu Andriejewiczu, cały dzisiejszy ranek spędziłam u śledczego na Szpalernej.

Wziął ją pod ramię starając się ukryć niepokój, niemniej na czole wystąpiły mu chłodne krople potu.

– Do tej pory nie mogę się uspokoić. Naprawdę byłam w piekle, jutro na jedenastą znowu pójdę... muszę iść... tam... Nikomu niczego nie powiedziałam, mama jest tak roztrzęsiona, a ja tych wszystkich „ochów” i „achów” nie mogę znieść. Niewątpliwie posprzeczałybyśmy się, więc wolałam zataić to przed nią, choć mogę przecież nie wrócić!

– Słusznie pani postąpiła zwierzając mi się. Proszę mówić dalej.

– Rzecz w tym, że oni... zdumiewające, jak odważyli się na to... ośmielili się... oni... – zamilkła.

– Zaproponowali pani donosicielstwo, czy nie tak, Heleno Lwowno?

– Jak się pan domyślił?

– Znam trochę ich metody! – skwitował z uśmiechem.

– Rozmowa była męcząca, choć w gruncie rzeczy przelewaliśmy z pustego w próżne – relacjonowała dalej. – Zaczął

od tego, że wie o mnie wszystko i niech nie próbuje się wymigiwać. Między innymi oświadczył: „Mamy informację nawet o tym, jak bawiliście się w kotka i myszkę z młodszym synem wielkiego księcia i że „Jego Wysokość” podarował wam na imieniny bombonierkę, a działo się to w Pałacu Marmurowym, gdzie miał prawo mieszkać wasz ojciec”. Prawdopodobnie nasi sąsiedzi, nie Żydzi, lecz Praskowia z mężem, słyszeli coś piąte przez dziesiąte i donieśli. Odpowiedziałam, że poza pochodzeniem, które jest wszystkim znane, nie obciążają mnie żadne kontrrewolucyjne działania.

– Zuch z pani, Heleno Lwowno! Dobra odpowiedź. I co dalej?

– Potem... następnie zaczął mnie brać pod włos, nie od razu zrozumiałam... „Żal mi was... jesteście taka młoda i potrzebujecie... chcę wam pomóc i zaproponować lekką pracę, doskonale płatną. Nikt się nie dowie, że zostaliście naszym agentem. Obowiązki wasze będą proste, a pozbędziecie się wszystkich kłopotów i zmartwień o dzień jutrzejszy” – i tym podobnie... Nie odważyłam się ostro zareagować, tłumaczyłam, że nie mogę podjąć się tego rodzaju obowiązków, nigdzie bowiem nie bywam i z nikim się nie widuję. Wówczas powiedział: „Będziecie bywać”. Kiedy stwierdziłam, że nie potrafię udawać, nie przejął się: „Przeszkolimy was, nauczymy kilku chwytów, nie takie to trudne”.

– Czy powiedzieli, kogo ma pani śledzić? Padły może jakieś nazwiska? – spytał Oleg.

– Na początek wskazali konkretnie Ninę Aleksandrownę, gdy zaś powtórzyłam, że z nikim się nie spotykam, poprawił mnie: „Codziennie chodźcie do Bołogowskiej”.

– I jak skończyła się rozmowa?

– Znowu zaczął mówić, że mu mnie żal, i zaproponował, abym się zastanowiła. Odpowiedziałam, że nie mam nad czym rozmyślać, bo konfidentem nie zostanę. Wtedy zagroził: „Szkoda mi was, wchodźcie na niebezpieczną drogę, możemy wysłać was daleko stąd, rozłączyć z matką. Zresztą mam nadzieję, że

zmienicie zdanie. Mądra z was dziewczyna i nie będziecie przecież sama sobie szkodzić. Jutro przyjdziecie do mnie znowu, przygotuję przepustkę na jedenastą”. Olegu Andriejewiczu, gdyby mógł pan sobie wyobrazić, jak strasznie się boję! – I cała zadygotała.

– Proszę nie wpadać w panikę, Heleno Lwowno! Pogróżki tego rodzaju nie zawsze są spełniane. Zastraszanie człowieka jest ich zwykłą metodą. I ja byłem w podobnej sytuacji i pomimo kategorycznej odmowy jestem cały i zdrow. Proszę się trzymać. Dać się wciągnąć w to bagno jest gorsze, niż zesłanie czy obóz. Zapewniam panią. Proszę nie zdradzać przed nikim wahania bądź strachu. W takiej sytuacji, im bardziej zdecydowanie się odmawia, tym lepiej. Wiem z własnego doświadczenia.

– A co będzie, jak mnie aresztują? Mama oszaleje, kiedy niespodziewanie zniknę!

– Mogę obiecać, Heleno Lwowno, że jutro wprost z pracy wstąpię do pań i w razie nieszczęścia, w miarę możliwości podtrzymam na duchu Zinaidę Glebowną. Zresztą nie tylko ja, przecież pani wie, jak wszyscy kochamy i szanujemy jej matkę.

– Uwężenie... zimno, ciemno, strasznie... a jeśli zaczną mnie bić? Lub jeżeli nie...

– Heleno Lwowno, niemal na pewno nie zatrzymają pani. Przecież nie przedstawiono aktu oskarżenia, niechby bzdurnego, niemniej zawierającego jakieś zarzuty...

– No i co dalej? Jak długo będziecie się zastanawiać? Już bite trzy godziny rozmawiamy i wciąż nie możemy się dogadać, powiedzcie: zgadzacie się?

– Odpowiedziałam: zdrajczynią nie będę!

– Jakże lubujecie się w gromkich, nic nie znaczących słowach, których sami potem się boicie. Co daje takie przyklejanie etykietek? Każdą sprawę można rozpatrywać z różnych stron. Na przykład: ktoś zamierza napaść na spokojny dom zamieszka-

przez kobiety i dzieci, dowiadujecie się o tym przypadkowo i przecież uznacie za swój obowiązek powiadomienie milicji? Weźmy inny przykład: podczas wojny imperialistycznej w Rosji działali niemieccy szpiedzy, zaś w Niemczech rosyjscy, obie strony uważały ich za bohaterów, a cudzych za nikczemników. I co o tym sądzicie?

– To... zupełnie coś innego! To... dla ojczyzny!

– A u nas – dla pierwszego i jedyne go w świecie państwa robotniczo-chłopskiego. Co za różnica?

– Wielka, ogromna różnica. Nie, nie mogę.

– Wciąż ta sama śpiewka. No cóż, jak nie możecie, to posiedźcie tutaj ze trzy godziny i dalej się zastanawiajcie.

– Nie mogę dłużej pozostawać, nie mogę. Przyszłam o jedenastej, a już czwarta. Czeka na mnie matka, będzie się niepokoiła, nie wie, dokąd poszłam.

– *Żarty* sobie stroicie, obywatelko? Co nas obchodzi jakaś tam wasza matka? Dla nas istnieje wyłącznie interes państwa. Siedźcie dalej. Jeżeli zdążę, przyjdę za jakieś trzy godziny, a nie, to dopiero jutro.

– Jak to jutro? Czy można nie wrócić na noc do domu? Nie mogę, zapewniam was, nie mogę! Zwolnijcie mnie, proszę.

– Wy, obywatelko, nie zdajecie chyba sobie sprawy, gdzie jesteście. Tutaj nie pomogą wasze: „proszę” i „mamusia się niepokoi”. Podpiszecie zgodę na współpracę – będziemy rozmawiać jak dobrzy przyjaciele, w przeciwnym wypadku miejcie pretensje do siebie. Chętnie pomógłbym wam i waszej matce, ale sama na to nie pozwalacie.

– Przecież namawiacie mnie do podłości, a ja nie mogę na to przystać.

– Widzicie ją, jaka pewna siebie! Gada jak pełnoprawna obywatelka! Jak byśmy nie wiedzieli, co z was za ptaszek, przepiórka-niedobitek, ale nie szkodzi, dobijemy. Widzicie ten

dokument? To nakaz waszego aresztowania. Szef dawno już kazał was zamknąć, a mnie żal waszych młodych lat – wciąż czekam, aż się namyślicie, lecz jeżeli się nie zgodzicie, każę was wsadzić za kraty. Jak długo jeszcze mam sobie zawracać wami głowę? Wyśle was, gdzie diabeł mówi dobranoc – GPU jest wszechmocne! Do obozu karnego! Ziemię ryć pod nadzorem! Staniecie się numerem! Ręce do tyłu! Matkę waszą też pošlemy za druty! Dotarło do was wreszcie? Wyrażacie teraz zgodę?

– Nie wiem... nie wiem... Boże mój, jakże jestem nieszczęśliwa!

– Wszystko zależy od was. Możecie stać się bardzo szczęśliwą. Młoda, ładna dziewczyna, ubierzecie się, z naszymi chłopakami będziecie chodzić, na wczasy pojedziecie, dostaniecie posadę. – Śledczy słodko się uśmiechnął.

– Lepiej się powiesić, niż u was służyć.

– Pracować będziecie w swoim zawodzie. Znalazłem już dla was posadę przy obsłudze rentgena.

– Jak to? Przy rentgenie? Nic z tego – mnie nawet w pośredniaku nie chcą zarejestrować.

– Jeżeli mówię, to znaczy dostaniecie posadę. Żaden pośredniak nie jest wam potrzebny. Już jutro otrzymacie skierowanie. Nie główkujcie, podpiszcie! Czego się boicie? Przydzielę wam lekkie, nie krzywdzące nikogo zadania. Nikt nie będzie was zmuszał do składania zeznań ani oczerniania ludzi. Możecie z dziesięć razy przyjść do nas i oświadczyć, że u nikogo niczego podejrzanego nie zauważyliście. Nie, to nie – i tyle. No i co, dajecie rękę na zgodę?

Twarz jego rozjaśnił życzliwy uśmiech, jakby zapraszał ją do kina. Lela milczała.

– A więc zgoda? Dogadaliśmy się? Znowu milczycie? Decydujcie się, do diabła? Obóz czy posada? No?

Dobroduszny uśmiech ześlizgnął mu się z twarzy jak żaba. Lela zasłoniła twarz rękami.

– Załatwajcie pracę, zgadzam się, ale bez szantażu. I jeszcze jeden warunek: uprzedzam, że swoich bliskich nie będę szpiegować. Zresztą nie ma po co ich śledzić. Inwigilować będę tylko w miejscu pracy i jeżeli coś zauważę, sama się zgłoszę, a wy mnie nie wzywajcie.

– W porządku, dogadamy się. Przekonacie się, jak dobrze być naszym współpracownikiem, trzeba tylko zacząć. Zobaczycie, ile wam to przyniesie zadowolenia! Wymyślimy dla was konspiracyjny pseudonim, jakiś wytworny, egzotyczny... Goździk, może oleander albo tuberoza. Chyba najlepiej – goździk. Tak też będziecie podpisywać swoje raporty. Do widzenia, towarzyszek Goździk... omal nie powiedziałem mademoiselle Goździk. I zapamiętajcie, jeżeli nie chcecie trafić do obozu, nikomu ani słowa.

Zinaida Glebowna już od półtorej godziny czekała na schodach i gdy wreszcie zobaczyła córkę, wybiegła z okrzykami niepokoju na jej spotkanie.

– Zostaw mnie, mamó, nie pytaj, potem ci powiem. Jestem bardzo zmęczona.

Weszła do pokoju i rzuciła się na posłanie. Zinaida Glebowna chwilę nad nią powstała.

– Dziecko moje, powiedz mi tylko... – poprosiła nieśmiało.

– Och, mamó, nie wypytuj! Choć raz w życiu! Zimno mi, przykryj mnie.

Otuliła ją pledem i przysiadła na skraju okutego kufra, na którym rozłożona była pościel.

– Nie boli cię, Żrebacku, główka?

– Tak, boli, nieludzko boli. Nic nie mów, mamó, nie wypytuj.

– Droga moja! Jakże mogę nie wypytywać? Nie było ciebie sześć godzin, wróciłaś wymęczona, blada jak ściana i teraz chcesz, żebym milczała? Nie złość się na swoją matkę... Powiedz mi tylko, gdzie byłaś? Może coś się stało? Może ciebie...

mężczyzna...

Lela nieco się podniosła.

– Jestem jak zawsze wobec ciebie bezlitosna. Nic się takiego, mamó, nie stało, jestem cała i zdrowa. Tylko... wiesz... znowu niepowodzenie: poszłam do jednego szpitala umówić się... miałam nadzieję... wyczekałam się na kierownika... i nic nie wyszło. Rozboliła mnie z tego wszystkiego głowa.

Zinaida Glebowna przeżegnała się.

– Chwała Bogu, chwała Bogu, że tylko tyle, Żrebacku! Spij. Pójdę wyprać twoją bluzkę.

Zaledwie wyszła, już po chwili uchyliła drzwi.

– Co znowu, mamó?

– Jeszcze nie śpisz, Żrebacku? Przyszedł Oleg Andriejewicz, powiedziałam mu, że boli cię głowa, a pomimo to prosił, by ci powiedzieć, że zjawił się.

Lela przez chwilę milczała.

– Powiedz mu, niech wejdzie, i zostaw nas samych. Musimy omówić pewien projekt, który ma być niespodzianką... poproś go, mamó.

Usiadła podwinawszy nogi i zziębnięta otuliła się pledem. Wszedł Daszków.

– Olegu Andriejewiczu, przesiedziałam u śledczego sześć godzin. Trzymałam się, póki mogłam. Nie chcę pana okłamywać, w końcu się poddałam. Zagroził obozem koncentracyjnym o zaostrzonym rygorze i rozdzieleniem z mamą. Tak bardzo byłam zastraszona, że... zgodziłam się ich informować... nie o swoich oczywiście – o obcych. Zobowiązałam się naturalnie tylko słownie, nie zaszkodzę ani jednemu człowiekowi. Proszę, aby pan nie mówił nikomu, i sam nie patrzył na mnie jak na szpicla. Czy rzeczywiście muszę udowadniać, że raczej umrę, niż przekażę choćby jedno słowo Asi, pana czy Natalii Pawłowny! Mam nadzieję, że pan we mnie nie zwątpi?

Patrzył na nią przygryzając wargi.

– Olegu Andriejewiczu, czy pan mną teraz pogardza?

– Nie, nie, Heleno Lwowno! Trudno nie złamać się w ich łapach. Tylko mi bezgranicznie pani żal. Znalazła się pani w groźnej sytuacji.

– Może nie jest aż tak źle? Zgodziłam się współpracować na ściśle określonych warunkach, inwigilacją zajmować się będę wyłącznie w pracy..

– Jak to w pracy?

– Ach, tak! Nie wspomniałam, iż obiecał mi posadę przy obsłudze rentgena, będę pracowała w szpitalu, to naprawdę uczciwe zajęcie, tyle że otrzymałam je pod warunkiem... donosicielstwa. Ponieważ obiecano mi nieprzymuszanie do przekazywania informacji, mogę im oświadczać, że niczego nie słyszałam, nie zauważyłam. Kiedyś na odczepnego wybiorę kogoś z ich środowiska, zażartego partyjniaka lub bezpieczeniaka i go obsmaruję – takiego, któremu to nie zaszkodzi. Nie miałam innego wyjścia!

– Heleno Lwowno, wciąż jeszcze nie zdaje sobie pani sprawy, z kim będzie obecnie miała do czynienia – dla nich nie istnieją żadne umowy, za każdym razem będą od nowa szantażować tymże obozem koncentracyjnym. Okazała pani słabość i teraz już się nie odczepią, a uprzedzałem! Będą, rzecz jasna, domagać się informacji o wszystkich osobach, z którymi pani się spotyka. I jak kleszczami zaczną je wyciągać. Będzie pani sprawdzana, prowokowana do rozmów... Pamięta pani takie przysłowie: „Słówko ptaszkiem wyleci, a powróci wołem”?

– Ptaszkiem? On też nazwał mnie ptaszkiem, niedobitą przepiórką. „Dobijemy!” – zagroził.

– Biedne dziecko! – powiedział Oleg z niezwykłą serdecznością i ujął ją za rękę.

– Olegu Andriejewiczu, przecież mi pan wierzy, prawda, że nigdy na pana ani na Asie... że nie jestem do tego zdolna... wierzy

pan? Nie będzie się pan mnie wystrzegał? Jeżeli coś takiego zauważę, to... ja...

Nigdy nie słyszał w jej głosie takiego znużenia, beznadziei, smutku...

– Wierzę w czystość pani intencji, Lelu. Ufam, że ze wszystkich sił postara się pani tego uniknąć, lecz... Im dalej, tym będzie trudniej!

Kres rozmowie położyło wejście do pokoju Zinaidy Glebowny. Zaczęli się żegnać.

– Żrebaczku, od rana nie jadłaś, przynieść ci zupę?

– Nie, mamó, dziękuję. Jestem zmęczona, skonana! Coś mi się zdaje, że zachoruję. Noc jest taka długa, długa... Pozwól mi zasnąć.

Rozdział dwudziesty

– Towarzyszu Kazarinow, mam do was drobną sprawę. Może znajdziecie na słówko? – zwrócił się Wiaczesław do Olega, wychodzącego z pokoju Niny.

Mężczyźni usiedli naprzeciw siebie.

– O co chodzi? Jestem do waszej dyspozycji, Wiaczesławie. – I widząc niezdecydowanie chłopca, dodał: – Należę do ludzi dyskretnych, nikomu niczego nie powtórzę. Nie leży też w moim zwyczaju zadawanie pytań.

Skonfundowany Wiaczesław wymamrotał:

– Zachodzi do nas z waszą żoną jej przyjaciółka... Znów zamilkł targając jak zawsze rozwichrzoną czuprynę.

– Tak, zagłąda. Lela Nielidowa. Są z moją Asią siostrami ciotecznymi.

– To znaczy, że ona również z panów? Tak i myślałem. Ech, szkoda! Bardzo pociągająca, z loczkami, a zgrabniutka jak ta brzoźka. Nie ma w niej tej przebojowości, której aż nadto u innych...

– Chcecie, poznam was? – zaproponował Oleg.

– Nie, nie o to mi chodzi... My jak gdybyśmy się już zapoznali... Zróbcie coś, Kazarinow, żebym mógł dokądś pójść... pogadać... Pomóżcie po koleżeńsku...

– Z przyjemnością, Wiaczesławie. Tylko za pierwszym razem wspólnie pójdziemy. W najbliższych dniach coś zorganizuję, niby przypadkiem. Możecie na mnie polegać. Dyskretnie szepnę o was słówko, a potem sami sobie już radźcie...

– A kim są jej rodzice? – smętnie spytał Wiaczesław, najwyraźniej zastanawiając się nad tym, o czym właśnie myślał i Daszków.

– Ojciec był adiutantem bardzo ważnej osobistości, jeden dziadek – pułkownikiem gwardii, drugi – senatorem. Obecnie obie

z matką biedują – nieprzypadkowo dodał Oleg.

– A dlaczego?

Oleg pokrótce opowiedział o niepowodzeniach Leli, którą nazajutrz po owym nieszczęsnym zebraniu zwolniono, pozbawiając nawet stażu.

– Jak tamtejsza rada zakładowa mogła tak postąpić? Czy aby nie załatwiano jakichś osobistych porachunków? Przecież to oczywiste przegięcie – obruszył się Wiaczesław.

– Przegięcie! – gorzko uśmiechnął się Oleg. – Ładnego, wy partyjni, używacie słoweczka. Wygodnego! Wszystko nim można wyjaśnić: likwidowanie gospodarstw chłopskich, niszczenie rodzin, zrównanie z ziemią kaplicy Matki Boskiej Twerskiej, zaszczucie uczonych, jak choćby Płatonowa czy Tarlego. Szkoda, że rząd carski nie miał pod ręką takiego określenia, mógłby bowiem skwitować nim zarówno „krwawą niedzielę”, jak i masakrę nad Leną! Przegięcie – i wszystko wytłumaczone! Co o tym sądzicie?

Wiaczesław nieco zakłopotany nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– Przez cały czas szukałem pewnej znajomej rodziny i dopiero niedawno wpadłem na jej ślad – zgryźliwie kontynuował Oleg. – Według waszych kryteriów głową rodziny był przestępca nie zasługujący na pobłażliwość – redaktor gazety „Nowoje Wriemia” – i nauczyciel wielkich książąt, nie patyczkowano się więc z nim i rozstrzelano! A jeśli chodzi o rodzinę... starszego syna, oficera pułku siemionowskiego, mojego rówieśnika, też rozstrzelano! Córka spędziła rok w więzieniu, a teraz zesłano ją na Syberię; młodszy syn w obawie przed represjami wyrzekł się rodziców, „odciął się”, jak to przyjęto określać według waszej komunistycznej moralności, a matka... matka po tym wszystkim, co się na nią zważyło, pół roku temu wyskoczyła oknem i zabiła się. Jak myślicie, czy nie doszło tu aby do „przegięcia”? Mścić się na rodzinach? Takie praktyki stosowano tylko za Iwana Groźnego! Rewolucjoniści z „Narodnej Woli”, nawet bolszewicy działając w

podziemiu nie obawiali się nigdy o los rodziców czy dzieci. A dekabryści? Słyszeliście zapewne o powstaniu dekabrystów, kiedy pułki wyszły na plac Senacki, a Kachowski strzelał do samego cesarza... Pięciu zostało powieszonych. Gdyby zaś takie powstanie wybuchło dzisiaj? Przecież za rzekomy, nieudowodniony sabotaż rozstrzelują całymimi partiami; a jeśliby doszło do wydarzeń zbliżonych rozmiarami do grudniowego buntu? Po matce jestem potomkiem dekabrysty i ówczesne represje, które od dzieciństwa przywykłem uważać za okrutne, po tym, co widziałem ostatnimi czasy, wydają mi się błahe, wprost nie zasługujące na uwagę. Obozy koncentracyjne dla żon wysokich urzędników – czy słyszeliście o czymś podobnym w carskiej Rosji? Żadna z żon dekabrystów nie została objęta represjami. Nie zdziwię się, gdy uznany zostanie za przestępcę wojennego i pewnego pięknego dnia trybunał wojskowy skaze na śmierć aktywnego białogwardzistę, księcia Daszkowa, wyrok uznam za w pełni zasłużony. Kiedy jednak prześladowany jestem jako Kazarinow, który odsiedział sześć i pół roku obozu jedynie za to, że nie doniósł na kolegę, a do tego wiem, iż po rozprawieniu się ze mną przyjdzie kolej na rodzinę i męczone będą do ostatniego tchnienia moja żona i dziecko – nie mogę wyzbyć się myśli, że wasz komunizm jest krwawą plamą na historii Rosji. Wy tymczasem głosicie, że wskazujecie drogę ku postępowi i szczęściu, właśnie wy?

Daszków zamilkł spostrzegłszy, że nazbyt emocjonalnie zakończył swoje przemówienie.

– Dobre macie gadane, towarzyszu Kazarinow. Zasypujecie słowami. A wszystkie wymierzone w nasz ustrój! Jak się pogłówkuje, to niebezpieczny z was człowiek! Terror wam się nie podoba? Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, towarzyszu Kazarinow, a rąbać je trzeba. Bez wprowadzenia czerwonego terroru nie utrzymałaby się władza sowiecka. Kapitałiści i obszarnicy z całego świata radzi by złapać nas za gardło, a i wewnątrz naszego Związku nie przeliczysz wrogów, sabotażystów! Wy pewno lepiej znacie ich ode mnie. Dla tych, co nie chcą wyrzec się przywilejów, jesteśmy jak drzazga w oku. Mego pradziada dziedzic przegrał w karty. Ale ze mną to nie wyjdzie; uczę się, pracuję i nikomu nie

muszę czapkować. Życie w uciążliwych warunkach? No to co, nam nie nowina, ciężko i koniec! Czasy są przełomowe, trudności powstały na skutek chłopskiego sabotażu. Idea kolektywnych gospodarstw jest jedną z najwspanialszych na świecie! Niech tylko zwycięży ustrój kołchozowy, zobaczycie, jak rozkwitnie nasz Związek! Proces budowy trwa. Wieś dlatego się burzy, że ludzie nie rozumieją złożoności dziejowego momentu, nie patrzą dalej, niż na koniec własnego nosa. Ale tylko ich spytajcie, czy chcą powrotu cesarskiego reżimu? Nawet gdyby pojawiły się znowu białe bułki, wozy mąki, kapusty i grochu, wiadra jabłek i trzykrotnie większe od dzisiejszych działki przyzagrodowe – i tak nie zechcą.

– Nie takie to jeszcze pewne! Przyobiecajcie im ziemię na własność, a zechcą! W czasie wojny domowej wieś poszła za wami po rzuceniu hasła „Ziemia – chłopom”! Fakt ten przesądził o waszym zwycięstwie, teraz tę ziemię zabieracie im pod kołchozy i sowchozy.

– Nie, nie odbieramy. Dokonujemy przebudowy wsi, burzymy stare struktury. Walka o zlikwidowanie indywidualnych gospodarstw rozbija wiekami ukształtowany układ życia, jednakże my, komuniści, nie boimy się przełamywania oporów. Przyszłość należy do nas. Najpierw przebudujemy wieś – będzie łżej; wykonamy pierwszą pięciolatkę, drugą – stanie się jeszcze łżej! Nasze hasła mają siłę przyciągania, gdyby nasz program był nieżyłowy, nie odnieśliśmy zwycięstwa! Przecież nasza młoda republika stawiała czoło niemal całej Europie. Pokonaliśmy wrogów w wojnie domowej i przewyciężyliśmy rozprężenie gospodarcze. Zbudowaliśmy już Dnieproges i Kanał Białomorski, a ile jeszcze zbudujemy! Wzięliśmy się za wieś... Kiedy o tym myślę, niemal słyszę, jak oddycha ziemia. I czuję, jak rośnie we mnie, tak, rośnie zapał do pracy! Wiem, że wraz ze mną miliony ludzi, tak samo jak... Ech, mówić to ja nie umiem!

– Umiecie, Wiaczesławie, dlatego że mówicie szczerze! Tylko jakoś nie mogę uwierzyć, że zgodnie z rytmem waszego serca biją miliony innych. Gdyby było więcej takich ludzi, jak wy –

bezgranicznie, bezinteresownie oddanych idei – nie byłoby tych obrzydliwości budzących we mnie odrazę. Rozumiem, że w samej zasadzie arystokracji jest z gruntu coś oburzającego, niesprawiedliwego: niewielka część społeczeństwa cyzeluje, wysubtelnia i uszlachetnia intelekt oraz uczucia, gdy w tym samym czasie ogół pochłonięty jest walką o byt. Jednakże warunki, w których możliwe były takie kontrasty, obumierały, szlachta podupadła, straciła już swoje przywileje. Jeszcze ze dwie-trzy liberalne reformy i stare porządki odeszłyby na zawsze. A rzeki krwi, w których spodobało się wam utopić miliony ludzi, zamiast rozumnie ich wykorzystać, doprowadziły do całkowitego wyniszczenia inteligencji, przynajmniej tej od kilku pokoleń, najbardziej twórczej, wyrafinowanej. Spróbujcie bez niej się obejść! Już dziś brakuje wam „kadr”, a im dalej, tym będzie trudniej. Grozi wam pełne skostnienie myśli, kulturę kształtują pokolenia, zniszczyliście wartości tworzone przez wieki.

Wiaczesław spojrział na niego rozgorączkowanym wzrokiem.

– Jakże trafnie ujęliście istotę arystokracji, właśnie tak myślałem, lecz nie umiałem tego wyrazić. Tak! Samo pojęcie „szlachetnie urodzeni” budzi nienawiść i sprzeciw, jak pasożytnicze rośliny!

Oleg zasępił się.

– Cieszę się, że pomogłem wam w sprecyzowaniu myśli. Prawdopodobnie nie potrafimy nawzajem się przekonać. Wnioski, do jakich dochodzimy, są przeciwstawne. Posłuchajcie mnie, Wiaczesławie! Ani ja, ani mnie podobni, również z „dawnych”, nigdy nie byli i nie staną się „sabotażystami”. Możemy być wrogami w otwartej walce lub oddziaływać ideowo, lecz w pracy, gdzie mają do nas zaufanie i płacą za nasz wysiłek, obowiązki swoje wykonujemy sumiennie. Procesy o szkodnictwo – poza nielicznymi przypadkami – oparte są na oszczerstwie mającym usprawiedliwić własne niepowodzenia. Osobiście nie znam, nie spotkałem żadnego sabotażysty. No, ale na mnie już czas.

Sięgnął po czapkę i wstał. Wiaczesława uderzyła elegancja

tego gestu i smukłe, delikatne dłonie.

– A ręce i dzisiaj jeszcze macie zadbane. Z pracą znać niewiele miały wspólnego – powiedział bardziej szorstko, niż zapewne zamierzał.

Oleg popatrzył na niego przenikliwie.

– Sześć i pół roku harowałem na ciężkich katorżniczych robotach, a i teraz w domu sam rąbię drzewo na opał. Moje ręce może dlatego wydają się wypielegnowane, że od dziecka nauczono mnie dbać o ich przyzwoity wygląd. Sądzę, że każdego na to stać.

W korytarzu natknęli się na Annuszkę, która dobijając się do Niny, wołała przez drzwi:

– Wyjdź do niej, Aleksandrownu. Nie wiem, co za jedna. O ciebie pyta albo Mikę.

Obaj mężczyźni weszli do kuchni. Na parapecie, na tle szarej ślepej ściany z naprzeciwka siedziała nie znana im kobieta, około czterdziestki. Miała na sobie wacik i chustkę, tak że Oleg w pierwszej chwili wziął ją za dozorczynię albo stróżkę, ale niemal natychmiast zauważył wytworność, z jaką skinęła głową w odpowiedzi na słowa Annuszki: „Nina Aleksandrowna zaraz wyjdą”.

Byli już blisko drzwi, gdy usłyszeli za sobą okrzyk: „Olga Nikiticzna!”.

Kobieta gwałtownie zerwała się na widok Niny.

– Proszę wybaczyć, że pozwoliłam sobie przyjść wprost do pani. Dopiero dzisiaj wróciłam stamtąd i chcę się dowiedzieć, co z dziećmi. Zwolniono mnie na jeden dzień. Wieczornym pociągiem muszę wyjechać do Karagandy, a mój pokój zastałam zamknięty na kłódkę. Na miłość boską, gdzie są Mary i Pietia? Czyżby ich wysiedlono?

– Nie, nie! Mary jest tutaj. Mieszka w jakiejś bursie, Mika się z nią widuje. Wkrótce przyjdzie i poda pani adres – dukała Nina, jak gdyby można było w nieskończoność odsuwać chwilę, w której

trzeba będzie powiedzieć matce o śmierci syna.

– A Pietia? Syn?

Na schodach, po zejściu z kilku stopni, Oleg odwrócił się i pytająco spojrzął na Wiaczesława, który zamykał za nim drzwi.

– I co sądzicie o tej scenie? Nie wydaje się wam, że znów mamy do czynienia z „przejęciem”?

W domu zastał radosne ożywienie, przybiegła bowiem Lela z wiadomością o przyjęciu jej do pracy. Oleg z mieszanymi uczuciami przysłuchiwał się gratulacjom uradowanej Natalii Pawłowny oraz madame. Promienne spojrzenie Asi prawie natychmiast przesłonił cień niepokoju, gdy w piwnych oczach przyjaciółki dostrzegła ukrytą trwożę.

– Czy już całkiem wyzdrowiałaś? – spytała zaniepokojona.

– Tak, zupełnie.

– Czemu więc się nie cieszysz?

– Cieszę, się.

– Nie, Lelu. Przecież widzę. Ciocia Zina powie ci to samo.

– Nie zapominaj, że tydzień leżałam z temperaturą, jestem bardzo osłabiona. Poza tym deprymuje mnie okoliczność, że jest to szpital więzienny. Kraty, przepustki... Przy wychodzeniu z pracy każdego dnia mogą nas zrewidować, a w kancelarii wzięto ode mnie jako nowo przyjętej zobowiązanie, że nie będę przekazywać od chorych żadnych informacji o zdrowiu, a także spełniać jakichkolwiek ich ustnych poleceń. Uprzedzono mnie też, iż pacjenci często proszą o wrzucenie listów do skrzynki pocztowej. To również jest zabronione.

Oleg, który zabrał się do czytania gazety, na moment przerwał lekturę:

– Proszę pamiętać, Heleno Lwowno, że z pewnością będą panią kontrolować. Zobaczysz pani, że już w którymś z pierwszych

dni ktoś poprosi o wrzucenie listu. Proszę tego nie robić, będzie to prowokator.

– Prowokator? Wśród więźniów?

– Ależ oczywiście! Czemu pani się dziwi? Za skrócenie kary lub dodatkową porcję do obiadu wielu chętnie podejmie się takiego zadania. Wszak w więzieniu siedzą nie tylko polityczni, ponad jedną trzecią stanowi element kryminalny.

Popatrzyła na niego z zakłopotaniem przemieszonym ze strachem.

W kilka dni po przyjęciu Leli do pracy, Oleg zabrał ją i Asie do portu na urządzany tam z jakiejś okazji wieczorek. W sali podszedł do nich zaproszony przez Olega Wiaczesław. Rudy z wigoniowej wełny sweter, sięgający po uszy i kusa, zmięta marynarka przypomniały Leli „towarzysza Wasiliewa”.

Po zakończeniu imprezy, wychodząc z budynku, Oleg podał ramię żonie, Lelę zaś pozostawił opiece Wiaczesława.

– Jak się wam pracuje, Heleno Lwowno? – zagadnął biorąc ją pod rękę. – Słyszałem, że was zatrudniono? Pewno na początku ciężko? Nic to, przywykniecie. No jak, dajecie sobie radę z pracą czy nawalacie?

– W porządku, radzę sobie, nadażam – niechętnie odpowiedziała Lela.

– A lekarz dobrze was traktuje? Nie struga ważniaka? – w dalszym ciągu wypytywał wojowniczym tonem Konoplannikow, jakby nie zauważając zwięzłości jej wypowiedzi. – Widzę, że w tych lekarzach tkwi jeszcze wiele starych nawyków, wciąż uważają się za panów, lubią przed średnim personelem popisywać się władzą. A wy, nie kładźcie uszu po sobie, jakby co, to do rady zakładowej.

– Na lekarza nie uskarżam się, a trudności mam dlatego – wyjaśniła Lela – że nie znam dobrze aparatury. Dotychczas pracowałam przy aparacie jednego tylko typu i mogę sobie nie poradzić nawet z przepalonym bezpiecznikiem.

Stopniowo rozmowa się rozkręciła. Wiaczesław poczuł się pewniej i przestał konwersować jak dorożkarz uderzający w konkury do kucharki. Lela również wyzbyła się skrępowania i przy pożegnaniu uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

W jakiś czas potem wypadły imieniny Niny, które obchodziła niezwykle skromnie w rodzinnym kręgu. Gdy podczas kolacji solenizantka włączyła czajnik elektryczny, nastąpiło krótkie spięcie. Oleg poszedł do kuchni wymienić korek i zastał tam Wiaczesława, który go poprosił:

– Kazarinow, przyślijcie no tutaj Helenę Lwową. Pokażę jej, jak się wymienia korki, nigdy nie może sobie z nimi poradzić.

Przy migoczącym świetle łożowej świeczki Oleg dojrzał zażenowany uśmiech chłopca. Poprosił Lelę od stołu, co widząc Wiaczesław przyniósł dla niej taboret i stanął obok.

– No właśnie, towarzyszeko rentgenotechniku, zaraz zaczniemy podnosić wasze kwalifikacje.

Oleg zauważył, że po raz pierwszy był w krawacie, fatalnie zresztą zawiązanym.

Konoplannikow nie przestawał emablować Leli. Ta przerwała kontakty z przesadnie wyelegantowanymi hulakami z ormiańsko-żydowskiej mafii; ów świat biznesu szastający na prawo i lewo w lokalach sowieckimi pieniędzmi znalazł się aktualnie pod obserwacją organów ścigania. Przestraszeni aresztowaniami nuworysze pochowali po kątach swe rozbawione gęby. A poza tym zarówno Rebeka, jaki jej przyjaciele ze swymi płaskimi dowcipami, przestali już ją bawić.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym Wiaczesław zdecydował się na oświadczenia.

– Oto, co chciałem wam, Lelu, powiedzieć. Zamierzałem zrobić to jeszcze poprzednim razem, ale nie starczyło mi odwagi... nie takie to proste! Jednak nie jestem tchórzem i nie w moim zwyczaju skrywanie czegokolwiek, lepiej od razu wszystko powiem: nigdy żadna dziewczyna tak mi się nie podobała.

Trzymacie moje serce w garści. Doskonale rozumiem, że jesteście ludźmi z różnych środowisk, wiem też dobrze, że brak mi waszego szlacheckiego wychowania. Tylko nie myślcie, że w życiu ono najważniejsze, dzisiaj z samymi dworskimi manierami daleko się nie zajdzie. Patrząc na was, żeście jak łódeczka, co urwała się z uwięzi i nurt wody nie wiadomo dokąd ją porywa... tylko patrzeć, jak do obcego brzegu przybije. Ja zaś jestem człowiekiem niezłomnych zasad, idę w nogę z życiem, do którego wiem, jak podejść, co obecnie najważniejsze. Jeśli się dogadamy i zejdziemy, to będziemy sobie nawzajem pomocni. Jakże bym was strzegł i kochał, kukuleczko najmilsza! Nikomu nie pozwoliłbym was skrzywdzić, a i sam niejednego bym się nauczył. I wszystko by się nam pomyślnie ułożyło. Popatrzcie, z Olegiem Andriejewiczem staliśmy się prawie przyjaciółmi. Nina Aleksandrowna też się dobrze do mnie odnosi. Myślę, że nikt z waszych krewniaków za bardzo by się nie sprzeciwiał, może oprócz waszej mamusi i tej starej generałowej w czarnej woalce... Ale życie nie przed nimi, lecz przed wami. Ze mną możecie być szczęśliwą. Pokochałem was bardzo i z wszystkich sił starałbym się dla was! Mnie możecie zaufać.

Lela milczała zmieszana, a zarazem wzruszona. Były to pierwsze w jej życiu oświadczenia. W głosie Wiaczesława nie zabrzmiała żadna fałszywa nuta, można mu było zawierzyć i rzeczywiście stanowiłoby to wyjście z zawilej sytuacji... Ale przez cały czas porównywać go z mężem Asi... Nawet przez chwilę trudno o tym poważnie pomyśleć. Jakiż to byłby cios dla mamy!

Do cerkwi oczywiście nie pójdzie, poprzestanie na urzędzie stanu cywilnego. Na wesele przyjdą jego koledzy, popiją się i zaczną bredzić o szczęśliwym komunistycznym jutrze...

Wiaczesław dotknął ręką jej ramienia. Popatrzyła mu w oczy, było w nich coś cudownego, iskrzącego... I Lela z bólem powiedziała:

– Dziękuję wam, Wiaczesławie. Jestem ogromnie wzruszona. Przykro mi, że muszę was zasmucić... lecz nie kocham was, nie gniewajcie się na mnie.

Lela stopniowo wciągała się w obowiązki w gabinecie rentgenowskim. Z miejsca opanowała wszystkie tajniki i towarzyszący jej co dzień, gdy szła do szpitala, nękający niepokój powoli przycichał.

Do przewidywanej przez Olega prowokacji na razie nie doszło. Natomiast pewnego ranka przyniesiono na noszach do gabinetu kobietę w ciężkim stanie, jej woskowo blada twarz wydała się Leli niezwykle uduchowiona. Szybko zerknęła na prawy górny kąt „historii choroby”, gdzie odnotowywano podstawę oskarżenia i zobaczyła fatalną liczbę – 58.

Pomagając słaniającej się z osłabienia chorej stanąć za ekranem, błyskawicznie, ukradkiem uścisnęła jej dłoń. Po kilku minutach rentgenologa wywołano z pokoju do lekarza naczelnego, zaś sanitariuszka wysłana po wyniki analiz jeszcze nie wróciła. Na moment pozostały same.

– Siostrzyczko! – szepnęła chora rozglądając się wokół. – Widzę, że jesteście inteligentną osobą i serce jeszcze wam nie skamieniało. Zlitujcie się, kochana: podczas rewizji zabrano i chyba zniszczono moje wiersze, za nie zresztą wlepiono mi pięćdziesiąty ósmy. Niektóre już tutaj w szpitalu odtworzyłam z pamięci. Wyciągnijcie spod poduszki zeszyt, ciągle go mam przy sobie i czekam, aż nadarzy się sposobność. Ciężko umierać widząc, że zginą bez śladu. Przechowajcie do lepszych czasów!

Jakkolwiek przekonywała siebie, iż należy zachować ostrożność, ten drżący głos i ta twarz tak bardzo ją wzburzyły, że momentalnie chwyciła zeszyt i wskoczyła do ciemni, gdzie schowała go do kasety z światłoczułymi błonami, która pozostawała wyłącznie w jej dyspozycji. Otwierać ją można było tylko w ciemni, na wyczucie, sanitariuszka nie miała prawa jej dotykać, zaś lekarz do tego pomieszczenia nie zaglądał. Potem udało się Leli szczęśliwie wynieść zeszyt ukryty na piersi pod sweterkiem; z możliwością prowokacji w ogóle się nie liczyła, niemniej myśl o przypadkowej rewizji powodowała trwożne

zamieranie serca. Naturalnie w domu i u Natalii Pawłowny wszystko opowiedziała. Nagrodą za przeżyty strach stało się uściśnięcie jej ręki przez Olega, który powiedział:

– Wiedziałem, że w tamtych warunkach będzie pani trudno. Heleno Lwowno, proszę być wyjątkowo ostrożną.

Słowa te stopiły cieniutką warstwę lodu, która jakby pokrywała ich wzajemne stosunki.

Rozdział dwudziesty pierwszy

„Od zarania dni młodych zmagam się z pokusami. Lecz Tyś obroną i ucieczką moją, o Zbawicielu!” – śpiewano w cerkiewce przy domu zakonnym, w którym nie było już mnichów. Mika stał w końcu świątyni, w mrocznym kącie przy kolumnie.

Mary cieniutkim dziewczęcym głosem melodyjnie recytowała: „Głos szósty. Na tę samą nutę: o, cudami wślawiona...”

Chór podchwycił rzewny przeciągły zaśpiew.

Gdy nabożeństwo wieczorne się skończyło, Mika zaczął przesuwając się do przodu i w najciemniejszym zakątku dostrzegł drobną postać wychudzonego zakonnika. Był to zesłany z Odessy do obwodu leningradzkiego biskup, który przed każdą niedzielą przyjeżdżał ukradkiem do tej cerkwi, ponieważ wokół wszystkie świątynie zostały już zamknięte. Prosto z więzienia trafił na zesłanie, i Bogu jedynemu było wiadomo, gdzie i w jaki sposób utrzymywał się ów zapoznany męczennik. GPU kategorycznie zakazało mu pełnienia posługi kapłańskiej, lecz za każdym razem chór Bractwa, skoro tylko zauważył w kącie świątyni szczupłą figurkę staruszka w czarnej mnisiej skufii⁶⁴, stosując swoisty ceremoniał kościelny śpiewał: „Żyj nam długo, władko!”

Mika znalazł Mary na chórze. W półmroku zbierała nuty oraz „Księgę godzin”. Kiedy już znaleźli się w przysionku, wiatr, marszczący kałuże topniejącego śniegu w przycerkiewnym skwerze, zaczął szarpać chustę Mary.

– Chcesz się przejść, pogadamy? – spytał Mika chwytając za koniec jej chustki.

– Dobrze, nie mogę się jednak spóźnić, usługuję przy kolacji i czytam żywoty świętych w refektarzu.

– Szczęśliwa jesteś, Mary! Nie masz powszednich domowych kłopotów, twoje gospodarskie obowiązki są jak klasztorna

⁶⁴ Skufia (cerk. z grec.) – nakrycie głowy, część szaty liturgicznej.

posługa. Natomiast moje!... Nina żąda, żebym ukończył szkołę, jak by coś wart był ten nędzny świstek papieru, poświadczający dzisiejsze średnie wykształcenie! U nas połowa klasy to nie douczone miernoty, i ci właśnie pójdą na wyższe uczelnie. Dla mnie, „towarzysza szlachcica”, wstęp na nie jest zamknięty.

– Każdy ma swoje codzienne troski, Mika! To jedynie z boku, przy pobieżnym spojrzeniu wydaje się, że tylko my ugrzęźliśmy w szarej egzystencji. Mogę cię zapewnić, iż jest ona udziałem każdego, jakkolwiek w różnej postaci. Znalazłam się w niezwykle trudnej sytuacji. Poza mną wszyscy członkowie Bractwa gdzieś pracują, a ja na swoją kartkę, jako wyzuta z praw „liszenka”, nie dostaję masła ani cukru. Siostra Maria powierzyła mi prowadzenie gospodarstwa i uważa za oczywiste, że jestem pełnoprawnym członkiem wspólnoty, bowiem jak inni sumiennie wypełniam swoje obowiązki. Mamy wspólną kasę, ja jednak zawsze przykro odczuwam brak własnego grosza. Nie starcza mi odwagi o cokolwiek poprosić: mam na przykład dziurawe buty, zostałam bez rękawiczek, mamie trzeba by coś posłać... jest bez pracy i mieszka kątem... ale przecież zająknąć się o tym nie mogę. Nawet takie drobiazgi, jak szpilki do włosów czy kawałeczek mydła do łaźni, też trzeba kupić, a ja nie mam za co. Gdybyś wiedział, jak staram się być przydatna: stoję w nie kończących się kolejkach po kartofle bądź naftę, czyszczę warzywa, szoruję kotły, zmywam naczynia i prawie nie wychodzę z kuchni. Czasem wydaje mi się, że wkrótce zapomnę, czego się nauczyłam, i z kretesem otępieję. Skończyć szkołę i stać się służącą! Wiem, że to przyziemne myśli. Nie skarżę się, ale jest mi bardzo ciężko. Często rano budzę się z rozpaczą, na myśl o czekającym mnie dniu. Chodzenie z mamą na msze stanowiło dla mnie radosne przeżycie, teraz znużona już jestem nimi i często nie mogę doczekać się ich końca. Bolać mnie nogi i gardło. Na jutrznię ciężko mi wstawać. Katia czy Żenią mogą po prostu oświadczyć: dzisiaj zostaję w domu; ja nie mam odwagi, trzeba podczas nabożeństwa czytać, śpiewać, więc – idę. Niedawno rano fatalnie się czułam, ochrypłam.

– Co z tobą, Mary? Przecież zawsze jesteś taka dzielna! –

ledwo wydusił z siebie Mika.

– Wiem, to słabość, ale tylko z tobą mogę o tym rozmawiać. Muszę ci powiedzieć, że nie jestem najlepszego zdania o siostrach z naszego Bractwa, mają w sobie coś drobnomieszczańskiego – małe porachunki, zbyt przywiązanie do jedzenia... Ja zaś z moim charakterem, jeżeli cokolwiek mi się nie podoba, gotowa jestem natychmiast zareagować gniewem. Wszystko trzyma się na wielkoduszności siostry Marii. Bez niej nie pozostanę ani jednego dnia, już zdecydowałam. Kiedy jej zabraknie, nastąpi rozprzężenie, zaczną się niesnaski...

– Nie przesadzajmy, co będzie. Nie dopuścimy, żeby się wszystko rozleciało. Może pojechałabyś do Olgi Nikiticznej?

– A co wówczas z mieszkaniem? Bezwrotnie straciłabym przydział kwaterunkowy. Dopóki jestem zameldowana, wciąż istnieje bodaj nikła nadzieja, że ojciec i mama kiedyś tu powrócą. Gdybym wyjechała, przepadną wszelkie uprawnienia! Zgodnie z dzisiejszymi przepisami, zabiorą nam pokój i całe życie będziemy tułać się po cudzych kątach. Mama nie chce do tego dopuścić. Na mnie już raz sąsiedzi donieśli, że nie mieszkam i nie ogrzewam pokoju. Udało mi się wymigać, ale co najmniej dwa razy w tygodniu muszę pokazać się w naszym mieszkaniu. Tego dnia, kiedy mamę wypuszczono z więzienia, dano jej dwanaście godzin na spakowanie rzeczy, zanim mnie odnalazła, zostało jej jeszcze mniej czasu. Na domiar złego tegoż dnia dowiedziała się o Pieti, rozumiesz więc, w jakim była stanie. Po powrocie do naszego mieszkania nie mogłyśmy o niczym mówić i przepłakałyśmy prawie do wieczora. Zbierała się mama w pośpiechu w ciągu dwudziestu minut. Spytała mnie, czemu znalazłam się na Konnej, musiałam opowiedzieć jej o ślusarzu i o tym, jak mnie ostrzegłeś. Ogromnie żałowała, że nie może osobiście ci podziękować, i zobowiązała mnie pod słowem honoru, że dopóki nie będzie jej i ojca, pozostanę u siostry Marii. Jednakże przez ten donos muszę wciąż biegać do domu. Staram się bywać za dnia, palę w piecu i celowo hałasuję, żeby starucha mnie słyszała, wychodzę zaś po cichutku – niech myśli, że położyłam się spać. Niemniej przez cały

czas boję się nowego donosu.

Doszli już do klatki schodowej i Mary dopowiadając ostatnie słowa przekreślała klucz w zamku. Siostra Maria zaprosiła Mike na kolację z całą wspólnotą. Potrawy były postne, jedli w skupieniu wsłuchani w żywoty świętych. Czytała Mary i to na stojąco, kilka razy pomyślał, jak bardzo jest znużona, i z niepokojem spoglądał na jej pełną zadumy twarz, oświetloną maleńką świeczką, przymocowaną do pulpitu. Po wyjściu wszystkich, w pustym już refektarzu usiadła sama do jedzenia, wskazując na taboret obok siebie.

– Nie zdążyłam jeszcze opowiedzieć ci o tatku – zaczęła. – Ostatnio pozwolono mu wychodzić za druty, co wiąże się z charakterem jego pracy. Wydali mu przepustkę, pozwalającą na swobodne poruszanie się; w osadzie, już poza strefą obozową, mieszka nasza znajoma, która również była tam więziona, ale odbyła swoją karę. Ponieważ nie miała gdzie się podziąć, pozostała na razie na miejscu. Papa, idąc do pracy lub wracając, niekiedy do niej zachodził. Częstoowała go herbatą i dawała do czytania gazety. Oczywiście nie mógł o tym wspominać w korespondencji wysyłanej pocztą, ale dama ta przyjechała kiedyś i przyniosła mi list od taty. Dobrze się złożyło, że akurat udało się sprzedać kredens i mogłam przekazać jej całą sumę na żywność i witaminy dla ojca, który ma szkorbut. Umówiliśmy się, że przyjadę do niej i po kryjomu spotkam się z nim, ale nie mam pieniędzy.

Mary przerwała, policzki jej w końcu się zaróżowiły. Mika wziął ją za rękę:

– Musimy je zdobyć. Pomogę ci, trzeba coś znowu zanieść do komisju. Mogę przecież sprzedać książki czy łyżwy, wszak wyrosłem już z dziecinnych rozrywek. Masz dziesięć rubli, trzymaj na drobne wydatki.

– Nie, Miko, nie! Nie wezmę. Tak nie można.

– Jeśli nie weźmiesz – przestaniemy być przyjaciółmi i nigdy więcej nie przyjdę do ciebie. Dobrze wiesz, jak bardzo szanuję

twoją matkę i w ogóle waszą rodzinę... Spotkaliśmy się na drodze ku Chrystusowi... w przyszłości staniemy się sługami zakonnymi... pomiędzy nami nie powinno być... żadnych konwenansów...

– Nie wiem, czy zostanę mniszką. Nie podjęłam jeszcze decyzji. Szkoda, że nie możemy razem studiować w Akademii Teologicznej – oto gdzie byłoby nasze miejsce! A stan zakonny... Odpowiadają mi klasztory: ciche cele, ptaki, „dzwony-dźwięczą-podzwaniają, płaczą, żalą się dzwony, westchnienia i sny... ściany bielą pobielone, matka – przeorysza przykazała...” Lubię kanoniczne śpiewy, stare księgi zamykane na klamry, habity mnisie, pokłony... Ale być zakonnica wśród świeckich... to zupełnie co innego. Nie ma w tym nic poetyckiego.

– W dziesiątym wieku były puszcze pełne zwierzyny, w dwudziestym nieprzyjaźni ludzie i hałaśliwe miasto. W naszych czasach jest ciekawiej, bo niebezpieczniej.

– Tak sądzisz?

– Jestem przekonany.

– Czy już zdecydowałeś, że zostaniesz zakonnikiem?

– Tak, lecz ślubów jeszcze nie złożyłem.

– Słyszałeś, że relikwie Aleksandra Newskiego na polecenie rządu wywiezione zostały z Ławry i będą wystawione na widok publiczny w Ermitażu? W naszym zgromadzeniu wszyscy ogromnie się przejęli: siostra Maria płakała, a przez cerkiew przebiegł szmer, gdy podczas wieczornego nabożeństwa rozeszła się o tym wieść. Mika sposepniał.

– Błuznierstwa świątyni nie pokonają! Zbezczeszczone ikony rozblyszają jeszcze jaśniejszym światłem, zaś prześladowani wierni przejdą oczyszczenie w ogniu cierpień. Nie wpadaj w rozpacz Mary z powodu matki czy ojca, a nawet naszych świętości – i przykrył dłonią rękę dziewczyny. – Popatrz, jak maleńką masz rączkę w porównaniu z moją, jakże miniaturowy jest twój mały paluszek.

– Nie patrz, proszę, na moje ręce. Są czarne od skrobania

marchwi i ziemniaków. Nie mogę ich domyc.

– Nieważne. W tej chustce przypominasz mniszkę. Możliwe, iż nie będzie nam dane przywdzianie habitów. Nie znaczy to jednak, że nie staniemy się prawdziwymi zakonnikami.

Mika sprzedał za pięćdziesiąt rubli łyżwy, stopniowo uzbierał jeszcze trochę pieniędzy i wkrótce Mary mogła pojechać do ojca. Zamiast walizki wzięła siatkową torbę, żeby na miejscu nikt nie domyślił się w niej przyjezdnej, spotkać się z ojcem mogła tylko nielegalnie. Ponadto ktoś jeszcze poradził jej zabrać z sobą bańkę na naftę – najlepszy sposób, by na ulicy upodobnić się do miejscowej dziewczyny.

Mika odprowadził Mary na dworzec.

Podczas jego nieobecności Ninę odwiedziła Marina Rabinowicz.

– Jakże miło cię widzieć! Siadaj, jestem dzisiaj sama, wypij ze mną herbatę – zaproponowała Nina przyjaciółce.

Marina zsunęła z ramion srebrnego lisa i usiadła.

– A gdzie Mika? Znowu w cerkwi? Nabożeństwo wieczorne chyba już się skończyło?

– Tym razem pannę odprowadza na dworzec – uśmiechnęła się Nina.

– Co mówisz! Zaczyna się więc! Mów, opowiadaj!

– Tak naprawdę nic się jeszcze nie „zaczyna”. Ciągłe uważa się za mnicha.

– Jak się więc ma do tego owo odprowadzanie?

– Tragiczna to historia – i Nina opowiedziała o rodzinie Wałujewów. Po chwili rozmowa zeszła na inne tematy.

– Słuchaj Nino, nie powinnaś żyć w takiej pustce, nawet bez flirtu. Musisz znowu kimś się zainteresować, inaczej się zamartwisz do szczytu. Minał rok, czas zrzucić żalobę – przekonywała ją Marina.

– Nie, w żadne romanse już się nie wdam. Zresztą, co znaczy „zainteresować się” kimś. Dobrze, jeżeli zaangażowanie przychodzi samorzutnie, wypływa, z głębi naszego jestestwa, natomiast sztucznie sobie narzucone – to nie to... Ciężko przeżyłam drugą stratę oraz swoją winę.

– A jednak, Ninoczko! Przecież masz dopiero trzydzieści pięć lat! Spróbuj się otrząsnąć. Zapoznam cię z niezwykle interesującym człowiekiem.

– Nie, moja droga, nie chcę. Tym razem nic z tego. Nie ma nawet o czym mówić. Powiedz lepiej o sobie, jak zdrowie Mojżesza Herszelewicza?

Twarz Mariny spoważniała.

– Bardzo się boję, że ma raka. W ciągu miesiąca schudł o pięć kilogramów. Lekarz skierował go na konsultację do onkologa. Jutro będzie badał go sam Piętro w i wtedy sprawa się wyjaśni. Jest nieprawdopodobnie nieufny, jak wszyscy Żydzi, a teraz miejsca sobie nie może znaleźć.

– Mój Boże, co za koszmar! Biedny Mojżesz Herszelewicz! – wykrzyknęła Nina.

– Należałoby raczej powiedzieć: biedna Marina! Gdybyś tylko mogła sobie wyobrazić, jak mnie zadręcza! Stał się potwornie drażliwy i podejrzliwy. Wciąż mnie krytykuje, wszystkiemu jestem winna, cokolwiek upitraszę, nic mu nie smakuje. Lekarz zalecił mu jedzenie owoców – a wiesz – jak trudno je zdobyć. Ganiem po całym mieście i za każdym razem ma do mnie pretensje, jeśli nie znajdę takich gruszek, na jakie miał ochotę. Łatwo się męczy, wieczorami nigdzie nie chce wychodzić, muszę przy nim warować. Gdy dzisiaj wybierałam się do ciebie, też nie obeszło się bez awantury. Ostatnio urządził mi scenę zazdrości, ponieważ jego współpracownik pocałował mnie w rękę. Nawet do kina samej mnie nie puszcza.

– Można go zrozumieć! Jest starszy od ciebie, ty zaś ze swoją urodą zawsze i wszędzie miałaś powodzenie. Trzeba zrozumieć

jego niepokój, zwłaszcza obecnie, gdy nie jest w stanie dorównać ci kroku, a do tego widzi twoją obojętność. W tej sytuacji wiele można mu darować. Zagrożenie rakiem! Trudno się z tym pogodzić! Powinnaś być bardziej czuła dla niego.

– Ach, daj spokój! Zawsze go bronisz. Ile mi krwi napsuł – tylko ja wiem. Podobnie jest teraz: nie chce zrozumieć... co wieczora pakuje mi się do łóżka... A ja nie mogę. Zrozum, Nino, nie mogę... budzi we mnie wstręt fizyczny. Jestem młoda, zdrowa... człowiek chory na raka wzbudza odrazę. Boję się pomyśleć, że będę musiała go pielęgnować. Nie patrz na mnie z wyrzutem, lepiej wczuj się w moje położenie i postaraj się je zrozumieć.

– Nie, Marino, nie potrafię! Gdy zginął mój Dymitr, jakże żałowałam, że nie było mnie przy nim, nie mogłam troszczyć się o niego, pomóc mu... Zrobiłabym, co można. W takim wypadku nie dopuściłabym nawet myśli o odrazie.

– Też porównanie! Dymitr był młodym, urodziwym oficerem, którego kochałaś bez pamięci, natomiast mój!

– O jakiej urodzie można mówić w obliczu śmierci! Czy naprawdę, choćby z poczucia taktu czy współczucia nie możesz się przemóc, ukryć obrzydzenia? Śmierci nie ujdiesz, przyjdzie i twoja godzina!

– Według ciebie, zawsze ja jestem winna. Możesz być pewna, że gdyby zachorował Oleg, mój stosunek byłby zupełnie inny.

– Nie wiem, nie jestem do końca przekonana. Nie miałabym na przykład wątpliwości, jak by się zachowała Asia.

– Opowiedz lepiej o ich dziecku, jakie jest?

– Słodkie! Zaczął dziesiąty miesiąc, próbuje już chodzić; różowiutki, zdrowy, z pulchnymi rączkami, rzęsy ma długie, podgięte. Śmieje się uroczo, garnie do każdego, nawet mnie poznaje.

– Wyobrażam sobie, jak Oleg go kocha.

– Wszyscy go ubóstwiają, nawet babcia, która czułością jsię nie odznacza, nie spuszcza z niego oczu.

Marina zerknęła na swój elegancki zegarek.

– Na mnie czas, muszę iść przygotować soki owocowe, inaczej urządzi mi scenę. Popatrz, jak owoce zniszczyły mi ręce.

– Pocierp trochę. To twój obowiązek. Czy Mojżesz Herszelewicz mało cię rozpieszczał? – sucho powiedziała Nina.

Marina narzuciła na siebie srebrnego lisa i już z progu się odezwała:

– Jeśli, nie daj Boże, to nowotwór, oznacza to koniec mojej stabilizacji. Znowu znajdę się w beznadziejnej sytuacji. – Spojrzała na Ninę i nie znajdując w jej twarzy współczucia, niezdecydowanie kontynuowała: – Lepiej czy gorzej przeżyliśmy z Mojżeszem pięć lat... Poznaliśmy się podczas NEP-u, jeszcze za życia mamy, u sąsiadów z nowego wspólnego mieszkania. Pamiętam, wieczór był osobliwie piękny, majowy, świetlisto-złoty, a ja urządziłam duże pranie! Stoję bosa przy balii i myślę: zamiast konnej przejażdżki z oficerem czy towarzystwa licealistów, na co mi przyszło? Gdzie się podziało nasze szczęście? I w tym właśnie momencie pojawił się Mojżesz. Przyjechał po mnie autem i wyciągnął wprost od prania na spacer! W dawnych czasach zobaczyłby mnie jak własne ucho bez lustra, lecz przysięgam ci, nawet wówczas nie pomyślałam, że mogłabym go zdradzić. Przyszło to później... Czy mogłam przewidzieć?

– Później... „Albo u nas, w carskosielskim parku, drogę, tę, na której napotkałaś kiedyś trwogę?”⁶⁵ – zacytowała Nina ulubioną poetkę.

Rozdział dwudziesty drugi

Dziennik Elżbietki

24 czerwca. Nasza szkoła muzyczna przechodzi reorganizację, zmienia się w technikum z poszerzonym programem, wprowadzone zostają indeksy oraz inne rygory.

W związku z tym uczniowie, którzy nie mogą sprostać nowym wymogom, są skreślani, wśród nich i ja. Nazwisko Asi znalazło się na liście zakwalifikowanych na wyższy kurs, za rok prawdopodobnie skończy. Ja zaś, szczerze mówiąc, już dawno powinnam postawić krzyżyk na swojej edukacji muzycznej.

25 czerwca. Od czasu, kiedy Lełę Nielidową wyrzucono ze szpitala, nie wiem, co się dzieje u Olega i Asi, czy wszystko u nich w porządku. Niezręcznie mi chodzić do nich zbyt często, zresztą radości mam z tego niewiele, a jednak stale się niepokoję. Gdy byłam u nich ostatnio, Asia wybierała się z dzieckiem na wieś, znowu do tych samych Chwoszni. Od miesiąca brak o nich wiadomości.

26 czerwca. Wczoraj spotkałam na ulicy znajomą, która obraca się wśród literatów, i dowiedziałam się, że poetę Mandelsztama wysiedlono do Woroneża, mieszka na peryferiach, w kącie zakaraluszzonej wiejskiej izby, niemal głodując... Krążą plotki, jakoby Stalin miał o nim powiedzieć: „Usunąć, ale nie likwidować”. Co za cynizm: o poecie, jak o jakimś owadzie! Służalność wobec wschodniego tyrana zaszła tak daleko, że nawet ci, co o tym szepczą, podkreślają, iż towarzysz Stalin zalecił jednak: „nie likwidować” i doszukują się w tym przejawów humanitaryzmu. Mikołajowi I zarzuca się, że nie zapobiegł pojedynkowi Puszkina, Aleksandrowi I, że wysłał poetę do majątku Michajłowskoje, gdzie ten jeździł konno, grał w bilard, grzebał się w książkach i przyjmował przyjaciół. Z Mandelsztamem postąpiono znacznie gorzej, ale bodaj nikogo to

nie obchodzi. Jesienin skończył samobójstwem, Gumilowa rozstrzelano za kontrrewolucję, chory i głodujący Błok w śmiertelnej rozpaczce wyrywał się z fińskich błot, Mandelsztam bez środków do życia na zesłaniu – oto los najlepszych, wspaniałych, najbardziej utalentowanych poetów pod skrzydłami władzy sowieckiej. Tak to się ona troszczy o tych, co są chlubą Rosji. A w kręgach literackich dowcipkują: „A z boru wilk z wilczyką głodną/
Na skrzyżowanie dróg się wymknie...”⁶⁶ – to o Mandelsztamie i jego wiernej Nadii. Cynicy!

27 maja. Zaszła dzisiaj do mnie Luba, studentka mieszkająca u Julii Iwanowny, która opowiedziała mi kiedyś historię o pociągu z dziećmi. I tym razem rozmowa z nią okazała się interesująca. Uczyła się w Instytucie Historii Sztuki, który niedawno zamknięto, wyjaśniając w prasie, iż był siedliskiem szkodliwych koncepcji formalistycznych, a z jego katedr głoszono „zielony idealizm”. Instytutowi zarzucono ponadto, że ogół jego studentów składa się z młodzieży „z byłej arystokracji”, która, „idąc na kompromis z własnym honorem”, napłynęła do tej jedynej uczelni, gdzie przy przyjmowaniu przytępiono nieco klasowe kryterium. Działo się tak dlatego, że były to studia wieczorowe, samofinansujące się i nie dysponujące stypendiami. Luba pokazała mi gazetę, z której pewne sformułowania przytaczam dosłownie. Postanowienie o zamknięciu Instytutu zakładało przeniesienie proletariackiej części studentów na odpowiedni rok studiów uniwersyteckich. Dziewczyna była na trzecim roku i należała do najbardziej wyróżniających się słuchaczy, wiele czasu poświęcała osławionej „pracy społecznej”, a pochodzenie miała chłopskie. Wydawało się, iż spełnia wszystkie wymogi i może być o siebie spokojna. Niemniej została skreślona z listy osób skierowanych na studia uniwersyteckie. Przedstawiono jej przy tym następujące uzasadnienie: niejaki Krumczycki udowodnił, że lekceważy metodę marksistowską i jawnie krytykuje marksizm. Z Rosjan nikogo o rodowodzie szlacheckim na uniwersytet nie skierowano, a wyłącznie studentów o

⁶⁶

A. Puszkina, „Eugeniusz Oniegin”, przeł. Adam Ważyk.

robotniczym pochodzeniu, którzy zresztą nie radzą sobie na studiach lub uczą się bardzo słabo. Wśród wyrzuconych za burtę znalazła się wnuczka kompozytora Rimskiego-Korsakowa, którą również obciążono „klasowo”. O nieszczęściach, jakie spadają na tę rodzinę, słyszę nie po raz pierwszy, oto jedna z niezliczonych haniebnych kart sowieckiej rzeczywistości!

29 czerwca. Dzisiaj na krótko przyjechała Asia i wstąpiła do mnie, zapraszając do spędzenia w Chwoszniach urlopu, który rozpoczynam pojutrze. Mówi, że cały dzień jest sama z dzieckiem, Oleg przyjeżdża na soboty, występuje – jak u Czechowa – w roli „wczasowego męża”. Lela Nielidowa otrzymała wreszcie pracę i odwiedziła ją tylko raz. Przyjąć zaproszenie czy nie? Przyjemnie przebywać z Asią, jest niezwykle delikatna i nie ma w niej nic z pospolitości. Miejsca dla spacerów tam piękne, to dawny rezerwat wielkoksiążęcy, podobno łosie podchodzą pod samą wieś. Gdy spytałam ją, gdzie się podzieje w soboty, zaczęła mnie zapewniać, że Oleg zawsze nocuje na sianie. Chyba pojedę... tylko żeby malec się nie naprzykrzał, płacz dziecka mnie nuży, a cmokanie i zachwyty nad nim rodziców – jeszcze bardziej!

30 czerwca. Wczoraj w szpitalu doszło do ciekawego zdarzenia. Pracuje u nas pielęgniarka, z wykształcenia felczerka, dawna rewolucjonistka, konspiratorka, siedziała w carskich więzieniach, a przy tym wszystkim zacięta przeciwniczka sowieckiego ustroju. Kiedyś słyszałam, jak głośno oświadczyła: „Przecież żyjemy nie w carskiej Rosji, w której można było swobodnie przenosić się z miasta do miasta, teraz jesteśmy niczym niewolnicy przykuci do kilkumetrowej powierzchni mieszkaniowej”. Innym razem byłam świadkiem, jak powiedziała do jednego z tych świeżo upieczonych szmatławych doktorków, których nie mógł ścierpieć wuj Władimir Iwanowicz: „Jesteście sowieckim lekarzem, a po łacinie dwóch słów poprawnie nie potraficie napisać, ja – felczerka z carskich czasów – muszę was poprawiać”. Od pewnego czasu leży ze złamaną kością goleniową. Jest samotna, pozbawiona opieki. Kilka osób z naszego personelu postanowiło kupić i zanieść jej do domu trochę jaj, masła i cukru. Zrobiłam składkową listę i poszłam zbierać pieniądze. No i co? W

korytarzu zderzyłam się z Kadyrem, naszym wspaniałym przewodniczącym rady zakładowej, który odważył się wyrwać mi z rąk listę: „Co? Składki, zbiórki bez wiedzy rady zakładowej! Jak śmiecie? Pachnie to kontrrewolucją, w ten sposób możecie nie wiadomo co zrobić! Zapamiętajcie: tego rodzaju inicjatywy ma prawo podejmować tylko instancja związkowa. Nie obchodzi mnie, dla kogo to robicie – ktokolwiek by to był! Do tego towarzyszka Gilecka zachowuje się tak bardzo prowokująco, że nie można jej uważać za sowieckiego człowieka. Natychmiast z tym skończcie!”

À propos, niedawno towarzysz Kadyr po operacji pozostawił w ranie i zaszył narzędzie chirurgiczne, w konsekwencji – ostre bóle, ropień – i powtórna operacja.

1 lipca. Pierwszy dzień urlopu! Wybieram się do Asi. Oprócz ubrania i książek muszę taszczyć ze sobą kaszę i cukier, bowiem na wsi niczego nie ma. Małemu kupiłam celuloidową papugę, dla niej szalik. Bardzo chciałabym odpocząć w ciszy. Spacerować będę zapewne sama, Asia ze względu na swego berbecia daleko chodzić nie może, a ja nie zamierzam siedzieć w domu na uwięzi.

Wieczór. Przed chwilą wpadła do mnie Lela Nielidowa, przyniosła upieczone przez matkę pierożki dla Asi, a dla Sławeczka zabawkę i letnie ubranko z satyny. Z podstrzyżonymi włosami Lela wygląda ładnie, ale wydała mi się zmęczona i szczuplejsza. Zagadnęłam ją nawet, czyjej coś nie dolega, odpowiedziała mi krótko i jakby niedbale, w istocie zrobiła unik: „Coś tam mam z płucami, ale to nudny temat!”

4 lipca. Już trzeci dzień jestem na wsi. Miejscowość rzeczywiście piękna: las i rzeka. Asia mieszka w schludnej izdebce z dwoma oknami, w sąsiedniej – ciocia Niny Aleksandrowny, dama z carskiej epoki o dość swarliwym charakterze, Asia chyba się jej boi. Rodzina gospodarzy niezbyt sympatyczna, chłopskiej patriarchalności nie dostrzegłam. Często spaceruję samotnie. Muszę uczciwie przyznać, że Asia nie narzuca mi dziecka i nie zanudza zachwytnymi nad nim. Pierwszego dnia, gdy wybierałam się na przechadzkę, powiedziała: „Może weźmie pani Sławeczka. Czy pójdziesz tupu-tupu z ciocią?” Widocznie jednak zarówno

moja twarz, jak i dziecka, nie wyrażały entuzjazmu dla tej propozycji, bowiem natychmiast zmieniła zdanie i teraz stale strofuje dziecko: „Sławeczku, odejdz, nie przeszkadzaj Elżbiecie Georgiewnie, Sławeczku, nie można tak głośno krzyczeć – Elżbieta Georgiewna czyta”.

Jest mi równie sympatyczna w roli młodej matki, jak niegdyś jako podlotek, zachowała żywość, lekkość, szczerść. Czasem, niezwykle rzadko pojawia się na jej twarzy cień niepokoju czy trwogi, ale mija jak obłok i znów się rozśłonecznia. Synka ubóstwia najbanalniej w świecie, nie ciążyą jej tysiące najnudniejszych obowiązków: karmienie łyżeczką, wysadzanie na nocniczek, zmienianie majteczek i inne przyjemności, które, wydawać by się mogło, nie godzą się z artystyczną naturą. Spytałam ją: „I tak przez cały dzień? Czy nie masz tego dość?” Odpowiedziała: „Przecież go kocham! Ileż mi daje radości nowy ząbek albo nowe słowo... Każdego dnia pojawia się nowy płatek na tym cudownym kwiatku. Z nim nie można się nudzić!” – „A muzyka?” – zagadnęłam. Usłyszałam: „Muzyka nigdzie nie ucieknie – jest we mnie. W szkole nie robię oczywiście żadnych postępów, ale też nie zamierzam stać się estradową pianistką. – I uśmiechając się dodała: – Wewnątrz każdego z nas jest kamerton, wsłuchując się w niego, wiemy jak postępować”. Są w Asi pewne cechy niezupełnie dla mnie zrozumiałe, początkowo rozczarowują, ale potem potęgują moje zauroczenie nią. Wczoraj słyszałam, jak układając dziecko do snu, śpiewała dźwięcznym wysokim głosem:

*Rzadko wieści docierały
Ku temu progowi,
Darowano krzyżyk biały
Twemu ojczulkowi.⁶⁷*

5 lipca. Wczoraj był ładny wieczór i długo siedziałyśmy na dworze. Dziecko już spało. Czytałam Anatola France’a, ona też

⁶⁷

A. Achmatowa, „Kołysanka”, przeł. Gina Gieysztor.

była zajęta lekturą. Gdy zainteresowałam się, co czyta? – pokazała 140 kantatę Bacha. Zdziwiłam się, że czyta nuty jak książkę. Wyjaśniła mi: „Słyszę w myślach to, po czym prześlizguję się wzrokiem. I nie jest to bynajmniej trudne”.

9 lipca. Był Oleg, ale już odjechał, spędziłam z nim półtora dnia! Na stację nie wyszłam; Asia idąc po niego włożyła ulubiony sarafan, zaplotła warkocze i zerwała ogromny bukiet rumianków. Malca też przebrała i powlokła ze sobą. Widząc te przygotowania, postanowiłam nie psuć im spotkania swoją obecnością, poszłam na skraj lasu i, spacerując tam i z powrotem, starałam się opanować podniecenie. Gdy wreszcie zebrałam siły i wracałam do domu, natknęłam się na nich za opłotkami. Szedł z wiadrem do studni niosąc dziecko na ramionach, Asia dreptała za nim i oczy jej błyszczały jak gwiazdy. Poczulałam się zbędna! Wieczór jednak minął przyjemnie, bez skrępowania: długo siedzieliśmy w ogródku i nie czułam się wyobcowana. Rano przeżyłam niemiły moment, przypadkowo usłyszałam ich rozmowę w sieni, w której Asia gotowała coś na prymusie. Wszedł i powiedział: „Całuj szybciej, póki jesteśmy sami”. Nastąpiła cisza, po czym usłyszałam jej głos: „Starczy, puść, widzisz, kawa przez ciebie wykypiała”. Zabrzącało naczynie, potem on się odezwał: „Wiesz, myślałem dziś rano o Elżbiecie Georgiewnie, jest bezsprzecznie mądra i niezwykle szlachetna w postępowaniu, ale nieco kostyczna. Czy zwróciłaś uwagę, jaki ma stosunek do dziecka?”. Asia odpowiedziała: „Elżbietka nie przepada za dziećmi – to wszystko!” A on na to: „Może jest zdolna do bohaterstwa, jeżeli jednak w życiu ominie ją okazja do przejawienia heroizmu, zeschnie jak niezżęty kłos. I zostanie drugą Nadieżdą Spirydonowną. Ma ku temu wszelkie dane!” Odeszłam, żeby dalej nie słuchać...

Jestem oschła! Tak, zapewne tak. Mojej niechęci do dziecka nie dało się ukryć. Przywykli do zachwytów i uniesień, od razu zauważyli moją powściągliwość. No i dobrze! Roztkliwienie się nad dziećmi nie jest obowiązkowe. Jestem oschła! Ale czy zawsze byłam taka? Czy to moja wina, że jako młoda dziewczyna spotkałam człowieka, po którym nikim już nie mogłam się zainteresować? Czy to moja wina, że mężczyzna ten nie pokochał

mnie i nie zostałam jak Asia, młodą szczęśliwą matką? Zresztą i ona niedługo taką pozostanie. Jeżeli co roku sprawią sobie potomka, zobaczymy, jak będzie wyglądać za pięć lat. Jestem oschła. Dziękuję za trafne określenie! Dowiedziałam tego, gdy podziurawiony kulami leżał ranny, nie mogąc się nawet poruszyć. Oschła!

10 lipca. Wczoraj się zdenerwowałam i nie zapisałam, że wieczorem byłam świadkiem ich sprzeczki. Weszłam w chwili, gdy pytał: „Gdzie jest w końcu twój szlafroczek? Odpowiedz”. Ona, potykając się na każdym słowie, bąkała: „Zrozum, nie jest mi potrzebny... Rzadko go wkładałam... Nieporównanie większą przyjemność sprawia mi danie Sławeczkowi na śniadanie jajka.” „Ach, rozumiem! Wymieniłaś za dziesięć jajek”. „Wcale nie za dziesięć, a za dwadzieścia!”. – „Tak! I to nie zważając na moją prośbę! Elżbieto Gieorgiewno, jak się to pani podoba – oddała swój szlafrok, prezent perskiego chana dla jej ojca, za dwadzieścia jajek i jeszcze się wypiera, nauczyła się kłamać. Asiu, czy ci nie wstyd łąć?” Odezwałam się, czując, że trzeba cokolwiek powiedzieć: „Kłamstwo jest zawsze obrzydliwe”. Popatrzyła na mnie spode łba, potem na niego, lecz nie rozgniewała się, nie wybuchła, nawet nie próbowała się usprawiedliwiać, oparła jedynie głowę o jego ramię, a ten natychmiast zmiękł, uśmiechnął się i czułym gestem pogładził ją po włosach, mówiąc: „Głuptasku, byłaś tak czarująca w tym szlafrocuku”. Kto się lubi, ten się czubi.

11 lipca. Bohaterskiego czynu nie będzie – już był! Wszystko, co było w naszym życiu heroiczne – minęło, i w moim, i w jego. Wiem, że poszłabym do tej rybackiej chaty, w której się ukrywał, gdybym wiedziała, gdzie się znajduje; nic nie mogłoby mnie powstrzymać! I cóż? Po wielkich i tragicznych chwilach, jakich w młodości doświadczyłam, czyżbym już nigdy nie miała podobnych przeżyć? Mam jedynie starzeć się i usychać z bezsilnego gniewu na sowiecką władzę, na niego, na nią!

12 lipca. Nie kończące się rozmyślania i samotne spacery wśród zbóż. Pragnę być sama.

13 lipca. Przyjechała Lela Nielidowa. Weszłam do izby, gdy

podrzucała Sławeczka, a ten zanosił się dźwięcznym śmiechem, następnie zwróciła się do niego: „Niech twoja mama rozpakuje rzeczy i weźmie się do obiadu, a my pójdziemy na przechadzkę” – i zabrała szkraba, który chętnie poszedł do niej na ręce. Rano znowu powiedziała: „Kto chce na rączki? Przejdę się z nim, Asiu, zanim posprzątasz” – po raz drugi się zawstydziłam. Lela jest na zwolnieniu chorobowym, przyczepiła się do niej gorączka, co nas wszystkich niepokoi. Przyjechała na trzy dni, ubrana jest, jak zawsze, ładnie, chociaż tylko w zwykłe perkaliki, *wyprane* i wyprasowane rękoma Zinaidy Glebowny. Mimo biedy, z której w żaden sposób nie mogą się wyrwać, jest bardziej rozpieszczona niż Asia.

15 lipca. Dziwne... o co tu chodzi! Tyle tutaj różnych zakrętów, zakamarków, ciasnych przejść, że stale, najzupełniej przypadkowo słyszę cudze rozmowy. W sobotę znowu słyszałam kilka słów, które mnie zastanowiły. A było to tak: Oleg już przyjechał, Asia podgrzewała obiad, on zaś poszedł z wiadrem do studni; wyszłam do sieni i zobaczyłam, jak zbliżył się do Leli, która czerpała wodę z beczki i z niepokojem w głosie spytał: „W porządku?” Odparła: „Potem opowiem, jest mi bardzo ciężko”. Co to ma znaczyć? Co ich takiego łączy, że stanowi wspólną tajemnicę przede mną i Asią?

16 lipca. Ale mieliśmy wczoraj dzionek! Wybraliśmy się na spacer z Lelą, Olegiem i Sławeczkiem. Szybko zboczyliśmy z polnej drogi i zaczęliśmy przedzierać się wąską ścieżynką przez zarośla i wiatrołomy. Po paru zakrętach dotarliśmy nad rzeczkę. Byłam zachwycona dziką urodą tego miejsca. Wędrowaliśmy niskim brzegiem, z jednej strony była woda, z drugiej – gęste, ciemnozielone wiązy i lipy, w których cieniu panował prawie mrok, zaczepialiśmy o kolce kwitnących krzewów dzikiej róży, splątanych z krzakami czarnej porzeczki. Przeciwległy brzeg rzeki był wysoki, urwisty, białe piaszczyste warstwy pięły się stromymi tarasami ku górze, gdzie gęsto rosły ciemne, ponure świerki. Widok był majestatyczny, nawet nie podejrzewałam, że pod Petersburgiem można spotkać takie krajobrazy. W pewnym miejscu po drugiej stronie rzeki – pojawiły się nagle suche

świerki, pokryte siwymi kępkami mchu i Asia wskazując na nie zauważyła, że brakuje tylko chatki na kurzej stopce i Baby Jagi z miotłą. Brzeg stawał się coraz bardziej urwisty. Wkrótce Oleg zatrzymał się obok zwalonej osiki, która padając w poprzek rzeczki utworzyła rodzaj mostku, i spytał, czy starczy nam odwagi, żeby przejść po pniu na drugą stronę? Gdy przechodziłyśmy z jego pomocą, Asia i Lela piszczały ze strachu, ja przeszłam odważnie. Oznajmił wtedy: „Elżbieta Georgiewna stanęła, jak zawsze, na wysokości zadania!” – i pocałował mnie w rękę. Zwykła galanteria, lecz serce zabiło mi mocniej! W najdogodniejszym miejscu wdrapaliśmy się po stromiźnie i znowu zapuściliśmy się w gęstwinię, po nie znanych nawet Olegowi, ledwo widocznych ścieżynach. Przy zakrętach robił na korze drzew scyzorykiem nacięcia. Możliwość zabłądzenia w lesie przydawała naszej wyprawie szczególnego uroku, ale i uczucia ryzyka. W pewnym miejscu wskazał na poszarpany pień, mówiąc: „To sprawka niedźwiedzia” W innym stwierdził: „A to, patrzcie, ślady łośa”. Po jakimś czasie wyszliśmy nieoczekiwanie na otwartą polankę, piękną, słoneczną, szmaragdową! Podczas gdy Asia karmiła małego, dla którego zabrała mleko i bułkę, Lela wypatrzyła w zaroślach wierzbówki poziomki. Obie natychmiast rzuciły się na nie, zapewniając, że koniecznie mamy zebrać dla Sławeczka koszyczek jagód. Jakież nudne są te matki! Usiadłam na pniu, a Oleg oznajmił: „My z synkiem poszukamy grzybów, zbieranie poziomek to zajęcie dla kobiet”. Przeszło godzinę siedziałam sama i komary prawie mnie zjadły, gdy wreszcie usłyszałam jego głos: „Elżbieto Georgiewno, proszę poprawić dziecku panamkę”. Oglądnełam się, stał dwa kroki ode mnie, a Sławeczek spał słodko na jego rękach. Przechwyciłam pełen czułości wzrok, jakim patrzył na syna. Może to niezwykle wzruszające, ale moim zdaniem nie przystoi mężczyźnie, dziecko na rękach jakby ujmuje męskości. Wróciliśmy o zmierzchu, kolację jedliśmy przy świecach. Zaraz po tym Oleg poszedł do szopy na siano oświadczając, że pozostały mu dla syna tylko cztery godziny, gdyż musi wstać o świcie. Asia poszła go odprowadzić i przepadła. Lela położyła się i po chwili sennym

głosem wymamrotała, żebym szła spać, a drzwi zostawiła otwarte, bo o złodziejach w tej wsi jeszcze nie słyszano. Wszystko ma w nosie! Nie przestając chodzić z kąta w kąt, nieco za ostro odpowiedziałam: „Oburzające, że Asia tak się zasiedziała! Jak można przeciągać w nieskończoność nocne wyznania, przecież Oleg Andriejewicz musi wstać skoro świt”. Chlapnęłam bezmyślnie. Lela wysunęła głowę i wygarnęła: „Wyszło teraz z pani staropanieństwo. Jestem młodsza o dziesięć lat, a jednak domyślam się, co mogło ją zatrzymać” – i znowu się przykryła. Aluzję, naturalnie, zrozumiałam, jak i to, że swoją świadomie niegrzeczną odpowiedzią chciała mnie dotknąć. Użadliła mnie osa, ale ponieważ słusznie – zmilczałam. Dlaczego jednak „o dziesięć lat”, jeżeli ma 22 lata, a ja 30! Kiedy Asia wreszcie przybiegła, oczy jej w ciemnościach lśniły jak świetliki.

19 lipca. Jutro wyjeżdżam. Trzy tygodnie na wsi odświeżyły mnie i wzmocniły. Ciszą, lasem, powietrzem, ptakami – nasyciłam się do woli. Nie docierał tutaj zgiełk, żadne niepokoje i codzienne kłopoty. Przez ten czas doszłam do trzech wniosków. Pierwszy: w dalszym ciągu jest mi drogi! wciąż kocham go beznadziejnie, głupio, po pensjonarsku. Zapamiętuję jego słowa i gesty, wyraz twarzy i dźwięk głosu, żeby potem móc bez końca do nich powracać. Drugi wniosek wypływa z faktu, że wbrew wszystkiemu naprawdę lubię Asie. Jest wyjątkowo miła, subtelna, idealna. Nie dostrzegłam w niej drażliwości, nieopanowania czy szorstkości. Jakby emanują z niej niewidoczne promienie, które pobudzają sympatię dla niej. Odnosiła się do mnie z niebywałą troskliwością: gdy kiedyś rano obudziłam się z bólem głowy, natychmiast to spostrzegła i przyniosła mi do łóżka kawę; innym razem widząc, że słońce przeszkadza mi czytać, od razu zasłoniła okno. Nie dopuszczała mnie do kuchenki, powtarzając, iż przyjechałam odpocząć, aczkolwiek w ciągu dnia często nie miała czasu przysiąść bodaj na pół godziny. Utkana jest z ciepła i światła. Trzeci wniosek dotyczy mnie samej. Oleg i Asia niezamierzenie wskazali na pewien niezwykle ujemny rys mojego charakteru; istnieje łaćńskie powiedzenie: jestem człowiekiem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce – wśród ogólnoludzkich uczuć istnieje

jednak coś, czego nie doświadczam: czułości małżeńskiej, macierzyńskich doznań i miłości do dzieci... Lela Nielidowa, na przykład, też nie ma dziecka, a jakże lekko i łatwo radziła sobie ze Sławeczkiem! We wszelkich dziecięcych atrybutach: czapeczkach, bamboszkach, zabawkach, wyznawała się tak, jakby sama wychowała siedmioro! Bałam się dotknąć małego, żeby go nie upuścić, nie uszkodzić, ona zaś w ogóle o tym nie myślała. Bawienie się z nim, usypianie go, sprawiało jej przyjemność, dziecko rwało się do niej, a gdy patrzyło na mnie, za każdym razem jeżyło się i zaczynało drzeć, jakby męczyła je kolka w brzuszku. Asie to peszyło, a i mnie robiło się przykro. Nie potrafię tego wytłumaczyć, lecz sądzę, że ten właśnie niedostatek zaciążył fatalnie na moim życiu.

Rozdział dwudziesty trzeci

Chryczko już ponad pół roku siedział za kratkami. Jego żona kilkakrotnie wyplakiwała się w kuchni, zapewniając, że mąż jest niewinny, bowiem do bójki z milicjantem sprowokowali go przy butelce koledzy, ale odpowiada tylko on, rodzina tymczasem nie ma z czego żyć. Madame poruszona narzekaniami, których bez przerwy wysłuchiwała, poprosiła Natalię Pawłównę, by pozwoliła Chryczkowej zarobić u nich jako sprzątacze. Ta z pewnym ociąganiem wyraziła zgodę. Poleciała ją nawet do posług domowych madame Krasnokutskiej, dodając jednak poufnie, że nie ręczy za jej uczciwość i radzi samej nie pozostawiać w pokoju.

W mieszkaniu pojawił się Chryczko nieoczekiwanie: wszedł do kuchni, gdy przebywał w niej tylko Oleg odkomenderowany przez Asie do pilnowania gotującego się mleka. Wkroczył z ponurą miną i usiadł na taborecie, ponieważ nie przywitał się z Olegiem, ten powstrzymał się od jakichkolwiek słów czy gestów.

Stukając pazurami wbiegła Lada i natychmiast zaczęła się kręcić u nóg sąsiada, po minucie jej przednie łapy opierały się już o jego pierś. Oleg chciał skarcić psa, pamiętając, że Chryczko robił złośliwe uwagi o cackającej się ze zwierzętami inteligencji, lecz ku niemałemu zdziwieniu dojrzał na psim łbie rękę robotnika.

– Dobry pies, mądra Ładuszka! – zaburczał żarliwie basem.

Do kuchni wbiegła Asia.

– Paweł Pankratiewicz? Wróciliście! Kławdia Wasiliewna dorywczo pracuje i Pawlika wzięła ze sobą. Drzwi są zamknięte, ale nie szkodzi, jeśli chcecie, podgrzeję wam makaron i zaparzę mocną herbatę.

Oleg odwrócił się i pospiesznie wyszedł.

– O co chodzi? Już się rozzłościłeś? – spytała go z miną winowajczyni, gdy po chwili wróciła do pokoju.

– Znowu przesadzasz – odparował krótko.

– Przecież też byłeś w więzieniu. A jednak nie ty, lecz pies pierwszy...

– Poczekaj – przerwał jej – czyżbyś uważała, że powinienem narzucać mu się z wyrazami współczucia? Wybacz! Nie potrafię.

– Nie idzie o słowa, mogłeś mu zaproponować herbatę albo przynajmniej podać rękę.

Tego wieczoru Nadieżda Spirydonowna obchodziła imieniny. Młodym Daszkowom wypadało złożyć jej życzenia. Natalia Pawłowna poprzestała na liście i zamiast na towarzyskie spotkanie poszła na wieczorne nabożeństwo do cerkwi Przemienienia Pańskiego. Miała w niej jeszcze z dawnych czasów swoje miejsce, starannie strzeżone przed madame Krasnokutską, madame Kokowcewą i inne arystokratyczne przyjaciółki, które tworzyły w parafii swoistą elitę i zaanektowały dla siebie jedną z ławek.

Asia w ów wieczór nie była w najlepszym nastroju.

– Nie mam ochoty iść, tam zawsze jest nudno. Każą mi grać, a sami będą gadać. Nie lubię Nadieżdy Spirydonowny. Wolę pójść z babcią do cerkwi, tak rzadko udaje mi się do niej wyrwać. W niedzielę wszyscy jakby się zmówili – zrzędziła – podrzucają mi różne rzeczy do zrobienia...

– Nie, jednak pójdziemy. Nie wypada, żebym pojawiła się sama z twoim mężem, a z pewnych względów powinnam pójść – wtrąciła Lela, krygująca się przed lustrem z ukrytym zamiarem przypudrowania nosa po wyjściu starszych. – Zbieraj się, za to w niedzielę przypilnuję Sławeczka, skoro pójdzie do cerkwi jest dla ciebie takim wielkim szczęściem.

– Dlaczego mówisz o tym z kpina? – obruszyła się Asia.

– Ubieraj się, przecież czekamy na ciebie – przynagliła Lela.

Asia znowu się zachmurzyła.

– Nie mam w co się ubrać! Biała sukienka wyszła z mody, jest przykro tka. Będę w niej śmiesznie wyglądać! A bluzki mi

obrzydły.

Niemniej włożyła angielską bluzkę z czarną aksamitką zamiast krawatki, warkocze zastąpiła greckim węzłem, zaś wszystkie pozostałe zastrzeżenia, po tym jak Lela szepnęła jej na ucho o swoich zamiarach, odłożyła na bok. Olega zajętego goleniem nie interesowały wynurzenia Leli, jednak doszło go imię Wiaczesława. Widocznie zachwycone spojrzenie zakochanego mężczyzny wzmacnia chęć życia, nawet jeżeli nie jest on traktowany poważnie, a do tego innych wielbicieli brak.

Nieliczne towarzystwo zgromadziło się pod pomarańczowym abazurem przy stylowym okrągłym stole z lwimi łapami, spoczywającymi na kulach. Zaproszony krąg osób składał się z dawnych znajomych Nadieжды Spiridonowny. Ceremonia picia herbaty przebiegała bez specjalnych emocji, czajnik elektryczny sprawował się bez zarzutu, w odróżnieniu od swego krewniaka zza ściany. Asia grała i rzeczywiście nikt jej nie słuchał oprócz Olega, który zafascynowany Szopenem w wykonaniu żony, puszczał mimo uszu kierowane do niego słowa i musiał potem, przywoływany do porządku, stokrotnie przeproszać.

Gdy goście wychodząc żegnali się przy drzwiach w kuchni – frontowe wyjście zostało zamknięte jeszcze w osiemnastym roku – jedna z przyjaciółek Nadieжды Spiridonowny zaczęła objaśniać, jak należy dojechać do jej nowego mieszkania. Stare musiała zamienić, ponieważ dokwaterowana proletariacka rodzina nie dawała jej żyć.

– Z własnych kątów musiałam uciekać! Dochodziło do tego, droga Nadine, że toaletę dla kota złośliwie urządzili pod moimi drzwiami, a na moje fotele stojące na korytarzu rzucali ogryzki kiełbasy i ogonki od śledzi... Serce mi się krajało! – żaliła się, okręcając ciepłym szalem biedną siwą głowę. – Zapraszam na „oblewanie” mieszkania. Pokoik mam teraz mały, ale miłutki. Przesiadka na tramwaj numer szesnaście jest przy moście Ochtyńskim. Wiecie, gdzie to jest?

Czy to ten most z brzydką wysoką balustradą? Oczywiście wiem. Okropne bezguście! Petersburg nic by bez niego nie stracił, lepiej gdyby go nie było – stwierdziła Nadieżda Spirydonowna.

Inna z zaproszonych osób, siwa profesorowa, wkładając koło kubła na śmieci śniegowce wykrzyknęła:

– Cóż to, „mój zgniły inteligent” znowu się guzdrze? – Proszę pójść – zwróciła się do Asi – i powiedziec mu, drogie dziecko, że ja już się ubrałam i czekam.

Wszyscy wiedzieli, że madame Łopuchina „zgniłym inteligentem” nazywa swego męża profesora. Ten akurat pojawił się w drzwiach razem z Lelą.

– Jeszcze odrobinę cierpliwości, mała czarodziejko! Gdy nasi kochani komuniści wylecą wreszcie w powietrze, zaproszę panią na przejażdżkę automobilem, a potem za pozwoleniem Zinaidy Glebowny do restauracji na jesiotra oraz na kawę z pani ulubioną bitą śmietaną.

– Profesor, jak widać, nie traci czasu – zauważył z uśmiechem Oleg podając palto profesorowej.

– Widzę, widzę – dobrodusznie się roześmiała. – Nie zapomnij swojej laski, mój drogi, i chodźmy: auto na razie na nas nie czeka.

Kolejna przyjaciółka gospodyni nagle zaczęła wspominać, jak nie bała się udzielić schronienia biskupowi i ten całą noc modlił się stojąc. Nadieżda Spirydonowna i tym razem nie powstrzymała się od moralizowania:

– Niepotrzebnie pani to robi. O czym wiedzą sąsiedzi, wie i GPU. To stara łacińska maksyma.

Oleg trzymał już Asię pod rękę, Lela stała obok nich i czekając, aż rozmowa dobiegnie końca, spojrzała na drzwi, które, jak wiedziała, prowadzą do pokoju Wiaczesława.

„Szkoda, jeżeli nie wyjdzie i nie zobaczy mnie w nowym kapelusiku!” – pomyślała. Lecz drzwi pozostawały zamknięte, natomiast w sąsiednich widoczna była szpara, coraz większa i

większa, wreszcie wynurzyła się z niej wyondulowana i pulchna jak bułeczka dziewczyna, która podeszła do swego prymusa i zaczęła go zapalać, pomimo że była pierwsza w nocy. Na wiorstę zalatywało od niej tanimi perfumami. Wskazując palcem na drzwi Wiaczesława, odezwała się familiarnym tonem:

– Zmarkotniał chłopak! Nie wiecie mu się ostatnio! Wpierw wystawiła go do wiatru jedna ładna panienska, a teraz, wiecie, w partii idzie czystka, trza się na partyjnym zebraniu rozliczać i wyciągnąć wszystkie swoje sprawki. Nikomu nie byłoby do śmiechu!

Lela początkowo się zmieszala, ale prędko uznała, że powinna stanąć w jego obronie:

– Wiaczesław nie ma się czego obawiać, frontowiec i komunista, wątpliwe, żeby go można było o coś zahaczyć.

– Przyczepić się zawsze można! – zaprzeczyła z przekonaniem dziewczyna. – Czy u nas ceni się ludzi? Mało to posadzili byłych żołnierzy frontowych? Jednym przypiszą odchylenie, innym trockizm, jeszcze innym rozkład moralny. Chyba wiecie po sobie, jacy to krwiopijcy. Mocno mnie obeszło, gdym się dowiedziała o rozprawie z wami.

Lela westchnęła:

– Tak, postąpili ze mną niesprawiedliwie.

– A wobec kogo są sprawiedliwi? – podchwyciła.

Oleg gwałtownie odwrócił się i nieżyczliwie spojrział na nią.

– Asiu, Heleno Lwowno, idziemy! Co to za rozmowy przy drzwiach! – upomniał je szorstko.

Lela kiwnęła głową dziewczynie i ruszyła do wyjścia.

– Po co pani rozmawia z tą osobą? Toż to wstrętne indywiduum, nie zasługujące na odrobinę zaufania! – z wyrzutem zauważył Oleg, gdy tylko znaleźli się na schodach.

Ostatnimi czasy skrzynka na listy przy drzwiach wejściowych stała się dla Leli obiektem budzącym najbardziej nieprzyjemne skojarzenia. Za każdym razem, gdy coś w niej się bielilo, oblewał ją zimny pot i pospiesznie sprawdzała, czy korespondencja jest adresowana na jej nazwisko. Bojąc się, żeby wezwanie na Szpalerną nie wpadło w ręce Zinaidy Glebowny, kilka razy dziennie sprawdzała pocztę.

Od stycznia, kiedy przystała na współpracę, wzywano ją dwa razy. Za pierwszym rozmowa miała przyjazny charakter, śledczy powitał ją jak dobry znajomy, uśmiechnął się, powiedział kilka komplementów, zainteresował się zdrowiem, spytał, jak się jej podoba nowa praca, i jakby mimochodem zagadnął, czy może ma coś do przekazania. Z przepaszającym wyrazem twarzy wymamrotała: „Na razie nic” i wyszła nieco uspokojona. Podczas drugiej wizyty, w odpowiedzi na kolejne: „Na razie nic” śledczy trochę surowo ją pouczył, że powinna bardziej przykładać się do zdobywania informacji.

– W waszym środowisku nie powinno to być zbyt trudne. Spróbujcie zainspirować odpowiednie rozmowy, podsuńcie temat, a dalej samo się potoczy.

Teraz wzywano ją po raz trzeci. Śledczy zainteresował się jej zdrowiem i natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Jak to, znowu nic?

– Nic... Jakoś mi nie wychodzi... Już wiedzą o mnie, że jestem sowiecka... rozniosło się, że pracuję w więziennym szpitalu i nie mają zaufania... Nikt mi niczego nie mówi... Wystrzegają się...

– Czyżby, towarzyszeko Goździk?

Poczuła, że zaczyna dygotać. „Boże, Boże! Zaczyna się!”

– Czy ostatnio bywaliście u kogoś?

– Tak... nie... spróbuję sobie przypomnieć...

– A u Niny Aleksandrowny w dniu imienin jej ciotki byliście?

– Byłam... – wydusiła wstrząśnięta jego wszechwiedzą.

– Powiedźcie, a tam na imieninach, przez cały wieczór także nie prowadzono żadnych niedozwolonych rozmów – narzekania na rząd, anegdot, szydzenia z władzy sowieckiej?

– Nie.

– Czy potwierdzacie to z całą pewnością?

– Absolutnie tak. Nie padło żadne krytyczne słowo. W naszym środowisku nie prowadzi się takich rozmów.

– Rzeczywiście nic? – Nic.

– Pozwólcie, że wam nie uwierzę! Posiadam pewne informacje od osób, które sumiennie wykonują swoje obowiązki. Jest mi na przykład wiadoma w szczególach wasza rozmowa z obywatelką Byczkową. Wyrażała się ujemnie o przeprowadzanej powszechnie w partii czystce, a także oburzała się na to, jak przed rokiem z wami postąpiono. Przyznaliście jej rację! „Postąpiono ze mną niesprawiedliwie” – to wasze autentyczne słowa. Kazarinow przerwał rozmowę. Czy nie tak było?

Lela roztrzęsiona i zbita z tropu z przestrawieniem spoglądała na swego prześladowcę.

– I co na to powiecie, towarzyszeko Goździk? – przypierał ją do muru śledczy.

– Istotnie, taka rozmowa odbyła się, lecz zapomniałam o niej, gdyż nie prowadziłam jej przy imieninowym stole, ale w kuchni na odchodnym. Byczkowej nie znam i byłam zaskoczona, kiedy zagadała do mnie i do tego na taki temat...

– Dlaczego nie chcieliście o tym powiedzieć? Przecież was naprowadzałem! Jeżeli kryjecie nieznanym, to oczywiście, że nie doniesiecie na swoich.

– Nie miałam zamiaru przemilczeć tej rozmowy, po prostu wyleciała mi z pamięci. Ale nie zaprzeczam: rzeczywiście się odbyła, choć mówiła tylko Byczkowa.

– Po tym jak was zdemaskowałem, wasze informacje, Heleno Lwowno, nie są warte złamanego grosza! Prawdę mówiąc, wasze kręctwo wystarczy, żeby zastosować paragraf dwunasty artykułu pięćdziesiątego ósmego. I należałoby to zrobić. Proszę mi łaskawie powiedzieć, jak mogę wam obecnie wierzyć? Przed chwilą oświadczyliście, że wasza kuzynka nosi nazwisko Kazarinowa, a nie Daszkowa. Czy mogę być pewny, że jej nie osłaniacie? No, dość tej komedii! Raczcie powiedzieć prawdę, albo was posadzę! Odpowiadajcie!

– Co mam mówić? – wyszeptała Lela.

– Kim jest Kazarinow, mążnek waszej kuzynki? Oficerem gwardii? Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko? Czy także uleciało wam z pamięci?

– Zawsze słyszałam Kazarinow, innego nazwiska nie znam – zapierała się.

– Nie kłamcie! Przecież widzę, że kłamiecie. Wystarczająco długo patyczkowałem się z wami – starczy. Powiedzcie mi jego nazwisko, albo od razu was aresztuję. Do domu nie wróćcie.

Lela milczała. Nagle w wyobraźni ujrzała Sławeczka, jego rumiane jak upierzenie gila policzki.

– No więc? Mówcie! Czekam. Nazwisko?

– Innego nie znam.

– Łgarstwo, znacie.

– Nie, nie znam. Kazarinowa poznałam dopiero trzy lata temu. Jeżeli cokolwiek ukrywa – skądże ja o tym mogę wiedzieć? Taki człowiek, sami rozumiecie, nie wybiera sobie młodej dziewczyny na powiernicę.

– W porządku. A Daszkowa, Nina Aleksandrowna niczego o nim nie mówiła?

– Nie, nie mówiła.

– Czy to jej krewniak?

– O ile mi wiadomo, nie.

– Od kiedy się znają? Co ich łączy?

– Nie wiem. On, jak się zdaje, razem z jej mężem służył u białych, był ordynansowym czy ordynansem... Nie pochodzi z arystokracji. Mówi okropnie po francusku, jeszcze gorzej się kłania... Daszków byłby zupełnie inny. Łatwo bym zauważyła.

– I nikt nigdy w waszej obecności nie wymieniał innego nazwiska?

– Nigdy.

Śledczy wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Strzeżcie się, Nielidowa! Tego Kazarinowa rozgryzę i jeżeli okaże się, że jest Daszkowem, odpowiecie za to. Uprzedzam. A teraz raczcie wyjaśnić następującą sprawę: doniesiono mi, że trzydziestego września właścicielka mieszkania, no, ta solenizantka, Nadieżda Spirydonowna, aluzyjnie dawała do zrozumienia że ma zamiar wysadzić w powietrze most Ochtyński. Czy możecie potwierdzić ten zarzut? Czy słyszeliście o tym?

– Most? Nadieżda Spirydonowna? Co za absurd! Kto to napłócił? Przecież ma przeszło siedemdziesiątkę! W jaki sposób wysadzić? Czym? Prymusem?

– Żarty się was trzymają, Nielidowa. Możliwe, stara nie mogła zdobyć materiałów wybuchowych, nawet na pewno – nie, jednak słowa „lepiej, gdyby tego mostu nie było” czegoś dowodzą. Nasz komisariat uważa, że w tego rodzaju wypadkach rozsądniej jest zawczasu człowieka wysiedlić, niż rozstrzelać winowajcę po dokonaniu przestępstwa, które pociągnie za sobą niejedną ofiarę. W danej chwili ważne jest dla mnie tylko ustalenie, czy słyszeliście słowa „lepiej, gdyby tego mostu nie było”. Przecież wypowiedziano je przy was. To już zostało stwierdzone. Przez kogo? Etyka zawodowa zakazuje mi wymienić nazwisko, wy też nie chcielibyście, abym podawał wasze! Czy możecie potwierdzić w formie pisemnej, że słyszeliście inkryminowane słowa? Jeśli odmówicie, ostatecznie przekonacie mnie, że sprzyjacie wrogom

klasowym. No więc..

Wszystko zostało potwierdzone i gdyby nadal zaprzeczała, niczego nie zmieniłaby, a jedynie naraziła siebie na niebezpieczeństwo. Dla Olega i Asi obróciło się także na lepsze: śledczy przekonał się, że nie zaprzecza wszystkiemu, przez co jej zapewnienia zyskały na wiarygodności. Rozumując w ten sposób starała się uspokoić sumienie.

Umówiła się z Olegiem na spotkanie w pobliżu Ogrodu Letniego. Powtórzyła dokładnie rozmowę ze śledczym, pomijając jedynie fakt, że potwierdziła zarzuty przeciwko Nadieżdzie Spiridonownie.

– Lelu, powinna pani być teraz wyjątkowo ostrożna. Proszę absolutnie nie wdawać się w rozmowy z obcymi. – A jak wygląda ten śledczy? – zainteresował się.

– Niewysoki świński blondyn, oczy ma złe, niedobre, przenikliwe.

– Czy kręci się, wierci, zanim zada pytanie? – uściślał Oleg.

– Tak, niekiedy kołysze się jak żmija na ogonie. Lecz najstraszniejsze ma oczy: z nieprawdopodobnie rozszerzającymi się źrenicami. Jest w nich coś drapieżnego, budzącego grozę! Jak się to stało, że obydwójce wpadliśmy w te same łapy?

– To nie przypadek, lecz przebiegły chwyt służący przygotowaniu pułapki. Lelu, proszę na razie niczego nie mówić Asi, niech jeszcze ze dwa miesiące będzie szczęśliwa.

– Olegu Andriejewiczu, a ja? Co będzie ze mną? Przecież jeszcze w ogóle nie zdążyłam zaznać szczęścia! – Jej łamiący się głos i naiwność pytania poruszyły Olega: – Mówi pan: ze dwa miesiące, a brzmi to jak biblijne *mane, tekel, fares*. Dlaczego odmierzył pan tylko tyle czasu? Proszę we mnie nie wątpić.

Ujął jej drobną rękę i odsuwając, wbrew przyjętemu konwenansowi, rękawiczkę ucałował w przegubie.

– Dziękuję za nas z Asią, ale jeżeli nawet starczy pani odwagi i przebiegłości, żeby jeszcze przez pewien czas kierować śledztwo na fałszywe tory, nie oznacza to, iż nie znajdą innego sposobu zdemaskowania mnie, bądź nie spreparują nowego oskarżenia, żeby zgnoić mnie w stosownym miejscu. Boże, spraw, żebym ucierpiał wyłącznie ja.

Rozmawiali spacerując wzdłuż krat Ogrodu Letniego, a po rozstaniu Lela wolno poszła brzegiem Kanału Łabędziego. Ostatnio przytłoczyło ją wiele ciężkich przeżyć. Przed kilkoma dniami zmarła Tatiana Iwanowna Frołowska. Nikła nadzieja, że Walentynowi Płatonowi uda się bodaj na krótko wyrwać na pogrzeb matki, zawiodła. Nie przyjechał, tylko wymienił depesze z przyjacielem Szura, który wziął na siebie związane z pogrzebem kłopoty.

Może i lepiej się stało, że Walentyn Płatonowicz nie zjawił się, nie mogła bowiem na niego liczyć! Odstawiła już dwóch wielbicieli, a niczego to nie zmieniło, skoro mija dzień za dniem, lecz szczęście nie przychodzi. Pograżona w niewesołych myślach nagle spostrzegła, iż stoi na Gangutskiej, przed domem Frołowskich, dokąd bezwiednie przyniosły ją nogi. Zatrzymała się przed bramą, zniecka ogarnięta poczuciem niewybaczalnej winy wobec samotnej kobiety, która obejmowała ją z taką czułością.

Szarogęszą się tam obecnie paskudne dziewczuchy, fotografie naturalnie wyrzuciły na śmietnik i wymyślają sobie, klóćąc się przy podziale cennych rzeczy. Zaledwie zdążyła o tym pomyśleć, gdy ujrzała na ławeczce przed wejściem starą Agasę – w niezmiennej kacabajce i szarej chustce. Tym razem staruszka nie ruszyła się z miejsca, tylko pokiwała głową z oczami pełnymi łez. Lela zbliżyła się do niej.

– Dzień dobry, Agaszo! No i jak, czy administracja dała wam przydział na pokój Tatiany Iwanowny? – zagadnęła.

– Pokój przyznali dziewczynkom, a mnie, panienko, żaden niepotrzebny. Jadę do Karagandy. Pracę straciłam, wnuczkom przeszkadzam, zaś Walentin Płatonowicz napisał do mnie: „Nianiu

Agaszo, zostałem zupełnie sam”. Może choć trochę mu się przydam. Tutaj nic po mnie, zgłupiałam do reszty; tak sobie siedzę i popłakuję, wciąż moją panią i synków ichnich wspominam – kadeciki maleńkie, z guzikami wyczyszczonymi do blasku, z epolecikami, w baszłyczkach – stoją mi przed oczami jak żywi. Osobliwie kochałam Andriuszę, co jako młody oficer na tyfus pomarł...

Lela stała przed staruszką w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć. A może i ona by pojechała? Napisze: „Wiem, że kochałeś mnie. Nie boję się złego losu. Weź mnie”. Dobrowolnym zesłaniem uniemożliwi śledczemu szantaż, zaś człowiek, do którego pojedzie, kocha ją i – rzecz jasna – nie wyznał jej tego wyjeżdżając jedynie z dumy i wielkoduszności. Ofiarę doceni, zasłużył na nią. Czy ma się zdecydować?

„Nie, nie mogę! Karaganda! Kibitka! Nie podołam, nie wytrzymam!”

Wilgotna mgła spowiła ulice, żółte, mętne światło zapalonych latarni przesączało się przez mżawkę. Wokół nieprzerwanie snuli się przechodnie, a każdy wydawał się przybity własnym, przez niego tylko doświadczanym, nieprzekazywalnym nieszczęściem.

*Noc jak noc, ulica pusta wkoło.
I nigdy inna!
Więc dla kogo dumne miałaś czoło
Ty, tak niewinna?*⁶⁸

Dla kogo?

Rozdział dwudziesty czwarty

Nadieżda Spirydonowna otrzymała wezwanie do GPU, czyli do „trzech liter”, jak ową instytucję określali zazwyczaj Oleg i Nina, skąd wróciła dopiero po trzech dniach.

Miała na czole rozległy krwiak, mocno zaciśnięte usta, zaczerwienione powieki, a w jej włosach zniknęły ostatnie ciemne pasma. Annuszka aż jęknęła, ujrzawszy swoją panią, która bez użalania się, narzekania, w dostojnym milczeniu poszła do swego pokoju. Gdy Nina wróciła z Capelli, poprosiła ją do siebie. Nadieżda Spirydonowna była przekonana, że donos sfabrykowali jej domowi wrogowie – Mika i Wiaczesław, na próżno Nina zaklinała się, przysięgała, że żaden z nich nie jest do tego zdolny, za to bez wątplenia miała w tym udział Katusza. Nikt zresztą nie miał wątpliwości, poza poszkodowaną.

Okazało się, iż Nadieżda Spirydonowna nie jest pozbawiona cywilnej odwagi, odmówiła bowiem podpisania oskarżenia i nie przyznała się do winy nawet wówczas, gdy zagrożono jej zesłaniem i kilka razy smagnięto zmoczonym w wodzie biczem.

– Dzieją się przedziwne rzeczy, Ninoczko, śledczy niedwuznacznie sugerował, że korzystniejsze będzie dla mnie przyznanie się do zamiaru zniszczenia... tej konstrukcji... niż wypieranie się winy.

Nazwy „most Ochtyński” nie miała odwagi wymówić, jak gdyby była ona przyczyną jej nieszczęścia.

Nadieżda Spirydonowna poprosiła o wezwanie Niuszy, na której pomoc liczyła w przygotowaniach do wyjazdu, bowiem spodziewała się z dnia na dzień nakazu opuszczenia w ciągu doby Leningradu. Z nakazem nie zwlekano: zesłanie do obwodu kostromskiego. Wyjechać miała w ciągu trzech dni w trybie indywidualnym, to znaczy bez konwoju. Największą dla niej tragedię stanowiło pozostawienie mieszkania i rzeczy – pokój przejmowała natychmiast administracja domu i w ten sposób traciła bezpowrotnie swoje petersburskie *pied-à-terre*.

Pozostawiane rzeczy należało poupychać u krewnych i znajomych. Nadieżda Spirydonowna pedantycznie układała, pakowała i spisywała swoje mienie. Niusza, dopuszczona po przyjeździe do tych czynności, z zadufaną miną powiernicy kursowała między pokojem a kuchnią. W jej zachowaniu wobec Niny pojawił się cień niczym nie usprawiedliwionego lekceważenia.

– Zróbcie miejsce w kącie. Panienska kazała mi do ichniego kufereczka klódeczkę przywiesić i przenieść do waszego pokoju – dyrygowała. – Także paltocik ichni chcę do waszej szafy przewiesić, dopóki nie zleci, abyście przesłali na nowy adres.

Nina weszła do pokoju w momencie, gdy obie kobiety oglądały męskie palto z bobrowym kołnierzem.

– To płaszcz twego ojca, Ninon – powiedziała ciotka – zastanawiam się, co z nim zrobić: oddać do komisju, czy lepiej na przechowanie do lombardu? Co radzisz?

Nina poczuła, jak z gniewu czerwienieją jej policzki. Cóż za małostkowość! Ile razy zwierzała się ciotce z niepokojem, że Mika jest za lekko ubrany, a nie ma pieniędzy, jeśli nie na płaszcz zimowy, to przynajmniej na ciepłą kurtkę, lecz ta nigdy nie zaproponowała oddania rzeczy, która praktycznie należała do chłopca.

– Proszę postąpić, jak ciocia uzna za właściwe.

Lecz gdy Niusza zaczęła w kuchni głośno dzielić się obawami o swój tobolek, Nina nie wytrzymała:

– Może ciocia zechce wyjaśnić swojej Dulcynei, że zrezygnowałam z rzeczy mego ojca, do których mam bezsporne prawo. I dlatego nie interesują mnie szmatki, które raczyła jej ciocia podarować! – wygarnęła i wybiegła, czując w gardle łyż zadawnionych urazów.

Potężne zamieszanie wywołał kot Timur, którego stara panna koniecznie chciała zabrać ze sobą. Po długich naradach z Niuszą, przy czym dwukrotnie wzywana była na konsultacje Nina, dla dostojnego zwierzaka przygotowano głęboki koszyk z miękkim

wyścielanym dnem, a w pokrywce przebito kilka otworów dla dopływu powietrza.

Olega oczywiście wyznaczono do odprowadzenia na dworzec Nadieźdy Spirydonowny ze wszystkimi jej walizkami i pudłami. Weszło bowiem w zwyczaj, że gdy były potrzebne męska energia i pomysłowość zwracano się zawsze do niego. Asia nieraz myślała, że zdrowie męża wymaga większej troskliwości, ale zdawała sobie sprawę z bezcelowości podejmowania tego tematu i milczała nawet wówczas, kiedy po cichu popłakiwała z irytacji.

Nadieźda Spirydonowna miała ograniczony krąg znajomych, i z racji osobliwego charakteru nie cieszyła się powszechną sympatią; jednakże represjonowanie siedemdziesięcioletniej staruszki było tak niehumanitarne, a oskarżenie tak absurdalne, że wywołało falę głuchego protestu wśród rozproszonych niedobitków szlacheckiego Petersburga. Na dworzec skądś przywlokły się wiekowe staruszki w czarnych słomkowych kapelusikach z woalkami i w staroświeckich salopach. Hrabina Kokowcewa uspokajała je zapewnieniami, iż natychmiast poinformuje o tym, co się dzieje u „bhata w Pahryżu”. Polina Pawłowna Rimska-Korsakowa przybiegła na dworzec zdyszana, z twarzą, jak zwykle, wymazaną sadzą, gdyż „koza-burżujka” zainstalowana w jej salonie jeszcze podczas wojny domowej niezmiennie dymiała. Przytrzymując płaszcz gestem, jakim niegdyś unosiła tren, dama ta, niemal w łachmanach, skarżyła się, że pragnęła złożyć do Rady Komisarzy Ludowych podanie o przyznanie jej jako byłej damie dworu emerytury, jednakże jej rozliczni bratankowie i siostrzenice przerażeni taką śmiałością ubłagali, aby wycofała prośbę, która mogła narazić ich na niebezpieczeństwo. Żona byłego szambelana Molasse grasejąc opowiadała, że podjęła zabiegi w sprawie męża, więzionego na Solówkach, i zamierza odwołać się do Kremla, powołując się na zasługi jego matki, Aleksandry Nikołajewny Molasse – pierwszej wykonawczynie wielu romansów i arii z oper Musorgskiego oraz Rimskiego-Korsakowa. Po wysłuchaniu tych planów wszyscy zgodnie uznali, iż przypominają nieco genialny pomysł Poliny Pawłowny, który tak wystraszył jej tchórzliwych krewniaków.

Najpóźniej pojawił się na dworcu sędziwy pułkownik gwardii Diderichs, chudy, wysoki, z długą szyją i oczami zaszczutego zwierzęcia. Oleg na jego widok bezwiednie wyprężył się i już podnosił rękę chcąc zaszalutować, a stary lew z kolei dotknął czapki i zamierzał powiedzieć „spocznij”, gdy obydwaj instynktownie rozejrzeli się wokół... Generalska córka Anna Pietrowna na widok gestów, chwytających ją kiedyś za serce, a obecnie usuniętych z użycia, uśmiechnęła się rozanielona. Otarła nawet oczy chusteczką wyjętą z wyszytej koralikami torebki.

„Eksponaty z czasów imperium w przyszłym muzeum poświęconym szlachcie rosyjskiej” – pomyślał Mika, upychając na półkach bagaż ciotki i przyglądając się owym widmom przeszłości.

Nadieżda Spirydonowna zademonstrowała siłę swego charakteru; nie uroniła ani jednej łzy, ścisnęła ręce, dziękowała, kiwała głową, obiecywała, że napisze i do ostatniej chwili stała przy oknie z błyskiem nieustępliwości w oczach. Nie wiadomo jednak, co naprawdę czuła, gdy opadła kurtyna nad tragedią, w której wspaniale odegrała pierwszoplanową rolę, i pociąg unosił ją wraz z Timoczką w nieznane dale, które Nina przy pożegnaniu określiła jako „dzikie bory” ze znanej opery „Życie za cara”.

Jedna Lela nie chciała odprowadzić Nadieżdy Spirydonowny, mimo uporczywych próśb matki i Natalii Pawłowny. Gdy Oleg, przysłuchujący się ich perswazjom, obrzucił ją szybkim spojrzeniem, opuściła oczy, co nasunęło mu pewne przypuszczenia...

Wkrótce potem Natalii Pawłownie złożył wizytę pułkownik Diderichs, odwiedzający od czasu do czasu starą generałową. Gdy podczas herbaty pozostali sami, powiedział:

– Nie chciałbym pani niepokoić, Natalio Pawłowno, lecz uważam za swój obowiązek ją ostrzec: w domu państwa pojawił się ktoś powiązany z GPU. W ostatnich dniach wezwano mnie do tej instytucji i dosłownie powtórzono rozmowę, jaką prowadziliśmy z panią w czasie mojej poprzedniej wizyty, łącznie z dwoma kawałami, które pozwoliłem sobie powiedzieć. Jak to się

mogło zdarzyć?

Natalia Pawłowna była wstrząśnięta.

– Mój Boże! Nie wiem, co o tym myśleć! Odwiedza mnie przecież takie ścisłe grono sprawdzonych przyjaciół... a do tego akurat w tamtą niedzielę nie było gości, tylko najbliższa rodzina... Rozumie pan, że nie mogę podejrzewać Asi czy mego zięcia... Madame? Przecież to najbardziej kochane i oddane nam stworzenie... Ręczę za nią, jak za siebie. Któż więc?

– Była wtedy mała Nielidowa – przypomniał Diderichs.

– Lela? Owszem była, lecz przecież wyrosła na moich oczach i jest mi równie bliska jak Asia.

– Oczywiście rozumiem, dobrze pamiętam jej ojca i dziadka... a jednak radzę, Natalio Pawłowno, aby wypytała pani obie dziewczynki. Naturalnie nie one są donosicielkami, nikt nie może ich o to posądzać, ale mogą mieć przyjaciółki, przed którymi się wygadały. Młodość bywa lekkomyślna, a w naszych czasach nawet głupstwo miewa fatalne skutki. Działa tam niejaki Goździk, który, jak mówią, preparuje donosy. Niepokoję się przede wszystkim o panią.

Stary oficer gwardii z atencją ucałował rękę Natalii Pawłowny, która obiecała porozmawiać z młodymi.

Wezwana natychmiast Asia zapewniała, nie spuszczać z babki rozszerzonych ze strachu oczu, że nigdy nikomu nie powtarza rozmów, a przyjaciółek, przecież babcia wie, poza Lelą i Elżbietką nie ma, zaś tej ostatniej nie widziała ponad miesiąc... Kto więc może budzić podejrzenia? Natalia Pawłowna obiecała wypytać także Lelę, która pewno wieczorem, jak zwykle, zajrzy. Stary pułkownik wyszedł, pozostawiając zatrwożone babkę i wnuczkę.

Po powrocie Olega z pracy Asia zrelacjonowała mu tę przedziwną historię.

– Przecież wiesz, kochanie, jak nie lubię dowcipów. Nawet nigdy ich nie zapamiętuję. Kawały i żarty dochodzą do mnie o

godzinę później, niż do innych, a niekiedy w ogóle ich nie rozumiem. Czy możliwe, żebym je opowiadała i do tego jeszcze obcym ludziom? W szkole muzycznej zachowuję się jak myszka, z nikim nie rozmawiam, chyba że na ściśle muzyczne tematy i zawsze spieszę się do Sławeczka, czasu nie mam na paplaninę.

Oleg słuchając jej wyjaśnień spochmurniał. Zagrozili dziewczynie! Zastraszili ją, dlatego, oszczędzając nas, obciąża tamtych.

Ogarnęło go nagle głębokie współczucie dla Leli, zapragnął natychmiast, zaraz, zobaczyć ją, pogadać z nią po męsku, a przy tym ukradkiem zachwycić się uroczymi iskierkami w jej oczach, odmiennymi niż u Asi. Nie jasnymi, przejrzystymi, lecz pełnymi ognia, namiętności. Cnotliwość jej warunkuje wyłącznie wychowanie i rodzinna tradycja... Złapał się na tym, że myśląc o Leli posuwa się nazbyt daleko.

Lela nie pojawiła się jednak tego ani następnego dnia. Zaniepokojona Natalia Pawłowna koło jedenastej wieczorem wysłała do niej Olega z Asią.

Otworzyła im Zinaida Glebowna i już w przedpokoju zaczęła opowiadać, że córka zachorowała i musiała ją zapakować do łóżka. Ostatnio była smutna, nie wiadomo dlaczego popłakiwała, do tego wczoraj w pracy prześwietlono jej płuca i okazało się, że ma zajęte szczyty. Tym też tłumaczyć należy gorączkę, nękającą ją jeszcze od wiosny, znużenie i osowiałość. Oto do czego prowadzą marne jedzenie, stale przemoczone nogi z braku porządnego obuwia oraz przepracowanie. W jej wieku gruźlica nawet w ciągu miesiąca może wejść w galopujące stadium... Żrebaczek w niebezpieczeństwie! Nieodzwonne staje się intensywne odżywianie oraz zmiana klimatu, tymczasem pensji nie starcza na bieżące wydatki i do tej pory nie mogą zdobyć się na niezbędne ciepłe rzeczy, a tu nadciąga jesień ze swymi deszczami...

– Żrebaczku, przyszła do nas w odwiedziny Asia z mężem. Zaraz wypijemy herbatę, tutaj koło ciebie. Proszę siadać, Olegu Andriejewiczu.

Usadowił się w starym fotelu w pokoju, który stanowił ich całe mieszkanie, i złodziejskim spojrzeniem ogarnął przykrytą wysłużonym szkockim pledem dziewczynę i jej rozsypane na poduszce loki. Asia zaofiarowała się pójść do piekarni, zaś Zinaida Glebowna wyszła do kuchni zaparzyć herbatę... Należało wykorzystać sprzyjający moment...

– Znowu wzywał? – natychmiast spytał.

– Znowu!

– Lelu! Jeśli z mego powodu, pójdę i przyznam się, żeby przerwać pani udrękę. Nie chcę, aby nęcano panią przeze mnie.

– Nie! Proszę tego nie robić, Olegu Andriejewiczu! Zawierzyłam panu, a to nie daje prawa do ingerencji bez mojego pozwolenia. Obróci się to zresztą na moją niekorzyść, oskarży mnie o fałszywe zeznania! – Usiadła na łóżku, policzki jej pałały rumieńcem. Była w tym momencie niezwykle pociągająca.

– Proszę nie mówić głupstw, Lelu. Mogła pani przecież nic nie wiedzieć o moim pochodzeniu. Osobiście oświadczę śledczemu, że ukrywałem nazwisko nawet przed najbliższymi.

– Absolutnie nie! Niech się pan nawet nie waży. Nie pozwalałam. Mam lepsze rozeznanie! Kto powiedział, że chodzi tylko o pana? Kategoriecznie zaprzeczam! Pragnie, żebym szpiegowała określony krąg osób, wypytywał o naszego znajomego pułkownika oraz o Ninę Aleksandrownę. I tak nie pozostawi mnie w spokoju, a do tego domyśli się, że rozpowiedziałam o wizytach u niego, choć podpisałam zobowiązanie. Nikt mi teraz nie może pomóc, już nikt! To rzeczywisty powód mojej choroby.

– Proszę nie fantazjować, Lelu; ma pani zajęte szczyty, trzeba się teraz koniecznie podleczyć, co jest realne, natomiast jak wyrwać panią z jego łap...? To znacznie trudniejsze zadanie.

– Nie do wykonania! Omotuje mnie jak pajak muchę. I tak będzie do końca moich dni. Musiałam mu coś zmyślić. Był zadowolony i obiecał zasugerować komitetowi partyjnemu w naszej instytucji, żeby załatwiono mi bezpłatne skierowanie na

południe do sanatorium. Dla zdrowia byłoby to wskazane, ale nie wiem, czy teraz gdziekolwiek mogłoby mi być wesoło... Ta Kafka paskudnie mi zaszkodziła. Artykuł pięćdziesiąty ósmy, paragraf dwunasty! O co w nim chodzi, Olegu Andriejewiczu?

Skierowanie załatwiono bardzo szybko. Asia ubłagała babkę, żeby nie denerwowała Leli i Zinaidy Glebowny pytaniami o źródło dziwnie dobrego rozeznania GPU. Do prośb jej dołączył się Oleg, w obawie, że może wyjść na jaw zbyt wiele niemiłych faktów dla obu pań. Rozmowę postanowiono odłożyć do powrotu Leli. Zinaida Glebowna nie posiadała się ze szczęścia wobec możliwości poprawienia zdrowia córki i wzruszona była uczynnością zakładowej administracji. Równocześnie bała się po raz pierwszy wypuścić Lelę spod swej opieki. Pamiętała, że przed rewolucją niedopuszczalne było, żeby dziewczęta wybierały się w świat samodzielnie, bez towarzystwa rodziny bądź guwernantki. Nieśmiało, ze skruszoną miną, szeptem pouczała córkę:

– Żrebaczku, posłuchaj mnie – tam oczywiście będą mężczyźni... jest wśród nich teraz wielu niedobrych... trzymaj się od nich z daleka, kochana! Nie chodź z nimi na spacer... Mogą ci uczynić wiele złego. Jeszcze tego nie rozumiesz.

– Ach, mammo! Mówisz tak, jak przykazywano Czerwonemu Kapturkowi: „Strzeż się wilka!” Nie jestem dzieckiem – oponowała córka. – Bądź co bądź nie mam przecież czternastu lat.

Wspólnymi siłami wyreperowały bieliznę, uszyły nową sukienkę, drugą pożyczyły od Asi i jak mogły przygotowały wszystko do wyjazdu.

Na dworcu przy pożegnaniu Asia dodawała siostrze otuchy.

– Uśmiechnij się, Lelu! Zobaczysz morze, skały, cyprysy... Będziesz zbierała muszle, wypoczywała na leżaku nad brzegiem morza... A ileż opowiesz nam po powrocie! Jestem przekonana, że gdy pełną pierś zaczerpniesz rozgrzanego słońcem powietrza, wszystko się w tobie wygładzi. Oddychaj tylko jak najgłębiej i o nic się nie martw.

Lela smętnie westchnęła.

– Nie umiem cieszyć się jak ty. I to od dzieciństwa; pamiętasz, zawsze byłaś obok mnie i martwiłaś się, że nie jestem dostatecznie szczęśliwa i wesola. Mamy zupełnie odmienne charaktery, Asiu, i tego, co mi się przytrafi, nigdy nie doświadczysz.

– Czego nie doświadczę? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. Żartowałam. Opiekuj się podczas mojej nieobecności mamą i to lepiej niż ja.

W mieszkaniu przy ulicy Mochowej wyjazd Nadieжды Spiridonowny wywołał swoistą reakcję. Katuszę zaczęły prześladować niepowodzenia, co dzień smoliły się jej garnki, kot paskudził pod samymi jej drzwiami, apetyczne bułeczki leżące na stole pod serwetą okazywały się na podłodze, zaś bielizna gotująca się w nowym kotle przypalała. Na wszystkie pretensje zgłaszane pod adresem Annuszki otrzymywała najprzeróżniejsze odpowiedzi:

– Pilnować trzeba! Postawisz i pójdziesz! Lub:

– Czego się czepiasz? Nie jestem twoją służącą! Pewnego ranka przed pokojem Katuszy cała podłoga została wyłożona kotletami, które w przeddzień smażyła, do tego nie samymi... Próby śledztwa, wrzaski i pogróżki nie mogły przebić lodu obojętności, z jaką wysłuchiwali ją dozorca i Annuszka. Doprowadzona do łez zaczęła dobijać się do Niny i gdy ta stanęła w drzwiach, dała upust swym żalom. Eks-księżna zmierzyła ją pogardliwym spojrzeniem:

– Sądzę, że nawet wy rozumiecie, iż podobna sprawka nie jest w moim stylu – oznajmiła wyniośle i pokazała jej plecy.

Mika, który słysząc hałas wyjrzał ze swego pokoju, stał się również adresatem pretensji Katuszy; zanosząc się od śmiechu zwał się na krzesło i próby wyjaśnienia spelzły na niczym.

Katusza, korzystając z wpływowego poparcia, prędko i łatwo

przeprowadziła zamianę pokoju. Widocznie uznano, że spalony konfident już nic nie ma w tym mieszkaniu do roboty. Tego ranka, gdy zaczęła wynosić toboły i koszyki, wszyscy współlokatorzy zgromadzili się w kuchni i jak gdyby się zmówili, nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Annuszka z mężem z niezmaconym spokojem pili herbatę ze spodeczków, które trzymali w rozczapierzonych palcach, ssąc przy tym kawałki cukru. Mika z zapamiętaniem wyciągał płaskoszczypami gwóźdź, zaś Nina, stojąc zamyślona koło prymusa, spoglądała ponad głową Katii przez okno w przestrzeń... Mrucząc coś pod nosem dziewczyna walnęła z rozmachem w drzwi Wiaczesława.

– Czego? – spytał Konoplannikow z progu.

– Ja do ciebie po komsomolskiej linii, pomóż rzeczy przenieść – widzisz – te potwory strajkują, całkiem jak angielscy górnicy.

– Zbierasz, co posiałaś. Dobra, dotargam do tramwaju, a tam radź sobie dalej sama. – Wiaczesław chwycił za walizy.

– Za mało im jeszcze bobu zadali! Do końca trzeba by zniszczyć to kontrrewolucyjne gniazdo! – warknęła Katusza biorąc kolejne pakunki.

– Uważaj no! Zamilcz! Bo ci dołożę.

Katusza zwinnie podbiegła do wyjścia, odwróciła się i jeszcze raz obrzuciła wszystkich spojrzeniem.

– To nie życie, to mordęga! – i z tą głęboko filozoficzną refleksją nad porządkiem rzeczy Jekatierina Tomowna trzasnęła drzwiami, opuszczając na zawsze mieszkanie przy Mochowej.

Rozdział dwudziesty piąty

Asia nadal czuła się szczęśliwa i w myślach przepraszała za to najbliższych. Sławeczek wymawiał już „mama, papa, baba, zaj, daj” i jeszcze kilka innych słów, żwawo biegał tupiąc sprężystymi, silnymi nóżkami i uśmiechał się do niej szczególnie radośnie, od ucha do ucha, inaczej niż do pozostałych.

Shczęśliwa czuła się też grając na fortepianie, zarówno w domu, jak i w szkole muzycznej. Wystarczyło, żeby przekroczyła próg budynku, a dolatujące zza wszystkich drzwi dźwięki fortepianów i skrzypiec przyprawiały ją niezmiennie o drżenie, które niby daleki przyływ zapowiadało zanurzenie się w morzu muzyki. Lubiła próby orkiestry i ćwiczenia z powtórkami, i wskazówki pedagogów, sprawiał jej radość obowiązkowy śpiew, pociągały ją wykłady z harmonii. Z ciekawością przysłuchiwała się sporom o szczegóły wykonania utworów, toczonym przez młodych pianistów i członków orkiestry, którzy wychodząc z klas ze smyczkami w ręku przypominali jej wypelzające wąsate karaluchy. Mniej sympatii budzili w niej przyszli śpiewacy i śpiewaczki – przesadnie obnoszący się ze swymi głosami i zbyt mało uwagi poświęcający samej muzyce. Często dochodziły ją szepty kolegów: „Mówią, że mogłaby zostać wielką pianistką, niestety nie przyjmują jej do konserwatorium”.

Było jej nieraz dotkliwie przykro: Nie dostanę się, nie przyjmą! Pocieszała się myślą, że talent muzyczny ma wrodzony i nikt nie jest władny jej go odebrać. „Nie zostanę pianistką recitalową, zajmę się więc akompaniowaniem, lubię grać w duetach i trio, zaś dla siebie i przyjaciół będę grała, co zechcę i ile dusza zapragnie...”.

Znacznie bardziej martwiła się z powodu Leli, widząc, jak z każdym dniem staje się coraz smutniejsza i zamknięta. Myśl, że szczęście omija Lele, tak ją dręczyła, że kilkakrotnie próbowała zawrzeć umowę z Niebem, prosząc Matkę Boską bądź Chrystusa, aby ujęli jej szczyptę szczęścia i obdarowali nią, jeśli to możliwe, siostrę!

Otrzymała od niej dwa listy.

„Droga Asiu – pisała w pierwszym. – Jestem tutaj już dwa tygodnie, lecz poprawy na razie nie odczuwam. Sanatorium znajduje się nad samym morzem, i w pokojach słychać szum przyływu, ale jestem tak słaba, że prawie nie wychodzę za furtkę, przesiadując przy domu. Przez pierwsze dni nie wolno mi było wstawać. Kiedyś pielęgniarka, podając mi do łóżka śniadanie powiedziała: „Wydobrzejesz, u nas suchoty akurat dobrze leczą”. Okazuje się, że TBC i suchoty znaczą to samo, czego nawet nie podejrzewałam! Początkowo wiadomość ta mnie przerażała, potem się z nią oswoiłam. Często rozmyślałam, między innymi o Tobie i o sobie. Twój kuzyn miał wiele racji twierdząc, że edukacja, jaką otrzymałyśmy, nie przystosowała nas do życia. Obecnie, gdy już chodzę i bywam we wspólnej jadalni oraz na plaży, widzę tam wiele młodzieży, która zachowuje się inaczej, niż my. Na części widać niedostatek, jak my jest lichy ubrana, jednakże pełna werwy i wesołości, czuje się u siebie, w domu, wśród swoich, natomiast my... Ich rozmowy i maniery pozbawione są elegancji, zachowują się bardzo swobodnie, przebojowo, potrafią się bawić. Pewien młody człowiek nawiązał ze mną znajomość pytaniem: «Jaki sport uprawia twój chłopak?» Byłam tak zaskoczona, że kilka minut gapiłam się na niego jak głupia, a potem przezornie odpowiedziałam: «boks», chociaż wiesz, że na moim horyzoncie nie ma żadnego boksera. Inny młodzian zagadnął mnie: «Czemu jesteś ubrana?» Prawdopodobnie chodziło mu o to, że mam zasłonięte ramiona i łopatki, podczas gdy modne plażówki «tatiarki» są głęboko wycięte. Mężczyźni w parku i na plaży wylegują się tylko w opaskach na biodrach, czym czułam się początkowo skrępowana. Wszyscy są na «ty». Pokoje do trzeciej nad ranem świecą pustką – i jest to, wyobraź sobie, traktowane jako najzupełniej normalna rzecz. Nie opowiadaj tylko o tym mamie, żeby nie gorszyć jej poczucia moralności. Wczoraj usłyszałam zdanie tak bezczelne, jak żadne dotąd. Wczasowicz, którego nie znam, w trakcie rozmowy przy stole oświadczył mi: «Nie uwierzę, że noce spędzacie w swoim łóżku!» Ongiś za takie słowa płaciło się w towarzystwie pojedyńkiem! A tutaj nawet nie

uchodzą za obraźliwe. Obala to zasady, w jakich zostałyśmy wychowane, na przykład, że w obecności dziewczyny nie wypadało używać nazbyt śmiałych słów czy bezkarnie poddawać w wątpliwość jej cnotę. I, o ironio losu! Nie ma nikogo, z kim mogłabym w nocy się zawieruszyć! Może nawet podobam się komuś, lecz mnie, jak dotąd, nikt jeszcze nie wpadł w oko, nie umiem się pospolitować, spoufalać. Stąd wniosek, że nie jestem aż tak zepsuta, jak myślałam. Zwierzę Ci się jednak pod sekretem, że pragnę miłości i szczęścia, zanim umrę na te moje suchoty albo... przypadnę gdzieś hen, daleko... Upłynie jeszcze kilka lat i stanę się taką samą złośliwą starą panną jak Moja ukochana Elżbieta Gieorgiewna, której, nawiasem mówiąc, nie cierpię. No cóż, pożyjemy – zobaczymy! Wspominam Was wszystkich o wiele częściej, niż mogłam przypuszczać. Najmilsza Asiu, naprawdę bardzo Cię kocham i niedawno miałam okazję się przekonać, że nie są to czcze słowa. Twoja Lela”.

„Moja droga, maleńka Mimoso! – donosiła w drugim liście. – Pozostał mi tydzień pobytu, wkrótce się zobaczymy. Moje zdrowie znacznie się poprawiło, zaczynam spacerować i nauczyłam się wyśpiewywać dziarskie piosenki. Jednakże samotnych przechadzek nocą nadal unikam, tak silnie tkwią we mnie stare matczyne nauki. Nie mogę powiedzieć, żeby tutaj, w tak zwanej nowej społeczności, ktokolwiek mnie zainteresował, absolutnie nie! Trochę jednak zaaklimatyzowałam się i przywykłam, nie jest wcale tak strasznie, a nawet bywa wesoło! Ochłodziło się, w górach spadł już śnieg, lecz w ciągu dnia jest jeszcze ciepło i można chodzić w samej sukience. Wczoraj przyjechał kolejny turnus i rano przy moim stoliku pojawił się nowy sąsiad, wyróżnia się prezencją i konwersacją. zaproponował, że nauczy mnie grać w siatkówkę. Pędzę zaraz na boisko. Całuję Ciebie i Twego uroczego brzdąca, przypomnij mu o chrzestnej matce. Lela”

Gdy pociąg sapiąc wjechał na peron i w mroku zimowego poranka siostry dojrzały się przez okno wagonu, poczuły się na moment tak beztrosko i prawdziwie szczęśliwie, jak zdarzało się im to niegdyś w dzieciństwie.

– Żrebaczku, mój miły! Dziecko najukochańsze! Poprawiłaś się, wyładniałaś, opaliłaś! No i chwala Bogu! – cieszyła się Zinaida Glebowna ściskając córkę ze łzami w oczach.

Wprost z dworca pojechały do Natalii Pawłowny, gdzie czekała na nie poranna kawa i wspaniałe, upieczone przez madame ciasteczka.

Sławeczek był przemity, nie zapomniał chrzestnej, nazywał ją „ciocią Lelą” i uczeplił się rączką jej sukienki. Posadziła go na kolana i, jak to miała w zwyczaju, zaczęła obsypywać pocałunkami jego karczek i szyjkę.

– Nie obawiaj się, Asiu, chorobę mam zaleczoną, nie prątkuje – powiedziała nagle coś sobie przypominając. Asia dotknięta do żywego, zaczęła zapewniać ją, że ani pomyślała o tym.

Matka oraz Francuzka nie omieszkały jej spytać, czy miała wielbicieli na boisku i w salonie. Lela uśmiechnęła się bezwiednie na wspomnienie topornych, kudłatych chłopaków ze spoconymi rękami. Osobników tych nie można było w żaden sposób porównać z postaciami rysującymi się w wyobraźni matki, która – siłą rzeczy – przywoływała w pamięci swych partnerów do tenisa czy konnej jazdy. Postanowiła oszczędzić jej rozczarowania i raczej nie wdawać się w szczegóły. Jakże wyraźnie poczuła odwieczną więź z tymi bliskimi jej ludźmi, z ich nastrojami, sposobem bycia, mówienia. Bez tej bezceremonialności, która zawsze ją razila, bez cudaczego, zbijającego z tropu parskania śmiechem lub nagłego obrażania się i nadętego milczenia, przyjętych w proletariackim środowisku... Ileż uroku ma niezależna od sytuacji poprawność zachowania, stanowiąca drugą naturę. Tylko w takiej atmosferze można uchronić się przed wszelkimi ryzykownymi kontaktami. Po raz pierwszy dokonała przewartościowania zasad i poczuła się teraz niczym ryba, która po wyrzuceniu na piasek powróciła do rodzimego żywiołu. Trzeba było sześciu tygodni przeżytych w obcym środowisku, żeby docenić własne!

Jednakże w głębi jej serca krył się strach, czy on już wie, że wróciła, a jeżeli dowiedział się, czy znowu ją wezwie? Lęk ten

zatruewał goryczą każdą jaśniejszą chwilę.

„Jak dobrze mi było, dopóki to nie pojawiło się w moim życiu! Nie doceniałam wówczas swego szczęścia!” – myślała Lela próbując wspaniałych ciasteczek *milles feuilles* i popijając kawę w filiżance z sewrskiej porcelany.

Po śniadaniu i umyciu naczyń Asia zabrała Lełę do sypialni, chcąc się do syta nagadać. I dopiero wtedy usłyszała najciekawszą, sensacyjną nowość – Lela ma wielbiciela!

– Chodził za mną krok w krok, gdzie ja, tam on! Oczu nie spuszczał! Spacerowaliśmy, graliśmy w siatkówkę, przesiadywaliśmy w salonie, pokazywał mi różne sztuczki z kartami, zabawiał mnie...

– I wyznał ci miłość? – zainteresowała się Asia.

– Robił aluzje, a na pożegnanie spytał, czy zgadzam się na podtrzymanie znajomości i zanotował mój adres. Przyjechał na dziesięć dni przed moim wyjazdem, i do Leningradu powróci przed Nowym Rokiem... Ja... wiesz, Asiu, spodobał mi się! Jestem cała naelektryzowana – dzieje się tak ze mną po raz pierwszy! Przy pożegnaniu powiedział, że jeszcze żadna dziewczyna nie zrobiła na nim takiego wrażenia, bowiem stanowiąc zadziwiająco zniewalające połączenie skromności z ekscentrycznością, smutku z chęcią życia. Trafnie zauważył, nieprawdaż?

– A kim on jest?

– Nazywa się Korsuński, Giennadij Wiktorowicz, jego ojciec zajmuje stanowisko w aparacie politycznym; tylko nie wspominaj o tym na razie mamie ani Natalii Pawłownie. Sanatorium, w którym byłam, jest zarezerwowane dla pracowników GPU, lecz on nie służy w tej instytucji – ma jakieś powiązania z resortem kultury, poruszyliśmy ten temat pobieżnie i do końca nie zrozumiałam... Oczywiście Giennadij nie jest człowiekiem z towarzystwa, niemniej nie można odnieść do niego ulubionego zwrotu mamy „*du prostak*”, w jego zachowaniu równie mało jest cech i gestów typowo szlacheckich, jak i plebejskich. Poglądy ma

naturalnie zupełnie inne niż, powiedzmy, Oleg, lecz mnie pociąga w nim ogromna witalność, radość życia i jakiś triumfalizm. Nie mam serca do przegranych mężczyzn, sama jestem wystarczająco obolała wewnątrz.

– Tak bardzo chciałabym, żeby i tobie się poszczęściło! – powiedziała Asia i obie równocześnie przypomniały sobie, jak w dzieciństwie razem rezygnowały z deseru, kiedy któraś miała żołądkowe dolegliwości.

– Szczęście nie do wszystkich przychodzi, jak do ciebie, Asiu. Takiego nie doświadczę, ale może uszczknę jakąś jego cząstkę.

– Pułkownik Diderichs został wysłany do obozu – przypomniała sobie nagle Asia. – Jego żona powiedziała o tym babci podczas ранnego nabożeństwa.

Cios w serce! Oto rezultat wizyt w pokoju nr 13!

– Nie przypuszczałam, Lelu, że się tak zdenerwujesz! Wybacz. Tam nad morzem odzwyczaiłaś się od naszych złych nowin. Ja również staram się o nich nie myśleć. Zachowuję się jak struś, próbuję nie dostrzegać niebezpieczeństwa w obawie, żeby mnie nie dopadło.

Nazajutrz po powrocie Leli, Natalia Pawłowna poprosiła ją do swego pokoju i korzystając z nieobecności Asi oraz madame podjęła otwartą rozmowę. Była przekonana, iż jej przebieg będzie taki jak z Asią lub w najgorszym razie usłyszy przyznanie się do nieostrożności w rozmowach z sąsiadkami. Nie mogąc doczekać się odpowiedzi spojrzała na dziewczynę i ujrzała jej niesamowicie zmienioną twarz.

– Wszystko mi natychmiast opowiedz – zażądała z charakterystycznym, nigdy nie opuszczającym jej opanowaniem.

Na rzesach Leli drżały łzy.

– Mów, dziecko – powtórzyła.

– Oleg Andriejewicz wie o wszystkim, niech on opowie –

wykrztusiła z wysiłkiem.

Natalia Pawłowna natychmiast przywołała Olega, który w tym momencie pełnił przy synku obowiązki niańki i siedząc przy łóżeczku studiował gazetę. Zrelacjonował całą sprawę bez komentarzy, jedynie na zakończenie dodał:

– Pozwolę sobie nadmienić, że nie mogę uważać Heleny Lwowny za bezwzględnie winną, w takiej sytuacji bardzo trudno nie załamać się. Proszę wybaczyć w pełni zrozumiały u młodej dziewczyny brak heroizmu. Helena Lwowna starała się, jak mogła, osłaniać mnie i Asie.

Natalia Pawłowna poruszona do głębi milczała.

– Nie płacz, kochanie! Nie zamierzam robić ci wyrzutów – powiedziała w końcu i pogładziła ręką kędziory winowajczyni. – Wyjdź i uspokój się. Twoja matka nie może się o niczym dowiedzieć.

Po wyjściu Leli Natalia Pawłowna lekko zwróciła głowę w stronę Olega i przygryzając wargi, spytała:

– Co się dzieje? Nie stoimy na skraju przepaści, ale już w nią spadamy. Jak uratować to dziecko?

– Trzeba równocześnie zapobiec dalszemu wciąganiu jej do zdrady oraz uchronić przed represjami – stwierdził Oleg. – Na razie nie widzę wyjścia. Czy mam się ujawnić? Ale ten krok przypuszczalnie w niczym Helenie Lwownie nie pomoże. Ten szubrawiec uczynił z niej swoje narzędzie i wie, że jest w jego rękach.

– Tak, zgłoszenie się do nich nie rozwiąże sprawy. Proszę nawet o tym nie myśleć.

Następnego dnia Daszków wrócił do domu w obiadowej porze mocno przygnębiony, stracił bowiem pracę. Wykorzystując dłuższą nieobecność Rabinowicza, jego zastępcę, człowiek przesadnie strachliwy, czytając codziennie w gazetach o wrażliwych

działaniach „białogwardyjskich niedobitków”, nerwowo nie wytrzymał i zaczął gorączkowo zwalniać wszystkich podejrzanych.

W nocy Oleg prawie nie spał, zdając sobie sprawę, iż znalazł się w sytuacji człowieka, któremu grunt pali się pod nogami. Aż nazbyt realna stawała się groźba wysiedlenia z miasta.

Słyszał, jak pośród nocy Asia wstawiała i skryta za szafą modliła się:

– Panie, zmiłuj się nad mężem moim, Olegiem, uchronń go, obdarz spokojem oraz łaskami wszelkimi. Zmiłuj się i ratuj, Panie, starców i młódz, nędzarzy i wdowy, nękanym chorobami i cierpieniem, nieszczęściem i rozpaczą, zniewolonym i osaczonym, w lochach i ciemnicach więzionym, a osobliwie tych, którzy prześladowani są za imię Twoje i wiarę prawosławną. Broń przed odszczepieńcami i heretykami, przed słowem bezbożnym, miej w swojej pieczy sługi Twoje, nie zapomnij o nich, bądź im wsparciem i pociechą. A wkrótce siłą Twoją okrzepną, bowiem ratunek im i wyzwolenie przyniesiesz.

Rano Daszków poszedł do portu, żeby załatwić formalności, później rozpocząć poszukiwanie nowej pracy. W ujeżdżalni nauką konnej jazdy kierował Borys Oboleński, który obiecał, że spróbuje mu coś znaleźć.

Schodząc ze schodów, wyobrażał sobie budynki nie znanych miejsc pracy, ponure biura przepustek, po których sądzone mu znowu wędrować, a za nimi szare, ziejące nudą kancelarie z teczkami pełnymi ankiet o obmierzłych pytaniach: „Czym zajmowali się rodzice waszej żony przed Rewolucją Październikową?” lub „Wasza funkcja i stopień w Białej Armii?”. Rubryki trzeba będzie wypełniać i przekazywać nieprzychylnemu urzędnikowi działu kadr – łańcuchowemu psu groźnego GPU.

Rozdział dwudziesty szósty

Nina zabrała Marinę do swego mieszkania przy Mochowej. Policzki miały zaróżowione od mrozu, przez co wydawały się ponętniejsze i młodsze, jednakże obie były zapłakane.

– Zaraz rozgrzejemy się gorącą herbatą, skostniały mi całkiem nogi – powiedziała Nina otwierając drzwi. Gdy weszły do środka, posadziła Marinę na kanapie i troskliwie przykryła pledem. – Odpocznij, zanim nakryję do stołu i zaparzę herbatę. Szkoda, że w pokoju zimno, ale nie nadażam z paleniem w piecu. Dzisiaj cię nie puszczę, zanocujesz u mnie, wiem, co znaczy wracać z cmentarza do opustoszałego domu.

Po kwadransie przysunęła do kanapy maleńki stolik i zaczęła rozlewać herbatę.

– Nie wyobrażam sobie, jak teraz będę żyła! – ponuro powiedziała Marina smarując chleb.

– Nie wpadaj w rozpacz, moja droga! Przez pierwsze dni wszystko wydaje się beznadziejne i czeka się na nieuniknioną katastrofę, potem stopniowo biorą się skądś siły i człowiek znowu kurczowo zaczyna trzymać się życia. Czy naprawdę nie potrafisz sama zapewnić sobie egzystencji? Nazwisko nie będzie ci przeszkadzać – to nasze szlacheckie są wyklęte, lecz ty już nie jesteś Dragomirowa, ale Rabinowicz, znowu zaczniesz pracować w jakiejś kancelarii czy registraturze. Masz poza tym dużo rzeczy, można „opchnąć” zegarek bądź srebrnego lisa.

– Boję się, że wielu mi nie oddadzą.

– Jak to? Kto nie odda?

– Jego siostry. Gdybyś wiedziała, co to za typki, te Żydóweczki, szczególnie młodsza, Sara. Póki Mojżesz Herszelewicz żył, obie tańczyły przed nim na tylnych łapkach. Jak zresztą mogły nie skakać? Zawsze na jego koszt jeździły do uzdrowisk, dziecko starszej za pieniądze Mojżesza wyjeżdżało na obóz pionierski i uczyło się angielskiego, nie wiadomo z jakiej racji on musiał za to płacić! Wyobrażam sobie, jak się wściekały, widząc

ile pieniędzy idzie na moje stroje! Niemniej z konieczności musiały milczeć. Ostatnio tak się rozzuchwały, że już na myśl o spotkaniu z nimi nie chce mi się wracać do domu.

– Z tobą mieszka bodaj tylko młodsza?

– Z niej właśnie bierze się całe zło! Istna furia z tej Saroczki: szpetna, ruda, piegowata stara panna, zazdrości mi urody i strojów, sama ubierać się nie umie, na rzeczy patrzy wyłącznie poprzez ich cenę, a gustu za grosz. „To futro – to dewizy! Te rękawiczki warte są co najmniej sto rubli!” – nic innego od niej nie słyszałam.

– Niech gada co chce, ale nie jest przecież złodziejką i nie przywłaszczy sobie twoich rzeczy. To, co ci podarował mąż, jest twoją niezaprzeczalną własnością.

– Złodziejka czy nie, ale może zadziałać na moją szkodę. Nie wyobrażasz sobie jej bezczelności! Niedawno rozmawiając w mojej obecności z siostrą przez telefon, powiedziała: „Moja Ruś spokorniała, wzięła mordę w kubel”. To o mnie!

– Co? – krzyknęła Nina i walnęła w stół. – I nie dałaś jej po gębie? Ścierpiałas?

– Przecież wiesz, jestem tchórzliwa, a poza tym... u łóżka umierającego!...

– Niemniej co za tupet!

– Sama widzisz, z kim teraz będę musiała mieszkać! Dopóki Mojżesz żył, nie śmiała mnie podgryzać, a obecnie odkuje się za wszystkie czasy.

– Musisz się od niej odizolować, poprowadzić oddzielne gospodarstwo, zaś drzwi do jej pokoju zabić.

– Nino, o jakich drzwiach, do jakiego pokoju mówisz? Żąda dla siebie większego, w którym mieszkaliśmy z Mojżeszem, mnie zamierza przesiedlić do sąsiedniego, przechodniego. Mówię ci – nie da mi żyć.

– Zaraz, dlaczego? Na jakiej podstawie? Czy do dużego

pokoju nie ma osobnego wejścia?

– Nie, a prawo do tego pokoju Saroczka ma. Wszystkiemu winien żydowski zmysł praktyczności: gdy przed dwoma laty zwała się nam na głowę ze swego Berdyczowa, Mojżesz przepisał duży pokój na jej nazwisko, ponieważ zarabiała mniej, w związku z czym płaciła niższy czynsz, chociaż oczywiście on dawał pieniądze. I tak zajmowaliśmy spokojnie duży pokój, a dziś wrzeszczy na mnie: „Niech się wynosi do przejściowego pokoju, większy mnie się prawnie należy!” Przyjdzie mi się gnieździć kątem, przez który Sara będzie urządziła sobie spacer.

– Co ty mówisz! Jakie to przygnębiające. Chyba rzeczywiście niczemu nie można zaradzić.

– Niestety nie, żebyś wiedziała, jak mną pomiatała w końcowych dniach życia Mojżesza! Spostrzegła, że tracę głowę przy chorych i nie umiem... Nieraz przechodząc obok mnie syczała: „Wierna żono, zajrzyj choć na moment do małżonka!”

– Nie powinnaś była dopuścić, aby przejęła twoje obowiązki, teraz ich oburzenie jest w jakimś stopniu usprawiedliwione, sama dałaś im do ręki broń przeciwko sobie.

– Możesz mi uwierzyć, gdybym nieprzerwanie przesiedziała przy nim wszystkie noce, nie byłoby lepiej... w ogóle czyż mało miałam przeżyć w ciągu minionych miesięcy? Chyba ci jeszcze o tym nie opowiadałam; w przeddzień jego śmierci, w piątek, zostałam z nim sama na cały wieczór. Lekarz wcześniej nas uprzedził, że Mojżesz może nie przeżyć doby, mimo to Saroczka wyszła, zostawiając mnie samą. Siedziałam obok, za ścianą, gdy nagle zaczął jęczeć i w tym momencie poruszyła się zasłona na drzwiach do przedpokoju. Nie wiem dlaczego, wyobraziłam sobie, że weszła śmierć i mijając mnie, zmierza do niego... Złodowaciałam, podwinęłam nogi, skuliłam się na kanapie, cała dygoce; jak na złość jestem sama w pustym mieszkaniu, lampa ćmi się słabo, a ja boję się wstać, żeby zaświecić żyrandol. Usłyszałam, że woła: „Czy jesteś tutaj, Marino? Podejź!” – Ja zaś milczę, boję się drgnąć, nie chcąc zdradzić swojej obecności...

„Ona jest tutaj, zaraz mnie dotknie” – myślę i czuję, że włosy stają mi dęba. Przesiedziałam godzinę, może więcej... Dopiero gdy usłyszałam zgrzyt klucza w przedpokoju, odważyłam się wstać i wybiegłam na spotkanie Saroczki; mając przy sobie drugiego, żywego człowieka od razu przestałam się bać. Nie rób mi wyrzutów, wiem, że zawiniłam nie podchodząc do niego, ale już niczego nie można zmienić! – Wytarła oczy. – Zamierzają zwołać sąd rodzinny – ciągnęła po chwili milczenia – zbiorą się wszyscy krewniacy i stary wuj niczym Salomon będzie rozsądzał, komu przypadnie jaki pokój, oraz podzieli rzeczy. Jeszcze dodatkowa przyjemność – stanąć w charakterze oskarżonej przed żydowskim kanałem!

– Zgódź się, Marino! Nie masz naturalnie obowiązku uczestniczenia w tej rozprawie, ale zjawiając się okażesz szacunek ich rodzinie. Nie przesadzaj z góry! Może ów „Salomon” rozstrzygnie sprawiedliwie. Przypuszczam, iż rzeczy ci nie zabiorą, nie tacy to ludzie... Problemem jest pokój.

– Czy nie odnosisz niekiedy wrażenia, Nino, że to, co przeżywamy, jest zmorą, koszmarnym snem, i gdy pewnego poranka przebudzimy się, znowu ujrzymy wokół siebie szczęśliwe radosne życie, żywych rodziców, amfiladę pokoi, zamiast brudnych kątów we wspólnym mieszkaniu i w ogóle wszystko, co się skończyło w osiemnastym roku?

– Zaśpiewam ci pewien romans Rimskiego-Korsakowa – zaproponowała Nina wstając.

Otulona z zimna w stary włóczkowy szal podeszła do fortepianu i nie podnosząc zakurzonego wieka, bez zagładania do nut wzięła kilka akordów i zaśpiewała:

*O, gdybyś mogła choć na jedną chwilę
Zapomnieć o swym smutku, o swoich udrękach,
O, gdybym mógł ujrzeć twoje oblicze,
Jakim je znałem w najszczęśliwszych latach!*

Przerwała nagle i nie zdejmując rąk z klawiszy przyłgnęła głową do fortepianu:

– O, gdybym mogła bodaj we śnie znaleźć się na chwilę w naszym salonie w Czeriomuchach... okna wychodzące na park, świece na fortepianie, śpiew słowika, Dymitr i szept zakochanych... Nie płacz, Marino, proszę! Nie tylko ciebie... wszystkich dotknęło nieszczęście... Jeśli nie zdołasz wytrzymać z tą Saroczką – zabieraj rzeczy i przenieś się do mnie. Obydwe jesteśmy samotne, będziemy żyły jak siostry, troszcząc się nawzajem o siebie.

Padły sobie w objęcia.

– Przeniesiesz się? Wszystko się ułoży!

Rozległo się pukanie i zza drzwi doleciał głos Annuszki:

– Leksandrowna! Wyjdź do kuchni, stróż na ciebie czeka! Nie mój mąż, nie-e! Inny – Grisza. Jakieś pismo ma do ciebie.

Nina się zaniepokoiła:

– Co znowu? Jakie pismo? Popatrz, Marino, mam tak stargane nerwy, że słowa „stróż” i „pismo”, sama nie wiem dlaczego, budzą we mnie strach. Wybacz, zostawię cię na kilka minut – i wybiegła.

Marina wtuliła głowę w poduszkę na kanapie i zziębnięta naciągnęła na siebie koc. W uszach brzmiało jej jeszcze monotonne zawołanie kantora, które zaskoczyło ją swą odmiennością. Takie to dziwne: mężczyźni przy trumnie w czapkach i nikt nie podchodzi pożegnać się, pocałować w czoło zmarłego. Brakowało jej modlitwy „Wieczne odpoczywanie... a światłość wiekuista...”. Chciała przeżegnać się, lecz nie starczyło jej odwagi... Nigdy na nic się nie odważy... Ona też jedna zapłakała podczas zamykania trumny.

Była tak skonana, że zapadła się w niebyt. Ze snu wyrwało ją dotknięcie ręki.

– Co się stało, Nino? Błada jesteś jak kreda! – wykrzyknęła i

usiadła.

– Przeczytaj – powiedziała przyjaciółka i podała jej zawiadomienie.

– Co to jest? „Nakazuje się w ciągu trzech dni opuścić...” Co?! „...opuścić Leningrad... na odległość...”. Co to znaczy? Boże! – i Marina chwyciła się za głowę. Stuwiorstowa strefa! Znowu przypomnieli sobie twój książęcy tytuł!

Nina ciężko osunęła się na krzesło.

– Teraz wszystko skończone! Przepadły i mieszkanie, i moje występy! Będę poniewierać się w Małej Wiszerze czy Łudzę i za grosze śpiewać Dunajewskiego! A co z Miką? Trzeba go będzie zostawić samego. A „Święta Elżbieta” Liszta? Miałam śpiewać tę partię! Nie bez powodu, nie przypadkiem tak przeżywałam arię o wygnaniu! Marino, pozbawiono mnie muzyki! Koniec ze sztuką. Dopiero teraz widzę, jak jeszcze byłam bogata, i oto – wszystko tracę!

– Istne szaleństwo! Jakiś obłąd! – wołała Marina. – Biegnij natychmiast do Capelli, niech interweniuje. Nie ma takiego sopranu jak twój! Partię z oratorium opracowałam, zobaczysz, wstawią się za tobą!

– W Capelli będą mnie bronili? Na pewno nie. Nie znasz stosunków w naszej administracji, nie kiwną palcem, nie zechcą ze mną rozmawiać! Wyganiają cię – to się wynoś! Zdarzały się już takie przypadki, z Siergiejem tak było.

– A rada zakładowa?

– Rada zakładowa dawno straciła znaczenie, jakie miała w latach dwudziestych, obecnie się przyjęło, że ponieważ administracja jest swoja, sowiecka, dlatego polityka związkowa nie może być rozbieżna z jej posunięciami. Jedna sitwa!... Nie będę śpiewać arii świętej Elżbiety!

Nina nie miała nawet dziesiątej części tej praktycznej mądrości, jaką przejawiała w podobnych okolicznościach Nadieżda Spiridonowna. Nazajutrz rano pobiegła do Natalii Pawłowny,

gdzie, pokrzepiona na duchu współczuciem całej rodziny spędziła dzień i oczywiście została na obiedzie. Na pożegnanie zaśpiewała arię z „Legendy o świętej Elżbiecie” i do siebie wróciła dopiero pod wieczór w towarzystwie Asi, która zaofiarowała jej pomoc w wybieraniu i pakowaniu rzeczy. W domu czekały na Ninę dwie artystki z Capelli, które na wieść o nieszczęściu przyszły z wyrazami współczucia, i znowu skończyło się na muzyce i herbacie. Dopiero trzeciego dnia rano pobiegła po pensję, a że trwało to długo, wróciła po południu mocno zdenerwowana. Marina, przewidując, że przyjaciółka z niczym nie zdaży, nie czekała na jej powrót i na własną rękę zaczęła pakować rzeczy. Dozorca i Annuszka – opiekuńcze duchy Niny – również przyszli z pomocą i tylko dzięki ich wspólnemu wysiłkowi udało się co nieco przygotować. 32-metrowy pokój Niny został szczelnie zastawiony jej gratami oraz pozostawionymi przez ciotkę. Ponieważ jego metraż był dwukrotnie większy od zajmowanego przez Mikę, chodziło o to, żeby ten właśnie pokój zachować. Stróż zobowiązał się załatwić w administracji przepisanie opłat czynszowych na nazwisko Miki, pospiesznie przeniesionego do pokoju siostry. Oleg, jak zawsze gotowy do usług, pomagał w przesuwaniu ciężkich mebli. Wkrótce zagracone wewnątrz przypominało komis bądź sklep meblowy. Wyglądało na to, że Mika poruszać się w nim będzie jak w mateczniku, a do łóżka wypadnie mu skakać z komody. Drugi pokój natychmiast przechodził do dyspozycji kwaterunku. Tysiące przeszkód i absurdalnych zakazów uniemożliwiały przekazanie go Marinie, która mogłaby zaopiekować się Miką i pozostawionym dobytkiem. Zdawała sobie z tego sprawę, co wraz z ostatnimi przeżyciami doprowadziło ją na skraj załamania nerwowego; pakując rzeczy nie mogła zapanować nad płaczem. Annuszka, która nigdy nie traciła głowy, rankiem zamiesiła ciasto i teraz piekła Ninie na drogę drożdżówki oraz prasowała jej bieliznę. W szczytowym momencie rozgardiaszu powrócił z pracy Wiaczesław i omal nie zderzył się z ogromną szafą, pozostawioną pośrodku korytarza.

– Co się tu dzieje? Czyżby ktoś się wprowadzał? – zapytał rozglądając się.

Ze wszystkich stron posypały się odpowiedzi:

– Oburzające rzeczy się dzieją, ot co! – krzyknął Mika.
– Znowu zdarzyło się maleńkie przegięcie – skomentował Oleg.

– To sprawka twoich przeklętych komunistów! – wybuchnęła Annuszka i energicznie machając żelazkiem dodała: – Żeby zdechli, bezbożnicy! Że też Pan Bóg ich jeszcze znosi?

Wiaczesław poprosił jednak o bardziej rzeczowe wyjaśnienie.

– Wyszędlają mnie z miasta na odległość stu wiorst od rogatek – poinformowała Nina. – Za co? Sami, Wiaczesławie, doskonale rozumiecie, że nie stanowią żadnego zagrożenia. Zapewne znowu przypomnieli sobie moich mężów, za których widocznie do końca życia będę odpowiadać.

– A co z waszym śpiewem? Wszak jesteście na państwowej posiadzie – wymamrotał chłopak, patrząc na nią ze współczuciem.

– W pracy od ręki mnie zwolnili, ust nie pozwolili otworzyć – u nas się nie patyczkują! – wyjaśniła Nina.

Znowu popatrzył na nią z zafasowanym wyrazem twarzy i zaoferował pomoc przy przesuwaniu mebli.

Wczesnym rankiem, przed pójściem do roboty zapukał do Niny: ta w kapeluszu z woalką chodziła po swoim zrujnowanym pokoju, czekając na Olega, który obiecał odprowadzić ją na dworzec.

– Nino Aleksandrownno, muszę wyjść, więc chciałem się z wami pożegnać. Nie upadajcie na duchu... Z waszym głosem wszędzie... – zmieszał się, nie wiedząc, co powiedzieć.

Nina, zawsze odnosząca się do niego z życzliwością, serdecznie odpowiedziała:

– Dziękuję, drogi Wiaczesławie! Wiem, że mi szczerze współczujecie. Mam nadzieję, że nie zginę. Z kolei i ja wam życzę wszystkiego najlepszego – powodzenia i szczęścia w pracy oraz w

życiu osobistym – i z właściwą sobie miłą bezpośredniością podała mu rękę.

W tym momencie wszedł Oleg.

– Akurat pracuję i nie mogę odprowadzić Niny Aleksandrowny. Może wy macie dzisiaj wolny dzień? – spytał chłopak, niezgrabnie ściskając wyciągniętą dłoń.

– Mogę wam zameldować, iż zwolniono mnie z pracy jako politycznie nieprawomyślnego, z wilczym biletem – odpowiedział Daszków.

Wiaczesław całkiem przygasł:

– Ale przecież, jak się zdaje, byliście bardzo potrzebni! Czemu tak wyszło?

– Taka to już polityka w naszym państwie, człowieka z „przeszłością” wyrzuca się na margines. Ale jak wiadomo, w walce klasowej nie ma miejsca na sentymenty.

Chłopak milczał przybity.

– Nie pora na rozmowy – przerwał Oleg – gdzie walizy?

– Żegnaj, Annuszko! – głos Niny załamał się, gdy podeszła do starej stróżki i uchyliła woalkę.

– Niech cię Bóg prowadzi, Ninuszko! Podejdz, przeżegnam cię, gołąbko moja! Jeszcze maluśką cię znałam, córeńko moja, najukochańsza, wtenczas za pokojówkę u twojej mateczki byłam.

Nina skłoniła głowę na ramieniu staruszki.

– Dzięki, Annuszko, za miłość i troskę! Nie zliczyć pierożków i bułeczek, które nam podsuwałaś, tych filiżanek herbaty, które przynosiłaś, gdy wracałam z koncertów zmęczona i nie miał kto się o mnie zatroszczyć. Albo te drwa do pieca, które mi podrzucałaś! O wszystkim wiem i pamiętam. Także bez was, Jegorze Własowiczu, przepadłabym z kretesem!

– Dość już, pani moja, starczy! Co też wam zebrało się na wspominki! – mówił stróż mnąc w rękach czapkę.

Wiaczesław, który zatrzymał się przy drzwiach, obserwował tę scenę.

– Ach, nieszczęsna ty moja! – pochlipując i wycierając oczy fartuchem ciągnęła Annuszka. – Nie na dobrą dolę wyszłaś za swojego księcia! Nie na próżno w weselny ranek w sypialni twojej nieboszczki mateńki pękło wielkie lustro! Zaraz też powiedziałam: zły to znak. Nie będzie miała szczęścia nasza śpiewająca ptaszyna, choć bogaty, znamienity i młody jest książę, ale szczęścia nie będzie, nie będzie! Na to i wyszło. A dzisiaj – tyle już lat, jak książę w mogile, a ty kochana, wciąż za niego cierpisz!

Oleg spochmurniał słuchając tych lamentów.

– Anno Timofiejewno, po co wspominać? Tylko rozrzewniacie Ninę Aleksandrownę. Dymitr Andriejewicz nie zawinił, że rewolucja zniszczyła ludziom życie. Jedźmy, bo się spóźnimy. – Sięgnął już po walizy, gdy stróż zaczął mu je odbierać:

– Nie pozwolę, jaśnie panie, nie pozwolę! Nie wypada! Ja sam... Jaka tam przepuklina! Dawno zaleczona, a być tego nie może, żebym Niny Aleksandrowny nie wsadził do pociągu. – I przejął walizki.

Mika wziął pozostałe, zaś Oleg ujął Ninę pod rękę. Opuściła woalkę, chcąc skryć zapłakane oczy i drżące usta, zaczęła schodzić w dół oglądając się na Annuszkę, która stała na schodach i wycierała łzy chustką.

Pociąg do Ługi odjeżdżał o dziewiątej rano, pomimo to na peronie zebrała się pokaźna gromadka odprowadzających. Mika jechał z Niną, żeby pomóc jej w taszczeniu bagaży i w poszukiwaniu mieszkania. Od wiosny, po ukończeniu szkoły pracował jako niewykwalifikowany robotnik w fabryce i teraz uspokajał Ninę, że jakoś da sobie radę. Przypuszczalnie miał własne plany, z których nikomu nie chciał się zwierzać. Annuszka obiecała, że będzie mu prac i gotować, od tej strony Nina mogła być spokojna.

– Będę przyjeżdżała, będziemy się naturalnie widywać –

zapewniała Nina. – Ale mój głos, moje śpiewanie!...

Nie płakała, jedynie zagryzała wargi i posepniała. Szlochała tylko Marina.

– Jedyną moją radością była możliwość pogadania z tobą – szeptała – oprócz ciebie nie mam nikogo. Myśl, że twój pokój stoi pusty, będzie dla mnie trudna do zniesienia. Strata za stratą!

– Daj spokój, kochana – mitygowała ją Nina – przecież nie jadę na Syberię czy do Kazachstanu. Wiesz, przyszedł mi do głowy świetny pomysł: w Łudzę na pewno znajdę bez trudu pokój. Pluń na swoją Sarę i przechodnią klitkę i przenieś się do mnie. Byłabym taka szczęśliwa. Zgoda?

– Do Ługi? – głos Mariny załamał się. – Przecież wówczas zgodnie z sowieckimi przepisami stracę leningradzki meldunek i na zawsze pozostanę w tej dziurze! Nie, lepiej częściej będę ciebie odwiedzać.

Rozmowę przerwał gwizd lokomotywy. Odjeżdżający pociąg natychmiast rozplynął się w szarym, mglistym świetle grudniowego poranka. A odprowadzający wciąż machali mu w ślad.

„Kto z nas będzie następny? Może ja, nie daj Boże?”

Rozdział dwudziesty siódmy

Sytuacja materialna rodziny Natalii Pawłowny wciąż się pogarszała, pomimo że gospodarowano jak najoszczędniej; zawsze rano naradzała się z madame, jak ograniczyć do minimum wydatki, lecz życie miało swoje wymagania, które należało zaspokoić. Prowadzenie domu utrudniał fakt, że w rodzinie, złożonej z czterech osób, dwie – Natalia Pawłowna i Oleg – jako „liszeńcy” nie otrzymywały kartek żywnościowych, a więc prawnie skazane były na głodowanie. System przydziałów w ich wspólnocie nie miał oczywiście żadnego znaczenia, stanowił jedynie przedmiot nie kończących się szyderstw z władzy, która nie potrafiła odejść od reglamentowania nędzarskich racji i skończyć z półgłodowym bytowaniem społeczeństwa. Żywności wciąż brakowało, a na dodatkowe kupowanie jej u spekulantów nie starczało pieniędzy. Oleg wystarał się o kilka korepetycji, a także prelekcji w straży pożarnej, lecz uzyskane wynagrodzenie stanowiło kroplę w morzu potrzeb. Położenie bezrobotnego źle znosił, denerwowało go siedzenie w domu, a zwłaszcza obecność podczas rannych porządków wydawała mu się w najwyższym stopniu nudna i dokuczliwa. Widok nie posprzątanego pokoju, kobiety w szlafrokach i fartuszkach, przerzucające się okrzykami i pytaniami w rodzaju: „Asiu, czy posprzątałaś w bawialni?” albo „Sławeczek znowu nie ma czystych majteczek, trzeba zrobić pranie!” – wywoływały w nim irytację i głuche rozdrażnienie. „Ta strona życia nie jest dla nas – rozmyślał – mężczyzna nawet w pierwotnym stadium rozwoju społeczeństwa zajęty był zawsze poza domowym ogniskiem polowaniem, pasterstwem, walką. Gdy człowiek wraca po pracy do domu, gdzie czeka na niego nakryty do obiadu stół, czuje się wtedy głową rodziny zasługującą na poważanie. Później, w godzinach odpoczynku z przyjemnością można pobawić się z dzieckiem czy pomóc żonie, ale rozpoczynanie dnia od bezsensownego objadania się po mieszkaniu – oznacza stopniową utratę szacunku dla samego siebie!”

Asia domyślała się pewnie, co go dręczy, i także boleśnie przeżywała tę dodatkową komplikację, bardziej dla niej przykra

niż brak zarobków. Raz po raz podchodziła do męża i zaglądając mu w oczy proponowała: „Bawialnia już posprzątana, możesz tam, kochanie, posiedzieć, poczytać” lub: „Sypialnia przewietrzona, nikt ci w niej nie będzie przeszkadzał, a pamiętniki Talleyranda, które czytasz, leżą na stoliku pod oknem”. Całował ją w czoło, ale rozdrażnienie nie ustępowało. Ofiarowywał swoją pomoc, jednak najchętniej wykonywał polecenia wymagające wyjścia z domu i wkrótce stały się zwyczajem jego poranne przechadzki ze Sławeczkiem, w najtrudniejszej dla niego porze, kiedy najdotkliwiej odczuwał swą nieprzydatność w królestwie kobiet.

Któregoś lutowego ranka, gdy wracał z dzieckiem ze spaceru i był już na schodach, ktoś zawołał go z dołu; zobaczył Wiaczesława, który doganiał go przeskakując stopnie.

– Ja do was, Kazarinow. Annuszka dała mi adres. To wasz synek? O, jaki fajny bąk! Podobny urwis do taty – i Wiaczesław wyciągnął palec, który Sławeczek natychmiast chwycił zanosząc się wesołym śmiechem.

– Może dla tego dziecka byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie przyszło na świat! – powiedział Oleg, nie spuszczając oka z syna. – Czy wyobrażacie sobie, Wiaczesławie, jego przyszłość, te nie kończące się ankiety i szykany, jakimi będą go nękać za rodziców?

– Spokojnie, poczekajcie, towarzyszu Kazarinow! Nie spieszcie się z przewidywaniami! Może do czasu, nim wasz urwis skończy szkołę, walka klasowa już wygaśnie i stać nas będzie na luksus nieobawiania się wrogów, niewykluczone zresztą, że wtedy nie będziemy ich mieli! Do mieszkania, towarzyszu, nie wejść. Chciałem zaproponować wam pracę w izbie przyjęć w szpitalu, w którym jestem zatrudniony. Pobory niewysokie, ale jak na początek obleci. Sądzę, że ankietą nie będą się interesować, nie jest to bowiem – inaczej niż w porcie – odpowiedzialne stanowisko. A ludzie są potrzebni, noszy nie ma kto dźwigać. Waszym bezpośrednim zwierzchnikiem będę ja. No jak, dogadaliśmy się? – I wymienił znany już Olegowi adres.

Dziękując Wiaczesławowi spytał, czy zna siostrę

Muromcewą? Ten jednak pracował od niedawna i nie zdążył poznać całego personelu szpitala.

– Pięć lat, Kazarinow, ucząc się najpierw na kursach przygotowawczych, a potem felczerskich, pracowałem w fabryce. W szpitalu czuję się jakoś nieswojo. Tam tworzyliśmy zżyty kolektyw, młodzież dobrała się koleżeńska, wesoła, a tutaj jeden na drugiego patrzy wilkiem, żadnych kółek ani pracy społecznej. Doczekać się nie mogłem chwili, kiedy zacznę pracować zgodnie ze specjalizacją, a teraz – zwierzył się – niemal żałuję fabryki.

Nazajutrz rano Oleg zjawił się wcześniej w szpitalu i od razu uhonorowany został pełnym szacunku ukłonem portiera. Tym razem ankieta rzeczywiście nie przeszkodziła w jego zatrudnieniu.

Tegoż dnia miało się odbyć ogólne zebranie personelu, które poprzedzało niezwykle napięcie; Oleg słyszał, jak w punkcie dezynfekcyjnym jedna sanitariuszka opowiadała drugiej:

– Stary doktor, znaczy się, mówił, że nieczysty w nią naprawdę wstąpił, bo są i biesy, i Chrystus, Król Niebieski, i tylko Żydowiny powiadają, że ani Pana Naszego, ani biesów nigdy nie było. Tak stary gada, a młody jak nie «koczy od razu na niego: toż to kontra, powiada! Ani diabła, ani Boga nie ma, a ty, siakiowaki, pewnikiem z dawnychś panów, na zebraniu ciebie na czyste wody migiem wyprowadzę!

Później, przechodząc z noszami przez korytarz, usłyszał jak jeden młody lekarz mówił do kolegi:

– Na dzisiejszym zebraniu starego neuropatologa za reakcyjność obrabiac będziemy.

Wkrótce potem felczer w punkcie dezynfekcyjnym powiedział Wiaczesławowi:

– Dzisiaj naszego starego za kontrrewolucyjność na pewno zgnoją!

Wiaczesław, do którego Oleg zwrócił się z prośbą o wyjaśnienie, znał tylko początek historii. W sali kobiecej „na nerwowym” pojawiła się histeryczka, która wmówiła w siebie, iż

nachodzi ją duch nieczysty i domaga się od niej bluźnierczego czynu; niedawno nocą przestraszyła wszystkie pacjentki i dyżurny personel, twierdząc, że widziała w ubikacji szkaradę podobną do żaby i trochę do małpy. Chora opowiadając o tym tak się trzęsła i płakała, że trzeba było wezwać dyżurnego lekarza, który z trudem przywrócił spokój.

Nie wiedział kogo i za co zamierzano ze zebraniu „gnoić”, lecz można było domniemywać, iż konflikt między dwoma neuropatologami ma związek z ową pacjentką.

– Pójdziemy na zebranie, dowiemy się – zakończył swą relację Wiaczesław.

Przetrzymani w izbie przyjęć, na zebranie się spóźnili, gdy weszli, na trybunie gardłował jeden z lekarzy, jak się okazało młody neuropatolog:

– Jest to przypadek oczywistej hysterii na tle religijnym, a konkretnie wyobrażeń o nieczystej sile i opętaniu. I czymże mój szanowny kolega wyjaśnił niedorzeczne brednie owej histeryczki? Mogę przytoczyć jego słowa, za których ścisłość ręczę: „Ludowe wyobrażenia o opętaniu nie są wcale nonsensowne i mają podstawy; w takich wypadkach cudza mroczna wola podporządkowuje sobie danego człowieka, jego ciało duch opętańczy wykorzystuje dla samorealizacji.” I dalej: „Dopóki psychiatria i neuropatologia nie uwzględnią kilku prawd z zakresu okultyzmu, nie będą mogły skutecznie zwalczać tego rodzaju zjawisk jak: manie, obsesje, halucynacje, idiosynkrazje...” Towarzysze, przecież to pachnie teozofią! Gdy zwróciłem na ten fakt uwagę memu szanownemu koledze, ten odparł: „Mówiłem z wami jak z przyjacielem i kolegą, mam nadzieję, że nasza rozmowa pozostanie między nami”. Ja jednakże nie hołduję przestarzałym pojęciom ani przestarzałej moralności, w naszych czasach świadomość każdego człowieka winna być poddana społecznej kontroli i jeżeli ktoś pragnie czegoś dowieść, niech bierze odpowiedzialność za swoje słowa! Osobiście się odcinam...

„Całkiem źle!” – pomyślał Oleg. Przypatrując się głowom

zebranych próbował odgadnąć, która należy do człowieka, mającego odwagę wypowiedzenia najskrytszej refleksji.

Tymczasem na trybunę wszedł dyrektor Załkinson, który nie spodziewał się, nie mógł przypuszczać, nie odważył się nawet pomyśleć... i teraz jest zbulwersowany, wstrząśnięty i nie pozwoli... Następnie zaczęli wypowiadać się inni lekarze, którzy skwapliwie odcinali się od kolegi i żarliwie dowodzili, że nie mają z nim nic wspólnego. Na koniec z pierwszych rzędów podniósł się starzec w białym kitlu, z długą brodą i wysokim czołem, poprosił o głos i po wejściu na trybunę powiedział:

– Uznaję istnienie człowieka równocześnie w kilku wymiarach: według mego najgłębszego przekonania ciało fizyczne jest projekcją na jedną tylko płaszczyznę. Uznaję istnienie duszy, wierzę w Boga oraz w to, że bez Jego świętej woli włos mi z głowy nie spadnie!

Przerwano mu:

– Obskurant! Klerykał! – rozległy się z sali okrzyki gorliwców.

O głos poprosił młody elektrotechnik, który wykrzyczał:

– Dla człowieka zatrutego religijnymi przesadami nie ma miejsca wśród sowieckich uczonych! Kto pozwolił wam, obywatelu profesorze, w ten sposób wypowiadać się z tej wysokiej trybuny?

Oleg nachylił się do Wiaczesława:

– No tak, z tej „wysokiej trybuny” – szepnął – nie padnie żadne słowo obrony!

– Mylicie się! – ostro zareagował Wiaczesław. – Towarzyszu przewodniczący, pozwólcie teraz mnie! – i zaczął przepychać się ku przodowi.

– Towarzysze! – głos jego zabrzmiał młodzieńczo, energicznie, śmiało. – Czym, powiedzcie, zajmujemy się teraz? Topieniem człowieka! Wszyscy jakby się zmówili, żeby zepchnąć pod wodę starego i do tego zasłużonego pracownika! Religia, ma się rozumieć, jest szkodliwym przeżytkiem. Usypia świadomość mas

pracujących i osłabia ich wolę walki z uciskiem wyzyskiwaczy. Towarzysze Lenin i Stalin uczą nas zwalczania religijnych zabobonów, nie oznacza to jednak, że każdy wierzący jest naszym wrogiem. Ludzi religijnych są u nas jeszcze setki tysięcy! I to naszych sowieckich obywateli! Powinniśmy nie topić ich, ale pomóc im w wyzwaniu się ze starych przesądów. Towarzysze, wyjaśnijmy sobie – wrogiem jest ten, kto z nami walczy, a ów człowiek wszak z nami pracuje. Nieprzyjaciel podstępnie szkodzi, pełza, kryje się i zadaje cios w plecy, a on mówił otwarcie, podzielił się swymi myślami w przyjacielskiej rozmowie; jeśli wywalimy go na zbity łeb, wstydu się jedynie najemy! Każdy wówczas powie o nas: o, zdrajcy! Wszyscy komuniści są tacy! I tak już wystarczająco źle mówią o nas, za bardzo rozpanoszyła się niezdrowa atmosfera donosów. Niedobra to, towarzysze, sprawa! Partia docenia indywidualną wartość każdego człowieka i temu, który przynosi większą korzyść, można czasem to odpuścić, czego by mnie nie wybaczone. Ludzi, którzy nie boją się mówić otwarcie, trzeba zawsze szanować – tacy właśnie są nam potrzebni! Nie kochacie nas, towarzyszu profesorze, ale my się jeszcze zaprzyjaźnimy, przerobimy was na swój ład.

W prezydium zaczęły się szepty, wreszcie przewodniczący oschle zwrócił uwagę:

– Czas minął, kończcie, Konoplannikow! Wiaczesław spojrzął na stół przykryty czerwonym płótnem i ponure twarze siedzących za nim ludzi.

– Już kończę. Niech żyje rewolucja na całej kuli ziemskiej! – urwał i zszedł z trybuny.

Po zamknięciu zebrania Oleg i Wiaczesław wyszli razem. Po dusznej sali mroźne powietrze wydało się niezwykle przyjemne, obaj równocześnie westchnęli. Było w tym coś znamiennego.

– Jak bardzo w ciągu tych piętnastu lat upodlili się ludzie! – zauważył Oleg zapalając papierosa. – W poprzednich czasach zdrada uchodziła za czyn hańbiący i jawne decydowanie się na nią równoznaczne było ze znalezieniem się poza nawiasem

jakiegokolwiek środowiska: wojskowego, naukowego, studenckiego czy robotniczego! Znałem wypadek, kiedy studenta podejrzewanego o kontakty z III Wydziałem wszyscy otwarcie bojkotowali, nikt z roku nie podawał mu ręki. Ziemianie nigdy nie przyjmowali u siebie oficerów żandarmerii. Gdy toczył się proces dekabrystów, nie było tajemnicą, iż wiele osób z najwyższej arystokracji wiedziało o istnieniu sprzysiężenia, a jednak żadnej nie represjonowano. Znana jest rozmowa Mikołaja I z młodym Rajewskim. Imperator zapytał: „I nie uznał pan za swój obowiązek poinformować mnie?” Ten odpowiedział: „Postępowanie takie, Najjaśniejszy Panie, sprzeczne jest z honorem oficera!” Mikołaj uścisnął mu rękę ze słowami: „Ma pan rację!” W tamtych dniach to, co wy nazywacie „odcinaniem się”, uznano by za podłość. Przypominam sobie też historię z Korpusu Paziów za Aleksandra II. Znam ją dobrze, bowiem zamieszany w nią był mój ojciec: grupę kadetów przyłapano na niesubordynacji i wybrykach, za które groziła relegacja. W zмовie uczestniczyła cała kompania, czyli, inaczej mówiąc, klasa; zatrzymano kilka osób, które oczywiście odmówiły wydania kolegów. Nie o to jednakże chodzi – charakterystyczna była reakcja zwierzchników, odwołali się do autorytetu cesarza, który oświadczył: „Moi przyszli oficerowie nie mogą inaczej postąpić – zdrajców z nich nie zrobicie! Natychmiast wypuście z karceru!” Taka była postawa imperatorów, zaś wasz wódz wzywa do masowych donosów i szpiclowanie uznaje za chwalebny czyn! Scena, którą przed chwilą oglądaliśmy na zebraniu, jest możliwa w waszym systemie władzy.

– Jeżeli mówicie to wszystko, aby zawrócić mnie z obranej drogi, nie łudźcie się, Kazarinow, na próżno. Nasze schorzenia i niedostatki sam doskonale spostrzegam, lecz sprawy partii nie zdradzę.

– Młody przyjacielu, nie mam zamiaru w jakąkolwiek stronę was popychać. Zbyt zaszedł mi za skórę przymus ideowy, żebym sam miał go stosować. Niemniej nie mogę bez przerwy milczeć, wszystko się we mnie burzy!

– Żal mi was, Kazarinow, porządny z was człowiek i osobiście

uczciwy, a nie spostrzeżliście, że staczacie się w przepaść!

Oleg spojrział na niego przenikliwie:

– Na pewno znajdzie się w tej otchłani, ale robię wszystko, żeby nastąpiło to jak najpóźniej, natomiast wy, Wiaczesławie, łatwo możecie stać się własnym grabarzem. Przekonany jestem, że wy również w nią wpadniecie.

Wiaczesław zsunął czapkę na tył głowy i uważnie przypatrując się mijającej ich ciężarówce zagadnął:

– A ta dziewczynka, kuzynka wasza, wyszła już za mąż?

– Nie, jeszcze nie wyszła. Nie takie to teraz proste.

– Rozumie się, że nie proste! Byłych panów oficerów nie tak już wielu zostało – ci, których nie posadzono, rozpiłi się z rozpacz... a inni stali się nowymi Azefami, taki jeden w sklepie komisowym pracuje jako taksator, ceny wyśrubowuje nie gorzej od spekulanta, a nadęty niczym kogut. Nadałby się na narzeczonego? – i kiwnąwszy Olegowi głową skrzyknął w zaułek.

U nóg Olega z ciemności wynurzył się pysk buldoga z wysuniętą wargą i okrągłymi, wylupiającymi ślepiami... Taki sam był Ali-Baba, podobnie sapał ciągnąc smycz. Przypomniawszy sobie ojcowski ekwipaż, nadbrzeża Newy i Ali-Babę pod niedźwiedzią derą. Rasowe psy stały się taką rzadkością, że mimo woli kojarzyły się z minionymi czasami... Niedawno na ulicy nieznajoma dama rozplakała się na widok pudła Asi... Nie było w tym nic dziwnego; pudel zapewne wiązał się dla niej ze wspomnieniami o przeszłości, rodzinie, własnych mieszkaniach i codziennych miłych sercu drobiazgach... Nie do zniesienia sponurzał sowiecki Petersburg, czyli Leningrad!

Po otwarciu drzwi Daszków jeszcze w przedpokoju usłyszał smutną, dźwięczną melodię, nuconą przy wystukiwanym lewą ręką akompaniamencie i już z progu zobaczył pochyloną nad fortepianem jasną główkę.

Podszedł i pocałował błękitne żyłki na jej skroni.

– Sławeczek był dzisiaj na spacerze? Przytaknęła, nadal uderzając w klawisze.

– Co grasz? Wydaje mi się, że tego nie znam.

– Mój utwór – odpowiedziała wciąż nie zdejmując rąk z klawiszy.

– Twoje dzieło? Zagraj jeszcze raz, chcę posłuchać od początku.

– Nie! Jeszcze nie skończone. Kiedyś, przy okazji – zerwała się i zatrzasnęła wieko.

Przytulił ją do siebie.

– Nasłuchałem się dzisiaj obrzydliwej gadaniny, o której chciałbym zapomnieć. Zagraj mi jednak to twoje preludium czy może nokturn?

– Pod względem formalnym jest to raczej fantazja – odpowiedziała dalej się ociągając. – Włożyłam w ten utwór wiele serca, lecz wciąż nie mogę go skończyć i usunąć dwóch – trzech chropowatości... Zamysł powstał dawno... – w jej głosie pojawiła się rzewna nutka. – Pamiętam, wujek Sierioża zawiózł mnie któregoś roku na cały sierpień do cichej wioski pod Ługą. Kiedyś jesiennym wieczorem, gdy był na rybach, szłam samotnie przez pola, zebrałam bukiet – strzępiasty, kolorowy, z wierzbicy, miodunki, ostatnich rumianków... robiło się chłodno i ciemno... pola były puste, ciche, srebrzyła się mgła i nagle powiało chłodem. Szłam po łące porośniętej późnymi bratkami, zmarzłam i spieszyłam się do domu... I oto z oddali, z ledwo widocznej na skraju lasu cerkwi doleciał dźwięk dzwonu. Była wigilia święta Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, trwało wieczorne nabożeństwo. Nie wiadomo dlaczego drgnęłam i upuściłam, rozsypałam kwiaty... Usłyszałam w tym dzwonieniu coś osobliwego, smutnego a zarazem podniosłego, dziwnie bliskiego... Dźwięk nasilał się, potężniał i przenosił mnie w przeszłość, w starodawne czasy, kiedy to czystiej i prościej żyło się u nas na Rusi, gdy w leśnych ostępach pojawiały się pustelnie i klasztory,

takie jak monaster Siergijewski, w którym rozmyślał z troską o ojczyźnie Siergiej Radonieżski i w głuchej puszczy na kolanach wznosił swe żarliwe modlitwy. Wiesz przecież, że niedźwiedzie kładły mu się u stóp i, jak powiadają, modliły razem z nim. Przed bitwą na Kulikowym Polu Dymitr Doński przywiódł tam dzikimi tropami swoje hufce i pochylił sztandary przed arcypasterzem. Głosem dzwonu jakby odezwała się do mnie dusza Rosji, brzmiał on jak jęk ziemi ojczystej, a ostatni promień zachodzącego słońca miał kolor krwi... Chciało mi się i płakać, i modlić! Rosja doświadczyła tak wielu cierpień i wciąż nie mogła ich zaleczyć, wyjść z nich... Pamiętam, na niebie i ziemi zrobiło się ciemno, a ja wciąż stałam. Możliwe, iż byłam pod wrażeniem „Legandy o Kicieżu” Korsakowa i dlatego tak mocno przejął mnie dźwięk dzwonu, jeszcze długo pozostawałam pod urokiem tej chwili... Teraz bicie w dzwony cerkiewne jest wszędzie zakazane. Oboje milczeli.

– Wiesz – wyciągnęła do niego ręce. – Nigdy nie zostałabym emigrantką! Nasza Ruś w najczarniejszej nawet dla niej godzinie pozostaje wielką i świętą, wydaje mi się więc, że porzucenie jej dla osobistego bezpieczeństwa jest grzechem.

Oleg, jakby pod wpływem bólu, ściągnął brwi.

– Jęk ziemi ojczystej... Dobrze to powiedziałaś! Słuchaj, nie zwlekaj z zakończeniem tego utworu, żebym zdążył go jeszcze usłyszeć.

Dostrzegł wymykające się spod jej rzes spojrzenie pełne niepokoju, czułości i lęku, natychmiast też zreflektował się, że nie powinien był tego mówić.

– Czy zademonstrowałaś profesorowi ten utwór? – zapytał, pragnąc skierować rozmowę na inne tory.

– Zakazuje mi komponowania – z żalem odpowiedziała. – Nie chce, żebym się odrywała od doskonalenia wykonawstwa.

Po północy Oleg zasypiając sięgnął ręką do wyłącznika i w tymże momencie uwagę jego przyciągnął głuchy warkot

ciężarówki.

– Samochód... przed naszą bramą... o tak późnej porze... co to może być? – zastanawiał się nadsluchując.

Asia usiadła na łóżku i oboje znieruchomieli.

– Odjechał. Koniec! Spij, kochanie – powiedział po chwili spoglądając na żonę.

Nie odwzajemniła mu uśmiechu.

– Wiem, o czym myślałeś. Wiem wszystko – szepnęła rozdygotana.

Rozdział dwudziesty ósmy

W ów grudniowy poranek mieszkające pod wspólnym dachem kobiety obudziły się w złym nastroju.

– Boże, mój Boże! W portmonetce mam zaledwie pięć rubli, a Oleg Andriejewicz nieprędko dostanie wypłatę, będą to zresztą grosze... – snuła monolog najstarsza z nich. – O, przemiłe państwo proletariackie! No cóż, chamy, jesteście zadowoleni? Nie ceniliście tego, co mieliście, zachciało się wam być panami, więc macie: kartki, kolejki, inspektorów podatkowych i wspólne mieszkania. Ponad moje siły taka egzystencja oraz poczucie stałego zagrożenia, a do tego jeszcze Asia odważyła się ostatnio okazywać nieposłuszeństwo... Zaraza, moralna zaraza... unosi się w powietrzu!

Francuzka, która czekała, aż się zagotuje woda w czajniku, wtórowała jej:

– Co za ślamazarny naród! *Mon Dieu!* Już piętnasty rok mija, a wciąż nie dochodzi do restauracji. Oby nam sił starczyło do przetrwania!

Gdy obie damy wychodziły z kuchni, wbiegła Kławdia Chryczko, wspięła się na parapet i wyglądając przez lufcik w niebieskawą mroźną mgłę, spowijającą jeszcze podwórze, krzyknęła do syna, którego wcześniej wysłała na spacer:

– Pawlutkaa! Popatrz, koło dozorcówki pozdejmowali ze sznura bieliznę i zgubili powłoczkę – podnieś i przynieś. Szybciej, bo ktoś inny zabierze! Ale niezguła!

Zeskoczyła z parapetu i w tejże minucie Asia weszła z tacą pełną naczyń.

– Pewnie mi się dziwujecie, Kseniu Wsiewołodowno. Biedę klepiemy, niedostatek... w życiu niczego nie ukradłabym, ale z ziemi... czemu nie miałabym podnieść?

– Dlaczego, Kławdio Wasiliewno, wypuściliście na dwór waszego Pawlika? – zamiast odpowiedzieć spytała Asia. – Przecież

jest przeziębiony i trzeba by wezwać do niego lekarza.

– Już zauważyliście? Po prawdzie, jest chory. Dam mu cukru palonego z mlekiem do wypicia. Miętkie macie serce, Kseniu Wsiewołodowno. Jednaście taka z całej waszej rodziny. Mąż, babka i madama wasza patrzą na nas wilkiem – co to, ja nie widzę? Od pieroga kawaleczek dla was odkroiłam, weźcie, wiem, że nie wzgardzicie. Jedzcie na zdrowie. – Przysiadła na taborecie. – Sił mi już brakuje, Kseniu Wsiewołodowno! Mój Edward, niegodziwiec, przeklina, włóczy się, naukę rzucił, ze szkoły przychodzą, żądają, żeby do klasy wrócił, grożą, że za chuligaństwo wypędzą, przerośnięty, powiadają. A skąd go wytrzasnę, kiedy już tyle nocy nie pojawił się w domu? Z mężem także bieda: zabrałam mu z ichniego zarobku i pod materac schowałam pięćdziesiąt rubli, opał chciałam kupić, bo termin przydziału mija, a ten wieczorem, kiedym do łaźni poszła, wykradł i pijany wrócił. Pożyczcie na drwa, Kseniu Wsiewołodowno, inaczej talon przepadnie. Pamiętam, że jestem już wam dłużna, nie bójcie się, zwrócę co do grosza.

– Przepraszam... ale nie mam, babcia nie lubi, kiedy sama rozporządzam się pieniędzmi... Jutro, jeżeli dostanę za lekcję, to... ile będę mogła... z tym tylko, żeby znowu nikt się nie dowiedział. A do waszego Pawlika zaraz przez telefon wezwę doktora.

Asia wybiegła z przerzuconym przez ramię ręcznikiem, wyhaftowanym jeszcze przez stare włodzimierskie koronczarki. Druga współlokatorka, żona kursanta Czerwonej Armii, świadoma wyższości małżonka nad pozostałymi mężczyznami ze wspólnego mieszkania, zachowywała się wyniośle. Podeszła do swego prymusa i wygłosiła reprimendę:

– Wiecznie skamlecie! Że też chce się wam ponizać przed tym państwem! Przecież za nic was mają! A dziewczyna durnowata, tylko rzesami umie trzepotać. Z takimi, jak wy i ona, komunizmu się nie zbuduje. Poczekajcie trochę, dadzą wam w kość przy paszportyzacji.

Oleg pracował obecnie na zmianę, dopiero co wrócił z

nocnego dyżuru i budował Sławeczkowi dom z klocków. Asia weszła do pokoju i czule przyglądała się mężowi bawiącemu się z synkiem.

Nerwy jednak miała tak stargane, że na dźwięk dzwonka zadygotała. Oleg poszedł otworzyć drzwi, ona zaś pozostała z dzieckiem, trwożnie nasłuchując.

Oleg wrócił wyraźnie rozdrażniony.

– Co tam? Co? – zawołała rzucając się ku niemu.

– Kolejna ohyda! Otwieram – stoi nieznajoma kobieta, która przedstawia się jako pielęgniarka z przychodni wenerologicznej i pyta, dlaczego nie zgłasza się do leczenia Edward Chryczko? Okazuje się, że ten małoletni włóczęga o imieniu angielskiego lorda jest syfilitykiem! Czy rozumiesz, co to oznacza? Chłopak nie ma krzty przyzwoitości, może w kuchni posłużyć się cudzym kubkiem i odstawić go pomiędzy czyste naczynie, sam kiedyś widziałem. To ci przyjemność mieszkać z podobnymi typkami! Pójdę porozmawiam, trzeba ich jednak zawiadomić. Znamienne, że tajemnica lekarska widocznie została zaniechana przez sowiecką medycynę. Ale w naszych warunkach jest to bodaj uzasadnione.

Wybiegła za nim i dopędziła na korytarzu.

– Olegu! Boję się, podniosą wrzask... a ja tak bardzo nie lubię awantur... mów z nimi jak najogłędniej...

Rozmowa z głową rodziny istotnie nie była łatwa. Gdy spytał: „Towarzyszu Chryczko, czy wiecie, że wasz syn jest chory wenerycznie?” – ten tylko chrząknął i nie sposób było zrozumieć, co wyraża: negację, aprobatę, oburzenie bądź zdumienie. Ledwo Oleg zaczął przedstawiać swoje zastrzeżenia, Chryczko mu przerwał:

– A wam co do tego? My się w wasze sprawy nie wtrącamy! Wczoraj wieczorem poszedłem do naszej administracji i słyszałem jak tam gadali, że w radzie dzielnicowej was też wpisali na listę wysiedlanych z miasta, a wy tu jeszcze gospodarza z siebie

strugacie!

„Madam” Chryczko natychmiast pospieszyła małżonkowi z pomocą:

– Jaka tam jego choroba? A w ogóle skąd wiecie? Skorzyście do zmyślenia! Może razem u doktora byliście? Żeby waszego naczynia nie ruszał? A on go nawet nie dotyka! Na co mu ono?

Oleg, który organicznie nie znosił babskich krzyków i histerycznych wrzasków, nie chcąc w tym tonie przedłużać rozmowy, zaproponował odłożenie jej na wieczór, kiedy zjedzą się wszyscy domownicy. Liczył na autorytatywne poparcie słuchacza czerwonych kursów. Zasada „dziel i rządź” okazywała się niekiedy przydatna we wspólnym mieszkaniu.

Gdy wszedł do pokoju, Asia stała twarzą do szafy i nie odwróciła się, co wydało mu się podejrzane. „Pewno słyszała o wykazach w radzie dzielnicowej” – pomyślał i obejmując ją ramieniem spojrzał pytająco.

– Spadł taki ładny śnieg! Wezmę Sławeczka na spacer, a ty się połóż, nie spałeś całą noc. – Mówiła z widocznym smutkiem w głosie, ale na jego spojrzenie zareagowała spokojnie.

Po ubraniu dziecka wynieśli je na przyjemnie skrzypiący śnieg, na świeżym mroźnym powietrzu od razu zrobiło się weselej. Oleg chwilę pobawił się z synem, po czym wrócił do domu. Asia ujęła Sławeczka za rączkę i skierowała się w stronę skweru. Wyminęło ją dwóch milicjantów. Zaniepokojona popatrzyła za nimi.

„Wchodzą do naszej bramy... Może do nas?” Wzięła dziecko na ręce i pobiegła z powrotem, było ciężkie, więc zdążyła dotrzeć zaledwie na pierwsze piętro, gdy z drugiego dobiegł hałas otwieranych drzwi.

To były ich drzwi! Kiedy podeszła, Oleg stał na progu, a milicjanci głośno tupiąc schodzili na dół. Zatrzymała się zdyszana i po raz drugi tego rana spytała: – Co tam?

– To, czegośmy się spodziewali – pokazał jej wezwanie.

- Postawiła dziecko na ziemi.
- Dokąd?
- Sto wiorst od miasta.
- Ciebie, czy nas wszystkich?
- Na szczęście tylko mnie. Milczała.

- Asiu, to jeszcze nie katastrofa... Nie denerwuj się, kochanie! Jest to tylko ogromna niedogodność. Największą komplikację stanowi ponowna utrata pracy. Rozbierz się, zaraz na spokojnie się zastanowimy.

Posłusznie zdjęła palto i rozebrała dziecko.

- Przeraza mnie rozstanie! Niczego innego się nie boję. Wierzę, że jeszcze kiedyś będzie się nam doskonale powodzić... – wyszeptała załamującym się głosem.

- Jesteś moją odważną, dzielną dziewczynką.

Tym razem rada rodzinna miała niezwykle poważny charakter: Oleg, Natalia Pawłowna, a także madame kategorycznie sprzeciwili się wyjazdowi Asi z dzieckiem do Ługi, uznając takie rozwiązanie za nierozsądne. Stanowisko swoje uzasadniali poważnymi argumentami; Asi pozostawało pół roku do ukończenia szkoły muzycznej, a uzyskanie nawet takiego dyplomu (wobec niemożności kontynuowania studiów w konserwatorium) dawało dużo, mianowicie prawo do nauczania w szkolnictwie podstawowym bądź pracy jako akompaniorka. Ponadto, gdyby zdecydowała się wyjechać w ślad za mężem, natychmiast straci pokój, a tym samym możliwość powrotu. Do tego w Łudzę, jak pisała w listach Nina, nie ma wolnych pokoi z kwaterunku, więc o wspólnym zamieszkaniu rodziny nie ma mowy, chyba że w prywatnym domu za wysoką opłatą. Ponieważ pieniędzy żadnych nie mieli, Asi a nie miałyby gdzie podziąć się ze Sławeczkiem, nie mówiąc już o ulokowaniu fortepianu. Poza tym trochę zaczęła zarabiać lekcjami i akompaniując; zrezygnowanie z tych zajęć, kiedy Oleg znowu stał się bezrobotnym, byłoby więcej niż ryzykowne.

Ustalono, że na razie pojedzie sam, musi wynająć jakiś ką i znaleźć zajęcie, do rodziny zaś będzie przyjeżdżać w wolne dni.

– Na szczęście idzie ku wiosnie – mówił Oleg – gdy znajdę w Łudzę jakąś robotę, wynajmę pokój w prywatnym domu i przyjedziesz do mnie z małym na lato. Jesienią sytuacja może się wyjaśni, zresztą samo życie podpowie, jak dalej postępować.

Dzień ten obfitował w niespodziewane, a zaskakujące wydarzenia. Z przedpokoju doleciał nagle pisk Kławdii i odgłosy przypominające warczenie psa – stary Chryczko ciągnął za kołnierz opierającego się Edwarda i okładał go pięściami.

– Tatulu! Zabijesz go! – lamentowała Kławdia. – Dobrzy ludzie, pomóżcie! Okaleczy chłopca! Serca nikt tu nie ma, choćbyś konał na ich oczach – nie przyjdą z pomocą!

Istotnie nikt nie miał ochoty się wtrącać.

Po godzinie zjawił się wezwany przez Asie pediatra i stwierdził u małego Pawlika odrę.

Dla rodziny Chryczków, jak i Daszkowów dzień był pechowy.

Odry nikt się specjalnie nie bał, lecz gdyby zaraził się Sławeczek, Asia zostałaby unieruchomiona, co w danym momencie było szczególnie niepożądane. Pod wieczór zaczął jednak kichać, miał zaczerwienione oczka, widocznie obaj malcy zarazili się równocześnie.

– Nigdzie nie pojedę, dopóki nie spadnie mu gorączka, choćby mnie siłą chcieli zabrać! – oświadczył Oleg, gdy zobaczył na termometrze trzydzieści dziewięć stopni.

Niemniej starczyło im sił, żeby owego feralnego dnia pokłócić się, nerwy nie wytrzymały napięcia. Oleg wszedł do pokoju i zobaczył, jak Asia cedzi przez sitko napój żurawinowy do białego emaliowanego kubka, z którego *zazwyczaj* dawała pić synkowi; po napełnieniu go, taką samą porcję przecedziła do drugiego garnuszka.

– A ta dla kogo jest przeznaczona? – spytał przekonany, że

usłyszy: „Dla ciebie” i już zamierzał powiedzieć: „Rezygnuję na rzecz mego kotka”, lecz Asia zachmurzyła się i odpowiedziała:

– Zapomniałeś, jak się zdaje, że w tym mieszkaniu choruje niejedno dziecko, a dwoje?

– Aha! Rozumiem! Znowu pojawił się na scenie maleńki wyrodek z główką degenerata. Czaszek o takim kształcie u dzieci rosyjskich nikt jeszcze nie widział – zauważył z wyraźną irytacją. Na jej czole pomiędzy dwoma delikatnie zarysowanymi łukami brwi wystąpiła zmarszczka.

– Pamiętam, jak kiedyś na wsi zganiła mnie chłopka za współczucie okazane psu; powiedziała, że dla panów zwierzę zawsze ważniejsze od człowieka. Na próżno ją przekonywałam, że pies, podobnie jak my, reaguje na chłód, głód, krzywdę. Teraz będę musiała dowodzić memu mężowi, że każde dziecko, niezależnie od kształtu swojej czaszki, odczuwa niedostatek.

– Zanim ci odpowiem, wytłumacz mi – obruszył się dotknięty do żywego – czemu uważasz za swój obowiązek zamartwianie się o dziecko, które ma rodziców? Dobrze wiesz, że nie jestem skąpy i nigdy nie żałowałam pieniędzy na sprawienie przyjemności tobie i Sławeczkowi; gdybym zarabiał wystarczająco dużo, nie czepiałbym się takich drobiazgów, jak zresztą było dotychczas, ale ostatnio sami jadamy marnie. Ojciec tego dziecka co drugi dzień wódkę żłopie, a mnie od trzech lat nie stać na kupienie butelki portwajnu, do tego stopnia oszczędzam, że pudełko papierosów musi mi starczyć na tydzień. Ty zaś odbierasz naszemu synowi i dajesz dzieciakowi tego chama. Jeżeli już koniecznie musisz uprawiać filantropię, znajdź dziecko z represjonowanej rodziny, chyba że świadomie chcesz mi dokuczyć?

– Nie mam bynajmniej zamiaru zajmować się filantropią czy robienia ci na przekór. Zrozum, że sprawia mi radość rozpromieniona buzia malca. Wczoraj chodziłeś z kąta w kąt i powtarzałeś: nie moją jest winą, że urodziłem się synem generała i do tego księcia! To dziecko też nie jest winne, że ma ojca pijaka.

Harmonia nie powróciła w ich stosunkach do późnego

wieczora.

Szykując się do spania Oleg oświadczył:

– Jeżeli z powodu jakiegoś wyrodka mam utracić miłość i czułość mojej żony, tym bardziej nie będę mógł zdobyć się na życzliwość wobec niego. Czyżbym był takim skąpcem i egoistą, żebym zasłużył aż na dziesięć godzin kary i czy rzeczywiście ten dzieciak wart jest, aby popsowały się przez niego nasze stosunki?

Zarumieniła się z gniewu.

– Znowu to samo! Nie uważam cię za skąpca bądź samoluba, tylko za pyszałka!

– Ach, to tak! No cóż, wiesz lepiej. Jutro lub pojutrze twój pyszałkowaty mąż wyjedzie, niewykluczone, że pod konwojem, do zawczasu znienawidzonej Ługi, a ty, dla wszystkich uosobienie dobroci, jesteś dla niego tak surowa.

Asia, która rozczesywała przed lustrem warkocze, odłożyła grzebień i odwracając się w jego stronę powiedziała:

– Wiem, że dla mnie i dla Sławeczka zgodziłbyś się na obdarcie żywcem ze skóry, ale chciałabym, żebyś swoje serce choć trochę... troszeczkę... szerzej otworzył!

Oleg zaczął chodzić po pokoju:

– To niemożliwe! Musisz mnie zaakceptować takim, jakim jestem. Może gdyby wcześniej twoje słoneczne ciepło ogrzało moje serce, byłbym bardziej wrażliwy. Ale dziesięć minionych lat uczyniło mnie twardym, z czego zdaję sobie sprawę! Prawdziwego chrześcijanina ze mnie nie zrobisz. Moje marzenia nie wychodzą poza realną rzeczywistość – pragnę walki, czynu, którym oddałbym się z zapamiętaniem dla dobra ojczyzny, nienawidzę jej wrogów i przygnębia mnie przymusowa bezczynność.

Wtem rozległ się przeraźliwy dzwonek, na dźwięk którego wymienili trwożne spojrzenia. Oleg pospieszył do drzwi, pewny że milicja chce sprawdzić, czy wyniósł się już z miasta. Okazało się jednak, że wizyta milicjantów związana jest z Edwardem, którego

wraz z szajką wyrostków przyłapano na kradzieży. Przerażeni rodzice zaklinali się na Boga, że chłopak od tygodnia nie pokazywał się w domu. Oleg nie zamierzał podważać ich zapewnień.

– O niczym nie wiem – odpowiedział zapytany.

Edward chyba naprawdę nie nocował w domu, gdyż milicjanci, po zajrzeniu do pokoju „proletariatu”, odeszli z niczym.

Rano Oleg poszedł do szpitala po wypłatę i wracając natknął się na administratora, który szedł sprawdzić, czy już wyjechał on z miasta, przy okazji przekazał mu odpowiednie ostrzeżenie. Niemniej dzień minął spokojnie; dopiero wieczorem, gdy zaledwie skończyli picie herbaty, znowu rozległ się jeden z tych dzwonków, jakie budziły strach we wszystkich mieszkańcach. W przedpokoju ponownie pojawił się milicjant i Kławdia, która otworzyła drzwi krzyknęła do Olega nie bez złośliwości:

– Tera nie po Edźka, a po was! Sytuacja stawiała się nie do wytrzymania!

Milicjant miał dobroduszną pocziwą twarz, takie – przypomniał sobie Oleg – mieli jego żołnierze.

– Czemu to, obywatelu Kazarinow, nie stosujecie się do nakazu i musimy przez was wciąż ganiać? Nie chciałem nachodzić mieszkania, ale pytałem w administracji i powiedziano mi, że jeszcze jesteście. Rozumiem, że jechać wam się nie chce, każdy by się ociągał! Ale jak już przykazano, to tak czy inaczej zmuszą do wyjazdu, nie zechcecie po dobroci – pod konwojem poprowadzą i jeszcze kary sto rubli każą zapłacić. Lepiej się od razu zbierajcie. Pociąg do Ługi odchodzi za godzinę i moi zwierzchnicy polecili mi wsadzić was do niego. Zbierajcie się!

– Tak jest, towarzyszu! Nie ma rady! Nie zamierzałem sprzeciwiać się poleceniu, synek mi jednak zachorował, i chciałem jeszcze przeciągnąć ze dwa dni, aż wyzdrowieje. Z wami, towarzyszu, widzę, da się dogadać: pozwólcie mi samemu wyjechać, a wy możecie z czystym sumieniem zameldować, iż

odstawiliście mnie. Nie zawiodę, daję słowo, odjadę tym pociągiem, tylko nie odprowadzajcie mnie pod eskortą! – Popatrzył jeszcze raz na szczerą żołnierską fizjonomię i nie oparł się pokusie, aby dodać: – Całą wojnę walczyłem, a teraz wynocha z miasta jak jaki złodziej czy chuligan.

Na otwartej twarzy pojawił się wyraz współczucia.

– Co tu gadać! Czasy tera trudne! A wyście na jakim froncie wojowali?

– Pod Dźwińskiem.

– A ja w Galicji. W porządku, zaufam wam, wyjedziecie, znaczy się, na pewno? Do zobaczyska! – i milicjant wyszedł.

Oleg postął w przedpokoju, zapalił, potem zdusił papierosa i wrócił do sypialni.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

W trzydziestych i czterdziestych latach – poza okresem Wielkiej Wojny Narodowej – Ługa i Mała Wiszera były przytuliskiem dla ludzi wysiedlanych z Leningradu. Znajdowali w nich schronienie wszyscy leningradczycy, którzy mieli w dowodzie adnotację „minus” lub „sto wiorst” – zarówno podejrzani politycznie, jak i kryminaliści. Obydwa miasteczka znajdowały się tuż poza stukilometrową strefą, w której nie wolno było przebywać wysiedleńcom, i miały bezpośrednie połączenie kolejowe z miastem nad Newą. W konsekwencji w przeludnionej Łudzę nie można było liczyć na mieszkanie „z kwaterunku”. Pokoje w prywatnych domkach letniskowych, nie objętych akcją „rozkułaczania” i których właścicielom, pomimo ogromnych podatków, opłacało się je wynajmować, natychmiast rozchwytywano. W wielu wypadkach pobierano opłatę tylko za meldunek, jako że sporo represjonowanych osób, szczególnie z „byłych”, ukradkiem mieszkało u krewnych w Leningradzie i jedynie przymus posiadania stałego meldunku zmuszał je do zawierania lichwiarskich umów z posiadaczami wolnych pokoi. Postępować tak mogli jedynie nie pracujący, nie związani z zakładem pracy. W dawnej stolicy bowiem zatrudniano wyłącznie ludzi zamieszkałych na stałe w mieście lub w najbliższych obrzeżnych osadach. Stąd wysiedleńcy z zakazanej strefy musieli żyć i pracować wyłącznie w miejscu nowego zameldowania. Dla Olega sprawa była przesądzona, musiał znaleźć robotę, co w rezultacie oznaczało ciągły pobyt w Łudzę; możliwość regularnych dojazdów nie wchodziła w grę ze względu na wysokie ceny biletów.

Po przespanej na dworcu nocy ruszył na poszukiwanie kąta. W samym miasteczku niczego oczywiście nie znalazł, zaczął więc penetrować domki na peryferiach. Znużony całodziennym łażeniem znowu przenocował na stacji. Następnego dnia od rana ponowił poszukiwania; napotkany robotnik, z którym wdał się w przypadkową rozmowę, powiedział, że tartak poszukuje młodych mężczyzn, ale muszą mieć mieszkanie i zameldowanie. Zmęczony, zmarznięty, zły i głodny nie zaprzestał wędrówki; w końcu dotarł

do osady Słoboda Zarieczna i znalazł się na ulicy graniczącej z gęstym sosnowym lasem. „Dobrze byłoby zakotwiczyć się w tej okolicy, przynajmniej wolny czas można będzie wypełnić przechadzkami po lesie, inaczej z beznadziei zwariuję” – myślał wędrując od domu do domu. Wreszcie w jednym, walącym się, najbrzydszym – stara kobieta z haczykowatym nosem i złymi, chciwymi oczami, przypominająca wiedźmę, oświadczyła, że może u niej znaleźć kąt i meldunek. W praktyce kąt okazał się kufrem, na którym dało się jedynie leżeć, stara wynajmowała go jako pryczę, z góry uprzedzając, że wszystkie miejsca w izbie są już zajęte. W obawie, że praca może mu uciec, Oleg przystał na kufer i zapłacił staruszce komorne za najbliższe pół miesiąca.

Kolację złożoną z bryndzy i chleba jadł na skraju lasu, siedząc na obludzonym pniu. Nawet nie zauważył, skąd wziął się przy nim pies, ładny rasowy seter, wyraźnie bezdomny. Rdzawa jedwabista sierść zwisała splątana w brudne kłaki, długich opadających uszu nikt dawno nie rozczesywał, boki miał zapadłe.

– Ech, biedaku! Jak widzę, również jesteś poniewierającym się arystokratą! No, chodź, bierz – i Oleg wyciągnął kawałek chleba. Pies podszedł utykając i delikatnie wziął chleb z ręki człowieka.

– Jesteśmy bodaj towarzyszami niedoli, ktoś ty – hrabia, markiz czy książę?

Smutno zamyślony seter uważnie popatrzył na niego. Oleg położył przed nim resztki jedzenia.

– Wybacz, czym chata bogata – jak mówią. No chodź, idziemy, z rozpaczcy powłóczymy się, bracie, po lesie.

Gestem myśliwego, przyswojonym jeszcze w młodości, klepnął się po kolanie i w smętnych ślepiach psa natychmiast pojawił się błysk.

Dopiero o zmierzchu podeszli do niepokąźnego domu na skraju lasu.

– Oto i nasz pałac! Nie wiem, czy cię wpuszczą. Będę chyba

musiał zachować się nie po koleżeńsku i porzucić ciebie. Nie mam ochoty nocować na mrozie.

Stara rzeczywiście nie wpuściła psa i Oleg sam wszedł do izby, odprowadzany długim spojrzeniem, wyrażającym zarówno wyrzut, jak i zrozumienie.

Pomimo wszystko nie spodziewał się takiego widoku: izba do granic możliwości zapchana była ludźmi – leżeli pokotem na gołej drewnianej podłodze, siedzieli na parapetach, rżnęli w karty, sprzeczali się, kurzyli tytoń, ktoś wlewał „ćwiartkę” wprost do gardła pochrzając z zadowoleniem, ktoś inny jeszcze przygrywał na harmonii. Toż to kryminaliści! – świątek przepoconych pasiastych bluz, niebieskich podkoszulków i wytartych skórzanych kurtek, chłopców z „ferajny” i zapitych wieśniaków, połowa z nich prawdopodobnie nigdzie nie była zameldowana. Kufer okazał się zajęty, co prawda w odpowiedzi na protest Olega stara zjawiała się natychmiast dla zrobienia porządku i przegnała jakiegoś podejrzanego typka. Położył pod głowę plecak i przykrywając się płaszczem z trudem rozlokował się na wykupionym miejscu. Ponure zawrodo harmonisty: „Umrę ci ja, umrę, a jak mnie pogrzebią, nikt się nie dowie, gdzie mogiłka moja” – potęgowało przygnębiający nastrój.

„Dno!” – pomyślał. „Na tę noc pozostanę tutaj, ale jutro będę musiał poszukać nowej przystani”.

Kiedy wybiła jedenasta, elektrownia wyłączyła prąd i całe towarzystwo, chcąc nie chcąc, zaczęło układać się do snu. Na krótko rozbłysły dwa – trzy łożowe ogarki i na brudnym suficie pojawiły się gigantyczne cienie.

– Wyrzuc go, wygoń! – i bez niego nie ma gdzie szpilki wetknąć! – usłyszał nagle czyjś głos.

– Wynocha, ryża bestio! – zawtórował mu inny. Oleg podniósł się:

– Co się dzieje?

– Pies wleciał. Precz, poszedł won, bydlaku! Pstryknał

zapalniczką i oczy ich się spotkały.

– Nie wyganiajcie go, to mój seter, niech się ogrzeje.

– Przecie i ludziom miejsca tu nie starcza. Jeżeli tak bardzo chcesz, bierz go do siebie na kufer.

– Pewnie, że wezmę.

Oleg uderzył dłonią w kufer i seter lekkim skokiem znalazł się obok niego; wierząc się drapał go lodowatymi łapami i dyszał mu prosto w twarz.

– Leż, mój biedny markizie. Spodobało ci się obrać mnie za pana? Niefortunnie wybrałeś! Jestem, jak i ty, bezdomny – szeptał drapiąc psa za uszami. Zimny nos przylgnął do ucha Daszkowa, objął wówczas psa, przygarnął do siebie i tak przytuleni zamilkli.

Nazajutrz Oleg złożył dokumenty niezbędne do zameldowania, a sam wybrał się na poszukiwanie tartaku, w którym kazano mu zgłosić się za kilka dni. Z dworca zatelefonował do domu, od Natalii Pawłowny dowiedział się, że dziecku lepiej, w związku z czym Asia zdecydowała się pójść na zajęcia. Powiedziała mu również, iż otrzymała list od Niny, której udało się zamieszkać w domu wczasowym literatów. Oleg natychmiast zaczął go szukać, lecz gdy znalazł, na próżno dobijał się, w budynku nie było żywej duszy. Dopiero trzeciego dnia na jego stukanie otwarły się wreszcie drzwi i ujrzał Ninę, która zmierzając do furtki grzęzła po drodze w zaspach zanieśionego śniegiem ogrodu. Na nogach miała walonki i owinięta była w chustę. Pocałował ją w rękę:

– Niezależnie od przebrania – masz zawsze świetną prezencję jak generałowa czy małżonka gubernatora!

– Proszę obejrzyć moją rezydencję, jestem sama w pięciu pokojach – odpowiedziała rozbawiona. Jest to dom wypoczynkowy pisarzy, w zimie nieczynny. Pomogło mi tu urządzić się wojsko, śpiewałam w ich klubie i zgodziłam się, na zasadzie prywatnej umowy, prowadzić kółko amatorskie dla żon kadry dowódczej oraz chór dla ich dzieci.

Kierownik klubu, wojskowy z trzema belkami na kołnierzu, gdy usłyszał, że nie mam mieszkania, osobiście poprosił administratora ośrodka wczasowego o zgodę na moje tam zamieszkanie. Zameldowana zostałam w sąsiednim domu u stróżki. Byłoby tu bardzo dobrze, gdyby nie przeraźliwe zimno, gotuję na prymusie i w ten sposób ogrzewam pomieszczenie, co niewiele daje, bowiem budynek jest pusty, a ściany zżera wilgoć. Jestem przemarznięta, szczękam zębami i nie zdejmuję płaszcza oraz walonek. Jak się okazało, u Niny gościła Marina, która przyjechała natychmiast po otrzymaniu dokładnego jej adresu. Siedziały w świetlicy przy herbacie i od razu zaprosiły Olega do stołu.

– Jeszcze przed miesiącem mówiłam, że tak właśnie się skończy – kontynuowała przerwana rozmowę Marina. – Nie umiem się bronić: nawet królik może mnie skrzywdzić, a cóż dopiero cały kahał.

– Czy w końcu sądził – rozsądzał ów Salomon, o którym wspominałaś? – zapytała Nina.

– Tak, on. Okazało się, że zwał go Jakub Markowicz. Ogromna głowa, małe krzywe nóżki, broda jak u Karola Marksa, oczy – lisie i ubrany w przedpotopowy chałat. W połowie przesłuchania coś mu się w naszych odpowiedziach nie spodobało i nagle gwałtownie odepchnął od siebie stół, tak że jeden z szacownych członków rodziny, który siedział na chwiejnej ławeczce, stracił oparcie i zwał się na podłogę. W tym momencie Saroczką zaczęła się drzeć... Czy dobrze wychowana kobieta może pozwolić sobie na wrzask? A wtedy wszyscy podnieśli rejwach, rozkrzyczeli, roztrajkotali się.

– A o co pytał ten twój Jakub Markowicz? – zainteresowała się Nina.

– Urodzony krętacz! Zachciało mu się wyjaśnić, kto pielęgnował chorego, ale gdzie mnie równać się z Saroczką w hucpiarskich odpowiedziach! Ja dukam, a ona szwargocze po swojemu – nie rozumiałam, więc i zaprzeczać nie mogłam. No i

przyznał jej większy pokój, a mnie mały, przejściowy, rzekomo z tej racji, że czuwała nocami przy łóżku... a tak naprawdę, z poczucia wspólnoty plemiennej!

Mogę odwołać się do sądu, ale nie chcę; nie jestem przekonana, że wygram, a z nimi skłóciłabym się ostatecznie.

– Co z rzeczami? – indagowała dalej Nina.

– Wszystkie mi oddali. Saroczka zgłaszała pretensje do srebrnego lisa, lecz Salomon usadził ją stanowczym gestem. Poryczała się, lecz pokornie zgodziła. *Nota bene*, ten Salomon oświadczył, że „naciśnie” na kierownika jakiejś przychodni, pewnie też Żyda, żeby mnie może do siebie przyjął na kierowniczkę magazynu z bielizną. Wszystko wyglądałoby nieźle, gdyby nie pokój!

Oleg apatycznie przysłuchiwał się tym wynurzeniom, zbywając je współczującymi ogólnikami.

Rozmowa przeciągnęła się, podobnie jak i picie herbaty, uatrakcyjnione przywiezionymi przez Marinę przysmakami własnej roboty. Oleg, którego nieco krępowało jej towarzystwo, ofiarował się pójść do lasu po drzewo, żeby Nina mogła przepalić w piecu. Wyszedł z nie odstępującym go Markizem. Gdy wrócił z wiązką chrustu na plecach, było już ciemno i Marina zbierała się do wyjścia, chcąc zdażyć na wieczorny pociąg. Usłużnie zaproponował, że odprowadzi ją na dworzec, przewidując markotnie, iż rozmowa, tak czy inaczej, ale zahaczy o przeszłość. Po drodze szybko natknęli się na ogromną kałużę topniejącego śniegu, pozostawioną przez odśnieżarkę. Gdy Marina bezradnie stanęła, wyciągnął do niej rękę mówiąc: „Proszę skoczyć!” – i przez moment znalazła się w jego objęciach, ale po zorientowaniu się, jak prędko rozluźnił uścisk, powiedziała speszona:

– Ma pan prawo uważać mnie za egoistyczną, niewiele warta kobietę, jeżeli kiedykolwiek w pańskich wspomnieniach wracają... tamte godziny... to pewno z potępieniem.

Przez sekundę zwlekał z odpowiedzią.

– Skądże, z ogromną wdzięcznością.

– Jak to? – upewniła się zaskoczona.

– Tak, z wdzięcznością. Niczego nie żałuję i do końca życia będę pani zobowiązany za okazanie mi odrobiny ciepła. Nie zważając na nic...

– Możesz przenocować w jednym z pokoi – powiedziała Nina, kiedy powrócił z cichą nadzieją, że usłyszy taką właśnie propozycję. – Lepiej tutaj wypoczniesz, niż na swoim kufrze, a i ja nie będę się bała, trzęsę się bowiem przy każdym szeleście – wokół pusto, a w Łudzę pełno bandytów, których podobnie jak nas wysiedlają z Leningradu.

Oleg, czując jak po trzech bezsennych nocach kleją mu się powieki, postanowił skorzystać z zaproszenia i zaczął przygotowywać sobie w salonie legowisko. Za parkanem na bezludnej oblodzonej szosie mignęła kobieca postać, prościutka jak strzała, choć objuczona plecakiem. Na moment znalazła się w smudze padającego z okna światła i ujrzał, jak z lekkością kozicy przeskakuje rów, a następnie znika w ciemnościach. Ruchami przypominała mu Asie i tęsknota niewidzialną ręką targnęła jego sercem. Myśl wydała mu się absurdalna, przecież nigdy nie puszczono by jej samej na noc do nieznanego miasta. Zapewne to ktoś z wysiedleńców, na rodowitą mieszkankę Ługi nie wygląda, a poza tym krój palta nietutejszy i nie ma walonek, lecz buciki!

Niemal w tej samej minucie usłyszał głos Niny:

– Jeżeli się jeszcze nie położyłeś, to proszę przyjść! – ktoś się dobija, a ja się boję!... Proszę bez pytania nie otwierać. Wokół pełno bandytów! – szeptała drepcząc za nim ze świecą. Oleg jednak kierowany instynktownym przekonaniem, które owładnęło każdym jego fibrem, gwałtownie otworzył drzwi.

– Oleg! Ty tutaj? Co za szczęście!

– Droga, kochana, najmilsza! Przyjechałaś! Zaczęło mi się wydawać, że więcej cię nie zobaczę, że znikniesz z mego życia tak nagle, jak się w nim pojawiłaś! – Wziął żonę na ręce i przeniósł do

pokoju, ukląkł i obejmując jej nogi przytulił do nich głowę.

– Trafił ci się mąż pechowiec! Nie dość, że nie może niczego ci zapewnić, to jeszcze musisz tułać się za nim po zapadłych dziurach!

– Taki mi się dostał, jakiego kocham! – odpowiedziała Asia wicherząc jego włosy. – Ogarnęła mnie tęsknota i niepokój! Przecież minęły już cztery dni. Babcia i madame widząc, że cichcem popłakuję, ulitowały się i zgodziły na mój wyjazd do Niny. A co to za pies? – Poglaskała Markiza, który wielce taktownie machał ogonem, czekając aż go przedstawią. – Byłam niemal pewna, że zastanę ciebie u Niny – mówiła – sądziłyśmy, że dotrę jeszcze za dnia, babcia przypomniała sobie, iż kiedyś do Ługi kursował ekspres, ale mój pociąg włókł się całe cztery godziny, a potem jeszcze dwie błąkałam się po mieście szukając domu literatów. Przywiozłam plecak pełen żywności – babci udało się nareszcie sprzedać serwis do kawy. No, a teraz ugośćcie herbata!

„Wciąż jeszcze w rozgrywce z życiem udaje mi się wyrwać piękne chwile” – pomyślał, słysząc jak Asia w pustym salonie gra Schuberta na rozstrojonym pianinie.

W dniach rozłąki nagromadził w sobie mnóstwo słów i przemyśleń, lecz dopiero gdy położyli się spać na jednej z rozłożystych kanap i zachwycali wymalowanymi przez mróz oknami, oświetlonymi blaskiem księżycowej pełni, zaczął mówić o tym, co go przepełniało.

– Nie mogę zapomnieć twoich słów o „cierpieniach Rosji!** Mam z sobą tomik poezji Błoka i rozczytuję się w „Kulikowym Polu”. Znajdują się w tym utworze subtelności, które mogą pojąć tylko nieliczni. I to wówczas, gdy są Rosjanami, kochają Rosję, muszą wiele wiedzieć i rozumieć, wreszcie być ludźmi wysokiej kultury i z bogatą wyobraźnią. Wymogom tym mniej więcej odpowiadamy. Nie mam pretensji do rozległej erudycji czy wyjątkowej mądrości, być może nie docierają do mnie tysiące subtelnych aluzji w innych utworach, lecz ten poemat został napisany jakby specjalnie dla mnie! Zawarte w nim

niedopowiedzenia stają się czytelne i wywołują we mnie całą gamę odczuć, skłaniają do licznych refleksji! Nie są one konkretne, niemniej niezwykle silne i nachodzą mnie kolejnymi falami... „O, Rusi! Żono ma! Do bólu – w nasze oczy / Ta droga się wraziła” lub „Jam nie pierwszy, który padnie w bitwie, / Nieraz będzie ojczyzna raniona.”⁶⁹ W wierszach tych znajduję treści, których nie umiem wypowiedzieć słowami... Te tajemne hasła-zawołania tkwią w mojej duszy! Oblicze – nie człowieczą ręką na tarczy wojownika uczynione – dla mnie twoje ma rysy, to ty gościsz w mej duszy, kiedy odczuwam potrzebę błogosławieństwa lub pociechy. Twoje preludium umożliwiło mi głębsze zrozumienie poematu Błoka, pod twoim wpływem zrodziła się we mnie myśl o minionych cierpieniach Rosji i poczułem się za nie jakby odpowiedzialny. Uwierzysz mi zapewne, że z radością gotów byłbym umrzeć, gdyby moja śmierć mogła przynieść ojczyźnie ratunek. Nie są to puste słowa; rozczulanie się nad sobą, drzenie o własną egzystencję od młodości zdawało mi się małostkowe, żalosne, niegodne. Na froncie nie szczędziłem sobie i wysiłki, które podejmowałem, aby przewyciężyć instynkt samozachowawczy, traktowałem jako sportowy trening. Cieszyłem się opinią śmiałka i chyba zasłużenie otrzymałem dwa Krzyże św. Jerzego oraz Włodzimierza z Mieczami. Za męstwo miałem nawet dostać złotą szablę. I jaki był finał? Wojna z Niemcami? Jej zakończenie zostało przez bolszewików wypaczone, zhańbione, zbrukane. Walki z Armią Czerwoną doprowadziły do klęski i katuszy, którym nie widać końca... Jakże byli szczęśliwi nasi przodkowie – witezie ruscy w bitwie na Kulikowym Polu! Nie trapiły ich wątpliwości, wszystko było czyste, szlachetne! Teraz zagubiliśmy słuszną drogę – „Nie słyhać dziwnej bitwy gromu, / Nie widać błyskawicy boju”.⁷⁰ Z wielkim żalem myślę nieraz, że umrę, nim dojdzie do bitwy o wolność, zginę w lochu czy na więziennym podwórzu... Czasem widzę je we śnie. I nie będzie mi towarzyszyła w ostatniej minucie radosna świadomość, że ojczyzna powstała i ocalona rozkwita... Kiedy przyjdzie godzina zapłaty... pomódl się... „Niechże wspomni

⁶⁹ A. Błok, „Na Kulikowym Polu”, przeł. Seweryn Pollak.

⁷⁰ A. Błok, „Na Kulikowym Polu”, przeł. Seweryn Pollak.

przy rannej modlitwie / Swego druha – jasna moja żona!”⁷¹ – Słuchała w milczeniu nie spuszczać z niego smutnego uważnego spojrzenia, nie oponowała, nie zaprzeczyła: „Nie zginiesz”, nie zadeklarowała: „Jeśli umrzesz, umrę i ja” – tylko ujęła jego rękę i pocałowała.

– Pomodłę się – cichutko wyszeptała...

Do tartaku Olega nie przyjęto ze względu na brak obiecanych wcześniej dodatkowych etatów. Po kilku dniach szczęście się do niego uśmiechnęło i zaczął pracować jako niewykwalifikowany robotnik przy naprawie dróg i mostów. Zarobek był skromny, ale i z niego był zadowolony. W przeddzień pierwszego wolnego od pracy dnia pojechał do domu, żeby spędzić noc, dzień i po kolejnej nocy o świcie wyjechać. Sytuacja domowa nie sprzyjała nielegalnym odwiedzinom: już pierwszego wieczoru milicja, w dalszym ciągu polująca na Edwarda, urządziła nalot. Oleg przezornie nie poszedł otworzyć drzwi, a milicjanci prawie natychmiast odeszli, niemniej żona „czerwonego kursanta” oświadczyła rano w kuchni: „Życie w tym mieszkaniu staje się nie do zniesienia przez nielegalnie przebywające w nim osoby”. Odnosiło się to do młodego Chryczki i oczywiście Olega. Kławdia obruszyła się na sąsiadkę:

– Zdradliwa żmija! Urządziła się, że lepiej nie można, i kąsa! Nie wszyscy są tacy zadowoleni i nażarci, jak ty. Dzwonki spać jej nie dają, też mi coś! A kiedy mój mąż przychodzi z nocnej zmiany i kładzie się, to ty, co, nie budzisz go swymi patefonami? Do administracji doniesiesz? A ja wezmę i powiem, nie, nie im, a twojemu mężowi, że jak tylko na delegację wyjechał, do ciebie zaraz wojskowy z dwoma belkami zaczął przyłazić...

Gdy Edwarda wreszcie aresztowano, Kławdia skwitowała ten fakt: „A niech go! Zamęczył nas! Może w kolonii rozumu nabierze”. Niemniej w ciągu dnia popłakiwała. Po dwóch tygodniach Edward drapnął z poprawczaka i od nowa zaczęły się jego nielegalne

wizyty w mieszkaniu, a także dzwonki dozorców i milicjantów. Oleg musiał więc zachowywać się szczególnie ostrożnie, zwłaszcza, że należało strzec się żony „czerwonego kursanta”.

– Czy tej wydry nie ma w korytarzu? Mogę pójść do łazienki?
– pytał.

– Poczekaj, sprawdzę, czy droga wolna – odpowiadała Asia.

Obecność Olega stale jednak zdradzał Sławeczek dźwięcznymi okrzykami „papa”. Wydra sterroryzowała całą kobiecą społeczność mieszkania; kiedy pojawiała się w kuchni, budziła paniczny strach w Asi, madame i Kławdii, której dobroduszna okrągła fizjonomia wydawała się wręcz sympatyczna w porównaniu z wyniośle ściągniętymi wargami i zadartym nosem wypacykowanej damy nowej formacji ustrojowej.

– W łazience podłoga zalana, pewnie wasz mąż mył się pod prysznicem – mówiła do Asi i ta, bojąc się zaprzeczyć, biegła ze ścierką, chociaż znała wyjątkową pedanterię Olega.

– Przedpokój znowu zdeptany, wasz syn, jak przejdzie, zawsze zostawia ślady – przygadywała Kławdii, która z kolei, jeśli nawet Edward nie pojawiał się, chwytiała za szmatę.

Kilka razy Oleg przekonywał siebie, iż dla uniknięcia nieprzyjemności nie powinien jechać do domu. Milicja za nielegalny pobyt w mieszkaniu nocą ściagała karę w wysokości pięćdziesięciu rubli i tyleż samo od osoby, która udzieliła schronienia. Sto rubli mogło dotkliwie nadwyrężyć ich miesięczny budżet, lecz gdy w myślach starał się wyważyć tę sumę z możliwością ujrzenia rodziny – ta ostatnia przechylała szalę.

– A nuż się uda! – uspokajał się i pędził na dworzec, ogarnięty radosnym oczekiwaniem. Szlachecka niepraktyczność, nakazująca traktowanie pieniędzy jako czegoś nie zasługującego na uwagę, ułatwiała decyzję – jakoś sobie poradzimy! Czy rzeczywiście miałby przez oszczędność rezygnować ze spotkania z najbliższymi? Natalia Pawłowna i Asia przyznały mu słuszność, wysuwając dodatkowy argument. Gdyby za nielegalny przyjazd

groziło więzienie, sprawa przedstawiałaby się poważniej! Dopóki jednak znajduje się ona w gestii milicji, sytuacja jest znośna i jego odwiedziny nie powinny mieć zbyt tragicznych następstw. Kiedyś Oleg, opuszczając świtem dom, natknął się w przedpokoju na Edwarda. Była piąta, spieszył się na pociąg i Asia, jeszcze w szlafroczku, wpychała mu do kieszeni kanapki i cukier, gdy Kławdia ostrożnie wyjrzała, następnie współczująco mruknęła: „Złamanego grosza nie warte takie życie!” – Otworzyła bezszelestnie frontowe drzwi, żeby wypuścić Edwarda, a potem cofnęła się, przepuszczając spieszącego się Olega. „Szczęśliwej drogi!” – znowu zamruczała i życzenie jej odnosiło się bodaj do obydwu.

Oleg zbiegł po schodach i wyminął chłopca, który powłókł się za nim. Nie chcąc niepotrzebnie pokazywać się na oczy dozorcóm, upodobał sobie przejście przez sąsiednie podwórko i gdy teraz doszedł do głuchego zakątka z niewysokim murkiem, oddzielającym ich podwórze od sąsiedniego, zręcznie jak gimnastyk podciągnął się na rękach i usiadł na jego szczycie. Edward, za niski, aby go naśladować, spoglądał nań z dołu z zazdrością. Olegowi nagle zrobiło się żal chłopca; po raz pierwszy dostrzegł wymizerowanie, chudość, a także podarte palto wyrostka.

– Stań na tym kamieniu i daj rękę, podciągnę cię – zaproponował. Lecz potem z odrazą wytarł ręce śniegiem i odszedł, nie oglądając się za siebie. „Ładnego mam współtowarzysza niedoli! – pomyślał – nie ma co mówić!”

Osamotnienie Olega na zesłaniu dzieliła Nina oraz Markiz. Gdy po pierwszym pobycie u rodziny wysiadł w Łudzę z pociągu, dostrzegł psią mordkę z długimi uszami. Pies beznadziejnym spojrzeniem lustrował wagony, możliwe że już od kilku godzin sterczał na stacji pod osypującą się brudną ścianą, głodny i zmarznięty. Nie wiadomo, jak długo gotów był czekać. Krótkowzroczny seter nie dostrzegł pana, który już go zobaczył, wisząc na stopniach wagonu.

– Markiz! – zawołał; pies drgnął i w rozpędzie skoczył mu na

pierś.

Następnym razem, zanim wyjechał, poprosił gospodynię o nakarmienie psa podczas jego nieobecności i zostawił na ten cel trzy ruble, nie będąc przekonanym, że zostaną wydane zgodnie z przeznaczeniem. Przywiązanie Markiza wzruszało go, lubił samotne z nim spacerować po lesie. Przeznaczał na nie wolny czas, byle nie siedzieć w izbie u staruchy. Pokonywał nieraz w ciągu dnia i przy każdej pogodzie po piętnaście – dwadzieścia wiorst. Wychodząc z pociągu, za każdym razem niespokojnie szukał oczami kudłatego przyjaciela w obawie, żeby gdzieś się nie zapodział. Jego uporczywie „nie otwierające się szerzej serce” było jednak stałe w rzadko okazywanych uczuciach, i taki widocznie był też Markiz!

Do Niny Oleg zaglądał ze dwa razy w tygodniu, przynosił jej opał z lasu, i spędzał z nią wieczory. Śpiewała jego ulubione romanse i piła herbatę; pochłonięci niewesołymi rozmowami przesiadywali nieraz do rana. Życie stopniowo się normowało. Czasem udawało mu się wmówić w siebie, iż przez wysiedlenie wypadł z pola obserwacji Naga, który być może o nim zapomni. Nadchodząca wiosna niosła radosną zapowiedź przyjazdu rodziny. Wokół Ługi ciągnęły się wspaniałe iglaste lasy i, brnąc przez leżące jeszcze zasy, wyobrażał sobie, jak okolice te spodoba się Asi i jak będą przechadzać się po nich ze Sławeczkiem, jeżeli... Bez tego Jeżeli” nie obywat się żaden zamiar ani marzenie.

Rozdział trzydziesty

Od kilku dni nie widać było przy szpitalnej windzie dostojnej postaci portiera; wysłana przez administrację sanitariuszka przyniosła wiadomość, że Ariefij Michajłowicz zachorował; równocześnie rozeszły się słuchy, że ma nieprzyjemności, gdyż jego żona w mocno podeszłym wieku, została aresztowana.

Gdy dowiedziała się o tym Elżbietka, natychmiast do niego się wybrała i zastała go opuszczonego, leżącego w łóżku w nie posprzątanym pokoju. Starzec o bohaterskiej posturze opowiedział o nieszczęściu, jakie na niego spadło. Otóż jego szwagier, który pracował przy spławie drzewa, po powrocie z kolejnej wyprawy zwyczajowo wypijał „ćwiarteczkę”; tym razem przebrał miarę, zaczął rozrabiać, potłukł jakieś szyby i trafił na milicję. Małżonka Ariefij a Michajłowicza zaniósła bratu paczkę, której dyżurny nie chciał przyjąć; słowo po słowie doszło do połajanki, milicjant pchnął szanowną portierową, ta wpadła w kałużę i zniszczyła swoją nową salopę. Zaczęła wówczas w furii wykrzykiwać: „Ech, ty zasmarkany niedołego! Ważniaków odstawiacie, a tylko sadłem obrośliście! Napłodziła was, pasożytów, władza sowiecka, niech ją diabli! Ludzie, co uczciwie pracują – patrzcie – grosze dostają, a wy tutaj tylko żrecie! Mordy wam od tłuszczu rozpuchły!” Wreszcie niedługo myśląc zerwała ze ściany portret Stalina i cisnęła nim w milicjanta. Podskoczyli wówczas towarzysze, przytrzymali rozwścieczoną staruszkę, zapewniając przy tym, że nie darują obrazy. I rzeczywiście uruchomili wszystkie chody, jakimi dysponowali, i starą kobietę szybko skazano na trzy miesiące aresztu za chuligaństwo.

Z kolei oburzył się Ariefij Michajłowicz; poradził się prawników, odwołał do sądu rejonowego i doprowadził do rewizji sprawy, lecz w drugiej instancji zwrócono uwagę na aspekt dotychczas pomijany, mianowicie na stłuczony portret wodza i przyjaciela narodów oraz na niedopuszczalne wyzwiska pod adresem sowieckiej władzy. Nieoczekiwanie nieszczęsną małżonkę portiera oskarżono z artykułu pięćdziesiątego ósmego i zasądzono na pięć lat obozu.

– Sam, własnymi rękoma utopiłem moją starą, Elżbieto Giorgiewno! Tak odsiedziałyby trzy miesiące – i kwita, ale we mnie serce się wzburzyło i zgubiłem ją. Stamtąd pewnikiem nie wyjdzie, stara już jest.

Gdy następnego dnia w szpitalu Elżbietka opowiadała na schodach całą tę historię salowej Pelagii Pietrownie, przechodzący obok nowy felczer z izby przyjęć, partyjniak, zatrzymał się i spytał:

– Czy byliście u Ariefij a Michajłowicza? Co u niego? Elżbietka natychmiast przybrała wyniosłą postawę i ze złością wycedziła:

– Niedobrze, żonę mu zamknęli z artykułu pięćdziesiątego ósmego, on zaś miał atak serca, leży sam, bez opieki, płacze.

Na twarzy felczera pojawił się wyraz zatroskania:

– Trzeba by dla niego coś zrobić! Kolektyw powinien pomóc koledze, chociażby zanieść mu trochę jedzenia albo wydelegować kogoś do posprzątania pokoju... Może razem to zorganizujemy.

Elżbietka ze zdziwieniem popatrzyła na młodego człowieka: wystarczyło bowiem, żeby mignął choćby cień artykułu pięćdziesiątego ósmego, a partyjni czmychali jak najdalej, tymczasem ten...!

– Niczego nie będę organizować! Raz spróbowałam i przewodniczący rady zakładowej zrobił mi awanturę. Do Ariefija Michajłowicza naturalnie pójdę, ale samorzutnie. A za organizowanie pomocy sami się weźcie – i odeszła z niezmiennie wyniosłą miną.

Zaraz potem lekka grypa zatrzymała ją w łóżku; pierwszego dnia po wyzdrowieniu wyszła z domu, aby załatwić w przychodni zwolnienie, i gdy wracała, uwagę jej przyciągnął sobór Przemienienia Pańskiego, obok którego przechodziła. Dawno przestała stawiać świece, całować ikony, jednakże nachodziła ją czasami potrzeba, żeby postać w tej uroczystej ciszy, pograć się w myślach, zwrócić się z błagalną modlitwą do Najwyższego Miłosierdzia. Przekraczając próg świątyni przypomniawszy sobie

szkolną cerkiew i żarliwe dziecięce pacierze o uratowanie Rosji.

„Pokój z wami” – rozległ się głos od ołtarza i Elżbietka bezwiednie pochyliła czoło, jak niegdyś, gdy niczym zboże na wietrze schylały się szeregi przykrytych chustkami głów.

Dzień był powszedni i w soborze, poza stale modlącymi się zgrzybiałymi staruszkami, które kuśtykały od ikony do ikony i całowały się przy spotkaniu, wiało pustką.

Ani cisza, ani podniosły nastrój nie uspokoiły Elżbietki. Zdenerwował ją list, jaki tegoż ranka otrzymała ze Swierdłowska od najmłodszej ze swych ciotek, jedynej, która pozostała w kraju.

„W najbliższym czasie wyjeżdżam do męża, który pracuje w Komsomolsku, w aparacie partyjnym. Miasto rozbudowuje się w fantastycznym tempie. Pragnę osobiście włączyć się do tej pracy. Może i Ty byś się na to zdobyła? Przyjeżdżaj do nas! Pielęgniarka wszędzie znajdzie chleb. Kiedy na własne oczy zobaczysz twórczy kolektywny wysiłek, być może na wiele spraw popatrzysz inaczej. Przypomnij sobie, że ojciec Twój oddał życie za lud, a matka była skromną wiejską nauczycielką. Nasza rodzina zawsze miała postępowe poglądy. Teraz, gdy całe społeczeństwo patrzy w przyszłość, czyżbyśmy miały wlec się w ogonie?”

List ją wzburzył.

„Partyjniak w naszej rodzinie, co za hańba! Najać się do pracy w Komsomolsku?! A czym się tutaj zajmuję! Czy nie pracuję? Czyż nie jestem potrzebna? Twórczy kolektywny wysiłek! Przecież tam co najmniej połowa z nich to więźniowie. Wszak niedawno w procesie «złotej młodzieży» wszystkich skazanych wysłano do Komsomolska, podobnie jak młodych marynarzy, którzy wznieśli toast za banderę św. Andrzeja”.

Rozległy się słowa „Ojczyzna nasza”, Elżbietka przesunęła się nieco do przodu i nagle dostrzegła znajomą główkę na smukłej szyjce, w aksamitnym wytartym berecie w kolorze *gris perle* oraz dwa długie kasztanowe warkocze. Też z nutami i kartofle w siatce świadczyły, że ich właścicielka również wstąpiła do soboru

po drodze, na chwilę. Podkrążone niebieskimi cieniami oczy Asi wpatrzone były w ołtarz, a wyraz jej twarzy wydał się Elżbietce tak uduchowiony, że powściągnęła chęć zbliżenia się i dotknięcia jej ramienia. Po kilku minutach Asia podniosła się z kolan, niespokojnie spojrzała na zegar stojący w rogu świątyni i szybkim krokiem zbliżyła się do ikony Dnia Świętego. Delikatnie położyła przed nią dwie piękne róże, potem przeżegnała się i pospiesznie skierowała do wyjścia. Elżbietka dopędziła ją przy samych drzwiach; rozmawiały szeptem, lecz odpowiadając na pytania o zdrowie dziecka i sprawy Olega w Łudzę, Asia jakoś dziwnie trwożnie rozglądała się wokół i nagle zmieniła wątek rozmowy:

– Chciałam prosić, żebyś nie mówiła babci o naszym spotkaniu, a także o różach...

– Dobrze, nie powiem, zresztą wątpię, czy w najbliższym czasie zobaczę Natalię Pawłownę. Ale co mogłaby mieć przeciwko, przecież sama jest wierząca? – zdziwiła się Elżbietka.

– Widzisz, często mnie ganią za nazbyt długie przebywanie poza domem. Twierdzą wówczas, że zatrzymałam się dłużej w szkole muzycznej, a tymczasem w drodze powrotnej wstępuję tutaj. Czuję potrzebę bodaj na chwilę uklęknąć, a w domu tyle pracy, Sławeczka ani na moment nie można zostawić samego, pranie, wystawanie w kolejkach... Wszyscy jesteśmy już bardzo znużeni! W cerkwi bywam nielegalnie – uśmiechnęła się ze skruchą.

Po rozstaniu z Asią Elżbietka przypominała sobie jej słowa o tym, że Oleg ma dzień wolny, lecz nie zobaczą się, gdyż wzajemne odwiedzanie dużo kosztuje i postanowili zaoszczędzić na biletach; nieoczekiwanie podjęła decyzję odwiedzenia wygnańca. W wyobraźni widziała już wspólną przechadzkę po lesie i jedną z tych rozmów, które tak inspirowały ją duchowo. Pospiesznie wróciła do domu, zapakowała do siatki trochę jedzenia i popędziła na dworzec. Filcowy kapelusik z ptasim skrzydełkiem i maleńka mufka dyndająca na staromodnym łańcuszku z drewnianych paciorków nadawały jej charakterystyczny staroświecki wygląd. W Łudzę wychodząc z pociągu zobaczyła na peronie Olega; nawet w

swetrze z wielbłądziej wełny i wysokich butach wyróżniał się wytworną sylwetką. Oczekiwał na kogoś, może żywił cichą nadzieję, że Asia naruszy umowę. „Zaraz mnie dojrzy – pomyślała – i rozczaruje się!” Jednakże niczym nie uzewnętrznił swego zawodu.

– Bardzo, ogromnie jestem wzruszony! – powiedział ściskając jej rękę.

Idąc przez miasto Elżbietka kilkakrotnie zauważyła ludzi o inteligenckim wyglądzie, zajętych dźwiganiem kłoców drzewa bądź skuwaniem lodu z chodników. W pewnym momencie przyciągnęła jej uwagę starsza dama o wyjątkowo nobliwym wyglądzie, która pośrodku ulicy zmagala się z łomem, na próżno próbując skruszyć lód. Trochę dalej przeciął im drogę wóz asenizacyjny, woźnica popędzając klacz ciągnącą ten elegancki pojazd, nucił arię z „Księżniczki czardasza” i Elżbietka gotowa była pójść o zakład, że doświadczonego okiem rozpoznała w nim byłego oficera. Wszystko to sprawiało dość przygnębiające wrażenie... Na ulicach miasteczka widać już było wiosnę: topniejący w ostrym marcowym słońcu śnieg, kapanina z dachów, ćwierkanie wróbli... Pomimo to Elżbietkę ogarnęło uczucie chłodu i obcości – może pod wpływem czystego rzeńskiego powietrza czy samolubnych obaw... Okazało się, iż nie mają dokąd pójść:

– Nie zaryzykuję zaproszenia na mój kufer – zażartował. Całą nadzieję pokładała w rozmowie, którą niełatwo było rozpocząć. Wymieniając spostrzeżenia o życiowych trudnościach i sytuacji Asi, doszli do mostu na rzeczce Łudzę i niespodziewanie natknęli się na felczera ze szpitala.

– A ja właśnie was szukam – zwrócił się do Olega. Elżbietkę zaszokowała ich bliska znajomość. Z rozmowy wynikało, że Wiaczesław przyjechał porannym pociągiem ze sprawą, po której załatwieniu postanowił odwiedzić Olega. Nie miał ochoty rozwodzić się nad przyczyną przyjazdu, która przedstawiała się następująco: poprzedniego dnia, gdy był sam w domu, nagle rozległ się dzwonek i po otwarciu drzwi zobaczył dwóch chłopców, pewnie braci – czarnookich, bystrych, starszy miał z dziesięć lat.

– Proszę nas wpuścić! Wpuścić i ukryć! Szybciej! – i obaj wpadli do kuchni, przy czym starszy przezornie zamknął za sobą drzwi.

– Czego się boicie? Przed kim mam was schować? – spytał stojąc pośrodku kuchni.

– GPU! GPU! Numerowany, całodobowy! Ratujcie, ukryjcie! – powtarzali obydwoj.

– Gadajcie z sensem, o co chodzi! – podniósł głos Wiaczesław.

Wówczas starszy chłopiec śmiało patrząc mu w oczy odpowiedział:

– Jesteśmy z mieszkania na pierwszym piętrze, GPU chce nas umieścić w specjalnym domu dziecka, do którego nie chcemy iść. Obiecała przyjechać po nas ciocia. Ukryjcie nas.

– A wasi rodzice?

– Mama niedawno zmarła, a tata był proboszczem w soborze. Boryka, nie rycz, pozwól opowiedzieć. Papa mówił, że jeśli go aresztują, powinniśmy pojechać do cioci. Wczoraj go zabrali, a nam powiedzieli, że przyjdą po nas i właśnie przyszli, uciekliśmy kuchennymi schodami. Towarzyszu robotniku, nie zdradźcie nas, pozwólcie przenocować, a jutro rano pojedziemy – ciocia mieszka w Łudzę.

Wiaczesław się zamyślił.

– Czy macie jej adres?

– Tak, o tutaj – przyszyty do krzyżyka – i starszy chłopiec rozpiął kołnierz kurtki.

– Pokaż ten paperek. Kto to pisał?

– Nasz tata.

U drzwi wejściowych rozległ się dzwonek; chłopcy zapiszczeili i trzymając się za ręce pobiegli w głąb korytarza, Wiaczesław za nimi.

– Zatrzymajcie się, smyki – chodźcie tutaj do mego pokoju. Siedźcie cicho, nie wydam was.

Poszedł do kuchni, żeby otworzyć.

– Wy do kogo obywatelu?

– Wybaczcie, towarzyszu! Czy byli może u was dwaj chłopcy? Mam rozkaz doprowadzenia ich pod wskazany adres, już bite pół godziny uganiam się za nimi, cały się spościłem i zasapałem.

– Nie widziałem nikogo i nic nie słyszałem – Wiaczesław zamknął drzwi.

– Już sobie poszli – powiedział wracając do dzieci. – Nie wiem jednak, czy dobrze się stało – w domu dziecka będą was żywić, ubierać i uczyć. A co może zrobić dla was ciotka? Czy w ogóle zechce was przyjąć!

– Tak, przecież obiecała. Tato mówił: jeżeli będziecie u niej, nigdzie was nie zabiorą. A do sierocińca nie chcemy: tam sługi Antychrysta będą nas uczyć bezbożnictwa, a poza tym pogubimy się i papa nas nie odnajdzie. Tak stało się z rodziną jednego z parafian ojca.

– Sługi Antychrysta? Głupoty pleciecie! Durniście jeszcze. Słuchajcie: jutro odwiozę was do Ługi, lecz jeśli waszej ciotki nie znajdziemy, albo nie zechce was przyjąć, osobiście przekażę was ludziom, którzy dopiero co przychodzili, zrozumcie, że chcą waszego dobra. A dzisiaj zostajecie u mnie. Zaraz napijemy się herbaty, tylko oczy wytrzyjcie – wilgoci i tak tu dosyć.

Nazajutrz najwcześniejszym pociągiem Wiaczesław odwiózł chłopców do Ługi. Ciotkę znaleźli dokładnie pod adresem zapisanym ręką duchownego. Była to szczupła, smagła kobieta o wyglądzie suchotnicy, również z wielkimi czarnymi oczami.

– O Boże, Mikoło Litościwy! Chodźcie, chodźcie do mnie! Przyjmę. Jak mogłabym nie przygarnąć, skoro przed Bogiem przysięgałam! Wezmę, przecież to mój chrześniak – wysunęła spod szarej chusty wychudzoną rękę i czule pogłaskała młodszego chłopca.

Domek był stary, drewniany, pokój ciemny, zagracony... Wiaczesław poczuł skurcz w sercu.

– Z czego będę ich utrzymywać? Bóg nie opuści. Krawiectwem się trochę zajmuję, głodować im nie dam. Niech Bóg was błogosławi za opiekę nad dziećmi – i znowu pogłaskała chłopca po głowie. – Wejdźcie, rozgrzejcie się herbatą. Czym chata bogata, tym rada – dodała zwracając się do Wiaczesława.

– Chodźmy, idziemy! – starszy chłopiec zaczął ciągnąć Wiaczesława za rękaw. – Pewno też należycie do naszej parafii?

Wiaczesław uśmiechnął się, chciał powiedzieć, że jest członkiem partii i w cerkwi nie ma czego szukać, ale zamiast tego nagle wymamrotał, że czasu mu niby brakuje, musi jeszcze dokądś zdążyć. Odwrócił się i poszedł przeskakując kałuże.

Starszy chłopiec dopędził go:

– Ciocia Mania powiedziała, żebyście nas odwiedzali. Przyjeżdżajcie. I powiedzcie, jak macie na imię – będziemy się za was modlić.

Wiaczesław popatrzył wnikliwie w oczy dziecka:

– Nie są mi potrzebne wasze modlitwy! Tylko wiesz co, nie uważaj wszystkich partyjnych za donosicieli i nikczemników – jest to bardziej złożone, rozumiesz?

Poszukując Olega nie mógł opędzić się wrażeniu, że coraz głębiej i głębiej wchodzi w klasowo wrogie mu środowisko, że jego myśli zaczynają robaczywieć... Oleg i Nina, na jego oczach pozbawieni pracy i oderwani od rodziny, kobieta siedząca w kuchni na parapecie, stary portier złamany nieszczęściem, a teraz te przestraszone dzieci – nieodstępnie towarzyszyli jego rozważaniom. Byli klasowymi przeciwnikami, już napiętnowanymi, lecz nie mógł nie dostrzec piękna ich cech ludzkich! Zza postaci popa – najgorszego z ideowych wrogów – wyłaniał się ojciec, zawieszający drżącą ręką szkaplerz na szyi synka. A ta „ciocia Mania”? Fanatyczna dewotka, też oczywiście nienawidząca sowieckiego ustroju i przy tym krawcowa,

chałupnica-indywidualistka, ukrywająca się przed wszystkowiedzącymi oczami inspektora skarbowego. Ileż w nich miłości! Jaka – granicząca z bohaterstwem – gotowość do poświęceń! Ludzie ci doznali trudnych do zapomnienia krzywd i niełatwo osądzić ich nieprzyjazną postawę, niemniej skąd ów bezmiar pogardy i nieufności wobec władzy sowieckiej? Wszak tyle uwagi poświęca ona wychowaniu dzieci i ogromne sumy łoży na domy dziecka, szkoły i żłobki – a mimo to budzi paniczny strach, zaś wyobrażenia o komunistach sprowadzają się do stereotypu zdrajcy, niemal kata! Dlaczego?

Ledwo komunista Konoplannikow postanowił, że nie będzie szukać Olega, który swoimi wywodami jeszcze bardziej podważy jego zdawałoby się nienaruszalne zasady, gdy od razu natknął się na niego, Elżbietkę oraz psa, W tej sytuacji wypadało podjąć rozmowę ze sfrustrowaną trójką, przy czym seter obwąchiwał Wiaczesława wyraźnie nieżyczliwie.

Oleg zaproponował gościom pójście do Niny, której doskwiera samotność, a która poza tym może poczęstować ich mocną gorącą herbatą, jako że do dyspozycji ma cały dom oraz taki skarb jak prymus. Nina istotnie przywitała gości niezwykle serdecznie. Zastali u niej siwą staruszkę z kręgu wysiedleńców, z którą akurat piły herbatę, tak że marzenia o czymś gorącym mogły od razu się spełnić. Okazało się, że staruszka przy zadziwiającej odwadze, ma język jeszcze bardziej cięty niż Oleg. Ni z tego, ni z owego zaskoczyła Ninę dłuższą tyradą:

– Czemu mnie pani trąca, moja miła? Czy ma to być ostrzeżenie, żebym uważała? A ja, za pozwoleniem, nigdy niczego się nie boję... Czy jest pan w partii, miły chłopcze? Ach tak! Od razu się domyśliłam! – I jak nie zacznie bić po czułych miejscach: – Co za głupstwa do głowy nam wbijacie, że niby Stalin był ukochanym uczniem Lenina? Wciąż bębnicie o tym w gazetach i przemówieniach! Tymczasem starzy rewolucjoniści doskonale wiedzą, że Lenin nie ufał Stalinowi i mówił o nim: mściwy, żądny władzy, „nie pozwólcie, żeby stanął na czele!” Znałam Krupską i sama od niej słyszałam.

Wiaczesław nie zdążył jeszcze przetrwać wzmianki o Krupskiej, która podziałała na niego jak pchnięcie nożem, gdy staruszka podjęła nowy atak:

– Ech, nie potrafiła wasza partia wychować młodzieży! Wspominam nasze pokolenie! Ile w nas było gotowości do poświęceń za lud, absolutnie bezinteresownego samozaparcia. Pracowałam kiedyś przy zwalczaniu epidemii dżumy. Rząd carski do akcji tej nie posyłał nikogo pod przymusem, nie groził pozbawieniem pracy, jak dzieje się teraz. Ogłaszano oficjalnie nabór na ściśle dobrowolnej zasadzie, niemniej od ochotników nie można się było opędnąć i nikt sam nie rezygnował – mówi wam to naoczny świadek! A jakie śmiałe płomienne przemówienia wygłaszano nieraz na naszych studenckich zebraniach i wiecach! Nie trzymaliśmy się kurczowo lukratywnych posiadłości i nie powtarzaliśmy jak papugi gazetowych frazesów!

Ostatnia tyrada nie była może tak przekonująca, jak pierwsza, ale odpowiadała osobistym obserwacjom Wiaczesława. Tylko że wniosków, do jakich doszedł na ich podstawie, nie potrafił dotąd ściśle sprecyzować i dopiero obecnie uświadomił sobie, że coś podobnego sam zauważał i boleśnie przeżywał. Czuł się coraz bardziej niepewnie, nieswojo. Na jego szczęście przyszli do Niny około piątej, a o siódmej musieli się już zbierać do wieczornego pociągu, dlatego też niemiła rozmowa nie mogła się przeciągnąć.

W wagonie znowu osaczyły go te same myśli; nie promieniowała też radością życia siedząca na przeciwległej ławce pielęgniarzka i gotów był pójść o zakład, że i z niej zaciekle kontrrewolucjonistka. Świadczył o tym cały jej wygląd, łącznie z zabawną mufką na łańcuszku z czarnych paciorków, a jeszcze bardziej – wyniosłe milczenie.

Dopiero następnego dnia rano, szykując się do pracy, trochę się pozbierał, udało mu się przekonać siebie, że w znacznym stopniu są to zapewne wymysły wrogów klasowych, a częściowo skutek przegięć władz lokalnych, nie bez znaczenia jest też sabotaż uprawiany przez trockistów i bucharinowców, którzy

przeniknęli do administracji. Słusznie więc partia przeprowadza czystkę wśród swoich szeregowych członków i w aparacie. Słowo „czystka” uspokoiło go. W samej rzeczy: gdyby Rady i wielki Stalin sądzili, że nic złego się nie dzieje, nie wzywaliby do niej, ale jeżeli już padło takie wezwanie, to widocznie na górze dostrzegli błędy i wydali im bezwzględna walke, po bolszewicku! Znowu wszystko stało się dla niego zrozumiałe, powróciło na właściwe miejsce.

Urlop miał zaplanowany na maj. Pragnął pojechać do rodzinnej wsi, zobaczyć, jak tam się żyje, jakie nastąpiły w niej przemiany. Dawniej, bywało, zaglądał każdego lata, a teraz już piąty rok nosa nie pokazał. Odwiedzi ciotki i wujów, odetchnie wiejskim powietrzem, a że przyjedzie w toku akcji siewnej, na własne oczy zobaczy, jak się rodzą kołchozy. Pozbędzie się wówczas resztek wątpliwości i okrzepnie; zdarza się przecież czasem, że należy z samym sobą zrobić porządek. Tak się sprawy mają!

Starał się jakby nałożyć geograficzną siatkę na zawirowania swych myśli, żeby bezbłędnie określić chorobotwórcze źródło, a potem je bezlitośnie zniszczyć, unicestwiając w sobie wszelką kontrę.

Jednolity zwarty monolit jego poglądów został przywrócony.

Słudzy Antychrysta! Tylko nie to!

A tego świetnego czarnookiego chłopca owa ciocia Mania wypaczy nedorzecznym wychowaniem, a on, Wiaczesław, mógłby zrobić z niego porządnego obywatela!

Rozdział trzydziesty pierwszy

W sanatorium Lela znalazła się w atmosferze męskich zalotów i miłosnej rywalizacji, świat ten odurzył ją; mężczyźni byli bardziej prymitywni i prostacy, niż by sobie życzyła, lecz za to ujawniały się bezpośrednio ich instynkty i wyraźniej występowała samcza drapieżność, która jej się podobała. Pociągało ją igranie męskimi temperamentami. Rycerskość rozmagnesowanych przedstawicieli odchodzącej klasy od dawna wydawała się jej anemiczna i bezbarwna. Tego roku wszystkie jej doznania uczuciowe wiązały się z sanatorium. Pobyt w nim był niezwykle atrakcyjny, bowiem wokół tryskała życiem młodzież wesola i beztroska, której zainteresowania sprowadzały się wyłącznie do miłosnych przygód. Początkowo wydawało się Leli dziwne przyzwalanie na chwytanie za łokcie i ramiona, wysłuchiwanie dwuznacznych propozycji, uchylanie się od pocałunków, jednakże gra ta wciągała ją coraz mocniej. Zwłaszcza, że miała bezsporne powodzenie, a do tego cieszyła się opinią „trudnego orzeszka”. Żeńska połowa kuracjuszy zazdrościła jej – jak czuła – zarówno reputacji, jak i wdzięku. Powszechna ciekawość zdawała się oscylować wokół kwestii – czy i kto ją zdobędzie? Dyskutowano na ten temat otwarcie przy stolikach podczas obiadu, co sprawiało jej prawdziwą satysfakcję. W niektórych dziewczętach budziła wręcz nienawiść, co również wzmagало coraz bardziej jej powodzenie. Niemniej miała świadomość, że rozbudzanie w mężczyznach namiętności przynosi jej coraz większe zadowolenie.

Gdy pojawił się Giena Korsuński – „gwiazdor sezonu” – uplasował się wśród mężczyzn na podobnej, jak ona wśród kobiet, pozycji. Jej dotychczasowi zalotnicy jak gdyby się wycofali, oczyszczając mu pole działania i właśnie wówczas (może dlatego, iż zainteresował ją bardziej od innych), postanowiła zmusić go, żeby zrozumiał, jak różni się od pozostałych dziewcząt i wymaga wyjątkowej uwagi oraz szczególnie delikatnego traktowania. Widocznie zrozumiał, skoro uznał się za pokonanego, i zapragnął kontynuowania znajomości w Leningradzie. Teraz jednak nie dawał znaku życia.

Minął styczeń, a on się nie pojawiał! Znowu ujrzała wokół siebie pustkę... Czy ma poprzestać na towarzystwie matki, Natalii Pawłowny oraz Asi z Olegiem? Nadal prowadzić ascetyczny, pełen wyrzeczeń sposób życia, a w perspektywie przeobrazić się w złą, oschłą starą pannę? Miała zaledwie dwadzieścia dwa lata, a myślała o sobie niczym trzydziestolatka. Być może dlatego, że na jej oczach Asia tak lekko i szybko wyszła za mąż, pozostawiając ją jakby w położeniu przerośniętej uczennicy. Otoczenie widziało w niej nieodmiennie podlotka, zaś ona była w nastroju rezygnacji, przeniknięta obawą, że nie zazna nigdy żadnej radości. Myśl o tym rozdrażniała ją, znowu stawała się kostyczna, aż do uszczypliwości wobec matki, zobojętniały jej miłe chwile spędzane w domowym zaciszu, a oglądając w lustrze swoją ładną buzię myślała ze strachem, że i uroda wkrótce przeminie, a czas biegnie... Ale jak mogła temu zaradzić? Gdzie znaleźć wielbicieli, jakich sobie wymarzyła? Zrozumiała, czym grożą uciekające lata, i prześladowała ją teraz obawa przed ich zmarnowaniem, a także świadomość niemożności zmienienia czegokolwiek. I chociaż Oleg nigdy nie był bohaterem jej marzeń, zaczęła w niej narastać zawiść wobec Asi, która znalazła swoje szczęście, zanim zapragnęła miłości.

Pewnego ranka, gdy zwinięta w kłębek na wysłużonym kufrze rozmyślała nad życiem, do drzwi zapukała sąsiadka:

– Ktoś do was przyszedł.

Wyjrzała do przedpokoju i poczuła, jakby w jej żyłach zaczęło płynąć gorące wino, rozgrzewając krew: przed nią stał wesóły, kwitnący Giena w skórzanej kurtce i okrągłej futrzanej czapce. Policzki miał zaczerwienione, a czarne oczy lśniły jak dwa węgielki.

– Czy poznajecie mnie, Lenoczko? Pozwoliliście mi przyjść, pamiętacie? Chciałem zjawić się natychmiast po przyjeździe, ale wypadł mi służbowy wyjazd. Czy mogę wejść?

– Proszę, Gieno! – zawołała, czując, jak pogrąża się cała w gorącej ożywczej fali.

Ledwo rozpoczęli rozmowę, gdy weszła Zinaida Glebowna.

– Mamo, pozwól sobie przedstawić: Giennadij Wiktorowicz Korsuński – znajomy z sanatorium.

Giena powoli wstał, uklonił się, nie pocałował jednak matki w rękę. Uraziło to Lelę, lecz natychmiast sobie wytłumaczyła: nie można żądać od niego przedrewolucyjnych manier, jest na swój sposób uprzejmy i należy na tym poprzestać.

Przy Zinaidzie Glebownie rozmowa zaczęła się rwać i Lela przestraszyła się, że Giena ucieknie od nudy... Okazało się, że ma inne plany:

– Co sądzicie, Lenoczko, o wspólnej małej wyprawie do kina? Mam kartę wstępu, pogoda wspaniała, proszę szybko się przygotować.

– Żrebaczkę, jakże to? Już czas na obiad i do pracy... – wymamrotała Zinaida Glebowna, widząc, jak ochoczo córka się zerwała.

– Proszę się nie martwić, nakarmimy po drodze waszą Lenoczkę, nie pozwolimy jej głodować i do pracy dostarczymy bez opóźnienia – uspokajał protekcyjnie Giena podając Leli płaszcz.

W ciemnościach sali kinowej poczuła, jak jego ręka wkrada się do jej rękawa. Na pewno nie przewidywały tego dobre maniery, lecz nie zdecydowała się wyrwać ręki, w obawie, że zniechęci go przesadną skromnością. Dla przypodobania się temu mężczyźnie należało ponieść jakąś ofiarę!

– Leno-Lenoczko, kochana dziewczynko, stęskniłem się za wami – szepnął przytulając ją do siebie.

– Ja również – odpowiedziała cichutko.

Z kina pojechali do kawiarni Kwisisana, gdzie wypila kawę z bitą śmietaną i zjadła ciastka. Do pracy dowiózł ją taksówką.

Jakże wszystko zmieniło się w ciągu tego dnia! Z piersi momentalnie spadł doskwierający ciężar, ulotniło się poczucie przemijania dni bez radości! Na koniec ktoś ją docenił, zachwyił

się nią urodziwy, pełen werwy młodzieniec z czarnymi oczami południowca, zakochany, gotów ją rozpieszczać! Od razu stała się pogodniejsza i życzliwsza. Wieczorem u Bołogowskich, przygnębionych wyjazdem Olega, chętnie bawiła się z dzieckiem, raz po raz upewniając się, że w głębi jej świadomości kryje się radosne przekonanie o przyszłym szczęściu!

Nazajutrz przy bramie szpitalnej czekał na Lełę samochód. Znowu pojechali z Gieną do kina, później do lokalu na kolację. Wychodząc z restauracji koło północy ujął ją pod rękę i szepnął do ucha:

– Teraz jedziemy do mnie. Zgoda? Przystanęła jakby smagnięta biczem.

– Do was? Nie, Gieno, nie pojedę – i wyrwała przytrzymywaną przez niego rękę.

– Czemu, Lenoczko? Zdawało mi się, że jesteśmy zakochani... czyż nie tak?

Milczała.

– Z życia trzeba brać wszystko, co może człowieka uczynić szczęśliwym. Przecież widzicie, że straciłem dla was głowę.

Ostatnie zdanie przyjemnie połechtало jej próżność, ale milczała nadal.

– Nie kochacie mnie, Lenoczko? – dopytywał się.

– Nie pojedę do was. A powiedzieć – „kocham”, nie takie to dla mnie proste.

Patrzyli na siebie wyczekująco, napięcie między nimi rosło.

– Czy wy nigdy nie kochaliście, Lenoczko? Wy... Wybaczcie... czy jesteście dziewczicą?

Pozostało jej tylko ukryć płonące policzki w futrzanym kołnierzu.

Jednak jest bezgranicznie zuchwały!

Zachmurzony Giena nad czymś się zastanawiał, wreszcie powiedział:

– Wybacz mi, mój lisku, nie gniewaj się na szarego wilka. Pojedziemy do was?

Westchnęła z ulgą, radośnie, i w nagrodę pozwoliła mu pocałować się w ciemnościach auta.

„Zrozumiał wreszcie, że ze mną nie można żartować i jeśli teraz zaczniesz mówić o miłości, będą to już oświadczyzny. Mimo wszystko jest przeuroczy!” – pomyślała przymykając oczy, zasypywana jego pocałunkami.

Kolejny tydzień wypełniły spotkania i rozrywki. Giena nie skąpił na wydatki; kino, teatry, taksówki, czekoladki, kolacje w restauracji, przyjemności sypały się na nią jak z rogu obfitości.

Któregoś wieczoru, siedząc z Gieną w teatrze Aleksandryjskim na parterze, z pudełkiem pomadek na kolanach, Lela, wodząc oczami po rzędach foteli, nagle drgnęła, przyglądały się jej bacznie zimne, złe, zielono-szare oczy. Serce jej gwałtownie zadrżało. „Co on tu robi? Boże, gdzie się schować przed tym spojrzeniem?” Z trudem udała obojętną minę i zaproponowała Gienie wyjście do foyer. Dzwonek niemal natychmiast zmusił ich do powrotu na widownię.

– Znacie tego towarzysza, Lenoczko? – spytał, ledwo usiedli.

– Kogo? – wyszeptała, z góry pewna swej odpowiedzi.

– Tego, co stoi w przejściu w piątym rzędzie. Popatrzcie, jak wlepia w was wzrok.

Lela nie miała jednak ochoty obejrzeć się.

– Nie znam go – powiedziała.

– A mnie ta twarz wydaje się znajoma – zastanawiał się. – Lecz nie mogę przypomnieć sobie, gdzie ją widziałem. Zapewne i on nad tym się zastanawia, skoro tak uporczywie nam się przygląda. Może spotkaliśmy się służbowo...

– Gieno, powiedzcie mi, gdzie pracujecie? Dawno już chciałam o to was spytać.

– W urzędzie cenzury, ściślej, w komisji repertuarowej. Stąd mam kartę wstępu do wszystkich teatrów.

– Jak to? Jesteście więc cenzorem?

– Nie podoba się wam ta instytucja?

– Przecież cenzura kaleczy utwory. Każdy cenzor przypomina mi Benckendorffa – wydusiła z siebie zmieszana.

– Niemniej najbardziej oddany wam przyjaciel jest nowym Benckendorffem! – roześmiał się Giena. – Nasze zajęcie ma wiele zalet, Lenoczko; jesteśmy na bieżąco zorientowani we wszystkich nowościach filmowych, teatralnych i literackich. Cenzor wszystko ogląda pierwszy. Poczekajcie trochę, a będziemy razem chodzili na przeglądy filmów i sztuk, zasmakujecie wówczas w naszej pracy. Oczywiście, niekiedy, zgodnie z odgórną instrukcją, trzeba coś wykreślić... Cenzor – także ma zwierzchników... Nic na to się nie poradzi! W miarę możliwości staram się być wyrozumiały, czasem przez to obrywam! – roześmiał się dobrodusznie.

W przerwie poszedł do palarni, zostawiając Lełę w korytarzu otaczającym łożę parteru. Chcąc sprawdzić, czy ma dobrze ułożone loki, podeszła do jednego z dużych wiszących na ścianie luster i nagle zobaczyła w nim odbicie wciąż tej samej zimnej, złej twarzy, która przesunęła się obok. Popatrzyła w ślad i ujrzała, że człowiek ten wchodzi do palarni za Gieną. Równocześnie doleciał ją zapach przypominający chwile spędzone w gabinecie nr 13 – odór siarki zmieszany z wonią perfum, których używał śledczy.

Cały jest z piekła rodem! „Helladą” pragnie przygłuszyć swój naturalny zapach, aby nie zdradzić pokrewieństwa z diabłem.

Wydało się jej, że Giena wrócił czymś zaniepokojony, kilkakrotnie się zasepił i przestał żartować. Żegnając się przeprosił, iż nie może zajechać po nią jutro rano, chociaż przed chwilą umówili się na wspólne śniadanie u Kwisisana. Nie miała odwagi spytać dlaczego, niemniej ogarnął ją niepokój. W nocy

zastanawiała się nad minionym wieczorem, czuła, jak ciężko i trwożnie bije jej serce. Wyszło na jaw kilka drażliwych kwestii – cenzura i do tego jeszcze sowiecka! Wiedziała, do jakich absurdów doprowadza i jak wszyscy jej bliscy z niej szydzą! Po drugie – śledczy zobaczył ją z młodym człowiekiem; teraz w zasięgu jego zainteresowań mogą znaleźć się stosunki łączące ją z Gieną, zacznie o niego wypytywać... I po trzecie – dlaczego Giena tak się zmienił, krótko i oziębło pożegnał się z nią po przedstawieniu i odwołał spotkanie? Czyżby obraził się za „Benckendorffa”?

Następny dzień ciągnął się zabójczo wolno. Wieczorem po powrocie z pracy wyczekiwała w napięciu, lecz nie przyszedł! Parokrotnie podbiegała do drzwi i przez dziurkę od klucza patrzyła na schody – na próżno! Zaczęły ją osaczać niespokojne myśli: domek z kart rozsypuje się i szczęście, na które tak długo, uparczywie czekała, odchodzi. Czyżby z powodu jednego niefortunnego zdania? Niech лихо porwie całą politykę wraz z wrogością rodziny do nowych porządków! Cenzor – niech będzie cenzor! Przecież to nie śledczy! Być może Giena wybrał cenzurę po to, żeby obcować ze sztuką, a nie być urzędasem czy pracować na budowach socjalizmu. Liczy się jednak jedno – że ją kocha! Niechby przyszedł, a potrafi zwrócić ku sobie jego serce, łatwo nie wypuści z rąk swego szczęścia!

Noc również wlokła się bez końca, zapadały w pamięć kolejne uderzenia zegara, odmierzane w takt nachodzących ją myśli. Noc wreszcie minęła, lecz nie zrobiło się jej lżej. Czuła, że matka z obawą ją obserwuje, i konieczność udawania była tak denerwująca, że z trudem powstrzymywała szorstkie repliki. Ze strachem myślała, co się stanie, jeżeli nie przyjdzie – ogarnął ją lęk przed pustką nadchodzącego wieczoru i rozpamiętywaniem podczas kolejnej bezsennej nocy tego, co się wydarzyło. Ukradkiem kilkakrotnie podchodziła do drzwi wejściowych, żeby znów wyjrzeć przez szparę, lecz godziny mijały, a jego nie było!

O wpół do drugiej powinna była zjeść obiad, a potem wyjść do pracy. Jeszcze raz smyrgnęła w stronę ciemnej szczeliny frontowych drzwi i przyłgnęła do dziurki od klucza, z której

wionęła jej w twarz strużka zimnego powietrza. Na klatce schodowej, jak wczoraj, panowała lodowata cisza, przerywana trzaskaniem drzwi. Nauczyła się rozróżniać odgłosy: oto stuknęły czyjeś drzwi i słyhać tupot schodzących kroków. Ten dźwięk znów się powtórzył, lecz jej nie zainteresował. A teraz odgłos bardziej odległy, budzący nadzieję – ktoś zamyka na dole bramę i idzie w górę. Skupiła na nim całą uwagę, serce jej znowu zakołatało jak szalone, gdyby była psem, zastrzygłaby uszami. Usłyszane kroki ucichły na pierwszym piętrze, zgrzyt otwieranych kluczem drzwi... i znowu cisza – głucha, obojętna i równie wiejąca chłodem, jak ów strumyk powietrza, owiewający przez szparę jej twarz. Jeszcze raz stuknęły drzwi, głosy dwóch rozmawiających osób i kroki w dół – wciąż nie te! Teraz kroki w górę, gdzieś blisko (początkowo przygłuszała je rozmowa), lecz nie jego, ciężkie, powolne, z towarzyszącym im przyspieszonym oddechem: idzie ktoś stary, z zadyszka. Zatrzymały się. Dolatuje bicie zegara – już pierwsza. Wkrótce matka zawoła na obiad, a potem do pracy... Boże, nie przyjdzie! Za co mnie karzesz, za co? „Wiem: brata nie znienawidziłam i siostry nie zdradziłam” – słowa Achmatowej jakby odnosiły się do niej! Znowu nachyla się ku szczelinie i wtem słyszy trzask zamykanych na dole drzwi i kroki w górę – szybkie, młode... ktoś biegnie przeskakując stopnie, bliżej... bliżej... Strach pomyśleć, a nuż kroki zatrzymają się w pół drogi? Jednak nie, wreszcie widzi przez dziurkę od klucza zarys skórzanej kurtki... Boże mój, co za szczęście! Już chciała porzucić swój punkt obserwacyjny, gdy zauważyła, że Giena przystanął, oparł się o poręcz, jakby się zastanawiał: wejść czy nie wejść? Minuta, druga, trzecia... wciąż nie dzwoni – dlaczego? Otworzyć samej, to znaczy zdradzić się, a odejść byłoby zbyt ryzykowne: wyraźnie się waha, oby tylko nie odszedł!

– Żrebaczku, obiad! – rozległ się nie w porę bliski, a zarazem irytujący głos matki. Nie odpowiedziała, dalej warując przy drzwiach. Stał nadal! Nie, nie można dłużej czekać, niech się dzieje, co chce! I szeroko otworzyła drzwi.

– Gieno, to wy? Witajcie! Czemu zwlekacie, nie dzwonicie?

Wziął ją za rękę:

– Dzień dobry, Lenoczko. Dopiero co się wdrapałem, a wy, jak na zawołanie! Jak zawsze przyjemnie jest na was popatrzeć!

Weszli do pokoju, przyłapując się na uważnym i nieco czujnym wzajemnym lustrowaniu.

– Chyba nie obraziliście się za porównanie was z Benckendorffem? Robiłam sobie z tego powodu wyrzuty.

– Nie, Lenoczko, skądże! Wczoraj rano byłem zajęty, a wieczorem rozboleła mnie głowa.

Odniosła wrażenie, że migrena jest pretekstem, bo nie chce powiedzieć jej prawdy. Dalej go jednak nie wypytywała.

Giena z fantazją zawiózł ją taksówką do pracy i przez całą drogę, w przerwach między pocałunkami, karmił czekoladkami, które wyjmował z bombonierki i wkładał jej do ust. W tej sytuacji na rozmowę nie starczyło czasu. Ustalili, że po pracy przyjedzie po nią i wspólnie spędzą resztę dnia.

Tego wieczoru po raz pierwszy poruszyli sprawę jej pochodzenia.

– Kim jest ten stary człowiek w osobliwym ubiorze – zainteresował się Giena, wskazując na jedną z fotografii w ich pokoju.

– Dziadek, który był senatorem. W mundurze szambelana.

– Oho! – zareagował. – Nie macie z tego powodu kłopotów?

– Tak, nie będę przed wami ukrywała, nabiedowałyśmy się z mamą; inaczej nie pracowałabym w więziennym szpitalu. Jesteście sowieckim człowiekiem, niemniej chyba się zgodzicie, iż prześladowanie mnie za przodków jest niesprawiedliwe, przecież nie ma w tym mojej winy.

– Oczywiście. To zwykłe u nas przegięcie pałki. Czy poza matką macie jeszcze jakichś krewnych, Lenoczko?

– Nie, nie mam żadnych.

- Jak to? Nikogo? – nie wiadomo dlaczego się zdziwił.
- Tylko siostrę cioteczną – powiedziała Lela.
- Ach tak! Sama mieszka, czy...
- Z babcią i z mężem...
- A ta babka, też pewnie arystokratka?
- Bołogowska, wdowa po generał-adiutancie. Słuchając tych prostych spokojnych odpowiedzi, obrzucił ją kilka razy szybkim i jakby nieco zdziwionym spojrzeniem.
- Wasza mama nie jest mi chyba zbyt przychylna – należą przecież do innego środowiska.
- Nie ma już naszej sfery, Gieno, *nous sommes déclassées*⁷², jakby powiedzieli Francuzi. Przy czym szlachcie przypisuje się obecnie mnóstwo grzechów, których w rzeczywistości nie popełniała. Uważaliśmy, na przykład, iż zarozumialstwo jest w złym tonie i charakteryzuje tylko parweniuszy. W dzieciństwie surowo przestrzegano, żebyśmy byli grzeczni i uprzejmi wobec służby czy w ogóle otoczenia. Gdy dzisiaj obserwuję nadęte miny młodych lekarzy, kiedy przechodzą obok pomocniczego personelu, mimo woli myślę, że przydałaby im się lekcja dobrego wychowania u mamy bądź u Natalii Pawłowny.
- Tak, tak – mruknął nieco zakłopotany. – Sądzicie, że Zinaida Glebowna... i nie dokończył zdania. Lela zrobiła to za niego w myślach: „Nie miałyby nic przeciwko naszemu małżeństwu” – i spłonęła rumieńcem. Rozumiejąc, iż odpowiedź powinna być w najwyższym stopniu taktowna i w żadnym wypadku nie może ujawniać jej domysłów, powiedziała:
- Mama jest łagodna, dobra, gotowa polubić każdego, kto życzliwie do mnie się odnosi – i zamarła w oczekiwaniu na jego dalsze słowa. Spytał jednak o coś zupełnie innego:
- A kuzynka wyszła za kogoś z waszej sfery czy spoza niej? – Przypuszczalnie zadał to pytanie, chcąc się upewnić, jak sam

⁷²

nous sommes... (fr.) – jesteśmy zdeklasowani.

zostanie przyjęty.

– Mąż jej nie pochodzi ze szlachty, lecz, jak wy, jest inteligentem. Kocha ją do szaleństwa i to najbardziej się liczy, za to też go cenimy.

– Jak brzmi jego nazwisko?

Lela nagle odniosła wrażenie, że ktoś dotknął jej ucha i cichcem szepnął: „ostrożnie!”

– Kazarinow – odparła po chwili milczenia.

Nie wiadomo dlaczego zamilkł na kilka minut i nie przedłużając rozmowy, która jakby ocierała się o odsłonięte przewody wysokiego napięcia – nieoczekiwanie powiedział:

– Może machniemy się do kina, Lenoczko?

– Z przyjemnością.

W kinie nie śledziła akcji komedii, która go bawiła, ale zastanawiała się, co sprawiło, że skłamała, i jakie mogą być tego konsekwencje.

Kiedyż nadejdzie ta chwila? Powinien zrobić z nią coś, czego jeszcze nie doznała. Coś, w imię czego ludzie łamią życie swoje i innych, tracą fortuny i pojedynkują się, a wszystko dlatego, żeby otrzymać „to” od osoby, która zaczyna przyciągać jak magnes! Oczekuje tego. Jej filigranowe ciało wciąż jeszcze zachowuje taką niewinność, iż nie wyobraża sobie żadnego z doznań, jakie zapewne towarzyszą namiętności. Jeśli nie przeżyje „tego” teraz – zmarnieje. Czemu tak się dzieje? Dlaczego Asia była i pozostaje dziwnie obojętna wobec tej strony życia? Sugeruje to nawet Oleg, nazywając żonę Śnieżynką, Mimozą lub św. Cecylią. Dla Asi sens, istota wzajemnych stosunków od początku tkwiły w czymś innym, natomiast ją dręczy niezrozumiały pociąg do jakiejś tajemniczej chwili. O co tu chodzi?

Któregoś wieczoru w towarzystwie Gieny wróciła do domu nieco wcześniej. Zinaida Glebowna dokądś wyszła.

– Nikogo nie ma? – zapytał rozglądając się z błyskiem w

oczach.

– Gieno, nie trzeba! Co robicie? Nie ważcie się! Nie pozwalam! Nie chcę! Musicie mnie usłuchać! Ręce przy sobie, słyszycie? – Zebrała siły i odepchnęła go, wydał się jej ciężki, miękki, jak wór mąki. – W końcu to bezczelność! – zawołała z oburzeniem.

Rozzłościł się:

– Co sobie myślicie, że zawsze będziecie mnie karmić samą nadzieją? Nie jestem impotentem, żeby poprzestawać na waszej przyjaźni.

Lela zawrzała z oburzenia:

– Domagam się delikatności i w rozmowie ze mną! Nie ważcie się dotykać... dotykać... pewnych rzeczy... To prostactwo. Kiedyś już prosiłam, abyście zachowywali się taktownie.

– Natomiast wy chcecie koniecznie przespacerować się do urzędu stanu cywilnego, a może zawlec mnie do cerkwi?

Dumnie podniosła głowę.

– Nikomu nie narzucam swojej ręki. Możecie natychmiast odejść i sądzę, że będzie to najlepsze ze wszystkiego, co pozostało wam do zrobienia.

– Ach tak – najlepsze ze wszystkiego! Cały miesiąc skakałem koło was, dogadzałem, bawiłem i nagle – wolna droga, wynocha, gołąbku!

– Wygląda na to, że zamierzacie wystawić mi rachunek? – powiedziała wyniośle.

„Przepędzę” – zdecydowała i już miała powiedzieć kilka stanowczych słów, które by przypieczętowały ich ostateczne rozstanie, gdy Giena objął ją i powalił na kufer; nie był to jednak gwałt – nie przydusił jej, nie unieruchomił, a jedynie czulił się, łasił jak kot.

– Leno, Lenoczko, kochana dziewczynko! Nie wypędzajcie mnie. Po co te ceregiele, wzajemne dokuczanie... Wszystko to

bzdura, ważne jest co innego! Okażcie mi choć trochę czułości. Wszak to największa radość w życiu. Przecież naprawdę jestem zakochany! Trzeba być ślepą, żeby tego nie dostrzec!

Otwarły się drzwi i weszła Zinaida Glebowna. Oboje się zerwali. Przyszła na czas, nie zawiodła jej macierzyńska czujność. Drobna, szczupła, w milczeniu oczekiwała z ogromną godnością na wyjaśnienia.

– Do widzenia – tylko na tyle zdobył się Giena, wymijając Zinaidę Glebownę. W przedpokoju przystanął w progu. – Pewno wam, Lenoczko, zmyje głowę – upewnił się poufale i nim zdążyła odpowiedzieć, dodał: – Coś mi się zdaje, że w samej rzeczy nie ominie nas wyprawa do urzędu stanu cywilnego. Do zobaczenia.

Doczekała się więc oświadczyn w nowym stylu: bez padania na kolana, przysięgania wierności, proszenia matki o pozwolenie! Rycerskość w teorii wydawała się nudna, w praktyce okazywało się, że bez romantycznej otoczki wszystko przebiega po prostaku i nic jej nie chroni przed krzywdą czy odrazą! „Nie ominie nas wyprawa do urzędu stanu cywilnego” – jak ma rozumieć to zdanie... są to oświadczyzny czy nie? Nie spytał nawet o zgodę, ani też powiedział, iż tego pragnie... Oszołomiona stała w miejscu.

– Żrebaczku, co oznaczała ta scena? Odpowiedz, proszę.

– Ach, mammo! Wiem z góry, jak zareagujesz. Tak, całujemy się. Co można zrobić, jeżeli został wychowany według odmiennych pojęć. Wszak widziałas, że go odpychałam.

– Lecz pozwalasz mu na więcej, niż wolno narzeczonemu. Czy ci się oświadczył? Odpowiedz.

– Mamo, nie porozumieliśmy się jeszcze ostatecznie, jutro zrelacjonuję ci wszystko dokładnie. Nie będziesz się sprzeciwiała?

Zinaida Glebowna przytuliła córkę.

– Dziecko moje najdroższe, pragnę wyłącznie twojego szczęścia! Nie jest to człowiek z naszej sfery, chociaż w pewnym stopniu inteligentny. Jeśli go kochasz, nie będę stawiać przeszkód, choć już dzisiaj widzę, że na życliwość czy szacunek z

jego strony nie mogę liczyć, natomiast z tobą zbyt śmiało sobie poczyna... Żrebaczku, bądź ostrożna!

Lela rzuciła się matce na szyję.

– Mamo, mamusiu! Nieszczęsneśmy obie!

– Żrebaczku, córeczko moja, czy naprawdę tak się tobie podoba?

– Tak, mamo. Niekiedy gniewam się na Gienę, złość, ale równocześnie wiem, że bez niego będzie mi źle. Tak, chcę, żeby został moim narzeczonym; jestem przekonana, że nie zabraknie między nami zgrzytów, lecz pustki w moim życiu dłużej nie zniosę.

Rano pojawił się Giena w brązowych półbucikach, odświętnym krawacie, z paczkami pod pachą. – Przyniosłem wam, Lenoczko, w prezencie pantofle, zauważyłem bowiem, że nie najlepiej stoicie z obuwem. A tu są rękawiczki. Wybrałem najelegantsze w naszym służbowym sklepie. Zmiercie, czy nie za duże? Macie łapki, muszę przyznać, jak u myszki.

Spojrzała na niego pytająco.

– Te podarunki... Nie wiem, na jakiej podstawie je robicie?

– W końcu jesteśmy parą narzeczonych, co, Lenoczko?

– A wy, Gieno, pytaliście mnie, czy zechcę zostać waszą narzeczoną?

– Moje oczy i pocałunki nie mówiły wam o tym? Czyżbyście nie chcieli zostać moją żoną? Nie męcz, lisku, swego wilka! Więc jak, odmawiacie?

– Nie odmawiam... – wyszeptała czerwieniąc się Lela.

– Narzeczonemu należy się całus i jedziemy na śniadanie do „Europejskiego”. Oblejemy nasze narzeczeństwo butelką szampana.

– Poczekajcie, Gieno! Jesteście niepoprawni! Wypada powiedzieć mamie... Weźmy ją ze sobą.

– We dwoje będzie nam przyjemniej. Matki – to ciężka artyleria. Może lepiej powiedzcie jej wieczorem. Uspokójcie ją, że mam pokój, i to wcale ładny, i zarabiam wystarczająco dużo. Nie będziecie musieli pracować. Każdego lata zabiorę was na Kaukaz i Krym. Pod moją opieką nabierzecie sił i rozkwitniecie!

– Dla mojej matki wasza sytuacja materialna, Gieno, nie ma znaczenia – powiedziała dumnie.

– To świetnie, Lenoczko! Przymierzcie podarunki i – jedziemy!

Jego dobroduszość i wesołość zdawała się usuwać jakiegokolwiek przeszkody, lecz wbrew jej staraniom nie chciał spoważnieć. I znowu czegoś jej brakowało, niedostawało delikatności i czułości, dwóch-trzech słów, iż bez niej nie wyobraża sobie szczęścia i nikogo w życiu nie kochał tak, jak jej! Myśli te nachodziły ją, gdy siedli przy stoliku w restauracji i radość mieszała się w niej z rozczarowaniem.

Popatrzyła na Gienę – złożył już zamówienie i zamyślił się, dłonią podpierając zachmurzone czoło. Zastanowił ją wyraz zafrasowania na jego twarzy... Co mogło w taki dzień zaniepokoić epikurejczyka sowieckiego chowu?

– Nad czym tak dumacie? Ocknął się.

– Powiedzcie, Lenoczko, dlaczego szczęśliwe chwile często psuje nam jakieś, szczerze mówiąc, łajdactwo? Dziwne obyczaje pojawiły się w naszym życiu!

– Macie jakieś przykrości?

– Jedna taka ciągnie się od pewnego czasu. Ale nie poddaje się – jakoś się wykręcę! Niosą właśnie zamówienie – waszą ukochaną bitą śmietankę.

– Czy nieprzyjemności te mają jakiś związek z naszym ożenkiem?

– Nie, skądże! Żadnego. Są ściśle służbowe.

Miała na końcu języka: „Będę zawsze gotowa dzielić z wami każde zmartwienie, znajdziecie we mnie przyjaciela!” Jednak nic

nie powiedziała w obawie, iż może to wyglądać na narzucanie się lub niestosowną ciekawość.

– Kiedy wreszcie złożymy wizytę waszej kuzynce, Lenoczko? – spytał nagle Giena. – Wypada przecież poznać przyszłą rodzinę.

Zaskoczył Lełę, on, który nie chciał dwóch słów zamienić z jej matką, pragnie składać rodzinne wizyty!

– Chętnie wprowadzę was do tego domu, są to najbliżsi mi ludzie.

– Z jakiego więc powodu odciągacie tę wizytę?

– Co też wy, Gieno! Nawet do głowy mi nie przyszło! Zrozumcie, nie mogłam zaprowadzić was do Natalii Pawłowny, dopóki nie zostaliście moim oficjalnym narzeczonym. W tym domu byłoby nie do pomyślenia przedstawienie was jako „mojego chłopaka”.

– Tak, rozumiem, przecież to jaśnie oświeceni arystokraci! Lela milczała.

– A tak, nawiasem mówiąc, mąż waszej kuzynki, o ile dobrze zrozumiałem, pochodzi z takich samych nizin, jak ja; mój ojciec w młodości pracował w drukarni, ma długi staż partyjny, działał w podziemiu. Co prawda zdążył potem ukończyć wyższą szkołę partyjną i zajmuje obecnie kierownicze stanowisko w aparacie w Kijowie. A kim są rodzice tego Kazarinowa?

Dziwne, że tak bardzo zainteresował go Oleg.

– Jeszcze dzisiaj wieczorem zagładnę do Natalii Pawłowny i spytam, kiedy zechce nas przyjąć.

Usatysfakcjonowany kiwnął głową i zaczął streszczać epizod ze „Złotego cielecia”, w którym Bender z Bałaganowem podszywają się pod dzieci lejtnanta Szmida. Osobiście utwór ten uważał za arcydzieło literatury światowej, choć nie odważyłby się głośno do tego przyznać z obawy, iż Lela posądzi go o zły gust, a współtowarzysze o niedostateczną lojalność.

Podczas pracy Leli nie opuszczało przeświadczenie, że

wkrótce czekają przemiana i jej szara egzystencja zmieni się w nieskończony ciąg płomiennych przeżyć. Jednakże w jej świadomości poprzez wszystkie nowe odczucia i wbrew nim, natrętnie przedzierało się wspomnienie o Wiaczesławie i jego oświadczeniach, w których pod najskromniejszą formą kryła się, w istocie, rycerskość. Zanim zaczął szukać przyjemności, choćby drobnych, jak uścisk dłoni czy pocałunek, obiecał że będzie się opiekował i strzegł jej, zaś przedstawiciel złotej sowieckiej młodzieży myślał przede wszystkim o sobie. Nie mogła nie zauważyć tej różnicy.

Rozdział trzydziesty drugi

Manekin stojący w kącie dawnego saloniku domownicy nazywali „lady”. Olegowi przyszedł do głowy oryginalny pomysł, żeby w manekinie zrobić schowek na kompromitujące materiały, których przechowywanie stawało się coraz niebezpieczniejsze. Były to krzyże i medale, wizytówki i zaproszenia do „Jego” lub „Jej” ekscelencji, a także metryki oraz fotografie, na których mieszały się nazwy i mundury pułków: preobrażeńskie, siemionowskie i gwardii konnej. Natalia Pawłowna, nie zważając na wszelkie namowy, nie chciała oddać tych pamiątek na pastwę ognia. „Po mojej śmierci możecie wszystko zniszczyć jako ofiarę całopalną złożoną waszej babce, lecz póki żyję, nie pozwalam. GPU – mówiła – i tak doskonale wie, kim jestem”.

Asia również przechowywała „niebezpieczny skarb: podarowaną jej przez Ninę z uratowanych albumów rodzinnych fotografię męża w mundurze pазia, z napisem – „Oleg w dniu przyjęcia do Korpusu Paziów”. Lubiła to zdjęcie i jakiś czas stało ono na kominku w jej pokoju, dopóki Oleg nie uznał, że jest to zbyt ryzykowne. Następnie pół roku fotografia przeleżała za obrazem, aż wreszcie postanowiono powierzyć ją wraz z innymi rodowymi relikwiami „lady” na przechowanie. Skrytka była tak niezwykła, że wpaść na nią – jak sądzono – agenci GPU mogli, gdyby nasza ich nieoczekiwanie fantazja przewrócenia nieszczęsnej „lady” głową w dół; dopiero wtedy stawały się widoczne ślady chirurgicznej ingerencji, było to jednak mało prawdopodobne.

Zaraz po śniadaniu Oleg uzbrojony w narzędzia zamknął się w saloniku, obok niego na stoliku piętrzył się już cenny bagaż, który miał wypełnić wnętrze manekina. Trochę drobiazgów dorzuciła Nina, wtajemniczona w tę operację.

Tegoż dnia przy obiedzie Natalia Pawłowna oświadczyła:

– Mam do przekazania miłą wiadomość, wstrzymałam się z nią do czasu, kiedy wszyscy się zbierzemy: Lela wychodzi za mąż i dzisiaj przyjdzie do nas z narzeczoną.

Madame zapiała z radości. Asia figlarnie uśmiechnęła się, mówiąc: „Wiem o tym!”, Oleg zadał kilka konkretnych pytań. Jednakże Natalia Pawłowna nie mogła podać żadnych szczegółów o narzeczonym, bowiem rozpromieniona Lela wpadła tylko na moment, prosząc o przyzwolenie na złożenie wizyty i równie szybko wyszła. Ściślej mówiąc, Natalia Pawłowna miała już powody do niechęci wobec wybrańca Leli. Kilka dni wcześniej zapłakana Zinaida Glebowna zwierzyła się jej, że Żrebaczek otwarcie sprzyja nowemu wielbicielowi i sprawy zmierzają ku ożenkowi, tymczasem młody człowiek pochodzi z partyjnego środowiska i ogląda jego pozostawia wiele do życzenia. Ponieważ informacje te zostały przekazane pod sekretem, Natalia Pawłowna nigdy nie pozwoliłaby sobie na ich ujawnienie. Podczas obiadu rozmowa toczyła się wokół tego niecodziennego wydarzenia. Powracając do pracy nad schowkiem, Oleg na zakończenie stwierdził:

– Osobiście wolałbym naturalnie widzieć w tej roli Walentyna. Pamiętaj Asiu, żebyś uważała na to, co mówisz, i nikogo nie wprowadzała do saloniku.

Młoda para w towarzystwie Zinaidy Glebowny zjawiała się o dziewiątej wieczorem. Lela w swojej jedynej, w miarę strojnej sukience i w nowych pantoflach, ożywiona, z zaróżowionymi policzkami wydała się wszystkim bardzo ładna. Giena poddany przez nią wstępnej tresurze, przy powitaniu zmusił się do pocałowania Natalii Pawłowny w rękę. Pierwsze minuty były w pełni udane.

– Moje gratulacje, kruszyno! Cieszę się z twojego szczęścia! – mówiła Natalia Pawłowna z niepowtarzalną dystynkcją *grande-dame*, całując Lelę w czoło. – Proszę, siadajcie i powiedzcie, kiedy wesele?

Pragnąc gładko ominąć pytanie o ślub cerkiewny, Lela szybko zaszczębiotała, że data nie została jeszcze ustalona.

– Gdzie pan pracuje? – zagadnęła Natalia Pawłowna. Giena bez cienia skrupowania wymienił swój komitet do spraw cenzury,

na co starsza pani wypuściła z rąk lornion z górskiego kryształu, które zawisło na łańcuszku. Lela niespokojnie poruszyła się na krześle, sytuację uratował Oleg weksłując rozmowę na repertuar teatralny; tematu tego uczepiła się jak deski ratunku. Asia zaproponowała koncert domowy. Wybrała romans Gretry'ego, chcąc dać siostrze sposobność zaprezentowania głosu.

Tego wieczoru Lela śpiewała rzeczywiście świetnie – słowa zresztą odpowiadały jej nastrojowi.

*Il me dit: je vous aime.
Et je sens malgré moi,
Je sens mon coeur, qui bat,
Qui bat, je n'en sais pas pourquoi!*⁷³

Natalia Pawłowna i Zinaida Glebowna obserwowały ją siedząc na kanapie.

– Jakże subtelne i utalentowane są nasze dziewczynki! Przypominają cieplarniane kwiaty! Połamie je brutalne życie! – szeptała wycierając oczy Zinaida Glebowna.

– Może zaśpiewacie teraz coś z Dunajewskiego? – odezwał się Giena.

Lela nie знаła jednak żadnego utworu tego kompozytora, zaś jej matka w pewnym momencie cicho powiedziała do Natalii Pawłowny:

– Cham, ależ cham! Co on robi wśród nas? Czy zauważyła pani, w jaki sposób odnosi się do mnie? Nie mogę ścierpieć* tej manieri.

Natalia Pawłowna smutno jej przytakiwała dostojnym skinieniem głowy. Giena z wyteżoną uwagą lustrował wnętrze pokoju.

⁷³ Il me dit... (fr.) – Powiada mi: kocham panią. / I czuję – jak wbrew mojej woli, / Czuję, jak bije serce moje, / Ale dlaczego bije – nie wiem!

W tym właśnie dniu sprzedano i już wyniesiono z salonu ogromny kryształowy żyrandol, który zwisał z sufitu obramowany stiukowym kwietnym ornamentem. I chociaż jego brak zmienił wygląd salonu, niemniej pokój z mahoniowymi meblami i porcelanowymi świecznikami osadzonymi w brązie nadal był wykwintny, obraz uzupełniały damy na staroświeckiej sofie.

– Szukałam kwiatów, lecz w sklepach pustki. Marzyłem, że ofiaruję ci bukiet purpurowych goździków – powiedziała Asia.

– Co? Goździki? Dlaczego właśnie goździki? – zawołała Lela.

– Narzeczonym nie ofiarowuje się kwiatów w kolorze purpury, lecz wyłącznie białe – pouczająco wyjaśniła Natalia Pawłowna.

– Ale dlaczego właśnie goździki? – upierała się Lela.

– Przecież je zawsze lubiłaś! Co z tobą? Co cię uraziło? Ładne usteczka drżały.

– Teraz tych kwiatów nienawidzę. Zapamiętaj!

Stół był już nakryty, gdy madame odkryła brak herbaty w masywnej srebrnej puszcze, w której ją przechowywano. Zaapelowała do młodych, aby któreś z nich ulitowało się nad jej starymi kośćmi i pobiegło do sklepu. Oleg usłudnie zerwał się i wyszedł, zabierając ze sobą pudła. Lela próbowała schwytać Sławeczka, który radośnie piszcząc uganiał po salonie; umykając przed nią pobiegł do saloniku, a ona za nim. Giena znudzony sztywną rozmową z Natalią Pawłowną zerwał się z krzesła i bezceremonialnie ruszył w ślad za narzeczoną.

– Co tu się dzieje? – zdziwiła się Lela, przystając przed przewróconym i obsypanym opiłkami manekinem. Przez przypadek nie powierzono jej tego sekretu.

– Wygląda na to, że uprawiacie, towarzysze, konspirację – dobrodusznie roześmiał się Giena.

– To przez babcię – z nutką skargi w głosie powiedziała Asia – nie chce rozstawać się z archiwum rodzinnym. Niczego nie

ukrywa, zarówno w GPU, jak i w radzie dzielnicowej doskonale wiedzą, że jest wdową po generał-adiutancie, jednak mogą spytać, po co to przechowujemy? Zdecydowaliśmy, iż rozsądniej będzie wszystko ukryć.

– Co za śliczna dziewczynka, kokardę ma tak ogromną, że za chwilę uleci jak motyl! – powiedział Giena biorąc do rąk jedną z fotografii. – Czy to nie wy, przypadkiem? – dodał zwracając się do Asi.

– Tak, to ja na kolanach ojca – odparła.

Sięgnął po drugie zdjęcie, na którym była Natalia Pawłowna w letniej, stylizowanej na bojarską sukni oraz kokoszniku.

– Co za dziwny strój! – zainteresował się.

– Dworski – wyjaśniła Lela.

– Babcia miała tytuł damy dworu – uzupełniła Asia.

Z zaciekawieniem oglądał tę, kolejną i wziął następną fotografię.

– To chyba wasz mąż? – spytał z nieco odmienną intonacją.

Asia znienacka zaskoczona, milczała zmieszana.

– Jak bardzo Sławeczek jest podobny do Olega na tym zdjęciu, ma takie same oczy – zauważyła Lela.

Giena odwrócił zdjęcie i przeczytał podpis.

– Paż – stwierdził i zaczął przeglądać pozostałe.

– Wracajmy do salonu do babci – odezwała się nieśmiało Asia.

– A co to za para w ślubnym stroju? – z dziwnym uporem dopytywał się Giena.

– Znajoma dama ze swym narzeczonym – wyjaśniła Asia.

– Oficer gwardii konnej – powiedziała Lela, która uprzedzając pytanie Gienny zaglądnęła mu przez ramię.

– Uderzająco podobny do waszego męża... Ojciec czy brat? – znów zapytał Asie.

– Brat – wydusiła z siebie, uważając, że nie wypada po raz drugi nie odpowiedzieć.

Obie nie przypuszczały, że na odwrocie fotografii był napis, lecz Giena ją odwrócił i razem przeczytali: „Na pamiątkę dnia naszego ślubu. Nina i Dymitr Daszkowowie”.

Giena spojrział na Lelę, która nagle zaczerwieniła się i odwróciła oczy, jak gdyby została przyłapana na kłamstwie.

– Nie wypada starszych pozostawiać samych w salonie – zwróciła uwagę Asia, obawiając się, żeby Natalia Pawłowna nie uznała Gieny za prostaka, a Oleg nie rozgniewał się, widząc go stojącego przed manekinem.

– Dobrze, idziemy już, uszanujemy staruszkę – dobrotliwie zgodził się Giena.

Podczas herbaty konwersacja raz po raz przybliżała się do krawędzi kolejnej przepaści. Jedyne dzięki staraniom Leli i Olega, który z zadziwiającą pomysłowością spieszył z pomocą, udawało się uniknąć katastrofy. Wesoly nastrój i ożywienie Leli zgasły w chwili, kiedy Giena dowiedział się prawdziwego nazwiska Olega i obrzucił ją wymownym spojrzeniem. Wyczuła w nim wyrzut i teraz niecierpliwie czekała na okazję wyjaśnienia ich stosunków. Nie mogła dosiedzieć do końca rozmowy przy stole i z ulgą westchnęła, gdy znaleźli się już w przedpokoju. Natalia Pawłowna powiedziała kilka miłych frazesów, matka oczywiście oświadczyła, że jeśli chcą przejść się piechotą, niech idą sami, ona pojedzie tramwajem. Poszli trzymając się pod rękę.

– Wasza kuzynka jest przemiła: śliczniutka i tak bezpośrednia w obcowaniu – powiedział Giena.

– Mój Boże! A jak można zachowywać się inaczej? Tak jest przyjęte, nauczono nas tego w dzieciństwie – odparła Lela.

Zamilkli.

– Gieno – szepnęła i wyciągnęła ku niemu swą małą rączkę – czy nie obraziliście się? Nie miałam zamiaru was okłamywać: dałam sobie słowo, że powierzę wam naszą rodzinną tajemnicę, abyście wiedzieli, z jakimi ludźmi macie do czynienia, ale wczoraj zapomniałam, a dzisiaj... nie starczyło mi odwagi... Możecie mi wierzyć, że ani ja, ani Asia nigdy nie zważymy w waszą przyzwoitość.

Nie odwrócił się do niej, nie wziął za rękę, jego oczy nie odpowiedziały na jej spojrzenie, lecz przyspieszył kroku, jakby uciekał od niej:

– Nie liczyłem i nie liczę na wasze zaufanie, przyznaję jednak, iż takiej sytuacji nie oczekiwałem. Można było przypuszczać, że są to nonsensowne, bezpodstawne podejrzenia...

Przystanąła zdumiona.

– Jakie „przypuszczenia”? Co za „podejrzenia”? Czyżbyście gdzieś już o tym słyszeli? Kto mógł wam powiedzieć?

– Nikt mi nic nie mówił. Sam wysnułem pewne wnioski... Przerwijmy tę rozmowę.

Zapadło milczenie.

– Dlaczego serce stanęło mi nagle w gardle? – Lela znowu przystanąła, a głos jej nabrzmiął łzami.

– Czy warto tak się przejmować? Co was w końcu obchodzi ci ludzie? Mamy swoje życie. – Ujął ją znów pod rękę. – Posłuchajcie, Lenoczko, co mam wam do powiedzenia: w przeddzień Pierwszego Maja odbędzie się w naszym klubie uroczysty wieczór – najpierw akademie, potem kolacja, wino, tańce. Wszyscy przyjdą ze swymi dziewczynami, i ja chciałbym przyprowadzić swoją. Czy zechcecie mi towarzyszyć? Lenoczko – kochana dziewczynko, wasza kuzynka jest urocza, miłutka, ale brak jej wabika, który macie. Czy słyszeliście to określenie „wabik”? Lela przyłgnęła do jego ręki.

– Gieno, czy naprawdę mnie kochacie?

– Co za pytanie! Czy zapraszałbym was, gdyby było inaczej? Godziny bym nie poświęcił! Po powrocie z sanatorium na żadną dziewczynę, poza wami, nie spojrzałem, ale nic z tego, jak dotąd, nie wynikło.

– Jak to nie wynikło, jeśli zostałam waszą narzeczoną? Czyż to mało?

– Wiecie przecież, o co mi chodzi.

– Dlaczego koniecznie teraz? Po co przyspieszać bieg wydarzeń i niepotrzebnie mnie dręczyć?

– Przesadnie się to ślimaczy, kiedyż wreszcie nastąpi?

– Czemu tak stawiacie sprawę? Wesele można sprawić bardzo szybko, nie nalegam na ślub cerkiewny, jakkolwiek ciężko mi się go wyrzec. Nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy zostali mężem i żoną.

I znowu zapanowała cisza.

– W najbliższym czasie nie będę mógł do was zajrzeć, czeka mnie pilny wyjazd służbowy, trzydziestego wieczorem przyjadę, żeby zabrać was na wieczornicę.

– Będę na was czekała – obiecała Lela, nie mogąc zdecydować się na ponowne nadanie rozmowie szczerego intymnego charakteru, pomimo iż czuła, że jego wyjaśnienia jej nie zadowalają.

Zjawił się u Leli trzydziestego o szóstej wieczorem.

– Giena? – spytała biegnąc do drzwi, jeszcze w domowej bluzce – nie spodziewałam się was tak wcześnie. Nie jestem gotowa. Mama prasuje moją sukienkę.

– Do wieczornicy mamy sporo czasu, ale przyjechałem prosić... prosić was, abyśmy przedtem zaszli do mnie... Nie jestem lowelasem ani kłamcą. Nie będę też łął, że wyjdziecie ode mnie nie zmieniona. Niemniej proszę! Przecież i mnie może urazić brak zaufania w tym, czy innym przypadku... Albo zaraz jedziemy do mnie, albo wszystko między nami skończone? Jak chcecie.

– Ale dlaczego? Nic nie rozumiem!

– Bez pytań, Lenoczko! Boję się was stracić – czy to wystarczy? Widocznie rodzina jest wam bliższa ode mnie!

– Moi bliscy nie mają tu nic do rzeczy, nie zamierzam wam odmówić, tylko wytłumaczcie dokładniej.

– Nie będę. Nie wyjaśnienia mi potrzebne. Dopiero teraz będę miał okazję przekonać się o waszej miłości! A więc jak?

– Czemu mówicie ze mną tak szorstko i bezdusznie?

– Nie zwracajcie uwagi na ton, tylko na treść moich słów!

– A co będzie... potem?

– Później w dniu, który ustalimy, pójdziemy się zarejestrować, o ile wam się nie odmieni.

Wyraźnie zaakcentował słowo „wam”. Popatrzyła na niego badawczo, czując, że czegoś nie dopowiada. I znowu naszło ją przeczucie, że nieszczęście jest blisko, stoi u progu i dobija się, stuka...

– Albo to się wydarzy między nami teraz, albo nigdy – powtórzył nie patrząc na nią.

Coś zatrzepotało w jej piersi, jak gdyby miotał się w niej przestraszony ptak. Zasłoniła twarz rękami.

– No jak? Jedzicie? Czy nie? – nalegał z uporem. Domaganie się przysięgi, iż jej nie rzuci, wydało się Leli banalne i poniżające. Jaką zresztą wartość mogło mieć dla takiego człowieka przyrzeczenie? Przez chwilę jeszcze się wahała.

– Zgadzam się, Gieno... pojedę... Wierzę wam... pamiętajcie o tym...

Mocno ścisnął jej rękę.

– Idźcie szybko przebrać się, a mamie powiedzcie, że wieczornica zaczyna się o szóstej. Pospieszcie się – poczekam.

Gdy była gotowa do wyjścia, Zinaida Glebowna, która

obserwowała strojenie się córki, podeszła do niej chcąc poprawić falbankę, a potem pożegnała ją znakiem krzyża, mówiąc:

– No cóż, Bóg z tobą, moje dziecko. Baw się dobrze, wytańcz się – nie będę się kładła, poczekam na ciebie.

Z trudem powstrzymała się od łez i chęci rzucenia się matce na szyję.

Wszystko odbyło się szybko i zwyczajnie, od samego początku zupełnie inaczej niż u Asi. Bez takiej oprawy, jak ślubna suknia z długim trenem, nieskalanie białe kwiaty, świece i uroczyste pienia; sytuacja, w której się znalazła, przybierała znamiona upadku, zresztą podświadomie przeczuwała go i bała się. Dlaczego nie chciał poczekać do zarejestrowania małżeństwa? Niezrozumiały kaprys rzucił cień na niepowtarzalne dla niej chwile i uzależnił ją... Do tego w radiu ktoś się wydzierał: „Ej, Kasiu, przestrzegałem cię stokrotnie, pewniej kochać się z pierścionkiem na paluszku”⁷⁴. Giena nie rozumiał zupełnie tego, co przepelnia jej duszę. Jakże niestosowny jest ten szyderczy śmiech Mefistofelesa! Pomagając jej się ubrać żartował, przynaglał, przypominał o wieczornicy i oczywiste było, że dla niego to nie pierwszozna! Nie okazywał nawet cienia zmieszania, skrepowania czy nieśmiałości, chociaż starszy jest od niej zaledwie o trzy lata. Niepokój ścisnął jej gardło i wysiłkiem woli ledwo zdusiła płacz.

W zatłoczonej, pełnej wrzawy sali poczuła się jeszcze gorzej. Oto kiedy przyszło jej zdawać egzamin z dobrego wychowania, którego szkołę przeszła w dzieciństwie.

Jakże często w marzeniach wyobrażała sobie bale: feeria świateł, kwiaty, brylanty, serpentyny, szaleńcze zawodzenie jazzu, „bawi się nocna Marsylia”, damy w ekscentrycznych toaletach oraz wspaniali odważni mężczyźni – w tej odurzającej atmosferze wyzwalaliby się w niej głęboko skryty temperament.

Bale, o których opowiadała matka, nie pociągały jej, etykieta

⁷⁴

J. W. Goethe. „Faust”, przeł. Emil Zegadłowicz.

obowiązująca w wyższych sferach wydawała się jej nudna, wszystko usztywniająca. Obecność najwyższych ranga osobistości, damy z broszami-monogramem cesarzowej, matki obserwujące przez lornion młodzież, stałe napięcie, żeby nie popełnić *faux pas*, przenikająca wszystko oficjalność musiały – jak się jej zdawało – tłamsić wesołość i pozbawiać zatrutej słodyczy owe walce i *pas de quatre*, bez względu na wyrafinowaną wytworność środowiska i scenerii.

Na tej sali jednak nie było ekscentryczności, nie obowiązywała żadna etykieta, panowało natomiast pełne rozwydrzenie, a o wytworności nikomu nawet się nie śniło. Mężczyźni w niczym nie przypominali salonowych lwów. Kobiety wysztafirowane, o swobodnym zachowaniu, z *nouveaux riche*'k⁷⁵ i proletariackie dziewoje ściągające czubki pantofli przy rozchylnych piętach, z topornymi, zaciśniętymi w pięść dłońmi. Ubrane były bez gustu, krótkie spódnice odsłaniały kanciaste kolana, miały krzykliwe wymalowane usta, gminne maniery, piskliwy niepohamowany śmiech. Odór potu mieszał się z zapachem lichych perfum, drażniły czerwień butonierek i nadmiar partyjnych znaczków. Całość sprawiała przygnębiające wrażenie i rażąco odbiegała od jej wymarzonych oczekiwań!

Czy Giena dostrzegł cały prymitywizm tej imprezy? Co prawda szepnął:

– Moja Lenoczka jest najładniejsza.

W ogóle był w dobrym humorze, czuł się zapewne w swoim żywiole. Wesołość w jakimś stopniu dowodziła obojętności wobec tego, co wydarzyło się między nimi przed godziną, obrażało to jej najintymniejsze uczucia.

Musiała wstać, gdy wzniesiono toast za towarzysza Stalina.

Ze spuszczonej oczami, starając się niczym nie zdradzić przepelniającej ją odrazy, wypła za potwora, zaś Giena z cielęcym

⁷⁵ Gra słów wynikająca z połączenia francuskiego wyrazu z rosyjską końcówką „k”, w efekcie nadająca słowu dwuznaczne brzmienie: *nuworiszki* (nowobogackie) – *nu, woriszki* (ale złodziejki).

zachwytem powtarzał słowa toastu!

Wlewał w siebie kieliszek za kieliszkiem, a dolewając Lenie żądał, żeby piła do dna, nudziło ją to i równocześnie złościło. Widziała, że coraz bardziej traci panowanie nad sobą, i próbowała go powstrzymać:

– Gieno, nie pijcie więcej! Gieno, starczy! – I ucieszyła się, gdy zaczęły się tańce.

Jednakże po kilku fokstrotach zaciągnął ją do bufetu, gdzie znowu poprosił o portwajn. Pomagając usiąść, jakby przypadkiem dotknął jej piersi, a nalewając wino prawie ją objął.

– Zachowujcie się przyzwoicie albo natychmiast wracam do domu – zagroziła spoglądając na niego nieżyczliwie. – Przypomnijcie sobie złotą zasadę: dżentelmen może pić, ale nie wolno mu się upić.

Zaczął ją przekonywać, że oczywiście nie jest pijany ani trochę.

Nie było walca z wesołymi okrzykami *A une colonne!* oraz *Valse générale!* Zawołania te znane jej były jeszcze z kinderbalów. Nie grano tanga, którego jeszcze nigdy nie tańczyła, tylko fokstrota i two-step, podczas których pary niezgrabnie się do siebie przyciskały, kołysząc się z boku na bok.

– Czemu, Gieno, nie zapoznasz nas ze swoją dziewczyną? Dla siebie ją trzymasz? Chodźcie teraz ze mną, obywatelczko. Obejmę was – usłyszała nagle bełkotliwy głos i odwróciwszy się zobaczyła czerwoną zapitą gębę i rozchełstaną na owłosionej piersi koszulę.

– Dziękuję, z nieznajomymi nie tańczę – odpowiedziała powściągając oburzenie i kurczowo uczepliła się Gieny.

– Co wy, Lenoczko, wszyscy tutaj się znamy! To nasz zaopatrzeniowiec, świetny chłopak. Idźcie z nim, a ja pobiegnę do bufetu po czekoladki dla was.

– Nie, Gieno. Proszę, odprowadźcie mnie do domu. Jestem

bardzo zmęczona i mama na mnie czeka, a wy możecie przecież wrócić i tańczyć choćby do rana. – Ponieważ zaopatrzeniowiec już się wycofał, dodała: – Nie mam ochoty tańczyć z podobnym typem; czyżbyście nie widzieli, że ledwo trzyma się na nogach? Nie, wpierw mnie odprowadźcie, a potem idźcie do bufetu.

Podporządkował się jej rozkazującemu tonowi, lecz gdy znaleźli się w taksówce, jakby bardzo jej spragniony, chwycił ją w objęcia, obmacując chciwymi rękami piersi, tak małe, że nie musiała krępować ich stanikiem.

– Gieno, Gieno, *qu'est – ce que vous faites! Ca ne va pas!*⁷⁶ – wyszeptała nie pamiętając, że nie zna francuskiego; próbowała go odepchnąć, lecz napierał jeszcze silniej.

– Niech wam nie przyjdzie do głowy przepędzić mnie! Nie zdażyłem jeszcze nacieszyć się wami, rozsmakować w was. Musicie mi obiecać, że nie przestaniecie mnie kochać, niezależnie od tego, co może się zdarzyć – bełkotał płaczącym się językiem.

– Gieno, Gieno, przestańcie! Nie jesteśmy sami. Później porozmawiamy.

– Nie, właśnie teraz, inaczej w nocy nie zasnę. Wczoraj, Lenoczko... wczoraj... miałem niedobry dzień... Cięży mi to, uczciwe słowo leninowca! Ależ z niego Sherlock Holmes! Chce awansować, a mnie co do tego? A w ogóle prawdę mówiąc, kocham was... Kochaneczko moja! Tylko niepotrzebnie wystawiliście mi waszego pazia...

Giena zupełnie sflaczał i zwinąwszy się w kłębek zsunał się jak wór do jej nóg.

W tejże minucie szofer zahamował przed domem Leli.

– No, panienko, wasz kawaler, jak widać, zalał się w trupa! Co teraz z nim zrobimy? Może go zawieźć do izby wytrzeźwień?

Lela, złodowaciała z przerażenia, nie rozumiała, o co mu chodzi.

⁷⁶ ...qu'est... (fr.) – Co pan robi! Nie trzeba!

– Boże, mój Boże! Co to znaczy! – powtarzała chwytając się za głowę.

– Nic mu nie będzie, wytrzeźwieje! Ale kto mi teraz zapłaci? Macie pieniądze, panienko?

W końcu doszło do niej, o czym mówi taksówkarz. Nerwowo zaczęła grzebać w torebce i po kieszeniach, na szczęście niespodziewanie znalazła to, czego szukała. Podając pieniądze kierowcy wymieniła adres Gieny, sama zaś, jakby chroniąc się przed pogonią, pobiegła do bramy.

– Boże, mój Boże! – szeptała zdrętwiałymi wargami.

Rozdział trzydziesty trzeci

W przeddzień pierwszego maja, od razu po pracy (poranna zmiana kończyła się o trzeciej po południu), Oleg pognął na dworzec szczęśliwy, że może spędzić w domu dwie i pół doby. Zabrał nawet ze sobą Markiza.

W Leningradzie w biegu wyskoczyli z tramwaju i Oleg zaszedł do pobliskiego sklepu spożywczego, żeby kupić dla Asi i Sławeczka po ciastku.

W domu panowało przygnębienie – dzień wcześniej wezwano do wiadomej instytucji Natalię Pawłownę i wzięto od niej pisemne zobowiązanie o nieopuszczaniu miasta – była to zapowiedź wysiedlenia.

Oleg się oburzył:

– Co za bezwzględność! Kobieta ma pod siedemdziesiątkę! To wprost nieludzkie!

Z roztrzęsioną Asią musiał poważnie porozmawiać, a nawet odwołać się do jej hartu.

Ucałował ręce Natalii Pawłowny i Francuzki, wymienił z nimi kilka zdań o krokach, jakie należało przedsięwziąć, a następnie poszedł do łazienki, rozkoszując się myślą o czekającym go prysznicu. Natknął się tam na żonę; siedziała na brzegu wanny ze smutnie pochyloną głową i rozpuszczonym warkoczem.

– Przypominasz siostrę Alonuzkę nawołującą brata Iwanuzkę... Asiu, ty znowu płaczesz!

– Bardzo niepokoję się o babcię. Już mi sił nie starcza, aby być dzielną, nagle uświadomiłam sobie naszą bezradność. Otrzymujemy cios – podnosimy się, zalizujemy rany, kolejny cios... znowu resztkami sił układamy sobie życie i znowu... Kiedy to się skończy? Czuję, że niszczą nasze gniazdo. A ty ostatnio stałeś się dziwnie szorstki, może przestałeś mnie kochać?

– Coś ty! Co też mówisz, miła! Nigdy cię bardziej nie kochałem, niż teraz! Lecz bywają sytuacje, kiedy z człowiekiem

upadającym na duchu trzeba rozmawiać zdecydowanie, wręcz surowo – oto jedyny powód! Wybacz, jeżeli uraziłem ciebie, moja wspaniała dziewczyno. Uśmiechnij się, proszę! – Ona jednak zasłoniła twarz rękami i zobaczył, że przez jej delikatne paluszki sączą się łzy. Ktoś trącił Olega – to pudel przepychał się do swojej pani zamarłej w bezruchu; duże czarne oczy psa wpatrywały się w nią trwożnie i współczująco.

– Teraz nieszczęściem staje się nawet to, co mogło być szczęściem, wszystko obraca się w klęskę, wszystko. Żal mi nas, żal mi siebie... – szeptała przez łzy.

– Ale co się ostatecznie wydarzyło, Asiu? Jakie doszły kłopoty i zgryzoty? Popatrz, klęczę przed tobą, nie męcz mnie i swej wiernej Łady, powiedz nam. – Milczała wpatrując się w podłogę; przyglądał się jej zatroskany... – Chyba się domyślam.. Czy trafnie? – i wziął ją za rękę.

Rzuciła na niego spod przymrużonych rzęs szybkie zalęknione spojrzenie, znowu opuściła wzrok i na jej policzkach zastygły dwie duże łzy.

– Domyśliłem się. Ale czy to nieszczęście? Znajdujemy się w niezwykle trudnej sytuacji, rozumiem... a jednak, czy rzeczywiście oboje uznamy to za zmartwienie? Łzy, twoje łzy słone, gorzkie, a jak mi smakują... – Całował jej mokre policzki. – Wreszcie się rozpogodziłaś! Twój uśmiech jest jak tęcza po deszczu. Słuchaj, Asiu, a jeśli urodzi się dziewczynka – córeczka?

Wciąż jeszcze popłakując przytuliła się do jego piersi.

– Więc cieszysz się? A ja nie mogłam zdecydować się, żeby ci powiedzieć – nikomu jeszcze nie wspomniałam.

– Od kiedy to zaczęłaś się mnie bać? Czemu patrzysz na mnie z miną winowajczynie? Jesteś moją świętą! Będziemy biedować, ale się nie poddamy, niech na przekór złemu losowi nowo narodzone dziecko przyniesie nam szczęście!

Po obiedzie Oleg zabrał się do pisania listów do Pieszkowej i Karpińskiego z prośbą od Natalii Pawłowny o interwencję u władz

politycznych na rzecz siedemdziesięcioletniej chorej wdowy; zainteresowana miała je później własnoręcznie przepisać. Pragnąc poprawić nastrój najbliższych, Oleg opracował plan działań na wypadek, gdyby pismo o wydaleniu jednak przyszło. Natalia Pawłowna i madame miały pojechać pierwsze, Asia pozostałaby do czasu ukończenia szkoły i wyprzedania rzeczy i dołączyłaby po zamianie pokoi w Leningradzie na inne, w mieście, w którym się osiedlą.

– Mnie obowiązuje „minus” – to jest zakaz zamieszkiwania w promieniu stu wiorst od Leningradu; do Ługi nie jestem przykuty i mam nadzieję, że będziemy mogli zamieszkać razem – planował, doskonale zdając sobie sprawę z płonności tych projektów. Niemniej, udało mu się w pewnym stopniu uspokoić domowników i z zadowoleniem zauważył, że Asia nabrała nieco otuchy.

Wieczorem siedząc na sofie Oleg dowodził jej, że bez jakiegokolwiek szkody dla zdrowia może znacznie ograniczyć wydatki na siebie.

– W żadnym wypadku nie przysyłaj mi do Ługi delikatesów w rodzaju sera i wędlin.

Asia podniosła głowę:

– Nic takiego nie posyłałam, puszczasz wodze fantazji.

– Jak to, nie przysyłałaś? Pamiętasz, przez Elżbietę Georgiewnę, gdy przyjechała mnie odwiedzić?

– Przez Elżbietę niczego nie przekazywałam! Popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

– Zapewne chciała ci pomóc! – uznała Asia. – To podobne do niej – podrzucić ukradkiem w czyimś imieniu. Widzisz teraz, iż niesłusznie zarzucałaś jej oschłość. Szkoda, że nie ma własnej rodziny, ściszoneg głosem ciągnęła dalej: – Wiesz, kiedyś w młodości, gdy była siostrą miłosierdzia na Krymie, zakochała się w rannym oficerze, który represjonowany przez czerwonych zginął. Ona zaś nie z tych, co zapominają i przenoszą uczucie na innego, do dnia dzisiejszego żyje tylko nim i za każdym razem, gdy

go wspomina, płacze. Podarował jej perfumy „Fiołki parmeńskie” i od tej pory jak największy skarb przechowuje ów flakonik oraz chusteczkę, którą zmoczył, chcąc ją nimi skropić.

Oleg gwałtownie chwycił ją za rękę:

– Nie mów dalej. Nie będziemy grzebać się w cudzych tajemnicach. – Szybko się zerwał. – Pójdę po papierosa.

Nigdy nie palił w pokojach, lecz zawsze wychodził do kuchni bądź przedpokoju.

A więc kochała go! I nadal, jak się zdaje, kocha ta milcząca skryta dziewczyna! Ileż hartu, jaki takt!

W jego wyobraźni zawirowały szeregi obrazów... Oto ona – młoda, dziewiętnastoletnia, w fartuchu z czerwonym krzyżem, w długiej chustce siostry miłosierdzia. Pamiętał jej nieśmiałą troskliwość, cichy głos, delikatne ręce, dumną główkę... Krymska tragedia, na której tle pojawiła się ona i jej nie zauważona, nie doceniona miłość, zatopiona we krwi... Wspomnienia były tak bolesne, że nie należało do nich powracać – agonia Białej Armii, której towarzyszyło widmo egzekucji na więziennym podwórzu...

Zasepił się, zgasił papierosa i wrócił do sypialni.

Asia stała na parapecie i wyglądała przez lufcik.

– Mży deszczyk, spokojny, ciepły, wiosenny. Teraz wszystko się zazieleni – powiedziała z uśmiechem, jak gdyby ten deszcz zapowiadał pomyślną przemianę nie liściom i kwiatom, ale udręczonym ludziom. – Przepłynęła chmurka... popatrz, pojawiła się tęcza! Co by się stało, gdyby na tym osobliwym obłoku o bursztynowej barwie pojawił się świetlany duch, jednak nie groźny Archanioł z trąbą wzywający na Sąd Ostateczny, lecz inny, przepojony miłością! I niechby ujrzeli go sprawiedliwi, jak i niesprawiedliwi, wierzący i niewierzący; może by się wówczas ludzie ukorzyli, a całe zło pochłonęła wieczność... Jak sądzisz?

Zajęty myślami o czymś innym, powiedział:

– Może chciałabyś przejść się ze mną do Elżbiety

Gieorgiewny? Tak naprawdę okazujemy jej zbyt mało uwagi. Zanieśmy choćby bukiet kwiatów.

Zeskoczyła z okna i z gotowością chwyciła kapelusz.

Ulice pachniały zieleniejącymi się topolami, których lepkie pachnące gałązki sprzedawano na każdym rogu, ich zapach na zawsze związał się w pamięci obojga z tym niezapomnianym, ostatnim szczęśliwym wieczorem.

Około jedenastej wrócili do domu, lecz Asia zmęczona zrezygnowała z herbaty, chcąc jak najszybciej się położyć. Oleg podniósł ją z sofy i zaniósł na rękach do łóżka.

– Gdy jesteś z nami, niczego się nie boję, czuję się znowu szczęśliwa! – powiedziała tonem dziecka, przytulając się do poduszki. – Żeby tylko nie rozdzielono mnie z tobą i Sławeczkiem.

– A córka? O niej zapomniałaś? Pamiętaj, żeby koniecznie była dziewczynka. Sławeczek jest podobny do mnie, a twoje delikatne rysy nie mają repliki. Chciałbym nazwać córkę Sofią na pamiątkę mojej matki. Będziemy stroić ją w krótkie sukieneczki, a na główce zawiązywać ogromną kokardę – tak ubierano kiedyś moją siostrzyczkę.

Uśmiechnęła się wniebowzięta:

– Dziękuję, najmilszy! – ogromna czułość zabrzmiała w jej głosie. – Sama widzę, że to moja wina, zbyt łatwo się rozklejam. Nie wiem, co się ze mną dzieje, wszędzie widzę cierpienia i nieszczęścia.

– Jesteś święta – powiedział. – Jeśli istnieje życie wieczne, nigdy się nie spotkamy, bowiem ze mnie zatwardziały grzesznik, podczas gdy ty...

Asia otwarła oczy.

– Milcz! Nie waż się tak mówić. Pojawisz się tam, gdzie ja będę, inaczej nie zaznam szczęścia. Nie wiem dlaczego, jestem przekonana, że umierając usłyszę dźwięki dzwonów i zobaczę białe cienie, wyśpiewujące „Hosanna” i „Święty, święty, święty

Boże!” Zwiduje mi się nieraz... Wielka zuchwałość tak myśleć!

I znowu przymknęła oczy...

„Takie są twoje widzenia – pomyślał – a do mnie we śnie jedynie skośnooki Kirgiz celuje w serce”.

Patrzył na zasypiającą Asie i zastanawiał się, co by było, gdyby ona, litująca się nad wszelkim stworzeniem – psami, kotami, gołębiami – dowiedziała się, iż wydał rozkaz rozstrzelania ośmiu ludzi? Czy przestałaby go kochać?

Nagle z nieprawdopodobną żarliwością poczuł w duszy skruchę za całe popełnione zło, do którego zmusiło go życie. Dotychczas nie myślał o tych ośmiu bolszewickich zezwierzęconych zbójach i grabieżcach, których zabito na jego polecenie. Fakt ten nieoczekiwanie wynurzył się z jego pamięci. Jako grzech. Nie mógł inaczej postąpić, ale biada mu, że los skazał ich na śmierć jego ręką.

Skruchę tę poprzedzało niejako wydarzenie z poprzedniego dnia w Łudzę. Oleg umyślił sobie, że spożytkuje codzienne wędrówki po okolicznych lasach i przywiezie, korzystając z przyjacielskiej usługi Markiza, dziczyznę na obiad. Gajowy, obok którego chaty często przechodził, pożyczył mu broń i ruszył z nią na polowanie. Markiz też miał swoje plany i szybko wypłoszył na polanę zającą.

„Dawno nie strzelałem... Ech, spudłuję!” – pomyślał celując. Zając umykał jednakże dziwnie powoli, prawie nie klucząc. Wystrzał Olega powalił go. Kiedy podszedł, zobaczył zdychającą samicę, wokół której z żalonym piskiem kłębiły się dopiero co urodzone zajączki, migwały ich długie uszka i ledwo widoczne ogonki. Odruchowo zatrzymał się, przystanął i Markiz, który spojrzał na pana wymownym, pełnym zrozumienia wzrokiem. „Cośmy obaj zrobili! Czujemy się teraz jak potwory!” – zdawał się mówić wzrok psa. Umierająca matka oparła się na łapce i próbowała oblizać najbliższe dziecko... Oleg odwrócił się i odszedł.

„Oto dlaczego biedna tak powoli biegła! Zaczęła się kocić, a

myśmy bezlitośnie ją zaszczuli!” – Przypomniawszy sobie Asie w ciąży i jej bezradne spojrzenie, gdy zobaczyła wezbrany strumień, wspomniawszy jej listy o nowo narodzonym synku i zbyt małych sutkach... oraz własne zranienie – także musiał uciekać przed niebezpieczeństwem, mimo że każdy ruch sprawiał mu straszny ból! Ordynans pomagał mu wówczas wstać, powtarzając: „Zginiemy, jeśli nie dojdziemy”. Rozpaczliwym wysiłkiem podnosił się, robił krok, kilka kolejnych i znowu osuwał się na ziemię...

Bywają chwile, gdy żywa istota porażona bólem bądź słabością staje się całkowicie uzależniona od wrażliwości i pomocy otoczenia. Kto choćby raz znalazł się w takiej sytuacji – choroby, zranienia, ciąży – ten nigdy nie zapomni, jak się wobec niego zachowano. Obojętność, niedbałość czy pusta ciekawość nie są wówczas łatwiejsze do zniesienia, niż okrucieństwo. Moment taki przeżył, ale miłosierdzia się nie nauczył!

Zabita samica z małymi kojarzyła się teraz w jego myślach z przyszłością własnych dzieci. Narzucała się wszak jakaś przerażająca zbieżność. Pragnienie, aby wbrew wszystkiemu uratować się, żyć, kochać – i obojętny, bezduszny strzał myśliwego...

Tylko ktoś, kto żył podczas bolszewickiego terroru, jest w stanie pojąć, co oznaczał dzwonek do drzwi nocą. Od samego nań wyczekiwania mdlały, zamierały i ginęły przed czasem ludzkie serca! Dzwonek – zwiastun nieszczęścia, rozłąki, utraconych nadziei... Szczęśliwy, kto nigdy nie oczekiwał go w nocy i nie usłyszał.

Wybiła pierwsza, potem druga – Daszków nie mógł zasnąć pod naporem bolesnych wrażeń i leżąc na wznak z założonymi pod głowę rękami, z napięciem patrzył w okno, za którym płynął po czarnym niebie niesamowity pomarańczowy obłok... Nagle z przedpokoju doleciał ostry przeszywający dźwięk, porównywalny jedynie z trąbieniem Archanioła na dzień Sądu Ostatecznego! Czy na owym pomarańczowym obłoku nie stał aby niewidzialny Archanioł!...

TOM III

Rozdział pierwszy

Po komnatach dudni głucho, grzmi miarowo

Idącego Komandora krok.⁷⁷

Aleksander Błok

Ubierał się pospiesznie i wmawiał sobie, że pewnie milicja spodziewając się, iż on i Eduard przyjadą do rodziny na święta, postanowiła zrobić nalot, żeby wystawić mandaty za łamanie przepisów.

Na pytanie „Kto tam?”, odpowiedziano: „Otwierać, dozorca!” Był to rzeczywiście głos dozorca. Daszków otworzył drzwi. Spoza pleców brodacza w starej kufajce wylaniały się sylwetki pięciu drabów z naszywkami i kaburami.

– To obywatel Kazarinow – powiedział dozorca, odwracając wzrok z poczuciem winy.

– Ręce do góry! – warknęli przybysze, kierując na Olega rewolwery. – Jesteście aresztowani, były książę Daszków!

Oto ta chwila! Nadeszła jednak! Rozwiało się szczęście i życie! Usłyszał słaby jęk – Natalia Pawłowna stała na progu salonu oparta o framugę, jakby się obawiała, że upadnie... Chciał ją podtrzymać, ale schwymano go za ramię.

– Stać! – rozkazał jeden. – Macie broń? No, słucham? – zaczęły go obmacywać czyjeś ręce.

– Nie mam broni.

– Oto nakaz rewizji i aresztowania. Prowadźcie do swego pokoju, a wy, towarzyszu dozorczo, obudźcie sąsiadów, potrzebni są świadkowie do przeprowadzenia rewizji.

Hałasy w przedpokoju obudziły Asie, stała w sypialni,

⁷⁷ Przeł. Jerzy Liebert.

narzuciwszy na ramiona szlafroczek, na widok wymierzonych w męża rewolwerów zamarła przerażona z kredowo-białą twarzą. Madame, która wyskoczyła ze swego pokoju, wołając coś po francusku, także znieruchomiała. Poświatę białej nocy wyparł blask elektrycznej lampy, którą włączyła władcza dłoń. Kazano wszystkim usiąść z dala od siebie.

– Zaczniemy od tego kąta – powiedział dowódca, wskazując lustrzaną szafę. Asia, którą właśnie rewidowano, stała posłusznie z rękami uniesionymi do góry, wpatrzona w męża niespokojnym wzrokiem.

– Jest, towarzyszu naczelniku! Jest notatka! – zawołała funkcjonariuszka GPU rewidująca Asie.

– Przeczytaj! – rozkazał naczelnik, obserwując dwóch podwładnych przeszukujących szafę.

– Przeczytaj ty, zapomniałam okularów – kobieta podała kartkę najmłodszemu z agentów, który jękając się, przeczytał: „Dzisiaj o świcie długo podziwiałem wyraz spokoju na Twojej twarzy. Spod rozchylnych koronek uroczo...”

Asia zaczerwieniła się, Oleg dotknął ręką czoła, Natalia Pawłowna i madame miały nieobecne twarze.

– Czytaj dalej – powiedziała kobieta.

– Towarzyszu naczelniku, to chyba o kochaniu, nie wygląda mi na kontrrewolucję... Nie wypada czytać...

– Wyrzuć – powiedział naczelnik. Kartka padła do stóp Asi, która ją szybko podniosła.

– Coś tak schwyciła? Przyłapali? Następnym razem nie wdawaj się w amory – syknęła funkcjonariuszka GPU. Asia odwróciła się z naiwnym zdziwieniem, a kobieta swymi haczykowatymi palcami jęła rewidować Natalię Pawłownę i burczała ze złością: – No, staroreżymowa więdźmo, pomacamy ciebie!

Asia wstała, zrobiła niepewnie kilka kroków w kierunku

drzwi.

– A dokąd to, dokąd, wasza książęca mość? Racz wrócić na miejsce! – krzyknął naczelnik.

Asia, która nigdy nie słyszała tego tytułu w odniesieniu do siebie, nie odwróciła się. To nasunęło Olegowi pewną myśl.

– Moja żona nie wiedziała, że ukrywam się pod obcym nazwiskiem – powiedział. – Obywatel sam widział, że się nawet nie obejrzała, słysząc zwrot „wasza książęca mość”. Proszę to potwierdzić, kiedy podczas przesłuchania powołam się na obywatela.

Asia, nic nie rozumiejąc, patrzyła na męża.

– Nie jestem Kazarinowem, Asiu, ukrywałem swoje prawdziwe nazwisko – ciągnął Oleg.

Asia wciąż milczała.

– Patrzcie, czyżby rzeczywiście nie wiedziała? – zdziwił się jeden z funkcjonariuszy.

– A jakże! – oburzył się naczelnik. – Jak mam to rozumieć, obywatelka nie wiedziała, za kogo wychodzi za mąż? I nigdy nie słyszała, kim jest naprawdę mąż?

Funkcjonariusz GPU z ciekawością obserwował Asie.

– Wiedziałam o wszystkim – rzekła cicho po chwili milczenia.

– No właśnie. Dobra, nie wtrącajmy się do tego. Siadajcie, a wy, aresztowany Daszków, nie opowiadajcie bajek. Zdażycie się jeszcze nagadać podczas przesłuchania. Tam was nauczą nie tylko mówić, ale nawet śpiewać.

Dwaj agenci weszli do pokoju Natalii Pawłowny, pozostali kontynuowali rewizję w pierwszym pokoju, poruszając się od ścian ku środkowi. Surowość, z którą rozpoczynano rewizję, osłabła; Olega nie trzymano już pod lufami rewolwerów, pewnie z powodu braku ludzi. Funkcjonariusze zbliżyli się do łóżka Sławeczka.

– Weźcie dziecko, przetrząsnę łóżeczko.

Oleg, który był najbliżej, podszedł szybko, odchylił kołderkę i podniósł ciepłą śpiącą kruszynkę. Rozczochrana główka o różowych policzkach oparła się na jego piersi, dziecko coś szepnęło, nie otwierając oczu. Oleg odgarnął z czoła kosmyk włosów i ucałował kędzierzawą główkę, podczas kiedy kobieta przeglądała prześcieradła i kołderkę. Chłopczyk otworzył ciemne oczka.

– Ta-to...

Oleg oburącz przytulił do siebie małą istotkę. Sławeczek spojrzał na agentów.

– Wujek! Wujek...

W tym momencie spod kołderki wypadł zajaczek, funkcjonariuszka odrzuciła go.

– Zajaczek bach – powiedział Sławeczek i wyciągnął rączki do zabawki.

– To nic, zajaczek się nie uderzył, nasz zajaczek nigdy nie płacze – powiedział Oleg. – Pokaż, jak kochasz tatę!

Pulchne rączki objęły go za szyję, a usteczka dotknęły policzka.

– *Oh, mon Dieu!* – jęknęła madame.

– Podaj mi go – Asia wyciągnęła ręce do dziecka. Miała zmienioną bólem twarz.

„Lęka się, że ją aresztują także, i chce się pożegnać z synkiem” – pomyślał Oleg.

– Nie ruszać się! – krzyknął naczelnik do Olega, Asia opuściła wyciągnięte ramiona.

Jeden z funkcjonariuszy wszedł do pokoju, by zapytać, co ma robić z szafami i regałami na książki w salonie i bibliotece.

– Jakby tak każdą przeglądać, to do jutra wieczór stąd nie

wyjdziemy. Po kiego diabła im tyle rzeczy!

– Przejrzyjcie według uznania jedną z trzech – powiedział naczelnik i wysłał na pomoc funkcjonariuszkę, która właśnie zajmowała się pościelą Olega i Asi, sam zaś z surowym wyrazem twarzy jął chodzić z pokoju do pokoju. Chryczko, obecny przy rewizji jako świadek, kręcił się bez ładu i składu przy agentach, przestępował z nogi na nogę, skubał pas i milczał ponuro. Jego twarz nie zdradzała złośliwego zadowolenia, raczej skryte współczucie. Tylko podczas czytania nieszczęsnego liściku pozwolił sobie na niedwuznaczny uśmiech.

Po jakimś czasie z sąsiedniego pokoju wyjrzał agent:

– Tam stoi ten głupi, no jak mu tam. Manekin, na którym ubranie mierzą. Sami go będziecie rozkułaczać?

– Ciekawe, czym jest nadziany? – naczelnik prześliznął się wzrokiem po obecnych.

Oleg zmarszczył brwi.

– Wygadałaś się komuś? – spytał żonę.

– Ależ nie! – zawołała z rozpaczą. – Nikt nie wiedział! Absolutnie nikt!

– *Et ce jeune homme? Ce Gennadi? Il a, donc, vu!*⁷⁸ – powiedziała Francuzka.

Asia złapała się za głowę.

– *Gennadi? Oui, il a vu! Mais c'est impossible! Incroyable! Pauvre Hélène!*⁷⁹

– *Asia! Sois tranquille! Silence!*⁸⁰ – powiedział Oleg.

– Gdzie masz głowę, Siemionow? Co to za rozmowy w obcym języku! – naczelnik, który właśnie wszedł do pokoju, skarcił surowo młodego agenta. – Coście tak między sobą kurie, kurie?

⁷⁸ Et ce jeune... (fr.) – A ten młodzieniec? Giennadij? Przecież on wiedział!

⁷⁹ Gennadi? (fr.) – Giennadij? Tak, wiedział! Ale to niemożliwe! Niemożliwe! Biedna Helena!

⁸⁰ Asia! (fr.) – Asiu! Uspokój się! Milcz!

No? Milczycie? Nie szkodzi, niedługo nauczą was mówić nie tylko po francusku, ale nawet po chińsku!

Oleg, odwróciwszy się, obserwował, jak wskazówki zegara odliczają ostatnie jego chwile w domu.

Około dziewiątej rewizja w salonie, sypialni i bibliotece została wreszcie zakończona.

– Jeszcze ten pokój i koniec – powiedział naczelnik, zbliżając się do pokoju madame, która zerwała się jak oparzona i zasłoniła sobą drzwi.

– Nakaz rewizji? – spytała.

– Okazaliśmy go przed pięcioma godzinami. Z choinki się obywatelka urwała, czy jak?

– Okazaliście nakaz rewizji w pokojach Kazarinowów i Bologowskich, a to jest mój pokój, jestem cudzoziemką.

– Cudzoziemka? Łotyszka, czy Estonka?

– Ja, Łotyszka? Jestem Francuzką, paryżanką! – grasejując wykrzyknęła madame. – Będziecie odpowiadać za wasze zachowanie! – potrząsnęła palcem przed nosem najstarszego stopniem agenta.

– Trzymajcie tę wiedźmę! – krzyknął. Ale madame była nieustraszona.

– Spróbujcie tylko! Dotknijcie mnie, a będziecie mieli do czynienia z konsulem francuskim. Już do niego dzwonię!

– Proszę bardzo!

Podbiegła do telefonu, kiedy jednak wymieniła odpowiedni numer, ręka agenta dotknęła jej dłoni.

– Uspokójcie się, obywatelko. Nikt nie ma zamiaru nastawiać na wasze bezpieczeństwo. Na razie to wy nas obrażacie. Idźcie do swego pokoju. Waszą sprawę wyjaśnimy w najbliższych dniach. Siemionow, przynieś francuskiej obywatelce szklanekę wody.

Madame z wojowniczą miną udała się w stronę swego pokoju, zatrzymała się jednak w otwartych drzwiach. Siemionow podał jej szklankę wody, odepchnęła go.

– Wejdźcie, obywatelko, do swego pokoju i zamknijcie drzwi – powiedział naczelnik.

– Jestem u siebie, na neutralnym terenie i nikt nie ma prawa wydawać mi poleceń – brzmiała harda odpowiedź.

Sławeczek, którego znowu obudził gwar, przeciągnął się, jał gaworzyć i usiadł w łóżeczku, jednak na widok obcych wujków skrzywił się i zapłakał żałośnie. Jeden z agentów skinął Asi przyzwalająco, pochyliła się nad dzieckiem.

– Syneczku, maleńki! Zaraz mama cię ubierze, a później zagrzeje mleczko. Gdzie koszulka? – nagle załamał się jej głos, przytuliła twarz do ciepłego ciała, a mały przebierał po łóżku bosymi nóżkami.

– No – odezwał się starszy agent. – No! Wszyscy drgnęli i spojrzeli na niego niespokojnie.

– Obywatelu Daszków, przygotujcie się, pójdziecie z nami. Oleg odetchnął – dzięki Bogu, tylko on! Asi nie zabierają!

– Możecie przyszykować męża do podróży – powiedział naczelnik do Asi.

– Przygotuj mi ciepły sweter, dwa ręczniki i zmianę bielizny – poprosił Oleg, nie odrywając wzroku od jej ogromnych oczu.

Zbliżyła się i zaczęła wkładać na niego sweter, chciała w ten sposób przedłużyć ostatnie chwile. Jej ręce poruszały się coraz wolniej, kiedy zapinała kołnierz, potem znieruchomiały, przytuliła czoło do jego piersi. Ucałował rękę, która leżała na jego ramieniu.

– Dziękuję, kochanie, za twoją miłość, za szczęście, które mi dałaś. Bądź dzielna. Jeżeli zostaniesz zesłana, postaraj się, żebyś mogła wyjechać z Natalią Pawłówną, z paniami Nielidow, pewnie i one nie unikną represji. Wierzę, że potrafisz wychować nasze dzieci. Chcę, żeby wiedziały o losie ojca i obu dziadków, żeby nie

było tej obojętności, której nienawidzę, żeby w przyszłości...
Rozumiesz? Pocałuj mnie ostatni raz.

Spojrzała mu w oczy, szukała w nich odpowiedzi na swoje nieme pytanie, zrozumiał i odpowiedział głośno:

– Nie czekaj na mój powrót. To sprawa beznadziejna, wiedziałas o tym od początku. To koniec. Przeżegnaj mnie.

Asia przeżegnała go, co wywołało gwałtowną reakcję ze strony agentów.

– Odejdźcie, obywatelko, dość tego – rozkazał ostry głos. – Weźcie swoje rzeczy, aresztowany. Idziemy.

Natalia Pawłowna także przeżegnała Olega, madame krzyknęła coś pod adresem agentów. Oleg, konwojowany przez funkcjonariuszy GPU, wyszedł na klatkę schodową i jął schodzić na dół, celowo powoli.

Przed bramą czekała więzienna suka. Oleg obejrzał się: oczywiście jest – stoi na ostatnim schodku, patrzy na niego, zagryzła wargę. Twarz pełna cierpienia, a u stóp – biały, wełniany kłębuszek z trzema czarnymi kropkami – nosek i dwa oczka, trwożne i błagalne jak u matki.

– Żegnaj, Olegu! Będę dzielna! Nie martw się o syna! – głos się jej załamał.

Jakieś ręce wepchnęły go do samochodu, drzwi zatrzasnęły się. Skończyły się przeznaczone dla nich dwojga chwile szczęścia. Klęska Rosji, niczym ciemna chmura, objęła także ich.

Asia jakiś czas odprowadzała wzrokiem odjeżdżający samochód.

– Wracajcie, obywatelko, nie wolno wychodzić z mieszkania! – mówił jakiś głos obok niej. Ani na chwilę nie dawali spokoju! Dokąd ucieknie, kiedy w domu jest ten oderwany od niej kłębuszek! Trzymając się poręczy powoli wspinała się na schody. W salonie padła na pierwsze napotkane krzesło. Natalia Pawłowna zbliżyła się do niej i przytuliła do piersi jej głowę.

– Moje kochanie, musisz panować nad sobą ze względu na dziecko – powiedziała.

Słowa „musisz panować nad sobą” Asia słyszała od babci od czasów dzieciństwa. Kobieta, która je mówiła, tak doskonale potrafiła trzymać się w karbach, że miała prawo żądać tego od innych. Asia czuła, że czekała na te słowa, ale dziś nie mogły one w niczym pomóc, tak bardzo była wyczerpana i zmiażdżona, że nic do niej nie docierało, pragnęła tylko spokoju.

Wszedł agent.

– Przybiegła jakaś obywatelka, taka młodziutka – powiedział.
– Bardzo wrażliwa. Jak nas ujrzała, zaraz padła zemdlona. Może ją rozpoznać i pozwolicie wnieść tutaj?

– Lela! Wie o wszystkim! Biedaczka! – Asia pobiegła do przedpokoju.

Rozdział drugi

Dziennik Elżbietki

2 maja. Tego bałam się w ostatnich trzech latach! Życie ostatecznie straciło dla mnie sens. Wolałabym umrzeć, niż przeżyć to, co przeżywam dziś. Przed trzema laty, boleśnie dotknięta, opłakiwałam nadzieje na szczęście osobiste i nie umarłam. Teraz moja rozpacz jest wolna od osobistych uczuć – ginie człowiek, który był zdolny do bohaterstwa, który pragnął walki i czekał na odpowiednią chwilę, by się rzucić na wroga. To Pożarski! Teraz ten człowiek ginie w kazamatach! Ginie, a nędzne masy, żalosne kreatury – wychowankowie partii komunistycznej – pozbawieni honoru i szlachetności, otumanieni propagandą zdrajcy, będą żyli! Rosję czeka zagłada – upadek moralny, zubożenie. Jej koniec jawi mi się jako czarna otchłań, otchłań, w której kotłują się zwyrodnialcy! Czuję strach, kiedy patrzę w tę otchłań. Moja wiara w wielką misję „ostatnich Mohikanów”, którzy staną na czele przyszłej decydującej walki, chwieje się, ci ludzie giną. Ukrywające się jednostki są skazane. Nie ma ratunku dla Rosji, a jeżeli nawet jest, to całkiem inny, ale dla mnie załamanie się moich marzeń oznacza moralną śmierć. Jestem martwa!

Asia... To jej nieszczęście, a o moim nikt nie wie! Ja jestem na uboczu jak zwykle. A tymczasem ogrom bólu nie daje się zmierzyć... Koniec, otchłań.

3 maja. Co mnie powstrzymuje od samobójstwa? Chcę szczerze odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim mam – co prawda małą – nadzieję na wiadomości o nim – ostemplowany, sto razy sprawdzony list albo widzenie z Asią... Przyjmują paczki, więc można jeszcze coś dla niego zrobić. Po drugie – żal mi Asi! Staram się jej pomóc, czym tylko mogę, a to chroni mnie przed załamaniem się. Czasem myślę, że samobójstwo jest grzechem. Teozofia i prawosławie zgodnie je potępiają. Przerwanie procesu duchowego rozwoju, przekreślenie oczyszczających doświadczeń

prawdziwego istnienia – to także powstrzymuje. Być może za tym wszystkim ukrywa się zwykły, zwierzęcy strach przed śmiercią – taką możliwość także biorę pod uwagę. Nie widzę go, ale nie jestem tak pewna siebie, żeby całkiem wykluczyć jego rolę. Tak się kołaczę z dnia na dzień, ale taki stan nie może trwać długo.

4 maja. Przypominam sobie jego słowa podczas ostatniego spotkania, zda się, żegnał się ze mną! Nie spodziewałam się nikogo tego wieczoru; czytałam, potem siedziałam zasmucona przy oknie. Wieczór był tak piękny, że nie miałam ochoty ani na sprzątanie, ani na szycie. Nagle dzwonek – otwieram – państwo Daszkowowie! Na jego rękach brzdąc, który staje się podobny do ojca (choć jest to stworzenie – powiem szczerze – nieznośne!); ona z bukietem anemonów i fiołków, prześliczna w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Siedzieli krótko, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym – dziecko rozpraszało uwagę; tylko jedna chwila była znacząca i pozostawiła mi świadomość przedziwnej tajemnicy, ukrywającej się za zewnętrzną, faktyczną stroną życia. Dziecko oznajmiło „pi-pi”, Asia wyprowadziła je za rączkę, a my zostaliśmy sami. Wtedy on powiedział: „Od dawna chcę pani powiedzieć, Elżbieto Georgiewno, iż żywię dla niej głęboki szacunek jeszcze od czasów naszego pierwszego, smutnego spotkania w latach młodości. Jest pani prawdziwą rosyjską kobietą – taką, o jakich pisał Niekrasow. Moralne piękno pani zawsze zachwyca mnie na nowo” i ucałował moją rękę. Zdumiewające jest to, że użył słów, jakimi w moich marzeniach kończyły się nasze spotkania. Brak tylko dwóch niezastąpionych słów: „Kocham panią!”, a reszta – łącznie z powołaniem się na poetę – jakby została wzięta z mego dzienniczka. Jakby przeczytał po kryjomu i powtórzył... Czyż nie jest to dziwne? Co sprawiło, że nagle to powiedział? Czyżby przeczuwał, że widzimy się po raz ostatni? Odwiedzili mnie 30 wieczorem, a nazajutrz rano... Mój Boże! Miałam pierwszego maja wyjechać do Carskiego Sioła, do parku, aby uniknąć widoku pochodu, zabaw, pijaństwa i innych rozkoszy „proletariackiego święta”. Ale jeszcze wieczorem zauważyłam torebkę, którą Asia zostawiła u mnie na pianinie; mogły się w niej znajdować klucze i pieniądze... Więc nazajutrz

rano w drodze na dworzec wstąpiłam do nich, żeby zwrócić torebkę. Drzwi otworzył uzbrojony funkcjonariusz GPU. Widocznie zmieniłam się na twarzy, ponieważ usłyszałam: „Nie bójcie się, obywatelko, wejdźcie i okażcie swój dowód osobisty”. Dobrze, że go zawsze mam przy sobie! Usiłowałam otworzyć torebkę, drżały mi ręce, że ledwo mi się to udało. Wyobraziłam sobie, że zostanę aresztowana! To trwało króciutko, ale ileż myśli przemknęło przez głowę! Najgorsza była świadomość, że ten zeszyt leży po prostu w szufladzie, a w nim figuruje nazwisko Olega! Następna bolesna myśl, że pewnie Oleg został aresztowany, bo cóż robiłoby GPU w jego mieszkaniu! I trzecia – co mnie teraz czeka? W moim dzienniku są zdania, których mi nie darują... Słyszałam bicie swego serca. Za chwilę powiedziano, że mam dać torebkę do przejrzenia. Na szczęście nic w niej nie było, prócz śniadania i książki do czytania w pociągu; w torebce Asi znaleźli lusterko, uperfumowaną chusteczkę i zasuszoną różę. Zwrócono wszystko po chwili ze słowami: „Więc tak, obywatelko, nie aresztujemy was, ale nie możemy wypuścić z mieszkania przez kilka godzin. Proszę wejść do pokoju i posiedzieć. Nie wolno się zbliżać do telefonu i do drzwi wyjściowych”. Od tej chwili byłam spokojna o swój los, zwłaszcza, że ujrzałam kobietę, Czuchonkę, pewnie mleczarkę, która siedziała tam ze swoimi garnkami – widocznie została zatrzymana jak wszyscy; to był „kocioł” – chcieli kogoś złapać, albo na kogoś czekali i mechanicznie zatrzymywali wszystkich, którzy tu przyszli, żeby wiadomość o zasadzce nie rozeszła się po mieście. Ale uspokoiwszy się co do własnego losu, jeszcze bardziej zaniepokoiłam się o los Olega i Asi, ponieważ od nich nikt do mnie nie wyszedł. W salonie ujrzałam Natalię Pawłównę i madame; Francuzka przywitała mnie słowami: „*Oh, quel malheur, Monsieur le prince est arrêté!*”⁸¹

Pamiętam, że się wsparłam o stół drżącymi rękami. Natalia Pawłówna z właściwym sobie spokojem przeprosiła za przykrość, która mnie spotkała, i krótko zrelacjonowała zdarzenie, powiedziała, że podczas rewizji nic nie znaleziono i że

⁸¹

Oh, quei... (fr.) – Jakie nieszczęście! Książę został aresztowany!

funkcjonariusze GPU przyszli z gotowym nakazem aresztowania, ponieważ dowiedzieli się prawdziwego nazwiska Olega.

– Jak to się mogło stać? Jakiś donos? – spytałam.

– Nie wiem – odpowiedziała Natalia Pawłowna po chwili milczenia, jakby nie chciała powiedzieć prawdy. To sprawiło mi przykrość, pomyślałam nawet, że może podejrzewa mnie!

Natalia Pawłowna siedziała obok Leli Nielidowej, która leżała na kanapie z zamkniętymi oczami i szlochała jak dziecko.

– Uspokój się, dziecinko! – jakoś niezwykle serdecznie i łagodnie mówiła Natalia Pawłowna. Ta czułość wydała mi się dziwna, raczej należało uspokajać Asię. Umyślnie spytałam, gdzie jest Asia. Powiedziano, że w swoim pokoju ze Sławeczkiem i że obawiano się, aby jej także nie aresztowano, na szczęście obawy okazały się płonne. Usiadłam przy drzwiach, żeby nikomu nie narzucać swego towarzystwa. Czulałam, że drzę ze zdenerwowania. W mieszkaniu zostało dwóch agentów, znajdowali się w przedpokoju.

Natalia Pawłowna i madame były bardzo blade, postarzały się w ciągu nocy. Lela nagle usiadła i poprawiając sobie fryzurę, powiedziała: „Mama... niepokoi się... Czeka... Do domu... Do mamy!” i znowu się rozplakała, przytulona do ramienia Natalii Pawłowny.

– No dość już, dość! Napij się wody! – powtarzała Natalia Pawłowna i głaskała ją po głowie, a madame podawała kieliszek z walerianą. To wszystko wydało mi się dziwne – jak można koncentrować na sobie ogólną uwagę, kiedy się zdarzyło takie nieszczęście! Wymuszać pocieszenia na ludziach, których dotknęło nieszczęście – nie oczekiwałam od Leli takiego braku wychowania. Przecież ja milczę! Mnie to nieszczęście dotyczy bardziej, niż jej. Po co te szlochy?

Weszła Asia. Wyglądała, jakby była z wosku, tylko powieki miała nabrzmiałe i czerwone. W milczeniu uścisnęłyśmy sobie ręce, potem Asia zbliżyła się do kanapy, na której ona powinna

była leżeć, i powiedziała:

– Znowu! Co z nią będzie, babciu? Który to już raz? Zadzwoił telefon, słuchawkę podniósł funkcjonariusz GPU, słysząc było, jak mówił do kogoś: „Nie może podejść do aparatu. Niech się obywatelka nie niepokoi, nic się nie wydarzyło, ale podejść nie może. Helena Nielidowa? Tak, jest tu taka. Do telefonu nie podejdzie, ile razy mam powtarzać?”

Wymieniłyśmy spojrzenia.

– Zaraz tu przybiegnie Zinaida Glebowna – strapiła się Natalia Pawłowna.

Rzeczywiście pół godziny później zjawiała się Zinaida Glebowna wystraszona niezrozumiałą informacją, ją oczywiście także zatrzymano. Natalia Pawłowna zabrała ją do biblioteki i długo rozmawiały sam na sam, potem obie siedziały przy Leli, która ciągle leżała, niekiedy płakała, aż trzeba było poić ją wodą, ale nic nie mówiła. Asia, bardzo opanowana, cały czas milczała; chciałam dowiedzieć się paru szczegółów, ale nie odważyłam się, widząc jak bardzo jest załamana. Przybiegł Sławeczek z jakąś zabawką, zaczął tarmosić Lelę. „Ciociu Lelu, ciociu Lelu, pats, zajacek”, kazano mu odejść. Nastrój był wyjątkowo ciężki. Około godziny trzeciej madame nastawiła czajnik i zaprosiła wszystkich do stołu, żeby się wzmocnić szklanką herbaty. Tylko Lela nie ruszyła się, po prostu nie reagowała na nic; Asia przyniosła kaszkę dla Sławeczka, sama nie jadła nic, powiedziała, że nie może przełknąć. Wypiłam szklankę herbaty, ponieważ ciągle dygotałam. Wtedy znowu rozległ się dzwonek i czyjś wystraszony głos, a w odpowiedzi wciąż to samo: „Nie bójcie się, wejdźcie!”

– To Nina – powiedziała Natalia Pawłowna. – Mój Boże! – dotknęła ręką czoła.

– Jaka księżna Daszkowa? Dlaczego Daszkowa? Jestem Bołogowska! – mówiła zdenerwowana Nina już przy samych drzwiach.

– Znaczy się, z domu Daszkowa.

– Z domu jestem Ogariowa.

– Poczekaj, Iwanów, ona jest księżną z pierwszego małżeństwa; a wy, obywatelko, nie podskakujcie. Co to za dyskusja? Czy nie potrafimy wszystkiego wyjaśnić? Wiemy o was wszystko: Nina Aleksandrowna Ogariowa-Daszkowa-Bołogowska, no nie? I nie trzeba się denerwować. A ty, Iwanów, nie wtrącaj się. Towarzysz naczelnik mnie upoważnił, a nie ciebie. Wejdźcie tam, obywatelko, i usiądźcie sobie.

Na progu zjawiała się Nina Aleksandrowna i rzuciła się na szyję Natalii Pawłownie. Rozmawiały o czymś szeptem, Nina Aleksandrowna płakała. Życie się wykoleiło, miałam wrażenie, że nie wrócimy już nigdy do poprzedniej rzeczywistości. Minęło jeszcze pół godziny... Nagle wszedł agent, chyba jakiś starszy (który, jak mi się wydawało, kierował rewizją, a później gdzieś wychodził).

– Która to Nina Aleksandrowna Bołogowska – była księżna Daszkowa? – spytał.

– Ja – Nina Aleksandrowna zbladła.

– Przygotujcie się, pójdziecie z nami.

Byliśmy przerażeni. Pierwsza opanowała się Natalia Pawłowna, zbliżyła się do Niny Aleksandrowny i objęła ją.

– Niech panią Bóg ma w swojej opiece, dziecko – powiedziała.

Potem Nina Aleksandrowna odwróciła się do Asi, ujęła jej skronie, spojrzała w oczy, ucałowała i bez słowa skierowała się do wyjścia. Ze mną się nie żegnała. Na progu odwróciła się jeszcze:

– Brat... Mika... Proszę go zawiadomić – i wyszła w asyście dwóch agentów.

Za chwilę wszedł znowu tamten człowiek i powiedział, że kocioł został zlikwidowany, możemy iść do domów. Wychodząc, położyłam na stoliku przy samowarze trzydzieści rubli, pomyślałam, że w zamieszaniu uznają je za swoje. W domu oczekiwała mnie pustka i rozpacz.

5 maja. Byłam u nich dzisiaj, widziałam Lelę Nielidową. Zmarniała i zbladła – nie mniej od Asi – ale trzymała się całkiem dobrze. Spodziewają się represji. Potwornie ciężko czuć się w przededniu egzekucji, zesłania, rozłąki... Dzwonki wywołują panikę, czekają a to wezwania na przesłuchanie, a to zawiadomienia o zesłaniu. Natalia Pawłowna ponagla do sprzedawania rzeczy. Asia biega na ulicę Szpalerną, bez powodzenia stara się dostać do prokuratora... To wszystko razem składa się na szczególnie przygnębiającą atmosferę. Wszyscy nie wiadomo dlaczego uważają, że najbardziej zagrożona jest Lela Nielidowa. Słyszałam, jak jej matka mówiła: „Nie mogę spać, ciągle mi się zdaje, że przyszli po Lelę”. A wczoraj Natalia Pawłowna powiedziała:

– Dlaczego nie ma Leli? Czy się jej coś nie przydarzyło? Mój Boże, matka zwariuje, jeśli zabiorą dziewczynę!

Nie rozumiem czegoś, czy coś przede mną ukrywają, arystokraci zawsze się izolują od spóółstwa, a ja jestem obca! Nawet to, że mnie jednej wśród nich nic nie grozi, sprawia, że jestem wyobcowana. Pewnie dlatego w zagrożeniu widzę elementy mego pojęcia „podobna”. Nie wyobrażam sobie życia bez Olega, bez Asi i jej rodziny. Oni nawet nie domyślają się, że przynoszę do ich domu całe swoje serce. Bez nich jestem całkiem samotna, moja miłość nie jest nikomu potrzebna... Zdarza się, że człowiek lokuje swoje uczucia w zwierzęciu, nie trzeba się wyśmiewać ze starych panien i samotnych starców, którzy kochają psy, koty czy konie. Nie ma w tym nic śmiesznego.

6 maja. Dziś Francuzkę wzywano do konsula, ma przykrości z powodu swego zachowania podczas aresztowania Olega, podobno głośno ubliżała władzy sowieckiej. Nie mogą jej aresztować, ale mogą zmusić do opuszczenia kraju. Natalia Pawłowna bardzo się tego obawia.

7 maja. Co on robi w więzieniu, co myśli i czuje? Czy się dręczy sytuacją ojczyzny, czy też pochłaniają go sprawy rodzinne? Czy bodaj raz pomyślał o mnie? „Prawie pewne, że zostanie rozstrzelany – powiedziała Natalia Pawłowna i dodała – nie mówię

tego Asi, ale mam wrażenie, że ona sama to rozumie”.

Rozstrzelanie... Wyprowadzą, zawiążą oczy i... Zginie taki człowiek! Proletariat policzy się z arystokratą! Chociaż mówię głupstwa. Kiedy palono ich majorat i zabijano matkę – to była proletariacka zemsta, a teraz to się dzieje nie oddolnie, nie żywiołowo, to inicjatywa z góry, od Stalina, im nie są potrzebni ludzie, oni chcą mieć stado baranów, które dadzą się popędzić na nowe drogi. Boją się starych nazwisk, nie tylko jako sztandarów, wokół których mogłaby się skupić opozycja, wiedzą, że są to tęgie umysły, wyczelowane z pokolenia na pokolenie, które świetnie rozumieją zachodzące procesy i nie pozwolą sobą kierować.

Przesłuchania... Wiem wszystko. Zięc Julii Iwanowny wyszedł stamtąd niedawno z odbitą nerką – zrobił to oficer śledczy podczas przesłuchania! Najpierw dochodziły niejasne słuchy, przekazywane szeptem: „Wie pani, odbito nerkę...” „Połamano palce...”. Teraz tortury w więzieniu nie są tajemnicą, wszyscy o nich wiedzą! Wczoraj wieczorem całkiem się rozkleiłam pod wpływem niepokoju i smutku, tłukłam się po mieszkaniu, biała noc za oknem doprowadzała do szaleństwa, pogrążała w rozpacz... W końcu jakoś się opanowałam. Nie wolno wpadać w histerię, jak robi Lela. Przy mnie nikt nie siedzi na kanapie i nie podaje wody.

8 maja. Jeszcze jeden cios! Natalia Pawłowna otrzymała zawiadomienie o zesłaniu w ciągu trzech dni do Samarkandy. Żeby zyskać na czasie oświadczone, że nie może wyjechać ze względu na stan zdrowia, teraz czekają na lekarza z GPU. Asi kazano podpisać oświadczenie, że nie wyjedzie z miasta, co oznacza, iż będzie represjonowana; jest bardzo zdenerwowana, obawia się bowiem, że wyjedzie w czasie, kiedy Oleg przebywa w więzieniu; jednak osoby włączone do sprawy ze względu na pokrewieństwo, są zazwyczaj zsyłane po wyroku na oskarżonym. W każdym razie ja i Lela przysięgłyśmy na wszystkie świętości, że będziemy nosiły paczki i pójdziemy do prokuratora. Na co Asia powiedziała do Leli: „Sama jesteś zagrożona!” Dlaczego? Wszyscy oni są niepraktyczni i tracą dużo cennego czasu. Trzeba było

dawno powstawiać do komisów meble i inne rzeczy, a oni dotychczas nie zrobili tego. Asia macha ręką i mówi: „Wszystko mi jedno!” Z czego w takim razie ma zamiar żyć? Dzisiaj spierały się o coś cały dzień, czego dawniej nie bywało. Natalia Pawłowna, zwykle taka opanowana, podniosła głos i prawie krzyczała na Asie: „Natychmiast siadaj do fortepianu! Za dwa tygodnie końcowy egzamin, a ty nawet nie tknęłaś klawiszy! Musisz zdać, bo zginiesz! Pomyśl o dziecku!” A potem powiedziała do mnie: „To skutki jej kokieterii, nie chciała zdawać egzaminów, kiedy była w ciąży, i odłożyła je na rok, a teraz może zmarnować końcowy egzamin!”

Asia, jak to ona, potulnie usiadła do fortepianu, ale zamiast grać, przywarła czołem do pokrywy. Kiedy ją objęłam, powiedziała: „Nie mogę grać, po prostu nie mogę!” i nie poruszyła się.

Drugim powodem niezgody są psy. Biała pudliczka Lada jest szczenna, a Oleg przywiózł z Ługi starego setera, który przyczepił się do niego na ulicy. Natalia Pawłowna – bardziej praktyczna od reszty – uważa, że psy należy komuś podarować lub sprzedać, ponieważ nie ma pieniędzy na ich utrzymanie, a wieźć je na zesłanie byłoby szaleństwem, ale Asia jest innego zdania, nie spodziewałam się po niej takiego uporu. Seter, jak się okazało, przywiązał się do Olega i godzinami skamle przy wejściowych drzwiach, co stwarza ciężki nastrój.

10 maja. Dzisiaj znowu rozmowa o psach. Asia swoje: „Oleg tak go lubi”. Spojrzałam na setera o długich jedwabistych uszach i smutnym spojrzeniu i nagle poczułam do niego sympatię. Powiedziałam, że mogę wziąć go, ale ku memu wielkiemu zdziwieniu Asia oświadczyła, że się nie może z nim rozstać. Właśnie maleńki Sławeczek pieścił się z nią, pomyślałam nagle, że pozostaje jej dziecko ukochanego mężczyzny, które już teraz jest do niego podobne, a ja nie mam nic! Chcę wziąć psa, którego on lubił, żeby płakać, kiedy pies będzie wył, ale nawet tego mi się odmawia. Zrobiło mi się przykro, przez cały dzień nie mogę przewyciężyć niechęci do Asi.

11 maja. Madame jest sympatyczna, dobra, energiczna,

bystra, ale bywa figlarna nawet w najcięższych chwilach. Wczoraj Asia położyła się wcześniej – była bardzo zmęczona po sześciu godzinach stania w więziennej kolejce – madame i Natalia Pawłowna siedziały w salonie, Francuzka robiła kwiaty. Poszłam do nich pożegnać się i właśnie wtedy z sąsiedniego pokoju dobiegł przytłumiony szloch. Wymieniły spojrzenia.

– *La pauvre petite... Elle est si jeune encore!*⁸² – powiedziała Francuzka.

O co tu chodzi? Co ma do rzeczy wiek? Ta aluzja miała jakiś szczególny sens... Że brakuje jej w tej sypialni pocałunków i uścisków... Natalia Pawłowna widocznie także zwróciła na to uwagę, bo zachmurzyła się i wstała ze słowami: „Pójdę ją uspokoić”.

12 maja. Madame jutro wyjeżdża. Asia, która dotychczas trzymała się dzielnie, teraz się rozplakała tak rozpaczliwie, jakby miała utracić matkę. Madame – zwykle rubaszna – ryczała jak głupia, tuląc się do Asi. Nikt nie sprzedaje rzeczy, chociaż w każdej chwili mogą je skonfiskować. Mówiłam o tym znowu, ale do nich to nie dociera. Dzisiaj Natalia Pawłowna zawołała mnie i mówi: „Ucałuję, panią, moja miła, dobra, za troskę o nas. Dziękuję, że pani wytrzymała przy nas”. Te słowa ogrzały mnie, bo już myślałam, że się im narzucam. Proponowałam, że będę robiła Natalii Pawłownie zastrzyki wzmacniające mięsień sercowy, ale nie chciała. „Teraz dla mnie im gorzej, tym lepiej” – powiedziała. Lekarz z GPU odroczył wyjazd na tydzień.

13 maja. Niemożliwe, żebym nie miała ich ujrzeć więcej! Znienawidziłam białe noce.

Rozdział trzeci

Asia biegiem wracała ze Szpalernej. Wyszła z domu o szóstej, kiedy wszyscy spali, teraz poprzez ogrom trapiącego ją bólu zaczęły docierać do niej powszednie niepokoje i troski. Śniadanie nie zrobione, pewnie Sławeczek okropnie zgłodniał... Jest nie umyty, nie był na spacerze... Babcia także nie obsłużona, mieszkanie nie sprzątnięte... Jak sobie radzić bez pomocy madame, teraz, kiedy cały dzień mija na ulicy Szpalernej w ciągłych kolejkach!

Strata Francuzki wydawała się w pewnym sensie boleśnieszka niż bliska już rozłąka z babcią. Madame Teresa była w jej życiu obecna od zawsze. Jej troskliwość otaczała Asie od najmłodszych lat. Stosunki z Francuzką były proste i ciepłe, można było pokapryścić, wyblagać coś, madame знаła jej gusty i słabostki, na przykład niechęć do kożuszków, które po kryjomu przed babcią starannie wyławiała z Asinej filizanki. Tylko ona potrafiła ugotować Asi jajko „w koszulce” bez płynnego białka; madame dotychczas czesała Asie, można się było pokazać jej w negliżu i poprosić o zapięcie staniczka albo wyszorowanie pleców podczas kąpieli. Natalia Pawłowna ze swoją dystynkcją i pruderią stwarzała sztywną atmosferę. Asia szanowała ją, ale zarazem trochę się jej bała. Sposób bycia był określony szeregiem zakazów i nakazów, niektóre z nich nie zostały nigdy sformułowane, ale istniały same przez się. Stale należało brać pod uwagę życzenia i przyzwyczajenia Natalii Pawłowny. Nie sposób było wyobrazić sobie, że można objąć babcię za szyję lub rozporządzić się jej czasem, nie zgadzać się z nią lub prosić o coś – Boże uchwaj! Płakać – w żadnym przypadku! Nie było i nie mogło być prostoty w stosunkach z Natalią Pawłowną.

Teraz, otwierając kluczem drzwi, Asia pomyślała, że zaraz wybiegnie madame i spyta: „*Est-tu bien fatiguée?*”⁸³ i popędzi parzyć kawę. Miła, kochana madame! Traktowała Asie jak córkę, kto ją będzie kochał i opiekował się nią w starości? We Francji nie

miała nikogo. Jakże płakała, ściskając swego „wnuka”!

W przedpokoju było pusto, nikt nie wyszedł na spotkanie prócz psów. „Gdzie mój pan?” – pytał wzrokiem seter, szczenna Lada polizała rękę, Asia pogłaskała psie pyski i weszła do salonu. Natalia Pawłowna siedziała przy stole.

– Już się o ciebie niepokoiłam. Umyj ręce i siadaj do stołu, pewnie jesteś zmęczona i głodna.

– A gdzie Sławeczek, babciu? – spytała Asia, całując rękę Natalii Pawłowny.

– Przybiegła Lela i zabrała go na spacer nad Newę. Lela pracuje dziś od trzeciej.

Asia usiadła.

– Biedna Lela! – powiedziała cicho.

– Przyjęli paczkę?

– Nie, babciu. Stałam dwie godziny najpierw na ulicy, później w budynku, wreszcie wyszedł funkcjonariusz i oznajmił, że dzisiaj przyjmują paczki wyłącznie dla kryminalnych. Jutro muszę znowu iść.

– Jedz śniadanie, tu gorące ziemniaki, zrobię ci do herbaty grzanki. Sławeczek z apetytem zjadł śniadanie i był grzeczny, kiedy go ubierałam. Spodenki przeparałam i powiesiłam w kuchni.

– Przecież nie wolno się babci przemęczać, a babcia krzątała się cały ranek.

– Wszystkie „nie wolno” są dobre, póki wolno – z tymi słowami Natalia Pawłowna poszła do kuchni.

Rozległ się dzwonek, Asia pobiegła do przedpokoju, spodziewała się, że to Lela ze Sławeczkiem i aż się cofnęła na widok Giennadija. Nie poprosiła aby wszedł, stała na progu z bijącym sercem.

– Witam, Kseniu Wsiewołodowno! Przepraszam za zawracanie głowy – powiedział uchylając kapelusza – widzi pani,

w żaden sposób nie mogę się spotkać z Lelą. Byłem u niej w domu dwa razy, ale wciąż mnie zapewniają, że nie ma jej i że podobno nie chce mnie widzieć. A tymczasem na jutro wyznaczono nam wizytę w urzędzie stanu cywilnego. Obawiam się intryg ze strony pewnej osoby. Może Lela nie wie o tym, że jej szukam, może myśli, że się wycofałem? Dziwi mnie bezceremonialność starszych, którzy się wtracają w sprawy młodzieży! Proszę przekazać Leli ten liścik, jeżeli pani będzie ją widziała dzisiaj, a może znalazłaby pani czas i zajrzała do niej?

Serce Asi wciąż waliło, w oczach zrobiło się ciemno, nawet nogi mdlały. Zmusiła się jednak, żeby powiedzieć:

– Myślę, że lepiej będzie, jeżeli pan dowie się prawdy. Ciocia Zina powtarza to, czego życzy sobie Helena Lwowna. Proszę nie szukać spotkań z nią. Przepraszam pana – Asia zamknęła drzwi.

Kiedy opowiedziała o tej wizycie, Natalia Pawłowna skrzyczała ją za nadmierną łagodność.

– Zachowujesz się, jakbyś nie była Bołogowską.

– Niech się babcia nie gniewa. Czy łagodność jest wadą?

– Nawet bardzo często – ucięła Natalia Pawłowna. – Cóż to za bezczelny typ! – dodała.

Pół godziny później Lela przyprowadziła Sławeczka. Dziecięcy śmiech i szczebiot dziwnie brzmiał w ciszy tych pokojów.

– Idziemy myć rączki! Sławeczku, chodź do mamusi – Asia kucnęła i rozłożyła ramiona. – Mój maleńki, mój najdroższy! – szeptała, całując dziecko.

– Ktoś dzwoni! – powiedziała niespokojnie Lela. – Może to z GPU, proszę się położyć Natalio Pawłowno!

– *On me chasse!*⁸⁴ – stara dama wstała i drżącymi rękami otuliła się czarnym szalem.

– To pewnie Elżbietka, obiecała wpaść po dwunastej –

powiedziała szybko Asia.

– Nudziara z tej twojej Elżbietki. Kiedyś mówiono o takich, że kij połknęła. I po co chodzi do skompromitowanego domu. Nam jej wizyty nie dają ulgi, a sobie może zaszkodzić – z tymi słowami Lela wybiegła do przedpokoju.

– To pan? Tutaj, w tym domu? Precz stąd! Własnoręcznie pana uduszę tymi oto rękami!

Natalia Pawłowna i Asia pospieszyły do przedpokoju, słysząc krzyki obie sąsiadki nie omieszkały wyrzucić na korytarz.

– Kto to widział coś podobnego! Tyle zrobił krzywdy, a jeszcze śmie przychodzić! Podły człowiek! – krzyczała nieprzytomnie Lela.

– Uspokój się! – zawołała wystraszona Asia.

– *Hélène, Hélène, pas devant les gens!*⁸⁵ – mówiła Natalia Pawłowna, ściskając znacząco dłoń Leli.

W drzwiach ukazała się Elżbietka.

– Co się stało? Czy może przyniesiono wezwanie? Kto to wyszedł od państwa? Funkcjonariusz GPU?

– Rzeczywiście funkcjonariusz GPU! Trzeba go przepędzić! – krzyczała Lela.

Elżbietka rozglądała się z niepokojem.

– Żadne wezwanie, co wy ciągle o tych wezwaniach! Mała awantura z chłopakiem! Szlachcie to się także zdarza! – burknęła Chryczkova.

– Chodźmy do pokoju – powiedziała Asia.

– Proszę się nie obawiać, że będę płakała jak wtedy. Nie potrzebuję waleriany. Teraz już nie płacę! Proszę spytać mamy, wcale nie płacę! – mówiła Lela, odsuwając szklanę wody.

– Szkoda, że żadna z was nie potrafiła odpowiednio rozmawiać z tym człowiekiem – rzekła Natalia Pawłowna,

⁸⁵ Hélène... (fr.) – Nie w obecności obcych, Heleno.

sadowiąc się w fotelu. – Widocznie przeoczyliśmy coś w waszym wychowaniu! – marmurowa twarz Natalii Pawłowny była, jak to się często zdarzało w ostatnich czasach, zatroskana.

Elżbietka, nie wtajemniczona w szczegóły zajścia, chciała zmienić temat rozmowy.

– Przyniosłam pieniądze, Natalio Pawłowno – powiedziała. – Oddałam do komisju wazy, o których rozmawialiśmy. I proszę sobie wyobrazić, sprzedano je przy mnie! Zainteresował się nimi elegancki cudzoziemiec, który okazał się angielskim ambasadorem. Oto dziewięćset rubli i kwit.

– Dziękuję pani bardzo – powiedziała Natalia Pawłowna. – Angielski ambasador? To bardzo smutne!

– Dlaczego smutne? – zdziwiła się Elżbietka.

– To są unikatowe wazy. Stanowiły część majątku narodowego. Nie martwiłabym się, gdyby je kupiło rosyjskie muzeum. Ale nasze skarby zostaną wywiezione za granicę, boleję nad moją ojczyznę i nad tym, że ja niechcący przyczyniam się do jej zubożenia.

– I po co, babciu, myśleć o takich rzeczach! – zawołała Asia. – Czy to nie jest obojętne? Pamięta babcia nasze wazy z Luwru? Kto wie, czy nie opłakiwała ich jakaś francuska markiza, a przecież babcia zachwycała się nimi!

Ale Natalia Pawłowna nie zaszczyciła jej odpowiedzią.

– Widzi pani – rzekła do Elżbietki – i Asia, i Lela pozbawione są patriotyzmu. Żadnych wzniosłych uczuć! To wszystko się skończyło!

Powściągliwa zwykle Elżbietka uklękła przy fotelu starej damy i dotknęła ustami jej ręki.

– Pani jest wspaniała! Takich już nie ma! – zawołała. Natalia Pawłowna pogłaskała włosy dziewczyny.

– Dzięki za dobre słowo. Moje życie dobiega końca, tym bardziej się cieszę, kiedy spotykam młodą istotę o poglądach

bliskich moim. Zauważyłam je u pani.

Lela i Asia tuliły się do siebie i bezradnie patrzyły na Natalię Pawłownę i Elżbietkę. Obie myślały o tym samym: w ich młodym życiu było zbyt wiele osobistych nieszczęść, by mogły cierpieć z powodu ojczyzny!

Godzinę później, przed wyjściem do pracy, Lela zajrzała do łazienki, gdzie Asia prała dziecienną bieliznę. Asia stała wsparta o ścianę, objąwszy rękami głowę.

– Co ci? – spytała Lela. – Czy się źle czujesz?

– Tak... Jestem bardzo zmęczona i mam mdłości.

– Mdłości? Może jesteś w ciąży?

Asia położyła palec na ustach i obejrzała się.

– Cicho, nie mówiłam jeszcze babci. Nie chcę jej martwić. Jeżeli będzie musiała wyjechać, lepiej niech nie wie.

Lela usiadła na stołku.

– Cóż to, Asiu! Za co spada na nas tyle nieszczęść! Trzeba szybko zrobić zabieg, nie można tego zostawić. Zdaje się, że robia to do trzeciego miesiąca... Jak długo jesteś w ciąży?

– Nie mów mi o zabiegu, nie zrobię tego.

– Nie zrobisz? Zwariowałaś! W przededniu zesłania i ostatecznego zubożenia... Bez męża... Mówisz głupstwa, Asiu.

– Najpierw wysłuchaj mnie. To będzie córeczka, Sonieczka, ustaliliśmy wszystko. Pamiętasz, Lelu, obierał ci się palec, chodziłam z tobą do chirurga? Widziałam tam wiadro z zakrwawioną watą... Nie potrafię sobie wyobrazić, że moje dziecko zostanie rozdarte na strzępy i wrzucone do takiego wiadra... To morderstwo! Nie przekonuj mnie więcej, jeżeli nie chcesz, żebyśmy się pokłóciły!

– Właśnie będę przekonywała! To poważna sprawa, nie wolno tracić czasu. Musisz iść do szpitala natychmiast, bo będzie za późno!

W tym momencie do drzwi zbliżyła się Elżbietka.

– Elżbieto Georgiewno, proszę pomóc mi przekonać Asie, niech pani jej załatwi szpital, ona jest w ciąży i nie chce zrobić zabiegu. Przecież zginie z dwojgiem dzieci! Niech pani nam pomoże!

– Dość, Lelu! Nie rozporządzaj się mną! Ja chcę mieć drugie dziecko, chcę!

Elżbietka patrzyła na nie w milczeniu.

– Dlaczego pani nic nie mówi, Elżbieto Georgiewno? Nie można pozwolić... My giniemy bez tego! Nie dzisiaj, to jutro Asia będzie musiała jechać na zesłanie, dobrze jeżeli z Natalią Pawłowną, albo z nami, a jeżeli całkiem sama... Trzeba się spieszyć! – w głosie Leli brzmiała rozpacz.

– Myślę... – powiedziała Elżbietka z wysiłkiem – myślę, że Lela ma rację, jutro, Asiu, załatwię dla pani łóżko w naszym szpitalu, rzeczywiście trzeba się pospieszyć.

– Niech się pani nie kłopotuje, nie pójde do szpitala. Sonia nie doda mi zmartwień, nie ona jest ich przyczyną. Nie życzę sobie dalszych rozmów na ten temat!

Lela jednak przed wyjściem do pracy poinformowała o wszystkim Natalię Pawłownę. Wieczorem stara dama odbyła z Asią poważną rozmowę, ale przekonawszy się o jej niezłomności, powiedziała:

– No cóż, tego nikt nie ma prawa rozstrzygać za ciebie. Oleg Andriejewicz nie miałby ci za złe żadnej z dwóch możliwych decyzji.

Nazajutrz zjawił się agent z GPU z biletym kolejowym dla Natalii Pawłowny, a niemal w ślad za nim administrator domu z powiadomieniem, iż w najbliższe dni pokoje madame i Natalii Pawłowny zostaną zasiedlone i należy je natychmiast zwolnić.

Asia pochłonięta pakowaniem Natalii Pawłowny potulnie wysłuchiwała powiadomienia, czuła, że nie bardzo rozumie, o co

chodzi, i znowu zajęła się walizkami.

Tego wieczoru razem z paniami Nielidow odprowadziła babcię na dworzec. Miejscem zesłania była Samarkanda.

Natalia Pawłowna opuściła mieszkanie ubrana na czarno, z czarną woalką, trzymała się niezwykle prosto i z godnością kiwała głową na prawo i na lewo starym mieszkańcom kamienicy, którzy zgromadzili się przed bramą. Nawet na peronie zachowała spokój.

– Pozwoli Bóg, zobaczymy się jeszcze – mówiła do Zinaidy Glebowny. – Gdyby pani otrzymała nakaz opuszczenia miasta, niech pani prosi o Samarkandę, razem nigdy nie zginiemy. Jeżeli spotka pani Ninę albo Olega, proszę powiedzieć, że cały czas myślę o nich i modłę się za nich, jak za własne dzieci. Proszę się opiekować Asią. Cokolwiek się zdarzy, powinna zdać końcowe egzaminy.

Tylko w ostatniej chwili, kiedy do jej piersi przytuliła się głowa wnuczki, drgnęły usta i zwilgotniały oczy.

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece, moje dziecko! Nie załamuj się!

Rozdział czwarty

„Towarzyszko Kazarinowa! Komunikuję, że z powodu nadmiaru pracy nie mogę dłużej poświęcać czasu na udzielanie wam lekcji w moim domu” – i piękny profesorski podpis.

Po przeczytaniu tego listu Asia westchnęła ze smutkiem – ten także! Człowiek, którego siwa głowa przypominała jej Beethovena. Świetnie wychowany, wytworny, i proszę – „towarzyszko Kazarinowa”. Gdzie się wszystko podziało? Jaka podłość! Pozostaje wierzyć, że przynajmniej Julia Iwanowna nie pozwoli sobie na coś takiego.

Był ranek następnego dnia po wyjeździe Natalii Pawłowny. Lada wesoło kręciła się koło Asi, jakby przypominała, że ona jej nie opuści.

Ledwo Asia posadziła Sławeczka na wysokim stołku do śniadania, kiedy rozległ się dzwonek i na progu stanął Mika. Przeprosił za wczesne najście i nie wchodząc do pokoju oznajmił, że udało mu się uzyskać audiencję u prokuratora. Audiencja trwała dwie minuty. Prokurator nie prosił, by petent usiadł, lecz trzymając rękę na dzwonku oznajmił, że Nina jest oskarżona z artykułu 58, paragrafy 11 i 12; kiedy zaś Mika zapytał o Olega, prokurator oświadczył opryskliwie, że udziela informacji tylko najbliższym krewnym i nacisnął dzwonek, którym przywołuje się petentów.

– Taka zakazana mordą! Z rozkoszą skręciłbym mu kark! – zakończył swoje sprawozdanie i spojrzawszy na Asie, spuścił wzrok.

Dwa i pół roku temu Mika wyznał na spowiedzi, że jest w niej zakochany. Wkrótce potem zobaczył ją, kiedy Nina wysłała go z jakimś poleceniem do Bologowskich; Asia była w ciąży. Jej zmieniona sylwetka zraniła uczucia estetyczne Miki, powiedział sobie wówczas, że męska namiętność jest obrzydliwa, skoro szpeci tak doskonale istoty, a jego własna namiętność wyfrunęła z

szesnastoletniego serca niczym ptak. Teraz Asia stała przed nim znowu smukła, w ciemnej sukni ściągniętej paskiem, ciężki węzeł kasztanowatych włosów zsuwał się na kark poniżej maleńkiego ucha, czoło jaśniało bielą, a oczy patrzyły z powagą i smutkiem; wydały mu się ciemniejsze i głębsze niż kiedyś, rzęsy osłaniały je niczym żałobny welon; Mika miał wrażenie, że ta twarz jest teraz doskonalsza niż kiedyś. „Tak pewnie wyglądała święta Agnieszka, spowita do stóp włosami, kiedy oprawcy przyprowadzili ją do Koloseum!” – pomyślał; nie rozumiał jeszcze pojęcia najwyższej kobiecej szlachetności, pojęcie świętości było mu bliższe i bardziej zrozumiałe. „Żebym, broń Boże, nie zakochał się w niej znowu, bo trzeba będzie wszystko zaczynać od nowa! Lepiej sobie pójde”. Odwrócił się do drzwi, ale Asia powiedziała:

– Czy mógłby pan pomóc mi przesunąć meble? Zabierają dwa pokoje.

– Przyjde dziś wieczorem z kolegą, Wiaczesławem, jest moim sąsiadem, dzisiaj wraca z urlopu. We dwóch zrobimy wszystko w pół godziny – Mika wybiegł. Szedł ulicą myśląc: „Jak wspaniale! Robotnice w zakładzie i koleżanki w szkole to paskudztwo w porównaniu z nią. Są obrzydliwe, pewne siebie. Mary... Mary jest mądra, miła, poważna, ale wydaje się, że ziemskie sprawy nie obchodzą jej!”

Asia wróciła do dziecka. Co z nim robić? Trzeba iść do prokuratora i do komisju, załatwić tysiące różnych spraw, a dziecka nie ma z kim zostawić. Zanieść do cioci Ziny? Nie odmówi, ale jest taka zmęczona... Jednak nie ma innego wyjścia.

– Jedz szybcitko, Sławeczku, pojedziemy do cioci Ziny, pobawisz się u niej. Kończ szybko, kaszka słodziutka, łyżeczka malutka!

Znowu zadzwonił dzwonek, powszednia już myśl: czy to nie zawiadomienie o zesłaniu, serce waliło, kiedy biegła do przedpokoju. Za drzwiami stała Rebeka, sąsiadka Leli, która wprowadziła Lele w sowiecki „świat” – trzydziestoletnia, kwitnąca, rude loczki wysuwały się spod modnej czapeczki włożonej na

bakier, malowane usta uśmiechnięte przyjaźnie. Oleg nazywał ją „*mademoiselle Renaissance*”.

– Dzień dobry, pani Asiu. Ja z polecenia naszej Leli. Rebeka zawsze zachowywała się poufale. Nie czekając na zaproszenie weszła do pokoju Asi, jęła się rozglądać, jakby go szacowała.

– Piękny ma pani pokój, tyle cennych rzeczy... Pewnie po dziadkach? Ja w takiej sprawie: Zinaida Glebowna zachorowała, w nocy trzeba było wzywać pogotowie, miała atak duszności. Jest już lepiej, niech się pani nie martwi. Zrobiono zastrzyk i zaraz poczuła się lepiej. Musi jednak leżeć. Lela okropnie się przejęła, ona niezbyt dbała o matkę, wiemy o tym wszyscy. Wczoraj wieczorem znowu była awantura, u nas za ścianą wszystko słychać. Kiedy matka dostała ataku, Lela oszalała, wpadła do nas i za głowę się łapie. Tłumaczyliśmy jej – ja i mąż – żeby się uspokoiła ze względu na chorą. Prosiła przekazać, żeby się pani zaopiekowała matką; Lela musi iść na dziesiątą do pracy, a matce kazano leżeć bez ruchu. Przyjdzie pani? Świetnie! Nie wie pani, jak tam między Lelą a tym młodym człowiekiem, Giennadijem? Chodził i chodził, a teraz nagle zniknął, a ona taka smutna... Nie wie pani? Czy może wesela nie będzie? Bardzo mi się podoba pani pokój. Gdyby miała pani zamiar coś sprzedać, jakąś wazę czy świecznik – proszę mnie zawiadomić, chętnie kupię i dobrze zapłacę, mąż nieźle zarabia. No, na mnie czas, chcę wstąpić do Pasażu po firanki z tiulu. Do miłego! – Rebeka jeszcze raz obrzuciła wzrokiem pokój i poszła sobie.

Asia ubrała Sławeczka i powędrowała do pań Nielidow. Zinaida Glebowna miała skruszoną minę.

– Moja ty złociutka! No i trzeba było zawracać głowę naszej dziewczynce! Doczekałam się! Był koń, ale się zjeździł. Niesłychane, dusznica bolesna u czterdziestosześcioletniej kobiety. Lekarz powiedział, że się poprawię, jeżeli będę leżała. Zmęczyłam się po prostu. Od 1917 roku ani jednego spokojnego dnia. Chodź tu do mnie, Sławeczku, przed chwilą spojrzał zupełnie jak Oleg Andriejewicz...

Lela powiedziała, co trzeba robić, i poprosiła Asie, żeby ją odprowadziła do drzwi, Z jakichś nieznanych powodów serdeczniej niż zwykle pożegnała się ze Sławeczkiem. Na klatce schodowej pokazała Asi blankiet.

– Oto „zaproszenie na bal”. Do dużego domu. Z pracy prosto tam. Pan Bóg wie, czy stamtąd wrócę. Najgorzej, że właśnie dzisiaj. Lekarz powiedział mi w sekrecie, że drugiego ataku mama nie przeżyje. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam! Nie całuj mnie, jestem niedobra, kłująca, każdy drobiazg mnie irytuje. Jeżeli nie wrócę, powiedz mamie, że ją bardzo kocham i nie przeżyłabym jej straty. Niech mi wybaczy moje impertynencje. Ty i mama jesteście mi najbliższe – zimne palce Leli ścisnęły dłoń Asi.

– Pamiętam wszystko – nasze zabawy w białych dzieciennych pokojach, a później lepiankę na Krymie... i Siergieja Pietrowicza, a potem dwóch mężczyzn: twego Olega i tego łajdaka Giennadija. Ty pokochałaś wartościowego człowieka, ja – nicość, ale nie masz mi tego za złe, wiem o tym. No, zamknij za mną drzwi i biegnij, bo mama domyśli się czegoś i będzie się niepokoiła. Wszystkie pieniądze, jakie mam, zostawiłam na biurku pod przyciskiem. Do widzenia, albo może żegnaj...

Asia wróciła do pokoju, w którym na starym żołnierskim łóżku, na pocerowanej powłoczce ze szlacheckim herbem, wyhaftowanym białymi nićmi na białym płótnie, spoczywała miła zmęczona twarz, obramowana szpakowatymi jedwabistymi włosami.

– O czym rozmawialiście na schodach, Asiu? Czy może Małeńka otrzymała wezwanie na przesłuchanie? Na litość boską, nie ukrywaj niczego!

– Niech ciocia leży, ciociu Zino, nie trzeba siadać! Lela mówiła, że się niepokoi o ciocię, wyrzucała sobie wybuchowość. Tylko tyle.

– Kochane dziecko! Sama wiem, że to wszystko z powodu nerwów. To zrozumiałe po tym, co przeżyła. Patrz, Sławeczek ma podarte pończoszki, podaj mi igłę, zaraz to zaceruję.

Zajrzała „*mademoiselle Renaissance*”, żeby zaproponować, że weźmie dziecko, ponieważ idzie do parku; Asia zawahała się, ale Zinaida Glebowna szepnęła, że żadnych obaw, pani Rebeka jest bardzo troskliwa.

Chłopczyk posłusznie poszedł z obcą panią. W pokoju zapadła cisza.

– Asiu, kochanie, usiądź przy mnie.

– Ciocia nie śpi?

– Nie. W ostatnich latach kręciłam się jak w kołowrotku. Nie miałam chwili wolnego czasu, a teraz naszły mnie różne myśli, wspomnienia. Jeżeli umrę – nie przerywaj mi – jeżeli teraz umrę, przyrzeknij, że nie opuścisz Leli. Prócz ciebie nie ma nikogo. W historii z twoim mężem jest winna bez winy. Kto mógł wiedzieć, że Giennadij jest taki podły! To nie Lela wygadała się przed nim, to wy obie nie zachowałyście ostrożności ze zdjęciami.

– Tak, ciociu, wiem. Lela podczas przesłuchania tak broniła Olega, nawet mi na myśl nie przyszło mieć jej coś za złe.

– Dziękuję, kochanie. Mówię to na wszelki wypadek. Ta historia drogo Lele kosztowała. Ty, Asiu, byłaś szczęśliwa, to ma wielkie znaczenie, pierwsza miłość – udana – zawsze pozostawia kobietom coś bardzo ważnego, bez względu na to, jak ułożą się dalsze losy. Zachwycaliśmy się wszyscy wami podczas ślubu – wyjątkowo dobrana para pod względem wieku, urody, wychowania. Noc poślubna pewnie na zawsze pozostanie dla ciebie cudownym wspomnieniem. A moja Lela... Nie wiem, czy ci mówiła... Cóż za podły człowiek! Jeszcze miał czelność uspokajać ją – nie obawiaj się, byłem ostrożny... I taki spodziewał się, że przyjmemy jego oświadczenia...

– Ciocia się denerwuje, a to szkodzi. Proszę się położyć. Ale Zinaida Glebowna nie mogła się uspokoić:

– Jaka szkoda, że wtedy zesłano Walentyna Płatonowicza! Wszystko mogło się ułożyć inaczej!

Godziny mijały. Sławeczek wrócił ze spaceru z nową piłką,

Asia położyła spać uszczęśliwionego chłopczyka na rodzinnym nielidowskim kufrze. Zinaida Glebowna nie mogła zasnąć i wciąż coś mówiła.

– Ciągle wspomnienia! A to widzę ojca jak żywego, a to męża albo siostrę! I ten las krzyży pod Symferopolem. Pamiętasz naszą lepiankę? Prowadziły do niej gliniane schodki, okna – tuż nad ziemią. Spałaś na jednej pryczy z Lelą. Każdej nocy przychodzili czekałsi. Nie wiem, kogo szukali, mężczyzn z nami nie było. Potem przyszedł Serge, zwolniony z piwnic. Biedny Serge! Pamiętam, miał ulubioną laskę z trój grani aś tym sztyletem w środku. Czekałsi nie poznali się na niej i nie odebrali podczas rewizji. Przechowywałam tę laseczkę, pamiętam, że dla pozorů utykałam, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Serge tak się ucieszył, że laska się znalazła! Ucałował po kolei wszystkie moje paluszki; był dla mnie bardzo dobry, biedny Serge. A przed nami było jeszcze piętnaście lat męczarni. Pewnie dopiero teraz zbliża się kres, ale myślę o was i znowu nie mam spokoju. Jeżeli teraz umrę, Asiu, nie rujnujcie się na pogrzeb; to będzie kosztowało ze trzysta rubli, albo i więcej. Jesteśmy w takiej trudnej sytuacji! Oddajcie mnie do trupiarni i pomódlcie się w domu... Przyrzeknij, Asiu.

– Co też ciocia mówi! Ani Lela, ani ja nigdy się na to nie zgodzimy, wszystko będzie, jak należy. Ale niech ciocia nie myśli o śmierci, poleży sobie ciocia i zaraz poczuje się lepiej. Niech ciocia spróbuje zasnąć.

– Coś ty! Jak bym mogła spać! Cały czas myślę o tym, że zostanieie same, bez żadnego oparcia i bez pieniędzy, w dodatku w przededniu zesłania! Byleby was nie rozłączyli...

O trzeciej Lela kończyła pracę. Asia zgodnie z życzeniem Zinaidy Glebowny ugotowała ziemniaki i nakryła do stołu. Słuchając, jak ciocia Zina opowiada Sławeczkowi bajkę o Czerwonym Kapturku i Szarym Wilku, z trwogą obserwowała wskazówki zegara, czuła, że zaczyna dygotać.

– Lela coś się spóźnia – powiedziała nagle Zinaida Glebowna.

Asia drgnęła nerwowo.

– Dziwne, że Maleńkiej wciąż nie ma – rzekła Zinaida Glebowna pół godziny później. – Wiedziała, że czekam, i nigdzie się nie wybierała po pracy.

Asia wybiegła do ciemnego przedpokoju, ukryła się między paltami na wieszaku, zamknęła oczy. „Zlituj się Panie nad nami, ratuj nas! Giniemy!” Potem otworzyła drzwi na klatkę schodową, nasłuchiwała chwilę, ale było cicho. Boa dusiciel zgniótł, nie pozwolił się wymknąć. Opanowała ją groza. Kiedy zabierano męża, pozostała babcia, madame, ciocia Zina, Lela, teraz czekała straszna pustka!

Zawsze kochała Jezusa. Przyśnił się jej pewnego razu, kiedy miała pięć lat: było słonecznie, bardzo zielono i ciepło, stał w polu na wzgórzu, a obok Niego – maleńki wełnisty baranek. Pewnie ona sama była tym barankiem. Podczas liturgii w cerkwi zamierała zawsze, kiedy padało Jego imię – samo słowo „Jezus” brzmiało zbawiennie! Co znaczy dyktatura, niezależnie od tego czyja, wobec Jego miłości? Co znaczy nasze cierpienie wobec wiecznej błogości, która nas czeka?

– Asiu, Asiu – rozległ się słaby głos – chodź tutaj, co się dzieje? Wezwano Lelę na przesłuchanie? Proszę cię, powiedz prawdę!

Zegar wskazuje godzinę czwartą, piątą, szóstą... Asia powinna dawno być w domu, psy stęskniły się pewnie i wyją, o piątej miała przyjść klientka, która chce kupić lustro babci, o szóstej – chłopcy, żeby przesunąć meble... Niech tam!

– Wyrzyj jeszcze na schody, Asiu!

– Dopiero co wychodziłam, nikogo nie ma! – Wyjdź, dziecko, jeszcze raz! Bardzo proszę! Znowu nikogo!

– Maleńka w więzieniu! Maleńka! A ja nawet się z nią nie pożegnałam, nie przeżegnałam jej! Pamiętasz, Asiu, obraz „Księżna Tarakanowa”? Zniszczą moje biedne dziecko, zgwałcą! To ponad moje siły! Nie przeżyję tego! Oczywiście nie zobaczę jej

więcej!

Asia zapłakana całuje ręce Zinaidy Glebowny i błaga, żeby się uspokoiła, a jednocześnie mruczy coś do Sławeczka:

– Miś siedzi, Miś wyszedł na spacer... Tak, kochanie, tak... Zbuduj domek Misiowi, połóż cegielkę tu i tu... Ciociu Zino, niech się ciocia nie denerwuje... Może ona wróci!

Jest już wieczór, Sławeczek śpi, a Maleńkiej wciąż nie ma. Nad miastem płynie biała noc z zagadkową poświatą, przez otwarte okno od strony Letniego Ogrodu napływa zapach kwitnących lip, ale Zinaida Glebowna uskarża się na duszność i bóle w piersiach.

Wystraszona Asia sięga po nitroglicerynę.

– To koniec – mówi Zinaida Glebowna i przechyla się na poduszkę.

– Ciociu Zino, co z ciocią? Nie, nie, to nie jest koniec! Proszę lekarstwo, zaraz będzie lepiej! – jąka się Asia.

– Maleńka, Maleńka – szepcze Zinaida Glebowna.

Asia po raz setny wybiega na klatkę schodową, jest pusto. Wraca i widząc, że chora przyciska ręce do piersi i sinymi ustami łapie powietrze, puka do drzwi sąsiadki.

– Pani Rebeko, błagam, proszę tu przyjść! Pędzę na dół, wezwać pogotowie!

Rebeka przychodzi, zawiązując szlafrok, zbliża się do łóżka. Asia biegnie na dół.

– Zdaje się, że już nie oddycha – mówi Rebeka, kiedy Asia wraca.

Asia ujmuje zimną dłoń Zinaidy Glebowny, patrzy na jej zmienioną twarz. Gdzie ciocia jest, ciociu Zino?

Rozdział piąty

Lela przedstawiła lekarzowi naczelnemu wezwanie do dużego domu, rzecz jasna otrzymała zgodę na wcześniejsze opuszczenie pracy i wróciła do pracowni. Ponura i milcząca machinalnie słuchała gadaniny młodej, perkatonosej posługaczki o bystrych oczach, która zapinała na niej fartuch.

– Dużo pacjentów? – spytała.

– Ze szpitala – pięciu – czaszka i ramię, dwunastu na prześwietlenie płuc, a z dużego domu – dwóch, prześwietlenie przewodu pokarmowego, czekają za drzwiami, ten sam konwojent przyprowadził.

– Co znaczy, Polu, „ten sam”?

– No ten, któremu wpadłam w oko zeszłym razem, śmiałyśmy się z niego. Powiedziałam mu, że jak przewód pokarmowy, to trzeba nakarmić barem i trzy razy patrzeć, więc sobie posiedzą. A on się śmieje: ile trzeba, tyle będziemy siedzieli, przecie czas służbowy!

Lela westchnęła.

– Trzeba od nich zacząć. Proszę, wyjmij bar, Polu, a ja przygotuję mieszankę. Znowu coś połknęli?

– Podobno gwoździe, co za ludzie! – pokręciła głową Pola.

– To nie dla zabawy, Polu! Gdzie skierowania? Proszę mi dać, wpiszę do rejestru. A prześwietlenia płuc trzeba przenieść na jutro, dzisiaj pracuję tylko do dwunastej, mam zezwolenie lekarza naczelnego.

Pola podała skierowania ze stemplem dużego domu. Lela spojrzała na nie obojętnie i nagle drgnęła: Daszków Oleg? Co? Złudzenie czy rzeczywistość? Pięćdziesiąty ósmy artykuł – któż by inny!

Drżącą ręką oparła się o stół.

– Źle się pani czuje, Heleno Lwowno? – zawołała Pola,

wyjmując leki z apteczki.

– Nie, nic mi nie jest – wykrztusiła Lei a.

Podbiegła do drzwi. Są! Oto konwojenci, a tam aresztanci. Siedzieli na ławce przy wejściu od strony schodów. Kiedy wyszła, wstał tylko Oleg, pozostali nie ruszyli się. Oleg miał kamienną twarz, czy było to właściwe mu opanowanie, czy może spodziewał się, że ją tutaj zobaczy, i przygotował się do tego? Oczy ich spotkały się i natychmiast rozłączyły. Ale Lela nie potrafiła zapanować nad sobą, wargi drżały, aż musiała je zagryźć, nie mogła wydobyć głosu, obawiała się, że będzie szlochała. Konwojent, rosły chłopak o prostackim wyglądzie, odezwał się pierwszy:

– Znowu wysłano mnie do was, towarzyszeko rentgenotechnik, z tymi zuchami. Kazano prześwietlić kiszki. Skierowania dałem sanitariuszce. Zaczniście od nas, jeżeli można, żebym nie sterczał zbyt długo, przecie samochód czeka.

Lela usiłowała opanować się, wciąż jeszcze nie miała odwagi mówić. Spojrzała na drugiego aresztanta, wyglądał na kryminalistę, grube rysy, kudłata głowa, opierał się o poręcz ławki, trzymał oburącz brzuch i jęczał z cicha, jak chore zwierzę.

– Ten chyba czuje się źle? – powiedziała wreszcie Lela stłumionym głosem.

– Tacy zwariowani ludzie, towarzyszeko! Nie da się ich upilnować, termometry czy gwoździe – łykają wszystko! A później trzeba za nich odpowiadać. Na schody ledwośmy weszli, ten tutaj dosłownie leci z nóg.

Lela spojrzała na skierowanie.

– To ten – Daszków? – spytała umyślnie wskazując kryminalistę.

– Ja jestem Daszkowem – odezwał się Oleg. – Nic nie łykałem, mam okaleczoną rękę, nie potrzebuję prześwietlenia przewodu pokarmowego.

Dopiero teraz Lela zauważyła, że Oleg prawą rękę trzymał lewą, owiniętą szmatami.

– Co z ręką? – spytała, nie patrzyła na niego i starała się, by pytanie brzmiało oficjalnie, ale głos wciąż jeszcze miała drżący.

– Połamane palce – odpowiedział Oleg, tym razem, jak się zdawało, jego głos także drgnął.

Sanitariuszka, która wyjrzała w ślad za Lelą, jęknęła:

– Matulu najmiłsza! Czegój to oni nie wymyślą! Czy to kto słyszał, żeby palce sobie łamać!

– Nie ja łamałem, to mnie złamano! – powiedział Oleg. Konwojent stuknął kolbą.

– Co to za rozmowy! Odpowiadajcie na pytania!

Lela zrozumiała, że Oleg dawał jej w ten sposób do zrozumienia, jak wyglądają przesłuchania. Ciemno jej się zrobiło przed oczami. Rzeczywiście poczuła się słabo. Całym wysiłkiem woli zmusiła się, by zajrzeć do skierowań i znalazła w sobie dość sił, by je przeczytać i zrozumieć.

– Daszków jest skierowany na zdjęcie lewej dłoni, a na prześwietlenie jelit – Nikiforów – powiedziała już spokojnie.

– Czy na pewno, towarzyszeko? O gwoździach, jak pamiętam, mówiono u obu? – zaoponował konwojent.

– Wiem, co mówię. Prowadźcie obu do gabinetu – ucięła Lela, idąc przodem.

Pola wzięła jęczącego kryminalistę za rękę.

– Chodźmy! Wstawaj, idziemy! Nie migaj się! Cierp ciało, jak ci się chciało!

Chory wstał chwiejnie. Weszli pierwsi, za nimi Oleg, a na końcu konwojenci.

– Zaczekajcie za drzwiami – powiedziała Lela, zatrzymując ostatnich.

– Co to, to nie! Pozwólcie i nam, towarzyszeko. To ciężkie przypadki, ci dwaj. Pewnie czeka ich „czapa”. Trzeba mieć na oku obu – powiedział ten sam konwojent.

Lela drgnęła i spojrzała na Olega, ale nie zmienił się na twarzy, może to, co usłyszał, nie było dla niego nowiną, albo nie przywiązywał wagi do gadaniny konwojenta.

– W gabinecie okna są zakratowane, a klucz od drugich drzwi dobrze schowany, odpowiadam za swoje słowa – nie ustępowała Lela, ale konwojent nie ruszył się.

– Nie, towarzyszeko! Przepraszam, ale nie wyjdę. Kazano nie odstępować na krok. Oni są zdecydowani na wszystko. Przynajmniej mnie pozwólcie wejść. Usiądę przy drzwiach, nie będę przeszkadzał. Przeciwnie na służbie!

Lela nie odważyła się dłużej obstawać przy swoim. Konwojent wszedł i usiadł na stołku przy drzwiach; więźniów poprowadzono do leżanki w głębi pokoju. Lela gorączkowo szukała wyjścia.

Zawołała Połę i dała nura do ciemni. Pola weszła za nią, znalazły się naprzeciwko siebie w świetle czerwonej lampki.

– Mam prośbę, Polu. Odwdzięczę się przy okazji, jak potrafię. To, o co poproszę, jest dla mnie bardzo ważne.

– Pani się denerwuje, Heleno Lwowno? Może trzeba pieniędzy, pożyczę z miłą chęcią!

– Nie, Polu, chodzi o coś innego. Proszę przyrzec, że o naszej rozmowie nikt się nie dowie.

– Dobra, będę milczała. O co chodzi?

– Polu, ten młodszy więzień, to mój szwagier... Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny, pojawiło się zaniepokojenie.

– On nie jest przestępcą, Polu, siedzi z artykułu pięćdziesiątego ósmego. Oficer carski – tylko za to. Ma rodzinę, dziecko...

Brakowało jej tchu, Pola milczała.

– Chcę tylko... Nie zrobię nic złego... Tylko dwa, trzy słowa o żonie i dziecku. Nikogo nie narażę. Proszę mi pomóc!

– To niebezpieczna sprawa, Heleno Lwowno, sama pani wie. Jeżeli chce pani wsunąć mu liścik, to przecież wiadomo, że go zrewidują, kiedy będzie wracał do celi. Jak znajdą – będzie awantura. Dostaniemy w kość.

– Wiem, że listu nie wolno. Oczywiście! Tylko kilka słów... Ma połamane palce. Według przepisów każdy palec trzeba prześwietlić oddzielnie. Niech pani w tym czasie zabawi trochę konwojenta. Pani mu się podoba, proszę porozmawiać z nim, wyłudzić papierosa... Mamy jeszcze pół godziny do przyjścia lekarza. Polu, błagam!

– Dobra, pomogę, chociaż się nie godzi! Ale bardzo mi pani szkoda. To dlatego pani tak zmarniała ostatnio. A gadać nie będę, czy to ja wróg dla siebie?

– To można zrobić, kiedy będę układała jego palce – ciągnęła Lela – mój szwagier to człowiek opanowany i ostrożny... Nie zdradzi się niczym... Zamienimy tylko kilka słów... Proszę włączyć wentylator, żeby przygłuszyć.

– Rozumiem, zrobi się. Proszę załadować kasetę, ja idę. Lela załadowała kasetę, przygotowała bar i wyszła do pacjentów. Kryminalista leżał jęcząc na leżance, Oleg siedział ze spuszczoną głową, ręce miał ukryte w rękawach szarego, szpitalnego szlafroka. Z dziesięć minut zeszło jej przy kryminaliście, nim go zmusiła, żeby połknął papkę z baru, która powinna się była znaleźć w przewodzie pokarmowym, kiedy przyjdzie lekarz. Łykał ją opornie, wypluwał, potem położył się na wznak na leżance.

– Teraz wasza kolej – powiedziała do Olega oficjalnym tonem. Wstał posłusznie, a Pola szybko usiadła przy konwojencie.

– Kręcę się, kręcę, a tu można chwilkę pogwarzyć z przystojnym chłopcem – zaśmiała się i zaraz potoczyła się wesołą rozmową.

– Proszę usiąść i podać rękę – powiedziała głośno Lela i rozejrzała się po gabinecie, żeby ocenić sytuację. Oleg patrzył na nią wyczekująco, zrozumiała, że się domyślił jej manewru. Ujęła okaleczoną rękę, ułożyła na kasecie.

– Asia na razie na wolności, zdrowa; wzywano ją tylko raz, musiała podpisać zobowiązanie do nieopuszczania miasta i zwolniono; mamy nadzieję, że teraz jej nie aresztują. Udało się sprzedać meble z salonu, więc jest trochę pieniędzy. Zaglądam do nich codziennie. Natalię Pawłownę zesłano do Samarkandy, listów jeszcze nie było; nam także kazano podpisać oświadczenie o nieopuszczaniu miasta; czekamy dalszych decyzji; będziemy prosić, żebyśmy jechali wszyscy razem. Mama bardzo chora. Ninę Aleksandrownę aresztowano wtedy, kiedy wzięto pana. Madame deportowano do Francji.

Patrzył przed siebie na konwojenta z obojętnym wyrazem twarzy. Lela znowu podziwiała jego opanowanie.

– Asia jest w ciąży?

– Tak. Czuje się dobrze, jak pierwszy raz. Zmuszono ją do zmiany dowodu osobistego, nowy wystawiono na nazwisko Daszków. Sławeczkowi wypisano nową metrykę.

Nagle zasłonił ręką oczy. Lela zamilkła wystraszona, ale Oleg opuścił rękę, jego twarz – jak przed chwilą – była obojętna.

– Biedne dziecko! Z tym nazwiskiem nie będzie miał życia – powiedział. – Co jest Zinaidzie Glebownie?

– Właśnie dostała ciężkiego ataku dusznicy bolesnej, spowodowanego ostatnimi przeżyciami. Proszę poczekać, zrobię zdjęcie, żeby nie było żadnych podejrzeń – pobiegła do swoich przyrządów – Nie ruszać się, robię zdjęcie! – rozległ się jej głosik. Para przy drzwiach flirtowała najspokojniej w świecie.

– Zawiniłam wobec pana, bardzo zawiniłam... Proszę mi to wybaczyć! – szepnęła załamującym się głosem.

– Nie widzę żadnej winy.

– Wprowadziłam do domu prowokatora. Czyż to mała wina?

– Spokojnie, panno Lelu! Nie trzeba się denerwować, bo to widać na twarzy. Nikt tu nie zawinił. Od dawna mieli mnie na muszce... Śledzili, wiedziałem o tym. Myślę, że ciągle się przyjaźnicie z Asią?

– Asia ma złote serce, a ja, kiedy się przekonałam, co zrobił ten człowiek, wyrzuciłam go z domu...

– Byłem tego pewny.

– Proszę się nie ruszać! – zawołała ostro Lela. – Ile razy mam wam układać rękę?

Oleg zrozumiał jej intencje.

– Pani sprawia mi ból – powiedział.

Konwojent stuknął kolbą, widocznie w celu wzmocnienia dyscypliny i kontynuował zalecanki.

– Proszę powiedzieć Asi, żeby koniecznie zgłosiła się do Poradni do Spraw Ochrony Macierzyństwa i Niemowląt, ta instytucja ma pewne uprawnienia, GPU jest – oczywiście – wszechmocne, ale warto spróbować. Ja nie wyjdę stąd żywy: jestem przyzwyczajony do niebezpieczeństwa, niech Asia nie żałuje mnie w tych ostatnich chwilach zanadto. Proszę jej teraz nie mówić o torturach... Może kiedyś, żeby mogła w przyszłości opowiedzieć dzieciom... One powinny wiedzieć o wszystkim.

– Czyżby torturowali?

– Spokojnie, panno Lelu. Przesłuchują bez przerwy całymi dobami... Zmieniają się przesłuchujący, a przesłuchiwany zostaje... Nie pozwalają odejść ani na chwilę, ani nawet usiąść, aż padnie z wyczerpania. Brak snu – to jedna z częstych form tortury; w „Szanghaju” biją batem po plecach i łamią palce... Podobno są szafy, w których można się udusić, aleja tego nie zakosztowałem.

– Nie ruszać się, robię zdjęcie – znowu poszła do aparatury i zaraz wróciła.

– Sławeczek wspomina mnie? – dopiero teraz jego głos zadrżał.

W tej chwili do pomieszczenia wszedł lekarz, młody, energiczny, pewny siebie, z partyjnym znaczkiem w klapie.

– Witam, Heleno Lwowno! Dzień dobry, Polu. Jak tam? Dużo pacjentów? Żołądki czy płuca?

Pola szybko odsunęła się od konwojenta, Lela pobiegła do ciemni. Lekarz z pomocą Poli włożył biały fartuch, następnie kryminalistę umieszczono przy ekranie, gwóźdź wykryto szybko. Konwojent porozumiał się telefonicznie ze swoimi przełożonymi i otrzymał wskazówki, co ma robić. Lela pod dyktando lekarza pisała wnioski w sprawie gwoźdźcia i złamanych palców (lekarz orzekał na podstawie mokrych jeszcze klisz).

Nie było jej w pokoju, kiedy konwojenci wyprowadzali swoich podopiecznych; po wyjściu z ciemni wyskoczyła za nimi i ujrzała Olega już na zakręcie schodów; ich spojrzenia spotkały się.

– Przystojny mężczyzna ten pięćdziesiąty ósmy. Pani tak na niego zerkała, Heleno Lwowno, no nie? – powiedział rentgenolog, kiedy Lela wróciła do ekranu. Drżała, ale zmusiła się do uśmiechu.

Dobiegała dwunasta. Lela zawiadomiła lekarza, że zwolniła się wcześniej, zdjęła fartuch i ze swoim niewielkim neseserem zeszła do szatni, a później wyszła na ulicę.

„Ostatnie chwile wolności! Muszę zawiadomić Asie o Olegu. Wstąpię na pocztę. Trzeba to zrobić ostrożnie, w przerośni, żeby przeglądający korespondencję nie domyślił się...” Po zastanowieniu się ułożyła następujący tekst: „Droga Asiu! Piszę przed udaniem się do niego. W pracy widziałam Olega. Jest zdrowy, prosił żebyś się zwróciła do Poradni do Spraw Ochrony Macierzyństwa i Niemowląt. Pewnie wyjadę na kurort. Rozstaniemy się na długo. Staraj się nie stracić mnie z pola widzenia. Mamusię najdroższą, najmilszą i Ciebie, moja miła, dobra, Kocham bardziej niż siebie. Bądź mojej drogiej mamie

córka, kiedy mnie zabraknie. Twoja zła, winna, ale bardzo Cię kochająca Lela.”

Dwa razy przeczytała ten liścik.

„Można pomyśleć, że uciekam z kochankiem! Ale mama i Asia zrozumieją, a mnie o to chodzi – zakleiła kopertę. – Już czas. Spóźniam się. Jakże mi ciężko! A tu słońce i kwiaty miłości – kwitnący *głóg* na każdym kroku! Zawsze wiedziałam, że nie będę szczęśliwa!”

Przed sobą miała biały sobór Przemienienia – do tego soboru chodzili jej dziadek i ojciec, tu przed dwudziestu czterema laty odbył się ślub jej rodziców. Po chwili wahania weszła do świątyni. Owionął ją miły, od dawna znany zapach świec i kadzidła, półmrok, światełka i smutny, drogi śpiew... Przypomniało jej się dzieciństwo, była wzruszona. Żałobna liturgia dobiegała końca.

Stalowe zimne oczy boa dusiciela utkwily w niej, kiedy przestąpiła próg.

– Siadajcie, towarzyszeko Nielidowa, siadajcie. Protokółuję. No cóż, przyłapaliśmy was. Nie tylko nie informowaliście organów, łamiąc tym samym nasze porozumienie, lecz świadomie wprowadzaliście nas w błąd, osłaniając wroga. Wyrażna kontrrewolucyjna działalność! Sami jesteście aktywnym wrogiem, ukrywającym się pod maską przystojnej kokietki. Czeka was nasza porcja ołowiu! Możecie być pewni.

Lela milczała.

– No i co mam z wami robić, Heleno Lwowno?

– Oczywiście może się pan zneść nade mną do woli, ale powtarzam to, co mówiłam: nie wiedziałam, że Kazarinow – to nazwisko fikcyjne.

– Co? Wciąż kłamiesz, bezwstydnico, pomioście biało-gwardyjski! Nie wiedziała, ona nie wiedziała! „Dawno chciałam powierzyć panu naszą rodzinną tajemnicę” – to twoim zdaniem

powiedział ktoś inny?

– Więc to tak? Zameldował nawet o takim szczególe? Jaki usłużny ten Giennadij! W takim razie rzeczywiście nie mam nic na swoją obronę. Tak, wiedziałam, kim jest Kazarinow, ale nie wszyscy są takimi łajdakami, jak komsomolec Korsunski! To są bliscy mi ludzie. Oleg Andriejewicz – w przeszłości kontrrewolucjonista – uczciwie pracował w porcie...

Potężnym kopniakiem wybił stół, upadła na podłogę.

– Milcz! Zgnijesz w obozie!

Lela wstała, podniosła upuszczony neseser.

– Jak pan śmie szturchać mnie i mówić do mnie per ty – powiedziała, w jej głosie brzmiały nutki skrzywdzonego dziecka.

– Co?! Nie wolno mi? Mogę was rozstrzelać, jeżeli zechcę. Jesteście aresztowana, obywatelko. Usiądźcie na tamtym krześle, tam, powiedziałem, dalej; dajcie tu swoją torebkę.

Pogrzebał w neseserze, wyjął dokumenty, położył na uboczu i sięgnął po słuchawkę.

– Halo, muszę zarejestrować dziewczynę, proszę przysłać do mego gabinetu nakaz aresztowania.

Lela drżała, chociaż z całych sił starała się zachować spokój. Śledczy odłożył słuchawkę, przespacerował się po pokoju.

– A Daszkowa młodsza, Ksenia – znała przeszłość swego męża? – spytał.

– Z doniesień swego szpiega wie pan wszystko – warknęła.

– To wyjątkowo niesympatyczna osoba, ta Ksenia! Widziałem ją, kiedy brałem zobowiązanie do nieopuszczania miasta, kontakt z nią był tak przykry, że mięśnie twarzy zaczęły mi się kurczyć, jakbym jadł kwaśne jabłko. I skąd ta litość dla niej? Wplątaliście się przez nią.

„Jest jak diabeł, którego kadzidło przyprawia o skurcze!” – pomyślała.

Wszedł funkcjonariusz z jakimiś papierami, zaczęła się poniewierka. Funkcjonariusz poprowadził Lełę niekończącymi się korytarzami; schodzili w dół, wspinali się na schody i znowu szli na dół. Główny gmach GPU – arcydzieło sowieckiej architektury – jest połączony z więziennym korytarzem, nazywanym „mostem westchnień”. Tędy – nie wychodząc na ulicę – przeprowadzano aresztowanych na przesłuchania i z powrotem. Lela słyszała o „moście westchnień” i teraz zrozumiała, gdzie się znajduje. Korytarze stawały się coraz dłuższe, gorzej oświetlone, ściany wilgotniejsze, drzwi – żelazne, zakratowane jak bramy.

„Biją w Szanghaju... Co to może być, ten szanghaj? Może mnie tam prowadzą?” – serce w niej zamarło.

Wreszcie dotarli do pokoju podzielonego na sektory, w każdym stał tapczan. Pozwolono usiąść i kazano wypełnić ankietę, zmierzono wzrost i opisano ją: sylwetka szczupła, proporcjonalna, włosy kędzierzawe, krótkie, blondynka, na policzku pieprzyk, dłonie drobne. Następnie została sfotografowana, siedząc na specjalnym krześle z urządzeniem, które narzucało pozę, wzięto odciski palców. Później poprowadzono znowu długimi korytarzami do lekarza. Podczas kiedy ją badał, patrzyła na dziwny sprzęt podobny do stołu chirurgicznego czy dentystycznego fotela. Co by to mogło być? Może narzędzie tortur? Tak właśnie było, chociaż chodziło o tortury moralne. Lekarz kazał położyć się na tym dziwnym urządzeniu i zbadał ją ginekologicznie.

W sąsiednim sektorze funkcjonariusz znowu gdzieś dzwonił: „Proszę przygotować celę”. I znowu szli długimi korytarzami. Po bezsennej nocy i przeżyciach dzisiejszego dnia była tak zmordowana, że wrażliwość przytępiła się, teraz myślała o jednym – zasnąć, niechby w celi, byle tylko spać.

Minęli jeszcze jedne żelazne drzwi i znaleźli się w dużym, bardzo długim pomieszczeniu o szczególnym kształcie: z prawej strony znajdowały się okna, z lewej – szereg cel-pojedynek, rozmieszczonych na dwóch poziomach. W każdych drzwiach – judasz na wysokości ludzkiej twarzy, niżej – okienko, przez które

podawano posiłki; żelazna drabinka, prowadząca do górnego szeregu cel, była zabezpieczona drutem; podłogę pokrywał czerwony kastorowy chodnik.

Lelę przejęła strażniczka.

– Zachowywać się cicho, już dawno po apelu, jest druga godzina – powiedziała.

A więc przesłuchania, załatwianie formalności i marsze po korytarzach wypełniły cały dzień. Weszły do pojedynki; z lewej – przyśrubowane do ściany metalowe opuszczane łóżko, z prawej również opuszczany metalowy stolik i taki sam stołek, półeczka z aluminiową miską i kubkiem, pod oknem – muszla klozetowa.

– Oddać pasek do pończoch i kłaść się spać, nie przykrywać kocem głowy – rozkazała strażniczka i zabrawszy pasek zatrzaskała drzwi.

Młoda więźniarka jeszcze raz rozejrzała się bezradnie po celi, później spuściła łóżko, zwinęła zamiast poduszki szorstki bajowy koc i położyła się na twardym materacu, przykrywszy się płaszczem.

Most westchnień, szanghaj, połamane palce... A mama pewnie już nie żyje! – pomyślała i natychmiast zasnęła, jakby zapadła się w otchłań.

Rozdział szósty

– Co się tu działo, kiedy ciebie nie było, aż w głowie się kręcił!
– powiedziała Annuszka. – Siadaj, nalej kapuśniaku, póki gorący.

Ale kapuśniak wystygł w talerzu, ponieważ Wiaczesław zapomniał o jedzeniu, tyle się na niego zważyło nowin.

– Jak to, Nina Aleksandrowna także? Z jakiego to artykułu ją oskarżono? Ech, Anno Timofiejewno! Nie sztuka na władzę pomstować, ale trzeba się zastanowić*, Oleg Andriejewicz żył pod cudzym nazwiskiem i swoją przeszłość ukrywał... Za to każda władza karze. Myśli pani, że w takiej Anglii czy Francji za coś takiego order dają? A odnośnie Niny Aleksandrowny – ją mogą oskarżyć o udzielanie pomocy. Mika był u prokuratora? Prokurator nie chciał rozmawiać? Bardzo przepraszam, ale nie uwierzę w to!

Annuszka załamała ręce.

– Czyż ja bym kłamała! Spytaj mego chłopca. Zadręczyli łajdaki mego starego, bez przerwy wołają do spowiedzi. Onegdaj straszili aresztem, taki owaki, wprowadziłeś nas w błąd kłamliwymi zeznaniami...

Drzwi do pokoju Annuszki otworzyły się, na progu stanął dozorca, wsparty na lasce. Wiaczesław zauważył, że twarz mu się zaostrzyła, policzki zapadły, a skronie zsiwiały.

– Roztrajkotała się jak sroka! – burknął do żony, stukając laską. – Mało ci kłopotów? Chcesz za kratki?

Wiaczesław się wyprostował.

– Znacie mnie przecież, Jegorze Własowiczu, czy dałem się poznać jako donosiciel? – spytał.

– Tyś partyjniak i bezbożnik – tyle wiem! – zawołał gniewnie stary.

Wiaczesław skierował się do siebie, ale przystanął na progu:

– Mika w domu? – spytał.

Annuszka powiedziała, że Mika o świcie poszedł do więziennej kolejki, a stamtąd – do fabryki. Do pracy Wiaczesław miał iść dopiero nazajutrz, zamknął się więc w swoim pokoju, żeby pilnować powrotu Miki i napisać podanie na Kreml w imieniu swego wuja – średniaka, którego bezpodstawnie – jego zdaniem – oskarżono o kułactwo, jedno z najcięższych wrażeń z urlopowego wyjazdu Wiaczesława na wieś.

Dopiero wieczorem usłyszał w kuchni „trąbę jerychońską” – jak Nina nazywała donośny głos brata.

– Prędzej, Annuszko, jestem taki głodny, że hipopotama bym zjadł – Mika nie tracił humoru.

Wiaczesław odłożył papiery i pospieszył do kuchni, gdzie „Ogariow-junior” pałaszował swoją porcję kapuśniaku przy stole schludnie przykrytym ceratą.

– Cześć, Mika! Jedz, jedz – zdążymy jeszcze się nagadać – Wiaczesław uścisnął mu dłoń.

– Smutne to będą rozmowy, kolego, ponieważ nasze sprawy wzięły kiepski obrót, ale nie odbiło się to – jak widzisz – na moim apetycie – powiedział Mika, zajadając kapuśniak. Pół godziny później opowiedział Wiaczesławowi o swojej dwuminutowej audiencji u prokuratora (o którą zabiegał trzy tygodnie). Antysowieckie nastawienie, anty-sowiecka propaganda i osłanianie wrogów – oto zarzuty pod adresem Niny.

– Gdybyś zobaczył i posłuchał, co się tam dzieje – mówił Mika – paczki przyjmują od określonej liczby petentów, a w kolejce niezliczone tłumy. Przychodzę o piątej rano, żeby się znaleźć w pierwszej setce. Nie zawsze się udaje ustawić przed więzienną bramą, milicja rozpędza. Ukrywamy się w sąsiednich bramach, a kiedy więzienne drzwi zostaną otwarte, pędzimy do nich co sił. Decydują nogi. Ale nawet kiedy ci się uda zająć jedno z pierwszych miejsc, nie ma gwarancji, że przyjmą od ciebie paczkę – wyjrzy nagle chamska gęba i oznajmi, że dzisiaj paczki

są przyjmowane tylko dla kryminalistów! I odchodzisz z niczym! Stała raz ze mną dama, baronowa Ostensacken – zapudłowano jej męża i syna; męża za to, że podobno grywał w karty z królem angielskim, kiedy jako fligeladiutant towarzyszył Mikołajowi w podróży do Londynu; za co syna – nie wiem. Syna rozstrzelano, a stary baron – dowiedziawszy się o synu – powiesił się w celi! Wrzasnęli jej z okienka o tym... Padła zemdlona, podniosłem ją. A kiedyś przyczepiła się do mnie w kolejce małeńka staruszczyzna ze wsi, z kobiałką i w walonkach, prosiła pokazać, gdzie jest prokuratura, kiedy ją przeprowadzałem przez ulicę, opowiedziała, że przyszła z powodu syna. Wyrażała się niezwykle: „Tyle u nas było poborów do więzienia w związku z kołchozem, aleśmy się z Mikołką trzymali, a podczas ostatniego poboru zgarnęli mego synka”. Oto masz głos ludu! Pobór do więzienia – słyszałeś kiedykolwiek coś podobnego?

Wiaczesław potrząsnął swymi zawsze wzburzonymi włosami, jak koń grzywą, pewnie dla pobudzenia umysłu.

– Nie przesadzasz, Mika? – powiedział. – Może coś ci się pomyliło?

– Czy to jestem byle plotkara? Pozwól zauważyć, że w dzisiejszej sytuacji nie mam nastroju do żartów.

– Wybacz, tak sobie chlapałem... – Wiaczesław ścisnął rękami skronie. – Skąd się bierze takie odchylenie od linii partii?

– Tak, mój kochany, za Mikołaja odchyłeń nie było! A teraz czy to Dzierżyński, czy Mienżyński, czy Jagoda albo Miedwied’ – wciąż to samo – odchylenia. Wyobrażam sobie, co nas czeka w przyszłości!

– Nie dziwota, że się oburzasz, Mika. To obca dla ciebie władza. Twój dziadowie i pradziadowie – ziemianie, siostra – utytułowana. A dla mnie – to moja bliska mi władza! Jako szesnastolatek wziąłem karabin: walki, okopy, bezsenne noce, rany – wszystkiego zakosztowałem. Nie żałowałem sił ani zdrowia czy czasu... Wierzyłem, że budujemy szczęśliwe życie, że na zawsze skończymy z samowolą, nierównością, nędzą. Marzyłem o

przedszkolach, fabrykach, szpitalach, pokojowym budownictwie, o zadbanych dzieciach, a tu masz – wyludnione wsie, narzekania...

– I terror! – powiedział twardo Mika. – Dziś piętnaście lat po rewolucji, kiedy nie ma wojny ani oporu...

– Nieprawda! Jest opór! Pasywny, ale uparty i złowrogi, który skrada się z każdej szpary. Przyjrzyj się sobie, Olegowi Andriejewiczowi, czy wy jesteście przyjaciółmi tej władzy? Aż kipiecie ze złośliwej satysfakcji i nienawiści! Cieszy was każde nasze niepowodzenie!

– Nie mieszaj mnie z Olegiem, kolego! Daszkowowie – to rodzina należąca do wojskowej arystokracji, a nasza rodzina jest jak najbardziej cywilna i liberalna. Ojciec w swoim czasie zrezygnował ze stanowiska szambelana; dziadek zorganizował w majątku bezpłatny szpital i szkołę; nie czepiam się przeszłości, urodziłem się w piętnastym roku, nie pamiętam dawnego życia. Nigdy mnie nie obchodziło, że straciliśmy majątek. Nienawidzę własności. Pochodzenie nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ja także szukam nowego życia, nowych form. Poszedłbym z wami, gdyby nie wasza nietolerancja, ciasnota umysłowa, chciwość i przewrotność. Była taka chwila, kiedy szukałem sztandaru, któremu mógłbym służyć! Ale pokazaliście swój niezrównany terror. Sami wykuliście ze mnie wroga, rozumiesz? Pożahujecie, kiedy przyjdzie czas porachować się – zakończyć z pewnością siebie, a na widok zachmurzonej twarzy Wiaczesława, dodał łagodniejszym tonem: – Mam do ciebie prośbę.

– Mów! Dla Niny Aleksandrowny gotów jestem stać w kolejce.

– Co innego miałem na myśli. Trzeba pomóc Asi Daszkowej. Zabierają jej pokój babci. Babcię i Francuzkę wysłano, mąż siedzi, musi oddać część metrażu. Prosiła, żeby jej meble poprzenosić.

Wiaczesław zachmurzył się.

– Za wysokie progi na moje nogi, ale dla Olega Andriejewicza niech tam! – i sięgnął po czapkę.

– Więc chodźmy! Oleg z pewnością stamtąd nie wyjdzie!

Wiaczesław nie odpowiedział na replikę. Że też los go skazał na to środowisko! Mógł sobie mieszkać w robotniczym internacie z chłopakami – wszystko byłoby jasne i proste; cieszyłby się z osiągnięć, chodził na czyny społeczne, z radością i ufnością patrzył w przyszłość bez zwątpień i przykrości. A gdyby tak rzucić to wszystko i machnąć się na jakąś budowę? Może na północ, albo do Komsomolska? Tam gdzie najtrudniej, gdzie brak ludzi, tam będzie się czuł dobrze, a tu nic mu się nie układa i na duszy smutno. Tak sobie myślał Konoplannikow, kiedy maszerował obok Miki. Przypomniała mu się Lela, wzgardzona miłość, zacisnęła szczęki.

Chłopcy na próżno czekali najpierw na klatce schodowej, a później w bramie. Asia nie przyszła.

O nieszczęściu Asi Mika dowiedział się dopiero nazajutrz, kiedy po pracy – tym razem sam – zajrzał do Daszkowów.

Koło dziewiątej wieczorem zapukał do Wiaczesława.

– Czy mógłbyś pójść ze mną teraz, żeby poprzesuwać meble u Daszkowów? Umówiłem się – jest w domu; wczoraj wynikło nieporozumienie nie z jej winy, tam znowu bieda.

– Jaka mianowicie? – spytał obojętnie Wiaczesław biorąc czapkę.

– Aresztowanej kuzynkę, Lele Nielidową.

– Co? Lele? Wiesz coś bliżej?

– Nic jeszcze nie wiem. Dowiemy się na miejscu.

– Takiś bezmyślny. Chodźmy.

Znowu ruszyli w tym samym co wczoraj kierunku.

– Czy słyszałeś kiedy o sprawie Wietrowej? – spytał Mika.

– Nie. A co to za sprawa?

– To było jeszcze za carskich czasów. Jeden z przyjaciół naszej rodziny opowiedział Ninie w mojej obecności. Pewna studentka, polityczna, Wietrowa, została w więzieniu zgwałcona

przez strażnika. Okazała się ona cnotliwa jak Lukrecja, płomieniem od lampki podpaliła na sobie ubranie i spłonęła żywcem! Wybuchł skandal. W jaki sposób sprawie nadano rozgłos – nie wiadomo, ale cały uniwersytet huczał niczym ul pszczeli. Demonstracja – nabożeństwo żałobne na placu przed soborem Kazańskim, morze młodzieży, płomienne przemówienia... Oczywiście zjawiała się policja, zapędziła chmurę ludzi do ujeżdżalni, wielu aresztowano. Ale przesłuchiowano łagodnie i wyroki zapadły niskie, widocznie rząd był zakłopotany. Człowiek, który o tym opowiadał, został skazany na pół roku zesłania, a po odbyciu kary przywrócono mu status studenta. Nie o to mi jednak chodzi. Myślę, że gdyby coś takiego wydarzyło się dzisiaj – a pewnie takie rzeczy się zdarzają – nikt by nie protestował! Przecież wszyscy wiedzą o torturach, a nie protestują! Strach paraliżuje. GPU – to nie policja, aresztują jednego studenta, a zniszczą całą rodzinę i dziesięciu Bogu ducha winnych ludzi wyślą na tamten świat. Dlatego ludzie nie protestują. Społeczeństwo się zdegenerowało. Masz wodę w mózgu na skutek szkolenia partyjnego, ale postaraj się zrozumieć: milczenie w uczelniach i fabrykach świadczy przeciwko wam.

Wiaczesław odwrócił się do niego, oczy błysnęły gniewnie.

– Lepiej byś milczał!

– Czego się złościysz! A może się wstydzisz za swój reżym socjalistyczny? Nie trzeba było pchać się do partii! Nie możesz zapomnieć o tym, że przed dziewięćdziesięciu laty twego pradziadka dziedzic przegrał w karty. A mego ojca zamordowali komuniści, kiedy przyszli odbierać majątek. Miałem wtedy cztery lata, ale pamiętam, jak upadł. Dotąd jeszcze śni mi się niekiedy ta scena i budzę się s płakany. Teraz zamknęli niczym kryminalistkę moją siostrę, a mnie nie przyjmują na uniwersytet. Moje krzywdy są świeższe od twoich, a ty się dziwisz, że was nienawidzimy.

Wiaczesław zatrzymał się.

– Nie chciałbym teraz kłócić się z tobą, Mika. Bardzo cię proszę, zamilcz!

Dowiedział się wszystkiego, Asia przy nim opowiedziała Mice o wielokrotnych wezwaniach i szantażowaniu Leli przez śledczego, przemilczawszy taktownie rolę Giennadija. Mika podjął się pomocy w zorganizowaniu pogrzebu Zinaidy Glebowny, obiecał przyprowadzić przyjaciół, którzy bezinteresownie będą śpiewali i przeniosą trumnę.

– Ja także mogę się przydać – powiedział zmieszany Wiaczesław. – Pani nie poradzi sobie sama ze wszystkimi kłopotami i stanem w kolejkach. Mogę skompletować i zanieść paczkę dla Heleny Lwowny. Zgoda?

– Zgoda – szepnęła Asia.

Później na schodach Mika powiedział:

– Najpierw trzeba ją znaleźć, a to wymaga stania w kolejce do więziennych biur informacyjnych. Dam ci adresy więzień; nie licz na to, że prokurator odpowie – on nawet nie będzie z tobą rozmawiał, oznajmi, że udziela informacji tylko najbliższej rodzinie, jak mi powiedział w związku z Olegiem.

– Zmuszę go, żeby odpowiedział! Niech spróbuje odmówić! Nie tak łatwo będzie mi zamknąć mi usta, a jak powie, że jestem obcy, oświadczę, że jestem jej nieformalnym mężem – krótko i węzłowato.

Mika spojrział na Wiaczesława z zakłopotaniem, nie zdecydował się jednak na kontynuowanie rozmowy w sprawie tak delikatnej. Szli w milczeniu.

Kukułeczka! Wpadła, bieduśka! Oleg to dobry człowiek, jasne, że nie chciał jej wydać! Jest lękliwa, słaba, delikatna, ale wytrwała, nie poddała się! A więc ma jakąś wewnętrzną siłę, widocznie jest istotą wartościową... Takie dzieją się podłości w GPU: schwytali dziewczynę – dziecko jeszcze – i jakby z nożem do gardła: mów, bo cię zamknę! Zastraszają, przeciągają przesłuchania... To tak jak średniowieczna inkwizycja! Czy wiedzą o tym na górze? Obsadzili etaty różnymi łajdakami, pozwolili im robić co dusza zapragnie! Trzeba sygnalizować! Nie wolno puścić

tego płazem. Ci wszyscy Daszkowowie, Bologowscy, Ogariowowie stchórzyli, krępuje ich pochodzenie, ale on, Konoplannikow – swój człowiek, który walczył przez całą rewolucję, siedem lat spędził przy warsztacie, jego wysłuchają! Śledczy Jefimow... Nie ominie go trybunał rewolucyjny! Trzeba pisać nie tylko do Moskwy, trzeba przyciągnąć do tej sprawy komitet rejonowy i zapewnić sobie poparcie przewodniczącego. Do samego Stalina dotrze, żeby ratować kukuleczkę!

Jest teraz sama, zaszczuta, biedna! Nie ma już przy niej niesympatycznych dla niego dam, tylko ta młoda, łagodna Daszkowa. Jeżeli uratuje kukuleczkę, to przy nim odzyska siły. Już nikt ich nie rozłączy! Wyobraził sobie, że przychodzi po nią, w otwartej bramie więziennej stoi dziewczyna w szarej chusteczce i szarym waciaku, z węzełkiem w ręku, jest wychudzona i blada... Rzuca mu się na szyję. Aż w głowie mu się zakręciło! Dlaczego kobieca twarz ma niekiedy taką moc, nie jest na to odporny nawet człowiek twardy, poważny, oddany idei... Ta dziewczyna – jeżeli się zastanowić – nie reprezentuje niczego, co cenił. Czym podbiła jego serce? Opanował go smutek. Ze smutkiem mógł sobie poradzić, nie zwykł przejmować się nastrojami, ale budziło się rozczarowanie do sprawy, której oddał młodość, podważało poglądy, wprowadzało zamieszanie w życie wewnętrzne. Zapamiętał beznadziejność i zmęczenie w intonacji Asi, jej rękę spoczywającą na główce dziecka, które czepiało się spódnicy. Pod spokojem, zaszczepionym przez wychowanie, można było dostrzec rozpacz młodej kobiety.

Czy rzeczywiście mieli zesłać ją i jej dziecko? Czyżby władza sowiecka była taka słaba, że zagrażały jej kobiety? „Walczymy z kobietami! Obozy dla kobiet! Oleg Andriejewicz ma rację: carowie nie ruszali żon dekabrystów i rodzin narodników. Czyżby czuli się na swoim stolcu pewniej niż bolszewicy na swoim? Czy też byli bardziej wielkoduszni i łagodniejsi? Niedobrze się dzieje w naszym aparacie!”

Bezczyńność i bierny smutek nie były w jego zwyczaju.

„Jutro pójde najpierw do prokuratora, a później do komitetu

rejonowego! – postanowił. – Śledczy Jefimow... Zobaczymy, kto kogo!”

Rozdział siódmy

Na więziennych oknach gruchały gołębie, ich głosy niekiedy przypominały żaloszny jęk i potęgowały smutek. Panowała taka cisza, że słyhać było, jak strażniczka posilając się, rozbijała skorupkę jajka. Czasem Lela wchodziła na muszlę klozetową, żeby dosięgnąć okna i ujrzeć kawałeczek nieba. O szóstej rano strażniczka pukała do drzwi: „Pobudka!” Trzeba się było niezwłocznie zerwać, zasłać łóżko, którego nie wolno było spuszczać przez cały dzień; później strażniczka oznajmiała: „Chleb i cukier”, a za jakiś czas: „Wrzątek”. Wszystko stawiano na półeczce przed okienkiem. W południe wydawano obiad: kapuśniak i kaszę, wieczorem znowu wrzątek z chlebem.

Nogi setek więźniów wydeptywały ścieżki na betonowej podłodze, ona – jak jej poprzednicy – także tłukła się z kąta w kąt. Co chwila zaglądała przez judasza strażniczka i zaraz rozlegał się zachrypnięty głos: „Nie zasłaniać głowy ręcznikiem!” albo: „Co tam rękę drapiesz? Uważaj!”, czy: „Dlaczego nie jesz? Trzeba jeść! Odpowiadam za ciebie!” Można było brać książki z więziennej biblioteki, ale smutek, strach i rozpacz uniemożliwiały skupienie się na lekturze. Przesłuchania – oto co było udręką! Czego chciał śledczy? Była wystarczająco obciążona: Oleg zdemaskowany, Nina przyznała się, że go osłaniała, i pewnie pod wpływem tortur, że zachęcała do prowadzenia kontrrewolucyjnych rozmów; Lela widziała na własne oczy zeznania Niny. Na pozór nie pozostało nic, co można by jeszcze wymusić; za chwilę przyjdzie konwojent i zabierze do pokoju trzynastego; nawet w nocy nie była bezpieczna; śledczy często wzywał na przesłuchania w nocy albo późno wieczorem. Poznała już doskonale nie kończące się korytarze, którymi prowadzono na przesłuchania, słyszała grubiańskie krzyki i wymyślne przekleństwa dobiegające z gabinetów, obok których przechodziła, o tej porze przesłuchiowano tam zatrzymanych – a tych traktowano okrutniej, niż wzywanych z miasta. Potem następowało to co zwykle: „Siadajcie. No, jak tam, przypomnieliście sobie coś jeszcze?” – a następnie pogróżki i drwiny. Miał swoje powiedzonko: „Opowiadaj wszystko do samego

pepka”, które w odczuciu Leli szczególnie ją poniżało. Przesłuchanie trwało niekiedy do rana; śledczy, zda się, nie pamiętał, że człowiek potrzebuje bodaj kilku chwil samotności. To była szczególnie wyrafinowana tortura, która – jak się zdaje – miała na celu znęcanie się nad jej poczuciem wstydu i dobrym wychowaniem. Tak czy inaczej Lela trzymała się jak mogła, przewyciężając doznawane męki. Któregoś tygodnia *wzywał* ją na przesłuchania każdej nocy, a pomimo tego w dzień obowiązywał surowy zakaz rozkładania łóżka; stara wiedźma czuwała: „Złożyć łóżko! Natychmiast. Regulamin obowiązuje wszystkich!” Żeby oszukać jej czujność i zdrzemnąć się bodaj na chwilę, Lela wspierała się na łokciu i udawała, że czyta książkę. Kiedy jednak zdarzało się, że ją upuszczała albo zbyt nisko pochylała głowę, natychmiast rozlegał się wrzask: „Nie spać! W dzień spać nie wolno!” Torturowanie brakiem snu! Zdaje się, że to stosowano w przypadku Karakozowej? Ale Karakozowa strzelała do cara, jakie przestępstwo popełniła Lela? Czy Asia modliła się za nią w kąciaku za kredensem lub szafą, jak niegdyś w dzieciństwie? Gdzie jest Asia? Ani wołania, ani odpowiedzi na nie nie docierały do więzienia.

Jedno przesłuchanie było szczególnie męczące; tym razem śledczemu pomagał jego zastępca; nie pozwolono jej usiąść, stała piętnaście godzin, podczas gdy mężczyźni zmieniali się kilka razy i chyba nawet zdążyli uciąć drzemkę w jednym z wolnych pokoi. Była pewnie szósta rano, okna zaczynały się rozjaśniać, kiedy obaj zbliżyli się do niej z groźnymi minami i rękami w kieszeniach skórzanych kurtek, jęli pluć na nią i kłać ordynarnie; pewnie chcieli ją załamać, potem jeden z nich zdjął słuchawkę.

– Przeprowadźcie do trzynastki... – usłyszała doskonale znane nazwisko! Zamarła wpatrzona w drzwi. Znowu spotkały się ich uważne szybkie spojrzenia... Zmarniał od ostatniego spotkania, piękne rysy zaostrzyły się jeszcze bardziej; w kosmyku włosów zasłaniających bliznę na czole zauważyła siwiznę.

„Nie ma lustra, nie widzę siebie, pewnie także posiwiałam” – pomyślała.

– Znacie się bardzo dobrze, nieprawdaż? – spytał śledczy.

– Przykro mi widzieć tu panią, Heleno Lwowno – powiedział Oleg doskonale opanowanym głosem. – Cały czas twierdzę, że pani nie знаła mego prawdziwego nazwiska, niestety, nie wierzą mi. Rzecz w tym, że nie jestem Kazarinowem...

– Nie trzeba, Olegu Andriejewiczu. Przyznałam się dawno... Dziękuję. Niech pan sobie nie szkodzi – powiedziała Lela.

– Teraz wiesz, łajdaku? – wtrącił się śledczy. Ale Oleg nie zwrócił na to uwagi.

– Usiłują mnie przekonać – ciągnął spokojnie – że pani, Heleno Lwowno, zeznała, iż jestem członkiem kontrrewolucyjnej organizacji i mówiłem o tym otwarcie pani i Natalii Pawłownie. Czy to prawda?

– Ależ nie! Cały czas mówiłam i mówię, że to niemożliwe, że nigdy o tym nie słyszałam! – zawołała Lela.

– Byłem pewny, że to prowokacja – kontynuował spokojnie. – Gdyby jednak w przyszłości wymuszano na pani zeznania świadczące przeciwko mnie, proszę wszystko potwierdzać! Mnie już teraz nic nie zaszkodzi, a los pani... – nie dokończył, śledczy zrobił ruch, jakby miał go spoliczkować, Oleg szybko ujął jego rękę, a drugą ręką schwycił stołek. – Nie pozwolę, przesłuchujcie mnie do woli, ale nie pozwolę się bić.

Błyskawicznie wycelowano w niego dwa rewolwery.

– Nie zastraszyście mnie! – uśmiechnął się. – Znam wasze sztuczki! Może bym chciał dostać kulkę, ale nie odważycie się!

Lela z przerażeniem zasłoniła twarz rękawem szarego więziennego płaszcza. Strzela! Za chwilę!

– Przyślijcie konwojentów – metalowym głosem powiedział do słuchawki śledczy, a do Olega, pewnie żeby go zastraszyć: – Stęskniliście się za Szanghajem i karcerem?

Rozległy się ciężkie kroki, widocznie konwojenci byli na wszelki wypadek w pobliżu.

– Do karceru! O chlebie i wodzie, niebieska żarówka, łóżka nie rozkładać! – wyrecytował metalowy głos.

Lela odsłoniła twarz, odprowadziła Olega wzrokiem, mocny cios w skroń sprawił, że zachwiała się i jęknęła. Oleg odwrócił się, słysząc jej głos, ale konwojenci wypchnęli go za drzwi.

– Chodźmy! – syknął śledczy nad uchem Leli. Zwykle odprowadzali ją do celi konwojenci, teraz poszli z nią sami. „Byle nie gwałcili! Byle nie do Szanghaju!” – myślała, szła za nimi, spode łba zerkając z dziecinnym strachem, co chwila musiała się schylać, żeby podciągnąć grube, bure pończochy, a one wciąż spadały, nie zwrócono jej paska do pończoch.

Cela na dole, w piwnicy, półmrok, stół, dwa krzesła, biurowa lampa, telefon. Nie była tu nigdy. „Wejść!” – zawołał śledczy. Zjawił się człowiek – barczysty, twarz tępa i okrutna. „Spuście jej dobre lanie” – rozkazał śledczy i usiadł z gazetą. Człowiek wziął bat... Obserwowała go z przestraszonym... Zamachnął się i co sił smagnął przez ramiona i pierś. Krzyczeć? Nikt na to nie zareaguje, tutaj krzyk nikogo nie dziwi!

Dopiero kiedy Lela leżała na podłodze, śledczy powiedział:

– Chyba starczy! – straszny człowiek wyszedł, a śledczy zaświecił biurową lampę. – Oto akt oskarżenia, zapisano w nim twoje zeznania, iż osłaniałaś wroga klasowego. Masz kwadrans na zapoznanie się. Podpisz wszystko, albo zgnijesz w obozie. No, czytaj szybko!

Lela, mdlejąc z bólu, strachu i zmęczenia, podpisała posłusznie i trzymając się ścian przywlokła się do swojej celi. Położyła się na łóżku, ale wrzask strażniczki przywołał ją do rzeczywistości. Nie wstała jednak, tylko się wstrząsnęła jakby z zimna i przykryła szczelnie płaszczem. Kobieta powtórzyła rozkaz, a następnie wbiegła do celi.

– Wstaniesz wreszcie?

Lela spojrzała na nią podkrążonymi oczami, ale nie drgnęła.

– Głucha jesteś czy jak? – zawołała strażniczka.

– Nie mogę wstać.

– Co to znaczy? Nie zgrywaj się! Za nieposłuszeństwo pójdziesz do karceru! Lepiej się nie stawiaj!

– Nie mogę wstać – Lela zamknęła oczy, miała dreszcze, szczękała zębami, rozboleła ją ucho – od razów czy może z przeziębienia – nie wiedziała. Strażniczka stała przy niej jakiś czas, potem wyszła. Dwie godziny później drzwi otworzyły się, weszła nieznajoma kobieta w białym fartuchu... Miała niezwykle długą twarz i ciężką zuchwę, w jej wyglądzie było coś końskiego. Lela nie wiedziała, że tę kobietę, wykonującą obowiązki lekarza, więźniowie nazywali „koniem”.

– Co wam dolega? – spytała. Lela usiadła na łóżku.

– Zostałam pobita. Pierś i ramiona. Boli mnie także ucho.

– Pokażcie – głos brzmiał obojętnie, żadnego zdziwienia czy współczucia. Widocznie nie był to pierwszy przypadek. Lela odsłoniła granatowe sińce.

– Zimne okłady i soluks – powiedziała kobieta o końskiej twarzy odwracając się do drzwi.

– Nie mogę wstać – poskarżyła się Lela.

– Chorym wolno leżeć – oznajmiła kobieta.

Soluks i okłady pozostały pustym dźwiękiem, ale strażniczka dała Leli spokój.

Wieczorem bóle ucha i skroni wzmożyły się. Lela kręciła się na wyrku, wreszcie zaczęła jęczeć. Strażniczka – inna, dyżurująca w nocy – zajrzała przez judasza.

– Co ci jest? Nie wiesz, że nie wolno hałasować? Bądź cicho!

– Ucho mnie boli. Nie wytrzymam. Proszę jeszcze raz wezwać lekarza – bełkotała Lela kręcąc głową.

– Lekarz będzie dopiero rano, a na razie musisz się trzymać. Mogę dać wrzątku, zrobisz sobie okład.

Ale zwilżona chusteczka zaraz wystygła. Lela poprosiła o butelkę.

– Nie wolno. Stłuczesz i łkniesz szkło, a ja za ciebie odpowiadam.

Nazajutrz w południe przyszła znajoma już lekarka. Lela półprzytomnie poruszyła głową i nie odpowiadała na pytania.

– Przelfajnowali, nie obędzie się bez szpitala – powiedziała lekarka do strażniczki, te słowa dotarły do Leli nim straciła przytomność.

W krótkich chwilach przytomności Lela patrzyła na ściany i białe fartuchy personelu. „Szpital... Może nasz, imienia Haasego? Jeżeli zobaczę znajomą siostrę, poproszę, żeby się dowiedziała, czy mamusia żyje. Nie odmówi takiej prośbie... Szepnę cichutko. Przecież to ludzie, nie zwierzęta”.

Wkrótce jednak dowiedziała się, że leży w Kriestach i w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby wypełnić jej prośbę. Miała urazowe zapalenie wyrostka sutkowego. Chorowała około miesiąca. Jeszcze niedawno choroba była prawie przyjemnością: mamusia krząta się przy łóżku Maleńkiej, jak ptak przy gnieździe, podaje „herbatkę” i „rosołek”; codziennie zagląda Asia, sadowi się na brzegu łóżka i szczebiocze; wszyscy są tacy troskliwi, tacy czuli, rozpieszczają Lelę jak mogą. Bukieciak anemonów od Asi, pudełeczko marmoladek od Natalii Pawłowny, słodka bułeczka, którą mama kupiła za ostatniego rubla – wielka radość w ich ubogim życiu. Teraz, kiedy wszystko minęło, Lela wspomina te chwile szczególnie serdecznie. Tu – obojętne twarze, niechętne milczenie, szybkie, podejrzliwe spojrzenia i paraliżujący lęk na myśl o najbliższej przyszłości. Trzeba leżeć bez słowa. Nie wolno wołać czy prosić o coś; nawet jeśli ktoś ci współczuje, nie da tego po sobie poznać, wszyscy są zastraszeni, podpisali odpowiednie zobowiązanie – Lela o tym wie.

Kiedy spadła gorączka, natychmiast przeniesiono ją do celi.

Znowu pojedyńka, nie tamta, ale taka sama; tak jak tam, przyniesiono chleb i wrzątek, wrzucono szmatę do sprzątanania, w kółko kapuśniak i kasza na obiad... Nazajutrz łoskot zasuw przyprawił o bicie serca; cofnęła się pod ścianę i utkwiała wzrok w obojętną twarz konwojenta. Poprowadzono tym razem w inną stronę korytarza, nieznanymi schodami. Kilka minut później, stojąc między dwoma konwojentami w nieznanym pokoju, usłyszała:

– Zgodnie z postanowieniem trójki GPU... – wymieniano numery i paragrafy i cały czas powtarzały się słowa: „kontrrewolucja” i „wróg ludu”. Co to może być? Wyrok? Przecież nie było rozprawy! Usłyszała słowo „skazana”. Drgnęła i wyteżyła uwagę. Między tym słowem a następnym nie minęło i pół sekundy, ale w głowie zdążyły się zmienić myśli, a jedna była bardziej trwożna od poprzedniej. „Oby tylko zesłanie, razem z mamusią i Asią! Panie, ratuj! Spraw, żeby to nie był obóz!”

Nagle padły słowa, których bała się najbardziej. Szczególnie wyraźnie zabrzmiała w nich litera „r” – jak się zdaje – sprawiała ona czytającemu wyraźną przyjemność: „najwyższy wymiar kary przez rozstrzelanie”.

– Rozstrzelanie? Ja zostanę rozstrzelana? Przecież nie zrobiłam nic złego! Ja... ja... – zakrztusiła się. Okazało się, że siedzi, a konwojent przysuwa jej do ust szklanekę wody.

– Wypijcie, obywatelko.

– Mnie rozstrzelać, przecież ja...

Zbliżył się „on”, spojrzały na nią oczy kobry, które ją straszyły w niedawnych majaczeniach sennych. Zamilkła, skuliła się. Zaraz powie: „Prowadźcie ją na egzekucję!” Ale powiedział coś innego:

– Macie prawo w ciągu kilku dni złożyć do Moskwy prośbę o ułaskawienie. Możliwe, że najwyższy wymiar kary zostanie zastąpiony obozem.

Lela nie od razu zrozumiała, więc powtórzył i dodał:

– Będziecie pisać prośbę?

– Tak, oczywiście! Koniecznie! A nie zostanę tymczasem rozstrzelana?

– Wyrok jest wykonywany w określonym terminie, w tym czasie obowiązkowo nadejdzie taka czy inna odpowiedź na prośbę o ułaskawienie – wyskandował i odszedł, skrzypiąc butami.

Drżącą ręką podpisała podanie o ułaskawienie, które jej zdaniem nie brzmiało przekonująco. Prosiła, by umieszczono w nim takie sformułowania, jak: „Mam tylko 22 lata i bardzo chcę żyć” oraz: „Nigdy nic złego nie zrobiłam”, jednak prawnik, który pisał podanie, odrzucił je. Podanie było zbyt oficjalne, ale Lela nie miała odwagi prosić, by je poprawiono. Bała się, że trafi do kosza, że powiedzą jej: „Ponieważ kaprysisz, nie wyślemy tego podania”.

Podniecona, z nieprzytomnym wzrokiem miotała się cały dzień po celi: „A może rozstrzelają, zanim przyjdzie odpowiedź? Albo dostanę odpowiedź odmowną? Co się stanie z mamusią, kiedy się o tym dowie? Oleg... Jeżeli mnie, to jego tym bardziej!... Asia! Sławeczek! Jak będą żyli? Dzisiaj pewnie wysiedlają mamusię i Asie, jako najbliższą rodzinę skazanych na najwyższy wymiar kary! Dokąd mają jechać?”

Natychmiast po apelu położyła się do łóżka, opanowały ją nowe myśli:

Śmierć... Jest tuż... Kto wie, może jeszcze tej nocy. Czy jest coś z tamtej strony, czy panuje tam pustka? Twarzą w twarz z nieznanym! Uczono Lelę wiary, wierzyła, ale dlaczego tak mało myślała o przyszłym życiu? Jezus Chrystus wpajał miłość do wszystkich, w Ewangelii tyle cudownych słów o tym; w cerkwi mówią i śpiewają o ofierze ducha, o modlitwie, o wierze, o Komunii... A słowa te jakby ją mijały! Wiedziała, że kiedyś umrze... Nie czyniła zła, ale dobra nie czyniła także. Zawsze przede wszystkim myślała o sobie. Mamusia, ojciec, dziadek i babcia, służąca, a później także Asia, madame, Siergiej Pietrowicz – wszyscy istnieli jakby po to, żeby upiększać jej życie! Wobec mamy była arogancka. Co prawda oddawała jej cały zarobek do

ostatniego grosza, zawsze pytała o pozwolenie, kiedy chciała gdzieś pójść, ale jednocześnie dokuczała; nawet, kiedy całowała, to jakby z łaski. Dlaczego nikt, ani jeden człowiek, nie powiedział jej nigdy o tym, że za mało kocha ludzi, że nie jest w zgodzie z nauką Jezusa! A tymczasem pouczano ją, jak się należy posługiwać nożem i widelcem! Na Boże Narodzenie i na Wielkanoc obdarowywano zabawkami, zapraszano dzieci wystrojone jak lalki, ale nikt nie szepnął: „Zachowaj świętość tego dnia!” A później, kiedy się życie zmieniło i nastąpiły czasy doświadczeń, wszyscy się nad nią litowali, ale i wtedy nikt nie przypomniał jej o miłości, cierpliwości, pokorze. A z drugiej strony, kto żył lepiej? Spośród wszystkich ludzi, których знаła, prawdziwie dobre były tylko mamusia i Asia. Chociaż... Jak pogodzić z chrześcijańską miłością bliźniego pogardę okazywaną przez mamusię tym, którzy nie potrafili się wylegitymować przynajmniej czterema pokoleniami przodków? Lela nie jest godna, by zbliżyć się do aniołów i świętych... Więc co ujrzy, kiedy dosięgnie ją kula? Ciemność? Odrażające, gnijące istoty, które ją otoczą i będą się nad nią znęcać? Ognistą Gehennę? W takim razie lepsza jest nicość! Jakie to straszne!

Leżała odwrócona twarzą do ściany, obejmując rękami głowę, ledwo żywa ze strachu.

„Chyba nie pamiętam żadnej modlitwy, prócz Ojcze Nasz i Wierzę” – chciała je zmówić, kiedy rozległ się łoskot odsuwanej zasuw. Pomyślała, że to przyszli ją zabrać. Ledwo żywa usiadła na łóżku, czoło zrosił zimny pot.

– Z rzeczami do wyjścia – usłyszała głos konwojenta. Zerwała się.

– Nie, nie pójdę. Wysłałam prośbę o ułaskawienie. Śledczy obiecał, że nie rozstrzelają mnie, zanim nie będzie odpowiedzi. Nie pójdę!

– Ale niemądra! Powiedziałam przecież: z rzeczami! A czyż na rozstrzelanie wołają z rzeczami? Na tamtym świecie twoje szmaty nikomu nie są potrzebne. Do innej celi pójdziesz – wyjaśnił

konwojent.

Lela odetchnęła.

– Do innej celi? Naprawdę?

– Czy nam w głowie kłamstwa? – powiedziała strażniczka. – Po wyroku nie trzymają w pojedynkach, taki porządek. Do ogólnej celi idziesz, do celi śmierci.

– Do celi śmierci? W żadnym wypadku! Stamtąd nie ma powrotu! Papier o ułaskawieniu przyślą tutaj, a kiedy mnie nie zastanie...

– Co ty pleciesz! Pójdiesz, jak taki rozkaz. Zabieraj szmaty. Nie zginie twój papier.

Lela w rozpaczy uczepiła się łóżka, ale okrutna ręka ścisnęła jej ramię.

– Co to za fochy! Nie mamy czasu na zabawy z tobą! No! – w głosie brzmiały już groźne nuty.

Drżąca i zapłakana zebrała swoje rzeczy, włożyła płaszcz, zawiązała szalik i wyszła na korytarz.

– Zlituj się, Panie! Przebac mi, że byłam niedobra! Przebac mi całe moje życie – szeptała zmartwiałymi wargami. – Żeby chociaż spotkać Olega albo Ninę Aleksandrownę. Wezmę ich za ręce, nie będę się tak bała, jak sama. Zlituj się, Panie, i nie potępij mnie!

Nie opierała się już, tylko od czasu do czasu szlochała. Prowadzono ją długimi chłodnymi korytarzami, wreszcie zatrzymano się, znowu łomot zasuw – cela śmierci... Skazani, tacy jak ona...

Rozdział ósmy

Oleg nie podpisał aktu oskarżenia, pomimo szczerze stosowanych „metod oddziaływania”, to pogłębiło wagę oskarżenia. Po odczytaniu wyroku skazującego na najwyższy wymiar kary przez rozstrzelanie przeniesiono go do celi śmierci. Prośby o ulaskawienie złożyć nie chciał, nie liczył bowiem na pozytywną odpowiedź i uważał to za zbędne poniżanie się; w dodatku wyrok śmierci mógł być – w lepszym przypadku – zastąpiony skazaniem na dwadzieścia lat obozu, a to wydawało się gorsze od rozstrzelania.

Skazani na karę śmierci korzystali z jednego przywileju – wolno im było leżeć na łóżku od rana do wieczora; dla człowieka zmęczonego przesłuchaniami i udręką karceru to była rozkosz – ostatnia, która pozostała podczas czekania na śmierć. Na widok ponurych ludzi na łóżkach, Oleg rozłożył swoje i ulokował się na nim.

Przy łóżku na ścianie, wymalowanej szarą farbą, widniały napisy, przeczytał niektóre z nich: „Precz ze Stalinem!”, „Umieram bez winy”, „Nie licz na nic, kiedy tu wszedłeś”. Sens ostatniego zdania, od dawna zajmujący jego wyobraźnię, zabrzmiał jak temat losu w symfonii Beethovena.

To nieuniknione, na co był przygotowany, zbliżało się. Biedna Asia! Za niecałe trzy lata szczęścia płaci teraz całym życiem, napiętnowana znanym księżącym nazwiskiem i białogwardyjską przeszłością męża, będzie na zesłaniu w jakimś dalekim zakątku pędzić nędzny żywot z dwojgiem drobnych dzieci. W wiejskiej izbie na leżance... Dobrze jeszcze, jeżeli wśród Rosjan, a może trafić do Kirgizów albo Jakutów... Świadomość Sławeczka będzie się kształtowała w wiejskiej szkole, gdzie na każdej lekcji w języku jakuckim będą mu wmawiali, że jego ojciec jest wrogiem ludu i łajdakiem... Chłopiec znienawidzi swoje nazwisko, może nie będzie chciał przyjść na mogiłę ojca... Ale przecież Oleg nie będzie miał mogiły!

Te myśli przerwał łoskot zasuw: przyniesiono chleb

pokrojony na porcje i wrzątek w czajniku, który postawiono na stole w środku celi. W słabym świetle żarówki, umieszczonej pod sufitem, ponure postacie poruszyły się, nalewały wrzątek do metalowych kubków, brały chleb.

– Dzisiaj ostatni raz rozgrzewam się herbatką, tej nocy pewnie przyjdą po mnie. Przettrzymałem tu wszystkich. Ciebie, chłopcze, także pewnie zabiorą, ty także długo siedzisz – powiedział młody kędzierzawy kryminalista do kolegi, najmłodszego więźnia w celi.

– Odczep się – warknął młody i wstrząsnął się. Oleg zauważył, że jest przygnębiony.

Ale kędzierzawy nie chciał się odczepić:

– Coś się rozkleił, trzeba się trzymać. Czy się Boga przestraszyłeś? Nie skarzę ciebie, jako że tam, z tamtej strony nic nie ma – wyzioniesz ducha i cześć.

– Nie kłap dziobem po próżnicy, nie każdy chce słuchać twoich żarcików. Lepiej byś pacierz zmówił – krzyknął basem ktoś z kąta.

– Co mi tam po pacierzu? Z takim zaszarganym życiem jak moje, chyba tylko do piekła, ale pewnie i tam nie przyjmą – zaśmiał się wymuszonym śmiechem.

„Pewnie bandyta” – pomyślał Oleg.

– Milcz – powtórzył bas, zapadła cisza.

– Nie nadchodzi nasza Mateńka Wyzwolicielka, Pan Bóg – znaczy się, zakazał jej wstępu do naszej celi. Grzeszniśmy, ani chybi, grzeszni. Nie przyjdzie do nas Wyzwolicielka nasza – westchnął mały staruszek, stawiając kubek na stole.

– Czy czeka pan na kogoś? – spytał Oleg. – Czy dają widzenia skazanym na najwyższy wymiar kary?

– Jakie tam widzenia! Chyba że z nią, Śmiercią Mateczką naszą – zajęczał stary.

– Na kogo w takim razie pan czeka? – dopytywał się Oleg.

– Pan tu nowy, a my już na pamięć znamy jego pogaduszki – powiedział człowiek o wyglądzie inteligenta, młody jeszcze, ale z profesorską bródką. – On, widzi pan, oczekuje Anastazji Wyzwolicielki, ale dostojny gość każe na siebie długo czekać.

– Anastazji Wyzwolicielki? – powtórzył ze zdziwieniem Oleg.

– Właśnie, ani mniej, ani więcej. Opowiada historię o tym, jak ta osobistość, wyspecjalizowana w pocieszaniu więźniów, zawędrowała pewnego razu – niewidzialna dla strażników – do celi skazanych na śmierć, jak my obaj. Jednemu z więźniów przyrzekła ułaskawienie, a na zuchwałe pytanie odpowiedziała, że człowiek ten ujrzy ją w pewnym moskiewskim zaułku. Szczęściarz rzeczywiście został ułaskawiony i wkrótce potem udał się do Moskwy, a tam we wskazanym zaułku zobaczył cerkiewkę i ikonę świętej Anastazji, w której rozpoznał ową kobietę. Zakonnica posługująca w cerkwi, której opowiedział tę historię, wyjaśniła, że takie przypadki już się zdarzały i że na własne oczy widziała wielu wdzięcznych. Jak się panu podoba to opowiadanko?

– Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł w nie uwierzyć, nie sądzę jednak, by to był temat do kpin! To bardzo wzruszające!

– Pan pewnie siedzi z artykułu 58? – spytał inteligent, przyglądając się Olegowi.

– Tak jest. Pan także?

– Tak. Przylepiono mi etykietkę kontrrewolucjonisty tylko dlatego, że pozwoliłem sobie nieostroźnie wypowiedzieć się na temat czaszek pierwotnych ras. Zwróciłem mianowicie uwagę na pewne odmienności ich budowy w porównaniu do czaszek Rosjan. Oskarżono mnie o rasizm – zakończył uczony z uśmiechem. – A pan?

– Byłem w przeszłości oficerem gwardii. GPU dowiedziało się o moim prawdziwym nazwisku.

– Mianowicie?

Oleg podał nazwisko, uścisnęli sobie ręce.

– Ma pan rodzinę? – spytał naukowiec.

– Żonę i dziecko – Oleg nie chciał przeciągać rozmowy i skłoniwszy się poszedł do swego łóżka.

Kilka minut później był apel, zapadła cisza, tylko staruszek klęcząc szeptał modlitwy.

Oleg przypomniał sobie obraz, namalowany według jego fantazji. Księżna Daszkowa opowiedziała kiedyś znajomej malarce, jak jej synek wyobrażał sobie piekło. Malarka namalowała kędzierzawego chłopczyka, który wielkimi wystraszonymi oczami patrzy na widmo zła – przerażające gady, kotłujące się w ciemnej pieczarze. Główkę dziecka otaczała aureola – symbol czystości.

„Taki byłem wówczas, ale później sądzone mi było przeżyć tyle zgryzot i bólu, krwi i zła. Teraz mogę liczyć tylko na zlitowanie, jak w owej modlitwie: »Lecz powiem jako złoczyńca do ciebie...« Nie popełniłem podłości, za tych, których kochałem, gotów byłem oddać życie, ale obcych kochać nie potrafię. Asia ma rację, jestem zbyt dumny!”

Przypomniał sobie słowa żony: „Chciałabym, abyś miał otwarte serce”.

Czesiała właśnie włosy, jej twarz delikatną jak kamea otaczały miękkie, pachnące fale... Skąd wzięła te słowa? Asia! Ona rzeczywiście kochała wszystkich! I męża, i psy, i to pokraczne dziecko, i kwiaty. Nigdy nie narzekała, nie robiła wyrzutów... Cecha u kobiety rzadka! Kiedy była zmartwiona, „zamykała się” tylko jak mimoza. Było coś dziecinnego w jej pieszczocie, w tym, jak tuliła się do niego, ocierała się jak kotek o jego ramię, wichrzyła mu czuprynę... Pamięta, że raz robiła mu wyrzuty, tak właśnie! To wspomnienie sprawiło, że się zaczerwienił. To było dwa dni przed narodzinami Sławeczka. Dawniej ruchliwa, szczuplutka i zwinna dziewczynka, teraz padała ze zmęczenia pod ciężarem dziesięciofuntowego dziecka, straciła radość życia,

pewnie zmęczyło ją oczekiwanie i duży brzuch – ani usiąść, ani się położyć, ani pochylić. Tego wieczoru, w sypialni, kiedy kładli się spać, uciekła się do zwykłego wybiegu... O, doskonale znał jej wybiegi – położy się, zamknie oczy i udaje, że już śpi... Robiła to często, ale tym razem nie chciał ustąpić, zirytował się ciągłym unikaniem pieśzcot. Nawet wydawało mu się dziwne, że ta istota – młoda, zakochana, czuła – była tak pozbawiona namiętności! Odwrócił ją ku sobie. Milczała, ale później, kiedy ją znowu ułożył, przykrył, przeżegnał i całując w czoło, życzył dobrego snu, nagle rzekła ze skargą w głosie: „Dzisiaj mógłbyś dać mi spokój!” i ukryła twarz w poduszce.

„Ileż trzeba egoizmu i pożądania, żeby spowodować taki wyrzut! Tak – my, mężowie – bywamy niedelikatni i nielitościwi. Teraz będzie musiała dźwigać na swoich barkach ciężar rodzinnego życia. Zostanie sama z dwójką małych dzieci... Z dwójką! Śmierć, tak, śmierć teraz, kiedy jestem tak bardzo potrzebny rodzinie i Ojczyźnie, kiedy wreszcie jestem szczęśliwy... Śmierć!”

– No i wywołali – idą! – odezwał się jakiś głos.

– Rzeczywiście idą. Koniec, chłopcy – powiedział inny. Oleg uniósł się na łokciu, nasłuchiwał: z korytarza dobiegały głosy i łoskot zasuw.

– Nie do nas – powiedział ktoś.

Ale w tejże chwili drzwi otworzyły się.

Oleg usiadł na łóżku, serce tłukło się trwożnie.

Nadzorca i konwojenci zatrzymali się na progu.

– Do wyjścia: Iwanów, Fiodorenko, Erbsztajn, Murawin. Więźniowie wstawali z łóżek. Ostatnie nazwisko nosił młody naukowiec.

Oleg schwycił jego dłoń i mocno uścisnął.

– Dziękuję – powiedział tamten.

– Żegnajcie, towarzysze! – załamującym się głosem zawołał

już w drzwiach kryminalista – ten najmłodszy w celi.

– Życzę wam tego samego! – krzyknął dla zgrywy jego kolega i machnął czapką.

Drzwi zamknęły się.

„Krótkie odroczenie! – Oleg położył się. – Dlaczego serce tak kołacze? – pomyślał. – Nigdy nie byłem tchórzem. Po co oni odwlekają, przeciągają agonię. Jeszcze jedna albo kilka nocy, aż którejś z nich...”

Tamtego dnia, kręcąc się po celi, przeczytał jeden z napisów, którego dotąd nie zauważył: „Statek odpływa ku wiosnie”.

Wiosna – tak czasami nazywał Asie – teraz przeczytawszy napis uświadomił sobie, że to jego ostatnie na ziemi spotkanie z Asią.

Godzinę lub dwie później, kiedy wszyscy siorbali zupę, siwy staruszek, który na próżno czekał na Anastazję Wyzwolicielkę, wymamrotał:

– Pewnie dziś przyjdzie wyzwolić mnie. Wszyscy tylko kpić ze starego potraficie, a gdybyście tak wierzyli mocniej, może przyszlaby do nas Mateńka Anastazja. Teraz tylko troszki pod drzwiami stała, a w celi jakby się coś na lepsze odmieniło. Czy żaden z was nie zauważył?

– Chyba rzeczywiście coś takiego odczułem – rzekł Oleg i zmieszał się.

– No i jak się tu z wierzącymi dogadać – powiedział jeden z „pięćdziesiątych ósmych” – zawsze znajdą jakieś wytłumaczenie – nie oszukała, ale nie czuliśmy nic, bo jesteśmy gruboskórni!

– Żartuj sobie, dobry człowieku, żartuj, ale dzisiaj mnie zwolnią – to pewne – nie rezygnował stary. – Wspomnisz jeszcze moje słowa. Mateńka po to przychodziła, żeby nas pocieszyć.

Oleg przyjrzał się staruszkowi.

– Za co skazali? – spytał wbrew zwyczajowi nie zadawania

pytań.

– Mniszek z Monasteru Strastnego jestem. Rozpędzili nasz klasztor, a mnie na osiedlenie zesłali i wpisali do ewidencji. Najpierw na Północ trafiłem, o mało żem ducha nie wyzionął, ganiłi nas bez litości, wlekliśmy się tygodniami o głodzie i chłodzie, ręceśmy i nogi łamali. Moją kurkę, czarnuszkę, na rękach niosłem. Ona jedna – niech ją Bóg błogosławi – litowała się nade mną ubogim, codziennie jajeczko zносиła, siły moje ratowała; ale później, kiedy nas do Uzbekistanu przerwucili, jeszcze bardziej się zawzięli nasi ciemiężyciele, odebrano mi kurkę. Piach gorszy jest od śniegu, a ludzie tam źli, nosy haczykowate, Jezusa w sercu nie mają; umierałem z tęsknoty, ażem uciekłem. Od tamtej pory nigdzie nie zagrzałem miejsca i tak się wałęsam, raz tu, raz tam. Kiedyś w jednej wsi uciałem na zebraniu gadkę przeciw kołchozom, bom z chłopskiej rodziny, z Pskowszczyzny. Schwytali mnie, policzyli wszystko i wyszło, żem szkodnik. Tym się tylko pocieszam, że chociaż odrobinę za wiarę przenajświętszą cierpię!

„Święta prostota!” – pomyślał Oleg.

Dumna dusza wciąż jeszcze siebie i swoje przeżycia stawiała wyżej od innych.

Dzień nie przyniósł nic pocieszającego, ogłoszono apel. W celi śmierci sen nie nadchodził; płoszyło go napięte oczekiwanie, dopiero kiedy minęły godziny, w których zwykle zabierano skazanych albo po odejściu konwoju, zamykały się oczy wyczerpanych ludzi.

Oleg, leżąc na łóżku, uważnie wsłuchiwał się w ciszę na korytarzu. Minęła godzina, do uszu dobiegły dalekie jeszcze, ciężkie kroki.

„Idą!” – pomyślał.

– Idą – powiedział ktoś i głowy zaczęły się unosić.

– Diabli nadali – odezwał się jakiś kryminalista. Kroki zbliżały się nieubłaganie, słyhać już było rozmowy, łoskot zasuw.

„Tym razem nie ominie mnie!” – myślał Oleg ciągle

nasłuchując.

Ruszyli zasuwę, zabręczała bezlitośnie.

– Siemionow Ilia – przeczytano.

„To staruszek!” – Oleg odwrócił się do niego z sympatią i współczuciem i na chwilę zapomniał o sobie.

– Ani chybi – mnie? To ci zdarzenie, Panie Boże! Jakże to tak? – bełkotał i żegnał się stary.

– Masz ci twoją Anastazję Wyzwolicielkę! – zawołał jeden z kryminalistów.

Oleg miał go skarcić, ale właśnie usłyszał:

– Daszków Oleg. Poczul lekki dreszcz.

– Jestem – powiedział i wstał. – Chodźmy, stary! Ktoś tamtego wieczoru naprawdę stał pod drzwiami, tylko słów obaj nie zrozumieliśmy.

Nie wywołano nikogo więcej. Z korytarza wyprowadzono do drugiego korytarza, a później na schody, gdzie już stała grupa więźniów i uzbrojony konwój. Kiedy wyszli na podwórze, twarze owionął świeży ożywczy podmuch. W piersi zda się napięła sprężyna. Oleg myślał, że zaraz ustawią ich rzędem, ale czekały trzy suki. Kazano wsiadać. Znowu odroczenie – gdzieś ich powiozą. Chyba to robią w Razliwie.., Napięta sprężyna opadła nieco, znowu napłynęły myśli o rodzinie: „Asia przyjdzie dowiedzieć się... Powiedzą brutalnie, bez przygotowania. Teraz już jest w siódmym miesiącu – żeby nie było wczesnego porodu!”

– A może wiozą na dworzec i do obozu? – powiedział ktoś obok.

– A jakże! Na dworzec! Nie odczytano rozkazu o ułaskawieniu, nie kazano zabrać rzeczy... Z tego dworca jedzie się prosto na tamten świat.

Starszy mężczyzna zachwiał się nagle i schwycił za głowę. Oleg podtrzymał go.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna – pan pewnie z pięćdziesiątego ósmego?

– Tak – powiedział krótko Oleg.

– Ja także. Pomyślałem o żonie. Jest sama, ma sześćdziesiąt lat i wadę serca. Ma pan rodzinę?

– Tak. Moja żona ma dwadzieścia dwa lata i zostaje z dwójką dzieci – Oleg zamilkł, zabrakło mu tchu.

– Nie, brachu, to nie dworzec! Lisi Nos albo Razliw – nie inaczej! – powiedział jakiś głos.

– Wyrodki! Łajdaki! Żaden ze mnie kontrrewolucjonista! Nawet mi się nie śniło! Oskarżenie upichcili na siłę! – zawołał z udręką chudy człowiek w okularach, o wyraźnie żydowskim akcencie.

– A ja byłem eserowcem – mówił inny skazaniec – za cara wiele razy mnie zsyłano. Nie myślałem, że tak mi się odwdzięczą – ten głos był spokojny, chociaż brzmiała w nim gorycz.

– Wybacz mi grzesznemu, Panie! – szeptał mniszek obok Olega.

Drgnęli, kiedy samochód nagle zahamował.

– Hej, bandziory, wysiadka! Ustawić się po pięciu w rzędzie, ręce na plecach – i otoczyła ich gromada uzbrojonych konwojentów.

Nadjechały jeszcze dwa samochody. Słysząc było kobiecy płacz, jedna coś zawołała, Olegowi wydało się, że poznał głos Niny.

Rozejrzał się, puste wklęsłe miejsce, wysoki mur uwieńczony drutem kolczastym i otwarta brama – za nią podwórze, które tylekroć widział we śnie!

Pozostały minuty... Zbliża się wielka przemiana. Razem z ciałem znikną wszystkie warunki istnienia, do których był przyzwyczajony, i niejedno z tego, co się wydawało ważne i

drogie... Ale nie miłość do Asi! Ona zostanie! Oczywiście jest związana z ciałem i żyje w każdej komórce jego organizmu, ale jest głębsza, i kiedy zniknie cielesna otoczka – miłość pozostanie! Teraz – kiedy od śmierci dzieli go chwila – jest o tym całkowicie przekonany, to właśnie uczucie zawiera obietnicę nieśmiertelności.

Zawiązują mu oczy; spróbował uwolnić ręką kosmyk włosów przyciśniętych opaską, ale uśmiechnął się zaraz: cóż może znaczyć ból, spowodowany napiętym włosiem, kiedy za chwilę wpakują mu w pierś garść ołowiu...

– Nie trzeba – zerwał z oczu opaskę.

– Precz z uzurpatorem rewolucji! – zawołał eserowiec.

Okrzyk oderwał Olega od spraw osobistych.

Pomyślał, co on powinien zawołać w ostatniej chwili. Czuł ogromną miłość do ojczyzny, jakby wszystkie lata, które poświęcił w jej służbie, skoncentrowały się w tej jednej minucie. Z zaciśniętej krtani tchnął jedno słodkie słowo:

– Rosja!...

Nad głową było nocne niebo, wysokie, rozgwieżdżone. Światło gwiazd przenikało do serca. Ucichła nienawiść i świadomość krzywdy, które przed chwilą wrzały w piersi; pogarda, duma – cała ograniczoność narzucona przez wychowanie, a zamykająca wszystko, co w nim było najlepszego, wydała się teraz czymś drugorzędnym, powierzchownym, napływowym wobec tego, co się skoncentrowało w piersi – żyła tam miłość większa niż ramy ciała; ze wzruszeniem oczekiwał tego, co miało nadejść. Ogarnęła go nowa, wyższa forma życia, a ciało z bolesnym napięciem oczekiwało ciosu.

W życiu Olega były dwa jasne obrazy, dwie miłości; wiązało się z nimi wszystko, co w nim najlepsze: matka – w dzieciństwie i młodości, Asia – w okresie późniejszym. A nad nimi była Rosja.

– Zbaw, Panie, duszę moją! Lecz powiem jak złoczyńca do Ciebie. Mam najmilsza, jeżeli istniejesz, widzisz mnie i słyszysz!

Przyjdź i spotkaj swego syna!...

Pchnięcie w pierś, koniec ziemskiej drogi. W ciele, które właśnie upadło, nie ma już duszy. Życie czy śmierć? Światło czy ciemność?

Rozdział dziewiąty

– Trzeba puścić ich bez kolejki, są mali, zmęczą się – powiedziała Asia.

Poparło ją kilka osób, dwóch czarnookich chłopców puszczono do przodu. Beznadziejnie długa kolejka zwijała się w ciasnym i dusznym pomieszczeniu. Asia oparta o ścianę rozglądała się, żeby obliczyć, która jest w kolejności. Tym razem Sławeczek został w domu sam. Przygotowała mu mleko, bułeczkę i zabawki; schowała starannie zapalki i ostre przedmioty, ale nurtował ją niepokój o synka. Stęskni się i będzie płakał! Mleko pewnie wylał, bułeczkę zje na sucho; majteczki oczywiście są mokre, żeby tylko nie targał za ogon psa i nie potłukł się! Sprawa się przeciąga, strach pomyśleć, co się może zdarzyć, listów od madame wciąż nie ma... Znowu zaczęła liczyć. „Zdaje się, że jestem pięćdziesiąta... Co najmniej półtorej godziny stania”.

– Tak, jestem za tą panią. Bardzo długo! Oczywiście pięćdziesiąty ósmy! U pani także? Proszę spojrzeć, ten staruszek ledwo się trzyma, trzeba byłoby posadzić go albo przepuścić bez kolejki.

Wymieniali między sobą uwagi albo w ponurym milczeniu posuwali się do przodu, w kierunku okienka, a im było bliżej, tym głębszy i boleśniejszy stawał się niepokój, a uwaga koncentrowała się na tym, co powie człowiek urzędujący w okienku i czy przyjmie paczkę.

Kiedy od okienka dzieliły ją tylko trzy osoby, zdenerwowanie Asi sięgnęło szczytu, drżała, ręce zziębły, a nogi dziwnie osłabły.

„Za chwilę mogę usłyszeć wyrok... Mój Boże, jakże się boję! A jeżeli dostanie dwadzieścia pięć lat obozu bez prawa do korespondencji – to prawie jak śmierć! Zamięczą go tam, a my ze Sławeczkiem będziemy sami na świecie. Boję się, a tak się mało ostatnio modliłam...”

Jeszcze raz spojrzała na kolejkę i tchórzliwie szepnęła damie, która stała za nią:

– Proszę przejść – i zasłoniła rękami twarz: „Panie wszechmogący, miłosierny, zlituj się nade mną i nad Olegiem! Niechaj będzie zesłanie albo z pięć lat obozu – zlituj się nad nami! Wtedy można liczyć na spotkanie, będę na niego czekała. Jezusie najświętszy, jeżeli ktoś z nas musi zginąć, niechaj to będę ja. Ja nie potrafię zarobić ani wychować syna, ja nic nie potrafię! Chłopiec bardziej potrzebuje ojca. Oleg kocha ziemskie życie, pragnie walki, działania... Panie Boże, rzadko się modłę, ale teraz modłę się całą duszą! Zmiłuj się nad Olegiem! Byle nie... Zmiłuj się nad nami!”

Z lękiem spojrzała w okienko, przy którym stała teraz przepuszczona przez nią dama, i rozejrzała się w rozterce.

– Proszę przejść – powiedziała do starszego mężczyzny, który stał za nią.

Ale mężczyzna spojrzał na nią uważnie i smutno, wskazał głową okienko i leciutko popchnął za łokcie. Asi zabrakło tchu.

– Daszków Oleg Andriejewicz – powiedziała drżącym głosem, postawiła koszyk na desce przed okienkiem i oparła na nim głowę.

„Zlituj się, zlituj się nad nami!” – powtarzała w myśli.

– Nie ma takiego – wyskandował po chwili ostry głos. Asia drgnęła, wyprostowała się.

– Co znaczy, nie ma? Był tu, wiem o tym!

– Mówię, obywatelko, że nie ma! Nie figuruje w wykazie, według którego przyjmuję paczki. Następny.

Asia uczepliła się okienka.

– Proszę wyjaśnić, co się stało? Dlaczego nie ma go w wykazie? Dokąd mam iść?

– Nie przeszkadzajcie mi w pracy, obywatelko. Powiedziałam, że nie ma takiego. Może go przeniesiono albo jest w szpitalu, a może został skazany. Nie figuruje. Następny! Ale Asia nie odeszła, trzymała się ręką okna. Mężczyzna, który stał za nią, powiedział

twardo:

– Ta obywatelka stała w kolejce pięć godzin. Wszyscy gotowi jesteśmy poczekać, aż sprawdzicie w wykazach. Musicie mieć wykaz więźniów i skazanych. Macie obowiązek dowiedzieć się i zawiadomić, jesteście pracownikiem sowieckiej instytucji.

Okienko zatrzasnęło się. Wszyscy stali w milczeniu; wyglądało to dziwnie – odrętwienie było zapowiedzią czegoś groźnego. Starszy mężczyzna podtrzymał Asie. Jedna z pań – ostatnia w kolejce – zbliżyła się nagle do Asi i ujęła jej rękę.

– Moje dziecko, niech pani będzie dzielna – powiedziała. Okienko otworzyło się.

– Daszków Oleg Andriejewicz skazany na najwyższy wymiar kary. Wyrok został wykonany. Następny.

Przez chwilę trwała cisza.

– Skazany? Najwyższy wymiar... Co to jest – najwyższy wymiar? – głos Asi załamał się.

Mężczyzna odsunął ją lekko od okienka.

– Rozumie pani sama, co może być „najwyższym wymiarem kary” – rzekł poważnie.

Oczy Asi otworzyły się szeroko, na twarzy malowało się nieme przerażenie.

– Najwyższy... Więc to... to... – powtarzała zbielełymi wargami i ukryła twarz w dłoniach.

– Następny – powiedział głos w okienku, starszy mężczyzna zostawił Asie, żeby załatwić swoją sprawę przy okienku.

– Najwyższy wymiar oznacza w naszym kraju rozstrzelanie – wyjaśnił jakiś młodzieniec z kolejki.

– Niech pan lepiej milczy! – krzyknęła dama, która obejmowała Asie.

A ona nagle poruszyła się, jakby się chciała uwolnić z obcych

rań, zrobiła kilka nerwowych kroków i oparła się o ścianę.

– Biedna dziewczyna! – powiedział ktoś.

– O kogo się dowiadywała, o męża czy brata? – dopytywała się jedna z pań, ocierając oczy.

– Zdaje się, że o męża. Czy ona nie jest w ciąży? – powiedziała inna.

– Pani chyba źle się czuje? Może wezwać pogotowie? – odezwał się jakiś mężczyzna, zbliżając się do Asi.

– Nie, dziękuję, nie trzeba... Proszę zostawić mnie w spokoju – szeptała Asia i pobiegła do wyjścia, jakby się ratowała od pościgu.

Najpierw stała obok jakichś skrzyń, dopóki ludzie, którzy je ładowali, nie powiedzieli, że im przeszkadza, później przy szarym murze bez okien, wreszcie nie wiadomo jak znalazła się na moście przez kanał, stała tam oparta o mosiężne poręcze.

Odszedł na zawsze z jej życia! Odeszli wszyscy, których kochała! Ona i Sławeczek pozostali przypadkiem zapomniani na ziemi, obcy dla wszystkich! Odszedł z jej życia, a w domu czeka maleńka, całkiem maleńka istotka, w niej zaś porusza się druga, on jej nigdy już nie ujrzy! Jak można pozbawiać życia młodych ludzi, którzy mają dzieci? Odszedł na zawsze, a jej miłość dopiero się obudziła! Miał piękne gęste włosy – lubiła je targać i stroszyć! Nigdy więcej nie dotknie tych włosów! Nigdy więcej nie przytuli się do jego ramienia. Jak dobrze było czuć, że między nią a rzeczywistością jest ten silny i mądry człowiek, bezgranicznie jej oddany! Co prawda mawiał często: „Nie jest pewny, ten twój mąż!”, ale przy nim nie bała się ani zesłania, ani obozu – poszłaby za nim wszędzie, pewna, że ją obroni, że jej pomoże. Gotowa była na najgorsze byle z nim razem! A teraz jest sama twarzą w twarz z okrutnym życiem. Biedny, miły, kochany, tak go życie doświadczyło, tak krótko był szczęśliwy! Tak bardzo pragnął działać! Pragnął polec za ojczyznę na polu chwały, a przypadła mu w udziale śmierć z rąk oprawców. I pograżył się w otchłań!

Stale pragnął całować ją, ścisnąć, posiadać, a jej namiętność jeszcze się nie rozbudziła; na jego pragnienia reagowała litością, bo jakże nie litować się nad człowiekiem, który – chociaż mądry i opanowany – ulega instynktowi! Oddawała mu się ofiarnie i nie umiała tego ukryć! To pewnie sprawiało mu przykrość. Miał prawo spodziewać się namiętnych uścisków – był piękny, wytworny, wysoki... Ale jej ciało zachowało chłód Królowny Śnieżki, nie stopiło go zakochanie, które ją doprowadziło do ołtarza i z którym oddała mu się po raz pierwszy... Powinna była udawać, żeby dać mu radość, ale wtedy nie myślała o tym, a teraz już za późno. Czasami mówił jej: „Kiedyś inny mężczyzna obudzi w tobie zmysły!” Niemądry! Tego nigdy nie będzie. Nigdy już nie pokocha nikogo! On – ojciec jej dzieci, on – uczynił ją kobietą i matką; tylko jego jednego mogła tak bardzo szanować i żałować zarazem! To nieprawda, że litość zawiera w sobie odrobinę pogardy – zawsze zachwycała się i szczyliła jego szlachetnością, odwagą, jego rozumem i sylwetką, a jednocześnie współczuła z powodu ran, obozu, bólu – jaki mu sprawiał upadek ojczyzny. Często kładła głowę na jego pierś... Może to właśnie miejsce przeszyły kule? Biedny, kochany, najdroższy! Padł skrwawiony, a ona nie może się nawet przytulić do niego, żeby go pożegnać, odczytać z twarzy ostatnie myśli, otrzeć z niej krew, pobłogosławić w nieznaną drogę! Nawet nie wie, gdzie jest jego mogiła... Chociaż zapomniała, że on nie ma mogiły. Co czuł, o czym myślał, kiedy szedł na śmierć, wiedząc, że ona zostaje sama z dwojgiem dzieci? Nie była przy nim, nie powiedziała mu: „Kochałam ciebie! Wiem, że często bywałam zimna, ale to dlatego, iż z tysiąca jedwabnych nici mego kokonu nie wysunęły się jeszcze wszystkie. Kochałam ciebie głęboko, całym sercem”. Ich droga od samego początku była beznadziejna i oto się skończyła. Teraz jej droga będzie beznadziejna, wraz z utratą Olega życie straciło sens i urok. „Nie ma księcia z bajki, twoje dziecko nie ma ojca, nie ma na ziemi rycerza bez trwogi i skazy”.

Z zapomnienia wyrwał ją dobrze znany dźwięk: płacz dziecka; obok potknął się i upadł dwuletni brzdąc – biegła już do niego matka, Asia przypomniawszy sobie, że Sławeczek od rana jest

sam i ze strachem zauważyła, że zapada zmierzch, a ona znajduje się w dalekiej dzielnicy. Popędziła na przystanek tramwajowy i wskoczyła do pierwszego wozu, jaki nadjechał, nie zdawała sobie sprawy, co robi. Widocznie w jej wyglądzie było coś takiego, co zwróciło ogólną uwagę – natychmiast znalazło się dla niej miejsce, zmuszono ją, żeby usiadła. Wyszło to na złe: skazana na bierność, pograżyła się znowu w smutnych rozmyślaniach i zerwała się dopiero usłyszawszy nazwę przystanku – tramwaj zawiózł ją nie tam, dokąd powinna była jechać. Rzuciła się do wyjścia i widząc, gdzie jest, rozplakała się jak dziecko na środku ulicy. Minęło jeszcze pół godziny, nim zdyszana wpadła do swojej bramy i natychmiast usłyszała płacz synka: na podeście schodów drugiego piętra stał Sławeczek – boso, w samej koszulce – i płakał rozcierając piąstkami łzy.

– Co ci, Sławeczku? Dlaczego płaczesz? Mój kochany syneczku! Mamusia zapomniała o tobie? Rzuciła ciebie? Zmarzłeś? Dlaczego stoisz na schodach w samej koszulce? Mamusia zabroniła wychodzić! Chodźmy, mamusia zagrzeje mleczko, mój jedyny, najdroższy! – szeptała tuląc dziecko.

Trudno było poznać jej schludny zwykle pokój; wszystkie kąty były zapchane wstawionymi byle jak meblami z małego saloniku, nikt nie posprzątał rozrzuconych zabawek; szczeniaki Łady rozpełzły się po podłodze, zostawiając za sobą kałuże. Nawet nieme sprzęty emanowały smutkiem, a najsmutniej wyglądała antyczna toaletka z mahoniu, może dlatego, że w lustrzanej tafli odbijała się blada przestraszona twarz.

Okazało się, że w takim stanie, w jakim była Asia, nie tak łatwo zagrzać mleko i ugotować kaszkę dla dziecka: postawiwszy na płycie ronderek Asia wróciła do pokoju i rzuciła się na kanapę. Nagle przyszło jej na myśl, że mogli go postrzelić w twarz. Aż jęknęła z bólu, potrząsnęła głową i ukryła twarz w poduszce. Sławeczek ciągnął ją za sukienkę, potem się znowu rozplakał, ale nie podnosiła głowy.

Oprzytomniała pod wpływem krzyku współlokatorek:

– Coś ty zrobiła w kuchni! Rondel się przypala, smród na całe mieszkanie! Bałagan i tyle, a niby inteligentka!

Asia pobiegła do kuchni, złapała szmatę i ze strachem zerkała na trzy megiery. Nowa, która otrzymała przydział na pokój Natalii Pawłowny, wyglądała najgroźniej.

Madame umiała odpierać ciosy podczas drobnych awantur, potrafiła nawet atakować. Natalia Pawłowna – milcząca i wyniosła – budziła respekt. Olega obawiano się, tylko mężczyźni zaczepiali go czasem; Asia była bezbronna wobec ordynarnych zaczepek tych bab. Posprzątała w końcu, nakarmiła małego i jęła słać mu łóżeczko.

– Bajeczkę o gibach i cztejch kociackach – poprosił Sławeczek.

– Kochanie, mamusia nie może dzisiaj opowiadać bajeczek. Mamusia jest zmęczona. Zaśnij, mamusia posiedzi przy tobie. Nie kapryś, kochanie, nie męcz mamusi – przygarnęła go, przytuliła zmizerowaną twarz do różowego policzka synka. – Malutki mój, kładź się! Zgoda, opowiem o grzybeczku-borowiczku, a później – śpij! Coś ty, Markiz? Nie ma twego pana, rozumiesz. No idź, daj mi spokój. A ty czego chcesz, Lada? Jakbyście się zmówiły, żeby mnie dręczyć – odsunęła psy, które wyciągały do niej pyski, jakby się o nią niepokoiły.

Spoza uchylonych drzwi dobiegały dźwięki radia; męski głos śpiewał: „Gdzieżeście dni miłości...” Spazm ścisnął krtań Asi, a głowa padła na poduszkę obok główki syna.

– Mamusiu, no mamusiu! – w głosie małego zabrzmiała nutka żalu.

– Zaraz, syneczku, nie płacz! Otulę cię kołderką. Rączki na kołderkę. Słuchaj: grzybek-borowiczek pod krzaczkiem sobie siedzi, na strony się rozgląda... Mój Boże, jakże mi ciężko!

Świt zastał ją na małej kanapce, zwinięta w kłębuszek zapomniała się na kilkanaście minut pod wpływem znużenia po torturach poprzedniego dnia i bezsennej nocy. Pochłonięta od

nowa swoim bólem w niebieskawym półmroku sypialni nagle wyraźnie uświadomiła sobie wewnętrzny nakaz: „Niechże wspomni przy rannej modlitwie swego druha – jasna moja żona!”... Powiedział jej to kiedyś w Łudzę, właśnie zaczyna się wczesna obiednia⁸⁶ – trzeba się pospieszyć! Zerwała się na myśl o tym, że może jeszcze coś dla niego zrobić, być mu w czymś pomocną.

Trzeba najpierw wejść do łazienki i kuchni, to krępujące, słyszała tam krzątanie i głosy sąsiadek, bała się, że znowu wezmą ją w obroty.

– Raczyła przyjść nasza paniusia, niby to wczoraj sprzątała, a płytę zostawiła brudną, pewnie niedowidzi – powiedziała jedna.

– Choćby bieliznę pozdejnowała ze sznurków! Inni także potrzebują, nie ty jedna masz dziecko. Spuść trochę z tonu. Pomyślałby kto, że księżniczka jaka! – dodała druga.

– Myśli, że piękna, a chuda, że aż strach. U nas nikt by na taką kobietę nie spojrział – to znowu pierwsza.

Asia zdejmując bieliznę rozglądała się ze strachem.

– Chyba nic wam złego nie zrobiłam! Za co tyle złości? – odważyła się w końcu powiedzieć i wyszła, nie czekając na odpowiedź. Jeść nie mogła, chociaż całą dobę nie miała nic w ustach. Ubrała szybko małego, musiała zabrać go ze sobą, coś mu tam tłumaczyła, rozespiane dziecko nie chciało wstawać, zasypiało i chyliło się do poduszki; później wlokła je za rączkę w obawie, że się spóźni. Chłód wczesnego ranka, bezludne ulice, niebieskoróżowe niebo, a przede wszystkim wiersz, który się nagle przypomniał, wciągnęły ją w nurt serdecznych wyobrażeń związanych z Kulikowym Polem, zbudziła się nadzieja, że w cerkwi dozna ulgi. Nie spełniła się jednak, ani twarze świętych, ani kadzidlane dymy, ani ulubione śpiewy tym razem nie poruszyły duszy, może dlatego, że Sławeczek nie chciał stać spokojnie, kręcił się cały czas i szarpał matkę nie pozwalając skupić się, była

w dodatku tak zmęczona, że nie wytrzymała dłużej, poczuła nagle ucisk w skroniach, w oczach pociemniało, ocknęła się na ławce. Nieznajome kobiety, które przy niej były, powiedziały, że się osunęła na ziemię, podały jej wody i poradziły, żeby jak najszybciej wróciła do domu.

– Chciałam zamówić żałobną obiednię, albo panichidę⁸⁷ – powiedziała Asia.

– Żałobną obiednię zamawia się dzień wcześniej – rzekła mentorskim tonem jedna z kobiet. – No a panichidę można i dzisiaj, ale najpierw batuszka skończy obiednię, później są zamówione chrzty... Czy nie za długo czekać z dzieckiem?

– Chce pani zamówić panichidę ze śpiewami? – spytała druga kobieta.

Dopiero teraz Asia uświadomiła sobie, że wyszła z domu bez pieniędzy. Kobiety współczuły jej, zapraszały na jutro, proponowały, że porozmawiają z księdzem i chórem; zgodziła się z grzeczności, ale rzeczowe rozmowy, a jeszcze bardziej płacz Sławeczka rozproszyły uniesienie; wyszła pośpiesznie wlokąc synka, smutek z nową siłą opanował duszę. Przy wyjściu spojrzała beznadziejnie pod kopułę, lubiła kadzidlany dym, kiedy lekkimi smugami unosił się w górę, gdzie wyłaczały go słoneczne promienie... Tym razem jednak i tam panował smutek, obłok dymu wyglądał szaro i ciężko.

Rozdział dziesiąty

Ostatnio Elżbietka dużo pracowała; żeby pomóc Asi brała dodatkowe dyżury nocne, przez co rzadko bywała u Asi i nie mogła zastąpić jej w wiecznych kolejkach w prokuraturze. Dlatego też otoczenie nie dostrzegało jej pomocy.

– Ze mną zawsze tak jest, omija mnie efektowna uroda szafotów i ofiar! Nie jestem bohaterką ani męczennicą, tylko zwykłą pracowitą mrówką! – mówiła z goryczą o sobie.

Tego ranka po powrocie z nocnego dyżuru nie położyła się, lecz wypiuwszy mocnej herbaty pobiegła dowiedzieć się nowin. Z dnia na dzień miał zapaść wyrok. Miała teraz klucz do mieszkania Bołogowskich, który niegdyś należał do Natalii Pawłowny. W przedpokoju zobaczyła, że drzwi do pokoju Asi są otwarte na oścież, ale na przywitanie Elżbietki wyszły tylko psy; w pokoju panował niebывały bałagan – nie zasłane łóżka, nie pozmywane naczynia, poniewierające się na podłodze zabawki, kałuże po psach... Elżbietkę zdziwiła lekkomyślność Asi, ani Natalia Pawłowna, ani Oleg nie pozwalali zostawiać otwartych drzwi. Weszła do kuchni, ale tam także nie było Asi. Chryczkowa – zajęta myciem rondli – wyjaśniła pokrętnie:

– Wczora cały dzień gdzieścik ganiała. Wróciła na wieczór, trzy ćwierci do śmierci... Dwa rondle spaliła. Kobiety w krzyk, a ja milczę, litość bierze, kiedy na nią patrzę.

Nowa lokatorka, która właśnie weszła do kuchni, rzekła ze złością:

– Niewydarzona jakaś ta wasza niby księżna! Wczoraj wyszła na cały dzień, a małego zostawiła bez opieki. Wrzeszczał tu na wspólnym metrażu, nawet ja go uspokajałam. A taka dumna! U nas w Związku takich jak ona od piętnastu lat likwidują i nie mogą zlikwidować – twardziele!

Elżbietka domyśliła się, że kuchnia jest miejscem szczucia Asi. Nie mając w zwyczaju marnowania czasu, zabrała się do porządków. Właśnie stała na stołku i ścierała kurz z szafy, kiedy

usłyszała głosik i kroki Sławeczka, więc się odwróciła. Nogi się pod nią ugięły na widok Asi – bladej, z podkrążonymi oczami, a co najważniejsze – w czarnej chustce zamiast beretu, który zawsze nosiła. Chustka nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

– Co? Co? – zawołała Elżbietka, zeskakując ze stołka. – Dowiedziałaś się czegoś?

– To koniec – powiedziała Asia po dłuższym milczeniu.

– Co znaczy koniec? Koniec śledztwa? Więc wyrok? – Tak, wyrok...

– Jaki?

– Powiedzieli, że najwyższy wymiar... – głos Asi załamał się.

Elżbietka powoli usiadła na krześle.

– Może jeszcze zmieniają... Niekiedy zamieniają na obóz...

– Jakże mogą zamienić, kiedy... Kiedy wyrok został wykonany – powiedziała z wysiłkiem Asia.

– Jak to – wykonany? Już? – po raz drugi w życiu Elżbietki umarło wszystko: umarł jej Pożarski, umarła – nigdy nie rozpoczęta walka, uniesienie, sztandary, bicie dzwonów. Umarło nowe Pole Kulikowe. Wszystko się skończyło.

Spojrzała na Asie, która wciąż stała, a po jej bladych policzkach toczyły się dwie łzy.

„Nikt go nie kochał tak jak ja – pomyślała Elżbietka – ale ona była z nim szczęśliwa, a teraz to szczęście odeszło na zawsze. Współczuję jej, bardzo współczuję!”

Wstała z krzesła.

– Usiądź, Asiu, jesteś zmęczona. Kiedy się dowiedziałaś?

– Wczoraj. Teraz już nigdy... To koniec! – Asia przełknęła łzy.

– Zdejmij palto, kochanie, usiądź, napij się wody. Sławeczku, odejdz, nie dokuczaj mamusi! – Elżbietka z irytacją odsunęła dziecko.

– Cały dzień dzisiaj kaprysi i jest nieposłuszny. Umęczył mnie, niedobry chłopczyk! – powiedziała Asia i rzuciła się na łóżko, chowając twarz.

– Chodź tutaj, Sławeczku – głos Elżbietki zabrzmiał ostro. – Dlaczego jesteś taki niedobry? Widzisz, że mamusia źle się czuje.

„Zdaje się, że mówię nie to, co trzeba – myślała Elżbietka – nie umiem rozmawiać z dziećmi!

– No czemu płaczesz? Nikt się tobą nie zajmuje? Powiedz, czego chcesz? – spytała podnosząc małego i sadzając go na krześle.

– Z tatusiem, klocki – powiedział Sławeczek. Asia uniosła się na łokciu.

– No widzisz! Oleg chętnie bawił się z nim... Teraz już tego nie będzie... Nic nie będzie! Wszystko mnie teraz męczy. Sławeczek, psy... Ten seter... Nie mogę patrzeć na jego oczy... A Sławeczka całkiem przestałam kochać... Całkiem! – i znowu padła twarzą na łóżko, ale po chwili podniosła głowę. – Zapomniałam! On jest głodny! Nie karmiłam go dzisiaj.

Elżbietka z zakłopotaniem odwróciła się do dziecka: trykotowy obcisły komplecik, ślady łez na różowym policzku, odęte usteczka, w piwnych oczach ocienionych długimi rzęsami – powaga, smutek i wyrzut...

Jakież to ładne dziecko i jak podobne do Olega. Dlaczego nigdy tego nie zauważyła? Mały książę Daszków – wszystko, co pozostało po kochanym człowieku... W sercu Elżbietki jakby się coś poruszyło pod wpływem bolesnej czułości do maleńkiej istotki.

– Chodź tu, Sławeczku, wezmę cię na kolana. Zaraz ciocia Elżbietka da ci jeść. Jest zmęczony, Asiu, dlatego kaprysi.

Mały przytulił główkę do jej ramienia, nigdy dotąd nie robił tego... Czy coś wyczuł? Przecież nie mógł wyczuć, że w tym dumnym sercu „śmiercią śmierć podeptawszy” rodziła się nowa nadzieja, nowa miłość, po raz pierwszy miłość macierzyńska...

Zadzwoił dzwonek, rozszczękały się psy, co nie wiadomo dlaczego zdenerwowało Elżbietkę. Pobiegła otworzyć i ujrzała przed sobą Mikę Ogariowa, którego dwukrotnie widziała w domu Bołogowskich. Chłopak zachowywał się dziwnie: był blady, stał zagryzając wargi, powieki miał zaczerwienione.

– Czy mogę rozmawiać z Ksenią Wsiewołodowną? – spytał miętosząc czapkę. Elżbietka zrozumiała, że Mika coś wie.

– Nie wiem, czy będzie chciała... Jest w bardzo złym nastroju... – powiedziała swoim zwykłym, nieco wyniosłym tonem, i z poczuciem swego prawa do Asi.

– Zawiadomili ją? Co powiedzieli? – spytał szybko Mika.

– Wyrok śmierci, już wykonany.

Mika zawrócił nagle i popędził schodami na dół.

Asia zdenerwowała się, kiedy się dowiedziała o tej wizycie.

– Jak mogłam zapomnieć! Lela... Nina Aleksandrowna... Może ich? Lela! Lela! Tego już nie zniosę...

Elżbietka stała przy niej bez słowa.

– Wytlumacz mi, Asiu – powiedziała w końcu – bo nie rozumiem – jaki związek z tym procesem ma Lela? Mam wrażenie, że oczekiwaliście aresztowania jej, dlaczego? Czyż ona nie jest obca w stosunku do Olega?

Asia cały czas trzymała się za głowę.

– Jak to? Nie wiesz? Na Lelę cały czas naciskało GPU. Wzywano ją do dużego domu, żądano zeznań obciążających Olega, a ona broniła go, jak mogła, zapewniała, że jest proletariuszem! No i płaci za to. Jak mogłam zapomnieć o niej wczoraj i dzisiaj! Całe życie byłam z nią związana: w dzieciństwie bawiłyśmy się razem, między nami jest tylko pół roku różnicy. Ja byłam żywa, śmiałam się, śpiewałam, a Lela przeciwnie – bardzo poważna. Pamiętam, jej rodzice niepokoiли się, dlaczego Lela jest taka poważna. Pewnie już wtedy przeczuwała swój los – Asia znowu położyła się twarzą do poduszki.

Elżbietka zamyśliła się. Ta ładna, kapryśna dziewczyna, stale obecna w jej myślach, zda się z niej pokpiwała, pokazywała jej język jak mała uczennica: otóż wyprzedziłam ciebie, przechytryłam! To Elżbietce należała się słodycz spełnionej ofiary, cierpienia, skoro los nie dał jej ani urody, ani kobiecego szczęścia, ani powszechnego uwielbienia, ani talentu. I nagle odebrano jej ostatnie, co miała – aureolę męczennicy podzielono między Asie i Lełę, które i tak miały wszystko!

Siedziała ze spuszczoną głową przygnębiona myślami.

– Mamusiu, daj buleczkę – rozległ się dziecięcy głosik.

Jego dziecko prosi matkę, ciągnie ją za sukienkę, a ona nie zwraca uwagi!

Elżbietka uświadomiła sobie, że w końcu nie nakarmiła Sławeczka.

– Leż, Asiu. Ugotuję mu kaszki. Zaraz, Sławeczku, ciocia Elżbietka da ci jeść. A dla ciebie, Asiu, zaparzę herbatę, musisz się wzmocnić.

„Nie jestem bohaterką ani męczennicą, tylko zwykłą pracownicą mrówką” – myślała o sobie.

Asia jednak nie chciała nic jeść, tłumaczyła się, że coś w gardle utrudnia łykanie.

Elżbietka musiała iść na drugą do pracy.

– Co z panią, Elżbieto Gieorgiewno? – spytał chirurg, kiedy się pomyliła podczas operacji. Wieczorem po wyjściu ze szpitala – chociaż padała ze zmęczenia – pobiegła znowu do Asi pod wpływem niepokoju, co się tam dzieje. Po drodze kupiła chleb i bułki.

Asia spała. Sławeczek leżał obok niej na łóżku Olega; dziecko stoczyło się z posłania; z tego, że leżało w ubraniu i na samym brzegu łóżka, Elżbietka wywnioskowała, że Asia nie odzyskała równowagi duchowej. Nie budziła jej, liczyła na to, że sen bodaj

częściowo przywróci siły; przykryła Sławeczka pledem, zabezpieczyła krzesłem przed upadkiem i samotnie wypła herbatę. Asia nie zostawiła jej ani poduszki, ani kołdry, Elżbietka ułożyła się jako tako na kanapie, przykryła się paltem; nerwy miała napięte i sen nie nadchodził. Coś stukało w uszach, jakby słyszała bicie żałobnych dzwonów, a myśli wracały do kaźni. Wybiła dwunasta, później pierwsza... Około drugiej zdrzemnęła się, obudził ją szloch. Zerwała się i przy świetle lampki, osłoniętej abażurem, podeszła do Asi, objęła bez słowa, przytuliła do piersi jej głowę.

– Jesteś – powiedziała cicho Asia.

– Tak, kochanie! Jestem przy tobie.

– Pomyślałam, Elżbietko, że byłam bardzo złą żoną! Wiesz, nigdy nie troszczyłam się o jego bieliznę. Kiedyś powiedział: „Gotów jestem zawsze chodzić w cerowanych skarpetkach, ale nie chcę chodzić w dziurawych!” Madame usłyszała to i odtąd cerowała mu skarpetki, a ja siedziałam sobie przy fortepianie albo zachwyciałam się Sławeczką! A raz... Wiesz, kiedyś powiedział: „Dlaczego nigdy nie robisz rzodkwi?” Tak rzadko wyrażał jakieś życzenie, a to było takie łatwe do spełnienia, ale ja zapomniałam. Zapomniałam!

– Nie dręcz siebie, Asiu, wyrzutami. Oddałaś mu życie, nie bałaś się niczego, nawet fałszywego nazwiska! Urodziłaś mu cudownego syna. Był ci bezgranicznie wdzięczny, uwielbiał ciebie. Na przeszkodzie waszemu szczęściu stało GPU, ale ty nie mogłaś tego zmienić. Nie rób sobie wyrzutów!

Ale Asia odpowiedziała:

– Ty tylko kilka dni widziałaś człowieka, którego pokochałaś, i przez całe życie nie możesz go zapomnieć, a ja! Bez Olega znalazłam się w pustce, w takiej strasznej pustce! Jest mi zimno, okropnie i nieprzytulnie, tak mi go żal... W jego życiu było tyle zgryzoty, a szczęśliwy był tak krótko... Gdybyś mogła zrozumieć moją bolesną żalność, jest jak nóż wbity w ciało... Gdybyś mogła...

– Gdybym mogła wytłumaczyć ci – przerwała z goryczą Elżbietka – jak niekiedy bywa drogi człowiek, który nie dał ani jednej godziny szczęścia, tylko dręczył, co prawda nieświadomie – gdybyś wiedziała, czym jest miłość bez nadziei, miłość, która niczego dla siebie nie wymaga, która widzi, że ukochany odchodzi do innej, a jednak życzy mu szczęścia... Gdybyś mogła zrozumieć taką miłość, może byś przejrzała i uświadomiła sobie wagę mojej straty!

– Co? – zawołała Asia, łzy wyschły na jej twarzy. – Coś ty powiedziała? Powiedziałaś o nim i o sobie! Więc to on był tym rannym, którego uważano za zabitego i którego ty... Dlaczego milczałaś? Po co? Przecież pytałam ciebie! Za nic w świecie nie stanęłabym między wami!

Elżbietka opuściła ręce, w których chowała twarz.

– Poczekaj, najpierw musisz wysłuchać! – jej głos zabrzmiał spokojnie i władczo. – Zrozum, chciałam widzieć go szczęśliwym! Poza tym jestem zbyt dumna, by ciągnąć go do siebie, licząc na wdzięczność. Gdybym się ci zwierzyła ze swoich uczuć, rozdzieliłabym was na zawsze. To stało się możliwe dopiero teraz, kiedy go już nie ma.

Dopiero po jakimś czasie Asia powiedziała szeptem:

– Pamiętasz naszą pierwszą szczerą rozmowę wtedy przy kominku? Powiedziałam ci wtedy: „Jaka pani głęboka i mądra! A ja żałośnie lekkomyślna i pusta!” To samo powtarzam dziś. Twoje słowa pozwoliły mi zrozumieć niejedno.

I obie pomyślały: „Czy ON nas słyszy? Czy widzi nas teraz?” Ale błękitny półmrok nie odsłaniał tajemnic tamtego świata.

Rano obudziło Asie dotknięcie dłoni, kiedy podniosła głowę, ujrzała Elżbietkę z filiżanką kakao i sucharkami. Elżbietka była w kapelusiku i płaszczu.

– Zjedz to i wypij przy mnie. Idę do pracy. Sławeczka ubrałam i nakarmiłam, psy wyprowadziłam. Jedz – postawiła śniadanie na stoliku przy łóżku.

Asia rzuciła się jej na szyję.

– Przyjdiesz dzisiaj? Przyjdiesz? Nie zostawisz mnie samej?

„Oto kiedy stałam się niezastąpiona i jedyna – myślała Elżbietka, kiedy wychodziła. – Drogo zapłaciłam za to miejsce, ale teraz nikt go już nie zajmie”.

Rozdział jedenasty

Mika tego dnia miał widzenie z siostrą. Za „ustępstwa”, które śledczy wymusił na Ninie, pozwolono jej rozmawiać nie przez siatkę, lecz w kącie ogólnego pokoju, przy oknie.

Bandaż na głowie, zmizerowana twarz o zapadniętych policzkach, sińce pod oczami i więzienny szlafrok zmieniły ją nie do poznania. Postarzała się o dwadzieścia lat. Mika przeraził się na jej widok.

– Żegnaj, Mika – powiedziała – dostałam siedem lat obozu. Nie sądzę, żebym mogła to przeżyć. Darowali mi życie, bo podpisałam papier, w którym się mówi, że Oleg sam mi się przyznał, iż należy do kontrrewolucyjnej organizacji. Oczywiście wykończyliby go bez moich zeznań, ale czuję się okropnie! Drugą noc śni mi się Sofia Nikołajewna – jego matka. Oprzeć się pogrożkom i biciu po prostu nie sposób... Lela Nielidowa także coś podpisała...

– Bili ciebie, Nino?

– Spójrz, dwa zęby wybite! Jestem wykończona. Przesłuchania bez przerwy, czasem po dwie doby, ramiona mam posiniaczone. Śledczy zapewnia, że jako artystka będę występowała na koncertach i zajmowała się kólkami amatorskimi, ciężka praca mnie ominie... Nie bardzo w to wierzę, zresztą żadna przyjemność śpiewać dla tych katów. Chciałam ci powiedzieć, że teraz z konieczności kończy się moja opieka nad tobą; sam musisz zdecydować o swoim losie, bądź ostrożny, nie wpadnij przypadkiem w ich sieć!

– Nie mam zamiaru myśleć tylko o tym, żeby ratować siebie... Krótko mówiąc, nie niepokój się o mnie. Przyrzekam, że nic mi się nie stanie.

– Dziękuję. I jeszcze jedno: nie mów Asi, że podpisałam ten papier, ale Jegorowi Własowiczowi, Annuszce i Marinie opowiedz wszystko. Rzeczy sprzedawaj, jak będzie potrzeba, bierz wszystko, co chcesz. Módl się za mnie jak za grzesznicę, jeżeli potrafisz się

jeszcze modlić! Chcesz mnie przeżegnać? Przeżegnaj. Ucałuję te twoje żabie ślepia, takie mi drogie. Nie płaczę wcale, przecież widzisz, zabrakło mi łez. Nic nie mów, idą tu.

Po wyjściu z więzienia rozpiął kurtkę, znalazł pod koszulą krzyżyk, ścisnął go.

– Panie Wszechmocny, okaż swą siłę! I to tutaj, w Rosji, w byłym Petersburgu dzieją się takie rzeczy! Znęcać się nad kobietą, żeby wymusić na niej kłamliwe zeznanie! Nie, nie zawsze można i trzeba wybaczać winy, takim łajdakom jak ten śledczy wybaczać nie wolno!

Wiatr od morza chłostał twarz mokrym śniegiem i wył przez całą drogę, kiedy Mika biegł do mieszkania Asi.

„Rozstrzelanie... Zlituj się, Boże, oszczędź nam tej boleści!”

Drzwi otworzyła Elżbietka i oschle zakomunikowała o rozstrzelaniu Olega. Mika pognał na dół, zatrzymał się dopiero w bramie.

– No i oczekuj litości! A jakże! Zdechniemy wszyscy, nim się doczekamy odpowiedzi bodaj na jedną modlitwę! – powiedział głośno. Los Niny wydawał mu się cięższy od losu Olega. Była skazana na wyrzuty sumienia, okaleczenia, nieznośne warunki egzystowania. Czyż śmierć nie jest lepsza? Nina wychudła, jest teraz taka maleńka. Przybita, z obandażowaną głową przypominała mu pieska z chorym zębem w przepasce na głowie z pocztówki, widywanej kiedyś w albumach. Tak mu było żal, że go omijał wzrokiem.

„Ja także nie jestem bez winy, będę to sobie wyrzucał nie mniej niż ona teraz, kiedy jej w niczym nie mogę pomóc! Niełatwe miała zadanie opiekować się mną i wychowywać od czterech lat, a ja dręczyłem ją nieposłuszeństwem, kpinami, wybrykami. Tak wcześniej owdowiała, a kiedy się zakochała, zaszczułem ją... Wszyscy mamy wady i jesteśmy nieszczęśliwi, a ja wciąż jeszcze nie stałem się chrześcijaninem – nie potrafię powiedzieć: niechaj się dzieje Twoja wola, Panie! Błóżnię! Tak właśnie, to było

bluźnierstwo – to, na co sobie pozwoliłem w bramie! Pan, Michaile Aleksandrowiczu, koncentruje w sobie wszystkie paskudztwa! Nie trzeba się łudzić!” – myślał i nie zauważył, że wpada na milicjanta.

– Pięknie, młody obywatelu! Przechodźcie przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. Zapłacicie mandat!

– Na litość boską, proszę się ode mnie odczepić! Nie mam przy sobie pieniędzy, jak chcecie, to zabierzcie mnie na komisariat. Jest mi to obojętne.

– Jak wy ze mną rozmawiacie, obywatelu? Co to znaczy obojętne?

– A jak moją siostrę torturowano w więzieniu, a teraz wysyłają do obozu, chociaż jest niewinna i chora, to co mam powiedzieć?

– Idźcie, obywatelu – milicjant machnął ręką – a następnym razem uważajcie.

Mika patrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem. A to ci dopiero! Widocznie dotarło! Pewnie porządny chłop.

Zawczasu zdenerwowała go reakcja – był tego pewny – w kuchni na jego niewesołą opowieść. Zacznie się wypytywanie, westchnienia, załamywanie rąk. Wszak takt, z nielicznymi wyjątkami, jest skutkiem wychowania, które zwalczał, uważając że hołduje zakłamaniu i przymusowi. Zwalczał, to prawda, kiedy jednak ktoś z otoczenia zachowywał się nietaktownie, on pierwszy się irytował.

Rzeczywiście zareagowano tak, jak się spodziewał:

– Ninuśko, dzieciątko moje, moja śliczna! Zamęczą cię, obrzydliwcy! Nie dość, że mężów twoich, wpierw jednego a potem i drugiego załatwili, teraz sama zakosztujesz poniewierki! Wstydu nie mają – biadoliła Annuszka.

Jej przyjaciółka, praczka, boleściwie kiwała głową współczując i zarazem aprobując gorzkie żale Annuszki.

Dozorca milczał, tylko po jego twarzy płynęły łzy, a ręka

ściskająca kulę drżała.

– Zamilcz, Anno! – powiedział wreszcie głucho. – Nie pomożemy naszej gołąbeczce, a od twego jęku serce boli. Poczekaj trochę. Idź, zawołaj Mikę – trza się ugodzić, kiedy zamówimy mszę.

– A jakże, a jakże! Trza się w intencji Olega Andriejewicza pomodlić! – Annuszka pokuśtykała do drzwi – Mika! Chodź no tu! Mój ciebie woła!

– Słucham, Jegorze Własowiczu! – zameldował się Mika, stając w drzwiach.

– Co się ukrywasz? Chodź no tu – powiedział powoli dozorca i pociągnął Mikę za rękaw. – Nie jesteśmy ci obcy w twoim bólu, sam to wiesz. Trzeba by zamówić panichidę i zaocznie złożyć Olega Andriejewicza do grobu, a także odprawić moleben⁸⁸ za zdrowie cierpiącej i bolejącej służebnicy Pańskiej Niny. Umów się z Ksenią i Marinę Siergiejewnę zawiadom.

– Dobrze, załatwię wszystko, sam o tym myślałem – rzekł Mika.

– Mikuszka, chłopcze, a tamta dziewczynka, przyjaciółka Asieńki, którą wzięli w naszej sprawie, co z nią? Czyżby i jej dali najwyższy wymiar? Ona pewnikiem nie więcej, niż dwadzieścia latek ma?

– Nic nie wiem o Helenie Lwownie. Informują tylko najbliższych krewnych. Wróci Wiaczesław, wtedy się spytamy.

Wiaczesław jednak po powrocie przeszedł bez słowa przez kuchnię i bez słowa otworzył drzwi do swego pokoju. Mika i stary odprowadzili go wzrokiem, nie odważyli się o nic zapytać, ale Annuszka nie wytrzymała.

– No i czegoś się dowiedział? Gadajże! Mój Boże, idzie sobie bez słowa!

Wiaczesław pomilczał, jakby zbierał siły, cisnął czapkę na

⁸⁸

Moleben (cerk.) – krótkie nabożeństwo, odprawiane w konkretnej intencji.

kuferek Nadzieży Spiridonowny.

– Wykończyli dziewczynę! – powiedział.

Annuszka jęknęła, dozorca wytrzeszczył oczy, a Mika spytał:

– A prośba o ułaskawienie?

– Złożona, ale przecie nie dadzą mniej niż dziesięć lat, kiedy dostała czapę – i zniknął za drzwiami swego pokoju.

Zapadło milczenie.

– Ale się przejął, aż zmieniony cały. Pewnikiem narzeczona – powiedziała litościwa Annuszka, ale Mika nie chciał roztrząsać tak delikatnej materii; w dodatku stosunki między Wiaczesławem a Lelą były dla niego zagadką podobnie jak i dla pozostałych. Po wahaniu zastukał do nieprzyjaznych drzwi.

– Mogę wejść? Chciałem się dowiedzieć, kiedy może nadejść odpowiedź z Moskwy?

– Śledczy powiedział, że za jakieś dziesięć dni.

– Nie udało ci się uzyskać widzenia?

– Zezwolą na widzenie, jeżeli zostanie ułaskawiona, trzeba czekać. W dodatku nie wiem, czy będzie się chciała widzieć ze mną; dają tylko jedno widzenie z jedną osobą, może będzie wolała Ksenię Wsiewołodownę.

Mika nie pytał o nic więcej, Wiaczesław widocznie docenił jego delikatność, ponieważ uścisnął mu rękę.

– Znasz mnie, Mika. Szanuję i lubię Ninę Aleksandrownę. To serdeczny człowiek. Z Olegiem Andriejewiczem także byliśmy – można powiedzieć – zaprzyjaźnieni. Ich los dotknął mnie boleśnie.

Mika zauważył, że z nich dwóch, Wiaczesław pierwszy potrafił wyrazić współczucie i nie powiedział nic, obawiał się, że głos zdradzi jego wzruszenie, a to – jak uważał – nie było godne mężczyzny.

– A jak twoje sprawy partyjne? – spytał po chwili, kiedy się

opanował.

– Kiepsko! Wyrzucili! Po prawdzie nie oczekiwałem tego. Wszystko policzyli, dodali jedno do drugiego: nieudane przemówienie w szkole w obronie profesora, wstawienie się za portierem, próby ratowania Nielidowej i wyprawę do Ługi z dziećmi. Przewodniczący komitetu zakładowego – to wyjątkowy łajdak; nie wytrzymałem, rzuciłem mu w pysk swoją legitymację partyjną. Nic to, przyjmą z powrotem. Zapisalem się już na budowę w Komsomolsku, ale pewnie trzeba będzie przedtem jechać do Moskwy; zażadam powtórnego rozpatrzenia sprawy. W Moskwie ocenią sprawiedliwie – całe moje życie świadczy o mnie!

Ale można było wyczuć, że jest przygnębiony.

– Liczysz na sprawiedliwość? Uważaj, żeby tobie nie doczepili pięćdziesiątego ósmego artykułu z którymś z niezliczonych paragrafów!

– Mnie nie zastrasza, a wszyscy milczeć nie mogą. Towarzysze Mienżyński i Jagoda nie są na poziomie, obsadzili etaty niewłaściwymi ludźmi, w podstawowych organizacjach partyjnych panoszy się wyrachowanie i biurokracja. Trzeba to wszystko przedstawić w sposób przekonujący i przeciąć wrzód na ciele naszej partii! Teraz nie jestem w stanie myśleć logicznie, zacznę działać, kiedy się rozstrzygnie sprawa Heleny Lwowny – Wiaczesław mówił z wysiłkiem.

Przyszła Annuszka.

– Siadajcie do stołu, herbatki zrobiłam. To nie żarty – od rana o suchym pysku. Ninuśka, gołabeczka moja, kiedy do Ługi jechała, nakazywała: opiekuj się moim kochanym Miką. Masz mnie słuchać, jestem ci za babcię!

Dozorca już trzymał spodek z herbatą na rozcapierzonych palcach, ale odstawił go.

– Jak żywa stoi przed oczami – głuchy głos starca zadrżał. – Nie taka, jak w ostatnich latach, ale z warkoczami dziewczynskimi. Pamiętasz, Annuszko, kiedym na płuca chorował

w Czeriomuchach, a ona co rano „kawę po wiedeńsku” z pańskiego stołu mi nosiła. Wejdzie z tacą i stoi, tylko oczka jej błyszczą. Pamiętasz, jak żem ją jazdy konnej uczył – prowadzę ci ja konia za uzdę, a ona do mnie: „Nie odchodź, Jegorze, i chwyta za włosy rączkami. Dziedzic – Panie świeć nad jego duszą – podarował jej kiedyś osiołka i powozik. Obraziłem się, czy to porządek – mówię – żeby do stajni wpuszczać takiego bydlaka! Koń – to szlachetne stworzenie i takiego sąsiedztwa nie zniesie...

A Annuszka przerwała mężowi:

– Ja w tamtych czasach wołałam na Ninuškę skowroneczek, taki dźwięczny miała głosik, ale niedługo śpiewała. Zamilkła bieduśka, kiedy zabili Dymitra Andriejewicza. Ja do niej: czemuś swoje śpiewki zapomniała, Ninuško? A ona na to: pośpiewał ptaszek i przestał, była w sercu radość, ale się rozwiała. A później, kiedy dziedzica zamordowali...

– Pójdę już, Anno Timofiejewno – zerwał się Mika – nie mogę tego słuchać... Ja... Pobląkam się po ulicach, to mi przejdzie.

Na schodach spotkał Marinę, która przeskakując stopnie biegła na górę.

– Co tam? – spytała zdyszana. Milczał chwilę, zanim się przemógł.

– Proszę wejść na górę, Annuszka wszystko opowie. Przestraszona schwyciła go za rękę. Wyrwał ją i nie patrząc na Marinę pognał na dół.

Była jedna bratnia dusza, której chciałby się dzisiaj zwierzyć, już się wzajemnie rozumieli, szczerą wymianą zdań stała się teraz potrzebą. Kiedy wyszedł z bramy, nogi same poprowadziły w stronę ulicy Konnej.

– Co ci jest? – spytała Mary, ledwo otworzył drzwi.

W małym pokoiku można było usiąść tylko na łóżku, pachniało oliwą od lampek, kadzidłem i odrobinę sośniną – gałązka sosny zatknięta była za ikonę. Dziewczyna miała na sobie czarną szkolną sukienkę, włosy były gładko uczesane i splecione

w warkocze, usta nie znały jeszcze szminki, Mary nie pudrowała się i nie perfumowała.

Na stoliku przy łóżku obok utworów Jefrema Sirina leżał tomik jej ulubionego Dostojewskiego, a także prosfora wyjęta za duszę brata. Wydawało się, że przeniesiona tu poważna i wzniosła atmosfera świątyni promieniuje z twarzy i spojrzenia dziewczyny. „Pieśń Cherubinów” pozostawia ślad także na twarzach!

Zaczął opowiadać i wiedział, że jej reakcja będzie taka, jakiej on potrzebuje – inna niż reakcja ludzi, z którymi się spotkał rano.

– Po prostu nie wiem, co robić! W domu Annuszka płacze i zawodzi, aż słuchać nie sposób. Jak zbrodniarkę – na siedem lat katorgi! W tym stanie jak teraz nie przeżyje tego, a przecież zastępowała mi matkę! Zbyt późno to zrozumiałem – nagle przywarł czołem do rąk dziewczyny... – Jestem grzesznikiem, Mary, bluźnię obrzydliwie! Kiedy się dowiedziałem, że była torturowana, ogarnęła mnie rozpacz! Gdybyś tylko wiedziała, co mówiłem w bramie! Mam wrażenie, że walka polityczna dałaby, być może, lepsze wyniki i większe zadowolenie, niż nasze modlitwy, czuwania i praca nad sobą! Jestem gotów odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni!

– Niech Bóg broni, Mika! Partie polityczne – to otchłań! Pustosłowie, oszustwa, morderstwa, zemsta – oto ich żywioł! Mówią piękne słowa, a najpiękniejsze – nasi komuniści, a jak to w życiu wygląda – widzimy! Nie zapominaj o Królestwie Bożym w sercu! – położyła rękę na jego głowie i patrzyła na niego z powagą i zatroskaniem, jak lekarz na pacjenta. – Zachowaj błogość w sercu, Mika. My, chrześcijanie, mamy wielkie szczęście, możliwość odnawiania duszy w sakramencie komunii. Kiedy zrozumiesz swoją winę i wyrazisz skruchę, grzech bluźnierstwa zostanie ci odpuszczony. A za Ninę Aleksandrownę powinniśmy się modlić, nie pomożemy jej naszą rozpaczą. Skąd można wiedzieć, może to ciężkie doświadczenie Bóg zesłał, żeby obudzić w niej wiarę i dążenie do życia duchowego. Wiesz, teraz cały czas jestem przy umierającej, polecono mi czuwać przy siostrze Marii, nawet z chóru z tego powodu odwołano. Siostra Maria czeka na śmierć,

jako przejście do innego istnienia i już sięga tam wzrokiem. Niedawno miała sen, że w jej piersi weszło Słońce... A wczoraj słyszałam, jak nuciła irmos⁸⁹ „ Boga ludziom nie dane widzieć...” Przeżywa coś wzniosłego...

– Nina już dawno straciła wiarę! – powiedział ze smutkiem, a po chwili zawołał: – Jak chrześcijański świat Europy może się godzić na prześladowania rosyjskiej inteligencji i rosyjskiej Cerkwi? Rosja zawsze udzielała pomocy Grekom, Bułgarom, Serbom, Cypryjczykom, a teraz – kiedy jesteśmy skazani na zagładę – nikt palcem nie ruszy! Dumna Anglia cieszy się, kiedy jakieś wielkie państwo przeżywa katastrofę. Ale Rosja podźwignie się wbrew wszystkiemu! Już w piętnastym wieku porównywano ją do Feniksa, który powstał z popiołów.

– Tak, Mika, a ratunkiem dla Rosji jest Cerkiew! Nie nieszczęśni białogwardziści, którzy na próżno szukają wsparcia i wkrótce zostaną wyłapani do ostatniego, lecz właśnie Cerkiew! Czuję, że się organicznie połączyłam z Cerkwią, atmosfera świątyni, ikony, świece, śpiew, cerkiewne środowisko – to wszystko jest mi tak bliskie. To nie znaczy, że nie widzę wad w cerkiewnym środowisku, ale kiedy nad tym boleję, moje oddanie Cerkwi staje się jeszcze głębsze! Tylko w cerkiewnym środowisku nasze życie może stać się pożyteczne. Jakże jestem wdzięczna mojej matce, która mi ten świat ukazała! Niekiedy w szkolnych czasach miałam mamie za złe wszystkie zakazy i nakazy, dopiero teraz rozumiem, co jej zawdzięczam. Nie lękała się zaszczepić nam tego, co dzisiaj jest tępione, a sama tak dzielnie przyjmuje wszystkie ciosy! Mówisz o walce politycznej. Niegdyś chrześcijanie chowali jednego za drugim swoich najlepszych współwyznawców, ale brali broń do ręki tylko jako żołnierze w armii. Chrześcijanin przy każdej władzy powinien być najlepszym obywatelem. Pamiętasz, co powiedział święty Sebastian cesarzowi Maksymianowi, kiedy ten posadził go o spiskowanie? Jako piętnastoletnia uczennica czytałam o świętym Sebastianie i pomyślałam wtedy, że jest ideałem mężczyzny! Rzymski oficer,

⁸⁹

Irmos (cerk. z grec.) – oda liturgiczna.

jeden z dowódców pałacowej gwardii, umarł jako męczennik!

– Nie spotkasz świętego Sebastiana, Mary, możesz być pewna. Święci zdarzają się raz na kilka milionów ludzi – powiedział z nagłą irytacją, jakby zaboląły go słowa dziewczyny.

– Wiem, że nie spotkam, gdybym spotkała, to pewnie znalazłby sobie towarzyszkę godniejszą ode mnie. Wiem, że nie spotkam, ale mogę w innym człowieku dostrzec cechy, które mi się podobają. Pomagałabym temu człowiekowi w doskonaleniu charakteru i znalezieniu chrześcijańskiej drogi, a on pomagałby mnie, żebyśmy razem podążali do ideału. W tej postaci chrześcijańskie małżeństwo wydaje mi się piękne.

„Tak, jesteśmy już dorośli – pomyślał Mika. Ją czeka zameście, być może już niedługo. Miłość takiej dziewczyny – to trwałe oparcie. To nie jest jakaś tam Ksenia Daszkowa czy Lela Nielidowa – dwie laleczki o pięknych buziach i białych rączkach, ale z pustymi główkami. Obie mają tylko grzeszne myśli. A Mary pójdzie obok jak partnerka myśląca i silna! Kogo pokocha?”

– Wiesz, Mika, niedawno wezwano mnie do świetlicy i tam jakiś dziennikarz miał ze mną poważną rozmowę.

– O czym?

– Pytał, po co ja, młoda dziewczyna po szkole średniej, śpiewam w chórze cerkiewnym i marnuję się w cerkiewnym środowisku. – Masz szerokie pole do popisu – mówił – damy ci pracę, a może nawet rekomendację na wyższą uczelnię; musisz jednak zerwać z bigotami i obskurantyzmem; napisz artykuł do „Komsomolskiej Prawdy” o tym, że zrywasz z Cerkwią, że się zraziłaś do religii i jej wyznawców i masz zamiar zacząć nowe życie. Pomogę ci – mówił – napisać taki artykuł i wstawię się za tobą podczas zbliżającej się paszportyzacji. Oczywiście odmówiłam.

Mika mocno uścisnął jej rękę.

Wątle światelko lampki oliwnej oświetlało łagodną twarz

Matki Boskiej Kazańskiej. Mary, siedząc na stołeczku przy łóżku chorej, wpatrywała się w jej twarz. „Boga ludziom nie dane widzieć...” Oto uśmiech, który niekiedy gości na twarzy chorej... Mary starała się zapamiętać uśmiech człowieka, który już zajrzał na tamtą stronę.

Stara mniszka otworzyła oczy, Mary podniosła się, podała jej kubek kisielu.

– To żurawinowy, sama gotowałam. Siostra dziś nie miała nic w ustach.

– Dziękuję, dziecinko. Bądź taka dobra, pójdz wieczorkiem do Tworożkowskiego domu zakonnego, poproś ojca Christofora, żeby przyszedł do mnie ze Świętymi Darami. Nie chcę tego odkładać.

– Pójdę na pewno – rzekła po prostu dziewczyna, nie mówiła zwykłych w takim przypadku pocieszeń: „nie trzeba myśleć o śmierci”.

– Bóg jest miłościwy dla mnie grzesznej – ciągnęła mniszka – są całe obwody, w których nie pozostało ani jednej świątyni, ludzie żyją tam i umierają bez Komunii świętej. Biedni bolszewicy, biorą na siebie taką ciężką odpowiedzialność, stwarzając taką sytuację! Twoja matka pisała do mnie, że stęskniła się za eucharystią. Trzeba jej pomóc. Poproszę ojca Christofora, żeby przesłał jej Święte Dary. Często ją spowiadał. Potrzebny jest zaufany człowiek, który się podejmie dostarczenia. Można by było zlecić tobie, ale najpierw musisz zamknąć mi oczy, przyzwyczaiałam się już do twego widoku.

– Za nic bym się nie zgodziła zostawić siostry w ostatnich godzinach – powiedziała Mary. – Biedna mama! Nigdy nie słyszeć „Liturgii wiernych”. Chyba nie zniosłabym tego – dodała.

– Tak, Masza. „Nędza i ubóstwo w miejscu świętym” – powiedziałby Dostojewski! Naród noszący w sercu Boga okazał się pogromcą o podłej duszy. Miejmy nadzieję, że to zjawisko czasowe. Trwa oczyszczanie się, jego terminy znane są tylko Bogu!

Podobna jesteś do swojej matki i z twarzy, i z umiejętności dążenia do celu. Szkoda, że cię nie zobaczę, kiedy będziesz wstępowała do nowicjatu.

Mary zaczerwieniła się.

– Siostra wie, jak bardzo kocham zakonne życie. Marzyłam o nim... Nie mogę jednak nie myśleć o miłości ziemskiej ani uznać jej za grzeszną. Już dwa razy spowiadałam się z tego ojcu Warłaamowi. Miłość pobudza uzdolnienia twórcze, daje życie nowym istotom, miłość sprawia, że nawet największy egoista staje się zdolny do ofiar dla ukochanej kobiety, dzieci... Świadczy o tym wiele przykładów... Dawno miałam zamiar opowiedzieć siostrze... Nie chciałabym, żeby siostra myślała o mnie lepiej, niż na to zasługuję... Mam... Podoba mi się pewien chłopiec, także wierzący i do bractwa należy. Na razie jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale się doskonale rozumiemy. Gdybym go pokochała i razem z nim przeszła całą drogę aż do wiecznego życia, czyż nie byłby to piękny związek, a być może i wspólne męczeństwo jak za pierwszych chrześcijan? Ale mniszka potrząsnęła głową.

– Strzeż się pokusy. Unikaj myśli o małżeństwie. Przyszłaś do Boga nie zdążwszy zakosztować występku. To wielkie szczęście. Docień to.

– Siostró Mario... Niech mi siostra wybaczy zuchwalstwo, ale... Przecież w młodości siostra była zakochana. Mama mówiła, że siostra przyjęta została do nowicjatu dopiero po śmierci męża na „Pietropawłowsku”. Dlaczego siostra mi odradza, skoro sama...

Mniszka uniosła się, wsparła na łokciu.

– Tak, Maszeńko, kochałam, a człowiek ten sprawił mi wielki ból. Wyszłam za mąż bardzo wcześnie. Mąż, oficer marynarki wojennej, zabrał mnie do Władywostoku, gdzie wówczas stacjonował „Pietropawłowsk”. W tamtych czasach żadne inne miasto na świecie – jak mi się wydaje – nie prowadziło takiego wesołego życia, nie szalało tak jak ten port, odwiedzany przez marynarzy różnych bander. Nasi oficerowie, złota młodzież carskich czasów, synowie starych szlacheckich rodów, nadawali

ton, trwonili pieniądze, kapali w szampanie panie z półświatka... Hulanki nabrały takiego rozmachu, że wydano specjalny rozkaz, nakazujący wysyłanie do Władywostoku tylko żonatych oficerów. Rzecz jasna o niczym nie wiedziałam... Pewnego razu, kiedy wróciłam z Petersburga, dokąd pojechałam w odwiedziny do matki, zastałam w mieszkaniu ślicznotkę... Leżała półnaga na fortepianie... Wybiegłam z domu jak szalona i tego samego dnia odjechałam do Petersburga. Tego dnia straciłam ukochanego męża. Miesiąc później wybuchła wojna, zatonął „Pietropawłowski”. Bolałam nad klęską Rosji, ale śmierć męża była dla mnie wyjściem z nieznośnej sytuacji. Jako wdowa mogłam po raz drugi wyjść za mąż albo wstąpić do klasztoru, który mnie pociągał już wcześniej. Gdyby mąż wrócił, zostałabym zmuszona zamieszkać w jego domu, a po tym, co widziałam, nie potrafiłam wyobrazić sobie współżycia z tym człowiekiem... Teraz to wszystko jest już takie dalekie! Bez bólu wymieniam w modlitwach imię męża – wszystko się we mnie wypaliło, wszystko mu darowałam... Co się jednak kiedyś działo w mojej grzesznej duszy! Trudno mi mówić. Poczytaj o pobożnych przy źródłach.

Mary posłusznie kartkowała Apokalipsę, ale między brwiami i wokół ust zarysowała się uparta zmarszczka.

Tylko kiedyś, kiedy istniało bogactwo, mogły się dziać podobne rzeczy. Mika jest inny niż owi eleganccy oficerowie. Trudno go sobie wyobrazić ze „ślicznotkami”. Dorastał po przejściu „oczyszczającego huraganu”, w jego życiu przyjemności nie mają znaczenia. „Kocha mnie, ponieważ nasze dusze są sobie bliskie i stają się coraz bliższe. Jest wiele możliwości do wyrzeczeń... Poświęcę Cerkwi wszystkie siły, ale szczęście z Miką zostawię dla siebie”.

U sąsiadów za ścianą patefon grał fokstrota.

Rozdział dwunasty

Najżarliwiej modlił się dozorca, ukląkł z wysiłkiem i co chwila żegnał się.

– Boże, zbaw sługę Twego, zamordowanego Olega, weź w swoją obronę zbolełą i cierpiącą Ninę! – szeptały wargi starego.

Nabożeństwo żałobne odprawiano w jednym z soborów; wielu z tych, którzy by chcieli pomodlić się za Olega i Ninę, nie mogłoby się dostać do Kinowii, znajdującej się w odległej dzielnicy na prawym brzegu Newy. Zawiadomiono wszystkich krewnych i znajomych. Członkowie bractwa cerkiewnego stawili się w komplecie i śpiewali pięknie, aż się parafianie dziwili tak licznej obecności młodzieży.

Kiedy się zaczęło nabożeństwo, Asia stanęła w kąciku przed ikoną Serafima Sarowskiego, od czasu do czasu patrząc na nią oczami pełnymi łez: „Słyszałeś mnie zawsze, ale dlaczego nie spełniłeś mojej największej prośby... Dlaczego?” – myślała.

Elżbietka natychmiast ruszyła za Asią i stanęła obok, jakby chciała ją podtrzymać. Asia jednak wytrzymała do końca i płakała tylko cichutko. Elżbietka nie płakała wcale, cały czas miała suche oczy. Kilkakrotnie zerkała niechętnie na szlochające Annuszkę i Marinę i nawet wzruszyła ramionami, kiedy Marinie podano szklanekę wody.

„Cóż to za demonstracja uczuć? Kim jest ta pani w czerni, która robi z siebie główną żałobnicę? To przecież nasza strata” – myślała zazdrośnie. Nawet tutaj nie porzuciło jej poczucie własności w stosunku do Asi i Olega.

Po zakończeniu nabożeństwa miał miejsce nieoczekiwany incydent. Stary diakon niczym rozdrażniony indor zbeształ Mikę, nie zważając ani na jego młodość, ani na zmartwioną twarz.

– Chcieliście narazić nas na przykrości, czy jak? Prosiłiście pomodlić się za „zamordowanego”, a zgromadziliście tutaj taki tłum, i młodzież, i damy, wszyscy dobrani, i własny chór przyprowadziliście... Po co to wszystko w takich ciężkich dla

Cerkwi czasach? Po tym wszystkim oskarżą nas o to, że nabożeństwo przekształciliśmy w polityczną demonstrację albo że umożliwiamy organizowanie u nas spotkań „białych”. I bez tego ciągle się nas o różne rzeczy oskarża!

Wokół Miki zebrali się ludzie. Najpierw w milczeniu słuchano wyrzutów poirytowanego staruszka, później rozległy się pomruki oburzenia. Ale na właściwą odpowiedź zdobyła się tylko młoda dziewczyna z czarnym warkoczem.

– Ojczy diakonie! W ciężkich dla Cerkwi czasach nie przystoi osobie duchownej okazywać takiego braku odwagi – i przeżegnawszy się dodała: – Niechaj Pan Bóg wybaczy ojcu i mnie.

Diakon chciał coś odpowiedzieć, otworzył usta, ale nagle zmienił zdanie, przeżegnał się i odszedł zakłopotany.

W kruchcie podeszła do Asi Marina i po kilku słowach współczucia zawołała Sławeczka.

– Chodź do mnie, pokaż się, jaki jesteś? – ucałowała go w policzek i tuląc dziecko zapłakała.

– No, no – warknęła Annuszka – na przyszłość myśl lepiej! Nie tym miejscem myślisz, którym należy!

– Pewnie ta pani straciła dziecko? – Elżbietka zwróciła się do stojącej obok pani Krasnokutskiej, ale tamta nie potrafiła jej odpowiedzieć...

„Rosyjska Andromacha! – myślał młody Krasnokutski, nie odrywając wzroku od Asi, która trzymała za rączkę Sławeczka. – Za rok oświadczę się jej. Myślę, że tym razem doceni to i przyjmie!”

Pewnie madame Krasnokutska myślała o tym samym, ponieważ po macierzyńsku poprawiła szalik Asi:

– Żebyś się tylko nie przeziębiła, moja śliczna – powiedziała. Pierwsze, co Asia i Elżbietka zobaczyły po powrocie do domu, to był zniszczony szynel oficerski, który na skutek Asinej niegospodarności wciąż jeszcze wisiał w przedpokoju.

– Starożytni mieli na swój sposób rację, kiedy palili rzeczy zmarłych! – powiedziała ze smutkiem Elżbietka. Asia milczała, tylko kąci jej warg drżały. Z pokojów tchnęła pustka. Widocznie psy wyczuły nastrój – nie skakały i nie cieszyły się witając panią, dotknęły tylko chłodnymi pyskami rąk Asi i cicho zaskamlały. Przyjaciółki weszły do sypialni, ostrożnie stąpając między szczeniakami. Asia z ulgą usiadła w fotelu na biegunach.

– Zdaje się, że rzeczywiście należało usunąć ciążę. Nie wzięłam pod uwagę wszystkich nieszczęść! Urodzi się cherlak albo kaleka. To już siódmy miesiąc, a wciąż po mnie nie poznać. Ze Sławeczkiem było inaczej.

– To głupstwo, Asiu! Dziecko będzie normalne, zobaczysz. Pokraki rodzą się u alkoholików i chorych wenerycznie. Pracuję w szpitalu i wiem. Nie wmawiaj sobie.

Ale Asia jej nie słuchała.

– Przede mną – otchłań! Jak mam jechać do nieznanej miejscowości sama, z małym dzieckiem i do tego w ciąży?

Z kim będę zostawiała dzieci? Trzeba pracować, ale co będę robiła? Dyplomu mi nie dadzą... Nie zdam egzaminu końcowego. Od kilku dni dzieje się ze mną coś dziwnego: zapominam wszystko, co przygotowałam. Dzisiaj po raz setny powiedziałam sobie, że muszę się wziąć w garść, usiadłam do fortepianu, ale nie potrafiłam zagrać, absolutnie nic! Pewnie ze strachu czy z powodu kłopotów, nie wiem, straciłam muzyczną pamięć. Może to minie, ale teraz jakbym siebie nie zmuszała – nie potrafię grać. W dodatku wszystkie terminy minęły. A poza muzyką nie umiem nic, jak mam utrzymać rodzinę?

– Nie będziesz pracowała – oburzyła się szczerze Elżbietka. – Mając dzieci to niemożliwe. Ja będę pracowała. Tutaj czy na zesłaniu, nie zostawię cię bez pomocy.

W zaczerwienionych od płaczu oczach Asi znowu pojawiły się łzy.

– Coś ty, nie pozwolę na to! Przecież już złożyłaś mi ofiarę!

Zrezygnowałaś dla mnie ze swego szczęścia... Czyżbym miała korzystać z twojej pracy...

– Nie dyskutujemy teraz na ten temat – przerwała Elżbietka. – Teraz nikt nie przyjmie cię do pracy i z powodu ankiety, i z powodu twego stanu. Niech się najpierw urodzi dziecko i rozstrzygnie sprawa, gdzie będziemy mieszkać. Wtedy razem podejmiemy decyzję.

Zamilkły obie zasmucone.

– Że też nie pomyślałam wcześniej – spostrzegła się nagle Elżbietka. – W takich przypadkach stosuje się zwykle konfiskatę... Mogą w każdej chwili przyjść po mienie. Trzeba ratować, co się da! Daj mi dzisiaj coś z wartościowszych rzeczy, schowam u siebie.

Asia rozejrzała się po pokoju, podeszła do toaletki.

– Weź to – podała Elżbietce dwa aksamitne futerały. – To są rodzinne klejnoty Daszkowów. Kolczyki i babcine perły. Przechowaj je dla Sonieczki.

– Coś jeszcze?

– Nic. Fortepian... Ale nie udźwigniesz go! A przedmiotów codziennego użytku nie konfiskują. Nie zależy mi na innych rzeczach – odwróciła się.

– Jesteś niepoprawna ze swoją niefrasobliwością! Musisz sprzedawać rzeczy na życie. Przypomnij sobie, ile razy ratowały sytuację brązy czy porcelana Natalii Pawłowny, ona wiedziała o tym, a ty to lekceważysz! Chociażby twoje sobole albo ten obraz – kura z kurczętami – można je także zamienić na pieniądze.

Asia spojrzała smutno na obraz.

– Obraz jest wart trzy tysiące, ale co z tego, kiedy nikt nie chce go kupić. Weź go, jako podarunek ode mnie. Obraz jest mi drogi, ponieważ jest pamiątką po spotkaniu z Olegiem, nie chciałabym, żeby się dostał w obce ręce, a na zesłanie nie będę go wlokła – poszła w kierunku drzwi – idę do kuchni, trzeba odgrzać kluseczki dla Sławeczka i nakarmić szczenięta. Ładzie brakuje

mleka.

Elżbietka zostawszy sama, jęła ściągać ze Sławeczka sweter; zadzwonił dzwonek, pobiegła do drzwi i ujrzała swego współpracownika, neuropatologa, którego bez wiedzy Asi zaprosiła, aby wystawił jej zaświadczenie.

– Borys Pietrowicz! – ucieszyła się. – Jestem panu ogromnie wdzięczna, że pan przyszedł! Moja przyjaciółka po ciężkim przeżyciu zdradza odchylenie od normy, nie je, twierdząc, że coś jej w gardle przeszkadza, prawie nie śpi, skarży się na osłabienie pamięci...

Lekarz przeczesywał przed lustrem włosy.

– Może póki jesteśmy sami, poinformuje mnie pani, jakiego rodzaju przeżycie miała pacjentka? – spytał.

– Przed kilkoma dniami rozstrzelano jej męża pod zarzutem uprawiania działalności kontrrewolucyjnej. Denerwowała się podczas procesu, a teraz...

Lekarz zachmurzył się.

– Nie spodziewałem się, Elżbieto Gieorgiewno, że spełniając prośbę pani, trafię do skompromitowanego domu! Postawiła mnie pani w przykrew sytuacji. Pani wybaczy – wyciągnął rękę po palto.

Elżbietka skamieniała.

– Zawsze sądziłam, że lekarz i ksiądz nie odmawiają pomocy w żadnym przypadku – powiedziała.

– To zależy od warunków – lekarz ukłonił się i pośpiesznie wyszedł.

Po chwili znowu zadzwonił dzwonek.

„Pewnie zmienił zdanie! Obudziło się w nim sumienie!” – pomyślała Elżbietka otwierając drzwi... Na progu stała starsza pani.

– Julio Iwanowno! – zawołała Elżbietka rzucając się ku niej.

– Dzień dobry, dziecinko! Chciałabym się zobaczyć z Asią. Z wielkim trudem załatwiłam jej odroczenie egzaminu końcowego. Powinna natychmiast zgłosić się do szkoły, żeby przyjąć do wiadomości ten fakt i niezwłocznie zacząć zajęcia, w przeciwnym bowiem razie...

– To niestety niemożliwe, Julio Iwanowno! Asia nie jest w stanie chodzić na zajęcia, właśnie wróciłyśmy z mszy żałobnej, mąż Asi, Oleg Andriejewicz został rozstrzelany...

Stara nauczycielka osunęła się na krzesło.

– Mówiono mi, że go aresztowano, ale nie wiedziałam, jak się sprawy mają. Biedne dziecko! – rzekła z czułością, a po chwili dodała: – W osobie tej dziewczyny ginie wielki talent! Mazurki Chopina i miniatury Schuberta i Schumanna grała lepiej niż ukształtowani pianiści.

Zamyśliła się zafrasowana, Elżbietka z szacunkiem milczała.

– Dziwna to i krucha rzecz – talent! – powiedziała Julia Iwanowna, widocznie pochłonięta własnymi myślami. – Ile razy mam do czynienia ze szczególnie utalentowanym uczniem, obawiam się z góry, że może się wydarzyć coś, co uniemożliwi wychowanie wielkiego muzyka. Zdolni, ale mało utalentowani, wspaniale kończą konserwatorium, a niepowtarzalni... Na starość stało się to moją tragedią. Asia była moją ostatnią nadzieją!

Rozdział trzynasty

Ruda Tańka miała szopę zaondulowanych, sterczących na wszystkie strony włosów, jaskrawo wymalowane usta i paznokcie, spacerując po celi śmierci zapewniała:

– Zostanę ułaskawiona w trybie obowiązkowym. Nic a nic się nie obawiam! Nie mają prawa dać mi czapy, nie ukończyłam jeszcze osiemnastu lat – i ze słowami „figa z makiem” – pokazywała figę.

Tańka zabiła kastetem kasjerkę z banku. Lela ze strachem obserwowała to dziewczę, szukała bodaj drobnych objawów skruchy, ale widziała tylko bezczelność i niefrasobliwość. Więzienne okna wychodziły na podwórze zamknięte drugim budynkiem, w którym mieściły się takie same cele. Ruda Tańka często wymieniała spojrzenia z siedzącymi tam mężczyznami. Na migi zachęcała do obserwowania jej, aby razem uprawiać wciąż tę samą zabawę, rozbierała się przy tym, kiedy uznawała to za konieczne. W takich chwilach osiemnastoletnia Szura kładła się twarzą do łóżka, żeby nie widzieć bezceństw. Przystępstwo Szury było równie „ciężkie” – dziewczyna pracowała w fabryce obuwia i pewnego razu, kładąc na konwejer kolejny detal, napisała na nim „precz ze Stalinem!” Dochodzenie obciążyło jednego z robotników; Szura – wychowanka domu dziecka – zjawiała się w komitecie zakładowym z oświadczeniem, że to jej sprawka. Teraz oczekiwała swego losu w celi śmierci.

Siedziały tu także trzy mniszki; one nie składały podań o ułaskawienie ani nie podpisywały protokołów – nie chciały mieć do czynienia z „diabelską władzą”. Nie zeznawały podczas przesłuchań, nie podały nawet swoich imion, w celi nie rozmawiały z nikim; siedziały w kącie i o określonej porze śpiewały z cicha modlitwy. Pozostawały obojętne na wyskoki Rudej Tanki i krzyki strażników. Lela, słuchając znanych z dzieciństwa śpiewów, miała łzy w oczach.

Pewnej nocy przyszli po sąsiadkę Leli na łóżku – szansonistkę, obwinioną o kontakty z emigracją i szpiegostwo.

Lela i Szura z lękiem patrzyły za nią, kiedy podnosiła się powoli i drżącymi rękami zapinała sukienkę.

Następnego ranka przyszli konwojenci po Lele.

– Nie bój się! To ułaskawienie! Zobaczysz! Rano – to znaczy, że ułaskawią! – pocieszała szeptem Szura.

Podskoczyła Ruda Tańka:

– Nie pietraj się! Napluj im w gębę! – dodawała otuchy, chociaż nikt jej o to nie prosił.

Śledczy podczas ostatniego spotkania bawił się z nią jak kot z myszą:

– Jest odpowiedź z Moskwy – powiedział, pokręcił kopertą i bez słowa patrzył na Lele zmrużonymi oczami. – Moskwa rozpatrzyła wasze podanie. Mamy polecenie żeby...

– zawiesił głos i rozkoszował się widokiem swojej ofiary.

Lela milczała, drżała, serce kołatało jak szalone.

– A więc wyrok przez rozstrzelanie postanowiono... – znowu nastąpiła pauza.

Lela nie poruszyła się. Co będzie dalej? Utrzymać czy uchylić? Dwie sekundy niepewności wydały się wiecznością.

– ...zastąpić dziesięcioma latami obozu. Wszystkiego najlepszego, mademoiselle Goździk – powiedział drwiąco, przy tym wyprężył się i stuknął obcasami. Było w tym coś znanego, coś z dawnego świata, co przypominało jej kogoś... Może Walentyna Płatonowicza... Co to? Urojenie? Czyżby ta kobra w przeszłości... Pomyślała, że nie raz i nie dwa sposób formułowania zdań przypominał jej przeszłość... A teraz na pożegnanie pokazał siebie w całej okazałości. Ale gdzie się podziała szlachetność, gdzie poczucie honoru, które w tamtych czasach wpajano wraz z modlitwą „Ojcze nasz”? Ta kobra...

Nazajutrz Lele wraz z grupą innych więźniów przeniesiono do Kriestów. Tam cela była gorsza niż w dużym domu, panowała

ciasnota, więźniarki leżały jedna przy drugiej na drewnianych pryczach i na podłodze pod nimi, nie było materaców; mrowiły się insekty. Zapamiętała widok wielkiej białej wszy na barwnej krepdeszynowej sukni młodej kobiety, która leżała na swoim płaszczu na środku celi. Lela ledwo znalazła kawałek miejsca pod pryczą, gdzie trzeba było pochylić głowę, żeby usiąść.

Tu także były mniszki. Tym razem sąsiadkami Leli były dwie stare proste kobiety. Jedna z nich – kryminalistka – miała przezwisko Bosman z powodu grubego głosu i zwyczaju przeklinania, Bosman chrapała w nocy, aż się rozlegało. Druga – Ziabliczycha – małomówna i stateczna – całymi dniami szydełkowała; szydełko zrobiła ze szczoteczki do zębów, a nici wypruła ze starego swetra. Ziabliczychę oskarżono o działalność kontrrewolucyjną: pewnego razu w kolejce po ziemniaki dowodziła, że za cara żyło się lepiej, ziemniaki i ogórki kupowano na wiadra i nikt tego towaru nie liczył, a o chlebie i cukrze nie rozprawiano.

Nastrój był tutaj pogodniejszy – rozmawiano, czytano i nawet czasem grano w domino przy dużym stole, stojącym w środku celi.

Po poprzednim napięciu nerwowym teraz Lelę opanowała apatia. Jedynym pocieszeniem w smutnej sytuacji była świadomość, że już nie wywoła jej straszna kobra. Prawie cały czas Lela drzemała. Myślała tylko o jednym – o widzeniu, do którego wreszcie miała prawo. Kto przyjdzie? W podaniu wymieniła matkę i Asie, prawie nie liczyła na to, że matka żyje; paczki, które kilka razy otrzymała, szykował ktoś obcy – mama czy Asia z pewnością włożyłyby do nich kilka jabłuszek i jej ulubione cukierki „start”. Obie też doskonale wiedziały, że Lela nie znosi karmelków i miętowych pierników. Mydło także włożono inne, niż to, którego używała. Kto robił paczki? Czy aby nie Elżbietka? Tak czy inaczej wynika z tego, że z matką jest niedobrze.

Nadszedł wreszcie ranek, kiedy zawołano ją na widzenie. Szła korytarzami i czuła, że drży w gorączkowym oczekiwaniu.

Zmartwiała, kiedy zobaczyła Elżbietkę.

– Przyszłam zamiast Asi. Asia jest w szpitalu, wczoraj urodziła córeczkę! – zawołała szybko Elżbietka, także zdenerwowana rozmową, którą miała przeprowadzić, i widokiem wynędzniałej twarzy Leli.

– A mama? Czy moja mama... – głos Leli załamał się. Elżbietka westchnęła.

– Tak, panno Lelu. Zinaida Glebowna zmarła w dniu, kiedy panią aresztowano. Bardzo mi ciężko mówić pani o tym. Drugi atak okazał się śmiertelny. Asia była przy niej cały czas.

Lela milczała oparłszy głowę o kraty.

Elżbietka taktownie odczekała pięć minut, zanim się zdecydowała.

– Proszę wybaczyć, panno Lelu. Mamy tylko dziesięć minut, a wydano zezwolenie na jedno widzenie. Wiem, że jestem dla pani obca, ale lepiej, że przyszłam ja niż nikt. Co mam przekazać Asi i jakie rzeczy przygotować dla pani na wyjazd? Proszę się skupić.

Lela jednak nadal milczała.

– Czy mam odejść? – spytała Elżbietka.

– Ależ nie, Elżbieto Georgiewno. Jestem pani bardzo wdzięczna, aleja... – zamilkła znowu.

– Panno Lelu, zostało zaledwie parę minut! Lela podniosła głowę.

– Proszę opowiedzieć o Asi. Czy zostaje w Leningradzie?

– Nie wiadomo. Jeszcze nie odwołano zobowiązania do nieopuszczania miasta. Być może zostawili ją do porodu. Zdecyduje się to w najbliższym czasie.

– Jest bardzo załamana? Elżbietka kiwnęła głową.

– Zdała egzaminy końcowe?

– Nie mogła – Elżbietka zerknęła na strażnika, chodzącego

między kratami.

– Proszę powiedzieć, żeby Asia nie zapominała o mnie, nie traciła mnie z pola widzenia. Będę o niej myślała. Oprócz niej i Sławeczka nie mam nikogo na całym świecie! Nie wiem, czy się zobaczymy. Pewnie nie wytrzymam dziesięciu lat obozu. Proszę jej także powiedzieć... *On m'a battu!*⁹⁰

Elżbietka drgnęła i znowu spojrzała na strażnika; kędzierzawa główka Leli wsparła się o kratę. Po chwili Lela podniosła ją.

– Dziękuję za paczki, Elżbieto Gięorgiewno!

– Nie nosiłam paczek. To od Wiaczesława Konoplannikowa. On także stał w kolejkach do prokuratora.

Na bladej twarzy Leli odmalowało się zdziwienie, potem wargi lekko drgnęły, powieki zmrużyły się, jakby usiłowała zajrzeć do nieznanego głębi... I nagle po smutnych oczach i ustach prześliznęła się słaby odblask radości.

„Jakże one są żądne męskiej miłości!” – pomyślała Elżbietka.

– Więc dlaczego... Dlaczego nie przyszedł? – głos Leli załamał się.

– Byłam oczywiście gotowa odstąpić mu ten obowiązek – rzekła sucho Elżbietka – miał zamiar przyjść i przygotował dla pani wspaniałe botki – rosyjskie, z długą cholewką, ze świetnej skóry, gdzieś je obstał... Wczoraj miał przyjść, żeby się ostatecznie umówić z Asią, która także koniecznie chciała przyjść na to widzenie. Ale na próżno czekałam cały wieczór, a Asia trafiła do szpitala o dziesięć dni wcześniej, niż się spodziewano. Dlatego ja musiałam przyjść. Przyniosłam te buciki, a także zimowe palto pani i ciepłą orenburską chustę od Asi – to wszystko było przygotowane przed tygodniem. Czy mam przynieść coś jeszcze?

– Dziękuję, nie potrzebuję nic! Proszę tylko przysłać zdjęcie mamusi. Napiszę do Asi, jeżeli pozwolą. Proszę się nią opiekować,

⁹⁰ On m'a... (fr.) – Bito mnie!

a ona będzie się opiekowała mogiłą mamusi. Do widzenia, Elżbieto Gięrgiewno. Dziękuję pani.

Nie czekając na sygnał Lela odeszła od kraty.

Buciki były rzeczywiście śliczne i pasowały jak ulał, ale gdzie jest człowiek, który je przysłał? Dlaczego nie zdecydował się przyjść? Może nie miał pewności, czy Lela będzie chciała z nim rozmawiać? A może Asia za bardzo broniła swego prawa do widzenia? Więc on ją kocha i pamięta o niej, chociaż został odtracony! Znała przypadki, kiedy bliscy krewni unikali represjonowanych, żeby się uchronić od kompromitacji, a on o to nie dba! Teraz w ciężkich chwilach wyciągnął do niej dłoń, jak mógł zrobić tylko narzeczony!

„Nie trzeba myśleć! Dziesięć lat obozu – umrę albo wyjdę stamtąd jako stara kobieta!”

Jej włosy odrosły i bujnymi lokami spadały na ramiona – zsiwieją te loki! Komu będzie wtedy potrzebna! To okropne myśli! Kiedy obok była śmierć, myślała tylko o tym, żeby zachować życie; teraz – kiedy najgorsze minęło – stało się pytanie: po co żyć bez szczęścia, bez rodziny, kiedy jedyną perspektywą jest katorżnicza praca? Czyż nie lepiej było zginąć od razu? Czuła, że zabija ją tęsknota za szczęściem. Każdą myśl, każde wrażenie zatrzymywała gorycz przepelniająca duszę.

„To kara za moje kaprysy i lekceważenie bliskich, za moje ekstrawagancje. Te moje wady stanowią grunt, z którego wyrastają cierpienia. Nikt tych wad nie dostrzegał, prócz mnie samej, a teraz targa mną rozpacz. Nie można się jej pozbyć, jak złośliwy nowotwór będzie mi zatrzymywać każdą chwilę wytwarzanymi przez siebie toksynami. Asi nawet w największym nieszczęściu nie grozi nic podobnego”.

Nie minął tydzień, kiedy więźniarki zostały obudzone w środku nocy:

– Na korytarz z rzeczami! Wszystkie! Nie rozmawiać! Szybko!

W korytarzu na szafce leżała sterta „spraw”, które

prowadzono na każdego więźnia. Więzienne władze przekazywały więźniów władzom etapowym. Rozkazy były grubiańskie, co miało oznaczać dążenie do zwięzłości:

– Ustawić się czwórkami! Ręce na plecy! Ruszać się! Prędszej!

Najbardziej malowniczo wyglądało wsiadanie do więziennej suki, do której więźniów upychano, by zmieściło się jak najwięcej. Lela stanęła w czwórce z Ziabliczychą, Szurką, i jedną z mniszek, i kiedy kazano wysiadać gdzieś na odległej boczniczy, chyba moskiewskiego dworca, szybko ustawiła się z nimi, żeby uniknąć towarzystwa Rudej Tanki albo Bosmana. Jednak podczas pierwszego apelu okazało się, że kryminalistki nie jada – w partii liczącej dwa tysiące osób – byli wyłącznie polityczni. Długi pociąg był gotowy do odjazdu. Do wagonów – były to wagony towarowe z piecykami w środku – podstawiono schody, przy których z obu stron stali konwojenci z psami; owczarki wściekle warczały, chrypiały, piana kapiała z jęzorów, szarpały łańcuchy, usiłując dopaść więźniów, którzy przechodzili obok. Lela od dzieciństwa zachwycała się wszelkimi czworonogami – psami, cielętami, owcami, kotami – a teraz z przerażeniem patrzyła na rozwścieczone bestie. „Pewnie zaraziły się od ludzi szatańską złością! Tych nawet Asi a nie odważyłaby się głaskać i całować w pysk!” – myślała i zgarniała spódnicę, żeby bez przykrych niespodzianek przedostać się między dwoma rozjątrzonymi paszczami.

Do każdego wagonu wpakowano po pięćdziesiąt osób; leżały na pryczach i pod nimi ściśnięte jak śledzie, a obok w podłodze była dziura, zastępująca klozet. Drzwi zaryglowano, otwarto je dopiero w południe następnego dnia, kiedy przyniesiono jedzenie i sprawdzono obecność. Sposób, w jaki się to odbyło, także był „wzorem” uprzejmości: najpierw stłoczono więźniarki w jednym kącie, a następnie przeganiało kijem w drugi, licząc na sztuki jak bydło.

Pociąg wciąż się zatrzymywał na dalekich bocznicach. Lela przez szczelinę wyglądała na zewnątrz, wzdłuż toru ciągnęły się lasy, gdzieniegdzie tylko błyskały światełka stacji, ale pociąg ani

razu nie zatrzymał się przy stacyjnych zabudowaniach. Dziękowała Bogu za to, że wśród więźniarek nie było kryminalistek. Na ogół wszystkie kobiety zachowywały się sympatycznie i grzecznie; było sporo pań z arystokracji, które trzymały się dzielnie i swobodnie. Kiedy się ze sobą oswoiły, zaczęły się długie rozmowy, opowiadano o swoich losach, mówiono wiersze, streszczano ciekawe książki. Znalazły się artystki, które śpiewały i recytowały. Lela także się odważyła, powiedziała „Białą narzutę” i „Dla ojczyzny brzegu w dali...” Po ostatniej strofie – „Lecz czekam go, jest za tobą.” pomyślała o Wiaczesławie... „On jest za mną, spotkamy się...”

Były w wagonie także stare rewolucjonistki, oskarżone o różne „odchylenia”, albo po prostu o terror. Opowiadały o represjach w czasach carskich.

– Gdyby ganiano kijami starych rewolucjonistów, jak zrobiono z nami, albo szczuto psami czy ośmielono się uderzyć – wybuchłby potężny protest ze strajkami, samobójstwami i ulotkami w więzieniu i na wolności. Teraz samowola jest usankcjonowana prawem, terror zamyka wszystkim usta – powiedziała jedna z eserówek.

– Nie byłoby tak, gdyby żył Włodzimierz Iljicz – odezwała się inna kobieta, bolszewiczka.

Do rozmowy włączyła się Lela, która uważała Lenina za najgorszego wroga, coś na kształt ludożercy z bajek. Opowiedziała o bestialstwach czekistów na Krymie. To zrobiło duże wrażenie, zwłaszcza, że opowiadała drżącym głosem, wyraźnie pod wpływem osobistych przeżyć.

– Bardzo mnie pani zmartwiła – powiedziała bolszewiczka, a inna partyjniaczka dodała:

– Słyszałam o tym co nieco, ale nie byłam pewna, czy to prawda. Podobno Dymitr Uljanow wysyłał depesze do towarzysza Dzierżyńskiego z żądaniem zaprzestania rozstrzeliwań i innych represji w stosunku do pokonanych, ale Włodzimierz Iljicz pozostawił Dzierżyńskiemu wolną rękę. Pamiętajmy jednak, że

trwała wojna, więc można znaleźć uzasadnienie dla okrucieństw, a to, co się dzisiaj dzieje, nie ma żadnych podstaw!

Znaleźli się obrońcy Lenina, porównywano go ze Stalinem. Mówiono, że Lenin był skromny, szlachetny i dobry, był niemal wcieleniem wszechświatowego Dobra. Lela nie zgodziła się z tym i znalazła poparcie.

– Niejeden słynny potwór w życiu codziennym był znany jako skromny człowieczek – zauważyła jedna dama.

A inna bardzo oględnie, świadoma tego, co mówi, dowodziła, że wszystkie okrucieństwa bolszewicy popełnili nie wbrew ideom Lenina, lecz zgodnie z nimi. Dyskusja, która wybuchła nagle, równie szybko zgasła – pomimo wszystko nie było pewności, czy w wagonie nie ma donosicielki, gotowej dla poprawienia swojej sytuacji donieść komu należy o treści rozmów.

Pomimo uciążliwości podróży kontakt ze współwięźniarkami obudził w Leli nadzieję, że w obozie można będzie jakoś żyć, skoro są takie towarzyszki niedoli.

Wreszcie przyjechali do Swierdłowska.

Podróż trwała trzy tygodnie, a kiedy dojeżdżali, pociąg długo zatrzymywał się na bocznicach. Po komendzie: „Wysiadać” ruszyły pieszo, mówiono, że przodem prowadzą mężczyźni, którzy jechali tym samym pociągiem w przednich wagonach. Nie sposób było jednak sprawdzić tej wiadomości. Po przekroczeniu więziennej bramy zatrzymano je przed wysokim murem, który dzielił podwórze na sektory. Za murem rozległy się męskie głosy. Nawiązano rozmowę, wykrzykiwano nazwiska, pytano o mężów i żony. Jakiś głos wykrzyknął nagle:

– Czy nie ma tam Heleny Nielidowej? Lela zamarła z zaskoczenia.

– Jestem! Jestem! A kto pyta? Kto? – ale wiedziała doskonale, kto to może być.

– Wiaczesław! Kukułeczko moja, więc także tu jesteś? Czyś zdrowa?

– Wiaczesław! Dziękuję za bucki, za wszystko! Może się jeszcze zobaczymy! Dlaczego pan... Za co pana?

Ale odpowiedzi nie było. Za murem słychać było krzyki i przekleństwa. Mężczyźni zamilkli. Więźniarki otoczyły Lelę, wyciągnęły się do niej dziesiątki rąk.

– Kogo pani spotkała? Narzeczonego? Brata? – dopytywały się.

– Kochał mnie, a ja mu dałam kosza! – mówiła przez łzy.

Nie zdziwiła się, że się zwracał do niej na ty, wydawał się teraz bardzo bliski. Jeszcze niedawno marzyła o wspaniałym szczególnym szczęściu, żaden z mężczyzn nie mógł sprostać jej wymaganiom – jeden był za mało inteligentny, drugi nie dość ekscentryczny, trzeci niezbyt elegancki. A teraz zesłanie na osiedlenie z tymże Wiaczesławem byłoby największym szczęściem! Broniłby jej, dzielił z nią trudności życia, a w nocy tulił i szeptał o tym, że na całym świecie nie ma dziewczyny wspanialszej od niej i że za jej łoki gotów jest oddać życie! I znowu wszystkie myśli i uczucia zatrąła znana gorycz.

W Swierdłowsku rozwiały się nadzieje na dobre towarzyski niedoli. Więźniarki rozmieszczono w różnych celach razem z kryminalistkami i skazanymi za przestępstwa gospodarcze.

Nazajutrz po raz pierwszy poznała, czym jest łaźnia. (Na Szpalernej siedziała w pojedynce i do ogólnej łaźni jej nie puszczano). Obyczaj w etapowej sowieckiej łaźni były co najmniej dziwne: nagie więźniarki musiały wręczać swoje ubrania dyżurnemu – zwykle mężczyźnie – do rąk własnych; kilku innych mężczyzn – strażników – kręciło się w pomieszczeniach tu i tam. Lela nigdy się nie rozbierała nawet w obecności obcych kobiet. Teraz z trudem przezwyciężyła opory i podporządkowała się zwyczajom, które miały na celu wytepienie wszelkiego poczucia wstydu.

Podróż trwała jeszcze kilka dni, pociąg jechał szybciej, skończyły się postoje. Domyślały się, że są już na Syberii. Tysiące

kilometrów dzieliły je od domów... Chociaż Lela nie miała już domu! Wreszcie rozległa się komenda: „Wysiadać z rzeczami! Ustawić się!”

O późnym zimowym świcie otoczone przez konwojentów z psami pomaszerowały szerokim traktem przez tajgę. Po obu stronach wznosiły się oszronione świerki i zasypane śnieżne; bardzo się przydały nowe buciki, nasek osłaniała orenburska chusta, szły czwórkami.

Z ramion sąsiadki wyjrzała dziecięca buźka, a później także rączka. Lela kilka razy zerkała na błyszczące oczka i uśmiechnięte usteczka.

– Ile ma? – spytała kobietę otuloną starym oficerskim baszłykiem, jaki kiedyś nosiła Lela.

– Pół roczku, a ten, który jedzie na saniach, trzy latka.

– Artykuł pięćdziesiąty ósmy?

– A jakże! Szwagierka wyszła za męża za angielskiego ambasadora, bywali razem u nas... Oto cała moja wina! – uśmiechnęła się z goryczą. – Nie wiem, co będzie z dziećmi... Zapewniano, że umieszczą w żłobku obozowym i pozwolą odwiedzać... Boję się myśleć, co mnie czeka.

– A może rzeczywiście pozwolą? – powiedziała Lela. – Gdybyśmy tak obie dostały pracę w żłobku!

– Ręce mdleją – szepnęła młoda matka, przekładając żywy tłumoczek na drugą stronę.

– Może ja trochę poniosę, zmęczyła się pani. Przypomina mi chrześniaka – Lela ostrożnie wzięła małe żywe zawiniątko. Dotąd nie próbowała zbliżyć się do nikogo, ale ogrzała ją atmosfera sympatii, spotkała kobietę w swoim wieku i ze swojego środowiska.

– Koteczku, maleńki! Koci, koci, łapci! Starcza ci mleczka? A mój chrześniak wyrośnie beze mnie, kiedy wrócę – jeżeli wrócę – będę dla niego obca, niepotrzebna...

Szły i szły... Rosło zmęczenie, malała wrażliwość. Widocznie wydano rozkaz dojścia do miejsca przeznaczenia przed zapadnięciem zmierzchu – nie robiono przerw na odpoczynek i ciągle popędzano.

Konwojenci wołali co chwila:

– Nie zostawać w tyle! Wyrównać, bo poszczuję psa! Kto tam usiadł? Wstawaj! Tu nie ma żartów! – zaraz spuszczę psy!

Rzucała się w oczy sylwetka niemłodej malarki, która szła o kulach – kazano jej iść na czele kolumny. Młoda matka już dawno zabrała dziecko od Leli i śmiertelnie zmęczona zwalniała coraz bardziej, a Lela myślała tylko o tym, żeby się nie przewrócić.

Naraz zbliżył się jeden z konwojentów i bez słowa ciosem kolby wytrącił dziecko z matczynych ramion, a następnie kopniakiem odrzucił je na pobocze! To nie był sen ani przywidzenie – to zdarzyło się naprawdę! Jak mogły w milczeniu iść dalej? Ale szły po krótkim zamieszaniu, kiedy idące z tyłu wpadły na szereg, w którym szła Lela... Groźne krzyki konwojentów błyskawicznie zaprowadziły porządek. Maszerowały znowu.

To już był sen – bo jak żyć po tym, co się zdarzyło? Lela przekonywała siebie, że to sen – wszystko wokół rozplywa się i wiruje jak we śnie. A więc to sen, w rzeczywistości dzieciątko tamtej kobiety żyje.

Jaką kaszę dadzą na postoju?... W śniegu... Jest mu zimno... Maleńkie rączki zsiniały... Nie od razu umarł... Zamarza... Może szuka usteczkami piersi... Może Asia także będzie musiała tak iść... I także z dwojgiem dzieci...

To nie jest sen. Lela odważyła się wreszcie spojrzeć na sąsiadkę – wlokła się, potykając, z nisko spuszczoną głową. Lela wzięła ją pod rękę.

– Nie dojdzie – powiedział ktoś z tyłu. – Trzeba poprosić naczelnika etapu, niech ją posadzą na sanie. Kręci się tu wciąż konno.

Lela spojrzała na jeźdźca ledwo widocznego na przedzie kolumny i wyszła na pobocze, prowadząc pod rękę nową przyjaciółkę, która położyła głowę na jej ramię. Kolumna, rozciągnięta chyba na dwie wiorsty, wiła się po zlodowaciałej drodze; ludzie ledwo się wlekli, ubrani w szynele, futra lub baranice, a byli i tacy, którzy po prostu owinęli się kocami. Ale oto rozległ się wściekły skowyt – zbliżyła się do nich gromada psów. Człowiek, który trzymał smycze, zawołał:

– Co stoicie? Kto wam pozwolił wyjść z kolumny?

– Czekamy na naczelnika etapu – rzekła Lela.

– Nie wolno stać na poboczu! Jakiego naczelnika ci trzeba? Wracajcie na miejsce, szybko!

– Obywatel jest naczelnikiem psiej obstawy, a ja chcę mówić z naczelnikiem etapu – nie rezygnowała Lela.

– Ja ci pokażę naczelnika psiej obstawy! Zaraz się przekonasz! – i spuścił psa ze smyczy.

Lela krzyknęła i rzuciła się na swoje miejsce. Dwa wściekłe pyski wyrwały się z gromady, zaraz ją dopadną...

Nie wiedziała, jak się znalazła na swoim miejscu w kolumnie i kto przytrzymał psy, które mogły ją rozszarpać; jeden zdążył schwycić ją za łydkę, drugi szarpnął za kostkę... Nie czuła bólu, tylko dygotała jak w febrze.

– Tym ludziom wszystko wolno! Robić coś takiego na oczach wszystkich może tylko ten, który jest pewny bezkarności – rzekł ktoś obok. Młodej sąsiadki już nie było – Lela nie wiedziała, czy umieścili ją na saniach albo w innym miejscu w kolumnie, czy też rozszarpały ją psy. W pamięci pozostało coś znanego z dzieciństwa, jakiś koszmar... Ach tak, to przecież „Chata wuja Toma!” Przed stu laty znęcano się tak nad Murzynami, a teraz – w dwudziestym wieku – nad Rosjanami! A gdzieś w Szwajcarii Litwinów wygłasza szlachetne przemówienia przeciw okrutnemu traktowaniu mieszkańców krajów kolonialnych... Tak, Murzynów nie wolno, aleją wolno, ona jest Rosjanką!

Głowa opuszczona, ale nogi jeszcze maszerują resztką sił. Teraz nie widziała różnicy między „mogę” i „nie mogę” – miała wrażenie, że już nie jest w stanie iść, ale wciąż szła z okaleczoną nogą i mogła jeszcze długo iść.

Maszerowali do zmierzchu; zapadał zmrok, kiedy się zatrzymali przed obozem. Lela pierwszy raz ujrzała płoty wysokie niczym mury, wieże na rogach i wartowników na nich. Horyzont zamykały lasy.

Rozdział czternasty

Dziennik Elżbietki

9 listopada. Asia nadal milcząca i przygnębiona, obchodzi ją tylko widzenie z Lelą. Wczoraj, kiedy wywożono skonfiskowane meble, zachowywała się całkiem obojętnie, dopiero kiedy zaczęto przesuwać fortepian, schwyciła się za głowę, a w oczach błysnęły łzy. Objęłam ją i odprowadziłam na stronę.

– Nie martw się, mam pianino, które teraz należy do ciebie – powiedziałam.

– Pianino – to skrzynia, a fortepian ma duszę – brzmiała odpowiedź. Asia niekiedy jest bardzo oryginalna.

10 listopada. Była służąca Niny Aleksandrowny – Annuszka – to bardzo dobra kobieta: od tygodnia z własnej inicjatywy przychodzi, żeby podczas mojej nieobecności podyżurować przy Asi, uważając, że Asia przed porodem nie może zostawać sama. Wyfroterowała podłogę okropnie zabrudzoną podczas wynoszenia mebli, uprała całą wyprawkę dla dziecka. Wszystko robi szybko i sprawnie; niestety jest gadatliwa i uwielbia plotki; serdecznie wspomina Olega, ale lepiej by milczała – widzę jak Asia cierpi, kiedy to imię jest odmieniane we wszystkich przypadkach podczas głupiej gadaniny.

12 listopada. Uff! Stało się! Asia urodziła córeczkę. Poród był wcześniejszy o dziesięć dni. Dzwoniłam do szpitala – zdrowie dziecka i położnicy nie budzi obaw. Asia jednak jest tak osłabiona, że zrobiono jej transfuzję; dziewczynka – donoszona i pod wszystkimi względami normalna, ale bardzo maleńka – waży sześć funtów. Nic dziwnego! Nie mogę nie szanować uczuć, którymi kierowała się Asia, kiedy postanowiła nie usuwać ciąży, a jednocześnie irytuję się: to dziecko nieprawdopodobnie komplikuje sytuację, a radości nikomu nie daje. Poród zaczął się, kiedy byłam w pracy; uświadamiam sobie, że byłam trochę

ciekawa, jak to wygląda, chociażby na samym początku. Miałam zamiar osobiście odwiedzić Asię do szpitala Ottowskiego, ale musiała to zrobić Annuszka. Ona też wzięła do siebie Sławeczka. Na szczęście szczenięta Łady już wcześniej zostały urządzone.

13 listopada. Felczer Konoplannikow... Czyżby między nim a Lelą zaczął się romans? Jak Lela, elegancka, nawet wyrafinowana, ze swoimi wytwornymi dziwactwami i wyniosłością mogła zainteresować się tym partyjniakiem-prostaczkim? Z takiego domu... Chociaż mezalianse są teraz w modzie, niektórzy widzą w tym szczególny szyk; ludzie z sowieckiej wojskowej góry polują na panny ze Smolnego... A jednak jakoś nie potrafię połączyć w myślach Nielidowej i Konoplannikowa. To człowiek nietaktowny w najwyższym stopniu – domaga się, żeby jemu odstąpić prawo do widzenia. Asia wahała się, nie wiedziała, co robić. Los rozstrzygnął na korzyść Wiaczesława – Asia musiała wcześniej iść do szpitala. A on nie zjawił się ani wczoraj, ani dzisiaj. Jeżeli nie przyjdzie dziś wieczorem, jutro będę musiała iść na to widzenie.

14 listopada. Felczer – dureń – nie zjawił się, zabiegał, starał się załatwić, a w ostatniej chwili stchórzył... Idę dziś do Leli.

14 listopada, wieczorem. Jej twarz za kratami... Mam ją wciąż przed oczami! Zmizerniała, oczy podkrążone, zboliała twarz w aureoli złotych włosów – mogłaby pozować do portretu Marii Antoniny! Śledczy Jefimow powinien zostać zdemaskowany, ukarany, zhańbiony! Gdyby chociaż jeden człowiek, któremu się udało ujść z życiem z jego szponów, mógł opowiedzieć o nim światu!... Śledczy Jefimow – partyjniak, który bije kobiety i dziewczęta i jest odznaczany! Kiedyś w archiwum ponurego budynku wyszukane zostanie jego nazwisko, wtedy cały świat się dowie, jak władza sowiecka budowała komunizm!

15 listopada. Nie mam czasu na pisanie, muszę pracować ponad normę, a po pracy pędzę prosto do szpitala, żeby przynieść coś pożywnego dla Asi, która wreszcie zaczęła jeść. Stamtąd do Annuszki odwiedzić Sławeczka, dla niego także mam jakiś przysmak albo zabawkę. Zawsze biegnie w moje ramiona – przyniosłaś? – pyta. A buźka mu się śmieje. Zajęcia te są dla mnie

ratunkiem, bez nich umarłabym ze smutku, a tak nie mam czasu, żeby się koncentrować na swoim nieszczęściu.

16 listopada. Jestem zdumiona! Zainteresował mnie dzisiaj tytuł w naszej gazetce ściennej: „Wróg zdemaskowany”. Przeczytałam i co się okazało? Artykuł dotyczy Wiaczesława Konoplannikowa, wyrzucili go z partii, a potem „obrobili” na zebraniu. Szkoda, że nie wiedziałam! Spróbowałabym go bronić, bo u nas jak złączą człowieka niszczyć, to każdy chce się zasłużyć i chlusta pomyjami, a tchórze siedzą cicho albo potakują, żeby nie ściągnąć na siebie podejrzeń o sympatyzowanie z nim albo o dwulicowość... Jak zrozumiałam, nasza tak zwana „społeczność” zarzuca Wiaczesławowi: 1) wstawienie się za portierem; 2) wstawienie się za naszym szanowanym profesorem-neuropatologiem, którego krytykowano za antymarksistowską ideologię. To jeszcze można zrozumieć (choć nietolerancyjność i ciasnota poglądów kierownictwa jest oczywista). Ale dalsze zarzuty są zupełnie oburzające, ponieważ dotyczą prywatnego życia Konoplannikowa, wydarzeń które miały miejsce poza naszą kliniką. Zarzuca się mu, że utrzymuje kontakty z elementem obcym klasowo – z duchownymi i arystokratami; następnie, że rzekomo czynił starania, by czyjeś dzieci (nie zrozumiałam czyje) uniknęły uzdrawiającego wpływu sowieckiego domu dziecka i deprawowały się w „bagnie przesądów”; dalej zaczynają się aluzje do stosunków z Lelą. Cytuję: „Charakterystyczne, że nawet pierwszą młodzieńczą sympatią towarzysz Konoplannikow darzy była szlachcianeczkę, która we wczesnym dzieciństwie bawiła się w kotka i myszkę z synem samego wielkiego księcia Konstantego Konstantynowicza. W późniejszym okresie ta panna spuściwszy z tonu zjawiała się w naszej instytucji i ubiegała o członkostwo w związku zawodowym; jednak nasza organizacja partyjna wykazała czujność i potrafiła...” i tak dalej. Tego już naprawdę za wiele!... Jakby mnie biczem smagnięto! Natychmiast pobiegłam do izby przyjęć, żeby wyrazić Konoplannikowowi moje oburzenie, a przy okazji dowiedzieć się, dlaczego nie poszedł na widzenie z Lelą. Dotychczas nie uważałam za stosowne rozmawiać z nim na ten temat, ponieważ nie spotykałam się z nim u Asi, a o jego miłości

do Leli dowiedziałam się, kiedy Asia zaczęła z nim pertraktacje w sprawie widzenia z Lelą. Pędzę do izby przyjęć, a tam mi mówią, że Wiaczesław został zdjęty ze stanowiska i od tygodnia do pracy nie przychodzi. Co w takiej sytuacji powinnam robić? Szukać Wiaczesława, czy nie wtrącać się do tej sprawy, ponieważ mnie osobiście nic z nim nie łączy? Jego historia świadczy o tym, że kontakty z ludźmi, źle widzianymi przez władze, są niebezpieczne. Prawdopodobnie przyjaźń z Olegiem (według mnie dziwna) nie uszła Konopiannikowi płazem. Moje zachowanie się może również być źle widziane. Nie lękam się kompromitacji, ale narażać się teraz, kiedy jestem potrzebna Asi, byłoby szaleństwem! Tak! Powinnam być ostrożna ze względu na Asie. Poprę Wiaczesława, kiedy zdarzy się odpowiednia sytuacja, ale sama nie będę jej stwarzać.

17 listopada. W artykule jest takie zdanie: „Towarzysz Konoplannikow próżno bił się w piersi, powtarzając – Znajdźcie na mnie bodaj najmniejszą plamkę! – Znaleźliśmy dość wiele plam...” Biedny chłopak! Pewnie usiłował się bronić! Zdaje się, że jako całkiem młody człowiek, walczył w czasie wojny domowej i oto wdzięczność! „Nie będziemy tolerowali w swoich szeregach!” Kogo nie będziecie tolerowali, powiedzcie wspaniali szubrawcy, kogo? Człowieka, który zakochał się w uroczej dziewczynie, nie sprawdziwszy jakie ma „pochodzenie społeczne”? Człowieka, który zaprzyjaźnił się z kimś, kto został oskarżony z artykułu pięćdziesiątego ósmego? Człowieka, który odważył się zabrać publicznie głos w obronie starego uczonego zaszczutego przez was? Jego chcecie wyrzucić ze swoich szeregów? Wyrzucajcie, będzie wśród was o jednego szlachetnego człowieka mniej. Tylko tyle.

19 listopada. Coraz gorzej! Okazuje się, że Wiaczesława aresztowano! Oto dlaczego nie zjawił się u Asi. Dowiedziałam się o tym w następujący sposób: znalazłam się dzisiaj sama w mieszkaniu Asi, dokąd wpadłam, żeby wyjąć z naftaliny i zanieść do Annuszki zimowe paletko Sławeczka, kiedy zadzwoniono do drzwi, otwieram – a tu Mika Ogariow z dziewczyną w jego wieku, ciemnooka mądra buzia; przypomniałam sobie, że widziałam ją w

cerkwi na mszy żałobnej; pięknie mija przedstawił: „Mary”, ani imienia ojca, ani nazwiska, ani żadnego wyjaśnienia – siostra, kuzynka, narzeczona, nic! Oboje z plecakami, oboje w długich butach. „Przyszliśmy w następującej sprawie – oznajmia Mika – zsyłają mnie do Ufy, idę właśnie na dworzec i chciałbym prosić...” – tu nastąpiły zwykle prośby osób zsyłanych – pokwitowania z komisów i co tam jeszcze. Przynależałam, że Asia wszystko załatwi, a jeżeli sama będzie musiała wyjechać, to przekaże mnie. Spytałam, czy dziewczyna także jest zesłana. „Na razie nie, jadę z własnej woli, nie dadzą mi dowodu osobistego, postanowiłam więc wyjechać do mamy, żeby mnie nie zesłano do jakiejś innej miejscowości” – brzmiała odpowiedź. A Mika dodał: „Jej ojciec jest w obozie, matka na zesłaniu pod Orenburgiem, będziemy niedaleko siebie, a może pozwoli mi przenieść się z okolic Ufy pod Orenburg, do jej mamy”. „Jestem pewna, że pozwoli!” – zawołała dziewczyna. Oboje wyglądają wesoło, jakby się wybierali na *partie de plaisir*⁹¹. Spytałam Mikę, co zrobił z wielką biblioteką (o której słyszałam od Asi). „Nie rozstanę się z książkami – powiedział – nie sprzedam żadnej! Na razie ustawiłem regały na korytarzu, ale mam zamiar stopniowo przewieźć je tam, gdzie zamieszkać. Przeczytamy je wszystkie z Mary w zimowe wieczory, kiedy za oknami będzie szalała zamieć”. A po chwili dodał: „Nie chciałem sprawiać kłopotu Kseni Wsiewołodownie i wypisałem pokwitowania na Wiaczesława, naszego sąsiada, ale aresztowano go i musiałem przerobić upoważnienia”. Mika nie znał szczegółów poza tym, że Wiaczesław starał się o Lelę i podobno przyjaźnił się z Olegiem... Zaraz potem nieoczekiwani goście zaczęli się żegnać. Ciekawy szczegół: dziewczyna powiedziała, że wiezie dla matki Święte Dary, które są zaszyte pod stanikiem. „Mamusia tak tęskni za komunią, a tam, gdzie teraz przebywa, nie ma cerkwi”. „To ważna misja – uściślił Mika – dlatego jedziemy razem, żeby móc chronić Mary w podróży. Nie jadę etapem, mogę odprowadzić ją na miejsce”. Z tego, jak wymieniali spojrzenia i uśmiechali się do siebie, jak troskliwie Mika pomagał jej zdjąć, a następnie włożyć plecak, domyśliłam się, że są zakochani. Tylko zakochani a w

⁹¹ Partie... (fr.) – Wesoły spacer.

dotatku dziewiętnastoletni potrafią jechać na zesłanie z takimi promiennymi twarzami. Wątpię, by Mika okazywał taką troskliwość tylko z powodu Darów Świętych, ukrytych na piersi dziewczyny. W każdym razie wszystko to jest niebanalne.

20 listopada. Biedny Wiaczesław! Stał twarzą w twarz wobec ogólnej obojętności dla jego losu. Ani jeden człowiek nie pójdzie do prokuratora, żeby się dowiedzieć, z jakiego artykułu został oskarżony, nikt nie przyniesie mu paczki... Nawet ja tego nie zrobię! Bóg mi świadkiem – nie lękam się o siebie, gdyby mnie teraz zamknęli, zginie wszystko, co pozostało po Olegu – małeńka rodzina, dwoje drobnych dzieci i młoda matka nie przystosowana do dzisiejszej rzeczywistości, jak lilia do czterdziestostopniowego mrozu. Los tej rodziny leży mi na sercu.

22 listopada. Co będzie, jeżeli treść tych notatek zostanie w jakiś sposób ujawniona i oskarżą mnie o oczernianie współczesnego sowieckiego społeczeństwa i władzy? Niech więc zajrzą do archiwów i do „spraw osobowych” biur i instytucji, do gazetek ściennych z zamieszczonymi w nich „samokrytykami”, do protokołów zebrania pracowniczych – są tam rzeczy bardziej przerażające niż w archiwach GPU, przerażające nie ze względu na tortury i wyroki śmierci, lecz ze względu na brak tolerancji, szcucie, oczernianie, znęcanie się. Niechaj ujawnią te wspaniałe archiwa!

23 listopada. Dzisiaj przywiozłam ze szpitala Asie. Oby teraz GPU pozostawiło mnie w spokoju! Zesłanie Miki świadczy o tym, że sprawa Olega i Niny Aleksandrowny jeszcze nie jest skończona.

24 listopada. Ta dziewczyneczka... Po co się urodziła? Jest tak mizerna i żalosna, czerwona, pomarszczona... Rozumiem, że potencjalnie tkwi w niej uroda, arystokratyzm, talent, długie rzęsy... Ale teraz... Teraz to tylko małeńki robaczek! Nigdy nie widziałam z bliska noworodków, nie mam doświadczenia, ale wydaje mi się, że dziecko jest trochę nie donoszone albo chorowite; nawet nie płacze, tylko cichutko miauczy jak ledwo żywe kocię, a tymczasem, ile będzie nas kosztowało sił, zdrowia i pieniędzy, a to wszystko kosztem Sławeczka! Zresztą co tu mówić,

teraz już nic nie można poradzić.

25 listopada. Dziewczynka ma niespokojne usposobienie, ciągle miauczy. Dzisiaj nie dała nam spać całą noc. Nawet przy piersi zwija się jak robaczek i wymachuje piąsteczkami. Dziwne są matki – Asia traktuje ją z wyolbrzymioną czułością! Ani na chwilę nie rozstaje się z nią, tuli w ramionach, kołysze, całuje, chociaż jest tyle pracy, że przesiadywanie bez potrzeby przy łóżeczku wydaje się po prostu pozbawione sensu. Dziwna istota z Asi – zawsze troszcza się o nią ci, którzy są przy niej. Przyjmuje to jak coś należnego, a jednocześnie jest pozbawiona egoizmu, przeciwnie, to przepelniona miłością ofiara. Łagodna jak owieczka nawet wówczas, kiedy nie należy. Nie da się wyobrazić, że może być ostra lub poirytowana.

26 listopada. Dziecko znowu płakało przez całą noc. Nie bierze piersi, odwraca się i bije piąstkami. Asia wychudła i zmęczona, pod oczami sińce, niekiedy boję się o nią. Jeżeli Lela może pozować do obrazu przedstawiającego Marię Antoninę, to Asia mogłaby być modelką do Mater Dolorosa. Te dwie dziewczyny, które porównałam do rzadkich cieplarnianych kwiatów, mają twarze męczennic. Ich losy musiały się stać apoteozą szczęścia lub tragedii. Los zwykłych zjadaczek chleba plasuje się – rzecz jasna – znacznie niżej.

28 listopada. Co to może być? Dziecko zginie, jeżeli to potrwa jeszcze jakiś czas! Postanowiłyśmy pójść z nim do przychodni. Po bezsennych nocach mam bóle głowy, Asia wygląda jak cień.

29 listopada. Wszystko się wyjaśniło! Asia nie ma mleka, biedną kruszynę o mały włos nie zagłodziłyśmy. Nic dziwnego. Cały tydzień Asia nic nie jadła, a później tylko to, co w nią wmusiłam. Zaczęłyśmy kupować kobiece mleko (przy przychodni), drogo, ale nie ma innego wyjścia.

30 listopada. Dzisiaj pospiesznie ochrzciłyśmy dziewczynkę. Jestem matką chrzestną. Nie chciałyśmy tego odkładać ze względu na niepewność nawet najbliższej przyszłości.

1 grudnia. Dziecko jest spokojniejsze, lepiej sypia.

Zauważyłam dzisiaj smutny uśmiech na twarzy Asi, kiedy obserwowała, jak małeńka smakowicie mlaszczać ssie smoczek.

2 grudnia. Dzisiaj pierwszy raz kąpałyśmy Sonieczkę; nie robiłyśmy tego dotąd ze względu na pępek. Kiedy odwinęłyśmy ją, bardzo zabawnie przeciągała się, prostowała rączki i nóżki, a w wanience leżała spokojnie, tylko patrzyła swoimi ślepkami jak borówki i ssała rożek pieluszki. Pewnie za jakiś tydzień będzie wyglądała jak normalne dziecko.

Annuszka jest wzruszająca – codziennie wpada na godzinę – dwie, żeby uprać pieluszki.

3 grudnia. Nieszczęście! Zesłanie! Teraz w zimie! Dla dziecka to się równa wyrokowi śmierci. Zawiadomienie przyniesiono wczoraj wieczorem. Doba na przygotowanie się. Co robić? Do kogo iść, kogo błagać? Wyjazd jest nie do pomyślenia ze względu na dziecko, które dopiero teraz zahaczyło się drobnymi rączkami za życie... W jakimś momencie zaczęłam ze złości ciskać rzeczy. Tym razem Asia jest spokojniejsza ode mnie. Uspokaja mnie, mówi: „Uspokój się! Przecież jesteś zwykle taka rozsądna! Pojedziemy – co robić! Widocznie taki nasz los. Teraz jest mi wszystko jedno, byle dzieci były zdrowe”. A mnie nie jest wszystko jedno! Wiem, że nie można wyjeżdżać! Nie mogę puścić ich w nieznane, a jechać z nimi... Myślę o tym w dzień i w nocy, ale... To będzie katastrofa pod względem materialnym.

3 grudnia, wieczorem. Widzę już swoją przyszłość! Przeczuwałam to dawno. Próżno wmawiałam sobie, że z nimi pojedę. Jest całkiem jasne, że nie wolno mi jechać! Jestem siłą roboczą, tu mogę sporo zarobić, każdy operowany pacjent chce wynająć mnie na dyżur; zna moje nazwisko od salowych i poprzednich chorych, jestem popularna. A w nowym miejscu mogę nie mieć dodatkowych zarobków, poza tym nie wiadomo, czy będzie szpital tam, dokąd wyślą Asię. Pozostać bez zarobków, to okropna perspektywa dla nas wszystkich. Rodzina trzyma się dzięki mnie i ja powinnam zostać jak wartownik na swoim posterunku. Przeklęty los! Byłoby sto razy lepiej wyjechać z nimi. Ciemne oczka Sławeczka są podobne do oczu Olega, Asia ze

swoim niewyczerpanym zawsze nowym urokiem; maleńka – już tyle walczyłam o jej życie, no i życie w rodzinie... W końcu nowe otoczenie, nowa miejscowość. A tu? Tutaj pewnie będę przez całą dobę krzątać się w szpitalu, a jako nagroda będą na mnie czekały puste ściany mego pokoju! Więc co mam robić?

4 grudnia, rano. Całą noc przegadałyśmy z Asia, zostaję.

4 grudnia, wieczorem. Odjechali! Asia niepostrzeżenie wciągnęła do wagonu Ladę – mało jej dwojga dzieci, zabiera jeszcze psa. A Lada – jakby rozumiała – ukryła się pod ławką i nie dawała znaku życia. Zdobyłam cudem kilka puszek skondensowanego mleka, kazałam Asi rozcieńczyć wrzątkiem dla Sonieczki. Chociaż w takich warunkach nie da się jej uratować. Nie wiadomo, kiedy dostanę od nich list... Żegnając się, Asia całowała mi ręce. Przypominam to i płaczę... Seter siedzi przy mnie, położył pysk na moich kolanach.

Rozdział piętnasty

Jegor Własowicz i Annuszka zostali sami w mieszkaniu przy Mochowej, wprowadzili się tu nowi mieszkańcy, którzy otrzymali przydziały, tylko regały z książkami na korytarzu przypominały o dawnych właścicielach.

Jegor Własowicz dogorywał.

– Anna, błagam, pójdz na obiednię. Wyjmij prosfore za zdrowie frasobliwej sługi bożej Niny i podróżującego Michaiła. Nie chcę teraz herbaty, napiję się później, kiedy skosztuję prosfory. Idź już, a ja sobie poleżę. Nic mi nie trza – mówił co ranka, odwracał się i wyciągał chudą szyję, żeby zobaczyć, czy świeci się lampka oliwna. Jego szafka na obrazy, w której zgromadzono wszystkie ikony z mieszkania Ogariowów, wyglądała teraz bardzo bogato i pięknie, cieszył się tym jak dziecko.

Zrobił się chorobliwie wybuchowy, stale wybrzydzał, nawet na żonę, z którą przeżył w zgodzie trzydzieści pięć lat.

– A niech ich, tych nowych sąsiadów! Przymknij drzwi, Anno! Patrzyć nie mogę na dziwki obsmyczone i ichne krótkie spódniczki. Same tylko krzykliwe głosy mogą przyprawić o mdłości. Że też się napchało tego paskudztwa do naszego domu! – warczał.

– Zwariowałaś chyba? Sameś z panów, czy jak? – mówiła roztropnie jego połowica.

– Włościaninem jestem. Mój dziad i ojciec orali ziemię, rosyjską ziemię; a ja – wierny sługa moich państwa, nie pchałem się, gdzie mnie nie potrzebowano, jak ci tutaj, co porzucali swoje zagrody i gonią do miasta, żeby w cudzych domach szukać bogactwa. Łatwego stołecznego życia im się zachciewa, a nie wiedzą, że nie będą panami, nawet kiedy zajmą pańskie mieszkania i ustroją się w pańskie szaty. Gęby mają paskudne!

Annuszka z naganą kiwała głową.

– Myślałby kto! Takiś dziś złośliwy. Popatrz na Walkę, córkę

sąsiadów. Dziewczyna do dziesiątej klasy chodzi. – Skończę – mówi – pójdę się uczyć na inżyniera! Będę w fabryce oddziałem kierować! Czyż jest gorsza od Marusi, z którą chodzi Mika? Ty byś tylko wybrzydzał na nowe porządki, a za tym, co złe, trzeba także widzieć dobre... Za carów prosty człowiek nie miał życia, co prawda, to prawda. A teraz każdy może na ludzi wyjść, byle głowę miał na karku.

– Powiedziała, co wiedziała – „nie miał życia”. Admirał Makarow z bosmana wyszedł.

– Toż przecie jeden na dziesięciu szlachetnie urodzonych. A dziś wszyscy, jak jeden!

– A dziś wszyscy szarzy jak jeden. Szlachetnych wytępili do cna. Każda baba tylko patrzy, żeby panią zostać, a chodzi jak krowa, co to się trawy obżarła.

– Wszystko się pomaluśku ułoży – nie dawała za wygraną.

– Już to widzę jak. Gdyby nie ta zawierucha, żylibyśmy sobie w Czeriomuchach we własnym domu, syna pewnie już byśmy ożenili, ty byś wnuki niańczyła, a ja – wiadomo – przy koniach. A w domu dostatek. No ale nie ma rady, wola boska!

W tym westchnieniu zawarta była idea, która żywiła jego myśli i nękała oczekiwaniem duszę. Kiedy żona wychodziła, zwlekał się z trudem z łóżka i klękał na strzępie dywanu.

Wyliczał żyjących i umarłych – tych ostatnich było więcej! Modlił się za poległego syna, za swoich byłych panów, nie opuszczał imion Dymitra i Olega, modlił się za Ojczyznę i za Cerkiew, a dla siebie prosił o spokojną śmierć. Modlitwa za *żywych* związana była z kilkoma zaledwie postaciami – żona, Nina i Nadieżda Spirydonowna; ta ostatnia także mu była droga – jej profil rysował się w jego pamięci na tle markizy na pańskim balkonie albo na kolorowych szybach jadalni lub na szachownicy światła i cienia w alei lipowej.

– Jak tam ona sobie radzi na wsi? Czy chodzi sama do studni po jesiennym błocie? Przecie ręce ma drobne, powykręcane

przez reumatyzm, pewnie nie da rady wyciągnąć wiadra... Ale było nie było na wolności, a moja Ninuśka, biedulka, za katorżniczkę! Ani mi się to w głowie nie mieści... Żeby jej tam jaki chłop nie skrzywdził, nie daj Boże, nie zwymyślał, nie skłął... Z jej wychowaniem nie zniesie tego. Cała jest jak georginia piękna – mawiał nasz ogrodnik – a ująć się za nią nie ma kto! Weź ją – swoje dziecko – w opiekę Panie Boże, odpuść jej winę Judaszową. Zlituj się nad nią, niechaj jej chociaż trochę ulży moja modlitwa!

Wracała Annuszka, na widok klęczącego męża gniewała się, besztala go, ale niezbyt ostro, układała na łóżko, a potem dźwigała syczący samowar. Oboje woleli samowar od elektrycznego czajnika, samowar zostawiła im Nadieżda Spirydonowna, pysznił się na komodzie jak wazon, czy statuetka na szydełkowej serwecie.

Czasami przychodziła w odwiedziny przyjaciółka – praczka. Jegor Własowicz lubił jej odwiedziny, była to pobożna kobieta, która prała welony, zasłony i inne cerkiewne rzeczy, i dzięki temu znała wszystkie nowiny i objaśniała je na swój sposób.

– A patriarcha Tichon nie zrzekł się wcale swojej godności – opowiadała, nalewając herbatę do spodeczka. – Przeczytał, znaczy się, papier państwowy o tym, a kiedy jego podpisu zażądali, nakreślił na dole: przeczytałem – znaczy się – i pozostaję w służbie Bożej, patriarcha Tichon. Nowicjusz, co to w celi usługuje, i metropolita Krutycki na własne oczy widzieli.

– Miej w swej opiece, Ojczy najświętszy, patriarchę Tichona – przeżegnał się dozorca.

Niekiedy opowieści praczki dotyczyły spraw dziwnych i tajemniczych.

– Monaster zamkli, a braciszków – na zesłanie w różne strony rozpedzili. Dwaj nowicjusze do Archangielska trafili. Wysadzono ich z wagonu, znaczy się, idźcie na cztery strony świata. A dokąd mają iść? Ani jednej znajomej duszy; nawet za pieniądze nikt do domu nie wpuszcza, jako że żyją tam ludzie w ciasnocie, a do tego braciszki – tylko patrzeć – władza zacznie

się czepiać. Więc zewsząd biedaków przepędzają. Za duże pieniądze może by kto i przyjął na kwaterę, ale skąd zesłany nowicjusz weźmie pieniądze? Męczyli się dzień, przenocowali na stacji; nazajutrz znów od chałupy do chałupy, a przed wieczorem wyszli za miasto, może tam przy szosie coś się trafi. Pusto, wietrznie, zmierzcha się już, a ukryć się nie ma gdzie – chodź kładź się i umieraj. Nawet stukać do drzwi nie mają odwagi, tyle razy ich przepędzano. Nagle w jednym domu gospodyni otwiera drzwi, w pas się kłania: „Zachodźcie, ojcowie mili! Co tak późno? A ja tu czekam i czekam, oczy za wami wypatruję! Pierogów napięłam i sienniki świeżym sianem nabiłam!” Patrzą na nią braciszki: twarz przystojna, ale nieznaną. „Czemuż to, matko, na nas czekacie? Czy ktoś napisał, czy insza jakaś sprawa?” – „Nikt do mnie nie pisał, ale tej nocy śniła mi się Mateńka Boża – przyjmij moich tułaczy – tak do mnie rzecze. – Bardzo mi ich żal, przyjmij ich, a ja ci pobłogosławię. I trzeci raz jeszcze rzekła: – Przyjmij! Wchodźcie, ojcowie mili, wchodźcie. Zróbcie mi ten zaszczyt i pobłogosławcie mnie grzesznej!”

Annuszką ocierała łzy, a dozorca żegnał się zamasyście, ale nawet słuchając wzruszającej opowieści, nie mógł pozbyć się myśli, że żona i praczka, chociaż i pobożne, przeoczą jakąś ważną rzecz, nie rozumieją czegoś, co on pojął...

– Nie rozumiecie! Nie w tym rzecz, że braciszki nocleg znaleźli. Za wiarę można i pocierpieć, jak męczennicy cierpieli; tu, widzicie, sens jest w tym, że dążenie duchowe i głos Matki Bożej przemawiającej – oto w czym sedno! Czytałem w świętych księgach, że człowiek musi mieć w sobie wielką wiarę i czystość ducha, żeby się jego oczy i uszy otworzyły na świętość. Tera o tym nie mówią, jako że zakazane, a dawniej ile było ludzi szukających prawdy Bożej! Ludzi wielkiej pobożności wśród zwykłych parafian. Nie mówiąc już o mnichach – jak twierdzą duchowe trwały nasze monasteria. Pomnę w dzieciństwie, nie było dla nas chłopaków większej radości, jak sprowadzić do ojca na nocleg pątnika i posłuchać jego opowieści. Siedzisz, słuchasz, a w duszy aż coś rośnie. Mając szesnaście lat, wybierałem się do klasztoru, ale pan Bóg inaczej zrządził.

– Annuszka w głowie zawróciła – zaśmiała się praczka. – Ślubować czystość to trudna sprawa, a już szczególnie, kiedy wróg ludzkości postawi ci na drodze dziewczynę jak malowanie. Annuszka – choć pięćdziesiątka stuknęła – jeszcze jak jagódka, a za panieńskich lat pewnie oczu od niej oderwać nie było można. To ci plany pomieszało!

Annuszka uśmiechnęła się, ale stary spochmurniał.

– Ja wam o pobożności, a wy o czym? Kurzy u was, bab, rozum!... Znowuż trza wiedzieć, że ani praca, ani stan małżeński nie są dla pobożności zawadą, byle tylko były chęci. Za młodu, bywało, prowadzę wieczorami konie na pastwisko; a o tej porze w polu nagle czujesz świętość, aż omdlewasz, żegnasz się krzyżem świętym, jakbyś oszalał, pewnikiem to za sprawą świętego pańskiego Radonieżskiego, jako że ilem razy wychodził z uzda, zawszem wspominał tego świętego, bo też i on z konikami chadzał i właśnie w polu powołanie do zakonu poczuł. W tamtych czasach pomagał mi odgadnąć, w którą stronę koń poszedł – jak pies węchem znajdowałem moje koniki. Ogrodnik nasz aż się dziwował, jak to robię.

Często wracał myślą do grzechu Niny:

– Poszłabyś, Anno, do młodej Daszkowej, może się już ona dzieciątka doczekała; pieluszki byś poprała. Trza jej pomóc, grzech naszej Ninuśki bodaj troszkę zmazać. Pewnie ciąży jej ten grzech jak kamień. Myślę, że pan Bóg zmniejszyłby ten ciężar, gdybyśmy tak oboje, ty i ja, popracowali.

A kiedy pewnego dnia Annuszka wróciła z wiadomością, że Asie zesłano, stary zdenerwował się do łez, aż Annuszka żałowała, że tego nie ukryła.

– Jakże to – z dwójką drobnych dzieci nie wiadomo gdzie? Jak żyję, o czymś takim nie słyszał. Delikatna ta Daszkowa jak kwiatek. Przypomnij sobie, co to za twarz! Lilia królewska – rzekłby nasz ogrodnik. Gdzie to widziano, żeby taka królewna z biedą sobie radziła? Pomyśleć tylko: na zagładę, znaczy się, ją wysłali – mówił boleściwie. Łącząc zesłanie z losem Olega,

widocznie uważał, że i ono obciąża sumienie Niny i to pogłębiało jego rozterkę.

Cierpiał nocami. Wspominał Czeriomuchy, swoich państwa, konie, majaczyła przed oczami znajoma ścieżka od ganku czworaków ku stajni, ośnieżona o mroźnym błękitnym świcie... Z niskiego okapu zwisały lodowe sople, śnieg skrzypiał pod nogami, a do uszu dochodziło rżenie koni, które poczuły go i witały...

– Za panów było lepiej. Niech tam inni chwalą sobie nowe życie, budowy, mnie to nie kusi... Czasu jakby mniej, ani odetchnąć, ani pogwarzyć, jakeśmy gwarzyli z ogrodnikiem... Smutek i tyle!

Dławiły go ściany pokoju, chciałby odetchnąć czystym wiejskim powietrzem, zapomniał się dopiero przed świtem, a po obudzeniu powiedział:

– Nieboszczyków we śniem widział, to zły znak, Anno.

– Jakich znowu nieboszczyków?

– Pana naszego, Aleksandra Spirydonowicza, ścieżką iść raczył w swojej tołstojówce z chesuczy, z laseczką, i bródka jaśniepańska, i ręka z sygnetem. A jeszcze kobyłkę widział, moją najmilszą Antygonę, podeszła do mnie, łbem pokręciła, i jak nie zarży, jak nie skoczy! Jakby za sobą wołała.

– Aleś pleciuga, głupstwa gadasz i tyle.

– Nie, Anno! Koń dużo wie. Z nieboszczykiem, Olegiem Andriejewiczem, dużośmy o koniach gadali, rozumieliśmy się ze sobą. Dawniej ludzie byli inni; na ten przykład Oleg Andriejewicz, pan z panów, a nie gardził prostym człowiekiem, pierwszy się przywita i pogwarzy; wiadomo – wychowanie! A ta paskudna sąsiadka, ta Walka, już nosa zadziera, że niby to kształcona, a tyś – głupek!

Jak zwykle wysłał żonę na obiad, ale kiedy wróciła, zobaczyła, że mąż – jak to się mówi – jest zmieniony.

– Co ci? Choryś? Herbatki zrobię... – powiedziała.

– Nie trza. Nic mi nie trza... Słabość mnie naszła... Pomilcz, Anno... Wybacz, jeżeli czymś... I zamów w mojej intencji mszę. A Ninuškę, gołąbkę biedną, nie zapominaj... Pomóż jej, czym będziesz mogła... I tamtej drugiej pomóż, słyszysz, Anno?

– Komu to mam pomóc? Nie zrozumiałam... – szepnęła Anna; pochylając się nad mężem, ocierała chustką oczy.

Jegor Własowicz nie odpowiedział.

Rozdział szesnasty

Po powrocie do domu z nocnego dyżuru Elżbietka otworzyła drzwi i była mile zaskoczona widokiem żywej istoty, która ją spotkała.

– Zapomniałam o tobie, Markizie! Chodźmy, biedaku, na spacer!

Poprzedniego dnia Elżbietka była świadkiem sceny, która zapadła jej w pamięć. Podczas świątecznego obiadu u Julii Iwanowny, jej zięć – od niedawna w rodzinie – młody pracownik naukowy stojąc wznosił toast za towarzysza Stalina. Wszyscy wstali z pełnymi kielichami, ostatnia podniosła się pani domu, Julia Iwanowna, twarz miała nieruchomą, oczy spuszczone. We własnej rodzinie, we własnym domu nie odważyła się na protest i musiała połknąć gorzką pigułkę zaserwowaną przez nowego krewniaka! Milczenie, z jakim przyjęto toast, rzuciło cień na obecnych, a o proteście nie mogło nawet być mowy!

Współczucie dla Julii Iwanowny, która wbrew poczuciu godności własnej musiała tolerować wyskok zięcia, odsunęło na dalszy plan stały niepokój o Asie, ale i w tym współczuciu była dobrze znana gorycz, stale nurtująca i drażniąca Elżbietkę.

Po powrocie ze spaceru z psem Elżbietka w ubraniu rzuciła się na sofę, czuła osłabienie w całym ciele. Miała wrażenie, że się dopiero zdrzemnęła, kiedy budzik oznajmił, że czas szykować śniadanie i iść do kliniki. Miała dreszcze, kiedy zmierzyła temperaturę, okazało się, że ma trzydzieści osiem i trzy.

Zadzwoiła do pracy, a następnie do przychodni, i znowu się położyła. Podle być samej! Nawet podać szklanki herbaty i skoczyć po pieczywo nie ma kto! Asia, rzecz jasna, zatroszczyłaby się o nią, a teraz nie ma nikogo!... Smutno!

Godzinę później obudziło ją stukanie do drzwi, Anastazja Aleksiejewna zbliżyła się cicho, jak pantera.

– Chorutka, kochaneńka? Byłam u pani na chirurgii, powiedzieli, że nie ma, zachorowała, więc prędko tutaj. Może

bańki postawić, albo kompres położyć czy pójść po lekarstwo. Niech pani powie, co trzeba, zaraz łóżko pościelę, po co leżeć na sofie?

Elżbietka dziękowała, ale w końcu poddała się.

Anastazja Aleksiejewna przydała się rzeczywiście. Zrobiła herbaty, otworzyła lekarzowi drzwi, wykupiła receptę, wyprowadziła psa, zaproponowała nawet, że zostanie na noc.

Wieczorem temperatura nieco spadła.

– Ze mną zawsze tak! Nawet pochorować trochę, żeby odpocząć, nie mogę – poskarżyła się Elżbietka.

Anastazja Aleksiejewna zabroniła jej wstawać i chętnie gospodarzyła w kuchni; na kolację podała kisiel i ciasto własnej roboty. Sprawnie – jak doświadczona pielęgniarka – owinęła Elżbietce gardło i nawet nakarmiła ją łyżką.

– Chciałam panią spytać, kochaniutka – powiedziała przymilnie, zmywając filiżanki – ten były porucznik, Daszkow, przecież on w waszej klinice był sanitariuszem, czy znowu coś poplątałam?

Elżbietka nadstawiła czujnie uszu, ale zaraz pomyślała ze smutkiem, że już nie trzeba nic ukrywać.

– Tak – powiedziała krótko.

– A więc przeżył? Nie rozstrzelano go wtedy?

– Nie rozstrzelano.

– Pewnie to pani załatwiła mu pracę?

– Myli się pani. To nie ja, lecz felczer, Konoplannikow.

– Ach tak! Wychodzi na to, że pani z początku nie wiedziała, iż on pracuje w klinice?

Elżbietka uniosła się na poduszce.

– Nie wiedziałam początkowo, ale skąd pani wie?

– Przecież przed rokiem leżałam w waszej klinice na

psychiatrii. Zapomniała pani? No a ten Daszków przyszedł kiedyś z noszami do naszej sali. Zaraz go poznałam, nawet zawołałam, ale on nie chciał, żebym go poznała, nazywał się inaczej.

Elżbietka zachmurzyła się, przeszła ją nagła myśl: czy to nie tutaj należy szukać wyjaśnienia tego, co się zdarzyło? Wiele razy zastanawiała się nad tym, w jaki sposób poznano nazwisko Olega.

– Pewnie pani opowiadała o tym małżonkowi? – spytała z nutką obrzydzenia w głosie.

– Nie, Elżbieto Georgiewno, przysięgam, że nic nie mówiłam.

– Pani kłamie! Daszkowa aresztowano wiosną za to, że ukrywał się pod obcym nazwiskiem. Pani, rzecz jasna, nie doniosła! Pani tylko pogawędziła sobie z mężem i oto skutki – Daszkowa rozstrzelano przed dwoma miesiącami.

Anastazja Aleksiejewna upuściła ściereczkę i usiadła.

– Co pani mówi? Po co mnie pani do tego wciąga? Zmiłuj się, panie Boże!

– Mówię to, co się zdarzyło! – Elżbietka zagryzła wargi, ale po chwili nie zdołała zapanować nad sobą i zawołała: – Proszę stąd wyjść! Natychmiast!

– Elżbieto Georgiewno, kochaniutka, nie zostawię pani samej. Pani jest chora. Na Boga, proszę się uspokoić!

– Nie jestem chora. Wstanę jutro. Choćbym nawet miała tyfus, nie chcę pomocy od pani!

– Mówię jak na spowiedzi świętej, Elżbieto Georgiewno, nic mężowi nie mówiłam o poruczniku! Dość już mam tych bladych twarzy, niesłyszalnych kroków... Na Boga, dość!

– Co za bzdury! – zirytowała się Elżbietka. – Daszków nie przyjdzie, żeby panią udusić, może pani być spokojna! Gdyby danym było wrócić na ziemię, z pewnością nie do pani by przyszedł. Ale martwi odchodzą bardzo daleko, dzieli ich od nas otchłań.

– No i zdenerwowała się pani. Lepiej by pani sobie pospała, kochaniutka. Zaraz zasłonię lampę i położę się na sofie. Niech mnie pani nie wyrzuca, słoneczko moje! Tym razem nie zawiniłam. U nas w mieszkaniu wszyscy śpią. Po takiej rozmowie iść ciemnymi schodami, otwierać kluczem drzwi do ciemnego przedpokoju, iść do łóżka... Nie rozumie pani, jak się czuję, kiedy się oglądam, czy za mną nikt nie stoi... Wiem, że nadejdzie dzień, kiedy ujrzę kogoś strasznego i przypomnę wyplutą komunię i inne sprawy... Uważa mnie pani za głupią, aleja się boję...

– To ciężki przypadek hysterii, niech pani zrozumie, przecież jest pani pielęgniarką – powiedziała Elżbietka i pomyślała: „Mam jak zwykle pecha. Gdybym zachorowała kilka dni wcześniej, byłaby przy mnie Asia, a nie ta wariatka”. – Dobrze, niech pani zostanie. Proszę mi podać płyn do płukania gardła, skoro już tak.

Anastazja Aleksiejewna spojrzała niepewnie na drzwi, potem na Elżbietkę.

– Jest w kuchni... Mój Boże! – opanowała się jednak i poszła. Bała się wyjść na korytarz.

Rano Elżbietka kazała jej iść do domu, nawet wypchnęła za drzwi, zapewniając, że się czuje całkiem dobrze.

Dzień później była już w stanie pójść do lekarza, a nazajutrz wróciła do pracy. Kiedy wychodziła z kliniki, opanował ją smutek na myśl o tym, że cały następny dzień spędzi sama... Pomyślała o Anastazji Aleksiejewnie: „Byłam zbyt ostra. Tak się o mnie troszczyła, a ja... Może wpaść do niej. To niedaleko, przejdę się, zaniosę bułkę, trochę kielbasy, napiję się z nią herbaty. Tak się zawsze cieszy, kiedy przychodzę!”

Na schodach zauważyła, że drzwi do mieszkania są otwarte. W przedpokoju stały dwie sąsiadki.

– Pół godziny temu zabrali ją. Krzyczała, pobiła się nawet z sanitariuszami, ale to nie pierwszozna. Zaraz ją związali – opowiadała jedna. Odwróciły się do Elżbietki, kiedy zastukała do drzwi Anastazji Aleksiejewny.

– Do kogo to? – spytała jedna z kobiet, w tej chwili drzwi otworzyły się i Elżbietka ujrzała Złobina.

– Proszę wejść, siostró Muromcewa. Czy wie pani, co się wydarzyło? Żonę dopiero co zabrano do szpitala psychiatrycznego.

Elżbietka drgnęła.

– Jak to? Co się stało?

– Proszę wejść. Zaraz wszystko opowiem, proszę usiąść. Elżbietka usiadła na brzeżku krzesła, nie zdejmując palta.

– Słucham – powiedziała oschle.

– Widzi pani, stan Nasti pogarszał się z dnia na dzień. Pani przecież wie, że chorowała na depresyjną psychozę z natręctwem, a nawet z halucynacjami. Najpierw pod wrażeniem represji, które miały miejsce w Teodozji, widziała białych oficerów.

„Przy pańskim życzliwym udziale!” – o mało nie powiedziała Elżbietka.

– Później zapewniała mnie, że ją atakują moce piekielne – ciągnął. – Utrapienie z tą kobietą! A to z mieszkania ucieka, zapewniając, że w kufrze ukrywa się fioletowy starzec, albo pod stołem nadyma się żaba. Albo w pracy w którymś z chorych rozpoznaje nagle nieboszczyka i przy wszystkich za głowę się łapie, przez to nigdzie miejsca nie zagrzała, zewsząd ją zwalniano. Kiedyś w obecności mego kolegi lekarza wpadła do pokoju, jęła się żegnać i klepać pacierz... Skompromitowała mnie, można powiedzieć!

– Wiem o tym, słyszałam. Pan nawet uznał za wskazane wprowadzić się od niej – powiedziała Elżbietka.

– Tak właśnie, ale chciałbym wiedzieć, kto na moim miejscu tolerowałby taką żonę? W każdym razie cały czas opiekowałem się nią. Sądzę, że mówiła o tym pani?

– Tak. I co dalej? – wciąż oschle dopytywała się Elżbietka.

– W ostatnim czasie jej stan pogorszył się gwałtownie.

Postanowiła przystąpić do komunii po ogólnej spowiedzi, jak to teraz jest praktykowane. Ale kiedy się zbliżyła do Kielicha, zaczęły się u niej nerwowe drgawki, ksiądz – łajdak! – odmówił komunii, zażądał, żeby przysłała do niego na indywidualną spowiedź, jeszcze go pociągnę do odpowiedzialności! Bała się iść do spowiedzi, denerwowała się bardzo. A tu na dodatek, wstrząs: dowiedziała się od kogoś o rozstrzelaniu porucznika Daszkowa, pamięta go pani? Oczywiście nie wolno było mówić jej o takich rzeczach, ale czy można się ustrzec przed „dobrymi znajomymi”? Widziała kiedyś tego porucznika, dotychczas nie wiem, rzeczywiście, czy to także była halucynacja. Teraz się przestraszyła, że przyjdzie do niej, żeby się z nią policzyć. Robiła mi wyrzuty, że to niby ja na podstawie jej słów wydałem do zarządu politycznego porucznika, który pracował gdzieś pod obcym nazwiskiem jako sanitariusz. A ja tymczasem nie rozmawiałem z żoną o tym poruczniku z rok albo i dwa i nigdy nie słyszałem o sanitariuszu noszącym obce nazwisko. Widocznie Nasti rzeczywiście pomieszało się w głowie. Panicznie bała się ciemności, błagała mnie na wszystkie świętości, żebym nie zostawiał jej samej wieczorami. Kilkakrotnie chodziłem do niej po pracy i nocowałem. Grałem w karty, nastawiałem patefon. To wszystko pomagało – póki tam byłem. Wczoraj zaczęła szaleć. Siedzieliśmy z nią przy kartach, a tu wpadł przyjaciel – śledczy polityczny – nie widzieliśmy się ze dwa lata. Chciał spędzić ze mną wieczór i opowiedzieć o sprawie, którą dopiero co prowadził i która mogła mnie zainteresować. Prosiłem, żeby w obecności żony o sprawie nie mówił i posadziłem do kart. Zdażył tylko wspomnieć, że udało mu się wykryć ważnego białogwardzistę. Więc gramy sobie spokojniutko w kierki, śmiejemy się, nagle żona zaczyna dygotać. „Zbliżył się szatan – mówi – siarka śmierdzi, a po kanapie szary kłębek się toczy”. Spojrzałem na kanapę – oczywiście nie ma nic, ale i ja poczułem się podle, myślę sobie, że zaraz moja żoneczka zrobi jakiś numerek. A ona do mnie: „Twój przyjaciel zmienił się na twarzy, co się z nim dzieje? Patrę – on, a za chwilę ktoś inny, jakby ktoś wchodził do jego twarzy i zaraz wychodził... Patrz, cień za jego krzesłem...” Wolałbym się pod ziemię zapaść, przeprosiłem gościa.

A on, jak to człowiek wychowany, mówi: „Nic się nie stało! Zdarza się... Czego się spodziewać po chorym człowieku!” A żona jak nie wrzaśnie: „Szatan! Ratunku! Szatana tu przyprowadził! Rękę z pazurami wyciąga! Ratunku!” Przyjaciel wstał, żeby wyjść, a ja przy pomocy sąsiadek jakoś przytrzymałem żonę i wezwałem pogotowie. Przyjechali, powiedzieli, że zabiorą do szpitala psychiatrycznego. Sąsiadki słyszały. Jak pani widzi, nie zawiniłem.

Wyraźnie usprawiedliwiał się. Elżbietka milczała przygnębiona. „Chyba ja jestem winna!” – pomyślała i spytała:

– Może to minie? Jak pan myśli?

– Myślę, że nie! Jeszcze poprzednim razem psychiatra mówił, że ta postać choroby jest szczególnie uporczywa, nie poddaje się leczeniu. Na tej podstawie uzyskałem wtedy rozwód, a nie zostawiłem Nasti bez przyczyny. Myślę, że się pani ze mną zgodzi, że pozostawienie Nasti na wolności jest niebezpieczne, mogłaby coś sobie zrobić, albo w mieszkaniu...

– To prawda – Elżbietka podniosła się, żeby wyjść.

– Może się spotkamy, Elżbieto Georgiewno, spędzimy razem wieczór? Wybierzemy się do kina, albo do teatru? Teraz oboje jesteśmy samotni... Przecież jeszcze w szpitalu na Krymie podziwiałem panią, ale żonaty mężczyzna nie miał szans u panny według ówczesnych zwyczajów... Teraz, gdyby się pani zgodziła...

Elżbietka zdumiona zatrzymała się w progu.

– Czy to oświadczyny, doktorze Złobin?

– Powiedzmy.

Coś drgnęło w piersi Elżbietki, ścisnęła się krtąń... Pierwsze w życiu oświadczyny, ale od kogo!...

– Oto co panu powiem, doktorze Złobin: jestem samotna, najlepsze lata mam za sobą, ale moje wymagania w stosunku do człowieka, który mógłby zostać moim mężem, nie są mniejsze z tego powodu. Przede wszystkim muszę go głęboko szanować, jego

życiorys musi być bez zarzutu, a pański życiorys... Rozumie pan?
– z tymi słowami wyszła.

Rozdział siedemnasty

Ten pies cierpiał jak człowiek. Oddalił się teraz trochę, stał z podwiniętym ogonem i łagodnymi ciemnymi oczami patrzył na Asię. Wszystkie jego uczucia koncentrowały się na niej. Oczy, głos i ręce pani były stałym źródłem radości. Dniem i nocą nurtowała go trwoga, że zostanie od niej oddzielony. Przywiązanie sięgało pierwszych dni, kiedy maleńka puszysta psina ssła palec Asi, owinięty szmatką przesyconą mlekiem, i rozgrzewała się w łóżku Asi. Być może uważała ją za swoją matkę, tak czy inaczej bez Asi nie było w psim sercu ani szczęścia, ani spokoju! Oto pani wyszła, a Lada nie wie dokąd... Kiedy pani bierze siatkę czy koszyk, to znaczy, że wróci niedługo i przyniesie coś smacznego, Lada także dostanie; tym razem jednak pani poszła bez siatki i kosza – czy wróci – nie wiadomo. Lada wstaje z siennika, idzie do przedpokoju, kładzie się pod drzwiami i zawsze skamle radośnie i drapie drzwi jakieś dziesięć minut przed tym, nim Asia wejdzie do bramy. Wszyscy głowili się nad tym, co było dla psa sygnałem o zbliżaniu się Asi. Rano Lada na przywitanie lizała rękę Asi. Czasem Asia naumyślnie nie ruszała się i spod rzęs obserwowała przy swojej twarzy pysk Łady, która uważnie wpatrywała się w nią; widząc, że pani śpi, Lada odchodziła, uważając by pazury nie stukały po podłodze.

Wieczór. W mieszkaniu prawie wszyscy śpią, tylko młoda gospodyni pierze dziecinną bieliznę; niepokój nie pozwala psu usnąć. Kończąc pracę około dwunastej, Asia stale widziała, jak Lada obserwuje ją niespokojnie. Lada nie mogła znieść, kiedy drzwi oddzielały ją od pani, zwykle skamlała pod drzwiami w szczególnie złośliwy sposób; Asia nazywała to „koloraturą”, a Lada знаła to słowo. Kiedy Asia zamykała się w łazience, jej miejsce pobytu zdradzała obecność Łady pod drzwiami. Lada rozumiała rozmowy – to nieprawdopodobne, ale tak było rzeczywiście. Kilka razy zaskakiwała trafnością reakcji. Niekiedy rozumiała długie i powikłane zdania. Kiedyś madame powiedziała: „Oburzające, że pies nie wypił mleka, teraz ono skwaśnieje”. Lada spojrzała na nią pytająco, zbliżyła się do miski i wypila mleko. Kiedy wieczorem

Asia mówiła do Olega, żeby nazajutrz zabrał ją na narty, Lada siadała rano przy jej nartach i nie chciała stamtąd odejść. Żeby nie denerwować Łady używano w niektórych przypadkach języka francuskiego. Jedyne raz w życiu przyłapano Ladę na kradzieży: zjadła osiem kotletów, które zostawiono na talerzu. To był nie lada wyczyn: Lada weszła na krzesło i zjadła kotlety nie poruszywszy talerza. Madame ze zdziwieniem patrzyła na pusty talerz, kiedy nagle jej wzrok spotkał się z oczyma Łady, która zdradziła się sama, widocznie trapiąca wyrzutami sumienia: rzuciła się do madame, ujęła zębami brzeg jej sukienki i siedząc na tylnych łapach, przednimi jeła przebierać po podłodze, co było wyrazem przeprosin. Nie ukarano jej, ale Lada bez kary wyciągnęła wnioski ze swego czynu. Nigdy więcej nie kradła, chociaż mięso leżało w zasięgu jej pyska. Podobnie przeproszała, kiedy szczenięta rozpełzały się po pokoju i pozostawiały na parkiecie kałuże, co także było poważnym naruszeniem dobrych psich obyczajów. Lada rozumiała ludzkie łzy; kiedy widziała płaczącą Asię albo Lełę, wspinała się na ich kolana i usiłowała polizać twarz.

W ostatnich czasach w życiu Łady zjawily się zagrożenia; znikali ludzie z otoczenia jej pani, rodzina malała... To było ciężkim przeżyciem, ale na razie pozostawała Asia. Teraz Lada starała się nie odstępować jej na krok i ze szczególnym niepokojem czekała na powrót z miasta.

Na dworcu Lada natychmiast domyśliła się, że mogą jej nie wpuścić do wagonu; skulona przemknęła się do środka, ukryła pod ławką i nie dawała znaku życia. Znalaziono ją jednak, źli ludzie z okrutnymi głosami wyciągnęli psa za obrozę, wyrzucili na tory i nawet cisnęli w niego kamieniem. Pani w rozpacz chwytała ich za ręce, płakała, ale na nic. Pociąg miał zaraz ruszyć, a straszni ludzie nie pozwalali Ładzie zbliżyć się, grozili kijami. Pani stała w drzwiach, zapłakanymi oczami patrzyła na psa... Spotkały się spojrzenia psa i człowieka i doskonale się rozumiały.

„Nie miej żalu za to, że ciebie zostawiam! Nie mogę ciebie zabrać – sama widzisz. Kocham ciebie, jest mi ciebie żal, wiem, że zginiesz beze mnie, mój biedny, dobry piesku! Nie zobaczymy się

więcej!”

„Jestem twoją wierną Lada – mówiło spojrzenie psa – dziękuję ci za wielką, ludzką miłość! Dziękuję ci za to, że zlitowałaś się nad moimi nierasowymi szczeniętami. Bez ciebie nie będzie dla mnie życia. Żegnaj. Obyś ty się uchowała!”

Pociąg ruszył.

– Co też pani, czy warto tak rozpaczać z powodu psa! – tłumaczono Asi. – Po śmierci męża i rodziców płakać z powodu psa!

– Ten pies kocha mnie jak człowiek. Nie przeżyje rozłąki. Nie umie zdobywać sobie pożywienia! – powtarzała zrozpaczona Asia.

Pociąg przyspieszył. Mała stacyjka i pies na pustym peronie pozostały gdzieś daleko...

Ludzi wyladowano na głuchej stacji i popędzono do obozu rozdzielczego. Popędzono wszystkich razem, więźniów i tych, którzy jechali na osiedlenie. W obozie rozdzielczym wszystko było z drewna – długie baraki, chodniki, wysokie płoty z wieżami na rogach, ustępy... Nie było za to ani jednego drzewa czy krzewu. Wydawano zupę i chleb, po które należało zgłosić się osobiście, na małych murowanych piecykach pod gołym niebem pozwalano zagotować wodę, piec ziemniaki i gotować kaszę, o ile ktoś miał własne zapasy. Wokół panował brud, w barakach mrowiło się od insektów, chociaż wszystko przesiąknięte było odorem środków dezynfekcyjnych.

Asia całymi dniami siedziała w swoim kącie na pryczy, otulona waciakiem i pledem i kołysała Sonieczkę. Musiała się przełamać, żeby przejść przez barak i drewnianym chodnikiem dojść do piecyka – to wydawało się jej wielkim wysiłkiem, wymagającym ogromnej energii, której nie miała. Uważała też, że córeczce nie grozi śmierć, dopóki tuli ją w ramionach, nie mogła przewyciężyć tego zabobonnego przeświadczenia. Bała się wypuścić Sonię z ramion, bała się nawet modlić za nią – bo a nuż zdarzy się coś na opak!

Czasami budziła się w niej – jak westchnienie – prośba: „Zlituj się, ratuj!” – i gasła. Nieruchome trwanie w kącie na pryczy z dzieckiem w ramionach wydawało się teraz najmniej uciążliwe, zanurzała się w tym stanie, kiedy tylko mogła.

Sławeczek – przeciwnie, cały czas był w ruchu, zaglądał do wszystkich zakamarków w baraku i wszędzie był serdecznie witany.

– Chodź do mnie, Sławeczku! Zobacz, co tu mam – wołała szczupła kobieta w okularach, pracownik naukowy, włączona do sprawy kijowskich akademików.

– A, to nasz wczorajszy znajomy! Siadaj, siadaj, pogwarzymy – witał chłopca siedemdziesięcioletni ułan Najjaśniejszej Pani, w przeszłości mężczyzna wyjątkowej urody, który wojskową postawą przypominał Asi Olega.

Asia ciągle pytała sąsiadów:

– Nie wiedzą państwo, gdzie się znowu podziewa mój mały?

– Zdaje się, że go zabrał staruszek nadwołżański – brzmiała odpowiedź.

– Nie, jest tutaj, dostał pierniczka – odzywała się ze swego kąta generałowa Panowa.

Mleko czy kisiel zdobywały dla Sławeczka wszystkie panie w baraku. Wszystkie zapasy skondensowanego mleka czy mleka w proszku były do dyspozycji Asi; ciągle któraś z pań wtykała pieniądze dyżurnemu wartownikowi (tak w obozie nazywano strażników) z prośbą o kupienie mleka dla dziecka. Bez wagi trudno było ocenić, czy maleńka istotka rozwija się prawidłowo, ale jej twarzyczka zaokrąglala się stopniowo.

Asia wciąż milczała. Chociaż otoczono ją troską, czuła, że rozmowa, a tym bardziej zwierzenia, są dla niej udręką.

Dziwne: teraz często wspominała dzieciństwo, natomiast życie z Olegiem odsunęło się w przeszłość... Słoneczny pokój dziecienny, białe łóżeczko, zabawki, troskliwe twarze, kołysanki,

pluszowy miś... Wspominała poranki w dzieciennym pokoju, budziła się wtedy z uczuciem błogiej lekkości; w porannej ciszy czuła szczególną przejrzystość, zda się każdy sprzęt przykrywała świetlista przesłona, którą o tej porze potrafiła dostrzec – jakby nagle posiadała umiejętność widzenia tego, co jest niewidoczne! Może pod wpływem białych hiacyntów, które w tamtych czasach zawsze stały na pulpicie okiennym w dzieciennym pokoju. Jakże kochała te stany – leżała w łóżeczku nieruchomo, żeby nie spłoszyć uroku chwili, i pragnęła, by jeszcze trwała, by nikt nie przyszedł jej budzić. To przeminęło na zawsze. Taką wielką promienną radość po raz ostatni przeżyła po urodzeniu Sławeczka.

Słyszała kiedyś, jak w rozmowie z generałową Panową ułan nazwał ją złamanym kwiatem.

Obóz – jak się rzekło – był z drewna.

– Ani odrobiny ziemi. Gawron – i ten robaczka nie znajdzie – mawiał wujek Wania – dziadek znad Wołgi, który trafił do obozu za to, że kolchozowy ustrój nazwał zgubnym.

Drewniany obóz... Smutek nie do zniesienia! Asia przypomniała sobie kiedyś lament jednej z żon z bajki o Sinobrodym: „Spójrz z wysokiej wieży, czy się aby nie kurzy w polu, czy nie galopują braciszki moi, żeby mnie ratować!” – „Nie, nie widać nikogo, tylko stado baranów ciągnie przez pole...”

Nie ma dla nich zbawienia! W piersi ból, jakby sworzeń ze stwardniałych łez!

Gdybyż mama czy madame mogły sobie wyobrazić, że Asie i jej dzieci będą gryzły wszy, że Asia będzie się czołchać plecami o brudną ścianę baraku! Podobno dzieciństwo wspomina się przed bliską śmiercią.

Przy piecykach zawsze tłoczyli się ludzie, tam też przekazywano sobie informacje, nie dające się sprawdzić. W ten sposób rozeszła się wkrótce wiadomość, że do obozu nadeszło zapotrzebowanie z pobliskich budów na więźniów z odpowiednimi

kwalifikacjami, podobno najbardziej poszukiwani byli inżynierowie, ślusarze i lekarze. Niedługo potem zaczęto przepytywać więźniów o zawód i wykształcenie. Asia słyszała, że niekiedy zesłanie jest gorsze od obozu, ponieważ w obozie dają zupę, kawałek chleba, jest dach nad głową, są towarzysze niedoli, a na zesłaniu człowiek może liczyć tylko na siebie i często może się znaleźć w szczególnie niekorzystnych warunkach. Miała inne zdanie, spodziewała się, że trafi do jakiejś wsi pod lasem, dzieci będą miały mleko, a wokół będzie zieleń i dobre powietrze; wydawało się jej, że najdotkliwsza nędza jest lepsza od obozowych baraków i pracy pod okiem konwojentów, ich kroki, głosy i postacie budziły w niej lęk.

Kilka dni później dużą grupę więźniów – głównie mężczyzn – wysłano gdzieś ciężarówkami. Nazajutrz wysłano pieszo drugą grupę. Mówiono, że poszli na stację. Pozostali „najnikczemniejsi” – jak żartowała generałowa Panowa – czyli ludzie bez zawodu.

Parę dni później rozległ się rozkaz:

– Do wyjazdu! Pakować się, szybko!

W półpustych barakach jęły się poruszać stare, chore kobiety, wywiezione za męzowskie pochodzenie lub stanowiska, które rozmawiały między sobą nienaganną francuszczyzną.

– Szybko, babusy, szybko! W barakach będzie dezynfekcja! Pospieszcie się, białugwardyjskie szmaty! – dowcipkował młody konwojent, idąc między pryzami. – Zapakowałaś już swoje bachory? Znowu mleka? Może bym i przyniósł, aleś mało pojętna – kazałaś zapracowanemu człowiekowi godzinę sterczeć przy bramie. Poproś Fied'kę, on ma lepsze serce.

Asia z płonącymi policzkami przewijała Sonieczkę.

– Niech się pani, dziecinko, nie denerwuje! Czego się można po nim spodziewać! Lepiej nie odpowiadać! – szepnęła Panowa, wciągając Sławeczkowi rajtuzy. – Dojedziemy bez mleka, niedaleko. Ignatij Nikołajewicz słyszał, jak szofer mówił, że nie potrzebuje zapasowej benzyny.

Po dwóch godzinach dowieziono ich do małego miasteczka.

Kiedy ludzie stali przy samochodach w podwórzu przed długim gmachem miejscowego GPU, jeden z szefów w papasze i z dystynkcjami wyszedł na ganek.

– Aha! To ESN? Ilu ich jest?

Przeliczono, wywołując po nazwiskach i przekazano za pokwitowaniem, ciężarówka z kilkoma funkcjonariuszami GPU odjechała.

– Obywatelu naczelniku, pozwólcie zapytać – zwrócił się do mężczyzny w papasze stary ułan. – Co znaczy ESN?

– Element Społecznie Niebezpieczny. Czy wy, obywatelu, nie wiecie, kim jesteście?

– Nie powiadomiono mnie o zmianie moich kwalifikacji. W obozie sołowieckim zaliczony byłem do KUE, czyli Kompanii Ujemnego Elementu – odpowiedział ułan.

– Milczeć! – krzyknął mężczyzna w papasze, dopatrzwszy się kpiny w brzmieniu spokojnego głosu.

Mężczyzn odprowadzono do budynku, a kobiety, po powtórnym sprawdzeniu nazwisk, zwolniono, zobowiązawszy do meldowania się dwa razy w miesiącu. Otwarto bramę i kobieca część ESN znalazła się na ulicy. Z ołowianego nieba padały płatki śniegu. Rzeczy pozwolono zostawić na kilka dni. Uważano, że w ciągu tego czasu zesłane znajdą sobie kwatery.

– *Mais que faire? Oh, mon Dieu!*⁹² – wybąkała wychowanka Smolnego, siwa pani, którą nazywano Cesarzową, ponieważ co pięć minut wracała do wspomnień i zawsze zaczynała swą opowieść od zwrotu: „Kiedy nieboszczka cesarzowa raczyła odwiedzić Instytut...”

– Nie szkodzi, nie szkodzi, nie należy poddawać się rozpacz! Gorzej nie będzie! – mruzczała optymistka Panowa, uważała ona za swój obowiązek podtrzymanie na duchu małego oddziału, jak to

⁹² Maisque... (fr.) – I cóż tu robić? Mój Boże!

robił niegdyś jej małżonek.

– Obywatelko! Obywatelko! – zagdakała miejscowa kobiecinka, maleńka staruszka, która zatrzymała się przed bramą GPU z dwoma wiadrami na nosidłach, by obserwować wymarsz ESN. – To wy, obywatelko, podburzacie chłopów? Widać, żeście z panów, a panowie – jak opowiadał mój syn, partyjniak, namawiają do sabotażu i zatruwają studnie.

– Tak, tak, a jakże, we wszystkim jestem winna – odpowiedziała Panowa, z trudem przestawiając obrzmiałe nogi. – Halo, Sofio Olegowno! Najgorsze mamy za sobą – i złapawszy pod brzuch chudego jak szkielet kota, który przebiegł jej drogę, przyłączyła się do gromady ESN.

Rozdział osiemnasty

Nadieżda Spiridonowna urządziła się wreszcie jako tako: za przysłane przez Mikę pieniądze ze sprzedaży drzeworytów wstawiła do pokoju piecyk, a za karakuły – dodatkowe ramy w oknach. Kupiła też drewno na opał.

Kot Timur cieszył się dobrym zdrowiem i był bardzo rad z piecyka. Pluskiew i karaluchów nie było (w przeciwieństwie do poprzedniego domu, z którego uciekli), mężczyzn – na szczęście – także! Gospodyni trafiła się cicha, uczciwa i czysta; myła podłogę co sobotę, każdego ranka przynosiła mleko. Zapas kartofli i nafty wystarczy na całą zimę. Długie wianki pięknych borowików zebranych w pobliskim lesie wisiały przy piecu, a obok wianki cebuli; pozostała jeszcze spora sumka oszczędności. Więc nadejście zimy niezbyt przerażało Nadieżdę Spiridonownę. Stara kobieta zaczęła wierzyć, że to koniec poniewierki... A tu nagle – niespodziewana komplikacja!

Tego pechowego dnia wyszła po chleb do piekarni, równo na godzinę przed obiadem. W przysiółku Zarzecznym na krzyżówce, na stercie tarcic siedziały jakieś kobiety z tobołami. Jedna z nich, młodziuteńka, podniosła właśnie głowę...

„Jaka uduchowiona twarz! Kogo mi przypomina?” – zastanawiała się Nadieżda Spiridonowna odwracając się, by jeszcze raz spojrzeć na jasne czoło, długie ciemne rzęsy i granatowoszare oczy, zda się podbarwiające delikatne powieki. Mój Boże! Ależ to żona Olega Daszkowa, porucznika lejbgwardii Jego Cesarskiej Mości z pułku kawalerzystów! Jakże się zmieniła!...”

W pierwszej chwili Nadieżda Spiridonowna ucieszyła się ze spotkania. Przyszło jej do głowy, że może Nina przysłała tu Asie z pieniędzmi, masłem i cukrem, toteż gdy młoda kobieta do niej podbiegła, objęła ją i pocałowała niemal z czułością. Ale okazało się, że jest wręcz odwrotnie, niż się spodziewała: pomocy udzielić musi ona, Nadieżda Spiridonowna, odmówić zaś niepodobna – panie są w rozpaczliwej sytuacji, a wszystkie wywodzą się z jej

sfery: nazwiska, wtrącane do rozmowy francuskie zdania, wzmianki o Cesarzowej nie budziły wątpliwości! Gdyby były to kobiety ze wsi, Nadieżda Spiridonowna rozpedziłaby je bez ceregieli, lecz arystokratyczne maniery nieszczęsnej generałowej, delikatne zapewnienia i przeprosiny, te „*Entre nous soit dit*” i „*Vous avez raison, chère amie*”⁹³ rozbroiły starą pannę. Zaprowadziła do siebie głodne i zawszone damy. Nigdy w życiu humanitaryzm Nadieżdy Spiridonowny nie sięgnął takich wyżyn!

Lecz starczyło go tylko na jeden dzień.

Już nazajutrz rano, skorzystawszy z okazji (Nadieżda Spiridonowna wyszła do piwnicy z garnkiem śmietany), stara generałowa podeszła do Asi, pocałowała ją w czoło i rzekła:

– Musimy opuścić dom pani krewnej, sprawiamy jej kłopot. Sama pani widzi, że nawet nie próbuje tego ukryć. Ale proszę nie iść z nami ze względu na jakąś tam solidarność, sytuacja pani jest całkiem inna.

Weszła Nadieżda Spiridonowna.

– *Chère amie* – zwróciła się do niej z uśmiechem Panowa. – Jesteśmy niezwykle wdzięczne za gościnę, ale wszystko ma swoje granice! Kochaną Asię, oczywiście, zostawimy, lecz sobie poszukamy jakiegoś stałego mieszkania.

Nadieżda Spiridonowna wymamrotała uprzejmie kilka słów i szybko pożegnała się z paniami.

„Dlaczego właśnie ona?” – myślała z rozpaczą Asia.

Rzeczywiście: dlaczego w głuchej, zabitej deskami dziurze nie spotkała jakiejś przypadkowej znajomej, dobrej kobiety, lecz właśnie Nadieżdę Spiridonownę?

Ranek.

– Czemu Sonieczka nie śpi w nocy? Och, nie ma spokoju przez to dziecko!

⁹³ Entre nous...; Vous avez... (fr.) – Między nami mówiąc. Ma pani rację, droga przyjaciółko.

– Proszę wybaczyć, Nadieżdo Spiridonowno! Ale zapłakała tylko raz – była cała mokra! Ukołysałam ją na rękach, żeby jak najszybciej ucichła.

Nadieżda Spiridonowna spuszcza nogi z łóżka, Asia do niej biegnie.

– I po co to?! Sama znajdę bambosze; stawiam je zawsze w tym samym miejscu, natychmiast wymacam stopą.

Asia wraca pędem od starej panny do Sławeczka.

– Proszę starannie przejrzeć bieliznę małego: czy aby nie ma tam wszy? Niech pani poszuka za kołnierzem. To najgorsze, co można sobie wyobrazić!

– Ależ Nadieżdo Spiridonowno, nic już nie ma. Wymoczyłam bieliznę w nafcie, potem uprałam, każdą fałdkę przeprasowałam gorącym żelazkiem. Nic nie zostało.

– Po co tak ciepło ubierać dziecko? Cóż to za fufajki? Chłopca trzeba hartować. Jak wspaniale hartowano nas w Smolnym – co rano mycie do pasa w zimnej wodzie. Tak samo chłopcy w Korpusie Kadetów czy Paziów.

– Wcale nie ubieram go za ciepło: mąż stanowczo tego zabronił. Ale Sławeczek wciąż biega do sieni zakatarzony, a tam jest poniżej zera, woda zamarza.

– Skoro mówimy o sieni, to widziałam tam stos mokrych pieluch; wkrótce pod nimi zginiemy.

– Dzisiaj wszystko wypiorę. Wczoraj nie zdążyłam. Widziała pani przecież...

– Wciąż to samo! A dlaczego ja ze wszystkim zdążam? Asia milczy.

– Proszę nakryć do stołu, a ja się w sieni umyję. Mam siedemdziesiąt dwa lata, lecz zawsze myję się zimną wodą i nie boję się żadnych przeziębień.

W dziesięć minut później, po heroicznym ablucjach,

Nadieżda Spiridonowna wraca do pokoju.

– No oczywiście! Stół nie nakryty! A przecież pani wie, że siadam do śniadania punktualnie o ósmej. Nie mam zamiaru zmieniać przyzwyczajeń.

– Niech pani wybaczy, Sonieczka znów zaczęła płakać! Za chwilę wszystko będzie gotowe!

Asia biegnie z dzbankiem do piwnicy.

– Dlaczego pani bierze ten chleb? Proszę go schować – zostało jeszcze trochę czerstwego; podawać trzeba w kolejności. A kawę zrobię sama, nie wie pani, ile wsypać łyżek, by była dostatecznie mocna. No proszę, Sławek złapał mój flakon. Dziecko musi wiedzieć, że nie wolno ruszać cudzych rzeczy, a wychowywać je trzeba od maleńkości. Musi to pani zapamiętać!

Wreszcie krzywy, zbity z desek stół, jest nakryty pocerowanym, lecz pięknym obrusem z dawnych lepszych czasów; koło Nadieżdy Spiridonowny stoi jej ulubiona filiżanka z francuskiej porcelany i srebrny dzbanek do kawy, a na nim „matriona” ustrojona własnoręcznie przez panią domu. Ciężar dobroduszości przemyka przez twarz Nadieżdy Spiridonowny, gdy ta siada na swoim miejscu i obrzuca stół spojrzeniem. Młoda Daszkowa jest, co prawda, nie do zniesienia przez tę swoją niepojętność i wiecznie piszczące dzieci, lecz nieposłuszeństwa nie sposób jej zarzucić: podsunęła pod nogi stołeczek, a przy stole siedzi prosto, z łokciami przy sobie i spuszczonej oczyma, jakby dopiero co ukończyła pensję, z pewnością wychowywano ją surowo i wpojono od dzieciństwa szacunek dla starszych.

– Nalać pani kawy, Asiu?

– Poproszę – mówi Asia i sięga po szczypczyki do cukru.

– Jak to? Kawa z cukrem? Nie ma pani pojęcia o kawie! Naturalna kawa to napój szlachetny, ale musi być mocny i gorzki; cały jego urok tkwi właśnie w szlachetnej goryczce. Proszę wziąć łyżkę miodu – to wiejski, prawdziwy miód – szłam po niego dziesięć kilometrów do Cicewina. A masło proszę przykryć

pokrywką, zostanie na jutro. Tutaj kupić go nie można: sama ubijam, dodaję soku z marchwi. Człowiek musi umieć wszystko. Prawdziwa wielkość ducha polega na tym, by nigdy się nie zanieczyścić i nie rezygnować z własnych zasad. Pani babcia, jak mi się zdaje, ma silny charakter i wykwintne maniery – proszę brać z niej przykład. Teraz nawet młodzież z najlepszych rodzin nie umie się zachować. Nawet Nina zrobiła się ostatnio zbyt swobodna: przy byle kim gotowa jest śmiać się lub płakać, chodzi w krótkiej spódniczce i zawsze gdzieś pędzi, jak mała dziewczynka. A przecież pochodzimy ze starego rodu.

Asia milczy.

– To bardzo stary ród, a po kądzieli jeszcze starszy: nasze drzewo genealogiczne korzeniami sięga Rzymu – wywodzimy się od Scypiona.

Zaskoczona Asia podnosi nieśmiało oczy na Nadieżdę Spiridonownę.

– A pani ród?

– Daszkowowie chyba pochodzą od Ruryka, a Bologowscy... nie wiem, nie pamiętam... Nasz herb – jeleni na tle wieży – wyhaftowany jest paciorkami na poduszce babci.

– Ruryk... Co tam Ruryk w porównaniu ze Scypionem! – Nadieżda Spiridonowna pogrąża się w zadumie wznosząc oczy do sufitu.

Po wypiciu dwóch filiżanek kawy stara panna lubiła sobie powspominać...

– Pierwszy raz pojechałam za granicę jeszcze jako młoda dziewczyna z ojcem i bratem. Spędziliśmy miesiąc w Nicei – to piękne miasto! Owego lata było tam wielu Rosjan. Pewien oficer gwardii oświadczył mi się, lecz ojciec nie zgodził się na to małżeństwo: oficer był karciarzem i zdążył już przegrać w Monaco swój podmoskiewski majątek. Potem byłam w Lozannie z bratem i małą Ninką, a w Niemczech mnóstwo razy, wyłącznie ze służącą Niuszą. Wtedy było to bardzo łatwe: dasz dozorczy pięć rubli, a on

nazajutrz przynosi paszport zagraniczny. Widziała pani Madonnę Sykstyńską? Często siadałam przed tym obrazem i wpatrywałam się bez końca. Rafael genialnie uwiecznił na płótnie wdzięk Dzieciątka i subtelny urok macierzyństwa.

– *Merci*, Nadieżdo Spiridonowno. Pozwoli pani, że wstanę od stołu: czas na karmienie Sonieczki.

– Wciąż pani gdzieś biega: ani posiedzieć, ani spokojnie porozmawiać... Na co pani ten dzbanuszek?

– Chciałabym trochę mleka... dla małej...

– W tym dzbanku jest mleko dzisiejsze – dla mnie i dla Timura. Proszę wziąć wczorajsze, z tamtego rondelka. Jest jeszcze całkiem świeże. Musi pani koniecznie poszukać sobie mieszkania. Powtarzam to chyba od tygodnia.

– Sama chciałabym się wyprowadzić. Wiem, że dzieci sprawiają kłopot. Proszę się przynajmniej zgodzić, bym prowadziła własne gospodarstwo. Nie mam za dużo pieniędzy ani zapasów żywności. Czułabym się lepiej, mogąc kupować i gotować tylko dla nas... bo przecież ja., bo my wszyscy... jesteśmy na pani utrzymaniu...

– Bzdura! Nie chcę, żeby mój pokój przypominał komunalną kuchnię. Póki tu mieszkacie, jest pani moim gościem. Proszę tylko stosować się do moich wymagań: na przykład, wzięła pani śmietniczkę, by zebrać śmieci, i nie odstawiła jej na miejsce...

Noc.

– Znów to chlupanie! Co to za zwyczaj, żeby płakać po nocach! Myśli pani, że nie słyszę? Tylko się trochę zdrzemnę, zaraz ktoś przeszkadza, albo pani, albo Sonia.

Nawet Timur budził niechęć Asi: zbyt pewna siebie i wyniosła była mina, z jaką kocur zajmował swe ulubione miejsce na kozetce lub chłęptał z odrazą poranne mleko. Parskając na Sławeczka chyba rozumiał, kto z nich jest ważniejszy; może nawet donosił o wszystkim pani domu? Któregoś dnia zostawszy z nim sam na sam Asia nie wytrzymała, spojrzała w jego żółte, okrągłe

oczy i rzekła:

– Lizus, intrygant, pupilek! Nigdy nie spotkałam równie złych, oschłych i małosłownych stworzeń jak ty i twoja pani!

Kot nawet okiem nie mrugnął, lecz wydawało się, że mówi: „Czekaj, czekaj, powiem komu trzeba!”

Parę razy udało się Asi wyrwać z domu i obejść sąsiednie zagrody w poszukiwaniu pokoju, lecz nadaremnie! Kiedyś nawet znalazła, lecz gdy gospodarze dowiedzieli się, że ma dwójkę małych dzieci, odmówili z miejsca. A czasu na dokładniejsze poszukiwania nie wystarczało.

Jeszcze niedawno Asia sądziła, że rzeczy nie mają większej wartości, uważała, że tylko rozstanie z ludźmi jest bolesne... Teraz było inaczej: o ile lepiej czułaby się we własnym pokoju, we własnym domu, gdzie każdy przedmiot był jej bliski. Mogłaby się spokojnie wypłakać skulona na babcinym fotelu ze słynną poduszką, pomodlić się w kąciku za szafą, rano zabrać do siebie dzieci i fikać z nimi koziołki na dwóch zestawionych łózkach. Nikt nie śmiałyby zwracać jej uwagi, choćby Sonieczka płakała bez końca, do zagrzania mleka mogłaby wziąć każdy ronderek! Tam, w sypialni, na bujanym fotelu pozostał z rozczapierzonymi łapkami i wytrzeszczonymi guziczkami oczu jej stary ulubieniec – pluszowy niedźwiadek z oderwanym uchem. Madame, osoba o bujnej wyobraźni, zapewniała ją niegdyś, że czasem zabawki ożywają, że ogrzane płomieniem ludzkich serc, stają się „niemal żywe”. Myśl ta, wpojona dziewczynce (pewno po to, by przedłużyć zainteresowanie zabawkami) sprawiła, że Asia długo uważała misia za istotę żywą, do niedawna nie mogła rozstać się z tym uczuciem... Koniecznie chciała zabrać misia, wyobrażała go sobie w rączkach Sonieczki; lecz w chwili odjazdu, gdy zalewając się łzami opuszczała mieszkanie, zapomniała o niedźwiadku – no i został, biedak, na bujanym fotelu, nowi lokatorzy pewno wyrzucili go na śmietnik. Niechby przynajmniej mały Pawełek wziął go sobie. Co też u niego słyszać? Poszedł do szkoły, uczy się pewno marnie, biją go po twarzy... Prócz Asi nikt się nad nim nie użali...

W dziesięć dni po zamieszkaniu u Nadieżdy Spiridonowny przyszedł przekaz pieniężny od Elżbietki – Asia napisała do niej przed kilkoma dniami podając ten tymczasowy adres. Z pieniędzmi w rękach podeszła nieśmiało do Nadieżdy Spiridonowny.

– Jestem pani winna... karmiła nas pani przez cały czas... Teraz otrzymałam pieniądze i z wdzięcznością...

Stara kobieta wyprostowała się.

– Nie życzę sobie pieniędzy. Nie zniosę sprzeciwu, Asiu. Niech je pani zatrzyma na przeprowadzkę. A co z wynajęciem pokoju? – I wysłuchawszy informacji dodała: – Rozumiem!! Mieć za ścianą małe dzieci to średnia przyjemność!

Asia westchnęła: od pewnego czasu wciąż czuła się winna, że ma dzieci! Niemniej godność, z jaką Nadieżda Spiridonowna odrzuciła wszelkie rozliczenia pieniężne, wywarła na niej wrażenie. Inna sprawa, że wszystkie ciepłe uczucia ulotniły się tego samego wieczora, gdy w szafie, którą Nadieżda Spiridonowna zamykała zwykle na klucz, Asia dostrzegła pudło pełne dużych, pięknych jajek. Nadieżda Spiridonowna chowała je przed nimi, prawdopodobnie jadła po kryjomu. Asia czuła, że płoną jej policzki z obrzydzenia.

Nazajutrz Nadieżda Spiridonowna znów wysłała Asie na poszukiwanie pokoju. Brnąc w walonkach od zasy do zasy wzdłuż rowów w fioletowym zmroku Asia dziwiła się, że ulice są takie puste – można pomyśleć, że za głuchymi płotami nie ma w ogóle życia! Wychudły pies grzebał na wysypisku i Asi przypominała się Lada.

Nagle z okien niewysokiego drewnianego domu dobiegły dźwięki „Chiariny”. Asia przystanąła koło furtki. Grał dyletant, lecz grał „z sercem”, bez rutyny. Z początku „Karnawał”, a potem „Kreislerianę”.

Dom, jej rodzinny dom, kochane twarze bliskich, miłe sercu pokoje, ciepło, miłość, muzyka – to już nigdy nie wróci. Asia nie

zdawała sobie sprawy, ile czasu tak słucha! Muzyka umilkła, a ona wciąż stała bez ruchu, zatopiona w smutnych myślach...

Z drewnianego ganku na pustę, zaśnieżone podwórko wyszedł mężczyzna, również w walonkach, półkożuszku, uszance i zbliżył się do furtki.

– Chyba nieźle dzisiaj grałem – powiedział wesoło.

– Nie spodziewałam się, że usłyszę tu Schumanna – wybąkała Asia speszona.

– Ja też się nie spodziewałem, że spotkam w tej dziurze kompetentnych słuchaczy. Ten fortepian wywieziono z jakiegoś dworu, stoi teraz w pustej sali tutejszego klubu. Wystarałem się u kierownika o pozwolenie, żeby tu przychodzić i grać, pani też radzę zrobić to samo, jeśli gra pani na tym instrumencie – zmierzył Asie spojrzeniem. – Pewno „pięćdziesiąty ósmy artykuł”?

Asia skinęła potakująco.

– A zatem dzielimy wspólny los. Pani pozwoli, że się przedstawię: Aleksander Konstantynowicz Koczergin. Jestem lekarzem. Moja żona zorganizowała w naszym mieszkaniu ośrodek eserowski i dlatego tkwię w tej dziurze, chociaż na oczy nie widziałem żadnego eserowca. Żonę zesłali jeszcze gdzieś dalej, od pięciu lat nie mam od niej wiadomości. A panią pewno skazali z powodu męża? Albo ojca?

Asia machnęła beznadziejnie ręką i wydostała się z zasy na ścieżkę.

– Dokąd się pani spieszy? Pomuzykujmy razem, będzie nam lżej na sercu. Mam jakieś nuty. Gra pani na cztery ręce?

– Gram, ale muszę iść – czekają na mnie dzieci.

– Dzieci?

– Tak, dwójka.

– Chwileczkę, ile pani ma lat?

– Prawie dwadzieścia trzy. Muszę już bieć. Z dziećmi została

moja *grand-tante*, będzie się na mnie gniewała.

– Chwileczkę, niech pani poczeka! Proszę mi dać swój adres. Jeszcze pani nie wie, co to za dziura, ten Galicz: spotkać tutaj człowieka to cud boski! Proszę nie zapominać, że jestem lekarzem, w razie czego mogę być pożyteczny. Chce pani, zapiszę witaminy i tran dla pani pociach? Nie mam przy sobie blankietów na recepty, proszę wpaść do przychodni, pracuję tam, to wypiszę.

Gdy nazajutrz rano Asia poprosiła o zgodę na pójście do lekarza, którego właśnie poznała, Nadieżda Spiridonowna aż podskoczyła na krześle:

– Co!? Zawiera pani znajomości z obcymi mężczyznami?! Ja panią puszczam, by poszukała dachu nad głową, a pani flirtuje? Bóg wie kogo tu pani sprowadzi! Proszę pamiętać, że nie pozwolę, by mężczyzna przekroczył progi mego domu! Jak chce pani zawierać lekkomyślne znajomości, to fora ze dwora! – Haczykowaty, zreumatyzowany palec wiercił się przed nosem Asi.

Na próżno tłumaczyła, że ani jej w głowie flirt. Nadieżda Spiridonowna uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy Asia przyrzekła, że nie pójdzie po recepty. Widząc, że młoda kobieta płacze, uznała za stosowne wyjaśnić:

– Nie myślę, że pani jest zepsuta, nie trzeba się obrażać. Jest pani po prostu głupiutka; ktoś, kto skończył szesnaście lat, powinien rozumieć, że mężczyzna nigdy nic bezinteresownie nie robi dla kobiety. Jak można ufać tym osobnikom?

Koczergin nadaremno miotał się tego rana od pacjentów do okna i z powrotem w małym gabinecie miejscowej przychodni.

A jednak w horoskopie Nadieżdy Spiridonowny musiało być zapisane, że do jej panińskiej celi mimo wszystko wejdzie mężczyzna.

Sławeczek zaczął „kwękać”, jak to określała sympatyczna *grand-tante*, a nazajutrz rano dostał gorączki. Asia przestraszyła się, że złapał zapalenie płuc. Zdaniem Nadieżdy Spiridonowny była to tylko grypa, co prawda, jako choroba zaraźliwa,

niebezpieczna dla otoczenia. Na wszelki wypadek Asia przeniosła Sonieczkę nieco dalej – na przypiecek, ku wielkiemu oburzeniu Timura, ze złością przęającego grzbiet.

Nadieżda Spiridonowna była bardzo niezadowolona.

– Tylko tego brakowało! – powtarzała chodząc po pokoju z zatroskaną i pochmurną miną. Przerażona Asia zerkała na nią ukradkiem. Po południu temperatura skoczyła do trzydziestu dziewięciu stopni. Strzepnąwszy termometr Asia w milczeniu, lecz stanowczo wzięła swój waciacz z drzwi, na których wisiał, włożyła walonki, przewiązała głowę chustką.

– Dokąd to? – surowo spytała Nadieżda Spiridonowna.

– Po lekarza – odpowiedziała spokojnie Asia. Spodziewała się awantury, lecz Nadieżda Spiridonowna nie zareagowała. Chyba zrozumiała, że tym razem nie powstrzyma Asi. Była mądra, uznała, że szkoda energii.

Człowiek ten wszedł do domu wystraszonych kobiet jak dobry duch: nadaśanemu i zapłakanemu Sławeczkowi pokazał na palcach „kozę rogatą”, potem połaskotał go w rączkę, zaśpiewał „sroczkę białoboką”, wziął na ręce, by niepostrzeżenie osłuchać, ostukać maleńką pierś i plecki. Wsadzona głęboko do buzi łyżka wywołała rozzalenie dziecka, Sławeczek chyba pożałował, że przedwcześnie zaufał obcemu panu, lecz nowy doktor łatwo go uspokoił bajką o kocie w butach i malec znów wrócił na jego kolana.

Nie wypuszczając dziecka z rąk Koczergin dawał Asi zalecenia: Sławeczek ma z pewnością zapalenie oskrzeli, trzeba je jak najprędzej wyleczyć, by nie wywiązało się zapalenie płuc.

– Jeśli są bańki, proszę mi je dać! Zaraz postawię. Nie ma? To nic, zaraz przyniosę, wpadnę tylko po drodze do apteki po lekarstwo i terpentynę. Pani też jest wycieńczona, Kseniu Wsiewołodowno, przyniosę dla pani glukozę, aptekarz mnie zna. A pani, Nadieżdo Spiridonowno, czegoś nie potrzeba? Łamie w kościach? Spirytusu salicylowego w naszej aptece, rzecz jasna, nie

ma, ale została mi w domu butelka – przyniosę ją. Biegnę, by nie tracić czasu na próżno.

Wkrótce wrócił i zabawiając Sławeczka bajkami i żarcikami postawił mu bańki. Potem zbadał Sonieczkę, wyjaśnił, w jakich dawkach należy jej dawać witaminy i tran. Nadieżda Spiridonowna była mile zaskoczona uprzejmością i zainteresowaniem, jakie jej okazał nowy doktor, nawet się zdecydowała, by mu pokazać zranioną łapę Timura. Koczergin zręcznie obmył i zabandażował tę łapę nie przejmując się parszeniem „intryganta”.

Potem włożył kozuch i stanawszy z czapką uszanką w ręku koło niziutkich drzwi prowadzących do sieni, powiedział:

– Jutro po pracy wpadnę, żeby się dowiedzieć, jak tam mały, i jeszcze raz postawię bańki. Miksturę zamówiłem, przyniosę z apteki, wezmę też waty i gazy dla malutkiej. Ależ skąd, od zesłańców nie biorę pieniędzy, jesteście towarzyszami niedoli, w żadnym wypadku! To prawda, umiem postępować z dziećmi, też mam małego synka, lecz nie widziałem go już od trzech lat – został w Leningradzie z teściową...

Asia wyślizgnęła się do sieni, a gdy znów stanęła w progu, spojrzała Nadieżdzie Spiridonownie prosto w oczy i powiedziała z naciskiem:

– Kipi już czajnik...

Nadieżda Spiridonowna zrozumiała, co Asia ma na myśli.

– Niech pan zostanie z nami na herbatę – powiedziała mimo woli. Nowy doktor podbił ją ostatecznie stwierdzając, że nie może sięść do stołu – przed wieczorem musi odwiedzić jeszcze jednego pacjenta. Na pożegnanie ucałował ręce obu pań.

Gdy odprowadziwszy lekarza do furtki Asia wróciła do pokoju, chuda jak patyk Nadieżda Spiridonowna sterczała nad kołyską Sonieczki i niskim, zachrypniętym, niemal basowym głosem, nucila grasejując francuską piosenkę:

*Ainsi font, font, font
Les petites marionnettes,
Ainsi font, font, font,
Les jolies petites fillettes.
Ainsi font, font, font,
Trois petits tours et puis s'en vont...*

Nazajutrz niebezpieczeństwo zapalenia płuc u dziecka minęło. Koczergin przyniósł kaszę, cukier, słoninę i jajka.

– To od pacjentów – tłumaczył się.

Asia podeszła, by zabrać pakunki, i wyszeptała:

– Gorąco panu dziękuję... Jest pan taki dobry... nie wiem, jak się odwdzięczyć...

Sławeczek tupał nóżkami na jej kolanach, a ona, pieszcząc synka, mówiła:

– Zajaczek wkrótce wyzdrowieje, mamusia ugotuje mu kaszki owsianej, ukręci kogel-mogel...

Przytulając policzek do gorącej buzi dziecka uniosła oczy na Koczergina. Przygotowywał właśnie plaster z gorczycy, lecz obserwował Asie. I coś było w tym jego spojrzeniu. Coś męskiego i drapieżnego.

Gdy Nadieżda Spiridonowna wróciła, Asia pokazała jej pudełko z jajkami, które przyniósł Koczergin:

– Będą dla pani i dla Sławeczka. Stara panna zawstydziała się nieco:

– Niech się pani troszczy o małego. Mam własne.

Od tego dnia zjadała codziennie po dwa jajka, a pozostałe przeliczała. Stojąc nad garnkiem, w którym się gotowały, za każdym razem odmawiała „Ojcze nasz”, modlitwa służyła jej jako zegar. Strasznie to Asie irytowało: czy miłosierny Jezus Chrystus dał komuś tę modlitwę jako przepis na gotowanie jajek?

W kilka dni później Asia musiała wyjść z Koczerginem do apteki; on sam spieszył się do pacjenta. Gdy znaleźli się na ciemnej ulicy, schwycił ją za rękę i wsunął do rękawiczki trzydziestorublowy banknot.

– Nie, Konstantynie Aleksandrowiczu, za żadne skarby! Niech pan zabierze te pieniądze!

– Ależ robię to dla dzieci – powiedział zatrzymując się. – Doskonale widzę, w jakiej rozpaczliwej sytuacji się pani znalazła. Zapłacono mi za wizytę. Zwykle nie przyjmuję pieniędzy, ale tym razem wziąłem, by dać je pani. Jest tu niewielki bazar – proszę pójść jutro rano, można tam kupić miód, mleko, kapustę kiszoną, wieprzowinę. Musi pani zrozumieć: to konieczne dla pani, Sławeczka i dla malutkiej.

– Pan ma własną rodzinę, a mnie pomaga pewna dobra dusza, pewien przyjaciel – broniła się jeszcze Asia.

– Proszę wybaczyć nieskromne pytanie: czy ten przyjaciel to mężczyzna czy kobieta?

– Kobieta. Zapadło milczenie.

– Niech pan weźmie swoje pieniądze, Konstantynie Aleksandrowiczu.

– Ależ skąd, nie mam zamiaru! Doprawdy, kobiety są dziwne! Gdybym w Petersburgu przywiózł w dniu imienin kosz róż lub flakon perfum, przyjęłaby pani ten prezent bez wahania, chociaż kosztowałyby znacznie drożej. A kiedy proszę, by wzięła pani pieniądze dla chorego dziecka, pani się gniewa!

– Wcale się nie gniewam. Ja po prostu nie chcę. Jak potem się z panem rozliczę?

Zagwizdał jakąś melodię i dodał:

– Aha, to tego pani się boi.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Asia.

– Poznała pani melodię, którą gwizdałem? – Nie.

– Jak nie, to nie. Ale może sobie pani przypomni...
Trzydziestorublówka pozostała w ręku Asi.

Już nocą, leżąc bez snu i z napięciem wsłuchując się w oddechy dzieci Asia przypomniła sobie nagle motyw, który gwizdał Koczergin. Rimski-Korsakow, „Carska narzeczona”, akt drugi: „Od ciebie chcę niewiele – tylko całusa”. I znów kobiecy instynkt szepnął jej: „Bądź ostrożna!” – tak jak kobietom innego autoramentu ten sam instynkt podpowiada: „Przyciśnij go!” albo „Złapie się na tę przynętę!”.

Znała już życiorys tego człowieka. Miał około czterdziestki. Nie był arystokratą i gdy poznał nazwisko Asi, powiedział: „Nie pochodzę z tej sfery”. Jednak kilka pokoleń jego przodków miało wyższe wykształcenie. Dyplom lekarza otrzymał wiosną 1914 roku, od razu wyjechał na front, był tam ordynatorem. Podczas wojny domowej pracował w szpitalu na terenie, który zajęli czerwoni. Aresztowała go Czeka pod zarzutem, że chciał przekroczyć linię frontu. O wydarzeniu tym mówił następująco:

– Wegetowaliśmy w ogromnym więzieniu, głodni i na wpół żywi, bez cienia nadziei, że uda się stamtąd wydostać; co dzień zabierali któregoś z nas, gdyż szalał tyfus. Pewnego ranka zajrzeli do naszej celi czekałsi, wywołali kilku ludzi – mają iść do pracy przy oczyszczaniu miasta. Padło też nazwisko mojego kolegi, który leżał bez sił wyniszczony skorbutem; zgłosiłem się, że pójdę zamiast niego. Zaprowadzili nas do żołnierskich kuchni, kazali szorować podłogi i nosić wodę, a poczciwi kucharze nakarmili nas do syta. Nazajutrz, kiedy czekałsi wsunęli nos do celi, wszyscy zerwali się z miejsca: „Weźcie mnie, i mnie, i mnie!” Ale nowa grupa nie miała szczęścia: więźniowie cały dzień czyścili klozety, nie dostali do jedzenia nawet okruszyny. Potem prowadzili mnie pod konwojem do partyjnego dygnitarza z Wielkich Łuk: zachorowała na tyfus jego żona. Nabrałem wprawy w leczeniu ran, lecz jako internista nie miałem doświadczenia – obym tylko przypadkiem nie wyprawił kobiety na tamten świat, myślę sobie, wtedy koniec ze mną! Miałem szczęście – zaczęła wracać do zdrowia, a dygnitarz z wdzięczności zatroszczył się o rewizję mojej

sprawy. Wiosną dwudziestego drugiego ze względu na „brak poszlak” wypuścili mnie wreszcie na wolność. W międzyczasie zabrano mi mieszkanie, wpadliśmy z żoną w skrajną nędzę: całe lato chodziłem do pacjentów boso, zbierałem w lesie grzyby. Jesienią popędzili mnie na zwalczanie epidemii tyfusu, żona w tym czasie spodziewała się dziecka. Przed wyjazdem poprosiłem mojego eks-ordynansa, z którym ugrzęźliśmy razem w Wielkich Łukach, by zaopiekował się żoną. Gdy wróciłem, Ania mówi, że Mikołka zaopatrywał ją stale i że z nim nie głodowała tak jak ze mną. „Jakżeś to zorganizował?” – pytam. A on wyprężył pierś, wytrzeszcza na mnie oczy i melduje: „Bo ja, wielmożny panie, kradłem!” Tak oto pieściło nas życie pod sowieckim reżymem. W czasach carskich za dyplom z wyróżnieniem mógłbym wyjechać na koszt państwa za granicę! ...No i masz tu wyjazd zagraniczny, masz karierę... Więzienie, głód, zesłanie – zaznałem wszystkiego!

Asia wiedziała już, że polityka nie grała wielkiej roli w życiu tej rodziny – z eserowcami związana była tylko kuzynka Koczergina. Ludzie ci padli tak samo ofiarą terroru jak ona sama i jej bliscy. Im bardziej przyzwyczajała się do Koczergina, tym większą darzyła go sympatią. Przyjazny, naturalny sposób bycia, troska i ojcowska czułość wobec dzieci ogrzewały ją powoli, niczym ciepły oddech przywracający życie marznącym w śniegu zielonym pędom, a żartobliwy, optymistyczny ton dodawał otuchy. Tylko jedno budziło niepokój – spojrzenie, którym od czasu do czasu mierzył Asie. Spojrzenie to wraz z melodią z „Carskiej narzeczonej” i „nieskromnym pytaniem” bardzo ją niepokoiło.

Rozdział dziewiętnasty

Zbliżało się Boże Narodzenie... Gdy pewnego ranka Asia wyszła na podwórze, zobaczyła niskie sanie, szkapę ze spletaną grzywą i brodatego chłopca: chodził wokół sań klaszcząc dla rozgrzewki w dłonie, a koło niego kręcił się kudłaty kundel. Jak się okazało, powóz ten przyjechał wraz ze świtą po Nadieżdę Spiridonownę.

Opatulając się przed podróżą w chusty i serdaki stara panna wyjaśniła Asi, że przez jakiś czas mieszkała na wsi, dziesięć wiorst za miastem. Żyła tam w idealnej zgodzie z gospodarzami. Przeniosła się do Galicza tylko po to, by być bliżej apteki, rynku i poczty, głównie zaś wskutek konieczności pojawiania się dwa razy na miesiąc w komendanturze. Jedzie do dawnej gospodyni na kilka dni.

– Już dawno się tam wybierałam, więc lepiej pojedę teraz. Nie ukrywam, dzieci bardzo mnie męczą. Pani ciągle się kręci, a one ciągle marudzą. Nie zniosę tego dłużej! Może doktor pomoże pani znaleźć pokój? Nie mam przecież obowiązku trzymać was u siebie bez końca.

Zamknęła na klucz kufer i szafkę, podeszła, by pocałować pochyloną głowę Asi.

Nadieżda Spiridonowna niewątpliwie umiała znaleźć wspólny język z chłopami. Być może jej skąpstwo też przypadło do serca drobnym ciułaczom-średniakom?

Tego wieczora Koczergin nie spieszył się do pacjentów i sam zaproponował:

– Zziębłem i chętnie rozgrzałbym się, gdyby mnie pani poczęstowała herbata.

Przyniesiony przez gospodynię samowar już kipiał na stole i Asia pomyślała, że byłoby niewdzięcznością wypędzać człowieka na mróz. Koczergin zasiedział się, rozprawiając z zapalem o muzyce. Okazało się, że i w nim, mimo ciężkich przeżyć, nie wygasł jeszcze duch entuzjasty-inteligenta pragnącego trudzić się

dla dobra ludu; zaczął przekonywać Asie, że ich wspólnym obowiązkiem jest wyrwać z marazmu tutejszych mieszczuchów, potrząsnąć nimi, a konkretnie, zorganizować wieczorne spotkania, na których on i Asia zapoznawaliby tutejszą publiczność ze światową muzyką klasyczną i rosyjską. Kierownik klubu z pewnością się zgodzi.... Kiedy indziej rozmowa taka może zainteresowała by Asie, teraz jednak, smutna i niespokojna, słuchała Koczergina z roztargnieniem. Wreszcie zdecydowała się mu przypomnieć, że dochodzi dwunasta! Podniósł się natychmiast, lecz gdy się żegnał w progu, zatrzymał rękę Asi w swojej i powiedział:

– Jestem chory – ukąsiła mnie żmija! Nie śpię już kilka nocy: śliczna buzia nie daje mi spokoju.

Asia patrzyła nie na doktora, lecz obok, w ciemną sień. Milczała, marszczyła tylko puszyste brwi. Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, przez którą nie przemknął nawet cień uśmiechu, bez słowa pocałował rękę Asi i wyszedł.

A zatem nie myliła się! Mój Boże, jakie to przykre, jak strasznie wszystko skomplikuje! Będzie musiała go odepchnąć, choć był dla niej taki dobry, taki wielkoduszny i uczynny! Może trzeba w ogóle zerwać tę znajomość. A jest taka samotna... Strach wyobrazić sobie, co zrobi bez jego przyjaznej pomocy.

Nazajutrz była Wigilia. Co się z wami stało, Wigilie przytulnego, wesołego dzieciństwa? Od rana nie wolno wejść do salonu – stoi tam świąteczne drzewko, wieczorem zapłoną na nim świece. Mama wyjechała na bazar kupić ozdoby na choinkę. Mróz pokrył rysunkami szyby w wielkich oknach wychodzących na Nową. Zapada tam wcześniej tajemniczy półmrok – zwłaszcza gdy nie palą się jeszcze żyrandole. Podczas spaceru Asia w białym futerku i białym kapturku, prowadzona za rączkę przez madame, widzi rzęście oświetlone wystawy sklepów, a na nich choinki, pod nimi zaś zajaczki na śniegu – wyostrza to jej niecierpliwość. Na Jamskiej choinki stoją w długich szeregach, tak jakby się człowiek znalazł w gęstym lesie...

Jakiż zachwyty ogarnął wszystkich, kiedy wreszcie otwarły się drzwi salonu i pozwolono dzieciom wejść, zobaczyć czarodziejskie drzewko! Odbija się ono w wielkich lustrach, salon wygląda tak, jakby tych choinek było mnóstwo! Asia patrzy na wierzchołek z gwiazdą betlejemską, lecz wie, że na dole, pod zielonymi gałązkami są ukryte prezenty, chciałaby się tam wślizgnąć, wyciągnąć je spod drzewka. Jakie piękne były wtedy zabawki! Teraz nie ma takich nigdzie! Kiedyś Asia dostała chatkę na kurzej łapce i nakręcaną Babę Jagę; wiedźma chodziła wokół chatki i wymachiwała kosturem! A wspaniała lalka Luba z rzęsami równie długimi jak rzęsy Asi, lalka, która mówiła „mama” i miała na sobie futerko, mufkę i czapkę, jak te, które nosiła mama! Podczas owej Wigilii braciszek Wasia otrzymał w prezencie mundur i ekwipunek oficera siemionowskiego pułku, przyszedł na kolację w epoletach i przy szabli. Tatuś wytłumaczył mu, że do stołu nie wolno siadać z bronią, kazał odczepić szablę. Potrawy podawano postne: dania rybne i kutię, potem pierniki, pastilę⁹⁴ i orzechy, które tak lubią tłuc dzieci. A nocą, przed snem, Asia wyslizgiwała się spod kołdry na dywan – ostrożnie, bardzo ostrożnie, tak by nikt nie słyszał, i odmawiała modlitwę o trzech królach i gwiazdzie. W ciemnościach i ciszy chciała jak najmocniej odczuwać świętość tego wieczora. Szkoda tylko, że choć długo patrzyła w górę, widziała tylko ciemny sufit, a nie białe, czarowne skrzydła anielskie wypełniające tej nocy niebo! Smutne westchnienie roztapia się w myślach o jutrzejszym dniu; pójdzie na choinkę do babci, a tam zawsze jest mnóstwo dzieci, będzie loteria i latarnia magiczna, wujek Sierioża dyryguje dziecięcym kadrylem i zabawą w „złote wrota”. Ileż uroczych dziecięcych twarzątek – znajomych i bliskich sercu pojawia się i znika w amfiladzie oświetlonych pokoi! Oto kadet – kuzyn Misza, oto licealista Szura o okrągłych czarnych oczach, a oto Lela – ślicznie wystrojona i najładniejsza, ze złocistymi loczkami; tańczy solo w stroju Czerwonego Kapturka. Na trzeci dzień znów choinka, tym razem w Marmurowym pałacu – u cioci Ziny.

⁹⁴

Pastila (ros.) – rodzaj konfitury owocowej.

A spoza wszystkich prezentów, świateł, smakołyków, muzyki czaruje Asie miłość i pieśczość emanujące ze wszystkich oczu i głosów... Nie przychodzi jej na myśl, że to blask duszy dziecięcej rozjaśnia i ozłaca wszystko wokół. Nawet dziś, gdy ma dwadzieścia trzy lata, nie przychodzi to jej na myśl!

Pod wieczór ból duszy nasilił się. Dzieci zasnęły. Gospodyni domu – stateczna młoda kobieta – wyszła ze swojej połowy rozesławszy wszędzie czyste chodniki i przyszykowawszy kaganki. W mieszkaniu zapadła cisza, tykał tylko zegar. Asia usiadła na przykrytym pstrokatym chodnikiem taborecie koło wielkiego starego zegara przywiezionego przez Nadzieję Spiridonownę i łzy jej polały się strumieniami... Jest samiuteńka! Zginęli wszyscy, których kochała, wszyscy! Szczęście, nęcące ją obietnicami od dzieciństwa – wielkie, jasne, promienne – trwało tak krótko! Jej ognisko domowe zniszczono. Została z dwójką małych dzieci, zapomniana przez wszystkich w zapadłej dziurze, na zesłaniu, w nędzy! Oto „droga bez nadziei”, której rzuciła dumnie wyzwanie! Biedne maleństwa! Nigdy nie będą miały świąt! Zapadła dziura, zamieć, chata, drewniana ławka, świeca łożowa, czarny chleb – oto jak wygląda ich Wigilia! Ani ojca, ani babć, ani dziadków; kto miałby je rozpieszczać? „Jesteśmy tu całkiem sami. Konstantyn Aleksandrowicz... to dobry człowiek, potrafi ożywić nastrój i dodać otuchy, ale to... obcy człowiek...”

W myśli o Koczerginie była dziwna gorycz – czy koniecznie musiał się zakochać? Czy nie mogli, przynajmniej dla dobra dzieci, pozostać tylko przyjaciółmi? A zimna obojętność, z jaką wysłuchała jego wyznań, z pewnością go zabolala – chyba już nie przyjdzie. Gdyby choć Lada była tutaj i przytuliła się do niej czarnym, śliskim nosem...

Sławeczek obudził się i nagle stanął w łóżeczku patrząc na matkę okrągłymi, sennymi oczkami. Zerwała się, gwałtownie przygarnęła dziecko:

– Mój maleńki, mój kochany! Mama cię kocha za siebie i za tatusia! Nie pozwoli, żebyś był nieszczęśliwy! Wiesz, Sławeczku, twój tatuś był niezwykłym, wspaniałym człowiekiem! Opowiem ci

kiedyś o tym, jak bardzo kochał ojczyznę! – szeptała nie licząc na to, że mały ją zrozumie, całowała aksamitną szyjkę, pachnącą terpentyną.

Ktoś mocno zastukał do drzwi, aż oboje drgnęli. Za drzwiami stał ośnieżony Koczergin.

– Jestem jak Dziadek Mróz, cały biały i z choinką w ręku. Zaraz zapalimy świece dla Sławeczka. Proszę – wybrałem od pobożnej pacjentki. Będą nam służyć, skoro nie ma choinkowych. Pierniczki powiesimy, a oto i prezent – nakręcana żabka, należała do mojego Miszutki. Zabrałem przed wyjazdem i wciąż noszę w kieszeni... niech ją teraz odziedziczy pani synek. Proszę wytrzeć łzy i przynieść siekierę – oprawię drzewko w krzyżak, a pani przez ten czas postawi samowar, jeśli potrafi... Na przekór losowi i my, i malec możemy przecież spędzić szczęśliwy wieczór.

Sławeczek wyciągał szyjkę, próbował wyrzeć z łódeczka – już znał głos tego pana.

Są uczynki, za które odwdziaczyć się niepodobna. Kobieta nie może o nich zapomnieć, lecz zawsze przeraża ją myśl, że winna jest wdzięczność mężczyźnie!

Gdyby tylko nie mówił znów o miłości, gdyby starczyło mu wielkoduszności i taktu, by zostawić ją w spokoju, zrozumieć, iż teraz nie może kochać, że jej serce to jedna wielka rana! Zaczęła bać się tego mężczyzny – nie powinien mówić tego, co powiedział wczoraj – z szacunku dla jej nieszczęścia i dla własnej żony!

Czego by nie oddała, żeby to drzewko przyniósł Oleg – połowa nieszczęść zniknęłaby z jej życia!

Asia na klęczkach rozłupuje siekierą polana i ukradkiem ociera łzy, a one płyną i płyną... Szczęśliwa już nigdy nie będzie! Doktor nie rozumie, jak wielka jest jej rozpacz!

Ale Sławeczek był bez wątpienia szczęśliwy tego wieczora. Siedział na kolanach Koczergina i patrzył na niego ufnie. Potem zmęczył się skakaniem i radością i nagle zasnął na klęczkach z pyszczkiem wetkniętym w poduszkę i z wystawioną do góry pupą.

Mężczyzna i kobieta zostali sami. Koczergin wziął rękę Asi, przywarł do niej ustami.

– Ma pan żonę, Konstantynie Aleksandrowiczu – powiedziała Asia.

– Moja żona! Ależ to okrutne, mówić o niej! Z dziesięć razy dowiadywałem się o jej los w GPU i za każdym razem słyszałem to samo: „Jak umrze – zawiadomimy”. Jak długo można opłakiwać rozłąkę? Straciłem nadzieję, że się znów spotkamy, a pani nie ma jej w ogóle.

– Ale mimo to nie chcę! Ja... to prawda, nie mam już nadziei, ale pańska żona może jeszcze wrócić. To niedopuszczalne, by ktoś, kto wyrwał się stamtąd – z maltretowana, chora, zmęczona kobieta – dowiedziała się, że na nią nie czekano, że pojawiła się inna...

– Kseniu Wsiewołodowno, kochałbym pani dzieci jak własne!

– Wiem o tym. I wierzę w to. Dziękuję, Konstantynie Aleksandrowiczu, lecz czy... czy nie mógłby pan ich kochać bez... tajnych spotkań ze mną?

– Nie, byłoby to dla mnie zbyt ciężkie. Jeśli mnie pani nie zechce, poproszę o przeniesienie do innego miasta.

– Cóż, decyzja należy do pana – odpowiedziała Asia. – Niech mnie pan nie dotyka, Konstantynie Aleksandrowiczu, proszę mnie puścić!

Ale mężczyzna przyciągnął ją do siebie przemocą. Asia wyslizgnęła się z jego objęć, podbiegła do kozetki, na której spał Sławeczek. „Przy dziecku się nie ośmielisz!” – mówiły jej oczy. I rzeczywiście, Koczergin nie zrobił kroku ku niej.

– Dobranoc, Konstantynie Aleksandrowiczu! Jeśli chce pan być jak do tej pory naszym przyjacielem, proszę przyjść jutro. Teraz już jest późno – niech pan idzie.

Koczergin zwlekał. Po chwili głęboko westchnął i odwrócił się w stronę drzwi.

– Będzie tak, jak pani sobie życzy, wychodzę. W minutę później krzyknął z ciemnej sieni:

– Jak się otwiera ta zasuwka? Nie mogę sobie poradzić.

Asia wybiegła do sieni ze świecą, postawiła ją na pokrywie beczki z wodą i podeszła do zasuwki. I nagle została popchnięta na stertę słomy leżącą w kącie, koło drzwi; Koczergin zwałił się na nią. Wijąc się jak piskorz Asia kopała go rozpaczliwie, waliła pięściami w pierś i twarz. W końcu schwytała jego rękę i ugryzła w palec mocno zaciskając zęby. Koczergin krzyknął i puścił ją. Zerwała się, uciekła do pokoju i zatrzasnęła mu przed nosem zasuwkę. Zapadła cisza.

Asia dygotała z oburzenia.

Do tej pory znajomi mężczyźni traktowali ją z rycerskim szacunkiem. Ani Oleg, ani Siergiej Pietrowicz w jej obecności nie odważyli się nawet na słony żart lub ryzykowną anegdotę. Przypomniała sobie Szurę, który powiedział na pożegnanie: „Kochałem bez nadziei i w pokorze, W męce zazdrości, nieśmiałości, trwóg, Tak czule, tak prawdziwie – że daj Boże, Aby cię inny tak pokochać mógł”⁹⁵. Przypomniała sobie nawet Walentyna Płatonowicza na schodach ich moskiewskiego domu. Ale ten lekarz...

Ręce i nogi zmęczone walką ćmiły, policzki płonęły. Odniosła zwycięstwo – poczucie godności osobistej narastało.

W domu było wciąż cicho – poszedł sobie czy się czai?

Nagle usłyszała nieśmiałe stukanie do drzwi; po kilku minutach znowu, jeszcze bardziej natarczywe. Nie odzywała się.

– Kseniu Wsiewołodowno, zostawiłem u pani na komodzie klucz do mojego pokoju – rozległ się głos Koczergina.

Asia wzięła klucz, wyrzuciła go przez wąską szczelinę za drzwi i znów błyskawicznie je zatrzasnęła.

– Kseniu Wsiewołodowno, na Boga, niech mnie pani wpuści!

Przysięgam na życie mojego syna, nic pani nie grozi!

Asia otworzyła szeroko drzwi i stojąc w progu z założonymi za plecy rękami wyniośle patrzyła na swego przeciwnika. Koczergin upadł do jej stóp.

– Proszę mi wybaczyć! Straciłem rozum! To było szaleństwo! Broniła się pani jak lwica! Błagam o wybaczenie, niech wszystko zostanie jak dawniej – objął jej nogi.

– Bardzo pana proszę... zapomnieć coś takiego wcale nie jest łatwo. Przyjaciele powinni sobie ufać, ale teraz...

– Jaka pani surowa! Ale ja proszę o wybaczenie; przysięgałem przecież... pamięta pani, na co przysięgałem? Co może być człowiekowi droższe niż własne dziecko?

Ciepła fala napłynęła do serca Asi.

– Tak, ma pan rację – nie jestem wielkoduszna! Teraz rzeczywiście panu wybaczam! Jeśli współczuje pan mnie i moim dzieciom – głos jej zadrżał – proszę być naszym przyjacielem, lecz nie chcę nawet słyszeć o miłości. W przeciwnym razie rozstańmy się na zawsze! Będzie to bardzo smutne dla mnie i dla pana, lecz lepsze niż to, co pan proponuje. Tak czy owak całe życie będę z wdzięcznością wspominać, że wyleczył pan Sławeczka i przyniósł mu choinkę w tę smutną Wigilię.

Wyciągnęła rękę. Koczergin bez słowa podniósł ją do ust, wstał i wcisnął na głowę czapkę-uszankę. Zobaczyła na ugryzionym palcu chusteczkę do nosa, przesiąkniętą krwią. Gdy drzwi za nim się zamknęły, boleśnie ścisnęło się jej serce.

Pojęła, że dopiero teraz stała się dorosła – młodość i opieka starszych minęły bezpowrotnie!

Rano musiała poprosić gospodynię o opiekę nad dziećmi, by udać się na poszukiwania. Przyjazdu Nadieźdy Spiridonowny można się było spodziewać lada dzień, a ona wciąż jeszcze nie znalazła mieszkania, nie mogła myśleć bez strachu, jak spojrzy w

oczy groźnej ciotce.

Nie dawało jej spokoju pewne wspomnienie: Sławeczek zaszył się w kącie i bojaźliwie obserwuje Nadieżdę Spiridonownę krzątającą się po pokoju. Czuje się tu obco, już doznał poniżenia, a przecież wrażenia z dzieciństwa często zostawiają niezatarte ślady. Oleg nigdy by nie pozwolił, by jego syn rósł zahukany i nieśmiały.

Przy okazji wyrwania się z domu Asia zajrzała do Panowej. Stara dama już ją odwiedziła, zapraszała do swojej rezydencji. Była nią, jak się okazało, opuszczona stara szopa bez okien, pełna szczelin, przez które wdzierał się wiatr. Stara generałowa całymi dniami zbierała chrust na opał albo paliła w żelaznym piecyku, który mimo to nie ogrzewał szopy – w nocy znów robiło się mroźno, woda w wiadrze zamarzała. Panowa posadziła Asie przy wywróconej drewnianej skrzynce, zastępującej stół, naląła herbaty, wyjęła dla gościa wszystko, co miała w swoich schowkach – kubek kapusty kiszzonej, kilka pieczonych ziemniaków i bochenek pszennego chleba; jedyne jajko kazała zanieść Sławeczkowi. Wszystkie te przysmaki otrzymała od przewodniczącego rejkomu – uczyła francuskiego jego córkę. Troska starej damy raz jeszcze uwidoczniła Asi, jak zimne jest serce Nadieżdy Spiridonowny.

Od Panowej poszła do agenta GPU. Oświadczyła, że zamierza wraz z dziećmi przenieść się na wieś. Agent, wbrew temu, czego się spodziewała, odpowiedział dość dobrodusznie:

– Meldować się trzeba koniecznie, i to w ściśle wyznaczonym terminie, ale mieszkać pani może, gdzie się jej podoba w granicach rejonu. Trzeba tylko przynieść zaświadczenie meldunkowe, byśmy mogli szybko sprawdzić, jeśli pani się nie zjawi.

Nadieżda Spiridonowna wróciła nazajutrz rano i całkowicie zaakceptowała plan Asi. Może po prostu chciała się pozbyć uciążliwego gościa, nie mogła przecież sama wypędzić jej z domu.

Wyjechali na wieś tego samego dnia mimo gorących

protestów Panowej, która przybiegła specjalnie, by odradzić młodej kobiecie ryzykowną decyzję.

Koczergin zniknął, jakby się pod ziemię zapadł! Gdy wyjeżdżali, Asia na próżno obserwowała biały domek i zasypaną śniegiem pustą ulicę, po której wiozła ją nędzna szkapina.

Rozdział dwudziesty

Zona mieszkalna i zona bezpieczeństwa, obie otoczone wysokim podwójnym ogrodzeniem, oplatanie drutem kolczastym; w rogach – wieże strażnicze; przed wrotami do żony – wartownie z dyżurnymi; wewnątrz żony mieszkalnej męskie i kobiece baraki, stołówka, kuchnia, szpital; w żonie bezpieczeństwa – warsztaty; w obu żonach ani jednego drzewa: zgodnie z rozkazem strażnicy na wieżach muszą bez przeszkód obserwować teren łagru.

Wyjście poza żonę – tylko pod konwojem. Nie jest to łagier karny; wewnątrz każdej żony można się poruszać swobodnie, w barakach nie ma strażników, nikt nie zabrania rozmów.

Pobudka – o szóstej rano, potem śniadanie w stołówce, apel i odprawa do prac; o pierwszej obiad, o siódmej – kolacja, o dziesiątej – gong na ciszę nocną. Między kolacją a gongiem – czas wolny, przed obiadem i przed gongiem znów sprawdzają obecność. Barak to długi drewniany budynek z okratowanymi oknami i piecem z cegły; wagonowy system prycz górnych i dolnych z wąskimi przejściami; gołe deski – ani materaców ani prześcieradeł; pod głowami kurtki i buty; w baraku roi się od pluskiew i wszy; rzeczy więźniów częściowo są tutaj, a częściowo w magazynie. Dyżurni zamiatają podłogę i palą w piecu; barak jest w najwyższym stopniu przepełniony – ludzie śpią nawet na deskach łączących niczym pomost jedną górną pryczę z inną. Nikt nigdy nie jest tu sam: ciszy nie ma nawet w nocy – ten chrapie, tamten kaszle, jeszcze ktoś inny jęczy, płacze lub szepcze... Kroki i nawoływania patrolu pod drzwiami...

Więźniowie w tym łagrze są różni, z różnymi wyrokami: tych z „pięćdziesiątego ósmego” nazywają tutaj „kontrą”, a kryminalistów – „urkami”. Są jeszcze „bytowiki”, średnia warstwa wśród więźniów – defraudanci, bumelanci i inni przestępcy, ludzie, którzy złamali dyscyplinę pracy⁹⁶.

⁹⁶ Bytowik – osoba skazana za przestępstwa niepolityczne. Termin ten, wprowadzony w r. 1922, wynikał z przekonania, że morderstwo, kradzież lub oszustwo jest skutkiem warunków bytowych odziedziczonych po caracie. Dlatego też „bytowicy”, uznani za element nieświadomiony, mieli wiele przywilejów w odróżnieniu od więźniów politycznych.

Kryminaliści to dla oskarżonych z artykułu pięćdziesiątego ósmego istny koszmar. Niedopuszczalna, całkowicie bezkarna brutalność konwoju również najboleśniej dotyka więźniów politycznych, ponieważ są wrażliwsi od kryminalistów.

Konwojentów nazywają w łagrze „strzelcami” lub „wochrami” (od słów *wooružonnaja ochrana* – uzbrojona ochrona). W przeważającej większości są to przedstawiciele mniejszości narodowych.

Pierwszego dnia rano Lelę przydzielono do brygady, obtłukującej lód na „leżniewce” – tak nazywano wąskie drogi wytyczone do sąsiednich łagrów i ośrodków karnych w różnych częściach lasu, a także drogę do osady, w której mieścił się zarząd łagrów i gdzie mieszkali wolnonajemni pracownicy. Podstawowym zajęciem był wyrąb lasu, lecz znaczną część więźniów zatrudniono przy pracach dla potrzeb łagru – w stołówce, w kuchni, w szpitalu, przy utrzymaniu dróg i przy transporcie.

Od razu okazało się, że praca ta przekracza siły Leli – łom był zbyt ciężki, wypadwał z rąk; strażnicy poganiali niemiłosiernie nie szczędząc ordynarnych wyzwisk:

– Będziesz się ruszać czy nie? No, szybciej, przygłupie, ty burżujski śmieciu!

Wracając owego pierwszego dnia do baraku Lela ocierała ręką oczy na myśl, że dzień jutrzejszy będzie taki sam, że sił ubywa, a przed sobą ma jeszcze mnóstwo takich dni, równie przerażających!

W dodatku z miejsca zadarła z urkami. Wkrótce po przybyciu do łagru stała się świadkiem następującej sceny: na jednej z górnych prycz siedziała wymachując gołymi nogami i potracając nimi głowy przechodzących wymalowana krzykliwie ślicznotka o rudych, potarganych włosach. Podszedł ogromny, grubo ciosany chłop, zaklął ordynarnie, ściągnął ją za nogi na podłogę i zaczął okładać pięściami. Lela wyskoczyła z krzykiem przed barak:

– Na pomoc! Na pomoc! Bija człowieka!

Nawinęli się strażnicy, wywlekli tłukącą się pięściami parę. Natychmiast ze wszystkich prycz zeskoczyły urki, otoczyły Lele wyzywając ją od „swołoczy”.

– Zrobił jej scenę zazdrości, a tobie co do tego?! Kto ci kazał się pchać? Po coś ich poszczuła? – jazgotały baby wokół zdetonowanej dziewczyny.

Dopiero wtedy Lela dowiedziała się, że mężczyznom do baraku kobiecego, a kobietom do męskiego nie wolno wchodzić pod groźbą surowej kary. Zabronione są też miłosne randki, więc kiedy ktoś doniesie, że kobieta spotkała się z mężczyzną (nawet jeśli nie było to spotkanie kochanków), jest to zdrada równie podła jak na wolności.

Tego samego wieczora kilka urek grało w karty o buciki Leli – ta, co przegra, musi je ukraść i wręczyć tej, która wygrała. Nie znalazłszy nazajutrz rano swych ulubionych bucików Lela wpadła we wściekłość, czym potem sama była zdumiona.

– Okraść więźniarkę, współtowarzyszkę niedoli! Zabrać człowiekowi ostatnią rzecz, jaką posiadał! To podłość, nie macie sumienia! – w bolesnym rozdrażnieniu powtarzała przy umywalkach, gdzie tłoczyły się mieszkanki baraku. Podszedł strażnik i kazał stanąć w szeregu – idą do stołówki. Wtedy Lela, nie zastanawiając się nad skutkami, wyrażała głośno:

– Towarzyszu strażniku, spiszcie protokół: zostałam okradziona! To niedopuszczalne wśród więźniarek. Protestuję i domagam się znalezienia winnej.

Ruda urka – wielka, wytatuowana dziewczucha w jakoś krzywo zawiązanej chusteczce – stanęła naprzeciw Leli i pokazała jej dwa palce, a potem przesunęła nimi po szyi. Jednocześnie z tyłu ktoś mocno ścisnął Lele za łokieć. Odwróciła się i zobaczyła dwie zatroskane twarze.

– Niech pani będzie cicho! Proszę nic nie mówić! – szepnęły obie kobiety. Lela zmieszana umilkła; konwojent odwrócił się:

– No, którą to okradli! Wyjdź z szeregu! Co mam pisać? Odpowiedzią była cisza. Konwojent wyszczerzył zęby:

– Rozmyśliła się baba skarżyć! Faktycznie, lepiej trzymać gębę na kłódkę! No, szybko ustawiać się! Idziemy.

Niemłoda dama o głośnym, podwójnym nazwisku – żona oficera z carskiego krążownika „Aurora” i jeszcze jedna, córka biskupa luterańskiego, obie długo próbowały wytłumaczyć Leli sytuację.

– Wie pani, co znaczą dwa palce? To groźba, że zabiją, zabija, jeśli dalej będzie się pani skarżyła konwojentom. Proszę raz na zawsze zapamiętać: podjudzać konwoju przeciw urkom, broń Boże, nie wolno! Znajdą sposób, żeby się zemścić. A my musimy w milczeniu znosić ich wybryki. Zresztą, jak się dokładnie przyjrzeć, nie wszystkie urki są takie podłe, czasem bywają dobrymi koleżankami – mówiła żona oficera.

– Życie tutaj nie jest warte złamanego grosza! – powiedziała Magda, córka biskupa. – Siedzę w łagrze już drugi raz. W tamtym, poprzednim, urki grały w karty o głowę naczelnika łagru: ta, która przegrała, musiała go zabić i zrobiła to. Niech im pani nigdy nie grozi, nie podkreśla różnicy między sobą a nimi.

Kładąc się tej nocy spać i zakrywając kocem po głowę, Lela przeżegnała się:

– Terror urek! Tego jeszcze brakowało!

Nocą obudziło ją szarpnięcie i głośny szept nad uchem. Oblał ją zimny pot. Siadła i zaczęła ze strachem rozglądać się dokoła. Zajmowała górną pryczę w kącie i ceniła to miejsce: była tam szczelina między belkami, wiało przez nią, ale i przedostawał się strumień czystego powietrza. Obok było miejsce młodziutkiej urki Podszywałowej, niemal dziewczynki ze śliczną buzią. Już w szkole Podszywałowa związała się z bandytami i nadawała robotę złodziejskiej szajce. Lela zobaczyła, że urka szeptem rozmawia z mężczyzną, w którym rozpoznała jednego ze strażników – strzelca Aloszkę; był to syn kozaka dońskiego, zesłanego w te strony po

rozformowaniu Wojska Dońskiego. Polityczne dziwiły się, że Aloszkę przyjęli na służbę, choć jego ojciec był represjonowany. Ledwo Lela zdążyła się zdziwić, co tu robi Aloszka o tej porze, zobaczyła, że strażnik zdejmuje szynel. Bez ceregieli nakrył nim Lelę szturchnąwszy ją przy tym lekko łokciem, a sam zwałił się na Podszywałową, która objęła go obiema rękami. Krew napłynęła do policzków Leli.

– Jak pan śmie! Co za bezwstyd! Nie jesteście tutaj sami! – zawołała z oburzeniem.

Strażnik skrzywił się:

– No, no, jaka ważna! Tylko powiedz z łaski swojej, gdzie mamy zostać sami?

Na jednej z prycz uniosła potworną głowę ruda urka Lidka Majorkina; w słabym świetle brudnej lampy pod sufitem jej twarz z wyblakłymi oczami przypominała oblicze Gorgony.

– Kto tu rozrabia? Znów ta pieprzona inteligencja! Myślałby kto, święta się znalazła! A ty kto jesteś – nie baba? Poczekaj – nauczymy! Hej, urki, przelećmy ją, niech nie zadziera nosa!

Lela wcisnęła głowę pod poduszkę.

Na szczęście, gdy nazajutrz rano zabrzmiał gong, do baraku weszli dwaj rośli strażnicy i poszli wprost do Lidki Majorkinej:

– No, zbieraj manele. Jedziesz do innego łagru. Transport już czeka.

Znów nastąpiła odrażająca scena: urka piskliwie wrzeszczała, pluć, bluzgała przekleństwami, wreszcie rozebrała się do naga, chyba na znak protestu. Strażnicy wezwali na pomoc jeszcze dwóch rośli strzelców, zawięzli wytatuowaną ślicznotkę we flanelowy koc, zawięzali sznurem i wynieśli z baraku mimo rozpaczliwych wrzasków i szamotaniny.

– Czemu się tak broniła? Nie wszystko jedno, jaki łagier? – spytała Lela sąsiadkę.

– Ma tutaj kochanka, a zresztą kto chce iść do żony karnej?

Już dawno jej grozili, że za te ciągle awantury przeniosą do karnej – powiedziała tamta. Lela zobaczyła przez okno odjeżdżające sanie, a na nich zawiniętą w koc postać, przykrytą rogoża jakby już nie żyła.

– Ma pani szczęście, że ją przenieśli. Pan Bóg nad panią czuwa – szepnęła do Leli przy umywalce córka biskupa.

Szczupłą sylwetka i odsłonięte skronie Magdy przypominały Leli Elżbietkę.

– Co to znaczy „przelecieć”? – spytała Lela.

– To ich przestępczy żargon... pewno okraść... – odpowiedziała Magda.

– Słyszała pani, co działo się nocą? – znów zapytała Lela.

Wycieńczoną twarz niemłodej panny zalał rumieniec.

– Nie potępiajmy naszych młodszych sióstr i braci. Może nie zaznali w dzieciństwie szlachetnego wpływu jak my. Pan Bóg ich osądzi – odpowiedziała Magda.

Tego ranka strażnik, przydzielony do konwojowania partii mającej rozbijać przy drodze lód, powiedział wskazując palcem Lele:

– Towarzyszu naczelniku, tej nie biorę – wlecze się jak ślimak! Cała partia przez nią się spóźnia. Łomem też ledwo porusza: zaniża wszystkim normę. Istna bieda z takim śmieciem. Spytajcie brygadzysty...

Brygadzysta, inteligent z „pięćdziesiątego ósmego” artykułu dodał ze swej strony:

– Zgadzam się z opinią konwojenta. Jest za słaba do takiej pracy. Nasza brygada przekraczała normę, mogliśmy wysłać dodatkowy list do domu, a teraz grozi nam niewyrobienie normy przodowników pracy.

Lela spojrzała na brygadzystę jak zaszczute zwierzątko, nie rozumiała, że chce załatwić sprawę tak, by i dla niej było to

korzystne. Czeki sta popchnął ją w stronę lekarza zawsze obecnego przy odprawach:

– Ej ty! Służbo medyczna! Zorientuj się, do jakiej pracy jest zdolna!

Lekarz, również więzień, zaprowadził Lelę do swojej komórki, wysłuchał jej skarg, osłuchał stetoskopem piersi i stwierdził, że nadaje się tylko do lekkiej pracy. Ma gruźlicę i silną nerwicę serca.

Od tego dnia kazano Leli dyżurować w ziemiance przy kotle, podsycać rozpalony ogień. Nieco z boku, w szopie, stały beczki z paliwem, a gdy przyjeżdżały ciężarówki, Lela wydawała kierowcom benzynę i gorącą wodę, po czym zapisywała ilość przydzielonych litrów. Wątpiła, czy przesycone benzyną powietrze będzie zdrowe dla jej płuc, ale milczała: praca w ziemiance była znacznie lżejsza. W przerwach między przyjazdami kierowców można też było się zdrzemnąć, opuściwszy głowę na księgę rachunkową. O godzinie pierwszej, słysząc nawołujący gwizdek, Lela szła z łyżką po kubek „bałandy”, jak nazywano w łagrze zupę; przywożono ją z żony mieszkalnej dla więźniów zatrudnionych w żonie bezpieczeństwa. Wieczorem wszyscy jedli kolację w stołówce.

Wkrótce Lela zaprzyjaźniła się ze starym piekarzem - bytowikiem. Przyszedł do niej któregoś dnia, by wyprosić trochę nafty do pieca na podpałkę, a z czasem zaczął zjawiać się codziennie z butelką przynosząc Leli pajdę żytniego chleba. Chowała ją za pazuchę, a w wolnych chwilach jadła maleńkimi kawałeczkami delektując się tą ucztą. Nigdy jednak nie wynosiła chleba z ziemianki obawiając się pytań, skąd wzięła taki skarb.

Przynosił jej też trochę chleba Aloszka.

– Bierz, niedotykalska! Tylko siedź cicho! – powiedział któregoś dnia.

Lela wybuchła:

– Nie musisz mnie kupować! Nie cierpię donosów: wsadzili mnie za to, że nie wydałam człowieka!

– Dość tego gadania! No, no, ale bierze sobie do serca! Jedz, skoroś głodna – odciął.

Niektórzy z politycznych byli zdania, że Aloszka jest łagodniejszy od innych strażników – Lela chyba zgadzała się z tą opinią.

Podszywałowa chwaliła się sąsiadkom:

– Robótkę dostałam niemal jak kiedyś przy ferajnie!

Kazano jej przebierać warzywa; za każdym razem przemycała w kieszeni brukiew lub marchew i zawsze częstowała Lełę. Dozorcy przy wejściu mieli obowiązek rewidować wracające z pracy brygady, lecz pod nieobecność wyższych władz GPU procedura ta była czysto formalna, zaś Podszywałową, kochankę kolegi, rewidowano niedbalej niż inne więźniarki.

„Jestem złą koleżanką” – myślała Lela przyjmując ochłapy od Podszywałowej i wspominając chleb, który przynosił jej piekarz. Lecz nieufność do urek tkwiła w niej głęboko! Tam, w Leningradzie, Podszywałowa obserwowała damy w drogich futrach, a potem dzwoniła do mieszkań i prosiła cichutko: „Niech pani otworzy, chciałam się tylko dowiedzieć...” A obok stali włamywacze z siekierami. Lela odpędzała od siebie takie myśli. Być w niezgodzie z całym barakiem, u nikogo nie znajdować współczucia lub pomocy to zbyt straszne! Nawet najsubtelniejsze damy, w rodzaju księżny Trubeckiej, odnosiły się do urek przyjaźnie, nie podkreślając klasowych różnic. Innego wyjścia nie było! Uczucia przytępiały się, nawet niepokój o bliskich pomалу zanikał, opadał na dno serca... Śmiertelne znużenie zasłaniało wszystko, osnuwało uczucia szarą mgłą. W dziurawych walonkach i w waciaku spisany na straty z lagrowego inwentarza ze względu na niezdatność do użytku, przepasana pończochą, z ukrytymi pod chustką lokami, blada, niemal sina, nie myślała teraz ani o urodzie, ani o szczęściu. Towarzyszyło jej nieustannie jedno pragnienie: położyć się i pospać.

Pewnego lutowego ranka łupała szczapki na klęczkach koło swojej szopy, gdy nagle usłyszała głośne władcze pytanie:

– No, co się tam znów stało? Rzuciła się na druty kolczaste?

Lela odwróciła się: o dwa kroki od niej stał jakiś naczelnik i pytał strzelca, który szedł obok i niósł kobietę w lagrowej kurtce. Jej ręce zwisały bez życia, długi warkocz włókł się po śniegu...

– Musiałeś strzelać? – znów zainteresował się naczelnik.

Strażnik przystanął.

– Nie! Po co miałem strzelać? Podczas wyrębu podpiłowali drzewo, zgodnie z regulaminem krzyknęli: uwaga, odejść! – a ta stoi i liczy wrony, jak głucha... Przygniotło ją na śmierć! Może stanęła specjalnie – nieuświadomiony element.

– Za to ty jesteś strasznie uświadomiony! No dobra, nie będziemy wyjaśniać, co i dlaczego – zapiszemy, że trzasnęła kopytami, ale tobie, brachu, wlepię nagane w raporcie: w ostatnim roku już piąty raz na twoim dyżurze taki bałagan! Nie stój tu, po co każdy ma się gapić – zanieś do kostnicy! Tylko wezwij lekarza – niech potwierdzi zgon.

Gdy na wieczornym apelu wywołali nazwisko: Koczergina Anna! – odpowiedzi nie było. Wywołali jeszcze raz. Cichy szept przemknął przez szeregi, a potem ktoś wydusił:

– Zabiło ją padające drzewo.

Jeden ze strzelców podszedł i powiedział coś szeptem. Ruch ręki – i wykreślona! Córka biskupa stojąca obok Leli wytarła oczy.

– Była jeszcze młoda – szepnęła. – Miała zaledwie trzydzieści dwa lata. Pozbawili ją prawa do korespondencji, strasznie tęskniła za rodziną... Ktoś będzie nieszczęśliwy, jeśli zawiadomia... choć może nie zadadzą sobie trudu.

– Czy to aby nie samobójstwo? – spytała Lela.

– Skąd! Co pani mówi?! Miała dziecko, matkę, męża. Nie zdecydowałaby się na taki grzech. Nie wolno jej nawet

podejrzewać – szybko powiedziała Magda.

– Czy samobójstwo w takich warunkach można uważać za grzech? – zastanawiała się Lela.

Wieczorem, kiedy się położyła, usłyszała głos Magdy:

– Heleno Lwowno, niech pani do nas zejdzie. Chcemy się pomodlić za zmarłą. Zebrało się kilka osób.

Lela zwiesiła głowę z pryczy:

– A urki? Nie doniosą?

– Myślę, że nie. A pomodlić się za kogoś, kto jeszcze wczoraj był z nami, to nasz obowiązek.

Nazajutrz nie wywoływano już Koczerginej na porannym apelu, lecz Leli rzuciło się w oczy, że Magda jest strasznie zdenerwowana. Wciąż rozpacza po zabitej? A może ma przykrości z powodu modłów w intencji zmarłej? – aż dreszcze nią wstrząsnęły na myśl, że widziano ją, jak stała obok Magdy i robiła znak krzyża. A nuż czeka ją łagier karny lub karny ośrodek? W czasie odprawy nie miała okazji podejść do niej i porozmawiać; pracowały i jadły obiad w różnych zónach. Dopiero podczas kolacji w stołówce podeszła do Magdy i spytała, co się dzieje. Okazało się, że z magazynu, w którym pracowała Magda, zginęło kilka walizek wraz z całą zawartością.

– Oczywiście, że to urki! Ich robota! Konwojenci nie odważyliby się – zalewała się łzami Magda.

Obok nich przechodził właśnie prowodyr urek – przystojny młodzieniec, absolwent pięciu klas szkoły podstawowej. W łagrze wołali na niego Zora. Przystanął na widok zapłakanej Magdy.

– Co się tak mazgaisz?

Lela spojrzała na niego z wściekłością, a Magda powiedziała pokornie:

– Spotkało mnie nieszczęście, Zora! Jestem magazynierką, a ostatniej nocy zginęło kilka walizek. Pomyśl, w jakiej jestem

sytuacji! Ulituj się nade mną, Zora, pomóż mi!

Młody człowiek zastanowił się, jakby coś wyważał w myślach. Magda kurczowo schwyciła rękę Leli.

– Spróbuję coś zrobić. Poczekaj trochę, bekso – i oddalił się podśpiewując.

Po kolacji, gdy Lela i Magda wychodziły ze stołówki, Zora podszedł do nich i szepnął:

– Poszukajcie w zaspie za barakiem dezynteryjnym, tylko buzie na kłódki...

W łągrze śnieg nie był nieskazitelną, czystą pokrywą, tak piękną na polach i w ogrodach – był zszarzały, zapaskudzony, opluty, rozdeptany, jakby zhańbiony. Po każdej śnieżycy już następnego dnia znów robił się czarny.

Dziewczęta weszły w zaspę i zaraz natknęły się na coś twardego.

– Tutaj, tutaj! – zawołała radośnie Magda.

Lela obejrzała się w stronę kuchennego wejścia do szpitala; stała tam miotła i łopata.

– Przydałaby się ta łopata. Zaraz poproszę – i szybko wbiegła do sieni. Nie było tam żywej duszy. Zastukała na chybił trafił w jakieś drzwi, otworzyły się natychmiast.

– Alonka?! To ty? – wyciągnęły się ku niej męskie dłonie. Nie zdążyła ochłonać, gdy wpadła w ramiona Wiaczesława i rozplakała się na jego piersi.

– Moja najmilsza! Oto gdzie przyszło nam się spotkać! Nie wiedziałem, że jesteś tutaj. W Swierdłowsku przeformowali grupę, myślałem, że już na zawsze zgubiłem twój ślad! Jakaś ty wycieńczona... nie jesteś chora? A ja chodziłem wtedy do ciebie do więzienia... tak było mi cię żal, że się serce rozrywało na strzępy. Tak bardzo cię pokochałem, nie mogłem zapomnieć, chociaż mnie wygnałaś, dumna dziewczyno! Już nawet dostałem zgodę na widzenie, ale i mnie wsadzili – też przypisali kontrę.

– Wiaczesławie... tyle nieszczęść... moja mama umarła... Olega rozstrzelali, Asia na zesłaniu... Mnie też z początku skazali na rozstrzelanie... Siedziałam w celi śmierci, a teraz dali mi dziesięć lat!

– Ja też dostałem dziesięć. Nie płacz, moja śliczna, łzy nic nie pomogą! Skoro się spotkaliśmy, będziemy się widywać ukradkiem, a jak będziemy razem, jedno podtrzyma drugie na duchu... Może uda się nam przeżyć...

Podniosła oczy na Wiaczesława – on też się zmienił przez te dwa i pół roku – schudł, stracił młodzieńczy wygląd. Ciężkie przeżycia niczym dłuto rzeźbiarza wymodelowały tę twarz, nadały jej wyraz zamyślenia.

– Wiaczesławie, często pana wspominałam... jestem bardzo, bardzo samotna. Och, już nie jestem dumna! To wszystko minęło!

Jego usta przywarły do jej ust.

– Boję się... wejda... narobią krzyku.. – wyszeptała wrywając się z jego ramion.

– Alonko, słoneczko ty moje! Pytałem o ciebie w baraku kobiecym... ale jedna bytowiczka zapewniała mnie, że Nielidowej tam nie ma. Na pewno jesteś zdrowa? – takaś przezroczyista i chuda...

– Jestem chora, brak mi sił, z trudem się poruszam! Chętnie bym się położyła, żeby już nie wstać. Męczy mnie gorączka, zżera rozpacz... Lepiej umrzeć.

– Nie mów głupstw, Alonko, umrzeć zawsze zdążymy! Nie wrywaj się – jesteśmy sami. Gdzie pracujesz?

– Wydaję szoferom paliwo; jestem w żonie bezpieczeństwa, w ziemiance, za warsztatami. A pan... a ty?

– No, rozumie się, pracuję jako felczer! Dostałem się na oddział zakaźny – leżą tam chorzy na tyfus i dezynterię. Musimy wymyślić sposób, żeby się widywać. W naszym szpitalu pracują tylko więźniowie... Jest tu dużo dobrych ludzi... pomogą. Mamy

wielu chorych, w ciężkim stanie, a leków prawie nie ma, jedzenie też nic niewarte. Straciliśmy rachubę zgonów; pracujemy po dwanaście godzin, jesteśmy potwornie zmęczeni. Wiesz, sam zaraziłem się dezynterią, leżałem cały miesiąc, byłem pewien, że nie wstanę – krwawa dezynteria. Bądź ostrożna! Śmierć szaleje w łagrze. Warunki sanitarne są fatalne! Piszemy raporty, lecz wszyscy mają je w nosie, tak jakby była mowa o psach, a nie ludziach! – Nagle Wiaczesław puścił jej rękę: – Idą!

Śmierć szaleje w łagrze! Leli wydało się, że w jednym z brudnych kątów baraku czai się straszliwe widmo i wypatruje ofiar.

Pojawił się pielęgniarz.

– Sławku, gdzie podziałeś surowicę?

Lela dopiero teraz przypomniała sobie o Magdzie.

– Czy mogę pożyczyć łopate? – spytała.

– Bierz, dziewczyno, tylko postaw potem na miejsce.

Lela wybiegła na ganek i natychmiast się cofnęła: tuż obok, ścieżką wytyczoną w śniegu szli dwaj czekiści z rewolwerami w kaburach.

– Poproście towarzysza Piętrowa, niech przydzielą pięciu popów do pilnowania magazynów. Lepiej niż popi nikt u nas nie pilnuje – mówił jeden do drugiego.

Magda też zamarła po przeciwległej stronie ścieżki. Czarna wrona siadła na szary śnieg...

Rozdział dwudziesty pierwszy

A zatem jest kochana! I co dalej? Miłosne spotkania, jak Aloszki z Podszywałową? Na to Lela nie pójdzie, a on zbyt ją szanuje, by proponować coś takiego! Ale jak można inaczej? Podszywałową opowiadała o pewnej parce pracującej przy warzywach: podczas przerwy na papierosa kochankowie wdrapywali się do ogromnej kadzi, zaś reszta brygady siadała na ziemi oparłszy się o każdą plecami i kpiła z nich, czasem nawet zagadywała. A niedawno w baraku kobiecym strażnicy ściągnęli z górnej pryczy niemłodego kucharza i ubliżali mu przy wszystkich, potem został przeniesiony do innego łagru – prawie każda miłość kończyła się w ten sposób.

A może zrezygnować ze spotkań z Wiaczesławem? Lecz przed nimi tyle jeszcze lat! Kto wie, czy oboje wyjdą żywi z tego przekłętego miejsca. Jeśli zgasić iskierkę, która zaczęła płonąć, nie pozostanie nic – a wtedy koniec! Miłość, tylko miłość pozwala człowiekowi trzymać się życia w tych potwornych warunkach!

Pożyczyła od Podszywałowej nadtłuczone lusterko i przyjrzała się w nim: jest jeszcze ładna! Kąciki warg nieco przywiedły, policzki są zapadnięte, lecz rysy zachowały szlachetny kontur. Oczy wskutek zmęczenia i bezsenności wyglądają jak obwiedzione tuszem; grzywki nie ma, lecz niepokorne kosmyki wydostają się na czoło spod szkaradnej chustki; wychudła; kości obojczyków sterczą, pierś się zapadła, lecz jest w tym jakiś wdzięk... Jeszcze jest ładna, choć straciła dawną dziewczęcą świeżość. Nie ma zmarszczek ani fałd, jednak nieuchwytnie widać męczeństwo, które przeszła. Może nawet jest jeszcze bardziej pociągająca z piętnem smutku na twarzy. A on potrafi ocenić tę zmianę, nic go nie powstrzyma, jest śmiałym, przedsiębiorczym, odważnym mężczyzną, takim jak Oleg, więc coś wymyśli, znajdzie wyjście!

Tymczasem minał dzień, a oni nie mogli się zobaczyć nawet przelotnie, a przecież każdy ich dzień jest jakby wyrwany śmierci! Nadeszła noc, Lelę ogarnął strach; wpatrywała się w ciemne kąty

baraku, jakby istotnie się spodziewała, że ujrzy tam szkielet z kosa.

Kto się zaraził, kto wkrótce umrze? Może i ona? Dziś znów pogryzły ją wszy, kto wie, może tyfusowe? Czy naprawdę odejdzie z tego świata, zanim... Mój Boże, nie pozwól mi umrzeć przed spotkaniem z ukochanym...

Całą noc kręciła się na twardej pryczy, słodka udręka wypełniała pierś.

Dzień zaczął się od przykrej niespodzianki: odwołali ją z dotychczasowej pracy, przerwali na wyrąb lasu zamiast zmarłej Koczerginej. Do szopy z paliwem skierowano Podszywałową. Lela nieraz mówiła jej o dobrych stronach tej pracy, widocznie puściła w ruch swoje chody, by dostać to miejsce. Opinia lekarska znaczyła niewiele dla ludzi, od których zależał przydział pracy.

– Jakaś ty podła, Żeńka! – powiedziała do Podszywałowej przekazując jej w kantorze księgę rachunkową i klucze.

– Nawet palcem nie ruszyłam, słowo honoru! Bóg mi świadkiem! – trajkotała tamta, jak najęta. – Wiesz, że przebieranie warzyw się skończyło, musieli nas gdzieś wcisnąć, więc mój kochaś się postarał. Obiecał nacisnąć, żeby wzięli do krajania chleba, a tu, proszę, szopa z paliwem! Jeszcze mu zmyję łeb, że przegapił taki kasek, głupi bałwan! Nie złość się, Lenka: jak się urządzę w krajalni chleba, będę ci przynosiła kromki.

Lela tylko machnęła ręką i wyszła z kantoru.

Pognali ich daleko za żonę w kolumnie, pod konwojem. Mężczyźni zwalali i piłowali drzewa, kobiety zbierały gałęzie: należało narąbać i przygotować określoną liczbę wiązek. Wochrowcy – wśród nich Aloszka i wąskooki muzułmanin Kosym – prawie nie zwracali uwagi na kobiety, za to pilnie strzegli mężczyzn. Co chwila rozlegały się ich wrzaski:

– Dokąd to, dokąd, panie ładny! Nie oddalać się – ryczał Aloszka. – Wracaj natychmiast! Jak dostaniesz kulkę w łeb, nie będzie ci do śmiechu! No właśnie.

Muzułmanin był małomówny:

– Celujem! – darł się na całe gardło.

Strażnik ten odsiedział w łagrze wyrok za nieudaną zemstę rodową, a gdy odzyskał wolność, zaciągnął się do konwoju; chciał wrócić na urlop do swej ojczyzny, by znowu się mścić. Niektórzy z politycznych, również Magda, próbowali go od tego odwieść, ostrzegali, że znów trafi do łagru i to na wiele lat, lecz w odpowiedzi słyszeli tylko jedno: „Zabiję!”

Przy łagrze był zakład fotograficzny, zwany „pokażmordą”; muzulmanin sfotografował się tam nagi, z dwoma rewolwerami i pokazywał zdjęcie kolegom zapewniając ich, że takie same wysłał swojemu wrogowi jako pogróżkę.

Lela nie miała dotąd okazji widzieć tego strzelca, teraz jednak jego gardłowe okrutne „Celujem!” przyprawiało ją o drżenie.

Z pracą nawet bez poganiania należało się spieszyć; norma była bardzo wysoka. Nieprzyzwyczajona do wysiłku fizycznego na powietrzu Lela zmęczyła się nie mniej niż w pierwszym dniu, tym bardziej, że wiał ostry wiatr.

Gdy po pracy, już w żonie mieszkalnej, wychodziła ze stołówki, dostrzegła Wiaczesława: spacerował po podwórzu między kuchnią a stołówką z jakimś młodzieńcem w okularach. Wiaczesław nigdy nie zjawiał się tutaj w tak zwanym czasie wolnym (między kolacją a gongiem). W szpitalu, ze względu na nocne dyżury, rozkład pracy był inny, zależał od lekarzy; z tego zapewne powodu Lela i Wiaczesław nie spotkali się do tej pory. W każdym razie jego przybycie na łagrowy plac było dla Leli znakiem, że chce przekazać jej wiadomość. I rzeczywiście: w kilka minut później młodzieniec w okularach zbliżył się do ławki, na której siedła przy kobiecym baraku, przywarł do ściany i patrząc nie na Lelę, a przed siebie, powiedział:

– Pani pozwoli, że się przedstawię: moje nazwisko Ropszyn, jestem biologiem. Pracuję tu jako laborant, naturalnie jestem

polityczny. Niech pani upuści chustkę; podnosząc ją podam list.

Lela zerwała z głowy chustkę i kartka znalazła się w jej ręku.

Nie była zaszokowana, że do ich spraw wtrącają się osoby postronne, rozumiała, że trzeba zachować ostrożność.

Wprost przeciwnie – czuła się lepiej na myśl, że miłość ich znalazła się w ciasnym kręgu taktownych, życzliwych ludzi.

Na blankiecie recepty było napisane: „Alonko! Jutro, zaraz po kolacji, podejdź do kuchennego wejścia baraku dla chorych zakaźnie. Będę czekał. Jutro dyżuruje lekarz, z którym się przyjaźnimy, obiecał odstąpić mi swój ką. Cały personel, który tam będzie, wie o wszystkim. Twój W.”

Lela zadrżała. Nie wiedziała sama – z namiętności czy z nieśmiałości. Strach, jeśli ich nakryją, strach wejść do zakaźnie chorych, strach, jeśli się nie uda! Miała przy sobie małą ikonkę Matki Boskiej, która niegdyś wisiała u wezglowia Zinaidy Glebowny; Asia, przygotowując dla Leli paczkę z ciepłym ubraniem, wszyła ją za podszewkę. Lela wymacawszy ją rozpruła podszewkę, wyjęła i starannie ukrywała przed wzrokiem ciekawskich. Nigdy jeszcze nie modliła się w łagrze, święty obrazek miał dla niej wartość głównie jako pamiątka po matce. Tego wieczora, przekonawszy się, że sąsiadki zasnęły, sięgnęła po ikonkę.

Jak brzmi ten troparion⁹⁷, który tak lubi Asia? „Pomóż nam, bo giniemy...” Nie, nie pamiętam! Chroń nas przed nienawiścią, ratuj przed prześladowaniem, głodem i zarazą. Choć raz w życiu okaż mi boskie miłosierdzie! Choć jeden raz! Prawie nie wierzę w ciebie, Panie, a mimo to błagam!

Ciemne, zatarte oblicze zastygło w martwocie. Cóż to takiego: skrawek martwej materii czy relikwia pełna łaski i siły tajemnej? Czy pozostała w tej ikonce cząstka matczynej miłości, czy ta miłość jest nieśmiertelna?

Mamo, mateńko! Czy widzisz swoją córeczkę na słomie, w

⁹⁷

Troparion (cerk. z gr.) – pieśń kościelna; rodzaj hymnu modlitewnego.

więziennym stroju, zawszawioną, chorą? Czy widzisz, jaka jest samotna? I nie może modlić się do świętych, nie potrafi! Prędeży Ty ją usłyszysz! Byłaś zawsze taka potulna i cierpliwa dla swojej kapryśnej, narwanej córki, żałowałaś, że tak mało zaznała szczęścia... Wymódl dla niej choć godzinę radości, wymódl pocałunki mężczyzny – marzy o nich już od tylu lat, lecz wciąż nie ma, nie ma miłosnego ognia. Nie mogę przecież o to prosić Boga, a ciebie, mamu – mogę! Mamusiu, pokorna męczennico, biedna moja mamu! Tak mało zaznałaś troskliwości i pieczyoty... Nigdy twoja córka nie interesowała się, czyś nie głodna, choć wiedziała, że oddajesz jej najlepsze kaski; nigdy cię nie pytała, czy nie jesteś zmęczona, kiedy prałaś lub szorowałaś podłogę – ona paplała i spacerowała z Asią. A jednak kochała cię! Często, bardzo często nurtowało ją pragnienie, by przytulić się do ciebie, obsypać pocałunkami twoje dłonie... Ale coś ją powstrzymywało: jakaś głupia powściągliwość, właśnie wtedy, gdy była niepotrzebna. Strach, że wyda się sentymentalna lub dziecinna. Dopiero gdy ciebie zabrakło, zrozumiała, czym była dla niej twoja miłość! Jeśli żyjesz – przyjdź mi z pomocą. Pomódl się do Matki Boskiej – ciebie ona usłyszycy... Jutro... Jutro!

Rozdział dwudziesty drugi

– Aksiniuszko, samowar na stole! Chodź, wypij herbatki! – krzyknęła z sieni stara wieśniaczka w kusej kacabajce i czepku.

– Dziękuję, Mielietino Iwanowno! Ukołyszę Sonieczkę i zaraz przyjdę – odezwała się ze świetlicy Asia i w kilka minut później przebiegłszy wychłodzoną sień nieśmiało poruszyła skobel od drzwi. – Sami jesteście, Mielietino Iwanowno?

– Sama, sama, nie bój się. Chodź, siadaj pod ikonami. Należy ci filiżankę. Dzieciaki już śpią?

– Śpią.

– No to chwała Bogu! Pocieszny ten twój synek, Siewołodowna! Jakiś niedawno do brygadzisty poszła, wciąż się koło mnie kręcił – opowiedz, nudzi, o kocie w butach, choć każdziuteńkie słówko zna, trzech latek nie ma, a taki mądry. Teraz mu opowiem o koziołku i siedmiu wilkach.

Asia patrzyła z zamyśleniem na parę, snującą się z samowara aż pod niski, drewniany sufit.

– Mały lubi bajki – powiedziała cicho.

– Patrę ja na ciebie, Siewołodowna, i aż serce się ściska, tak mi cię żal: ani się nie uśmiechniesz, nie rozpromienisz. Wiadomo – ciężko żyć we wdowieństwie, zwłaszcza z początku i z dwójką drobiazgu; ale kto żyje bez smutku, moja kochana? Twój smutek można naprawić – młodaś i urodna, niejeden swaty wyśle; a dzieci masz od rodzzonego męża, mądry chłop wypominać ci nie będzie. Uspokoisz się, znów zostaniesz czyjąś żonką. A jak będziesz od rana do nocy się zamartwiać, wyschniesz przed czasem jak patyk. Nie można tak, serdeńko. Twoja gębusia to też dar boży.

– Nie trzeba mnie pocieszać, Mielietino Iwanowno. Dziękuję, za dobre słowa, ale... Ukryłam moje nieszczęście pod kluczem, gdy ktoś go dotyka, jeszcze bardziej boli.

– Popłakać, Aksiniuszko, czasem lepiej niż tłamsić w sobie zmartwienie. Niema rozpacz, ta ukryta, jest najgorsza; zżera

człeka jak robak.

– To nic. Niech zżera.

– Oj, czego gadasz po próżnicy? Nie godzi się – masz dzieci. Taką ładną parkę. Sonieczka oczka na mnie wytrzeszcza niczym sowie pisklę. Powiadają, nie zatrzyma się długo nieszczęście tam, gdzie tupią dziecinne nóżki. A w Boga wierzysz?

– Wierzyłam... wierzę! jakby daleki słoneczny odblask prześlizgnął się przed oczyma Asi, gdy wymawiała te słowa.

– No to nie grzesz. To wielki grzech – śmierć przywoływać. Zły duch w głowie ci maści. Choćby ja, na ten przykład – pochowałam wszystkich, z nielubianą synową zostałam, we własnej chacie nie jestem gospodynią, a ciągiem żyję. Po co – to tajemnica boska – tylko Bóg wie, ile komu żyć sądzone. Wezmę cię ze sobą do cerkwi. Tylko, że to tera daleko. Trza by konia u brygadzysty wyprosić – nie mamy już koni. Czasem idę do kolchozowej stajni i wołam: Gniady, Gniady! – a on zara do mnie, dyszy mi na rękę. Zmarniał, biedak, sparszywił, jak dzieciak bezdomny.

Bez roboty, w zaniedbaniu stoją tam nasze koniska. Istne nieszczęście!

Jakiś czas milczały.

– Poczekaj, Siewołodowna, jak przyjdzie wiosna. Zazielenia się nasze lasy, ptaki zaczną śpiewać, będziem z tobą zbierać jagody i grzyby. Okolica tu lesista, rozległa, co prawda, głucha; jak kto lubi miejskie życie, to mu się będzie cknęło, ale nasze lasy bardzo piękne.

– A wilków tu nie ma?

– Niby dlaczego nie ma być – a juści, że są. Zimą czasem wędrują przez wioskę. Wczorajszej nocy wyszłam na ganek, wydało mi się, że coś się dzieje w owczarni. Patrę, a tu za płotem dwa wilki śnieg obwąchują. Widziałaś kulawego psa, tego rudego? Był u wilka w łapach. A pozaprzeszłą zimą zjadły dziewczynę. Poszła tylko do stodoły na skraj pola; wzięła latarkę, ale chyba ją

dopadły. Patrząc przez to okienko, w polu ciemno, i tylko widzę, jak zakręciła się jej latarka – ślizga się po ziemi, a potem prościutko do lasu. Póki chłopcy schwytali siekiery i wyskoczyli, już ją zagryzły. Po śladach było widać, że dwa się wczepiły: jednego oślepiła – jak ją powlokły, ślepia palcami wyłupiła; zaraz go schwytali, ten drugi uciekł. No i zginęła, przepadła dziewczyna. Ale to bywa zimą, latem zaszywają się w głusz – można iść bez obawy.

– A na drodze do Galicza, którą chodzę się meldować, nie ma ich?

– Nie ma. Fiekłuszka biega po niej ciągle. Bo widzisz, to droga przejezdna: ze wszystkich tutejszych wiosek ciągną tamtędy do Galicza, czasem i ciężarówka przejedzie. Więc nikt ich tam nie widział, nikomu nie przytrafiło się nieszczęście; nie bój się, Siewołodowna. Ale gadzina nasza mocno przez wilki cierpi. Słyszałaś kiedy, Aksiniuszko, jak bydłeta od wilków się ratują? Pastuchy gadali, że jak krowy wilka poczują, migiem się w krąg ustawiają, rogami na zewnątrz, cieleta do środka, a każda krowa rogami wilka odpiera. No a konie odwrotnie – tylnymi nogami na zewnątrz a pyskami do środka, witają wilka kopytami, a źrebaczki ichnie między pyskami się chowają. A kiedy wilk od kopyt ucierpi, rusza na niego najmocniejszy koń, żeby go dobić. Bydłeta też mają swój rozum. Tylko człowiek myśli w grzesznej pysze, że stwór niemy nic nie pojmuje. A spojrzysz w oczy choćby naszej Rrasuli...

– Mielietino Iwanowno, a co będzie z Krasulą? Czy naprawdę ją zarżną? Jest taka potulna, takie ma smutne spojrzenie... mój pies też miał takie.

– Och, nawet nie mów, Aksiniuszko! To krowa dobra i rozumna wielce, ale chora, pożytku z niej dawno nie ma, została w naszym kolchozie tylko ta jedna. Po cielaku choróbsko ją napadło. Pilnowałam, kiedy zacznie się cielić, wiesz, że robię przy krowach, ale nie upilnowałam: zasnęłam, a o świcie podeszłam – cielaczek już przy niej stał. Już go wylizała, dała possać. Trzeba go było odłączyć, ale na stare lata zrobiłam się litościwa; niech

tam, myślę sobie, zostawię na jeden dzionek, niech poi mleczkiem swego dzieciaczka. No i odkładałam z dnia na dzień, a kiedy przyszli po niego z kołchozu – sama się splakałam: wierz mi lub nie, ale jak tylko weszli nasze chłopaki, zaraz wiedziała, że to po cielaczka – zasłoniła swoje dziecko, rogi nastawiła, ślepią wybałuszyła – uważaj, nie podchodź! A potem, kiedy zabrali, tak żałośnie myczała! Łzy płynęły z oczu, przestała żreć... a wtenczas i choróbsko ją wzięło. Przewodniczący pomstuje, że krowę ktoś zauroczył, tylko na mięso się nadaje, byka do siebie nie dopuszcza. A mnie i tak będzie żal, gdy zarzną Krasulę, wielka z niej mądrała, choć uparciuch: synowa siada czasem do dojenia i zawsze na próżno – nie daje się Krasula, zatrzymuje mleko. A ta złości się, pomstuje. Pewnego razu przyszła z różgą: no, powiada, Krasulo, jak będziesz się upierać, to oberwiesz. I położyła różgę obok, a Krasula, jak ją nie kopnie kopytem! A ja siadam i proszę: daj mleczka, kochana! No daj, moja śliczna! I zaraz wiadro nadoję. Taka jest ta nasza Krasula. – Mielietina Iwanowna wytarła twarz chustką.

– Mielietino Iwanowno, jak myślicie, co mi powie przewodniczący?

– Kto go tam wie. Poczekaj, to dowiesz się. Gadali, że kołchozowej poczty powierzać ci nie można, boś podejrzana... Z miasta papier przysłali przewodniczącemu.

– Ach tak! Nie ufają mi! To niech mnie wezmą do krów i owiec – bardzo lubię zwierzęta. Albo do pracy w polu.

– A mnie się widzi, Siewołodowna, nie podskakuj ty lepiej, siedź cichuteńko. Po co ty się pchasz do kołchozu: płacą u nas grosze; jak zapłacili mąką, ledwo na miesiąc starczyło, a kartofle dali zgniłe – wszyściutkie prosię zżarło. Kołchozowymi dniówkami nie da się wyżywić, zresztą czy dużo, serdeńko, wypracujesz tych dniówek? Spójrz na swoje rączyny – nie ma w nich żadnej siły; a z kim zostawisz dzieci? To tylko strata czasu! Gdybyś tak szyć umiała...

– Nie umiem, Mielietino Iwanowno! Nie znoszę igły! Nie

umiem nic! Taka się już urodziłam bez talentu.

– A kto ci, Aksiniuszko, posyła pieniądze? Słyszałam, żeś wczoraj dostała pięćdziesiąt rubli?

Asia wyjaśniła skąd przychodzi pieniądze.

– No to bierz, póki daje. Od matki chrzestnej dla sierotki brać nie wstyd. Ale ci nie starcza?

– Nie starcza. Muszę pomagać babci; ma już siedemdziesiąt lat, a została sama wśród obcych, w Samarkandzie. Nawet nie ma pokoju, tylko kąt na werandzie. Całą werandę zajęli zesłańcy, nie mają gdzie się podziać. Siostra jest w łagrze, w baraku, pod strażą... wciąż głoduje... trzeba by jej wysłać paczkę. Lepiej nie mówić – same nieszczęścia. Serce krwią broczy. – Asia wstała. – Zaraz przyjdą wasi. Wróć do siebie. Wasza synowa mnie nie lubi.

– Bo ci zazdrości, Siewołodowna! Taka już jest. Mnie też życie zatruwa, od czasu jak syna pochowałam. Zobaczysz, że ze swoim chłopem jeszcze mnie z chałupy wypędzi.

Dzieci spały. Sławeczek leżał w poprzek łóżka z rozrzuconymi rączkami. Sonieczka była mocno opatulona. Serce Asi ścisnęło się zawsze, gdy patrzyła na córeczkę; Sławeczek doznał tak wiele czułości i troski w pierwszych dwóch latach swego życia, a tej maleńkiej istotkiomal nie skazali na śmierć. Pojawiła się jak ktoś niepotrzebny; nie miała nawet szczęścia, by ssać matczyną pierś. Asia stale się gryzła, że malutka nie będzie zdrowym dzieckiem. „Będzie chodziła z nami na spacer w krótkich sukieneczkach, a na główce zawiążemy ogromną kokardę” – ten portret, narysowany przez ojca Sonieczki nierozłącznie wiązał się z pięknymi zabawkami i wielkimi pokojami, w których niefrasobliwie fruwa motylek-dziewczynka, nie zaś z zakopconą chatą, zasypaną po okna śniegiem!

Asia stała przez chwilę nad śpiącymi dziećmi, po czym podeszła do okienka, założyła ręce za głowę i spojrzała na ciemne podwórze. Przeniosła spojrzenie na stos bielizny przygotowanej do reperacji, narzuciła na głowę chustkę i wybiegła na zasypany

śniegiem ganek. Wioska – zaledwie sześć zagród – leżała w środku wielkiego lasu, ciągnącego się aż do Galicza. To starodawne ruskie ziemie: żył tu niegdyś Iwan Susanin, ukrywał się w swoich włościach Michał Romanów. Las otacza wioskę ze wszystkich stron; jest teraz cały biały, nieruchomy, nad nim jaśniej rozgwieżdżone niebo. Lutowe mrozy były tej zimy równie ostre jak grudniowe. Jaka piękna jest ta planeta nad lasem! Są tam nasi zmarli – w tych gwiazdnych światach.

W jej duszy żyło mgliste pragnienie by znaleźć się w cerkwi – wejść w półmrok, podziwiać tajemniczą wysokość i szmery pod kopułą, odetchnąć powietrzem, w którym – jak się jej wydawało – zastygły wraz z zapachem kadzideł niewidzialne kryształki modlitwy, znaleźć gdzieś w bocznym ołtarzu ikonę Matki Boskiej Bolesnej (zawsze ktoś przed nią leży krzyżem), musnąć wargami Przeczyste Oblicze, pochylić kolana, postawić świeczkę i zapłakać... „Niechże wspomni przy rannej modlitwie swego druha – jasna moja żona!”... Ale była pozbawiona tej możliwości – nie mogła nawet na chwilę zostawić dzieci bez opieki. W dodatku cerkiew w sąsiedniej wiosce zamknięto – „koszmar opustoszenia w świętym miejscu”, tak jak wszędzie. Mogła tylko przed zaśnięciem ucałować krzyżyk, który nosiła na piersi. Kto wie, może w nocy jej dusza wzlatuje ponad obłoki – nie tam, gdzie „sprawiedliwi jako gwiazdy jasne błyszczą”, lecz do innych, bardziej grzesznych kręgów, po których błakają się tacy, jak Oleg, przyzywani do skruchy i samooczyszczenia, może spotykają się tam, modlą się razem i też pali się świeczka kołysana trzepotem skrzydeł. Kto wie... Po przebudzeniu jednak nie pamiętała nic, czuła się porzucona i samotna. I to właśnie – jak sądziła Asia – jest przejawem jej własnej niedoskonałości.

Jasne słońce zalało ziemię w dniu święta Spotkania Pańskiego. Na widok promieni zatapiających rankiem białe śniegi i ciemne sosny w śnieżnych czapach Asia nie wytrzymała, rzuciła koło studni wiadro i wybiegła za furtkę. Szybko zapięła waciak, zawiązała chustkę i grzęznąc w zaspach skierowała się do lasu.

Na chwilę... choćby na chwilę, póki dzieci śpią. Słońce grzeje

niemal jak w marcu, jakby już pachniało wiosną! Krzyżodziób... tam... na gałęzi szarpie szyszkę... A gile jak dzwonią! Właśnie dlatego chciała jechać na wieś... Wkrótce zacznie topnieć śnieg, wyrzy gdzieniegdzie ziemia, pojawią się szpaki... wiosna, odrodzenie... Czy odradza się również dusza ludzka, zboleła i nieszczęśliwa? Czy to jest możliwe? Czy tylko dopiero tam, po śmierci?

Spojrzała w górę na wierzchołki brzoź i sosen. Promienie były jeszcze ukośne – poranne – i oświetlały szczyty drzew; w dole granatowe cienie; wokół cisza i jasność.

– Dzisiaj Twoje święto, Panie. W tych promieniach czuję cząstkę Twojego blasku – jest tak niezmiernie lekki! Patrzę na nie z radością! Szare chmury długo zakrywały niebo, a dziś nagle rozbłysło słońce. Dzięki ci, Jezu Chryste, że przypomniałeś sobie dziś o mnie, że Twoje promienie znalazły mnie tak daleko, w lesie, w tej chatce... O nic Cię już nie proszę, Panie – niech się spełni Twoja wola, nie moja! Wybacz, że narzekałam; zapomniałam, że jeden cud mimo wszystko dla mnie spełniłeś: Sonieczka przeżyła ten straszny łagier, choć w to nie wierzyłam! Wysłuchałeś mojej modlitwy – jednej, lecz bardzo ważnej. Dopiero teraz nagle sobie przypomniałam, dopiero teraz zrozumiałam wszystko. „Dzięki Ci, Panie Boże, żeś nie odepchnął mnie, grzesznego, że raczyłeś uczynić mnie współnikiem w świątyniach Twoich” – tak modlą się ludzie podczas dziękczynnego nabożeństwa. Dziś Ci dziękuję.

Nie chciało się jej opuszczać głowy, uciekać przed ulewą słońca; ciepło w piersi sprawiało taką radość! Coś podobnego zdarzało się tylko czasem w dzieciństwie! W duszy poruszyło się mgliste, lecz drogie sercu wspomnienie: miała wtedy pięć lat... któregoś ranka została sama w pokoju dziecięcym i nagle jakby rozsunięły się ściany, promienie słońca zatopiły pokój. Okna wychodziły na południe i słońce często tam świeciło, tym razem jednak pojawiło się wcześniej niż zwykle i było bardziej intensywne; za szybą trzepotały skrzydłami gołębie... to też zdarzało się nieraz, lecz tym razem ptaki były niespokojne. Słońce świeciło coraz jaśniej. Asia rzuciła lalki i wstała, poczuła na sobie

czyjeś spojrzenie. I nagle głos, podobny do głosu matki, powiedział za jej plecami: „Nie bój się, tak bywa, gdy patrzy Bóg!” Skuliła się, zadrżała trwożnie. Trwało to chwilę i minęło. Nic więcej się nie zdarzyło! Dziwne było tylko to, że gdy nazajutrz powiedziała o tym wszystkim matce, ta nie mogła pojąć, o co chodzi, zapewniała dziewczynkę, że nie zaglądała rano do dziecinnego pokoju. Wkładając na palce pierścionki dodała z roztargnieniem:

Fantazujesz albo ci się przyśniło... – Odtąd Asia nigdy nie odważyła się więcej kłaść słowami tej chwili, a im była starsza, z tym większą czcią o niej myślała. Poranna jasna lekkość i radość podczas modlitwy, których czasem doznawała, przypominały jej tę chwilę, lecz nigdy nie były tak intensywne. Głosu dziś też nie słyszała, za to promienie budziły podobne uczucia jak owego pamiętnego poranka.

„Ludzie nie wierzą w możliwość kontaktów z Wyższymi Istotami, a to takie proste! Przyleci, zaleje światłem i zniknie... – myślała stojąc długo z odrzuconą do tyłu głową, jak zaczarowana. – Duch kędy chce, tchnie! To oczywiście nie sam Pan Bóg, lecz ktoś ze świętych pańskich... Przywołać tej chwili nie można i zatrzymać też nie; nie zależy to od niej, tak samo jak wtedy, gdy siedzi przy fortepianie. Dlaczego przeżywa takie niezwykle chwile?”

Cicho napływały do głowy jakieś melodie.

„Co też mi się przypomina? ‚Kiteż’? Tak, to z ‚Kiteża’ głosy rajskich ptaków i Fiewronija w promiennym mieście. Och, skąd tyle radości, naprawdę spodobałam się Bogu?”

Nuty „Kiteża” i fugi Bacha leżały w walizce, w chacie pod ławą; gdy w pośpiechu pakowała się przed przymusowym wyjazdem, wraz z Elżbietką zastanawiały się nad każdym przedmiotem, gdyż bagaż musiał być niewielki.

Ale w tajemnicy przed Elżbietką wsunęła ukradkiem do walizki kilka zeszytów z nutami. Wiedziała, że to absurdalne, nie potrafiła wszakże się rozstać z objawieniem wypowiedzanym w języku muzyki.

Gdy wracała do domu grzęznąc co chwila w zaspach, wszystko wyglądało już trochę inaczej. Nie wiedziała, że tak właśnie będzie: po krótkich chwilach olśnienia wzrok się wyostrzał, stawał się przenikliwy – tak jakby zdjęła ciemne okulary. Śnieg i granatowe cienie na nim były dziewiczo czyste; gołąb, gruchający na dachu ganku mówił naturalnie o tym, co się przed chwilą stało – on o wszystkim świetnie wiedział. Zmarszczki na twarzy Mielietiny Iwanowny, która wyszła jej na spotkanie do sieni, podkreślały łagodność jej rysów, zaś czoło starej kobiety wieńczyła bolesna mądrość. W małej izbie wszystko było przejrzyste, święty obrazek ze starcem Serafimem koło łóżka jakby się świecił, a buzię śpiącej dziewczynki rozjaśniał wyraz błogosławionej ciszy, nie zawsze dostępny spojrzeniu matki.

Kiedy nakrywała do stołu, zobaczyła, że biały obrus, gliniany dzbanek z mlekiem i wiejski bochen chleba też są promienne i radosne.

Rozdział dwudziesty trzeci

Co dzień Asia wstawiała o świcie wraz z Mielietiną Iwanowną, myła się w lodowatej wodzie z umywalki wiszącej na ganku, biegła drżąc z zimna przez podwórze, by włożyć Krasuli do żłobu wiązkę siana. Potem schwytawszy gliniany garnek szła na drugi koniec wsi do pewnego staruszka po mleko – miał on jeszcze własną krowę. Były to najlepsze chwile w ciągu dnia; na drodze – ani żywej duszy; słońce złociło wierzchołki drzew, poranny mrozek szczypał policzki, gile dzwoniły w przydrożnych wierzbach; na oblodzonej gdzieś drodze skakały gołębie i wróble, kręciły się koło małych kałuż marszczących się od wiatru; chłoneła czyste powietrze i wiosennie jasne niebo. Postanowiła, że zawsze w drodze będzie odmawiać „Ojcze nasz”, „Bogurodzico Dziewico, raduj się!” i „Wierzę!” – była to jedyna pora dnia, kiedy mogła skoncentrować się na własnych myślach, a bardzo chciała, by pozostał w sercu jasny ślad, wciąż jeszcze chciała mieć pewność, że jej życie i życie jej dzieci jest w rękach Boga. Złocistoróżowy rąbek nieba kojarzył się jej ze słowami: „Przyjdź królestwo Twoje” – jakby promienie płynęły z ziemi obiecanej, w której już je zbudowano.

Staruszek nalewał do garnka mleko – na kredyt do dwudziestego piątego – a do drugiego garnuszka dodawał od siebie maślanki. Gdy pędem wracała do domu, Sławeczek już nie spał, fikał na łóżku koziołki; wyciągały się do niej małe rączki; ubierała syna śpiewając mu piosenki i obsypując malca pocałunkami. Pierwszy posiłek zwykle mijał radośnie – czuła się odświeżona modlitwą, a Mielietina Iwanowna, napaliwszy rano w piecu, wielkodusznie dawała jej gorącą wodę, by mogła umyć dzieci, częstowała pięknie przyrumienionymi ziemniakami z wiejskiego saganka. Sławeczek miał teraz, na świeżym powietrzu, świetny apetyt – wypijał filiżankę mleka i zjadał dwa lub trzy ziemniaki; przyjemnie było widzieć gotowość, z jaką otwierały się maleńkie usteczka! Resztę kartofli zostawiała dla synka na wieczór mieszając je z maślanką, sama zadowalała się kawałkiem chleba z wrzątkiem. Sonieczce nalewała do butelki dwieście

gramów mleka, co przy pięciorazowym karmieniu wynosiło litr. W ciągu dnia Asia gotowała trochę kaszy jaglanej; dzieliła ją na równe porcje, żeby starczyło do dwudziestego piątego; innej kaszy nie miała. Jedli obiad o drugiej, więc do wieczora Sławeczek znów robił się głodny – wówczas do tej otwartej, czarującej buzi mogła włożyć tylko kawałek zostawiony dla siebie na kolację. W miarę jak wyczerpywała się dzienna porcja, Asia smutniała.

– Sławeczku! Nie wolno tego ruszać, połóż to na miejsce! Baw się zabawkami. Stój, dokąd idziesz? Usiądź, posiedź chwilkę! Coś ty znowu wziął do rączek? Zapamiętaj: do buzi nie wolno brać niczego prócz tego, co daje ci mama. No, co chcesz znowu? Na spacer? Widzisz, że mama pierze. A dlaczego majteczki są mokre? Fe, jaki wstyd!

Głos Asi był coraz bardziej zmęczony i smutny. Gdy zapadał wieczór i Sławeczek wreszcie ucichał, ułożywszy dzieci spać i sprzątając cichutko w izbie Asia śpiewała kołysanki, cichuteńko, wysokim, cieniutkim głosikiem; śpiewała je jedna po drugiej, chociaż Sławeczek i Sonieczka już dawno spali. Odśpiewawszy swoje ulubione kołysanki sięgała po romanse, wybierając tylko najsmutniejsze – "Ostra siekiera zraniła brzozę" Czerepnina najlepiej współbrzmiała z jej nastrojem.

Spała teraz na derce rozesłanej na podłodze, a przykrywała się pledem i waciakiem. Mimo woli porównywała tę pościel ze swoim dawnym mahoniowym łóżkiem zasłanym płóciennymi prześcieradłami i koronkowymi powłoczkami. Rzucić się na to łóżko było zawsze radością – szeptanie z Olegiem, pocałunki, słodka drzemka... Tutaj zaś, gdy układała się na posłaniu, zawsze było trochę zimno, za każdym razem lekki dreszcz obrzydzenia przebiegał po ciele: pościel nie była tak czysta, jak by tego pragnęła, prześcieradła wilgotniały, a pled został zniszczony w łagrze. Co noc oblegały ją posępne myśli – wznosiły się niczym chmura, dość było przyłożyć głowę do poduszki, więc chociaż była strasznie zmęczona, nie mogła zasnąć do świtu. Głód zbliżał się bezlitośnie do jej małej rodziny! Marzeniem było mieć worek własnych ziemniaków, ale na próżno obeszła wiele chłopskich

zagród. Nikt nie chciał się z nią podzielić – wszyscy zapewniali, ce dojadają ostatnie; może tak było naprawdę, a może tylko się bali, że nie zdobędzie pieniędzy i nie zapłaci. Zanurzyć rękę we własnym worku, upiec i zjeść tyle, ile zechce i wtedy kiedy zechce, zaczynało się jej wydawać szczytem szczęścia! Nawet czasem miała wrażenie, że smutne myśli odejdą, kiedy usiądzie przy obficie zastawionym stole. Myślała z rozpaczą, że Sławeczek nie dostaje wysokokalorycznego jedzenia. W zniszczonej przez kolchoz wsi prawie nic nie można było zdobyć, ale i tych nielicznych produktów jakie były, też kupić nie mogła! Śmietanę mieli tylko w jednej zagrodzie, i to bardzo droga; jajka – także drogie – można było kupić tylko na sztuki. Pójść do miasta przed wyznaczonym terminem po pieniądze? Wydłużyłoby to następny odcinek czasu: od wyprawy do miasta do odebrania przekazu od Elżbietki, który mógł przyjść nie wcześniej niż koło dziesiątego następnego miesiąca, można umrzeć z głodu! Ponieważ była dłużna za mleko, z pewnością nie starczy na dwa tygodnie suma, którą miała zamiar pożyczyć od Nadieždy Spiridonowny lub Panowej.

Pewnego ranka zdarzyło się to, czego się obawiała: Mielietina Iwanowna nie upiekła kartofli, ugotowała kaszę owsianą i nie podzieliła się z nią, może dlatego, że w izbie była Fiokłuszka. Porcje dzienne Asi były tak ubogie, że pozbawiona poczęstunku, zgłodniała okropnie. Nie starczyło woli, by poprzestać na racjach, które sama wydzieliła, tego i następnego dnia ugotowała podwójne porcje i jagły się skończyły. Szukając ratunku postanowiła porozmawiać z brygadzystą. Stała na ulicy, patrzyła na jego chatę i nie mogła zdecydować się wejść. Nagle zobaczyła, że brygadzista idzie do domu z uzdą w rękę. Trzeba było korzystać z okazji.

– Dzień dobry, Timofiejju Aleksiejewiczu! – powiedziała i pokłoniła się nisko, po chłopsku. Sądziła, że będzie to bardziej na miejscu niż podanie mu ręki; chłopci nigdy nie wiedzieli, co robić w takiej sytuacji. – Chciałam was poprosić... Jest mi bardzo ciężko... Czy nie moglibyście mi odstąpić... sprzedać... worek kartofli? Może macie trochę zbędnych w kolchozie? Zapłacę, jak tylko przyślą mi pieniądze. A jeśli nie można worka, to choćby dwa lub trzy kilo... Byłabym też wdzięczna za kaszę... Nie mam

czym karmić dzieci.

Aż serce jej zamarło – tyle wysiłku kosztowała ta krótka przemowa. Brygadzysta milczał patrząc na nią nieżyczliwie.

– Aleś ty cudaczna, Aksinio Wsiewołodowno! Za durnia mnie bierzesz? Nie ma pieniędzy! Jesteś najbogatsza w całej wsi; kto z nas kiedy tyle forsy w garści ścisnął? Nie powinienem cię nawet słuchać, ale niech tam: jutro dwa nasze chłopcy jadą do miasta, zabierz się z nimi. Jak trza wysłać którąś z bab, żeby sprzedała na rynku mięso, to nie ma nikogo. Jutro zarżniemy krowę. Za to damy ci pieniądze na worek kartofli. Kupisz sobie na rynku, mięso już będzie pokawałkowane, nie musisz sama rąbać.

Asia zobaczyła przed oczyma śliskie, zakrwawione kawałki mięsa.

– Dziękuję, nie nadaję się do takiej pracy. Nie potrafię. Ja mam handlować na rynku! – i mimo woli podniosła dumnie swoją śliczną główkę, choć od razu poczuła, jaki to absurd.

Brygadzysta zasepił się.

– Daję ci pracę, a ty nie chcesz. Nie będę na ciebie marnować kołchozowego mienia, nie dam ci sadzeniaków. Nie pchaj nosa w nasze kołchozowe sprawy i nie żebrz na kołchozowej ulicy. Tfu, jaka wredna!

Asia pobiegła do domu z uczuciem, jakby ją ktoś spoliczkował. Tego dnia odpowiadała Sławeczkowi ni w pięć, ni w dziewięć, a idąc po mleko nie miała siły, by odmówić swoje zwykłe modlitwy; jak zhańbiona, bojąc się podnieść głowę, biegła przez wieś przekonana, że ze wszystkich okien na nią patrzą i mówią: „To ta głuptaska, żebraczka, wnuczka carskich urzędników!” Chwile kontemplacji, które zdobyła siłą ducha, były zniszczone. Głód coraz bardziej doskwierał: Sonieczka wypijała swoje mleko, Sławeczek – resztę mleka i maślankę z chlebem, a dla niej zostawało około funta chleba i wrzątek. Wiezorami przyłapywała samą siebie na głodowych halucynacjach – były tak natrętne, że czuła na wargach smak jedzenia. Gdy zasypiała głodna, bolał ją

często żołądek. Zauważyła, że słabnie: chód stał się niepewny, trochę chwiejny, kręciło się w głowie. Gdy raz spojrzała w lustro, zobaczyła na swojej chudej, długiej szyjce dziwną brązową plamę i taką samą na policzku koło ucha...Co to może być? Szkorbut? Albo pelagra? Oleg chorował na nią w łagrze, mówił, że tak samo jak skorbut wywołana jest brakiem witamin. Posadziła kilka cebulek w doniczce na oknie – ogrzane lutowym słońcem już wypuściły pierwsze pędy, dawała je Sławeczkowi do maślanki. Przerażona ciemnymi plamami obszczypała kilka piórek i zjadła je, potem poczekała, aż wyjdzie Fiokłuszka i zastukała do Mielietiny Iwanowny.

– Mielietino Iwanowno! – powiedziała przewyciężając dumę i stając nieśmiało w progu. – Chyba się na mnie gniewacie, a za co – nie wiem. Jestem tak wam wdzięczna za kartofle i za gorącą wodę. Bez was bym przepadła! Jest mi bardzo ciężko. Nie mam tu nikogo, kto mógłby mi pomóc, muszę znów was poprosić – wiem, że dobra z was kobieta!

Głos Asi zadrżał. Stara chłopka bez słowa patrzyła jej w twarz i nie wiadomo czemu wydawało się Asi, że wszystkie te słowa Mielietina Iwanowna interpretuje na swój sposób, dla niej niezrozumiały. Gospodyni nie tyle jej nie rozumiała, co szukała w słowach Asi innego, ukrytego sensu poza tym najprostszym.

– Jutro muszę iść do miasta, żeby się zameldować – mówiła dalej Asia połykając łzy – a nie ma kto dopilnować dzieci, nie mam nawet co im zostawić do jedzenia, prócz mleka dla Sonieczki. Sama bardzo zgłodniałam i osłabłam... Jeśli czegoś nie zjem, chyba nie dojdę. Naprawdę nie mam już nic! – zasłoniła rękami twarz ze wstydu i rozpaczy.

Mielietina Iwanowna nie objęła jej i nie przytuliła do piersi, jak zrobiłaby to zapewne Panowa, Krasnokutska i każda inna ze znajomych dam – może prócz Nadieżdy Spiridonowny. Ale powiedziała:

– Cóż, dopilnuję. Głodować u mnie nie będą. Spać też położę, ukołyszę do snu – możesz być pewna! Aleś ty, Aksinio,

niestarowna! Nie mogę się nadziwić. Masz tu talerz barszczu, chlebka też zaraz ukroję. A rano podgrzeję ci racuszków, są dobre. Siadaj do stołu.

Kiedy Asia wzięła chleb do ręki, Sławeczek rzucił swoje zabawki, zaczął się koło niej kręcić i wyciągnął rączki wołając „daj!”.

„Lela może przynajmniej sama zjadać niewielką porcję, jaką otrzymuje, a ja nie mogę spokojnie przełknąć nawet kęsa” – westchnęła. W ciągu ostatnich dwóch tygodni rączki jej synka schudły, twarzyczka się wyciągnęła... Widzieć te zmiany na dziecięcej buzi i nie móc nic poradzić to istna tortura!

Asia wstała o świcie, gdy tylko Mielietina Iwanowna zgramoliła się z pieca i rozpałała ogień. Połykając w pośpiechu racuchy nie śmiała dać szczegółowych wskazówek co do opieki nad dziećmi, choć mnóstwo ich kręciło się na języku; łatwo mogła się domyślić, że Mielietina Iwanowna wsunie Sonieczce do buzi miękisz od chleba, a Sławeczka nakarmi cudzą łyżką. Milczała jednak w obawie, by nie urazić starej chłopki. Dzieci spały jeszcze, gdy podeszła do nich w waciaku, walonkach i chustce. Zrobiła nad nimi znak krzyża, lecz nie pocałowała, nie chciała, by się obudziły.

W sieni panował półmrok, Mielietina Iwanowna stała w progu.

– Tylko nie zбочz z drogi; widzisz, jaka od rana zadymka – ostrzegła Asie.

– Nie zбочzę, chodziłam już tamtędy! – Asia spojrzała przez otwarte drzwi na wirujące płatki śniegu i raz jeszcze się odwróciła, by spojrzeć na dzieci – rzęsy jej synka nie podniosły się jeszcze, wyraz anielskiego spokoju widniał na czółku i wybladłych policzkach; tajemnicze zawiniątko leżące obok też było nieruchome.

– Nie martw się, dopilnuję! Przecie lubię dzieci! Idź z Bogiem – rzekła raz jeszcze Mielietina Iwanowna.

Asia pochyliła się nagle i przypadła ustami do stwardniałych, zniszczonych rąk.

– Bóg z tobą! Co ty robisz? – zawołała Mielietina Iwanowna i cofnęła ręce.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nadieżda Spiridonowna ubrana w stary pikowany szlafrok stała przy rozbebeszonym łóżku i chyba była zdenerwowana.

– Ach, to pani! Chwileczkę! Najpierw proszę wytrzeć nogi w sieni i strzepnąć z okrycia śnieg. Jest pani cała zaśnieżona. Tak. A teraz proszę usiąść, niech pani tylko nie przygniecie Timura.

Asia przycupnęła na samym brzeżku krzesła i raczej z grzeczności niż z troskliwości spytała:

– Co u pani słuchać?

W oczach, które spojrzały na nią spod szarej, przerzedzonej, skręconej w loczki fryzury po raz pierwszy dostrzegła przygnębienie miast błysku dawnego despotyzmu.

– Co słyszeć? Same kłopoty! Jest pani zbyt młoda, moja droga, by zrozumieć, co przeżywa stary człowiek w tak trudnej sytuacji, opuszczony przez wszystkich. Moja gospodyni, Warwara Pantelejmonowna, zna ją pani, zrobiła przykry kawał: udawała taką cichą, bogobojną, i nagle zjawia się u mnie pewnego pięknego wieczora, ciągnie za rękę jakiegoś typa w czapce z daszkiem i oznajmia: „Znalazłam sobie chłopca, mam już dość wdowieństwa!” A zamieszkałam u niej dlatego, że nie kręcili się tu mężczyźni. Teraz, rzecz jasna, tańczy wokół swego amanta, a do mnie w ogóle nie zagląda. Wczoraj sama zdejmowałam ze ścian pajęczynę, a z moją sklerozą niełatwo łączyć po taboretach – upadłam i potłukłam sobie kolano. Nie śpię już drugą noc: wciąż jakiś pisk i szmery; zebrałam siły, uniosłam nieco materac i, nie uwierzy pani, moja droga – zagnieździła się tam mysz, urodziły się małe! Kiedy zobaczyłam te małe potworki, „pojechałam do Rygi”.

Asi, zdejmującej właśnie plecak, strasznie zachciało się śmiać.

– No a co na to Timur? – spytała powstrzymując z trudem chichot.

– Timur? – powtórzyła Nadieżda Spiridonowna. – Ach, moja

droga, Timur jest stary – myszy mogą spacerować mu pod nosem a on nawet nie drgnie, w młodości też się nimi brzydził. No więc pobiegłam do Warwary Pantelejmonowny, a tam za stołem siedzi rozwalony gruboskórny osiłek i powiada: „Moja żona nie jest pani służąca, niech sobie pani radzi sama, a jak się nie podoba – to fora ze dwora, płakać nie będziemy”. A jakże ja mam się przeprowadzić?

– Naturalnie, że to niełatwe, tylko że... każdy człowiek pragnie szczęścia – zaczęła Asia, lecz oczy jej zatrzymały się na filiżance nie dopitej kawy. Obok leżały przypieczone kawałki chleba i dwa jajka. Asia wiedziała, że na gościnność w tym domu niezbyt można liczyć, lecz po przebyciu dziewięciu wiorst tak pragnęła wypić czegoś gorącego, że zawahała się – może jednak poprosić o filiżankę kawy dla wzmocnienia? Widocznie Nadieżda Spiridonowna przechwyciła to głodne spojrzenie, gdyż natychmiast podeszła i przykryła dzbanek z kawą „matrioną”.

Rumieniec zalał policzki Asi.

Nadieżda Spiridonowna wyciągnęła kartkę papieru pocztowego.

– Zna pani, naturalnie, Mikę Ogariowa? – spytała. – Młodzieniec ten zaszczyił mnie arcyciekawym listem... Gdzie moje binokle? – Stara kobieta poszperała w torebce i odkaslnęła: – Proszę posłuchać: „Wielce szanowna Nadieżdo Spiridonowno, lub, jeśli wolno, *ma tante!* Do tej pory najuczciwiej wykonywałem wszystkie Cioci polecenia od czasu, gdy zesłali siostrę. Ale wreszcie nadeszła chwila powiedzieć bez ogródek, że się nie zgadzam z Cioci poleceniem, by sprzedać bibliotekę ojca, z tego prostego powodu, iż uważam ją za moją bezsporną własność. Czyżby do ciocinej lekkomyślnej główki nigdy nie przychodziła myśl, że pewnego pięknego dnia usłyszysz ode mnie Ciocia takie oświadczenie? Powie Ciocia zapewne, że ma do niej prawo, gdyż podczas wojny domowej uratowała księgozbiór przed zniszczeniem wywożąc wraz z innym mieniem do swego mieszkania z pustego, zabitego deskami i przeznaczonego do zasiedlenia mieszkania ojca. Było to wtedy, gdy my z Niną ukrywaliśmy się w

Czeriomuchach. Nie sądzę, że to postępowanie było wielkoduszne, lecz liczyłem się z jego skutkami, podobnie jak Nina; proszę nie zapominać, że w ciągu dziesięciu lat od tego wydarzenia tylko Ciocia korzystała z pieniędzy uzyskanych z samowolnej wyprzedaży naszego mienia; nie wspominałbym o tym i dzisiaj, gdyby nie żądanie Cioci, by sprzedać bibliotekę. Sam wysyłałem w tym roku przekazy pieniężne i wiem dobrze, że pieniędzy Cioci nie brak. Mimo to w przyszłości wyślę wszystkie pieniądze, które jeszcze uzyskam za sprzedaż tremo i mebli z jadalni. Lecz o bibliotece nie może być mowy. Z czego będę żył, na razie sam nie wiem. Moja narzeczona w pełni podziela mój punkt widzenia i plany; książki te zastąpią nam uniwersytet, podczas gdy u Cioci pokrywał je kurz. *Voilà! Tout* Cioci bratanek, chudopacholek M. Ogariow.”

Widocznie Mika postanowił wznowić przerwane działania wojenne. Za słowami listu Asia dostrzegła szykany, jakie musiał znosić Mika w mieszkaniu ciotki.

– Żeni się! On się żeni! – zawołała Nadieżda Spiridonowna. – Ciekawe, kim jest ta bohaterka, która zgodziła się wyjść za dwudziestoletniego nieuka i całkowicie podziela jego punkt widzenia! Na pewno bezbożnica i komsomołka. Zawsze mówiłam Ninie, że jej braciszek źle skończy.

Asia uznała za konieczne wstawić się za Miką:

– A ja słyszałam, że to szlachetny i mądry chłopiec. Słowo „nieuk” wcale do niego nie pasuje. Jest bardzo zdolny, to nie jego wina, że nie przyjęli go na uniwersytet i wypędzili na głuchą prowincję. Dziewczyna, która z nim pojechała... Ci, którzy ją widzieli, mówią, że jest inteligentna i miła. Można się tylko cieszyć, że Mika nie został sam.

Ale Nadieżda Spiridonowna nie mogła się uspokoić:

– Chuligański list! Ja nie potrzebuję pieniędzy! W cudzej kieszeni łatwo liczyć, ale jak ja, siedemdziesięcioletnia kobieta, mam sama chodzić do studni? Bibliotekę wycenili mi na osiemnaście tysięcy! Cóż, szanowny bratanku, będzie, jak sobie

życzysz, do sądu cię nie podam!

Asi zrobiło się jej żal. „Wyszoruję jej podłogę i zdejmę ze ścian pajęczyny. Mam jeszcze trochę czasu – w komendanturze przyjmują do trzeciej” – pomyślała. W tym momencie Nadieżda Spiridonowna wygłosiła następną tyradę:

– Jak zechcę, zapiszę wszystko w testamencie Sonieczce. Mam jeszcze złoty zegarek – to pamiątka rodzinna – i pierścionek z brylantem. Obyś jeszcze nie pożalował, kochany Michale Aleksandrowiczu!

Asia poczuła się niezręcznie.

– Nadieżdo Spiridonowno, niech pani nie oszczędza tych rzeczy! Nie trzeba pisać testamentu. Jest pani ciężko, więc proszę sprzedać zegarek i pierścionek. Moja Sonieczka jest dla pani kimś obcym, a ja czułabym się niezręcznie, gdyby pominęła pani w testamencie Mikeę.

Łażenie po taboretach ze szmatą i szorowanie podłogi nie było zbyt trudne, lecz dostatecznie uciążliwe teraz, gdy siły Asi były nadwątlone. Jednak dość szybko skończyła sprzątanie, po czym otrzymała filiżankę kawy i dwie małe kromki chleba.

„Lepiej było w ogóle nie próbować – jeszcze bardziej chce się jeść” – pomyślała z westchnieniem wkładając wacik i walonki. – No, a teraz najgorsze! Panie Boże, dopomóż mi!”

Już w progu odwróciła się w stronę Nadieżdy Spiridonowny:

– Chciałam poprosić... Czy nie mogłaby mi pani pożyczyć trochę pieniędzy... Zwrócę za trzy tygodnie, kiedy dostanę przekaz od Muromcewej, która ma moje kwity z komisów.

Wysokości tej kwoty nie śmiała nawet określić. Stara kobieta podniosła na nią oczy.

– Może nie uda się sprzedać tych rzeczy, moja droga... Myli się pani sądząc, że to takie łatwe – rzekła z powątpiewaniem.

– Ależ ja wiem, wiem, że to niełatwe, ale Elżbietka Muromcewa – widziała ją pani w Chwoszniach – bardzo nam

pomaga, posyła co miesiąc dwieście rubli. Tak czy owak pieniądze będą miała – odpowiedziała Asia.

Nadieżda Spiridonowna rzekła po długim milczeniu:

– Słyszała pani, jak pogorszyła się teraz moja sytuacja materialna. Przyjaciół, tak jak pani, w ogóle nie mam. No dobrze, pożyczę dwadzieścia pięć rubli, więcej nie mogę. Ale proszę się na przyszłość nauczyć żyć bez zaciągania długów. Ja, jak długo żyję, nie pożyczałam nawet rubla.

Otworzyła torebkę, podała pieniądze.

– Dziękuję – wyszeptała Asia i wyszła do sieni. Stała tam kilka minut w ciemnościach usiłując opanować bezgraniczną rozpacz – nawet stu rubli nie starczyłoby na spłacenie długów zaciągniętych na wsi, na życie nie pozostało nic, a czterokrotnie mniejsza suma niewiele mogła pomóc. I nie ma już nikogo, kogo mogłaby poprosić! Z opuszczoną głową, powoli, jak automat, powlokła się do komendantury. Zesłańców w Galiczu nie było zbyt wielu i o tej porze koło biurka, przy którym sprawdzano obecność, zastała tylko Cesarzową. Gdy wyszły razem na ulicę, ta schwytała rękę Asi i rzekła:

– Ach, moja kochana! Co robić, niechże pani powie?! Ta... no, jakże ja... walka klasowa... do grobu nas wpędzi. Mieszkam u obcych, w sieni pod schodami, pracy nie mam żadnej. Raz powróżyłam z kart pewnemu czerwonoarmiście, był zadowolony, dał mi rubla; więc zaproponowałam innemu, a ten na mnie nawrzeszczał, zaciągnął do rady rejonowej; zmyli mi tam porządnie głowę; że niby jak śmiem demoralizować wojsko, wyzywali od arystokratycznych śmieci... Koszmar! Niedawno stałam z żebrakami przed piekarnią, a wczoraj podniosłam z ziemi na rynku trzy kartofle; ponieważ w śmietniku znalazłam nie wypłukaną puszkę po konserwach, wyszła mi niezła zupa. Ale nie co dzień tak się udaje! Czy mogłam przypuszczać, gdy w sali naszego instytutu witałam reweransami Najjaśniejszą Panią, że będę grzebać w śmietnikach! Miałam wtedy w talii pięćdziesiąt pięć centymetrów!

Pożegnawszy się z Cesarzową Asia poszła do Panowej. W krzywobokiej szopie było zupełnie ciemno, w piecyku nie palił się ogień. Stara generałowa leżała na połamanym łóżku przykryta pledem i modną niegdyś peleryną z kraciastą podszewką.

– Czekam na panią, wciąż czekam! Proszę wejść, kochanie! Byłam pewna, że pani wpadnie. Choruję: nogi tak mi spuchły, że nie mogę wstać. Proszę napalić w piecyku – w kącie został jeszcze chrust, chętnie bym wypila coś gorącego. Na oknie na talerzyku leżą dwa kartofle – sąsiadka przyniosła; ale to dla pani, ja nic nie chcę. Kiepsko ze mną, kochanie.

Zmęczone, zziębnięte, spękane palce łamały wilgotne gałęzie nurzając się w brudnym, szarym, kędzierzawym mchu. Wciąż było zimno, dokuczało zmęczenie, chłód z uporem wdierał się do rękawów i pod szyję, a zmęczone nogi stały się miękkie jak wata. Ogień jakby na złość nie chciał się palić.

– Coś dziwnego dzieje się ze mną ostatnio: najdrobniejsze, nic nie warte drobiazgi nagle tak irytują i drażnią, że mam ochotę płakać lub krzyczeć z wściekłości. Nic takiego nigdy się wcześniej nie zdarzało – wymamrotała Asia drżącym głosem obserwując języczek ognia, który przyczepił się już do gałązki, lecz w walce z wilgocią zanikał.

– To zszarpane nerwy i zmęczenie – powiedziała Panowa. – Niech się pani trzyma, kochanie; wystarczy choć trochę się poddać, a atak hysterii gotowy. Znów zgasło?

– Zgasło.

– Wiem, co zrobimy. Proszę wysunąć spod łóżka moją walizkę. Dobrze, a teraz proszę ją otworzyć: widzi pani tę stertę papierów? To listy mojego męża z Taszkientu, był wtedy moim narzeczoną. Niech pani wrzuci je do ognia! Niczego mi już nie żał; gdy umrę, ktoś wyrzuci je na śmietnik... więc lepiej już spalić. Niechże pani wrzuca! Co pani poradzić – nie wiem! Gdybym jeszcze była zdrowa, ale widzi pani, w jakim jestem stanie – chyba już nie mogę pani w niczym pomóc.

– Jekatierino Siemionowno, tu w Galiczu jest świetny lekarz, też zesłaniec – Konstantin Aleksandrowicz Koczergin. To wielkoduszny człowiek, nie bierze pieniędzy od zesłańców. Powinna pani zasięgnąć jego rady.

– Owszem, był tutaj; moje serce jest do niczego, w dodatku dołączyło się zapalenie żył. Cóż w tym dziwnego? My, kobiety rosyjskie, przeżyłyśmy niejedno! Dla mnie wszystko zaczęło się jeszcze na bagnach mazurskich, a skończyło tym, że syn wyrzekł się nas... Nie mam do niego żalu – chciał żyć, pracować, a tu takie pochodzenie! Winni są ci, którzy go do tego popchnęli, popierają reżym, przy którym możliwe jest coś takiego! Leżę tutaj samotnie, a przed oczyma, jak na fotografii, widzę całe moje życie. Ojciec był ziemskim lekarzem; jako gimnazjalistka w czasie letnich wakacji pomagałam mu przyjmować chorych. Tak nas lubiono i szanowano w całej okolicy, że gdy po rewolucji przyszli czekiści aresztować ojca, chłopci rzucili się na nich z widłami. Jako młoda dziewczyna pracowałam w stowarzyszeniu „Maria Magdalena”, ratowałyśmy upadłe kobiety; była to prawdziwa, wielka praca. Gdy wybuchła wojna, zostałam siostrą miłosierdzia na froncie. A teraz jestem wrogiem ludu! Na czym polega moja wina? Na tym, że mąż był generałem? Przecież poświęcał życie dla ojczyzny, zawsze na pierwszej linii, zawsze w walce... Asia podniosła głowę.

– Dopiero teraz zrozumiałam znaczenie słów „Niech się stanie wola Twoja” i „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj” – powiedziała obserwując bieg własnych myśli. Siedziała na brzoźowym pniaku, co chwila podsycala ogień i nie odrywała smutnych oczu od słabego płomienia. W domu też lubiła siedzieć przy piecu, rozmawiały wtedy z Lelą najszczerzej, jak można.

– Pani płacze, kochanie?

– Przypomniałam sobie babcię, może leży tak jak pani – samotna i opuszczona. Synowie zginęli, wnuk się jej wyrzekł, a wnuczka... – po kilku minutach Asia w zadumie wypowiedziała słowa na wpuł zapomnianego wiersza:

*L'orage a brisé le chêne,
Qui seul était mon soutien...*⁹⁸

Czajnik wciąż nie chciał kipieć, drwa nie tyle płonęły, co się tliły. Dochodziła czwarta, gdy Asia podała generałowej herbatę, a sama zjadła dwa kartofle ze spodeczka.

– Muszę już iść. Chciałam wyruszyć z powrotem o drugiej, a teraz jest czwarta. Bardzo mi przykro panią zostawiać, lecz muszę przejść dziesięć wiorst, a o szóstej robi się ciemno.

Panowa wzięła Asie za rękę:

– Pożegnajmy się, kochanie. Już się nie zobaczymy, wiem o tym dobrze. Chce pani, bym opowiedziała pewną dziwną historię? Jest krótka, nie zatrzyma pani. Pewnego razu moja zmarła mama w naszym majątku (jak pani widzi, to bardzo stara historia), wyszła z dużego domu po coś tam do oficyny. Był to ładny domek, tonący w zieleni. W pierwszym pokoju z opuszczonymi żaluzjami panował półmrok, lecz nagle przed oczyma mamy zaczął krążyć czarny motyl...

– Tak, są takie, to prawda! Taki motyl nazywa się żałobnik! – przerwała jej Asia.

– Wpierw trzeba wysłuchać, kochany entomologu, nad nazwą zastanowimy się później. Mama w żaden sposób nie mogła go odpędzić, potem straciła z oczu. Gdy wróciła, w mojej obecności wyrażała zdziwienie, skąd wziął się motyl w zamkniętym na głucho pomieszczeniu. Tego wieczora zmarła babcia. Nikt o motylu nie myślał, niczego z niczym nie kojarzył. W dwa lata później, tym razem we śnie, mama znowu zobaczyła tego motyla: wciąż przed nią krążył. I tego jeszcze dnia zmarł nagle jej mąż, mój ojciec. Dopiero wtedy przypomniałyśmy sobie dawną historię, powiązałyśmy jedno z drugim... I co pani myśli? Pięć lat temu, na dzień przed otrzymaniem oficjalnego zawiadomienia o śmierci męża w łagrze, sama zobaczyłam motyla żałobnika. To

⁹⁸

L'orage.... (fr.) – (dosł.) Burza powaliła dąb / A on jedyny był mi podporą...

dziwne, prawda? Nasza rodzina nigdy nie odznaczała się nerwowością ani mistycyzmem. Mama była kobietą zrównoważoną, mądrą, świetną gospodynią, matką pięciorga dzieci. Skąd więc ten rodzinny domorosły mistycyzm, ta zapowiedź losu, która nam towarzyszyła?

– Tak, to dziwne! Zapewne i stamtąd czasem przychodzi ostrzeżenie... – wyszeptała Asia.

– Ktoś, kto wierzy w Boga, może dojść tylko do takiego wniosku – powiedziała Panowa. – Ja nie wysuwam żadnego, ja opowiadam. Ale to jeszcze nie koniec tej historii: właśnie przed pani przyjściem zdrzemnąłam się i...

Ręka Asi zadrżała w jej ręku.

– Znowu żałobnik?

– Żałobnik. Latał przede mną, a potem zniknął. To chyba koniec. Zaraz napiszę pani na tym świstku adres mojego syna. Proszę go zawiadomić, że matka umierając kochała go tak samo jak wtedy, kiedy był malutki. Nie mam mu czego wybaczać – zrozumiałam wszystko. Jego fotografię mam tutaj, pod poduszką. A teraz chcę panią pobłogosławić; od pierwszego dnia, gdyśmy się poznały, poczułam do pani ogromną sympatię. Niech Bóg pozwoli, by wybrnęła pani ze swoich kłopotów. Niech mnie pani pocałuje i już idzie. Nikt mi nie jest potrzebny. Chcę być sama w moich ostatnich chwilach, a na panią czekają dzieci. Proszę iść – wkrótce się ściemni, jest pochmurno i wieje wiatr.

Asia wyszła posłusznie, lecz wychodząc ocierała łzy. Przystąpiła próg i znalazła się natychmiast w świetle białych wirujących płatków śniegu. Doszła do najbliższego rogu i skrzyła w zaułek, nie była to droga na peryferie, lecz do przychodni lekarskiej.

Oto jego okno, pali się w nim światło; więc jeszcze nie wyszedł. Jeśli zastuka, on natychmiast wybiegnie, zaprowadzi do siebie, by ogrzać, pocieszyć i nakarmić, odprowadzi do wsi i naturalnie pomoże – da tyle pieniędzy, ile będzie miał. Jakże się

ucieszy, że będzie mógł jej pomóc! A potem zrobi tak, by sprowadzić dzieci, swojego Miszutkę też ściągnie... Jakby go kochała! Może wtedy zimno i nędza cofną się, będzie lżej, spokojniej i przytulniej i jemu, i jej... Nie jest w nim zakochana, i nikogo już nigdy nie pokocha, lecz wie, że przywiązałaby się do niego – jest jej sympatyczny, niemal drogi... Ale...

Wokół prószyło i prószyło; płatki śniegu oblepiły twarz, śnieg padał bez końca... Ołowiane niebo było coraz ciemniejsze.

Tylko że... wziąć od człowieka wszystko, co tylko może dać, wolno jedynie pod warunkiem, że odda mu się własne życie, własną miłość. Konstantyn Aleksandrowicz odrzucił przyjaźń, wolał zerwać, niż palić się żywcem na wolnym ogniu. Nie godzi się igrać z jego uczuciami. Jeśli teraz do niego zastuka, musi zgodzić się na miłosny związek – innego wyjścia nie ma! Miłość! „Inny mężczyzna rozbudzi kiedyś twoją namiętność” – mówił Oleg... A żona tamtego? Jest pod strażą, w baraku, jak Lela. Gdy wróci, odnajdzie męża i dziecko. Jak Asia spojrzy jej w twarz, co zrobi? Wtedy odejść będzie trudniej niż teraz. Zadać cios komuś, kto stracił wszystko, znaczy dobić tego kogoś. Dobić...

A śnieg padał, padał, padał...

Czemu więc zwleka? Czego się spodziewa? Nie chce dobić – a zatem musi odejść, i to natychmiast, póki nie wyszedł i nie zobaczył jej, natychmiast, póki nie osłabła wola... Odejść.

Sypie tak, że zakleja oczy... Nogi nie wiadomo czemu takie słabe... Strasznie się zmęczyła... Oleg z Sołowków też tak wędrował – po bezludnych drogach, w zamieć i mróz. To nasza droga krzyżowa. Wyroki boskie są niezbadane – widocznie tak trzeba! Nadejdą inne czasy, inna kultura... Co to za ptak krzyczy? Kruk? Przeraża ten jego głos. Zimowa droga... „Kruku, dziwny druhu biedny...” W liryce Schuberta jest coś porywającego. Geniusz, a umarł z głodu na strychu! Wcześniej się dziś ściemniło... Byłoby rozsądniej przenocować u Jekatieriny Siemionowny, a wyruszyć o świcie. Może wrócić, póki nie odeszła

zbyt daleko? Ale Sławeczek nie zechce bez niej spać, nie kąpała wczoraj Sonieczki: jeśli odłoży na następny dzień, ciało się odparzy... Rączki i nóżki ma takie maleńkie, żalodne, słabiutkie. Sławeczek już się w tym wieku podnosił, a Sonieczka... Nie, trzeba koniecznie wrócić przed nocą. Droga jest ubita – nie zbłądzi. Znow kruk kracze, pewno ma gdzieś w pobliżu gniazdo. Tym razem las jest ciemny i posepny. Gdyby w domu czekała mama lub madame i jak w dzieciństwie ułożyły ją w białym, przytulnym łóżeczku, Asia mogłaby wtedy zasnąć spokojnie, wiedziałaby, że mama jest obok. Spokojnie – bez tej bolesnej trwogi, która nie mija nawet we śnie, tkwi gdzieś w podświadomości. Szloch wstrząsa ciałem Asi we śnie, często budzi, boleśnie rozdziera pierś... Dziwne – dlaczego tak jest? Może dlatego, że w ciągu dnia stale próbuje się pohamować? Nigdy teraz nie budzi się rześka i wypoczęta – zmęczenie nie mija; nogi od samego rana tak boją, jak po przebyciu wielu wiorst... I ten ciągły strach – to o Sonieczkę, to o Lełę, to o babcię.

Taka śnieżycą, że z obu stron drogi nie widać nic, nie wiadomo, ile już przeszła... Mniej więcej w połowie drogi leży wielki szary głaz, tak ponury jakby myślał o czymś smutnym. Chyba go jeszcze nie minęła. Byle tylko Sławeczek nie pobiegł do studni lub za dom – zapomniała powiedzieć, by go nie wypuszczano. Fatalna pogoda – śnieg zasypuje drogę. Nogi grzęzną w zaspach, trudno nimi poruszać. Gdyby przynajmniej ucichł wiatr, wtedy nie ściszałoby się tak gardło. Wciąż jeszcze nie ma głazu... Trzeba iść szybciej – coraz ciemniej. Wilków tu nie ma, wszyscy o tym zapewniali. Fiokłuszka stale tędy chodzi – nie ma się czego bać. Tak jak w wierszu Błoka: „W zaczarowany krąg przywiodła, srebrem zamieci zasłoniła”. Nie ma nawet nadziei na przyszłość – dzieci wyrosną opuszczone, a ona będzie wciąż samotna, całe życie bez muzyki... „Barkarola” Schuberta... Jakże marzyła, by ją zagrać! A jej utwór o skrzydłach anielskich? Zginie nie ukończony. W głowie już od dawna powstały dźwięki: szmery pod kopułą, dym kadzideł, gruchanie przylatujących gołębi, potem motywy z liturgii, by oddać tajemnicę spełniającą się na ołtarzu... Zachwycone głosy jasnych duchów – takich jak „anioł z

kadzidłem” Wrubla... i znów tajemnicze szelesty, nieznanne życie pod kopułą. W orkiestrze zabrzmiało to lepiej niż na fortepianie, lecz jak stworzyć muzykę bez instrumentu, bez możliwości skoncentrowania się? Co staje się z geniuszami, którzy nie zdążyli się wypowiedzieć, a sami są pełni niczym kielich? Oj! Upadłam... Potknęła się o jakiś pień. Rękawiczki mokre, w walonkach też pełno śniegu. Ależ z niej gapa! Uff, jak zimno! Gdyby była tu Lada, czułaby się pewniej. Pies wskazywałby drogę... Co to takiego? A może się wydaje... Kto tam czai się za krzakiem? Zupełnie jakby patrzyły stamtąd oczy Łady... Pies... Tak – to pies! Ma takie smutne oczy... Ale to nie Lada – to duży, obcy pies ze sterczącymi uszami, a Lada miała wiszące, miękkie. Wilków tutaj nie ma... Piesku kochany, chodź tutaj... Przytul się do mnie, pójdziemy razem. Jesteś ze swoim panem czy zabłądziłeś? Zgłodniałeś? Zimno ci? Co ci jest? Jak on dziwnie patrzy... Zgrzyta zębami... Oj! Ratunku! Ratunku! To wilk! Straciła głos, chrypi, a nic nie słyhać. Zawsze myślała, że w niebezpieczeństwie nie zdoła krzyknąć! Jak się bronić? Wykluć mu oczy? W kieszeni ma scyzoryk... Ale oślepić to okrucieństwo. Na pomoc, na pomoc! Znowu głos uwiązł w gardle – tylko jakieś syczenie. Wilk ciągnie ją za waciak, ściąga z drogi! A w lesie Asia zabłądzi i zginie. Jeśli ugryzie w nogę, Asia nie wstanie; umrze tutaj, w świerkowym lesie, w wilczych zębach! A dzieci? Trzeba spróbować się wyrwać! Gryzie! Ojej, schwycił za nogę! Gdzie jesteście, dobrzy święci? Ratujcie! Nigdy nic złego nikomu nie zrobiła. Wszystkich kochała. Ma małe dzieci! A oto i kij! Uderzyć w pysk tak, żeby nie zabić? Nie można inaczej! A masz! A masz! Jednak puścił! Puścił. Teraz w nogi! Prędeż, prędeż! Trzeba uciekać, a ona grzęźnie w śniegu... w dodatku boli noga. O Boże, pomóż! To znowu on! Jak straszno! A co to takiego? On też kuleje? Zranili go myśliwi? Naprzód, jeszcze naprzód! Tak, tak, zostaje w tyle – chyba naprawdę ma chorą łapę! Usiadł na śniegu... Ocalona! Chwała ci, Panie! Tylko trzeba uciekać, uciekać jak najprędeż. Ale on usiadł na samym środku drogi. Musi skrócić w las i obejść to miejsce. Żeby tylko nie natkać się na innego... Nie, nie, sam Bóg przyszedł z pomocą. Gęsty las. Trudno się przedrzeć – i zaspy i gałęzie...

Boli kostka. Po nodze cieknie coś ciepłego – to krew! Ugryzł do krwi. Nie wolno tracić głowy i osłabnąć. Oleg kiedyś mówił, że jak człowiek jest strasznie zmęczony, to nie powinien siadać, bo potem nie wstanie. Trzeba iść, póki starczy sił ruszać nogami. Jest już całkiem ciemno, ale dlatego, że to las. Wrócić na drogę? Nie! Jak straszno! Potwornie boli łydka. Kogo wołać? Kto usłyszy? Może jednak usiąść, o tutaj, pod drzewem. Przewiąże nogę chustką i odsapnie. W walonku pełno jest krwi, a serce wciąż wali jak młot, trzęsą się ręce. Pewno tak czuje się zwierzę ścigane przez myśliwych, ludzie robią sobie zabawę z jego męki... Jakże ciemno w tej gęstwinie... Za każdą gałęzią czai się niebezpieczeństwo. Koperta z adresem Ełżbietki powinna być tutaj, zaszyła ją w woreczku. Trzeba napisać... Kto wie, co się może zdarzyć. Co prawda, zamieć zasypuje wszystkie ślady. Kilka słów można nagryzmolić nawet na oślep. No, gotowe. „Umieram. Dzieci są twoje”. Teraz zapakować – i z powrotem na pierś, tam gdzie wisi krzyżyk. Chyba nie dojdzie – musi się podnieść, a brak sił, krew cieknie bez przerwy. Przeczekać zamieć tutaj, pod drzewem, a rano, gdy wszędzie słońce, spróbować dojść? Rano wszystko będzie wyglądać inaczej, może trafią się jakieś sanie, podwiozą ją, a teraz sypie śnieg, jest ciemno i brak sił, by iść dalej. Przytulić się do tej sosenki i znów myśleć o muzyce i o wieczności – wtedy nie będzie tak straszno. W Królestwie Ducha nic nie powinno zginąć, absolutnie nic! Tam rozkwita każda twórcza myśl, wyprostowuje się każda zdeptana roślinka, swobodnie oddycha każde udrećzone zwierzę, ten nieszczęsny wilk również... I Lada. W przywiązaniu Łady było piękno, które zginąć nie może – utoną w przeszłości jedynie błędy i zło. Lada miała duszę! Myśl o powszechnym zmartwychwstaniu nie daje jej spokoju od dzieciństwa, nieustannie nurtuje w mózgu. Skąd to się wzięło? Jutrznia paschalna? Ewangelia? „Gród Kiteiż?” Przecucie wieczności zamieszkało w sercu chyba jeszcze wcześniej. Odrodzenie każdej duszy każdego stworzenia – coż może być piękniejszego od tej idei? Więc po co teraz płakać? Żal się zrobiło tego, co ją otacza... W przyszłym życiu każdy człowiek staje się duchem, a teraz nagle zrobiło się jej żal zwykłego, ludzkiego

szczęścia! Asi – dziewczynki, nieznośnej figlarki z warkoczykami, Asi – młodej kochanej żony już nigdy nie będzie! Nigdy już nie usiądzie na kolanach Olega, nie przytuli się do jego piersi. Tak mało zaznała szczęścia, choć, nie wiadomo czemu, była pewna, że będzie szczęśliwa długie lata. Srebrne nitki i promienne ranki zapowiadały zupełnie coś innego. Zimno jej w nogi... Chłód ogarnia całe ciało. Może jednak wstać i spróbować dojść? Nie, nie – brak już sił. Starcze Serafimie, spraw, by ta zamieć minęła! Jeśli można – spraw. „W zaczarowany krąg przywiodła, srebrem zamieci zasłoniła”. Śmierć zawsze przychodzi w wyznaczonym dniu. Człowiek drętwieje, a tu nagle przyływ nowych sił witalnych, zupełnie jakby ktoś dotknął czarodziejską różdżką lub polał wodą życia, niczym w bajce. Jasne cienie, cichy blask, złociste promienie... Obłoki jak o zachodzie słońca... A sprawiedliwi śpiewają: „Przebacz, Panie Boże, krzywdzicielom naszym...” i „Święć się, święć, nowa Jerozolimo”; błogosławią i szepczą: „Święte świętych”. Olegu, najmilszy! Odnajdą go na tym strasznym więziennym podwórzu i „czterdzieści ran śmiertelnych” nie przeszkodzi mu wstać. A wtedy Michał, wódz zastępów niebieskich weźmie go do swego wojska, Asia zaś będzie tworzyć hymny ku czci nieznannej harmonii. W śniegu jest cieplej, nie sypie tak w twarz; jak dobrze mi w tej norce... W głowie muzyka z „Niewidzialnego grodu”. „Bez świateł czytamy tutaj księgi i ciepło nam jak na słońcu”. Wokół ciemno, zupełnie ciemno. Nic nie widać... Zamieć... Boże, ocal moje dzieci! Śnieg, śnieg... Wieczność...

Rozdział dwudziesty piąty

Kilka urek leżących i siedzących na pryczach zaintonowało aresztańską piosenkę:

*Słońce wschodzi i zachodzi
A w więziennej celi mrok...*

Głosy zespoliły się w dźwięczny chór, a utajony smutek melodii i tekstu odzwierciedlał się niemal na każdej podmalowanej twarzy.

– Czego gały odwracasz? Pokaż gębusię. Przypominasz mi Walę, moją siostrzyczkę – rzekł do Podszywałowej młody kryminalista przeciskający się między pryczami.

– A gdzie teraz jest ta twoja siostrzyczka? – zainteresowała się tamta.

– Ech, lepiej nie pytaj! Całe nasze życie było tylko włóczęgą, nigdy nie mieliśmy dachu nad głową...

– Święta prawda! Ale trzymaj się ode mnie z daleka, mam już kogoś. Nie dla takich jak ty moja gębusia. Wynocha stąd!

– I bez tej twojej gadki się wyniosę. Nie musisz mnie pouczać.

Podszywałowa przeciągnęła się, zarzuciła ręce za głowę i westchnęła. Oczy jej zatrzymały się na Leli, która wkładała właśnie chustkę przeglądając się w nadtłuczonym lusterku.

– Znów do gacha?

– Żeniu, prosiłam cię już kilka razy, nie rozmawiaj ze mną o tym – odpowiedziała Lela.

– No to idź, idź! Każdy po swojemu głupieje.

Lecz Lela już wybiegła z baraku nie zadając sobie trudu, by wysłuchać pouczenia.

Ciasny pokoik lekarza dyżurnego: kozetka, biała szpitalna szafka i stół. Spotykali się zwykle tutaj, w dniach, gdy nie dyżurowały osoby, które można by posądzić o donosicielstwo. Mieli dla siebie tylko półtorej godziny między kolacją a wieczornym apelem; z napiętymi w najwyższym stopniu nerwami wciąż się spodziewali ostrzegawczego stukania do drzwi; mimo to udawało się czasem porozmawiać szeptem, gdy leżeli razem na kozetce. Tego dnia nikt nie przeszkodził i Lela przymknęła zmęczone oczy oparłszy głowę na ramieniu Wiaczesława.

– Wierzę, Alonko, żeś zmordowana – mówił do niej. – Pracować pod konwojem nie jest łatwo. My jesteśmy uprzywilejowani pod tym względem. To praca wyjątkowa, chociaż ciężka. Postaram się załatwić ci u nas pracę salowej. Będiesz musiała szorować podłogi i podawać nocniki, ale za to bez konwoju.

– Tylko nie u zakaźnych. Mam zawsze dreszcze, kiedy przestępuję ten próg. Odwiedzać cię nie przestanę; chwile z tobą to moja jedyna radość, ale pracować z zakaźnymi nie chcę.

– Porozmawiam z lekarzami. A my wszyscy przywykliśmy – nie boimy się! Śmierć zawsze się tu czai!

– Ciszej, kochany! O pewnych rzeczach lepiej nawet nie wspominać. Powiedz, kim jest ten stary człowiek, którego spotkaliśmy w sieni?

– On... właściwie nie wiem, co o nim myśleć. To uwięziony biskup. Był niegdyś chirurgiem, wyznaczili go tutaj na ordynatora na wydziale chirurgicznym. Trafiłem na chirurgię w pierwszym miesiącu. Z początku byłem wściekły: nad każdym instrumentem, który mu podano, robił znak krzyża; nim naciął choremu skórę, mówił „w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!” A gdy mu się przyjrzałem – dostrzegłem, że zachowuje się z godnością, operuje, mówmy szczerze, znakomicie; cały personel go szanuje. Pewnego dnia wpadli do nas ci z GPU: jak śmiesz, mówią, ty taki siaki, uprawiać religijną propagandę? A on na to ze spokojem: bez znaku krzyża nie będę operował, zwolnijcie mnie, jeśli chcecie! No

i powlekli go na oddział karny. Wtedy właśnie przywieźli małżonkę jednego z ważnych naczelników – miała ostre zapalenie ślepej kiszki. I chcieli, by operował koniecznie biskup. Szybko przywlekli go z powrotem. A biskup podchodzi do stołu operacyjnego i jak gdyby nigdy nic znów robi znak krzyża nad każdym instrumentem; nasi naczelnicy bez słowa połykają tę żabę. Ja też wraz z całym personelem cieszyłem się wtedy, że wrócił. Teraz się z nim przyjaźnię. Przywykłem uważać za łajdaka każdego sługę kultu, ale tym razem... nie pasuje mi ta miarka!

Lela pogłaskała jego włosy.

– Mój miły, to ciebie oskarżyli o kontrrewolucję?!

– Ech, gdyby tylko mnie! Przecież sama widzisz... Choćby ten Ropszyn, mój nowy kolega, wiesz za co go posadzili? Powiedział, że woli wiersze Gumilowa od poezji Majakowskiego. Albo młoda dziewczyna, nasza salowa; ma tylko szesnaście lat. Wraz z kilkoma innymi uczniami w syberyjskim miasteczku założyła kółko naukowe. Młodzi chcieli badać historię partii. No i rychło doszli do wniosku, że generalna linia partii dopuściła mnóstwo niewybaczalnych błędów. Nie zdążywszy skończyć szkoły znaleźli się w łagrze. Oto do czego prowadzi przesadna czujność. Nie uwierzyłbym, gdybym nie słyszał na własne uszy. Szkoda ludzi, a sprawy jeszcze bardziej! To woda na młyn naszych wrogów. Towarzysz Stalin niszczy dorobek tylu lat! Wiesz, nie żałuję, że tutaj siedzę – zrozumiałem już to i owo.

– Ależ mój kochany, jesteś teraz zupełnie innym człowiekiem! Gdy tak mówisz, wydajesz mi się takim samym bohaterem jak kiedyś Oleg w oczach Asi.

– Po co porównujesz? Co mogę mieć wspólnego z oficerem carskiej gwardii? Nic romantycznego we mnie nie ma, słowo daję. Zostawmy to panom oficerom. Jestem całkiem zwyczajny.

– A właśnie że nie! Wiem lepiej od ciebie, jaki jesteś. Moglibyśmy być ze sobą bardzo szczęśliwi...

– A czyż nie jesteśmy? Czy do szczęścia koniecznie potrzeba

łóżka i poczucia bezpieczeństwa? Ja w każdym razie jestem szczęśliwy. Bądź cierpliwa, jeszcze pożyjemy razem na wolności! Będziemy mieli synka. Martwi mnie tylko twoje zdrowie. Pokaż termometr. Znowu trzydzieści siedem. Mam nadzieję, że to nie gruźlica. A co z nogą? Pokaż. To plamy od skorbutu; ja też mam takie na obu łydkach. Zaraz dostaniesz pędy grochu; namoczyłem trochę w puszcze po konserwach. Masz, pogryź sobie.

– Dlaczego wstałeś? Połóż się, pogadajmy jeszcze trochę. Chcę ogrzać się twoją czułością, jeszcze trochę zapomnieć o łagrze!

– Czas już, dziecino. Wkrótce apel. Boję się, że po ostatniej ucieczce znów przykręcą śrubę. Słyszałaś, co się stało?

– Tak. Wczoraj szeptały u nas kobiety, że uciekł więzień z dużym wyrokiem. Nie wiem, czy go ścigali. Trudno się połapać, co jest prawdą, a co plotką.

– Już go schwytali, Alonko. I przywieźli wczoraj wieczorem. Jest ranny i cały pogryziony przez psy, widziałem na własne oczy. Biskup Łukasz wyjął mu dzisiaj kulę. Czy wiesz, kim jest ten człowiek? Jeden z organizatorów komsomołu. Nie będę zabiegał o reaktywowanie w partii, jak stąd wyjdę – nie ma tam miejsca dla prawdziwych komunistów. Płaczesz, Alonko?

– Wspominam człowieka, którego tak samo ścigali z psami. Był dla mnie jak rodzony ojciec, a ja niczego nie umiałam cenić w tamtych dniach.

– Posłuchaj, Alonko, co wymyśliłem: pojutrze na odprawie do robót dyżuruje Michał Romanowicz – lekarz, z którym pracuję. Powiedz mu, że jesteś chora; uprzedzę go, co ci jest, poproszę, żeby skierował cię do szpitala. Odpoczniesz choć kilka dni, jeśli się uda. A teraz biegnij, póki nikt się nie połapał.

Pocałowali się.

– Ot i całe nasze szczęście! Tylko godzina! – westchnęła.

– Trzymaj się, Alonko! Nie wolno tracić męstwa. – Wiaczesław wyrzwał do sieni, a potem na ulicę. – Nie ma nikogo. Biegnij, moja

najmilsza!

Nazajutrz rano ustawiając się w szeregu przed pójściem do pracy Lela powtarzała sobie w duchu: Jak Pan Bóg da, to odpoczne! Poleżeć w łóżku dwa lub trzy dni – cóż to za rozkosz!

Popchnęła ją czyjaś ręka.

– Rusz się, dewczyna, ne zatrzymuj. Odwróciła się; za jej plecami stał strażnik Kosym.

– Ładny ruski dewczyna! Bardzo ładny dewczyna! – powiedział z głupawym uśmiechem.

Lela przyspieszyła kroku.

W środku dnia, gdy dźwigała belkę, znów zobaczyła w pobliżu Kosyma; wyciągał ręce, by pomóc jej dźwigać ten wielki ciężar.

„Niby dlaczego taki uprzejmy!” – zastanowiła się dostrzegłszy, że strażnik aż rozplywa się w głupim uśmiechu, a maślane, podobne do śliwek oczy Kosyma nie mogą się od niej oderwać.

– Ruski dewczyna taki gładki!

Lela odwróciła się pośpiesznie.

Kiedy po kolacji rozchodzili się do baraków, Podszywałowa przywołała ją skinieniem ręki:

– Co takiego, Żeniu?

– Chcesz, powiem ci nowinę? Mój Aloszka twierdzi, że strażnik Kosym się w tobie durzy.

Lela cofnęła się zaskoczona.

– Co za bzdury! Masz o czym opowiadać! Nie interesują mnie amory Kosyma!

– Poczekaj chwilę! Przecież chodzi mi o ciebie! Jaki masz zysk z tego twojego gacha? Ciągła obawa, że was nakryją, a korzyści żadnej. A jak zaczniesz żyć z Kosymem, dadzą ci dobrą

pracę, chleba ci nie zabraknie, a i konwój będzie szanował. Dziś przyjdą do baraku we dwóch – mój Aleksy i Kosym.

– To niemożliwe, Żeniu! Powiedz Aloszce, niech nie przyprowadza Kosyma – nic u mnie nie wskóra.

– Nie bądź taka harda, Lenka! Bardzoś dumna! Nie radzę się sprzeciwiać Kosymowi, zacznij się mścić!

– Co takiego?! On nie ma prawa mnie zastraszać! Jak powiem o tych jego planach kierownictwu, on oberwie, a nie ja – Lela odwróciła się na pięcie i odeszła.

Tego dnia nie planowali z Wiaczesławem spotkania. Dyżurowała pielęgniarka, podejrzewana o to, że donosi. Mimo to Lela postanowiła pobiec do szpitala i przez zaufanych ludzi wywołać do sieni Wiaczesława choćby na parę minut.

Jego twarz wykrzywiła się.

– Alonko, kochana, trzymaj się! Jeśli będziesz stanowcza, nie pozostanie mu nic innego, jak odejść. Nie ośmieli się wziąć cię gwałtem, ale gdyby próbował – nie jesteś w lesie; krzycz, wrywaj się, awanturuj. Strażnikom surowo zakazano współżyć z więźniarkami. Nie bój się, że narobisz hałasu – w tym wypadku władze łagru będą po twojej stronie. A ja nie mogę cię obronić, zrozum to! Jak się tylko wtrącę, zaraz nas rozłączą jako parę kochanków – wyślą do karnego łagru i koniec! Wszystko zależy od ciebie.

Mówiąc te słowa trzymał w dłoniach jej ręce.

– Możesz być spokojny, nie dam się, boję się tylko jego zemsty – wyszeptała cała drżąca.

W baraku zastała popłoch. Kobiety w grupkach szeptały między sobą, strażnicy rozpędzali je na prycze. O kilka minut wcześniej niż zwykle zabrzmiał sygnał na ciszę. Sąsiadki nie omieszkały powiedzieć Leli, że przed chwilą zginęła Fieniczka – cicha, potulna bytowiczka zatrudniona jako stróżka przy jednym z magazynów. Stojąc przy drzwiach z żelaznymi kłódkami zwykle robiła koronki, zawsze sprawiała wrażenie bardzo spokojnej. Tego

wieczora nagle zostawiła robótkę i rzuciła się w kierunku drutów kolczastych. Nie zatrzymały jej ostrzegawcze krzyki wartowników; zatrzymała kula. Zachowanie Fieniczki było tak dziwne, że mówiono, iż to z pewnością samobójstwo.

– Niech jej Bóg wybaczy – powiedziała Magda. – Wyrządziła krzywdę i sobie, i nam! Dwie próby ucieczki nie ujdą nam na sucho...

Być może konwojowi dostało się za historię z Fieniczką albo postanowiono zdyscyplinować nie tylko więźniów, lecz i strzelców – w każdym razie ani Aloszka, ani Kosym nie przyszli tej nocy do baraku. Lela niepotrzebnie przesiedziała całą noc na pryczy z trwożnie bijącym sercem.

Gdy rozległ się poranny sygnał, od razu stało się jasne, że personel został odpowiednio poinstruowany. Krzyki strzelców były ostre jak nigdy, rozkazy kategoryczne; starsi naczelnicy spacerowali to tu, to tam, obserwując więźniów; z kolei więźniowie poruszali się w milczeniu jak manekiny; zajmując miejsce w szeregu Lela spojrzała pytająco na lekarza, który samymi wargami zdołał wyszeptać: „Nie dzisiaj!”

I tym razem konwojowali ich Aloszka i Kosym.

Lela starała się trzymać jak najdalej od Kosyma, lecz wybrał moment, by się do niej zbliżyć, i wyszeptał:

– Ne bój się, dewczyno, Kosyma; Kosym tobi zakochał. Przyhołub Kosyma, a masz i pieniądze, i chleb.

Lela z obojętnym wyrazem twarzy dalej wiązała w pęczki gałęzie, lecz jej serce biło jak szalone. Widocznie Podszywałowa nie zdażyła uprzedzić Aloszki, jeszcze nie dotarły do Kosyma słowa odmowy.

Po chwili strażnik powiedział:

– Czekał Kosyma dzisiaj w nocy, dżan. Kosym przyjdzie razem z Aleksejem.

Lela wyprostowała się gwałtownie i zdobywszy się na odwagę

wyrąbała:

– Jeśli się ośmielisz, podniosę na nogi cały barak! – mówiąc to nie patrzyła Kosymowi w twarz; bała się wściekłości w jego oczach.

Gdy brygada wracała do żony mieszkalnej, zamiatająca śnieg urka krzyknęła:

– Mieliliśmy tu wielki kipisz!

Co by to mogło znaczyć? Było jeszcze daleko do stołówki, gdy inna urka przebiegając obok Leli rzuciła:

– Kipisz, kipisz, wielki kipisz!

Oczy Magdy znów były zaczerwienione.

– Zrobili rewizję w baraku – szepnęła do Leli zajmując swoje miejsce po sygnale na kolację. – Przerzucali nasze rzeczy, przetrząsali słomę. Zabrali mi modlitewnik tatusia – ostatnią pamiątkę, jaka mi po nim została. A ty zostawiłaś coś w baraku?

– Ikonkę i wełniany żakiecik. – Powiedziawszy to Lela przypomniała sobie nagle, że w kieszeni nieszczęsnego żakietu leży pierwsza i jedyna kartka od Wiaczesława! Po kolacji natychmiast pobiegła do baraku. Na pryczy nie było ani ikonki, ani żakietu (choć ubrania były dozwolone). Jakieś złe fatum kazało Leli tego ranka odłożyć żakiet na bok, wmówić sobie, że mróz osłabł i będzie jej ciepło w samym waciaku! Siedziała na słomie z podkulonymi nogami i zastanawiała się, co teraz będzie, A może pobiec do Wiaczesława? Pewno jest strasznie niespokojny, nie zawiadomiła go przecież, jak minęła noc. „Biec do niego teraz byłoby niebezpieczne... zbyt niebezpieczne... mogą śledzić...”

Podszywałowa przerwała jej te myśli:

– Weź, Lenka, to twoje. W porę schwyciłam i schowałam. – Twarz głupiutkiej dziewczyny rozjaśnił uśmiech, w wyciągniętej ręce Żenią trzymała święty obrazek.

– Dziękuję ci, Żeniu! Często bywasz taka dobra! Mogłabyś być znacznie lepsza, niż jesteś. Zresztą, dotyczy to nas

wszystkich, zwłaszcza mnie samej – wzruszyła się Lela.

– No, ze sobą mnie nie porównuj! Ja od maleńkości byłam stracona. Ile razy mówiła mi mamusia: „Nie kręć z tymi bandziorami, Żeniu! Źle się to skończy. Zginiesz marnie, i to bez powodu! Wczoraj na wieczornym nabożeństwie modliłam się za ciebie do Matki Boskiej!” A ja tylko gwizdnę, i znów na ulicę. No i tak wyszło, jak przeczuwała mamusia. Co ona, biedactwo, teraz porabia? – chlipnęła Podszywałowa.

– A kartka?! Mój Boże, gdzie kartka? – Lela nadaremnie szperała w słomie i czołgała się po podłodze – poszukiwania nie dały rezultatu. Niedopuszczalna lekkomyślność – nie zniszczyć tak kompromitującego dokumentu!

Na godzinę przed gongiem wezwano Lelę do naczelnika łagru.

– Z kim się wdałaś w amory? Kto wyznaczył ci randkę? Nie chcemy w łagrze ciężarnych bab. Gadaj, co to za jeden?

Lela milczała zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Czy to moja wina, że jestem jeszcze ładna i nie dają mi spokoju więźniowie i konwój? Z nikim nie chcę mieć nic wspólnego. Spytajcie kobiety z sąsiednich prycz, potwierdzą moje słowa. Z tej kartki jeszcze nie wynika, że się z nim spotkałam. Nie mam pojęcia, kim jest ten „W”, nawet nie próbowałam się dowiedzieć.

– Ho, ho, jaka dumna! Jeśli naprawdę z nim nie kombinujesz, powiedz, co to za jeden. Myślisz, durna babo, że się nie dowiemy? To ktoś z personelu medycznego, jasna sprawa. Przesłuchamy kilka pielęgniarek i dowiemy się. No, gadaj, albo każę cię zaraz przenieść na czterdziesty ósmy odcinek; chyba wiesz, co to takiego?

Lela zdrętwiała. To obóz karny... tam biją, morzą głodem... a jeszcze... A o Wiaczesławie i tak się dowiedzą... zbyt łatwo można do tego dojść... I nie swoim, jakimś obcym głosem wyszeptwała:

– Felczer Wiaczesław Konopiannikow.

W baraku wszystkie kobiety patrzyły na nią ze współczuciem, kiedy wracała na swoje legowisko. Lecz Lela nie widziała niczego.

„Wydałam go! Zdradziłam! Nawet urki nie zdradzają swoich kochanków” – upadła z rozpaczą na rozgrzebaną słomę...

Wiaczesław miał dyżur tego wieczora, miotał się z trwogi, co chwila wybiegał na ganek z tyłu szpitalnego budynku.

Było coraz ciemniej, do nocnego gongu pozostał kwadrans; potem drzwi baraków zostaną zamknięte, można się będzie spotkać nie wcześniej niż za dobę! Przed Wiaczesławem niespokojna bezsenna noc, a potem kolejny dzień oczekiwania.

Lela ma rację: nie można czuć się szczęśliwym w takiej sytuacji. Miłość staje się torturą. Trzeba koniecznie spotkać się z nią, choćby na chwilę. Może siedzi na ławce koło kobiecego baraku? Zbiegł z ganku, zrobił kilka kroków i w wąskim przejściu między barakiem a łaznią wpadł prosto na Kosyma.

– Co się tu kręcisz? Kogo wypatrujesz? – wrzasnął zapominając o ostrożności.

– Uch! Nie jestem więźniem, żeby na mnie krzyczeć! Zabiję jak parszywego psa! – zasyczał Kosym.

– Myślałby kto, jaka figura! Posłuchaj, bydlaku: nie ujdzie ci na sucho zaczepianie więźniarek. Zamelduję o wszystkim albo sam się z tobą rozprawię. Nie jestem delikatnym paniczykiem! Wszystkiemu się od was nauczył – spójrz no tutaj – Wiaczesław pokazał mu dwa palce i przesunął nimi po szyi. – Już wiesz? Zrozumiałeś?

– Naskarżyła ci! Żyjesz z nią, czy jak?

– Nie, nie żyję, ale i tobie nie dam! A jak mnie zasypiesz, ja zasypię ciebie. Słyszałem, coś do niej gadał!

Błyskając oczyma Kosym wziął karabin, przysiadł i wycelował mrużąc jedno oko.

– Czego się wygłupiasz? Rzygać się chce, jak na ciebie patrzę! Nie masz prawa pociągnąć za spust, nie ma tu w pobliżu drutów kolczastych.

Kosym przestał celować, lecz wolno, kocim skradającym się krokiem ruszył w stronę Wiaczesława kołysząc karabinem.

– Nie przestraszysz mnie! Zapamiętaj – jak tylko wleziesz nocą do kobiecego baraku, koniec z tobą!

Wiaczesław odwrócił się, okrążył budynek i wyszedł na plac z udeptanym śniegiem.

Szesnastoletnia pielęgniarka, o której opowiadał Leli, prześlizgnęła się obok niego.

– Cześć, Mucha! Z pracy? Dziewczyna zatrzymała się:

– Biegnę do ciebie. Zaraz będzie apel i gong. A na dwunastą wracam do szpitala, na twój dyzenteryjny oddział. Michał Romanycz kazał przyjść, nocą nie ma kto pracować, wasza Pola zachorowała, ma krwawą dyzenterię.

– Mucha, pomóż mi. Znasz moją Alonkę; weź blankiet na receptę i ołówek, szepnij cichutko, niech do mnie napisze, przynieś to na trzecią salę. Zgoda?

Dziewczyna spojrzała na niego bacznie.

– Dla ciebie zrobię... tylko... Sławku, uważaj! Wzywali mnie, pytali o ciebie... Nie wydałam cię, ale na mnie nie poprzestaną...

– Aha! Nakryłem was! Stój teraz! Towarzysze, chodźcie tu! Przyłapałem parkę! – wrzasnął piskliwie Kosym, schwycił opierającą się dziewczynę i powłókł w stronę latarni.

Przed Wiaczesławem jak spod ziemi wyrósł strażnik.

– O co chodzi?! – ryknął Wiaczesław. – Chyba nie jestem w baraku, nie całowaliśmy się, nie leżeliśmy na pryczy, a stać na placu nikt nie zabrania przed wieczornym gongiem. Czego się drzesz?

Kosym z niespodziewaną obojętnością wypuścił z rąk swoją

zdobycz i Mucha zniknęła za drzwiami baraku. Wiaczesław widział, jak się za nią zamknęły.

Przyniesiona przez Muchę kartka od Leli pełna rozpacz i skruchy wyjaśniła mu wszystko. Czytał ją stojąc w białym fartuchu przy łóżku „pięćdziesiątego ósmego”, który umierał na tyfus.

– Nie mogę, nie mogę żyć z tymi bolszewikami – mamrotał umierający w malignie.

Westchnienia i jęki donosiły się z każdego łóżka przepelnionej sali.

„Wymieniła moje nazwisko? No i dobrze! Co innego, biedactwo, mogła zrobić? I tak by wywęszyli. To pachnie karnym łagrem. Lepiej niech wezmą mnie, byle nie ją... Jest taka słaba – nie przeżyłaby tego”.

Zacisnąwszy usta Wiaczesław odwrócił się w stronę umierającego:

– Daj mi strzykawkę, Mucha. Tętno spada.

Rozdział dwudziesty szósty

Aloszka nie pojawił się tej nocy w baraku i Podszywałowa rzekła z westchnieniem:

– Nie ma mojego sokoła! Widocznie im też przykręcili śrubę.

Dzień włókł się straszliwie powoli. Nowe było tylko to, że Kosym szepnął do Leli na wyřbie:

– Jeszcze mnie popamiętasz! Kosym krzywd nie zapomina!

Po apelu Mucha rozejrzawszy się wokół podała jej ukradkiem blankiet recepty. Wiaczesław pisał: „Przesłuchiwali mnie dzisiaj. Nie przeczyłem, że pisałem do ciebie, zapewniłem ich jednak, że nie chciałaś się ze mną spotkać. Przeniosą mnie do żony karnej. Trzymaj się. Miejmy nadzieję, że Michał Romanowicz i biskup znajdą sposób, by mnie stamtąd wyciągnąć. Jeszcze raz chcę powiedzieć, że cię kocham, nigdy żadna dziewczyna nie wyda mi się ładniejsza. Boli mnie serce na myśl, że moja miłość przyniosła ci tylko nieszczęście. Nie zapominaj o swym przyjacielu. Nie staraj się ze mną spotkać – tak będzie dla ciebie lepiej. Uważaj na siebie. Natychmiast podrzyj ten list”.

Lela opuściła rękę z listem i zamyśliła się.

Podszywałowa trąciła ją w bok:

– Patrz, przynieśli pocztę. Zaraz będą rozdawać. Może i do nas ktoś napisał?

Lela niemal obojętnie podniosła oczy: na środku baraku stał żołnierz GPU z paczką listów.

– Heleno Lwowno, poczta! – krzyknęła do niej Magda, być może po to, by ją pocieszyć.

Oczy mieszkanek baraku wpiły się w obojętnego żołdaka, który wykrzykiwał nazwiska. Zwiesiwszy głowę z pryczy Lela również chciwie wpatrywała się w paczkę listów. Jak na razie wciąż nie ma... Zostały już tylko trzy koperty. Nie ma do niej listu! Został już tylko jeden...

– Nielidowa!

Zadrżała, chciała zeskoczyć z pryczy, lecz list powędrował ku niej poprzez dziesiątki wyciągniętych rąk. Nie, to nie Asia – to pismo Natalii Pawłowny! Szybko rozerwała kopertę.

„Hélène, moje biedne dziecko! Wciąż jeszcze żyję, choć od wczoraj trzęsie mi się głowa i ręce, świadczy o tym zapewne moje pismo. Wczoraj poraziła mnie wiadomość najgorsza, jaką sobie mogłam wyobrazić od czasu śmierci Siergieja. Wiem, że również i ciebie ugodzi boleśnie. Ale musisz wiedzieć, by modlić się za spokój jej duszy. Asia nie żyje, zamarła, wracając lasem z miasta, dokąd chodziła się meldować...”

– Co takiego?! Co? – krzyknęła z rozpaczą Lela upuszczając list na ziemię. – Jakże tak można? Ileż można zwałać na jednego człowieka? Oszaleliście w tym niebie, czy co?!

Słyszając ten nieprzytomny krzyk wszyscy się odwrócili. Siedząca na pryczy Lela ścisnęła dłońmi skronie, a jej szeroko otwarte nieruchome oczy patrzyły na porozrzucane kartki.

– Co się stało, Heleno Lwowno?

– Jakieś nieszczęście, Heleno Lwowno?

– Ach, biedaczka! Pewno jakaś tragedia! – rozległy się głosy z różnych stron.

– Dajcie mi spokój! Idźcie sobie! Ziemia usunęła mi się spod nóg! A tak Ja prosiłam! Prosiłam tylko o jedną łaskę! A Ona... Ona... Gdzie to twoje słynne miłosierdzie, Matko Wszystkich Cierpiących! Nawet w niebie nie ma miłosierdzia!

Magda rzuciła się ku niej, objęła serdecznie.

– Heleno, opamiętaj się! Nie wolno bluźnić! Potem pożałujesz. Moja kochana, opamiętaj się, powiedz szybko: „Niech się stanie wola Twoja”! I przeżegnaj się!

Stara mniszka, której z powodu nieprzydatności nie pędzono do pracy, więc stale siedziała w baraku z podkulonymi, zsiniałymi nogami, zwlokła się z pryczy i przykuśtykała do Leli.

– Co ty wygadujesz, szalona? Pan Bóg kocha nas, dlatego zsyła cierpienia. Nie gub swojej duszy! Diabeł nie śpi. Co sobie szykujesz? Módl się zaraz!

Jedna z młodych kobiet ofuknęła staruchę:

– Proszę odejść z tymi bzdurami, bigotko! Dziewczyna rozpacza, trzeba jej pomóc, a nie straszyć.

– Ciszej, nie kłóćcie się! – przerwała Magda cała we łzach. – Tylko miłością możemy jej teraz pomóc!

Inna młoda kobieta podeszła do Leli z oczyma pełnymi łez i usiłując zachować spokój powiedziała:

– Też dostałam smutną wiadomość: mój mąż pisze, że nie chce dłużej czekać, znalazł sobie inną. Nie jest mi chyba lżej niż tobie. Możemy nawzajem się pocieszać.

Lecz Lela powtarzała nieustannie:

– Zostawcie mnie, zostawcie! Nic mi nie potrzeba! Wpadam w czarną otchłań! – i wrywała się z trzymających ją rąk.

Wreszcie zmęczona krzykiem i szarpaniną ucichła. Magda położyła jej na czoło mokrą chustkę i siadła obok. Lela nie zwracała na nic uwagi; niepotrzebnie kobiety sykały wskazując na nią, by dano jej spokój – nie spała, lecz leżała w odrętwieniu, potwornie zmęczona.

Po raz drugi w życiu ognistymi zygzakami poraziła ją myśl, że nie potrafi cenić tego, co posiada. Jeszcze wczoraj wydawało się, że jest nieszczęśliwa, choć wiedziała, że ją kochają Wiaczesław i Asia. Gdyby można było planować życie po odsiedzeniu wyroku i wyjściu na wolność, to tylko z nadzieją na miłość siostry, na jej bezgraniczną dobroć. A teraz otwiera się przed nią czarna otchłań...

Przed świtem zapadła w ciężką drzemkę, dająca zapomnienie. Obudził ją dźwięk trąbki.

Pierwsza myśl: „Nie mam po co żyć. Po co dalej dźwigać ten ciężar, lepiej ze sobą skończyć, tak jak Fieniczka i Koczergina”.

Obolała, z ciężką głową, z wysiłkiem podniosła się z pryczy, nikomu nie patrząc w oczy, niezbędne ruchy wykonywała jak automat.

Po apelu stanęła w szeregu; jak zwykle brygada szła czwórkami na wyrąb lasu. „Jeśli się teraz nie odważę, będę niczym!” – myślała.

Odczytano znaną wszystkim formułę z groźnym finałem:

– Krok w prawo lub krok w lewo uważam za próbę ucieczki, strzelam bez uprzedzenia.

Aloszka i Kosym – pierwszy z przodu, a drugi z tyłu – poprowadzili brygadę na miejsce pracy.

Wyszli poza żonę. Ohydne baraki i druty kolczaste pozostały z tyłu. W twarz powiało czyste, polne powietrze, w oddali zieleniała tajga, na białym śniegu błyszczało słońce.

„Nie można odkładać, nie można... Trzeba właśnie teraz, kiedy idziemy w szeregu, na otwartej przestrzeni... Niebo jest dziś wiosennie pogodne i błękitne, błękitne... No... Boże, pobłogosław!”

Wybiegła nagle z kolumny i rzuciła się na bok.

– Stój! – wrzasnął jak opętany Aloszka, a towarzysze z brygady podchwycili każdy po swojemu:

– Heleno Lwowno, nie trzeba! Nielidowa, chcesz zginąć? I ucichli... Wszystko zamarło... Strażnicy chyba przymierzali się do strzału.

Nie odwracając się biegła szybciej, przeskakując doły udawała, że zmierza w stronę lasu.

– Zdumiałaś, Alonko!? – w głosie strażnika Aloszki zabrzmiało ludzkie współczucie.

„Jeszcze ten dureń nie celuje?! Dlaczego zwleka?”

I nagle inny głos – gardłowy, ostry – rozciął powietrze:

– Strzelam!

„A więc to już! To koniec – śmierć. Pomóż mi, Boże! Spraw, by się to stało od razu, jak najprędzej!” – błaganie to uniosło się z dna jej duszy niczym ostatnia modlitwa.

Zamknęła oczy, lecz biegła dalej. Strzał!

Ropszyn wszedł do sali chorych na dyzenterię i wziął Wiaczesława za łokieć:

– Wiaczesławie, mówię do ciebie jak przyjaciel... Chyba jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Wiem, że zawsze starcza ci męstwa, lecz tym razem... znowu przynieśli nosze... Idź na izbę przyjąć.

Był to czwarty wystrzał w ciągu miesiąca, czwarta śmierć, poza zgonami wskutek dyzenterii i tyfusu, pochłaniającymi mnóstwo ofiar.

Tego wieczora w łagrze wybuchł bunt.

W baraku kobiecym nikt o tym nie wiedział. Podczas kolacji nagle wstał jeden z mężczyzn i powiedział przez tubę własnej roboty:

– Przyjaciele więźniowie! Nie pracujcie, nie jedzcie posiłków! Żądamy przyjazdu komisji z Moskwy w celu zbadania regulaminu oraz zmiany łagrowego zarządu i konwoju. Im bardziej będziemy solidarni, tym szybciej wymusimy ustępstwa. Oby nie było wśród nas łamistrajków.

Mówił to polityczny – były eserowiec, niegdyś więziony w Solówkach; podczas jednego z tamtejszych strajków na znak protestu odrąbał sobie palec.

Zgodnie postanowiono walczyć, choć wielu więźniów ze zdenerwowaniem szeptało między sobą po kątach.

Mówili: „Buntują się ci z dużymi wyrokami, oni nie mają nic do stracenia”. Albo: „Łatwo im postawić wszystko na jedną kartę,

ale nam? Co będzie jeśli tuż przed zwolnieniem dorzucą jeszcze po pięć lat?”

Starali się jednak dorównać kolegom, może ze strachu przed kryminalistami, których większość przyłączyła się do strajku.

Komisja przyjechała dopiero po dwóch tygodniach, kiedy wielu więźniów osłabionych głodem, nie mogło już podnieść się z prycz.

Konwojentów i niektórych naczelników odwołano, nieco poprawiono stan sanitarny łagru. Przedsięwzięto zwłaszcza środki przeciw skorbutowi, lecz regulamin i odżywianie pozostały bez większych zmian.

Eserowca, kierującego strajkiem, rozstrzelano. Najbardziej aktywnych uczestników buntu przeniesiono do łagrów karnych. Był wśród nich czerwony partyzant i eks-komunista Wiaczesław Konoplannikow.

Tacy jak on dawni aktywiści partyjni mówili o nim: „Tego człowieka nic nie złamie. Jeżeli wydostanie się z łagru żywy, będzie jednym z tych, którzy odnowią partię”.

Inni spośród „pięćdziesiątych ósmych” mówili: „To człowiek potrzebny Rosji. Jeśli będzie mu sądzone wyjść stąd, znajdzie się wśród tych, co zwrócą nam ojczyznę. Jeszcze o nim usłyszymy*.

Urki mówili: „Chłop na sto dwa! Ech, szkoda go!”

O delikatnej dziewczynie ze złotymi włosami nie mówili nic – zapomniano o niej szybko, tylko Magda przez pewien czas szeptała w swoich modlitwach:

– Zbaw, Panie, duszę grzesznicy Heleny. W wielkiej łasce Swojej wybacz jej śmierć samobójczą i niemoralny związek z mężczyzną.

Epilog

Dziennik Elżbietki

3 stycznia. Nadszedł rok 1937. Ciekawe, jaki będzie? Jakie nowe zmartwienia przyniesie? A kto wie – może radości? Na razie wciąż nie dosypiam: co dzień muszę wstawać o siódmej rano. Podczas gdy robię toaletę, budzę dzieci, pilnuję, by się umyły, i zapinam im guziki, mija co najmniej godzina. Potem trzeba dać śniadanie, a ono nigdy nie obywa się u nas bez jakichś przygód – to mleko się rozleje, to któreś z dzieci przygryzie sobie język lub go oparzy, to muszę postawić w kącie Sławeczka za nieposłuszeństwo, a najczęściej za dokuczanie Soni; kręcę się ciągle, kręcę, a sama nawet nie mam czasu zjeść. Dziś, gdy rozczesywałam loczki Soni, Sławeczek zaczął krzyczeć z kuchni: „Ciociu Elżbietko! Mleko kipi, o, już ucieka z garnka!” Pędzę więc do kuchni, a Sławeczek biegnie mi na spotkanie, wpada na drzwi i nabija sobie guza. No i spóźniłam się do pracy.

12 marca. Nie mam czasu myśleć, smucić się też nie mam czasu... Morduję się jak koń w kieracie. Wszystkie moje myśli koncentrują się na drobiazgach; jak by tu nie przeziębic dzieci, co zrobić, by Sławeczek się nie potłukł, a Sonieczka wypłała tran. Dziennik zaniedbałam – pisać mogę tylko wtedy, kiedy dzieci pójda spać, lecz wieczorami zawsze jestem strasznie senna, a poza tym mam mnóstwo niedokończonych spraw; nigdy nie lubiłam krzątania się po domu i zajmowania gospodarstwem, a tu proszę, znalazłam się w gąszczu tych spraw! Pomaga mi Annuszka i ta dama, wychowanka Smolnego, Marina Siergiejewna. Kim była dla Olega? Pamiętam, że przyszła kiedyś do mnie i powiedziała: „Niech mi pani pozwoli choć raz w życiu zrobić coś dobrego” – a przedstawiła mi się jako przyjaciółka Niny. Mieszka niedaleko od nas, w przejściowym pokoju; sąsiaduje z jakąś żydowską rodziną, na którą się strasznie skarży. Zarabia robiąc na drutach wełniane swetry w tajemnicy przed inspektorem finansowym, a szuka

klienteli wśród ludzi ze swego kręgu. Mimo to nie chce brać ode mnie pieniędzy, chociaż codziennie chodzi z dziećmi na spacer i uczy je francuskiego od dziesiątej do drugiej, kiedy jestem w pracy.

2 lipca. Sonieczka jest urocza, rzęsy ma do połowy policzków, jak Asia, a gdy przewiążę jej loczki aksamitną wstążką, przypomina dziewczynkę z obrazka wyobrażającego „Anioła miłości”. Z żalostnej poczwarki wyłonił się śliczny motyl, tylko zdrowie ma słabiutkie, często się przeziębiam. Dziś rano obudziła się, przytuliła do mnie potarganą główkę i wyszeptala: „Ciociu Elżbietko, ubierz mnie; obudziły się moje misie, lalki też, trzeba je nakarmić. Jak urosnę i będę już duża, urosną moje nóżki, sukienka i paletko, to wtedy...” I obejmuje mnie rączkami, a policzki ma różowe od snu. Bardzo lubi piosenki, odziedziczyła muzykalność Bołogowskich; wciąż prosi, by jej śpiewać, a moje talenty w tej dziedzinie są, niestety, mizerne. Muszę poprosić Marinę Siergiejewnę, by zagrała jej na fortepianie dziecięce piosenki Cezara Cui. Za to Sławeczek śpiewa wniebogłosy; ku mojemu przerażeniu usłyszał gdzieś jakąś okropną czerwonoarmijską piosenkę i ciągle ją wykrzykuje. Strasznie się zrobił wojowniczy – wciąż bawi się jakimiś bębnami i kijami; umie na pamięć „Borodino” i wyobraża sobie, że jest generałem z 1812 roku. Właśnie wbiegł do pokoju i krzyczy do siostrzyczki: „Bagrationie, gdzie jesteś? Napoleon już w kuchni, tuż pod Moskwą, a ty nie wydajesz rozkazów?!” A mała z zakłopotaniem wlepia w niego wielkie ślepkę, tak podobne do oczu Asi, że skurcz ściska mi gardło. Robią zawsze w pokoju okropny bałagan – wciąż tylko po nich sprzątam, stawiam na miejsce ich zabawki.

17 września. Dziś mój kolega z pracy, Michał Iwanowicz – były felczer wojskowy – zatrzymał mnie na korytarzu i mrugając porozumiewawczo opowiedział o pewnym wieczorze u swego kolegi: na wieczorku tym partyjniacy popili się i wspominali stare dobre czasy, łącznie z obrzędem święcenia wody nad Newą i wspaniałymi głosami diakonów, gdy śpiewali „Ci, którzy przyjmujecie chrzest w Chrystusie”. Ktoś zaproponował: „A może byśmy, bracia, zaśpiewali liturgię?” I zaśpiewali! W dodatku cała,

od początku do końca. A potem jeszcze „Boże nasz, chwała Ci!” Za to dziś wszyscy chodzą pochmurni, jeden na drugiego nie chce patrzeć... Wiele by pewno dali, by wycofać się z tych wspomnień, demaskujących „zbrodniczą naturę” każdego z nich!

5 listopada. Rośnie nowa fala terroru. Stalin oszalał. Gdyby nawet ci, którzy byli tak drodzy memu sercu, nie ucierpieli wtedy, z pewnością zostaliby schwytani teraz! A o mnie nawet dziś zapomniano! Ja – „córka skromnej nauczycielki wiejskiej”, ja – „wzorowa pracownica” pochłonięta wychowaniem dzieci – uznana zostałam widocznie za nieszkodliwą, zbyt szarą, mało ciekawą. Na śmiech mi się zbiera! Ludzie boją się chodzić w gości, wrywają z albumów zdjęcia i palą je wraz z listami i notatkami... Niejeden nie rozbiera się na noc spodziewając się GPU, a ja... Wciąż jeszcze oglądam mój dziennik, wciąż go strzegę! Tak – zbiera mi się na śmiech!

12 listopada. Gdy ludzie mówią do siebie przez telefon: „Ona jest chora”, należy rozumieć, że jest aresztowana! Gdy mówią „wyjeżdża”, to znaczy że jest zesłana! Komisy są przepełnione, za bezcen lecą całe mieszkania; już za pięćdziesiąt rubli można kupić mahoniowy mebel lub starą porcelanę. Kochanki agentów GPU krążą wśród odjeżdżających, i targują się kupując za grosze przedmioty, których wartości nie są w stanie sobie wyobrazić. Dziś na ulicy byłam świadkiem smutnej sceny: do taksówki wsiadała dama z maleńkim dzieckiem i staruszką pokręconą przez podagrę; odprowadzający ładowali do bagażnika walizki, dwie osoby płakały. Na moje pytanie, odpowiedziano mi: „Zsyłka!”

Wyjątkowo nieładną rolę grają w tym administracje; chcąc ulokować w tym lub innym pokoju swoich krewnych lub osoby, od których dostały łapówkę, fabrykują donosy, a ponieważ nikt u nas donosów nie sprawdza, skutki są tragiczne! W sąsiednim mieszkaniu staremu uczonemu przed miesiącem kazano natychmiast opuścić pokój, lecz on dostał zawału i nie wstaje z łóżka. Więc mniej więcej dwa razy w tygodniu posyłają do uczonego milicjanta, by ten sprawdził: czy lokator już wyzdrowiał, i kiedy może wyjechać? Uczony i milicjant zaprzyjaźnili się; żona

uczonego poi milicjanta herbatą z konfiturami; uczony dobrodusznie przygląda się z łóżka scence rodzajowej z życia bezklasowego społeczeństwa, a milicjant wyznaje mu swe uczucia: „Zawsze będę ciebie, Iwanie Nikołajewiczu, pamiętał i szanował, jesteś zacnym człowiekiem! Niech ci Pan Bóg da zdrowie i sprawi, by ci się wiodło w obcym miejscu!”

Tej nocy uczonego jednak wywieźli, a dzisiaj od samego rana wprowadza się na jego miejsce jakaś podejrzana rodzina.

Od Leli Nielidowej żadnych wiadomości! Nie wiem nawet, czy żyje. Trzy razy dowiadywałam się w GPU, w odpowiedzi słyszę tylko: „W razie śmierci zawiadomimy”. Czy aby na pewno? Nawet krewnych rzadko kiedy zawiadamiają.

15 listopada. O tak! Okazało się, że bolszewizm nie jest zjawiskiem krótkotrwałym, przemocą przeniesionym na nasz grunt, w istocie nam obcym. Gdyby nie miał w sobie niczego, co jest nam organicznie właściwe, nie utrzymałby się długo. Muszę się z tym pogodzić! Jeśli choćby jedno ziarno z panujących dzisiaj idei i stosowania ich w praktyce jest spokrewnione z Obliczem Wieczności i zasiane przez kogoś z niebios, wówczas nawet ten potworny bolszewizm da w przyszłości owoce, chociaż... czy w ogóle istnieje takie ziarno? Wszystkie brudy, całe zło wypłynęło teraz na powierzchnię niczym piana w kotle z brudną bielizną... Cudownie piękne Oblicze pełne jest smutku...

18 listopada. Otrzymałam list od Julii Iwanowny; mieszka na wsi, pod Muromem, dokąd zesłano ją po zabójstwie Kirowa, kiedy masowo – całymi pociągami – wyrzucano z miast ludzi o szlacheckich nazwiskach, nawet nie należących do rodowej szlachty. Kirowa zabił kwiat partii, a może nawet sam Stalin (po cichu mówią o tym wszyscy), lecz ukarano za to – nie wiadomo czemu – rosyjską szlachtę! Byłoby szkoda, gdyby ten list gdzieś zaginął. Na wszelki wypadek przepisuję go do dziennika:

„Kochana Elżbietko! Czy wyobraża sobie Pani, jak wielka jest moja samotność, gdy mieszkam tutaj, na peryferiach małego miasteczka, bez fortepianu i bez uczniów? Jestem gotowa żyć w

zakopconej chacie, spać na ławie z pluskwami i jeść tylko kaszę jaglaną, lecz mój instrument jest mi niezbędny jak powietrze. Wie Pani, jakim ciosem było dla mnie w swoim czasie zwolnienie z pracy w konserwatorium za to, że noszę szlacheckie nazwisko? Zdawało mi się, że w technikum nie znajdę talentów. Los już kiedyś mi odebrał ukochanego ucznia – młodzieniec, w którym widziałam przyszłego Hofmana, zginął podczas wojny. Ale gdy dano mi Asie, znów znalazłam dla siebie miejsce we Wszechświecie. Talent tej dziewczyny pogodził mnie z życiem. Znów zaczęłam patrzeć na świat z nadzieją. Nikt prócz mnie nie potrafił ocenić Asi: ani chłodna arystokratka – jej babcia, ani zakochany mąż, ani profesorowie z konserwatorium, ani nawet nasz sławny maestro. Nie mogę wybaczyć Daszkowowi małżeństwa z Asią. Powinien był zrozumieć, że miała wielki talent, że należało ją chronić niczym rzadką perłę. A on ze swoją mainereadowską przeszłością wdarł się w jej życie, zrobił ją matką, kiedy miała dwadzieścia lat, i wdową, kiedy skończyła dwadzieścia trzy, i oto już nie ma mojej perełki! Czy widzi stamtąd, że jej stara, chora nauczycielka nie może o niej zapomnieć i marzy na jawie o jej czarodziejskiej sztuce? Nigdy nie zapomnę, jak grała jedną z etiud Chopina i jeden z jego mazurków... Zamykam oczy i słyszę. Proszę mi chociaż przysłać jej fotografię, bym mogła spojrzeć na jej twarz, zanim sama odejdę do wieczności. Moje życie kończy się, oby zgasło jak najprędzej! Zbyt wiele mam pięknych wspomnień, zbyt ciężka jest rzeczywistość! Jak słodki sen – podróż z mężem po Europie, koncerty najwspanialszych mistrzów, Włochy, Paryż, potem zajęcia w konserwatorium w dniach jego sławy – Rimski-Korsakow, Głazunow... wszystko minęło! Z mojego okienka mogę obserwować tylko baby w siermięgach i słyszeć ich krzykliwe głosy przy studni. Mrok osnuwa mnie ze wszystkich stron. Niech przynajmniej Pani o mnie nie zapomina, odmówi kiedyś za moją duszę „Wieczne odpoczywanie”. Zawsze oddana, stara Julia Iwanowna”.

19 listopada. Grób Asi pewno pokryty jest śniegiem i ani jedna żywa dusza nie powiesi wianka na ubogim drewnianym

krzyżu. Pewno nawet nie ma ścieżki do tego grobu. No bo rzeczywiście: komu z mieszkańców tamtejszych wiosek przysłoby do głowy, że w tej nieznannej mogile znalazła ukojenie tak wyjątkowa, utalentowana istota?

22 listopada. Strasznie szybko się męcę, och, jaka jestem zmęczona. Stara już jestem, czy co? Niby jeszcze nie stara – 36 lat, a wciąż chce mi się spać. Już dawno minęły czasy, gdy po powrocie z kliniki samotnie, w spokoju piłam herbatę, a potem brałam do ręki książkę lub ten dziennik. A teraz... W drodze powrotnej z pracy biegam po sklepach, potem z pełną siatką pędzę do domu, gdzie czekają już dzieci; przyprowadza je o tej porze Marina Siergiejewna. Potem aż do późnej nocy nie mam już okazji usiąść choćby na chwilę. Jestem bardzo wdzięczna Annuszce i Marinie Siergiejewnie – nie dałabym sobie bez nich rady z dwojgiem dzieci i z pracą. Annuszka przychodzi zawsze dwa razy w tygodniu uprać coś dzieciom lub wyszorować podłogę, nie bierze za to ani kopiejki, jeszcze przynosi smakołyki – gorące pierożki z kapustą lub placuszki na mleku; wychodząc zabiera do reperacji bieliznę i pończoszki. Twierdzi, że sam Pan Bóg każe się jej troszczyć o sierotki teraz, gdy została całkiem sama. Ja jeszcze mogę zrozumieć, ale Marina Siergiejewna... Jej stosunek do dzieci jest dla mnie zagadką! Dostojewski mówił przecież: „Nie było gdzie iść, a przecież każdy człowiek musi gdzieś iść”. Dzieci kochają Marinę Siergiejewną, może nawet więcej niż mnie – mnie przecież zawsze z uczuć przypada odrobina. Wszyscy o tym wiedzą.

25 listopada. Bohaterskie czyny unikają mnie! W wyobraźni widziałam już groźne wydarzenia, decydujące o losach mojej ojczyzny. I siebie wśród tych, którym nie żal własnego życia – w oddziale partyzanckim, tak jak niegdyś w szpitalu polowym – to już obojętne! Może milczenie na torturach w GPU; może brawurowy zwiad i śmierć wśród ognisk, namiotów na obozowisku... Ale życie przyniosło coś całkiem innego – bohaterski czyn, tak samo jak miłość, ominął mnie!

26 listopada. Dziwne w życiu człowieka zdarzają się chwile; czasem niespodziewanie pojawia się odpowiedź na najbardziej

skryte pytania. I w dodatku w przypadkowych, nie wartych uwagi słowach innego człowieka. Kto posyła tę odpowiedź? Dziś Marina Siergiejewna przyniosła czerwony wełniany sweter (zrobiła go na drutach dla Sonieczki), a gdy rzekłam z niepokojem, że zbyt wiele czasu traci na dzieci bezpłatnie, podczas gdy sama utrzymuje się tylko z robienia na drutach swetrów i rękawiczek, i to w tajemnicy przed sąsiadami, powiedziała: „Proszę się o mnie nie marwić. Dzieci – to jedyne, co jeszcze przywiązuje mnie do życia, dzięki nim udało mi się zrobić coś pożytecznego i dobrego. Nie umiałam zbudować własnego życia, popełniłam wiele strasznych błędów i to jeden za drugim. Na przykład: przerwałam ciążę i dotąd nie mogę sobie tego wybaczyć. Sławeczek... to niemal rówieśnik mojego nienarodzonego dziecka – mniej więcej rok różnicy...”

28 listopada. Oho! Ktoś złożył donos na mnie! Na szczęście do komitetu zakładowego w szpitalu, a nie bezpośrednio w dużym domu. Wezwali mnie wczoraj dla wyjaśnienia. Nie straciłam głowy, od razu przeszłam do kontrataku:

– Na pewno wysmażyła ten donos niejaka Diergaczowa, moja sąsiadka. Proszę wziąć pod uwagę, że doszło między nami do kłótni wskutek niedopuszczalnego bałaganu, jaki ta obywatelka robi w kuchni. Jestem odpowiedzialna za czystość, więc pozwoliłam sobie zwrócić uwagę obywatelce Diergaczowej; ona na to zaczęła na mnie wrzeszczyć i w obecności wszystkich groziła mi. Przesłuchajcie świadków.

Przewodniczący komitetu zakładowego uśmiechnął się i powiedział:

– Dobrze, zwrócimy uwagę. Niech pani się nie martwi, lecz złoży wyjaśnienie na piśmie. W donosie wspomniano, że pluła pani na sowiecką gazetę. Jeśli przyniesie pani zaświadczenie, że cierpi na zapalenie oskrzeli z płwociną, załączymy ją do sprawy. Wiemy, że pani pracuje wzorowo, jest działaczką społeczną i dobrą obywatelką – wzięła pani na wychowanie cudze dzieci! Nie można dopuścić, by znów zostały sierotami.

Wkrótce stało się jasne, że donos rzeczywiście napisała ta

sąsiadka. Zaświadczenie, naturalnie, przyniosłam (choć wcale nie mam zapalenia oskrzeli), więc przewodniczący komitetu zakładowego obiecał ukłonić sprawie łeb. Jest chyba znacznie łagodniejszy niż ten poprzedni (tamten zadreślał nieboszczyka wujka Władimira Iwanowicza i Lełę). Trudno uwierzyć, że skończyło się wszystko pomyślnie. Któż więc kogo chroni – ja dzieci czy one mnie? Póki tam biegłam, myślałam Bóg wie co, ale dziennika jednak nie zniszczyłam.

29 listopada. Sam los każe mi konać z zazdrości: widziałam dzisiaj, jak Sonieczka objęła Marinę Siergiejewną i przytuliła buzię do jej policzka; ze mną tak się nie pieści. Widocznie żal uwidocznił się na mojej twarzy, gdyż Marina Siergiejewna zaczęła mnie pocieszać: „Te maluchy nie potrafią jeszcze pojąć, co pani dla nich robi. Jest im miły ten, kto ich zabawia. Ale proszę wierzyć – z czasem docenią to.” Z właściwą sobie oschłością odcięłam: „Wcale nie potrzebuję ich wdzięczności!”

Marina Siergiejewna opowiadała, że otrzymała niedawno list od Niny Aleksandrowny, która jest zdrowa i żyje we względnie znośnych warunkach: stale występuje podczas wieczorów amatorskich i na świątecznych koncertach łagrowej sieci. Zawsze ma wielkie powodzenie. Naczelnik łagru wystarał się dla niej, jako dla artystki, o dodatkową żywnościową rację; również na jego rozkaz co pewien czas regularnie jest umieszczana w lazarecie, by wzmocnić jej siły i głos. Nie spodziewała się, że wśród tych potworów może spotkać ludzi, którzy cenią talent! W liście Niny Aleksandrowny jest interesujący szczegół: ona i dwaj inni więźniowie-muzycy ćwiczą razem wieczorami w małej pustej szopie, by niepotrzebnie nie rzucać się w oczy konwojentom. Wkrótce zauważyli, że gdy tylko biorą do ręki instrumenty, natychmiast spod ściany wypęłza maleńka jaszczurka i siada w kąciку, by posłuchać. Jaszczurka jest muzykalna, może nawet bardziej niż ja! Nina Aleksandrowna zapewnia, że to fakt wielokrotnie sprawdzony; wszyscy troje świetnie zapamiętali i polubili małą słuchaczkę. Gdyby jeszcze pies lub kot – można byłoby zrozumieć, ale gad?

4 grudnia. Przyjechała Mary Ogariowa – żona Miki. Nie od razu ją poznałam, gdyż widziałam dawno. I tylko dwa razy: na panichidzie i w mieszkaniu Asi. Ma dwadzieścia cztery lata; włosy gładko zaczesane, wąski przedziałek; czarne, mądre żywe oczy; owalna twarz; ciemna sukienka z białym kołnierzykiem, żadnej biżuterii. Prosiła, bym pozwoliła jej zanocować, gdyż teraz nie ma nikogo w Leningradzie. (W mieszkaniu komunalnym nie jest to takie proste, ponieważ zarządzenie władz zabrania nawet na dobę udzielać schronienia komukolwiek, poza osobami z zaświadczeniem o delegacji, którą należy pokazać administratorowi). Mimo to pozwoliłam: nie wypadało jej odmówić. W dodatku spodziewa się dziecka, o ile mogłam zauważyć. Przyjechała w sprawach cerkiewnych do Metropolity Leningradzkiego (przywiozła mu ikony i listy). Tajna cerkiewna poczta. Ma dziewczyna odwagę!

Zaraz po śniadaniu natychmiast zniknęła i pojawiła się dopiero na kolacji. Nazajutrz znów jej nie było, wróciła na godzinę przed wyjazdem. Prócz paczek od biskupa, przytargała książki z biblioteki Miki, której część jest na przechowaniu u Annuszki. Bagaż był aż tak ciężki, że chciałam już ją odprowadzić na dworzec w obawie, by sobie nie zaszkodziła, lecz w tym momencie zjawił się nieznany mi osobnik przysłany przez Władykę (tak nazywają biskupa). Wyszli razem. To bardzo nieostrożne, a nawet wobec mnie nietaktowne, dawać mój adres obcemu człowiekowi. Nie spałam potem całą noc, w obawie, by ich nie wysłedzili i nie zjawili się u mnie. Na szczęście, rozeszło się po kościach. Mary, mam wrażenie, umiała przeobrazić swoje życie w heroiczną służbę. Ona wie, co robi. Z pewnością i Mikę trzyma pod pantoflem. Chcę zapisać to, o czym rozmawiałyśmy wieczorem przy herbacie, gdy dzieci już zasnęły. Zaczęłyśmy mówić o dzisiejszych czasach, a ona zauważyła:

– Dziś przeważa u nas siła zniszczenia, umocnił się destrukcyjny nihilizm, tak genialnie przewidziany przez Dostojewskiego. Ale te siły nie mogą długo panować. „Nastanie dzień – i rozkaże Pan nieczystemu duchowi opuścić ciało Rosji”. Cerkiew Wschodnia ożywi i odnowi chrześcijaństwo. Bóg zesłał jej

męczeństwo, by ją oczyścić i przygotować do wielkiej misji. To Rosji sądzone będzie obrócić ku światłu bieg dziejów ludzkości.

Byłam przyjemnie zaskoczona siłą przekonania i entuzjastyczną wiarą tej dziewczyny, rozpoznawałam w jej słowach moje własne, głęboko ukryte myśli. Jedynie miłość do cerkwi była mi obca.

– Czy istotnie w cerkiewnym środowisku są ludzie tak samo ideowi jak pani? – spytałam.

Odpowiedziała na to:

– Owszem, jest ich mnóstwo! Trzeba tylko chcieć znaleźć. Inaczej rzeczywiście można przesiedzieć życie w kącie z absolutnym przekonaniem, że wszystko wokół nic nie jest warte. Ja zresztą mam szczęście; dość, że się obejrzę – i już widzę! Jestem żoną zesłańca; mój ojciec zginął w łagrze. Nie mam leningradzkiego meldunku i nawet metra własnego metrażu, lecz za nic nie zgodziłabym się wyjechać z Rosji. Gdzieś tam w Ameryce udusiłabym się. Ubiegłego lata wyruszyliśmy z Miką w ciężką podróż na Syberię, nad rzekę Ob; mieszka tam w małej osadzie pewien zesłaniec, jest bardzo wykształcony, uduchowiony i pogodny. Gdy przyjechaliśmy, był bliski śmierci, mimo to zdołaliśmy wiele od niego zyskać. Dał nam ogromną, przeogromną wiedzę z dziedziny ezoterycznego chrześcijaństwa. On też był szczęśliwy, że na łożu śmierci znalazł uczniów. Mówił, że widzi w tym łaskę bożą. Modlił się o to, i właśnie wtedy przyszliśmy! Mika nie mógł siedzieć tam długo – kończył mu się urlop, lecz ja zostałam, by pomóc jak tylko mogłam staremu chrześcijaninowi w jego drodze na tamten świat. Gdy mówiłam do niego „nauczycielu”, za każdym razem w oczach starca błyszczały łzy...

Pojawili się w chacie umierającego zesłańca, pewno tak samo jak wtedy, gdy pewnego razu przyszli do mnie – w wysokich butach, z plecakami, trzymając się za ręce i wymieniając promienne uśmiechy. Inni na ich miejscu pojechaliby do kurortu... Oryginalna para (choć nie usiłuje być oryginalną).

6 grudnia. Zapomniany przez wszystkich starzec w

opuszczonej chacie modli się, by Bóg zesłał mu uczniów, zanim odejdzie do wieczności... Ubolewa, że musi zabrać do grobu bogactwo swoich myśli. Modli się, a w progu już stoi młoda para. Dziś moja wyobraźnia jest pod wrażeniem tej sceny.

8 grudnia. Kiepsko z pieniędzmi. Na dodatkowe dyżury brak mi czasu, a pożyczać nie mam zwyczaju... Z czego potem oddawać? Lombardów boję się jak ognia... Pozostaje oszczędzać i jeszcze raz oszczędzać... Mam biżuterię Sonieczki – kolczyki Daszkowów i pierścień z brylantem od Nadieždy Spiridonowny, lecz sądzę, że nie mam prawa ich tknąć. Pianina sprzedać nie można; wkrótce można będzie uczyć Sonieczkę. Resztki księgozbioru – mojego i Bołogowskich – przechowuję dla Sławeczka. Są tam książki, których nie da się teraz kupić za żadne pieniądze, na przykład Władimir Sołowiow, Gumilow, Hoffman, Maeterlinck, Huysmans...

22 grudnia. Dwa tygodnie spędziłam w szpitalu imienia Rauchfusa przy łóżku Sonieczki. Mała zachorowała na dyfteryt, a ponieważ lekarz nie rozpoznał choroby w porę, zaszczepiono ją dopiero na drugi dzień i omal nie umarła; teraz, chwała Bogu, niebezpieczeństwo minęło. Mam nadzieję wyspać się dzisiaj po tyłu bezsennych nocach. Głowa mi się kiwa, oczy kleją się. Gorące policzki... na wpół otwarte usteczka... spocone czoło... do którego przykleiły się kółeczka włosów. Tyłu widziałam chorych i umierających, lecz dziecko wychowane o własnych siłach, takie maleńkie i rozkoszne... stracić takie dziecko... Jakie to szczęście, że niebezpieczeństwo już minęło!

23 grudnia. Jestem sama w domu. Sonieczka jeszcze leży w szpitalu, Sławeczek jest u Mariny Siergiejewny. I im dłużej tam zostanie, tym bezpieczniej. A mnie, jak zwykle, nic nie szkodzi, nawet pałeczki dyfterytu.

To jednak dziwne, zostać tak bez dzieci... Pusto i cicho... Roją się myśli, jest ich coraz więcej, tak jak dawniej. Widocznie rodzą się i żywią w takiej właśnie ciszy. Oleg... ostatnio myślę o nim znacznie rzadziej, pewno dlatego, że jestem zajęta. Oleg to bohater mojej młodości, minionych i przyszłych –

wyimaginowanych – bitew. Wiele zmieniło się od tego czasu także w moim życiu i w otaczającej mnie rzeczywistości. Czuję, że moja świadomość rozwija się i rośnie, tak jakby wstrzyknięto mi do mózgu drożdże. Myślę, że ma to związek z wyrzeczeniem się egoizmu, do czego zmusiły mnie okoliczności. Wiele chciałabym jeszcze powiedzieć.

Byłam małą dziewczynką, gdy zupełnie samodzielnie uchwyciłam myślami mistyczne oblicze Rosji – wielkiego Ducha Narodu w odwiecznym jego znaczeniu. Wówczas jego przedstawicielem na ziemi wydawał mi się Cesarz, wyobrażałam go sobie na białym koniu przed wojskiem, na podobieństwo Skobielewa. Później wiązałam ideę Rosji z ruchem białogwardyjskim; jeszcze teraz chylę czoło przed bohaterstwem tysięcy białych żołnierzy i oficerskimi atakami, lecz idea mesjanistyczna, którą kierowali się najlepsi z nich, już umarła. Przelana za tę ideę krew, być może, stanie się ofiarą odkupienia; nie zyskała nagrody tutaj, lecz wierzę, że na tamtym świecie zostanie uznana, będzie przyjęta na ołtarz miłości ojczyzny, tak samo jak i krew czerwonoarmistów – takich, jak choćby Wiaczesław.

Bolszewizm... To proces samoistny i głęboko organiczny. Jest zbyt wielki, by przemocą – interwencją z zewnątrz – można go było stłumić. Muszę dojść do wniosku, że i w nim są chyba rysy drogiego mi oblicza, rzecz jasna, strasznie zniekształcone. Dyktatura proletariatu to ohydny, fatalny błąd rewolucji, który na długo skomplikował losy Rosji. A teraz nawet nie ma tej dyktatury, jest tylko dyktatura Monstrum. Lecz święte ciało Rosji jest mimo wszystko tutaj, nie mogę pozwolić nawet w myślach, by rozszarpano je na kawałki jak szaty Pana Naszego. Gdyby miała wybuchnąć wojna, stanę po stronie bolszewików! Nie wiem, jak moja ręka mogła napisać te słowa, lecz tak wyczytałam w mojej duszy! Nikt inny nie chroni teraz naszych granic, a wielki kraj zawsze atakują drapieżniki. Rosja rodzi w cierpieniach nowe formy państwa i nowych bohaterów, wszystko, co klasowe, winno być im obce, szlacheckie czy też proletariackie. Myliłam się przepowiadając termin nowej bitwy, myliłam się myśląc o źródle

nowej siły. Żadnej restauracji, żadnej Ententy! Rosja ocali sama siebie, od środka. To zachód słońca! – mówi Julia Iwanowna. Ale słońce zachodzi, by potem znów wzejść!

*Serce będzie dręczył straszny płomień
Aż do dnia, kiedy na polach ojczyzny
Dźwigną się mury Nowej Jerozolimy
Jasne i piękne dla przyszłych pokoleń!*

Łzy ściskają mi gardło. Czy otworzą się kiedyś bramy więzień i łagrów, czy wrócą wszyscy skazani bez winy na cierpienie? Boję się, że nastąpi to nieprędko, a ci, o których myślę, nie doczekają tej chwili, tak jak nie doczekali jej Oleg i Asia. Będzie to początkiem „światła od Wschodu”. W tym miejscu moje nadzieje są takie same jak nadzieje Mary i Miki.

24 grudnia. Dziś śniło mi się wielkie ognisko, nad nim kocioł i Monstrum, które mieszało w kotle chochłą. Wokół stało w milczeniu mnóstwo ludzi. Błyszczał tylko płomień ogniska; w kotle coś trzeszczało, kipiało, roztapiało się. Myślałam, że topią się nasze istnienia, lecz chyba musi być jakaś skryta przyczyna, taki lub inny ponadludzki cel w tych hetakombach ofiar? Nagle zobaczyłam przy kotle Asię – była cała przezroczysta, w błękitnej szacie, z jasnym czołem. Monstrum zachichotało, schwyciło ją za warkocze i wrzuciło do kotła. Obudziłam się przerażona... Lecz po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że w tym śnie jest więź z moją ideą o ofiarach w imię odkupienia – ofiarach powszechnej pożogi.

25 grudnia. Znów czytam Gumilowa i myślę o Olegu. Jego postać wyrasta spoza takich oto słów:

*Z roku na rok słabniesz, o Pamięci,
Powiedz, dni swobody i pokoju
Czy to on, czy inny ktoś poświęci
Dla świętego wyśnionego boju?*

*Głód, pragnienie, czujny sen żołnierzy,
Nie kończąca się go czeka droga,
Ale dwakroć dotknie święty Jerzy
Piersi, której nie tknie kula wroga.⁹⁹*

Bohater tych strof jest ogarnięty miłością do ojczyzny, nie żałuje dla niej życia. Muszę wpoić Sławeczkowi za pośrednictwem tych strof świadomość, jakim człowiekiem był jego ojciec. Już dawno powiedziałam sobie, o czym będę z nim rozmawiała w dniu, kiedy skończy osiemnaście lat. A do tego dnia będę milczeć – co jak co, ale to potrafię! Nie chcę już rozmieniać myśli na drobne, zanim je zrozumie w całokształcie. Byłam najbliższym przyjacielem jego ojca – to duży odważnik na szali mojego wpływu. Powinno mi to pomóc uchronić Sławeczka od demoralizującego ducha czasu – niewiary i wyrachowania.

W przyszłości dam Sławeczkowi ten dziennik! Postać jego ojca pojawia się niemal na każdej jego stronie, od pierwszego spotkania w szpitalu do dnia egzekucji; cytuję jego słowa i jego myśli. To portret człowieka, któremu przypadło żyć i działać w strasznym, przełomowym momencie dziejów. Czytając ten dziennik Sławeczek zobaczy wszystkie etapy naszych nadziei, rozczarowań i cierpień i zbliży się bezpośrednio do idei oczyszczenia i odnowienia Rosji.

Jakże mądre są drogi boskie! Kochałam bez nadziei, lecz miłość ta budziła chyba we mnie siły twórcze, od ukochanego człowieka pozostał mi tylko flakon perfum... Siły te wrzały w mojej piersi bezpłodnie. Wówczas dane było temu człowiekowi jakby zmartwychwstać na cztery tylko lata, po to by udręczyć moje serce, lecz równocześnie zostawić mi dwa skarby, znacznie cenniejsze – dwoje swoich małych dzieci! Teraz mam komu przekazać moje myśli i siły, przekazać cel życia Olega. Sławeczek musi stać się godny tej idei. Nie chcę wychować go na mściciela.

Podział społeczeństwa na zwycięzców i zwyciężonych budzi we mnie odrazę. Zbyt długo rządzą u nas idee odwetu, obce z natury Rosji i Rosjanom. Sławeczek uniesie w górę sztandar ojca z nowym napisem na nim. A ja natchnę go do dzieła! Widocznie tam, na górze, było zaplanowane, że mogę to zrobić tylko ja, a nie Asia, skoro nie Asi, lecz mnie jest sądzone wychować dziecko. Ileż trzeba było cierpień, zanim uświadomiłam sobie głębię tych celów!

Wręczenie Sławeczkowi dziennika będzie dla mnie nową Golgotą – moja miłość przestanie być dla dzieci tajemnicą, lecz rezultaty mogą być zbyt wielkie, bym miała myśleć tylko o sobie. Niech tylko Bóg pomoże mi ocalić te zeszyty i wychować chłopca. Myślę jednak, że teraz, kiedy podjęłam tę decyzję, nie mogłabym pisać dziennika równie szczerze, jak robiłam to dotychczas przez dwanaście lat. I dlatego kończę ten dziennik.

Ojczyzno! Czekam na twoje odrodzenie! Gdy wreszcie wypali się ognisko, gdy zdechnie Monstrum i pęknie stary wrzód na twoim ciele, a na zmartwychwstałą Ruś spadnie z nieba „straszny blask”, wówczas zrozumieć, w imię czego były potrzebne te ofiary.

Lecz teraz... Teraz wszyscy wokół oplakują zmarłych...